



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

SLAV  
5198  
77

Harvard College Library



FROM THE FUND OF

CHARLES MINOT

Class of 1828







**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

---

*Druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.*

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 249.

---

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

---

Rok 1903. — Tom I

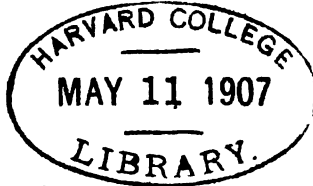
---

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 5.

1903.

SLAV  
5198  
77



*Minot fund*

**Дозволено Цензурою.  
Варшава 21 Декабря 1902 года.**

# Nowe prądy polskie i antypolskie

## POD RZĄDEM PRUSKIM.

---

Wypadki lat ostatnich wyjaśniły zupełnie stosunek rządu Pruskiego do Polaków i odwrotnie. Rozwiały się doszczętnie nadzieje, aby na drodze ugodowej znaleźć można było wyjście z obecnej sytuacji, i trzeba się ośwoić z myślą, że i uadał dwaj wrogowie pod jednym dachem zamieszkiwać będą musieli. Utopią stało się mniemanie, że uda nam się znaleźć znośny jakiś modus vivendi z elementem niemieckim, i że znajdziemy podporę tam, gdzie tylko na nienawiść natrafić możemy. Do niedawna istniało jeszcze w znacznym odłamie społeczeństwa wielkopolskiego mniemanie, że bez rządu, a właściwie w przeciwieństwie do niego, żyć i rozwijać się nie możemy wcale, że powinniśmy niezbędnie przyjąć politykę, któraby odpowiadała naszemu stanowi ekonomicznemu, któraby była, jak ją nazwano, polityką głodu. Wniosek taki zupełnie jest błędny. Gdyby bowiem społeczeństwo polskie bez pomocy rządowej żadną miarą istnieć nie mogło, to właśnie w takim razie nie mogłoby się spodziewać żadnych ustępstw, ani kompromisów, lecz przeciwnie oczekiwać tem zawziętszej walki eksterminacyjnej. I w rzeczy samej, bodaj czy polityka ugodowa przedostatniej doby nie upadła częściowo i dla tego, że policzono nam zgodność i chęć porozumienia się za słabość i wyciągnięto stąd wnioski, że trzeba, póki czas, doszczętnie zniszczyć bezbronnego przeciwnika. Po epoce ugodowości nastąpiła bez przejścia i bez widocznej przyczyny epoka najgwałtowniejszego ucisku.

Dopóki Polak nie wyrzeknie się tradycji, języka i uczuć polskich, dopóty będzie Prusom zawadzał samą swą egzystencją, bez względu na obietnice, że będzie słucał cierpliwie i spokojnie się za-

chowował. To też ogólnem jest teraz mniemanie, że trzeba się starać, bądź co bądź, stać o własnych siłach, nie licząc na niczyją pomoc i łaskę, a głód zwalczać nie przez przymilanie się bogatszemu, lecz przez pracę i wyteżenie każdej chwili. Czy to jest możliwem i czy możemy się bez zewnętrznej pomocy obyć? oto więc pytanie, które się przedewszystkiem narzuca.— Że przez politykę antypolską rządu pruskiego równowaga ekonomiczna i społeczna jest na niekorzyść Polaków spaczoną, nie ulega wątpliwości. Bilans handlowy narodowości polskiej, jeżeli się tak wyrazić można, dźwiga ciężary, które naszą egzystencyę ekonomiczną niesłusznie obarczają. Wszystkie podatki i ciężary państwowe spoczywają na Polakach w równej mierze, jak na Niemcach, a korzyści, które stąd odnoszą, ograniczają się do prawie dozwolonego minimum. Wszystkie lukratywne stanowiska, któremi pośrednio, lub bezpośrednio władza rozporządzać może, a które w tak centralistycznym i biurokratycznym ustroju, jak pruski, idą w tysiące, są dla Polaków nieodszczerpieńców z góry już zamknięte. Wszelkie ekonomiczne ulgi, ułatwienia, konsensa, udzielane bywają przedewszystkiem rządzie Niemcom. Polski kupiec lub fabrykant, chyba wyjątkową taniością lub doskonałością towaru, może uzyskać dostawę rządową. Kupno wreszcie, lub dzierżawa fiskalnych gruntów jest w praktyce zupełnie dla Polaków niedostępną. Nie ulega więc wątpliwości, że więcej dajemy, niż odbieramy, i że często słyszane zdania, jakoby społeczeństwo polskie winno mieć wobec Prus dług wdzięczności do splacenia, polega na nieznamomości stosunków, albo na złej wierze. Całe dążenie rządu jest skierowane na to, aby uniemożliwić wytwarzanie się kompletnego, wielowarstwowego społeczeństwa polskiego, aby raczej zepchnąć ile możności wszystko do proletaryatu, a wyższe stanowiska wyłącznie Niemcami obsadzić.—A jednak nie można twierdzić, aby społeczeństwo polskie nie mogło się dalej rozwijać. Tyle jeszcze spotyka się stanowisk, które czekać się zdają na właściwego człowieka, tyle jest jeszcze do zrobienia pod względem rozwoju przemysłu i handlu nawet i rolnictwa, że chwilowo nie można przypuszczać, aby miejsca dla wykształconych nawet Polaków miało przybraknąć.—Co prawdą jest zupełną, to że synekur coraz jest mniej, można powiedzieć, że niema ich już wcale. Za to dla ludzi pracowitych i zdolnych dużo jest jeszcze miejsca i zatrudnienia.

Tyczy to się nie tylko stanowisk zależnych, ale i niezależnych pozornie egzystencyi.

Z biegiem czasu zarówno rozwój strony technicznej rolnictwa, jak i ogólne ekonomiczne konjunktury, nawet stan ziemiański zmuszą do ciągłej natężonej pracy. W szlachecie typ dawnego właściciela rentyera ustępuje miejsca właścicielowi przedsiębiorcy,



który, jeżeli czasami i znacznym zyskiem poszczycić się może, to zawdzięcza to nadewszystko nie martwej rencie, lecz swojej pracy, umiejętności i ruchliwości.

Podobnie lekarz, lub adwokat nie może ręk nieczynnie zakładać i spuszczać się na korzystne warunki miejscowe. Pierwszy musi walczyć z nasłanym mu przez rząd konkurentem, który z góry ma całą donośną praktykę urzędową; drugi, prócz z konkurencją, winien się liczyć z faktem, że nie uda mu się prawie nigdy uzyskać notaryatu, który jego rywal Niemiec dostanie bez trudności. Dalsze przykłady możnaby mnożyć w nieskończoność.

Walka ta ciężka wystawia całe społeczeństwo polskie na próbę niełatwą, ale wzmaga hart i wytrwałość w pracy, do której z natury tak ma'ło jesteśmy skłonni, a w dodatku nie doprowadzi zapewne rządu do zamierzonego celu.

Jasnym bowiem jest, że prowincye, o które nam chodzi, nie opustoszeją zupełnie wskutek ucisku narodowego, lecz będą dopóty przez Polaków zamieszkiwane, póki ich niemiecka ludność nie wyruguje i nie zastąpi.

Otóż na to się wcale nie zanosi.

Nietylko, że się Polacy szybciej od Niemców mnożą, co jest zapewne spowodowane większym u Polaków procentem prostej ludności wiejskiej; ale Niemcy sami, mimo, że im rząd złote góry w polskich stronach obiecuje, niechętnie się do nich sprowadzają, a nawet zamieszkawszy, przy lada sposobności wynoszą się do rdzennie niemieckich okolic. Dzieje to się raz dla tego, że stosunki są tu tak naprężone, iż dla spokojnej i pracowitej ludności nie przedstawiają nic pociągającego, a powtóre, że rząd sam, zapoznając normalny bieg objawów ekonomicznych, mimowoli emigrację taką zachęca. Większa część Niemców, zamieszkujących polskie dzielnice, sprowadziła się tam lat temu kilkadziesiąt, zwabiona nadzieją szybkiego i łatwego zysku. W rzeczy samej bowiem ziemi było do kupienia dużo, cena jej zatem była śmiesznie niska, a przy umiejętnej pracy mogła dawać już dość znaczne dochody, i kapitał, w niej umieszczony, wysoko oprocentowywać. Ruch imigracyjny zaczął pomału ustawać, w miarę, jak wyrównywać się zaczęła cena ziemi w Poznańskim z ceną jej w innych prowincjach monarchii. Wreszcie w ostatnich latach zaczął się na-przód powolny, potem coraz szybszy odwrót. Winien był temu w części sam rząd i jego ustawa kolonizacyjna. Gdzie względy ekonomicznej tylko natury stanowią o wartości ziemi, cena jej pozostaje zawsze w pewnych stałych stosunkach do przeciętnego dochodu, jaki z niej uzyskać można. Inaczej rzecz się ma tam, gdzie poboczne, np. polityczne, względy wpływają na stosunki popytu i podaży, a tak się obecnie w polskich dzielnicach dzieje.

O ziemię, jako o najsilniejszą podstawę narodowego bytu ludności, ubiegają się: z jednej strony rząd pruski, z drugiej strony Polacy. Polacy, parci naturalnem dążeniem do osiedlania się na glebie rodzinnej, do szukania punktu oparcia pośród swoich i w stosunkach znanych od dzieciństwa; Niemcy, chcąc urzeczywistnić ideę polityczno-państwową, bez względu na normalny rozwój stosunków ekonomicznych i narodowych. Wynika z tego, że cena ziemi wzrasta nieproporcjonalnie do dochodu, gdyż na każdy jej kawał chciwie rzuca się niemiecka kolonizacya, płacąc nieraz ceny czysto amatorskie, a z drugiej strony włościanie Polacy, upatrujący w niej nie tylko źródło dochodu, ale i możność pozostania w kraju, płacą za nią ceny nieraz wprost fantastyczne, a tembardziej anormalne, im większa ilość ziemi z wolnego obiegu jest wycofaną.

Jaki jest tego skutek? Oto, że prywatni właściciele niemieccy, którzy w dawnych czasach hurmem ściągali się do Księstwa, gdzie stosunek wartości ziemi do dochodu był przeciwny, niż jest teraz, to jest, gdzie ziemia była tania, a dawać mogła znaczne stosunkowo dochody, dziś mocą tego samego, tylko odwróconego prawa ekonomicznego, wyprzedają się gremialnie, mogąc bez trudu uzyskać z kapitału wycofanego większą rentę, niżby im dał przy pracy majątek nieruchomy. Siła liczebna ekonomiczna i moralna Niemców nie wzmaga się też w stosunku do robionych przez rząd wysiłków, lecz, przeciwnie, raczej słabnie na niektórych punktach, gdyż podstawą jej winna być przedewszystkiem samodzielna ludność, rozwijająca się z prężnością elementu zdrowego i zaufanego we własne siły. Tymczasem rząd sam usuwa pośrednio ten czynnik z pola bitwy, śrubując ogólną cenę ziemi do anormalnej wysokości i płacąc przez to samodzielnym Niemcom niejako „premię emigracyjną“.

To też prawdziwych takich „kulturtraegerów“ coraz mniej przybywa z Niemiec do Wielkopolski, a za to coraz więcej napływa urzędników i klientów rządowych, którzy, sprowadzani kosztem ogromnych sum pieniężnych, faworyzowani, protegowani i utrzymywani, są środkiem raczej mechanicznej, niż gruntownej germanizacyjnej organizacyi. Ponieważ i oni, dorobiwszy się stanowiska i majątku, najchętniej w niemieckie strony powracają, jest to więc niejako śruba bez końca, która na normalny rozwój stosunków krajowych jaknajzłubniej oddziałuje. Niemiecka ludność demoralizuje się do głębi i nawyka do politycznego pieczeniactwa; polska, zmuszona do wytężenia wszystkich sił swych na utrzymanie materialnego bytu, traci przez to na wartości wewnętrznej i kulturalnej.

Nie trzeba się bowiem ludzi przypuszczeniem, aby w państwie pruskiem wyższe warstwy społeczeństwa polskiego odegrały jeszcze

tę rolę, do której w innych polskich ziemiach przywykliśmy. Przewszystkiem jest ich na to za mało znacznie.

Śląsk ze swoją milionową ludnością polską nie posiada szlachty polskiej wcale, to samo Warmia i ziemia mazurska, Prusy zachodnie mają jej małą garstkę, a Księstwo Poznańskie też już niedobitki prawie. A obok tego lud rozrósł się niezmiernie nie tylko liczebnie, ale i pod względem wymagań swych kulturalnych. To też pole czynności tak zwanej obywatelskiej coraz jest szersze, a coraz słabiej obsadzone. Na przestrzeni bowiem kraju, ciągnącej się od morza Bałtyckiego, aż prawie pod Kraków i zamieszkaną przez półczwarta miliona polskiej ludności, przypada na wyższe warstwy społeczne minimalna tylko ilość osób. Kilkuset obywateli ziemskich, duchowieństwo tylko w Księstwie Poznańskim, w Prusach i na Śląsku bowiem zaledwo za Polaków uważać je wypada, nieliczne, a pracą zawodową obciążone mieszczaństwo wyższe i intelligencja, oto wszystko, co do oświeczonej połowy społeczeństwa zaliczyć można.

Widzimy stąd, że zastęp ludzi, którymby czas i majątek pozwalały na służenie swobodnie sprawom publicznym, jest bardzo szczupły, a gdy się od tego odliczy nieuniknione społeczne nieużytki, to pozostaje zadanie utrzymania życia narodowego i umysłowego całej dzielnicy na barkach kilkunastu niemal a w najlepszym razie kilkudziesięciu jednostek. A przecież rola klas wyższych niezbędną jest jeszcze dla wielkopolskiego społeczeństwa. Bez nich poziom jego obniżyłby się wkrótce i stałoby się ono jeszcze bardziej rubaszne i ciasne, niż jest już obecnie. Gdyby więc nawet wpływać można na tej drodze wyjścia z niektórych trudności obecnej doby, to uważaćby to niemniej trzeba za rodzaj przymusowego zwycięstwa. To, co stanowi wartość życia społecznego, co nazywamy cywilizacją lub kulturalnym stanem narodu, jest wykwitem powolnego, wiekowego wyrobienia i wyzwolenia z brutalnej walki o byt. Pojęcia bezinteresowności, ofiarności, honoru drzemią zapewne w głębi każdej duszy ludzkiej, jednakże wśród codziennego zetknięcia z twardą i bezwzględną realnością życia, nie mogą się należycie rozwinąć i pozostają udziałem nielicznej tylko elity.

Nieuszlachetniony wyższą tradycją duch stanowy w społeczeństwie ubogiem materyalizuje się szybko i spada niebawem na najniższy szczebel poziomu moralnego. Dać więc zaginąć cywilizacyjnym nabytkom wieków, znaczyłoby to, po gospodarsku mówiąc, wyciąć las w pień i czekać, aż nowy urośnie. Byliśmy przez wieki społeczeństwem szlacheckim, teraz bieg rzeczy wytrącił nas z tej drogi, trzeba więc starać się, jeżeli staro-gmachu ocalić nie można w całości, o uratowanie choćby w części mienia, które zawierał. Szlachta

polska, mimo wszystkich wad swoich, umiała wcielać w siebie wiele cnót i szlachetnych porywów. Jak to słusznie zauważono, obce języki nie posiadają nawet słowa, któreby odpowiadało jego obywatelskości.

Taka rycerskość, przeniesiona na grunt społeczny, nakazująca opiekę nad małuczkimi i bezbronnymi, a podnosząca zadanie ziemianina ponad rolę plantatora, była od wieków ideałem szlachty, od którego bez zatracenia racji bytu nie wolno jej się było oddalać. W dawniejszych czasach jednym z głównych zadań obywatela wiejskiego była opieka ekonomiczna nad podwładnym mu ludem, chronienie go od głodu w lata nieurodzaju, rozszerzanie kultury rolnej, przeprowadzanie amelioracyi i komunikacyi — jednym słowem: organizowanie materialnego bytu krajowego. Stopniowo stosunek ten się zmieniał. Znaczna część tych czynności przejęta została przez państwo lub samorządy miejscowe, inne upadły same z siebie pod wpływem kredytu i prawno-ekonomicznych postępów.

Jakoż zadanie obywatelstwa przeniesione zostało teraz na inne pole. Jest ono niemniej bardzo ważnem i może trudniejszym jeszcze, bo szerszem. Chodzi teraz głównie o to, aby kierować masami ludowymi pod względem moralnym i społecznym, aby uchronić je od czynników złych i szkodliwych. Do tego jest jednym ze środków najskuteczniejszych, a przez ludzi dobrej woli nie dosyć może zrozumianych, prasa ludowa. Obywatelstwo dba tylko o to, aby istniało jakieś pismo, odzwierciedlające poglądy obozu zachowawczego, a mające służyć własnym jego członkom, by się we własnej chwale przeglądać mogli. Pisma takie, zwykle dość nudne, drzemią sobie spokojnie na biurkach mało czytających rolników i czynnej roli w społeczeństwie nie wywierają prawie żadnej. Za to te gazetki, które rzeczywisty mają wpływ, które trafiają do umysłów pierwotnych, tych, którym słowo drukowane jest świętością, pozostawia się zawodowym macherom, zwykle mniej dającym o dobro ogółu, niż o zapewnienie pismom swym powodzenia i wielkiej ilości czytelników. Jest to grzech zaniedbania bardzo ciężki i w skutkach swych zgubny, bo chcąc mieć wpływ na szersze masy ludowe, trzeba je latami przysposabiać, zanim się zyska ich zaufanie. Trzeba przede wszystkim, by zrozumiały, że się nie dąży do żadnych egoistycznych celów i, chociaż się czasem innymi od nich idzie drogami, to czyni się to na podstawie doświadczenia, a nie dla odrębnych i pokątnych jakich interesów. Pogarda lub lekceważenie „motłochu“ jest najgłupszą metodą polityczną i zawiera sama w sobie krytykę pedagogicznych zdolności klas wyższych, które sobie lepszego ludu wychować nie potrafiły. Przemawiając do

ludu po ludzku, rozumiejąc jego potrzeby, jego dążenia i niecierpliwości, można niezmiernie dużo małemi nawet środkami uzyskać. Zwykle dzieje się jednak przeciwnie: pracę nad ludem zaniedbuje się, oddając ją w ręce elementów niepewnych, a w razie potrzeby jest się oburzonym, że nie jest on gotów do usług, i że idzie własnymi drogami.

Tak się też stało, gdy przed dziesiątkiem lat rozeszły się zapartywania w społeczeństwie wielkopolskiem dwoma przeciwnymi drogami, gdy całe prawie klasy wyższe, z różnicami raczej formalnymi tylko, skłaniały się do zgody z rządem, oczekując w nagrodę za to ulg w systemie jego politycznym, a lud naprzód żądał usunięcia ustawodawstwa wyjątkowego, zanim zgodę jakąkolwiek podpisze. Lud okazał się wtedy bardzo niezależnym w zdaniu i dał dowód, że ma już pewną świadomość i praw, i celów swoich. To też płonną byłaby nadzieja, aby nim teraz komenderować można, uważają go tylko za karnego i ślepo słuchającego żołnierza. Tem więcej za to na czasie jest obowiązek wpływania nań pośrednio i objaśniania go co do dróg i środków do użycia w obranym raz kierunku.

Kto potrafi takie stanowisko przewodnictwa duchowego zająć, dotąd nie wiadomo, obecnie hasła ogólnie słuchane są przedewszystkiem opozycyjne i negatywnej natury. Obecnie Polak w państwie pruskim to przedewszystkiem nie-Niemiec. To krok pierwszy. Dalej ludność polska skłaniać się zdaje do zwrotu ku idei ogólnosłowiańskiej. Dość się już nasłuchiwała wyrzutów i upokorzeń za swoje pochodzenie, teraz ruszać jej się zaczyna w duszy nie tylko gniew i oburzenie na ciemiejącą, ale i pewne poczucie dumy narodowej i plemiennej, poczucie, że ona nie byle kim, że obok niej stoją miliony bratniego narodu i dalsze miliony innych pokrewnych, że więc w spójni duchowej z nimi raźniej w przyszłość patrzeć można, i że za wczesnie nad nią requiem śpiewać, gdy przyszłość nie koniecznie należeć musi do ludzi doby obecnej. To poczucie, które do niedawnego czasu uważano ogólnie za utopijne, a nawet szkodliwe, zyskuje coraz więcej na rozpowszechnieniu. Niema dnia, żeby nowe szykany rządowe nie napędzały wody na ten młyn i nie budziły do nowego życia olęjętnych i gnuśnych.

Obok tej propagandy, wynikającej z samego postępowania prześladowczego rządu, drugi wpływ filtruje równolegle, lecz nieustannie w najniższe sfery ludowe, a jest nim zapoznawanie się bliższe z polskim duchem narodowym, ze skarbami myśli i uczuć literatury naszej. Jak doniosłym i nadspodziewanym jest ten ostatni czynnik ocenić potrafi tylko ten, kto zna dokładnie państwo niemieckie i znamiona niemieckiej cywilizacji. Ten bowiem tylko wiedzieć może

z jak ogromną siłą cisnąć ona może na obcy, a podwładny sobie żywiół.

W dziejach świata mało jest zapewne przykładów potęgi, tak spokojnej, zharmonizowanej i tak świadomie idącej do swych celów, a umiejącej wprzódz ludzi w swą służbę z tak bezwzględną siłą absorbcyjną. Nietylko karne wojsko i administracya służą myśli narodowej i państwowej, poza tem życie prywatne całe zorganizowane jest jeszcze w tysiączne stowarzyszenia i grupy, które wyrwyają człowieka z indywidualnej i krytycznej zadumy i zamieniają na kółko w ogromnej społeczno-państwowej machinie. Upaństwowione koleje i komunikacye trzymają w zależności całe życie ekonomiczne narodu, powodzenie we wszelkich, nawet niezależnych na pozór zawodach, zależy w niemalej części od rządu, upaństwowione szkolnictwo nakłada pęta nawet na samodzielną myśl ludzką. To też służba państwowa jest wszędzie na pierwszym planie i zarówno rolnik, jak fabrykant, prawnik, jak filozof, będą czynność i myśl swoją podporządkowywać wszechchwałdej racyi stanu. Podobny ustrój odnajdujemy chyba w starym Rzymie, który wybijał piętno równie nieskazitelne na wszystkich narodach i krajach, gdzie rządy jego przeszły.

Czyż wobec tego nie jest szaleństwem, by odłam narodu słabego, nieznaczny liczebnie, a rozrzucony na wielkiej przestrzeni kraju i przemieszany obcym żywiołem, a pozbawiony prawie zupełnie klas wyższych, kusił się o zachowanie swej odrębności narodowej wobec gniotącego go olbrzyma? Czyż i za najlepszych czasów ustrój jego państwowy nie był utopijnym, budowa społeczna wadliwą, a ekonomiczny rozwój jednostronnym? Niezawodnie. A jednak prąd, który zaczyna poruszać drzemiącemi warstwami ludowemi, który obudził z letargu nieliczną ludność śląską, a budzić już zaczyna Warmię i Mazury, ma w sobie potęgę wewnętrzną, którą tamtej przeciwstawić można.

Zimna filozofia i racya stanu niemiecka zaczęły tak uciskać i przyniatać odmienną polską naturę, iż zrobiło się duszno „polnej“ duszy słowiańskiej w stalowym rynsztunku niemieckim.

Pod wpływem tych czynników, pojmowanie narodowości polskiej coraz bardziej oddala się od utartej tradycyjnej drogi. Przyczynił się do tego sam rząd, depcząc nogami wszystkie historyczne prawa narodu. Naród to zrozumiał i przeniósł swoją sprawę na pole inne. Sprawa polska w Prusach z historycznej stała się etnograficzną i, na mocy tego, przełamała martwą literę traktatów, i rozniosła się w te nawet strony, gdzie do niedawna o rozbudzeniu się jej nikt jeszcze nie marzył. Śląsk z jednej strony, Prusy z drugiej, są dowodem siły i żywotności tego ruchu.

Ale właśnie wobec tego rozszerzenia się tak nagłego i tak nie spodziewanego zakresu działania, wobec tego, że lud jest niezmiernie chciwy polskiej oświaty, polskich zebrań i polskiej organizacyi, czuć się daje gwałtowny brak ludzi, mogących i chcących sprawom tym się poświęcać. Społeczeństwo, ubogie w materialne zasoby, nie obfitujące zatem i w bezinteresowne poświęcenia, nie może podołać nawałowi pracy na polu społecznem. Może w przyszłości, jeżeli stosunki ekonomiczne dalej się w tym samym, co obecnie, kierunku rozwijać będą, to jest, że parcelacya, pod formą dzierżaw, lub sprzedaży, jeszcze większe zrobi postępy, obywatelstwo wiejskie potrafi wyemancypować się nieco od ciężkiej pracy rolnej, i więcej znajdzie czasu i swobody do poświęcania się sprawom ogólniejszym. Obecnie wyjątki tylko umieją łączyć własną zawodową pracę ze służbą publiczną, i ta garstka jest tak zapracowana, iż nieraz zadosyć uczynić nie może tak wielostronnym wymaganiom.

Wobec tego stanu rzeczy, trzebaby, zdaje się, uważać za punkt niezmiernie dodatni, tworzenie przez majątniejszych obywateli ordynacyi rodzinnych, mających z jednej strony utrwalić własność ziemi w ręku rodziny, a z drugiej strony uwolnić każdego ordynata od troski o byt materialny i umożliwić mu poświęcenie się ogólnokrajowym interesom. Niestety, o ile można ocenić rozwój dawniej już istniejących ordynacyi w Wielkopolsce, oczekiwania fundatorów, prawie we wszystkich wypadkach, zupełnie zawiedzione zostały. I łatwo na to znaleźć rozumowane przyczyny. Ordynacya, by spełnić cel swój, wymaga odpowiedniego wyrobienia w klasie, która ma z niej korzystać, a wyrobienie to spotkać można tylko tam, gdzie ordynacya spełnia od pokoleń pewną społeczną rolę, gdzie jest elementem rozwojowym, a nie wstecznym, i nie służy tylko na schlebianie próżności, lub dumie rodowej jednostek. Stosunki takie pauzują, zdaje się, dość ogólnie w Anglii, lub Niemczech, gdzie ordynacye stanowią harmonijne zrównoważenie liberalnych elementów miejskich i są schroniskiem pewnych cnót tradycyjnych, pewnych stanowisk społecznych, oraz naukowych, lub artystycznych lubownictw. Tam na ordynata, wchodzącego w posiadanie swego mienia, czeka gotowa, przez generacye urobiona, służba polityczna i społeczna, tak, że korzystanie z wielkiego majątku i przodującej roli towarzyskiej jest dlań tylko środkiem do celu, nie zaś wyłącznem zadaniem, mającem całe życie jego wypełnić. U nas bywa zwykle wręcz przeciwnie. Tradycya, nieustalona zwyczajami, nie jest w stanie nagiąć przemocą ludzi pod swe jarzmo, a obowiązki obywatelskie i narodowe są tak niewdzięczne, tak pozbawione wszelkiego uroku i okazałości, że nie dziw, iż w prze-ważnej ilości wypadków, właściciel ordynacyi bierze życie od przy-

jemniejszej strony. Klasy towarzyskie na pewnej wyżynie potrzebują niechybnie światła i szerszej widowni, nawet spełnianie obowiązków stanowych pojmują prawie jedynie w obliczu świata i w blasku powodzenia. Gdy tego niema, a w dodatku, gdy są wycofane z walki o byt i pewne nietykalności swej ojcowizny, popadają łatwo albo w życie hulaszcze, albo w gnusność i trudnienie się błahostkami.

Nawet pod względem czysto ekonomicznym ordynacye zwykle celn swego nie osiągają. Gospodarstwo rolne w obecnych czasach nie może się obyć bez pewnych wkładów i melioracyi, w przeciwnym razie podupada i dochody z niego także stopniowo się zmniejszają. W ordynacyach zaś zwykłym dążeniem właściciela jest, by jak najmniej wkładać w dział przyszłego ordynata, i tak już przez samo urodzenie faworyzowanego, a jak najwięcej zaoszczędzać na rzecz młodszego jego rodzeństwa. Często też ordynacye przedstawiają typ gospodarki rabunkowej, nie będącej ani wzorem, ani podporą dla społeczeństwa. Z tych wszystkich powodów da się też wytłómaczyć fakt, że rząd pruski, tak zresztą przeciwny każdemu zakorzenianiu się polskiej własności ziemskiej, do ostatnich czasów chętnie zatwierdzał nowo powstające ordynacye polskie, i żadnego na tym punkcie nie stawiał im oporu.

I w rzeczy samej wyższe warstwy społeczeństwa są bardziej od ludu ubogiego na wynarodowienie wystawione. Są to niejako wybujałe wysokopienne drzewa, potrzebujące korzystnych warunków, by się normalnie rozwijać. W braku ich czują instynktownie i skutkiem bezwiednego nawyknienia, że im się ta pewna doza dobrobytu i szczęścia doczesnego należy, i dążą wszelkimi drogami, by ją uzyskać, co nieraz prowadzi ich do daleko idących kompromisów. Widzimy, że wszędzie prawie lud jest w walce narodowej od klas wyższych odporniejszym. Niemiecką stała się arystokracja w Czechach i na Śląsku, kiedy lud w tych samych krajach zachował swą narodowość prawie bez zmiany. Narodowość u ludu jest bowiem więcej jeszcze, niż w wyższych warstwach społecznych, nieodłączną częścią człowieka, jego najwłaściwszą istotą, objawieniem jego najgłębszej natury. Wynarodowieć zatem lud wiejski znaczyłoby niemal ze skóry go obedrzeć. Rząd pruski przez ciosy, które od tak dawna przeciw polskiej szlachcie kierował, zmienił więc charakter kwestyi zupełnie na swoją niekorzyść. Zamiast dobrze wychowanego, zyskał przeciwnika szkodliwego, bez delikatności ani zniechęceń rafinowanego człowieka, a zatem tem uporczywszego w walce, bezwzględniejszego w środkach i wytrwalszego w oczekiwaniu. To też nie ze względu oportunistu politycznego, lecz tylko wyłącznie dla cywilizacyjnej wartości narodu życzyć wypada, aby proces demokratyzacyi spo-



leczeństwa niezbyt szybkim postępował krokiem, przeciwnie, gdyby nam chodzić miało o powodzenie samo, nie pytając, jakim ono jest kosztem okupione, to życzyłyby raczej trzeba, aby ruch ludowy zagarnął przodownictwo.

Jak z powyższych uwag dostrzedz można, rząd pruski, obok wielkiej zręczności i chytryści na niejednym polu, na innych dał znowu dowody wielkiej nieumiejętności poradzenia sobie z elementem stosunkowo słabym i niedostatecznie uzbrojonym. Trudno jeszcze stanowczo mówić o skuteczności środków antypolskich, które w ostatnich latach zastosował. Poznamy je po ich owocach. Co teraz jednak już stwierdzić można, to to, że rozgoryczyły one wszystkie warstwy ludności polskiej w sposób niebywały. Proces o sprawę wrzesińską, mowa malborska cesarza Wilhelma, podwyższenie w dwójnasób funduszu kolonizacyjnego, doprowadziły umysły, nawet spokojne i obiektywne, do łatwo zrozumiałego rozdrażnienia.

Przyczyniło się to może do złagodzenia formalnego niektórych wystąpień niemieckich w ostatnich czasach, lecz w rzeczy samej nie zmieniło się nic, i nikt się też na lep pozornej sprawiedliwości złapać chyba nie dał. Ludność polska może liczyć tylko na siły własne, i jak w oblężonej fortecy, zastanawiać się nad tem, jak długo jeszcze szturm ten materialny i moralny wytrzymać potrafi. Niewątpliwie, że przez szkolnictwo niemieckie i wpływ wielostronny elementu obcego nie jeden z charakterystycznych rysów narodowych się zaciera i ginie, za to jednak poczucie odrębności i nienawiści wobec uciskającego narodu rośnie niewątpliwie. Może więc być łatwo, że z biegiem czasu rząd wytworzy ludność polską, źle zupełnie po polsku mówiącą i piszącą, i mającą dużo z wyglądu niemieckiego, ale będą to, mimo to, gorąco czujący Polacy, tak, że Niemcy z tego pozornego tryumfu żadnej nie odniosą korzyści. Ze wszystkich zachodnich Słowian, najbardziej może uświadomiony lud czeski, w pozorach swych i nawyknięciach prawie wcale od Niemców się nie różni, rezultat zatem tylko powierzchowny zupełnie, a krzywda wyrządzona głęboka.

Rząd pruski poczuł dopiero w ostatniem dziesięcioleciu, iż na samych biurokratycznych środkach opierać się nie może. Zmonopolizował więc do pomocy znaczny odłam społeczeństwa niemieckiego i stworzył tak zwany hakatyzm. Jakie jednak zło moralne stworzył przez to w łonie własnego narodu, trudno to ująć w krótkie słowa. Naród niemiecki, obok zimnej i bezwzględnej racyi stanu państwowej, umiał w życiu prywatnem pielęgnować wszelkie szlachetne uczucia, a sprawiedliwość stawiać na niedostępnej wyzynie. Teraz skarłał moralnie do tego stopnia, iż nawet zrozumieć nie umie słów słuszności i bez wstydu, aui poszanowania pozorów rzuca się chciwie na ofia-

rę, którą rząd stara mu się w stanie zupełnej bezbronności do rozszarpania podrzucić.

Czy cel swój osiągnie? przesądzać trudno. Człowiek zły, choć wobec biegu czasu musi uleść moralnie wyższemu, na razie ma jednak nad nim górę. Bezważliwość w środkach daje mu różnorodną broń do ręki, którą uczciwy człowiek się brzydzi. Obrona jednak własnego ogniska rodzinnego nadaje znowu i napadniętemu siłę odporną niezwykłej miary i ufać trzeba, że dozwoli mu ona dotrzymać czasu, aż nieprzyjaciele się strują „własnej zbrodni jadem”.

Uwagi powyższe mają na celu zdać sprawę z obecnej chwili i ostrego przełomu, jaki Wielkopolska od lat kilku przechodzi. Widzimy więc niejedno, co się ku upadkowi chyli i za czem serce z przywiązania tęskni, i niejedno, co młodem tchnie życiem i zdrową rokuje przyszłość.

Wszędzie prawie powodzenie zależeć będzie od ludzi, którzy sprawę w ręce ujmą i ku powodzeniu lub zawodom ją pokierują. Kronikarz stara się stwierdzać tylko działające czynniki i oceniać ich wpływ dodatni lub ujemny. Ostateczne wnioski każdy z czytelników wyciągnie sobie sam, tak jak mu je temperament jego własny poddyktuje.

Trudno wreszcie marzyć o stawianiu prognostyków na dalszą przyszłość wobec tego, że trzeba się liczyć w tym rachunku z niewiadomą, od której rezultat w niepomiernej części zależeć będzie. Jest nią polityka ustawodawcza rządu pruskiego. Staraliśmy się zawsze zwracać uwagę na fakt często nie dosyć uwzględniany, iż mimo ciósów, które w nie były, społeczeństwo wielkopolskie razem wzięwszy jest jeszcze silne i żywotne. Czy jednak będzie w stanie stawić w dalszym ciągu opór potędze narodowej i państwowej niemieckiej, to przewidzieć trudno. Jeszcze przy obecnych stosunkach prawnych wydaje nam się to zupełnie możliwym. Czy jednak w przyszłości nie nastąpią zmiany w ustawach, które z prawa do reszty zrobią bezprawie a ze słuszności przedmiot drwin i pośmiewiska, i czy wtenczas społeczeństwo wielkopolskie nie upadnie siłą konieczności, jak słaby i bezbronny upada pod przemocą zbrojnego, to przyszłość zawiera i ona jedynie wyświecić to potrafi.

Wobec zarzutu zbyt gnuśnego prowadzenia walki narodowej, jaki czasem spotyka społeczeństwo wielkopolskie, trudno nie uderzyć się w piersi i na niejednym punkcie nie przyznać krytykom słuszności. Na usprawiedliwienie zaznaczyć można chyba fakt, żeśmy jeszcze nie upadli dotąd, i że się poddać nie chcemy. A przecież jest nas tylko coś koło 3 milionów przeciw 50 milionom Niemców, zamieszkujemy okolice biedniejsze i o cywilizacji młodszej od reszty monarchii

i nie mamy żadnej możności do państwowej lub autonomicznej organizacyi.

A Prusy, z któremi walczyły, w ostatnim półwieczu pokonały Danię, Austryę i Francję, skupiły pod swem berłem potęgę całej rzeszy niemieckiej, zagroziły handlowi i przemysłowi angielskiemu i stworzyły potęgę morską i kolonialną. Jest to więc przeciwnik nie do pogardzenia, i ktoby się jemu oparł skutecznie, tenby rzeczywiście przeszedł zwycięsko ogniową próbę.

POZNAŃCZYK.

# AD ASTRA.<sup>1)</sup>

DWUGŁOS

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

X.

*Krasowce.*

Gdyby słowa wczorajsze już w świat nie uleciały, może-bym dziś niektóre z nich pozostawiła tam, skąd wyszły, to jest, w zakrytej dla oczu wszystkich, oprócz oczu Boga, głębi mojej duszy. Ale już uleciały i zresztą—nie żałuję tego.

Nie chcę przedstawiać się tobie w postaci monolitu, skoro z rozłamań istoty mojej dobywają się niekiedy płomyki takie, jakie czasem błędzą wśród nocy nad gruntami, mającemi w świetle dziennem gładkość i spokój zielonej równiny. Że jeden z tych płomyków, nakształt zranionego ptaka, przyleci do ciebie, aby musnąć twe zamysłone czoło i u serca twojego przez chwilę spocząć, nie trwoży mię to ani martwi. Nie dla tego przecież dusze nasze z oddalonych punktów ziemi prowadzą tę rozmowę, aby dziecinną grą w chowałego zapełniać czas rekreacyjny.

Inna rzecz z tem, że rozłamania te istnieją we mnie; objaw to jest roboty podziemnej, dla której trzeba tłumika. Posiadam go w swoim rysztunku: jest nim ściśle kratkowanie dni.

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt październikowy, str. 1;—listopadowy, str. 253;—grudniowy, str. 458.

Nie domyślasz się, co to znaczy? Oto, bierze się dzień, jak kartę czystego papieru, kratkuje się go w taki sposób, aby najmniejsza linijka czasu nie pozostała próżną i w każdej kratce zapisuje się imię jakiejś potrzeby, obowiązku lub zamięłowania. Potem, trzeba te kratki odpowiednimi zajęciami wypełniać, jedną po drugiej, bez ociągania się, ani pływania po jeziorach zamysłów, czy marzeń. Pauzy nie dozwolone. Żadnych próśb od zółwia — lenistwa, ani od latawicy — wyobraźni nie przyjmować! Siłom fizycznym nawet rozkazywać: musicie!

Nawet myśli, któraby chciała wymknąć się z za kratek i na wolnych przestrzeniach pobujać, mówić: „Przepraszam cię innym razem i owszem, ale dziś nie wolno“! I w ten sposób od jednej kratki do drugiej przechodząc, odtworzyć na swój użytek regułę benedyktyńską, aby u końca dnia módz ujrzeć takiego anioła, jakie benedyktyni na marginesach swych ksiąg przepysznych malowali srebrem czystości i lazurem ukojenia.

Ponieważ zaś, mówiąc po prostu, przepis powyższy stosuje do zażywania w pewnych momentach wzmocnionej dozy pracy, więc za jednym zachodem powiem ci, kuzynie, że w stosunku do tej domniemanej wielkiej pani zajmuję,—jak zresztą w bardzo wielu wypadkach,—stanowisko puszczone, czyli przeciwne wyobrażeniom powszechnym.

Nie poczytuję pracy za wielką panią, ale tylko za służbę wielkich pań. Jest Olimp, na którym panują królowe i boginie, ale praca posiada na nim taki tylko przywilej, jaki u dworów francuskich pozwalał duchess'om, zasiadać na taburetach. Królowe i boginie są celem, ona jest środkiem, tyle wartym, ile warta ręka, która, posługując się nią, zasadza ziemię trzcina cukrową, albo piołunem, buduje wspaniałe gmachy lub robi dziury w cudzych płotach. Owocami pracy są przecież armaty udoskonalone, pracują linoskoki i toreadorzy, a w pocie czoła nieraz pracować musi spekulant z grubą skórą na sumieniu i sercu. Ze stanowiska więc puszczonego, które ślepem jest na blaski bijące od cielców złotych i od wulkanów błotnych, nie podobna bezwzględnie czcić pracy, lecz istnieje z nią za to ścisła i nieustanna zażyłość, coś w rodzaju stosunku stworzenia ułomnego do przyjaciółki zdrowej i silnej.

Jako przyjaciółka dobrej woli, samotnego serca i ognistej wyobraźni, praca spełnia zadanie ustalania, kojenia i regulowania. Twarda z pozoru dłoń jej miewa dla rozplakanych pieśczoły macierzyńskie, a łono, z pozoru oschłe, pełnem jest mleka i wina, które osładzają napój życia i regulują obieg kipiątek po mózgu i piersi. Wszystkie te zadania praca spełniała względem mnie przez cały dzień dzisiejszy, aż w toń gładką ułożyły się myśli moje i strumień ich, wczoraj nieco wzburzony, znowu płynie spokojnie i ufnie.

Mylisz się, kuzynie, utrzymując, że świat mój, czyli,—nazwijmy go po imieniu, — świat ideałów etycznych, więcej posiada punktów zbliżenia ze światem płochego i samolubnego użycia... Ale jakżeby ten drugi świat nazwać? Musisz naturalnie wiedzieć o tych ptakach szczególnych, których ojczyzną bywają gorące strefy, a jedynym sposobem odżywiania się spijanie słodkich soków z podzwrotnikowych kwiatów. Ani ziarn, ani muszek nie chcą; tylko wonne nektary kwiatowe piją i dla tego uczeni nazwali je nektarnikami. (Otoż utrzymujesz, że świat ideałów etycznych więcej podobnym jest do świata nektarników, niż do świata umysłowych dociekań, którego jesteś mieszkańcem. Przebac, gdy sąd ten nazwę powierzchownym. Bo z pozoru zdawać się może istotnie, że, mimo widocznych różnic, czciciele Wielkiego Dobra i nektarnicy zachowują jeszcze wiele wspólności. Czyliż ostatni nie napełniają w dniu świątecznym naw kościelnych, nie urządzają ku ulżeniu nędzy ludzkiej igrzysk różnorodnych, nie lubują się, z wielką nawet wyłączością, we wrażeniach estetycznych, pełniących, jak wiadomo, względem etyki zadanie nader ważne?

Ale są to pozory; jest to cienka skorupa, obejmująca dusze ludzkie, i którą kombinacje zewnętrznych sił i zdarzeń wyrzeźbiają w pagórki i doliny, o liniach do siebie podobnych, gdy jednocześnie w głębiach nie widzialnych istnieją wcale różne jądra.

Bo dusza ludzka, tak jak kula ziemską, posiada litosferę, na sposoby rozmaite wyrzeźbioną przez przygodne wiatry i wody, a pod tą zwierzchnią skorupą, jądro z naturą niezbadaną, i to skryte jądro właśnie, nie zaś rzeźba powierzchni, stanowi o wartości ludzi i o wzajemnych pomiędzy nimi podobieństwach. W niem mieszka słowo zagadki: dla czego faryzeusz, rozdający obfite jałmużny, może być niekczemnikiem, a jawnogrzesznik, płaczący nad grzechami swemi, zbawienia blizkim.

W tych tylko najgłębszych pokładach dusz szukać wypada prawdziwej ich miary i tajnych praznamion, któremi one pomiędzy sobą upodobniają się, albo różnią.

Otoż, praznamionami jąder dusz nektarnikowych są: małość, lekkość, krótkowzroczność i smak zwrócony w wyłącznym kierunku słodziutkich soków kwiatowych. Mogą być one, te duszyczki, miłe w dotknięciu, pozbawione jadu, pełne gracyi w słowach i płytkich uczuciach, a nawet mogą zdarzenia życiowe wydobywać z nich wcale ładne czułości i postęпки, lecz będzie to zawsze przypadkową rzeźbą wiatru i wody, a pod sformowanemi przez nie pagórkami pozostanie ta sama duszyczka, która gdy mówi: ideał! widzi w przestrzeni krzaczek różami osypany, a gdy dla trosk i wysileń swych cel ry-

suje, to na miałym piasku swego umysłu i serca kreśli wyraz: Ja.

Innemi wcale są praznamiona mieszkańców dwu tamtych światów. Jakkolwiekby się różnili w wyborze gwiazd i w wyborze szlaków, któremi do nich lecą, rozpoznasz je zawsze po tem, że lecą i że sami spalają się w swych skrzydłach płomiennych, na sposoby różne, lecz zawsze na ołtarzach ideałów. Z barysfery ich duszy dobywa się nieustanny krzyk: prędszej wyżej! Więc wyteżają siły, aby coraz więcej światła zdzierać z korony bądź Prawdy, bądź Dobra i—nigdy nie znają spokoju.

Rozpoznasz te dusze po tem, że nigdy nie znają spokoju, bo jakkolwiek wielkie nagromadziłyby skarby, zdaje się im zawsze, że plon ich zbyt mały, i czegokolwiek-by dokonały, zdaje się im zawsze, że jeszcze nie dokonały niczego; a nie dziwne to wcale, gdyż wielkość swoich zdobyczy przymierzają do wielkości nie swojej, nie ludzkiej, nie ziemskiej, ale tych paraboli nieobjętych i nieścigłych, które na niebie ich zakreślają—gwiazdy ideałów. Rozpoznasz te dusze po tem, że w samym ich jądrze słowo: ja, zasłonięte jest od brzegu do brzegu przez słowo: ideał, i po tem jeszcze, że bardzo rzadko szumiące ich skrzydła ucisza słodycz zapachów kwiatowych, bo kiedy nawet zwijają je na kwiatach, to piją z nich łacniej gorycz, niżli słodycz. Rozpoznasz je po tem jeszcze, że mają zawsze serca, że szczęście w tych sercach bywa gościem rzadkim, i że te serca, jak owe rododendrony himalajskie, których szkarłatne kielichy tylko w cieniach najgłębszych rozwijać się mogą, płoną szkarłatem tęsknoty samotne i niepoznane. Samotnemi bywać one muszą, bo gdy serduška nektarników latają po kwiatach, nie oglądając się na nic, co nie jest kwiatu słodyczą a ich rozkoszą, one mawiają twojemi słowy: „mnie tak jak tłumom czuć nie wolno!“ Tak jest; im tak jak tłumom czuć i żyć nie wolno! Dla czego? Oni to czują, tak jak kapłani od ołtarzy odchodzący czuć muszą, że ręce, które dotykały świętości najwyższych, więcej niż każde inne pozostać winny—czystymi.

Czują odpowiedzialność i okrywa im ona życie pieczęcią, na której wyryty archanioł z gorejącym mieczem stróżuje u wrót ich pożądań.

Są, kuzynie, dwa gatunki natur ludzkich: chodzący i skrzydlaty. Tych, którzy umieją tylko chodzić, trzeba ciągle potraćć skrzydłem, aby nie zaczęli pełzać. Więc i po tem jeszcze rozpoznasz duchy do siebie podobne, że to czynią, oddając przez to ważną usługę, ludzkości. Bo cóżby się stało, gdyby ci, którzy w jądrach duszy noszą ideał, z powierzchni ziemi zniknęli? Byłaby to niezawodnie klęska subliczna taka, jakiej świat jeszcze nie widział, kula takiego kalibru,

że w porównaniu z nią wszystkie plagi egipskie, w kłębek zwinięte, okazałyby się pileczką, którą igrają dzieci.

Więc i po tem jeszcze rozpoznasz braterstwo dusz skrzydlatych, że ku jakimkolwiek leciałyby gwiazdom, nie tylko same ku nim lecą, lecz bronią od zerwania się tę nić jeszcze wątłą, która ludzkość łączy z gwiazdami.

Tu zapytać cię muszę: dla czego mniemasz, że pogląd mój na ludzkość jest naiwnym i bałwochwalczym? Mówiłam ci już kiedyś, że my tutaj oddawna przestaliśmy być bałwochwalcami i że dzikości naszej dosłownie brać nie należy. Obcem mi jest dziecinne pojęcie, jakoby wszechświat ze wszystkim, co jest na nim, istniał tylko na usługi człowieka. W dzieciństwie jeszcze nacytawszy się w dzień Flamariona, nocami śniłam o istotach zaludniających powierzchnię wielkiego Jowisza. Znacznie później poznałam Heinego, i zapamiętałam rozmowę poety z kupczykiem spotkanym, w podróży po Harcu, który utrzymywał, że drzewa mają barwę zieloną dla tego, że barwa zielona sprzyja zdrowiu ludzkich oczu, na co poeta odpowiedział, że Bóg stworzył osła po to, aby człowiek miał w wypadkach pewnych punkt porównania, a człowieka po to—aby nie był osłem.

Nie uderzając czołem przed ludzkością tak bałwochwalczo, abym we Wszechświecie widziała niewolnika, czołem przed nią uderzającego, nie tonę też, niestety, w naiwnem dla niej uwielbieniu. Skąd wzięłeś mniemanie, że świat odbija się błękitno w błękitnym kielichu mego serca? O! jeżeli istotnie dostrzegam smugi błękitu, przeciągające po zmrokach świata, i jeżeli w kryształach mego kielicha krzyżują się one jeszcze ze smugami cieniów, to nie od ludzkości spływają, lecz pomimo niej zniknąć nie mogą, bo najwyższa Siła Twórcza zasnęła niemi jądro mojej duszy.

Pod względem lat jestem rówieśnicą twoją, kuzynie, ale zważ, że są miejsca i czasy, wśród których żyjącym ludziom, jak żołnierzom na wojnach, wypada liczyć lata podwójnie.

W upale nieszczęść rodzinnych i publicznych dojrzałam bardzo wczesnie, lecz dojrzałość ta musiała posiadać zrazu naiwne wiary i entuzjazmy swej przedwczesności. Wierzyłam, że gdy świątyni grozi runięcie, wyznawcy wszyscy z powagą kapłanów, z zapalem rycerzy, z pogardą dla bagatelek życia, wspólnie, spólnie, ramię przy ramieniu kuć będą żelastwa na wiązanie jej dachu, szukać rumianych hematytów życia dla zabarwienia pobladłych marmurów fasady. Roilałam ligi wzajemnych pomocy, przymierza sił mnóstwa, które-by, jak strzały w kołczanie, tkwiły w idei jednej i z cięciw miłości wypuszczane, jak strzały leciały do jednego celu. Z tą wiarą, z temi rojeniami, przybyłam pomiędzy ludzi świątłych, świetnych, sławnych, tak pew-



na jak tego, że żyłam, że są to kapłani, rycerze, wodzowie. Byli to nektarnicy. Wdzięcznie grali na lirach, w ustach lub pod piórami mieli wymowę kwietną i miodną, część życia poświęcali nauce, sztuce, filantropii, niemniej ideałem, dostrzeganym najjaśniej i nęcącym najprzemoźniej, był dla nich krzaczek różany. Więc zanuciłam z Hejnem:

„Schwarze Röcke, seidne Strümpfe,  
Weisse, höfliche Manchetten,  
Sanfte Reden, Embrassieren,  
Ach, wenn sie nur Herzen hätten!“

I z całego serca zaśpiewawszy:

„Auf die Berge will ich steigen!“

uciekłam do Krasowiec.

Tu, gdzie:

„Die dunkle Tannen ragen,  
Bäche rauschen, Vögel singen“,

miałam towarzysza pracy, przedtem współwyznawcę biednego brata mego, w którego siłę wyznawniczą i przyjaźń bezgraniczną wierzyłam, jak w to, że żyłam. Gdy mnóstwo rówieśników jego powiew czasu odnosił za pomyślnością bytu w kraje dalekie, on, z głową otwartą i z wolą tęgą, obok mnie utkwiał w glebie ojczystej, i sam jeden urzeczywistniał moje dzikie, czy obłąkane rojenia o ligach, przymierzach... Kiedy raz ze łzą wdzięczności mówiłam mu o tem, odpowiedział mi ze łzą rozrzewnienia: „na zawsze!“ Niewiele później ożenił się z dziewczyną prózną i chciwą, która, jak wszystkie natury niższe, posiadała arsenał sposobików do podbijania i obniżania natur wyższych, i przez nią, dla niej pogonił w dalekie kraje, za większą pomyślnością i świetnością bytu. Wówczas pojęłam, jak marnym liczmanem bywa na ustach ludzkich wyraz na zawsze! i z jak lichych nieraz materiałów powstają te ogniska, w których metale ludzkie z pozoru najhartowniejsze, przemieniają się na lotne tlenki.

Cóż zresztą znaczą doświadczenia osobiste wobec ogólnego widoku ludzkości?

Gdyby wszystkie jej kalectwa, niedostatki i szalały powcierały się w kształty osobnikowe, nie zmieściła-by natłoku tego dolina Józefatowa, najpewniej! Jeżeli życie posiada powierzchnię tak haczystą, że choć trochę delikatne członki rozdzierać się na niej muszą w zakrwawione szmaty, jeżeli naraża jego są tak ostre, że najmocniejsze serca, uderzając o nie, wydają jęki szkieł pękających, jeżeli jest ono wielką wypłóchnią dni z nadziei, nocy ze snu, serc z radości, -- to któż je czyni takim, jeżeli nie ludzkość?

Zwiedzałam ja pola jej wdzięczności i, na dużym łąnie znalazłszy parę nikłych roślinek, dowiedziałam się, że był to wyjątkowo obfity urodzaj. Chodziłam po błoniach jej przyjaźni i dziwiłam się wielkiej ilości lekkich puchów, lub posłonekłów, obracających twarze za najświetniejszym blaskiem.

Obeszłam niwę jej dobroci i przechadzka ta wydała mi się krótką; lecz gdy okrążyłam pole jej samolubstwa, opadłam z sił, a niwy, na której wzrasta jej głupota, nie poważylam się okrążyć...

Oprócz tego, nie jest prawdziwem to, co mówisz, że pojęcia i czyny etyczne w rozmaitych swych odmianach i objawach są wysoko przez ludzkość cenionemi. W teorii tak jest; ale w praktyce? o, nieba! Alboż czciciel i sługa ideału może być kiedy różanym krzaczkiem?

Porównać-by go raczej można do wymalowanej na szkle różę mistycznej, przez której barwy gorące i smętne światło dzienne przeciska się do mrocznych naw katedry. Otóż, różom mistycznym i—katedrom mrocznym nieszczególnie powodzi się w krainie upodobań ludzkich, a chociaż bywają często nawiedzane i podziwiane, każdemu pilno od nich na rynek, na giełdę, na pola popisów, do byle jakich ogrodów.

Rzecz w tem, że światło dzienne, przenikając różę mistyczną, nabiera od niej kolorytu gorącego i smętnego, a ogromna większość ludzi najlepiej znosi temperaturę letnią i ze wszystkiego, co na ziemi i niebie istnieje, najwięcej pragnie radości.

W książce jakiejś znajduje się taka wskazówka geograficzna: „Kto do serc ludzkich rzeką Cnotą płynie, nie dopłyne, a najpewniejsza do nich droga prowadzi na gospodę Wesołość i wielkie miasto Pospolitość.” I jest to wskazówka prawdziwa. Dobrze też rzecz tę poznał myśliciel, mówiący o nieufności obudzanej przez tych, którzy przybywają z wielkich rozłogów myśli czy uczuć. „Kiedy wśród nocy, dużo przed wschodem słońca, ludzie leżący w pościelach słyszą za oknami samotne stąpania, wnet zapytują siebie: dokąd zmierza

złodziej?" Bo istotnie, czy nie po to samotnicy ci przybywają, aby u biesiadujących odkraść rzecz niezbędną dla ich spokoju potrzebną, to jest: rozgrzeszenie?

Istnieje gatunek roślin jadowitych, których trucizna, w pewnej mierze użyta, daje znać o sobie wesołym obłędem, i był czas, że ludzie szeroko używali tej trucizny, zaszczycając rośliny ją wydającą nazwą „consolantes.” Bodaj, że po wsze czasy, ażeby najstalszą i najpowszechniejszą tkliwość u ludzi obudzić, trzeba być trującą wprawdzie, lecz wesołe obłędy rozniecającą psianką. Chcąc zaś tę rzecz o ludzkości już zakończyć, raz jeszcze pożyczam słów jednego z myślicieli: „Odbyła długą drogę od robaka do człowieka, lecz jest w niej jeszcze wiele robaczego.”

Widzę, kuzynie, na twarzy twej uśmiech ironiczny! Z tryumfem myślisz:

„Albożem nie mówił, że to marna pleśń ziemi? Możnaż ją kochać? Wartoż jej służyć?

Dziwne pytanie: możnaż kochać? Czy można nie kochać? Czy może nie kochać ten, kto miłość ma w sobie, komu ją w samo jądro duszy, jak ziarno orzecha w łupinę, wprawiła najwyższa dłoń Twórcza?

Musiałeś widywać matki, które bez granic kochają dzieci swe słabowite i szpetne, nie pomimo to, lecz właśnie dla tego, że są takimi, więc bardziej, konieczniej potrzebują tkliwości ich i starań, niż gdyby przyniosły z sobą na świat siłę i piękność. Daremnie dziwił-byś się: możnaż kochać stworzenie tak niedoskonałe i tyle zmartwień sprawiające?

Matka taka odpowie... że kochać musi, bo ta miłość w niej jest i wiąże ją z tem stworzeniem nie tylko rozkoszą kochania, lecz także rozrzewnieniem litości i pragnieniem zmniejszenia przywar jego i jego nieszczęścia.

Czy myślałeś kiedy o tem, że jakimikolwiek były-by dzielące ludzi różnice zajęć, dostojeństw, cnót, rozumów, wszyscy skuci są jednym łańcuchem żelaznego musu cierpienia, błędzenia i umierania? Cierpienie, błąd, śmierć, to trzy ogniwa, które wpijają się we wszystkich, gdy miłość tylko niektórych usiłuje umniejszyć ich ciężkość i twardość.

Czy wiesz cokolwiek o przebaczeniu?

Niektórzy nazywają je słabością; lecz to jest omyłka, gdyż tylko silni przebaczać umieją. Starożytni zemstę pocztywali za rozkosz bogów; lecz przyszła na świat moc ogromna i dobroczynna, która dziewiętnaście już stuleci prowadząc ludzkość od ro-

baka do człowieka otworzyła we mnie źródło radości zupełnie przeciwnie.

Czuję i wiem, że ktokolwiek nigdy dłoni kojącej nie składał na rozpalonem od bólu czole wroga, kto ruchem miłosiernym nie zatrzymał nad otchłanią stopy, która go w otchłań wtrącić próbowała, kto nigdy z czołem w prochu, a z sercem w niebie nie mówił do Ojca niebieskiego: „Odpuść mi, jako i ja odpuszczam!” ten nigdy nie zaznał radości boskiej.

A czy znasz ciężkie cielsko siły fizycznej, która nogą w żelaznej podkowie przytłacza pierś obalonej słabości i gruby cień rozpościera pomiędzy nią a słońcem? Ja je znam i powiem ci, że gdybym była najlżejszym ziarnkiem piasku lub najmniejszym listkiem z drzewa opadłym, jeszczeby mię przeciw temu cielsku i tej żelaznej podkowie rzucił dwuskrzydły wichler gniewu i współczucia.

Nie zapytam cię: czy znasz dumę? ale powiem, że tak, jak ty, choć na swój sposób, jestem dumną. Mam ambicje górne i trudne. Gdy ludzkość odbywa przeobrażenie swe z robaka w człowieka, chcę być w jej żyłach choć jednym obiegiem krwi, który przeobrażenie to przyspieszy. Gdy wielkimi haustami połyka ona truciznę swych rozweselających psianek, chcę w krew jej wstąpić choć jedną kroplą odtrutki. Nie chcę być brudno centkowanym lulkiem, lecz białą brzozą, której sok orzeźwiający pokrzepia siły oraczy. Chcę iść po drabinie Jakóbowej choćby nie w postaci Anioła, lecz tylko mrówki, ciągnącej ku górze drobne żdźbła do budowy mostu pomiędzy ziemią a niebem.

Chcę, mówiąc do Boga: „Przyjdź Królestwo Twoje!”, czuć, że sama jestem jedną z prądek, wysnuwających nić złotą, na której to królestwo Wielkiego Dobra zwolna, zwolna, opuszcza się ku ziemi.

Takie to ambicje i dumy nie dają mi spokoju, bo nigdy zadowolić ich nie mogę, tak, jak tobie nie daje spokoju ta nieskończoność zjawisk, która badań twych jest przedmiotem. bo nigdy oko twe do jej ostatecznego kresu przedrzeć się nie może.

Ale rzecz prosta, że ta duma moja byłaby nędzą waryatów, którym się zdaje, że są królami, gdybym tak jak ty poczytywała ludzkość za „pleśń ziemi“ za „koordynację cząstek“, wywołaną z chaosu przez ślepy przypadek i którą ta sama siła, nie wiedzieć skąd powstała, nie wiedzieć do czego zmierzająca, po przelotnem istnieniu strąci znowu bez śladu, w chaos bez ładu ni sensu. Lecz dla mnie z oceanu

myśli wynurzył się obraz wcale inny. Ja widzę nieprzejrzany łańcuch wszechżycia, jednym końcem zatopiony w otchłaniach materii, a drugim zarzucony na najwyższe szczyty ducha. Wszystko, co żyje, co posiada w sobie choćby zarodczą ledwie iskrę pierwiastku duchowego, łamie się z twardem objęciem materii i, wydzierając z pod jej władania, nabywa coraz pełniejszego uwolnienia, coraz lepszej przeźliwości ku górze.

Ludzkość jest w tym łańcuchu ogniwnem, a dla czego ogniwo to jest jednocześnie tak wielkiem i tak małym, tak wspaniałem i tak lichem — nie wiem i nie dochodzę tego, bo to poznanie leży w państwie tajemnic bożych, zamkniętych przed okiem mojem na klucz Niepoznawalności.

Lecz wiem i wierzę, że jestem atomem w ogniwie łańcucha wspinającego się ku Prawdzie prawd, ku Dobru dóbr, ku Pogodzie pogód, ku Pięknu nad pięknami i że, pracując nad mocą i blaskiem tego ogniwa, pracuję na rzecz całego łańcucha.

Istniejemy dla czegoś, jest jakaś potrzeba, dla której jesteśmy, tak ogromna, że bez upokorzenia możemy, jak ziarna piasku przed słońcem, słać się przed nią po ziemi i bez próżnej pychy, jak tytany prostować się w dumie, że jej służymy.

Odbywając drogę od robaka do człowieka, służymy jakiejś ogromnej przyczynie, której oblicze ujrzemy wtedy zapewne, gdy gobelin nasz będzie już wyszyty i przed robotnikami, którzy go ze złej strony wyszywali, rozwinie się niepojęty dla ziemi obraz Jadu bożego, dzieła tej Przyczyny wszystkich przyczyn i tej Prawdy wszystkich prawd, którą jest Bóg...

Oto widzisz! powiedziałam ci wiele więcej, niż mówię komukolwiek na świecie.

I wiesz teraz, co wspiera moją wielką słabość i co jaśniej w cieniach mego niezgłębionego smutku.

---

## VIII.

### *Interlaken*

Harfa twoja śpiewna a pieśni jej pełne blasków natury i gorących oddechów twojej duszy. Dziękuję, że uznajesz mnie za godnego zaufania swego żeś powiedziała mi tak wiele, że doznałem niezwykłych wzruszeń, pośród których przecież było uczucie zawodu.

Wydaje się to mało prawdopodobnem, aby ktoś, tak ze wszelkich ukochań i wszelkich nadziei wyzuty, jak ja, doznawać mógł jakichkolwiek zawodów. A jednak tak się stało. Chociaż bowiem powiedziałaś sama, że jesteśmy „na jednym globie dwa różne wcale duchy“, a ja wiedziałem również, żeśmy antypodami na dwu biegunach bytu, to przecież miałem nadzieję, że jeżeli nie zdołam cię przekonać całkowicie, to przynajmniej dopomogę ci uświadomić sobie jądro niektórych prawd. I, jak to już leży w naturze ludzkiej, cieszyłem się naprzód z odkrycia w owym świecie, co żyje—nie, jak blade Sfinksy, myślą o życiu—ale życiem samem istoty, zdolnej wziąć udział w moich poglądach i moich dążeniach, zdolnej oceniać wartość przejętych z fali zjawisk wrażeń i wyobrażeń.

Widzę teraz, że cieszyłem się przedwcześnie. Ze słów twych wynika jasno bezowocność tej szermierki dwu żywiołów, nie wykazujących najmniejszego powinowactwa. Tok rozumowań twoich, gdzie rolę poszczególnych pojęć, sądów i wniosków przyjęły szybsze lub wolniejsze uderzenia serca, nie może się zetknąć z rzeką moich myśli, do innych płynącą oceanów.

Twoje rojenia zaświatowe i ekstazy ofiarnicze, twoje miecze i dzwignie, kute ze snów wspaniałych, lecz ułudnych, dobre są od odpędzania Majtaszanów straszących dzieci społeczne, lecz łamią się bezsilne o wielkość opokową panteonu wiedzy.

Zapewne, że daleko wam jeszcze do szczytu, do zasklepienia kopyły panteonu i zamknięcia jej różycą ostatecznego poznania, w której, jak w dyamentowem ognisku, zestrzela się i skupią wszystkie poznania i wiedze... Ale od wieków gromadziła czynna armia gorliwych pracowników, wyszywających gobelin z fałszywej strony, nieświadomych jeszcze celu ani wyniku swej pracy, niezliczone ułamki materiałów, z których myśmy wzniesli gigantyczne mury tak wysokie, że patrząc na nas z dołu, nie potraficie już rozeznac dokładnie ani wyrozumieć naszej nadchmurnej roboty—podczas gdy my niestrudzeni, my nieliczni, którzy nie obawiamy się zawrotu głowy, stoimy na zrębie i na bezpiecznem podłożu matematycznych architrawów i metopów wiążemy już sklepienia. A wiążemy je z pewników tak potężnych, że wobec nich rozmarzone harfy wasze milknąć muszą.

Nie mogłem, nie miałem jeszcze czasu powiedzieć ci o tem wiele. Wskazałem jednak parę arcyprawd przez nas zdobytych, związanych i skąpych w treść, jak kilka krótkich dogmatów etyki, i gdybyś z objawienia tego chciała skorzystać, mogła-byś samoistnie rozmiarzyć na niem zakres i kierunki wszystkich twoich bezwzględnych imperatywów... Lecz ty w zwierciadło prawdy pobieżne ledwie rzucasz spojrzeń.

Wiem, że możesz zrozumieć wszystko, ale nie chcesz rozumieć, a mnie to przede wszystkim obchodzi, że, mając w sobie tyle świetnych warunków wyłączenia się z pospólitej rzeszy, pozostałaś wmieszana w tłum tych, którzy myślą gromadą, czują gromadą i działają gromadnie. A bardziej jeszcze obchodzi mnie ten fakt drugi, że na chwile wytchnienia, w których z wyżyn panteonu zstępuję w doliny powszedniości i zmęczoną dłonią przysłaniam strudzone oczy, że na letnie naprzykład interwały, potrzebne mi koniecznie, aby uchronić mózg przed zawczesnem wyczerpaniem, nie mam, jak, w otoczeniu nektarników żyjąc, nigdy nie miałem nikogo, z kimbym się mógł podzielić najgłębszym samym sobą... Dawniej bardzo rzadko, później, z biegiem lat coraz częściej, w takich porach beczynności, gdy nawet po książki nowe nie sięgam chętnie, uczuwałem zupełną swoją samotność na świecie—teraz, gdy błysnęła mi możliwość innych rozmów, aniżeli te, które towarzystwo moje prowadzi w czasie table d'hôte'u i gdy za nietrwałość błysku tego wszystko ręczyć się zdaje, będzie mi się wydawać jeszcze puściej i jeszcze zimniej na świecie.

Gdybym należał do ubogich w duchu, wmieszanych pospołu z nektarnikami w różnobarbną strugę życia, mógłby z uczucia niezgłębionej samotności wyrość we mnie żal... żal, który w dalszem następstwie doprowadziłby prawdopodobnie do jakiegoś efektownego finale. O efektowne rozwiązanie nie trudno. Czyż może być dla wykołejonej Psychy coś bardziej nęcącego nad dźwignięte ku eterom, połyskujące lodowce, opalowe i błękitne, tak wyniosłe, a tak przepaściste—albo nad lecące im przez czoła białe grzmoty lawin, takie wspaniałe, a takie śmiertelne? Nęcić jeszcze mogą tę wykołejoną Psychę dwa wielkie rozlewy jezior bezdennych, ujętych w konchę sinych i ametystowych Alp: Psyche wychyla się z łodzi stojącej nieruchomo na środku topieli i śledzi, jak płynny kryształ—u wierzchu szklisty, jak lza —przechodzi w coraz mroczniejszą, coraz głębszą melancholię utopionych seledynów, a potem mętnieje w ciemną zielen ślotnego wieczoru, a jeszcze głębiej przemienia się w czarną noc, pod którą zapadłe otchłanie gaszą zapewne myśli i uczucia wszelkie...

Wogóle, gdybym należał myśla, mową i czuciem do wielkiego współnictwa ziemianów, byłbym najprawdopodobniej osobnikiem bardzo smutnym, bajronistycznym i do współzycia z luzźmi zgoła niezdatnym. Że jednakowoż jestem właśnie sobą, czemś, co pani Idalia znajduje do „reszty panów“ wcale niepodobnem, więc, próżen wszelkiej egzaltacyi, ani wyszukuję szczelin przepaścistych w lodowcach, ani wypływam na najgłębszą wodę, a to, że mam wokoło siebie samych nektarników, jest mi tak doskonale obojętnem, że - jak się zdaje —niczem szczególnem tych ostatnich nie rażę, a niewzruszonością apa-

tyi może nawet przychylność ich łatwiej, niż „reszta panów“, zyskuje.

Nie przychodzi mi też na myśl przed którąkolwiek z mych towarzyszek tutejszych rozwijać analizy bytu z punktu widzenia—powiedzmy—Sfinksowego, albo w austriackiego męża stanu wpajać per longum et latum przekonanie, że o historii świata nie stanowią zmiany naszego gabinetu, lecz dyferencyały zmian w ruchu skoordynowanych części tak zwanej materii. Nie zbiera mię ochota do prób tak beznadziejnych, bo wiem, że, nawet przy niesłychanym wysiłku z mej strony, partnerzy moi doszliby co najwyżej do sprawdzenia głębokiego aksjomatu o marnościach nad marnościami i tym podobnych rzeczach, popularyzowanych już przez Salomona.

Ale w tobie poznawszy takie skarby ducha, jakich dotąd nie natykałem nigdy, pragnąłem, ażeby przynajmniej raz w życiu stał się wyjątek. Spotkanie nasze było tak piękne, tak niespodziane, tak dziwne, że w istotność tego wyjątku z każdym dniem wierzyłem silniej i wkrótce przywiązałem się do tej myśli, iż odtąd nie będę już między ludźmi takim całkowicie izolowanym żywiołem, który z żadną sferą się nie spaja i nigdzie żadnego powinowactwa nie znajduje. Więc żal mi teraz, że w stosunkach zewnętrznych, w stosunkach do ludzi, pozostanę i nadal samotnym...

Myślałem też w ciągu dni ostatnich o tem, czy nie byłoby najlepszym dla znużonej Psychy wypoczynkiem nie iść w interwalle letnim, ani na tłumną, nektarniczą Dygę Ostendy, ani w Alpy, gdzie snują się natrętne gromady filistrów, ale zapuścić się na północ i przez siedem gór, siedem rzek i siedem lasów, dotrzeć aż do tego lasu, w którym się zakłęte zamczysko krasowieckie ukrywa...

Tam czekałyby mnie rzeczy nowe, rzadkie, cenne; tam wśród odgłosów puszczy toczylibyśmy długie rozmowy, które pani Idalia i „reszta pań“ uważałyby bez wątpienia za natężające i nudne, a które my nazywalibyśmy naszymi godzinami wytchnienia.

Rychło przecież, bardzo rychło, kazałaś mi się przekonać, że plan takiego otium należy do rzędu nieziszczalnych utopii. Widocznie jestem, mówiąc językiem powszechnym—skazany już na to, aby z kobietami nie rozmawiać inaczej jak brzegiem warg, a przy mechanicznem wypowiedaniu [utartych frazesów prowadzić z sobą samym monolog o genezie i rozwojowem znaczeniu istoty, szeleszczącej przy mnie jedwabiem i szczebioczącej mniej lub więcej miłe niemości.

Tobie również o czemże mógłbym mówić, tobie, co korzysz się przed jakąć potęgą—mgłą, odbitą z ludzkich wyobrażeń, modlisz się



do niej płomiennie i na rzecz jej planów, jej woli, składasz ofiary ze swego serca i szczęścia, ze swej wolności?

To jedno wiem, że nie mówiłbym ci żadnego pozytywistycznego kazania, że nie tłumaczyłbym różnicy, jaka zachodzi między materią a duchem, ani objaśniał, czy, jak i kiedy ducha pożarły Sfinksy. Słowem, nie cucilibym cię z twych błogich marzeń. Niepotrzebnie zresztą teraz mówię tak wiele.

Chłodno i trzeźwo powinienbym się ograniczyć do sprawdzenia nienowego zresztą faktu, że ludziom tem trudniej przychodzi porozumieć się z sobą, im wyższe są szczeble rozwoju i poznania, na które wstąpili. Dwie drobiny materii zróżnicowanej życiowo, dwie ameby, w kropli wilgoci zawieszona, ulegać się zdają magnetycznemu pociągowi, który je niechybnie ku sobie przybliży i w jedność zespoli. Dwa motyle, za jednym dotknięciem pałeczkowatych czułków, identyfikują swą wolę i pragnienia.

I dwojgu Budnikom wystarczyć może jeszcze jedno rozchylenie koralowych warg w uśmiechu i jedno dotknięcie dłoni połyskujących sierpami. Ale nieco wyżej i zupełnie wysoko idylla i harmonia współczucia i współmyślenia staje się coraz trudniejszą, coraz mniej prawdopodobną. Każda jednostka wykształca się na swój sposób, na swój sposób promieniuje na zewnątrz, tak, że pokrzyżowane promienie nie mogą już ześrodkować się w jedną gwiazdę życia i rozpraszają się w ogólnem półświecie. Więć chociaż często jednostki łączą się w pary lub stają obok siebie w różnych społecznych i psychicznych związkach, mimo to, na świecie nie robi się od tego jaśniej.

Te przeszkody wszechstronne, te rowy i gzygzaki, te powkładane pomiędzy ludzi szyby, rozbieżnie załamujące światło, sprawiają, że nawet najwznioślejsz zharmonizowane istoty, zbywszy się pierwotnego magnetyzmu, przechodzą obok siebie, jak prądy dwu obcych pierwiastków. Przypuszczam, że z tego jednego źródła mógłby wypłynąć źródło niewyczerpany smutku i żalobną powodzią zalać wszystkie przestwory mej duszy,—gdybym myślą i wolą należał do wielkiego wspólnotwa ziemianów.

Ty, która myślisz sercem, dzielisz ludzi na takich, w których jest kochanie i takich, którzy kochania w sobie nie mają. A że nie zdaje się ulegać wtąpliwości, iż we mnie kochania niema, więc zaliczać mię oczywiście musisz do kategorii straceńców, nie prawdaż? Zdajesz się nawet posądzać mię o nektarnicze gusta.

Przebija to z pytań twych o moją zeszłoroczną przyjaciółkę z Giesbach, w której przeczuwasz może jaką przez nektarnika porzuconą ofiarę... Jednakże pod tym względem jesteś w błędzie. Ja to

jestem raczej ofiarą, bo piękna idylla, krótka i tęcza, jak bańka mydlana, wróciła teraz do mnie, skądciś, z nicości rzeczy minionych, na elegijnej fali wspomnienia.

A wspomnienia, to refleksy duszy najniepotrzebniejsze ze wszystkich, dla tego takie niepotrzebne, że mogą nieraz najpotężniejsze umysły spychać nad ślizką pochyłość śmiechności...

Wyobraź sobie Sfinksa tkwiącego na wyniosłej skale; Sfinksa, odbudowującego w skupionej swej głębi wszechświat; przed obliczem jego przemknęła młoda dziewczyna, jasna i mówiąca wypadkiem tą samą mową, w której on, odbudowując w sobie wszechświat, myśli. Pomknęła dalej i zapomniała o chmurnej zagadce bladego widziadła, zanurzony w gwarną pustotę życia, które z płaszczyzn ziemskich dolatuje maleńkiem echem aż do tronów Rozumu. I wyobraź sobie, Sfinks ów, wpatrzony w kurzawę światów, po roku jeszcze obraca w ustach pytanie:

— Może wtenczas otarło się o mnie szczęście? Więc cóż? Nie każ mi się spowiadać z tej *petite affaire*, ażebym na domiar złego nie uczynił się w twoich oczach śmiesznym. Należę mianowicie do kategorii takich ludzi, z gruntu zepsutych i odjemnych, którzy wolą być pomawiani o brak serca, o pążowanie ponętym a jadowitym psiankom, o służenie złotym cielcom użycia, aniżeli uchodzić w twoich oczach za śmiesznych. Poza tem, opinia napelniających świat Abderytów jest mi tak obojętna, jak naprzykład ten szczegół, z kim moja jasna towarzyszka z Giesbach przeżywa w tym roku eklogę.

Dla mnie w tym roku nie kleją się eklogi. Nawet echa zaczarowanych Krasowiec nie przylegają do mnie idyllą, uderzają się o ogromny zator rozbieżności dusz naszych i rozbijają się po drodze w pył złoty...

Ty, kuzynko, masz dobre serce, więc może zatrwóżysz się tym smutnym losem słonecznego echa, bo może jedyną przyczyną tego, że je ku mnie wysyłasz, jest altruistyczna i wielce cnotliwa chęć udzielenia mi antidotum przeciw trującym psiankom. Otóż dodać śpieszę, że jeżeli wszelkie oznaki nie mylą, to niebezpieczeństwo raz na zawsze zażegnane. Otaczają mnie czarodziejskie psianki różnych kształtów i kolorów. Wyznam szczerze, że, jadąc tu na villegiaturę, miałem potrosze zamiar upoić się ich nektarem, który nazwałaś jadowitym. Jednak mimo jaknajlepszych warunków, coś mi się popsulo w moich rachunkach i—niema eklogi.

Otruć mnie chciała poczciwa moja opiekunka, pani Idalia, znajdującą się w tej chwili już w Biarritz. Taki przynajmniej obrót brała ostatnia rozmowa nasza, nadchmurna, toczona na wysokościach świata. Urządzaliśmy wspólną wycieczkę na Schinige Platte, aby

z jej szczytu oglądać wschód słońca i odbyć z hotelu przechadzki na poszczególne cypłe. Wieczorem towarzystwo nasze pozostało na hotelowej tarasie, ja zaś, chcąc swobodniej skorzystać z czerwonych fajerwerków zachodu na obłoczym niebie, wolałem przejść nową, prawie równą drogą ku Oberberghorn; a ponieważ wieczór był ciepły i zupełnie spokojny, ścieżka wygodna i szeroka, więc przyłączyła się do mnie pani Idalia. Wtedy to dowiedziałem się, że nie jestem podobny do reszty panów, że wydaję się jej jakiś znękany, czy znudzony i niezadowolony, że z całego serca pragnęła-by, abym się rozerwał i że trudno jej rozmawiać ze mną otwarcie, gdyż majestat mojej wielkości po prostu ją onieśmiela. Rozmowa rozpoczęta w ten sposób obiecywała stać się zajmującą i mogła-by mnie być istotnie zajmować, gdybym właśnie do reszty panów był podobnym. Bo krewna nasza, oparta o moje ramię, zręcznie wymijając rozrzucone na drodze kamyki, i schylając się kiedy niekiedy po skromne przydrożne kwiatki alpejskie, jęła powtarzać pochwały, oddawane mi przez ową parę aksamitnych oczu, z którymi jeździłem do Lauterbrunnen. A potem zachwycała się niesłychaną wytwornością ich właścicielki i niesłychaną, lecz ukrywaną, głębią jej ducha, polegającą głównie na tem, że i ona również z villegiatury zadowolona nie jest.

I pytała mnie pani Idalia, czy interesuje mnie którakolwiek z pań świeżo przybyłych? Musisz zaś wiedzieć, kuzynko, że w otoczeniu mojem nie tylko jedna para oczu jest piękną. Otrzymaliśmy w ostatnim tygodniu różne uroczę przybytki. Na wzmiankę zasługują w pierwszej linii dwie doskonale urodzone Paryżanki, dobrze znajome Idalii z Trouville; starsza siostra zamężna, ustylizowana na genre cocotte, ma na puszystych włosach farbę jaskrawo żółtą, brwi zaprawione bronzem, pośrednim między tuszem Van Dyka, a płynną miedzią, i rysy twarzy nadzwyczaj dowcipne, graniczące niemal z zuchwałą gaminadą; młodsza zaś, panna, świetnie kontrastuje archaizmem w liniach toalety i w opuszczeniu gładkich włosów na skronie à la Cléo de Mérode. O tych to damach opowiadała mi pani Idalia z właściwą sobie żywością wiele interesujących szczegółów, chociaż nie ulega kwestyi, że przedewszystkiem była rzecznikiem aksamitnych oczu.

Rozmawialiśmy w ten sposób, idąc wazkim grzebieniem górskim, usuwającym się w obu kierunkach stromemi zboczami. Po lewej stronie wzrok nasz znajdował oparcie dopiero na dnie krajobrazu, leżące o kilka tysięcy stóp niżej pod nami. Majaczyło tam w mgłach wieczornych Interlaken, a przez poblaski słoneczne i pęki nisko zawieszonych chmur spoglądały ku nam dwa modre jeziora, jak dwie świe-

te tafe lazurytu wprawione w płowy teren zielenią pokrytych kamienisk.

W tejże stronie paliło się niebo krwistą pozłotą zachodu i grało eterycznym kalejdoskopem obłoków, roztrącanych cicho przez drżącą promienistość słońca. I podczas, gdy odległe niziny pogłębiały się coraz bardziej w cieniach, rzucała się cała ta promienistość linią poziomą na nasze skalne, dumne wierzchołki, czyniąc z nas dwie ruchome arabeski, ciemno odkreślone na kapryśnych konturach góry i na tle rozwidnionego już nad głowami naszemi błękitu.

Po prawej stronie kładliśmy długie cienie na murawę, opadającą ku południowi w kształt owalnej kotliny, skąd płynęła głośna i jednostajna muzyka trzód gotowych do odwrotu.

Stopniowo zbliżyła się tarcza słoneczna do łańcucha gór, za Tuńskim jeziorem rozciągniętych, i położyła się na dekoracji ziemskiej w sposób taki, że choć cudzoziemski, znalazł-by z pewnością twoje uznanie, gdybyś była przechadzała się z nami wzdłuż owej przełęczy; a ja nie kuszę się nawet o bliższe odtworzenie orgii barw i światła, która wnet potem z upadku słońca poza dekorację wynikła. Pani Idalia, przerywała rozmowę naszą częstymi wykrzyknikami podziwu i żałowała nieskończenie, że Oreada z czarnymi oczyma nie zapuściła się z nami w ten świat romantyczny.

Wielką radość sprawiło jej także spotkanie nasze ze stadkiem kóz, powracających od szałasów na nocleg tą samą drożyną. Kosmate kozły szły buńczucznie na czele, a za nimi tłoczyły się bezładnie samice, wyciągając ku nam wysmukłe, czarne i różowe pyszczki. Wówczas i my zawróciliśmy również i szliśmy czas jakiś w towarzystwie ruchliwego stadka, które, zatrzymując się przy ponętniejszych ziołach, potracając się wzajemnie i roztaczając woń ostrą, zdążyło z lekkim tupotem racić przed nami.

Wszystko to razem, śniady zmrok u stóp naszych położony przez niebo, grzebień kamienisty, od pocałunków sennego Heliosa rumiany, ostre wyziewy kóz, zmieszane z wykwintnym zapachem ylangu, który owiewał mnie za każdym szelestem sukni opartej o ramię moje kobiety, wreszcie sama treść rozmowy naszej, wszystko to składało się na jeden nastrój i przywiodło mi na pamięć słowa twoje o paragrafie życia „on i ona“.

I dozualem wrażenia, że nastrój, jakiegoby pragnęła dla mnie moja opiekunka i jakiego doznają z łatwością aksamitne żrenice i inne urocze przedmioty, jest tak bardzo pierwotny, powiedziałbym biodrowy, tak silnie zalatuje atmosferą goniących się faunów, że paragraf bytu, władający towarzystwem, zgromadzonym na nocleg

w górskim hotelu, a paragraf ustanowiony dla towarzystwa, biegnącego zwinnym truchtem przed nami, w stylizacji swej bardzo nieznacznie różni się od siebie, mimo oględnej i wytwornej polityry po naszej, a cynicznej otwartości po koziej stronie.

I pomyślałem sobie, że w stosunku do tego paragrafu nie mam w sobie nic wspólnego z towarzystwem zebranem na nocleg u wierzchołka szwajcarskiej góry i że nawet z tego paragrafu wyłoniły-by się z mej duszy nieuleczalne smutki, — gdybym chciał w życiu brać udział czynny.

Czuję, że do przyrodzonych nastrojów daleko mniej potrzebowaliby wyziewów zwierzęcego pizma, a o wiele więcej pożądaneby mi były łabędzie korowody, zarumienione jutrznie i konwaliowe śniegi, jeśli by nastroje takie miały mnie istotnie całego ogarnąć i stać się dla mnie, w myśl pierwotnych rozporządzeń natury, maksymizacją życia. A tymczasem mam blisko siebie wonie ostrych esencji i mam do zdobycia aksamit połyskliwych źreńców, a nie mam świeżych konwalii i nie mam niepokalanych łabędzi, i nie mam zakłętej łąki białej, któraby mi pieściwie opierała głowę o ramię i szeptała o zaświatowych pieśniach Wysp Błogosławionych. I w bajecznej też tylko oddali widuję Madony, siadujące pod parasolami grusz wiejskich, ze słoneczną siecią u stóp, z białą astrą u piersi i u kolan z chórem dzieci, uperlonych srebrną rosą krzyżyków...

W tejże chwili pani Idalia przypomniła sobie również Krasowce i zaczęła mi wiele opowiadać o tobie, kuzynko. Uśmiechałem się, myśląc, że wiem daleko więcej od niej. A gdy spytała mnie następnie, czy nie wybiorę się kiedy do Krasowiec, aby cię osobiście poznać, odpowiedziałem, że lękałbym się, aby przy zbliżeniu dwu tak krańcowo rozbieżnych natur, jak twoja i moja, wewnętrzna harmonia którejkolwiek nie rozproszyła się na zgrzyty.

Tegoż wieczora nabyłem pewności, że młoda przyjaciółka Idalii, pochyliłaby się ku mnie życzliwie i chętnie, aby mi wpleść kilka róż gorących w bezbarwne pasmo żywota i że wprost z owej góry mógłbym ponieść w dolinę trochę wspomnień, ściągających powieki, purpurowych i słodkich...

I byłbym je poniósł bezwątpienia, ale tegoroczne otium moje dziwnie się jakoś rozpoczęło. Oddaliłem się kiedyś od życia, wiedząc iż porzucam je dobrowolnie. Dzisiaj zaś spostrzegam, że chociażbym chciał bodaj na krótki moment do niego powrócić, jużby mi ono nie właściwie dać nie mogło; samotnie mieszkać mi trzeba w pałacu własnym, wystawionym kosztem tysiąca nieprzespanych nocy i tysiąca krwawych analiz. Wzniosłem go na szczycie góry, usypanej przez tysiąc pokoleń żarliwych pracowników postępu, i zejść z niej nie mo-

gę, gdyż wszystkie ścieżki ziemskich przyzwyczajęń i wszystkie powietrzne mosty uczuć stopniowo zawiąły się i rozwiąły.

A z zewnątrz, któż do przybytku mego wstąpić zechce? Nawet takie istoty, jak ty, kuzynko, nie zapragną szukać znikniętych mostów moich i ukrytych kluczów do mego Skarbca.

Wielką jest moc czasu, który bez wiedzy człowieka gospodaruje w jego wnętrzu. Dla was, kochających i kochanych, powinny z tego nieunikniouego działania czasu wyrastać największe życiowe tragedye. Tempus edax rerum. Czas, uczuć morderca. Słyszeliśmy o porywach—mniejsza z tem, czy biodrowych albo anielskich—przeczuwaliśmy je w sobie, a kiedy nadejdzie godzina wewnętrznego obrachunku, tam, gdzie miały drzeć iskry piorunowych zarzewi, spotykamy żużle i dymy wytlonych ognisk... Odkrycia takie mogliby ludzie czynić codziennie.

Ja, w peryodzie letniego snu myślnego, zrobiłem odkrycie, że moja ciemnowłosa Oreada, najpiękniejsza z pięknych, nie jest w stanie ofiarować mi nic, coby miało dla mnie znaczenie prawdziwej radości... Tylko rzeczywiste Sfinksy wolne są od robienia podobnych odkryć i niezmiészani z tłumem świecą nad światem ogniem własnej potęgi, jak gwiazdy. Czy ja wkroczyłem już na tę gwiazdzistą drogę? Jakkolwiek z tem jest, już dzisiaj nie mam ludziom nic do powiedzenia i niczego z ich strony oczekiwać nie mogę...

. . . . .

Czyżby to jednak znaczyło, że wszystkie nici rwać się muszą, jak pajęczyna i że nie będziesz już przysyłać mi swych pieśni? Być może, iż mając duszę w pewnych dążeniach i wiarach rozwiniętą, musisz potępiać myśl moją i nie możesz polecieć za nią w wymiary istnienia nadludzkie, które mrożą cię lodem. Ale czyż, pomimo to, nie mogę pozostać ci blizkim, czyż nie mogę pozostać uważnym i wdzięcznym posiadaczem twej ufności, słuchaczem wyniosłej mowy twej duszy?

Nie ponowię już prób wyprowadzenia cię na wolność z błędnego koła, w którym nie jest ci przecież miękko i słonecznie. Ale nie przedstawaj mówić do mnie... Wiedz zresztą, że i ja miewam godziny modlitwy i błyskawice zaświatowej poezyi. W tych właśnie czasach tęsknię do swej modlitwy i zatęskniłem za nią najgoręcej na tej właśnie górze, gdzie nocowałem z Oreadą, i przyniosłem tę tęsknotę w niziny, zamiast wspomnienia słodyczy. Przeszła mi wtedy noc bezsen-  
na na czuwaniu i rozmyślaniach o życiu, lecz nie jak zwykle o ogół-

nej życia zagadce, jeno o życiu mem własnem. Myślałem o tem, że jak dom, w którym tę noc spędzałem, stoi na ostrzu alpejskiego grzbietu, tak i ja stoję na zenitowej życia połowie; i myślałem o tej ścieżce niebezpiecznej i stromej, po której się na tenszczyt dostałem, i o tej drodze, po której mam zejść w mrok dolin. Tak przeglądałem tę połowę, która już była, i tę, co ma dopiero nastąpić... a przez graniaste wycięcia okien oświecał mi pokój księżyc, stojący na wysokim niebie, nad niezmiernym morzem ciemnych, gęstych obłoków, srebrnych po wierzchu, które błamem zwartych kłębow rozwiody się, jak daleko okiem sięgnąć, nad światem, i zasłoniły wszystko, prócz tego jednego górskiego czoła, co wypływało z powodzi chmur na księżyc.

W ciągu owej nocy sierpniowej, nawet w tych wysokościach dziwnie parnej i bezwietrznej, szkarłatne róże, kwitnące na drogach życia, straciły dla mnie resztę swej woni... Nazajutrz, stanąwszy przed śliczną Oreadą, która, wyniosła i świeża, z gwiazdką szarotki u piersi, miała na ustach uśmiech enigmatu, uściśnąłem jej rękę serdecznie i wnet zagubiłem się samopas w ustronnych załomach kamienistych, wolnych od napływu turystów.

Wtedy to, podczas kilkugodzinnej tułaczki po odludnych skałach i rumoszach, zatęskniłem do zimnej samotności lodowców, kędybym mógł odprawiać nabożeństwo swoje...

Lecz są to rzeczy tak odległe, tak odludne, tak odmienne od modlitw twoich, tak nadludzko dumne i wyłącznie Sfinksowe, że mówić ci o nich teraz przynajmniej nie będę. Powiem w zamian, że znasz słowa, które wpadają w głąb serca. Przysyłaj mi takie słowa. Dla wypoczynku ciała i umysłu trzeba mi ochłody niepokalanych śniegów, szklanych krynic, rosy—a tem wszystkiem są mi słowa twoje. Przedewszystkiem te,—które, jak lotne płomyki—dobywają się czasem na zrównoważoną powierzchnię twojej duszy, gdy spodem przeciągają burze. Płomyki te, na skroń mą padając, przechylą i zbliżą ku mnie kielich twojego serca.

Przyjaźni twojego serca mi potrzeba. Jest ono wielkie, czyste i niechaj mi będzie źródłem odpocznienia, gdy z wyżyn panteonu zstępuję w cienie powszednie i przymknąć pragnę znużone źrenice...

Powiedz mi też kiedy słów parę o pewnem zagadnieniu sercowem, o którym pragnął-bym usłyszeć zdanie istoty z kategorii dodatknych, to jest mających w sobie kochanie.

Jak myślisz? co czuć może dziewczyna młoda i nieobeznana z życiem, gdy ust jej dotkną po raz pierwszy samowolne usta mężczyzny? Czy dziwi się, czy cieszy, czy cierpi? czy trochę tęskni i wspomina?

i jak długo wspomina? dzień, tydzień, miesiąc?... Czy tem chętniej poszuka ust nowych, czy też — spotkawszy nowe — powraca myślą do owych pierwszych świętokradzkich.

Mówiliśmy o tem z Idalią—ale to kategoria nektarników.

Pozegnaliśmy już odjeżdżającą do Biarritz panią Idalię snopami kwiatów. Oreada dostarczyła jej całej więzi szarot.

A propos kwiatów. Wiaz z nowemi echami swojej puszczy, obdarz mnie, kuzynko, garstką tamtejszym kwiatów. Na ostatniej wycieczce przypomniał mi ubogi świątek roślinny, kołysany wiatrem na jałowych czubach alpejskich, nasze swojskie jaskry i storkrocie, nsiewające niegdyś trawniki na wsi u mej matki.

Stamtąd datują moje pierwsze florystyczne wiadomości. Chciałbym po latach niemal trzydziestu zobaczyć znów parę skromnych storkroci z naszych trawników. Może będą mieć dla mnie więcej uroku, niż aksamitne szaroty.

---

## XII.

### *Krasowce.*

„Słońce wylało księżyc błady,  
Czemu świeci tak słabo i skromnie,  
Cicho odrzekł na to księżyc błady:  
Dzień do ciebie, noc należy do mnie,  
Świeć ty we dnie na ten świat szeroki,  
Ja nocą przyglądam się wodzie głębokiej.“

Tak ciała niebieskie rozmawiają ze sobą w starej piosnce litewskiej.

Smutno mi, kuzynie, że nie mogę rozmową swoją uprzyjemnić twojemu otium, lecz natura nie wetchnęła we mnie zdolności do niewolniczych wtórzeń sumieniom i myślom innych. Mam swoje własne; ale czyliżby Sfinksy, tak niezmiernie dumne i wszelkiej pokorze przeciwnie, znajdować mogły wdzięk i zadowolenie w czyjekolwiek bierności i niewoli?

Na zapytanie twoje, tyczące się serc i ust dziewiczych, nic pewnego odpowiedzieć nie mogę. Serca są różne i usta są różne. Bywają serca pełne hymnów i pełne—kupletów. Bywają usta, na któ-



rych pocałunki świegocą, jak płocze wróble, i takie, na które kładną pieczęcie niewzruszone, jak święte przysięgi. Gdybym ci o tem opowiadać zaczęła, z łatwością mogłabym w opowiadaniu trafić na serce z hymnem i usta ze świętą pieczęcią, więc na przedmioty twojej ironii...

Pocóż?

Kwiatów nie posyłam także. Z kwiatami memi stała się rzecz następująca.

W najciemniejszych głębiach puszczy zdarzają się miejsca, ośniewające białością rozkwitłych spirei leśnych, tawuł. Na niezliczonej ilości wysokich lodyg wznoszą się pióropusze, z gwiazdek śnieżystych złożone, tak lekkie, że przy każdym powiewie wiatru chwieją się i rozwiewają, tak przejasne, że zdają się być pochodniami, które litość Boża zapala dla pourości zmroków. I któżby się spodziewał, że te najjaśniejsze mieszkanki leśnych gęstwin są ulubionym przysmakiem najposępniejszego z jej mieszkańców — zubra? Przychodzi wielki, ciężki, przedpotopowy i białe glorye lasu znikają w ogromnej jego paszczy.

Różne potwory zjadają po świecie rozmaite kwiaty. Przyszły tu również i pożarły moje. Nie mam żadnych.

Przypomina mi to pytanie pewne. Czy nie mógłbyś, kuzynie, obdarzyć mię trochę szczegółów o swej matce? Od dzieciństwa tkwią mi w pamięci opowiadania o istocie tej, pełnej wdzięku i smętku, która nie tylko na trawnikach swych, ale i w sercu miała podobno mnóstwo pięknych kwiatów, rodzinnych kwiatów. Podobno na obczyźnie żyjąc, nie przestawała nigdy tęsknić za ziemią rodzinną i zgasła wcześniej dla tego, że stała w powiewie zbyt suchych i zimnych wiatrów.

Perkun grzmiał. Tylko co przeleciała tędy wielka burza. Wściekły wichur niósł kłębiące się tumany kurzawy płowej, przeświecanej czerwonymi wężami błyskawic, które nieustannie wiły się po cielskich ciężkich chmur; świat stanął w ciemności, którą od brzegu do brzegu wypełniły suche trzaski piorunów, przeraźliwe skrzypienie drzew rozmiotanych, potężne stuki łamiących się w puszczy olbrzymów. Na dalekim krańcu łąki zaświecił i długo wśród płowego тумanu czerwoną pochodnią świecił zapalony od gromu dąb. Po tem spadła nawałnica deszczowa, której szum wszystko zagłuszył, a napowietrzne, z niezmiernym gwałtem spadające morze, zasłoniło wszystko. Aż z wielką nagłością, ten deszcz nawałny ustał i jednocześnie z za wełnistych chmur, skupiających się po jednej stronie nieba, spłynęła na ziemię smuga promieni słonecznych. Wtedy na drze-

wach rozczochranych, na osypujących [ziemię gałęziach, na trawnikach, na żwirach, na piaskach, zajaśniała ogromna moc pokruszonych kryształów i sreber, które w tej chwili jeszcze w górze i w dole lśnią, drżą, migocą, gdy jednocześnie w wełnistej ścianie chmur, stojącej po jednej stronie nieba, toczy się turkot dalekiego grzmotu, a górą wznosi się tęcza. Jednym końcem o rzeźbę chmur oparty, świetny łuk zanurza się końcem drugim w ciemne uroczysko puszczy, które, nosząc nazwę [Nieznanego Rogu, kryje w sobie tajemnicę z ognia i bursztynu.

Ale ja ci, kuzynie, o naszych ciemnościach, tęczach, uroczyskach, tajemnicach, chyba już opowiadać nie będę...

Pocóż?

---

### XIII.

*Interlaken.*

Nie zasłaniaj się Perkunową chmurą, toczącą w sobie grzmoty.—Opowiedz mi ognistą i bursztynową tajemnicę Nieznanego Rogu.

Proszę.

---

### IX.

*Krasowce.*

Dobrze; opowiem.

Niegdyś, niegdyś,—przeddziady pierwszych nawet Budników pomnieć już tego nie mogli, istniała w Puszczy' świątynia pogańska, Romowe, czyli dom pokoju. Tuż obok było siedlisko Arcykapłana, miejsce poświęcone, którego wnętrza ujrzyć nie miał prawa żaden wzrok niepoświęcony i stąd miejsce, przez zakaz srogi w niezdobytą warownię przemienione, dostało nazwę Nieznanego Rogu. Przyczyna znikła, lecz nazwa została w późne potomstwa i wieki.

Oprócz kapłańskich modłów, odprawianemi tam były akty pewne, tajemne i posępne, zarazem wspaniałe. Gdy na szerokiej przestrzeni ziemi umierał bohater, słynny z czynów mężnych, lub śpiewak za płomiennie pieśni uwielbiany, śmiertelne zwłoki ich, wraz z ruma-

kiem i zbroją rycerza, czy z szatą i lirą poety, spalaniem bywały w tem miejscu na stosie ułożonym z modrzewii i cisów, a okadzany bursztynem i tomką. Lud aktów tych nie widywał, lecz właśnie dlatego w krainie fantazyi jego stawały się cuda zmartwychpowstania. Ilekroć w opasanej srogim zakazem twierdzy zielonej dokonana się tajemnica ognista, nad Nieznany Róg ukazywał się blask płomienny, w którym bohater na rumaku i w zbroi, albo wieszcz z lirą w ramionach, z szybkością błyskawicy przerywał mroki nocne, wzbijał się ku obłokom czy gwiazdom i pośród nich zniknął. Tylko, gdy zniknął, przez chwilę jeszcze drgała pod niebem mgiełka świecąca i w powietrzu rozplywała się woń spalonego bursztynu.

Jak fale wodne, które na piaskach zacierają pismo wiatrów, tak upływające stulecia zatary w ludzkiej pamięci pogańską Romowe i gorejące stosy, i same nawet imiona dawnych mocarzy serc ludzkich.

Lecz na spodzie pamięci, jezioro wspomnień stoi nieśmiertelne, choć zmaczone. Więc ilekroć na nocne niebo jakakolwiek siła natury wyrzuci nad Nieznany Róg błyskawice, czy inne światło niewiadomego początku, lud żegna się, ze czią pochyla głowy i wierzy, że kędyś, na świecie, jedno jakieś mężne, albo śpiewne serce w tej chwili nderzać przestało.

Był moment, w którym i ja nległam złudzeniu. Zdawało mi się, że w świetle wybuchającej nad lasem błyskawicy letniej dostrzegłam postać brata, skutą z rumakiem— A visem, a w przestworzu zapachniały mi bursztyny śmierci, pełnej chwały.

Potem, nieraz, gdy w godzinach nocnych upatrywałam w czarnym szlaku puszczy, miejsca, na którym Nieznany Róg się znajduje, i wzrok podnosiłam ku ciemnemu nad niem niebu, przez myśl przeciągał mi wiersz wielkiego i kochanego poety, o chwili:

„Kiedy ziemi zleciwszy śmiertelne zewłoki,  
Ogniu równa prędkiemu przeniknę obłoki...”

# WINOWAJCY.<sup>1)</sup>

---

GALICJA W ROKU 1846.

---

Aleksander hr. Fredro, w tej dobie należący już do najwybitniejszych osobistości w polskim społeczeństwie Galicyi, nie tylko z tytułu literackiej sławy, lecz także ze stanowiska obywatelskiego w ogóle, napisał zaraz po rzezi dla zesłanego z Wiednia nadzwyczajnego komisarza cesarskiego, Rudolfa hr. Stadion, memoriał o położeniu kraju, bardzo oględny pod względem politycznym, ale za to bardzo dobitny w traktowaniu stosunków społecznych i administracyjnych. Szczegóły rzezi ominął hr. Fredro w tym memoriale, ale sąd swój o niej wypowiedział w tem wymownem zapewne i dla komisarza cesarskiego zdaniu: „Nie możemy wchodzić w krwawé zdarzenia zachodnich cyrkułów. Czas je wyświecić może — Bóg osądzi pewnie“.

Przed sądem Bożym stanęli już dawno wszyscy bezpośredni i pośredni sprawcy i uczestnicy rzezi z roku 1846, ale o wyświecającym wpływie czasu można powątpiewać. Od czasu, kiedy Fredro pisał swój memoriał, upłynęło z górą lat pięćdziesiąt, w tym okresie półwiekowym wydano wiele pamiętników, szkiców i obrazków historycznych na temat roku 1846, ale mimo to wszystko, kwestya, którą hr. Fredro z pewnością głównie miał na myśli, kwestya winy urzędników cyrkularnych, pozostała dotąd w takiej pomroce, jak gdyby chodziło o bardzo odległe czasy. Kwestya ta jest właściwie jasną dla nas, jeżeli weźmiemy za podstawę sądu tyle pozytywnych twierdzeń zupełnie wiarogodnych świadków współczesnych z polskiej strony. Historyk tych czasów jednak zawsze liczyć się musi z faktem, że tym

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt grudniowy roku zeszłego, str. 417.

twierdzeniom polskim niemieccy autorowie przeciwstawiają mniej lub więcej stronnice zaprzeczenia, a ponieważ między tymi autorami są tacy, którzy, jak na przykład br. Sala, chełpią się zbadaniem i zużytkowaniem źródeł urzędowych, więc i tutaj tak samo, jak w dociekaniach filozoficznych, *negantis maior potestas*, i zawsze od oskarżycieli, podejrzanych o stronnictwo goryczą podyktowaną, wymagane będą dowody kategoryczne i autentyczne. A właśnie pod tym względem sam wpływ czasu podnosi szanse tych, którzy, licząc na powolne znikanie dowodów, odpowiadają na oskarżenie śmiało, chociażby tylko gołosłownem, zaprzeczeniem.

Kiedy bowiem otworzą się wreszcie dla historyka archiwa rządowe, nie znajdzie już w nich aktów cyrkularnych, szkartowanych i niszczonych wśród tylu późniejszych organizacyi i reorganizacyi, jakim uległa administracya polityczna Galicyi; a akta gubernialne i ministeryalne, o ile także peryodyczne szkartowanie prywatne ze strony interesowanych nie rozbiło ich na luźne, już więcej spoić się nie dające, fragmenty, zawierać będą w oględnie i poprawnie ustylizowanych relacyach chyba dalsze a zbędne już dowody na fakt, że sfery rządowe w Wiedniu, w swoim zupełnym rozstroju ówczesnym, nie wiedziały o wszystkim, a tem samem wszystkiego ani zarządzić, ani aprobować nie mogły. Przypadek jednak, jak zawsze, tak i tutaj, wyświadczyć może wielką przysługę, wtrącając niejako historykowi pod rękę akt, który, albo sam w sobie posłużyć może już za klasyczne poparcie twierdzeń, dotąd oficjalnie, ale gołosłownie zaprzeczanych, albo, jakby jedna kość zwierzęcia przedpotopowego dla anatoma, stanie się podstawą do wysnucia wniosków o całości.

Takiemu łaskawemu przypadkowi zawdzięcza piszący, że wśród spowodowanych innym tematem <sup>1)</sup> poszukiwań archiwalnych, tyczących się przekształcenia, a następnie zniesienia dawnych mandataryatów galicyjskich, wpadł mu pod rękę akt, który zasługuje z pewnością na nazwę historycznej *pièce à conviction*.

Kiedy po zniesieniu pańszczyzny dawni mandataryusze ubiegali się o posady rządowe, mianowicie przy organizacyi urzędów podatkowych i powiatowych za pierwszego namiestnikostwa Agenora hr. Gołuchowskiego, niejaki Erazm Błocki, były mandataryusz z Humieńca w dawnym cyrkule lwowskim, był tak naiwny, że do podania swojego dołączył, jako dokument, specjalnie go zalecający wobec

<sup>1)</sup> Studium o pierwszym okresie rządów Agenora hr. Gołuchowskiego. (Przyp. aut.).

rzędu, następujący pisemny rozkaz starosty lwowskiego, Milbachera, własnoręcznie przezeń napisany i zaadresowany:

„L. 74. Do Pana mandataryusza Błockiego <sup>1)</sup>).

Zwołaj Pan wszystkich chłopów z kosami i każ im Pan wszystkich buntowników pochwytać, a jeżeliby się bronili, zgładzić. Urlopnicy powinni pomagać, pan komisarz Klossorz przybędzie tam i przyniesie pomoc dzielnym chłopom w Horozanie. Ze 100 chłopami możesz Pan ubić 100 takich drabów; w Tarnowskim cyrkułe chlōpi poradzili sobie dobrze; schwytali 108, pomiędzy nimi czterech hrabiów, i zabili 27. Masz Pan sposobność do stwierdzenia swojej wierności dla Najjaśniejszego Pana i oczekuj też tego; odwaga i energiczne działanie doprowadzą do zasłużonego ukarania buntowników. Donośmi Pan o wszystkim.

Lwów, 22 lutego 1846 roku.

Milbacher“.

Jest to przekład dosłowny i ścisły. Z oryginalnego tekstu niemieckiego przebija jednak ton jeszcze ostrzejszy, którego wierne oddanie w przekładzie polskim wymagałoby koniecznie pewnego odstąpienia od dosłownej ścisłości. A na takiej ścisłości właśnie najczęściej zależało.

Do tego hajdamackiego aktu, którego, mówiąc mimochodem, namiestnik, hr. Gołuchowski, z łatwej do odgadnięcia przezorności, nie kazał zwrócić Błockiemu, potrzebny jest dla objaśnienia krótki komentarz. W cyrkułe lwowski były fałszywe alarmy, ale nie przyszło do żadnego wybuchu. Horazana, gdzie się w lutym roku 1846 rozgrywały krwawe sceny, znane z dokładnego opisu jednego z uczestników ruchu, podlegała kompetencji starosty samborskiego. Starosta lwowski, Milbacher, kazał zatem mobilizować chłopstwo z kosami bez konkretnego powodu, niejako z przezorności. Uczynił to z własnej inicjatywy i na własną rękę, a dopiero po dokonanej fakcie doniósł gubernium galicyjskiemu w sposób ogólnikowy, dodając przytem z oburzającym tryumfem biurokraty te słowa: „Poddani z radością

<sup>1)</sup> W akcie mylnie: Błońskiego.

chwytają za kosy dla utrzymania spokoju i chwytania powstańców“, — których, nb., wcale nie było pod Lwowem.

Jeżeli takie nakazy wydawał starosta lwowski, niezagrożony wybuchem, a w dodatku mogący każdej chwili ustnie zaalarmować gubernium i na oczekaniu otrzymać zbrojną asystencję z załogi lwowskiej, to cóż dopiero zawierać mogły, nawet zawierać musiały, ustne i niezaprotokołowane, lub pisemne, wprawdzie lakonicznie z numerem zaprotokołowane, ale jak przez Milbachera wprost w oryginale, a nie w czystopisie, więc bez pozostawienia śladu archiwalnego ekspedywane i na zawsze już dla historyka stracone, rozporządzenia i rozkazy w cyrkułach naprawdę zagrożonych, zwłaszcza w cyrkułach Tarnowskim i Bocheńskim! A dalej, jeżeli tak dziko postępował Milbacher, wprawdzie w pamięci źle zapisany, ale nie najbezwzględniejszy jeszcze starosta galicyjski z roku 1846, to cóż dopiero pozwalać mógł sobie taki Bernd w Bochni, bezwzględny z natury, a do tego podniecony mściwością za śmierć syna, porucznika, poległego w pierwszych utarczkach powstańców zachodnio-galicyjskich z wojskiem austriackim, to na cóż zdobyć się mógł taki istny potwór, jak Breinl w Tarnowie. A trzeba jeszcze i to zaznaczyć, że Bernd i Breinl mało pisali, a za to ustnie zalecali i rozkazywali na konferencyach z wójtami i delegatami gmin wiejskich, że nadto Breinl, sprytniejszy i nierównie przebieglejszy, niż jego koledzy, na widok europejskiego rozgłosu wypadków tarnowskich, pewnie nie zaniechał poniszczyć pisemnych śladów swoich nadużyć, zanim jeszcze zjechał do Galicji wysłany z Wiednia, dla zasiągnięcia informacji, radca kancelaryi nadwornej, a późniejszy gubernator, Wacław Zaleski. W tej dobie zatem tak *verbu*, jak i *scripta* — *volant*.

Gdyby takich hajdamackich starostów poskramiało było przynajmniej poczucie odpowiedzialności wobec najwyższego szefa władzy krajowej, generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda, tak znanego z ludzkości i dobroczynności, że nikt przypuścić nie mógł, aby tolerować i osłaniać zęchiał rozpętanie krwiożerczych instynktów chłopstwa. Tutaj właściwie pokazuje się, jak nadużyta została ta firma przez występłą biurokrację. Wyszło bowiem z gubernium lwowskiego, gdzie br. Krieg wszechwładnie panował, już po pierwszych chybionych ruchach powstańczych, po pierwszych mordach w Tarnowskim, o których do Lwowa doszła może jeszcze nie dość dokładna co do szczegółów, ale niezawodnie urzędowa wiadomość (23 lutego 1846 roku), okólnikowe rozporządzenie do szesnastu starostów tej treści, że „z powodu wybuchłego już powstania w kilku cyrkułach, poleca się urzędom cyrkularnym wysyłanie urzędników do wsi, aby wzywali poddanych do współdziałania, do stawiania oporu powstańcom i do ich

chwytania". Dziś polecenie takie mogło-by wydać się uzasadnionem ze stanowiska władzy, uprawnionej, nawet obowiązanej do wezwania pomocy lojalnych żywiołów dla stłumienia ruchu powstańczego. Ale nie zapominajmy o tem, że ten lojalny żywioł chłopski był przedtem przez biurokrację programowo i systematycznie podniecany przeciw szlachcie, jako swojej dręczycielce pańszczyźnianej, że dalej do współdziałania w tłumieniu ruchu używali chłopstwa ci sami komisarze cyrkułowi, którzy przedtem zjeżdżali do wsi na komisye, i na każdym kroku objawiali dążność do pogłębiania przepaści między dworem a gromadą. W danej chwili zatem powyższe rozporządzenie gubernialne stanowiło w oczach starostów i komisarzy, skłonnych do hajdamackiej akcji represyjnej, rozgrzeszenie *a priori* z wszelkich aktów samowoli.

Nie ocknęło się gubernium nawet wtedy, gdy—biorąc nawet na uwagę ówczesne prymitywne, a nadto jeszcze wypadkami wyjątkowo utrudnione, stosunki komunikacyjne, — już stanowczo o tem wiedzieć musiało, że w kraju krew się leje nie tylko wśród walki otwartej, która nie pozwala z góry ani przewidzieć, ani oznaczyć miary i stopnia surowości represyjnej, lecz wśród rzezi, niegodnej państwa cywilizowanego, w połowie XIX stulecia.

Już w pierwszych dniach rzezi tarnowskiej, starosta sąsiedniego cyrkułu, Sądeckiego, dokąd także zaraz wtargnął prąd hajdamacki, przedstawił prezydum gubernialnemu „obraz okrucieństw zbiegającego się chłopstwa z prośbą o wysłanie wojska“. Załatwienie gubernialne tej relacji ujęte zostało w utartą, ale w tym wypadku wprost grozą przejmującą formułę biurokratyczną: „*ad acta*“. Niechżeż więc za to dziś sprawa ta przejdzie—do aktów trybunału historii. Niemal równocześnie wpłynęła druga relacya od starosty cyrkułu Jasielskiego, także sąsiadującego z Tarnowem, „z wielką prośbą o pomnożenie posterunków wojskowych dla poskromienia rozbestwionych tłumów chłopskich i z oznajmieniem, że sam starosta, wskutek wrażeń, doznanych na widok nieszczęścia, widział się zniewolonym oddać kierownictwo urzędu pierwszemu komisarzowi cyrkułowemu“. Gubernium nie było tak wrażliwe, jak starosta jasielski, bo nie zarządziło pomnożenia posterunków. Starosta lwowski, Milbacher, który pewnie wtajemniczony był w zamysły i plany gubernialne z blizkiej osobistej styczności z prezydentem, br. Kriegem, wystosował doń w drugiej połowie lutego 1846 roku pismo, w którym donosząc, że Samborski sąd karny zamierza wdrożyć śledztwo przeciw sprawcom mordów w Horozanie, przedstawia potrzebę „surowego wzbronięcia takich kroków niestosownych, mogących pociągnąć za sobą szkodliwe następstwa“. Równocześnie prezydent lwowskiego sądu apelacyjnego,



Enzendorfer, więc głowa sądownictwa, najwyższy w kraju stróż wymiaru sprawiedliwości, odniósł się do prezydum gubernialnego wprawdzie bez tak wyraźnego podniesienia obawy przed „szkodliwymi następstwami“ ścigania zbrodniarzy, ale niezawodnie z pokrewnych tej obawie motywów politycznych z przedstawieniem, że należało-by porozumieć się co do traktowania „nadużyć“, przez chłopstwo popełnionych. Prezydyum gubernialne, załatwiając oba pisma, Milbachera i Enzendorfa, „pouczyło 28 lutego 1846 starostów i delegowanego do dochodzeń karnych radcę sądowego, Wotawę, że „zabójstwa, skaleczenia i inne gwałty, popełnione przez poddanych przy odpiernaniu powstańców i celem ich odstawienia, mają być uważane za akt obrony koniecznej“. W chwili, gdy w ten sposób we Lwowie myślano tylko o zasłonięciu zbrodniarzy przed odpowiedzialnością kryminalną, a żądanie wojskowej interwencji zbywano milczeniem, wiedzieli już wszyscy, że na żadnym punkcie organizacja powstańcza nie doprowadziła do niebezpiecznego wybuchu, że nawet w cyrkułe Tarnowski, najwięcej zagrożonym, chłopstwo od pierwszej chwili nie znajdowało się w stanie obrony koniecznej, lecz było stroną atakującą, i to atakującą garstkę szaleńców, z góry na doszczętną zagładę skazanych.

Równocześnie złożono w gubernium lwowskiem „do akt“, więc do kosza, szlachetnem oburzeniem podyktowane przedstawienie jednego z urzędników Złoczowskiego cyrkułu (Schumana), który z narażeniem się, jeżeli nie na obwinienie o udział w spiskowaniu, przed czem zasłaniało go niemieckie nazwisko, to co najmniej na zarzut arogancyi, wprost do prezydyum gubernialnego wniósł przedstawienie, że chłopom należy odebrać kosy dla zapobieżenia niechybnym nadużyciom. Byłby ten uczciwy urzędnik dobrze popamiętał swój śmiały krok, a jego pismo z pewnością nie było-by poszło do kosza, lecz do rąk surowej komisji dyscyplinarnej, gdyby prezydyum gubernialne nie lękało się było nadania sprawie rozgłosu, gdyby było tak pewnem siebie, jak się to ze stanowczości jego rozporządzeń wydawać mogło. Ale w otoczeniu br. Kriega uczuвано już wtedy potrzebę pomijania milczeniem takich głosów przestrogi, aby się na wszelki wypadek zasłonić przed Wiedniem, dokąd zaczynały skądinąd dochodzić wieści o rzezi, niezgodne z lwowskimi relacyami o niebezpieczeństwie grożącym Austrii i o patriotycznych chłopach, odpiernających ataki powstania w stanie obrony koniecznej. Musiały te wieści pochodzić od poważnych osób, skoro kanclerz, hr. Inzaghi, wydał 26 lutego 1846 roku, drogą niezwykłą, bo bezpośrednio bez poprzedniego porozumienia się z gubernium lwowskiem, polecenie do pięciu starostów (w Wadowicach, Bochni, Tarnowie, Rzeszowie

i Przemysłu), aby koniecznie starali się przywrócić uspokojenie między rozbestwionem chłopstwem. Gubernium otrzymało dopiero później zawiadomienie o tym kroku centralnej władzy rządowej i nic ze swojej strony nie zarządziło. Dalszem pismem (z 2 marca) zawiadonił kanclerz, hr. Inzaghi, gubernium, że z Wiednia zjedzie na widownię krwawych wypadków radca kancelaryi nadwornej, Wacław Zaleski.

Oba te niezwykle w szablonie biurokratycznym, bo samodzielne i bezpośrednio dyspozycje władzy centralnej świadczą o tem, że w Wiedniu uczuwano w danej chwili brak pewnej informacji urzędowej o stanie rzeczy w Galicyi, a natomiast za wpływem wiadomości, skądinąd otrzymanych, budzić się zaczęła nieufność wobec podwładnego gubernium. To też gubernium to czyniło ze swojej strony wszystko, co było możliwe, aby do Wiednia nie docierały z polskiej strony autentyczne opisy rzezi, dopóki ostateczny rezultat ryzykownej akcji, to jest zupełne uchylenie przesadnie opisanego niebezpieczeństwa dla rządu przez doszczętne wytopienie i pojmanie żywiołów ruchu, nie pozwoli pokryć wszystkich bezprawi fikcją krwawego zwycięstwa w krwawej walce i rozgrzeszyć wszystkich wojenną formułą absolutyjną: *comme à la guerre!*

To też wprost nie puszczano w tych czasach do Wiednia nikogo, kto podejrzany był o zamiar wniesienia skargi do tronu, lub przynajmniej do władzy centralnej. Takim podejrzany osobom odmawiano paszportu, bez którego wyjazd do Wiednia był niemożliwy. Wdowie po jednej z pierwszych ofiar rzezi, po Karolu Kotarskim, nawet Agenor hr. Gołuchowski, ówczesny radca gubernialny, nie zdołał wyjednać takiego paszportu u br. Krięga. Było w tem dobre wyrachowanie, bo samo pojawienie się Kotarskiej w Wiedniu mogło być pomieszać szyki matadorom gubernialnym, którzy umieli nietylko w relacjach do władzy centralnej zamglić prawdziwy stan rzeczy, lecz nadto wprowadzili w błąd zagranicę przy pomocy usługowych piór biurokratyczno-dziennikarskich. Z pod tych piór wychodziły drukowane w augsburskiej „Allgemeine Zeitung“, głównem źródle informacyjnym dla całej prasy niemieckiej, korespondencje galicyjskie, fałszujące nawet notoryczne szczegóły w sposób bezczelny, a jednak na razie wielce skutecznie. Dziennik ten bowiem posiadał wtedy powagę europejską, więc oczywiście wpływał znacznie na opinię europejską.

Nie braknie wskazówek autentycznych, z których wypływa, że w Wiedniu nie miano do ostatniej chwili wyrobionego trafnego wyobrażenia o postępowaniu władz galicyjskich, lecz dopiero z luźnych faktów i szczegółów wysnuwano wnioski, nieufność zdradzające. I tak na przykład, kiedy właściciel dóbr, w Lwowskim cyrkule położonych, Józef Ubysz, wniósł w pierwszej chwili zamęt do kancelaryi

nadwornej w Wiedniu skargę na starostę Milbachera z powodu ubliżającego dla szlachty tonu jego pism urzędowych, kancelarya ta przesała skargę prezydium gubernialnemu z poleceniem, „aby zawiadomiono starostę, że jego postępowanie sprawiło zdziwienie”. Dla prezydium gubernialnego jednak, wysoko ceniącego Milbachera, nie było w tem żadnego powodu nawet do zdziwienia, gdyż, nie troszcząc się o polecenie przełożonej władzy, złożyło jej reskrypt do aktów, więc do kosza. Albo weźmy drugi przykład. Po zmasakrowaniu oddziału powstańczego pod Gdowem przez pułkownika Benedeka na czele czerni chłopskiej, polecono z Wiednia, oczywiście na wniosek, ze Lwowa przedstawiony, zarządowi Bocheńskiej kopalni soli, aby zwycięskich chłopów wynagrodzono bezpłatnem rozdaniem soli, jako zadatkem na późniejsze, z góry umówione wynagrodzenie pieniężne. Cóż dziwnego, że ówczesny służbisty kierownik tego zarządu, Wacław Franciszek Tegetthoff, bawiąc wkrótce potem w Wiedniu, na własną rękę rozpiisał subskrypcyę pieniężną na rzecz „dzielnych chłopów galicyjskich”, i zamierzał wynik jej ogłosić w dziennikach wiedeńskich. Tymczasem prezydent najwyższej władzy policyjnej (hr. Sedlnitzky) pewnie nie bez ważnego powodu, uznał ów zamiar Tegetthoffa za „niedopuszczalny z wielu względów”, i kazał prezydium gubernialnemu we Lwowie tak samo postąpić co do tamtejszych dzienników.

Mając jednak po swej stronie sukces, w swoim wyobrażeniu dla państwa i rządu bardzo ważny, chociaż okupiony niepotrzebnie strumieniem krwi i stekiem najdzikszych wybryków podbechtanej czerni chłopskiej, prezydium gubernialne we Lwowie nie trwożyło się objawami refleksyi w kołach wiedeńskich, i już nawet po wyjściu na jaw wszystkich tych wybryków, po stłumieniu wszystkich ruchów powstańczych, trwając w zaciekłości swojej, czy nie mogąc powstrzymać się na pochyłej drodze, nietylko nie wystąpiło z silną represyą przeciw ponawianiu się tych wybryków, lecz nawet ignorowało po prostu błagalne głosy najpoważniejszych obywateli w kraju o wysłanie asystencyi wojskowej z powodu groźnej postawy chłopstwa. Taki na przykład głos Leona ks. Sapiehy z Krasiczyna zakomunikowano chłodno staroście w Przemyślu (w kwietniu 1846 roku), „pozostawiając mu uwzględnienie prośby według możliwości”, co znać, że wszystko pozostawiono jego dobrej woli. Starosta ten, mając w swych rękach dyskrecjonalną władzę, zrobił z niej użytek, godny historycznego upamiętnienia. Wydał bowiem rozporządzenie, że szlachcie, napływającej z całego cyrkułu do Przemyśla pod osłonę władzy, przebywanie w tem mieście nie będzie dozwolone. Prezydium gubernialne przyjęło to zarządzenie „do wiadomości”, nie troszcząc się oczywiście dalej o losy szlachty. Jaką była jej dola ówczesna, to jeden z żyjących

jeszcze świadków ówczesnych (Edward Micewski z Tuczeup) z własnej inicjatywy przedstawił piszącemu w liście prywatnym, który tak opiewa: „Pamiętam doskonale rok 1846. Urzędy bardzo obojętnie patrzyły na popełnione zbrodnie i tolerowały wszystko. Jednakże gdy wreszcie polecono stłumić w Jasielskiem i Sanockiem rozhukanę, szalone chłopstwo, starosta przemyski wysłał komisarza, Neussera, z rozkazem poskromienia buntu. Ten nie rozumiał żartów, postępował z całą energią, i po niejakiem czasie zapanował spokój. Gdy zdał o tem raport staroście, ten tak się wyraził: Spodziewałem się, że Pan dłużej pozostawisz szlachtę w opałach; coś Pan uczynił, to idzie na pańską odpowiedzialność. Te słowa z ust samego Neussera słyszałem; podaję je, jako ciekawy szczegół owej epoki. Gdy się zdawało, że nieszczęsna rabacya (tak nazywano ówczesną hajdamaczyznę) zbliża się ku Jarosławiu, w którego pobliżu, mając majątek ziemski, mieszkaliśmy, ojciec mój i ja z nim wyjechaliśmy dla schronienia się do Przemyśla. Starosta jednak kazał nam natychmiast opuścić miasto, i tylko za wstawieniem się komisarza Neussera zezwolił nam pozostać. Jednakże pod warunkiem, żebyśmy nie wychodzili z domu i nie pokazywali się w mieście, aż chyba późnym wieczorem“.

Historyczny dekorator działalności biurokracyi austriacko-galicyskiej z roku 1846, br. Sala, zaćmiwszy — bardzo zresztą ogłędnie i delikatnie — tę aureolę patryotycznego bohaterstwa, jaką Breinla opromienili pamfletyści niemieccy, *à la* Sacher-Masoch, mniemał, że, dawszy w ten sposób dowód bezstronności, może tem śmieiej odeprzeć i nawet oszczerstwem nazwać podniesione z polskiej strony zarzuty, iż niektórzy urzędnicy cyrkularni nietylko biurową swoją działalnością przyczynili się do katastrofy, lecz nawet bezpośrednio udziałem swoim dodawali animuszu bandom hajdamackim. I tutaj znowu szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczamy poznanie aktu urzędowego, więc dokumentu autentycznego, który nietylko w innem świetle stawia owe wrzekome oszczerstwa polskie, lecz nadto rzuca fatalny cień na prawdomówność br. Sali.

Dokument ten tyczy się młodego urzędnika cyrkularnego, Vitzthuma, który w roku 1846 stał się głośnym w cyrkule Bocheńskim, głośnym z tego, że opinia posądzała go wprost o uczestnictwo w wyprawach chłopskich na dwory szlacheckie, w masce, do okoliczności i sytuacji zastosowanej, bo w ubraniu chłopskiem. Ten Vitzthum ściągnął na siebie w swoim czasie wiele oskarżeń, wniesionych do przełożonej władzy, ale, mimo to wszystko, byłby wyszedł bez szwanku z tych opalów, gdyby nie fakt, że także osobistość, dobrze w opinii rządu zapisana, padła ofiarą jego niegodziwości, i widocznie nie licząc na to, żeby w prezydyum gubernialnem znaleźć mogła satysfak-

cyę, odniosła się ze skargą swoją wprost do kancelaryi nadwornej w Wiedniu. Według szablonu biurokratycznego, skarga ta przesłana została prezydium gubernialnemu, które, tym razem, nie mogło już złożyć sprawy „do aktów”, jak tyle innych skarg szlachty z roku 1846. Za to jednak umiano sprawę tak pokierować, żeby z wielkiej chmury spadł na Vitzthuma tylko mały deszczyk dyscyplinarny. *Ut aliquis fecisse videatur*, wytoczono przeciw Vitzthumowi dochodzenie w sposób taki, żeby szczegóły i samo zakończenie pozostały na zawsze ukryte w tajnikach prezydyalnych. Przypadek jednak zrządził, że akt dochodzenia, zapewne wśród późniejszego rozgardyaszu archiwalnego przy organizacji nowych rządów administracyjnych, dostał się między stopy innych aktów, dla wielu oczu dostrzegalnych i dla wielu rąk dotykalnych. Warto go przekazać historyi ściśle w tej formie, w jakiej się dotąd utajony dochował.

Oto dosłowny przekład z niemieckiego:

„Elżbieta z br. Przychockich Dydyńska i Franciszek br. Przychocki, wnieśli do c.-k. kancelaryi nadwornej podanie, w którem proszą o satysfakcyę za zniewagę, wrzekomo wyrządzoną ich ojcu, właścicielowi dóbr, Aleksandrowi Przychockiemu, przez gubernialnego praktykanta konceptowego, Vitzthuma, oraz o odszkodowanie z powodu spłodowania ojcowskiego majątku przez chłopów. Według osnowy tego podania, miał Vitzthum w czasie rozruchów, gdy w Dziekanowcach od zgromadzonych chłopów otrzymał wiadomość o zrabowaniu dworu Przychockich w Sierakowie, czyn ten pochwalić i powiedzieć przytem, że baron jest taki sam lajdak, jak wszyscy inni, i że słusnie go taki los spotkał. Wskutek tego podania, poleceno staroście w Bochni bliższe zbadanie postępowania Vitzthuma, politycznego zachowania się właściciela dóbr, Aleksandra br. Przychockiego i jego dzieci w czasie powstania, wreszcie powetowanie szkody, przez rabunek zrządzonej, o ile to jest możliwem i winni mogą być wysledzeni. W przedłożonej relacyi donosi starosta w Bochni, że w sprawie odszkodowania już przedtem wydano zarządzenie, że zrabowane przedmioty, o ile je u poddanych znaleziono, zostały im odebrane i właścicielom zwrócone, a równocześnie zarządzono przez urządowanie ustanowionych mandataryuszy sprawdzenie istoty czynu co do popełnionego rabunku i przesłano sprawę sądowi karnemu do urzędowania. Do relacyi dołączony jest wykaz przy rewizyi w gminie Sieraków i Nowawieś znalezionych, a ze zrabowanego dworu sierakowskiego pochodzących efektów, które rodzinie Przychockich zwrócono. Co do postępowania Vitzthuma, starosta bez wdrożenia formalnego dochodzenia zasięgnął jedynie informacji w sposób, w oko niewpadający, polecając komisarzem cyrkularnym,

Vajdzie i Gedlowi, aby w formie pogadanki wybadali świadków wymienionych w podaniu do kancelaryi nadwornej. Rezultat jest następujący: Według sprawozdania komisarza cyrkularnego Gedla, administrator parafii dziekanowieckiej, ks. Wieczorek, i szynkarz w Sierakowie, Broniewski, potwierdzali w rozmowie, że Vitzthum wobec poddanych dziekanowieckich, od których otrzymał wiadomość o zrabowaniu dworu w Sierakowie, czyn ten pochwalił i do administratora parafii, ujmującego się za starym Przychowskim, powiedział głośno, że „słusznie mu się to stało, bo jest taki sam łajdak, jak wszyscy inni“. Według dalszego oświadczenia ks. Wieczorka, miał Vitzthum chłopom prowadzącym dzierżawę Jaworskiego, wydać rozkaz, aby zdarli z niego futro lisie. Według opowiadań komisarza cyrkularnego Gedla, ma Vitzthum z powodu poruczonych mu spraw wielu nieprzyjaciół i zapewne z tej przyczyny posiada złą opinię w cyrkułe Bocheńskim. W sprawozdaniu komisarza cyrkularnego Vajdy przedstawiony jest Vitzthum, jako człowiek niezwykle lekkomyślny i niedoświadczony. Podczas ważnych misyji, poruczonych mu w czasie powstania, postępował w sposób nierozsądny i proklamował w gminach poddańczych uwolnienie od pańszczyzny. W tym czasie miał być zawsze w stanie wzburzonym, zapijać się, a wysłany do Limanowy, przez swoją nieroztropność dał tam powód do nieporozumienia, które łatwo doprowadzić mogło do krwawych ekscesów i zażegnane zostało tylko dzięki oględności komisarza cyrkularnego, Grohmana. O Vitzthumie obiegają zresztą w obwodzie Bocheńskim rozmaite wieści. I tak np. mówią, że przy rozdzielaniu pieniędzy składkowych i przy zakupie zboża nie postępował w sposób całkiem nieposzlakowany, że w czasie rozruchów w kilku miejscowościach przywłaszczył sobie kosztowne przedmioty. Wieści te znajdują poniekąd wiarę ze względu na wpadające w oko a z dochodami conceptowego praktykanta gubernialnego w żadnym stosunku nie stojące wydatki, które Vitzthum, notorycznie nie posiadający majątku, na życie łożył. Co do politycznego zachowania się rodziny Przychockich, donosi starosta, że ojciec, Aleksander, który umarł ze zgrzyoty po zrabowaniu jego majątku, a do którego odnosiły się powyżej przytoczone słowa Vitzthuma, był człowiekiem honorowym i wcale nie mieszał się do knowań politycznych. Służył on niegdyś w galicyjskiej gwardyi szlacheckiej, był potem cyrkularnym komisarzem, ustąpił po kilkoletniej służbie, został przez cesarza Franciszka I mianowany kuratorem klasztoru benedyktynek w Stamiątkach i odznaczony krzyżem kawalerskim orderu Leopolda. Podpisane na podaniu do kancelaryi nadwornej dzieci Aleksandra, Franciszek, Eliza i Walerya Przychoccy, nie brały udziału w knowaniach politycznych i wogóle nie miały

zgoła żadnego znaczenia politycznego. Najstarszy zaś syn, Teodor Przychocki, z powodu obwinienia o udział w wypadkach rewolucyjnych, pozostawał w śledztwie sądowo karnem, ale został potem uwolniony i był w Gratzu internowany.“

Więc Vitzthum, według świadectwa kolegów, dwóch komisarzy cyrkularnych, biurokratów, co najmniej pobłażliwie traktujących nadużycia ówczesne, był hultajem na wielki kamień, upijał się i żył nad stan, pochwalał rabunki przez chłopów dokonane, a nawet kazał rządzącę Jaworskiego z futra obrabować, przywłaszczał sobie kosztowne przedmioty z dworów w sposób łatwo odgadnąć się dający, wreszcie sprzeniewierzał grosz publiczny. Cóżby dopiero byli zeznali ludzie pokrzywdzeni, jeżeli koledzy-biurokraci, wysilający się na pobłażliwość, tytu nikczemności, jako notorycznych, już absolutnie ani ukryć, ani usprawiedliwić nie próbowali. Ale pokrzywdzonych nie słuchano i nie pytano o nic, chociaż ofiarą i skarżącym był dawny komisarz cyrkularny, Przychocki, obywatel pewnie lojalny, skoro odznaczony został wysokim orderem Leopolda. Prezydium gubernialne dyskretnie poprzestało na informacjach, zasięgniętych w sposób „w oko nie wpadający“. Za to dziwoląg ten tak wpada w oko, że sam jeden wystarcza do zachwiania wiarogodności hr. Sali, co do jego protestu przeciw polskiem „oszczerstwom“, na biurokracyę rzucanym.

Jeżeliby tylko starosta bocheński krępowany był wobec Vitzthuma, a prezydium gubernialne było istotnie tak niewtajemniczone w nadużycia, jak to br. Sala w swoim dziele przedstawił, to już po takim, przez samo gubernium napisanem, resumé skargi i szczegółów sprawdzonych, wypadałoby oczekiwać gromów, ciśniętych na starostę bocheńskiego i wymiaru jakiej kary na Vitzthumie. Tymczasem prezydium gubernialne nie wysłało do kancelaryi nadwornej żadnej relacji, nie dało skarżącej stronie żadnej, chociażby frazesowej, satysfakcyi, nie wytknęło nawet Vitzthumowi nadużyć, lecz przewlekłszy sprawę do wiosny roku 1847, wystosowało do starosty w Rzeszowie, gdzie już wtedy przebywał przeniesiony do tego cyrkulu Vitzthum, następujące rozporządzenie: „Załączona relacya starosty bocheńskiego wraz z dodanemi do niej opiniami komisarzy cyrkularnych, Vajdy i Gedla, poimformuje WPana o niewłaściwościach, zarzuconych zostającemu obecnie w służbie przy Rzeszowskim urzędzie cyrkularnym, gubernialnemu praktykantowi konceptowemu, Vitzthumowi, z czasów, gdy tenże służbę pełnił w bocheńskim urzędzie cyrkularnym, mianowicie z czasów powstania, oraz o wątpliwościach wyrażonych co do jego charakteru nieposzlakowan-go. Komunikuje się WPanu ten akt z wezwaniem, abyś na tego zresztą z gorliwo-

ści i zręczności korzystnie znanego urzędnika, którego nieroztropne i niewczesne wyrażenia, jeżeli je rzeczywiście wypowiedział, tylko panującym wówczas wzburzeniem dadzą się usprawiedliwić, zwracał w przyszłości uwagę, zalecał mu usilnie spokój i umiarkowanie w urzędowaniu, a przytem wyrobił sobie należytą opinię o jego moralnym zachowaniu się i jego prawości, donosząc o ewentualnych ujemnych spostrzeżeniach w tej mierze“.

Oczom własnym nie chce się wierzyć, że przelożona władza, zamiast skarcić takiego hultaja, wystawia mu świadectwo pochwalne jako „urzędnikowi znanemu korzystnie z gorliwości i zacności“, mieniając jego czyny i oczywistą kwalifikację kryminalną tylko „niewłaściwościami“ i to jeszcze „usprawiedliwionemi panującym wzburzeniem“, każe staroście rzeszowskiemu dopiero „wyrabiać sobie należytą opinię o prawości“ — nikczemnika. Ten jeden fakt uzasadniałby już dostatecznie ujemny sąd o biurokracyi z 1846.

Nie wiemy, jaką opinię wyrobił sobie ostatecznie starosta rzeszowski o Vitzthumie, ale opinia o prezydium gubernialnem w tej sprawie może być tylko jedna, to jest ta, że wobec Vitzthuma było krępowane tak samo, jak starosta bocheński — poczuciem wspólwinny i wspólnej odpowiedzialności. A br. Sala tak się oburza w swoim dziele na podobne twierdzenia, ze strony polskiej podnoszone — Skoro, jak się sam w swoim dziele chwali, miał w ręku wszystkie akta gubernialne, to i o sprawie Vitzthuma posiadał urzędowe dane. Nie wiemy, czy akt przez nas przytoczony znajdował się w ręku br. Sali w chwili, gdy się zabierał do pisania swojej „historyi“, ale że miał go w ręku w roku 1847, jako ówczesny radca gubernialny, stojący najbliżej wielkiego ołtarza, to fakt najpewniejszy pod słońcem. Na samym akcie bowiem umieścił prezydent br. Krieg następujący dopisek (oczywiście po niemiecku): „Panu radcy gubernialnemu, baronowi Sali, do uprzejmego przejrzemia po ekspedycyi“. Br. Sala przejrzał akt niezawodnie, bo stwierdził to na nim swoim własnoręcznym podpisem. Mniemamy, że już ten jeden szczegół wystarcza do zachwiania powagi źródłowej, którą br. Sala dla swojego dzieła windykuje, a której mu nawet polska krytyka historyczna nie zaprzeczyła w sposób stanowczy. Br. Sala jest autentycznym, o ile chodzi o przytoczenie aktów popierających jego dążności do rehabilitacji biurokracyjnych działaczy z roku 1846, ale ukrywając lub pomijając milczeniem takie dokumenta historyczne, jak akt powyższy, lub przedtem podane hajdamackie rozporządzenia starosty Milbachera, do mandatarjusza Błockiego, już nietylko uchybił ścisłości, lecz nawet dopuścił się skrzywienia obrazu historycznego.



W obrachunku winy i odpowiedzialności za rzeź galicyjską z r. 1846 na szali ciężko dziś zaważyć musi jeden argument natury negatywnej, ale wiele mówiący. Argument ten sformułować można w pytaniu: dlaczego na wszystkie współczesne, całą Europę obiegające i o pomstę wołające oskarżenia biurokracyi galicyjskiej, nie odpowiadano takim autoryzowanym urzędowym przedstawieniem genezy i przebiegu krwawych wypadków, o jakim, jak to z aktów się okazuje, początkowo na seryo myślano w wiedeńskich kołach rządowych. Wyszło nawet w tym duchu w roku 1847 cesarskie polecenie, którego nie wykonano ani w swoim czasie, ani później. Dzieło br. Sali nie może uchodzić za taką autoryzowaną odpowiedź rządu, bo sam autor w przedmowie zaznacza to wyraźnie. Wprawdzie w roku 1846 i 1847 biuro prasowe, nie zorganizowane w sposób dzisiejszy, ale mimo to gorliwie i wydatnie funkcjonujące w ówczesnym aparacie rządowym, zasypywało z Wiednia i ze Lwowa zjednane dla obrony pisma zagraniczne, (w pierwszym rządzie wspomnianą już wyżej augsburską „Allgemeine Zeitung“), korespondencyami, piętnującymi nazwą oszczerstwa wszelkie obwinienia biurokratów galicyjskich o przyczynienie się do krwawego przebiegu wypadków, a zarazem przedstawiającymi cały wybuch jako straszliwe, na mordy obliczone, sprzysiężenie komunistów, wogóle żywiołów wyrotu społecznego, do spółki z emigracją polską, działającą pod hasłem narodowem, ale zawsze w duchu jakobińskich tradycyi, przekazyanych porozbiorowemu społeczeństwu polskiemu ze schyłku XVIII stulecia; ale wszystkie te filipiki nie zdołały zagłuszyć głosów przeciwnych, rozbrzmiewających równocześnie w wybitnych liberalnych organach europejskich i w parlamentach. Straszydło jakobinizmu, które od chwili genezy swojej tyle razy nieocenione oddało usługi dyplomacyi europejskiej kosztem oczywistej prawdy, mogło jeszcze i w tych czasach być wydobyte z rupieciarni dyplomatycznej in usum oficjalnego świata, uważającego mowę za dar boży, dany człowiekowi dla ukrywania myśli; i rzeczywiście też, obok komunizmu wydobyte zostało przez ks. Metternicha w jego notach ówczesnych; ale opinia zachodniej Europy, dla której sprawy polskie nie były już, jak przed kilkudziesięciu laty, terra incognita, nie dała się tak łatwo w błąd wprowadzić.

W półtora roku później, w roku 1848, nawet ze stanowiska interesów zagranicznej polityki austriackiej potrzebnem, wprost koniecznem było takie autoryzowane odparcie oskarżeń z r. 1846, o jakim pierwotnie w Wiedniu myślano. Pokazało się bowiem, że ks. Metternich nie zdołał nawet zagranicznego świata dyplomatycznego przekonać o bezpodstawości tych oskarżeń, skoro, jak się to okazuje

z dokumentów przez br. Helferta<sup>1)</sup> ogłoszonych, lord Palmerston z okazji obłożenia przez marszałka Radetzkiego wielką kontrybucją magnatów lombardzkich, wtedy poza krajem przebywających, nie zawahał się w rozmowie z austriackim ambasadorem uczynić jego rządowi zarzutu, że w r. 1846 wywołał rzeź w Galicyi. Austriackim ministrem spraw zagranicznych był wtedy Feliks ks. Schwarzenberg, niezmiernie drażliwy o powagę i honor Austrii, ale nadto dbały o swój dżentelmański charakter nawet w polityce, aby posługiwać się zechciał wykrętnymi środkami. Gdyby wtedy ks. Schwarzenberg mógł być w Wiedniu z aktów o r. 1846 powziąć niezłomne przekonanie, że postępowanie organów rządowych w Galicyi było zupełnie nienaganne, byłby zapewne zaraz spowodował wykazanie cesarskiego rozkazu co do autoryzowanego przedstawienia genezy i przebiegu krwawych wypadków roku 1846, a już co najmniej byłby wobec Palmerstona wystąpił tak energicznie, aby za obrazę dane było zupełne zadośćuczynienie. Tymczasem ks. Schwarzenberg postąpił sobie w tej sprawie w taki sposób, jak gdyby chciał ubić niemłą kwestyę raz na zawsze, warując jakie takie pozory gniewu za krzywdzące uchybienie. Takie wrażenie bowiem sprawia nota ks. Schwarzenberga z 30 listopada 1848 roku, wystosowana do ambasadora austriackiego w Londynie, a którą dosłownie przytaczamy: „Widzę z Pańskiej relacji z 20 listopada — pisze książę Schwarzenberg — że lord Palmerston, mówiąc o polityce rządu cesarskiego wobec Włoch, pozwolił sobie imputować mu rzeź galicyjską z roku 1846 i wogóle w rozmowie z Panem przybrać ton, którego reprezentant Austrii nie może znosić bez narażenia powagi swojego dworu. Wobec tego wzywam Pana, abys odtąd z pierwszym sekretarzem stanu utrzymywał tylko stosunki czysto urzędowe, a przedewszystkiem, abys nigdy nie wchodził z nim w dyskusye o kwestiach politycznych. Będziesz Pan tylko wywiązywać się z poleceń ode mnie otrzymanych i przyjmiesz jedynie ad referendum wszystko, co on Panu powie“.

Trzeba jeszcze dodać, że Palmerston wcale nie przeraził się taką zmianą w postępowaniu ambasadora austriackiego i śnać nie obawiał się zaostrenia konfliktu o powyższą sprawę, skoro dalej dokucał Austrii z powodu aktualnej wówczas sprawy włoskiej tak dalece, że aż przyszło do zamanifestowania żalu wobec samego dworu angielskiego. Po zaszłej bowiem wtedy w Austrii zmianie osób na tronie, nie wysłano z Wiednia do Londynu, jak do innych dworów, Ar-

1) J. A. Frh. v. Helfert: „Geschichte Oesterreichs von Ausgange des Wiener October-Aufstandes 1848“, Prag 1870 — tom IV (w anekdach).

cyksięcia z listem nowego cesarza (Franciszka Józefa II), lecz po-  
przestano na zwyczajnej dyplomatycznej notyfikacji jego wstąpienia  
na tron. Do demonstracji tej ks. Schwarzenberg dodał reprezentan-  
towi austriackiemu na dworze londyńskim komentarz, w którym lord  
Palmerston nazwany został „zaciekłym nieprzyjacielem Austrii”  
i „zdeklarowanym protektorem buntowniczych poddanych cesarza”.

Czy na ks. Schwarzenberga wpłynęła tak bardzo spuścizna ar-  
chiwała, objęta po poprzedniku, ks. Metternichu, że poniekąd płazem  
puścił, a w każdym razie bardzo niedostatecznie powetował zuiewa-  
gę, Austrii wyrządzoną? Czy spotkał się może w tej spuściznie z do-  
wodami, lub przynajmniej wskazówkami na to, że na ks. Metternicha,  
jako wszechwładnego w roku 1846 kanclerza, spada znaczna część  
odpowiedzialności za rzeź galicyjską, że zatem rację miał w tej mie-  
rze Aleksander hr. Wielopolski w swoim słynnym wówczas liście  
otwartym, w Paryżu po francusku wydanym, więc dla całej Europy  
przystępnym?

Żeby ks. Metternich przewidywał takie łotrówstwa, jakie za  
plecyma Breinla popełnione zostały przez bandy hajdamackie pod  
wodzą Jakóba Szeli, żeby, mogąc im zapobiedz, z rozmysłem nie uczynił  
tego, żeby wreszcie przy pisaniu swoich pierwszych not dyploma-  
tycznych o wypadkach galicyjskich z lutego 1846 roku miał już jakie  
pewne informacye o prawdziwym stanie rzeczy i dowody kłamliwości  
bezpośrednich relacji Breinla, a wszystko to z planem ukrył przed  
cesarzem, tego przypuścić nie można, chociażby tylko z tego powodu,  
że taki przebiegły dyplomata, jak ks. Metternich, nie byłby w takim  
razie niejako prowokował opinii europejskiej tonem, jakim tchną je-  
go ówczesne noty, znane dziś w tekście autentycznym z dzieła, wy-  
danego przez syna kanclerza <sup>1)</sup>. Dopóki jaka niespodzianka w formie  
publikacji nieznanych dotąd, sekretnych aktów kanclerskich z tej  
doby nie dostarczy innego materiału, trzeba w sądzie o roli ks.  
Metternicha w roku 1846 poprzestać na powyższym materiale  
autentycznym.


Z tego materiału okazuje się przedewszystkiem, że ks. Metter-  
nich we współczesnych pismach dyplomatycznych przedstawił repre-  
zentantom rządu austriackiego za granicą charakter wypadków gali-  
cyjskich z lutego 1846 roku w najfałszywszem świetle, mianowicie  
w ten sposób, iż chodziło tutaj nie o szalony poryw wolnościowy  
z przewodnią ideą narodu, lecz o zbrodniczy zamach komunistyczny na

---

<sup>1)</sup> „Aus Metternich's nachgelassenen Papieren“, Wien, 1883 (część  
druga. tom piąty).

porządek społeczny. Cele i środki tego zamachu wyglądają w tych pismach tak potwornie, że wobec nich krwawa represya, której szczególnie oczywiście zostały milczeniem pominięte, wygląda jako akt koniecznej obrony ustroju państwowego, podminowanego w fundamentach społecznych.

Dla ilustracyi przytoczymy kilka ustępów z tych pism ks. Metternicha: „Zdaje się,—pisze do ambasadora austriackiego w Paryżu, hr. Apponyiego, dnia 20 lutego 1846 roku, — że odkrycia, poczynione w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, skłoniły fakcyę komunistyczną do spróbowania zamachu w małym państewku Krakowskiem. Przedsięwzięcie jest bezmyślne, ale partya ta może podejmować tylko zamysły, odpowiadające jej duchowi. W Krakowie jest wiele pieniędzy do zabrania, jest możność terroryzowania, a mniejsza o to, co się potem stanie. Trwoga, wywołana przez tych krwiożerców (*ces buveurs de sang*), jest tak wielka, że ludzie posiadający nie mają już tyle odwagi, aby nocować w swoich pomieszkaniach. Filantropowie *quand même*, zabierając głos w sprawie polskiej, mogą używać na rzecz swoją dźwięcznych słów, ale nie mają one praktycznego znaczenia. W mojej depeszy z dnia dzisiejszego mówię o dwóch stronnictwach polskich. Jest rzeczą pewną, że stronnictwo arystokratyczne znikło, a góruje stronnictwo skrajnej lewicy. Stronnictwo to składa się z drobnych oficyalistów, z kasty szlachty zrujnowanej (zbraczej) i zapaleńców ze wszystkich klas. Propaguje ono podział dóbr i formuje się w bandy, celem atakowania klasy posiadającej. W Galicyi dziś chłopci sprawują policyę. Nasi włościanie są szczęśliwi i właśnie lękają się tego, żeby się nie znaleźli w dawnem położeniu swoim. Chwytają zatem agitatorów i wydają władzy“. W siedm dni później, pisze ks. Metternich do tego samego ambasadora: „Gdzie się zatrzyma i w jakim kierunku rozwinie się ruch, raz rozbudzony? Początek jego odsłonił dla właścicieli niebezpieczeństwo komunizmu. Lud galicyjski zwalcza instygatorów, gdyż odrzuca doktrynę, której nie rozumie“. Komunikując 18 marca 1846 roku hr. Apponyiemu wyciągi z papierów uwięzionego w Poznaniu Mierosławskiego, mianowicie wyciągi z instrukcyi rewolucyjnych, ks. Metternich taki dodaje komentarz: „Redaktorowie (tych instrukcyi) powiedzieli sobie, jak się zdaje: Zaczujmy od zabijania, rabowania i niszczenia, a potem przyjdzie kolej na resztę. Z tych instrukcyi pokazuje się, że były one dosłownie pojmovane przez spiskowych w cyrkułe Tarnowskiem“.

Zmora jakobinizmu, łączonego od schyłku XVIII stulecia nierozdzielnie ze wszystkiemi ruchami polskimi, widocznie tak opętała ks. Metternicha, że rozstrzygającemi dla jego postępowania były informacje, dostarczone przez agentów policyjnych, śledzących szczegó-  


nie działalność najskrajniejszych żywiołów emigracji polskiej w Paryżu i w Wersalu. Od tych agentów nadchodziły potworne wiadomości o planach zapaleńców *à la* Mierosławski i Edward Dębowski, z których pierwszy śledzony był w Poznańskim i wpadł wreszcie w ręce policyi, a drugi uwijał się po Galicyi, mimo wyteżonej czujności policyjnej, tak szczęśliwie, że nie wpadł w ręce władzy austriackiej. Dębowski padł na czele procesyi, która w roku 1846 z Krakowa wyruszyła na Podgórze przeciw nadciągającemu wojsku austriackiemu, ale jeszcze i po śmierci, której na pobojuwisku w pierwszej zaraz chwili nie stwierdzono autentycznie, tak trapił swoim wspomnieniem policję austriacką i tak się władzom przywidrywał, że starostowie urządzali formalne obławy, a nawet w rok później zarządzono rewizję wszystkich więzień i więźniów politycznych, wskutek uporczywie utrzymującej się pogłoski, jakoby Dębowski żył jeszcze, i albo dalej pełnił funkcję emisariusza z właściwą sobie bajeczną zręcznością, albo dostał się do więzienia pod fałszywym nazwiskiem.

Ze pisma, wychodzące z tych kół radykalnych i ustna propaganda ich wysłauników w Galicyi dostarczały, niestety, aż nadto wiele materiału na poparcie urojeń ks. Metternicha, jakoby chodziło głównie o komunizm i wogóle o przewrót socyalny, jakoby mianowicie partya radykalna, wpływając na lud wiejski ponętną obietnicą zniesienia pańszczyzny, usiłowała porwać go za sobą, a przytem zawładnąć szlachtą, w ten sposób sterroryzowaną, to, niestety, nie ulega wątpliwości, to jeszcze więcej utwierdzało koła rządowe w przekonaniu o trafności dotychczasowej nieszczęsnej polityki, której pierwszym fundamentalnym artykułem było takie traktowanie i forytowanie chłopą, aby on tylko od rządu oczekiwał ulgi w ciężarach pańszczyźnianych, a w cyrkułach widział swoich opiekunów i obrońców. Jeżeli jednak mężowi stanu, dzierżącemu w rękach swoich, jak ks. Metternich, ster polityki wewnętrznej i zagranicznej całego państwa, nie można darować takiego zaślepienia w poleganiu na informacjach jednostronnych, to już żadną miarą nawet złagodzić nie można ciężkiej odpowiedzialności za to, że, opierając się na chłopach, pozwalając im, jak sam mówi, „sprawować policję“, nie pomyślał wcześniej o tem, aby dzikie instynkta tej siermieżnej policyi ujęto w karby powagą władzy, ewentualnie siłą zbrojną. Że ta powaga nie wystarczy zaraz w pierwszej chwili żywiołowego wybuchu i siła zbrojna jest niedołączna, to były rzeczy jawne w Galicyi, o tem kierujące sfery w Wiedniu wiedzieć były powinny i wiedzieć mogły, gdyby, nie polegając wyłącznie na ustnych informacjach biurokracyjnych, zechciały były wysłuchać głosów poważnego obywatelstwa z kraju. Historia jest bezwzględna w potępianiu mężów stanu, któ-

rzy nie przewidywali czegoś, co zmysł polityczny bez daru proroczego przewidzieć jest w stanie. W tym wypadku nie chodziło nawet o przewidywanie rzeczy, możliwych wśród pewnych tylko komplikacji, lecz o trzeźwy pogląd na sytuację i ostrożne wzięcie pod rozwagę ewentualności, nietylko przewidzieć się dających, lecz wprost przewidywanych przez poważnych obywateli kraju.

Ks. Metternich był tak jednostronnym i zaślepionym w swoich poglądach i dążeniach, że nawet w chwili, gdy Galicja stała się już widownią najstraszniejszych nadużyć chłopskich, zamiast potężnym wpływem swoim pobudzić wszystkie czynniki do poskromienia anarchii, myślał więcej o jej wyzyskiwaniu dla swoich planów politycznych. Oddawna solą w oku była mu emigracja polska i włoska, poruszająca się swobodnie we Francyi, więc teraz skwapliwie korzystał ze sposobności wymierzenia ciosu w tego wroga swojego. Naraz tedy już nie jakobinizm polski, lecz aspiracye narodowe występują na pierwszy plan, a emigracja polska, działająca w Paryżu pod osłoną prawa azylu, uchodzi za sprawczynię całego ruchu. Stąd wypływa oczywiście wniosek, że prawo to powinno być odjęte emigrantom polskim. Życzenie takie wypowiada ks. Metternich w notach swoich do hr. Apponyiego coraz wyraźniej, w końcu, bez wszelkich ogródek, natarczywie i poleca mu, aby w tej mierze nalegał na ministra Guizota, przedstawiając mu dobitnie wspólność niebezpieczeństwa w razie dalszego tolerowania akcji emigrantów, dalej wspólność interesów a nawet wspólność myśli, którą w nocy z 18 marca 1846 roku temi słowy określa: „Chciej Pan z mojej strony oświadczyć Guizotowi, że moralnie łączę go z mojami własnymi myślami. Czego ja pragnę, tego on chcieć powinien, co ja czuję, to on także czuć powinien, co ja wiem, to i on wiedzieć powinien; a jeżeliby miało być inaczej, żałowałbym go z całej siły mojego sumienia“.

Mógł w ten sposób ks. Metternich apelować do wspólności celów i myśli z Guizotem, gdyż obaj czuli to dobrze, że pod strzeżonym przez nich systematem politycznym, wyglądającym na oko jak budowla, przez cyklopów wzniesiona, grunt już drzeć zaczyna, a dolatujące ich uszu głucho pomruki zwiastują zbliżający się kataklyzm. Ks. Metternich pozostawił między swojemi papierami, przez syna wydanemi, własnoręczne zapiski, w których zwierzył się z tych obaw. Obaj mężowie stanu przeczuwali więcej, niż przewidywali zawieruchę, która w dwa lata później (1848) zerwała się nad ich głowami i obu porwała w przepaść.

Ks. Metternich, kując energicznie żelazo, rozpalone w piekielnym ogniu rzezi galicyjskiej, straszył nietylko Guizota, lecz także sąsiadów Austrii, zmorą przewrotu społecznego. Br. Minutoli, przy-



dent policji w Poznaniu, kijowski generał-gubernator, generał Bibikow, generał Mirkowicz w Wilnie, namiestnik, ks. Paskiewicz w Warszawie, informowani byli o szczegółach ruchu galicyjskiego, oczywiście, w powyżej wskazanem oświetleniu, bądź przez poufnika Metternichowskiego, szefa policji w Wiedniu, hr. Sedlnitzkiego, bądź za jego pośrednictwem przez Gubernium Galicyjskie. Cały kartel antypolski był w ruchu i w emocji. Wobec krwawej łuny, zawisłej nad Galicyą, ks. Metternich i jego powiernik, hr. Sedlnitzky, ślepo już polegali na najdziwaczniejszych raportach, gęsto po zachodniej Europie rozsianych tajnych agentów, którzy, w popłatnym pościgu za materiałem, ciekawym dla ich chlebodawców, już dawno przed wybuchem przestali się liczyć nawet ze względami na prawdopodobieństwo, puszczając zupełnie wodze denuncjatorskie fantazji co do emigrantów włoskich i polskich. Włosi mają na to niezbite dowody, gdyż przypadkiem wpadły w ich ręce sekretne akta policji Metternichowskiej <sup>1)</sup>. Polskim rękom nie sprzyjało pod tym względem szczęście, a tym, którzy po upadku ks. Metternicha mogli zaglądnąć do archiwalnej pozostałości kanclerza, nie wiele na tem zależało, w jakim świetle były tam przez tajną policję przedstawione zamysły paryskich i wersalskich klubów polskich co do ruchu w Galicyi. Można się jednak domyślić, że na temat polskich planów spiskowych fantazja policyjna była jeszcze bujniejsza i płodniejsza, niż w sprawach włoskich, gdyż, jak powiedzieliśmy, tacy zapaleńcy, jak Dębowski, dostarczali jej szalonymi pomysłami swojemi wątku do zapowiadania nawet krwawego przewrotu na tle stosunków społecznych. Obawa, że za przykładem chłopów galicyjskich, podburzonych przeciw szlachcie obietnicą darowania pańszczyzny, rozbudzi się podobny ruch, groźny także i w innych prowincjach państwa, gdzie ciężar pańszczyźniany był z pewnością bardzo dokuczliwy, a tylko nie tak okrzyczany, jak co do spotwarzonej pod tym względem Galicyi, przejmowała wszystkie koła interesowane, oczywiście, w sposób, zapewniający aprobatę najostrzejszym środkiem represji przeciw sprawcom ruchu. Przerażały tedy wszystkich dyabły, na ścianie malowane, a tymczasem chmara rzeczywistych szatańców wyprawiała w nieszczęśliwej Galicyi orgie, o pomstę do nieba wołając: Za to ks. Metternich mógł już być pewnym, że bez oporu Rosyi i Prus, jako mocarstw, współinteresowanych protektoratem, będzie mógł zagarnąć dla

---

<sup>1)</sup> Anton Springer: „Geschichte Oesterreichs seit den Wiener Frieden 1809”. Leipzig, 1865, tom piarwszy, str. 287 i n.

Austrii Kraków, główną, jego zdaniem, kwaterę polskich żywiołów ruchu rewolucyjnego.

Od odpowiedzialności za wypadki galicyjskie z roku 1846 w określonej przez nas mierze, nie zasłonili ks. Metternicha wydawcy papierów, w spuściźnie po nim pozostałych. Spuściżna ta nie obejmuje oczywiście całego materiału kancelaryi kanclerskiej. Dla historii Galicji największe znaczenie miałyby akta, dotyczące się wydanego po rzezi podziękowania cesarskiego dla lojalnej ludności, w sprawie odznaczenia niektórych krwawych bohaterów, zasłonienia Jakóba Szeli i t. p. Akta te stanowiłyby dowód na to, że takie jątrzenie włościan przeciw dworom, jakie biurokracya uważała za główną dla siebie dyrektywę, posiadało sankcję programu politycznego. Osłonienia zbrodniarzy bowiem, a zwłaszcza odznaczenia winowajców ze świata biurokratycznego, niepodobna inaczej wytłómaczyć, jak tylko w ten sposób, że „akcyę“ chłopów i biurokratów przedstawiono monarsze, jako spełnienie obowiązku patriotycznego, a rozlew krwi niewinnej jako ubolewania godne, ale — *comme à la guerre* — do pewnego stopnia usprawiedliwić się dające, przebranie miary w środkach „obrony koniecznej“.

Ale w tej wrzekomej wojnie dla wrzekomego zwycięzcy najfatalniejsza powstała sytuacja właśnie w chwili, w której prawdziwy zwycięzca w prawdziwej wojnie, mając u stóp swoich pokonanego nieprzyjaciela, ogłasza światu swój tryumf i wyzyskuje zwycięstwo. Jeżeli ks. Metternich miał chwilę upojenia zwycięskiego, gdy czytał raport Benedeka z pod Gdowa i pierwsze relacye tarnowskie Breinla, to teraz, gdy już nie było śladu powstańców, a natomiast po dworach plądrowały zwycięskie bandy hajdamackie, ciężko okupić musiał złudzenie. Powstały bowiem kollizye, z których, bez przyznania się do strasznego błędu, trudno było wybrnąć. Całą Europę obiegały opisy krwawych scen tarnowskich i takich potwornych zbrodni, jak wymordowanie rodziny Boguszów. To też coraz natarczywiej odzywało się pytanie: czy sądy kryminalne rozpoczęły już akcyę swoją wobec notorycznych zbrodniarzy? czy Jakób Szela z pod sprzymierzeńczej opieki Breinla dostał się już do celi więziennej? A tymczasem wszyscy ci zbrodniarze, zamiast drżeć przed karą, czekali na dalsze nagrody, mianowicie na całkowite darowanie pańszczyzny. Kiedy wreszcie w Wiedniu uznano, że z akcyą kryminalną wobec hajdamaków dłużej zwlekać niepodobna, pokazało się — może chociaż wtedy ku przerażeniu sfer, dotąd złudzenia szukających — że nie można wystąpić bezwzględnie przeciw Szeli i jego podkomendnym, jeżeli okok nich nie mają równocześnie zasiąść na ławie oskarżonych także i — współwinowajcy cyrkularni! Ale sprawa kryminalna rzuca tyle światła właś-



nie na tę stronę historii roku 1846, którą w tych szkicach odsłania-  
my przed czytelnikiem, że niepodobna zbyć jej tutaj mimochodem,  
zwłaszcza wobec faktu, że i tutaj szczęśliwemu przypadkowi zawdzię-  
czamy nowe materyały, zasługujące na osobne opracowanie.

Kolizya, która powstała w sprawie ścigania i ukarania zbrod-  
niarzy bez przyznania się do strasznego błędu, mogła być przewle-  
kana i pozorami ścisłego śledztwa przed światem upiększana. Nato-  
miast druga kolizya, którą wytworzyły stosunki administracyjne  
i społeczne po skompletowaniu „zwycięstwa“, wymagała bezzwłocz-  
nego rozpoczęcia akcji zaradczej. Widok anarchii, panującej w Ga-  
licyi, widok chłopstwa rozbestwionego, odgrażającego się, że pań-  
szczyzny odrabiać nie będzie, bo ją już darowali spiskowi, a komisarze  
cyrkularni z łaski cesarskiej zupełnie ulżyć przyrzekli, wreszcie wi-  
dok bezsilności władzy, formalnie wypierającej się wszelkiego współ-  
nictwa z postępowaniem chłopskiem, a jednak w rzeczywistości po-  
padłej w zależność od niego—wszystko to wzbudzało w szlachcie in-  
nych prowincyi obawę, aby ruch nie posunął się poza granicę Gali-  
cyi. Za tą obawą poszło, oczywiście, naleganie na rząd, aby kres po-  
łożył anarchii galicyjskiej. Krótko a węzłowato odsonił Breinl  
w swoim pamiętniku trudności, jakie zachodziły w tej mierze. Cytu-  
jemy jego zdanie z rękopisu profesora Losertha: „O przywróceniu  
pańszczyzny i myśleć nie można było w danej chwili. Arcyksiążę  
Ferdynand, który sprawę tę traktował więcej z wojskowego punktu  
widzenia, niż ze stanowiska administracyjnego, był skłonny do wy-  
muszenia pańszczyzny siłą zbrojną, to musiałoby być doprowadzić  
do wojny chłopskiej“. Takie samo zdanie objawił Breinl w swoim  
czasie (1 marca 1846 roku) w relacji, bezpośrednio do kancelaryi na-  
dwornej wystosowanej. „Jedno nieostrożne słowo — mówi Breinl  
w tej relacji — mogłoby spowodować jak największe nieszczęście,  
mianowicie to, że chłopci zwróciliby się przeciw rządowi, a wtedy nie  
możnaby myśleć o tem, żeby rząd utrzymał się w kraju“. Czyż nie  
jest to otwarte przyznanie się do zależności od chłopstwa, zależności,  
sprowadzonej poprzedniem wejściem w alians przeciw ruchowi. Je-  
żeliby potrzebny był jeszcze dalszy dowód na to twierdzenie, to sta-  
nowią go słowa, jakimi Breinl w relacji do swojej przełożonej wła-  
dzy usprawiedliwia zaniechanie uwięzienia Szeli. „Byłaby to—mówi  
—rzecz niebezpieczna, jeżeliby wielka liczba gmin (jak mówią, oko-  
ło 100), które mają pokładać zaufanie w Szeli, została wzburzona te-  
raz, gdy wszystko dla ich uspokojenia podjąć należy“.

Jeżeli Arcyksiążę Ferdynand myślał, jak zapewnia Breinl, o uży-  
ciu siły zbrojnej dla poskromienia oporu chłopów w sprawie pań-  
szczyznianej, to mógł się z tem odezwać chyba we Lwowie przed wy-

jazdem na teatr rzezi (w marcu 1846 roku), gdy jeszcze nawet nie przewidywał, z jak strasznymi spotka się tam rewelacyami. Stanąwszy na tym teatrze, arcyksiążę Ferdynand zapewne nie został przez starostów, Breinla i Bernda, zupełnie szczerze poinformowany o wszystkim, co zaszło, ale, patrząc nawet na sytuację przez pryzmat biurokratyczny, musiał to od razu spostrzedz, że niepodobna wystąpić z całą bezwzględnością ani przeciw chłopom, mogącym się zasłonić cyrkularnymi instrukcjami, ani przeciw autorom tych instrukcyi, mającym na swoją obronę fakt, że postępowali ściśle w duchu systemu administracyjnego, który podtrzymywanie nieufności i zawiści między dworem a gromadą uważał za naczelny punkt programu rządzenia w Galicji. Okazuje się to z przytoczonych przez bar. Salę rozporządzeń, które arcyksiążę Ferdynand wydał 10 marca 1846 roku w Bochni do starostów na teatrze rzezi. Niema tam mowy o energicznej represyi, a natomiast polecane zostało starostom nakłanianie poddanych „z należytą dobrocią i wyrozumiałością” do spełniania powinności poddańczych. Co więcej, polecano starostom wpływanie na dwory, aby w wymaganiach swoich w tej mierze postępowały „z wszelkiem umiarkowaniem”, i odpisywały poddanym odpowiednią część powinności za straż, pełnioną podczas rozruchów”. Czemu te straże chłopskie były w cyrkule Tarnowskim pod komendą Breinla, tego po tem wszystkim, cośmy poprzednio o gospodarce Breinla, na podstawie jego pamiętnika, powiedzieli, domysłami bliżej określać nie potrzeba.

W dalszych rozporządzeniach, po powrocie do Lwowa wydanych, arcyksiążę Ferdynand zarządził wprowadzić wysyłanie asystencyi wojskowej do gmin, które nie dały się nakłonić łagodnymi przedstawieniami, ale zastosowanie środków drastyczniejszych przeciw opornym było tak ograniczone i ścięśnione zastrzeżeniami, że zakrawało na dyspozycję, wydaną... *ut aliquid fecisse videatur*. Zresztą arcyksiążę Ferdynand nie mógł już osobiście dopilnować wykonania swoich zarządzeń, gdyż w kwietniu powołany został do Wiednia na konferencję o sprawach galicyjskich. Był to tylko pretekst, pod którym postanowiono zatrzymać arcyksięcia Ferdynanda w Wiedniu i, co też później rzeczywiście nastąpiło, delikatnie zniewolić go do rezygnacyi ze stanowiska generał-gubernatora w Galicji.

Według bar. Sali, ustąpienie arcyksięcia Ferdynanda uznano w wiedeńskich kołach rządowych za konieczne dlatego, że spostrzeżono tam wreszcie, iż dotychczasowe pojmowanie ruchu galicyjskiego, jako zamachu komunistycznego, obliczonego głównie na przewrót stosunków społecznych, było fałszywe. Otrzymało bowiem bliższe informacye, według których ruch ten miał głównie charakter naro-

dowy, kierowany był przez ks. Adama Czartoryskiego i obejmował całą szlachtę polską. Odpowiedzialność za niedokładne informacje zwalono na Arcyksięcia, a nadto uznano go z powodu zbyt konserwatywnych przekonań za nieodpowiedniego do dzieła reform, za które mi zaczął się teraz oświadczać ks. Metternich w przewidywaniu, że ruch galicyjski jest tylko początkiem ogólnego europejskiego zamachu na dotychczasowy systemat polityczny.

Br. Sala znalazł w łączności roku 1846 z rokiem 1848 bardzo dogodny i zreżcznie wyzyskany środek do takiego umotywowania rezygnacyi Arcyksięcia Ferdynanda, aby jej ścisły związek z krwawymi wypadkami roku 1846 i rolą, przez biurokracyę w nich odegraną, został osłoniiony względami wyższej polityki. Ale osłona ta zbyt jest wątła. Najpierw bowiem Arcyksiążę Ferdynand, który opierał się podsuwanej mu dymisyi, mógł odpowiedzialność za niedokładne informacje o charakterze ruchu galicyjskiego zwalić na sfery wiekańskie, na ks. Metternicha, który cały świat dokoła w błąd wprowadzał bredniami swoich agentów o komunistycznych zamysłach inicjatorów i propagatorów tego ruchu, a powtórę, jeżeli chodzić miało o reformy polityczne, do których nagle uczuć miał skłonność skruszony, czy przerażony kanclerz państwa, to właśnie poważna firma członka domu cesarskiego najlepiej nadawała się do tego. Nie takie więc motywa, lecz inne, bliższe, a więcej trafiające do przekonania Arcyksięcia Ferdynanda, miały go skłonić do ustąpienia. Musiał on sam w czasie swojego pobytu w Tarnowie i w Bochni spostrzedz, że niepodobna bez narażenia na szwank całej powagi władzy wystąpić przeciw sprawcom i uczestnikom hajdamaczyzuy z całą surowością prawa, że trzeba natomiast, jak to uczynił w powyżej przytoczonych rozporządzeniach, balansować między poddanymi, wypowiadającymi posłuszeństwo, a dziedzicami, uprawnionymi do upomnienia się o należne im powinności pańszczyźniane, więc między zbrodniarzami a ich ofiarami. Była to rola dobra dla gubernatora-biurokraty, ale niegodna członka cesarskiego domu. Być może, że Arcyksiążę Ferdynand, wyjeżdżając do Wiednia, nie zdawał sobie dobrze sprawy z całej trudności swojego położenia, i dopiero w Wiedniu, jak bar. Sala mówi, niechętnie, pod łagodnym naciskiem sfer dworskich, dał się nakłonić do rezygnacyi. Że tam wywierano taki nacisk, to także tylko w ten sposób wytłómaczyć można, iż wreszcie i tam już odsłoniła się cała straszna sytuacja w Galicyi, cała krwawa konsekwencya dotychczasowego systemu administracyjnego. W grę wchodziły najwyższe interesa, bo powaga władzy i rządu, a dla ich ochrony pozostawała w tej chwili już tylko polityka półśrołków, niegodna firmy Arcyksięcia.

Do roli tej wybrano gubernatora morawskiego, Rudolfa hr. Stadioną. Wysłano go do Galicji w lecie 1846 roku w charakterze nadzwyczajnego komisarza rządowego z wyjątkowo rozszerzonym zakresem działania i z upoważnieniem do wszelkich zarządzeń, za potrzebne uznanych. Hr. Rudolf Stadion pojął swoją misję w ten sposób, jak to powyżej wskazaliśmy: zaczął balansować, zbliżając się do wybitniejszych osobistości ze świata obywatelskiego, od których przyjmował, u których niemal zamawiał sobie memoryały o stanie Galicji i potrzebnych w danej chwili zarządzeniach, a przytem, układając plany regulacji pańszczyzny w ten sposób, aby poddani, niecierpliwie oczekujący nagrody za swoje krwawe dzieło, widzieli w nim swojego wybawcę z dotychczasowej niedoli. Misja ta skończyła się na pozór pomyślnie, bo zasłoniła chwilowa przed światem rozpaczliwą dla rządu sytuację, ale w następstwach okazała się fatalną. Hr. Rudolf Stadion bowiem przeprowadził regulację pańszczyznianą bez bliższego poznania stosunków kraju, biorąc za podstawę odmienne stosunki w Morawii, wskutek czego powstała taka sytuacja, że wielu dziedziców uważać to mogło za dobrodziejstwo, żeby im wolno było zrzec się całkowicie pańszczyzny, a przytem uzyskać także uwolnienie od ciężarów, z nią połączonych. Z tym fatalnym rezultatem musiano się liczyć w Wiedniu, nietyle z dbałości o interesa szlachty galicyjskiej, ile z uwagi na wrażliwość szlachty innych prowincji i jej obawę, aby w Galicji nie powstał precedens, dla niej niepomyślny.

Dopiero w roku 1847 zaczęła się dla Galicji uśmiechać lepsza dola. Z widowni cicho znikły figury, które, jak prezydent, bar. Krieg, starosta Breinl i t. p., samem pozostaniem na swoich stanowiskach paraliżowały wszelką politykę, skierowaną ku kojeniu świeżych ran i zacieraniu strasznej przeszłości w pamięci kraju, a gubernatorem Galicji zamianowany został brat Rudolfa hr. Stadioną, Frauciszek, który w Galicji przed laty rozpoczynał nowicyat urzędniczy, szybko przebiegł potem wszystkie stopnie karyery i w chwili powołania na następcę Arcyksięcia Ferdynanda był gubernatorem w Tryeście.

Była to prawdziwa perła w ówczesnym świecie urzędniczym Austrii, był to mąż stanu wyższej miary w swojej inteligencji politycznej i w swoich aspiracjach. Gdyby nie wichrowaty rok 1848, który wprowadził hr. Franciszka Stadioną w kolizję ze społeczeństwem polskiem, w kolizję, z której, z winy obu stron, wywiązał się w końcu antagonizm, nowy gubernator byłby o wiele lat prędzej zainaugurował ten proces politycznego zbliżenia się, jaki między Austrią a Galicją rozpoczął się dopiero z brzaskiem ery konstytucyjnej.

Samem powołaniem hr. Franciszka Stadiona w roku 1847 na gubernatora Galicji sfery rządowe w Wiedniu przyznały się niejako do tego, że rok 1846, jako rezultat zgubnego systemu politycznego i niegodziwej, do granicy zbrodni doprowadzonej, metody w jego aplikacji przez biurokratów starego autoramentu, wymaga zwrotu w całym postępowaniu. Było to więc niezawodnie *desaveu* polityczne dla tych biurokratów, gdyż Franciszek hr. Stadion nie byłby się podjął swojej misji galicyjskiej, gdyby nie miał był podstawy do mniemania, że chodzi o spełnienie dzieła szlachetnie pojmowanej pacyfikacji w kraju, skazanym przez tragikę dziejową na to, aby w tych czasach stał się zapalnym ogniskiem dokoła prowadzonych tajnych kowań rewolucyjnych. W podróży z Tryestu do Lwowa nowy gubernator galicyjski zatrzymał się w Wiedniu, aby poinformować się o stosunkach i ułożyć sobie plan działania. Z relacji galicyjskich bar. Kriega mógł powziąć przekonanie, że w Galicji znajdzie sytuację dla misji swojej bardzo dogodną, że, mianowicie, zastanie szlachtę, świadomą swojej winy i przygnębioną, więc gotową do szczerego poparcia pacyfikacyjnych dążeń nowego gubernatora, a lud wiejski, po krwawym odparciu wrzekomo groźnych zamachów rewolucyjnych na państwo, już zupełnie uspokojony, wyprowadzony zupełnie ze stanu „obrony koniecznej“ i przejęty podniosłym duchem bezinteresownego patriotyzmu austriackiego.

Przykry zawód spotkał Franciszka hr. Stadiona na samym wstępie do Galicji, gdy, nieuprzedzony o tem w Wiedniu, więc bezwiednie, zdążył pod Lwów w chwili, gdy ustawiano tam dwie szubienice, nie dla morderców i podpalaczy, z których żaden jeszcze nie spotkał się z ostrzem prawa karnego, lecz dla dwóch więźniów stanu, Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego. Aby nie wjeżdżać do Lwowa w tak fatalną chwilę, nowy gubernator zawrócił z drogi i zaimprovizował najpierw objazd niektórych cyrkulów!

Tego przykrego zawodu wcale nie ukrywał Franciszek hr. Stadion przed Wiedniem, lecz, owszem, dał mu wyraz dobitny, gdy spostrzegł, że Wiedniowi ma do zarzucenia coś gorszego jeszcze, niż brak informacji co do tych szubienic lwowskich, że, mianowicie, w Galicji zastał stan rzeczy odmienny od tego obrazu, jaki sobie w Wiedniu wyrobił z relacji lwowskich, oraz z ustnej informacji tych, którzy na relacjach lwowskich zupełnie polegali. Takim dobitnym wyrazem zawodu jest relacja Franciszka Stadiona z 28 grudnia 1847 roku do ówczesnego ministra policyi, hr. Sedlnitzkyego, w sprawie wyjednania amnestyi od skutków prawnych kondemnaty, względnie śledztwa o zdradę stanu z dawnych lat dla siedmiastu skompromitowanych osobistości, pomiędzy którymi znajdowali się także: później-

szy austriacki minister dla Galicy, hr. Floryan Ziemiałkowski, i prezydent izby deputowanych Rady państwa, dr Franciszek Smolka, obaj u schyłku życia tajni radcy, obaj zaszczytani szczególnemi względami i łaskawością cesarza Franciszka Józefa. Z tym wnioskiem amnestyi wystąpił hr. Stadion wbrew opinii prezydenta lwowskiego sądu apelacyjnego, który zalecał odroczenie wniosku amnestyjnego aż do ukończenia procesów o zdradę stanu z roku 1846.

Wydobywszy relację tę Franciszka hr. Stadiona, dzięki łaskawemu dla historii Galicyi przypadkowi, z otchłani archiwalnej, przytaczamy ją w całości jako materiał pierwszorzędnej wagi do charakterystyki stosunków ówczesnej doby. Jeżeli się zważy, że relację tę pisał gubernator austriacki, Niemiec, przejęty gorącym patryotyzmem austriackim, a tem samem i oburzeniem z powodu ostatnich zamachów powstańczych, urzędnik z zawodu, co prawda niepospolity inteligencją i wyższemi pojęciami o swojej misyi, ale zawsze urzędnik, poniekąd uprzedzony na korzyść biurokracyi, z którą wiązał go do pewnego stopnia *esprit du corps*—jeżeli się to wszystko zważy, to owa relacya uważana być może za autentyczne potwierdzenie słuszności wszystkich poprzednich uwag naszych, nie tylko o gospodarce biurokratycznej w Galicyi w roku 1846, lecz także o całym systemie rządzenia w Galicyi przed tym nieszczęsnym rokiem.

„Jeżeli by we wniosku niniejszym—pisze gubernator Franciszek hr. Stadion—chodziło tylko o zwyczajny akt łaski, w którym polityka wprawdzie w grę wchodzi, ale dopiero w drugim rzędzie, jeżeli by chodziło jedynie o wcześniejsze, lub cokolwiek późniejsze ułaskawienie poszczególnych indywiduów, to musiałbym się przyłączyć do opinii prezydenta sądu apelacyjnego i czekać na stosowną porę do zaproponowania rozleglejszego aktu łaski monarszej, jak to prezydent ten nadmienił. Jednakże wyższe względy polityczne skłaniają mię do postawienia tego wniosku. W jego rychłem uwzględnieniu widzę nie odoobniony akt łaski, lecz konieczną manifestację postępowania, które, według mojej obserwacyi stosunków galicyjskich i według mojego najgłębszego przekonania, przestrzegane być musi dla uspokojenia kraju i doprowadzenia go do lepszej doli.

„Kraj znajduje się w stanie niezadowolenia i wzburzenia. Trzeba wszystko to widzieć własnemi oczyma, żeby sobie o tem wyrobić zupełnie jasne wyobrażenie. Niezadowolenie ogarnęło wszystkie klasy ludności. Zewsząd zarzucają władzom, że kraj, który mógłby być jedną z najbardziej kwitnących prowincyi monarchii, dla braku dobrej administracyi nie może równać się nawet z najbiedniejszemi, przez naturę najwięcej po macoszemu uposażonemi krajami; że dalej nic nie uczyniono ani dla duchowego i moralnego wychowania, ani dla ma-

teryjalnego podźwignięcia ludu! Że taki jest stan rzeczy, tego, niestety, zaprzeczyć nie mogę.

„Przekonałem się, że administracja, bezpośrednio na lud wpływająca, znajduje się w ręku nieudolnych i nieposiadających wcale żadnego szacunku organów<sup>1)</sup>, które, mając na myśli tylko własne chwilowe korzyści, interesów kraju ani pojąć nie są w stanie, ani popierać nie mogą. Polityca złożona jest w ręce, na które wcale spuścić się nie można, a sądownictwie poza miastami wprost niema mowy. Choć starostów w przecięciu cenić należy dla ich zdolności i dobrej woli, to jednak, jak spostrzegam, w urzędach cyrkularnych przeważa opinia, że urzędy te mają właściwie tylko akta załatwiać, a kraj sam nie wiele, albo wcale ich nie obchodzi. Nigdzie nie spotkałem się ze świadomością wyższego celu, lub obowiązku pracowania dla kraju, głównie z tego powodu, że urzędy cyrkularne, ze względu na absolutną niedostateczność i zły ustrój najniższych organów, muszą je zawsze zastępować, a i temu zadaniu sprostać nie mogą, z powodu nawalu spraw. Brak im tedy czasu do zajęcia się właściwymi pięknymi czynnościami zawodowymi. Stąd pochodzi, że, mimo nieskończonej pisanimy i mnożenia się aktów, na niezmierne przewleknięcie wystawione są wszystkie, cokolwiek trudniejsze sprawy, które właśnie mają dla kraju wielkie znaczenie. Nigdzie nie widać jednolitości w działaniu, a każdy urząd cyrkularny pozostaje w urojeniu, że wcale nie potrzebuje troszczyć się o to, co robią w sąsiednim urzędzie, co się dzieje w sąsiednim cyrkule. Każdy urzędnik mniema, że jest, jeżeli nie najrozumniejszym, to tak rozumnym, jak każdy inny, że żaden nie potrzebuje od nikogo rad przyjmować. Wielu, szczególnie młodszych urzędników, trwa — nad czem szczególnie ubolewać należy — w tem fatalnem urojeniu, że nie można lepiej objawić swojego patriotyzmu, jak tylko w ten sposób, że się wymyśla na kraj i jego ludność nawet na miejscach publicznych, że się manifestuje głośno pogardę, potępiając cały kraj i cały naród, że się pod osłoną stanowiska urzędniczego w sposób, w najwyższym stopniu niewłaściwy, obraża i drażni mieszkańców zniewagą, lub pogardą, zapominając o tem, iż mieszkaniec Galicji jest takim samym poddanym austryackim, jak mieszkaniec każdej innej prowincyi. a urzędnicy nie na to wysłani zostali do tego kraju i nie na to płace pobierają, aby kraj zozydździ i do rządu, któ-

---

<sup>1)</sup> Chodzi tutaj o mandateryaty, których cała powaga, jak to poprzednio nadmieniliśmy, podkopana została do głębi w roku 1846 przez biurokrację cyrkularną. (Przyp. aut.).

rego są organami, nienawiść wzbudzali, lecz na to, aby współdziałali dla podniesienia dobra kraju.

„Lud wiejski znalazłem w stanie wzburzenia, gdyż podżegacze, a nawet źli, lub nieroztropni urzędnicy wzbudzili nadzieje, które się teraz nie ziszczają. Lud wiejski jest zniechęcony i ponuro nastrojony wskutek panujących epidemii, a w niektórych okolicach kraju wskutek grożącego głodu, z czego powstaje uprzedzenie przeciw rządowi i właścicielom dóbr.

„U właścicieli dóbr, u szlachty wogóle, spotkałem się wszędzie z przekonaniem, że rząd nieprzyjaźnie z nią postępuje i dąży do jej zagłady. Na dowód przytaczają wszędzie regulację, to jestniżenie pańszczyzny bez oparcia reformy na słusznej podstawie i bez wynagrodzenia dla ponoszących stratę, nałożenie na dominia całego ciężaru utrzymywania żandarmeryi, surowe ściąganie funduszków zapomogowych, rozdawanych pomiędzy chłopów pełną garścią, często bez potrzeby i bez dostatecznego powodu, surowe prowadzenie procesów o zdradę stanu, wydawanie surowych wyroków na winnych, którzy niejednokrotnie nieświadomie i mimo woli porwani zostali w wir wypadków. kiedy tymczasem rząd niechętnie i z widocznym wahaniem się występuje przeciw chłopom, którzy dopuścili się oburzających w najwyższym stopniu okrucieństw w czasie, gdy, niestety, anarchia zyskała przewagę, kiedy dalej chłopów tych, jeżeli tylko jest jakiś pretekst, uwalnia się od postępowania kryminalnego. kiedy wreszcie jeszcze żaden chłop nie został skazany, ani nawet zakwalifikowany do śledztwa kryminalnego. Nawet ci ze szlachty, którzy nie są przeciwni rządowi i ostatnie usiłowania powstańcze głośno potępiają, skarżą się otwarcie z powodu nierównego wymiaru sprawiedliwości. Szlachcic bowiem, jeżeli tylko w najmniejszym stopniu stał się podejrzanym, podpada śledztwu i uwięzieniu, a często, odzyskawszy wreszcie wolność, zostaje ponownie wtrącony do więzienia, ponownie poddany śledztwu i, jeżeli nieskondemnowany, to przynajmniej internowany, lub postawiony pod dozór policyjny; tymczasem morderca, rozbójnik i podpalacz ze stanu włościańskiego siedzi w domu wolny i nienagabywany, a rząd nie pociąga go nawet do odpowiedzialności, tem mniej karze ludzi, którzy, jakkolwiek zostają w jego służbie, podniecali chłopów do ekscesów, lub nawet sami w nich udział brali.

„Temi skargami powitano mię zaraz po przybyciu do kraju, a powtarzano je nie bez goryczy, gdyż nieszczęsny los zrządził, że, przez nikogo o tem nieuprzedzony, przybyłem do kraju właśnie



w chwili, gdy wyroki śmierci, wydane w ostatnich czasach za zdradę stanu, miały być wykonane. Musiałem zboczyć z drogi, aby nie stanąć we Lwowie właśnie w dniu tracenia, i nie rozpoczynać swojej działalności od przygotowań do tego aktu. Cała szlachta upatrywała w tym nieszczęśliwym zbiegu rozmyślnie działanie rządu, aby odrazu odjąć krajowi nadzieję zwrotu ku łagodności, i pokazać mu, że teraz nie sprawiedliwość z wyrozumiałością, lecz tylko sroga surowość ma zapanować, że chodzi nie o uspokojenie, lecz o gwałtowny ucisk kraju.

„Nie mogę też zataić, że zasmucił mię ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności nie tylko dlatego, iż łatwo mógł być ominięty, jeźeliby tylko w Wiedniu w interesie kraju zechciano naprzód zwrócić na to moją uwagę, lecz więcej z tego powodu, iż zbieg ten postawił mię w sytuacji, całkiem odmiennej od położenia, jakie spodziewałem się zastać. Byłem niemal pewny, że zbliżą się do mnie z zaufaniem ludzie spokojni, z klasy posiadającej, którzy na przewrocie tylko stracić mogli. Jednakże, wskutek powyższego zdarzenia nieszczęsnego, musiałem zrzec się tej nadziei. Wysoki stopień wzburzenia, wszędzie się objawiającego, i nieufność, bez ogródek wypowiedziana, nie mogły mnie zadziwić, skoro nowy gubernator wysłany został do kraju w jednym dniu z katem, a niewidziany w ubiegłej połowie stulecia akt tracenia politycznych przestępców stanowił wstęp do działalności nowego gubernatora.

„Spełniając swój obowiązek, rząd powinien teraz położyć kres temu niezadowoleniu, wydobyć kraj z jego oplakanego położenia, torując w nim taki postępek materalny i moralny, jakim się cieszą inne prowincje monarchii austriackiej. Zwrot ten musi się dokonać bez wahania, gdyż obecny stan kraju może być pożądanym jedynie dla rewolucyjnej propagandy za granicą, która, posiadając tylko w niezadowoleniu tutejszej ludności punkt oparcia, stara się je podtrzymać i potęgować, a niezadowolonych pobudzić do nowych prób rewolucyjnych.

„Kraj ten, który mógłby się stać najbardziej kwitnącą prowincją Austrii, czeka bezgraniczna nędza, w razie, jeźeliby rząd odraczał konieczne ulepszenia. Nikt bowiem nie jest w stanie przewidzieć, dokąd posunąć się może ludność namiętnie wzburzona, jeżeli się jej odejmie nadzieję poprawienia doli, jeżeli się odroczy do niepewnej dalekiej przyszłości to wszystko, czego kraj oczekuje i czego, jako część wielkiej monarchii austriackiej, oczekiwać ma prawo. Obecnie kraj jest niejako zawieszony pomiędzy nadzieją a trwogą, zadanie rządu zaś polega na tem, aby trwogę rozproszył, a nadzieję urzeczywistnił.

„Usunięcie niezadowolenia, wpływającego z błędnej i niedostatecznej administracji politycznej i sądowniczej, leży poza sferą mojej działalności. Co w mojej mocy było, to już uczyniłem, zalecając dobitnie wszystkim urzędnikom, bez różnicy rangi, przyzwoite i godziwe zachowywanie się wobec ludności, i zaznaczając stanowczo, że płazem nie puszcę żadnych nadużyć, popełnionych słowem, lub czynem. Dalej, nieustannie dążę do tego, aby w postępowaniu urzędów cyrkularnych wprowadzona została jednolitość i zgodność. Działalnością tych urzędów tak kieruję, aby wreszcie krajowi odjęty został powód do skarg na dowolność rządów biurokratycznych. Zadanie to nie jest łatwe, jeżeli się zważy, że polityczna administracja została tak długi czas w rozstroju, że wszędzie pomiędzy urzędnikami cyrkularnymi panowała dążność do nadania przewagi własnej opinii, że nie przywykli oni wznosić się ponad codzienną rutynę biurową i widzieć w aktach nietylko numer, który z biurka uprzętnąć trzeba, lecz sprawy, na kraj oddziaływające, że wreszcie uroili sobie, iż ich służba jest czemś samodzielnie dla siebie, a nie dla dobra kraju istniejącem. Wspierany przez wiceprezydenta <sup>1)</sup>, odznaczającego się wybitnymi zdolnościami, dokładną znajomością stosunków krajowych i bezwarunkowo dobrą wolą, postawiony na czele gremium gubernialnego <sup>2)</sup>, które dla swojej uczciwości, inteligencji i dobrych chęci zasługuje na najwyższy szacunek, mam nadzieję, że spełnię powyższe zadanie w sposób odpowiedny. Jednakże wszystkie te starania nie wydadzą znacznych rezultatów, dopóki nieudolność administracji nie zostanie u dołu usunięta przez zaprowadzenie państwowych pierwszych instancji, i dopóki kraj nie przyjdzie do przekonania, że rząd austriacki rzeczywiście pragnie jego dobra i dąży do tego nietylko samem pisaniem, lecz i działaniem. Pierwszym warunkiem takiej zmiany jest to, żeby rząd przejął się życzliwością dla kraju, żeby życzliwość tę okazywał, a korzystając z danych wypadków, w których życzliwość czynem stwierdzić można, dowiódł, że nie żywi złości wobec nieszczęśliwego kraju, a surowością powoduje się tylko wtedy, gdy to jest koniecznem, lecz nie z niechęci do kraju i ludności. Za-

<sup>1)</sup> Wiceprezydentem gubernium był wtedy po odejściu bar. Kriega Filip bar. Krauss (poprzednik Agenora hr. Gołuchowskiego). Bar. Krauss, tak na posadzie wiceprezydenta gubernialnego we Lwowie, jak i później, na stanowisku ministra skarbu (w roku 1848), zjednał sobie opinię zdolnego i prawnego urzędnika. (Przyp. aut.).

<sup>2)</sup> Gremium to nie posiadało samodzielnych atrybucji, lecz słuchało niewolniczo komendy kaźdoczesnego kierownika swojego. (Przyp. aut.).

prorowadzenie pierwszych instancyi zostało cesarskiem słowem porę-  
czone. Ze stanowiska sprawiedliwości i polityki, jest to konieczność  
nieodzowna. Niebawem będę mógł przedstawić najwyższemu kancle-  
rzowi moje szczegółowe wnioski i już naprzód proszę Waszą Eksce-  
lencyę o ich poparcie w interesie rządu i kraju, gdyż bez uregulowa-  
nia tej sprawy, dobra administracya jest absolutnie niemożliwą. Każ-  
da, chociażby najpilniejsza naprawa administracyi i wszelka akcyja dla  
dobra kraju rozbija się o brak organów wykonawczych. Urzędy cyr-  
kularne ani są powołane do tego, ani nie rozporządzają środkami, po-  
trzebniemi do zajmowania się szczegółami administracyi, i właśnie  
dlatego, że, mimo to wszystko, muszą być do tego używane, bez moż-  
ności podołania zadaniu, że zatem zupełnie zaniedbywać muszą swoje  
powołanie, jako władze kierujące i nadzorujące, wszystko źle się  
dzieje w tym prawdziwie nieszczęśliwym kraju. Smutnem następstwem  
tych wymagań, nie stojących w żadnym stosunku do sił urzędów cyr-  
kularnych, jest wzburzenie, panujące między ludnością wiejską. Skar-  
gi poddanych są późno i niedbale badane, dochodzenia w tych spra-  
wach ciągną się w nieskończoność, a całe lata powtarzane prośby  
i nalegania pozostają nieuwzględnione. Nic dziwnego zatem, że pod-  
dani wpadają na myśl samopomocy i mniemając, że władze popierają  
interesy dworów, wpadają w remitencyę. Najważniejsze sprawy poru-  
czane być muszą niedoświadczonym komisarzom cyrkularnym, prak-  
tykantom a nawet urzędnikom manipulacyjnym. Stąd wynika bardzo  
często powód do podejrzewania uczciwości administracyi i narzeka-  
nia na samowolę jednostek, gdyż każdy stara się tylko pozbyć  
się sprawy, i dla zyskania czasu, raczej rozciąć węzeł, niż rozwikłać,  
utrudniając tem załatwienie rozpraw. Nadto lud bywa w ten sposób  
w błąd wprowadzany, gdyż urzędnik, nie pojmując często swojego  
zadania, w razie powstania skrupułów i wątpliwości, zamiast oświe-  
cić ludność wiejską, zbywa ją czczemi nadziejami i schlebia jej pożą-  
dliwości fałszywemi przyrzeczeniami, aby tylko wydobyć się z kłó-  
potliwego położenia. Do mojej wiadomości doszło już kilka wypad-  
ków takiego bałamucenia ludności wiejskiej, a nawet podczas mojej  
ostatniej wizytacyi kilku obwodów widziałem się zniewolonym  
w pewnej gminie na miejscu naprawić błąd, popełniony przez urzęd-  
nika cyrkularnego, i gminę stosownie pouczyć. Poleciłem także sta-  
rostom najdobitniej, aby przynajmniej do najważniejszych czynności  
urzędowych używali tylko komisarzy, na których zupełnie spuścić się  
można. Zbyt często będzie to tylko pobożnem życzeniem, dopóki nie-  
ma pierwszych instancyi. Zwróciłem się także do ordynaryatów  
z usilną prośbą, aby przez duszpasterzy pouczać ludność wiejską o jej

obowiązkach wobec rządu i właścicieli ziemskich. Chcąc obmyślić środki zapobieżenia niedostatkowi w zachodnich okolicach górskich, niedawno sam je objeżdżałem.

„Zaniepokojenie szlachty z powodu regulacji pańszczyzny niezawodnie ustąpi, skoro tylko ona przyjdzie do przekonania, że rządowi nigdy na myśl nie przyszło, a wobec jego znanego poczucia sprawiedliwości nawet na myśl przyjść nie mogło, ograbienie posiadaczy prawnych w tym celu, aby poddanym ofiarować podarunek. Nie wątpię i nigdy ani na chwilę nie wątpiłem, że każdy, kto straci cokolwiek ze swoich prawnych dochodów, otrzyma odszkodowanie. Najwyższe postanowienie z 22 lutego 1847 roku uspokoi dziedziców, skoro podane zostanie do powszechnej wiadomości <sup>1)</sup>).

„Wielce nad tem ubolewać należy, że władze tak długo zwlekają kroki sądowe przeciw tym chłopom, którzy wierność dla monarchy uważali za płaszczyk, aby pod jego osłoną mordem, pożogą, rabunkiem i plądrowaniem wielką część kraju pogrążyć w nieszczęście. Nad tem zwlekaniem tem więcej ubolewać należy, ile że ono doprowadziło do nieszczęsnego zamącenia pojęć o prawie i bezprawiu, o dobrem i złem, a nieprzyjaciółom rządu dostarczyło powodu do rzużenia nań najhaniebniejszych kalumni w kraju i za granicą. Śledztwa przeciw niektórym mordercom i rozbójnikom tej kategorii zostały już przekazane sądom kryminalnym, a rozległe dochodzenia są jeszcze prowadzone. Chociaż zaniedbanie pozostanie zawsze błędem, ubolewania godnym, już dla tego, że z powodu niemożności zupełnego stwierdzenia istoty czynu niejeden zbrodniarz ujdzie karze sprawiedliwej, to jednak władze dążyć będą do tego, aby w obrębie zakresłonych im granic sprawiedliwość została wymierzona, jak tego prawo wymaga, i o ile to po upływie dwudziestu trzech miesięcy jest jeszcze możliwem.

„Że przyszło do takich scen okropnych, to wielkie nieszczęście, za które przed Bogiem i własnem sumieniem odpowiedzialni są ci, co sprowadzili je nieogłędnością, lub przecenieniem własnego zdania i własnej odwagi. Pewną jest bowiem rzeczą, że w wielu cyrkulach chłop stanął w obronie rządu, nie popełniając przytem ani ekscesów,

<sup>1)</sup> Niezupełnie ziściła się nadzieja hr. Stadiona, gdyż nie cofnięto fatalnych zarządzeń jego brata, Rudolfa, lecz tylko umożliwiono pewne złagodzenie złego. (Przyp. aut.).

ani okrucieństw, dzięki rozwadze i energii mężów, którym poruczone było kierownictwo cyrkułów, którzy umieli utrzymać spokój i porządek. Jest to przykra sprawa, którą podnoszę, ale, niestety, prawdziwa. Nic nie uczyniono dla zapobieżenia wybuchowi powstania, a gdy ono wybuchło, nikt nie był ani zdecydowany, ani przygotowany na stłumienie własnymi siłami. Zwycięstwo przyszło stąd, skąd go nie oczekiwano. Po zwycięstwie przyszła odwaga, a tylko rozum nie odezwał się. Myślano długo jeszcze o zwycięstwach, chociaż nie było już nieprzyjaciela, a tylko chłop rozwścieklony mordował i rabował. Jeżeli już tych, którzy w chwili niebezpieczeństwa głowy potracili, nie może osiągnąć ramię sprawiedliwości, to nie może ono przecież oszczędzać tych, którzy w tych oplakanych czasach nadużywali swojego stanowiska urzędowego, aby ludność wiejską pobudzać do ekscesów, zachęcać ją do mordowania i rabowania, albo nawet w tem uczestniczyć. Wiele otrzymanych doniesień każe mi, niestety, uważać za rzecz prawdopodobną, że nie brakło i takich urzędników zapoznających swoje obowiązki. Gdyby rząd był zaraz dochodził szczegółów tych wieści, byłby pewnie odszukał winnych, a ich ukaranie byłoby silniej odparło wszelkie oszczerstwa, aniżeli wszystkie inne dowody, i rząd byłby usprawiedliwiony wobec całego świata. Jako organ rządu austriackiego, jako wierny poddany Jego Cesarskiej Mości, jestem obowiązany nie spocząć, dopóki się nie pokaże, ile prawdy jest w tych pogłoskach o podeptaniu obowiązków przez poszczególnych urzędników w owych czasach. Jeżeli podejrzenia okazały się uzasadnionemi, będę wobec publicznej moralności i wobec monarchy obowiązany zarządzić jaknajściślejsze postępowanie urzędowe, aby świat, a szczególnie wrogowie Austrii poznali, że rząd w Galicyi, jak wszędzie, trzyma się prawa obowiązku, że Austriya na swoim prawie i na swojej sile wewnętrznej polegać może, a że wstrętem odwraca się od wszelkiej wspólności ze zbrodnią.

„Proces o zdradę stanu zostanie w ciągu bieżącego miesiąca w pierwszej instancji zakończony. Ponieważ oczekuję z zupełnem zaufaniem, że wyższe instancje nie zaostrożą wyroków i nie zarządzą nowych śledztw, przeto sprawiedliwości stanie się zadość, po czem kolej przyjdzie na kwestyę, czy i o ile, ze względu na postawę klas ludności, w procesie tym w pierwszym rzędzie w grę wchodzących, łagodność może być zastosowana do skazanych i karę cierpiących, o ile dalej łagodność taką zalecić należy dla uspokojenia kraju z tego powodu, iż według zdania prezydenta apelacyjnego niektóre wybitne rodziny, wskutek fałszywego kroku tych ze swojego grona, którzy

z braku doświadczenia i samodzielności, częścią namowami, częścią groźbami dali się wbrew własnemu interesowi nakłonić do udziału w zbrodniczych dążnościach, popadły w położenie oplakane, ogólne współczucie wzbudzające, wreszcie o ile na łagodność taką naprowadza już ten wzgląd, że władze nie są wolne od zarzutu, gdyż nie uczyniono wszystkiego, co uczynić należało dla odwrócenia nie-szczęścia.

„Na razie, jak mniemam, nie należy tamować sprawiedliwości, aby kraj doprowadzony został do uznania popełnionych wielkich przestępstw i swoim zachowaniem się zasłużył na łaskę. Aby jednak postępowanie takie nie było pojmowane jako surowość, aby od rządu odwrócony został nawet pozór, jakoby w Galicyi teraz surowość miała zapanować i jakoby rząd tylko karać lubiał, powinienby on, zdaniem mojem, nie pomijać żadnej stosownej sposobności, przy której dowieść może, że karze tylko wtedy, gdy to czynić musi, a chętnie zwraca się ku łagodności, skoro to tylko uczynić może. Już teraz nasuwają się rządowi dwie sposobności do zastosowania łaski, raz przez zniesienie sekwestracji z dóbr książąt Czartoryskich, a powtórnie przez zupełne ułaskawienie osób na wstępie relacji wymienionych. O pierwszy akt łaski ośmieliłem się prosić bezpośrednio Jego Cesarskiej Mości, a jakkolwiek Jego Ces. Mość nie raczył wysłuchać tej prośby, to jednak nie mogę zaniechać jej ponowienia i polecam ją jak najusilniej łaskawej, a wielce wpływowej opiece Waszej Ekscelencyi. Podnoszę to nie z tej jednej przyczyny, że dobra, z których reszta zasekwestrowana została, nie są własnością ks. Czartoryskiego, lecz jego małżonki, a dochód z tych dóbr nie jest znaczny i ubytek rent uczuć się może daje w gospodarstwie księżnej, ale na usposobienie i działalność księcia żadnego wpływu nie wywiera. Właśnie dla tego, że przez przyznanie tej łaski państwo nie poniesie najmniejszego uszczerbku, lecz owszem rząd przez odstąpienie od tego wyjątkowego zarządzenia złoży dowód, iż siłą swojej potęgi i swojego prawa potrafi udaremnić wszelkie usiłowania przewrotowe, ponawiam wnioski powyższy. Mam najgłębsze przekonanie, że ten akt łaski sprawi daleko silniejsze wrażenie na korzyść rządu, objawiającego w ten sposób siłę swoją przez wstąpienie na normalny grunt prawny, aniżeli dalsze trwanie surowości, gdyż ta, zamiast uśmierzać namiętności, jeszcze więcej je podnieca, a niezadowolonym ciągle daje powód do odświeżania w pamięci wypadków, które pójść powinny w zapomnienie, jeżeli kraj odzyskać ma tak bardzo potrzebny spokój. Jest jeszcze jeden powód, który skłonił mię do ponowienia tej prośby. Tym powodem jest obawa przed skutkami sekwestracji. Ren-

ty zostały odjęte, ale nie są przekazane skarbowi państwa, gdyż nasze ludzkie ustawodawstwo nie zna konfiskaty majątku. Komukolwiek renty te zostaną w swoim czasie wydane, rząd zawsze musi wykazać, że uczciwie niemi zarządzał. Każdy zarząd w drodze sekwestracji jest kosztowny, a nadto tylko w bardzo rzadkich razach zapobiedz można pogorszeniu kultury w takich dobrach. W każdym zaś razie dochody zmniejszą się, jeżeli zarząd musi być złożony w obce ręce. Przez sekwestrację zatem, nie przynoszącą żadnej korzyści, lecz tylko kłopoty, rząd wystawia się na mnóstwo podejrzeń i zarzutów w kołach, źle dlań usposobionych w kraju i za granicą. Dla wszystkich rządów i nieprzychylnych organów prasy będzie to pożądany powód do rzucenia na rząd najzuchwalszych i najzjadliwszych oskarżeń o roztrwonienie rent, nieuczciwą administrację i rozmyślne pogorszenie kultury dóbr. Sama natura sekwestracji dostarczy środków do nadania tym oskarżeniom pozorów prawdy, kiedy tymczasem jej zniesienie byłoby wszędzie uznane za akt wspaniałomyślności i pewnie niemało przyczyniłoby się do uspokojenia umysłów w kraju, do odświeżenia wiary w jednakową zawsze łaskawość austriackiego domu cesarskiego, do wzbudzenia nadziei lepszej przyszłości, wreszcie do zjednania szacunku rządowi, przenoszącemu łagodność nad surowość, skoro tylko na to okoliczności pozwalają.

„Niemniej dobroczynny skutek wywarłoby zupełne i bezwarunkowe amnestyonowanie osób na wstępie wymienionych, co spowodowało wystosowanie tej relacji. Kraj powitałby ten akt z wdzięczną radością, jako zapowiedź dalszej łaski. Oba te akta zbliżyłyby do rządu wszystkich obywateli z poczuciem honoru, wszystkich, których krewni i powinowaci znoszą dziś następstwa fałszywych kroków i włożyłyby na nich moralne zobowiązanie do postępowania ręką w rękę z rządem celem przywrócenia spokoju i porządku w kraju, gdyż tylko w ten sposób umożliwionoby Jego Ces. Mości złagodzenie losu skazanych. Zamiast szukać w obwinieniu administracji wątpliwego usprawiedliwienia przestępstw politycznych, kraj we własnym interesie rzuci zasłonę na przeszłość, przerzuci się ze złej polityki na pole właściwych materyalnych i duchowych interesów swoich, aby współdziałać z rządem dla ich podniesienia.“

Taką wagę przywiązywał gubernator, Franciszek hr. Stadion, do tej relacji swojej i tak bardzo zależało mu na przyjęciu wniosku amnestyjnego, że odpisy relacji przedłożył pierwszemu kanclerzowi, hr. Inzaghiemu i prezydentowi najwyższego trybunału, hrabiemu Taaffemu, z usilną prośbą o zyczeliwe poparcie sprawy.

Dla ścisłości, a poniekąd także i dla charakterystyki sytuacji wypada zaznaczyć, że w brulionie powyższej relacji gubernatora hr. Stadionia ustęp o poddaniu biurokratów-hajdamaków pod ramię karzącej sprawiedliwości został skreślony. Czy skreślenie to pochodzi z ręki hr. Stadionia i czy ustęp ten skreślono tak, że już go kopista w przeznaczonym dla Wiednia czystopisie opuścił, to kwestya, którą dziś już chyba tylko domysłami objaśniać można. Bierzemy w rachubę najdalej idącą ewentualność, to jest tę, że ustęp ów skreślił sam hr. Stadion i to w tym celu, aby nie dostał się do czystopisu. Jaki motyw skłonił go do tego kroku? Czy może zachwiał się w swojej opinii o biurokratach tej kategorii? Tego absolutnie przypuścić nie można, bo najpierw w takim razie musiałby hr. Stadion skreślić już dla samej konsekwencji kilka innych ustępów, albo nawet przerobić całą relację, a powtórnie nie mogło już nic wpłynąć na taką zmianę opinii. W chwili bowiem, kiedy relacja była układana, upłynęło już kilkanaście miesięcy od rzezi z r. 1846, a pół roku od przyjazdu hr. Stadionia do Galicji. Co więc wtedy doszło do wiadomości nowego gubernatora Galicji, to nie było już wieścią niewiadomego pochodzenia, niesprawdzoną, a mimo to przez ogół powtarzaną, jak wśród samej rzezi, lecz stanowiło jakikolwiek rezultat poufnych dochodzeń, jak w przedstawionej przez nas sprawie Vitzthuma, rezultat minimalny, bo obejmujący tylko szczegóły, które z biegiem czasu nie poszły w zapomnienie i przed nowym gubernatorem ukryć się nie dały. Więc jaki motyw skłonić mógł hr. Stadionia do tego skreślenia? Widocznie zachwiał się przed konsekwencjami, a zachwianie takie łatwo wytłómaczyć. Kryminalne traktowanie winowajców ze świata biurokratycznego byłoby skompromitowało rząd austriacki wobec całego świata, bo jeden fakt takiego traktowania byłby odświeżył i niejako uwierzytelnił wszystkie obwinienia, które na wiosnę 1846 gradem posypały się na Austryę w dziennikach i parlamentach zagranicznych. Takiej ewentualności mógł się obawiać hr. Stadion tem więcej, że cały program jego misji w Galicji polegał na dążeniu do pacyfikacji kraju w szlachetnem tego słowa znaczeniu. Od wytkniętego zaś celu pacyfikacyjnego oddalałoby niewątpliwie nowego gubernatora stawienie na ostrzu spraw, na których drażliwość wpływ czasu zaczynał już działać w sposób uśmierający. Co innego sprawa morderców i rabusiów siermiężnych, których bezkarność, mimo upływu czasu, jednakowo, a nawet coraz więcej drażnić musiała ofiary popełnionych zbrodni. To też za ukaraniem zbrodniarzy tej kategorii przemawiał nowy gubernator stanowczo, chociaż, jak innym razem poznamy, niestety, ale nie z jego winy, bez skutku. A wresz-



cie i o tem pamiętać należy, że relacya z wnioskiem amnestyjnym musiała pójść do kancelaryi cesarskiej, a tam pewnie nie przypuszczano tego, że w rzezi galicyjskiej biurokracya zgrzeszyła nie tylko nieogłębnością i nieudolnością, czego wtedy zapewne przed cesarzem Ferdynaudem nie ukrywano, lecz także, co nawet dla nowego gubernatora aż do rozpatrzenia się w stosunkach na miejscu było tajemnicą dobrze strzeżoną—bezpośredniem przyczynieniem się do wołających o pomstę zbrodni!

W smutnym bilansie lat 1846—1848 historia Galicyi musi i to zapisać w rubryce ciężkich strat, że Franciszek hr. Stadion, którego intencji, w przytoczonej relacyi wyrażonych, kraj nie mógł od razu odgadnąć, nie zdołał swojego programu ani w części wykonać. Nie doczekał się ukarania morderców i rabusiów z roku 1846, za jakim przemawiał, wskutek czego w wichrowatym roku 1848 w sferach tych odżyły zbrodnicze instynkty. Hr. Stadion przejęty na seryo obawą, żeby instynkta te wśród wznowionej agitacyi żywiołów ruchu nie wybuchły znowu z taką dziką gwałtownością, jak w roku 1846, wydał starostom energiczne zarządzenia zapobiegawcze. Były one w formie swojej nie bardzo szczęśliwe, a niektórzy starostowie do tego jeszcze i w wykonaniu otrzymanych poleceń tak niezręczni, że wzburzonej opinii społeczeństwa polskiego stanęła przed oczyma cała groza gospodarki biurokratycznej z 1846. Powstały zatargi, których statecznym fatalnym rezultatem było to, że Galicya źle się rozstała z gubernatorem Franciszkiem hr. Stadionem, a ten, odchodząc ze Lwowa zniechęcony, rozgoryczony wobec społeczeństwa polskiego, w kilka miesięcy później, jako minister spraw wewnętrznych, dał krajowi uczuć swoje rozczarowanie, wprawdzie nie mściwością popoliłą, jaką mąż stanu tej miary przejmować się nie mógł, lecz przetrzuceniem swojej protekcyjnej sympatyi na stronnictwo świętojurskie, które właśnie wtedy rozpoczynało swoją karierę polityczną.

Na zakończenie jeszcze uwaga pod adresem Maurycego bar. Sali. Albo nie była mu znana powyższa relacya Franciszka hr. Stadion, a w takim razie przechwałką jest tylko wypowiedziane w przedmowie do jego dzieła o roku 1846 twierdzenie, że miał do dyspozycyi wszystkie akta wszystkich władz, albo relacyę tę miał w ręku, ale przeszedł nad nią do porządku dziennego, jako nad materiałem, bardzo niewygodnym dla powziętego z góry zamiaru upiększenia wypadków r. 1846, a w takim razie jego dzieło traci charakter historycznego przedstawienia i uważane być musi za jednostron-

ne i tendencyjne, chociaż, co prawda, w tonie spokojnym i poważnym trzymane *plaidoyer* w procesie historycznym przeciw biurokracji austriackiej starego autoramentu. W jednym i drugim razie bar. Sala nie zasługuje na to, aby jego dzieło traktowane było przez pisarzy polskich, jak to dotąd było, ze względami, należnemi źródłowemu materiałowi.

DR BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

## Z ostatniej doby wulkanizmu.

---

Pół roku upłynęło od czasu pamiętnej katastrofy na Martynice, która poruszyła tak żywo cały świat cywilizowany. Współczucie dla tylu tysięcy ofiar zniszczenia, tajemniczość zjawiska, przedewszystkiem jednak obawa o przyszłość okolic, ujawniających choć trochę charakter wulkaniczny, zajmuje dotąd umysły, tembardziej, że wybuchy i w jej sąsiedztwie trwają dotychczas, a i w innych nawet częściach świata odzywają się echem niepokojącym. W Europie burzy się groźnie Wezuwiusz, Stromboli, w Azji wulkany Japonii i wysp Malajskich, w Ameryce świeżo jeden z wulkanów Gwatemali sprawił duże spustoszenie; gdzieindziej słychać o trzęsieniach ziemi mniej lub więcej silnych, a nawet niszczących. Wstrząśnienia wulkaniczne wywołują też wyraźne zaburzenia w atmosferze, objawiające się na przykład w niezwykłych właściwościach ostatniego lata i jesieni.

Gdzie leży źródło wulkanizmu, którego objawy nieschodzą z porządku dziennego? Jakie są jego przyczyny? Czy są jakie wskazówki co do wzmożenia się lub osłabienia czynności wulkanicznej na przyszłość?

Oto pytania, nad którymi godzi się zastanowić, biorąc za tło świeżą a wstrząsającą swym przebiegiem i skutkiem katastrofę na Antylach.

Naprzód jednak nieco wiadomości z geografii i historii Antylów i Martyniki w szczególności.

Gromada wysp Antylnskich rozpada się, jak wiadomo, na dwa archipelagi, odrębne pod względem raczej geologicznym, niż etnograficznym i klimatycznym. Wyraźne cechy wulkaniczne mają tylko Antyle Małe, ciągnące się zwartym szeregiem od brzegu Ameryki południowej ku Florydzie.

I z tych nawet wysepek część tylko nosi ślady działalności wybuchowej w czasach historycznych. Począwszy od Grenady i Barbadosa na południe, a kończąc na wyspie Sombrero na północy, wanyst-

kie wysepki mają ogólne miano Antylów Małych i razem wzięte dochodzą pokaźnej powierzchni 6,400 kilometrów kwadratowych, na której żyje przeszło 800,000 ludności.

Już z mapy na pierwszy rzut oka łatwo zauważyć, że łukowaty szereg Antylów jest podwójny. Zewnętrzne jego ogniwa, od wyspy Barbados do Sombrero, nie wykazuje pochodzenia wulkanicznego; natomiast rząd wewnętrzny, zwrócony wklęsłością ku zatoce Meksykańskiej, jeży się od stożków wulkanicznych.

Góry śpiczaste lub słabo tylko zaokrąglone na szczycie, wykazują już z postaci wybuchowe swe pochodzenie. Złożone są wyłącznie z porfirów, bazaltów, trachitów, law rozmaitych, często zupełnie świeżych, nie rozłożonych. Góry te stanowią na każdej z wysp łańcuch, idący w kierunku całej linii wysp, z południa na północ; powstały oczywiście na szczylinie podwodnej przez wypływ lawy w ciągu epoki niedawnej, aż do naszych czasów.

Szczególną różnicę w charakterze obu rzędów Antylów widać na Gwadelupie; wyspa to jest najwyraźniej dwoista: część zachodnia, wyniosła, składa się z potoków lawy i teraz jeszcze ujawnia działania sił podziemnych, wschodnia stanowi nizinę urozmaiconą tylko tu i owdzie niewielkim pagórkiem. Niepodobna doszukać się tu oczywiście wysp osadowych lub wulkanicznych wyłącznie; obok law, bazaltów, trachitów znajdują się zawsze warstwy osadowe, dzieła oceanu, i naodwrot, wyspy wapienne, pochodzenia wodnego, spoczywają na wulkanicznej podstawie, w każdym jednak razie dość starej, przedbistorycznej.

Jeżeli wyspy o tak odmiennych cechach geologicznych połączone w geografii pod jedną nazwą Antylów, nie mniej dziwnym wydaje się ich podział klimatyczny. Anglicy, posiadacze większej części Antylów, a za nimi i inni, zowią północną grupę wysp do Dominiki „Wyspami Podwietrznemi“ (Leeward Islands), południową zaś, począwszy od Martyniki, „Wyspami Nawietrznemi“ (Windward Island), to jest, nawiedzanemi przez wiatry stałe, (pasaty), gdy w rzeczywistości jedne i drugie podlegają wpływowi wiatrów zwrotnikowych. Podział ów wszedł w użycie pod względem administracyjnym tak dalece, iż np. marki pocztowe noszą stempel „Leeward“ lub „Windward“, zamiast nazw poszczególnych kolonii.

Inny jeszcze istnieje podział Antylów, wprowadzie nieurzędowy, lecz oparty na warunkach topograficznych.

Zachodnie brzegi archipelagu są przeważnie niskie, a przynajmniej niższe od wybrzeży wschodnich; stąd na wielu wyspach przechowały się nazwy Basse Terre, oznaczające zachodnie części wysp lub miejscowości, położone na tych częściach. Niekiedy i tutaj bywają niekonsekwencje, naprzykład Basse Terre Gwadelupy oznacza

właśnie górzystą jej połowę. Pominąwszy ten wyjątek, wszystkie „ziemie niskie” odpowiadają swej nazwie i różnią się od „ziem wysokich”, to jest wschodnich połówek Antylów, jeszcze pod względem klimatycznym. Wiatry stałe trafiają prawie prostopadle grzbiety gór „ziem wysokich”, gdzie też obfite sprawiają opady. Z powodu takiego wystawienia na wiatry, wschodnie wybrzeża nie posiadają portów większych, jakkolwiek ze względu na głębokość morza wybrzeża te daleko lepiej-by nadawały się do przybijania statków, niż zachodnie „ziemie niskie”, o zatokach płytkich, zamulonych, a nieraz i rafami najeżonych.

Deszcze podzwrotnikowe, gwałtowne a krótkie, zaczynają tu panowanie wkrótce po górowaniu słońca, to jest w porze roku, gdy słońce opuszcza swe stanowisko w zenicie. Pora deszczowa datuje od połowy lipca do listopada; druga, krótsza, bywa na wiosnę.

Niemalą plagą Antylów bywają orkany, czyli cyklony niezwykłej siły, grasujące corocznie i wyrządzające wielkie spustoszenia. Sezon ich trwa od sierpnia do października. Podobnie jak burze w innych krajach, zjawiska te występują to z większą, to z mniejszą siłą; często lat kilka przechodzi na pewnej wyspie bez szkód dotkliwych i ofiar w ludziach. Za to wstrzemięźliwość taka żywiołu tem gorzej daje się we znaki po długiej przerwie, Antyle tworzą istne ognisko cyklonów. Jeżeli w Stanach Zjednoczonych cyklony szerzą nieraz zniszczenie, żywiołowa ich potęga nie da się nawet porównać z potęgą antylskich. Tutaj już nie tylko okręty, stojące w spokojnym porcie, bywają na drzazgi rozbite, ale domy całe porwane w powietrze, jak np. na wyspie św. Tomasza roku 1837, gdy kilka domów orkan wyrócił tak, iż stanęły parterem do góry; mury zostają z ziemią zrównane (np. forteca, zniszczona aż do fundamentów), armaty rozrzucone na wszystkie strony; o roślinności po przebiegu takiego cyklonu niema co mówić: ziemia z drzew ogołocona, nieliczne pnie, pozbawione doszczętnie liści i gałęzi, czynią wrażenie pogorzelska.

W takich warunkach, pod słońcem skwarnem, pod strumieniami wody z chmur lejącej, pod wiatrów szalonych podmuchem leży Antylia, owa zaczarowana kraina starożytnych, owa ziemia, której Kolumb pierwszy raz dotknął stopą i piękny myt w rzeczywistość zmienił. Martynika, najpiękniejsza z Antylów, króluje pośrodku archipelagu. Historia jej odkrycia, następnie jej osiedlenia jest kartką z dziejów kolonizacji w ogólności. Chciwość, zabór, przewaga możnych, wojny i rewolucje, wreszcie walka rasowa — oto najgłówniejsze momenty psychiczne i historyczne

Nazwa Martyniki tonie w pomroce przeszłości. Nie jest ona bynajmniej tak prostą etymologicznie, jakby się na pozór wydawać

mogło, choć jej pochodzenie wyprowadzają niektórzy od św. Marcina, w którego dniu Kolumb miał odkryć wyspę.

Wyraz Martynika ma pochodzić raczej z przekręcenia karaibskiego „Matinina“, jak twierdzi Elizeusz Réclus w swej „Géographie nouvelle“; takie miano posiadała wyspa za czasów swych władców pierwotnych, Karaibów, na równi z nazwą „Mediana“.

W dziejach świata występuje Martynika na początku szesnastego stulecia, gdy Kolumb w roku 1502 na niej wylądował po raz wtóry. Od chwili owej przez wiek z górą Martynika była jeszcze wolną od jakiejbydy kolonizacji, jakkolwiek jej sąsiadki oddawna już dostały się pod panowanie Hiszpanów. Podobno odstraszył Europejczyków widok węzów jadowitych, które w niezmiernej liczbie, zaludniały podówczas lasy wyspy, i obecnie jeszcze nie wyginęły a także niezwykła dzikość i wojowniczość Karaibów. Faktem jest, że dopiero w r. 1625 awanturnik francuski, Beloin d'Esnambuc, wyruszył z Dieppe, by z upoważnienia kardynała Richelieu objąć w posiadanie wyspy Indyi zachodnich. Wylądowawszy na Martynice, wysłał do Europy, porucznika, Liénarda de l'Olive, celem zawarcia umowy z Towarzystwem eksploatacji wysp indyjskich, jakie się we Francyi właśnie zawiązało. Wysłannik wolał wszakże działać na własną rękę i sam wraz z jakimś Duplessis stanął na czele przedsięwzięcia. W ten sposób Olive i Duplessis stali się pionierami kolonizacji francuskiej w Indyach zachodnich. W roku 1635 wyruszyła pod ich przewodnictwem wyprawa, złożona z 550 ludzi, w tej liczbie 400 robotników; po miesiącu żeglugi wylądowano szczęśliwie na Martynice w tem samym miejscu, gdzie ongi Kolumb i gdzie do niedawna istniało miasto Saint Pierre. Ludzie ci jednak wywedrowali wkrótce na Gwadelupę, gdzie warunki zamieszkania były przyjaźniejsze, natomiast Esnambuc zajął Martynikę w imieniu Kompanii zachodnio indyjskiej. W ciągu siedmiu lat trzy towarzystwa prześcigały się w wyzyskaniu przyrody miejscowej, a jakkolwiek Ludwik XIV nabył Martynikę wraz z Gwadelupą i paru wyspami drobniejszymi, z porady Colberta, na własność państwa, stosunki się nie poprawiły, gdyż przedsięwzięcia poprzednie teroryzowały ją dalej.

Odtąd dla miejscowej ludności nastąpił okres zagłady. Każde zagarnięcie gruntu przez cłciwego przedsiębiorcę, każdy napad innej narodowości kończył się rzezią Karaibów, ludu nieznoszącego uległości. Napadów zaś obcych nie brakowało.

W roku 1566 usiłowali wyspę opanować Anglicy, wszakże nadaremnie. W roku 1674 udało się admirałowi holenderskiemu, Ruyterowi, wysadzić na ląd pokazną gromadę 6,000 żołnierzy. Ci jednak,

opanowawszy fabrykę rumu, tak się wkrótce uraczyli, że ich obrońcy wyspy przetrzebili i panowaniu Holendrów kres położyli.

Podczas wojny siedmioletniej zdobyli Martynikę Anglicy (1762 r.) i sprawowali tam rządy przez półtora roku. Dominika, tworząca jakby most między Martyniką a Gwadelupą, pozostała przy nich dotąd, jakby strażnica władzy angielskiej, ku szkodzie handlu francuskiego. Rewolucya francuska dała hasło do walk wewnętrznych o zniesienie niewolnictwa; powstania wybuchały i gasły, zarządców wyspy wypędzano i znów przywracano; w okropnym roku 1793 przywódcy zwycięskiej partyi we Francyi mieli na Martynice tytuł zwoleńników, że na zgromadzeniu politycznym w dwóch najgłośniejszych miastach wyspy, Saint Pierre i Fort Royal przegłosowano skazanie na śmierć Ludwika XVI.

Owoce wojny domowej na Martynice było wmięszanie się Anglii i zawojowanie przez nią wyspy, tym razem na czas dłuższy. Admirał Jeavis, obsadził w roku 1794 główne punkty załogą angielską, i stan ten utrzymał się lat osiem, aż do pokoju w Amiens. Rządy angielskie zaznaczyły się nadaniem wolności murzynom. Gdy Martynika wróciła do Francyi, Napoleon I nie omieszkał przywrócić stanu niewolnictwa, a nawet handlu czarnym towarem, co wywołało oczywiście zaburzenia i przelew krwi niemały. I znów przechodzi nieszczęsna wyspa w 1809 pod berło angielskie, by w siedem lat później, na zasadzie konwencji paryskiej, powrócić do swej obecnej władczyni.

I odtąd jednak mieszkańcy bogatej kolonii nie zaznali spokoju. Fatalny krok Bonapartego stał się źródłem mordów i prześladowań. Wielki bunt czarnych r. 1822, gdzie w nocy z 13 na 14 października, 80,000 murzynów uderzyło na 10,000 białych i 11,000 mulatów, skończył się rzezią kolonistów, spaleniem ich domostw i spustoszeniem plantacyi. Powstanie zostało w końcu stłumione, ale niepokój umysłów trwał do roku 1848, gdy ostatecznie zniesiono niewolnictwo.

Francuzi nie okazali się jednak i tutaj biegłymi politykami. Do kroku niezbędnego, jak nadanie wolności czarnym, dodali drugi krok krańcowy: obdarzyli ich całkowitem równouprawnieniem. Murzyn, bity i zabijany bezkarnie wczoraj, dziś stał się równym swemu panu, współobywatelem Francyi, którego hasłem wolność, równość, braterstwo. Do takich pojęć ludność murzyńska nie dorosła; to też zamiast wdzięczności i zadowolenia, obudziła się w niej żądza odwetu za krzywdy doznane i chęć opanowania całego ustroju miejscowego na drodze prawnej, do której im tak szeroko otworzono wrota. Od chwili owego zbyt hojnego rów nouprawnienia aż do bieżącej doby trwa na

Martynice walka zacięta między rasą czarną z jednej, a białą i kolorową z drugiej strony; wojna wprawdzie bezkrwawa, ale wyczerpująca na polu ekonomicznym i przemysłowym, pogłębiająca coraz bardziej przepaść między obu rasami. Nienawiść ich ujawnia się nie tylko przy wyborach lub reprezentacjach urzędowych; w sądzie, w szkole, w biurze, gdzie wszystkie urzędy zajmują czarni, nie może być mowy o bezstronnym traktowaniu sprawy, na czem cierpią oczywiście biali i ich potomkowie, na wyspie zrodzeni, czyli kreole, jako stanowiący ogromną mniejszość. Jedynie tylko główny zarząd wyspy, żandarmeria, oraz wielcy właściciele ziemscy rekrutują się wyłącznie z Europejczyków; Murzyni są nawet agentami policyjnymi, urzędnikami akcyzy i komory celnej.

Rzecz oryginalna: Murzyn nie lubi dzisiaj białego nie tyle z powodu tradycyi prześladowań, których sam nie doznawał, ale z przyczyny pogardy, jakiej ten mu nie szczędzi na każdym kroku; a jednak naśladuje we wszystkim, nawet w drobnostkach, w szczegółach stroju, w ruchach. Śmiesznie wygląda ten syn natury we fraku i białym krawacie, albo w obcisłych spodeńkach w kratki i z laseczką w rękę, trzymający niedbale papierosa à la parisienne. Kobiety w strojach krzyczących, nieraz cudacznych, bardziej jeszcze bawią swą miną naiwnie zalotną, dziwnie dla naszego oka niedostrojoną do grubych rysów i czarnej skóry. Z tem wszystkim jednak nie można im odmówić pewnego wdzięku, może właśnie dla tej wrodzonej naiwności, nawet niejkiej poetyczności w usposobieniu.

Kobiety murzynki lubują się w kwiatkach: zdarza się, że mając zaledwie na parę bułek, dziewczyna kupi jedną bułkę i bukiecik... na deser. Przepadają też namiętnie za muzyką. Taka to muzyka: melodia krótka, urywana, powtarzana w kółko z różnemi akcentami, ale z jakim życiem, z jakim oddaniem!

Język miejscowy, kreolskim zwany, jest raczej narzeczem, zlepkiem francuszczyzny (patois), zepsutej różnemi naleciałościami. Daremnie byś się kusił na wyszukanie jakichś form gramatycznych lub reguł wymowy; mowa kreolska—to wyrazy w lot pochwycone i połączone z sobą bez zmiany.

*Vous avez* — zasłyszał pojętny murzyn i ma już w swej gwarze *ze vé...* *Vous lez vous* brzmi *oulé*; czasów, trybów niema wcale. *Un homme* ucho krajowca przerobiło na *nomme*, i choćby tych ludzi było dwóch czy więcej, zawsze pozostaje *nomme*; podobnie mówią *un lapetit*, *une loccasion*.

Dowcipnie nazywa jeden z najwybitniejszych znawców Martyniki, Ludwik Garaud, gwarę kreolską językiem Piętaszka. Można nią się porozumiewać, wyrażać uczucia wszelkie; pisać niepodobna. W ra-



zie sporu żywego i te krótkie dźwięki, nieomówione wyrazy, stają się za długie dla prostych wyśpiarzy; gestykulacją, mimiką, wyrażają wtedy swe myśli więcej, niż językiem. A jeśliś trafił na kłótnię przekupek, masz scenę, jakiej-by pozazdrościł niejeden mistrz mimi-ki; żadnego słowa, żadnych wymysłów, natomiast oczy, twarz, głowa, ręce, całe ciało porusza się z błyskawiczną szybkością; gdyby nie krzyk i pisk urywany, można-by te aktorki przenieść wprost na scenę starożytnej Hellady, do sławnych ongi teatrów mimicznych.

Takimi są w ogólnych zarysach te „duże dzieci“, główni mieszkańcy Martyniki, i taką krótką historią ich ojczyzny. Całe zaludnienie wyspy wynosi obecnie 180,000, na co składa się zaledwie 20,000 białych; mieszkańców rasy białej i czarnej, w różnym stopniu, czyli tak zwanych mulatów, albo kolorowych, naliczyć można do 50,000. Ōwi mulaci, którzy-by powinni stanowić niejako łącznik moralny między skrajnymi żywiołami etnograficznymi, zachowują się względem czarnych tak, jak biali względem nich samych. Europejczyk, lub kreol, niechętnie rękę im podaje, pomnąc, że mają w żyłach cząstkę krwi niewolników; mulaci znów niechętnie witają czarnych, czując się od nich wyższymi przez domieszkę krwi białych. Zdarza się, że rodzice murzyni sami czują swą niższość wobec dzieci, dla tego tylko, że one mają cerę nieco jaśniejszą. Matka-murzynka, nieraz gorzej od sługi odziana, bosa, niesie książki córeczki mulatki, dążącej do szkoły, a wystrojonej, jak lalka. W tym małym światku nie mniej bywa ambicyi, próżności, chciwości i poświęcenia, jak w największych ogniskach cywilizacji.

---

Dwa główne miasta istniały do niedawna na Martynice: Fort de France, mniejsze i mniej zaludnione (16,000), rządowa jej stolica, i Saint Pierre, największe (30,000 ludności) i najbogatsze miasto wyspy, a może i wszystkich Antylów Mniejszych. Inne, jakkolwiek dość ludne i spore miasteczka portowe, jak Lamentin, Trinité, Lorrain, schodzą na plan daleki już ze względów politycznych. Cała wyspa dzieli się pod względem administracyjnym na dwa obwody, których ogniskami były właśnie owe dwie stolice, rządowa i handlowa. Każde z tych miast miało swego deputowanego, każdy deputowany swój dziennik, każdy dziennik swoją klientelę, i dwie siostrzyce na każdym kroku wiodły walkę zaciętą. Dziś z zagładą Saint Pierre upadła i walka, tak szkodliwa dla interesów kraju; nieszczęście zjednoczyło wyznawców różnych przekonań, przynajmniej do czasu, gdy na gru-

zach miasta, lub w innym miejscu powstanie nowe ognisko handlu, przemysłu i polityki zarazem.

A handel wyspy do drobnych nie należy. Podstawę jego stanowi trzcina cukrowa, której dwa produkty, cukier i rum, stanowią pokaźne źródło dochodu w budżecie Francji. Plantacje kawy, wprowadzonej tu na początku XVIII-go stulecia, dają też pewną dźwignię w ekonomicznym stanie kolonii. Inne owoce, jak ananasy, banany, kokosy, mangi, chlebowce, stanowią raczej pożywienie ludności, dla której mięso należy do zbytków, importowanych głównie z za granicy. Drzewo kakaowe nie wytrzymało współzawodnictwa wysp sąsiednich i produkcja kakao na Martynice upadła niemal całkowicie. Pomimo niewielkiej stosunkowo ilości płodów roślinnych, nadających się do wywozu, pomimo, iż poza tem żadnych prawie bogactw przyrodzonych wyspa nie posiada, ani w świecie mineralnym, ani zwierzęcym, wymienione jej produkty, przedewszystkiem zaś cukier i rum, czynią Martynikę jedną z najcenniejszych kolonii Francji, istną perłą Antylów Mniejszych. Niedziw, że katastrofa, która zniweczyła duże obszary plantacji, a grozi spustoszeniem jeszcze wielu innych, już z tego względu obchodzi bardzo finansowe sfery europejskiej macierzy. Wysłanie ekspedycyi naukowej na miejsce zniszczenia, pomoc i zasiłki, dawane hojnie strwożonej ludności, opuszczającej gromadnie osady i plantacje, nawet oddalone znacznie od niebezpiecznego ogniska, ma więc w istocie pobudki nietylko naukowe i moralne. Właściciel chce wiedzieć, jaka będzie jego przyszłość, i trwoży się podwójnie: albo wulkan ją zrujnuje, albo ludność wystraszy, a wtedy przybędą odważniejsi i zabiorą. To też zarząd wyspy dokłada wszelkich usiłowań, aby mieszkańców powstrzymać od wychodztwa. Wymowny dowód poświęcenia dla tej idei, wprost już politycznej, dał były gubernator wyspy, Mouttet, który, w najkrytyczniejszej chwili, gdy wulkan coraz groźniej się zachowywał, gdy ział bezustannie dymem i popiołem, sam wraz z małżonką udał się do Saint Pierre, by osobistym przykładem wpłynąć na uspokojenie umysłów. Zgiął on, jak wiadomo, na wstępie do nieszczęsnego miasta. Obiegały nawet na razie, wkrótce po katastrofie, wieści nedorzeczne o otoczeniu miasta kordonem wojska, celem zatamowania ucieczki. Wiadomość taką mogły puścić tylko rewolwerowe pisma paryskie, dla których możliwym jest fakt powstrzymania trzydziestu tysięcy ludzi, uciekających w szalonym popłochu, pod grozą śmierci powszechnej od żywiołu, i to przez kilkuset żołnierzy, w przypuszczaniu, że ci żołnierze... nie pierzchli sami.

W ogóle, o samej katastrofie, że już nie mówię o jej przyczynach, krążyły w prasie całego świata wieści tak sprzeczne, często wprost dziwaczne, że tutaj pozwolę sobie treściwie rozważyć jej

przebieg prawdopodobny, na zasadzie danych, zebranych na miejscu zagłady, oraz świadectwa inteligentniejszych mieszkańców okolicznych i przedstawicieli nauki, z jakimi spotykałem się na Martynice. Przed opisem jednak owego nowoczesnego „zniszczenia Sodomy“, należy się krótki obrazek samego miasta, jego życia powszedniego i odświętnego.

Położone w kotlinie górskiej, dokoła obszernej zatoki, miasto Saint Pierre już przez to samo dawało od strony morza widok malowniczy, jakich niewiele na całej kuli ziemskiej. Przypominało do pewnego stopnia Neapol. Domy i ulice piętrzyły się w półkole na tle gór, okrytych roślinnością egzotyczną, a w głębi wznosił się kolos, Mont Pelé, również zielony aż do wierzchołka, który, obnażony, zjednał tej górze miano „Łysej“. Wierzchołek ten zresztą prawie zawsze bywa ukryty w obłokach.

Wewnątrz miasto nie było piękne, ani nawet bardzo porządne, co można wprawdzie powiedzieć o wielu ponętnych od strony morza portach włoskich, czy hiszpańskich. Było to w całym znaczeniu ognisko handlu morskiego. Przystań roiła się od statków, począwszy od wielkich parowców oceanowych o różnych flagach, a kończąc na szalupach, węglarkach i łodziach żaglowych. Tuż nad brzegiem ciągnęły się zwartym szeregiem składy towarów, zabudowania i maszyny portowe. Spory bulwar, gdzie przybywały okręty o głębokim nawet sięgu, wspaniała latarnia morska i urządzenie sygnałowe świadczyły, że jest to port pierwszorzędny.

Założone przez Esnambuca w roku 1635 miasto powstało naprzód na wyżynie, przy ujściu rzeki Roksolany, gdzie też zbudowano fort, mający je bronić od dzikich i niespokojnych Karaibów. Odtąd cała ta górna część miasta utrzymała nazwę Fortu, jakkolwiek istotny fort dawny stracił obronną postać. Dolna część Saint Pierre powstała po wytrzebieniu Karaibów i, położona za rzeką, tworzyła właściwą dzielnicę handlową, zwaną Mouillage. Tutaj skupiało się życie miejskie, pomimo, iż warunki zdrowotne i klimatyczne wcale mu nie sprzyjały. Gorąco iście zwrotnikowe, duszność i wilgoć zarazem z powodu zatrzymania wszelkiego przewiewu przez grzbiet górski, przy ciasnocie ulic i pomieszczeń, czyniły pobyt dłuższy w tej dzielnicy nieznośnym nawet dla pracowników miejscowych. To też chętnie zaraz po godzinach roboczych uciekano w górę na stoki, tonące w zieleni, a zamożniejsi dalej, do Morne Rouge, uroczego wzgórza, położonego u stóp Łysej Góry.

Saint Pierre posiadało jednak kilka gmachów, jakimi się nie poszczyci żadne miasto Martyniki: piękną katedrę, teatr, ratusz, szpital, a nadto rozkoszny ogród botaniczny, któryby do dziwów świata

zaliczyć można. Ogród ten łączył wszystkie niemal gatunki roślin, egzotycznych w całej pełni ich rozwoju: był tu i las dziewiczy, i sztucznie wytknięte aleje, źródła i wodospady, jeziorko, wysepki. Sztuka nie zeszpeciła piękności przyrody. Majestatyczny spokój tego ustronia odbijał rażąco od zgiełku portowego, od gorączki handlu, od chaosu ruchu ulicznego.

Gorąca krew wyśpiarzy, nie dająca im myśleć, jak najmniej pracować, lub cokolwiek czynić spokojnie, wywoływała też zabawy dzikie, szalone, przypominające orgie starożytnych. Miasto, mające wygląd europejski i zamieszkane przez ludność, pracującą po europejsku, w czasie karnawału przybierało sukienkę, zgoła nieliczącą z pojęciami starego świata. Karnawał w Saint Pierre był święcony tak odrębnie, tak charakteryzował ducha i obyczaje ludu, który, wyrwany z niewoli, naraz uzyskał prawa najwolniejszego na świecie narodu, że warto zapoznać się tu z obrazkiem, jaki kreśli Garaud, wice-rektor Martyniki, a zarazem wielki przyjaciel jej demokratycznego żywiołu.

„Miasto Saint Pierre—pisze Garaud—jest pełne uciechy. Przygotowuje się do święcenia ostatniego dnia karnawału, trwającego już dwa miesiące. Tutaj bowiem, począwszy od Trzech Króli, ludkę zabawia się co niedziela z zapalem niebywałym. Dzisiaj, gdy mają skończyć się zapusty, każdy chce zaznać ostatniego upojenia. Dorośli i dzieci, mężczyźni i kobiety, wszyscy biorą udział w zabawie. Jest to karnawał ludowy, karnawał narodu-dziecka.

„Byłem świadkiem karnawału w różnych miastach włoskich; podziwiałem go w Nizzy w całej świetności; widywałem zapusty w małych komunach Francji, ich stroje dziwaczne, korowody; w Algeryi patrzyłem na snujące się melancholijnie tłumy; obserwowałem karnawał paryski, zalewający nudy szampanem w Operze. Są to wszędzie zabawy próżniaków i gamoniów, uciecha wymuszona, przyjemności, kupione za pieniądze; to karnawał ludzi możnych i przeżytych.

„Nic podobnego w Saint Pierre. Tutaj całe miasto wyległo na ulicę, całe miasto przywdziało maskę, śpiewa, tańczy, szaleje. Nigdy saturnalia w Rzymie, ani w Grecji bachanalie nie dawały takiego widowiska; nawet święto waryatów w wiekach średnich nie dawało ujęcia takim wybuchom uniesienia.

„Okolo drugiej godziny po południu święto się rozpoczyna i trwa do późnej nocy. Tłum masek schodzi z Fortu, najwyższej dzielnicy miasta, do przystani, roztaczającej się szeroko nad morzem, następnie wraca z przystani do Fortu, przez główną ulicę miasta. Głównem wszakże miejscem schadzek jest środek miasta; tam zewsząd ściągają

korowody masek, tam powstają gromadki, zbierają się wśród krzyku i nawoływań.

„Słońce zwrotnikowe pali bezlitośnie, rozgrzewa i tak już gorące głowy. Śpiewki urywane, hałaśliwe a niezgodne, wybuchają tu i owdzie jak salwy. Gromadki kobiet drżą w niecierpliwem oczekiwaniu.

„Tymczasem tłum rośnie, fala popycha falę, masa ludzka kołysze się, postępuje, wezbrane morze huczy i wylew się zaczyna.

„Na czele toczy się garstka uliczników w łachmanach, otaczająca olbrzyma, przebranego za dyabła i postępującego krokiem równym a wielkim. Biegna za nim, klaszcząc w ręce i pogwizdując jakąś melodię dziką i krótką, na co ten dyabeł odpowiada głosem, iście piekielnym. Banda rzuca się w dół miasta, zapełnia ulicę, chodniki, strumienie, popychając się, szturchając, dusząc, ale nie ustając w klaskaniu, ani wykrzykiwaniu, w takt tej samej śpiewki.

„Dalej postępują niezliczone szeregi kobiet wszelkiego wieku, w strojach jaskrawych; krzyczą one głośniejsze jeszcze od pędzącej na przedzie łobuzeryi, a raczej śpiewają jakąś strofkę, wciąż powtarzaną, i podrygują przytem całym ciałem.

„Najbardziej wszakże oryginalną częścią tego zbiorowiska jest stek mężczyzn i kobiet, gromadek i masek pojedynczych, jakie pociągają za sobą czarni muzycanci, jadący w skrzyni, w osła zaprzęzonej. Murzyni ci dmą we fiety, jeden zaś z nich bije zapamiętałe w bęben, zrobiony z beczki, której denka zastąpiono skórą. Muzykę podobną można usłyszeć na Wschodzie, naprzykład w kawiarniach Algeryi; żalosa śpiewka powtarza się nieustannie z małemi waryacyami.

„Na odgłos tej muzyki tłum mieszany kobiet i mężczyzn idzie krokiem miarowym, chwytając się pod rękę, to puszczając, łącząc się, zbliżając i oddalając, w takt dźwięków melodyi, pośród krzyków, śpiewu, śmiechu, gwizdania, w upojeniu, nieznającym granic. O, nie jest to karnawał bogaczów! Tu lud szczerzy czuje się panem, w tem rozkiełznaniu, w tej radości bezmiernej; ta maskarada szalona, to skutek krwi wezbrania, skutek rumu, skwaru słonecznego. instynktów człowieka pierwotnego, to burza, to żywioł rozszalały.

„I od tych wrzących ciał ludzkich bije woń trunku, potu, tłuszczu, woń przenikliwa, ostra, dławiąca, która niemal oddech tamuje. Ten hałas, śpiewy, rytm, zapach odurzający, porywa nieraz przechodniów i wciąga w ogólny wir szaleństwa.

„Niekiedy stoi na uboczu dziewczyna, powstrzymywana przez względy religijne, albo lękająca się konfesyonału, i zadawała się widokiem zabawy. Powszechnie jednak spektatorka, pobudzona krewką naturą, porwana muzyką i przykładem innych, rzuca się w wir i sza-

leje. I z miną bachantek, i z ruchem bachantek, dziewczęta nucą piosnki namiętne;

Maman, moin lé mo!  
Maman, moin lé mo!  
Moin pas ni l'agent,  
Pou féré moin...

Mamo, chcę umrzeć!  
Mamo, chcę umrzeć!  
Ale nie mam nic,  
Nie mam na pochowanie.

Druga gromada śpiewa na zabój:

Moin ké cassé code au sonéal

(Chcę zerwać sznurek tego wieczora!).

Jest to aluzja do zrzucania chusty panieńskiej (madras); i często robią tak, jak śpiewają“.

Tak bawiono się ongi w Saint Pierre; tak przeszedł jeszcze karnawał przeszłoroczny. Szaleństwa te, i pracę ludzką, i zabiegi, i bogactwa — wszystko zburzył w ciągu minuty wulkan Mont Pelé.

Stojąc na szczątkach bogatego i wesołego miasta, nie chce się uwierzyć, aby ono istnieć przestało przed paru miesiącami. Dnia 9 lipca r. z. zwiedzałem je po raz pierwszy, czyli w dwa miesiące po katastrofie. Nie powiem, aby ogrom zniszczenia, czy też wspomnienie tylu ofiar główne czyniły wrażenie. Z miasta dużego jak Radom, lub Kielce, nie został się ani dom jeden; pod gruzami i popiołem spoczywa trzydzieści tysięcy ciał ludzkich. Ten widok i ta myśl nie może być obojętną nawet dla obcego, który tu nic nie stracił.

Co jednak uderza i przygnębia, to rodzaj zniszczenia, jego zagadkowość, że się tak wyrazić poważę. Pod tym względem katastrofa jest bezprzykładną w dziejach ludzkości, przechodzi nieporów-

nanie słynne zburzenie Pompei i Herkulanum. Tutaj miasto nie zostało zasypane popiołem, ani zalane błotem, ani lawą; nie zwałiło się od trzęsienia ziemi, ani w ziemię nie zapadło. Objawy zgoła są inne, niż w zagładzie Pompei, wybuchu Krakatoy, lub zniknięciu Sodomy; dzisiejszy zaś wygląd miejsca, gdzie stało miasto Saint Pierre, jest taki, jak gdyby było ruiną z czasów Faraonów. Gdyby ktoś, niewiedzący daty katastrofy, znalazł się w tej ruinie, wziąłby ją niezawodnie za pozostałość epoki bardzo odległej. Wiedząc zaś, jak jest świeże całe to cmentarzysko, trzeba sobie wmawiać datę zagłady, aby w nią uwierzyć.

Skruszone mury, cegły w proch rozsypane, drzewa spalone na węgiel i popiół, monety stopione, żelastwo pogięte, dowodzą, że w czasie katastrofy zar panował wielki. Z drugiej strony wszędzie pełno śladów jakby orkanu, który z niezmierną gwałtownością zniósł miasto w kierunku poziomym.

Co tu się działo — nikt nie wie i nigdy dokładnie sprawy nie zda sobie; nie masz bowiem żyjących świadków katastrofy, którzy-by coś faktycznego wiedzieć mogli o szczegółach zniszczenia samego miasta. Słynny murzyn, Silbarys, jedyny człowiek ocalony w ognisku zniszczenia, w środku miasta Saint Pierre, siedział jako więzień w ciemnicy, w komórce, w ziemię wmurowanej, i to go zbawiło, choć i tu został ciężko poparzony. Ten człowiek oczywiście nie widział, ani wiedział. Ocalało jeszcze kilku mieszkańców na skraju miasta, gdzie zagłada nie była tak doszczętna; ci dają niejaki wskazówki, co się wokoło działo, nie mogą jednak objaśnić o przebiegu zjawiska opodal, gdyż wszystko objęła chmura nieprzejrzana. Spora wreszcie garstka mieszkańców okolicznych, jak z Prêcheur na Północy, a z Carbet na Południu Saint Pierre, miejscowości odległych o 3—4 kilometry od miasta, a stanowiących granice katastrofy, dają zeznanie, rzucające niejako światło na jej przynajmniej cechy ogólne.

Ażeby uprzytomnić czytelnikom prawdopodobny przebieg katastrofy, unikając dziennikarskich fantazyi, aż nadto obfitych, niestety, w różnych wzmiankach, w rodzaju naprzykład deszczu siarczystego, falowania ziemi, zapadnięcia się dna morskiego i t. p., zestawię tu szereg spostrzeżeń, zebranych bądź ze sprawozdań owych świadków okolicznych, bądź z badań naukowych, własnych i cudzych, a mianowicie komisji francuskiej z p. Lacroix na czele, którą zdarzyło mi się kilkakrotnie spotykać w różnych punktach Martyniki.

„Łysa Góra“ uważaną była za wulkan wygasły, jakkolwiek jeszcze w roku 1502, gdy Kolumb wylądował w jej pobliżu, krajowcy z wyraźną obawą wskazywali ją śmiało żeglarzowi, zowiąc

„Górą Ognia“. W roku 1851 wulkan zdradził się po raz pierwszy w okresie historycznym, wyrzucając popioły i inne produkty drobniejsze. Na tem skończył się wówczas jego wybuch; odtąd na lat pięćdziesiąt zamilkł zupełnie.

W roku przeszłym objawy podobne zaczęły się od początku maja, a nawet w ostatnich dniach kwietnia dały się słyszeć złowrogie odgłosy podziemne i ukazał się dym z dawnego krateru. Trzeciego maja lunął z wulkanu potok błota, który jednakże nie zrzucił jeszcze szkód większych. Jednocześnie zaczęły się sypać popioły coraz obficie. Wysłano wtedy komisję naukową na szczyt Mout Pelé, która orzekła, że miastu Saint Pierre nie grozi niebezpieczeństwo (1). Trudno przypuścić, aby uczeni wierzyli sami w taką przepowiednię, co do której nauka żadnych zgoła danych dotąd nie posiada. Można ich błąd raczej wytłumaczyć względami politycznymi; wysłani przez gubernatora, któremu zależało na uspokojeniu ludności za jakąbądź cenę, pod jego naciskiem wygłosili zapewne swoją wyrocznię, która niebawem przyprawiła o śmierć tysiące ludzi.

Nie wszyscy jednak wyżyli w spokoju u stóp wulkanu; nie wszyscy polegali na zapewnieniu owej komisji. O kilkaset kroków poza miastem leżała na stokach „Łysej Góry“ rafinerya i fabryka rumu niejakiego Guérina, jedna z największych instalacji na wyspie, przerabiająca rocznie 30 milionów kilokramów trzciny cukrowej. Czując niebezpieczeństwo, sędziwy Guérin, wraz z liczną rodziną, postanowił opuścić siedzibę.

Dnia 5 maja gmachy fabryki zostały zamknięte, ruchomości wyniesione, paki z pieniędzmi i papierami gotowano do zabrania; w porcie, o jakie sto kroków, czekały dwa parowce, przeznaczone do tej wielkiej przeprowadzki. I oto ironia losu! W górze ukazuje się wał czarny, toczy się coraz prędzej. Zrozumiano w mgnieniu oka, że się święci; była to kaskada błota, spadająca z góry. Rodzina Guérina i cała służba rzuciła się ku okrętom, sądząc, że na nich ujdzie przed zalewem. Nadaremnie! Potok błota wpadł na nich z szybkością szalona, zniósł ludzi, rzeczy, pochłonął statki; zakotłowało się morze — i po chwili wróciło znowu do stanu zwykłego, kryjąc życie kilkudziesięciu ofiar i ich dobytek. Sam tylko właściciel, staruszek 70-letni, stojąc na pagórku około domu, ocalał; strumienie błota wulkanicznego przeszły tuż obok, pozostawiając go, jakby na wyspie. Druga fala błota wpadła wkrótce na dom i fabrykę i zniosła je doszczętnie.

Taki jest pierwszy faktyczny objaw zniszczenia, który poprzedził na trzy dni główną katastrofę. Co za masy wody i mialu brały udział w tem stosunkowo drobnem zniszczeniu, można mieć wyobrażenie stąd, że dolina, którą płynęły, głęboka na 50 — 60 metrów (kil-



kanaście pięter), a szeroka podwójnie, została po brzegi wypełniona tą rzeką błota. Nie mogły to być wody jeziora, jakie się znajdowało przed wybuchem u szczytu Mont Pelé; jeziorko to miało zaledwie 150 metrów obwodu. Wypływ niezawodnie pochodził z głębi ziemi.

W ciągu paru dni następnych wulkan się zachowywał względnie cicho. Dnia 8 maja, w dzień Wniebowstąpienia, od samego rana zaczął wyrzucać gęste kłęby dymu. Mieszkańcy Saint Pierre byli już nieco oswojeni z tym widokiem; nawet łoskot i grzmot podziemny niewielu przstraszył o tyle, by wynieśli się z miasta. Mieli zresztą zapewnienie uczonych, poparte przez gubernatora, że wybuch tak daleko nie sięgnie. Gromadki jednak opuszczały Saint Pierre, udając się do stolicy Martyniki, lub przynajmniej do górzyskiej siedziby Morne Rouge. Do tej ostatniej dążyło między innymi kilku obywateli miejscowych: Lasserre, Simonet i bracia Caminade. Jechali w dwóch powozach po drodze, pnącej się dosyć stromo po najdalszych stokach Łysej Góry; pierwsi dwaj naprzód, bracia Caminade dążyli tuż za nimi. Przebywszy połowę drogi do Morne Rouge, wynoszącej prawie milę, zauważyli jakby gęstą chmurę czarną, toczącą się z góry. Naprózno pędzili galopem; chmura wpadła na nich, i po chwili powóz Lassere'a i Simoneta został strzaskany, a oni sami rzućeni na ziemię i mocno poparzeni; bracia zaś Caminade wraz z powozem i końmi zniknęli bez śladu. Gdy dwaj uratowani zdołali się nieco opamiętać i spojrzeli poza siebie, dostrzegli nad miastem Saint Pierre jedną chmurę nieprzerwaną, poczem rozległ się łoskot straszliwy i ucichło wszystko, tylko chmura obejmowała całą kotlinę miasta. Obok i poza nimi zniknęła wszelka zieloność, drzewa i trawy były nawet spalone; przed nimi o parę kroków zieleniły się nietknięte lasy i plantacje. Znaleźli się akurat na granicy spustoszenia, którego linię niemal można było wytknąć.

Podobne objawy zauważono także w osadzie Prêcheur, najbliższej z miejscowości ocalałych, przynajmniej w części; leży ona o pół mili na Północ od Saint Pierre, a więc jeszcze bliżej wulkanu, na samych jego stokach zachodnich. Tędy szła północna granica strefy zniszczenia; tutaj obłok dymu objął też okolice, tak, iż przez trzy godziny siedziano przy lampach. W chwili krytycznej słyszano huk piekielny, poczem zakłębił się mrok gęsty, rozjaśniony tylko wirującymi jakby iskrami; owe iskry raziły i parzyły ludzi, nieraz śmiertelnie. Ocaleli głównie ci, co siedzieli w domu. Po pewnym czasie spadł grad kamienny, złożony z kawałków pomeksu, lekkich, jak pianka i nie wyrządzających szkody. Chwilami zaś spadały ziarna, nie większe od orzecha, lecz obdarzone taką szybkością i ciężarem względnym, że podziurawily grubą dachówkę ceglana.

Najbliżsi wreszcie głównego siedliska katastrofy, bo na samym skraju miasta zamieszkali, z których uratowało się dwóch zaledwie, i to z oparzeniami, które ich jeszcze za mego pobytu (lipiec i sierpień) trzymały w szpitalu, zauważyli tę samą chmurę tajemniczą, niesioną jakby wichrem, takie same ogniki i huk wstrząsający, jednorazowy, poczem nastąpił w mieście trzask, jęk, krzyki; wszystko to trwało niecałą minutę, poczem pożar objął całe miasto i wszystkie okręty, w porcie stojące.

Wszyscy zaś jednoznacznie utrzymują, że gorąco w powietrzu zrobiło się naraz tak okropne, iż oddech parzył usta i gardło. Popioły spadły obficie, nie tyle jednak, aby mogły przysypać choćby człowieka, a tem mniej miasto; grubość ich po katastrofie wynosiła miejscami od kilku do kilkudziesięciu centymetrów.

Badania w szczątkach miasta nie wykazują śladów siarki, któreby niezawodnie pozostały, gdyby w wybuchu uczestniczyły gazy siarkowe (siarkowodor, bezwodnik siarkowy). Wykazują one dalej działanie siły poziomej, niezwykle gwałtowne, oraz temperaturę bardzo wysoką.

Całkowite spustoszenie w katastrofie 8 maja obejmuje wycinek koła, którego środkiem jest szczyt wulkanu, a promienie skrajne idą: jeden ku osadzie Prêcheur, drugi ku miasteczku Carbet. Saint Pierre znajduje się pośrodku między obu promieniami, tędy zatem poszedł środek katastrofy.

Obserwując wulkan już zdaleka po głównym wybuchu, łatwo dostrzedz, że kłęby oparów wydostają się nie tylko z krateru szczytowego, ale i w wielu miejscach na stoku południowo-zachodnim, leżących na jednej linii aż do morza. W tem miejscu wpadały dwie rzeki równoległe tuż obok siebie, Rivière Blanche i Rivière Sèche. Po wybuchu łożyska obu rzek wyschły całkowicie i dno ich daje ujście oparom, zwłaszcza przy samym wylocie rzeki Białej do morza. Jak szybko zmieniają się tu objawy wulkaniczne, świadczy fakt następujący:

Geolog francuski, Lacroix, delegowany do zbadania przyczyn katastrofy, wykrył w łożysku rzeki Białej wyraźne dymniki, czyli fumarole, i zebrał stąd nawet gazy i pary. W tydzień później<sup>1)</sup> przy-

1) Tu czuję się w obowiązku wyrażenia szczerej podziękii osobom, które mej misji naukowej uprzejmie się przysłużyły; mianowicie gubernatorowi Martyniki, panu Lhuerre, za oddanie parowca i innych środków komunikacji na moje potrzeby, oraz komendantowi naczelnemu, p. Herbay, za pomoc i towarzyszenie mi w wielu wyprawach.

byłem na to samo miejsce, i ku zdziwieniu swemu nie ujrzałem ani jednej fumaroli na zewnątrz; były one jak najwidoczniej zasypane popiołem. Dno rzeki, pełne szpar zasypanych, było tak gorące, że przez obuwie parzyło nogi. Chwilami z sykiem tryskała woda gorąca i para. Jest to najwyraźniej linia pęknięcia wulkanicznego, ciągnąca się stąd do głównego krateru, z przerwami tu i owdzie.

Zbadanie krateru głównego rozjaśniłoby niezawodnie pewne szczegóły katastrofy. Niestety, krater ten za pobytu mego był jeszcze czynny o tyle, że dostęp do jego wnętrza był niemożliwy; w przyjaznych warunkach można było dojść do wylotu. Kilku geologów angielskich i amerykańskich dostało się wkrótce po głównym wybuchu aż do krawędzi w pobliżu krateru, skąd można spojrzeć w głąb jego. W połowie lipca, czyli w dwa miesiące po katastrofie, udało mi się dotrzeć do tegoż miejsca. Wstępowanie na Łysą Górę, mówiąc nawiasem, bardzo utrudzające z powodu stromych spadków i miału wulkanicznego, który utrudnia oparcie nóg i rąk, możliwe wówczas było tylko od strony wschodniej (Usine Vivé), lub południowo-wschodniej (Morne Rouge).] Wszelkie bowiem gazy i pary, jakie ustawicznie w mniejszej, lub większej ilości wywiązywał krater, wiatr stały (pasat) unosił ku Zachodowi, w stronę wspomnianej rzeki Białej i Saint Pierre, wogóle w stronę poprzedniego spustoszenia.

Główny krater przedstawił się jako szczelina szerokości kilkudziesięciu, lub więcej metrów, a długości, niepodobnej do określenia z powodu oparów, które tryskały zeń strumieniami, zasłaniając całkowicie plan dalszy. Chwilami, gdy wiatr porывał opary, można było zauważyć, że szczelina ciągnie się ku Zachodowi na kilkaset metr. co najmniej. Fakt ten potwierdza wyrażone powyżej zdanie co do istnienia linii pęknięcia wulkanicznego od krateru szczytowego, aż ku fumarolom Zachodu (rzeki Białej).

Cały wierzchołek Mont Pelé i okoliczne przełęcze zostały przysypane gruzem wulkanicznym. Im bliżej krateru, tem większe leżą odłamy. Bomby wielkości głowy ludzkiej, a nawet wielkości beczki, spotyka się tu na każdym kroku; przeważnie jednak wyrzucony produkty bywają drobniejsze, jak zwir i piasek gruboziarnisty. W odległości zaś kilku kilometrów od krateru wszelkie wzgórze, stoki i doliny, są okryte wyłącznie owym miałem wulkanicznym, piaskiem i kamyczkami (lapilli). Popiołów śladu zaledwie można się dopatrzeć, mianowicie w szparach i zagłębieniach, dokąd wiatr nie dochodzi; gdzieindziej lekkie i niezmiernie subtelne jego cząstki zostały porwane i rozproszone przez wiatry. Tylko w łożyskach Rivière Blanche i Sèche, w Prêcheur i wogóle na stokach południowo-zachodnich, zasłoniętych od pasatu i otrzynujących za każdym wybuchem

nowe masy popiołu, tworzy on całun nieprzerwany, a gruby miejscami na kilka metrów. Okoliczność ta, niezależnie od niebezpieczeństwa wyziewów gazowych, uniemożliwia też wstępowanie na górę po stokach zachodnich; popioły są tak sypkie i pulchne, że w bliskiej odległości od brzegu morza chodzenie po ich powierzchni, poziomej nawet, staje się niemożliwym: nogi zapadają powyżej kolan.

Niedaleko wierzchołka Mont Pelé napotyka się doły szczególnej postaci. Największy, jaki widziałem, miał wylotu jakiegoś 20 metrów kwadratowych, postać okrągłą, a głębokości około 1½ metra. Dokoła był otoczony wałem, jakby z ziemi zeń wyrzuconej.

Całość robiła wrażenie dołu, jaki ogrodnicy kopią do drzew sadzenia. Wokoło były rozrzucone niezliczone kawałki kamienia, kończaste, jednakowe zupełnie z wyglądu. Najwyraźniej pochodziły one z jednego głazu, wyrzuconego przy wybuchu; glaz ten, spadłszy, pękł na tysiące cząstek, na podobieństwo pocisku armatniego, wyrzucając ziemię naokół. Wymowny ten ślad eksplozyjnego charakteru zjawiska występuje i w innych jeszcze miejscach w pobliżu wierzchołka.

Pomeks w odłamach różnej wielkości, miejscami jako piasek, indziej w ziarnach wielkości grochu lub orzecha, wreszcie w bryłach dużych, zawsze kończastych i chropowatych, koloru siwego, dziurkowatych i lekkich nadzwyczajnie, stanowi główny materiał wybuchów Mont Pelé. Nigdzie niema potoków lawy, tak iż, jeśli można wogóle mówić o lawach w obecnej działalności wulkanicznej Martyniki, pod tem mianem rozumieć należy jedynie luźne ich odłamki, wylatujące w powietrze, jako bomby i lapilli, nie zaś masy płynące z krateru, co ma miejsce z lawą właściwą, przy wybuchach innych wulkanów.

Zestawiając powyższe dane i spostrzeżenia, można uzasadnić następujący obraz klęski wulkanicznej, która zgładziła miasto Saint Pierre i pozbawiła życia trzydzieści tysięcy ludzi.

Ósmego maja, po obfitem wywiązywaniu dymu i powtarzających się coraz częściej odgłosach podziemnych, na kilka minut przed 8-mą rano, nastąpił wybuch Mont Pelé niesłychanie gwałtowny. Góra rozwarła się od szczytu do dołu, w kierunku od północo-wschodu ku południo-zachodowi, i tą szczeliną zionęły masy par i gazów gorących i płonących, zarazem sypanął deszcz kamieni i popiołów rozpalonych. Wszystkie te produkty zostały wyrzucone w bok, w kierunku prawie poziomym, na którego drodze znajdowało się miasto Saint Pierre i jego przystań. Szalony pęd gazów, jak cyklon obalał domy i drzewa; wysoka zaś ich temperatura w połączeniu z żarem milionów kamieni spadających, rozgrzała atmosferę w ciągu kilku sekund tak, iż

oddychanie stało się niemożliwym. Nie jest też wyłączony fakt, że powietrze zostało chwilowo porwane i uniesione prądem wybuchu, albo nawet tlen jego pochłonięty chemicznie przez nagłe spalanie gazów wybuchowych (wodór, węglowodory). Od rozżarzonych bomb, a może i od wybuchu owych gazów, powstał pożar ogólny, który strawił do reszty gruzy miasta.

Natomiast nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie było ani trzęsienia ziemi, ani zalewu miasta lawą, ani błotem wulkanicznym, ani pogrzebienia go pod popiołem, jak to miało miejsce niegdyś w Pompei i Herkulanum.

Ludzie zginęli przeważnie od zaduszenia gorącym powietrzem. Wykazała to obdukcya lekarska; oznak gazów trujących nie wykryto. Nie wyłącza to oczywiście śmierci z oparzeń lub spaleń, jaka mogła się wydarzyć tu i owdzie na skraju prądu katastrofy, gdzie sama temperatura powietrza nie wystarczała do zabicia. Takie jednak wyjątki są rzadkie.

Ciała zwęglone zostały powierzchownie, już po zaduszeniu; rozkład ich szedł tak szybko, że w parę dni wszystkie trupy miały brzuch rozsadzony i wnętrzności na wierzch wyparte. Stąd obawa zarazy, którą mogło wywołać to cmentarzysko na całej Martynice, minęła szybko, tembardziej, że następne wybuchy pokrywały je coraz grubszą warstwą gorącego piasku i popiołu. W kilkanaście dni z ciał pozostały przeważnie tylko szkielety.

Nie należy sądzić, że zniszczenie w całym obrębie Saint Pierre i jego okolicach było jednostajne. Wyraźnie znać tu strefy, gdzie przeważał skutek owego poziomego prądu gazów, gdzieindziej znów skutek żaru. Od tego ostatniego zginęły własnie okręty w porcie i ich załogi.

Na drugi dzień po katastrofie, a więc 9 maja, stały jeszcze całe szeregi domów nawpół rozwalonych, objęte pożarem; na morzu płonęły statki, słowem, Saint Pierre i port jego tworzyły jedno morze ognia. Z tego już powodu ratunek ludzi, gdyby znajdowali się jeszcze przy życiu, pomimo największych wysiłków, był niemożliwy, atmosfera na kilkaset kroków od pogorzeliska parzyła, nie dając dostępu.

W lipcu roku przeszłego, gdym bywał tutaj, szczątki Saint Pierre całkiem inny miały wygląd. Mury rozsypały się na gruz i piasek, który, pomieszany z miałem wulkanicznym, tworzył zbitą masę popielatą, jednostajną i tak wytrzymałą, że chodziło się po niej, jak po klepisku. Gdzieindziej sterczały odłamki żelaza, kraty, niedopalone belki drewniane; miejscami wyglądały szkielety, sprzęty i narzędzia rozmaite,

często nawet nieuszkodzone. Pogrzebawszy w tych stwardniałych piaskach i popiołach, można było znaleźć i pieniądze, bądź niekiedy stopione, bądź tylko zczerniałe. Ogromne sumy spoczywają w tych szczątkach; to też amatorów poszukiwań nie brakło, pomimo surowego zakazu ze strony władzy francuskiej i patrolów żandarmeryi, które się nieraz do broni uciekać musiały dla odstraszenia niepożądanych badaczy.

Ruiny Saint Pierre coraz głębiej toną w miale wulkanicznym, przysypywane (jak wspomniano), za każdym nowym wybuchem. Ta właśnie okoliczność nadaje im wygląd niemal starożytny, uderzający każdego przybysza na pierwszy rzut oka. Tylko mury katedry, banku, paru fabryk, trzymają się jeszcze, stercząc w tem morzu szczątków, jako ruina zaledwie jednopiętrowa.

Tak się przedstawia stan rzeczywisty miejsca katastrofy w Saint Pierre i jej przebieg prawdopodobny. Jakkolwiek wybuch 8-go maja pastwił się głównie nad tą okolicą i następne wybuchy, trwające teraz jeszcze, idą głównie w tym kierunku i pustoszą ją w dalszym ciągu, niemało ucierpiały od wulkanu i przeciwne strony wyspy, na wschód od niego położone, mianowicie Basse Pointe, Vivé, Capote i ich sąsiedztwo. Zniszczenie w tych miejscach ma cechy inne zupełnie i odmienną też nastąpiło drogą. Ku wschodowi wyrzuca Mont Pelé głównie masy błota, które, wpadając w rzek łożyska, sprawia wylew raptowny, zatapia wszystko i rujnuje. Słowem, tutaj szerzy się zagłada od wody, na zachodzie zaś—od ognia. W tej stronie dają się zauważyć i zmiany poziomu. Około Basse Pointe wybrzeże wynurzyło się z wody tak, iż mostek, gdzie przybijały łódki, obecnie znajduje się o jakieś dwadzieścia metrów od jej brzegu terazniejszego, przy najwyższym wód stanie. Czy tu nastąpiło podniesienie się dna u wybrzeża, czy tylko morze wyrzuceniem osadów wulkanicznych na brzeg podwyższyło go, orzec w tej chwili niepodobna; w każdym razie drugi powód jest pewniejszy. Wiadomo bowiem, iż po każdym wпадnięciu do morza rzeki błota wulkanicznego, wody morskie ustępują na znaczną odległość, by po chwili powrócić i rzucają się mętną falą na wybrzeże. Powtarza się to wielokrotnie, choć coraz słabiej, zanim morze przyjdzie do równowagi, a i wtedy jeszcze wody jego długo bywają mętne.

Co się tyczy pozostałych części Martyniki, mianowicie północnej i południowej, to tych niewiele lub wcale nie dotknęły wybuchy tutaj opisane. Cała północna część wyspy składa się z dawnych, przedhistorycznych potoków lawy Mont Pelé; inaczej mówiąc, masa tej góry zajmuje cały północny kraniec Martyniki, oblany

z trzech stron wodami: Atlantyku, cieśniny Dominikańskiej i morza Karaibskiego. Od strony pierwszego i ostatniego, jak wiemy, nastąpiło zniszczenie; sam cypel północny, wrzynający się w morze ku Dominice, dotąd nie ucierpiał od wybuchów, co już zaznacza się zdalą żywą zielenią stoków wulkanicznych. Że jednak prędzej lub później może go spotkać los Saint Pierre, a później jeszcze los Vivé i Basse Pointe, zniesionych przez potoki błota wulkanicznego, jest rzeczą nader prawdopodobną.

Inaczej stoi sprawa południa wyspy. Tutaj, począwszy od Morne Rouge, osady, położonej w obliczu wulkanu o pół mili od głównego krateru, i dalej ku południowi, cała Martynika pozostała nietkniętą i do tej chwili cieszy się całem bogactwem podwzrostkowej przyrody. Wprawdzie, wedle depesz ostatnich, sama osada Morne Rouge została zniszczona niedawnym wybuchem Łysej Góry, i powierzchniowe to zniszczenie, a nawet większe katastrofy mogą sięgnąć jeszcze dalej na południe: trafić jednak muszą na zaporę niewzruszoną; olbrzymią górę Pitous du Carbet, zajmującą środek wyspy od morza do morza. Chociaż-by czelusć Mont Pelé rozwarła się jeszcze gwałtowniej, dopóki kolos Carbeta milczy, Martynika poza jego potężnymi grzbietami może żyć spokojnie. Ucierpieć mogą tylko od przyboru morza, spowodowanego jakim silnem wstrząśnieniem wulkanizmu, miejscowości, położone nisko tuż nad morzem, a takich nie brak na wyspie; nawet stolica jej, Fort de France (nazwa przerobiona przez rewolucję z Fort Royal), ma poziom zaledwie 1 – 2 metrów nad oceanem.

Tak więc teren spustoszenia obejmuje na Martynice przestrzeń, wynosząca najwyżej szóstą lub piątą część ogólnej powierzchni. A żeby zdać sobie sprawę z rozmiarów wyspy, które tak nikłe się wydają na mapach ogólnych, zważmy, iż ma ona 80 kilometrów długości przy szerokości 30 do 40 kilometrów; powierzchnia zaś wynosi prawie 1,000 kilometrów kwadratowych. Proste zastanowienie nad wymiarami wyspy podaje mocno w wątpliwość wyrocznię pewnego geologa amerykańskiego, rozniesioną skwapliwie, jakoby cała Martynika, nawet wszystkie Antyle, miały być zgładzone z powierzchni ziemi. Zdarzenie takie byłoby pierwszym w dziejach ludzkości. Największa katastrofa wulkaniczna, jaką historia pamięta, wybuch wulkanu Krakatoa w Indjach wschodnich roku 1883, wyrzucił w powietrze 18 kilometrów sześciennych materii i z wyspy mającej 33 km. kw. obszaru, pozostawił 11 km. kw. Wobec tego głoszenie o zagładzie Martyniki, a tembardziej Antylów, może być zdaniem ludzi źle poinformowanych lub pseudouczonych.

Na Martynice naliczyć można sześć gór, stanowiących odrębne układy i składających razem całość wyspy; góry te są wszystkie wulkanami obecnie nieczynnymi, z wyjątkiem Łysej Góry. Dopóki zaś ta okazuje działanie tak potężne, dające ujście siłom podziemnym, niezmierne jest małe prawdopodobieństwo, aby się jeszcze inny wulkan na tej samej wyspie miał otworzyć. Być może, iż nastąpi to z biegiem czasu długiego, gdy znów jaki z wulkanów na Antylach, uważanych za wygasłe, obudzi się jak Mont Pelé. Takie jednak przepowiednie są, co najmniej, przedczesne.

Korzystając z ułatwień administracji miejscowej oraz z uczynności mieszkańców, którzy w badaniach wysłanników nauki widzą dla siebie pewną otuchę, uspokojenie w ciągłej a strasznej niepewności życia, udałem się do Morne Rouge, jako punktu najbliższego wulkanu, skąd można było z najmniejszym stosunkowo narażeniem się wybuch obserwować. Trafiłem wcale szczęśliwie. Wybuch Mont Pelé nie dał na siebie długo czekać. Dwunastego lipca wieczorem o godzinie 11-ej, dało się ucauć słabe drganie podziemne, połączone z głuchym przeciągłym łoskotem, jakby dudnieniem zbliżającego się pociągu. Jednocześnie ukazał się słup dymu z wierzchołka, który na krótko przedtem wynurzył się z obłoków, zwykle go ukrywających. Dym wznosił się pionowo, nadzwyczaj spokojnie i powolnie; odgłosy podziemne powtarzały się kilka razy, to krótsze i donośne, to przytłumione, zaledwie słyszalne. Objawy takie trwały blisko kwadrans; przez ten czas słup dymu doszedł wysokości niezmiernej, wznosząc się jakieś dziesięć razy wyżej zwykłych chmur deszczowych, zatem na 10—15 kilometrów, w istocie więc dym nie wzbijał się tak wolno, jak z oddalenia się wydawało. Na tej wyżynie czarne kłęby zaczęły się zwracać na południo-wschód i po jakimś czasie utworzyły gęstą chmurę, unoszoną działaniem wiatru w stronę dawnych spustoszeń, ku Saint Pierre i Prêcheur.

Z krateru ukazywał się jakby ogień, chwilami gasł znowu. Niepodobna orzec, czy był to płomień istotny, czy tylko żar mas rozpalonych w kraterze rozświetlał dymy, jak luna pożaru; naukowo możliwe jest jedno i drugie.

Po upływie godziny obłok dymu objął większą część firmamentu; rozdzierały go błyskawice w różnych kierunkach, bez grzmotu jednak, niewątpliwie z powodu znacznej wysokości. Następnie dym się zaczął przerzedzać i opadać, ustalo dudnienie w głębi ziemi i błę-



ski z krateru, wreszcie spadł grad kamienny, typowy objaw zakończenia wszystkich wybuchów Łysej Góry. Ziarna tego gradu, złożone, jak zwykle, z kawałków pomeksu, miały wielkość soczewicy, grochu, orzecha, a nawet jajka; spadły w obfitości mniej więcej gradu zwykłego.

Na początku wybuchu barometr spadł raptownie o dwa milimetry, poczem zaraz podskoczył do stanu pierwotnego, wynoszącego tutaj 728 mm. Podobny spadek ciśnienia atmosferycznego notowano za każdym wybuchem. W czasie naprzykład głównej katastrofy 8 maja, w Fort de France, odległym o 36 kilometrów, barometr zaznaczył spadek chwilowy o  $3\frac{1}{2}$  milimetra.

Obserwacya owego wybuchu nocnego, który nie pociągnął innych skutków, oprócz przysypania popiołem i drobnymi kamyczkami zachodnich miejscowości Martyniki, dała poznać dokładnie miejsce głównego krateru. Leży on opodal dawnego krateru Łysej Góry, zalanego ongi wodą i tworzącego jezioro o 150 metrach obwodu; jezioro oczywiście wyschło teraz całkowicie i zostało zarzucone gruzem wulkanicznym po same brzegi; niewielka przełęcz oddziela je od krateru obecnego, tworzącego (jak wyżej wspomniano) olbrzymią szczelinę na szczycie góry.

Inny wybuch (5 sierpnia), jaki mi się zdarzyło obserwować z odległości większej od strony morza, nastąpił z kilku punktów, położonych na stokach Mont Pelé, na linii, idącej od szczytu jego do ujścia Rivière Blanche. Potwierdza to najlepiej istnienie pęknięcia bocznego całej Góry Łysej, które jedynie spowodować mogło poziome zniesienie miasta Saint Pierre.

---

Po zestawieniu strony faktycznej katastrofy i wogóle objawów wulkanicznych na Martynice, spróbujmy poruszyć ich możliwe przyczyny, wedle współczesnej geodynamiki. Ażeby zdać sobie sprawę ze zjawisk tak zawiłych i tak różnorodnych, w jakie obfituje działalność wulkanizmu na ziemi, należy streścić poglądy panujące w nauce, jako też sprostować upowszechnione wśród ogółu, a wielce wątpliwe, wiadomości o ziemi.

Nauki przyrodnicze dążą do uogólniania, do wyjaśniania, jak największej ilości zjawisk jedną przyczyną ogólną. Fizyka w tym względzie przewyższyła pozostałe nauki swą wiekopomną teorią jedności sił fizycznych, czyli właściwie energii, opartą na ruchu falowym. Podobnie i geologia fizyczna i chemiczna podciąga takie pozornie

odmienne czynniki przyrody, jak powstawanie gór, trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów, pod ogólną teorię procesów górotwórczych, której podstawą jest ciśnienie boczne mas skalnych, pochodzące ze stałego kurczenia się ziemi, a to znów ma przyczynę pierwotną — wiekową utratę ciepła ziemi przez promieniowanie w przestwory niebieskie.

Chcąc zatem mówić o wulkanizmie, należało-by poruszyć do głębi całą ową teorię górotwórczą. Tutaj z konieczności dotknąć jej musimy w najogólniejszych tylko zarysach, poświęcając miejsce głównie właściwym zjawiskom wulkanicznym.

Wiadomo, iż wulkany dzielą się pod względem geograficznym na czynne i wygasłe; podział taki jest nader powierzchowny. Można wprawdzie przyjąć nazwę wulkanów wygasłych dla gór, utworzonych wyraźnie z potoków lawy i wyrzutów wulkanicznych, ale nie dających wybuchów w okresie historycznym; niepodobna jednak żadnego wulkanu uważać za wyczerpany, na zawsze. Za smutny przykład może posłużyć choćby Wezuwiusz i Mont Pelé, z których pierwszy w r. 79, drugi w roku przeszłym ocknęły się tak fatalnie z wiekowego spoczynku. Właściwiej każdy wulkan, oddawna nieczynny, należało-by nazywać drzemiącym. Inny przykład, przeciwny, dają np. wulkany Islandyi, olbrzymiej wyspy, powstałej wyłącznie z wytworów wulkanicznych, gdzie dziś naliczyć można 26 wulkanów czynnych w czasach historycznych, między innymi słynną Hekłę, Krablę, Skaptar, Jokull. Piszący te słowa, zwiedziwszy Islandyę w 1894, nie natknął na najłżejszych objawów wybuchu; cała działalność wulkaniczna wówczas i do dziś dnia objawia się w źródłach gorących i siarczanych.

Liczba wulkanów na kuli ziemskiej nie jest stała; przyrasta ustawicznie w miarę szerzenia się badań geologicznych, tembardziej, że największe ogniska wulkaniczne leżą w krajach oddalonych i najmniej znanych. Jeden z najbardziej gorliwych badaczy wulkanizmu, prof. Karol Fuchs, oblicza ilość tak zwanych wulkanów czynnych na 672; z tych 270 wybucha obecnie lub wybuchało w czasach ostatnich. Wulkanów wygasłych czyli drzemających jest więcej nierównie; w samej Francyi (Owernia) i Niemczech (Eiffel), jest ich po kilkadziesiąt.

Wobec tak wielkiej gromady „gór ogniem ziejących“, rozrzuconych po wszelkich lądach i wyspach, nic dziwnego, że zrodziła się w umyśle ludzkim myśl o „ogniu podziemnym“, o stopionem jądrze ziemi, którego zawartość wylewa się jako lawa w czasie wybuchów. Że zaś kula ziemska, wedle wszelkich wskazówek nauki, stanowi część układu planetarnego, jako oderwana ongi częśćka słońca, tem-

bardziej naturalną wydawała się myśl o „ognisto płynnym“ wnętrzu ziemi, zawartem w cienkiej stosunkowo skorupie.

Jakże tu nie przyjąć istnienia roztopionej masy w głębi ziemi, gdyoień bucha z kraterów kilkuset wulkanów i leje się strumieniem skał stopionych? Tymczasem, jak nieraz w naturze, proste na pozór zjawiska bardzo zawiłe mają pochodzenie, podobnie i w tym razie wyjaśnienie, tak pozornie zrozumiałe i oczywiste, nie wytrzymuje krytyki po głębszym zastanowieniu.

Przedewszystkiem, przyjęcie skorupy ziemskiej, grubej na mil kilka czy kilkanaście, czyli jak skorupka jajka w stosunku do jego wielkości, jest niedorzeczne ze względu na jej wytrzymałość, znoszącą ciśnienia olbrzymie, przechodzące nasze pojęcie. Owa skorupa ziemska powstała w wyobraźni ludzi, lubiących łatwe rozumowania i dowodzenia.

W miarę zagłębiania się pod powierzchnię temperatura wzrasta, mianowicie począwszy od pierwnej granicy „stałej temperatury“, równej średniej temperaturze powietrza w danej miejscowości; granica ta leży, zależnie od rodzaju gruntu, na 25—30 metrów poniżej powierzchni.

Dalej na każde 33 lub 34 metry pogłębienia temperatura podnosi się o 1° C. Stąd prosty rachunek wykazuje, że w głębokości 66 lub 68 kilometrów, czyli przeszło 9 mil geograficznych, panuje temperatura 3,000° C., przy której wielkie skały, składające ziemię, przechodzą w stan płynny.

Jak bezzasadne jest podobne przypuszczenie, wynika już stąd, że ciała stałe topią się przy pewnej temperaturze, określonej dla każdego z nich, ale pod zwykłym ciśnieniem atmosfery.

Ze zwiększeniem ciśnienia wzrasta i temperatura topliwości. W ten sposób można ciało stałe przegrzać ponad normalną temperaturę topnienia, utrzymując je wszakże w postaci stałej. Skoro ciśnienie spadnie, ciało natychmiast się topi, choćby nawet źródło ciepła usunięte zostało. To samo jeszcze w wyższym stopniu dotyczy płynów; każdy płyn pod ciśnieniem można przegrzać znacznie ponad temperaturę wrzenia normalną, po ustaniu zaś ciśnienia płyn ulatnia się gwałtownie, tak iż zjawisko niekiedy ma cechy wybuchu.

Stosując tę własność przegrzania do wnętrza ziemi, dochodzi się do wniosku, że w głębokości owych 9 mil i głębiej jest ono niezawodnie ogrzane bardzo, ale z powodu ogromnego ciśnienia warstw zewnętrznych nie może być stopione.

Powtóre, przyjęcie tak cienkiej skorupy ziemskiej w stosunku do wymiarów ziemi (średnica=1,719 mil geograficznych); nie może się ostać ze względu na niezmierne ciśnienie wewnętrzne par i ga-

zów. Jeżeli za każdym wybuchem wulkanu wylatują popioły na wysokość kilku kilometrów, jeżeli góra cała niekiedy rozsadzoną zostaje, jak w ostatnim wybuchu Mont Pelé, jakże można przypuścić, aby owa kilkumilowa powłoka kuli ziemskiej mogła stale znosić parcie sił tak bajecznych!

Przy wytrzymałości nawet stali musiała-by pękać ustawicznie.

Wreszcie niema żadnego dowodu, aby temperatura aż do wnętrza ziemi rosła w tym stosunku, jaki dostrzegamy przy zagłębianiu się pod jej powierzchnię. Najgłębsze wiercenia, gdzie badano ów przyrost temperatury, sięgają niespełna 2 kilometrów. Wyprowadzenie stąd prawa podwyższania się temperatury aż do głębi, wynoszących setki lub tysiące kilometrów, (promień ziemi=6,000 przeszło kilometrów), jest co najmniej zbyt śmiałe.

Tymczasem ów „płynny środek ziemi“ tak się wpoił w umysły ogółu, że niejeden poczytuje go za pewnik naukowy. Winna temu wadliwa pedagogika, która obok prawd naukowych podaje przypuszczenia wątpliwe, dla tego tylko, że się wydają prostymi i łatwymi.

Wnętrze ziemi jest dla nauki dotąd zagadką wielką. Nikt nie śmie twierdzić, że niema tam zupełnie części płynnych lub lotnych, ale też nikt nie udowodni, czy ziemia nie może być zupełnie zakrzepła aż do środka, pomimo niezmiernego gorąca, jakie tam panuje. W każdym razie, jeżeli istnieje jakaś skorupa, otaczająca płynne wnętrze, musi być ona znacznie grubsza, a część stopiona znacznie mniejsza, niż podaje powierzchowne przypuszczenie.

Teorie zatem wulkanizmu, polegające na koniecznym istnieniu płynnego jądra i twardej skorupy, na wątplych bardzo spoczywają podstawach.

Do takich należy teoria Rudolfa Falba, ośmieszanego może niesłusznie przez przeciwników, jako szarlatana; człowiek ten bowiem spędził lata pośród wulkanów i przez badania swe, jakkolwiek jednostronne, zasługi pewne położył.

Opirając jednak przyczynę wszelkich wybuchów i trzęsień ziemi na przypływach lawy podziemnej, czyli magmy, pod działaniem przyciągającym słońca i księżyca, Falb wpadł w ostateczność, biorąc wpływy wprawdzie możliwe, ale niewątpliwie uboczne, za źródła pierwotne, i to w założeniu-- jak wyżej--nieudowodnionem, że istnieje w głębi owa ognisto płynna masa, czyli magma.

Podobnie wątpliwem wobec usasadnionych poglądów wydaje się zdanie wyznawców plutonizmu, co do oddziaływania „ognisto-płynnego jądra“ na powierzchnię ziemi. Zapatrywania powyższe rozproszył pierwszy Lyell, zauważywszy, że ognisko działania wulkanizmu leży niezbyt głęboko pod powierzchnią ziemi, w głębokości, do jakiej

sięgały skały osadowe, utworzone przez wody. Lyell próbował tłómaczyć wybuchy miejscowem stopieniem warstw osadowych, pod wpływem gorąca wewnętrznego, co miało być prawdopodobnem ze względu na dużą zawartość wody w skałach (obecność wody ułatwia topienie).

I ta jednak hipoteza nie ostała się długo. Skały warstwowe odznaczają się wielką jednostajnością postaci obok składu chemicznego nader rozmaitego, gdy tymczasem skały wybuchowe, pomimo licznych odmian, co do rozwoju mineralogicznego, pod względem chemicznym są bardzo jednostajne. Stąd niemożliwą jest rzeczą, aby lawy tak jednostajne w składzie pochodziły ze stopienia różnorodnych skał osadowych.

Na odmiennym gruncie stoi Mallet, tłómaczący objawy wulkaniczne jedynie przemianą pracy mechanicznej na ciepło. Skoro się jądro ziemi kurczy skutkiem oziębienia, powłoka zewnętrzna traci podporę i zapada się; część skał zostaje zmiażdżona ogromnym uciskiem, przyczem owa praca, podobnie jak w każdym uderzeniu lub tarcu, przechodzi w ciepło, które skały stapia, zarazem uwalnia z nich parę pochłoniętą, która swem parciem wypycha lawę na zewnątrz. Dowody, mianowicie rachunek i doświadczenia, przemawiają pozornie na korzyść tego twierdzenia; Mallet naprzykład obliczył, iż ciśnienie na centymetr kwadratowy w tym wypadku może dochodzić do 2,000 kilogramów, i stwierdził doświadczalnie, że najtwardsze skały ulegają wtedy zmiażdżeniu. Natomiast nie zwrócił uwagi, że próby odbywają się z wolnemi odłamami skały, nie zaś, jak w przyrodzie, zamkniętymi ze wszystkich stron w masie skalnej. Powtóre, w obliczeniu przyjęto spadek nagły, gdy w rzeczywistości sprowadza się on raczej do powolnego obsuwania.

W wybuchach wulkanicznych następują się do wyjaśnienia dwie sprawy: skąd pochodzą same wulkany, oraz jakie są przyzyny powtarzania się ich wybuchów.

Pierwszą z nich wyjaśnia najlepiej wulkan Monte Nuovo we Włoszech, który powstał w r. 1538 na t. zw. polach Flegrejskich pod Neapolem i cały, jak jest do tej pory, stanowi wytwór jednego wybuchu. Z dokumentów i badań geologicznych wynika, że wulkan ten powstał na równinie, gdzie nie było żadnych śladów jakiegobądź krateru i że cały jego stożek, na 139 metrów wysoki, utworzył się z wyrzutów wulkanicznych bez lawy.

Wybuchy więc, jak Mont Pelé, bez wpływów lawy, nie są wyjątkowe: w innych znów wulkanach, jak Chimboraso w Ameryce i Puy de Dôme we Francyi, występują głównie potoki lawy gęstej, przy drobnej tylko ilości ciał sypkich. Wulkany pierwszego rodza-

ju, to jest usypane z wyrzutów, mają stoki strome, o spadku 30 do 40 stopni, i wierzchołki spiczaste; wulkany lawowe mają spadki łagodne i szczyt zaokrąglony. Przeważnie jednak lawa występuje jednocześnie lub naprzemian z wyrzutami sypkimi. I Mont Pelé, posiadający skład dwoisty, być może, iż po ustaniu gwałtownych paroksyzmów obecnych zacznie wylewać lawę, jak ongi Wezuwiusz; może zaś równie dobrze, jak Monte Nuovo, poprzestać na głazach i popiołach.

Co do pochodzenia wulkanów, niewątpliwym jest w nauce fakt, że wszelkie wulkany i stożki wulkaniczne nie powstają ze wzdęcia się skorupy ziemskiej, jak żądała teoria podnoszona i popierana ongi przez Humboldta i Bucha, ale jedynie skutkiem wpływu lawy i nagromadzenia kamieni, piasków i popiołów, wyrzucanych z krateru, czyli wedle teorii narzutowej, uzasadnionej przez Scropego, Dana, Lyella i Prevosta. Możliwe są miejscami wzniesienia terenu wulkanicznego, nie w taki jednak sposób, aby powierzchnia ziemi wzdymała się, tworząc bąble z otworem na wierzchu. Da się to zastosować i do Martyniki, jakkolwiek ta wydaje się, wedle dosadnego wyrażenia jednego z geografów, zbiorem owych „bąbli“ wulkanicznych. Teoria narzutowa tłumaczy wszelkie postacie wulkanów, zarówno eksplozyjnych w rodzaju Monte Nuovo, jak spokojnych, ciągle wybuchających, naprzykład Stromboli, wreszcie mieszanych, jak Mont Pelé, Wezuwiusz, Etna lub Hekla. Przeciwnie, teoria podnoszenia, której dźwignią miało być utworzenie się na równinie meksykańskiej wulkanu Jorullo, nie wyjaśnia wielu właściwości wulkanów, naprzykład chociażby foremnej postaci stożków, promienistego kierunku potoków lawy, bez spękań poprzecznych, jakie-by koniecznie musiały nastąpić w razie wzdymania się ziemi.

Jakąż jednak drogą wylatują masy lawy, kamieni i gazów, skutkiem jakiej siły wydostają się na zewnątrz, to spokojnie, to gwałtownie, szerząc spustoszenie w rodzaju zagłady Pompei lub Saint Pierre? Dla czego powtarzają się wybuchy?

Przeważnie wybuchy wulkanów, nawet słabsze, mają pewne cechy gwałtowności; poprzedzają lub towarzyszą im wstrząśnienia, odgłosy podziemne, wytryski strumieni par i gazów. Lawa, w głębi krateru rozsadzona przez wybuchy pary, wylatuje w powietrze w postaci bomb, kamyczków, piasku i pyłu subtelnego, zależnie od stopnia jej płynności i ciśnienia. Owe masy pary i gazów są objawem tak stałym i charakterystycznym, że udział gazowych składników w wybuchu nie ulega wątpliwości. Idzie więc o wykazanie naprzód, z jakich źródeł pochodzą.

Wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tem, że jeszcze za czasów tworzenia się ziemi z jądra gazowego, jako cząstki słońca, masy płynne, jakie powstały z oziębienia jądra, zostały nasycone pozostałymi w stanie lotnym składnikami. Nadto i po zakrzepnięciu ziemi zawartość ciał lotnych w masie rozpalonej czy stopionej zwiększa się ustawicznie. Przez szczeliny ziemi, jako też drogą przesiąkania dostaje się włąb woda, przemieniająca się w parę, którą pod wielkiem ciśnieniem pochłaniają stopniowo skały. Możliwość podobnego zjawiska fizycznego stwierdził doświadczalnie Daubrée. Pochłanianie pary przez magmę, to jest stopiony materiał skalny, stwierdza okoliczność, że znaczna większość wybuchów przypada (na przykład na wyspach Hawajskich) w porze deszczowej. Magma otrzymuje więc z dwu źródeł dopływ pary i gazów; trudno jedynie orzec, z którego więcej, choć wydaje się prawdopodobnem, że pierwotne nasycenie winno być głównem źródłem prężności, ujawniającej się przy wybuchach, późniejsze zaś przesiąkanie ożywia i pobudza raczej działalność wulkaniczną.

Rodzaj wybuchu i zawartość pary w lawie stoją niezawodnie w pewnym związku, mianowicie większe przesycanie parą wzmacnia gwałtowność eksplozyi. Występuje wszakże tu jeszcze czynnik drugi: stopień płynności lawy; większa płynność ułatwia ujście gazów, skutkiem czego pod powierzchnią lawy mogą się nagromadzać niewielkie ilości pary, które, wywiązując się, rozwijają tylko nieznaczną siłę rzutu. Mniej stopione części lawy, porwane parą, mogą wylać na małą wysokość do krateru w stanie rozpalonym, rozproszenie ich zatem na popiół wulkaniczny jest wykluczone; wulkany wysp Hawajskich dają to zauważyć wyraźnie. W razie zaś lawy gęstej, nawpół stopionej, powstaje na powierzchni natychmiast powłoka twarda, lub ciągnąca, pod którą muszą się zbierać ogromne ilości ciał lotnych, zanim ją rozerwą, poczem następuje wybuch gwałtowny i rozpylenie lawy na cząstki najdelikatniejsze.

Geolog amerykański, Dana, nietylko przywiązuje wagi do ilości pochłoniętych ciał lotnych, ile raczej do składu lawy z minerałów trudno i łatwo topliwych. Ta sama temperatura, która masę kwaśną trachitową, złożoną z materji o wysokim punkcie topliwości, utrzymuje zaledwie w stanie gęstej cieczy, wystarcza, by nadać zasadniczym bazaltom, łatwo topliwym, znaczną płynność i ruchliwość. Gdyby więc i zawartość gazów, i temperatura w różnych wybuchach była jednakowa, skutek ich musi być odmienny, zależnie od składu mineralogicznego wyrzuconej lawy.

Nawet budowa krateru i materiał jego ścian nie pozostają bez wpływu na przebieg wybuchu. Kanał obszerny, otwarty, daje wolne

ujście gazom, gdy wężki, miejscami zapchany, powoduje ich nagromadzenie i w następstwie silną eksplozyę. Podobnież wulkan płaski, złożony z lawy zbitej, większy stawia opór wysadzaniu w powietrze, niż stożek spadzisty, utworzony z kruchego tufu i luźnych kamieni.

Niekiedy wpływ niezaprzeczony na czynność wulkaniczną wywiera dostanie się wody morskiej lub rzecznej do ognisk podziemnych.

Tutaj należy słynny wybuch wulkanów Krakatoa i Tarawere, gdzie już samo wyniesienie kraterów, zaledwie nad poziom morza występujących, każe ten wpływ przypuszczać, jakoteż eksplozyjne ich rozszerzanie, aż do całkowitego zapadnięcia.

Wreszcie zmiany w ciśnieniu powietrza mogą być czynnikiem pobudzającym do wybuchu. Jeśli barometr opada, zmniejsza się też ciśnienie, pod jakim się znajdują gazy w kraterze, co wybuch ułatwia.

Wulkan Stromboli około Sycylii dał się poznać z tej strony tak dalece, że okoliczni mieszkańcy doskonale wiedzą o zależności jego zachowania się od pogody. Niema powodu, dlaczego-by i inne wulkany, czynne ustawicznie, nie odczuwały podobnych zmian barometrycznych. Natomiast trudno przypuścić, aby katastrofy niszczące, w rodzaju wybuchów na Martynice i św. Wincentym, albo na wyspie Krakatoa, gdzie prężność gazów bywa taka, jak w pękającym pocisku, miały być wrażliwe na zmiany tak drobne.

Co się tyczy powtarzania się działalności wulkanicznej, należy zaznaczyć, iż każdy wybuch wyczerpuje na pewien czas siłę wulkanu; po dłuższej przerwie następuje zawsze wybuch silniejszy; wielkie katastrofy wulkaniczne miały zawsze miejsce po spoczynku wieloletnim lub wiekowym. Lawa wznosi się w kraterze i szczelinach podziemnych, aż dojdzie do miejsc, gdzie ucisk warstw zewnętrznych nie jest w stanie przewyciężyć jej parcia, stąd spękanie podziemne, odgłosy i wstrząśnienia; wreszcie, gdy dzieje się to tuż pod powierzchnią ziemi lub zakrzeplą masą krateru, następuje pęknięcie ostateczne i wybuch na zewnątrz. Takie peryodyczne wzbieranie i opadanie lawy, przed i po wybuchu, przypominające zjawiska tego rodzaju w gejzerach, można zauważyć w kraterze każdego wulkanu czynnego, naprzykład Kilanea, Loa lub Wezuwiusza. Wytryski źródeł gorących w wielu miejscowościach wulkanicznych, jakoteż wybuchy szczelinowe Islandyi, dowodzą, że lawa po wylewie na zewnątrz ukrywa się w ziemi niezbyt głęboko. Jakaż siła pobudza ją do wydostania się na powierzchnię?

Fakt poznany oddawna, że wszystkie niemal wulkany leżą na wyspach lub nad brzegiem morza, a przynajmniej w pobliżu miejsc,



gdzie niegdyś były morza lub jeziora, nie może być dziełem przypadku. Są wprawdzie wyjątki dosyć znaczące, naprzykład w Ameryce wulkan Tolima leży o 40, Popocatepetl o 33 mile od morza, a krater wyżyny Uinkaret nawet o mil 70; łączność tych miejsc z oceanem nie jest bardziej prawdopodobna, jak naprzykład Warszawy z morzem Bałtyckiem. Jednakże przewaga wulkanów nadmorskich jest tak widoczna, że nie wahanosię udziału morza w wybuchu przyjęć za niezbędny. To samo dotyczy wulkanów wygasłych.

Sąsiedztwo mórz czy też wogóle wielkich wód zbiorników nie jest oczywiście przypadkowe; stanowi ono wszakże objaw wtórny. Że woda morska niekoniecznie ma brać udział w czynności wulkanicznej, co uważano do niedawna za rzecz pewną, upatrując przy wybuchach wszystkie jej składniki, dowodem choćby wyziew kwasu węglanego z krateru, dalej częste wytwarzanie się kwasu bornego, osadów miedzi, ołowiu, czego wszystkiego woda morska nie zawiera wcale lub tylko ślady. Natomiast jod i brom, pierwiastki w morzu obfite, w działalności kraterów nie odgrywają roli żadnej.

Z drugiej strony powstało błędne pojęcie, jakoby z dna morską wsiąkały właśnie w ziemię największe ilości wody, jakoby dno pełne było szpar, prowadzących wodę do głębi. Przeciwnie, owe szpary i rysy, jakie istnieją, są raczej zasypane i zapchane osadami wodnemi; natomiast wapienne pokłady ziemi, lub inne skały rozpadliste, w miejscach, nawiedzanych przez deszcze, mogą być źródłem, zaopatrującem w wodę masy podziemne. Gdyby istotnie krążenie wody morskiej pod dnem było tak znaczne, niepodobna-by pojąć, jak mogą istnieć na drobnych wysepkach stałe źródła wody słodkiej, pochodzące, oczywiście, z sąsiedniego lądu. Woda słodka, mianowicie deszczowa, lub rzeczna, może równie dobrze w głąb przesiąkać i brać udział w wybuchu. Na wyspach Hawajskich, starannie zbadanych przez geologa Dana, statystyka działalności wulkanicznej wykazuje nawet, że na ośm wybuchów siedm przypada w porze deszczowej, gdy ziemia głęboko bywa przesiąknięta wodą, co stanowczo przemawia tutaj za przewagą wód atmosferycznych nad morskimi.

Przyjąć tedy należy, iż istnieje stały dopływ wody, czyli w wielkiej głębokości dopływ pary i gazów do podziemnej magmy. Z powodu olbrzymiego ciśnienia ze wszystkich stron masy lotne ująć nie mogą, zostają więc pochłonięte. Ucisk wewnętrzny wzrasta wraz z ilością pary, która wciąż przyływa, aż wreszcie warstwy powierzchniowe nie wytrzymują parcia i następuje wybuch. Różnica więc pomiędzy czynnością wulkanów a gejzerów polega na braku jakiegobądź peryodyczności w działaniu pierwszych, ponieważ po każdym wybuchu zmieniają się drogi podziemne, kanały ulegają zatka-

niu, lub zniszczeniu, gdy w gejzerach woda przez długi okres czasu niewiele może zmienić.

Być może niekiedy, iż wzmożony dopływ wody bywa skutkiem trzęsienia ziemi, skąd powstają szczeliny podziemne; nie jest to jednakowoż warunek ogólny.

Rozumowania przytoczone wystarczają do wyjaśnienia, przynajmniej w głównych zarysach, czynności wulkanicznej, gdy krater bywa otwarty, lub czasowo zatkany. Niepodobna jednak tą drogą zdać sobie sprawy z przyczyny katastrofy takiej, jak na Martynice, lub w Pompei. Wulkan Mont Pelé, według jednozgodnego spostrzeżenia mieszkańców, obniżył się po wybuchu ostatnim, i stożek jego został zniesiony w znacznej części. Podobnie było z Wezuwiuszem, gdy wyleciały w powietrze odłamy wapienia, a więc skały, która głęboko tkwi w jego podstawie. W wybuchu niedaleko Panteloryi lawa, dążąc ku wydostaniu się na powierzchnię, podniosła wybrzeże na długości 10 kilometrów; w rok później dopiero wydobyła się na wierzch, przerwawszy, po nowem podwyższeniu brzegu, warstwy zewnętrzne. Przypisywanie działań tak kolosalnych jedynie prężności pary, byłomocno wątpliwe; przyczyny więc zbudzenia się na nowo uspionej działalności wulkanicznej, jak w wypadkach pomienionych, należy się doszukiwać gdzieindziej.

Wulkany leżą przeważnie nad morzami, to pewna; ale ważniejszym daleko pod względem ogólnym jest fakt, że leżą one na liniach uskoków, czyli rozpadlin olbrzymich, związanych ściśle z powstawaniem łańcuchów górskich. Skoro bowiem ziemia się kurczy i marszczy, powstają w masie skał różnorodnych, jakie ją składają, w różnej głębokości, wydrążenia i pieczary, w które warstwy zewnętrzne zapadać muszą. Dowodów na to dostarczają obnażenia skalne i kopalnie. Największe takie uskoki idą wzdłuż wielkich gór łańcuchów, jak Kordyliery, Alpy, a także wzdłuż przepaścistych głębin nadbrzeżnych. Wszędzie, gdzie brzeg morski bywa stromy, a tuż u brzegu głębina znaczna, istnieje takie zapadnięcie, czyli uskoki.

Łatwo tedy pojąć, czemu sąsiedztwo morza koniecznem się wydaje obok wulkanu. Wszelkie zagłębienia niskie wypełnia woda, a najniższe—woda morska. Niechby gdziekolwiek na lądzie powstał dół głęboki, ziemia zapadła się naprzykład na kilometr, lub więcej, niechybnie wody morskie zalały-by rozpadlinę, lub utworzyło się jezioro, jak to się stało naprzykład z morzem Martwem za czasów biblijnych.

Do podobnych objawów, lecz nierównie większych i starszych, należą pola zapadnięć, jak dna dzisiejszych mórz: Karaibskiego (stąd linia wulkaniczna Antylów), Japońskiego, Ty-

reńskiego, Egejskiego, dalej niziny: Lombardzka, Węgierska (dawne morza).

Zważywszy taki układ wulkanów czynnych i wygasłych na krańcach uskoków, i zważywszy siły nieźmierne, jakie występują we wzniesieniu powierzchni ziemi, niepodobna wyjaśnić powstawania wulkanów, jako skutek samej działalności pary. Jeżeli, jak wyżej powiedziano, nigdzie niema dowodu, aby stożek wulkaniczny sam wyrósł z ziemi, jak bąble na cieście, tem bardziej trudno prężności gazów przypisywać podnoszenie brzegów 10-kilometrowych, lub całego fundamentu wulkanu. Owszem, zdarzały się wzdęcia powierzchni, podobne do bąbli, ale w ich wnętrzu znajduje się zawsze masa lawy zbitej, połączona żyłą lawy z głębią ziemi. Są to jakby wulkany niedokończone, gdzie lawa nie wydostała się na powierzchnię i nie utworzyła krateru. Siły podziemne, które tę lawę wyparły z głębin, owo nieźmierne ciśnienie boczne musi oczywiście być skutkiem czynnika potężniejszego, mianowicie, kurczenia się kuli ziemskiej, zatem przyczyny ogólnej powstawania gór, siły górotwórczej.

Teorya powyższa, czysto fizyczna, jest współcześnie najwięcej rozpowszechniona w świecie uczonych, z których geolog niemiecki, prof. Suess, jest największym jej propagatorem.

I ona wszakże ma strony słabe, choć do pewnego stopnia osłonić je może. Zarzucano naprzykład, że w wyjaśnieniach wybuchów wszędzie mowa o lawie, czyli magmie, stopionej masie skalnej, której istnienie, jak wiadomo, we wnętrzu ziemi nie zostało dowiedzione. Przypuśćmy, że ziemia jest nawskroś stwardniała, wiadomo wszakże, iż zawiera ona skały, przegrzane ponad temperaturę topliwości (patrz wyżej). W takim razie niechaj szczelina spękania dojdzie do miejsca przegrzanego, ciśnienie spadnie nagle i skały się stopią, a utworzona lawa, wraz z masą wypierających ją par i gazów, które mi jest nasycona, wydostanie się na zewnątrz. Oczywiście, wyjaśnienie podobne nie wyczerpuje zjawisk, nie tłumaczy naprzykład peryodyczności wybuchów. Skoro bowiem raz wulkan się otworzył, niema racyi, dla czego by wypływ miał ustać, wobec ciągłego przegrzania skał w całym wnętrzu ziemi. Można by tu przypuścić zatkanie krateru skutkiem dostania się chwilowego lawy kwaśnej, trudno topliwej. Jeśli takie zdarzenia są istotnie możliwe w wulkanach zasadowych (o lawie łatwo topliwej), w razie wulkanów, wyrzucających przez długi przeciąg czasu tylko materye kwaśne, stajemy znów wobec zagadki. Do takich zaś należy w obecnej chwili sprawca katastrofy na Martynice, wulkan Mont Pelé, który zatem słusznie zagadkowym mianować się godzi.

Ostatniemi czasy postawiono teorię nową, a raczej w sposób bardziej ogólny rozszerzającą oddawna wyrażony pogląd Thomsona co do żelaznego jądra ziemi. Wyjaśnienie to spoczywa na zasadach chemicznych, przyczem główną rolę gra działanie tlenu na jądro metaliczne; jest to więc teoria utleniania, ogłosił ją świeżo w Paryżu Paweł Combes. Nie zmienia ona panujących w nauce poglądów na siłę górotwórczą, jako przyczynę ogólną zjawisk wulkanicznych, pogłębia je raczej, wykazując źródło owej siły. Jednocześnie zaś godzi się z pewnikiem naukowym, że ciężar właściwy kuli ziemskiej jest bardzo znaczny, wynosi bowiem 5 i pół, czyli że ziemia jest 5 i pół raza cięższa od kuli wodnej tej samej wielkości, gdy wszelkie skały, na powierzchni znane, mają ciężar zaledwie 2 do 3. Tego faktu geologia dotąd nie wytłómaczyła.

Combes uważa słusznie, że jedynie racjonalne wyjaśnienie tworzenia się łądów, gór, wulkanów, musi być oparte na warunkach powstania całej kuli ziemskiej. Ziemia, jako planeta, od słońca oderwana, miała ongi temperaturę tak wysoką, że wszelkie jej składniki mogły istnieć jedynie w stanie pierwiastków lotnych (dysocjacji). W takiej masie gazowej promieniowanie i stopniowe ochładzanie się wywołało zjawiska dwojakiego rodzaju: mechaniczne, posłuszne prawom równowagi płynów, jako to: prądy nieustanne materii rozpalonych, które, skutkiem dalszego stygnięcia, wytwarzały opady ciekłe, oraz chemiczne, polegające na łączeniu się pierwiastków przy stosownem oziębieniu.

Pierwsze opady musiały się składać z węgla i boru, metalów takich, jak żelazo, mangan, chrom i rzadsze: platyna, iryd, złoto itp.; węgiel rozpuszczał się w żelazie (własność znana w chemii), tworząc węgiel żelaza, a z drugiej strony z tlenem wydawał kwas węglany.

W rdzeniu płynnym, powstałym w taki sposób, krążenie mechaniczne musiało odbywać się dotąd, aż powolne stygnięcie i ogromne ciśnienie nadały masie gęstość, która powstrzymała jej ruchliwość.

Jądro, złożone z metalów, dobrych przewodników ciepła, musiało stygnąć jednostajnie w całej masie i krzepnąć stopniowo. Ziemia więc składała się w tej epoce ze stałego rdzenia metalicznego, powłoki płynnej metalów stopionych i atmosfery gazowej, przyczem część skrzepla powiększała się na koszt płynnej, a ta ostatnia na koszt gazowej pęty, aż póki cała masa cieczy nie zredukowała się do wód dzisiejszych, a masa gazów do atmosfery obecnej.

W warunkach takiego oziębienia i ciśnienia, żelazo i metale o wysokim punkcie topliwości były w stanie stałym, gdy taki przykład cynk istniał dopiero w postaci pary (punkt skraplania  $1040^{\circ}$  C.), podobnie jak kadm ( $860^{\circ}$  C.). Metaliczne masy, twardejąc, okry-

wały się innemi masami, zanim oziębły o tyle, aby się mogły utlenić. Prace Daubrée i Steenstrupa stwierdzają możność istnienia podobnego jądra podskalnego.

Pierwsza epoka utleniania zrodziła skały krzemionkowe zasadowe, położone na głębokości kilku, czy kilkunastu kilometrów pod poziomem obecnym. Późniejsze, coraz silniejsze utlenianie, wytworzyło skały kwarcowe, czyli kwaśne.

Ciężar właściwy żelaza wynosi  $7\frac{1}{6}$ ; uwzględniając ciężary innych metalów, istniejących w jądrze w ilości nierównie mniejszej, wypadnie bardzo mała zmiana tej liczby, która, w zestawieniu z ciężarem skał powierzchniowych ( $2\frac{1}{2}$ ), wyda liczbę średnią ciężaru właściwego kuli ziemskiej, zgodną z rzeczywistością ( $5\frac{1}{6}$ ).

Otóż cały szereg uczonych, jak Poisson, Ampère, Gay Lussac, Davy, Becquerel, Daubrée i inni doszli do wniosku, że utlenianie owego jądra podskalnego, głównie złożonego z żelaza, stanowi przyczynę działalności wulkanicznej, przyczynę owego tajemniczego „ognia podziemnego”. W zetknięciu z wodą, która ustawicznie przesiąka w głąb ziemi, rozpalone żelazo się utlenia, uwalniając wodór i węglowodory (z powodu zawartości węgla w żelazie); te, jako gazy, dążą na zewnątrz i, stykając się z warstwami już utlenionymi, odbierają im tlen, skąd powstaje znów woda, wsiąkająca w głąb, by odegrać rolę poprzednią, oraz kwas węglany, wydostający się na powierzchnię.

Naturalnym wynikiem tej ciągłej pracy chemicznej jest ogromna ilość ciepła i elektryczności, zdolna stopić najoporniejsze skały i sprawić potężne skutki mechaniczne. Pokłady miejscami rosną na objętość skutkiem utleniania i pochłaniania wody, zarazem rozszerzają się od gorąca; ciała lotne się wywiązują, dodając swą prężność do ciśnienia mas stałych. Wynikiem tych wszystkich czynności bywa marszczenie się powierzchni i uskoki, słowem, procesy górotwórcze, przepisywane dotąd wyłącznie fizycznemu kurczeniu się ziemi, skutkiem powolnego oziębienia. Dalszym zaś skutkiem bywają trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne, co już nie trudno stąd wyprowadzić.

Owo rozszerzanie się podziemne od czynników bardziej chemicznych, niż fizycznych, sprawiające podnoszenie się gruntu i fałdy na ziemi, musi mieć w następstwie okres spokoju. Prężność gazów maleje, skały stygną, kurczą się na nowo, powstają szczeliny i uskoki, i znowu woda robi swoje, przedostając się ku jądru metalicznemu i t. d. dopóty, póki całe jądro ziemskie zupełnie się nie utleni aż do środka — a to trwać będzie jeszcze przez całe epoki geologiczne. Obecnie siedlisko tych działań wulkanicznych, jak zresztą stwierdzają obserwacje, leży na głębokości, nie przewyższającej kilkunastu

stu kilometrów; tutaj źródło ciepła, stapiającego masy skalne na lawę.

Utlenie takie odbywa się wszędzie pod powierzchnią ziemi; najsilniej wszakże występuje i wywołuje objawy zewnętrzne, jak wybuchy wulkaniczne i trzęsienia ziemi, tam, gdzie woda ma dostęp łatwiejszy, a więc na owych liniach uskoków, wspomnianych niejednokrotnie.

Największa z tych linii ciągnie się od Kaukazu (Szemacha) przez morze Śródziemne (Etna, Stromboli, Wezuwiusz), Atlantyk (Teneryfa, wyspy Azorskie), Antyle (Martynika, Ś. Winięty), Amerykę środkową (Gwatemala) aż do wysp Sandwich (Kilanea, Ioa), a być może, iż ten sam uskok, lub jego odgałęzienie, sięga Japonii, lub wysp Malajskich. Ona to właśnie daje największe znaki życia, niepokojąc trzy części świata; jej podziemnym zmianom zawdzięczamy straszną katastrofę w Szemasze, spustoszenia na Antylach i w Gwatemali, a trwogę w Europie o wulkaniczne części Włoch, nawet Francji i Niemiec.

Na zakończenie poruszyć wypada sprawę, najbardziej aktualną: bezpieczeństwo Europy. O Włoszech niema co mówić; ich wulkany, wciąż czynne, mogą wybuchnąć lada chwila (Stromboli burzy się teraz gwałtowniej, niż zwykle). Ludność tu jest przygotowana do takich zjawisk, które zresztą, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie powinny sprawić gwałtownej katastrofy, skoro aż kilka obszer-nych wylotów mają produkty wulkaniczne.

Inaczej we Francji. Słusznie powiada M. Boule, że pewniej decydować można o śmierci człowieka, niż o śmierci wulkanu. Co do ludzi myślą się nawet lekarze, biorąc letarg za śmierć istotną; tutaj wszakże jest oznaka nieomylna: rozkład ciała. Co do wulkanów, niema pewnej oznaki, która-by stanowczo wnosić pozwalała, że góra się kiedyś nie ocknie z drzemki. Takie chyba wulkany można uważać za wygasłe całkowicie, w których okolicy niema nietylko wyziewu dymów, ale nawet źródeł gorących i gazowych (siarczanych, węglowodornych, węglowych), chociażby zimnych, jakie stanowią ostatnie pozostałości wulkanizmu.

Otóż we Francji, mianowicie w Owernii, istnieją jaskinie o wyziewie kwasu węglanego, jako też wyziewy węglowodorów, jakkolwiek słabe; nadto sporo wód mineralnych gorących, wreszcie, co najważniejsza, temperatura w głąb ziemi wzrasta o 1°C. na każde 14.6 metra, zamiast na 33 metry, jak normalnie na ziemi. Jest tam więc bliżej dwa razy przeszło, niż gdzieindziej, ognisko potężne ciepła podziemnego. Na domiar złego, kroniki wspominają coś, choć niejasno, o wybuchach w Owernii za czasów historycznych, jakoby około

V-go wieku po Chrystusie. I jeszcze rzecz ważna: 80 kraterów, jakie wyliczyć można w malowniczej krainie owych gór wulkanicznych, Puys zwanych, zamknięte są szczelnie od wieków. W razie więc wybuchu, katastrofa mogła-by stać się wielka. Optymiści pocieszają się, że wybuch, gdyby nastąpił, z powodu oddalenia od morza, nie będzie silny. Co o tem sądzi nauka, wiemy dobrze. Tymczasem niech mi wolno będzie przypomnieć, że podobne obudzenie się czynności wulkanicznej w Europie nie jest wyłączone, może mniej nawet, niż całkowita zagłada Martyniki i Antylów.

KSAWERY SPORZYŃSKI.

# TESKNOTA.

---

Białą marmurów w słońcu kwitną  
Dziwnego zamku smukłe wieże,  
Kolumny fontan mgłą błękitną  
Łkają w gasnących róż szpalerze,  
I karłowaty rząd jabłoni  
Owocem złoci się i płoni.

Jak węże drzew gałęzie gną się,  
Pąkowe pędy wzajem garną,  
Światłne motyle w zwiewnym pląsie  
Lecą na łąkę wonną, parną,  
Którą lodowce twardą bielą  
Od reszty świata murem dzielą.

A przez szpalery w krzewach cięte  
Błądzą królowy — blade, dziwne,



Szat miękkich falą opłynięte,  
Przejrzystych rąk zwiśnięciem sztywne,  
Smukłe jak kiście palm w płomieniu,  
W ognistych włosów obramieniu.

Czasami motyl im na głowy  
Upada w złoty żar warkoczy,  
Pijany wonią i tęczowy  
Rozkłada skrzydeł barwne oczy,  
I mrąc, owiany mgłą z płomienia,  
W mistyczny klejnot się zamienia.

A one idą całe w blasku  
W swoich zielonych długich szatach,  
Po krętych ścieżek złotym piasku,  
Po różnobarwnych łącznych kwiatach,  
Gdzie, niby wielkie śpiące zmije,  
Warkocz rzek modrych w dal się wije.

Idą kwiecistym niskim brzegiem  
Rzek migotliwych wężowiska,  
Patrząc za fali srebrnym biegiem,  
Co pod stopami im rozbłyska,  
I kołysząca nurt przezroczy  
Spokojną łuską w dal się toczy.

W mórz głębie toczy się bezbrzeżne,  
Gdzie błękit stoi nad wodami,  
I nigdzie zagła skrzydło śnieżne,  
Ani plusk wioseł fal nie plami,  
Tylko krzykliwych rybitw rzesza  
Piersiami z fali skry wykrzesza.

A zamek drugą, ciemną stroną,  
Szczytami wieżyc w niebo strzelną,  
Od łąk i kwiatów odwróconą,  
Patrzy w tę pustkę mórz śmiertelną,  
I jeno czasem białą grzędą  
Rybitwy taras mu obsiadą...

A gdzieś z ginącej w blasku wieży,  
Z za wyłączanej słońcem kraty,  
Para dziewiczych rąk się śnieży,  
Rzekłbyś więzione białe kwiaty,  
Całe porwane w błękit cichy,  
Dwa smukłych, bladych rąk kielichy.

Krzykliwych rybitw śnieżne sznury  
Owe podniebne kwiaty znają,

I wśród zachodnich zórz purpury,  
Lecąc ognistą w słońcu zgrają,  
Krzyk pozdrowienia ślą im ostry,  
Niby skrzydlate białe siostry.

W zamku zawory bram otwarte,  
Otwarte w oknach tęcz witraże,  
Fontanny jedne dzierżą wartę,  
I w bezustannym śpiewnym gwarze  
Rzucają tajnych zaklęć słowo  
W majestatyczną głusz zamkową.

Tylko to okno w wież wylocie  
Przez swoją złotą patrzy kratę  
W niewoli wiecznej i tęsknocie,  
Parą śnieżystych rąk skrzydlate  
Pomiędzy wód a sfer otchłania,  
Gdzie się powietrzne mgły tumania.

A w dole czasem w morskiej głębi,  
Po której słońce smugi włóczy,  
Burza się nagła pianą skłębi  
I pod bezchmurnem niebem huczy,  
I z przepaścistej toni wrzyska,  
Podwodnym gromem brzmi i błyska.

Wtedy rybitwy na błękanie  
Z lamentem wielkim giną w niebie,  
Tylko zamkowych wież odbicie  
Łamie się w wirach i kolebie,  
A one ręce, zda się, płaczą,  
Bezsilnych tęsknot swych rozpaczą.

BRONISŁAWA OSTROWSKA.

# TEATR I MUZYKA.

---

## I.

Ubiegły kwartał dostarczył sporo materiału do uwag o teatrze, przy uwypuklaniu jednak momentów kampanii repertuarowej, rozpoczynającej na różnych scenach wielki sezon, naczelne miejsce należy się tym razem Krakowowi. Teatr Krakowski wyrobił sobie tradycję literackich aspiracji; stamtąd przemawiają do publiczności Mickiewicz, Krasiński, Słowacki; tam w roku zeszłym inscenizowano „Dziady”; tam niedawno wcielono w dramatyczne kształty „Nieboską Komedję”; tam dysonanse nowoczesnej duszy rozwiązują się w nieprzebrzmiałym nigdy trójdzwięku wielkiej romantycznej poezji.

Kiedy przez wrota wiejskiego cmentarza, wśród krzyżów pochylonych i mogił, pośród przysypanych liśćmi, ukazał się przed rokiem Gustaw, zjawienie się jego dech wszystkim w piersiach zaparło. Wszedł—i każdy go poznał. Miał rysy tak niezatartym śladem w wyobraźni wszystkich wyryte, że widok tego oblicza w dzień Zadzuszny, zdawał się przejmować widzów lękiem zagadkowego symbolu. Czem przyszedł na „Dziady”: duszą żywą, sercem bijącym czy upiorem? Kim jest w dobie schorzałej erotyki ten Gustaw ze swoją idealną miłością dla czystej kobiety? kim jest w dobie anarchicznego indywidualizmu ten Konrad, który „kocha i cierpi za Miliony”? Wśród mogił cmentarnych widzimy go żywym; później między żywymi staje jak umarły; czy szuka umarłych pośród nas żywych, czy za radą Starca, rozgląda się: kto wogóle na „zaduszkach” poezji polskiej jest żywym, a kto umarłym?

I błąkały się w myślach widzów te pytania, dopóki w inną stronę nie skierowało ich ukazanie się hrabiego Henryka.

Oto poeta, który „gra cudzym uszom niepojęte rozkosze, splata serca i rozwiązuje gdyby wianek, igraszkę palców jego; który łyżyciska, suszy je uśmiechem i na nowo uśmiech strąca z ust na chwilę, na chwil kilka, czasem na wieki. Ale sam co czuje? ale sam co tworzy? co myśli? Płynie przez niego strumień piękności, ale on nie jest „pięknością“. Poezya była mu nałożnicą, za którą goniąc przez gruz domowego ogniska depcze po drodze wszystkie kochające go serca. Gdy popchnąwszy żonę w otchłań obłędu woła „wszystko, czegom się dotknął zniszczyłem i siebie samego zniszczę w końcu“, — głos „skądciś“ rzuca mu szyderczy komentarz „dramat układasz“. Kiedy wśród ruin społecznych, spiętrzonych wybuchami anarchii, modli się: „Boże! daj mi potęgę, której nie odmówiłeś mi niegdyś, a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny, a to słowo moje będzie poezją przyszłości“ — „głos w powietrzu“ tym samym urąga mu wykrzyknikiem: „dramat układasz!“ A jaka to przestrzeń między tą modlitwą Henryka, a inwokacją Kourada:

„Jeśli mi nad duszami równą władzę nadasz,  
Ja większe niżli Ty zrobiłbym dziwo —  
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!“

Ten błaga o szczęście, tamtemu chodziło tylko o poezję, ten zanuciłby pieśń, tamten układa dramat. Obaj zdają się stać zdaleka od siebie, jak gdyby ich odgradzała przeszłość, a to synowie jednej doby, rozdzieleni tylko przeczutą przyszłością, która dla nas, dzisiejszych, staje się już przeżywaną teraźniejszością. Patrząc na „Nieboską Komedję“ doznaje się jednocześnie wrażeń szybowania nad czasem i przestrzenią i dreszczów dziwnej jakiejś aktualności; jest się wobec czegoś, co wygląda, jak jutro, a boli, jak dzisiaj, co tragicznym splotem ściska umierające i nie narodzone jeszcze światy, a w symbole swoje chłonie coraz więcej życia. Tak trwają wszechwiekowe tragedye ludzkości, wśród których „Nieboska Komedya“ stanąć ma prawo obok największych. Pod naporem przepływających fal dziejowych rozszerzają się w nich personifikacje i wypełniają allegorye przerobioną na warsztacie czasów treścią, a w ideach wcielonych w ludzkie postacie krąży bezustannie krew serdeczna następujących po sobie pokoleń. Na scenie historii Henryk i Paukracy

spotykają się ciągle i powtarza się między nimi tragiczna rozprawa, w której „dwa orły”, zaglądają sobie w dusze. Arystokracya i demokracja codziennie co innego dla nich znaczy; dziś po jednej stronie stoi kultura, która jest arystokracją dziejów, po drugiej barbarzyństwo które jest ich demokracją; tam trzyma się jeszcze gmach pracą wieków dźwignięty; tu widać krzątanie około min pod jego fundamentami, około pocisków skierowanych ku jego szczytom. A jak będzie jutro wyglądać ta arystokracya, ta demokracja? Od postaci ich, od wyniku między nimi walki zawisły losy cywilizacji,—i dla tego w tej chwili, jak przed kilkudziesięciu laty śledzi się z takim natężeniem koleje tej walki, dla tego z takim upragnieniem wyczekuje się wykrzykniku *Galilee vicisti!*—dla tego „Nieboska Komedia” tragedia ludzkości, wyda się w każdej dobie i każdej generacji tragedią współczesną.

Wszystko w niej jest proroczem, nawet przeczuta wieszczym duchem ewolucja literacka, nawet ten typ dzisiejszego poetyckiego *ja*, przez które „płynie strumień piękności”, choć ono samo „nie jest pięknością”; nawet te egotycznie „układane dramaty”, w których owo *ja* jest wspinającym się ponad ludzkość bohaterem. I co potęguje dzisiaj, więcej niż kiedykolwiek, tragizm tego zmagania się dwóch ideowych zapasników, to nurtujący coraz głębiej dusze ich sceptycyzm, to jątrząca się z każdym dniem ironia sytuacji, w której Henryk ma w sobie materiał na Pankracego, a Pakracy przybiera fizyognomię Henryka; w której arystokrata piękna, zamykający się Zarathustrowej warowni swej myśli, ma instynkty anarchisty, a anarchista burząc, dba o wytworność arystokratycznego „gestu”. Cudowne jasnowidzenie Krasińskiego odebrało im obu od samego początku wiarę w to czego bronili; życie dokonywa w nich na tym gruncie zwątpienia coraz nowych przeobrażeń, — a wszystkie tkwią w psychologii tych wielkich postaci, którym niewiele równych znajdzie się w literaturze świata.

Jak one wyglądać mogą na scenie; jak wogóle przedstawi się na deskach teatralnych „Nieboska Komedia”? Stanisław Tarnowski nazwał trafnie cały obraz pierwszym rzutem kolosalnego kartonu;—i w istocie ma poemat wielkie szkicowe rysy, cechujące go pewną dekoracyjnością stworzoną do perspektywy teatralnej, ale na tem tle występują bohaterowie takiej miary, że się właśnie w tej perspektywie nie mieszczą. Potrzeba więc do ukształtowania na scenie arcydzieła Krasińskiego zarazem potężnych indywidualności aktorskich i karnie wyćwiczonych tłumów; potrzeba, żeby w samym akcie odtwórczym powtórzyła się poniekąd walka o ideały między arystokracją talentów a de-

mokracją przeciętnego aktorstwa, w oświetleniu gwiazd artystycznych, rozlewających swe blaski na barwność meiningeńskich malowideł. Teatr Krakowski, jak wiadomo, gwiazd nie posiada i znajduje się w warunkach nie dających mu czasu do uprawiania metody meiningeńskiej; a jednak p. Kotarbiński zdając sobie sprawę z trudności, jakie mu nastręczy zarówno istota samego dzieła, jak ustrój teatru, który je ma do życia scenicznego powołać, nie cofnął się przed ciężkiem zadaniem. Rozumowanie energicznego i pełnego inicjatywy dyrektora było prawdopodobnie takie: „dwa są sposoby przedstawiania na scenie arcydzieł: można dać publiczności albo doskonałe obrazy, w których plastyki dostarcza paleta sztuki dramatycznej w wielkim stylu, albo żywe ilustracje, malowniczo komentujące poezję słowa. Nie możemy dać obrazów, dajmy ilustrację“.

I przystąpił do inscenizacji „Nieboskiej“ sam, nie uciekając się tym razem do żadnej pomocy, na czem Krasieński bynajmniej nie wyszedł gorzej od Mickiewicza, którego przystosowywał do sceny Wyspiański. W tamtej adaptacji uśmiechało się zapewne autorowi „Wesela“ to właśnie, co poematowi fragmentaryczny nadaje charakter: niestalone linie budowy i uniesiona do grobu przez twórcę „Dziadów“ tajemnica proporcji i harmonii między odłamami dzieła. Malarz widział w tych fragmentach „nastrojowe“ obrazy; poetę przyciągał stosunek świata zmysłowego do sfer nadziemskich; myśliciela, tkwiącego duchem w teraźniejszości, nie kłopotał nic Gustaw z ciała i krwi, zmieniający się w widmo, aby następnie ukazać się w postaci upiora, a potem zmartwychpowstać w Konradzie. Życie i śmierć, zamieranie i odradzanie się w myślach i uczuciach, historia duszy z poza świata, unoszącej się ponad światy,—wszystko to przedstawiało się inscenizatorowi w symbolach grubych, dotykalnych, wcielanych z pewną lubością w kształty bardzo plastyczne.

Do „Nieboskiej Komedii“ inaczej trzeba było przystąpić. Nastrojami nie można tam wojować, bo w dramacie, mimo ułamkową jego formę, zbyt żywo biją sceniczne tętna, przeszkadzające utrwaleniu w widzu skupionego *Stimmungu*. Symbolizm również ma w sobie mało nadzmysłowego pierwiastku; myślowa zaś treść uderza tak ludzkim charakterem i temi cechami tak się w głąb i ku szczytom rozrasta, że symbol nie potrzebuje się w niczem zapożyczać z poza świata: człowiek-idea dźwiga się sam ponad naturę z wyolbrzymioną, ale żywą fizyognomią typów osobniczych i zbiorowych. W tym dwoistym kierunku posługiwać się musi inscenizacya wszystkimi swemi zasobami, aby nie dopuścić do żadnego nieporozumienia między ideą, która jest jasna, przejrzysta, a jej wcieleniem, które powinno być wyra-



ziste, przejmujące ekspresyją swego typowego oblicza. Siła ducha w posągowych kształtach—to bohaterowie; siła żywiołowa w namiętnościach tłumów—to ludzkość bezimienna; posągi rzeźbić musi słowo; psychologię mas wyrazić musi gest; dykcya zatem i ruch—to kardynalne środki, któremi rozporządzając mądrze i artystycznie, może inscenizator „Nieboskiej Komedyi“ uprzytomnić widzom tę tragedję dwóch potęg ludzkich, stojących naprzeciw siebie na przeciwległych stokach wulkanu. Więcej też aniżeli malarz i snycerz, przyda się tu aktor i literat—i dla tego pan Kotarbiński nie uląkł się szkopułów tej inscenizacyi i ominął je szczęśliwie.

Dwie pierwsze części poematu,—osobisty dramat hrabiego Henryka,—zdolnych mają przedstawicieli; męża gra pan Tarasiewicz, żoną jest pani Wysocka, rolę Orcia, powierzono pannie Mrozowskiej. W tym trójgłosie najwydatniej odzywa się nuta liryczna i brzmi szczerze, niekiedy głęboko, chwilami może za miękko, zwłaszcza w dykcji p. Tarasiewicza, która często waha się między tkliwym uczuciem, a hamletowską refleksyą i nie zapowiada w Henryku silnego przeciwnika Pankracego, odważnego obrońcy okopów Świętej Trójcy. Siły również potrzebuje pani Wysocka w szpitalu waryatów; jej wizya obłądna malująca w dantejskich obrazach tragedję szaleństwa Boga i grozę międzyplanetarnego kataklizmu powinna-by przekształcić wątłą, schorzałą kobietę w natchnioną Pythię, która w stojącej postawie, grzmiącym słowem i szerokim gestem zdaje się wróżyć koniec świata. Orcio w grze p. Mrozowskiej zajmuje, pociąga, wzrusza; w drugiej jednak połowie poematu, kiedy nieszczęśliwe, oślepie chłopię, dręczone wewnątrz wizjami, obarczone dziedziczną klątwą poezyi, dźwiga już na wątłych barkach część idei dramatu, artystka chyli się chwilami pod brzemieniem i ratuje się pewnym sztucznym patosem. Wogóle druga część poematu wystawia na ciężką próbę aktorskie zdolności tych trojga artystów, a próba tem jest trudniejsza, że ruchliwe i pełne życia tło w scenach zbiorowych domaga się bohaterów, mających moc panowania nad rozpetanymi żywiołami. W panu Tarasiewiczu sytuacja tragiczna obudziła do pewnego stopnia tę moc; pan Sosnowski, w przygniatającej roli Pankracego nie ustępował swemu towarzyszwowi; rozprawa w herbowej komnacie hrabiego nie zostawiła wprawdzie wrażenia spotkania się „dwóch orłów“, ale jednała słuchaczy pietyzmem, z jakim artyści starali się dzieło poety uplastyczyć w starannej ilustracyi. Ten pietyzm znać było zresztą w całej sceneryi „Nieboskiej“, we wszystkich usiłowania zbiorowych uwydatnienia piękności dzieła, w entuzjazmie wreszcie, z jakim panna Arkawinówna wygłosiła prolog i parabazę poematu.

Stała tedy „Nieboska Komedya“ po raz pierwszy na scenie polskiej, a to wcielenie jest prawdziwą zasługą Józefa Kotarbińskiego. On to, kierując repertuarem, poetom w nim zapewnił naczelne miejsce i pod tym względem Krakowską scenę nad Lwowską wywyższył; on kult swój dla poezji szerzy wśród publiczności, on jest tym rozumnym aktorem, który wie, że teatr—to nie aktorstwo, tylko literatura i nie waha się ze skromnymi środkami podejmować najtrudniejszych zadań.

## II.

Zstępując z „hymnu do prostej powieści“ wypadnie zaznaczyć, że scena współczesna zaludnia się coraz częściej chybionymi poetami, przez których nie przepływa nawet „strumień piękności“ i którzy, nietylko nie protestują, jak hr. Henryk, przeciwko szyderczemu głosowi szepczącemu im do ucha „dramat układasz“, ale mu w milczeniu przytakują, lub głośno z lubością wtórują. Nad tym objawem bardzo znaczącym, bo związanym poniekąd z ewolucją, jaka się w twórczości naszej odbywa, bliżej się kiedyś zastanowić warto; obecnie jednak poprzestańmy na charakterystyce dwóch należących do tej kategorii bohaterów: Karola w dramacie Gabryeli Zapolskiej „Ahaswer miłości“ i Kaliny w sztuce p. Kaweckiego p. t. „Dramat Kaliny“. Charakterystyka ich starczy za treść obu utworów, która oczywiście, gdy idzie „o nowożytną duszę“ obracać się musi wyłącznie około interesującego *ju* tych panów.

„Ahaswer miłości“ miał pierwotny tytuł „Mężczyzna“. Obie nazwy, choćby nawet nie brać ich bardzo na seryo, w błąd wprowadzają widzów; pierwsza podając instynkty zwyczajnego szubrawca za typową psychologię rodu męskiego; druga zapowiadając niejako dzieje erotycznych podbojów nowoczesnego Don Juana. Don Juan!.. o tym niema już dziś mowy: umarł i nikt go nie wskrzesi wdobie, kiedy na scenie francuskiej „Margrabia de Priola“, padł powalony atakiem paraliżu postępowego; nic też nie pozostało z legendy o Burladorze Sewilskim, przetwarzającym się, olbrzymiejącym w ciągu wieków, aż do zagadkowej postaci Don Juana z duszą Fausta, który we wszystkich kobietach szuka jednej, jedynej, nie istniejącej kobiety, a w ekstazie rozkoszy spodziewa się znaleźć objawienie nieskończo-

ności. Lavedan zabił ostatecznie Don Juana w osobie Margrabiego de Priola; czyżby upiór jego odbywał jeszcze u nas spóźnione Ahaswerowe w krainie sentymentu wędrówki?

Bo niema wątpliwości, że bohater pani Zapolskiej szuka także czegoś. Żonę porzucił dla tego, że mu się wydała bezmyślną lalką; z zakochaną w nim telefonistką zawiązał romans, powikłany bardzo poważnemi następstwami i odrzuciwszy znów biedną, blizką macierzyństwa dziewczynę za ubóstwianą w niej przedtem prostotę, zwraca swoje namiętne uwielbienie ku intelligencji jej rodzonej siostry, mieszkającej z „niby-mażeństwem“ pod jednym dachem. Więc czego chce ów pan Karol, a za czem goni Margrabia de Priola i gdzie właściwie objawił się „ostatni Don Juan“?

Posłuchajmy co głosi jeden, do czego tęskni drugi.

— Dla człowieka, „który wie“, nic na tym świecie nie istnieje, mówi margrabia do swego naturalnego syna, prócz zadowolenia przyrodzonych instynktów. Niema ani moralności, ani cnoty, ani wstydu, jest tylko rozkosz miłości i ku tej rozkoszy człowiek szanujący swoją rasę powinien skierować całą energię męskiej natury. Że zaś nie egzystuje taka skromność niewieścia, któraby nie uległa zręcznemu uwodzicielowi, więc trzeba tylko otworzyć ramiona, a wpadnie w nie blondynka czy brunetka, pulchna czy wiotka, namiętna czy zimna, wpadną wszystkie, jeżeli ten kto wyciągnął ręce rozumie życie i o nic więcej dbać nie będzie tylko o uścisk miłości.

Taki jest testament umierającego w Théâtre Français Don Juana.

A w teatrze Rozmaitości?

Tu pan Karol, dobierając sobie serca do akordu, redukując listę swoich zdobyczy o całe *mille* do skromnej cyfry *tre*, w poszukiwaniu nuty, dopełniającej trójdźwięk, wzdycha przedewszystkiem do wygodnego fotelu, w którym mógłby zasiąść przy lampie o łagodnem, kojącem, familijnem świetle. Byłoby coś naiwnie słowiańskiego w tej skłonności nastrojenia każdej zmysłowej fantazy według małżeńskiego kamertonu, gdyby się tam odzywały dźwięki jakiej takiej szczerości; ale ten marny cygan, deklamujący ustawicznie o ponętach domowego ogniska i niby szukający na prawo, na lewo (częściej na lewo, niż na prawo), kapłanki owego ogniska, kłamie naokoło siebie, przed sobą — i mizerne czyny swoje przerabia na sceny dramatu. A w tej robocie, co to za pyszny typ durnia, strojącego liche zachcianki w literackie etykiety! Bo o wielkich namiętnościach literackich

nie mówmy. Miewali je romantycy, miewali nawet naturaliści; próbują też i dekadenci przetwarzać życie na dzieło sztuki. Pan Karol nie dorasta do nich o całą wysokość, jaka dzieli dziennikarza od pisarza; po gazeciarsku zatem układa życie, nie tylko własne, — o co mniejsza, — lecz i cudze, w barwny felieton, w którym fragmenty o prerafaelitach, o kosmicznej miłości, o intelektualizmie, będą miały swoje żywe heroiny w żonie, w kochance i w jej siostrze. Cóż stąd choćby nawet felieton skończył się nieszczęściem? Tem lepiej; przeżyje się go w spotęgowanych wrażeniach, a potem sprzeda się w księgarni, albo teatrowi, przerobiony na powieść lub dramat.

I skończył się nieszczęściem. Przez te same drzwi, któremi wyniesiono trumienkę Ahaswerowego dziecięcia poszedł ojciec w świat frazesów dziennikarskich snuć dalej życie z odcinków literackich, zostawiając za sobą, zamiast domowego ogniska, cementarz, gdzie matka, pod ruinami zburzonego szczęścia, grzebie martwe szczątki najdroższych uczuć. Nic bardziej przejmującego, nad ten szary, powszedni tragizm, wykrzywiony chwilami grymasem codziennej trywialności; nie posępniejszego nad tę pospolitą sytuację, oplątującą ludzi, których co krok spotykamy, a których dusza odsłania się przed nami, niby owe „wnętrza“ w teatrze, widoczne od strony odjętej „czwartej ściany“. Jak te wszystkie dusze smutnie wyglądają, zwłaszcza gdy życie rzuca na nie subtelne odbłyśki komizmu; jak w nich prawda drga dotykalnie obnażonym nerwem bólu, wplecionym do węzła doli i niedoli człowieka w tragikomedii ludzkiej! W takich wiwiskocyjach psychologicznych jest Gabryela Zapolska mistrzynią. Bohaterowie jej, urodzeni z obserwacji powieściowej, żyją życiem scenicznym, a ruchami ich kieruje aktorka; synteza troistego talentu daje im doskonałą plastykę, która dla tego zapewne wydatniej jeszcze przedstawia się w grze aktorów. Pani Siennicka wywija z „kłębka nerwów“ sceny wprost wyborne; pani Przybyłko-Potocka zarekomendowała się świetnie publiczności warszawskiej, jako artystka, wydobywająca ze szczeroci i prostoty efektowne kombinacje komizmu, liryki i dramatu; pani Lutomska wykazuje w grze dużo inteligencji, wyglądającej czasami trochę oschle, prawdopodobnie z winy autorki, która typowi „kobiety nowej“ nadała charakterystykę rezonera ze starego repertuaru. Pan Żelazowski jest dobrym Ahaswerem, w momentach charakterystycznych swej roli, wypełniających cały akt drugiego dramatu.

Ten Ahaswer może zresztą nie być Ahaswerem, ani Don Juanem; ale mimo poży literackie duszę jego przeglądamy od razu na

wskroś. Inaczej z Kaliną. Kto to jest?—nie wiemy od początku do końca i wychodzimy z teatru z wrażeniem, że pan Kawecki nie więcej wie od nas. Kalina źle żyje z żoną—to nikogo nie obchodzi; dużo mężów źle żyje z żonami nie roszcząc z tego tytułu pretensyi do bohaterstwa. Kalina pisze dramat, — to nam obojętne, dopóki go nie napisał. Kalinie źle pożycie z żoną przeszkadza do pisania dramatu,—i to nas nie wzrusza, bo z rozmów poety z podchmielonym stale dziennikarzem, z tego co czyta teatralnemu kabotynowi wolno przypuszczać, że dramat byłby lichej wtedy nawet, gdyby piszącemu nikt nie przeszkadzał. Ale Kalina to właśnie piekło domowe przetwarza na dramat, śledząc *in anima vili* męki tworzenia—i tu pomysł miałby niezapręganą oryginalność, a bohater dramatu mógł-by od razu obudzić zajęcie widza, gdyby ten widz wiedział pod jakim kątem ma na niego spojrzeć. Poeta, zrywający się do lotu w krainy twórczości, a trzymany przy ziemi w małżeńskich więzach przez pospolitą kobietę, z którą się był ożenił, jako uczciwy ojciec zawczasie urodzonego dziecka, cierpi katusze w tej matni i przedstawia dramatyczną swych cierpień psychologię. Albo filozoficznie usposobiony gazeciarsz wzrusza ramionami na wybryki jędzy, nienawidzącej papieru, pióra i atramentu i w tworzeniu znajdując odpoczynek, komicznie oświeśla swoje zmagania się z tą wcieloną antypatyą do wszelkiego pisma. Tak czy owak publiczność musi wierzyć w ten dramat czy w tę komedię i współczuć z bohaterem albo śmiać się z nim razem. Tymczasem Kalina zbija ją zupełnie z tropu. Na cierpiącego i pognębionego nie wygląda bynajmniej człowiek, który przez trzy akty z taką dezynwolturą odgrywa z żoną sceny z „Poskromnienia złościcy“. Komicznem jest wprawdzie wszystko naokoło niego: skład domu, familijka żony, i różne kręcące się tam niewiadomo po co figury z parawanu, ale odbłysek tego komizmu nie pada ani na chwilę na oblicze bohatera, pozbawione wszelkiego wyrazu. Więc cóż? Może to jest fizyognomia, w której uśmiech przedziera się przez mgły smutku i jak promień słońca we łzach iskry dowcipu rozpala? Takby mogło być, gdyby Kalina sam siebie ustawicznie nie komentował. Pierwszą kardynalną cechą indywidualności złożonych z melancholii i ironii jest wielkie ich wewnętrzne skupienie, z którego charaktery wyzierają i odzywają się zwykle w samych tylko półcieniach i półtonach— a Kalina, jak natrętny cicerone, oprowadza widza po niegłębokich zgoła skrytkach swojej duszy, powtarzając, aż do znudzenia „dramat układam“. Ten głos odzywający się w pierwszej, nie jak dawniej w drugiej osobie, zaciera ostatnie ślady niezbędnej w akcie twórczym nieświadomości i podaje zamiast psychologii twórczości, receptę go-

spodarską na wyrób domowych dramatów. Mówi tym głosem nie poeta, lecz fabrykant, którego jedynym tytułem przynależności do poetyckiej rodziny jest chyba to, że nie lubi „spać przy żonie snem fabrykanta Niemca“.

Gdybyż przynajmniej w walce tych dwóch odpychających się nawzajem natur, po wymianie pocisków garnkami, talerzami i brudną bielizną zwyciężyła wyższością moralną ta natura, która się ma za wyższą! Ależ i tego o Kalinie powiedzieć nie można, bo ostatecznie mąż sprowadzający żonie kochanka, niby w celu wytworzenia sytuacji potrzebnej mu do dramatu, a właściwie po to tylko, żeby wywołać zerwanie nienawistnych więzów, gorzej nierównie wygląda nawet od tej sekutnicy, która kochanka odtrąca i idzie pracą zarabiać na życie. Może tak chciał autor; w takim razie intencję swoją wcielił w nieciekawego bynajmniej jegomościa, borykającego się z równie nieciekawą jejmością; poezya nic tu niema do roboty i nie wzmówią jej w widza ani na chwilę nawiasy „na stronie“, któremi Kalina legitymuje się przed publicznością ze swoich poetycznych natchnień. Mają one niby łączyć psychologicznie nieszczęśliwego małżonka z marnującym się w domowych swarach poetą; w istocie niełączą nic,—jeżeli bowiem istnieje Kalina, wojujący z Kalinową, nie egzystuje wcale pisarz tworzący dramat; tamta tylko figura żyje,—ta jest martwą, papierową kombinacją. Podobno autor wziął ją wprost z natury,—to niczego nie dowodzi, a raczej stwierdza raz jeszcze pewnik, że w sztuce jedyną prawdą jest artystyczne prawdopodobieństwo. Takie prawdopodobieństwo ożywia epizodyczną postać przyjaciela Kaliny, pijącego wódkę, deklamującego Heinego, całującego po rękach dawny swój ideał, panią Kalinową, i wybiegającego myślą, zamroczoną trunkiem w niewyraźne jakieś krainy literackich aspiracji. Ta jedna choćby postać dyskretnie w półtonach utrzymana świadczyła by już, niezależnie od pewnego daru grubej plastyki scenicznej, o talencie p. Kaweckiego, potrzebującym jednak dużej, bardzo dużej kultury.

Zachęty młodemu autorowi nie brakowało; miał ją przedewszystkiem w artystach, którzy starali się dostroić do tonu jaskrawej farsy, stanowiącego podstawę tego rzekomego dramatu. Nie wszystkim z równą to przyszłe łatwością; najciężej może pora się z niewdzięcznym zadaniem p. Sliwicki, czemu dziwić się trudno, jeżeli artysta niewidzi wyraźnie figury, której naprawdę zobaczyć nie można. Pani Siemaszkowa pracuje widocznie nad złagodzeniem rozmyślnych, a niepotrzebnych i nieartystycznych brutalności w rysunku Kali-

nowej. Z życiem i werwą gra siostrę bohaterki, panna Rutkowska. Pan Roland uprawdopodobnił niepospolitym humorem karykaturę głuptasa, który „nie lubi ratafi i pierożków ze serem“. Pan Frenkiel odniósł tryumf prawdziwy w roli „zapruszonego“ dziennikarza. Dyskrecya w efektach i estetyczna miara artysty wysunęła tę niepozorną postać na pierwsze plany. Pan Wojdałowicz jest bardzo ucieisznym aktorem.

W tym nudnym, zbanalizowanym na kartach książki i na deskach teatralnych świecie dziennikarskim, Stanisław Przybyszewski potrafi wyjątkowo znaleźć bohaterów interesujących, w pewnym przynajmniej kierunku. Jego Stefan Mlicki, chodzi także do jakiejś redakcyi. Co tam robi? Nikt się o to nie pyta i widzom właściwie jest wszystko jedno czem się ten literat zajmuje, i jaki jest istotny jego stosunek do literatury: czy z życia robi dramat, czy z dramatu układa życie; to jedno widzi publiczność od pierwszej sceny, że Mlicki należy do rzędu indywiduów, dla których miłość-nieszczęście, miłość-klątwa, miłość-demon jest zarazem tragedją i jedyną racją bytu człowieka na tym padole, jedyną potęgą niezwykłą, dźwigającą go ponad wszelkie stosunki życiowe, ponad wszystkie prawa naturalne, społeczne, ponad jakiegobądź nakazy etyczne. Jesteśmy więc w świecie „Złotego runa“ między ludźmi z „wyzartem przez literaturę sumieniem“ pośród lunatyków erotyzmu, którzy z oczami zamkniętymi nawszystko, co ich otacza, chodzą sennie po szczytach i nad otchłaniami namiętności. Według „tajemniczej, wewnętrznej moralności każdego czynu“, grzech mści się tam na samym sobie i na grzesznikach. Zasad, imperatywów niema żadnych—i nie potrzeba ich do wywołania tragicznych kolizyi; sprowadza je jakiś nieujęty, wyrobiony przez wieki determinizm myślowy i uczuciowy, który, niby *fatum* starożytne popycha bohaterów do katastrofy. Podobnie jak fatalność zwierzęca u Zoli, obezładnia ich u Przybyszewskiego dziedziczność ideowa, z którą walka, zakończona złamaniem woli, jest czynnikiem tragicznym w jego dramatach. Walczący pada dla tego, że nie umiał wyswobodzić się pod tyranii tego determinizmu, gromadzącego przed nim na drodze do szczęścia ruiny cudzej szczęśliwości, pokrwawione serca, sponiewierane dusze, zabite egzystencje. Co w tej walce tryumfuje, po czyjej stronie istotne zwycięstwo, gdzie siła, a gdzie słabość—to niechaj sobie każdy w duszy dośpiewa, bo nikt tam rze czy po imieniu nie nazwie, nawet nosobione w jakiejś figurze sumienia zbiorowe, w którym wszyscy naokoło słyszą tylko echa dawno w sobie przebrzmiałych nawoływań moralnych. I nie może takie sumienie wyrokować o czynach według ich wartości, bo samo jest sę-

dzią we własnej sprawie, bo sadowiąc innych na ławie oskarżonych, załatwia przytem swoje prywatne interesa. Takim dobrem sumieniem jest w „Złotem runie“, Ruszczyć, skruszony grzesznik, usiłujący ocalić cześć i szczęście swego naturalnego syna i powstrzymać ciosy przeznaczenia, domagającego się całkowitej ekspiacji; takim złem sumieniem jest w dramacie „Dla szczęścia“, Żdzarski, szukający w swojej prokuratorskiej misji przy dwojgu zakochanych „nadludziach“ odwetu za przecierpiane w życiu miłosne zawody. Tam było sumienie - pokuta, tu występuje sumienie-zemsta; tu i tam nikogo nie ratuje, a wszystkich gubi. Zguba w obu sztukach, przyczaja się, skrada i zbliża z nieubłaganą logiką, z żelazną konsekwencją, tak, że gdy w „Złotem runie“ wchodzi ów tajemniczy zegarmistrz, nastawiający wskazówki na śmiertelną godzinę i kiedy w dramacie „Dla szczęścia“ Mlicki słysząc kroki Żdzarskiego, woła nieprzytomny „nie-szczęście idzie“, bierze nas w swoją moc nie efekt teatralny, lecz nie-cofniona konieczność, która spełnić się musi, bo jest wypadkową sił, z doskonałą znajomością sceny skombinowanych.

Nieszczęście cierpliwie, umiejętnie, po szatańsku przygotowywał Żdzarski od piewszej chwili kiedy się dowiedział o zaręczynach swojej dawnej, dotąd niezapomnianej kochanki Olgi Agrelli ze Stefanem Mlickim, który w paroksyzmicznej żądzy nie cofa się przed niczem, nawet przed zerwaniem kilkoletniego stosunku z oddaną sobie duszą i ciałem Heleną. Sumienie ma tu wdzięczną do odegrania rolę, budząc bowiem w umysłach kochanków szczątkowe moralne przeżytki, staje w obronie pokrzywdzonej, a krzywdzicielom burzy jednocześnie wymarzone szczęście, dla którego wszystko na około siebie podeptać są gotowi. Żdzarski jest w tej roli skończonym psychologiem; jak prawdziwy wirtuoz gra na trzech duszach, wplątanych jedną namiętnością w rozdzierający dysonans; wsłuchuje się w motyw zemsty, dzwiczący dlań rozkoszną muzyką przyszłości. Nie daleką jest ta przyszłość; dyssonans rwie się gwałtownie ku rozwiązaniu; trzeba tylko pojedyncze głosy umiejętnie poprowadzić. Więc najprzód spotęgowana sugestya Żdzarskiego rozpacz Heleny, wgryza się w serce Mlickiego, szarpiąc w niem te właśnie struny, które zabrzmieć miały dla innej hymnem miłości i szczęścia. Powracające uparcie, zapamiętałe echa dawnego uczucia wciskają się pogrzebowymi jękami do melodyi nowego romansu, bolesne tylko wywołując zgrzyty. Nienawiść mężczyzny, który już nie kocha, do kobiety, która przestać kochać nie umie, jest pierwszą zabójczą kroplą, zatruwającą szczęście, cudzem zdobyte cierpieniem. Gdy ta nie wystarcza, gdy Mlicki z brutalstwem roznamiętnionego samca odtrąca błagania kobiety zatrzy-



mującej go przy sobie w imię wszystkiego, co mu oddała a do okrucieństwa dodaje zniewagę, obiecaną „opieką”, Żdzarski inne ma w pogotowiu jady. I sączy je Mlickiemu w insynuacjach o grasującym dotąd u mężczyzn „przesądzie czystości kobiety”, który sprawia, że zbrukana przeszłość żony przesładuje męża w najognistszych do niej uniesieniach. Mlicki wije się w konwulsjach zmysłowej, zwierzęcej, retrospektywnej zazdrości—ale furja miłosna pokonywa i te męczarnie. Pozostaje mścicielowi ostatni, niechybny cios, samobójstwo Heleny — widmo ofiary, poświęconej „dla szczęścia”, stające oko w oko z tem szczęściem. Nie zawiodła go i ta kombinacja, subtelnie zresztą obmyślona i przeprowadzona. Helena popchnięta nieuchwytną, moralną pressją, utopiła się w stawie, a Żdzarski zjawia się z tą wiadomością wśród ponurej sielanki zakochanych. Zemsta jego ma się czem napawać. „Atawizm sumienia” wykrzywia grymasem strachu nawet demoniczne oblicze „nadkobiety” i wydiera krzyk obłądnej zgrozy z piersi Mlickiego, który rozkrzyżowawszy się u wejścia do pokoju, którądy wnieść mają, za wskazówką mściciela, zwłoki samobójczyń, woła z rozpaczą:

— Nie puszczę, nie puszczę!

Trupa kochanki może zatrzymał na progu; czy nie puścił wyrzutow? Zapuszczenie zaśłony na to właśnie nierozwiązane pytanie jest, niezależnie od swego arcyzmu, symboliczną wskazówką, że sztuka nie po to została napisana, żeby na nie odpowiadać. Nie postawiono w niej ani rozwiązywano tezy etycznej; pokazano tylko oderwane od tła społecznego instynkty, żądze, działające poza życiem, ponad życiem czy też u spodu życia (pogląd na ich sferę zależy od psychologicznych kryteriów widza), wcielone w ludzi, którzy z tragiczną zmarszczką na czole, męczą się nad odgadywaniem zadawanych sobie wzajemnie problemów płciowych, ludzi, których dusza, wrośnięta jedną częścią w wiekowe warstwy atawizmów kultuarnych, drugą wyrwa się w przestwory jakiegoś przyszłego świata, gdzie życie będzie artystyczną grą samych nieświadomych bodźców i poruszeń. Są to biedni argonanci, spoglądający z tego padołu płaczu ku wyżynom, gdzie stoi „Homo sapiens” i puszczający się gorączkowo na ocean życia po „złote runo”, po miłość, pod jarzmo tej siły kosmicznej, która tworzy zarazem i niszczy, a od początku świata popycha człowieka w wir śmiertelnego tańca. W dramatach Przybyszewskiego czuć przepływ tej złowroziej potęgi, po której zostaje wrażenie przygniatającego wszystkich i wszystko *fatum*—i to wrażenie ma coś pokrewnego ze wzruszeniami, jakie wywiera tragedia grecka. Jest zresztą wszędzie cechą twórczości najnowszych dramaturgów ten powrót do typ-

wych bohaterów, typowe uosabiających namiętności, do prostoty akcji, oczyszczonej z epizodów, do jedności miejsca, bodaj nawet do jedności czasu. Prosta i surowa budowa dramatów Przybyszewskiego, artystyczna powściągliwość w charakterystyce bohaterów, zdumiewająco zwięzły dyalog, w którym nie słyszymy jednego zbytecznego słowa; mistrzostwo w scenicznym kształtowaniu sytuacji i w stopniowaniu dramatycznego ich napięcia, — wszystko to są cechy talentu zbyt dużej miary, aby miał się zamknąć za zawsze w erotycznej alkwie.

Dramat „Dla szczęścia“ miał doskonałych wykonawców. Pani Fedorowiczowa, jako Helena, ze szczerością głębokiego uczucia odróżnia postać kobiety nieszczęśliwej od figury rozgorączkowanej histeryczki, którą z takim powodzeniem grała w „Złotem runie“. Artystka ta, stworzona widocznie do modernistycznych nastrojów, zdobyła się w tej roli na akcenty, torujące jej stanowczo drogę do repertuaru dramatycznego. Pani Siennicka, przedstawiając Olę, przechyliła się od demoniczności, ku zbyt realnej charakterystyce; wogóle jednak wywiązała się ze swego zadania z niepospolitą inteligencją. Pp. Żelazowski i Nowicki, dają wyborne kreacje; pierwszy jako Zdżarski, bardzo subtelnie cieniował owo wcielenie złego sumienia, urozmaicając w niem nowoczesnymi rysami fizyognomii „czarnego charakteru“; drugi utrzymał się od początku do końca w tonie zde nerwowanego wizyonera erotyzmu.

Dramat jak widzieliśmy nie próżnował. A komedia?

Komedyi czystych, rozbrzmiewających szczerym śmiechem coraz mniej w repertuarze nietylko naszym, ale i ogólnie - europejskim. Śmiech na scenie utracił swoją samoistność i potrzebuje oprzeć się na jednym biegunie życia o dramat, na drugim o farsę. Czy tak jest w rzeczywistości? — Do pewnego stopnia niewątpliwie; ale objaw ten jak i wiele innych, wynikających ze stosunku literatury do życia, stawia nas znowu wobec nierozstrzygniętego pytania: co silniejszy wywiera wpływ czy literatura na życie, czy życie na literaturę? Stanisław Kozłowski jest widocznie zdania, że śmiech może i powinien egzystować sam dla siebie i popiera to zdanie w komedyi „Luminarz“. Nie pierwsza to w jego dorobku literackim; „Dyana“ bowiem, mimo swój przybór historyczno-obyczajowy, jest komedią najczystszej wody; można ją nawet uważać za pośrednie ogniwo w twórczości autora „Wójta Alberta“ i „Estery“, który w psychologii swoich figur przeszedł z łatwością, drogą zupełnie naturalną, od poetycznej syntezy do spostrzegawczych uogólnień, ujętych w typy. W dobie jednak rozdrabniania

się dusz ludzkich, kiedy nawet charaktery różniczkują się na indywiduala, typy ostać się mogą jedynie w satyrze, i satyrą też nazwał Kozłowski swoją czteroaktową sztukę.

Bohater jej, coraz częściej uwijający się u nas w życiu, na scenie jest względnie nową postacią. To „człowiek opatrnościowy“, jak go w ironicznej gwarze warszawskiej nazywają sceptycy; nie tylko bowiem wszędzie jest, ale wszędzie być musi; bez niego nie wyobraża sobie nikt w pewnych sferach żadnej instytucji, żadnego poważnego przedsięwzięcia. Finanse, przemysł, handel, filantropia, sztuki piękne, wszystko wyciąga ręce do „luminarza“, rozlewającego na cały obszar życia społecznego, swoje światło, które promieniuje wszechstronnie we wszelkich jego kierunkach. Czy jaśnieje w nim istotnie to światło? Gdzież tam! W najlepszym razie „luminarz“ jest osobistością wpływową, rozlegle ustosunkowaną, obdarzoną zdolnością szybkiego orientowania się w różnych sprawach; w najgorszym—to zero, użyte za wygodną firmę przez operującą w interesach prywatę; to nicość rozpanoszona na mnóstwie stanowisk, gdzie drogę prawdziwym zdolnościom tamuje. „Luminarz“ Kozłowskiego stąpa ostrożnie między temi dwiema ostatecznościami; nie jest to, ani „słomiany człowiek“ podstawiony na reprezentanta jednej instytucji, ani „wielki człowiek do małych interesów“, wytwarzający sobie we własnym otoczeniu fikcyjną sferę działalności: to istotny mandataryusz rozmaitych grup społeczeństwa, ufających mu przez lenistwo, które woli zawsze wartości, dopasowane przez użycie, niż nowe a chropowate w praktyce. Z tą fizyognomią działacza „opatrnościowego“, luminarz byłby już oryginalną figurą; autor jednak chciał postać swoją jednym jeszcze urozmaicić rysem i dodał mu obłudę w stosunkach rodzinnych. Luminarz nie jest tem, czem się w domu wydaje, arcywzorem moralności i cnoty; wie o tem najlepiej wesoła kokotka, u której stateczny i poważny obywatel otrząsa się chętnie z komedii swej powagi—i więcej nawet w akcji nacisku położono na zdemaskowanie fałszywego Katona, aniżeli na pokazanie „niezastąpionego“ luminarza we właściwej jego postaci. Jest to przeniesienie punktu ciężkości satyry gdzieindziej, tam gdzie pociski jej, z założenia w inną kierowaną stronę, przez odbicie tylko dochodzić mogą. Dochodzą jednak—i to dość jeszcze silnie, żeby w małżonku i ojcu, skompromitowanym przez własnego zięcia dosięgnąć i człowieka publicznego. Komizm sytuacji oplątującej jednocześnie głowę rodziny i męża zaufania wyzyskany jest z życia i przyczynia się niemało do powodzenia utworu, kojarzącego szczęśliwie lekką gorycz satyry ze smakiem łagodnej wesołości. „Luminarz“ grany jest dobrze przez p. Frenkla, celebrującego za-

bawnie w tytułowej roli; otoczenie tego pompatycznego bohatera: pp. Roland, jako zagłodzony i zahukany zięć, pani Rolandowa, przedstawiająca jego żonę, p. Żelazowski, który gra subtelnie dyrektora, pani Siennicka w postaci dowcipnej kokoty, p. Wojdałowicz, typowy pieczeniarsz, p. Rapacki, p. Wilczyński i panna Kochówna, którzy z kilkokartkowych ról stworzyli figury,—wszyscy składają się na wyborną całość.

### III.

Oryginalna twórczość miała w tym upłynionym okresie życia teatralnego znaczną przewagę nad repertuarem obcym; jednoaktówka francuska i trzyaktowa niemiecka sztuka—oto cały, w ciągu trzech miesięcy, bilans literatury zagranicznej na warszawskiej scenie. „Marchewka“ obrazek w jednym akcie pióra Renarda, jest może czemś więcej niż zwykle *lever de rideau*: charakterystyka wyrostka, upośledzonego w rodzicielskim domu; przekształcenie duszy dziecka w zetknięciu się z przypadkowym objawem cieplejszego uczucia ojca, które z zatulonego lekliwie pączka piękny i wonny kwiat wydobywa,—psychologia, słowem, dużą tu odgrywa rolę. „Marchewka“ (*Poids de carotte*), jako popis aktorski, miała powodzenie w teatrze Antoine'a w Paryżu, może z powodu tej psychologii, nacechowanej życiową filozofią „teatru niezależnego“. Więcej niż proces wyszlachetnienia chłopięcia podobało się tam zapewne tło, na którym się odbywa; silniej niż rozkwit młodziutkiej duszy, przemówiła prawdopodobnie do publiczności w „Théâtre libre“ sytuacja, zbliżająca ojca z synem na gruncie wspólnej do żony i matki niechęci. U nas artyści z taktem łagodzili przykrą tej sytuacji cierpkość; pani Przybyłko-Potocka, o ile jej na to głos pozwala, wydobywa z szorstkiej natury chłopca akcenty skupionego, a wychylającego się na światło dzienne uczucia; p. Ładnowski i panna Bogusławska, z inteligentną powściągliwością traktują rolę rodziców „Marchewki“.

Oryginalnie pomysłany dramat p. Engla, nosi tytuł „Ponad wodami“. Niema to nic wspólnego z poezją *Super flumina Babilonii*, a jeżeli Biblia odgrywa tam jakąś rolę, to chyba w rękach dwóch pastorów protestanckich, wydzierających sobie duszę upadłej dziewczyny, jeden w górę, ku niebiosom, drugi na dół, do otchłani piekielnych. Walka jest w całym tego słowa znaczeniu śmiertelną, bo obaj znajdują

się „ponad wodami“, które zerwawszy tamę wśród wścieklej morskiej nawałnicy, zatopiły całą przybrzeżną osadę rybacką i zostawiły jedynie mieszkańcom plebanii, na wzgórzu położonej trochę czasu do przedzgonnej modlitwy. Co zwycięży: czy przebaczenie, głoszone przez starego pastora, zasuspendowanego w służbie za to, że zbyt często obcował ze swemi owieczkami w szynkowni i że przez próg jego domu przestępowała córka zmarłego przyjaciela, po śmierci ojca ręką matki do nierządu popchnięta,— czy kłątwa, która nie schodzi z ust młodego pastora, marzącego o odbudowaniu z czystych dusz kościoła? W odpowiedzi na to pytanie tkwiłaby właściwa, zasadnicza sytuacja dramatu Engla, gdyby psychologii jej nie mąciła, z winy autora, czysto fizyczna ciekawość widza: czy rozszalały Bałtyk pochłonie w końcu rozbitków na tej wysepce śmierci i gdyby publiczność od razu zmiarkować mogła z kim ma do czynienia: z symbolami czy z ludźmi? Bo przy mętym rysunku ludzi i rzeczy w pierwszych scenach trzeba na to pewnego czasu.

Ten ustępujący ze stanowiska starzec mógłby być istotnie przedstawicielem ducha chrześcijaństwa: cóż kiedy apoplektyczny wygląd apostoła, tak jaskrawie świadczy o przewadze w nim ciała nad duchem! Ten jego młody następca reprezentowałby może w swym ascetyzmie fanatyczną literę protestantyzmu, gdyby nie miał tyle duchowej racji w wyrzutach czynionych swemu poprzednikowi. A jeżeli ma słuszność, — to co znaczy zerwanie zbudowanej przezeń i prawdopodobnie symbolicznej także tamy? Jest-że to złowrogi tryumf żywiołowej siły instynktów, zaakcentowany poniekąd w zestawieniu morza z duszą wyuzdanego dziewczęcia, czy też kara niebios, tępiących potopem nieprawości nadbałtyckich rybaków?

Wątpliwości rozprasza dopiero tragizm ostatniej godziny. Wobec śmierci wstępuje w symbole życie, abstrakcje stają się ludźmi; biją w piersiach serca i jak fale naokoło nich, tak uczucie w nich wznosi się coraz wyżej, dopóki nie dosięgło ideałów Chrystusowych. Na tych dopiero wyżynach grzesznica kaja się przed kapłanem, który ją, — po rozpaczliwej z sobą walce,— ujarzmił dobrocią i płaci za swoje grzechy poświęceniem życia, próbując wydrzeć morzu łódź ratunkową, ciśniętą o skały. Ofiara nieszczęśliwej będzie kamieniem węgielnym wielkiego Kościoła przebaczenia, a garstka przyszłych tego Kościoła wyznawców ocaleje.

Dramat Engla nie od razu dźwignął się ponad fale obojętności widzów, gdzie, jak się wydawało po pierwszym przedstawieniu, zatonię bez ratunku. Podział tu może odstraszać afisz z dwoma pastorami; ale ci sami pastory w osobach pp.: Rapackiego i Nowickiego wydobyli go z tej toni. Nie było to uratowanie rzeczy złej (co

się także zdarza), lecz odsłonięcie w grze artystycznej rzeczywistych zalet utworu, ze wszech miar zasługującego na powodzenie, które w znacznym stopniu jest też zasługą pani Siemaszkowej, porywającej w spotkaniach z młodym pastorem żywiołową potęgą, powściągniętą znakomicie i przeprowadzoną przez subtelne odcienia psychologiczne w świetnej scenie spowiedzi.

#### IV.

W dramacie lirycznym nastał zwykły wielko-sezonowy okres wirtuozostwa; repertuar ustępuje w operze śpiewakom a na afisz powracają te same od szeregu lat tytuły. Śpiewacy są pierwszorzędni: dość wymieniść nazwiska Battistiniego, Anzelmiego, Ancony, Bellincioni, Pinkiertówny; ale notowanie popisów śpiewaczych nie może być przedmiotem przeglądu, śledzącego rozwój literatury, nie aktorstwa, muzyki,—nie przemijającego wirtuozostwa. Ten rozwój zaś niczem znamieniem nie zaznaczył się w ciągu ubiegłych trzech miesięcy. Miejscowemi siłami wystawiono „Dragonów Villarsa“ Maillarta; po włosku usłyszeliśmy nową operę Mancinellogo „Hero i Leander“ z panną Kruszelnicką i z panem Anzelmim w partyach tytułowych. Obie nowości nie powiodły się—każda z innych powodów.

„Dragoni Villarsa“ należą do rzędu tych komicznych oper, które później najwięcej materiału dostarczyły kompozytorom operetek. Muzyka płyna, melodyjna, często dowcipna trzymała się podówczas na poziomie szczerze artystycznym, ale łatwym do obniżenia. Obniżenie nastąpiło za naszej pamięci. Operetka wyzyskała dla siebie z całego rodzaju opery komicznej wszystko, co się wyzyskać dało; liryzm, wesołość, dowcip, poszły w służbę krotoczwili, podłożonej pod muzykę, w którą tak wsiąkły nawet zwroty melodyjne, podsłuchane u źródła, że dziś każde wznowienie opery komicznej jest dla niej ryzykownym eksperymentem, bo matka wydaje się plagiatorką swej nieprawej córki. Tak było z „Dragonami Villarsa“ — „To operetka“, wołali nieliczni słuchacze, rzadko rozsadowieni w pustej widowni teatru Wielkiego, zapominając ile dziś operetka dłużna jest operze komicznej. Można by zresztą obojętnie wspomnieć o tem nieporozumieniu, gdyby ono coraz bardziej nie dyskredytowało reorganizującej się z niemalym trudem opery miejscowej. „Dragoni Villarsa“, to

nie jest przynęta dla publiczności, któraby pragnęła dopomódz teatrowi w tej reorganizacji, choćby ją nawet tak poprawnie wykonano w komplecie, złożonym z pań Kaftalówny i Roszkowskiej, panów Drzewieckiego i Grąbczewskiego, zwłaszcza, gdy jednocześnie ta sama publiczność słyszy opery zajmujące ją muzycznie nierównie silniej, śpiewane po włosku również przez siły miejscowe. „Dla czego ja mam słuchać „Dragonów Villarsa“ lub choćby „Jasia i Małgosi“, — mówi sobie nie bez słuszności, — kiedy taki komplet, jak panna Kruszelnicka, pp. Drzewiecki, Grąbczewski, Górski i Didur, z pomocą pań Lucowny, Kaftalówny, Chotkowskiej i Roszkowskiej mógłby podać każdemu, najlepszemu nawet repertuarowi?

A nie brak publiczności i innych argumentów. „Cóż mi z tego — potrafi też powiedzieć, że w nowej operze śpiewają artyści tej miary, jak panna Kruszelnicka i p. Anzelm, jeżeli sama opera tak mało warta? I znowu ma rację i znowu nie można się dziwić, że „Hero i Leandra“, śpiewano w pustej sali, dotąd zaledwie dwa razy.

Kompozytor tego niewypowiedzianie nudnego dzieła jest niewątpliwie dobrym muzykiem, orkiestrę zwłaszcza zna dobrze i ma znamienny u różnych talentów *minorum gentium* dar pokrywania barwnym błyskotliwym kolorytem przyrodzonego ubóstwa inwencji. W drobnych, pseudo-symfonicznych fragmentach nie znać tego ubóstwa. można nawet z przyjemnością słuchać takich efemeryd orkiestrowych; co innego w operze, gdzie duszy ludzkiej trzeba dać muzyczny wyraz, nawet plastykę, której słowo domaga się od dźwięku. Tu orkiestra może być tylko komentatorem psychologicznym, ale przede wszystkim musi mieć coś do komentowania. W takich razach dla kompozytorów w rodzaju Mancinellogo jedynym zbawieniem jest fabrykowany wagneryzm. *Unenuliche Melodie*, recitativ płynący do nieskończoności, frazes, który nie mówi, bo orkiestra wszystko ma za niego powiedzieć, rozkołysana w falujących dysonansach harmonia, wszystko ratuje tych, którzy właściwie nie mają nic do powiedzenia, — chyba, że im się dostanie takie libretto, jakim rozporządzał Mancinelli. Wtedy wszystko przepadło.

Rzecz dziwna — libretto pisał Boito, najpoetyczniejszy ze współpracowników Verdiego, Ponchiello, twórca „Mefista“, zwłaszcza „Nerona“, poematu tak pięknego, że mógłby się obyć bez muzyki. Ale Boito napisał muzykę do „Nerona“, a nie chciał jej pisać do „Hero i Leandra“. I tu poznaję zmysł jego poetyczny; osądził sam swój utwór, zrozumiał jego niewykonalność w muzyce i — oddał komu innemu.

Bo proszę sobie wyobrazić muzykalnie uplastycznioną na scenie słiczną legendę Muzenszą o kapłance Afrodyty z Sestos i o jej kochanku z Abydos. Miłości w niej jest dużo, — to prawda, — i miłość

cudownie wyśpiewać umie muzyka. Ale kiedy ma śpiewać? Kochankowie nie mogą przecież padać sobie w objęcia z dwóch brzegów Helespontu; a trudno widzom przez trzy akty pokazywać Leandra płynącego do Sestos i powtarzającego za każdym razem duet miłosny... w stroju kąpielowym. Pozostawało więc dwie drogi; albo ze zwięzłością Schillerowskiej ballady zamknąć wszystko w jednym akcie, ograniczyć się na jednym duecie, rozpętać w orkiestrze nawałnicę morską, wśród której zginąłby Leander w powrocie do Abydos, co by kochance jego dało piękny tragiczny motyw do przedśmiertnego śpiewu; albo też wydłużyć historię poznania się kochanków w Sestos i zakończyć tem, co ich właściwie unieśmiertelniło. Tak zrobił Boito i zgubił Mancinello, bo ta woda, której tak mało miejsca dał w treści, rozlewa się szeroko, całemi falami w muzyce. Nie pomogły ani nowe formy, zadnemi nie wypełnione pomysłami; ani sztuczny patos zarówno w lirycie mdłej, rozwlekłej i bezsilnej, jak w melodramatycznej zazdrości arcykapłana Afrodyty, wplecionej w intencji ożywienia nieistniejącej akcji; nie pomogły wysiłki orkiestry, rozdmuchującej z równym rozpędem miłość kochanków, jak wściekłość ich prześladowcy i wtrącającej fugę nawet do płasów kapłanek; na nic wreszcie nie zdał się cały nakład artyzmu panny Kruszelnickiej i p. Anzelmiego; opera Mancinellogo podzieliła los swoich bohaterów i nasunęła tylko słuchaczom pytanie: a co też się dzieje z „Livią Quintillą” i z „Manru”?

W oczekiwaniu na odpowiedź publiczność zapełnia stale Filharmonię. Sceptycy upatrują w tem modę. Być może iż w pewnej mierze moda jest tu współdziałającym czynnikiem — ale tylko do pewnego stopnia. Kto bacznie śledzi nastrój bardzo tłumnego w Filharmonii audytorium; kto zwraca uwagę na temperaturę zapachu, spokoju lub obojętności, w jakiej odbywają się tam różne produkcje, ten niewątpliwie dojdzie do wniosku, że się stopniowo wyrabiają wśród publiczności kryteria artystyczne, że się w niej smak kształci i wyszlachetnia. Zapewne, że to podniesienie poziomu znawstwa objawia się przede wszystkim w ocenianiu popisów wirtuozowskich, których mnogość, i to najlepszych, daje ogółowi bardzo bogatą i urozmaiconą skalę porównawczą, jako podstawę do wydawania sądów. Niezależnie od swego wirtuozostwa, wielkie indywidualności artystyczne w akcie odtwórczym, a często prawie współtwórczym, wtajemniczają słuchaczy w duszę wielkiej muzyki i mogą w tym kierunku pedagogiczne wywierać wpływy. Że zaś mają specjalną dla szerszej publiczności siłę atrakcyjną, więc wciągnięcie ich do pedagogicznego oddziaływania na tę publiczność wydawało mi się zawsze środkiem bardzo praktycznym. Nie trafiał mi też do przekonania pesymizm, który bilasując działalność artystyczną Filharmonii



w tym głównie punkcie szukał ujemnych jej objawów. Nie odrazu Kraków zbudowany i wykształcenia w żadnej dziedzinie nie można rozpoczynać od filozofii; jeżeli zatem fortepianista, skrzypek, śpiewak łatwiej obznajmia słuchaczy z Bachem, Mozartem, Beethovenem, Schumannem, Wagnerem, aniżeli orkiestra, trzeba z tego korzystać i przygotowywać grunt do symfonii Mozarta, Beethowena, Schumanna, do wielkich orkiestrowych fragmentów Wagnera. Idzie oto, żeby pod pozorem przygotowania środek nie stał się celem, żeby udział solistów zmniejszał się z każdym rokiem w miarę dojrzewania publiczności. Od tego jest w Filharmonii kierunek artystyczny, który — nie wątpimy o tem, — dbać będzie o takie stopniowanie i nie przyjmie roli impresaryja zagranicznych koncertantów.

Nie jest nim zresztą i teraz, kiedy przez estradę przesuwały się takie indywidualności, jak Rozenthal, Hoffman, Grünfeld, Ysaïe i Kubelik: świadczą o tem wymownie symfoniczne programy od początku bieżącego sezonu. Obok dzieł klasycznych stanowiących stałą treść repertuaru orkiestrowego, spotykamy się z utworem Cezara Francka, od którego rozpoczęła się nowoczesna ewolucja w twórczości francuskiej; słyszymy „Harolda we Włoszech“ Berlioza, dzieło nie tak może potężne, jak „Symfonia fantastyczna“, ale noszące na sobie głębokie ślady lwich pazurów; dostarcza nam wreszcie silnych wrażeń kojarzenie słowa z dźwiękiem, deklamacya wsparta czy też illustrowana orkiestrową lub solową muzyką. Józef Kotarbiński opowiada w udatnem streszczeniu Gawalewicza „Egmonta“ Goethego, któremu towarzyszy Beethoven w obrazach pełnych majestatu i tragicznej prostoty. Pan Konrad Zawilowski deklamuje poemat Tennysona „Enoch Arden“, a Ryszard Strauss, jest komentatorem poety; deklamator utrzymuje dykcję w bladych półtonach angielskiej akwarelli, przystosowanych do tej *keepsakeowej* poezyi, a „Ryszard II-gi,“ dzisiejszy mocarz orkiestry, poprzestaje na skromnym fortepianie, żeby zbytkiem barw nie zamącić przejrzystości kolorytu.

I takie produkcye nie zostają bez znaczenia, mogą bowiem być dla mniej przygotowanej publiczności wstępem do „programowej muzyki“. Słowo podsuwające obraz muzyczny lub też muzycznie illustrowane odsłania słuchaczowi drogi, któremi suggestya mowy lub dźwięków trafia do myśli, do uczucia i przysposabia w nim samoistnego twórcę obrazów, bez pośrednictwa deklamacyi lub programu, coraz wrażliwszego na poezję czystej muzyki. Jeżeli dziś taki słuchacz potrzebuje jeszcze drukowanego objaśnienia, żeby uprzytomnić sobie w „Gołąbce leśnej“ Dworzaka tragiczną historję płoczej wdowy, która zaprędko o zmarłym mężu zapomniała; lub w „Uczniu czarownika“ Dukasa, śledzić rozwój ballady Goethego z nadzwyczajnym dow-

cipem w orkiestrze przeprowadzony,—to przyjdzie taka chwila, kiedy tytuł poematu symfonicznego wystarczy mu do kształtowania sobie w wyobraźni jego treści, a później obejdzie się bez tytułu i słuchając IX symfonii Beethowena lub „Patetycznej” Czajkowskiego, podłoży pod nią własną treść duchową. Może daleko jest jeszcze taka chwila,—ale jeżeli nastanie, przyczyni się do tego niemało Filharmonia.

A tymczasem, zwykłą rzeczy kolejną, rozrost silniejszego dokonują się kosztem słabszego i powodzenie Filharmonii było przez chwilę wyrokiem śmierci dla Towarzystwa muzycznego. Nie myślimy bynajmniej wdawać się tutaj w badanie czy i o ile w tej groźbie zawieszona nad instytucją, mającą swoje niezaprzeczone społeczne zasługi, odgrywały rolę jakieś osobiste antagonizmy. Poza współzawodnictwem, odbywajacem się wszędzie według twardych, ale nieuniknionych praw, Towarzystwu szkodził zawsze, jak mi się zdaje, niezdecydowany jego charakter. Dla publiczności ukształconej zamało w niem było ściśle artystycznej treści,—za dużo dyletanckiego, amatorskiego pierwiastku; dla większości słuchaczy, traktujących Towarzystwo jak własny salon muzyczny, rzadkie nawet wycieczki w dziedzinę wielkiej muzyki wydawały się uciążliwymi, zbyt ciężkimi. Wytrącenie instytucji z podstaw nastąpiło od razu po usunięciu się pierwszego, zawiązkowego komitetu, który postawił sobie wyższe cele; późniejsze dzieje każdego komitetu, każdego dyrektora,—to walka z tą chwiejnością charakteru Towarzystwa, która dopóty nie była niebezpieczną, dopóki nie powstała nowa instytucja z wyraźnie określanem zadaniem i z odpowiednimi środkami do podjęcia takiego zadania. Przełom musiał nastąpić i zachwiać posadami Towarzystwa, tak, że się o jego egzystencję obawiać było można. Obawy na szczęście minęły; od kierowania Towarzystwem usunęli się tylko ludzie, którzy sami uznali potrzebę odświeżenia sił i inicjatywy u steru. Do instytucji weszły młodsze żywioły. Co zdziałają? trudno dziś przesądzać; może to będzie jedna ze szczęśliwie zapoczątkowanych secesyj, występujących z powodzeniem na różnych polach sztuki. Takiego wyniku przesilenia można tylko życzyć przekształcającemu się Towarzystwu.

Aktualność przynosi zakończenie temu przeglądowi teatru i muzyki—wystawę teatralną. Zdanie o tej dzisiejszej atrakcji można wypowiedzieć z dwóch punktów widzenia: jako sposób zasilenia kasy Towarzystwa Dobroczyńności, jest to pomysł doskonały, bo opiera się na warszawskiej aktoromanii; jako przedsięwzięcie artystyczno-literackie, któreby czegoś nauczyć powinno, nie osiąga tych skończonych wystawowych typów, jakie zagranicą spotykać było można.

Wystawa teatralna urządzona przed kilkunastu laty w Wiedniu, była poglądową historią teatru, od misteryów i szopki zaczawszy, aż do dzisiejszego rozkwitu literatury i sztuki dramatycznej, techniki i plastyki scenicznej. W sali ratuszowej u nas dzieje teatru, jego literatury nikną wobec chwili bieżącej, uplastycznionej w aktorskich portretach olejnych, akwarelowych, kredowych, fotograficznych, pojedynczych, grupowanych, światowych, ukostiumowanych, w otoczeniu wszelakiego rodzaju trofeów benefisowych, jubileuszowych, owacyjnych, z mnóstwem ozdobnych poduszek, na których benefisanci, jubilaci, celeberranci złożyłyby mogli głowy, uwieńczone laurem naturalnym, srebrnym, bodaj nawet złotym. Jeżeli to ma być historia teatru,—to przypomina bardzo tytuł jednego z romansów Thackeraya „Jarmark próżności“, a wrażenie pozostawia raczej smutne niż przyjemne, bo uprzytomnia chorobę naszego teatru—wszechwładztwo aktorów.

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

# Pamiętnik generała Jana Weyssenhoffa.<sup>1)</sup>

## ROZDZIAŁ VIII.

1815—1830. — Organizacya dywizyi ułanów, której Weyssenhoff zostaje dowódcą. — Działalność Wielkiego Księcia Konstantego w wojsku i w kraju. — Żli doradcy Wielkiego Księcia: Roźniecki, Kuruta, Żandr, Lubowidzki. — Wyzysk i szpiegowstwo. — Przyjazd cesarza Aleksandra do Polski w 1817 roku. — Weyssenhoff eskortuje cesarza od granicy do Warszawy. — Rozmowy z cesarzem Aleksandrem. — Przyjazd cesarski w 1824 roku. — Proponowana przez Wielkiego Księcia zmiana mundurów, nieprzyjęta przez generałów polskich. — Gniew Wielkiego Księcia. — Rewija ułanów. — Śmierć cesarza Aleksandra. — Weyssenhoff mianowany generałem dywizyi w 1826 roku. — Stan kraju przed rewolucją. — Oburzenie, wywołane przez Roźnieckiego, Kurutę i t. d. — Spiski między rłodzieżą. — Koronacya cesarza Mikołaja na króla polskiego w 1829 roku. — Weyssenhoff wysłany przez cesarza w misyi honorowej do dworów: saskiego, wirtenberskiego i bawarskiego. — Wrażenia tej podróży. — Powrót do kraju.

W styczniu 1815 roku odebrałem list od Wielkiego Księcia Konstantego, uwiadamiający mnie, że cesarz Aleksander, po zdobyciu Paryża, wziął pod swoją opiekę wojsko polskie i rozkazał reorganizować to wojsko na stopie przeszłej ze wszystkimi apanażami dawnymi, zachowując dawne stopnie oficerom, a mnie ofiarując dowództwo brygady ułanów. Poleca mi przytem Wielki Książę, abym się niezwłocznie zajął zbieraniem pozostałych w kraju podoficerów i żołnierzy jazdy, a mianowicie w województwach: Krakowskiem, Ra-

<sup>1)</sup> Patrz zeszyty: lipcowy, str. 1; — sierpniowy, str. 300; — październikowy, str. 24; — listopadowy, str. 234; — grudniowy, str. 565.

domskiem i Lubelskiem, i że w tym celu wydano już rozkazy do władz tych województw. Uderzony niespodzianie tą nową zmianą, nie wiedząc, jak mam uważać tę służbę, czy jako krajową, czy obcą, wahałem się z przyjęciem, a dla powzięcia dokładniejszych wiadomości udałem się natychmiast do Warszawy. Zasięgnąłem tam rady osób, które posiadały zaszczytną w kraju opinię, jak Juliana Niemcewicza, Tadeusza Matuszewicza, generała Wielhorskiego; ci mi radzili, abym przyjął. Tylko generał Dąbrowski był przeciwnego zdania. Przemogło jednak zdanie pierwszych. Widok wróconego wojska naszego z Francji, wszystkich naszych generałów i znakomych obywateli, zachęcił mnie do dzielenia losu moich dawnych towarzyszków. Przyjąwszy więc obowiązek, wróciłem do Krakowa i natychmiast udałem się do Szkalimierza, gdzie wspólnie z władzami oznaczyliśmy punkt zborny podoficerów i żołnierzy. Ukończywszy tu robotę, udałem się do Radomia, a stamtąd do Lublina. Rozgatunkowanie zebranych wojskowych tak, aby każdy był do swojej broni odesłany, było mi powierzone. Stanowiska głównych zborów każdego gatunku wojska, czyli formujących się dywizji, były także oznaczone. Dywizję ułanów umieszczono w Augustowskiem. Po ukończeniu mojej roboty, wróciłem do Krakowa, a zabrawszy żonę i synka, udałem się do Sejnu, gdzie mi kwatere przeznaczono. Córkę zaś, Helenę, zostawiliśmy z mamką opiece żony przyjaznego nam doktora.

Przybywszy do dywizji, znalazłem już wiele wojska i oficerów, podzielonych na pułki, ale jeszcze w początkowym nieładzie, bez mundurów, ani koni. Dowódcą dywizji ułanów był nominowany generał Konopka, sławny ze swego męstwa w wojnach włoskich, a szczególnie w hiszpańskiej, ale ten, złożony nieuleczalną chorobą, nie mógł przybyć na swoje przeznaczenie; wkrótce życia dokonał, a ja, jako starszy generał brygady, objąłem dowództwo dywizji.

Pułkownikami dowódcami pułków byli: 1-go Tomicki, 2-go Dwernicki, 3-go Madaliński, 4-go Koziętulski. Wogóle wszyscy oficerowie byli z rzędu doświadczonych, każdy był odznaczony jakimś czynem walecznym, większa część ozdobiona krzyżami legii honorowej i „virtuti militari”. Długie i zawzięte wojny dały sposobność starszyźnie do ocenienia zdolności każdego. Mając liczbę nadkompletną, usuwaliśmy tych, których opinia kolegów nie odznaczała korzystnie.

Wielki Książę starał się z początku wprowadzić zasady swoje, z gwałtownością charakteru swego, żądał wszystko przerobić. Znalazł on opór w prawdziwej znajomości naszych oficerów, tudzież w dokładności ustaw naszych, któreśmy ze służby francuskiej przyjęli. Sądził, że wszystko ganić, co u nas znalazł, jest niezbędnem do zapro-

wadzenia swoich zasad. Musieliśmy z największym niesmakiem poddawać się temu, co później do naszych wracało zasad, foriną tylko inną przyobleczone. Dawnych swoich przepisów powoli Wielki Książę zapominał, a pod swoim imieniem nadawał nam nasze własne. Przyznać należy, że za pomocą swej nadzwyczajnej czynności i nabytej biegłości w szczegółach, tudzież ostrego czuwania nad ściśłem wykonaniem urzędów i nieopuszczaniem się w żadnej okoliczności, przeprowadził w samej rzeczy wojsko do nadzwyczajnej regularności i porządku. Otoczenie jego było nieszczególne. Wielki Książę wydał się nieraz sam, jak gardził swymi dobranymi słuzalcami. Kiedy upominał którego z oficerów wojska, w największem uniesieniu nigdy się nie zapominał i wyrazu obelżywego nie użył; kiedy zaś zdarzyło mu się być nieukontentowanym z postępków jednego ze swych wiernych, w obecności wszystkich najobelżywszymi wyrazami ich traktował. To się przytrafiło generałowi Różnieckiemu, który z miedzianem czołem zniósł afront, a w pół godziny potem po naradzie ze swoimi towarzyszami, wrócił na pokoje wypogodzony i uśmiechnięty, ułożywszy się z generałem Kurutą, jak gniew Wielkiego Księcia ukoić. Generał Żandr, najnikczemniejszy z bandy zaufanych, zarządzał domem i stajnią Wielkiego Księcia i od tego ostatniego częste miewał przymówki, że go okrada. Raz zaś, nieukontentowany ze złego osiodłania konia, oświadczył mu Wielki Książę wobec całego sztabu cesarza Aleksandra i mnogich generałów naszych, że należało-by wszystkim jego stajennym wyliczyć po sto kijów, zaczynając od przyjaciół („à commencer par mes amis“). Tak wielką kładł Książę różnicę w postępowaniu z tymi, których uważał za potrzebnych, a tymi, których widział szlachetne zasady i honorowe sprawowanie się. Byli i porządni ludzie do jego sztabu przywiązani, jak naprzykład pułkownik Karol Turno, Władysław Zamoyski, Michał Mycielski etc. etc., ale ci nie prosperowali. Inaczej ich traktował, inaczej do nich przemawiał, ale ich nigdy swoim bezbrzeżnym zaufaniem nie zaszczycał; przekładał rozmowę z nimi dla lepszego ich wychowania, dowcipu i wiadomości, ale sekretne swoje zwierzenia się i polecenia chował dla pierwszych! Pułkownicy nasi musieli głaskać tych zauszników i drogę im się opłacać, gdyż od ich szpiegowskiego raportu zawisło powodzenie. Szczera gorliwość, znajomość rzeczy, dokładne wykonywanie przepisów — nic nie pomogło, kiedy chciwość donosicieli nie była zadowolniona. Złe wychowanie i fałszywe maksymy, wszczepione wcześniej w serce i rozum, czynią człowieka, z najlepszymi skłonnościami zrodzonego, gwałtownym, dzikim i niesprawiedliwym, gdyż narzucone zasady nie znajdują gruntu w duszy jego. Stąd nieufność, walka częstokroć z własnym sumieniem i zgryźliwa

popędliwość. Taki był stan moralny Wielkiego Księcia Konstantego. Zdarzało się, że pośród nierozmyślnego postępowania i niesprawiedliwości błysnęło uczucie szlachetne i myśl wzniosła; ta przemijająca harmonia duszy z czynem twarz mu wypogadzała na chwilę i malała na niej rzetelne wewnętrzne zadowolenie.

Tymczasem urządziło się wojsko i postępowano ku tej doskonałości, którą później osiągnęło, ale obok tej dobrej strony organizowało się razem i szpiegowstwo po całym kraju. Naczelnikiem tego tajemnego zakonu był generał Roźniecki, który doskonalił coraz swój system całym swoim dowcipem i całą chciwością. Najniegodziwsze oszczerstwa nie wstrzymywały go, kiedy mu zysk przynosiły. Przemyslał on z Kurutą i wiceprezydentem Warszawy, Lubowidzkim, gdzie sieć zarzucać i korzyści łowić. Nakoniec już jawnie używał żandarmów, których był dowódcą, na straszenie urzędników i obywateli, aby od nich wydzierać pod pozorem pożyczki, jaką mieli, gotowiznę, zmyślając na nich oskarżenia i ofiarując im swoją protekcję. Wielki Książę wiedział o tem, i częstokroć dał mu to uczuć, ale go cierpiał, pewien, że on z nikim, szlachetnie myślącym, porozumieć się nie może. Postrach był tak wielki, że częstokroć ci, którzy nic sobie do wyrzucenia nie mieli, musieli opłacaniem się kupować pokój. Poufalec Roźnieckiego, Friedlaender, żyd przechrzczony, lub nie, jeździł po kraju, opatrzone blankietami generała, i wszędzie groźbami, lub obietnicami, wyłudzał pożyczki, które nigdy oddane być nie miały.

Gdy cesarz Aleksander w 1817 roku przybył do Warszawy, ja byłem na przyjęcie jego na granicę Królestwa do Brześcia przeznaczony. Rozstawiono na wszystkich stacyach po jednym plutonie aż do stolicy. Zachwyceni byliśmy szlachetną postacią, łagodnością, uprzejmymi słowy cesarza. Intencje jego względem nas były dobre i szczerze, ale spór całej Rosyi i Wielkiego Księcia, tudzież zabiegi Niemców, naszych wrogów, zmusiły go do odraczania, a później drogo go kosztowały. Stosownie do rozkazu, spotkaliśmy cesarza na moście granicznym między Brześciem i Terespolem; oddawszy raport od dywizyi, byłem bardzo uprzejmie powitany. Rozkazał mi cesarz jechać z sobą do Warszawy. W jego orszaku był tylko książę Wołkoński, doktor Viliers i pułkownik Sołomka. Książę Wołkoński polecił mi urządzenie zaprzęgów cesarskich i służby w podróży, a nadewszystko polecił mojej bacznosci kocz, idący tuż za powozom cesarskim, który zawierał skarby i papiery najważniejsze. Kocz ten był tak ciężki, że zaprzęgano do niego dwanaście najmocniejszych koni. Noc się zrobiła ciemna, a deszcz ulewny powiększał trudności; szosy jeszcze wówczas nie było; powóz cesarski ugrzęzał co moment i postronki się rwały. Cesarz postanowił nocować w Międzyrzeczu, gdzie go oczeki-

wał księżę generał Czartoryski, ubrany w mundur feldmarszałka austriackiego. Skoro to ujrzał cesarz, zwrócił się do mnie i rozkazał, aby konie zaprzęgano; nietylko nie nocował, ale nawet nie przysiadł; stojąc przyjął herbatę i natychmiast księcia pożegnał, zdziwiony i nieukontentowany, że pierwszy pan polski i dobrze życzący swojej ojczyźnie, przyjął króla swego, jako urzędnik obcego kraju. Do pierwszej nedorzecznosci przydał księżę drugą, usprawiedliwiając się, że nie ma munduru krajowego.

Ruszyliśmy więc z Międzyrzeczem na noc do Siedlec, mimo czarnej nocy i gwałtownego deszczu. Na pierwszych pokojach w Warszawie Wielki Księżę przyszedł do mnie z oświadczeniem imieniem cesarza jego zadowolenia, a później sam cesarz, wzięwszy mnie za rękę, rzekł do swego sztabu:

— Voilà un compagnon de voyage —

i najpochlebniejszymi wyrazami mnie zaszczycił. Odtąd, ile razy przyjeżdżał do królestwa, zawsze mnie chciał mieć ze sobą, a często-kroć poufale o ważnych rzeczach mawiał ze mną.

Następnej podróży (z powrotem z Werony), gdy go oczekiwałem na poczcie w Międzyrzeczu, wysiadł i, będąc sam na sam ze mną, ubolewał nad niebacznem postępowaniem ostatniego sejmu warszawskiego, mianowicie niektórych posłów, którym przypisywał odrzucenie statutu organicznego dla jednego tylko punktu odpowiedzialności ministrów, nie umieszczonego w nim. Korzystali z tego zdarzenia nieprzyjaźni Polsce. Metternich austriacki, Hardenberg pruski, Castlereage angielski ministrowie i inni, wystawiając cesarzowi niebezpieczeństwo nadawania narodowi konstytucji liberalnych. Castlereage, ujęty zapewne darami dworów niemieckich, oświadczył, że „la liberté n'est pas bonne pour tout le monde“.

— Z takimi trudnościami — mówił dalej cesarz — miałem ja do walczenia i, jeżeli ich zupełnie nie zwyciężyłem, to przynajmniej mojego założenia nie odstąpiłem. Gdyby tych kilku posłów zapalonych, przez wzgląd na okoliczności, nie burzyło całej izby przeciwko proponowanemu statutowi, mimo wypuszczonego jednego artykułu, który ja zmuszony byłem przemilczeć, wyrwali-byśmy broń z rąk przeciwników naszych i wszystko było-by już ułatwione przynajmniej ze względu na sto-unki zewnętrzne. Zostają mi wszakże trudności większe do zwalczenia: oto spór i niechęć całej Rosyi, która chce widzieć w Królestwie Polskiem tylko podbitą prowincję, mającą się rządzić prawami Cesarstwa.

W rzeczy samej, po skończonym sejmie, cesarz nie chciał wyjechać z Warszawy, nie wyjaśniwszy posłom stanu rzeczy i nie wymówiwszy im ich niebacznosci w oporze przeciw statutowi, najpożądan-



szemu ze wszech miar dla swobód i godności polskiego narodu, wyjąwszy opuszczenie jednego artykułu o odpowiedzialności ministrów. W tym celu zawołał cesarz z każdego województwa po dwóch posłów do siebie i już nie jako panujący, lecz jako wspólnie interesowany, rozbiierał z nimi położenie swoje i kraju, który, przeciw usiłowaniom całej prawie Europy, chciał widzieć rządym, szczęśliwym i najmniej podległym, jak można. Wystawiał im w poufnej rozmowie, z jak wielką ostrożnością sam postępować musiał, ile rąk w kraju jego i w sąsiednich było gotowych do przecięcia pasma działań jego. Przykład Polski za jego panowania byłby, prędzej czy później, zmusił Austryaków i Prusaków do spełnienia wiernie warunków, postawionych na kongresie wiedeńskim. Pierwsi drżeli o Galicyę, drudzy o Wielkopolskę, a Rosya cała nie chciała Polski niepodległej i różnej od niej. Wielkie jest prawdopodobieństwo, że interesowani sąsiedzi podszczuwali tę niechęć. Ministerstwo angielskie było przychylnie Niemcom, a Francya, sama zaburzona i słaba, nie śmiała, lub nie chciała wyrzec słowa za nami. Taki-to stan rzeczy zmuszał cesarza Aleksandra do temporyzowania. Nie mógł on odrazu nadać wszystkich wolności w danej Polsce konstytucyi, wreszcie sumiennie nie sądził, aby one na ten czas były korzystne dla organizowania się kraju wśród największych przeciwności. Cesarz tłómaczył się posłom zaproszonym i tak ich przekonał, że wszyscy uznali niedorzeczność oporu izb, oraz że podwoili trudności naszemu prawodawcy i najmocniejszą broń podali w ręce jego przeciwników.

Wracam do mojej rozmowy z cesarzem; zakończył on ją temi słowy:

— C'est un malheur, mais il ne faut désespérer. Patientez, ordonnez vous en attendant, et ce qui est projeté sera fait quoique plus tard\*.

Nie dano mu czasu!

W roku 1824 przybył cesarz Aleksander do Warszawy późną jesienią. Zebrano całe wojsko pod stolicą. Wielki Książę Konstanty, mimo szczerzego przywiązania do Polski, to jest do miejsca, mimo wszelkich dogodności udzielonego prawie władztwa, nie przestawał dążyć do podciągania Polski pod ustawy i obyczaje rosyjskie. Za tej bytności cesarza umyślił proponować generałom polskim, aby, zostając przy kolorach narodowych, przyjęli rosyjską formę haftów, to jest zamiast zwijanej wstęgi—liście dębowe. W tym celu, korzystając z bytności cesarza, sądząc, że ta okoliczność uczyni opór mniej śmiałym, zapewnił się pierwaj o zezwoleniu na to generałów Haukego, Rautenstraucha, a pewnie i Roźnieckiego, i zwołał wszystkich generałów na godziwą jedenastą do sal komisji wojskowej.

Gdyśmy się zebrali, generał Kuruta, jako szef sztabu głównego, otoczony pozyskanymi już generałami, w najlichszym rozumowaniu i wymowie wystawił nam rzeczoną propozycję, żądając, abyśmy sami prosili o tę zmianę, ale, nad spodziewanie swoje, znalazł jedomyślnie *nie*, a generałom, którzy wcześniej już zezwolili, dostały się przykre i ostre wymówki. Tak stropiony, wrócił Kuruta do Wielkiego Księcia z doniesieniem o niepomyślnem kuszeniu. Wystawić sobie można gniew i uniesienie Wielkiego Księcia, który był pewny, że ta nieznacząca zmiana żadnego oporu nie znajdzie. Rozjechaliśmy się do domów, zgodnie oceniając i zamiar tego kroku, i postępki stronników onego.

Kiedym, wróciwszy do kwatery, myślał o tych pobudkach, odbieram rozkaz do wystąpienia z dywizją na rewiję przed cesarzem jutro o godzinie 5-ej rano. Przyznam, że zdziwiony byłem tym rozkazem, który miał pozór zemsty. Gniew Wielkiego Księcia, a może i cesarza, słusznie mnie zatrzymały, zwłaszcza że nagany, jeżeli na jakie dywizya zasłuży, lub nie, głoszone będą wobec połowy Europy, zjechali się bowiem do Warszawy: książę Oranii, szwagier cesarza, książę następcy pruski z najstarszym generał-adjutantem królewskim, Gérard'em (lub podobnie nazywającym się?), książę Hessen-Homburg, kilku oficerów jazdy angielskiej, pruskiej, austriackiej etc. Obecność takich widzów w innych okolicznościach była-by mi przyjemną, teraz zaś strachu mnie nabawiała. Lubo sumiennie przekonany byłem, że jakiegokolwiek manewra Wielki Książę w gniewie swoim rozkaże, dywizya moja wykona je dokładnie i rączo, że co do piękności i stanu koni, ludzi, ubioru i porządku, lepszej chyba w świecie nie było.

Kiedy dywizya na oznaczoną godzinę stanęła już na placu pod Mokotowem, przyjechał Wielki Książę zagniewany, i nie przemówiwszy słowa do mnie, stanął zaperzony po mojej prawej dla przyjęcia cesarza, podług zwyczaju. Dywizya stała lewem skrzydłem do placu w ściśniętej kolumnie bez żadnych odstępów—formacya utrudniająca wszelki ruch następny. Skoro cesarz przybył z liczną bardzo świtą i obejrzał kolumnę, Wielki Książę zakomenderował:

— Dywizya naprzód galopem!

Tu już była jawna złośliwa chęć jego, był to bowiem ruch najtrudniejszy, zwłaszcza, że krótkość miejsca ledwo dała wejść w ruch kolumnie. Zaraz potem komenda:

— Prawe ramię naprzód!

Dywizya wszakże uskuteczniła to z wzorową dokładnością. Książę zatrzymał kolumnę, skoro się wyciągnęła w nowym kierunku, i komenderował rozwinięcie onej na szwadron osmy — galopem. Sło-

wem--dywizya uskuteczniła wszystko jak najżywiej i najporządniej. Manewrowaliśmy z tym pośpiechem około czterech godzin, aż cesarz, zadowolony zupełnie, rozkazał defilować. Poczem, gdy już dywizya stanęła w ściśniętej kolumnie, przybył do niej z całym orszakiem obcych książąt, a stanąwszy przede mną, rzekł silnym głosem:

— Général Weyszenhoff! Votre division est un modèle sous tous les rapports: le matériel, la tenue, l'instruction et l'administration — tout est exemplaire. Je vous en témoignerai ma reconnaissance.

Wielki Książę zaś, zbliżywszy się do mnie, powiedział:

— Tout était bien, excepté votre Adam (mówił tu o księcinu Adamie Wirtembergskim, który komenderował 2-gą brygadą w mojej dywizyi). Je vous fais mon compliment.

Zaczęły się komplementy obcych, między którymi stary adjutant króla pruskiego zapewniał mnie, że nigdy nie widział tak pięknej i tak biegłej jazdy. Gdy cesarz odjechał, wróciliśmy zadowoleni i przy fanfarach przez miasto na nasze stanowiska na Pradze i w okolicach. Cesarz był zadowolony stanem i zręcznością mojej dywizyi, i postanowił mi dać stopień generała dywizyi i adjutanta swojego. Cały sztab cesarski już był o tem uwiadomiony i generałowie ze sztabu witali mnie, jako kolegę. Lecz Wielki Książę był temu przeciwny i tak nalegał na cesarza, że ten zamiaru swego odstąpił. Zatem stopnia generała dywizyi na teraz nie otrzymałem. Skończyło się na orderze 2-jej klasy św. Włodzimierza z gwiazdą, i to wraz z generałami Klickim i Rautenstrauchem, w intencji, aby mnie nie odznaczać.

W czasie tej bytności w Warszawie, cesarz nominował księcia Oranii, dzisiejszego króla holenderskiego, szefem 1-go pułku mojej dywizyi. Nowy szef oddał mi niezwłocznie wizytę w towarzystwie generał-adjutanta Czerniszewa, w mojej kwaterze na Pradze; była to niby powinność, niby grzeczność ze strony szwagra cesarskiego. W tymże samym czasie pułk 2-gi strzelców konnych, dowództwa pułkownika Kazimierza Skarzyńskiego, był ogłoszony szefowstwa cesarzowej samej. Po odjeździe cesarza wróciliśmy każdy na swoje stanowiska w kraju.

Wszystko szło odtąd zwyczajnym porządkiem, kiedy nas doszła pod koniec 1825 roku wiadomość o śmierci cesarza Aleksandra w Ta-ganrogu. Z małym wyjątkiem cały kraj był zasmucony tą stratą, i wojsko szczerze go opłakiwało. Radykali (gdyż i my mieliśmy naszych) uważali Aleksandra za skrytego i nieszczerych chęci, ci zaś, co jego działania rozbiegali spokojnie i z większą wiadomością rzeczy,

widzieli w nim człowieka, przejętego cywilizacją europejską, usiłującego ją zaszcześcić w krajach, berlu swojemu podległych; widzieli także opór niezłomny, jaki mu cała Rosya, a mianowicie pierwsza klasa tego narodu stawiała. Wiadomo, jak się ta walka zakończyła.

Ogłoszenie w Moskwie Wielkiego Księcia Konstantego z porządku starszeństwa następcą, odpowiedź jego odmowna, podróż jego do Moskwy, koronacya Mikołaja—wszystko to rychło po sobie następowało, -- nakoniec — powstanie w Petersburgu przeciw Mikołajowi, przytłumione pierwszego dnia—i porządek dawny wrócony.

1826 roku we wrześniu, zwyczajem zasiadających na tronie, powitał Mikołaj wojsko nasze ogłoszeniem awansów, wskutek czego ja otrzymałem patent na generała dywizyi wraz z Klickim i Rautenstrauchem. W umundurowaniu zaszła ta tylko zmiana, że piechota, zamiast kamaszy, dostała wolne czechczarki (?) z wielką dla niej dogodnością. Wielki Książę jednak był strapiiony tą zmianą, gdyż każda nowość, by najkorzystniejsza, przyjęta od zachodniej Europy, oburzała go, a może i dla tego, że ją cesarz nakazał bez narady z Wielkim Księciem i objawił tym krokiem zamiar wprowadzania własnych swoich pomysłów. Za cesarza Aleksandra korpus wojska polskiego był uważany za zupełnie oddzielny, a organizator onego, Wielki Książę, urządzał wszystko według swojej opinii; teraz zaś wszystko podciągnięte pod ogólne rozkazy, zapowiadało zupełne stopienie w jedno, a Wielki Książę z wysokiego stanowiska swojego zstępował na stopień zwyczajnego dowódcy korpusu. Starszy brat, ustępując młodszemu korony, miał zapewne inne nadzieje.

Stan kraju w tej epoce był bez wątpienia kwitnący. Rolnictwo, przemysł i handel poszły widocznie w górę. Fabryki różnego rodzaju, zaprowadzone częścią przez skarż, (za ministerstwa skarbu ks. Lubbeckiego i spraw wewnętrznych Tadeusza Mostowskiego) częścią przez prywatnych właścicieli. Po spustoszeniach ostatnich wojen, kraj przybierał nową postać: wsie, miasteczka, tworzyły się, lub zdobyły; wszystko wracającą pomyślnością oddychało. Oświecenie wielkie postępy robiło i instytucye naukowe rozwijały się pomyślnie; w Warszawie liczny uniwersytet wydał znakomitych uczniów; szkoły po województwach, dobrze urządzone, przysposabiały młodzież do uniwersytetu, słowem—wszystko postępowało w kraju. Wojsko dobre i ozdobne, skarż zamożny. Obywatel zaczął już z własnych fabryk kupować, co przedtem wielkim kosztem z obcych sprowadzał krajów. Rolnik znajdował około siebie wielkie dogodności i ułatwienia, nabywał narzędzia i maszyny krajowej produkcji, o których dawniej tyl-

ko słyszał. Główne ustawy krajowe były szanowane z mniej znaczącym wyjątkiem. W takiej pomyślności ogólnej cóż mogło być powodem nieukontentowania, które się w przyszłości tak zgubnie objawiło? Odpowiadam: drobne, pojedyncze, osobiste nadużycia i nieprawości srożej dokuczają, niż wielkie zmiany, czynione w ustawach z formalnością legalną, lub widoczną przemocą. Tej uledz konieczność każe, tamta zaś, jako przeciw istniejącemu porządkowi działająca, bolesne narzekania wywołuje. Skrzywdzone indywiduum, lub familia woła w niebogłoty, te wołania powtarzają ci, którzy podobnym porrzywdzeniom uledz mogą — i wnet narzekanie staje się powszechnem, gdyż nieprawość oburza. Takim sposobem utworzono ziarno tej rewolucyi, która później wybuchnęła. Uniesienia Wielkiego Księcia i czasem niesprawiedliwości, stąd wynikające, były, jak burze, przechodzące wśród pięknych dni letnich, ale nadużycia podrzędnych ciągle dokuczały.

Dla pewniejszego i bezkarnego działania utworzył się tryumwirat rabusiów z osób, najbliżej Wielkiego Księcia otaczających. Roźniecki, naczelnik policji tajnej i dowódzca żandarmów, miał w ręku wszystkie sposoby do obwiniania niewinnych i straszenia spokojnych. Lubowidzki, prezydent Warszawy i policmajster miasta, działał w porozumieniu z Roźnieckim, a gen. lejtn. Kuruta, szef sztabu głównego, ich wspólnik, a nieograniczone zaufanie u Wielkiego Księcia posiadający, miał sobie powierzone, w razie gdyby jakie skargi do Wielkiego Księcia były zauszone, przeistaczać ich treść, lub onych wcale do Księcia nie dopuszczać. Pierwszem staraniem tych sprzymierzonych łotrów było, aby zebrać wiadomości, kto jakkolwiek kapitał, by najmniejszy, posiadał, osobliwie z osób nizkiego położenia w towarzystwie, gdyż na tych, co się bronić mogli, jeszcze się nie porywano. Policji używano do zarzucenia jednym jakichś występnych porozumień politycznych, drugim żandarmi grozili rewizją domów, innym wytaczano dobrze ukartowane sprawy, a przestraszeni biedni okupywali się czem mogli. Niższym urzędnikom obiecywano awanse, byle wiadomej sumki pożyczyc nie wzbraniali się — i wielu uwiedziono. Friedlaender, żyd zaufany Roźnieckiego, plądrował po kraju, opatrzone w blankiety jego i w pomoc żandarmów i policji.

Wśród powszechnego szemrania przybył nowy podniecający element: młodzież uniwersytecka zaczęła się porozumiewać z towarzystwami uczniów uniwersytesów niemieckich, myśleć o jakichś związkach tajemnych przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. Nie mogło to ujść czujnego oka Wielkiego Księcia. Stąd wynikły porywania do

więzień posądzonych o współkę, a z tem i coraz większe rozjątrzenie umysłów — i tak jedno złe stawało się źródłem drugiego.

Wśród takowych dyspozycyi do zamieszania, w maju roku 1829 cesarz postanowił spełnić akt koronacyi na króla polskiego w Warszawie. Różne wnioski i wieści o tem krążyły: jedni przypisywali to chęci zobowiązania narodu, inni mniemali, że cesarz był zniewolony naleganiem dworów zachodnich do spełnienia tego aktu, stosownie do litery traktatu wiedeńskiego. Cóżkolwiek bądź, koronacya cesarza i cesarzowej odbyła się świetnie w kościele św. Jana, ale nie zupełnie zadowolniła Polaków. Arcybiskup Woronicz kierował całą częścią duchowną tego obrzędu, i w niczem nie odstąpił od formy, wiekami uświęconej. Żądał i otrzymał, aby cesarz, klęcząc na stopniach ołtarza, powtarzał wyraźnie czytaną przez niego po polsku przysięgę, i wszystkich ceremonii kościelnych dopełnił. Co się zaś tyczy obrzędów cywilnych, nie wszystkim zadość uczyniono: między innymi — cesarz nie użył korony królewskiej polskiej, ale swojej cesarskiej; w czasie pochodu z zamku do fary był otoczony rosyjskimi generałami wspólnie z polskimi etc. etc. Polacy dostrzegali te uchybienia, a Rosyanie dawali poczuć, że mało wagi przypisują do tego obrzędu. Wszystko to rozbudzało niechęci. Uważano, że Wielki Książę, dowódzca siły zbrojnej, nadzwyczajnych używał ostrożności i był w najgorszym humorze. Niema wątplenia, że głowy zapalone układały jakiś okropny spiszek na ten dzień i moment obrzędu, — stąd środki ostrożności i gniewna postać Księcia. Po ukończonym akcie w kościele, wrócili cesarstwo z całym orszakiem do zamku, gdzie czekał wspaśniały obiad, w czasie którego Paganini, Lipiński, odgrywali opery, uprzyjemniając biesiadę wybraną muzyką. Droga od zamku do fary była pokryta suknem karmazynowem i naprzeciw bramy zamkowej zbudowano ogromny amfiteatr dla ułatwienia damom widoku postępującego orszaku. Dzień był bardzo pogodny, a widok całego placu przedzamkowego czarujący. Pomnożyli świetność tego obchodu przysłani ze wszystkich dworów niemieckich ku asystencyi generałowie. Nawzajem cesarz wysłał nazajutrz generałów polskich do tychże dworów z doniesieniem o spełnionej koronacyi. Wybrani byliśmy: Wincenty Krasiński do Wiednia, Stanisław Potocki do Berlina, a ja do Drezna, Sztutgartu i Monachium. Cesarz powierzył każdemu z nas własnoręczne swoje pisma i sam dawał nam osobiście potrzebne instrukcye. Nimeśmy się udali w podróż, byliśmy świadkami świetnej uczty dla ludu na placu Ujazdowskim. Oboje królestwo byli tam obecni; niezliczone stoły zastawiono obfitem jedzeniem i napojem. Cesarz się przechadzał pomiędzy stołami, a cesarzowa patrzyła na wszystko

z pięknego kiosku, na ten cel zbudowanego. Uderzała wszystkich przystojność, zachowana przez tę tłumną publiczność, podziwiano skromność i przywoitość ubiorów najliczniejszej klasy. Pogoda wszakże nie dopisała: okropna burza z ulewą rozpędziła wszystkich; cesarstwo uchodzili odkrytym powozem, wielkim pędem koni, do zamku; ludność cała cisnęła się do miasta, strumienie wody pokrywały chodniki, rynsztoki, mostki i były przyczyną różnych przypadków śmiesznych, ale nie tragicznych.

Będąc jeszcze raz zawołany do cesarza, nie ruszyłem w moją drogę aż około 6 ej godziny wieczorem, z adjutantem moim, kapitanem Zembrzuskim. Przepędziwszy kilka godzin w Kaliszu, gdzie mnie zatrzymał generał Mycielski, pokazując mi wzorowo urządzony korpus kadetów, przybyłem w parę dni do Drezna. Tu przybył do mnie natychmiast chargé d'affaires rosyjski z uwiadomieniem, że król z całą familią bawi w Pilnitz. Wszystkie ambasady rosyjskie miały polecenie ułatwiania naszych czynności, w skutku czego ten chargé d'affaires oświadczył, iż uda się niezwłocznie do ministra spraw zewnętrznych dla oznaczenia czasu i miejsca mojej audyencji; przytem wziął moje bilety wizytowe, aby je rozesać do wszystkich dyplomatów krajowych i zagranicznych. Audyencyę ułożono na drugi dzień w Pilnitz, z dodaniem, iż tam zostaną na obiedzie u króla. Udałem się przeto tam: z moim adjutantem na godzinę oznaczoną. Podróż i przeprawę na promie przez Elbę miałem przykrą dla rześistego deszczu. Wprowadzono mnie do bocznych apartamentów, aby mi dać trochę czasu do wypoczynku i oporządzenia się. Potem zostałem wprowadzony do sali, w której król na mnie czekał. Pochylony starzec, król Antoni, przyjął moje poselstwo z dobrocią i smętkiem: związek, tak długo trwający, narodu polskiego z domem saskim, ostatecznie zerwany, był myślom jego obecny; uczucie to zdradzało się w mowie. Po audyencji byłem przedstawiony księciu Maksymilianowi, bratu królewskiemu, jego żonie i synowej, księżnej Janowej, z domu bawarskiego. Potem nastąpił obiad skromny, staroświecki z natury zastawy i usługi. Po obiedzie w tejże jadalnej sali wszczęła się rozmowa. Ks. Maksymilian mówił ze łzami w oczach o stracie córki swojej, królowej hiszpańskiej, krótko przedtem zesłej. a księżniczka Augusta, córka Fryderyka Augusta, przeszłego księcia warszawskiego, infantka nasza, wybrana jeszcze przez sejm czteroletni, odprowadziwszy mnie na stronę, mówiła mi wiele o swoich zawiedzionych nadziejach, o przywiązaniu, które powzięła do Polaków, poznawszy dobrze ten naród w czasie podróży swoich z ojcem po polskim kraju; wyliczyła mi oso-

by, które miała sposobność wówczas poznać bliżej. Te wspomnienia skończyły się na łzach, którym i ja z trudnością się opierałem. Wieczorem wróciłem do Dreżna.

Nazajutrz rano przybył do mnie mistrz obrzędów i wręczył mi, jako pamiątkę od króla, tabakierę złotą z portretem jego, brylantami ozdobioną. Po razy kilka kazał mi podziwiać wspaniałość tego prezentu z naiwnością starodawną. Zabawiłem jeszcze z tydzień w Dreźnie, przepędzając czas dosyć przyjemnie na obiadach i wieczorach, na które byłem proszony. U krajowców znajdowałem obyczaje dawne, światła dosyć, a zarozumienia jeszcze więcej.

Stąd udałem się do Sztutgartu. Audyencya u króla była poważna i zajmująca. Rzekł mi między innymi, że, lubo kraj jego jest konstytucyjną ustawą rządzony, widzieć jednak wszędzie będą porządek, spokojność i zadowolenie mieszkańców; ten frazes był zastosowany do Wielkiego Księcia Konstantego, który widział w konstytucyi tylko nieład i nieposłuszeństwo, i przyjęcie onej wymawiał królowi wirtemberskiemu, szwagrowi swojemu, z goryczą. Wreszcie król sam z głębokim rozsądkiem i gruntowną znajomością ducha czasu polegał na swoich ustawach, upatrywał w nich szczęście swojego narodu i jednym tylko zdawał się trapiiony kłopotem: przeludnieniem swojego państwa. Bawiłem tu dni ośm, w ciągu których byłem parę razy na obiedzie u króla. Po ostatnim obiedzie żona ministra spraw zewnętrznych, pani Beroldingen, podała mi rękę i zaprowadziła przez pokoje królowej do teatru, gdzie dawano „Niemą z Portici“. Sala niewielka, ale piękna, opera była wykonana dobrze. Wśród reprezentacyi wszedł do naszej łoży poseł bawarski i ostrzegł mnie, abym nie jechał do Monachium, gdyż tam króla bawarskiego nie zastanę, ale do Brückena, gdzie król bawi z familią u wód.

Tam się przeto udałem przez Osnabrück i zastałem króla o ćwierć mili od miasteczka Brückena, w zakładzie wód mineralnych, które zamyslał upowszechnić. Mieszkał król z familią w pięknym domu, który dla siebie postawił; oprócz malej oberży reszty zabudowań dla gości Brückena dopiero oczekiwało. Orszak królewski składał się z wielkiego koniuszego, jednego adjutanta i niezbędnie potrzebnej służby domowej; żołnierza nie było ani jednego. Skorom przybył na miejsce, przyszedł do mnie adjutant królewski, hr. de Deux-Ponts, witając mnie i prosząc imieniem króla, abym się mu prezentował w ubiorze cywilnym. Ja na to przystać nie mogłem, gdyż byłem przekonany, że Dwór nasz miałby mi to za złe. Udałem się przeto na audyencyę w mundurze, w wielkim ubiorze. Sprawilem swoje polece-



nie, poczem król mówił o piękności wojska naszego, nad którem się unosił poseł jego, generał hr. Pappenheim, świadek koronacyi. Po audyencyi u króla byłem przedstawiony królowej. Ta pani była wykwintnie ubrana i, lubo nie pierwszej młodości, bardzo jeszcze przystojna i okazałej postaci. W ciągu rozmowy królowa z ubolewaniem wspominała o ubóstwie Bawaryi, o wsiach, biednie zabudowanych, o polach, odlegiem leżących; zdawało się Jej, że, gdybym był w Bawaryi (Brückenau leży zewnątrz tego kraju, w nowonabytej prowincyi) wszelkie porównania, które-bym robił z ościennymi krajami, były-by niekorzystne dla Bawaryi; poleciła hrabiemu de Deux-Ponts, aby mnie zawiózł na górę Dreustelzer (?) dla widoku niezrównanego z wierzchołka tej skały. Rzeczywiście piękny widok, obszerny nade wszystko, ale na nieszczęście otoczony nierównie bardziej zajmującemi w okolicach Renu. Kazano mi admirować stary dąb, niedaleko mieszkania królewskiego rosnący, sztabami żelaznemi powiązany; admirowałem, bo tak grzeczność kazała, myśląc w duszy, że w kraju naszym codziennie patrzymy na grubsze, wyższe i wspanialsze. Królowa, w towarzystwie guwernantki swojej, odwiedza znajomych w miasteczku o ćwierć mili, pieszo i bez służącego. Król przechadza się sam jeden, prawie codzień, po górach sąsiednich; zdarzało mu się i błądzić, tak, iż przewodnika do domu szukać musiał. Wśród podobnych demokratyczno-romantycznych wędrówek marzyły mu się Walhalle, Pinakoteki, Gliptoteki, kościoły etc., w zupełnem zapomnieniu obecności, nędzy kraju.

Stamtąd wróciłem przez Lipsk, Drezno do Warszawy. Wielki Książę namyślał się, czy mnie posłać do cesarza (który się znajdował wówczas w Starym Konstantynowie na rewii wojsk) dla zdania sprawy z mojego poselstwa, czyli też przestać na piśmiennym moim raporcie. To ostatnie kazał mi uczynić. Po kilku dniach wróciłem do dywizyi, która była zebrana pod Łęczną. Po parumiesięcznych musztrach i pracach obozowych dywizya rozeszła się na zimowe stanowiska, a ja wróciłem ze sztabem do Lublina.

## ROZDZIAŁ IX.

1830—31. — Imieniny ks. generałowej Czartoryskiej w Puławach. — Uwagi o niewczesności powstania listopadowego. — Wybuch rewolucyi. — Krytyka działań rządu narodowego. — Niechęć Chłopickiego. — Rokowania z Wielkim Księciem Konstantym i z cesarzem Mikołajem. — Krytyka bezczynności wojska i pierwszych kroków wojennych. — Złożenie dyktatury przez Chłopickiego. — Weyssenhoff, wezwany tymczasowo na naczelnego wodza, odmawia tej godności. — Nominacya ks. Michała Radziwiła. — Pobieźny opis bitwy pod Grochowem i niektórych dalszych działań wojennych. — Pamiętnik przerwany.

Dokończenie życiorysu z dokumentów i świadectw współczesnych. — Weyssenhoff zostaje dowódcą całej jazdy, następnie formuje nowe pułki jest dowódcą militarnym w Krakowie. — Powrót do Warszawy po upadku powstania. — Wygnanie w Kostromie 1831 — 1833. — Powrót do kraju. — Starość i śmierć generała.

Ku końcowi listopada 1830 roku udałem się do Puław na imieniny księżnej Czartoryskiej, obchodzone solennie przez rodzinę. Zastałem tam dosyć liczne zgromadzenie, między innymi pp. ordynatów Zamoyskich, Juliana Niemcewicza etc. etc. Uderzyła mnie wówczas jakaś tajona niespokojność w tem świetnym i z przyjaciół zaufanych złożonem towarzystwie. Obcy byłem temu, co się w ciszy warzyło, zdawało mi się wszakże postrzegać jakąś myśl posępną, panującą w umysłach większej części zgromadzenia. Gdzieś tam uronione słówko zdradzało dyspozycję umysłów. Między innemi, gdy po herbacie siedzieliśmy wszyscy około jednego, długiego stołu, i rozmowa powszechna na chwilę się zawiesiła, generał Morawski rzekł głośno:

— Ciekawa jest, ilu z nas tu siedzących ubędzie do tego dnia w roku przyszłym?

Wszyscy, zdziwieni tą uwagą generała, zwrócili oczy na księżną, której wiek i stan zdrowia nie zapowiadał długiego życia. Byli wszakże i tacy, którzy oną stosowali do mających wkrótce nastąpić zaburzeń. Ja wówczas rzekłem, że wszelkie poruszenie w tej chwili będzie ostatecznem nieszczęściem i zagładą imienia polskiego. Gdyśmy się nazajutrz rozjeżdżali, księżna Wirtemberska i ordynatowa Zamoyska przeprowadziły mnie i generała Morawskiego do przedpo-

koju z uprzejmością znaczącą, jakby zapowiadającą długie niewidzenie się. Księżna Wirtembergska polecała usilnie opiece naszej księcia Adama, syna swojego, generała brygady w mojej dywizyi. To ostatnie już mi żadnego powątpiewania nie zostawiło.

Bolesną myślą zajęty, wracałem do Lublina, rozumując nad przyszłością. Więc tedy rewolucya będzie? Niema wątpienia — księżę Adam Czartoryski jest w sekrecie! Można przypuścić, aby człowiek świątły, myślący, doświadczony, rzucił się lekkomyślnie w tę ostateczność? Można przypuścić, aby jej okropnych skutków nie przewidział, ażeby z pospolitem odurzeniem wierzył w jakieś zagraniczne pomoce? Francya, do której sympatyi mieliśmy prawo, zaburzona wewnątrz: partye Orleanistów, Legitymistów, Bonapartystów, demagogów w zawziętej walce z sobą — mogłaż coś dla nas uczynić? Anglia, swojemi finansami i niespokojnością Indyi zajęta, nie miała swobody myśleć o nas, — wreszcie bohaterka myśl wystawienia się na koszty i straty dla ratowania upadającego narodu i słuszności, nigdy nie powstała w narodzie samolubnym, przemysłowym i kupieckim. Wyznać należy, iż mu Polska hojnych wynagrodzeń zapowiadać nie mogła, ani się przeto od niego czegoś spodziewać. Z drugiej strony szczupły nasz kraj, otoczony trzema potężnemi mocarstwami, których wspólnym interesem było zniszczyć ostatni zarodek imienia polskiego, — te mocarstwa, mniej więcej samowładnie rządzone, mogłyż obojętnie patrzeć na wybuch rewolucyjnego ogniska wśród swoich granic? Nie mówię o obawie straty pięknych prowincyi, od Polski oderwanych, któremi każdy z trzech Rządów swój kraj zubożył i zabezpieczył, — nie mówię o tej obawie, gdyż ona, z powodu słabości naszej, istnieć nie mogła. W takich-to okolicznościach naczelnicy powstania ułożyli oswobodzenie Polski.

Wróciłem do domu, przywalony srogimi myślami, a skorom wysiadł z powozu, wybiegły naprzeciw mnie córka moja z guwernantką, obie zalane łzami, opowiadając mi, że wojna, że przyszedł rozkaz, stawiający na stopie wojennej wojsko nasze i rosyjskie, że mówią o nowej koalicji przeciw Francyi i t. p. Uprzedziła mnie Helena, że matka jeszcze o niczem nie wie, prosząc, abym się nie wydał z niczem. Oczekiwałem wypadków.

Tymczasem horyzont chmurzył się coraz bardziej, smutna niepewność snuła się po wszystkich głowach. Nakoniec 1-go grudnia wpadł do mnie w nocy oficer z 3-go pułku ułanów z listem od pułkownika Korytowskiego, donoszącym, że powstanie już wybuchło w Warszawie, że Wielki Księżę był napadnięty w mieszkaniu swoim w Belwederze przez podoficerów ze szkoły podchorążych i kilku uczniów uniwersytetu, że ledwo się sam uratował ucieczką do stajen

jazdu gwardyjskiej, że generał Żандр w tym napadzie zginął, wiceprezes, Lubowidzki, śmiertelnie ranny. Nazajutrz obszerniejsze wiadomości doniosły nam, że na ulicach pozabijani zostali generałowie nasi: Stanisław Potocki, generał piechoty, Hauke, generał artylerji, Blumer, Trębicki, Siemiątkowski, Nowicki, generałowie brygad, — jedni dla podejrzenia o przychylność dla Wielkiego Księcia, drudzy, że wściekłość tłumu słowy usmierzyć chcieli, wszyscy za to, że bez namysłu przysiąg i obowiązków nie zrzekli się. Na drugi dzień Wielki Książę cofnął się z gwardyami do Mokotowa i do Wrześni.

Warszawa wrzała tłumnie bez wodza, ani przewodnika; wybierano i zmieniano naczelników; nakoniec zgodzono się na wybór generała Chłopickiego na naczelnego wodza. Ten się opierał całemi siłami, nie chcąc przyjąć tego obowiązku, ale gwałtom i groźbom uledez był zmuszony. Uległ wprawdzie, ale w duszy został największym przeciwnikiem powstania. Uformowano rząd tymczasowy bez władzy i zamiaru. Ks. Adam Czartoryski, Władysław Ostrowski, Julian Niemcewicz, kasztelan Kochanowski i kilku innych, składali ten nominalny rząd. Sesyje jego były burzliwe i krzykliwe, ale w tem osoby rządowe najmniej miały głosu. Pan Lelewel, pierwszy podszczuwacz powstania, przypuszczony do składu rządu, był w nim zupełnie niemy, a utworzywszy klub patriotyczny, na sesjach onego nie bywał. Przyczyniwszy się najwięcej do nieszczęsnego zaburzenia, postrzegł dopiero, kiedy się stało, niezdolność swoją, brak odwagi, charakteru i rady, a zrzuciwszy cały chaos na głowy drugich, przypatrywał się krwawej niedoli. Dzień pierwszy łatwo urządzić, ale następujący powinien być przewidziany, a tem bardziej po nim idące. Wszyscy ci, którzy podszczuwali młodzież do tego powstania, zwodząc ją baśniami już o powstaniu gotowem w całych Niemczech, już o pomocach francuskich, angielskich, tureckich nawet — słowem, o porozumieniu się ze wszystkimi narodami, łatwo, mówię, wznieśli ogień, gdyż młodzież nasza ogólnie już tylko polityczną zajęta myślą, nie rozbiegając wieści, które z nich były fałszywe, szydercze nawet, — z niecierpliwością gorącej krwi rzuciła się w tę otchłań z najczystschem poświęceniem i męstwem, godnem podziwu. Ci zaś, którzy ją tam wtręcili, postrzegłszy nazajutrz, że nic wcześniej nie przewidzieli, że kraj bez rządu, wojsko bez wodza, miasto bez władzy, ani porządku, że żadnego planu dalszego działania nie ułożyli, wśród strachu i nieszczęsnego zawieszenia dalszych kroków, wybrali rząd tymczasowy jaki taki, a zastraszeni krzykiem zapaleńców, wezwali niektórych z nich do uczestnictwa w rządzie; stąd zamieszanie, sprzeczność zdań i nieczynność rządu. Rozkazy na prowincye imieniem Mikołaja, jako króla naszego, przeciwko któremu podniesiono rokosz, wybranie

gwałtem niechętnego wodza dla wojska; nakoniec przerażenie i myśl traktowania z wypędzonym Wielkim Księciem Konstantym i cesarzem Mikołajem! Któżby przewidział ten tak nikczemny i bezrozumny pomysł?

Tymczasem Wielki Książę stał spokojnie ze swojemi gwardyami, bez opatrzenia, ani amunicyi, bez ubrania nawet kompletnego, o milę od Warszawy, a w skutku kilkudniowych traktowań otrzymał wolność maszerowania za Bug z wojskiem swoim, artyleryą i zapasami, jakie mógł mieć, — mówią nawet, że z jeńcami politycznymi, jakich miał czas porwać z więzienia. Wódz naczelny, generał Chłopicki, wydał natychmiast rozkazy do wojska, aby się jak najspieszniej usuwało z tej drogi, którą Wielki Książę do Buga miał maszerować, w celu, aby mu ułatwić wyjście.

Drżący rząd przed niebezpieczeństwem zewnętrznemi i wewnętrznemi, nominuje tegoż generała Chłopickiego dyktatorem, i władzę aktualną składa w jego ręce. Odpierający wszystko dyktator, dla zagmatwania bardziej rzeczy i zwaleni na kogoś odpowiedzialności, zwołuje sejm, który obiera marszałkiem swoim Władysław Ostrowskiego, szefa szwadronu niegdyś w naszej artyleryi. Ten marszałek nie widzi odtąd, jak tylko wysokie swoje dostojęstwo i mniemany wpływ zbawienny, który wyrzecz miała powaga ciała prawodawczego na dalszy postęp powstania. Wysłano deputacyę do cesarza do Petersburga — księcia Lubeckiego i hr. Jana Jezierskiego z jakimiś propozycjami. Odpowiedź była, jaką rozsądni wszyscy przewidzieli: „Złożyć broń i zdać się na łaskę“. Obietnice jakieś, które cesarz nawiasowo ustnie wymówił, gdyby dalszego oporu zaprzestano, nie były zabezpieczające, owszem — wszelkiej nadziei pozbawiały. Lubecki został już odtąd w Petersburgu, a Jezierski wrócił i śmiało przedstawił sejmowi słowa cesarza. Jedni byli tem przerażeni, zaślepieni zaś i ci, co sobie wiele obiecywali, przyjęli głos Jezierskiego z szyderstwem i groźbami. Izba nie miała żadnej powagi, gdyż krzyki galeryi narzucały strwożonej swoje zdania. Mówią, iż byli tacy, którzy bronią grozili posłom, chcącym rozsądne uwagi robić. I w rzeczy samej w takiej już był naród ostateczności, że i mądrość, i rozsądek na nic się nie zdali, zostało tylko jedynie — z rozpaczą walczyć i umrzeć.

Wśród tego wszakże wojska stały spokojnie, lub też w kraju, z którego nieprzyjaciel ustąpił, niepotrzebne marsze robiły. Sejm bawił się błahym gwarem, nic energicznego nie przedsiębiorąc. Przybyli z ponad Dniepru klócili się o pierwszeństwo miejsc w ławkach. Sejm rozstrzygał te spory. Emisaryusze z klubów warszawskich, udając się do podporuczników i podoficerów, burzyli porządek

w wojsku; zewsząd tłumnie wołano, aby maszerować z miejsca, nie wiedząc dokąd.

Ja czekałem jakiegoś rozkazu dla mojej dywizyi, rozłożonej w Lubelskiem i Podlaskiem, przekonany, że bez zwłoki ruszymy ku Bugowi, mojami stanowiskami bardzo zbliżony do tej granicy. Ale przebóg!—rozkazano mi iść do Warszawy. W drodze odebrałem rozkaz zwrócenia się ku Siedlcem i rozłożenia się tam i w okolicach. Brygada 1-sza, pod dowództwem generała Suchorzewskiego, odebrała wprost od dyktatora rozkaz udania się do Węgrowa i okolic. W tem urzędzeniu z rozpaczą widziałem myśl dyktatora nadania dalszemu działaniu postaci obronnej,—postaci tylko, gdyż rozkaz zakładania ogromnych magazynów w Łomży inaczej tłumaczyć należało. Po tak zuchwale dokonanem powstaniu któżby pomyślał, że cała energia 29 listopada spełźnie na niesfornych krzykach i trwożliwym oglądaniu się! Wielkiego Księcia wypuszczono z 5 do 6 tysiącami najlepszego wojska, 40 armatami etc. Za Bugiem dano się zbierać i urządzać wojsku, które niezwłocznem naszym wkroczeniem do Litwy mogło być rozproszone. Nastąpiłyby potem walki z pojedynczymi oddziałami nieprzyjacielskimi, w którychby wolno sobie obiecywać pomyślność, działając z wojskiem tak wyćwiczonem i tak mężnem, jak było nasze. Duch prowincyi nie małaby nam być pomocą. Przekonany jestem, że nie zaślepienie pozbawiło nas tych wszystkich korzyści, ale obawa o nieład wewnętrzny i myśl starannie tajona o wkroczeniu Prusaków i Austryaków, a kraj z wojska obnażony. O tem trzeba było wcześniej pomyśleć, nikomu bowiem tajemem być nie mogło, że te mocarstwa nie dadzą się rozwijać zasadom demagogicznym u nas, zwłaszcza gdy niejaki symptomata onych u siebie dostrzegały.

Wśród tej, największą klęskę zapowiadającej, nieczynności, dyktator, przekonany, że już mu się nie uda zamiar usmierzenia powstania przez rokowania z Rosyanami, złożył dyktaturę i naczelne dowództwo wojska. Wszelkie usiłowania rządu i sejmu nie zdołały go odwieść od tego postanowienia. Uradzono przeto nominować mnie następcą jego i z tem uwiadomieniem przysłał do mnie marszałek sejmowy, p. Ostrowski, list, adresowany już do naczelnego wodza. Ja, niewzywany dotąd do żadnej rady, widząc rzecz zupełnie zgubioną, i nie upatrując żadnego sposobu ratowania onej, odmówiłem tej nominacyi, pozostawiając sobie działanie wierne w stopniu moim i dzielenie losu dywizyi mojej aż do końca. Odebrawszy moją odpowiedź, sejm ogłosił ks. Michała Radziwiłła naczelnym wodzem. Długo opie-

ający się książę był nakoniec naleganiem rządu i sejmu zmuszony do przyjęcia, lubo widział, jaki koniec wziąć musi ta burza. Po mnie zaś przysłano adjutanta, Leona Rzewuskiego, abym się stawił w Warszawie.

Przybywszy do Warszawy, znalazłem nmysły powszechnie zawieszono i nie wiedzące, co dalej czynić. Nowy wódz, książę Radziwiłł, nic nie przedsiębrał; strwożony lud wołał o działanie. W takim położeniu otrzymano od byłego dyktatora, generała Chłopickiego, aby siadł na koń i był radą i pomocnikiem księcia Michała. Nie łatwo pojąć, z jakiego powodu ten, co miał pełną władzę w ręku i zrzekł się jej, mógł przyjąć podrzędną czynność pomocnika wodza naczelnego? Wszakże wojska stały ciągle spokojnie, a gdy już głos powszechny zaczął zarzucać wodzom nieczynność, uradzono ruszyć z całym wojskiem za Pragę, co było widocznie dla zaspokojenia niecierpliwości publicznej, gdyż ruszywszy bez zamiaru, błędziliśmy dni kilka o kilka mil od stolicy bez celu, aż nareszcie wróciliśmy pod Pragę.

Już też był i czas, gdyż wojska rosyjskie, zebrane i urządzone, wkraczały w nasze granice. Daliśmy im do ściągnięcia się i uformowania półtrzecia miesiąca czasu. Postępowały w kierunku wielkiej drogi od Brześcia ku Pradze. Po kilku i dosyć pomyślnych utarczkach, przednie straże nasze ściągnęły się od Buga i połączyły z głównem wojskiem pod Pragę.

Nieprzyjaciel z całą siłą i bardzo liczną artyleryą przyszedł pod Wawer, a przednie straże swoje posunął do Gocławka, naprzeciw którego stały wszystkie nasze wojska. Przedzierał zastępy mały, ale oparzelisty strumyk, płynący przez Gocławek, gdzie mostek drewniany jeden był na wielkiej pocztowej drodze. Wojsko nasze stało całe w mnogich liniach: piechota z ciężką artyleryą na przedzie, a jazda, oprócz zwyczajnej służby przednich straży, w tyle, po lewej i prawej stronie drogi do Pragi wiodącej, również w tej samej dyrekcyi i w liniach po sobie. Nieprzyjaciel zajmował stanowisko od Wawra tak jednak, iż linie jego, zakryte wzgórzami piaskowemi, były nam niewidzialne; skrzydło jego prawe i środek, ukryte w lesie, mogły wszystkie ruchy wykonywać niepostrzeżenie. Nasze skrzydło prawe było oparte o nieprzebyte błota, zawsze prawie wodą zalane, a lewe miało przed sobą błotnistą olszynę, o którą nieprzyjaciel się dobijał z wielką ludzi stratą. Gdy się już jawnie zanosilo na walną bitwę, generał Chłopicki, który, lubo nie był wodzem, miał przecież głos sam jeden i rozkazy wydawał, zwołał wszystkich generałów i rozprawiał o wzajemnem położeniu wojsk. Gdy przyszedł do wniosku o dalszem działaniu nieprzyjaciela, że on tu frontem przez

tę cieśninę przebijać się nie będzie,—ce serait prendre le taureau par les cornes—były jego słowa. Mimo to zachowaliśmy nasz szyk głęboki bez wyjątku ku cieśninie Goćławka. Niepojęta jest, że nieprzyjaciel, mogąc manewrować zakryty, nie korzystał ze swego położenia, widząc doskonale nasze. Był panem dróg wielkich i blizkich przez Kawęczyn i Szmujlowszycę, któremi mógł nam nagle wpaść na skrzydło lewe i na tyły. Nie wiem, co by się wówczas stało, nie łatwo bowiem było jakiś porządny front mu postawić, zwłaszcza, iż całą ciężką artylerję i nieco wojska mógł zostawić na swoich stanowiskach przeciw Goćławka. A gdy wódz rosyjski nie mógł, lub nie chciał, niewiadomo dla jakiej przyczyny, wykonać tego manewru, bito się . . . . (nieczytelne słowa) działa nawzajem szkodziły sobie dużo, a piechoty odbierały sobie po kilkakrotnie ową olszynę przed naszym lewem, o której wyżej mówiłem. Tu w obu wojskach wielkie straty poniesiono, tak w żołnierzach, jak i w oficerach różnych stopni. Rosyanie postanowili nakoniec przełamać centrum nasze swoją jazdą, i w tym celu puścili ją wielką drogą z wściekłym zapałem na nas. Pułk . . . . (miejsce niewypełnione w rękopisie) <sup>1)</sup> był na czele, inne miały rozkaz iść za nim, lecz pułk, wpadłszy pomiędzy naszą piechotę i jazdę, zaraz był zatrzymany i zupełnie zniesiony; widok klęski wstrzymał resztę od popierania tego ataku. Wkrótce potem generał Chłopicki został ranny urywkiem granatu w nogę i odwieziony do Warszawy. Za nim przeszło całe wojsko na lewy brzeg Wisły.

Oświadczam, iż wcale nie mam zamiaru pisać tu historii tej wojny, gdyż tylko dla mojej familii własne pamiętniki piszę. Wreszcie, gdybym i chciał coś dokładnego o przypadkach tej wojny napisać, nie mógłbym, sam nie będąc świadkiem reszty, nie mając dostatecznych materyałów i pisząc we dwanaście lat później.

Przejście odwrotne wojska naszego na lewy brzeg Wisły było w miesiącu lutym 1831 roku. Odtąd stały spokojnie wojska, obserwując się bez działania. Naszym wodzem naczelnym został generał Skrzynecki, obrany po złożeniu dowództwa przez księcia Radziwiłła. Wódz rosyjski, marszałek Dybicz, osądziwszy, iż do wiosny nic stanowczego nie będzie można przedsięwziąć, zostawił część wojska swojego na dawnych stanowiskach pod Wawrem, a z resztą rozłożył się na zimowe kwatery ku Wieprzowi. Skrzynecki, dobrze zawiadomiony o położeniu wojska rosyjskiego i o lichem zabezpieczeniu się ze strony dowódców, przeprowadził wojsko swoje przez Modlin i wpadł prawie niespodzianie na dywizye, zostawione ku Wawrowi. Manewr

<sup>1)</sup> Był to dzielny pułk rosyjski kirasyerów ks. Alberta.



ten był dobrze ułożony i w takim sekrecie wykonany, że wojska rosyjskie, niespodziewanie natarte od Wawra i od strony Wielkiego Dęba, zmieszane, nie były w stanie oparcia się, a zwawo nacierane przez naszych, zmuszone były do mniej porządnego odwrotu ku Kaluszynowi, poniosłszy znaczną klęskę: kilka tysięcy niewolnika i kilkanaście sztuk armat były dla naszych korzyścią dnia tego, z nader małą własną stratą.

Odąd wódz naczelny, Skrzynecki, robił błąd po błędzie: pierwszy, że nie profitował ze swojego świetnego zwycięstwa; drugi, że, odebrawszy wiadomość, iż generał Rüdiger postępuje z nową dywizją, naprzód wzdlż Wieprza, nie udał się sam naprzeciw niemu, lecz powierzył generałowi Jankowskiemu ze znacznym oddziałem rozbić i zniesienie tego generała (to jest Rüdigera). Nic nie było łatwiejszego nad wykonanie tego rozkazu. Generał Jankowski, co do liczby, był mocniejszy od nieprzyjaciela, co zaś do gatunku wojska—nie było żadnego porównania: nasze składało się ze starych i najlepszych pułków, generał Rüdiger zaś prowadził po większej części różnorodnych rekrutów; położenie zaś jego w chwili, kiedy miało przyjść do boju, było najsmutniejsze, gdyż nieprzewidzianie znalazł się między naszym wojskiem, które go otaczało z przodu, z prawego boku i z tyłu, po lewej zaś miał rzekę Wieprz bez żadnej przeprawy. Niepojętym wszakże sposobem stało się, iż bez boju wrócił nazad spokojnie, zabrawszy nam bagaż i kasę jazdy. Nasi generałowie, Jankowski i Bukowski, patrzyli na ten ruch nieprzyjaciela i nic nie przedsiębrali. Trudno jest wykryć przyczynę tej nieczynności naszych; różne wieści obiegały, jak to zazwyczaj bywa, kiedy na ulicach sprawy się agituja — i o zdradzie nie zapomniano. Jakoż nie szczęśliwi Jankowski i Bukowski okropną śmiercią zapłacili swoją winę w Warszawie. Przewinienie było wielkie i bardzo wielkie, ale zdrady nie przypuszczam.

Później, kiedy gwardye rosyjskie ciągnęły śpiesznie z Petersburga do armii marsz. Dybicza, wódz nasz naczelny, sądząc, że im drogę zabieży, ruszył z całym prawie wojskiem ku Tykocinowi. Lecz gwardye cofnęły się, unikając bitwy, a Skrzynecki zwrócił ku Ostrołęce. Tam przybywszy, rozłożył się nad rzeką Narwią, ale, dzieląc swoje wojsko na dwie części, z większą przeszedł Narew, a jedną dywizję piechoty z innymi oddziałami zostawił na lewym brzegu tej rzeki, nie mając innej komunikacji tylko most długi i wązki pod miastem na rzece. To był błąd niesłychany. Mówią wszakże, że generał Skrzynecki wcale nie był uwiadomiony o ruchu Dybicza, który, biegnąc w pomoc gwardyom z większą częścią armii i ogromną artylerją, uwiadomiony o położeniu naszym pod Ostrołęką, iagle

wpadł na wojsko nasze, zostawione na lewym brzegu rzeki, które ani cofać się już nie miało czasu, ani żadnej pomocy z prawego brzegu otrzymać dla trudności przejścia przez most drewniany, pociskami artylerji rosyjskiej już strychowany. Cała dywizya stracona została, a generał, dowodzący nią, Henryk Kamiński, poległ razem z wojskiem swoim. Cuda waleczności tej piechoty sami przeciwnicy przyznają. Resztki, cofnąc się usiłując, jeszcze na moście, pomieszane z nieprzyjacielem, pięściami bitwę kończyły. Straciliśmy coś i tego wojska, które było na prawym brzegu Narwi, gdyż Rosyanie, ukończywszy dzieło z piechotą, na lewym będącą, wyprowadzili całą swoją artylerję nad brzeg Narwi, który był wyższy od prawego, i stamtąd szkodzili bardzo naszemu wojsku, na niskiej płaszczyźnie rozwinętemu. Generał Kicki i wielu znakomitych oficerów poległo od kul działowych. Tak bitwa, która mogła być dla nas zwycięstwem, gdyby całe wojsko było w niej czynne (moralność i dzielność wojska polskiego mogły przynieść zwycięstwo) stała się klęską nienagrodzoną.

Po tej smutnej klęsce cofnął się generał Skrzynecki z wojskiem, upadłem na duchu, pod Warszawę. Wódz nieprzyjacielski, marszałek Dybicz, wkrótce umarł, a generał Paskiewicz objął ogólną komendę po nim. Ten przy pomocy pruskiej i w granicach pruskich przeprowił się swobodnie przez Wisłę i ruszył bez przeszkody pod Warszawę, poczem nastąpiło wzięcie Warszawy, cofnięcie się wojsk naszych na prawy brzeg Wisły i wkroczenie w granice pruskie i austryackie dla złożenia tam broni i ujścia prześladowań zwycięzcy. Tak smutnie zakończyła się ta wojna, mimo wszelkich obietnic tych, którzy rewolucyę wzniecili, mimo męstwa wojska. Wołano coraz o nowego wodza, wybierano cnych, ale niedoświadczonych i niezdolnych w tak krytycznem położeniu, — nakoniec wszystko się rozprzęgło, nie bez wpływu agentów obcych, . . . . .

Tu przerywa generał w pół zdania. Z tekstu pamiętnika widać, że napisany został w latach 1841 — 1843. W tym ostatnim roku (23 sierpnia 1843 roku) stracił Jan Weyssenhoff żonę i boleść po jej zgonie przerwała zapewne spisywanie własnych wspomnień. Kresli on życiorys żony, pamiętkę wyłącznie familijną, której tu nie podajemy. Żyje potem jeszcze lat kilka, do roku 1848, i wnosić można z pozostałych po nim innych papierów, z listów, wreszcie ze wspomnień niedawno zmarłych domowników, że starzec był krzepki i towarzyski aż do końca. Zaniechał tylko, widać, opowiadania o szarych dniach ostatniego okresu życia. Streścimy krótko ten okres, a przedewszystkiem dopowiemy z dokumentów o udziale, jaki generał wziął w dalszym ciągu rewolucyi, gdyż część ostatnia pamiętnika, mniej porządnie spisana, daje nam, niestety, zbyt mało szczegółów.

Zasadniczo przeciwny zbrojnemu powstaniu, nie należący do spisku, generał dzieli jednak losy armii przez poczucie solidarności narodowej. Ale niechętnem prawdopodobnie okiem spoglądało na niego skrajne stronnictwo ruchu, czego dowodem są niektóre wzmianki w książce Stanisława Barzykowskiego, w miejscach, gdzie nie mogło być pominięte nazwisko generała, mianowicie w styczniu 1831 roku, gdy, po zrzeczeniu się Chłopickiego, opinia sejmu i wojska postawiła Weyssenhoffa, jako głównego kandydata na naczelnego wodza. Barzykowski tak pisze:

...„Inaczej było z wodzem. Ten nie istniał. Wprawdzie generał Weyssenhoff, jako generał najstarszy w randze, na zastępcę był powołany, ale on z powodu nałogu, jaki nieszczęściem posiadał, ani na chwilę nim być nie mógł“.

A dalej:

„Odznacząca to była postać, umysł wykształcony i nie pozbawiony zdolności, lecz nieszczęśliwy nałóg pijaństwa, jaki posiadał, sprawiał, że buława w jego ręku ani na chwilę nie mogła być złożona“<sup>1)</sup>.

Jest to wymysł, o który Barzykowskiego nie posądzamy, bo go zapewne pomiędzy wielu innemi, na ulicy w niespokojnych czasach wylęgliśmy fałszami usłyszał i do swojej bardzo niekrytycznej książki

---

<sup>1)</sup> St. Barzykowski: „Historja powstania listopadowego“. Poznań, 1883 tom drugi, str. 139, 141, 204.

włożył. Sam siebie zbija następnie, pisząc, że „generał Weyszenhoff wziął się z największą gorliwością do postawienia województwa krakowskiego w obronnym stanie (w sierpniu), chwając to urządzenie, wyliczając pułki i rezerwy<sup>1)</sup>. Był zatem widocznie do czegoś zdolny nawet w opinii p. Barzykowskiego. Jako żołnierz od dziecka, lubił zapewne i musiał lubić wino, ale zarzucać mu nałóg pijaństwa mogli tylko niechętni, lub nieznamomi. Zresztą potwarz tę napotykaemy pojedynczo tylko u Barzykowskiego. Na jej odparcie mogli-byśmy przytoczyć wiele świadectw ludzi poważnych, którzy lepiej znali generała, z których kilku żyje dotychczas. Ograniczymy się na przytoczeniu jednego świadectwa urzędowego. Wielki Książę Konstanty, zdając poufny raport cesarzowi Mikołajowi o generałach armii królewsko-polskiej, dnia 19 czerwca 1826 roku, tak pisze o Weyszenhoffie:

— „Weyszenhoff, generał brygady, dowódzca dywizji ułanów, człowiek rozumny, wykształcony, świetny oficer. Dywizya jego znajduje się zawsze w takim porządku, że nic lepszego nie pozostawia do życzenia. Bardzo waleczny na wojnie i wyborny w czasie pokoju, znakomicie zna swoją dywizyę. Odpowiedny jest na każdym stanowisku“<sup>2)</sup>.

Cała karyera wojskowa Weyszenhoffa dowodzi wielkiej służbiści i przytomności umysłu; do późnego wieku zachowuje myśl jasną, pamięć dobrą, skoro w latach 1841—1843 pisze pamiętnik. Przypuszczenie zatem p. Barzykowskiego upada nawet przy głębszem zastanowieniu się nad postacią generała; przytoczone zaś tutaj świadectwo wodza, niepodjezranego o stronność, jest nieco wiarogodniejsze, niż wzmianka niebacznego kronikarza.

Wracając do udziału Jana Weyszenhoffa w rewolucyi, zapisać tu musimy, że nominacyę na tymczasowego dowódcę siły zbrojnej narodowej przysłała mu deputacya obu izb sejmowych z Warszawy do Siedlec dnia 18 stycznia 1831 roku bez uprzedniego z nim porozumienia się. Generał pisze w pamiętniku, że godności tej odmówił, i nie mamy prawa mu nie wierzyć. Nie wykreslono go jednak z listy kandydatów i przy dwukrotnem głosowaniu na naczelnego wodza spotykamy jego nazwisko, wychodzące jako drugie z urny wyborczej. Nareszcie oświadczenie Chłopickiego, że zgodzi się być doradcą naczelnego wodza, jeżeli zostanie nim Michał ks. Radziwiłł, skłoniło sejm stanowczo do wyboru Radziwiłła.

1) Tamże, tom piąty. str. 41.

2) „Russkaja Starina“, tom XXXIV, rok 1882, str. 272.

Jednocześnie mianowany zostaje Weyszenhoff dowódcą całej jazdy <sup>1)</sup>. Stara dywizya ułanów, wzorowo urządzona i w ciągu lat szesnastu dowodzona przez Weyszenhoffa, przechodzi pod rozkazy generała Suchorzewskiego, następnie Umińskiego. Wnosić należy, że Weyszenhoff opuszczał z zalem ulubionych swych ułanów. Krótko też pozostaje czynny w swym wysokim stopniu dowódcy jazdy, jednak go się nie zrzeka i w bitwie pod Grochowem stoi na czele jazdy, mając pod rozkazami swemi generałów: Łubieńskiego i Umińskiego <sup>2)</sup>.

Odtąd, czy z powodu nieufności do wodzów, czy dla braku wiary w powodzenie wojny, przestaje Weyszenhoff być czynny w bitwach, nie opuszcza jednak bynajmniej sprawy powstania. Po bitwie Grochowskiej, na radzie wojennej u ks. Adama Czartoryskiego, Weyszenhoff głosi za mianowaniem Skrzyneckiego naczelnym wodzem <sup>3)</sup> bez zaufania w zdolności tego generała, jak to widzimy z pamiętnika. Jednocześnie, przy reorganizacji całej armii, dowództwo jazdy rozdzielone zostaje między generałów: Łubieńskiego, Umińskiego i Skarżyńskiego, Weyszenhoff zaś zabiera się do formowania nowych pułków, mianowicie tak zwanej „legii nadwiślańskiej“, w której umieszcza jednego syna, Włodzimierza. Włodzimierz prosto z uniwersytetu warszawskiego przechodzi do wojska, odznacza się 1 września pod Międzyrzeczem, za co otrzymuje stopień kapitana i złoty krzyż „virtuti militari“ <sup>4)</sup>.

O dalszych działaniach generała Weyszenhoffa w rewolucji 1831 roku nie mogliśmy, mimo poszukiwań, zebrać obfitych wiadomości. Dokument jego amnestyjny <sup>5)</sup>, ciekawy z powodu całkowitego stanu służby, tak streszcza postępowanie generała w rewolucji:

„W ciągu rokoszu dowodził dywizją ułanów, później, przeznaczony na dowódcę jazdy, następnie był organizatorem jazdy legii Nadwiślańskiej. Ostatecznie był dowódcą militarnym w województwie Krakowskim. Przybył do Warszawy z wolnego miasta Krakowa 8 listopada 1831 roku i przysięgę wierności Najjaśniejszemu Panu ponowił. Po uśmierzeniu rokoszu wysłany został do Rosyi, skąd, wskutek Najmiłościwszego manifestu Najjaśniejszego Pana z dnia 2<sup>14</sup> kwietnia 1833 roku, powrócił do Królestwa Polskiego“.

<sup>1)</sup> Patrz generała Prądyńskiego Pamiętnik historyczno-wojskowy r. 1831 (Petersburg, 1898), str. 31 i 49.

<sup>2)</sup> Prądyński, l. c., str. 49.

<sup>3)</sup> Prądyński, l. c. str. 63.

<sup>4)</sup> Dokumenta w archiwum wydawcy.

<sup>5)</sup> W archiwum wydawcy.

Z tej urzędowej, lecz bardzo pobieżnej wzmianki, wnosić można, że Weyszenhoff działał wspólnie z Różyckim. W każdym razie należał do liczby tych, którzy przeszli na terytorium austriackie; po upadku zaś rewolucyi powrócił do Królestwa i skazany został na wygnanie do Kostromy. Tam przebył od grudnia 1831 roku do lata 1833 roku. Gubernatorem Kostromy był podówczas Sergiusz Łauskoj, człowiek wykształcony i zacny; on i jego rodzina zaprzyjaźniła się serdecznie z wygnańcem. Jego to staraniami i poparciem Dymitra Tatiszczewa, ambasadora rosyjskiego w Wiedniu, zawdzięcza generał swój powrót do kraju <sup>1)</sup>.

Odmówiwszy wstąpienia do armii rosyjskiej, generał osiada we wsi swojej, Samokłęski, w powiecie Lubartowskim, nabytej uprzednio (1824 r.) od Adama ks. Czartoryskiego. Odtąd zajęcia gospodarskie, zbieranie biblioteki, spisywanie wspomnień, oraz parę podróży do rodzinnych Infant — wypełniają ostatni okres życia generała. W roku 1843 utracił żonę, Teklę z Otwinowskich herbu Gryf, córkę Augusta, posła niegdyś na sejm czteroletni, i Morsztynównęj. Miał z nią syna, Włodzimierza, i córkę, Helenę, wydaną za mąż za Lucyana Woyniłłowicza.

Generał Weyszenhoff umarł w Samokłęskach dnia 19 maja 1848 roku i pochowany został pod kaplicą, którą córka wzniosła nad grobem jego przy kościele parafialnym w Kamionce.

Pamięć, którą po sobie zostawił, jest czysta i tęskna; czysta, bo zachował imię swe nieposzlakowane, tęskna — bo zyskał sobie wielką miłość u ludzi. Świadectw na to moglibyśmy przytoczyć setki, ale te pamiątki nie mogą obchodzić szerszych kół publiczności.

K O N I E C .

---

<sup>1)</sup> Listy D. Tatiszczewa 29 kwietnia i 1 lipca 1832 roku są w archiwum wydawcy; również długoletnia korespondencya z rodziną Łauskich, z którą Weyszenhoff zachował serdeczne stosunki. Z tejże epoki posiadamy listy generała do żony, oraz korespondencyę z generałem Tomaszem Łubieńskim, Michałem księciem Radziwillem i innymi.

# ROZMAITOŚCI.

## MYSLI STANISŁAWA STASZICA DO UŁOŻENIA STANU NAUCZYCIELSKIEGO W KRAJACH KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

W przededniu utworzenia Królestwa kongresowego, gdy Czar-toryski składał cesarzowi Aleksandrowi w Chaumont memoriał do-tyczący urządzenia Polski, ów memoriał, który w rok później służył za podstawę do sławnych „Zasad konstytucyj”<sup>1)</sup>, — Stanisław Staszic układał wówczas projekta, mające na celu plan edu-kacji i urządzenie wewnętrzne wszystkich szkół w kraju, a tak-że utrzymanie i dalszy rozwój tych Instytutów, które z prze-ważnej inicjatywy Staszica przed kilku zaledwie laty powsta-ły w Księstwie. Że memoriały te obejmowały i Uniwersytet Ja-gielloński, od roku 1809 należący do Dyrekcji Edukacji Na-rodowej, to zdaje się nie ulegać wątpliwości; trudno bowiem wyma-gać od Staszica, aby, mimo wielkiej przenikliwości i trzeźwości w po-glądach, mógł przeczuć, że na zjeździe Kaliskim cesarz Aleksander przyrzekł królowi pruskiemu zwrot departamentu Poznańskiego i Bydgoskiego, a Austrii Galicyę i Kraków, gdy przyjdzie do roz-członkowania Księstwa Warszawskiego; trudno również przypuścić,

1) Bases de la Constitution de Royaume de Pologne.

że wówczas już przemyślał o Uniwersytecie Warszawskim. Czasy były surowe, pełne trwogi, jutra niepewne; poważny mąż stanu myślał przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, o zachowaniu i utrzymaniu tego, co już istniało, pozostawiając przyszłości, a raczej szczęśliwszym okolicznościom, dalszy rozwój edukacji narodowej.

Po napisaniu projektu „do ułożenia stanu nauczycielskiego“, złożył go Dyrekcyi Edukacyi Narodowej, której był jednym z najgorliwszych i bardzo czynnych członków. „Myśli“ te, na kilku posiedzeniach szczegółowo rozbiegane, wywołały kilka innych referatów, spisanych przez biskupa Prażmowskiego, Wawrzyńca Surowieckiego i członków Towarzystwa elementarnego (Linde, Szwejkowski i Kamiński). Towarzystwo elementarne otrzymało te „Myśli“ przy następującej odezwie, ręką Staszica skreślonej:

„Gdy Dyrekcyja, zastanawiając się nad planem Edukacyi i nad urządzeniem wewnętrznem wszystkich szkół kraju, widzi, że do dopełnienia dzieła potrzeba jeszcze ustanowienia Hierarchii stanu nauczycielskiego i obmyślenia nadgrody wysłużonym, wzywa przeto Towarzystwo elementarne, aby chciało zająć się wypracowaniem projektu do dopełnienia planu, zechce więc wygotować projekt: 1-o Hierarchii ogólnego stanu nauczycielskiego, 2-o Sposobu wyznaczania zasłużonym pensyi dożywotniej, 3-o Projekt takowy poda Dyrekcyi pod rozwagę.

Dnia 17 września 1814 roku.

*St. Potocki S. W.“.*

Z tych referatów powstał projekt drugi. Szczegółowa nad nim dyskusya wytworzyła projekt trzeci, zredagowany przez Józefa Lipińskiego, a przyjęty na ogólnem posiedzeniu Dyrekcyi dnia 26 kwietnia 1815 roku, jako zasadniczy. Ponieważ ten projekt zajmował się najżywotniejszymi kwestyami stanu nauczycielskiego, Dyrekcyja przeto zaprzęgnęła zasięgnąć w tej mierze opinii nauczycieli szkół wyższych krajowych. W tym celu



projekt trzeci po wydrukowaniu go <sup>1)</sup>, rozesłany został do szkół, przy odeźwie Dyrekcyi, zredagowanej przez Surowieckiego:

„Do Rektorów i Profesorów  
Szkół publicznych.

Podać myśl ustaw, któreby kierowały Instrukcją publiczną ku głównym i rzeczywistym pożytkom, jakie naród z niej odnosić powinien, wskazać sposoby wyniesienia tego stanu, który się nią zajmuje, należało do Magistratury, której władza najwyższa od zaprowadzenia Rządu Narodowego, poruczyła kierowanie wychowaniem publicznem i ułożenie stosownego planu. Ustawy w tych względach uwieńczyć powinny dzieło Instrukcyi narodu, który, zasłużwszy sobie na wiekopomny zaszczyt przez ustanowienie nie wziętym zniskąd wzorem, pierwszej opieki Rządowej nad wychowaniem publicznem, okazał się po wszystkie czasy niez mordowanym w dążeniu porówny z innymi do najwyższego stopnia oświecenia. Takowe uwagi skłoniły Dyrekcyję Edukacyjną do ułożenia tej w widokach i składzie swoim nowej Hierarchii Akademickiej, albo raczej Hierarchii oświecenia i do podania jej Narodowi do zbierania głównych pożytków z nauk, w kraju rozkrzewionych. W rozbiórce na początku wymienionych głównych przedmiotów, następujące i najważniejsze prawdy zwróciły uwagę Dyrekcyi Edukacyjnej. Naprzód: że rząd kraju złożonych starań o oświecenie publiczne nie odnosi tych pożytków, jakie powinien mieć na widoku, jeżeli nie korzysta bezpośrednio z oświecenia młodzieży i nie używa rozwiniętych jej talentów do stosownych usług społeczności; 2-re, że nie może ani wzniecić, ani ugruntować chęci nabywania nauk i umiejętności, w kraju zaprowadzonych, jeżeli przykładająca się młodzież nie widzi przed sobą wskazanego celu, jeżeli nie ma zręcznego nabytych talentów użycia, stosownie do stopnia swego usposobienia. W rozbiórce sposobów, zapewniających nagrody i właściwe znaczenie dla poświęcających się wychowaniu młodzieży w kraju, postrzegła Dyrekcyja Edukacyjna, że jej nie po-

<sup>1)</sup> 4-o, str. VI. 26.

zostaje, jak tylko zastosować dawne do teraźniejszego wieku i rzeczywistego stanu rzeczy.

Nikt bowiem wątpić nie może o potrzebie podniesienia w mniemaniu powszechnem i oddania winnego poważania tak z siebie szanownemu powołaniu nauczycielskiemu. Czuli i uznali ją przodkowie nasi, i w początkach zaraz zaprowadzenia nauk do Polski, chcąc oznaczyć, jak wiele je cenią, jaki hołd im się należy, zaprowadzonym w kraju Instytutom przyznali oznaki powierzchowne, nadali w herbach i ozdobach znamiona, panującym tylko właściwe. Lecz, żeby ustawy przyniosły zamierzony skutek, w każdym wieku stosować się powinny do wyobrażeń, w nim panujących. Już nie oznaki, które mniej są rzeczywiste, lecz rzetelny hołd należy się w naszym czasie nauczycielom, potrzeba Ustaw, któreby w skutku przyznawały im te zaszczyty i to winne z innymi stanami porównanie, które zdolne jest w oczach świata i wieku naród nasz zalecić.

W tych widokach ułożono Hierarchią, wspartą na zapadłych już mądrych postanowieniach Rządu, Dyrekcyja Edukacyjna tym samym sposobem, jaki zachowała przy wydawaniu kolejnym wszelkich, do potwierdzenia Rządu przedstawić się mających, Ustaw, podaje pod rozwagę przełożonym i zgromadzeniom Instytutów szkół wyższych w kraju, oczekując ich w tej mierze zdania.

*W zastępstwie Radca Stanu Staszic“.*

W odpowiedzi na powyższe, Dyrekcyja Edukacyjna otrzymała od rektorów i nauczycieli szkół z Płocka, Poznania, Kalisza, Szczębrzeszyna, zamiast spodziewanych uwag, dziękczynne listy. Dalsze śledzenie tych Ustaw nie jest obecnie naszym zadaniem; nawiasowo tylko wspomnieć należy, iż w kilka miesięcy później, ciż sami członkowie Dyrekcyi Edukacyjnej zostali członkami Wydziału Oświecenia Narodowego, który, na zasadzie wyroku Rządu Tymczasowego Królestwa Polskiego, z dnia 25 września 1815 roku, powinien był trudnić się przedmiotami organicznymi, celem rozwinięcia zasad konstytucyjnych w przedmiotach, onemu właściwych, a zatem Ustawa w dobrych znalazła się rękach.

O ile „Myśli“ Staszica różnią się od „Projektu“, ogłoszonego drukiem, łatwo sprawdzić, gdy będą ogłoszone. Że zaś wydobyć z niepamięci pracy takiego znakomitego człowieka jest przysługą dla historyków szkolnictwa polskiego, przeto tem skwapliwiej podaję wierną kopię, z autografu spisana.

## Myśli do ułożenia stanu nauczycielskiego, czyli akademickiego,

przez Radcę Stanu Staszica podane.

### ARTYKUŁ I.

#### *Wstęp.*

Kiedy już plan Edukacji publicznej do tego stopnia doprowadzony został, iż obejmuje w sobie wszystkie instytucje edukacyjne, jakiegokolwiek w kraju znajdują się; kiedy w tych wszystkich wprowadzona jedność nauk, szkoły między sobą ustopniowane, a w każdej, podług jej stopnia, ustosowane nauki do potrzeb rozmaitych klas obywateli; kiedy wszystkie w kraju szkoły, od elementarnych do Akademii, w takim już zostają związku, iż nie czynią tylko jedno dzieło, jeden publiczny Edukacji Instytut; natenczas można i potrzeba opisać i ustanowić hierarchią stanu akademickiego, dla nadania takowemu dziełu jednostajnego ruchu, dla opatrzenia takiego Instytutu we wszystkie środki i wszystkie osoby, dla niego potrzebne, i dla nadania mu ducha, nieustannie dążącego do coraz wyższego udoskonalenia.

A ponieważ w ścisłym stosunku z tymże Instytutem są te Dekreta królewskie, które dla Komisji Egzaminacyjnych Departamentowych i dla Komisji Egzaminacyjnej Najwyższej przepisały, nie tylko do egzaminu przypuszczani być mają tacy, którzy już wyszli z fakultetów akademickich i którzy złożą zaświadczenie z odbytych tam nauk, z egzaminów i stopnia swej kwalifikacji. Ponieważ, podług urządzenia wewnętrznego Komisji egzaminacyjnej, trojaki uważany w konkurujących o urząd administracyjny, albo sądowy, zdolności stopień, niższy, wyższy i najwyższy, z których pierwszy kwalifikuje tylko do kancelaryi na praktykantów, drugi na urzędy średnie departamentowe, a trzeci na urzędy wyższe departamentowe i krajowe. Ponieważ również wyrok królewski Radę lekarską stanowiącą oznaczył, aby podobnie podług trojaczego stopnia zdolności wybierała na urzędni-

ków zdrowia, to jest na chirurgów drugiego rzędu, na chirurgów pierwszego rzędu i na fizyków-doktorów. Ponieważ wyrokiem króla, stanowiącym Wydział prawa i administracyi w Warszawie, postanowiono, iż żaden do szkoły prawa i administracyi uczeń przypuszczony być nie może, który wprzód nie udowodni, że skończył zupełnie sześć klas szkoły departamentowej. Ponieważ, według wewnętrznego urządzenia szkół departamentowych i wydziałów akademickich, postanowiła Magistratura Edukacyjna, że żaden uczeń do fakultetów akademickich przypuszczonym być nie może, który wprzód nie złoży zaświadczenia Rektorów o ukończeniu zupełnem szkół departamentowych i o odbytych egzaminach. Ponieważ w wewnętrznej organizacyi Akademii przepisane są trzy stopnie doktoryzacyi, odpowiadające poniekąd trzem wielkim stopniom szkół w kraju i razem zgadzające się z trojakim stopniem zdolności, w komisjach egzaminacyjnych do trojakiego stopnia urzędzeń administracyjnych i sądowych zamierzonego. Przeto ze wszystkich tych w kraju postanowień wynikające, tak w szkołach niższych, jak wyższych, dążenie do udoskonalenia się, a przez takie doskonalenie już może być utworzona dążność do czci i do nagrody w ogólnej Hierarchii Akademickiego stanu.

W takim więc objęciu uważając cały edukacyi publicznej Instytut, czyli może lepiej objaśnię myśl moję przez użycie podobieństwa w wyrazie Świątyni dociekania tajemnic stosunków Natury, które, dla łatwiejszego pojęcia ludzkiego, podzieloną są na nauki i umiejętności. Dla dopełniania w takowej świątyni wszystkich obrzędów okazuje się z poprzednich uwag, iż osoby, do niej wchodzące, to jest cały jej skład, na trzy wielkie musi dzielić się rzędy (*ordines*),

## ARTYKUŁ II.

- § 1. Pierwszy rząd obejmuje osoby, administracyą i rozrządzeniem trudniące się — drugi ma w sobie nauczających, — a trzeci uczących się. Każdy z tych rządów dzieli się na klasy.
- § 2. Pierwszy rząd ma dwie klasy. Do pierwszej klasy należą osoby, przez króla wybierane, ze skarbu płatne, tem są dyrektor i członki czynne, dyrekcją składający. Wizytatorowie, aktualni rektorowie Akademii i członki Towarzystwa elementarnego. Do drugiej klasy należą wszystkie członki, składające dozory w kraju.

## ARTYKUŁ III.

- § 1. Drugi rząd dzieli się na siedm klas. W pierwszej klasie znajdują się osoby przygotowawcze (*Bacalauerei*), czyli nauczyciele elementarni, w drugiej klasie praktycy, lub zwolency

(*licenciati*), to jest profesorowie szkoły wydziałowej, — w trzeciej klasie znajdują się mistrze (*magistri*), czyli profesorowie szkół departamentowych; w czwartej klasie znajdują się mędrzy, czyli doktorowie czynni, to jest profesorowie, uczący w fakultetach akademickich, albo też w innych szkołach, lecz mający stopień doktora, lub będący na krajowych urządach, bądź administracyjnych, sądowych, lekarskich, lub jakichkolwiek innych godnościach, gdy do tych przez stopnie akademickie doszli. Piąta klasa obejmuje wszystkich kandydatów, czyli promowanych (*promotos*), to jest do niej należą zwolęnci, mistrze i doktorowie, czyli te wszystkie osoby, które jeden, lub dwa, albo wszystkie trzy stopnie doskonałości w naukach posiadając, zostają się jeszcze bez urzędowania. W szóstej klasie znajdują się wszyscy wysłużeni, biorący emerytalną pensyą. W siódmej klasie znajduje się dwanaście starszych ze swoich sasiąg ze swoich nauk i dzieł najznakomitszych mężów, którzy, oprócz należącej im się emerytalnej pensyi, brać będą, podług starszeństwa, dodatek osobnej nagrody, czyli rocznej płacy w różnej ilości, do starszeństwa każdego przywiązanej. Tych dwunastu mężów należało-by jedynie nazwać senatorami stanu akademickiego, przeto życzył-by, aby w organizacji Szkoły Głównej nie kłaść senatorów, ale tylko radnych Szkoły Głównej, a tytuł senatorów zostawić tym dwunastu mężom z całego stanu akademickiego, co przez najwyższą Magistraturę wybranym i do potwierdzenia Monarchy przedstawionym.

- § 2. Gdy w planie edukacji publicznej objęte są razem oprócz szkół publicznych i szkółki partykularne, pensye, konwikty, a nauczający w tych są przez Dyrekcyą upoważnieni, przeto w rządzie tym niech klasy dzielą się na skład osób wewnętrznych i zewnętrznych.
- § 3. W klasie pierwszej Bakalarze, czyli uczyiele wewnętrzni, są ci wszyscy, którzy są nominowani przez Dyrekcyą uczycielami w szkołkach elementarnych, na składkach założonych, albo w szkołach podwydziałowych, czyli elementarnych wyższych, po miastach z opłaty etatowej utrzymywanych. Zewnętrzni zaś są ci, którzy, przez Dyrekcyą upoważnieni, sami partykularną szkołkę założyli.
- § 4. W klasie drugiej wewnętrznej praktyczni, czyli zwolęnci, są ci profesorowie, którzy, patentowani przez Dyrekcyą, uczą w szkole publicznej wydziałowej. Zewnętrzni zaś ci, którzy, przez Dyrekcyą upoważnieni, w podobnym stopniu założyli szkołę partykularną, pod imieniem pensyi, lub konwiktu, albo którzy, mając stopień licencyata, są na czele jakiej rękodzielni, fabryki, lub za tym stopniem posiadają jakową w kraju praktykanta funkcją, bądź w administracyi, sądownictwie, albo w lekarskiej sztuce, jakeimi są praktykanci, asesory, notaryusze, rachmistrze, chirurgowie dru-

giego rzędu, a w stanie duchownym wikaryusze, parochowie i t. d.

- § 5. W klasie trzeciej mistrze, czyli magistri wewnętrzni, są profesorowie patentowani, dający lekcya w szkole departamentowej, zewnętrzni, którzy uczą w jakim Instytucie partykularnym, równającym się w stopniu szkole departamentowej, pod imieniem pensyi, lub konwiktów, przez Dyrekcyą upoważnionych. Albo którzy, stopień magistra mając, osiągnęli jaki urząd w powiecie, lub departamencie, jakimi być mogą wszystkie urzędy, do których komisye egzaminacyjne departamentowe kwalifikacyą rozpoznają, a jakimi w lekarskiej sztuce są chirurgowie pierwszego rzędu, a w duchownym dziekani.
- § 6. W klasie czwartej wewnętrznej są ci doktorowie czynni, którzy aktualnie są profesorami w Wydziałach Akademickich, albo rektorami, albo profesorami w liceach; zewnętrznymi zaś są doktorowie, albo osobno, albo partykularnie dający jakie nauki, albo promoty na doktorów posiadają w kraju, jakie urzędy duchowne, sądowe, administracyjne, lekarskie. Do których urzędów kwalifikacyą rozpoznaje komisya edukacyjna najwyższa; w stanie zaś duchownym posiadający stopień doktorstwa, kanonie, prelatury, opactwa, biskupstwa; w sztuce zaś lekarskiej, fizycy departamentowi, dyrektorowie szpitalów, członki Rady lekarskiej i wszyscy, upoważnieni w kraju do praktykowania sztuki lekarskiej, ze stopniem doktora.
- § 7. W klasie piątej kandydaci są trojakiemu gatunku, podług stopnia, jaki w naukach mają. Pierwsi są kandydaci; tak nazwani praktyczni, czyli wyzwolenicy, którzy kwalifikują się na profesorów do szkoły wydziałowej, takimi są wszyscy nauczyciele, kollaboratorowie, zastępcy w szkołach wydziałowych i departamentowych, a także osobną partykularną szkołę utrzymujący, mając stopień licencyata. Drugi kandydaci są mistrze, mający stopień magistra, takimi są ci, którzy, nie będąc aktualnymi w szkołach publicznych profesorami, utrzymują osobną jaką szkołę, lub mają partykularne lekcyje, albo są nauczycielami kollaboratorami, zastępcami w szkołach departamentowych, mając stopień magistra. Trzeci kandydaci są ci wszyscy mędrce, czyli stopień doktora posiadający, a którzy nie są aktualnymi profesorami w szkołach publicznych, lecz dają lekcyje partykularne, albo utrzymują jaką szkołę partykularną, lub trudnią się edukacyą partykularną, albo są kollaboratorami, zastępcami w szkołach departamentowych, lub w fakultetowych.
- § 8. Szósta klasa Emerytów zajmuje wszystkie te osoby stanu akademickiego, które przez pewną lat liczbę ciągle nieprzerwanie w tym stanie pracując, już zasłużyli sobie emerytalną dożywotnią pensyą. Do ułożenia tych emerytur naj-

lepszy sposób zdawał-by mi się, aby obrać albo ten, który w Rządzie Austryackim dla wysłużonych oficyalistów jest przepisany, albo w Rządzie Pruskim dla wysłużonych oficyalistów, wdów i sierot jest postanowiony. Jeżeli w sposób pierwszy, austryacki, wzięty będzie, więc opłatę Arry rozciągnąć-by należało do wszystkich osób stanu akademickiego, wewnętrznych i zewnętrznych; nadto, do tych opłat z Arry od pensyi dołączyć-by należało terażniejszy fundusz emerytów. Po trzecie, osądził-bym, żeby każdy przy braniu jakowego stopnia, pół płacił do kasy emerytów, a połowę drugą na Akademię. Nakoniec słusznie byłoby, aby każdy uczący się corocznie choć najmniejszą jaką kwotę obowiązany był oddawać do kasy emerytów, nawet z uczniów zewnętrznych, jakimi są po konwiktach, po pensjach, gdyż i tam uczniowie profitują z prac stanu akademickiego, z profesorów z ksiąg elementarnych. Do tegoż funduszu emerytów dołączyć trzeba probostwa i kanonie, w kolacyi Dyrekcyi Edukacyjnej będące. Emeryt duchowny stanu akademickiego, takowe probostwo, lub kanonię biorący, będzie z tego pobierał intratę, w proporcją należącej mu się emerytury.

#### ARTYKUŁ IV.

##### *R z ą d t r z e c i .*

W tym rządzie znajdują się wszyscy uczący się i dzielą się na klas ośm:

- § 1. Klasa pierwsza obejmuje w sobie uczących się w szkołach przygotowawczych, czyli elementarnych.
- § 2. Klasa druga mieści w sobie wszystkich uczących się w szkołach technicznych, czy wydziałowych.
- § 3. Klasa trzecia. Do niej należą wszyscy uczący się w szkołach departamentowych.
- § 4. Klasa czwarta. Zajmuje wszystkich uczniów, doskonalących się w fakultetach akademickich, którzy zapisani końcem dostąpienia jakiego z trzech stopni.
- § 5. Klasa piąta. W niej znajdują się uczniowie, sposobiący się w seminariach na nauczycieli przygotowawczych, czyli elementarnych.
- § 6. Do klasy szóstej należą uczniowie stypendyści, sposobiący się na nauczycieli szkół wydziałowych, departamentowych i akademickich.

- § 7. Klasa siódma obejmuje wszystkich uczniów zewnętrznych, którzy nie w szkołach publicznych, ale w Instytucjach partykularnych, szkołkach, pensjach, konwiktach, oświecenie i wychowanie biorą. Nadto do zewnętrznych należą uczniowie w fakultetach akademickich, którzy tam chodząc na nauki, nie zapisują się i do egzaminów i stopniowania nie podają.

## ARTYKUŁ V.

### *Podniesienie stanu akademickiego do stopnia rozmaitych urzędów cywilnych.*

- § 1. Wszystkie osoby stanu nauczycielskiego, znajdującego się w klasach drugiego rzędu, oznaczoną mieć powinni rangę, czyli stopień godności, zastosowany do rozmaitych rang, czyli stopni godności krajowych urzędników cywilnych, bądź administracyjnych, bądź sądowych.
- § 2. Prawa, przez królów akademikom u nas w Polsce nadane, nawet przez konstytucye zatwierdzone, postanowiły, iż każdy akademik, na stopień doktora wyniesiony, tem samem zostaje szlachcicem. To prawo służyć powinno i teraz wszystkim osobom, w stanie akademickim stopień doktora otrzymującym i będącym aktualnym profesorem w szkole departamentowej, lub Akademii.
- § 3. Wszystkie osoby stanu akademickiego, czyune, albo już wysłużone, równie z innemi stanami do publicznych godności i ozdób przypuszczonemi będą.
- § 4. Dwunastu najstarszych, czyli senatorów, z całego stanu akademickiego w rządzie 2 w klasie 7 opisani, powinno-by mieć rangę przynajmniej w połowie senatorów krajowych.

## ARTYKUŁ VI.

### *Ubiór akademickiego stanu.*

- § 1. Ubiory dla osób wszystkich klas, stan akademicki składających, wyjąwszy osoby stanu duchownego, mają być co do kroju takimi, jakie są używane w całym kraju, i jakiego w wielkich uroczystościach używać będą wszyscy urzędnicy krajowi, różnić się tylko będzie kolorem i haftem.



UWAGA. — Staszic wielokrotnie przekreślał i przepisywał ten paragraf, z trudnością mogłem go ułożyć w takim porządku, jak podaje.

## ARTYKUŁ VII.

### *Obrady różnych zgromadzeń akademickich, wybory i nominacje na rozmaite urzędy.*

- § 1. Jakie obrady każde zgromadzenie akademickie przy szkole wydziałowej, departamentowej i głównej ma miejsce, to wskaże organizacja wewnętrzna każdej z pomienionych szkół.
- § 3. Sama tylko Akademia ma wybory Dziekanów i Rektora. I tych, podług wewnętrznego urzędzenia, podaje na zatwierdzenie Magistratury edukacyjnej.
- § 3. Akademia ze swojemi wydziałami ma prawo wszystkich uczniów, kończących w kraju nauki i chodzących z jej fakultetów nominować podług przepisów od Najwyższej Magistratury ustanowionych i każdemu podług jego doskonałości w naukach na stopień licencyata, magistra i doktora. To trojake oznaczenie zdolności podług dekretu króla i podług planu szkół, przez Magistraturę ułożonego, jest cechą kwalifikacyi na profesorów w rozmaitych szkołach, i cechą kwalifikacyi dla komisji egzaminacyjnych na urzędy krajowe.
- § 4. Z osób, z różnych fakultetów wyszłych, a przez Akademię ustopniowanych, wybiera Dyrekcyja i nominuje profesorów, nauczycieli i kollaboratorów do wszystkich szkół w kraju.
- § 5. Z osób, z fakultetu prawa i administracyi wyszłych, a przez Akademią powyższym z trzech stopniów ukwalifikowanych, komisya egzaminacyjna departamentowa i najwyższa egzaminacyjna wybiera za poprzednim własnym egzaminem na różne urzędy krajowe.
- § 6. Z osób z fakultetu lekarskiego wyszłych, a przez Akademią oznaczonych, jednym, lub dwiema, albo trzema z powyższych stopniów wybiera na krajowe urzędy lekarskie najwyższa Rada lekarska.
- § 7. Z osób, z fakultetu teologicznego wyszłych, a przez Akademią powyższemi stopniami ukwalifikowanych, wybierają konsystorze na dziekanów, kanoników, prałatów.

## ARTYKUŁ VIII.

*Zwierzchnia władza sądowa.*

- § 1. Księga kary i nagród przy wewnętrznej organizacji jest przepisana.
- § 2. W każdym sporze między uczniami i profesorami, albo między samymi profesorami, pierwsza instancja do Rektora, druga do miejscowego dozoru, trzecia do Najwyższej Magistratury edukacyjnej.

Z autografu przepisał i słowem wstępem poprzedził

DR SZELIGA.

# PIŚMIENNICTWO.

---

**PROF. BRONISŁAW DEMBIŃSKI:** „Źródła do dziejów drugiego i trzeciego rozbioru Polski”. Tom pierwszy. Polityka Rosyi i Prus wobec Polski od początków sejmu czteroletniego do ogłoszenia konstytucyi trzeciego maja. 1788 — 1791.

Rozbiór rozległej i możnej Rzeczypospolitej—powiada w przedmowie prof. Dembiński — nie jest jeszcze, pomimo cennych wydawnictw i umiejętnych prac, dostatecznie zbadany. Zdziałano wprawdzie na tem polu w literaturze naszej historycznej nie mało, ale, mimo to, zostało otwarte szerokie pole dla badań nad tą epoką, największych nadziei i największych nieszczęść.— Od szeregu lat celem pracy prof. Dembińskiego było, aby z archiwów zagranicznych, w Berlinie, Moskwie, Wiedniu, Dreźnie, Paryżu i Londynie, odszukać nowe, uzupełnić dawne materiały, zebrać zwłaszcza korespondencyę dyplomatyczną dworów, najwięcej interesowanych, jako to, rosyjskiego i pruskiego. Równocześnie należało pilną zwrócić uwagę na krajowe archiwa publiczne i prywatne, aby poznać i zużytkować korespondencyę mężów, o których w stanowczych chwilach opierały się najważniejsze sprawy, jak Ignacy Potocki i Stanisław Małachowski.

Tom pierwszy, na szersze rozmiary zamierzonego wydawnictwa, obejmuje głównie korespondencyę rosyjską i pruską od początku wielkiego sejmu aż do ogłoszenia konstytucyi trzeciego maja. W stosunkach przyjaznych i nieprzyjaznych prusko-rosyjskich, sprawa polska była zawsze pierwszorzędnego znaczenia, stanowiła najważniejszą i najdrażliwszą punkt porozumienia i nieporozumienia. W przededniu sejmu z 1788 roku, najwięcej myśl zapowiedzianego przymie-

rza Polski z Rosyą dotknęła i zaniepokoiła Prusy. Król pruski nie chciał do tego dopuścić, i wolał użyć tej samej broni przeciw Rosji. Prusy też rozżarzyły silny ogień w Rzeczypospolitej, którego odkryć w czas nie potrafił Alopeus, poseł cesarzowej Katarzyny w Berlinie. Alopeus odpierał zarzuty, że się dał uwieść podstępny pogłoskom, tem zapewnieniem, że w przedstawieniu położenia polegał na skrupulatnem zbadaniu faktów i na niezawodnych informacjach, których źródła wymienić nie może, chyba przez kuryera, albo ustnie. Jako fakt podawał on, że generał Möllendorf przekonał króla Fryderyka Wilhelma II-go o stanowczych niekorzyściach zaczepnej wojny. Ten król pozostaje jednak sam z sobą w niezgodzie, różnym ulegając wpływom i sprzecznym wieściom. Raz uważał on wojnę za nieszczerść, a później rwał się do niej, pchany ambicyą i żądzą wawrzynów wojennych. Stąd płynęła ustawiczna chwiejność i sprzeczność w postanowieniach. Najpoważniejsze racje ustępują płytkim refleksyjom, że trzeba spełnić zobowiązania, wzięte na siebie nieszczęśliwie wskutek chwilowego rozdrażnienia.

Powyzsza współczesna charakterystyka Fryderyka Wilhelma II-go jest zupełnie trafna. Indywidualność jego, pozbawiona wszelkiej równowagi, pełna jaskrawych sprzeczności między mglistym idealizmem a trzeźwym oportunizmem, między przygniatającą tradycyą Fryderyka II-go, a osobistą miłością własną i ambicyą, ta indywidualność monarchy przebijająca się w polityce wewnętrznej i zewnętrznej, utrudniając wszelkie kombinacje. Alopeus mimo to podnosił z naciskiem, że przez piętnaście miesięcy swego pobytu w Berlinie przyczynił się do powstrzymania zapalu wojennego pruskiego dworu, i że w przyszłości także nie padnie ofiarą intrygi; przepowiadał w końcu, że stałość Katarzyny odniesie tryumf, i przepowiedział znowu trafnie. Pomimo wszelkich świadomych, lub nieświadomych fałszów, lub niedokładności, raporta Alopeusa, właściwego reprezentanta Rosji w Berlinie, w groźnej chwili naprężenia, są cenne, jako wyraz polityki pruskiej i rosyjskiej. W tej grze skomplikowanej wyćwiczonych partnerów, częściej Prusy były ofiarą intrygi, niż Rosya.

Do Petersburga przybył w roku 1788 Henryk hr. Goltz, dyplomata pruski małej miary i małego doświadczenia, wrażliwy i dręczony własnymi pomyłkami. Goltz przekonał się wkrótce, że w Petersburgu trudno fałsz od prawdy rozróżnić, drżał wprost, aby nie przedstawić kombinacji zwodniczych, a jednak mimo wygórowanej skrupulatności, popełniał przykre błędy, tem przykrzejsze i dla niego osobiście dotkliwsze, że dały one powód w Berlinie do złudnych na-

dziei. Zmęczony swą nieustanną misją, walcząc wciąż z trudnościami, Goltz pragnął opuścić Petersburg na początku 1790 roku w przekonaniu, że na nic się nie zda. Jeżeli Alopeus skarżył się na ciernie, to i Goltz miał również ciężkie chwile w Petersburgu, tem cięższe i więcej znamienne, że misya jego była całkowicie formalna i urzędowa. Wobec zmienności i chwiejności pruskiej polityki, prof. Dembiński uważał za stosowne zwrócić uwagę na bezpośrednią korespondencyę króla z posłem. Korespondencya ta jest wogóle identyczna z ministeryalną, i nie różni się od niej zasadniczo. Raz tylko jeden król dał instrukcyę, odmienną od ministeryalnej, wyrażając zdanie, że nie można do Rosyi zwracać się z żądaniem, aby była agentem pruskim w Polsce. W Berlinie nie było też wobec Rosyi dwóch odmiennych kierunków polityki. W gruncie rzeczy przeważał kierunek, który zmierzał do pokojowego porozumienia się z Rosyą.

Oprócz Goltza, agent dyplomatyczny, v. Hüttel, przebywał od kilkunastu lat w Petersburgu, doświadczony i wytrawny, obeznany doskonale z terenem, instruktor i mentor posłów pruskich na dworze rosyjskim, Hüttel cieszył się większem zaufaniem w Berlinie, niż Goltz. Korespondencya jego objaśni niektóre ważne momenty. W osobnym dodatku znajduje się część korespondencyi, przeważnie całkiem poufnej, Fryderyka Wilhelma II z Hertzbergiem na początku maja 1790 roku. Z korespondencyi owej pokazuje się, że Fryderyk Wilhelm II potwierdzał własnoręcznie propozycyę Hertzberga, odnoszące się do Rosyi, i to bezpośrednio po zawarciu traktatu z Polską. Minister sądził, że tymczasem będzie można Turków, Galicyan i Brabanczyków półśrodkami uspokoić.

Korespondencya prywatna Hertzberga z Lucchesinim pozwala twierdzić, że przez dłuższy czas nie było zasadniczej różnicy między ministrem a posłem. Lucchesini kilkakrotnie otwierał swe serce przed Hertzbergiem, który ze swej strony nie szczędził mu gorącego uznania. Obydwaj godzili się na konieczność wojny na wiosnę i latem roku 1789, a Hertzberg obawiał się, że się zmarnuje ostatnią godzinę. Lucchesini wyobrażał sobie, że wojna z Rosyą skończy się pokojem w krótkim czasie. Pokój ten miał przynieść monarchii pruskiej Gdańsk i Toruń, oraz niektóre województwa wielkopolskie, dom Hohenzollernów miał stanąć u szczytu świetności i potęgi. Pokazuje się więc, że Lucchesini chciał jeszcze więcej, niż Hertzberg, przysporzyć ziemi Prusom, głównie kosztem Rzeczypospolitej. Lucchesini był też śmielszy w swych kombinacjach i więcej bezwzględny. Stackelberg zarzucał mu, że postępował w Polsce nie jak poważny minister, ale jak opętaniec, jak Orlando furioso.

Gdy plany zaokrąglenia monarchii pruskiej spelżyły na niczem, Lucchesini ratował swój kredyt w Polsce tem, że odpowiedzialność zwałił na Hertzberga za pretensye, które obudziły nieufność w przedniu zawarcia przymierza. Ale dziś wiadomo, że kombinacye Lucchesiniego były jeszcze może groźniejsze. Przytem Lucchesini był przygotowany na zdradzenie Polaków w dogodnej dla Prus chwili. Gdy Hertzberg zarzucał mu, że dąży jednocześnie do wojny z Rosyą i Austryą, odpowiedział wyraźnie, że chodzi mu wyłącznie o Prusy, a więc Polacy nie będą go wcale ambarasowali, gdy będzie robił pokój. W korespondencyi ministra rosyjskiego, ks. Golicyna, podanej w tomie pierwszym tylko fragmentarycznie, przebija się wyraźnie stosunek obu dworów cesarskich, oraz rozgoryczenie i rozdrażnienie Imperatorowej z powodu despotycznego tonu, rażących pretensyi, szykan i subtelnych podstępów dworu pruskiego. Ciekawem jest odkrycie, że alarmujący projekt o rozbiorze Polski w marcu 1791 roku, przypisywany Prusom, wyszedł z petersburskich kół dyplomatycznych, którym zależało na tem, aby podkopać zaufanie Polaków do Prus i Anglii.

W końcu tomu pierwszego zamieścił prof. Dembiński korespondyę dyplomatyczną agentów francuskich, Auberta i Bouneau z Warszawy. Nie dorównywa ona co do swego znaczenia korespondencyi rosyjskiej i pruskiej, ale przecież ciekawą jest z wielu względów. Aubert pozostawał od kilkunastu lat w bliskich stosunkach ze Stackelbergiem, notuje też pilnie, co się od niego dowiedział. Z tych stosunków wynikła niezawodnie pewna zależność i niezaprzeczone uprzedzenie do Polski, stąd ton krytyczny w omawianiu działalności i całej polityki wielkiego sejmku. Aubert przepowiadał burzę, widział ją już na widnokręgu, utrzymywał zawsze, że dwór pruski nie postępuje z dobrą wiarą, że fiskalne, zaborcze zamiary zwrócą się przeciw Rzeczypospolitej. Aubert stwierdzał razem z Bouneau, że zaufanie do Prus pod koniec roku 1790 było coraz mniejsze. Raporta obu dwu agentów zawierają oprócz sądów, mniej lub więcej podmiotowych, pozytywne fakta i różne zajmujące szczegóły. Bouneau, pełen życzliwości dla Polski, daje po większej części słuszną ocenę wypadków, podnosząc, że w zapatrywaniach narodu oświata wywołała przewrót, że dokonała się zdumiewająca zmiana, której nikt nie przeczuwał. Zbliżała się właśnie rewolucya, którą przestraszony Hertzberg uważał za jeden z najważniejszych faktów swego wieku.

W końcu swej przedmowy oświadcza prof. Dembiński, że niezawodnie w tajnych archiwach mieszczą się jeszcze do tej epoki ważne,

nieznane nam materiały. Trudno było jednak w ograniczonym czasie wszystko ogarnąć i zebrać. Pociaszamy się przeświadczeniem, że treść tomu pierwszego rzuci sporo światła na doniosłą chwilę dziejową, w której ważyły się losy Rzeczypospolitej. Nie wszystkie akta odnoszą się wprost bezpośrednio do sprawy polskiej, ale pośrednio pozostają z nią w bliskim związku, jak w bliskim związku była podówczas polityka polska z europejską.

Poza dokumentami, mającemi dla spraw Rzeczypospolitej jedynie pośrednią wartość, znajduje się w pierwszym tomie sporo źródeł, rzucających pierwszorzędne światło na ówczesną dobę dziejów polskich. Pokazuje się z owych źródeł wyraźnie, że postępowanie Prus względem Rzeczypospolitej było zawsze nacechowane złą wiarą, i że za Fryderyka Wilhelma II, tak jak za Fryderyka II, myślano jedynie o komunikowaniu się ciałem Polski. Rząd pruski żywił też stale program utrzymywania anarchii w Rzeczypospolitej i niedopuszczania do żadnej reformy, któraby organizm państwowy polski wzmocnić zdołała. Dziedziczny monarchizm, liczniejsza armia, zniesienie libérum veto, wszystko to były widma, przejmujące trwogą Hohenzollernów, a najciekawszem świadectwem poglądów pruskich na przyszłość Rzeczypospolitej jest krótka depesza Hertzberga do Lucchesiniego w dniu 12 maja 1791 roku, oświadczająca, że: „Les polonais viennent de donner le coup de grâce à la monarchie prusienne, en rendant le royaume héréditaire et en se donnant une constitution, qui vaut mieux que celle d'Angleterre”. Tom pierwszy „Zródła”, zebranych starannie i pracowicie przez prof. Dembińskiego, stanowi dla naszej historyografii cenny nabytek, rzucający na dobę sejmu czteroletniego sporo nowego światła.

A. R.

---

MACIEJ LORET: „Między Jeną a Tyłżą”, 1806 — 1807. Tom drugi. Monografia w zakresie dziejów nowożytnych (wydawnictwo prof. Askenazego).

Studjum p. Loreta poprzedził prof. Askenazy przedmową, w której zaznaczył, że krótka doba dziejowa między Jeną a Tyłżą dopominała się ścisłego, umiejętnego zbadania. Mieszczą się w tym czasie sprawy wielkie, doniosłe, a niedostatecznie zgłębione, niedo-

cenione należycie. Krótki, kilkumiesięczny zaledwie okres, wypełniony jest po brzegi olbrzymią, gorączkową a zawiłą akcją militarną, dyplomatyczną i polityczną. Należyte oświetlenie i bezstronna ocena tej skomplikowanej akcji może dopiero dostarczyć podstawy dla właściwego pojęcia i słusznego sądu o wzajemnym stosunku Europy a Polski w doniosłym przesileniu przedtylżyckim, a w szczególności o ówczesnem zachowaniu się Napoleona względem sprawy polskiej, oraz o samej genezie Księstwa Warszawskiego. Autor pominął zupełnie sprawę wojenną, a uwzględnił przedewszystkiem stronę polityczno-dyplomatyczną rzeczy. Rozważając jednak powyższą stronę „pierwszej kampanii polskiej“, nie mógł autor pominąć całkiem współczesnych, niepomiernych wysiłków krajowych w ziemiach polskich, wyzwolonych przez oręż napoleoński z pod władzy pruskiej. Autorowi udało się niewątpliwie ocalić niejedną szczegół od zapomnienia, a przedewszystkiem uwydatnić niezwykle, organizacyjny talent generała Dąbrowskiego.

Autor na wstępie swego studyum skreślił nam szczegółowo stosunki dyplomatyczne Rosyi, Prus i Austrii do Francyi w przededniu katastrofy Jenajskiej. Wracając się do specjalnych stosunków polskich, autor zaznaczył, że mocarstwa interesowane z powodu rozbiórów musiały się liczyć z dzielnicami polskimi. Polacy ze swej strony lgnęli do Napoleona, spodziewając się przez niego odzyskać niepodległość polityczną. W tych czasach pojawiły się różne próby rozwiązania kwestyi polskich. Już w roku 1805 ks. Adam Czartoryski podał Aleksandrowi I projekt przyłączenia ziem całej Rzeczypospolitej do Rosyi tytułem unii osobistej. Plan ten, jak wiadomo, rozchwiał się najzupełniej. Kiedy w roku 1806 zaczęto rozważać w Berlinie prawdopodobieństwo wojny Prus z Napoleonem, wówczas ks. Antoni Radziwiłł zwrócił uwagę króla pruskiego na pierwszorzędnę znaczenie sprawy polskiej w przewidywanym światowym zatargu, radząc, by król pruski przybrał tytuł króla polskiego. Rząd pruski—pisał Radziwiłł — powinien uformować na wypadek wojny korpus polski, a tym sposobem dowiedzie zaufania, jakie pokłada w nowych prowincjach i wzbudzi je też w polskich poddanych. Część rosyjska Polski zachowała swoje przywileje, język i zwyczaje, dzięki cesarzowi Aleksandrowi. W części pruskiej wszelkie nadużycia od czasu ostatniego panowania zostały usunięte, a użyteczne instytucye, miasta w lepszym rozwoju, pola lepiej uprawne, w końcu prawdziwa wolność, oparta na roztropnych i trwałych prawach, oto dobrodziejstwa, któremi się cieszą mieszkańcy obu brzegów Wisły. Ale Napoleon nie zapomni wzniecić ognia niezgody, którego płomień żywi od pewnego czasu



w legionach polskich. Należy przeto uprzędzić zamiary Napoleona. Niech król pruski przybierze miano króla Polski, niech cesarz rosyjski dorzuci do swoich tytułów tytuł króla Litwy. Te dwa tytuły wystarczą, by zelektryzować dwa narody, niegdyś odrębne. W ten sposób zniweczy się zamysły, tkwiące oddawna w płodnej głowie Bonapartego, przy których pomocy zamierza wstrząsnąć resztą Europy.

W ścisłym związku logicznym z projektem Radziwiłłowskim jest nieco późniejszy memoriał ministeryalny Steina. W tym niezmiernie ciekawym dokumencie z czerwca 1807 roku, dał on wyraz zapatrywaniom na ówczesną kwestyę polską. Stein domagał się zmiany formy rządu w nowych prowincjach pruskich, to jest w dzielnicy polskiej, motywując swe zdanie historyczną przeszłością kraju. Przyznaje on, że naród polski posiada szlachetną dumę, chęć czynu, „energię“, dzielność i gotowość poświęcenia się za ojczyznę i wolność. Przytem jednak posiada brak wytrwałości w poczętych przezeń zamiarach, chociaż inne wytykane mu wady, jak zmysłowość, pieniacstwo, lekkomyślność powstały głównie z powodu mieszania się obcych. Naród powinno się jednak wychowywać i uszlachetniać w jego indywidualności, a nie uciskać i ujarzmić objawami zniechęcenia przezeń dwulicowej dobroci. Bezpośrednią drogą, prowadzącą do tego celu, jest nadanie ludności polskiej wolności, samodzielności i zapewnienie jej obrony praw. Należy zapewnić rozwój zakładom naukowym, przedewszystkiem zaś szkołom ludowym i przystępnem uczynić gruntowne wykształcenie dla szerokich mas ludności i podnieść stopień wykształcenia u duchowieństwa.

Naród polski — mówi baron Stein — jest dumny ze swej narodowości, z boleścią spogląda na zanik swej mowy i mienia, nienawidzi rządu pruskiego, który mu tę krzywdę wyrządza. Zadowoli się go i zjedna dla państwa, nadawszy mu ustrój, który zaspokoi jego indywidualność. Pochwala on wysoce roztropny memoriał Radziwiłła, proponujący zmianę nazwy Prus południowych i uowoschodnich na nazwę Polski i przybrania tytułu króla Polski przez króla pruskiego. Idzie nawet dalej, żąda namiestnika krajowca i rady przybocznej namiestnictwa z siedzibą w Warszawie, ustroju stanowego, przekształcenia biurokracyi krajowej. Tem wszystkim — zaznacza Stein — wzbudzi rząd ufność w ludności polskiej, a wskazując jej cel w pracy koło własnego podniesienia, zrobi ją przystępną dla dobra płynącego dla niej z połączenia z Prusami. Wszystkie te plany nie wyszły jednak ze stadyum zamysłów i nie miały najmniejszego wpływu na bieg wypadków.

Tymczasem 19 lipca 1806 roku. Napoleon przyjął laskawie deputację obywateli z Poznańskiego, zachęcając wyraźnie Polaków do powiększenia sił jego militarynych. Po niestanowczej bitwie pod Eylau Napoleon próbował ofiarować Koronę polską królowi pruskiemu, ale propozycja została odrzuconą. Bitwa pod Friedlandem przywróciła moc dawnym zamiarom i Napoleon postanowił nadal brać jedynie Rosyę w rachubę. Dąbrowski złożył mu dokładny plan zorganizowania wojennego Wielkopolski, podług którego armia Napoleońska zyskiwała 63,275 ludzi, pełnych męstwa i nieklamanego zapалу. Młode hufce brały już dłuższy udział w bitwach pod Tczewem, w oblężeniu Gdańska i w bitwie pod Friedlandem. Nic więc dziwnego, że po odniesionem stanowczem zwycięstwie, ludność polska wyczekiwała z niecierpliwością gorączkową przyszłych losów oderwanej od Prus dzielnicy.

Tymczasem Napoleon w Tylży wystąpił z myślą zgola niespodzianą i uderzającą swoją śmiałością, a mianowicie, zaofiarował cesarzowi Aleksandrowi całą dotychczasową dzielnicę Prus w postaci unii dziedzicznej imperyum rosyjskiego z koroną polską. Myśl cesarza francuskiego była głęboka i doniosła. Napoleon pojmował dobrze, że w ten sposób nietyle wzmocni, ile równocześnie pohamuje potęgę rosyjską, na którą, oczywiście, związek z Polską kładł najrozmaitsze, nader skomplikowane obowiązki. Już sama organizacja tego kraju była-by rzeczą nadzwyczaj długotrwałą i trudną. A następnie, Polska, związana z Rosyą, musiała-by samem swoim istnieniem wywierać wpływ bardzo poważny, a niewątpliwie pod każdym względem zbawienny na ogólną politykę rosyjską, hamując jej dotychczasowe, zbyt ekspansywne, postępy. Związek taki Polski z Rosyą godził bezpośrednio w dwa inne mocarstwa rozbiorowe: Prusy i Austryę, stawiał Rosyę w sprzeczności względem Prus natychmiast, zaś względem Austrii w najbliższej przyszłości. Na podobnem ukształtowaniu stosunku trzech mocarstw rozbiorowych mogły-by oczywiście tylko zyskać bezpieczeństwo i powaga Francyi i Napoleona, jako superarbitra Europy.

Aleksander I już wtedy przewidywał ewentualność nowego starcia z Francją, zatem musiał brać pod uwagę Prusy i Austryę. Zresztą chwila była za wczesna, jeszcze za świeża porażka, doznana od francuskiego nieprzyjaciela, za świeże przymierze, zawarte z pruskim sojusznikiem, ażeby można było zaraz na poczekaniu z rąk francuskiego pogromcy wziąć polską zdobycz na pruskim sprzymierzeńcu. Jednem słowem, cesarz Aleksander odmówił przyjęcia Polski w Tyl-

ży, gdyż ofiara Napoleona wydała się zbyt wielką i zbyt w tej postaci unii uciążliwą. Wolał raczej przeczekać, gdyż zamiast takiej ofiary, dogodniejszy był twór tymczasowy i pośredni, sam przez się do życia niezdolny, przeznaczony naturalnym biegiem czasu i okoliczności stanowić przyzwoitsze i korzystniejsze przejście ze stanu sąsiedztwa do stanu zjednoczenia. Aleksander więc nie tylko udzielił odmowy, ale, co więcej, idąc za przykładem Napoleona, na jego mistrzowskie posunięcie na szachownicy odpowiedział wprost przeciwną, a równie subtelną propozycją. Podsunął mianowicie myśl ze swej strony powołania na tron sasko-warszawski Hieronima, brata Napoleona. Powołać na tron sasko-warszawski Hieronima, — odpowiedział Napoleon Aleksandrowi notą z 4 lipca 1807 roku, — znaczyłoby to w jednej chwili zniweczyć cały nasz stosunek, byłoby to błędem politycznym, powodującym zerwanie traktatu przymierza i przyjaźni, i już teraz przygotowalibyśmy w ten sposób podstawę do nieporozumienia bardziej realną od wszystkich, dotychczas istniejących. Obaj gracze odrzucali sobie tym sposobem niebezpieczne brzemie sprawy polskiej, a z tych wszystkich eksperymentów zrodziło się Księstwo Warszawskie, jako twór kompromisowy, uwarunkowany przez okoliczności chwili, a bynajmniej nie jako jednostronne, dobrowolnie uplanowane i wykonane dzieło Napoleona.

Dawna też legenda o powstaniu Księstwa Warszawskiego znika zupełnie. Na podstawie niezbitych dokumentów pokazuje się, że istotnym twórcą Księstwa Warszawskiego jest Aleksander, a nie Napoleon. Księstwo Warszawskie rozstrzygało kwestyę polską połowicznie i niezadawalająco, przytem było dotkliwem rozczarowaniem dla wielu. Nie można jednak o takie rozstrzygnięcie obwiniać Napoleona. Wszakże on chciał zrazu, jakimikolwiek bądź miały być jego pobudki, pójść inną drogą. Napotkał na niej opór cesarza Rosyi. Napoleon nie mógł na razie rozwiązać tej kwestyi inaczej, jeżeli dążył do śpiesznej pacyfikacji. Do pacyfikacji pośpiesznej zmuszony zaś był niewątpliwie położeniem swem politycznem, zarówno jak i militarnem.

Monografia p. Loreta zawiera wiele bardzo ważnych i nieznanych szczegółów, dotyczących przejściowej epoki między Jeną a Tylżą. Nietylko streszczenie memoriału Steina jest ciekawem i doniosłem, albowiem w Pertza wydaniu pism Steina starannie memoriał powyższy pominięty został, ale i inne dokumenty, jak naprzykład memoriał generała Dąbrowskiego, stanowią prawdziwą ozdobę pracy. Przekonanie p. Loreta, że cesarz Aleksander I jest właściwym

twórcą Księstwa Warszawskiego, jest wyrozumowane gruntowni i udowodnione należycie. Trzeba też przyznać autorowi, że o tym fakcie było w historyografii głucho, a jednakże burzy on dotychczasową legendę napoleońską odnośnie do Księstwa i rzuca na stosunek Napoleona do spraw polskich nowe światło. Wreszcie stosunki dyplomatyczne ówczesne mocarstw odtworzył p. Loret starannie i gruntownie. Monografia jego pozostanie też poważnem i niezmiernie interesującym studyum historycznem.

A. R.

---

STANISŁAW ZDZIARSKI: „Bohdan Zaleski”. Lwów. Towarzystwo wydawnicze, 1902 roku.

Z większych prac o B. Zaleskim „Wspomnienia“ Seweryny Duchinińskiej są za mało krytyczne; Hugo Zathay pisał o „Młodości“ poety; wreszcie szkic P. Chmielowskiego (w 2-jej seryi „Studyów“) nie jest zbyt obszerny i powstał w czasie, kiedy odpowiednie materyały były jeszcze dość skąpe. P. Zdziarski miał do rozporządzenia źródła, dawniej nieznane, zwłaszcza świeżo wydaną korespondencyę poety i jego pisma pośmiertne, miał dostęp, pośrednio przynajmniej, do rękopisów, przewertował pilnie roczniki pism i ważniejsze wydania poezyi i tak uzbrojony wydał dzieło o wartości trwałej i niewątpliwej. Niemożliwa wprost dotąd chronologia utworów Zaleskiego staje się obecnie niekiedy pewną, owdzie zaś względnie przynajmniej określoną i wiarogodną. Dziś już niewłaściwą byłby rzeczą podział twórczości autora „Rusalek“ na dwa ściśle odrębne okresy (Chmielowski w „Studyach“), jeden—bezpretensjonalnego piosenkarza ukraińskiego, drugi (po r. 1831)—doba wieszczów, doba religijnego namaszczenia. Jakkolwiek ten drugi żywioł występuje istotnie dopiero po wskazanym czasie, jednak, równolegle z nim, po dawnemu rozwija się i trwa ów pierwszy: tęsknota i miłość do przyrody i pieśni „Materczyzny“ (Ukrainy) i usiłowanie ożenienia nuty ukraińskiej ze słowem polskiem, czy to ostatnie będziemy brać w ściślejszem znaczeniu, czy też jako chęć pogodzenia zwaśnionej braci.—Dzięki pracy p. Zdziarskiego etapy twórczości poety i zmiany jego usposobienia pod wpływem okoliczności zewnętrznych przedstawiają się nam o wiele wyraźniej, niż dotychczas; wiele też błędnych szczegółów sprostować

obecnie możemy. Wogóle, co mógł autor zdobyć za pomocą pracy wytrwałej i sumiennej, to wszystko nam dał; z obowiązku na się przyjętego wywiązał się prawie bez zarzutu.

Prawie, bo zarzut przecież się znajdzie. Zbytni pośpiech obniżył wartość niejednego ustępu. Drukując w pismach oddzielne rozdziały, w miarę jak mu pod piórem wyrastały, nie uznał za potrzebne zharmonizować ich później; stąd rozwlekłość, powtarzania, a niekiedy i sprzeczność się jakaś znajdzie: tu jakiś szczegół, pozbawiony swej podstawy dowodowej, owdzie inny, zostawiony w błędnym oświetleniu. Autor np. gorszy się, że wszyscy biografowie wyznaczają rok 1815, jako datę wstąpienia Bohdana do szkół humańskich, „kiedy na podstawie zwykłego rachunku można było dojść bez trudu do najpewniejszej w tym względzie wiadomości“ (15). Cofając się wstecz od daty wystąpienia (r. 1819/20), znajdziemy rok 1812/13 dla klasy pierwszej. Całe to rozumowanie łatwo obalić uwagą, iż przyszły poeta niekoniecznie miał do klasy pierwszej wstępować, a innego argumentu nie znajdujemy. Albo niżej, autor wyraża przypuszczenie, że Zaleski nie słucał systematycznie wykładów w uniwersytecie, a na dowód przytoczono wieść, iż miał wyjechać za granicę na koszt rządu, by się sposobić na profesora.

Chwila namysłu pozwoliła-by autorowi sprostować i ten szczegół. Wiersz „Odmiana“ miał powstać w początkach 1826 r. i zawiera „płacz serdeczny za ukochaną“ — owoc nieporozumień z p. Różą Żukowską. A dowód „...struny mi się mącą... kiedyś brzmiały rycerskim zapalem. Dziś męskie dumy tak nagle skonały... Ach, okiem oko Zoryny spotkałem I, syn Bojana, gardzę sławą brzmiającą“. W przytoczonych słowach niema wcale „płaczu“, jest tylko wyznanie, iż „sława brzmiająca“ (duma historyczna), ustąpiła miejsca pieśni miłosnej. „Odmiana“ jest sonetem, pierwsze może zastosowanie formy przez Mickiewicza odnowionej, a jego „Sonety ukazały się pod sam koniec 1826 r., kiedy nieporozumienie poety z kochanką było już naprawione. Jeszcze jeden przykład. Na str. 215 spotykamy wiadomość, że utwór „Smutki“ powstał w Endoume (pobyt nad morzem 1827—38). Na str. 263 autor, omawiając twórczość religijną poety z tego okresu, zaznacza: „ostatni nareszcie z hymnów teraz napisanych p. t. „Smutki.“ Ale w przypisku sprostowanie: „Utwór ten pochodzi z okresu poprzedniego.

Więc czegoż ostatecznie trzymać się mamy? Może tę trudność rozwiąże nam sama treść „modlitwy“ (nie „hymnu“!). Poeta zali się na swą niemoc, gdy oto „świeżo w niedawno co minionej wiosnie..

z dzikich, bezludnych, pomorskich wybrzeży“ piers jego „Panie o Panie, od ziemi w żałobie Jutrznję i Nieszpór śpiewała ku Tobie“. „Niebo wysokie, iskrzące nade mną, pode mną — sine, niezgłębione morze..“

Szczegóły te najdokładniej wskazują brzeg Prowancyi, który poeta już opuścił, a więc i wiosna „świeżo miniona“ nie jest jakąś przenośnią, lecz wprost wiosną 1838 r., kiedy na brak natchnienia autor „Hymnów i modlitw“ nie mógł się uskarżać. Datą utworu jest więc może początek jesieni 1838, nie „okres poprzedni“. A czyż nie jest to również dowodem pospiechu, nazbyt gorączkowego, gdy autor np. mówiąc o hymnie „Welykdeń“, przytacza wyrażenie z innego utworu (Dies irae, str. 376)?

Ale to wszystko drobiazgi. Powtarzam, z obowiązku swego wywiązał się p. Zdziarski należycie, pracy i sumiennosci nie poskąpił. Ujemne strony dotkliwiej dadzą się uczuć gdzieindziej. Mianowicie, brak autorowi umiejętności wyrazistego przedstawienia rzeczy i zdolności skupiania się. Jest on słabym syntetykiem i... estetykiem. Z jednego ustępu szkicu Chmielowskiego pozostanie nam jaśniejsze np. pojęcie o różnicy między pierwotnymi, sentymentalnymi wpływami Brodzińskiego, a późniejszymi Mochnackiego, niż z książki autora. Parę wierszy popularnego dzieła prof. Brücknera dobitniej zaznacza koloryt dumek Zaleskiego i zasadniczą różnicę między tym kolorytem, a znamieniem poezyi ukraińskiej, niż to sprawić mogły długie wywody i sumienne zestawienie p. Zdziarskiego. Trochę tu zawinił ów pospiech w pracy, cokolwiek i metoda, dążność do zupełnego wyzyskania wszystkich nasuwających się szczegółów bez uwagi na to, czy przyczyniają się one do wyświeatlenia duchowego ohlicza wieszczą lub właściwości utworów jego. Po co np. troskliwe przepisywanie (i to rok po roku) rozkładu nauk w szkole humańskiej, jeśli to ma pozostać martwym balastem? Metoda taka nie jest zresztą własnym wynalazkiem p. Zdziarskiego, więc w końcu mniejsza o to; ale, bądź co bądź, autor w przyszłości winien baczną uwagę zwrócić w tym kierunku, by jego dziś chwiejne i mętne zarysy zamieniły się w żywe obrazy ludzi lub zdarzeń, by jego wrażenia i sądy estetyczne wzięły na się jakiś pewniejszy kształt. Gdy w malowidle jego przedmiot dla niego samego nabierze wyrazistości, łatwo spostrzeże wówczas jak są nieużyteczne i nużące ciągle powtarzania w kółko tych samych myśli i spostrzeżeń; wówczas np. w epilogu, który sam przez się jest streszczeniem, nie syntezą, nie będzie podejmował dwa razy tego samego wątku, rozwijając go zupełnie identycznie.

Oto próbki charakterystyki autora. Wielu rymotwórców z początku ubiegłego wieku utonęło w niepamięci, nie utonął w niej Zaleski. Dlaczego? „Czyżby on był innym od reszty młodzieży?” I po głębszem zastanowieniu autor odpowiada. „Innym był, bo gdy tamci zmuszali się do tworzenia, jemu pieśń płynęła gładkim strumieniem...” Zaleski miał talent... Toż nie odkrycie! Zaleski milczał wtedy, gdy donośnie się rozlegał głos Mickiewicza, Słowackiego, Garczyńskiego, Gosławskiego... „Czy może miał mniej od nich uczucia?... Nie. Uczucia miał wiele... lecz... uczucie... długo nie mogło odzyskać równowagi”. No, a u tamtych, czemu równowaga nastąpiła? Rozstrząsając różne pierwiastki talentu poety, autor zastanawia się nad pytaniem: czy Zaleski miał rozum? Dostrzegł on zgubność zamętu panującego na wychodźstwie, „miał więc rozum i to nie mały...” (412) Wszak takie zdania trącą poprostu naiwnością. I podobnych wyjaśnień, nic nie wyjaśniających, sporo się znajdzie u p. Zdziańskiego.

To ogólna analiza talentu poety. Jak się przedstawi analiza ta w szczegółach?

Po znacznej przerwie twórczość Zaleskiego odradza się. Autor wyznacza tu dwa najbliższe etapy: pobyt w Alzacyi (1836) i pobyt na południu Francyi, aż do Towiańskiego (1837—41). Co znamionuje pierwszy okres?

Potęgowanie się uczucia religijnego. A drugi? To samo. „Zachodzi łączność nieprzerwana z latami spędzonymi w Alzacyi, a tym okresem, do którego właśnie przechodzimy”. Pisząc owe „Hymny” w Endoume (1837—8), Zaleski starał się, ażeby duchowe odrodzenie ogółu wychodźstwa, jakie się niedawno za sprawą Jańskiego rozpoczęło, prowadzić dalej i skuteczniej” (261).

Ale co się tyczy „Ducha od stepu” (1836 r.), wiedzieć to należy również, iż wiara, „że duchowe odrodzenie najwięcej pomódz zdoła... zaakcentowała się nader silnie” (193). Więc gdzież są wewnętrzne znamiona, odróżniające dwa okresy? Autor użył mechanicznej pobudki, by ułatwić sobie pracę, tylko tyle. Usunąmy dwuznaczny termin „odrodzenia”. Niech to będzie wprost powrotem do ścisłej wiary i przestrzegania praktyk religijnych, — spotęgowaniem pobożności i przeświadczeniem, iż na tej drodze pozyskamy łaskę Najwyższego. Takiej charakterystyce owoczesnego usposobienia poety nic nie podobna zarzucić; lecz czemuż autor dla zilustrowania swych myśli zwraca się do utworów, które (według wyrażenia Tyszyńskiego) mieszczą jedynie „zwykłe myśli chrześcijańskie”, nie przytaczając odpowiednich ustępów z „Przechadzki za Rzymem,” ze „Smutków”, gdzie

się poeta modli „za rozbląkane chrześcijańskie dusze“, lub wreszcie tych znamiennych słów „Naszej skruchy“, w których może najwybitniej wyraziła się „akcja“ Bohdana i późniejszych ojców Zmartwychwstańców: „Panie, panie, nakłoń ucha! W kilku sercach szczerą skrucha. W tej gorącej naszej skrusze lodowate roztop dusze“. Za skruchę, za modlitwy kilku, Pan ma spuścić swą łaskę... Jest to też mesyanizm sui generis. Przygodnie wyrazimy tu zdziwienie z powodu, iż autor w „Duchu od stepu“ dopatrzył się zamiaru odparcia doktryny mesyanicznej. Są tam „zwykle myśli chrześcijańskie, nie możemy więc uwierzyć, iżby, chociaż „wielu poetów odszukaniu prawdy poświęciło utwory, żaden z nich wszelako, oprócz Krasińskiego, nie zbliżył się tak do prawdy, jak nasz właśnie poeta“, i to we wskazanym utworze.

Uosobienie poety wystąpiło-by bez wątpienia w jaśniejszem świetle, gdyby autor potrafił otoczyć nas tą atmosferą, z której wyrosła poezya religijna Zaleskiego, z której powstał zakon Zmartwychwstańców,—gdyby zapoznał nas nieco z Jańskim i uczniami jego. A tem pilniejsza to była sprawa, że Zaleski, chociaż „miał rozum i nie mały“, twórczym umysłem nie był, czy jako zwierzchnik szkoły ukraińskiej (a ocena zasług poety w tym względzie ze strony p. Zdziarskiego jest chwiejna), czy jako późniejszy wieszcz. Lecz autor zamiast odpowiedniego tła zbywa nas kronikarskimi wzmiankami o poważniejszym wpływie „ludzi, zapatrzonych w wyższe ideały, w wyższe cele od tych, które miała na oku cała emigracya.“ (?) Należało wyższość tę ukazać.

Rozbiory estetyczne należą do najmniej udatnych ustępów. Zastępuje je autor chętnie streszczeniami lub wyręcza się cudzem zdaniem. W przedstawieniu autora niepodobna odróżnić „Rusałek“, tego kryształowego, napowietrznego gmachu fatamorgany upojeń młodzieńczych, od suchej, retorycznej kroniki „Ducha od stepu“. Szczegółowemu poddaje rozbiórowi „Przenajświętszą rodzinę“, doszukując się tu prawdopodobieństwa sytuacji, braku plastyczności, chwiejności kolorytu (połączenie rysów realistycznych i idealnych — zarzut chybiony, acz uświęcony tradycją) itp. Tymczasem wszystko to jest zbyteczne: w utworze niema poezyi, bo niema nic zindywidualizowanego, ani w uczuciach, ani w zdarzeniach. Cały sposób traktowania tematu przypomina „obrazki święte, na których wszystkie głowy zawsze z namaszczeniem są przekrzywione, a ręce w jednostajnym, konwencyonalno - urzędowym zachwycie wzniesione. Więc któż się troszczyć będzie o prawdopodobieństwo sytuacji itp. rzeczy?

Zbędną jest uieustanna pogcń autora za plastyką u Zaleskiego; zaufał on tu zbyt swym poprzednikom. Tu się jej nie może dopa-



trzyć, gdzie ona istnieje, gdyż poeta nie wspomniał, dajmy na to, o nosie jakiejś osoby: był zadarty, czy orli? Na co to komu?

Owdzie chce nas przekonać, że „brak plastyczności nie był wrodzony Zaleskiemu“, — co prawda, bezskutecznie, gdyż autor natychmiast sam sobie zaprzeczy (por. str. 294 i 295). Zaleski (według słownictwa Matuszewskiego) należał do twórców typu muzycznego, nie plastycznego. Wiadomo to bodaj od czasów Mochnackiego jeszcze.

Zadaniem więc krytyka nie będzie obrona poety od urojonego zarzutu, lub też wynajdywanie okoliczności łagodzących, lecz wyświetlenie tajemnicy oddźwięków, które powstają w naszym sercu.

Monografia p. Zdziarskiego jest pracą bardzo cenną, aczkolwiek nie wolną od błędów; czytelnik przecież zmuszony będzie samodzielnie stworzyć wizerunek duchowy poety i umieścić go na tle epoki... Materiały zaś znajdzie w dziele autora.

A. DROGOSZEWSKI.

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Na dotychczasowych posiedzeniach Rady rolniczej gub. Warszawskiej poruszono ostatnio dwie duże wagi dla kraju sprawy. Mamy tu na myśli sprawę taryf zbożowych i wychodztwo ludności włościańskiej na zarobki do Niemiec.

Co do sprawy taryfowej, to obrady toczyły się dookoła następujących punktów. Przedewszystkiem wskazano na fakt, że rolnictwo gub. Warszawskiej przy bardzo dogodnych warunkach przewozowych, mając dwa wielkie ogniska zbytu: Warszawę i Łódź, mogłoby ponosić bez trudu ciężary znacznie większej normy podatkowej, niż gubernie wewnętrzne, gdyby nie dotkliwe następstwa taryfy różniczkowej, tudzież zamknięcie granicy zachodniej dla wywozu zboża i bydła. Z obliczeń cyfrowych wynika np., że dostawa wagonu zboża z Uralu do Warszawy (2,321 wiorst) kosztuje 241 rubli 88 kop., z tej zaś miejscowości do Aleksandrowa (2,531 wiorst)—255 rubli 60 kop., czyli że na przestrzeń od Warszawy do Aleksandrowa, wypada cena przewozu wagonu zboża rb. 13 kop. 72. Tymczasem w taryfie miejscowej za przewóz wagonu zboża z Warszawy do Aleksandrowa, pobierana jest opłata 68 rb. 85 kop. Jaskrawy ten przykład stwierdza, że rolnik lub młynarz uralski za jednakową prawie cenę korzysta z rynków zewnętrznych i miejscowych, tutejszy zaś wytwórca rolny poprzestać musi na najbliższym rynku zbytu. Jak wiadomo, wprowadzenie taryfy różniczkowej miało za cel główny ułatwienie współzawodnictwa wytwórczości rolnej państwa rosyjskiego na rynkach zagranicznych, cel ten wszakże nie został osiągnięty, albowiem wywóz mąki za granicę zmniejszył się, na rynkach zaś wewnętrznych, blizkich granicy, pojawił się nadmiar mąki, przychodzącej z okolic dalszych.

Opierając się na takim stanie rzeczy, postawiono szereg wniosków, zmierzających ku polepszeniu warunków zbytu dla zboża miejscowego. I tak: zaznaczono potrzebę przywrócenia dla okręgu warszawskiego poprzednich zasad taryfy przewozowej; wskazano na konieczność podwyższenia opłaty za przewóz mąki w porównaniu ze zbożem do 20% i uzasadniono konieczność ustanowienia na zboże, wprowadzane z za granicy cła w takiej wysokości, w jakiej pobierane jest cło danego państwa od dowożonego z państwa rosyjskiego zboża; wreszcie zwrócono uwagę na to, aby w razie nieurodzaju, za każdorazową prośbą Towarzystwa rolniczego warszawskiego, stosowana była taryfa ulgowa na przewóz otrąb, słomy i siana.

Wnioski powyższe wywołały ożywione rozprawy, przyczem starły się opinie sfer kolejowych z opiniami rolników. Ostatecznie uchwalono, że zboże, idące z gub. wewnętrznych za granicę, powinno być przewożone według taryfy obecnej, zboże zaś miejscowe, według taryfy miejscowej, przy powrocie zaś z za granicy, tak zboże z gubernii wewnętrznych, jako też i miejscowe powinno być obłożone cłem. Co zaś do przewozu mąki, to taryfa na jej przewóz powinna być podwyższona o tyle, aby mielenie zboża w celu korzystania z obniżonej taryfy nie opłacało się. Rezultaty obrad nie są więc w stosunku prostym do wagi podniesionych kwestyi.

Jednocześnie omówiono także sprawę przywileju magazynów zbożowych na Pradze, wyzyskiwanego przez handlarzy zbożem z krzywdą dla tutejszego rolnictwa. Przywilej polega na tem, że handlarze zakupują zboże w gub. Cesarstwa i wysyłają je na przechowanie do składów praskich, a stamtąd sprzedają do różnych miast, korzystając z taryfy różniczkowej. W ten sposób przewóz jednego wagonu zboża z magazynów praskich do Łodzi kosztuje handlarza zbożowego 13 rb. 72 kop., podczas gdy rolnik nasz za tę samą przestrzeń musi zapłacić rb. 68 kop. 55. Korzystają w danym razie rolnicy z gubernii wewnętrznych, ale—handlarze. Wniosek, co do zniesienia tego przywileju uznany został przez radę jednogłośnie i w całej rozciągłości.

Co do wychodztwa włościan, to w przedstawionym na posiedzeniu Rady z dnia 11 grudnia r. z. referacie, omówiono obszernie jego przyczyny i stan obecny. Tutaj zwrócimy uwagę tylko na najważniejszą stronę kwestyi.

Wychodztwo ludności włościańskiej odbywa się u nas w dwóch kierunkach: wewnątrz kraju wędrują robotnicy ze wsi do miast i do większych ognisk przemysłowych — i na zewnątrz wydalają się za granicę w okresie robót polnych. Ruch ten nie ma charakteru zbiorowego. Większe partie tworzą się rzadko, najczęściej zaś robotnicy

wyruszają w kilku lub pojedynczo, wobec czego odpada kwestya urządzenia punktów sanitarnych i etapowych. Natomiast jest pożądaną rzeczą, aby na kolejach żelaznych zaprowadzona została stale klasa IV dla tej kategorii podróżnych, obecny bowiem regulamin, na mocy którego do pociągu przyczepia się wagon IV klasy, wówczas dopiero, kiedy zgłosi się partya 40 pasażerów, nie jest zgodny ze zwyczajami naszej ludności wiejskiej i stosowany być może raczej przy zbiorowych pielgrzymkach, niż przy ruchu zarobkowym włościan.

Przechodząc do wychodztwa na zewnątrz, głównie do Niemiec, zwrócono w referacie uwagę na fakt, że z powodu szybkiego i znacznego przyrostu u nas ludności wiejskiej i trudnego jednocześnie położenia rolnictwa w całym kraju, znaczna część ludności bezrolnej nie może znaleźć pracy w kraju i z konieczności, poszukując zarobku, udaje się za granicę. Próby skierowania partyi bandosów tutejszych do wewnętrznych gubernii Cesarstwa nie udały się, albowiem roboty trwają tam zbyt krótko, gdy w Prusach ciągną się przez 6 a nawet 8 miesięcy. W tych warunkach zatem wychodztwo uważane być musi jako zło konieczne, z którym skutecznie walczyć mogłoby tylko rzeczywiste podniesienie kultury rolnej w kraju. To ostatnie wszakże nie jest do wykonania łatwe, gdyż rolnictwo nasze z jednej strony z powodu taryf różniczkowych, jak o tem była mowa wyżej, nie jest w stanie wytrzymać współzawodnictwa z produkującemi znaczne ilości zboża wschodnimi prowincjami państwa, z drugiej zaś strony cierpi na zamknięciu granicy dla wywozu bydła i z tych powodów znajduje się w stanie ciągłego przesilenia, co nie pozwala mu na spożytkowanie nadmiaru rąk roboczych, z których w tak wielkiej ilości nie może także skorzystać, acz pomyślnie rozwijający się, przemysł fabryczny.

Tutaj wróciła pod obrady kwestya, poruszona w referacie poprzednim, gdyż dopiero po usunięciu sztucznych taryf kolejowych na przewóz zboża, rolnictwo nasze znalazło by się w normalnych warunkach rozwoju i mogłoby dostarczyć zajęcia wszystkim, poszukującym pracy, włościanom.

Że jednak z tego błędnego koła wyjście doraźne jest trudne i niema widoku na rychłe zmiany, więc postawiono tylko wnioski następujące: 1) pożądane byłoby utworzenie biur wynajmu, w których mogłyby być zawierane umowy z przedsiębiorcami, a które mogłyby zapobiedz szkodliwym następstwom pośrednictwa pokątnego; 2) należy zabronić wychodztwa za granicę nieletnim ze względu na zgubne oddziaływanie tych wędrówek na młodzież pod względem moralnym;

3) starać się o utworzenie specjalnych agentur w Niemczech, któreby się opiekowały tam robotnikami i chroniły ich od wyzysku ze strony tamtejszych przedsiębiorców.

Wnioski powyższe Rada uchwaliła przyjąć bez żadnych zmian i zastrzeżeń ważniejszych.

Na zaznaczenie zasługują tu jeszcze postulaty p. E. Jankowskiego, zmierzające ku rozwojowi ogrodnictwa i sadownictwa, a również przez Radę przyjęte. Brzmiały one, jak następuje: 1) ażeby szkołę pomologiczną warszawską przekształcić na szkołę I-go rzędu; 2) ażeby otworzyć w gub. Warszawskiej trzy niższe szkoły ogrodnicze: w Pułtusk, Skierniewicach i Włocławku i utworzyć w nich 2-tygodniowe kursy dla włościan z wykładami w języku polskim; 3) ażeby utworzyć przy stowarzyszeniach rolniczych posady instruktorów, zapatrywać włościan w dziczki i drzewka owocowe z ogrodu pomologicznego, zachęcać gminy do zakładania szkółek, urządzać wystawy z nagrodami, ułatwiać zbyt i kupno produktów rolniczych i ogrodniczych itd.

Wszystko to są rzeczy ważne, od których urzeczywistnienia w znacznej mierze zależy ogólne ekonomiczne podniesienie się kraju.

---

Sanatorium w Rudce—to nowe dzieło szlachetnej myśli społecznej, nowy wyraz głębokiego i rozumnego odczucia niedoli ludzkiej przez tych, którzy na nią zblizka patrzą i przez tych, którym dana jest możność przychodzenia jej z pomocą. Stało ono dobrą wolą i ofiarą najlepszych jednostek w naszym społeczeństwie. Zainicjował je dr Dunin, który nie skąpił ani czasu, ani starań i zabiegów osobistych, ażeby tę piękną myśl jak najprędzej w życie wcielić. Dpomógł mu w tem Stanisław ks. Lubomirski, który ofiarował na rzecz instytucji 300 morgów przestrzeni w obrębie leśnym „Rudka“. Dzięki temu w bliskości Warszawy, w pobliżu stacyi Mrozy (kolei Terespolskiej) w miejscowości pięknej, bo lesistej, a nadewszystko zdrowej, bo nie mającej w sąsiedztwie ani wsi, ani fabryk, ani większego zbiorowiska ludzi, powstało sanatorium dla chorych piersiowych, tak potrzebne i tak upragnione przez ludność mniej zamożną, która za skromną opłatą będzie tam mogła znaleźć ratunek i odzyskać zdrowie.

Zapoznał nas z niem bliżej dr H. Dobrzycki.

Sanatorium, jako całość, składa się z 5 różnej wielkości budynków murowanych i studni artezyjskiej, oznaczonych na planach literami A, B, C, D, E, H.

Budynek główny (A), przeznaczony na pomieszczenie chorych, frontem, którego długość wynosi około 120 metrów, zwrócony jest na południowy-zachód. Zbudowany na piwnicach, posiada parter, dwa piętra i poddasze. Zakład zaprojektowano na 120 chorych, mężczyzn i kobiet, obecnie jednak dla braku funduszków obliczenie zmniejszono do 57 chorych, gdy tymczasem inne budynki odpowiadają swymi rozmiarami pierwotnemu zamierzeniu.

Wszystkie pokoje dla chorych, jak tego wymaga styl sanatoryjny, są od strony południowej. Stronę północną zajmują korytarze. Objętość pokoju, przeznaczonego dla jednego chorego, wynosi przeszło 51 metrów sześć., pokoju zaś dla 2 chorych — 75 metrów sześciennych. W każdym pokoju znajdować się będzie ogrzewacz, mający połączenie rurami podziemnymi z kotłownią, dostarczającą pary (ogrzewanie centralne). Przewietrzanie pokoi odbywać się będzie przez otwieranie górnych części okien, odpowiednio urządzonych.

Każdy pokój jest zaopatrzony w wodę, za pomocą rur do umywalni doprowadzoną. Rury te będą ukryte w ścianie, aby uniknąć wszelkich załamów i umożliwić łatwiejsze dezynfektowanie ścian. Dla tych samych powodów, oraz, aby zyskać na powietrzu, szafy do rzeczy również będą w ścianach ukryte. Cały zakład zaopatrzony będzie w światło elektryczne i w także dzwonki.

Rozglądając się w budynku, na parterze, od strony wejścia głównego spotykamy: pomieszczenie dla odźwiernego, obszerną sień, prowadzącą do korytarza, poczekalnię, kancelaryę, dwa gabinety lekarskie oraz ciemnię do badania krtani; na pierwszym piętrze obok pokoi dla chorych znajdują się mieszkania lekarzy asystentów, na drugim — sióstr miłosierdzia, które tu będą opiekunkami chorych.

Skład bielizny czystej, kuchenka podręczna do czerpania wody gorącej, dostarczanej z centralnego urządzenia, szatnie, umywalnie, miejsce do czyszczenia ubrania i wszelkie inne urządzenia konieczne znajdują się tak na parterze, jak na obu piętrach.

Bardzo ważnem uzupełnieniem budynku A, jest obszerna sala zebrań i graniczący z nią ogród zimowy. W pobliżu sali zebrań będzie czytelnia.

Od strony frontowej budynku, w pewnej od niego odległości, aby dostępu światła nie tamować, zaprojektowano tak zwane leżalnie

odpowiadające całej długości budynku. Tworzą one łagodną, łukowatą linię i będą zaopatrzone w odpowiedniej konstrukcyi szezlon-gi. Leżalnie te mają łączność z głównym budynkiem i są należycie od wiatru i deszczu zabezpieczone. Bogaty w zieleń taras dopełni całości.

Budynek B, długi na 50 metrów, pod względem wielkości dru-gie zajmuje miejsce i mieści w sobie: piwnice, kąpiele, salkę do zabie-gów hydropatycznych, suszarnię prześcieradeł, pokój do gimnastyki, rozbieralnię i gabinet lekarza, obecnego w czasie wydawania ką-pieli. To wszystko znajduje się w suterenach, tylko 1 metr w zie-mię zagłębionych, a więc dostatecznie wysokich i widnych. Na parterze w budynku tym mieści się sala stołowa na 140 osób, kre-dens, śpizarnie, jadalnia sióstr miłosierdzia, specjalne miejsce do goto-wania mleka, do przyrządzania kawy i herbaty, pomieszczenie do zmy-wania naczyń, winda, wreszcie, szatnie i przedsionki. W sali stołow-ey znajduje się nadto zamykane pomieszczenie na ołtarz. Na 1-em piętrze mamy: kuchnię obszerną, śpizarnie i składy, jadalnię dla służ-by, obieralnię jarzyn, miejsce do zmywania naczyń oraz windę; na 2-iem piętrze: pomieszczenie dla służby kuchennej, windę i składy rezerwowe.

Oba opisane gmachy łączą się bezpośrednio z sobą i, ściśle bio-rąc, tworzą jedną całość, przypominającą swym kształtem literę T, której linia pozioma odpowiada gmachowi A, pionowa zaś gma-chowi B.

W pewnej odległości od budynków A i B, znajduje się jedno-piętrowy budynek C, oraz znajdować się będzie zaprojektowany do-piero dom mieszkalny D, dla głównego lekarza zakładu.

Piąty z szeregu budynek (E), ma za przeznaczenie pomieszcze-nie służby zewnętrznej. Literą H, wreszcie w planie oznaczona jest studnia artezyjska, o której wspominaliśmy powyżej. Obecnie za-opatrzone ją w kierat, w przyszłości zaś pozyska ona motor pa-rowy.

Obmyśleniem ogólnego układu i wewnętrznego urządzenia uzdrowiska, które, jak to widać z przytoczonego w zarysie planu, nic do życzenia nie pozostawia, zajmował się specjalny komitet, wy-znaczony przez radę warszawskiego Towarzystwa higienicznego. Gmachy projektował budowniczy Fr. Lilpop i on też kierował ro-botami.

Dzięki ofiarności i gorliwej pracy ludzi, stojących na czele tego humanitarnego przedsięwzięcia, większość budynków jest obecnie na

wykończeniu, wyczerpały się atoli wszystkie środki, jakimi komitet budowy rozporządzał, wobec czego wzniesiono, jak to zaznaczyliśmy, tylko połowę gmachu A, odraczając dobudowanie drugiej jego części do czasów pomyślniejszych. Roboty wszakże zaszły tak daleko, że byłoby ciężką winą społeczeństwa, gdyby nie pomogło ono do rychłego ich ukończenia i do możliwie szybkiego oddania uzdrowiska na użytek chorych.

Dowodzić pożytku tej instytucji i zachęcać do ofiar, to chyba byłoby rzeczą zbyteczną. Jesteśmy już społeczeństwem o tyle dojrzałym, że rozumiemy potrzebę ratunku i potrzebę walki z najgroźniejszym bodaj wrogiem naszym — z gruźlicą. Tłumienie tej choroby strasznej, zapobieganie jej, leczenie w czasie właściwym, — to najważniejsze zadanie doby obecnej i od ich spełnienia zależy przyszłość. Jeżeli znaleźli się wśród nas ludzie, którzy, wybiegając wzrokiem poza dzień dzisiejszy, uderzyli w dzwon trwogi i z całym zasobem energii przystąpili do walki ze złem, to nie powinni oni stać samotnie, ale dokoła nich pierścieniem zwartym stanąć musi całe społeczeństwo.

Tamto są budowniczkowie dobrego dzieła, inni muszą być ich pomocnikami; podawać im cegły, przynosić wapno. Takim materiałem budowlanym są ofiary w pieniądzu i w naturze, są środki, bez których dobra wola nic uczynić nie może. Nie wątpimy, że nie zbraknie ich obecnie i że sanatorium w Rudce pozyska sobie opiekunów więcej i mniej możnych w szerokich kołach społeczeństwa, aby mogło jaknajrychlej otworzyć swe podwoje cierpieniu ludzkiemu.

Braki są jeszcze duże, pieniędzy potrzeba jeszcze wiele, ale też i wielkie jest zadanie nieść uboższym ulgę w nieszczęściu, a że nieszczęście to uderza w każdą duszę, krzesząc z niej współczucie dla niedoli suchotników, więc nikt, kto nie odgradził się od potrzeb społecznych skorupą zatwardziałego egoizmu, nie odmówi swej pomocy dziełu, w imię najczystszej nauki Chrystusa podjętemu i w imię „miłości bliźniego“ prowadzonemu do urzeczywistnienia. Nie zapomnijmy tylko, że zbiorowych sił potrzeba do walki z kłeską zbiorową!



Nie po raz pierwszy jesteśmy świadkami niezdrowej spekulacji węglowej. Niespodziewane mrozy, które wcześniej w tym roku zaskoczyły ubogą ludność Warszawy, dały sposobność składnikom węgla do wyzysku nad wszelką miarę, i do ujawnienia swoich instynktów drapieżnych w handlu. Drapieżnictwo takie świadczy wymownie o ekonomicznem barbarzyństwie warstw, handlujących węglem, dla których pieniądz jest początkiem i końcem wszelkich aspiracji; świadczy o tem, że wymiana usług społecznych znajduje się u nas jeszcze w fazie dość pierwotnej, i że o jakiegokolwiek karności moralnej w tej dziedzinie mówić jeszcze zawcześnie, kiedy przy łada jakiej sposobności interes staje się rozbojem, pośrednictwo — orgią chciwości i łupiestwem.

Jest to stan, z którym należy walczyć. Do walki takiej powołany został „komitet obywatelski“, którego zabiegom zawdzięczać należy, że w chwili, kiedy to piszemy, sprawa wchodzi już na tory doraźnego, tymczasowego uregulowania, i uboga ludność Warszawy otrzymywać będzie przez dalszy ciąg zimowych miesięcy węgiel po cenie, nie przynoszącej rub. 1 kop. 20 za korzec, czyli 20 kop. za pud. Taka jednak pomoc jest paliatywną i zabezpiecza mieszkańców Warszawy przed wyzyskiem tylko chwilowo. Komitet obywatelski rozwiąże się i nikt nie zaręczy, czy w roku przyszłym spekulacya znów nie podniesie głowy i, w imię zasady: „laissez faire, laissez passer“, nie zgarnie nowych plonów do kieszeni swych wodzirejów. Aby temu zapobiedz, należałoby nadać akcji obronnej pewną ciągłość, i najodpowiedniejszą w tym kierunku rzeczą wydaje nam się utworzenie przez magistrat szeregu stałych składów miejskich.

Magistrat na potrzeby swoje i pozostających pod jego opieką instytucji zużywa znaczną ilość węgla. Nie nabywa go jednak bezpośrednio, ale drogą przetargu zabezpiecza sobie dostawę tego artykułu. Otóż dla miasta byłoby niewątpliwie rzeczą korzystniejszą, gdyby weszło ono samo w stosunek bezpośredni z producentami węgla w Zagłębiu, a w ten sposób miałyby tańszy węgiel na swoje potrzeby i mogłyby zarazem, bez wielkiego zachodu, na obszernych swoich placach w różnych punktach miasta, utrzymywać znaczniejsze składy węgla, które stanowiłyby zawsze rezerwę, uniemożliwiającą wyzysk. Uboższa ludność otrzymywałaby tam zawsze węgiel tańszy i lepszy, drobniejsi składnicy także chętnieby się do takich składów zwrócili, unikając stosunków z handlarzami, w których ręku są nie-

winnym często na: zędziem społecznej krzywdy. Jest to sprawa takiej wagi, że warto, aby magistrat rozpatrzył ją bliżej — inaczej będziemy zawsze w błędnem kole i w ciągłej zależności od kapryśców zimy i od niskiego poziomu etycznego chciwych przekupniów.

---

Trzy dyecezye: Tyraspolska, Brzesko-Kujawska i Sandomierska otrzymały nowych pasterzy.

Rządy nad pierwszą z nich objął Jego Ekscelecyja ks. biskup Ropp. Nowy dostojnik Kościoła pochodzi ze starożytniej rodziny, osiadłej zdawna w Infantach. Urodził się w roku 1851 w Liksnie, w gubernii Witebskiej, z ojca Juliusza i matki Izabeli z hr. Plater-Zyberków. Ukończywszy wydział prawny w uniwersytecie petersburskim, Edward Ropp wstąpił do seminaryum w Kownie, a otrzymawszy w roku 1886 święcenia kapłańskie, udał się na lat kilka za granicę, gdzie w Insbrucku studyował teologię. Po powrocie do kraju mianowany został w roku 1889 proboszczem w Libawie. Na tem stanowisku okazał niepospolitą siłę woli i wytrwałość. Jego staraniom zawdzięczać należy budowę nowej, pięknej świątyni katolickiej w Libawie, powiększenie liczby księży do pięciu, co na parafię, liczącą około 20,000 wiernych, wcale nie jest zawiele, on wreszcie założył Towarzystwo dobroczynności i zbudował dwie szkoły katolickie w swojej parafii. Oceniając tę działalność pożyteczną i owocną, władze duchowne mianowały go w roku 1893 dziekanem, a w roku 1896 kanonikiem gremialnym kapituły żmudzkiej. Obecnie długoletni i zasłużony proboszcz libawski powołany został na szersze i rozleglejsze pole pracy w dyecezyi, obejmującej kilkanaście południowych gubernii Cesarstwa.

Drugim nowomianowanym księciem Kościoła jest Jego Ekscelecyja ks. biskup Stanisław Zdzitowiecki, zwierzchnik dyecezyi Brzesko-Kujawskiej, osieroconej niedawno przez śmierć ś. p. ks. biskupa Bereśniewicza.

J. E. ks. Zdzitowiecki urodził się dnia 12 lutego 1854 roku we wsi Barczkowicach, w powiecie Piotrkowskim, jest zatem obecnie w pełni sił wieku męskiego. Ukończywszy seminaryum duchowne w roku 1877, zaraz po otrzymaniu święceń kapłańskich ks. Zdzitowiecki wyjechał na studia teologiczne do Rzymu. Po powrocie stamtąd pełnił przez lat kilka służbę Bożą w kościołach warszawskich,

poczem, wezwany przez ks. biskupa Sotkiewicza do Sandomierza, od roku 1885 pozostawał przy jego boku, pełniąc rozmaite urzędy. Po śmierci ks. biskupa Sotkiewicza, która nastąpiła przed rokiem, ks. Zdzitowiecki administrował dyecezyą Sandomierską.

Rządy biskupie w tej ostatniej dyecezyi obejmuje obecnie J. E. ks. Stefan Aleksander Zwierowicz, b. biskup dyecezyi Wileńskiej.

J. E. ks. biskup Zwierowicz liczy lat 60. Urodzony w dniu 26 grudnia 1842 roku na wsi, w powiecie Bielskim, gubernii Grodzieńskiej, w młodym wieku oddany został do gimnazjum w Białymstoku, które ukończył w roku 1861. Obrawszy sobie stan duchowny, wstąpił do seminaryum w Wilnie, gdzie, jako alumn, w krótkim czasie zwrócił na siebie uwagę władzy duchownej wyjątkowemi zdolnościami i niezwykłą pracowitością. Wysłany dla dalszych studyów do Akademii duchownej w Petersburgu, tam otrzymał ks. Zwierowicz w roku 1869 święcenia kapłańskie i stopień naukowy magistra świętej Teologii. Powróciwszy do Wilna, w roku 1870 objął wikaryat przy kościele pobernardyńskim, i jednocześnie powołany został na stanowisko profesora w tamtejszem seminaryum. Jako profesor, wykladał J. E. ks. biskup Zwierowicz kolejno: historję Kościoła, teologię i pismo święte, równocześnie udzielając lekcyi religii w progimnazjum i zasiadając w komitecie egzaminacyjnym Wileńskiego okręgu naukowego. Mianowany w roku 1878 inspektorem seminaryum, w cztery lata później objął rektorat. Na tem stanowisku J. E. pozostawał krótko, po przybyciu bowiem do Wilna arcybiskupa Hryniewieckiego, został proboszczem najobszerniejszej parafii Wileńskiej, św. Rafała, oraz dziekanem, co całkowicie czas mu pochłonięło. Za administracyi dyecezyą ks. Zdanowicza, ponownie obdarzony rektoratem, J. E. gorliwie i z pożytkiem na tem stanowisku pracował. Powołany w roku 1886 do kapituły, objął w następstwie administracyę dyecezyą po ks. Zdanowiczu i na tem stanowisku zastała go nominacya na biskupa wileńskiego. Bulla papieska, mianująca J. E. ks. Zwierowicza biskupem, wydana została w dniu 16 listopada roku 1897. W marcu 1902 roku J. E. ustąpił z dyecezyi, aby po ośmiomiesięcznej przerwie powrócić na stolicę biskupią w Sandomierzu.

Handel i przemysł potrzebują dla swego rozwoju rozlicznych udogodnień, wśród których rolę bardzo ważną odgrywają drogi komunikacyjne i — swobodny ruch ludności. I jedno, i drugie pozostawia u nas wiele jeszcze do życzenia. Sieć kolejowa nie ogarnęła jeszcze wszystkich okolic kraju, szosy nasze są w zaniedbaniu i brak do nich dróg podjazdowych, jako tako utrzymanych, drogi wodne — nie wyzyskane są wcale, lub wyzyskane w sposób bardzo pierwotny — i zapewne długo jeszcze czekać nam wypadnie na regulację rzek. Nieprędko również doczekamy się bitych traktów tam, gdzie dziś koła więzną w piasku, osie łamią się na groblach, a konie toną literalnie w błocie, jak w Hrubieszowskiem na wiosnę i pod jesień. Nie prędko także będziemy mieli tyle i takich kolei, ile ich posiada Belgia, lub Niemcy, bo dziwnie opornie i trudno te sprawy u nas naprzód się posuwają. Nawet, mając koncesyę w rękę, nie umiemy własnymi siłami rzeczy wykonać i znaczna część naszych spraw — to istotne „Sprawy Dołęgi“, które więzną, jak koleje Tomaszowska i Radomska, w archiwach komisji do spraw kolejowych.

Podobnie czarno można-by odmalować i drugą stronę kwestyi — utrudnienie ruchu ludności, pracującej w przemyśle i handlu, gdyby nie bardzo szczęśliwie pomyślana reforma pasportowa, wchodząca obecnie w życie. Zbyteczną rzeczą jest uzasadniać jej doniosłość ekonomiczną, zbyt wyraźnie bowiem nastęrcza się ona sama i zbyt dotkliwie przez cały lat szereg dawały nam się we znaki ciężary pasportowe, dla ludności robotniczej i włościańskiej zwłaszcza bardzo niewłaściwe, abyśmy nie odczuwali dziś w całej pełni błogich skutków nowej ustawy. Gwarantuje nam ona wolny, nieskrępowany opłacaniem podatku i, co najważniejsza, znaczną mitręgą czasu, ruch w obrębie całego państwa, w terminie nieograniczonym.

Bezterminowe pasporty (książeczki pasportowe) wydawane będą odtąd wszystkim mieszkańcom Królestwa Polskiego, zapisanym do ksiąg ludności stałej, za opłatą jednorazową 15 kop.

Wyjątek w tym względzie stanowią: 1) osoby, pozbawione sądownie szczególnych praw i przywilejów; 2) osoby, pozostające pod dozorem policyjnym, lub administracyjnym; 3) kaleki i wogóle ludzie, niezdolni do zarobkowania; 4) cygani, niemający stałego miejsca zamieszkania. Dla wszystkich osób wymienionych powyżej kategorii ustanowione zostały pasporty arkuszowe z terminem rocznym.

Miejszem stałego pobytu dla mieszkańca Królestwa Polskiego jest, według brzmienia prawa, miejsce, w którym tenże zapisany jest do ksiąg ludności stałej.

Osoby nieletnie, usamowolnione na zasadzie obowiązującego w Królestwie Polskiem kodeksu cywilnego z roku 1825, w myśl nowej ustawy, korzystają z prawa otrzymywania oddzielnych książeczek pasportowych.

Wydawanie książeczek pasportowych mieszkańcom Królestwa Polskiego powierzone zostało wójtom gmin, burmistrzom i prezydentom miast, a w Warszawie komisarzom cyrkulowym. Takież książeczki dziedzicznej szlachcie, posiadającej świadectwa heroldyjne, mogą być wydawane i przez miejscowy rząd gubernialny.

Skargi na nadużycia ze strony wyszczególnionych wyżej władz w kwestyach pasportowych, podawane być winny: na wójtów, burmistrzów i prezydentów miast powiatowych, z wyjątkiem Łodzi i Włocławka — do naczelników powiatowych; na prezydentów miast gubernialnych oraz Łodzi i Włocławka — do gubernatorów; na komisarzy zaś cyrkulowych miasta Warszawy — do oberpolicmajstra. Co zaś najważniejsza — wszelkie podania, skargi i inne dokumenty, dotyczące się nowych pasportów — wolne są od opłat stemplowych. Uszczupli to niewątpliwie w pewnej mierze dochód skarbu, ale dla mieszkańców stanowi ulgę pierwszorzędą.

Jest to wszakże dopiero reforma połowiczna, zapewniająca ludności swobodę ruchu w obrębie państwa. Drugą, konieczną stroną tej reformy, o ile objąć ma ona całokształt naszych stosunków ekonomicznych, stanowi uregulowanie kwestyi pasportów zagranicznych. Otrzymywanie ich, nawet dla ludności handlowej, która opłaca pierwszą gildję i korzysta z ulgi w podatku pasportowym, jest obecnie zbyt uciążliwe i połączone z całym szeregiem zabiegów, zwłaszcza na prowincyi, gdzie pasporty takie wydają władze gubernialne. Pociąga to za sobą wielką stratę czasu i częste opóźnienia w interesach, związane z materialnymi uszczerbkami. Dla uniknięcia tego, pasporty kupieckie powinny być rozszerzone na całą ludność, zatrudnioną w handlu i przemyśle, powinny służyć przynajmniej na rok i dawać prawo do nieograniczonej liczby przejazdów w ciągu tego terminu, tak, jak pasporty pruskie i austriackie, wreszcie manipulacja przy ich wydawaniu powinna być uproszczona, o ile można najwięcej, w tym celu, aby wyjeżdżający za granicę mógł otrzymać pasport w razie nagłym szybko i w najbliższym urzędzie policyjnym, bez potrzeby udawania się do miasta gubernialnego. To są postulaty najważniejsze. Na dalszym planie dopiero stoją udogodnienia pasportowe dla szerszych kół ludności, opłacających dziś wysoki, wynoszący 20 rubli za jeden przejazd

przez granicę, podatek pasportowy, i narażonych na cały szereg kłopotów i wędrowek po cyrkulach i ratuszu nawet w Warszawie, gdzie stosunkowo, dzięki sprawności biura p. ober-policmajstra, pasport taki otrzymać można dość szybko. Na tę stronę kwestyi zwróciła przed dwoma laty uwagę prasa rosyjska, wskazując jednocześnie na potrzebę reformy i, przytaczając cały szereg faktów i argumentów, za taką reformą przemawiających. Nie wątpimy, że zbliża się obecnie czas, kiedy i ta sprawa, szczególnie ważna dla ludności Królestwa Polskiego, mającej liczne stosunki rodzinne i majątkowe w Prusach i w Austrii, doczeka się szczegółowego rozpatrzenia i pomyślnie załatwiona zostanie ku powszechnej wygodzie, zwłaszcza, jeżeli raz ustalą się zasada, że pasporty straciły już swoje znaczenie prawnopolicyjne, że kto ucieka przed prawem, bezprawnie umie się zaopatrzyć w potrzebne dokumenty, i że wobec tego wszelkie ograniczenia i trudności całym ciężarem swoim spadają na ludność spokojną i posłuszną przepisom prawa.

---

W nawiązaniu do sprawy walki ze zwyrodnieniem fizycznym ludu naszego skwapliwie notujemy fakt powstania w Radomiu Towarzystwa lekarskiego, o tak szerokim zakresie działalności, że będzie ono mogło być pożyteczne i w tym właśnie kierunku, o który nam chodziło przy wskazywaniu na konieczność poważnego zbadania kwestyi domniemanego upadku naszej rasy.

Towarzystwo lekarskie w Radomiu nie ogranicza się szczupłym kołem lekarzy i nie ma na celu wyłącznie spraw zawodowych i spraw nauki czystej. W charakterze członków protektorów dostęp do niego mają wszyscy mieszkańcy gub. Radomskiej, tak mężczyźni, jak i kobiety. Będą oni pomocni Towarzystwu w przeprowadzeniu całego szeregu zadań, które wymagają szerokiego współdziałania warstw inteligentnych w obrębie gubernii i nie mogą być dokonane siłami jednostkowymi. Do zadań takich należą: zbadanie gub. Radomskiej pod względem sanitarnym; opracowanie topografii medycznej i mapy zdrowotności; zbadanie warunków, pod których wpływem powstają i rozwijają się epidemie i epizootye, również i choroby lokalne; wynalezienie środków do zapobiegania rozszerzaniu się chorób; opracowanie naukowe materiałów statystycznych o śmiertelności i chorobach; współdziałanie administracji miejscowej w walce z chorobami i w organizacyi pomocy lekarskiej; roz-

powszechnianie szczepienia ospy; urządzenie odczytów i wydawnictwo broszurek popularnych w celu rozpowszechniania pomiędzy ludem zdrowych pojęć z zakresu higieny, wykorzenienie przesądów i zabobonów, znachorstwa itd.; urządzenie klinik, komunikowanie ustne lub piśmienne różnych spostrzeżeń praktycznych o charakterze panujących chorób, o najpomyślniejszym sposobie ich leczenia, ważniejszych operacjach chirurgicznych, nowych odkryciach z dziedziny medycyny praktycznej, śledzenie postępu nauki lekarskiej, osobiste zbliżenie się członków dla podtrzymania zgody i wzajemnego działania ku pożytkowi nauki i zdrowia publicznego.

Jak widać z wymienionych powyżej celów nowej instytucji, będzie ona ogniskiem szeroko i rozumnie pojmowanej higieny i, jako ognisko takie, skupiając chętne do pracy siły, stać się może dźwignią postępu na polu zdrowotności całej okolicy, w której obrębie będzie działała. Gdyby Towarzystwa o podobnym zakresie powstać mogły we wszystkich miastach gubernialnych, wówczas powoli zebrałyby się dało niezmiernie bogaty materiał do zobrazowania istotnego stanu kraju pod względem zdrowia publicznego i do podjęcia należytej akcji sanacyjnej. Tymczasem wszakże trzeba się cieszyć z dobrego w tym kierunku początku. I to już wiele.

Kończąc tę krótką wzmiankę o Towarzystwie, zaznaczamy, że składka roczna od członków wynosić ma 12 rubli, a wpisowe rubli 3. Zapisy na członków przyjmuje zarząd, złożony z d-ra Majkowskiego, jako prezesa, doktora Kosickiego, wice-prezesa, i członków doktorów: Fiedlera, Przychodzkiego, Cennera, Szczepaniaka i Kondratowicza. Wszelkich informacji udziela sekretarz Towarzystwa, doktor Cenner w Radomiu.

---

Jakkolwiek skuteczność konkursów, jako bodźców podniecających energię twórczości i pracy w różnych kierunkach była już niejednokrotnie kwestyonowaną, to jednak ta forma zachęty tak dalece jest na porządku dziennym i konkursy tak się naokoło mnożą, że niekiedy nawet jedne drugim przeszkadzają. Coś podobnego zaszło z konkursami dramatycznymi. W roku 1902-gim przypadał w marcu termin nagrodzenia z zapisu ś. p. Kuryerowa dzieła dramatycznego, na które konkurs powinien był być ogłoszony w roku poprzednim. Gdy jednak pora tego ogłoszenia zesła się z faktycznie już dokonaniem ogłoszenia konkursu imienia Sienkiewicza, redakcja „Biblioteki Warszawskiej“, na którą włożony został przez zapisodawcę obowią-

zek wykonania tego punktu testamentu, uznała za odpowiedniejsze odłożyć konkurs dramatyczny do następnej kolei, przypadającej po nagrodzeniu w określonych odstępach czasu utworów z dziedziny literatury, malarstwa i muzyki. Takie „spadnięcie konkursu“ dla jakichbądź przyczyn przewidziane jest w testamencie ś. p. Kuryerowa, który zastrzegł, żeby w tym wypadku procenty od zapisanego funduszu zachowane były w papierach publicznych, dla zwiększenia tego samego rodzaju nagrody w następnej kolei“ (§ 47). Nietylko więc nikt na tem pominięciu jednej kolei nie traci, ale zyskują ci, którzy po kilku latach ubiegać się będą mogli o większą nagrodę, obecnie zaś ta właśnie większa nagroda, zapewniona warunkami konkursu imienia Sienkiewicza naraziłaby tylko konkurs Kuryerowa na niezawodne niepowodzenie. Nie straci zapewne i literatura; napływ bowiem utworów na konkurs Sienkiewicza niezwykle jest obfity, co po pozwala przypuszczać, że scena zdobędzie jakieś wydatniejsze dzieło.

Otrzymaliśmy odezwę tej treści:

„Warszawskie Towarzystwo artystyczne, uważając za niezmiernie palącą sprawę stworzenie schroniska dla artystów plastyków, gdzieby sterani wiekiem lub pracą, a nie posiadający odpowiednich środków, znaleźli kąt spokojny i troskliwą opiekę, a nie posiadając funduszków na budowę takiego schroniska na gruncie już na ten cel łaskawie ofiarowanym, postanowiło wziąć udział w sprzedaży akcji Towarzystwa zachęty sztuk pięknych i w osobie jednego ze swych członków zostało członkiem-korespondentem Towarzystwa zachęty, z tem zastrzeżeniem, że dochód, jaki osiągnie z owych 10%, które Tow. przeznacza tytułem zwrotu kosztów korespondencji, będzie powiększał fundusz Schroniska dla artystów.

Tym sposobem warszawskie Towarzystwo artystyczne, licząc na poparcie swych członków i osób postronnych, pragnie użyć całego swego wpływu i stosunków na jaknajwiększe rozpowszechnienie akcji rocznych Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, aby tą drogą osiągnąć cel podwójny: 1) powiększyć liczbę członków, a więc i dochód najstarszej naszej instytucji, służącej sztuce polskiej i 2) zgromadzić fundusz na cel tak szlachetny, jak budowa schroniska dla artystów.

Jesteśmy przekonani, że szczególnie ten wzgląd ostatni skłoni ogół naszej inteligencji do serdecznego poparcia tej sprawy i żywego zająć się w kole swych znajomych sprzedażą biletów rocznych Tow.



zachęty sztuk pięknych za pośrednictwem warszawskiego Towarzystwa artystycznego. Ktoby więc raczył w sferze swych stosunków dopomódz nam, tego prosimy o poparcie przez nadsyłanie nam adresów osób, pragnących nabyć bilety za naszym pośrednictwem (Królewska 41)".

Tyle słów odezwy. Nie wątpimy, że znajdzie ona posłuch u ludzi, którym dobro i losy sztuki polskiej nie są obojętne. Nabywając tą drogą akcye Towarzystwa, będą oni mogli przyczynić się jednocześnie do dwóch spraw dobrych i pomódz dwom instytucyom, bo i Towarzystwo zachęty wciąż jeszcze posiada za mało członków, nie już na kraj cały, ale na samą Warszawę. Przed dwoma laty, dzięki nawoływaniom prasy, stosunki wprawdzie poprawiły się nieco i zastęp członków zwiększył się, ale dziś przyływ ich jest już nieznaczny.

Może też do obojętne go ogółu przemówi prędzej los artystów, potrzebujących schronienia i pomocy na stare lata i może za ich pośrednictwem liczba członków Towarzystwa zachęty dojdzie nareszcie do pożądanej wysokości, od której tak bardzo zależy rozwój tej wysoce pożytecznej instytucji.

---

Dnia 23 listopada r. z. zmarł w Rzymie ś. p. Bronisław Jazdowski, były lekarz sztabowy armii angielskiej, gorliwy i zasłużony opiekun polskiej ludności wychodźczej w Londynie.

Urodzony w r. 1837 w Aberdeen, w Szkocyi, z ojca Jana, wychodźcy z r. 1831, i matki Szkotki, ś. p. Bronisław otrzymał staranne wychowanie domowe i szkolne, a ukończywszy medycynę wstąpił jako chirurg-asystent do armii angielskiej. Wysłany do Indyi w czasie kampanii 1863—4 odznaczył się jako lekarz i żołnierz, za co otrzymał specjalny medal. W roku 1875 doszedł do rangi chirurga-majora. Podczas wojny egipskiej (1882—1884), otrzymał drugi medal za bohaterskie spełnianie obowiązków w ogniu, i zarazem odznaczony został przez rząd Tewfika baszy, t. zw. „gwiazdą kedywa“. Niezwłocznie po tej wojnie, już jako chirurg brygady, odbył z sir Karolem Warrenem kampanię południowo - afrykańską w kraju Beczuanów. W r. 1886 podał się do dymisji i wrócił do Anglii w randze pułkownika.

Zamieszkawszy z dwiema siostrami w Londynie, zaczął zapoznawać się bliżej i dokładniej ze sprawami, które, pomimo przymieszki obcej krwi, odmiennego wyznania religijnego i długiego pobytu

w krajach odległych, nie przestawały nigdy zajmować go najwięcej. Rozpoczął od nauki języka ojczystego i brania najczynniejszego udziału w zabiegach około złagodzenia ciężkiej doli wychodźców polskich. A nie ograniczał tej dobroczynnej działalności samym Londynem. Współ z Edmundem Naganowskim, z którego notatki szczegóły powyżej zamieszczone czerpiemy, odbył on podróż po miastach prowincjonalnych w celu zbadania położenia robotników i biednych rodaków i zawiązania wśród nich stowarzyszeń. Kiedy w r. 1887 urządziła się międzynarodowa wystawa w Glasgowie, ś. p. dr Jazdowski był niestrudzonym pomocnikiem i współorganizatorem (z siostrami, z panią Adamową Gielgudową i innymi), osobnego pawilonu dla wystawy polskich robót kobiecych. Przez lat kilka, od r. 1889 poczynając, zajmował się bezpośrednio sprawami Towarzystwa literackiego w Londynie. Niestety, zdrowie mocno nadszarpane służbą w armii, wymagało coraz większej staranności i zmiany klimatu, wskutek czego pułkownik musiał ograniczać stopniowo swoją działalność i szukać ulgi poza granicami Anglii. W tym celu odwiedzał corocznie strony ojczyste, zimowe zaś miesiące najchętniej spędzał w Rzymie, gdzie go też śmierć zaskoczyła, przecinając w 54 roku życia to pasmo dni pożytecznych i pracowitych.

---

Dnia 12 grudnia roku zeszłego zmarł we Lwowie ś. p. Wacław Sobierański, dr medycyny i filozofii, profesor farmakologii na tamtejszym uniwersytecie.

Ś. p. Sobierański pochodził z Warszawy, którą opuścił przed laty kilkunastu, jako młodzieniec, udając się za granicę dla studyów specjalnych. Pracując pod kierunkiem najpoważniejszych sił naukowych zachodu, nad chemią fizyologiczną, fizyologią i farmakologią, zmarły śmiałym wystąpieniem przeciw teoryom Bowmana i Heidenhaina o wydzielaniu moczu zwrócił na siebie uwagę świata naukowego i powołany został przez uniwersytet w Marburgu, w Hesyi, na katedrę farmakologii i farmakognozyi. Profesura oddzieliła go na czas dłuższy od kraju.

Zajęcia naukowe, badania ściśle, dążące do wydarcia przyrodzie tajemnic, do odkrycia nowych prawd — pochłonęły mu lata. Pobyt swój w Niemczech uważał jednak prof. Sobierański zawsze za czasowy tylko i z utęsknieniem oczekiwał chwili, kiedy będzie mógł powrócić do kraju i rozpocząć pracę dla swoich i wśród swoich. Chwila ta nadeszła w r. 1897. Uniwersytet lwowski powołał go na świeżo utworzoną katedrę farmakologii. Z radością wezwanie to przyjął uczony i z Marburga przeniósł się do Lwowa, aby tam pożyteczną dla nauki

polskiej rozwinąć działalność. Śmierć przedwczesna postawiła jednak tamę jego usiłowaniom.

Umarł w pełni lat męskich, zbyt młodo wszakże, aby mógł dokonać rzeczy większych, i tem jednak, co uczynić zdążył, zapisał się dobrze w rocznikach naszego dorobku naukowego na polu medycyny. Do najprzedniejszych prac zmarłego profesora należą rozprawy: „O wpływie ciepłoty na zachowanie się nerwów mięśniowych“, „O chłonliwości skóry“, „O leczeniu cholery“, „O wpływie środków farmakologicznych na siłę mięśniową ludzi“, a nadewszystko obrona mechanicznej teorii wydzielania moczu i cały szereg przyczynków i rozpraw na temat czynności nerek. Ostatnią pracą jego była obszerna monografia „O zjawiskach w nerce“ (w języku niemieckim), którą na tydzień przed śmiercią ukończył, a której ogłoszenia drukiem nie doczekał.

Był to umysł szeroki, wysoce kulturalny, bystry, spostrzegawczy, lotny, skupiający w sobie wszystkie dodatnie cechy rasy psychicznej, do której należał i świadczący wymownie o tem bogactwie przyrodzonym umysłowości polskiej, która tak doskonale rozkwita w środowiskach, dostarczających jej bodźców do pracy i hartujących wolę.

Zmarł z dużą szkodą dla nauki i społeczeństwa.

---

Dnia 20 grudnia r. z. zmarł w Warszawie ś. p. Władysław Kwietniewski, niegdyś docent byłej Szkoły Głównej, gdzie od roku 1867—1869 wykładał mechanikę analityczną, teorię liczb i rachunek prawdopodobieństwa, później nauczyciel matematyki w tutejszem gimnazjum IV-em, ostatnio naczelnik kasy emerytalnej urzędników kolei wiedeńskiej.

Zmarły cieszył się ogólnem uznaniem i sympatją, a pożyteczną i wytrwałą pracą, zwłaszcza na polu meteorologii krajowej, tudzież jako członek komitetu redakcyi „Wszechświata“, zasłużył sobie na wdzięczność ogółu.

Ś. p. Kwietniewski urodził się w r. 1837 w Warszawie, tutaj ukończył gimnazjum realne, studia zaś matematyczne odbył w Petersburgu. Był to człowiek światły, zacyjny i prawy.

Cześć jego pamięci!

# WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. — Posiedzenie *Komisji historycznej* odbyło się dnia 30 października roku szeszłego pod przewodnictwem J. E. dra M. Bobrzyńskiego.

Dyrektor Wydawnictw Komisji, profesor W. Zakrzewski, zdał przedewszystkiem sprawę ze stanu publikacji, będących w toku. Wydawany przez prof. Piekosińskiego tom IV Kodeksu dyplomatycznego Małopolskiego (1386 — 1450) jest już na ukończeniu (drukuje się index), poczem zaraz wydawca, przybrawszy do pomocy dra Fr. Bujaka, przystąpi do wydawnictwa tomu V-go. Na ukończeniu również jest tom IX-ty Archiwum Komisji historycznej, w którym od ostatniego posiedzenia wydrukowano zebrane i wydane przez dra Stanisława Kutrzebę: „Akta, odnoszące się do stosunków handlowych Polski z Węgrami, przeważnie z archiwum Koszyckiego, z lat 1354 — 1505“; drukuje się zaś „Dyaryusz Zjazdu protestantów polskich w Radomiu 1591“, pochodzący z RP. Muzeum Siedmiogrodzkiego z Kolozswár, wydawany przez prof. Zakrzewskiego. Tom X-ty Archiwum rozpoczęto już i wydrukowano w nim w wydaniu prof. Ulanowskiego „Inwentarz dóbr i dochodów biskupstwa wrocławskiego z roku 1534“, oraz tegoż wydawcy: „Akta kapituły plockiej z lat 1514 — 1577“; skoro się druk indexu do tych aktów ukończy, pomieszczone będą w tymże tomie: „Akta do historii drukarstwa i cenzury w dawnej Polsce“, zebrane przez dra Benisa, a które uzupełni i wyda prof. St. Estreicher. „Dyaryusz“ Stanisława Oświęcima z czasów Władysława IV-go i Jana Kazimierza, wydawany przez prof. W. Czermaka, jest już wydrukowany w całości, a wydawca pracuje obecnie nad wstępem i indexem; natomiast druk III-go

tomu wielkiej publikacji prof. Ulanowskiego: „Aktów kapitul i sądów duchownych“, w którym już wydrukowano wypisy z aktów konsystorskich Płockich i Pułtuskich do roku 1530, będzie jeszcze ciągnął się czas dłuższy.

Następnie prof. Stanisław Krzyżanowski zdawał sprawę z podróży do Warszawy, Wilna i Nieświeża, we wrześniu i październiku 1902 r. odbytej dla uzupełnienia materiałów, gromadzonych już od lat kilku do wielkiej publikacji dyplomatycznej: „Albumu paleograficznego“, to jest zdjęć fotograficznych podobizn dyplomów polskich z XII i XIII wieku, na co koszt łoży częścią cesarsko-królewskie Ministerstwo Oświaty, częścią zaś Komisya historyczna. Do zebranych już dawniej przeszło 600 podobizn z archiwów krakowskich, gnieźnieńskiego, płockiego i wrocławskiego, przybyło, wskutek ostatniej podróży, 135 nowych zdjęć fotograficznych, których ogólna liczba wynosi teraz przeszło 760. Zarazem prof. Krzyżanowski podał wiadomość o Archiwum Nieświeckim i jego stanie obecnym.

W dalszym ciągu Dyrektor Wydawnictw, prof. Zakrzewski, referował o wielkiej publikacji, pod tytułem: „Archiwum Jana Zamoyskiego“, która niebawem zacznie wychodzić nakładem hr. Maurycego Ordynata Zamoyskiego. Przypomniał tedy, że przed dwoma laty, wskutek poruszonej na zjeździe historyków polskich potrzeby wydania korespondencji wielkiego Kanclerza i Hetmana, p. Tadeusz Korzon, Dyrektor Biblioteki Ordynackiej, oznajmił listownie Komisji historycznej, z upoważnienia hr. Ordynata, gotowość podjęcia tego wydawnictwa, jeśli Komisya wypracuje jego program i obejmie nad niem kierunek naukowy. Komisya delegowała wtedy dra Wacława Sobieskiego do rozpatrzenia się na miejscu w tej korespondencji, a następnie zatwierdziła zasady programu, który on opracował, świeżo zaś Dyrektor Wydawnictw jeździł do Warszawy dla ostatecznego porozumienia się z pp. Korzonem i Sobieskim co do szczegółowego wykonania programu. Ponieważ w Bibliotece Ordynacji Zamoyskiej znajdują się głównie listy, pisane do kanclerza, w liczbie około 5,200, przeto dla zgromadzenia jego własnych listów, dr Sobieski odbył podróż do wielu Bibliotek i Archiwów krajowych i zagranicznych: w Krakowie, Lwowie, Dzikowie (hr. Tarnowskich), Poznaniu, Gdańsku, Królewcu, Nieświeżu, Moskwie, Petersburgu, Sztokholmie, Wiedniu, a nadto uzyskał pośrednio odpisy z Rygi, Rewla, Frauenburga (na Warmii), Rzymu (archiwum watykańskie), Paryża i Londynu, i zebrał razem przeszło 1,500 listów i aktów. Całą tę masę, blisko 7,000 aktów, należało nie tylko odpisać, ale i uporządkować chronologicznie. Tego porządku bowiem i w ogólności wszystkich zasad, przestrzeganych przez Komisję historyczną we własnych jej publikacjach będzie się trzymał w tem wydawnictwie, które obejmie kilka tomów, dr W. Sobieski, prowadzący je nadal pod kierun-

kiem Komisji historycznej. Prace przygotowawcze są już na ukończeniu, a druk pierwszego tomu rozpocznie się za parę miesięcy; dzięki hojności hr. Ordynata, nauka nasza wzbogaci się niebawem nader ważnym i cennym nabytkiem, który będzie do pewnego stopnia publikacją Komisji historycznej.

— **NÓWE KSIĄŻKI.** — Autor „*Encyklopedyi Staropolskiej*” wydał piękne i interesujące opisy swych podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy w ozdobnej książce, p. t.: „*Dolinami rzek*”. Nowa ta praca p. Z. Glogera dozna z pewnością bardzo życzliwego przyjęcia tak dla swojej pouczającej i oblitej treści, jak i dla pięknego wydania (druk Anczyca), ładnego formatu i licznych, bardzo ciekawych ilustracyj. Księgarnia F. Hoesicka dobrze się tą książką przysłużyła ogółowi, szerząc nią zamiłowanie rzeczy swojskich i cześć dla historycznych pamiątek.

— Tom XLVII Pism Henryka Sienkiewicza (bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego”) zawiera: *Mieszaniny literacko-artystyczne* (część pierwsza). Pod tym tytułem ukaże się zupełny zbiór pism krytycznych i publicystycznych, które dotychczas rozproszone były po dawnych rocznikach różnych czasopism. W „Przedmowie” daje Ign. Chrzanowski program tego zbioru, tak niezbędnego dla tych, którzy pragną mieć wszystko, cokolwiek wyszło z pod pióra Henryka Sienkiewicza.

— Zuane dzieło Edwarda B. Tylora: „*Antropologia*”, które w oryginale angielskim ukazało się przed dwudziestu laty, wyszło obecnie w przekładzie polskim A. Bąkowskiej już w drugim wydaniu, nakładem Stefana Dembego. Jest to spora, wytwornie wydana księga, ozdobiona portretem Tylora, piękną kartą tytułową i siedmdziesięciu kilku rysunkami, wobec czego cena (dwa ruble) jest bardzo niską.

— **Pamiętnik Literacki**, o którym pisaliśmy już dawniej („Biblioteka Warszawska”, 1902, I, 622), obecnie, z wyjściem czwartego zeszytu kwartalnego, ukończył pierwszy swój rocznik. Treść jego jest nader urozmaiconą, a nazwiska współpracowników, z których wystarczy wymienić: St. Tarnowskiego, A. Brücknera i P. Chmielowskiego, dają rękojmię wartości naukowej czasopisma, które znalazło liczny zastęp czytelników. Rocznik pierwszy tworzy spory tom o 720 stronicach. Przypominamy, że roczna prenumerata (Księgarnia E. Wendego) wynosi zaledwie sześć rubli.

— **Wydawnictwa dla młodego wieku.** Rodzice nie mogą się skarżyć na brak książek dla podrastającego pokolenia. Oto szereg interesujących, starannie wydanych i pięknie ilustrowanych nowości dla młodzieży: B. Buyno: *Poselstwo z krainy czarów. Przygody chłopczyka w krainie ptaszków.* Spolszczone z angielskiego z licznymi ilustracjami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa, 1903, stron 158.

Dr Zofia Jotejko-Rudnicka: Nowe wieczory czwartkowe. Opowiadania przyrodnicze dla młodego wieku z 63 rysunkami w tekście. Warszawa, 1903. Nakład Gebethnera i Wolffa. Stron 378 + III.

Walery Przyborski: Austriacy w Warszawie. Powieść z czasów Księstwa Warszawskiego, z ilustracjami Antoniego Kamińskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1903, stron 194.

Teresa Jadwiga: Dworzanin Królewicza Jakóba. Powieść dla młodzieży. Z czasów panowania Jana Sobieskiego. (Z ilustracjami L. Illicza). Warszawa. Nakład Stanisława Sadowskiego, 1903, stron 169.

Jadwiga Warnkówna: Jasiek Pliszka. Z ilustracjami St. Sawiczewskiego. Gebethner i Wolff, 1903, str. 168.

Dla dzieci ponętna formą i treścią jest pięknie opracowana książka pod tytułem: Bajki Ezopa w opracowaniu Or-o-ta. (Nakład Gebethnera i Wolffa).

Panie Jadwiga Chrzaszczewska i Jadwiga Warnkówna wydały dla dzieci ilustrowane opowiadania pod tytułem: „Moja pierwsza książeczka“, wierszyki, powiastki i opowiadania różnej treści z 52 rysunkami (proza oryginalnie opracowana). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1903. Stron 130 + III.

Dla małych zaś dzieci wydała p. Jadwiga Warnkówna piętnaście powiastek, pod tytułem: *Pień poranna*. (Z rysunkami). Warszawa, 1903. Gebethner i Wolff, stron 145.

Wszystkie te książki są ozdobnie i trwale oprawione.

## BIBLIOGRAFIA.

### HISTORIA.

Szymon Askęnazy: Sto lat zarządu w Królestwie Polskiem. 1800 — 1900. Wydanie drugie przejrane. Lwów. Nakładem H. Altenberga. 1903. Stron 96. Z portretami w tekście: Fryderyka Augusta, Księcia Warszawskiego, Józefa ks. Poniatowskiego, Tomasza Ostrowskiego, Henryka Dąbrowskiego, Aleksandra I-go, Stanisława Potockiego, J. P. Woronicza, Aleksandra Wielopolskiego, d-ra Józefa Mianowskiego.

Edmund Demoliński: Szlaki dziejowe a typy społeczne. Szlaki starożytne. Spolszczył L. Krzywicki. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903. Stron XVI i 395 + II.

Bronisław Gembarzewski: *Wojsko polskie. 1815—1830*. Warszawa. Konstanty Trepte. 1903. Z przedmową Aleksandra Rembowskięgo, Stron XV + 152 + XXVI.

Kardynał J. Hergenröther: *Historia powszechna Kościoła Katolickiego*. Tom X-ty, Warszawa, 1902. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa, Stron 180 + Notatki bibliograficzne przez ks. Stanisława Galla i ks. Wincentęgo *Giebartowskiego*, stron 153 — 168.

Dr Feliks Koneczny: *Dzieje Polski, z ilustracyami L. Ilinicza Zajdla*. Dwa tomy. Wydawnictwo Dziennika „Rozwój” w Łodzi. Tom pierwszy stron 171, tom drugi stron 193.

*Kwartalnik Historyczny*. Organ Towarzystwa Historycznego, założony przez Ksawerego Liskiego, pod kierunkiem Aleksandra Semkowicza. Rocznik XVI. Zeszyt trzeci. We Lwowie, 1902. Główny skład w księgarni E. Wendęgo i S-ki. *Treść zeszytu*; Rokosz lwowski z roku 1527, III, przez Antonieęgo Prochaskę. Z dziejów Kościoła w Inflantach i w Kurlandyi, przez Gustawa Manteuffla. Zękłady naukowe w guberniach zachodnich do utworzenia Wileńskiego okręęu naukowego, przez Józefa Bielińskiego. Miscellanea: 1) Zapiski historyczne wśród starych almanachów Biblioteki Jagiellońskiej, przez Ludwika Birkenmajera; 2) Postanowienia na sejmiku wilkijskim w ziemi Żmujdzkiej roku 1576 marca 28 dnia, przez Witolda Nowodworskiego. Recenzye i sprawozdania. Przegląd literatury historyi powszechnęj (Wiek średnie), przez Władysława Semkowicza. Kronika przez Eugeniusza Barwińskiego. Bibliografia historyi polskiej przez tegoż. Polemika.

*Monumenta medii aevi historica res gestas Poloniae illustrantia*. Tomus XVI. Pomniki dziejowe wieków średnich do objaśnienia rzeczy polskich. Tom XVI. *Zawiera*: Akta kapitał i sądów biskupich, Tom drugi. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1901. Tytuł drugi: *Acta Capitulum nec non Iudiciorum ecclesiasticorum selecta edidit B. Ulanowski*. Volumen II. *Acta iudiciorum ecclesiasticorum Dioecesis Gneznensis et Poznaniensis (140—1530)*. W Krakowie, 1902. Stron XII + 953. 1) *Treść*: *Acta iudicii ecclesiastici Gneznensis*; 2) *Acta iudicii ecclesiastici Wielunensis*; 3) *Acta iudicii ecclesiastici Loviciensis*; 4) *Acta iudicii ecclesiastici Poznaniensis*; 5) *Acta iudicii ecclesiastici Warsoviensis*; 6) *Acta iudicii ecclesiastici Calissiensis*; 7) *Acta iudicii ecclesiastici Wielunensis*.

#### HISTORIA LITERATURY. — SZTUKA. PEDAGOGIA.

Henryk Bergson; *Śmiech. Studium o komizmie*. Lwów. Nakładem H. Altenberga. Warszawa. E. Wende i S-ka. 1902. Stron 152 + 2 nl. Cena 60 kop.

Jan Bystrzycki, profesor szkoły realnej: *O poezyach i mowach pogrzebowych* ks. Hieronima Kajsięwicza. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie, 1902. Stron 118. (Z portretem ks. Kajsięwicza. Wedle akwaforty J. Łosika).



H. Helmholtz: Fizyczne podstawy malarstwa. (*Optisches über Malerei*). Tłómaczył dr L. Bruner. Warszawa, 1802. („Biblioteka samokształceńia”, tomik XX-ty). Stron 128.

Dr Kazimierz Jarecki: Twórczość Maryi Konopnickiej. Cena 40 hal. Stron 16. Lwów, 1902.

Antoni Krasnowolski: Materiały, plany i wzory do ćwiczeń stylistycznych, ułożone przez... Część trzecia. Na klasy V i VI. Warszawa. Nakładem M. Arcta, 1902. Cena rb. 1. Stron 356.

G. E. Lessing: *Laokoon*, albo o granicach malarstwa i poezyi, w przekładzie Kazimierza *Bronikowskiego*. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala (b. r.). „Biblioteka Najcenniejszych Utworów Literatury Europejskiej”. Stron 149.

Maks Nordau: *Miłość*. Przekład z dwunastego wydania W. L. Warszawa. Skład główny w księgarni M. Borkowskiego, Marszałkowska 97. 1903. Stron 41.

Władysław Nowicki: Wyjątki z pisarzy polskich do nauki pamięciowej. Warszawa. Nakładem M. Arcta, 1902. Cena kop. 40. Stron 121.

Władysław Nowicki, magister nauk histor. filolog. b. Szkoły Głównej. Wypisy do literatury polskiej w zakresie szkoły średniej w porządku chronologicznym. I. Literatura przedmickiewiczowska. Warszawa. Nakładem i drukiem M. Arcta. 1902. Cena bez oprawy rub. 1 kop. 20. Stron IV + 454.

Jan Sten: *Pisarze polscy. Wrażenia literackie.* (Żeromski. — Reymont. — Or-ot. — Perzyński. — Niemojewski. — Sieroszewski. — Dąbrowski. — Przybyszewski. — Niedzwiedzki. — Kasprowicz. — Tetmajer. — Żuławski. — Staff. — Orkan. — Feldman. — Nowaczyński. — Kisielewski. — Wypiański). 1903. Lwów. Polskie Towarzystwo Nakładowe. Warszawa. Księgarnia T. Paprockiego i S-ki. Stron 168.

#### POEZYJE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

T. M. Dostojewski: *Białe Noce.* — *Cicho.* — *Przykra anegdota.* Tłómaczyli Konrad *Rakowski* i Adam *Siedlecki*. Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. 1902. Stron 241.

Wacław Gąsiorowski: *Rapsody Napoleońskie.* Zbiór fragmentów historycznych. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie. Warszawa. E. Wende i S-ka. MCMIII. (Druk Anczyca). Stron 137. Z licznymi ilustracyami w tekście.

Zygmunt Gloger: *Dolinami rzek.* Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy. Warszawa. Nakładem księgarni Ferdynanda Hojsicka. 1903. (Z bardzo licznymi ilustracyami). Stron 218. Z przedmową *Elizy Orzeszkowej*.

Maks Gorkij: *Wybór pism.* I. *Konowałow.* — *Eks-ludzie.* — *Dwudziestu sześciu i jedna.* — *Na stepie.* — *Przyjaciele.* — *Malwa.* — *Mój towarzysz podróży.* Przełożył St. Stempowski. Warszawa. Skład główny w księgarni S. Bukowieckiego. 1903. Stron 314.

Maksym Gorkij: *Byli ludzie.* Przekład B...é. Kraków. Nakładem D. E. Friedleina. Warszawa. E. Wende i S-ka. 1903. Stron 107.

Adam Mironowski: *Lyricon*. Warszawa. M. Borkowski, 193, stron 79.

Eliza Orzeszkowa: *Nad Niemnem*. Powieść. Wydała Antonina Morzkowska. Cena 40 kop, We Lwowie. Nakładem Macierzy Polskiej. Warszawa. E. Wende i S-ka, 1902, stron 291.

Elizy Orzeszkowej: *Myśli*. Zebrała z jej dzieł L. H. Kraków. Nakładem D. E. Friedleina. Warszawa. E. Wende i S-ka, 1903. Str. 8 nl. + 215.

Elizy Orzeszkowej: *Złote myśli*. Zebrała Janina Zarembianka. Warszawa. Nakładem księgarni M. Borkowskiego. 97 Marszałkowska. 1903. Stron 184.

Lucyan Rydel: *Utwory dramatyczne*. Tom pierwszy. Kraków, 1902. I. Matka. II. Dies irae. III. Z dobrego serca. IV. Ze sceny. Nakładem D. E. Friedleina w Krakowie. Portret rysunku prof. Wyczółkowskiego. Rysunki A. S. Procajłowicza, stron 150.

Marya hr. Tyszkiewiczówna: *Spójnik*. Powieść współczesna Warszawa. Skład główny w księgarni Stefana Deubego. Marszałkowska 72. 1905. Stron 300.

Z. Urbanowska: *Róża bez kolców*. Opowiadanie, osnute na tle przyrody tatrzańskiej. Z licznymi rycinami w tekście. Okładka kompozycji M. Kotarbińskiego. Nakład K. Grendyszyńskiego w Petersburgu. 1903. Str. 458. Karton.



---

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.

# Szesnaście dni z mego życia

CZYLI

## relacya z podróży do Petersburga

podczas rewolucyi polskiej z roku 1830 — 1831.

PRZEZ

TADEUSZA WYLEŻYŃSKIEGO.

---

### PODRÓŻ DO PETERSBURGA I NAPOWRÓT.

Rewolucya, której wybuch nastąpił w Warszawie wieczorem dnia 29 listopada 1830 roku, nabrała właściwej doniosłości dopiero z dniem 3 grudnia tegoż roku, kiedy wojska polskie, które znajdowały się przy Wielkim Księżciu Konstantym, wkroczyły do miasta, on zaś sam, w otoczeniu swych gwardyi rosyjskich, opuścił obóz Mokotowski, aby zmierzać na Puławy ku granicom Rosyi. W dniu 5 grudnia generał Chłopicki sam się Dyktatorem mianował, dnia 20-go zaś odbyło się pierwsze posiedzenie Sejmu, w którym połączony Senat i posłowie ogłosili rewolucyę narodową i zatwierdzili dyktaturę Chłopickiego. Książę Lubecki, który, wraz z hr. Janem Jezierskim, przed kilkunastu dniami wysłany został do Petersburga za sprawami naszymi, musiał być powiadomionym o tym akcie Sejmu, oraz otrzymać z rąk Dyktatora kredytywy do dalszego działania. Zaczem wypadło kogoś do Lubeckiego i Jezierskiego wysłać, a wybór padł

na mnie, jako na pełniącego właśnie służbę adjutanta przy Dyktatorze. Nie bardzo wiem, czemu mnie właśnie wybrano, tyle wiem, że Dyktator pragnął do Petersburga wysłać kogoś, któryby przedstawił wszystko, co zaszło w Warszawie i w Polsce, a nie był wystawionym na ewentualne po drodze aresztowanie, szło mu tedy o powierzenie tej misji oficerowi, który nie był wziął żadnego udziału w wybuchu rewolucyi i jej pierwszych objawach, owszem, znajdował się był wśród wojsk, pozostałych przy Wielkim Księżciu, i stąd zachował jeszcze pewną legalność w dotychczasowem postępowaniu. Otóż ja właśnie odpowiadałem temu żądaniu. Pierwszego dnia wraz z generałem Krasieńskim i pułkiem strzelców konnych naszej gwardyi wystawiony byłem na pociski ludu i żołnierzy, którzy rozpoczęli powstanie, wróciłem zaś do Warszawy 3 grudnia, stosownie do upoważnienia, danego na piśmie wojsku polskiemu, znajdującemu się przy jego Osobie, przez Wielkiego Księcia <sup>1)</sup>.

Nadto, znałem dobrze Petersburg, a i Cesarz mnie znał, bo pięć miesięcy poprzednio spędziłem tam był sześć tygodni wspólnie z generałem Krasieńskim, a stopień mój i blizny dodawały konsyderacyi mojej osobie zarazem i misyi. Mnie tedy generał Chłopicki ową misyę powierzył, misyę nader przykrą, pominąwszy bowiem trudy długiej podróży o tej mroźnej porze, pierwszy oficer polski, jawiący się w Petersburgu po wybuchu naszej rewolucyi i stawający przed Cesarzem, mógł tylko spodziewać się najgorszego przyjęcia, bodaj utraty wolności, a w każdym razie rozlicznych nieprzyjemności.

---

W dniu 21 grudnia rano znajdowałem się, jak zwykle, u Dyktatora, który zamieszkiwał wówczas w domu Mikulskich, na rogu ulicy Bielańskiej. Cały sztab zebrał się w południe na śniadanie. Rozmawialiśmy o wypadkach bieżących, a pułkownik Wąsowicz, który należał do najbliższych Dyktatora, powiedział mi, że już w wilię kogoś do Petersburga wysłano z wiadomością o sejmie. Następnie wyszedłem za interesami na miasto, aby powrócić dopiero o 5-tej wieczorem, z zamiarem pozostania w domu, czułem się bowiem niezdrów

---

<sup>1)</sup> Wojsko polskie, znajdujące się przy Wielkim Księżciu do dnia 3-go grudnia, składało się z całego pułku strzelców konnych gwardyi, z pułku grenadyerów gwardyi bez 3-ej kompanii 2-go batalionu, nareszcie z dziesięciu połączonych batalionów.

i zmęczony. Wtem lokaj mi oświadczył, iż trzech adjutantów Dyktatora przybyło, aby mnie natychmiast do niego powołać. Domyśliłem się, iż zapewne mnie chciano gdzie wyprawić, myślałem atoli, iż raczej gdzie w obrębie kraju. Udałem się niezwłocznie do Dyktatora. W przedpokoju, jak zawsze, przepelnionym oficerami, powiedziano mi, iż z niecierpliwością mnie Dyktator oczekuje. Wchodzę tedy do salonu, gdzie go zastaję w dość licznym towarzystwie wśród ożywionej rozmowy. Zanim ją przerwał, generał Schwein (także jeden z bliższych Chłopickiego), zbliża się do mnie, aby mi szepnąć na ucho:

— Zaraz wyjedziesz.

Pytam:

— Czy daleko?

— Bardzo daleko — odpowiada.

Polegając na słowach Wąsowicza, że już kogoś do Petersburga wyprawiono, przypuszczałem, że mnie gdzie poślą za granicę, i wyznaję, że mnie ta myśl ucieszyła. Ale rychło mnie czekało rozczarowanie, bo Dyktator, zakończywszy rozmowę, nagle się ku mnie zwrócił:

— Czy masz dobre futro?

— Mam, generale.

— Dobrze. A więc się zabieraj i jedź natychmiast do Petersburga.

Stałem jak osłupiały, w jednej chwili obliczając wszystkie nieprzyjemności, bodaj niebezpieczeństwa, które mnie w tej drodze czekały. Mimo to rzekłem do Dyktatora:

— Jestem gotów. Czy otrzymam jakie depesze?

— Oczywiście, i to dla księcia Lubeckiego.

— Czy mnie przez granicę przepuszczą?

— Musisz sobie w tem poradzić,

— Prawdopodobnie Cesarz w Petersburgu, jeżeli tam wogóle dojadę, będzie się chciał ze mną widzieć. Cóż w takim razie mam powiedzieć? Jakie otrzymam instrukcje?

— Staw się u mnie za dwie godziny, rozmówimy się szerzej, a tymczasem idź się przygotować do drogi, ażeby dziś wieczorem wyruszyć.

I zwracając się do prezesa banku, hr. Jelskiego, który się w salonie znajdował, dodał:

— Proszę dać pułkownikowi potrzebny na tę podróż fundusz.

Wyszedłem stamtąd zły i skłopotany, zakrzętnąłem się około przygotowań do drogi, podjąłem z banku 250 dukatów, uprzedziłem przyjaciół o blizkim wyjeździe, zamówiłem bryczkę pocztową przed

dom Dyktatora, i o godz. 8-ej wieczorem stawilem się u niego, gotów zupełnie, aby się puścić w podróż.

Wchodzę do pokoju Dyktatora, który był sam i w tych słowach do mnie się odezwał:

— Pojedziesz na Kowno, bo to jest najprostsza droga, a nie natkniesz się na Wielkiego Księcia Konstantego. W Kownie zastaniesz generała Bezobrazowa, dowodzącego dywizją rosyjskich huzarów; oświadczysz mu, iż jesteś wysłany z depezbami do Petersburga i poprosisz go o pasport, aby się tam dostać. Jeżeli ci robić będzie jakiegobądź trudności, powiesz, iż podobnie jak pułkownik Hauke (adjutant Cesarza, który przed dziesięcioma dniami z Petersburga przybył) otrzymał od władz polskich upoważnienie udania się do Warszawy, słusznem jest, aby i ciebie do Petersburga przepuścił, i na to nacisk położysz. Gdyby jednak ci wręcz odmówiono, wręczysz generałowi Bezobrazow depeze, które ci powierzę, za odnośnem pokwitowaniem z odbioru, prosząc, aby je natychmiast sztafetą wyprawił do Petersburga, sam zaś tu powrócisz; trzeba ci jednak dołożyć wszelkich starań, aby się osobiście do Petersburga dostać. Gdyby Bezobrazow chciał zrazu cię posłać do Wielkiego Księcia Konstantego, powiesz mu, iż byłby to zbyt wielki objazd, że depeze są bardzo naglące i nie zgodzisz się na to zboczenie z drogi <sup>1)</sup>. Zresztą, idź za własnym instynktem, aby sobie jak najlepiej radzić.

Spytałem wtedy Dyktatora, co mam powiedzieć Cesarzowi, gdyby mnie zapragnął widzieć?

— Jeżeli zobaczysz Cesarza, mów z całą uległością, należącą się Monarsze, a odpowiadaj ścisłą prawdą na wszystkie jego ewentualne zapytania. Sam widzisz, jakim jest stan rzeczy, opowiesz więc, co się u nas dzieje, trzymając się rzetelnej prawdy, która się od ciebie należy twemu Monarsze. Gdyby zażądał informacji co do wojska, odpowiesz, że trzecie bataliony pułków piechoty już są zorganizowane, że czwarte się zorganizują, równie jak i piąte i szóste szwadrony w każdym z pułków jazdy; że mamy czterdzieści nowych dział, że formują się na prowincyi bataliony gwardyi narodowej i sztyftują nowe pułki jazdy, słowem, opowiesz mu wszystko, na co patrzysz. Abyś zaś wiedział, jak masz mówić po myśli mojej, idź do Krysińskiego (sekretarza Dyktatora) i każ sobie pokazać list mój do Cesarza, zwierzony księciu Lubeckiemu.

---

<sup>1)</sup> Wielki Książę znajdował się wówczas w pobliżu Brześcia Litewskiego, a i ks. Lubecki w tę samą podążył był stronę.

Wstąpiłem do mieszkającego w pobliżu Aleksandra Krysińskiego, który mi ów list, tak ogólnie później znany, pokazał. Poznałem stąd, iż generał Chłopiński pragnął, aby się sprawa mogła polubownie ułożyć, że się tego nawet spodziewał, pisząc naprzykład, iż ład wszędzie powracał, i że miał nadzieję takowy utrzymać; prosił Cesarza, aby raczył wejść w położenie Polaków, aby miał wzgląd na ich skargi, i chciał im zareczyć, że odtąd konstytucya ściśle będzie przestrzegana. Dodawał nadto, iż, aczkolwiek rzeczy posunęły się tak daleko, jedynym środkiem uniknięcia dalszych i sroższych nieszczęść byłoby szlachetnie udzielone przez Cesarza przebaczenie. W liście tym po-brzmiewał głos uczciwego człowieka, który chciał myśl swoją wyjaśnić Cesarzowi ze szczerością starego żołnierza, który w nim i nadal upatrywał swego Monarchę i pragnął mu wyjaśnić, że jeżeli ogłosił się Dyktatorem, to na to jedynie, aby przywrócić porządek, nigdy bowiem rewolucyi nie pragnął. Z tego listu poznałem, jaki kierunek mi był wskazanym przez Dyktatora, przekonałem się także, iż nie pragnął on wojny, a osądził, że do tej ostateczności nie dojdzie, że nie miał złudzeń co do walki, wydanej potężnej Rosyi.

Za powrotem do Dyktatora, otrzymałem od niego depezę, dopiero w mojej obecności przez niego podpisaną do ks. Lubeckiego. Zaoopatrzono mnie nadto w jawny rozkaz, polecający, aby mi wszędzie po drodze udzielano pomocy, a generał Mroziński, szef sztabu Dyktatora, wydał mi pasport na przejazd granicy, który miałem władzom rosyjskim ukazać.

Dyktator mi jeszcze powtórzył:

— Powiesz w Petersburgu ścisłą prawdę o wszystkim, co się u nas dzieje; przekonasz się, co tam o nas myślą, jakie robią przygotowania wojenne, co za siły przeciw nam Rosya wystawi i t. d., i t. d. Daj na wszystko pilne baczenie i staraj się, aby nic twej uwadze nie uszło, licząc na twoją gorliwość, spraw się dobrze i wracaj co prędzej. Powiesz jeszcze, że odesłałem do Brześcia wszystkich podoficerów i żołnierzy rosyjskich, uwięzionych w Warszawie, co zaś do generałów i oficerów, pozostałych tutaj, niepodobna mi ich odsyłać, dopóki się nie dowiem, jak tam postąpią z naszymi senatorami i oficerami, znajdującymi się w Rosyi. Za to ręczę, iż są dobrze traktowani, i że mam o nich staranie. Jedźże wasan, szczęśliwej drogi i szybkiego powrotu.

Po tych krótkich instrukcyach ścisnął mi rękę, i opuściłem jego gabinet. W przyległym salonie napiłem się herbaty wraz z generałem Szembekiem oraz kilkunastu oficerami głównego sztabu. Generał Szembek dość długo ze mną rozmawiał, ażeby mnie prosić o powtórzenie w Petersburgu, a mianowicie Cesarzowi, gdybym miał sposob-

ność, że i on nie pragnął rewolucyi i nie myślał do niej przystąpić, że jeżeli pierwszy na czele swego pułku wkroczył do Warszawy, to dla tego, że nie mógł inaczej postąpić, bo własni żołnierze byliby go, w razie odmowy, rozstrzelali, porwani największym dla powstania zapalem i opanowani przez agitatorów; po wyrazie ich twarzy poznał był, że nic innego zrobić nie może.

Pułkownik Wąsowicz polecił mi także powtórzyć, jak dalece znajdujemy się pod wpływem rewolucyjnego stronnictwa, czyniącego szybkie wszędzie postępy. Wszyscy dokoła mówili mniej więcej to samo. Można się było dowodnie przekonać, iż naczelni mężowie sztabu i armii dawali się unieść fali, wbrew woli własnej, świadomi niebezpieczeństwa, ale, przyznać to należy, z najwyższym osobistym wyrzeczeniem. Nareszcie ich pożegnałem, uściśnałem mego ojca i o godzinie 11-ej wieczorem, dnia 21 grudnia 1830 roku, znalazłem się, wraz z moim służącym, w bryczce pocztowej, unoszącej mnie w stronę Petersburga.

---

Od Warszawy do Kowna nie zaznałem uciążliwości podróży, gościniec był dobry, czas niezbyt chłodny, pogoda mi dopisała. W nocy minąłem Pułtusk, gdzie stał pułk strzelców konnych gwardyi. Nazajutrz w Ostrołęce ujrzałem mnóstwo chłopów uzbrojonych w kosy, których tam zgromadzono, aby ich podzielić na bataliony, które po trochu ćwiczone. W Łomży ten sam czekał mnie widok, podobnież i w innych miasteczkach. Po drodze wciąż spotykałem organizujące się oddziały i przygotowania do wojny. Po kuźniach osadzano na drzewcach piki, prostowano kosy. Przy każdej wiosce, na każdym wzgórzu umieszczono wysokie maszty, otoczone słomą, na których wisiały baryłki pełne smoły, garstka wieśniaków dniem i nocą czuwała opodal przy ognisku biwakowem, aby w razie ukazania się nieprzyjaciela, zapalić owe sygnały i dać hasło do walki. Wszystko to nadawało całemu krajobrazowi cechy powstańcze.

W dniu 23 grudnia stanąłem o 10-tej w Maryampolu, gdzie zastałem p. Osipowskiego, byłego pułkownika, któremu zlecono organizowanie nowych zaciągów w województwie Augustowskiem, dalej majora Puszet<sup>1)</sup>, i wielu innych. Tutaj sztyftowano jazdę, zastałem na

---

<sup>1)</sup> Był to ten sam Puszet, który z powodzeniem partyzancką w tych stronach wiódł walkę, ale niebawem umarł wyczerpany trudami kampanii.



rynku do tysiąca koni drobnych, lecz wytrzymałych. Umundurowanie ludzi postępowało szybko, każdy już miał lance, wielu nawet i pałasze. Zastałem tych panów w ratuszu na śniadaniu i zapytałem ich, czy dalsza droga jest wolną. Zaproсили mnie do uczestniczenia w ich posiłku, ale uderzyła mnie pewna nienefność do mojej osoby, chcieli nawet zażądać wyjaśnień, co do mojej podróży, kiedy uprzedziłem ich życzenia, oświadczając, iż jestem adjutantem Dyktatora, że wysłany zostałem przez niego z depe szami do Petersburga, pokazałem im jawny rozkaz przepuszczania mnie, z podpisem Chłopickiego, w którym wszyscy wówczas upatrywali zbawcę ojczyzny. Wobec tego pośpieszyli mi udzielić wszystkich możliwych informacji, a pułkownik Osipowski ofiarował się odprowadzić mnie aż do następnej stacji pocztowej, gdzie miał obejrzeć 600 koni, które tam dostawiono. Pojechaliśmy tedy razem, i przyjrzałem się prawdziwie powstańczej kawalerii. Pułkownik Osipowski przedstawił mi pułkownika Schoona, jako najgorliwszego oficera owych nowych zaciągów, a był to ten sam, który później został powieszony przez Rosyan, na rozkaz generała Frie chena.

O zmierzchu stanąłem w Aleksocie, granicy polskiej nad Niemnem, położonej naprzeciw Kowna. Dyrektor celny z naszej strony mnie uprzedził, iż żadnej nie było komunikacji z przeciwnym brzegiem, że rzeka wysoka i niebezpieczna w nocy, zaczął mi poradzić zatrzymać się u niego do rana, a jednocześnie zażądać w urzędzie celnym rosyjskim upoważnienia do dalszej drogi. Powiedział mi, iż pułkownik Hauke podobnie postąpił, dodał atoli, iż z pewnością mnie nie wpuszczą do Rosyi, co było zresztą prawdopodobnem, zważywszy na ogólny rozkaz, wydany wszystkim urzędom celnym pogranicza.

Że jednak polecono mi dołożyć wszelkich starań, aby się dostać, przynajmniej dotrzeć do generała, komenderującego w Kownie, postanowiłem przeprowić się przez rzekę, nie uprzedziwszy o tem władz rosyjskich, i stanąć śmiało po drugiej stronie granicy. Siadłem tedy do łódki wraz ze sługą moim, zabrałem z sobą pocztyliona, który miał trąbić w czasie przewozu, dla uprzedzenia władz rosyjskich, tak, abym natychmiast zastał z kim się rozmówić, i o wpół do ósmej wieczorem, w noc ciemną i ponurą, wylądowałem w Kownie.

Czekał na brzegu rzeki dyrektor policji, który na odgłos trąbki przybył w otoczeniu żołnierzy, niosących latarki. Spytał, kto zaczem jestem, czego chciałem? Odpowiedziałem, iż jestem polskim pułkow-

nikiem, wysłanym z Warszawy do Petersburga, i że chcę być stawionym niezwłocznie przed generałem Bezobrazowem. W mig otoczyli mnie urzędnicy celni, którzy jęli przetrząsać moje kufarki i zabrali je wraz z moim służącym do gmachu celnego. Tymczasem sam z dyrektorem policji udałem się do generała Bezobrazowa. Był to dobry starzec, który mi powiedział, iż tegoż dnia przybył z Petersburga generał książę Łopuchin, na którego zdał już komendę pierwszej dywizji huzarów i przeto należało mi się zgłosić do nowego dowódcy. Pośpieszyłem do księcia Łopuchina, pięknego mężczyzny, człowieka majątnego i wykwintnego, który mnie uprzejmie przyjął. Przedstawiłem mu cel mej podróży i o wydanie pasportu prosiłem. Odpowiedział, iż co dopiero przybył na miejsce, że jeszcze nie wiedział, czy wolno mu będzie przepuścić mnie dalej, że prosi o chwilkę cierpliwości. Tymczasem podano herbatę i zawiązała się między nami ożywna rozmowa.

Powiedział mi, iż zgoła nie rozumie polskiej rewolucyi, że zawsze słyszał, iż Polska czuje się taka szczęśliwa, że sam bardzo był dla niej życzliwie usposobiony, że się nieraz w Polkach kochał i t. p., i t. p. Z kolei odparłem, iż wprawdzie powstanie zarządziła garstka młodych zapaleńców, ale dziś już naród się do niego przyłączył, że sejm uznał rewolucję za narodową, że generał Chłopicki zaprowadził porządek itd., itd. Dodałem, iż zapewne, pod względem materyalnym dobrze się nam działo, ale ani moralnie, ani politycznie nie byliśmy szczęśliwi; że ufamy, iż cesarz zechce wejść w nasze położenie, że tymczasem się zbroimy, że opodal, pod Maryampolem, znajduje się 3,000 kawaleryi, że cała Warszawa tchnie tylko walką, że wszyscy rwą się do broni. Książę podziwiał animusz wojenny Polaków, ale jednocześnie wymieniał siły rosyjskie, przeznaczone już do wkroczenia w nasze granice; dodał, że nie radzi owej kawaleryi, znajdującej się po drugiej stronie Niemna, aby próbowała przepawić się przez rzekę, bo sam rychło by ją przerzucił na drugą stronę. Odpowiedziałem, iż nie otrzymawszy rozkazu przebycia granicy, z pewnością nasza jazda nie rzuciłaby się w tę imprezę, gdyby zaś garstka ochotników się na to poświęciła, możnaby zaręczyć, iż działają na własną rękę, bez upoważnienia z góry, zaczętem niepodobnaby tego uważać za początek wydania wojny.

Rozmowa toczyła się dalej w tym samym kierunku. Raz po raz wywoływano księcia, który w końcu mi powiedział: „Nie powinienem pana przepuścić, stosownie do ogólnego zakazu, że jednak uważam cię za parlamentarza, dodam ci eskortę i odesłę do generała Pahlena, dowodzącego pierwszym korpusem armii, której moja dywi-

zya jest awangardą<sup>1)</sup>. Spotkasz go jeszcze po tej stronie Mitawy, ponieważ już wymaszerował ku Polsce. Znalaziono u pańskiego służącego pistolety, pan wybaczy jeśli mu je odebrać rozkazałem, powierzając je żołnierzowi, który ci towarzyszyć będzie; znalaziono również w pańskim tłómoku pakiet adresowany do pana Turkulla w Petersburgu. Odparłem, iż były to gazety, przesłane przez młodego hr. Zamoyskiego, za co nie byłem odpowiedzialnym. Rzekł mi na to: Zechciej mi pan pokazać depesze do księcia Lubeckiego.—Miałem je na sobie i przedstawiłem niezwłocznie. Odebrał je, dołączył do innych papierów, włożył w dużą kopertę, i opieczętował. Wtedy zrobiłem mu uwagę, iż odpowiadałem za doręczenie owych depeasz, więc chyba mi dać zechce kwit z ich odbioru. Na to odparł:—Proszę się nie formalizować, towarzyszący panu oficer żandarmeryi przewiezie je na sobie, taki jest bowiem zwyczaj przyjęty dla parlamentarzystów.—Na to nie było co odpowiedzieć. Tymczasem nadszedł oficer huzarów kłasyckich; książkę udzielił mi instrukcji, oddał mu moje papiery i pożegnał mnie. Wyruszyłem z Kowna o 10-tej wieczór, sam w otwartych sankach z przydzielonym mi oficerem, podczas gdy w drugich siedział mój służący wspólnie z żołnierzem, tego samego co i oficer pułku, mającym nabity i przewieszony przez ramię karabin.

Towarzysz mój był sobie poczciwym Szwabem, z którym w jego rodowitym języku zawiązałem rozmowę. Powiedział, że cała pierwsza dywizja huzarów już była skupioną dokoła Kowna. W drodze mieliśmy wciąż przykrą niepogodę, wichur dął okrutny. Na pierwszej zaraz stacyi pocztowej o mało cośmy się nie utopili z naszymi sankami, przeprawiając się przez wody, zalewające gościniec. Nazajutrz, około 2-iej z południa, dojechaliśmy do Szawel, na Żmudzi, gdzie zastałem generała hrabiego Pahlena I-go, który tamże co dopiero przybył, wraz z 4-ym pułkiem piechoty morskiej, należącym do I-go korpusu, który się przybliżał. Wsiadłem na pocztę, mieszczącą się w nędznym domostwie na przedmieściu, gdzie mnie mój towarzysz opuścił, prosząc abym z nikim nie rozmawiał, a poleciwszy żołnierzowi, aby mnie nie tracił z oka. Sam zaś podążył do Pahlena, skąd niebawem powrócił, oświadczając mi, iż wręczył generałowi moje depesze, i że wkrótce otrzymam jego rozkazy. Spostrzegłem przed domem pocztowym kocz podróżny z herbem Zamoyskich, i dowiedziałem się, iż przed pół godziną hr. Zamoyski, prezes senatu polskiego,

---

1) Spotkałem tegoż księcia Łopuc'ina po wojnie i wtedy mi opowiedział, że dostał nagana od Pahlena za przepuszczenie mnie przez granicę, ale że gdy raz znalazłem się na tamtej stronie, już nie było sposobu mnie przytrzymać.

wyruszył był stąd do Petersburga. Dla skrócenia czasu rozmawiałem z moim oficerem o przeróżnych kwestyach, między innymi po trochu o naszej rewolucyi. Kiedy jednak po sześćcio-godzinnem oczekiwaniu nikt od Pahlena nie przybywał, ogarnęła mnie niecierpliwość, zacząłem się dopraszać jakiejś odpowiedzi, dodając, jeżeli mnie nie dadzą jechać dalej, niechby mnie opatrzyli w pokwitowanie z odbioru depesz i odesłali do Warszawy; atoli, jeżeli chcą mnie przepuścić, proszę o pośpiech, bo moje depesze są naglące. Chciałem w tej sprawie napisać list do szefa sztabu, generała Pahlena, ale mi mój oficer oświadczył, iż to jest wzbronionem. W końcu zniewoliłem mego towarzysza, aby się raz więcej udał do generała Pahlena, i powtórzył w sztabie wszystko, com mu był powiedział. Zgodził się na to, a ja tymczasem w smutnych pograżyłem się myślach.

-- „Otom się znalazł uwięzionym, niema co się ludzić, nie dadzą mi ani wyjechać, ani do kogokolwiek napisać, odebrano mi broń moją i depesze, zostawiono zaledwie pałasz. Generał Pahlen wcale mnie widzieć nie chce. Cóż tedy ze mną zrobią?“

Tak smutno rozmyślając, niczego już nie pragnąłem, jak tylko upoważnienia do powrotu do Warszawy. Po całogodzinnem oczekiwaniu, oficer mój powrócił, mówiąc, iż wszystko co mu zaleciłem powtórzył, i że natychmiast będę mógł do Petersburga wyruszyć w towarzystwie oficera i podoficera piechoty. Dodał nadto iż generał Pahlen spytał, w jakim języku z nim rozmawiałem, czym potrącił o wypadki warszawskie, że odpowiedział, iż mówiliśmy z sobą po niemiecku, że o rewolucyi nic mu nie opowiedziałem (co nie było zupełnie ściśłem), że zresztą byłem bardzo grzeczny, a raczej milczący. Dodał od siebie radę, aby jak najmniej rozmawiać z przydanym oficerem od piechoty, i wogóle mieć się z nim na baczności, był to bowiem młodzieniec, który otrzymał osobne instrukcye, aby wszystko, co zasłyszysz, powtarzał i donosił. Podziękowałem memu pocziwemu Szwabowi, zapytując, co mniema iż ze mną zrobią? Odparł, że na razie mnie odstawią do naczelnego dowódcy rosyjskiej armii, marszałka hr. Dybicza, znajdującego się dotąd w Petersburgu. Ale co potem nastąpi?!.. wzruszył ramionami i rękę moją uściśnął. Powtarzałem sobie: „Ha! niechże i tak będzie! Jadę tedy do Petersburga, czy stamtąd powrócę?..“

Posiliłem się bardzo złą wieczerzą, kupiłem kozuchy dla okrycia nóg, tak moich, jak i służącego. Mieliśmy bowiem przed sobą do 120 mil drogi, i to zawsze ku Północy. Gdy nadszedł przydany mi towarzysz, pocziwy Niemiec polecił mi, aby miał dla mnie wszystkie możliwe względy. Jakoż o północy siedliśmy na saneczki, ja z oficerem oraz podoficer zbrojny we własne i moje pistolety, który zajął prze-

dnie siedzenie; w drugich sankach jechał mój służący ze służącym oficera.

Nowy mój towarzysz był młodym chłopcem, podporucznikiem w 4-ym pułku marynarki lądowej. Zwał się Wasiliew i co dopiero był wyszedł ze szkoły kadetów w Petersburgu. I z nim też rozmawiałem w języku niemieckim. Podoficer, wysoki i dorodny młodzian, pochodzący z Kurlandi, był synem pastora protestanckiego, nazwiskiem Schulz. Oddałem pieniądze potrzebne na opłatę koni pocztowych oficerowi, ażeby sobie oszczędzić kłopotu płacenia na każdej stacyi, zwłaszcza iż korzystałem z przepręgów, aby snu nieco zażyć. I ja też ponosiłem koszt wyżywienia mojej eskorty, która pod tym względem zdawała się być ze mnie zadowolnioną.

Sześć miesięcy przedtem, tę samą odbywałem podróż, w towarzystwie generała Wincentego Krasieńskiego, a w orszaku cesarskim. Jechaliśmy wśród najpiękniejszej pory, wszędzie nam po drodze oddawano należyte honory, w Petersburgu czekały nas różne festyny, byliśmy zaproszeni na słynną w Peterhofie uroczystość, na manewra gwardyi cesarskiej, na które miał przybyć następca tronu szwedzki, ks. Oskar...

Obecnie tę samą przebywałem drogę, w najgorszy i najprzykrzejszy czas, w otwartych sankach, sam, pod strażą wojskową, na każdej stacyi przypatrywano mi się jako wielkiemu złoczyńcy, unikano zetknięcia i rozmowy ze mną, zdaleka tylko na mnie spoglądając koso... W Petersburgu spodziewałem się widzieć surowe oblicze cesarza, słyszeć ostre wyrzuty, które ciskać gotów na nasz naród; bodaj mnie tam zamkną w jakiej fortecy, może już tedy nigdy nie wrócić; nie obaczę rychło ziemi polskiej, przyjaciół moich.. Najczarniejsze myśli wyłącznie mnie opanowały. Po niejakiem czasie uspokoiłem się wszelako, a czyste sumienie, obok wiary w Opatrzność Bożą, zdobyły mi rezygnację.

Domy pocztowe na Żmudzi bywają niegodziwe, i niczego tam znaleźć nie można. Natomiast od Mitawy do Petersburga, choć kraj jest ohydny, wszędzie spotkać przychodzi dobre i obszerne stacje pocztowe, gdzie nie trudno o zaspokojenie apetytu. Zresztą droga to bardzo ożywiona, skoro łączy Pétersburg z Europą. Opuściwszy Szawle około północy, spożyliśmy nazajutrz obiad w Mitawie, gdzie spotkaliśmy jednego z adiutantów marszałka, śpieszącego do armii; wieczorem przejechaliśmy przez Rygę, na ściętej przez lody Dźwinie. W pobliżu Dorpatu spotkałem brygadę grenadyerów, oraz coś artyleryi, i serce mi się ścisnęło na myśl, że te wszystkie wojska kroczą przeciw mojej ojczyźnie. Przez cały czas podróży dął silny wiatr,

zimno było okrutne, padał śnieg lodowaty, który ciał w twarzę, zwłaszcza w sąsiedztwie jeziora Pejpus.

Nakoniec, dnia 28 grudnia 1830 roku o 8 godzinie z wieczora stanąłem w Petersburgu. Wytlómaczyłem memu oficerowi, iż należało się trochę ogarnąć, zanim się przedstawimy marszałkowi, do którego miał rozkaz mnie zaprowadzić niezwłocznie. Wysiedliśmy w hotelu Demutha, niezbyt odległym od pałacu (domu Szepielewa obok Zimowego Pałacu), gdzie mieszkał marszałek Dybicz. Przywdziałszy mundury, udaliśmy się do tego ostatniego. Za ledwie oznajmiono nasze przybycie, aliści wpuszczono naprzód mego towarzysza oficera, który wręczył moje depesze. Opowiedział mi on później, iż marszałek go spytał kto zacy jestem, w jakim języku rozmawialiśmy, czy mówiliśmy o rewolucyi polskiej, czym się w drodze zachowywał spokojnie. Po króciutkiem w przedpokojach oczekiwaniu, wpuszczono mnie do gabinetu feldmarszałka, gdzie zastałem hr. Tołstoja, generała piechoty. Widziałem był nieraz dawniej marszałka, ale z nim nigdy dotąd nie rozmawiałem. Był to człowieczek, niski, gruby, bardzo szpetny, o śmiesznej powierzchowności, niezmiernej żywości w słowach i ruchach, rzucający się ustawicznie w krzesła, pełen próżności osobistej, w gruncie jednak dobry bardzo, posiadający dokładną znajomość stanu rzeczy w całej Europie, a mianowicie w Polsce. Nienawidził on szczerze Wielkiego Księcia Konstantego.

Na jego stole leżał otwarty rocznik polskiej armii, w którym zapewne szukał był mego nazwiska. Wstał, przywitał mnie, kazał mi usiąść, rozkazał podać herbaty i spytał:

**Marszałek:** Czy dawno pan opuściłeś Warszawę?

**J a:** Dziś siódmy dzień upływa. Wysłał mnie generał Chłopiczki z depezsami dla ks. Lubeckiego, które mi na graucy zostały odebrane. Ufam, iż je oddano Waszej Ekscelencyi.

**Marszałek:** Otóż i one.

**J a:** Nie pozostaje mi nic więcej, jak prosić, aby zostały wręczone pod ich adresem. Co do innych papierów, młody hr. Zamoyski prosił mnie, aby je odesłać p. Turkullowi.

**Marszałek:** Są to tylko gazety<sup>1)</sup>. Proszę mi powiedzieć, czy przed pańskim odjazdem z Warszawy manifesta cesarskie do narodu i armii już tam były znane?

---

<sup>1)</sup> Dowiedziałem się później, że tej samej nocy przetłumaczono owe gazety polskie dla cesarza i z pewnością czytając te dzienniki, w których o wszystkim pisano, cesarz mógł się dowiedzieć całego przebiegu wypadków w Warszawie.

**J a:** Nie, mości marszałku, nic o tem jeszcze nie wiadano, a jedyne wieści, które z Petersburga nadeszły po rewolucyi, były te, które przywiózł Hauke.

Na to Marszałek jął rachować dni z Tolstojem, poczem ciągnął dalej.

**M a r s z a ł e k:** Prawda, nic jeszcze dojść nie mogło. No i zdobyliście się na rewolucyę!

**J a.** Tak jest, niestety!

**M a r s z a ł e k:** Zdaje mi się, iż pan byłeś adjutantem generała Krasińskiego?

**J a:** W istocie, Ekscelencyo, byłem przy nim aż do jego powrotu do Warszawy.

Dalej wyjaśniłem, że znajdowałem się w poczcie wojska otaczającego Wielkiego Księcia, w pierwszych chwilach rewolucyi, mianowicie z pułkiem strzelców konnych gwardyi i generałem Krasińskim, że wróciłem z tymże pułkiem do Warszawy, skoro nas Wielki Książę do tego upoważnił; zaraz na początku pragnąłem zaznaczyć, iż generał Chłopicki dość miał taktu, aby nie wysyłać do Petersburga żadnego z tych, co rozpoczęli powstanie.

**M a r s z a ł e k:** Należałeś tedy do rzędu tych wojskowych, którzy zrazu pozostali wiernymi. Bardzo rad to słyszę. Jesteś teraz przy generale Chłopickim?

**J a:** Tak jest, Ekscellencyo.

**M a r s z a ł e k:** Jest on tedy Dyktatorem! czy na długo? Jakież są ostatnie wiadomości?

**J a:** Generał Chłopicki sam siebie ogłosił dyktatorem, przez co wyświadczył nieskończone dobrodziejstwo swemu narodowi, wracając krajowi pożądany ład i uspokojenie. W przededniu mego wyjazdu Sejm się zebrał, uznając rewolucyę za narodową i stwierdzając Dyktaturę Chłopickiego, który dzierży obecnie tę władzę z woli przedstawicieli narodu. Depesze, które przywiozłem, zawierają te właśnie ważne wiadomości.

**M a r s z a ł e k:** Ma się rozumieć, że ważnel Czy Dyktatura przeszła jednomyślnie?

**J a:** Z wyjątkiem jednego tylko głosu, pośła kaliskiego, Morawskiego.

**M a r s z a ł e k:** Czy nikt się nie znalazł w sejmie, aby wspomnieć cesarza? nikt nie miał odwagi wymienić nazwisko swego monarchy?

**J a:** Żadne słowo przeciwko cesarzowi nie padło.

**M a r s z a ł e k:** To dobrze, lecz za nim?

**J a:** Nic za nim, nic przeciwko niemu, wogóle żadnej wzmianki o Cesarzu nie zrobiono.

**M a r s z a ł e k:** Dziwne to, dziwne. Czy Chłopicki piastuje władzę nieograniczoną?

**J a:** Najzupełniej. Istnieje atoli Komisya, złożona z senatorów i posłów, która nad nim czuwa, a która, acz nie ma prawa mieszania się do jego postanowień, może mu odjąć władzę, gdyby to za stosowne uważała.

**M a r s z a ł e k:** To nie dobrze, bardzo nie dobrze. Któż należy do owej Komisji?

Wymieniłem kilka nazwisk, dodając, że zapewne w depeszach do księcia Lubckiego skład cały owej delegacji musi być przedstawionym, i że ks. Lubcki i hr. Jezierski lepiej ode mnie onej członków znają.

**M a r s z a ł e k:** Czartoryski, Radziwiłł, Małachowski, Jezierski (wymienieni przeze mnie, jako członkowie delegacji), wszystko to ludzie do rzeczy, ale że ten sam Morawski, który głosował przeciw dyktaturze, należy do Komisji, to źle, to nie dobrze. Czy porządek zupełnie przywróconym został?

**J a:** Tak jest. Dzięki różnym surowym rozporządzeniom generała Chłopickiego, jak naprzykład rozstrzelanie sapera, który na życie swego kapitana się targnął, dalej, aresztowanie porucznika Wysockiego, który, bez odnośnego rozkazu, do Warszawy przybył (choć to jest jeden z najwybitniejszych bohaterów rewolucji), oraz innym krokiem Dyktatora, które zupełny ład przywróciły. Sprawiedliwy on i stanowczy, posiada zaufanie narodu, pozamykał już kluby, i kraj mu jest winien pod tym względem najwyższą wdzięczność, bo on go ocalił od anarchii i zaburzeń, nieodłącznych od początków każdej rewolucji.

Marszałek tupał nogami z zadowoleniem, powtarzając z cicha: — „Dobrze, bardzo dobrze”, — gdy wspomniał o aresztowaniu Wysockiego, poczem zapytał:

**M a r s z a ł e k:** Co porabiają Rosyanie, którzy w Warszawie pozostali?

**J a:** Generał Chłopicki odesłał do Brześcia Litewskiego wszystkich podoficerów i żołnierzy rosyjskich.

**M a r s z a ł e k:** Dobrze zrobił, zaraz to Cesarzowi powtórzę.

**J a:** Co zaś do generałów i oficerów, znajdują się oni dotąd w Warszawie; generał Chłopicki ma ich w dobrej opiece, ale nie



może ich odesłać, dopóki się nie dowie, co będzie postanowionem o losie naszych senatorów i wojskowych, zostających w prowincjach rosyjsko-polskich.

**Marszałek:** Którzy to senatorowie?

**Ja:** Książęta Jabłonowski i Lubomirski, hrabiowie Bniński i Tyszkiewicz.

**Marszałek:** Nikomu się nie śni ich więzić. Co tam wojsko wasze robi?

**Ja:** Organizuje się i podwaja dotychczasowe siły. Wszyscy dawniejsi wojskowi na nowo do służby wstępują, a prócz tego sztyfują szybko na prowincyi trzydzieści batalionów, oraz tyleż szwadronów nowego rekruta.

**Marszałek:** W miejscu generała Chłopickiego, byłbym przywrócił spokój, stanął na czele rewolucyi, jak on to uczynił, lecz na to, by kraj oddać pod władzę prawowitego Monarchy. Tak byłbym postąpił, bo, mówiąc szczerze, znam tylko cnotę i wierność wojskową.

Nic na to nie odrzekłem, bo i odpowiedzieć nie wypadało.

**Marszałek** pytał dalej: A cóż panowie akademicy? Czy dalej hałasują?

**Ja:** Oni-to najbardziej się przyczynili do przywrócenia i ustalenia porządku, oni też dziś okazują najwięcej roztropności.

**Marszałek:** Ha, hr. Jeziński to samo mi zaręczył. Gdzież się znajduje hr. Wincenty Krasiński?

**Ja:** Nie wiem zgoła, nie widziawszy go od jego do Warszawy powrotu, ale przypuszczam, że obecnie jest on w Prusach.

**Marszałek:** A generał Kurnatowski?

**Ja:** Podał się do dymisyi i siedzi spokojnie w Warszawie.

**Marszałek:** To są uczciwi ludzie. Idę do Cesarza, aby go uwiadomić o pańskim przybyciu. Proszę zaczekać u mego oficera dyżurnego, który tu mieszka.

Jakoż natychmiast marszałek pośpieszył do Cesarza, ja zaś blisko przez dwie godziny oczekiwałem jego powrotu u pułkownika Sołtykowa. Posiliłem się tam zlekka, a mój officer, Wasiliew, zasnął na stołku. Skoro marszałek od Cesarza wrócił, mogło już być około północy; rzekł do pułkownika Sołtykowa, iż mam się u niego przespać, atoli na moją uwagę, iż rzeczy, służącego i podoficera zostawiłem w hotelu, pozwolił mi do siebie wrócić, zalecając, abym własnego nie opuszczał mieszkania i czekał dalej jego rozkazów,

pod baczmem okiem dodanej mi eskorty. Wróciłem tedy do siebie, rad że pierwsze spotkanie minęło, rad, że spocznę po sześciu nocach bezsennych.

---

Nazajutrz, 29 grudnia rano, zjawił się u mnie adjutant marszałka, kapitan Lwow, który mi w jego imieniu oświadczył, iż skoro byłem świadkiem wybuchu rewolucji w Warszawie, należało, abym to wszystko spisał, nie pomijając żadnego szczegółu, zwłaszcza z tych, co się odnosiły do wojska polskiego, że mi na to udzielono cały dzień zwłoki i że wieczorem miałem z tym raportem stawić się u marszałka. Zabrałem się tedy do roboty, opisałem cztery pierwsze dni rewolucji z jak największą ścisłością, przynajmniej to wszystko, com widział, a mianowicie, co się działo w części armii, która pozostała przy Wielkim Księciu Konstantym, najprzód w noc z dnia 29 listopada, a następnie w obozie pod Mokotowem. Powiedziałem też, w jaki sposób wróciłem do stolicy i t. d., i t. d. Kończąc, położyłem nacisk na uspokojenie kraju i miasta, od chwili ogłoszenia Chłopskiego Dyktatorem, oraz na orgauizowanie się wojsk naszych w przewidywaniu wojny, jak dawne pułki w dwójnasób rosły powrotem w służbę dymisjonowanych żołnierzy, jak sztyftowano nowe, jak liczna gwardya narodowa na prowincyi się formowała. Przez dzień cały żywej nie widziałem duszy i wieczorem, około godzinie 8-ej, zaniósłem gotową relacyę marszałkowi.

Przyszło mi czekać z godzinę i więcej w jego salonie. Różni oficerowie, a nawet i generałowie zbliżali się, aby ze mną rozmawiać, zawsze z największą uprzejmością, choć okazywali zarazem najwyższe oburzenie przeciw naszej rewolucji, szkole podchorążych, przeciw akademikom, a najbardziej przeciw Lelewelowi, którego nie nazywali inaczej, jak: „ten łotr, profesor“. Nie mieli zaś dość pochwał dla postępowania pułku strzelców konnych gwardyi polskiej. Odpowiadałem półgębkiem, z należytą godnością, często nie odpowiadałem im zgoła, nie chcąc się wdawać w szersze rozmowy, w końcu otworzyłem jakiś dziennik niemiecki, który się znajdował na stole, rzucony tam może z umysłu. Znalazłem w nim odezwy Cesarza do Polaków które mi dotąd znanymi nie były. Nareszcie wprowadzono mnie do marszałka, którego zastałem samego. Zaczął od tłumaczenia się, iż zbyt długo na siebie kazał mi czekać, ale że siostra, którą bardzo kochał, przyszła go pożegnać przed wyjazdem jego do obozu. Prosił, abym usiadł, sam

zajął miejsce naprzeciwko, i oto rozmowa, która się między nami zawiązała:

**Marszałek:** Mówiłem o panu z Cesarzem, który rad był, iż nie uczestniczyłeś w pierwszych rewolucyjnych rozruchach. Jestem szczerym, jak przystało staremu żołnierzowi, z właściwą sobie otwartością mówić będę: Cesarz Aleksander dał był konstytucję Polsce, czego Rosyanie nie pochwalali, bo dla czegoż jedna prowincya inaczej i lepiej od tamtych miała być rządzoną? i to część podbita, do państwa przydzielona pod jednym i tym samym Władzcą. I jam był temu przeciwny, jako Rosyainin, do czego się otwarcie przyznaję. Wszelako, skoro cesarz Aleksander, który był najenotliwszym w świecie człowiekiem, koniecznie się o to upierał, zamikliśmy, życząc najlepszych skutków udzielonym Polsce swobodom. Mielicie tedy konstytucję. Należy przyznać, że nie była ona zawsze ściśle uszanowaną, ale i nie było to z winy panującego Cesarza, który się znajdował w delikatnem położeniu wobec starszego brata, ten zaś największych dostarczył powodów waszemu niezadowoleniu, wiem to dobrze. W każdym razie, nie może to być dla was usprawiedliwieniem waszej rewolucyi, bo, mimo wszystkiego, więcej było w Polsce dobrego, aniżeli złego. Depesze, które pan przywiozłeś dla księcia Lubeckiego, zostały rozpieczętowane przez Cesarza samego, który, wiedzieć wam trzeba, mocno jest na Lubeckiego podrażniony. Któż jest bowiem książę Lubecki? Człowiek, który służył w naszej armii, który z nami kampanie odbywał, jest to Rosyainin, którego Cesarz naznaczył ministrem w Polsce. A dziś tenże Lubecki chce nadawać sobie tony ambasadora! To też Cesarz ładnie go przywitał! Zresztą, jeśli było co złego w Polsce, było to i z Lubeckiego winy, będąc bowiem ministrem Cesarza, on to miał strzedz najpilniej konstytucyi, myśleć o szczęściu kraju, zapobiedz złemu, skądkolwiek takowe groziło, czy ze strony Wielkiego Księcia, czyli też z innej. Oto jakie miało być zadanie ks. Lubeckiego, oto czego nie zrobił, a więc i jego jest winą, jeśli w Polsce rzeczy inny obrót wzięły, aniżeli Cesarz sobie życzył, i oto tutaj znów przybywa, jako wysłaniec zbuntowanego kraju! Powtarzam, iż mieliście rzeczywiście niektóre powody narzekania, te jednak nie były dość poważne, aby usprawiedliwić zrobienie rewolucyi i kraj wystawić na najsrozsze klęski. Obecnie, gdy rewolucya już jest faktem dokonany, sejm winien był całkiem inaczej postąpić, winien był się zgromadzić, jak to uczynił, ale nie uledez wpływom wichrzycieli, i do Cesarza napisać: „Najjaśniejszy Panie, acz nie mieliśmy prawa zebrać się, dopóki nas Monarcha nie zwoła, nie upoważni do działania, wyjątkowe okoliczności nas do tego przyniewoliły, celem obmyślenia,

jaki na razie rząd był nam potrzebny, i dla tego uchwaliliśmy dyktaturę generała Chłopickiego. Dziś jednak, gdy ład przywróconym został, ośmielamy się uprzedzić Waszą Cesarską Mość, prawowitego naszego Władzcę, błagając, aby raczył wejść w nasze oplakane położenie, i nieszczęsnemu krajowi darować zechciał, poręczając nam nieetykalność praw naszych i konstytucyi“. Oto, co należało wam zrobić. A tymczasem wasz sejm uznaje rewolucję jako narodową, nie wymawia imienia Monarchy, składa dzięki tym, co zapoczątkowali powstanie, i zabiera się do przygotowań wojennych. Czogoż się po wojnie spodziewacie? jak możecie przypuścić, że z niej zwycięsko wyjdziecie?! Dajmy na to, iż wkroczycie na Litwę, że weźmiecie Wilno, że pierwsze nasze szeregi pobijecie; wspomnijcie, że Napoleon wkroczył do Rosyi na czele 400,000 wyćwiczonego żołnierza, a wiecie, jaki był koniec! A podobno nie łatwo wam przyjdzie pobić nawet nasze pierwsze szeregi; znają mnie w Polsce, znają i w Niemczech, znają nawet i Turcy. Siły wasze nie są znaczne.

Tu nadmienilem, iż wzrastają z każdym dniem, że wszyscy starzy żołnierze do służby wracają, że młodzież jest zagrzana najbardziej wojowniczym duchem, że ludność cała do broni się zrywa.

**Marszałek:** A choćby i tak było, nie wiele liczyć można na nowego rekruta, na kosynierów włościańskich, nie wystawię przeciwko nim ani piechoty, ani jazdy, wystarczą działa, których mam pod dostatkiem. Liczę się tylko z regularnem wojskiem. Otóż piechoty macie zaledwie 26 batalionów, dajmy na to, że dziś ich jest 52. Ja zaś w pierwszej linii wystawić ich mogę 72, tyleż i w drugiej, razem 144 bataliony. Gdyby te nie wystarczyły, sprowadzilibyśmy ich więcej i więcej, bo zasobów nam nie braknie, nie wliczając gwardyi, która tworzy korpus rezerwowy, a w danym razie też pójdzie. Rozporządzam i 156 szwadronami jazdy, oprócz Kozaków, dalej do 400 dział odrazu wystawić mogę na linię bojową. Możecie zmierzyć olbrzymi brak proporcyi. Pierwszy korpus armii, oraz korpus litewski, który, wedle wszystkich raportów, najlepszym ma być ożywiony duchem; stanęły już na pograniczu; 2-gi korpus, tudzież korpus grenadyerów, również jak i dwa korpusy jazdy, są już w drodze i tamże wkrótce staną; ja zaś tej jeszcze nocy wyruszam.

Marszałek kładł nacisk na dobre usposobienie korpusu Litewskiego, bo wiedział, iż u nas spodziewano się przejścia jego na naszą stronę i głośno o tem mówiono.

Po chwili ciągnął dalej:

— Powiem panu jeszcze, co trzymam o waszem wojsku, bo jestem szczery, jak stary, od piętnastego roku życia żołnierz. Otóż wa-

sze wojsko jest dzielne i dobrze wyćwiczone, ale nasz żołnierz rosyjski bardziej jest włożony do znoszenia trudów, złego pożywienia, długich marszów, wszystkich niedostatków kampanii, zarazem twardszym jest i wytrzymalszym na wojnie. Pragnąłem wielce mieć coś polskiego żołnierza w czasie tureckiej kampanii, nie wątpię, że byłbym z niego kontent, jak byłem zadowolony ze sztabowych oficerów polskich, którzy w owej wojnie uczestniczyli. Byłoby to nadało całkiem inny kierunek duchowi waszego wojska, byłoby to nawet może zapobiegło rewolucyi, ale Wielki Książę nigdy na to zgodzić się nie chciał. Dodam, że miałem najlepszą opinię o waszem wojsku, nie tyle o żołnierzach i młodszych oficerach, ile o starszyźnie waszej, zaprawionej do boju pod Napoleonem. Wysokie o jej zdolnościach miałem mniemanie. Ale odkąd się przekonałem, iż ta starszyzna nie umiała podwładnych utrzymać w karności, ale dała się porwać i onieśmielić przez podchorążych i podporuczników, nie potrafiła ustrzedz porządku i karbów wojskowych, odtąd, wyznaję, iż straciłem dawne o niej mniemanie. Cóż za warunki posiadacie, aby tę wojnę prowadzić? Nie posiadacie ani fabryk prochu, ani kopalni saletry, nie macie ludwisarni, nic z tego, co stanowi rdzeń wojny. Jam przywykł dowodzić wojskiem, niejednokrotnie odbywałem kampanie, które podobno zaszczyt mi przyniosły. Chyba o tem w Polsce wiedzą! U was zaś generał Chłopicki dobrym był generałem brygady, bił się w Hiszpanii i na innych polach chwały zaszczytnie, lecz zawsze jako niższy oficer, nigdy nie dowodził całą armią, i nie mam też przekonania, aby mógł okazać się dobrym naczelnym dowódcą. Mało wprawdzie znam generała Chłopickiego, lecz wydaje mi się być zimnym, nadto obrachowanym, podczas gdy ja jestem gorąco kąpany, pełnym zapału; dalsze kroki wojenne ta różnica naszych charakterów nacechować gotowa. Dużo rozmawiałem o Polsce z cesarzem Aleksandrem, który mnie kochał, jak syna, i który rad powtarzał, że jestem jego ulubionym uczniem. Kochałem go też, jak ojca. Zaręczyć wam mogę, iż ten życzył wam dobrze. Cesarz Mikołaj jest młodym, ale jest to Monarcha, pełen charakteru, nie skłonny do ustępstw, których zresztą niepodobna mu zrobić. Radby wszelako sprawę zakończyć polubownie i bez krwi rozlewu. Czyś pan czytał manifest cesarski? Cóż o nim mówisz?

Odparłem, iż dopiero co takowy przeczytałem w jego salonie, że musiałbym rzecz odczytać uważniej, aby dobrze zrozumieć, co w nim zawarte, ale że zaraz wśród pierwszych punktów znalazły się niepodobne do skutecznienia.

**Marszałek:** Naprzykład?

**J a:** Ten mianowicie, który nakazuje polskiej armii, aby wymarszerowała w stronę Płocka. Odsłonięto by przez to Warszawę, a wobec usposobienia umysłów wśród wojska, niktby się na to obecnie nie zgodził.

**M a r s z a ł e k:** Alboż generał Chłopicki nie miał dość wpływu, aby do tego kroku wojsko zniewolić?

**J a:** Naprzód nie wiem, czy samby na to przystał. Ale chociażby i rozkaz odnośny wydał, zaręczam, iż żaden pułkby go nie usłuchał.

**M a r s z a ł e k:** Nie należy tego brać dosłownie. Gdyby Chłopicki miał zamiar sprawę bez wojny zakończyć, mógłby do nas napisać, że potrzeba czasu na dokonanie podobnego ruchu, że niepodobna całkiem opróżnić trakt do Brześcia, że trzeba coś wojsk dla opieki nad Warszawą, itd., itd., i wszystko dałoby się ułożyć. Ja mówię szczerze, jak przystoi staremu żołnierzowi (Zdanie to powtarzał wielokrotnie. Z kolei i ja się ozwałem).

**J a:** Skoro mi Wasza Ekscelencya robi zaszczyt tak szczerzej ze mną rozmowy, dozwólcie i mnie kilka stawić zapytań. Zaczynam od tego, iż nie występuje bynajmniej, jako wierzytelny poseł, że mi nic nie polecono, tyle tylko, że przywiózł depeşe, a więc zapytania, które się osmielam stawiać, ode mnie samego pochodzą. Stawiam je jako człowiek prywatny, zachęcony dobrocią i szczerością Waszej Ekscelencyi.

**M a r s z a ł e k:** I owszem, słucham pana.

**J a:** Przypuściwszy, iż Polacy się zgodzą na wszelkie manifesty, czyby Wielki Książę Konstanty pówrócił, aby na nowo objąć rządy?

**M a r s z a ł e k:** Wątpię, aby chciał wrócić.

**J a:** Czy kto inny rezydowałby w Polsce, aby nią rządzić z ramienia Rosyi.

**M a r s z a ł e k:** Ma się rozumieć i podobno wybór padłby na mnie. Ale ręczę, iż bylibyście ze mnie zadowolnieni, rządziłbym dobrze, strzegł ściśle konstytucyi, którejbym nie naruszył zgoła, chyba na jedynym punkcie wolności prasy—tej mieć nie będziecie, z góry was ostrzegam, to rzecz szkodliwa, rozdrażniająca tylko umysły.

**J a:** Czy cesarz udzieliłby ogólnej amnestyi?

**M a r s z a ł e k:** Tak jest, cesarz gotów w s z y s t k i m przebaczyć, do nikogo urazy nie zachowa z wyjątkiem pięciu czy sześciu, którym udowodnią winę inicjatorów rewolucyi, ale powtarzam nie więcej nad pięciu lub sześciu, których wypadnie powiesić, bo inaczej postąpić niepodobna, prawo wszystkich narodów nakazuje ukaranie naczelných spiskowców.

**J a:** Czy konstytucya żadnej nie uległaby zmianie?

**M a r s z a ł e k:** Sądzę, że nastąpiłyby w niej niektóre poprawki, atoli jak najmniejsze.

**J a:** Czy wojska rosyjskie wkroczyłyby do Polski i nadal w niej pozostały.

**M a r s z a ł e k:** Zapewne, jakże pan chcesz, aby było inaczej? Sam przyznasz, iż wojsko wasze rokosz podniosło, cesarz nie może pozostawić kraj przynależny, co więcej kraj pograniczny, pod strażą wojska, na które liczyć mu nie podobna. Muszą więc rosyjskie siły strzedz Polskę, strzedz sameż wojsko, toż jasne jak na dłoni.

**J a:** Mości marszałku, w takim razie naród polski żadną miarą na manifest przystać nie potrafi. Zmierzyłem, jak dalece umysły w Warszawie, w kraju, są podzielone, przekonany jestem, iż pod takimi warunkami nigdy do porozumienia nie przyjdzie.

**M a r s z a ł e k:** Wierzajcie mi, cesarz do żadnych ustępstw się nie skłoni.

**J a.** Przyjdzie tedy, niestety, do wojny, do krwi rozlewu; ofiar i klęsk będzie wiele.

**M a r s z a ł e k:** Nie należy przesadzać. Co najwyżej obustronnie zginie do 10,000 ludzi, ot i wszystko. Daleko mniej bywa poległych na wojnie, aniżeli ogólnie mniemają.

Nie przeczuwał Dybicz, iż samych Rosyan zginie do 60,000 w tej kampanii, skutkiem ran i zarazy, i że on sam znajdzie się w ich liczbie.

Tymczasem ciągnął dalej.

**M a r s z a ł e k:** Ale obok tych, co padną w boju, inna klęska grozi waszej nieszczęśliwej ojczyźnie, skutki i nieodłączne wojny następstwa. Kraj zniszczony, wsie spalone, zastój w rolnictwie, rabunek i tysiączne plagi. Co do mnie, umiem utrzymać karność w szeregach, znanym jestem z tego, nie znoszę żadnego pogwałcenia żołnierskiej dyscypliny. Wydam najsurowsze rozkazy, aby mieszkańcom nie była uczyniona krzywda żadna, każę rozstrzelać, rozkażę powiesić każdego, coby się ważył przekroczyć moje przepisy, posunął się do rabunku, pod tym względem rozwinę największą surowość, ręczę słowem honoru. Ale nie będę mógł być wszędzie naraz, nie potrafię niejednej klęsce zapobiedz, co tem trudniej mi pójdzie, gdy się wśród moich żołnierzy zawziętość rozwinie. Oto tedy co wam grozi, oto co wam sprawi wasza nieszczęsna rewolucya. Rewolucya francuska i rewolucya belgijska, pchnęła was do zrobienia jej i w Warszawie. Jest to systemat republikanizowania całego świata, wojowania przeciw wszystkim monarchom, któremu przywodzi La Fayette, a który się i do was przedarł.

**J a:** W ręku Bożem koniec tej wojny. Tymczasem Polska próbuje się obwarować przeciw siłom, które w nią mają uderzyć. Przewiduję oczywiście wielkie dla mojej ojczyzny nieszczęście, przynajmniej należy, że nasza rewolucya ocaliła Belgię, bodaj nawet Francję, której groziła wojna z Rosją.

**M a r s z a ł e k:** Wojny tej doczekamy, tylko, że zamiast się bić z Francuzami nad Renem, zetrzemy się z nimi nad Łabą, bodaj nawet nad Odrą, dzięki waszej rewolucyi, ale zawsze to nastąpi kosztem przejścia armii przez wasz najniebezpieczniejszy kraj.

**J a:** Nie masz tedy sposobu uniknięcia wojny pomiędzy Rosją a Polską?

**M a r s z a ł e k:** Żadnego, skoro pan mówisz, iż Polacy nie przystaną na warunki manifestu, a cesarz tegoż osnowy w głównych punktach nie zmieni. Skoro pan do Warszawy powrócisz, powtórzysz generałowi Chłopickiemu wszystko, com ci tu powiedział. Jeżeli sądzi, że możnaby sprawę w inny sposób zakończyć, że jeszczeby na to trzeba trochę zwłoki i zmian, jeżeli żywi szczerą chęć oszczędzenia swemu krajowi wojny z nami, wojny z własnym monarchą, niech napisze wprost do cesarza list zapieczętowany do rąk jego własnych, jeżeli mu o to chodzi, aby treść nikomu nie była znana. Może liczyć najzupełniej na dyskrecyę monarchy, bo cesarz jest uosobieniem delikatności, dyskrecyi, nieby nawet mnie nie powiedział, mnie, który jestem jego marszałkiem. Chłopicki mógłby swoje pismo na moje ręce przesłać, abym je odrazu cesarzowi doręczył, ale niech się śpieszy, bo już tej nocy wyruszam za armią.

**J a:** Gdzie tedy wypadłoby mu wyprawić depeşe, przeznaczone dla Waszej Ekscelencyi?

**M a r s z a ł e k:** Do Białegostoku, gdzie będzie moja główna kwatery.

**J a:** Ale jeżeli Wasza Ekscelencya tak pośpiesznie rozpocznie kampanię, może już czasu nie starczy do otrzymania odpowiedzi z Petersburga.

**M a r s z a ł e k:** W takim razie generał Chłopicki mógłby do mnie napisać, donieść, że radby doczekać ostatecznej decyzji cesarza, ja zaś wstrzymałbym nieco wkroczenie armii do Polski. Atoli jeżeli napisze, niech to uczyni nie jako Dyktator i wielkorządca, lecz po prostu, jako generał Chłopicki, jako poddany cesarza, inaczej nie odpowiedziałbym na list jego, i zmuszony byłbym takowy mu zwrócić.

W ciągu owej rozmowy po dwakroć meldował się hr. Tołstoj, ale marszałek zawsze kazał mu czekać, nareszcie ten na pół drzwi uchylił i chciał wejść. Natenczas marszałek się odezwał:—Nagadali-



śmy się do syta, za dwie godziny wyjeżdżam do obozu, zostań tu pan jeszcze, a hrabia Czernyszew lub generał Benckendorff udzieli panu odnośnych rozkazów. Bardzom rad, że pana poznałem. Żegnam pana.

Wyszedłem od marszałka około północy. Z rozmowy tej powtórzyłem najważniejsze punkta, marszałek mówił z wielką obfitością słów, a z silnym akcentem niemieckim. Powiedziałem mu wszystko, co należało, i przekonałem się, że wojna stała się bodaj nienniknioną. Marszałek, który z jednej strony dość był rad po nowe, jak się spodziewał, sięgnąć wawrzyny, był w gruncie nadto uczciwym człowiekiem, aby pragnąć zagłady Polski, a nawet walki z Polakami. Atoli wojna z Francją niewymownie mu się uśmiechała, również i Wielkorządztwo w Polsce. Inny, szczęśliwszy wojownik miał zakończyć ową wojnę i zgarnąć zaszczyty i korzyści, które sobie obiecywał poczciwy marszałek Dybicz.

---

# AD ASTRA.<sup>1)</sup>

---

DWUGŁOS

---

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

---

XVI.

*Interlaken.*

Nie masz dla mnie kwiatów. Dla tego może nie masz ich dla mnie, iż serce twoje wypełnione hymnami, a usta niegdyś naznaczone zostały świętą pieczęcią... A może też przypuszczasz, że mam róż za wiele, a źródeł rosy pod dostatkiem. Może uważasz mnie za jednego z tych groźnych potworów, co niszczą łačno śnieżne koronki kwiatowe, jak owe puszcz waszych ciemne pierwopłody, deptające bezwzględnie stopą po wiotkich i jasnych tawułach...

Otóż powiem ci, że są serca tak dziwacznie ukształcone, iż nawet w otoczeniu tysiąca róż nie umieją bić tętnem różowem. Bywają także słońca tak wybredne, iż tylko na wyplakanych chmurach promienie swoje wiązaćby chciały w tęczę...

Wiesz, jakich hymnów w ustach twoich nie słuchałbym chętnie, ale nie możesz mieć również, tak przynajmniej pochlebiam sobie, wątpliwości żadnej, że serce, brzmiające od kupletów, i usta, na których pocałunki świegocą jak wróble, nie są wcale ideałem moich czasów, ani nawet przedmiotem upodobania. Natomiast wzmianki moje o wiel-

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt październikowy, str. 1;—listopadowy, str. 253;—grudniowy, str. 458 roku zeszłego; styczniowy, str. 14.

kim świecie nektarników, w którym się obracam, prawdopodobnie obudziły w tobie przypuszczenie, że, nie krępując się powszechnymi normami, także i w paragrafie „on i ona“ rozejrzałem się na swój sposób, i że przegląd ten nappełnił mnie w wieku stosunkowo młodym uczuciem przesytu... Dla osób, patrzących na życie pod twoim kątem widzenia, byłby to szczególnie dość mętny...

Nie chciałbym, aby na szybko, wstawioną między istoty nasze, i tak już niezbyt przejrzystą, i tak już pełną cieni, padły nowe cienie, zwłaszcza ze źródeł tak mętnych. I dla tego najlepiej będzie, jeżeli ci zdam sprawę z epizodu, który mi dał pochop do ostatniego erotycznego zapytania. Nie chcę uchodzić w twych oczach za nadczłowieka i chronić strzępów rozchwianej aureoli pozorami zupełnego znieczulenia. Nie mogę zresztą rozmawiać z tobą o czemkolwiek nieosobistem, bez wywołania natychmiastowego zgrzytu pojęć o uczucia, wiedzy o wiarę...

Nie chodzi tu ani o Cléo de Mérode, ani o genre Cocotte, ani o żadną z głośnych mondenek i herytyerek, spotkanych na wielkich targowiskach Europy, ale o tę wspominaną już rodaczkę moją, z którą spędziłem zeszłego roku czas bardzo krótki w sąsiednim Giessbach.

Musiałabyś przedewszystkiem znać Giessbach.

Miejscowość tę tworzy jeden tylko hotel, sterczący na zielonej skale, której ostoje wysuwają się z Bryenckiego Jeziora nakształt półwyspu i zapadają ścianą niemal prostopadłą w jeziorne głębiny. Z pokładu parowców, które przewożą do Bryenz podróżnych, zdaleka już widne są ponad szczytami jodeł i świerków, gęstym płaszczem osłaniających opokę, wysmukłe baszty gmachu, zbudowanego wdzięcznie na wzór średniowiecznych zamków. Widać też na szmaragdowej draperyi koniferów jasne krople rubinu od flag szwajcarskich, zatkniętych na iglicach wieżyczek, zaś u samej podstawy, tam, gdzie półwysep skalisty zapada w jezioro i maluje na niem jasną smugę opoki i ciemny płaszcz świerkowy, różowe ściany zamku i krople rubinu, ruchome na ruchomej fali, zatopione już wreszcie głęboko szmaragdowe odbicie gór wyższych, tam też ściąga na siebie uwagę wielka i lśniąca plama śnieżno biała i zda się nieruchoma. Dopiero gdy parowiec minie pletwiasto spłaszczony przylądek i wysepki Izeltu, zagadkowa białość nabiera życia, poczyną się kłębić, pryskać pianą i szumieć. Jest to najniższy wodospad i ujście do bryenckiego zbiornika strumienia, który, spływając z Alp potężnych, zjawia się u szczytu stromo spiętrzonych borów, rozcina je huczny słupem białych i srebrnych prądów, rozbijających się w siedmiu coraz gwałtowniejszych kaskadach o głązy i staczających się z zawrotnych wyżyn przez jar

poszarpany w jezioro. Hotel ma poza sobą widok zamknięty aż pod niebo tą ścianą spadzistą, lesistą i przerziętą majestatycznym węzłem wodospadów, a przed nim skupiony szereg świerkowych piramid zostawia wśród skratowanych gałęzi wąskie tylko szczeliny, przez które przegląda ciemno-modra przestrzeń jeziora i przeciwległa ściana gór omglonych, z jałowemi turniami Rothhornu. Oto pobieżny obraz Giessbachu, ustroni, cofniętej od gwarne gościńca międzynarodowego przepływu, w szum wód i w szum lasów.

Ustroń ta ńeci do spoczynku i chciałbym powrócić tam jeszcze kiedy w twojem towarzystwie, z twem zamysleniem, z twoją harfą, grającą na nieznanne mi dotąd nuty....

Chciałbym, patrząc na huczną i lśniącą grę atomów, wypoczywać, wsparty o głęboki nurt twojej duszy i o rozlaną po nim słoneczność . . . . .

Tam ją ujrzałem. I wnet rozkochany  
Ze z tęczy wyszła i z potoku piany,  
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca,  
Tak jasną była od promieni słońca.

. . . . .

Nie, nie było to tak zupełnie w myśl sentymentalnych dziewic i romantycznych poetów. Ja chyba nie byłem rozkochany... a także nie było wtedy słońca. Z końcem sierpnia powracałem z Zachodu do domu i postanowiłem zatrzymać się dobę w Giessbach. Lato było, miałowicie w górach, bardzo dżdżyste, chłodne i już od połowy sierpnia błądziły w powietrzu powiewy jesieni. Chciałem zobaczyć Giessbach wieczorem, w świetle magicznych ogni. Przybyłem na miejsce przy końcu dnia, i gdy wnet prawie po przybyciu wyszedłem na taras, schowało się już słońce, które dnia tego po długiej przerwie zabłysło różycą bładych promieni. Szerokimi schodami, tonącemi w powodzi strojnych krzewów, zstąpiłem z tarasu na małą platformę, splantowaną przed domem w pierścieniu drzew wielkich i cienistych. Miejsce to było w tej porze już nieco mroczone i prawie puste. Na jednej z ławek dostrzegłem małżeńską parę sędziwych ludzi, otulonych w pledy, zapewne blizkich grobu. Ale na załomie platformy, przy kamiennej balustradzie, tuż nad brzegiem przepaści, gdzie rozstępują się jodłowe kurtyny, wpuszczając więcej światła i otwierając prze-

piękny widok na wodę i przeciwległe skały, znajdowała się jeszcze jedna istota żyjąca, młoda, młodziutka panna.

Siedziała w rozłożystym, trzciniowym fotelu, z otwartą książką na kolanach i, głowę podniesioną trzymając nieruchomo, zdawała się patrzeć z uwagą na wierzchołek Rothornu, zamglony modrem przyśmieniem niedalekiego zmięzchu. Zanim mogłem przyjrzeć się dokładniej szczegółom jej postaci, uderzyła mnie dziwnie łagodna i miękka połyskliwość jej płowych włosów, zwiniętych w tyle głowy splotem misternym, a u czoła i skroni rozluźnionych w jasną kędzierzawą gęstwinę. Ogarnąłem ją spojrzeniem i zbliżyłem się do tej samej balustrady, poczem, oparty o kamienną poręcz, jałem przypatrywać się panoramie, a od czasu do czasu przesuwając wzrokiem po nieznanym. Mogłem to być uczynić w tym miejscu bez narażenia się na zarzut natręctwa, lub niegrzeczności, a czyniłem to tem chętniej, iż każdy rzut oka na uroczą dziewczynę dodawał coraz nowych i coraz pożądańszych szczegółów do całości, sprawiającej na mnie od pierwszego momentu wrażenie niezmiernie pociągające. Po prostu nie przypominam sobie, by kiedykolwiek jaka inna postać kobieca tak doskonale przystosowaną była do idealnego wzoru, jaki wyobrażenia w każdym z nas wytwarzać zwykła, odpowiednio do współdziałających tu fizjologicznych i duchowych składników indywidualności. Obznajamiałem się z jej obrazem z zadowoleniem nadzwyczajnym, lecz skoro tylko zauważyłem, że odczuła moje spojrzenie i, podejmując przerwana lekturę, pochyliła się nad książką, zwróciłem oczy na nieznaną mi wówczas sceneryę i spokoju czytelniczki nie przerwałem już ani razu. Stałem tak bez poruszenia czas dłuższy, więcej zainteresowany sąsiedztwem panny, aniżeli jakością panoramy i coraz bardziej pragnący poznania. Chodziło mi zarazem o to, czy i ją obecność moja wprawia w roztargnienie? Jakoż, pomimo, że byłem niemal zupełnie odwrócony, odgadywałem zmysłem instynktownym, czy też wprost czułem, że przy odginaniu szybko przebieganych kartek, wzrok jej przelotnym błyskiem padał na mnie i z wielkim pośpiechem wracał na stronicę książki. Bezpośrednio spotkały się źrenice nasze dopiero w chwili, gdy odsunąłem się od balustrady i, skierowując się z powrotem ku hotelowemu tarasowi, spocząłem na niej wzrokiem. Wtedy odniosłem po raz pierwszy wrażenie, że oczy jej, patrzące z owalnej oprawy rzęs płowych, mają pozór srebrnych, i przekonałem się, że delikatne usta z blad różowego koralu wypuklają się na białej twarzy taką prawie pieszczotliwością linii, jak u Bongerawskich amatorów. Urok jej drobnej twarzy zaliczyłoby trzeba do rodzaju tych piękności, które, nie działając zbyt świetnymi i jaskrawymi efektami na łatwą wrażliwość szerokiego otoczenia, nę-

cą tem silniej, oglądane zblizka, wytworną rzeźbą rysów i doskonałą harmonią szczegółów.

Nie wiem też po dziś dzień, drogą jakiej tajemnej intuicji powiedziałem sobie odrazu, iż musi to być bardzo błękitna Polka, mimo, że obok leżał na taburecie dziennik z napisem francuskim, a czytana książka formatem i żółtą okładką wskazywała paryskie pochodzenie. Panna, mierząc się ze mną przez chwilę wzrokiem, usiłowała nadać oczom swoim wyraz zupełnie obojętny i nieco wyniosły, jednakże właśnie wyniosłość ta pozwoliła mi przypuszczać, że nie patrzyła na mnie tak samo, jak potrzyłaby na pień świerkowy, albo na kandelabry lampionów. Mogłem być pozostać jeszcze czas jakiś obok niej, ale wolałem okazać się zupełnie obojętnym i odejść w stronę parku, z nadzieją, iż niebawem w sali jadalnej znajdę znów sposobność do nasycenia mych estetycznych potrzeb. Wogóle byłem wielce rad z pomysłu, który zaprowadził mnie do Giessbach.

Zadowolenie to ustąpiło miejsca uczuciu zawodu, gdy się powyższa nadzieja moja nie ziściła. Na widok stołów, ciągnących się podwójnym rzędem przez długość obszernej sali, zastanawiałem się nad tem, czy los obdarzy mnie miejscem przynajmniej przy jednym i tym samym stole ze srebrnooką. Tymczasem nieznajoma nie zjawiła się wcale, a ręka losu umieściła mnie najniegodziwiej pomiędzy opasłym Francuzem, a rodziną amerykańską, z kilku głów złożoną, która przy posilaniu się nie zachowywała wcale rozsądnej i tak często pożądanej w mowie ekonomii. Na domiar złego deszcz padać zaczął i kaskad wieczora tego nie oświetlono.

Odnalazłem ją dopiero nazajutrz w południe, w parku hotelowym, barwistym od mnóstwa kwiatów. Schodziłem właśnie od wodospadów pochyłą nieco aleją kwiatową ku domowi, gdy na przeciwnym końcu tej drogi ujrzałem trzy osoby, kroczące bardzo powoli pod górę. W jednej z nich poznałem ją natychmiast. Prowadziła matkę, kobietę wysoką i szczupłą, rumianą na twarzy, ale bez wątpienia chorą, która też niebawem przystanąła, aby wypocząć, jakkolwiek cała droga, przebyta od hotelu aż do tego punktu, mogła wynosić najwięcej paręset kroków. Jedną ręką opierała się o ramię wysmukłej panienki, w drugiej, opuszczonej bezsilnie, trzymała lekki słomiany wachlarz ehński, rzucający na szary jedwab jej powłóczystej sukni plamę bladego złota. Trzecią, z pozoru dama do towarzystwa, oddaliła się wnet z pośpiechem, szukając widocznie krzeseł. Sposobność ta była mi bardzo na rękę. Przeszedłem obok pań, zlekka uchylając kapelusza i natpotkawszy opodal kogoś z domowników, znacznie prędzej, aniżeli owa towarzyszka, zdołałem dostarczyć foteli.

Gdy w dwie godziny później panie opuszczały kiosk, z którego roztaczał się widok najbardziej malowniczy na całe Giessbach, ja po- dać mogłem ramię matce, wyręczając pannę. Znajomość została za- warta bez zbytnich trudności. Wszystkie domysły moje były trafne. Nie starałem się zresztą dowiedzieć wiele. Były to rodaczki nasze, w hierarchii społecznej postawione wysoko i świetnie — o ile pamię- tam—spokrewnione na Litwie. Miejscem wychowania i wykształcenia panny był Paryż, miejscem pobytu matki były od kilku lat, odkąd stan zdrowia jej znaeznie się pogorszył, rozmaite uzdrowiska zachod- niej Europy. W Giessbach bawiły od tygodnia z zamiarem pozostania tam do połowy września. Od pierwszego wejrzenia poznałem, że cier- pienie tej pani, zaostrome przez wadliwość serca, należy do chorób, wycieńczających powoli, ale stale, i że lekarzom chodzi tylko o stwo- rzenie warunków, wśród których nieunikniony kres przyjsćby mógł jak najpóźniej i w formie najłagodniejszej. Chora nie miała w sobie nic, coby mogło w jakimkolwiek kierunku wzbudzić moje zajęcie, czy też sympatyę, owszem, drażniła mnie ciąglem a zgoła pró- wincjonalnem i staromodnem używaniem francuszczyzny, a stanem swym chorobliwym przypominała ustawicznie, że w piersi mojej znaj- duje się również zegar sercowy, który uderza tyle i tyle razy na mi- nuty i każdej minuty, z lada powodu, zatrzymać się może.

Wrażenie mdłych kropli aptecznych sprawiały na mnie rozmowy z tą chorą i pospolitą kobietą w popielatej sukni, z wielkim wach- larzem blado-złotym, ale zażywałem je z dobrowolną odwagą, skoro cukierkiem nagrody była dla mnie obecność pięknej panny. Co praw- da, tylko obecność, nic więcej. Ani razu bowiem nie zwróciła się do mnie. Uważała mnie prawdopodobnie za intruza, natręta—może wprost za sezonowego łowcę posagów. O istotnej przyczynie okazywanej mi niechęci nie dowiedziałem się nigdy. Być może, iż przystosowanie się do poziomu jej matki powiodło mi się wówczas tak doskonale, że wzięła mnie za jakąś płaskość, ze znikomych najbardziej znikomą. Nie wyprowadzałem jej z błędni, nie uchylałem przyłbicy i stałem się echem przeróżnych spraw bieżących wiedeńskiej i naszej society, o ile całkowita moja obojętność na rzeczy tego rodzaju pozwoliła mi zapamiętać szczegóły, roztrząsane często i dokładnie przez panią Ida- lię. W ten sposób zdobywając sobie bardzo widocznie sympatyę mat- ki, dowiedziałem się, iż panie jadały w prywatnych swych pokojach i użyłem całej wymowy, aby nakłonić je do odwiedzenia wspólnej sali. Panna zwróciła się do matki z opozycją, miałem jednak więk- szość za sobą i uczyniono mi nadzieję spotkania się, wieczorem w ja- dalni. W ciągu tych rozmów przekonałem się, że śliczna panienska przywiązana jest do matki całą tkliwością młodego serca, i że obok

srebrnych źrenic posiada jeszcze jeden wdzięk, dodający jej niewypowiedzianego uroku, — uśmiech. Uśmiechnęła się parę razy, zamieniając z matką uwagi, i wtedy w delikatnych jej ustach ukazywał się rząd ściśnięty zębów bardzo białych i bardzo drobnych, prawie dziecińczych. Uśmiech ten zdawał się podszywać różowość jej twarzy jasnością wewnętrznego słońca, które jednak natychmiast chowało się i gasło, ilekroć oczy jej spotkały się z moim badawczym wzrokiem. Nie narzucałem się jej więc żadnem bezpośrednio ku niej zwracanem słowem, wyłącznie starszemi paniami zajęty i przy odprowadzaniu ich do domu, zadowolony widokiem panny, idącej o parę kroków naprzód. Zatrzymywała się niekiedy przy wspanialszych rabatach, pieśczętliwym ruchem dotykając róż na wysokopiennych krzewach... Powietrze było ciche i parne.

Dopiero w hotelowym przedsionku, gdy matka usiadła na kozetce, aby ponownie wypocząć, i przemówiła do starszej swej towarzyszki, a panna stanęła opodal z zerwanym świeżo pączkiem róży w ręku, zbliżyłem się na chwilę.

— Szkoda róży, — rzekłem bez uśmiechu, wskazując kwiatek.

Popatrzyła na mnie, nie rozumiejąc.

— Zwiędnie i umrze... — dodałem.

To było wszystko, co powiedziałem jej przy pierwszym widzeniu się naszym.

Tegoż dnia widziałem ją raz jeszcze, gdyż panie zeszyły istotnie w porze table d'hôte'u do jadalni, gdzie zajęliśmy stół osobny, oddalony nieco od zalewającego salę żywiołu brytańskiego. Chociaż nie zdawałem sobie jasno sprawy z tego, o ile mnie ta wyniosła i niełaskawa dla mnie panienska zajęła, spędziłem godziny popołudniowe wyłącznie na oczekiwaniu owego wspólnego obiadu. Niebo zasępiło się ponownie. Z gąszczów szpilkowych i z wąwozów górskich podniosły się mgły gęste i deszcz rzęsisty owinął całe wzgórze szarym welonem niedalekiej jesieni, zacierając stopniowo wszystkie piękności krajobrazu. Zabijałem czas w czytelnicy przerzucaniem szablonowych skarbów hotelowej biblioteki, co nie nudziło mnie wszakże, ponieważ myślą powracałem ciągle do świeżo zawiązanej znajomości.

Typ dziewczęcy dziwny i zajmujący. Obok skończonej elegancji wielkiego świata w ubrauiu i w każdym ruchu, świeżość wiosni i jak gdyby biała nietykalność. Jeżeli przy dzisiejszem wysubtelizowaniu zmysłów pod względem estetycznym mówi się powszechnie o barwie tonów i o melodii barw, to ja, określając przenośnią wrażenie, wywarłe na mnie przez tę dziewczynę, musiałbym zmieszać kilka cech razem: białość atlasu, wonność wczesnej wiosny, perlistość rosy



i na symbol obrać rozwinięty w rosach kwiat narcyza. Jakoż, nie znając jeszcze właściwego jej imienia, nazwałem ją narcyzem.

Gdy przy okrągłym, bogato zastawionym stole siedziałem pomiędzy chorowitą damą w czarnej bogatej toalecie, a pretensjonalną jej towarzyszką, naprzeciw wiosennego narcyza, oblewanego ostrą światłością elektrycznych kinkietów, wiedziałem, że tory naszych istnień, zgoła odmiennych, zetknęły się tylko na moment, i że za moment rozejść się muszą, jak dwie, przypadkowo skrzyżowane, parabole, do dwu różnych należące systemów. Wiedziałem o tem, że pomiędzy mną a tą młodą, może dziewiętnastoletnią Polką, niema i być nie może żadnych punktów stycznych, i pamiętając o tem, postanowiłem nie mniej moment ów w miarę możności przedłużyć. Dodanie kilku dni nie stanowiło dla mnie żadnej różnicy, a przez kilka dni mogłem osiągnąć to, o co mi jedynie chodziło, to jest, zapisać spotkanie nasze w pamięci tej dziewczyny dokładniej, aniżeli się to dzieje zwykle w ruchomym kalejdoskopie podróźniczych wrażeń. Nic naturalniejszego, iż okazywany mi chłód obudził mój interes. Wstrząśniesz głową nad dziecinną małostkowością człowieka, oddanego spekulatywnej myśli! Lecz myśl jest tylko częścią ludzkiej istoty! Ludzkie istoty idą zazwyczaj na służbę małostkowych popędów i popędy swe ukazują w zbyt kownych ramach poezyi, jako ideały! Dlaczegożby więc myśli nie miało być wolno dotknąć się rąbkiem powszednich ideałów, jeżeli nie chce się ona bynajmniej cała w nich zatracić, lecz szuka tylko odświeżenia przed trudem dalszego pochodu?

Tak rozumowałem wówczas, patrząc z przyjemnością, graniczącą niemal z podziwem, na narcyzową panienkę, zapewne niezmiernie daleką od chęci wyróżnienia przeżywanego epizodu z potocznej zmienności kalejdoskopu i przechowania go na trwałym gruncie pamięci, zwłaszcza zycliwej pamięci. Co do mnie, wiedziałem już, że nie wyjadę zaraz z Giessbach. Na razie rozmawiałem niemal wyłącznie z matką i zadawałem sobie wielki przymus, aby z tem się nie zdradzić, że dyskusya nad poruszanemi przez nią tematami niewystowienie mnie nuży. Panna mało mieszała się do rozmowy. Słowa jej tyczyły się przeważnie chorej i tchnęły ogromnem przywiązaniem. Przy tej sposobności oglądałem znów parę razy jej perłowy uśmiech. Usłyszałem też jej imię, które, jak pieśczoła, o słuch mi musnęło. Henrysiał! Raz pocałowała ją matka przy mnie w czoło i w usta, co sprawiło na mnie wrażenie poniekąd nieprzyjemne. Pod koniec zacząłem mówić o samem Giessbach i o szczególnych pięknościach berneńskiego kantonu. Okazało się, że biedaczka nigdzie nie była, niczego właściwie nie widziała, nawet nie dotarła jeszcze do wyższych wodospadów, dotrzymując towarzystwa matce, a pełną była szczer-

go uwielbienia dla górskiej natury. Ofiarowałem się oczywiście na przewodnika, przynajmniej do wodospadów, — na razie bez rezultatu. Premisy były jak najgorsze.

W pomoc przyszedł mi przypadek, w posępnej i smutnej formie nagłego pogorszenia się stanu chorej w ciągu nocy. Dowiedziawszy się o tem w godzinach porannych od służby, udałem się natychmiast po bliższe szczegóły do zakładowego lekarza, który nie przedstawił rzeczy w barwach zbyt groźnych, ale też nie wzbudził we mnie wcale dostatecznego zaufania w trafność swej dyagnostyki. Przypomniało mi się wycytane w dniu poprzednim nazwisko jednego z głośnych kliników wiedeńskich, bawiącego w Lucernie, i wyprawa do Lucerny, celem sprowadzenia tej medycznej znakomitości, była w tejże chwili postanowioną. Jakkolwiek chora czuła się znów nieco lepiej, oznajmiłem mój zamiar panie za pośrednictwem damy-towarzyszki, którą prosiłem w tym celu o parę słów rozmowy. Niehawem miałem przed sobą tę, dla której gotów byłem przemienić się w filantropa. Była nad wyraz przestraszona i już nie tak poprawnie chłodną, jak poprzednio. Sądziła, że lekarz odkrył przede mną prawdziwy stan rzeczy. Uspokoilem ją, jak mogłem, zaznaczając, że wycieczka do Lucerny nie będzie dla mnie żadnym wysiłkiem, przeciwnie, że wobec beznadziejnej słoty przyniesie mi pewne urozmaicenie, i że łączące mnie ze słynnym specjalistą stosunki ułatwią znacznie sprowadzenie go do Giessbach, co doda niezawodnie chorej i nam wszystkim otuchy.

W rzeczywistości, przedsięwzięcie moje nie było łatwem. W drodze na wysoką przełęcz Bruenigską, patrząc na strumienie deszczu, zasłaniające świat, i słuchając głośnego turkotu kół, zazębiających się o szyny, stawiałem sobie nawet pytanie, czy nie czynię za wiele i czy nie zasługuję na zarzut śmiesznej donkichotery? Nie umiałem postępowania swego ściśle zdefiniować i osądzić.

Wiedeńskiego lekarza odszukałem z trudem, a że pora dnia była już dość spóźniona, nazajutrz dopiero przed południem przybyliśmy do Giessbachu. Po odbytej konsultacyi, lekarz zalecił chorej zupełny spokój i wydał kilka nic nieznaczących higienicznych rozporządzeń. Mogła żyć jeszcze parę tygodni, nawet parę miesięcy, a także mogła zgasnąć za parę dni. Prosiłem medyka, ażeby uspokoił, o ile możności, obie panie, a jednocześnie, aby podsunął im ostrożnie myśl zawezwania kogoś z najbliższej rodziny, by, w razie katastrofy, nie zostawić osieroconej panienci bez wszelkiej opieki. Napisano istotnie do kogoś z najbliższych krewnych. Jak się zresztą dowiedziałem, kilka rozmaitych rodzin zapowiedziało swe odwiedziny w Giessbach, w czasie przejazdu przez Szwajcaryę z początkiem września. Chora

cieszyła się na to spotkanie i z całą ufnością mówiła o przyszłości. Atak minął bez dostrzegalnej szkody.

Podjętych około niej trudów i starań, a tem samem zmarnowania blisko dwu dni na jazdy i narady z wielkim internistą, bynajmniej nie żałowałem. Ogarnęło mnie uczucie żywego zadowolenia, gdy, zszedłszy się wnet po odjeździe lekarza z memi paniami, przedstawiałem w obecności chorej raz jeszcze rzecz w ten sposób, iż ów uczony szczęśliwym zbiegiem wypadków zawitał właśnie do Giessbach, w czem niema nawet śladu zasługi z mej strony. Panna, słuchając mych kłamstw niewinnych, zachowywała się już nieco inaczej, niż przedtem, i widać było, że w usposobieniu jej odbywa się jakaś przemiana. Może obok obojętności i nieufności pojawiły się dwa inne czynniki: zaciekawienie i wdzięczność. W szczegóły tego psychologicznego procesu nie próbowałem wglądać, i w dalszym ciągu prowadziłem taktykę uprzednią, gawędząc niemal wyłącznie z matką, która opowiadała mi szeroko jakieś historie sezonowe z Trouville.

Bezpośrednio potem znalazłem się na pięknym tarasie hotelu, sam na sam z moim narcyzem. Pierwszy raz sam na sam, ponieważ niemego spotkania przed trzema dniami liczyć nie mogę. Ona uważała najwidoczniej za swój towarzyski obowiązek podziękować mi za oddane usługi. Powiedziała więc kilka słów uprzejmych, nawet serdecznych, z których zapamiętałem jedno tylko zdanie:

— Pan taki dobry dla mamy, że nie wiem, jak dziękować...

Na słowa te mogła oczekiwać odpowiedzi, że spełniłem tylko elementarny obowiązek, śpiesząc z pomocą kobietom i rodaczkom, że będę się czuć szczęśliwym, mogąc być jeszcze nadal przydatnym, i wiele tym podobnych komunałów, które bywają powszechnie przez świat powtarzane każdego czasu i na każdym miejscu, sposobem mechanicznym, wszelako w przekonaniu świata uchodzą za powinność i prawdę. W moich ustach każda taka odpowiedź byłaby śmieszną i maryonetkową, a w oczach tej dziewczyny nie chciałem być ani śmiesznym, ani maryonetkowym.

Po chwilce wahania objaśniłem ją więc, z niepotrzebną może skwapliwością, w tonie suchym i przedmiotowym, że nie ma mi za co dziękować, i że dobrym w jej rozumieniu wcale nie jestem. Sprawiam po prostu sobie samemu przyjemność, jeżeli przychodzę jej z pomocą. Na usługi ich pozostanę tak długo, jak długo sama zechce. Powiedziałem jej także wprost, że żaden wzgląd nie wiąże mnie z Giessbachem, że miałem zamiar spędzić tu tylko jeden dzień, ale, zobaczywszy ją zaraz pierwszego wieczora, postanowiłem pozostać tak długo, jak długo ona pozostanie.

— Kieruje mną więc tak zwany egoizm, racya bytu, tak wśród ludzi powszechna, iż na podziękę nie zasługuję, — dodałem, patrząc w jej srebrne źrenice, które nagle przybrały znów dawny wyraz obojętności, i na różowe usta, które straciły uśmiech i znów stały się ustami chmurnego amora.

A widząc złe skutki, jakie wywołała moja szczerość, zmieniłem pośpiesznie temat rozmowy i powróciłem do pomyślnych orzeczeń i horoskopów, stawianych przez tak znakomitego lekarza

Manewr się powiódł, rozmowa nasza rozgrzała się ponownie błyskami serdeczności. Zadałem jej pytanie znowu nie całkiem poprawne, a przynajmniej zbyt poufne.

— Czy matkę kocha pani bardzo?

A gdy nie wiedziała, jak się wobec pytania tego rodzaju znaleźć, ciągnąłem dalej:

— Ja to już zauważyłem, że pani przywiązana jest do niej całym sercem, jak niewiele dzieci dzisiejszej doby. I ma pani słuszność. Niech ją pani bardzo, bardzo kocha, bo tak, jak matka panią kocha, nikt już w świecie kochać pani nie będzie, ani kochać nie może. Wiem już poniekąd, jak pani w następstwie odebranego wychowania na świat się patrzy, i wyobrażam sobie, że wierzy pani szczerze w istnienie na globie naszym wielkich miłości... takich jasnych, lazurowych, archanielsko skrzydlatych i wszechpotężnych. Nie znam dotychczasowego życia pani, jednak, na podstawie doświadczenia i znawstwa ludzkiej Psyche twierdzić mogę, że do dziś dnia nie znalazła jej pani. Byłoby to zresztą za wcześnie. Ale i w przyszłości, gdyby kiedykolwiek spotkała pani, czy w Paryżu, czy w Trouville, czy na wierzchołku samej Jungfrau, jaką miłość, która pogodnym jej wiarom wydałaby się lazurowym aniołem, niech pani i w takim razie nie spodziewa się klejnotu, któryby mógł dorównać sercu matki. Bez wątpienia, jest miłość macierzyńska, jak wszelka inna, czystym egoizmem. Wszelako, oceniając życie nie ze stanowiska rozwojowych konieczności, lecz ze stanowiska wrodzonych instynktów, trzeba egoizm matki uznać za kruszec stokroć szlachetniejszy, aniżeli kruszec innych serc...

W miarę, jak mówiłem do niej w ten sposób, w kryształowych jej źrenicach mnożyły się pytajniki, a głos mój cichł, miękł i wzbierał nieuzasadnioną żadnym zrozumiałym motywem słodyczą. Bo, mówiąc z nią o matce, i widząc, jak błogą ufnością napełnił ją sąd sprowadzonego lek rza, odczuwałem władzę wyobraźni obecność ciężkiej chmury zgryzoty, która, niedostrzeżona jeszcze przez nią, zatrzymała się nad tą jasną głową, aby pierwszą słoneczność wiosny zwarzyć tak rychło żalobą... Wyobrażałem sobie, jak na jej płowe włosy,

oświecone teraz łagodnie powracającą pogodą nieba, padać będą promienie świec, zapalonych przy zwłokach matki, jak ze srebrnych oczu posypią się lzy perliste i jak pieszczotliwe wargi drzeń będą od trawiącego żalu... Patrzyłem w myślach na takie obrazy — na poły jako Sfinks, który zna przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, i widzi przed sobą słabe stworzonko, ufające życiu, na poły jako człowiek pragnący miłości, który chętnie dawałby pocałunki tym słicznym ustom, i oczom, i włosom, a wie, że najtkliwszym wybuchem erotyzmu nie zastąpi tego, co pójdzie pod ziemię wraz tamtymi zwłokami.

Jej zmieszanie wzrastało razem z falą słów moich, słów dla ucha jej zapewne niezwykłych. Może pojmowała już wtedy, że nie ma do czynienia z pospolitym łowcą i wielbicielem kobiet, ale zrozumieć zapewne nie mogła, w jakim celu i dla czego właśnie wówczas mówiłem jej takie rzeczy. Przytem, z całego jej zachowania się przebijała pewna troska i obawa, że znów schodzimy w temacie naszym na tory, jeżeli nie złe, to jednak niewyraźne, a przed tą, nie całkiem przejrzystą sferą, Psyche jej cofała się z wrodzoną odrazą. I tem właśnie ujęła mnie niepomierne.

Była dla mnie pierwszą kobietą, która nie próbowała zdobyć sobie moich zachwyków ani minoderyą, ani przysuwaniem się do mnie na odległość oddechu, ani żadną inną sztuką dusznych buduarów, jakimi szermują kosmopolityczne Cléony, a niekiedy i alpejskie Oready. Jej płochliwa Psyche chroniła się przede mną w białą gęstwinę narcyzów, choć oczy moje były czyste i nie muskały jej ciała temi spojrzzeniami, które są jak pocałunki.

Usta jej rozchyliły się dwukrotnie, jakby mi chciały przerwać, aż zapytała wreszcie, czy rodzice moi żyją?

— Ojciec mój żyje, ale takich starych dzieci ojcowie nie pieszczą. A matka moja umarła wcześniej, odeszła mię jeszcze w dzieciństwie, więc pocałunków nie odbieram żadnych...

I zacząłem z prostotą i z chęcią wielką opowiadać jej różne szczegóły z dzieciństwa mego i o matce, po której zostało mi wątle, lecz drogie wspomnienie, woniejące temi kwiatami, jakich, według słów twych, kuzynko, było u niej tak wiele, nie tylko na trawnikach jej domowego królestwa...

I dziwną jest wytrwałość, czy siła życiowa takich kwiatków spłowiących! Gdy dobywałem je ze skarbcza pierwotnych dziecięcych wrażeń, owe stokrotki i jaskry, co rosły na owalnych gazonach naszej wiejskiej posiadłości, i tamte inne kwiaty, które z marzącej duszy swojej chciałaby była przeszczepić w maleńkie serce syna, a które poszły zwykłą koleją wraz z nią pod ziemię, wszystkie one zdawały się zmartwychwstawać naprawdę, jak obrońce, przysłane mi na

pomoc, i otaczać mi czoło jutrzenkową aureolą, ażeby jutrzenkowemi blaskami zdobyć dla mnie serce pożądanej dziewczyny.

Czy zmartwychwstająca dla mnie opieka matki pomogła mi wtedy istotnie? To jedno odgadywałem, że sprowadziła pomiędzy nas atmosferę, jaką nie oddychaliśmy przedtem, atmosferę, obcą zupełnie salom, tarasom i ogrodom międzynarodowych hoteli, a właściwą prawdopodobnie murawianym zajazdom dziedzicznych siedzib i sielskiej architekturze takich ganków, jaki w Krasowcach mieni się teraz niezliczonymi centkami powojowych kielichów. W powiewie, niesionym od tych stron dalekich, znanych nam obojgu z lat wczesnych i opuszczonych na zawsze, było nam tak dobrze, że uwagi naszej uszedł zapadający wieczór i długi przeciąg czasu, któryśmy przesiedzieli u kamiennej balustrady, wysoko ponad głębokiem milczeniem jeziornych wód.

Towarzyszka moja podniosła się pośpiesznie, aby zajrzeć do chorej, jednak zastąpiłem jej drogę. Miała przy staniku z jasnoperłowego sukna, na którym hafty białych latorośli występowały wypukłą rzeźbą, parę listków bluszczu i gałązkę barwinku, złożone w mały bukiet, i poprosiłem ją o darowanie mi tych listków. Odmówiła bez wahania. Odmówiła z owym charakterystycznym u niej wyrazem twarzy, głosu i całej postaci, w którym czuć się dawała nieporadność zmieszanego dziecka i zarazem wyniosłość wielkiej damy, odcień niezadowolenia i jak gdyby obawa przed sprawieniem mi tą odmową przykrości. Dla mnie zaś była ta jej odmowa cz. ms oczekiwanem i miłem, była probierzem prawdy dla sylwetki, jaką sobie ze spostrzeżeń dotychczasowych urobiłem, radością prawie. Lecz dla niej miałem tylko nagłą powagę we wzroku, a na ustach skonanie uśmiechu.

— Niechże mi tej drobuostki nie odmawia— nalegałem jeszcze, przystępując bardzo blisko. — Żądanie moje wydawać się musi, co prawda, bardzo naiwnem i traci zbutwiałym romantyzmem. Mnie wszakże chodzi nietyle o owe listki, które tkwią u jej piersi, jak raczej o dar jakiś, otrzymany z jej ręki w nagrodę za rzekomą dobroć serca, a za dar taki obrałem właśnie skromną wiązanekę, nie przedstawiającą dla niej żadnej wartości. Proszę o ten drobiazg bardzo usilnie, ile że chodzi tu o objaw życzliwości, nie uświęcony obyczajem. Może już nigdy nie innego, coby mi ofiarować chciała, nie miałoby dla mnie równej wartości, chociażby na zewnątrz wydawało się rzeczą wielką i cenną. Jeżeli odmówi mi teraz, to odmówi wraz z tą jedną gałązką raz na zawsze wszystkiego, gdyż tylko chwila obecna stanowi dla mnie o wartości ofiary. Chwila ta teraz trwa jeszcze i drży w powietrzu, a za moment rozemdleje się w nicość i nigdy nie wróci. Czy wie, że wyrządza mi krzywdę, której już nigdy i niczem powetować nie zdoła?...

Ale ona, przelęknła mem naleganiem, oparła się stanowczo, choć łagodnie. Stanowczość ta, jakkolwiek sam chciałem ją widzieć taką, jaką była, sprawiła mi przecież przykrość.

— Moment minął i nie wróci, — rzekłem ze smutkiem. A kiedy odchodziła, rzuciłem jeszcze pytanie, czy chce pójść ze mną wieczorem, w czasie iluminacji, ku wodospadom? Gdy zaś wstrząsnęła głową przecząco, dodałem sucho:

— Za natarczywość w żądaniach przepraszam i nie popełnię jej już więcej. — Poczem usiadłem na ogrodowej ławce, pozwalając jej odejść samej i iść przez szerokie wschody fasady do wnętrza budynku.

Nastąpił szereg dni, może tydzień, w ciągu których stosunki nasze ograniczały się do najniezbędniejszej, towarzyskiej wymiany zdań o rzeczach obojętnych. Nigdy nie przemawiałem do niej pierwszy. Natomiast oddałem się cały opiece nad chorą, siląc się na wynajdywanie i oddawanie jej drobnych na pozór i nieznaczących, a jednak pożądanych i tak licznych przysług i ułatwień, że stawałem się z każdym dniem niezbędnym i zaskarbiałem sobie u tych pań coraz większą życzliwość. Szczególniej matka przywykła do swego przygodnego opiekuna tak rychło, że w każdej sprawie zwracała się do mnie i do wskazówek moich nabierała coraz większego zaufania. Ja zaś wmawiałem w nią stałe polepszenie się zdrowia i pielęgnowałem coraz chętniej i szczerzej.

Ażebym oddalił od ciebie, kuzynko, przypuszczenie, że troskliwość moja o tę kobietę była zimnym manewrem strategicznym, obrachowanym na usidlenie tamtego młodego serca ze strony najłatwiej dostępnej, dodać tu muszę, że inne czynniki odgrywały tu rolę z pewnością ważniejszą. Po pierwsze: dzielę z większością ludzi naukowych tę właściwość, że każde, raz podjęte zadanie, uważam wnet za cel sam w sobie i przeprowadzam możliwie dokładnie; powtóre: przyzwyczajam się wogóle nader łatwo do miejsc i ludzi; nakoniec znajdowałem się wobec istoty, którą porządek świata przesunąć miał niebawem w rozciągłość i w wymiary innego bytu, a proces tego przesuwania nie traci nigdy na rdzennej swej wadze i żywiołowym majestacie. Przypadek uczynił mnie obserwatorem zjawiska o nastroju dla tego właśnie do pewnego stopnia tragicznym, że ja, bierny świadek, z całą jasnością analizy widziałem jego mechanizm w pełnym, niewstrzymanym ruchu, a na widowni ludzkiej nie było tragiki ani śladu. Przeciwnie: samo słońce nadziei, otucha, błyskotliwość zbytkownego otoczenia i różowy obłok nieświadomości, rozpostarty przed krótkim wzrokiem trącanych już palcem losu aktorów. Następstwo tej sytuacji wyrazić możemy językiem nieracjonalnym i nienaukowym, ale

potocznym, iż mi pacjentki naszej było żal. Nie chciałem, by na zakończenie dostrzegła cokolwiek z zakulisowego mechanizmu. Bylbym, owszem, bardzo chętnie ulubionej błyskotliwości przysporzył, różowy obłok zagęścił i nektarem otuchy upoił ją aż do niepamięci.

Interesowałem się więc niby sezonowymi wiadomościami z Tronville, przybierałem wszystkie gusta i upodobania światowego włóczęgi i niekiedy tylko odzywałem się z jakimś zdaniem, z jakimś poglądem *pro homo meo* na rachunek tej, która już dawno musiała zrozumieć, że w interesie jej matki gram dobrowolną komedię z dużym wkładem ustępczej pobłażliwości dla chorej. Jakoż za każdym razem podchwytowała wątek, zlekka przeze mnie poruszony, usiłując widocznie okazać, że i ona w innych dziedzinach myśli, niż te najpowszedniejsze, chętniej się obraca. Ale ja z wytrwałą powściągliwością nie podejmowałem nigdy obszerniejszej dyskusji. Zwracałem się wprost do niej tylko w razie koniecznej potrzeby, a na skierowane do mnie pytania odpowiadałem zwięźle, patrząc na nią spokojnie, poważnie i z wyrazem tajonego żalu. Wtedy ona srebrnymi źrenicami szukała mego wzroku, jak gdyby pragnęła się przekonać, czy istotnie drobne zajście, wywołane jedynie przez towarzyską niewłaściwość z mojej strony, mogło się stać dla poważniej myślącego człowieka przedmiotem nieporozumienia, i jak gdyby cień owego nieporozumienia pragnęła z pomiędzy nas usunąć. Ta jej maleńka troska, płynąca, oczywiście, z wrodzonej łagodności serca, była mi tak miłą, że trwałem w swym dzieciennym uporze.

Podobnież i o wspólnych przechadzkach nie było więcej mowy. Pogoda tymczasem ustaliła się i wraz z wrześnie przyszły dni ciepłe, jaskrawe, chociaż jesienne. Hotel zapelniał się świeżą i ostatnią już falą turystów. Dość wiele przesiadywałem z paniami w parku, gdzie koncertowała zakładowa kapela. Wieczorem patrzyliśmy z tarasu na czarodziejskie efekty magnezyowych światel, zapalanych iskrą elektryczną równocześnie na wszystkich piętrach kaskady. Przed olśnionym widzem znikał wtedy cały potężny szmat góry w nieprzeniknionej ciemności, a gorzał tylko kręty słup potoku, który roziskrzył się na stropie gdzieś pomiędzy gwiazdami, mgłą chwiejną rozpryskanej wody i posuwistym zygzakiem ześlizgiwał się z czarnego płaszcza nocy w otchłań wąwozu, szerbko rozwartego u podnóża góry. I bywał to istotnie widok arcypiękny, gdy pęki magnezyowych promieni zmieniały raz po raz swą barwę, oświecając czarną koronkę jodłowych gałęzi, bramujących kaskadę, ciskając w srebrzystość nurtów deszcze złote i wysyłając raz po raz na ciemny firmament raketowe gwiazdy, które stawały krótką chwilę na niebie w świetności wielkiej i cicho gasły, jak myśli zbyt śmiałe, roztracone



o wieczność. Z miejsc, kędy pękły, spadały potem bezsilne lzy ogniste i tonęły w rozchwiejach wodnej kurzawy, unoszącej się nad strumieniem.

Angielskie damy, obróciwszy niedokrewne twarze na te magiczne świty, powtarzały niestrudzenie: „Splendid! splendid!“, a moja dziewczeczka żalowała tylko, że czarowny moment iluminacyi trwa tak krótko!

— Przelotne czary Giessbachu,—zauważyłem, zwracając się do matki, — mają przynajmniej tę dobrą stronę, że za pieniądze dają się co wieczora wyczarowywać na nowo. Ten płomień zaś, który na wiosną ogarnia serca ludzkie i daje im różne piękne kolory, trwa równie krótko, lecz nie wraca nigdy...

Myśl moja przeciągała wówczas przez rozległy obszar uczuć, rozдумañ i pragnień, pełen nierozjaśnionych cieni i nieuchwytnych granic, który otaczał mi duszę zagadkowym pierścieniem. I dorzuciłem jeszcze:

— Przelotna gwiazda szczęścia zjawia się raz jeden w życiu każdego człowieka, w kształcie iskry nieśmiałej, a niepoznana, lub wzgardzona, leci dalej i już nie wraca.

Przez twarz tej, do której właściwie mówiłem, przemknęło leintkie drgnięcie i zatrzymało się na chwilę w poruszeniu ust, w poziomem ściągnięciu brwi i w słabej zmarszczce na czole, jak to spostrzegąłem u niej zawsze, ilekroć zajęta była intensywnie jaką myślą trudną i niejasną. Czy zastanawiała ją gwiazda szczęścia? Czy mniemała że się skarżę?

Tego samego wieczora zapytała mnie, czy bardzo jest daleko do najwyższego wodospadu? Przypuszczałem godzinę drogi pod górę. Bardzoby sobie życzyła dotrzeć aż do szczytu i znaleźć się na szmaragdowych poloninach, usianych szaletami pastuchów, stąd już widnemi. Obiecywałem jej, że tam na górze niema już prozaicznych turystów, że natomiast widzi się wokoło niestrzyżoną kwiecistą trawę, nierówno wydeptane ścieżki, trzody, dzwoniące echo, turnie, porosłe kosodrzewem i kępami rododeudronu, a nad tem wszystkim ogromny krąg kryształowej atmosfery, zatoczony w kopułę światła i wolności nad zjeżonemi grzbietami górskich łańcuchów, łańcuchów szarych, liliowych, sinych, tak wreszcie błękitnych i czystych, jak niebo. Gdzieś w upokarzającej głębi widać może stamtąd dachy i klomby Giessbachu—podobne do dzieciennych zabawek—i jego mieszkańców, drobnych, jak mrówki, które poruszają się między sztucznemi arabeskami klombów, ani przeczuwając, jak to się myśli i czuje na szczytach! Na jasnych i wolnych szczytach!.

Nazajtrrz znalazłem się wcześniej niż zwykle przed domem w gwarze poliglotycznym duszyczek wędrownych, rozradowanych wspaniałą pogodą. Nie czekałem długo; ukazała się na stopniach wiodących do westybulu, sama jedna, w gładkim spacerowym kostiumie, z kapeluszem i parasolką w ręku. Spostrzegłem też natychmiast ciemno-zieloną wiązaną listków, zatkniętych u paska. I w niej było tego ranka wiele słońca i radości. Uśmiechała się do mnie już zdaleka i wyciągnęła rękę na powitanie. Okrążywszy parów, rozcinający opokę tuż pod platformą hotelu, skierowaliśmy się w las ku wodospadom, jak gdybyśmy byli wyprawę tę wyraźnie między sobą umówili poprzedniego wieczora.

Matka czuła się zdrowszą niż zwykle, można było zatem oddalić się na parę godzin.

Szliśmy powoli, cienistym lasem szpilkowym, miejscami świetlistym, miejscami ciemnym i omszonym, drogą pnącą się w krótszych, lub większych zawrotach wzdłuż strumieniowego łożyska, coraz wyżej i wyżej. Tam, gdzie wody potoku głośniejszą i wyższą kaskadą miotają się wśród urwisk i głazów, zatrzymaliśmy się na lekkich mostkach, rzuconych tuż nad rwącą falą, albo zbaczali ze ścieżki na głązy wysterczające z wody, skąd spędzaly nas bryzgi piany i diamentowe w słońcu tumany gęstego pyłu, wybuchające z lejkowatych zagłębień. Ona nie słuchała grzmiących okrzyków rozpaczy, bijących z kaskad i fontan o szklaną pogodę powietrza. Ją zachwycała nowość widoków, szumny ruch żywiołów dążących do równowagi, jaskrawość barw i zwycięska świetność słońca, które nasycalo wodę tęczkami i było w stanie w najmarniejszą kroplę wszczepiać swoje blaski. W wędrowce naszej natrafiliśmy w kilku miejscach na kopce brudnych popiołów i wbite w ziemię opalone słupy z resztkami fejerwerków. Te zgliszcza razily ją, jako czarne i szare plamy, wśród soczystej gęstwiny ziół leśnych i na tęczujących granitach.

— Jeżeli wszystko, co zdala od nas płonie i olśniewa, tak się przedstawia oglądane zblizka...

Ale przerwałem jej.

— To tylko żużle. Nie trzeba myśleć o tych rzeczach spalonych i smutnych.

W rzeczy samej, młodość, mająca żyć, nie powinna myśleć o żużlach. Gdyby myślała o nich, musialaby się była przedewszystkiem ode mnie odwrócić.

Szliśmy pod górę po stromym stoku rozgrzanego przez gorące południowe lasu. Ta narcyzowa dziewczyna kryła w sobie zarzewia

wszystkich ogni, z których ludzie rozniecają swe przewodnicze światła, tak nieodzowne dla życia, jak tlen, albo woda. Ja niosłem z sobą pod tę słoneczną górę tyle popiołów zimnych i ciemnych, że musiałbym się jej wydać słupem żałoby, czarniejszym od tych, na których powiewały strzepy wygasłych słońc magnezyowych. Woląłem zaś wydawać się jej czemś zgola przeciwnem, czemś piękniejszym nawet i ciekawszem, aniżeli brylantowe fontanny, aniżeli te rumieńce promienne, co błędziły po pniach żywicznych, aniżeli gałązki jeżyn i malin zwieszające się z pomiędzy drzew na naszą ścieżkę, niż rój łatek i motyli nad fioletem tojadu i fioletem cyklamów. Dla tego więc udałem się tu po pomoc do kwiatów i czarów natury. Napełniłem swe myśli barwami dzwonek i motyli, wonią malin i jodeł, ubrałem je w srebrzystość stopionego śniegu, który rzucał się obok nasze skały, niosąc gwar i wrzawę wodospadu w dolinę... i mówiłem jej o pięknościach alpejskiego świata.

Zbliżaliśmy się do niego istotnie, z regionów hotelowego szablonu i płatnych osobliwości. Las stawał się coraz rzadszy, coraz węższa i stromsza ścieżka nasza przecinała zręby poszyte karłowatymi klonami i leszczyną. Kwiatów i jagód było coraz więcej, a brzegi Giessbachu stawały się coraz urwistsze i niedostępniejsze.

Śluchając tego, com mówił, przystanąła z zarumienioną twarzą, z pierśią falującą, pod gładkim stanikiem, od długiego pochodu. Ona sama miała w sobie wszystkie uroki i tęczę nieśmiertelne dziewiczej natury, świeżość malin na ustach i błękitną srebrzystość w oczach... Kilku aż tu zagnanych „viveur'ów“ w pretensjonalnych nieco, alpinistycznych „dressach“, którzy przecięli nam drogę, obrzuciło nas wzrokiem zaciekawionym i badawczym, wymieniając między sobą żywe uwagi. Wzięto nas zapewne za parę narzeczonych, albo kochanków, żądnych samotności.

Prawdą zaś było, że na widok mojej chciwej słuchaczki wolałbym być rzec się wszelkiej słodyczy, nawet, gdyby mi jej—któż wiedzieć może?—nie bronila, aniżeli spaść w jej wyobrażeniu do poziomu powszedniej młodości. Prawdą było, że nawet w tych miejscach, gdzie ścieżka mogła się jej, niewprawnej i niedoświadczonej, wydać zawrotną i niebezpieczną, nie podawałem jej dłoni, na co przecież i surowa władczyni Krasowiec młodej parze budniczej na puszczonej polanie bez skrupułów pozwala. Może dumny myśliciel, nie chcący nic dzielić z gminem, poświęcał we mnie szczęście człowieka. Dość, że zamiast jej mówić słowa słodkie i różane, wielbiłem przed nią majestat nadchmurnych lodowców i porównywałem go z małością ludzkich sił i pragnień. Zamiast słać jej pod stopy miękkie girlandy

dy pochlebstwa, z zawziętą otwartością wyznawałem, że w dzikich pustkowiach niebosiężnych gór wolę być zawsze samotnym... Czyż jest kto duchem tak rozskrzydlony i potężny, by wśród owych najwyższych i najczystszych wymiarów ziemi stanąć zdołał na jednym ze mną poziomie myśli i jej wzlotów?

Nie wiem, nie wiem, czy ona pojmowała w zupełności znaczenie tych i innych słów moich. Mówiła mi, iż prawie nigdy nie bywa zupełnie samotną, że jednak taką samotność, o jakiej opowiadam, przeczuwa i że musi to być uczucie nadziemskie... Czy twierdzenie to harmonizowało istotnie z ogólnym wyrazem jej życiowych dążeń i poglądów? Czy wolałaby była może odkrywać więcej krwistego płomienia?..

Bo płomienie, w które ubierałem się przed nią, były błękitne, ale może posiadały dla niej pewną świetność rzeczy rzadkich... Może, rozwijając się bezpośrednio dla niej i przed nią, nęciły ją podobnie jak szmer górskich wód i zapach górskiego lasu, i może dzielić im wypadło los takich subtelnych wrażeń, które w balowych salach i na trybunach turfu zwykły ulatniać się bez śladu... Teraz dopiero uświadamiam sobie jak mało zajmowałem się rozpoznawaniem indywidualnego kierunku jej myślenia. Z rozmów, które prowadziliśmy z sobą, przychodzą mi najczęściej na pamięć obrazy moich własnych idei. Postać jej staje dzisiaj przede mną w arabeskach, kolorach, blaskach lub cieniach pomysłów, porywów i nastrojów, jakie wkoło niej, w niej i dla niej, sam i własnowolnie wywoływałem... Czy nastroje moje były zarazem poezją, mieszkającą stale w jej duszy, z tego zdać sobie sprawy nie umiem. Ona była przeważnie słuchaczką moją, słuchaczką zasłuchaną i porwaną. Gdy oczyma wyobraźni patrzyła w zakłętość śnieżnej krainy taką, jaką ja przed nią odsłaniałem, gdzieś wysoko, oprawioną w zorze seraficznych poranków i w purpurę zaświatowych zachodów, tak piękną, jakiej niema ani w górach Szwajcaryi, ani nigdzie na ziemi, natenczas z salonów nektarnicznych i z trybun turfu nie pozostawało w niej nic, prócz nieskazitelnego wykwintu postaci i układu, ale żaden pyłek stamtąd przyniesiony nie zamącał jasności jej duszy. Wtedy była samem uniesieniem, samą tęsknotą i byłaby szła przez śniegi ad astral..

Jednak młodej dziewczynie trudno jest wznosić się długo ku wyżynom tak odległym! Trudno i daleko! Staliśmy zaledwie na połowie góry, las się jeszcze nie skończył, nie gięła się nam jeszcze pod stopy szmaragdowa trawa, ani trzody nie dzwoniły echowo, gdy spostrzegła biedaczka z żalem i przestraczem, że trzeba jej wracać do matki, którą na tak długo zostawiła samą!

Schodziliśmy więc pośpiesznie w dolinę...

Po drodze zaprowadziłem ją jeszcze na skalisty krążanek, który pominęliśmy poprzednio. Trzeci główny wodospad spływa nader szeroką wstęgą z kamiennej ściany tak silnie przechylonej, że obszedłszy rozpadlinę można się dostać poza wodospad i z ciemnej, chłodnej arkady oglądać świat, pełny barw i słońca, przez srebrnomodry welon ruchomej fali. Efekt ten jest tak niepodziewany i czarowny, że mój narcyz zamilkł w najgłębszym skupieniu.

Stała bez ruchu, zapatrzona w naturalne czarnoksiężstwo kolorów i zasłuchana w płaczliwy szmer kaskady, który przenikał tu całą skałę, drżącą od nacisku wód, i zdawał się być głosem martwych kamieni, albo uwięzionego tutaj w cieniach i wilgoci niebieskiego światła. Nie przerywałem milczenia, lecz oparty ramieniem o narożnik jodłowych wiązań, tworzących arkadę, począłem przypatrywać się jej z uśmiechem. Zapomniawszy zda się o wszystkim, co leżało poza urokiem tej szklanej ustroni, słuchała i patrzyła. Nic, tylko słuchała i patrzyła. Myślała także. Zmarszczka zadumy wystąpiła pomiędzy zsuniętymi brwiami i różane wargi rozchyliły się lekkim drgnieniem, jak gdyby chciały szeptem wtórować pracującym w niej myślom, uczuciom, obrazom.

Zas uczucia te i obrazy musiały być z tych, co „uśmiechami rozrywają łono“... Wkrótce potem pojawił się na jej ustach promień bezwiednego szczęścia, przebił się na twarz całą i nappełnił oczy wyrazem cichego rozrzewnienia czy zachwytu... Patrzyłem na grę tych wewnętrznych jutrzeńek, na tęcze błękitne i połyski padające na nią od bladawego słońca, którego piana zaslona pochłonąć nie zdołała; patrzyłem tak sporą chwilę, pokąd nie ocknęła się z zamyslenia i nie spotkała mojego wzroku.

A wtedy zmieszała się bardzo, jak gdybym podpatrzył zdradliwie jakąś wielką a źle strzeżoną tajemnicę.

I chciała była zapewne wytłómaczyć się żartobliwie z zadumy swojej i tego wniebowzięcia, jednak i w spojrzeniu mem, i w uśmiechu musiało być tyle otwartej i ciepłej tkliwości, że zapomniała o ekskuzie, a rumieniec nagły i coraz gorętszy występował na rozgrzane policzki, ogarniając stopniowo łuną przejrzystą i skronie, i czoło, i szyję, jak u dziecka, schwytanego na gorącym uczynku. I w chwili tej, gdy stała przede mną taka zapłoniona cała i bezradna, przysłoniwszy źrenice rzesami, odbiegła ją po raz pierwszy wielkoświatową dostojność i stała się raczej podobna do uczennicy, która źle wydała swą lekcję. Wówczas też, po raz pierwszy przyszło mi na myśl ująć ją w ramiona, przycisnąć do piersi i zcałować z niej tę łunę nietykalnej skromności.

I byłaby może—nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, co się z nią dzieje — została mi na piersiach cicha i niepamiętna...

Niestety, uprzytomniłem sobie zaraz całą istot naszych odmienność. Równocześnie uprzytomniłem sobie białą i chłodną krainę, moją własną, chłodną i dumną krainę mojej myśli, której—co po narcyzach? i uprzytomniłem sobie jeszcze wesołe przy spotkaniu z nami uśmiechy owych nektarników, od których wzgardliwie zmrużyły mi się powieki.

Aż stało się, że wyprowadziłem ją z błękitu fantastycznej groty na upalną jaskrawość południa, a niedługo oddawałem matce, niekniętą, jasną i promienną...

Nawet listki barwinku, zatknięte u paska, z nią razem powróciły w dolinę ..

W godzinach popołudniowych znaleźliśmy się wszyscy w naszym ogrodowym kiosku. Ona miała przy sobie małą książeczkę Lottiego „Les Pêcheurs d'Islande“. Znałem już tę cudną pieśń, wypiewaną przez romańskie usta na cześć morza i miłości.

To też chętnie podjąłem się czytania na głos. Były to ostatnie rozdziały smutnej historii kochanków, których rozdzieliło morze.

Na skalistym wybrzeżu Bretanii, w huraganach wiosennych, kwitły śnieżne tarniny i miłość dwojga ludzi dosięgała ekstazy zenu, a od wybrzeża w nieskończoność rozciągał się i wzdymał żywioł nieposkromiony i przepaścisty, nieskończonością dumny, nie znający ani uniesień, ani wiosen... Na rozkołysanej fali zostają potem szczątki utopionego oblubieńca, śmiesznie drobne i martwe w ogromie oceanowych oddechów, zaś na wybrzeżu, obnażonem przez wiatr i fale, czernieje krzyż, jako symbol pociechy.

W oczach słuchaczki mojej szklily się łzy...

Po skończonem czytaniu gawędziliśmy długo. Pytała mnie, — które z tych dwóch zjawisk jest najwyższem pięknem i poezją na ziemi: Alpy czy morze?

Odpowiedziałem:

— „Piękna niema ani na horyzontach oceanu, ani na szczytach Alp. Jedynie wtedy, gdy przeciąga nad nimi potęga czujnej myśli ludzkiej, może z piór jej olbrzymich paść na te fale i na te śniegi tyle atomów piękna, że w sercach ludzi, idących przez wody i śniegi, rodzą się kwiaty poezyi“.

Następnego dnia trwała pogoda równie niezmaconana i znajdowaliśmy się podobnie z niemal ciągle przy sobie, w tej samej atmosferze czystej i rozległej, tylko znów lotniejszej i wyższej o stopień, po-

nieważ nawet w obecności matki nie troszczyłem się już o upodobania i sprawy nektarników, lecz starałem się opisać nieco dokładniej śmiałe loty i błyszczące pióra owej czujnej, wszechpotężnej myśli, której nie oglądały jasne oczy jej dziecka. Staralem się zaś odziać ptaka myśli w tyle boskości i przepychu, że w południe towarzyszka moja nie wiedziała wcale kiedyśmy dotarli do pawilonu, wzniesionego opodal Giessbachu, na wyniosłym kopcu, skąd roztwierał się widok królewski na dolinę Aaru, jezioro i prospekty gór najdalszych, — a wieczorem nie spostrzegła nawet, jak nadeszła pora iluminacji i rozstania.

Dzień następny użyłem na zwiedzenie bryenckiego Rothornu. Byłbym bez wątpienia wolał zaniechać wycieczki na tę górę i spędzać znowu czas w towarzystwie moich rodaczek, atoli przeważył wzgląd nader dla mnie ważny. Umyśliłem znaleźć się na dzień cały sam na sam z sobą i stan swój samemu sobie dokładnie uświadomić. Pracował we mnie głuchy niepokój, jakby najwyższe moje dobro zagrożone było utratą, albo jakbym był blizki sprzeniewierzenia się czemuś tak ważnemu, że nawet srebrne oczy tej ślicznej dziewczyny zapomnieć mi o tem nie dawały, gdy czytałem w nich wzrastającą wciąż przychylność dla mnie, nawet wtedy, i właśnie najwięcej wtedy, wzbierał we mnie bunt przeciw temu, co sam czułem, i temu, co, jako rzecz niewymownie dla mnie miłą osiągnąć usiłując — osiągałem. Potrzebowałem oddalić się i myśleć. O myśli swojej myśleć i, postawiwszy ją przed sobą, obejrzeć pilnie, czy jest całą, nienaruszoną i czy ja zostaję z nią w tym samym co przed tem stosunku.

Wczesnym rankiem wsiadłem na okręt, zatrzymujący się tu w drodze z Interlaken do Brienz, skąd przedsięwziąłem wędrowkę na szczyt. Dzień był nader gorący i jeszcze piękny, ale nieskazitelna dotąd pogoda wyraźnie się psuła. Z poza gór północnych i wschodnich wypełzły chmury. Z początku były nieznaczne i białe, jednakowoż w południe stały się na wysokości półtrzecia tysiąca metrów groźniejsze i tak już gęste, że na parę kroków nie można było nic dostrzedz. Nie skarżyłem się na nie. Chmury bywają nieraz piękniejsze od geograficznych widoków, zapowiadanych w prospekcie. Jeszcze są one od nas daleko, jeszcze kładą się na niebie fantastyczną plamą, jak zwykły sztafaż krajobrazu, a już spostrzegamy u nóg naszych świeży zastęp nowych, podziemnych. Rodzą się gdzieś w głębi, szare, płaskie, nieruchome, a potem wydymają nagle okrągłe grzbiety, jak przebudzone zwierzęta powstające z legowisk, i suną zwartą ławicą, szybko a cicho, z obu stron skalistego ostrza, na którym stoimy, ku górze. Niebawem są tuż pod nami. Czołgają się po

skośnych usypach i rumoszach stoków; jedna wieje pod niebo tłumnie wstęgami dymu, inne dosięgają wysokości górskiego grzebienia i przekładając przez niższe siodła i wklęsnięcia potworne łapy, czynią z nas na krótką chwilę posągi, płynące na kamiennych okrętach po niebie, zanim połączone z lotnym hucnem ciemności, który płami niebios, pochłoną nas zupełnie.

Przynoszą z sobą mrok, mróz i wichher.

I właśnie wichher ten, mróz i zamrocz, które przyszły z chmurami, powitałem jak gońców upragnionych, a dawno niewidzianych. Niemi otoczony, pojąłem, że za długo przebywałem w ciasnym i gorącym gnieździe, że za długo deptałem arabeski sztucznych klombów i upajałem się niebezpiecznym urokiem egoistycznego szczęścia. Pojąłem, że energia woli, zbyt długo beczynna, może tak rozprężyć się i zleniwieć, że pozostałbym gnuśnie u podwalin niedokończonego gmachu, uległszy potrzebom i pragnieniom życia, takiego życia, jakim pospolite gromady żyją na płaszczynach i nizinach.

Tu, wśród surowych wysłanników burzy jesiennej, zetknąłem się znów oko w oko z potęgą pierwotną i niewyczerpaną. Kłęby chmur, oblatujące tę wysoczyznę stadem apokaliptycznych widziadeł, i wichher, świszczący przeraźliwie, były mi zbawieniem i wzorem. Z rozkoszą odpierałem ataki wirów powietrznych i wciągałem w płuca zimne powiewy. Przechodziłem z jednego cyplu na drugi, czasem przystając i szamocąc się z mroźnymi prądami, czasem szukając oparcia przy głazach, sterczących pionowo ze spagu, czasem na miejscach eksponowanych i gładkich tak silnie smagany byłem burzą, że musiałem się chwycić kęp długiej, spalonej trawy, porastającej południowy stok góry. Ale im bardziej wichher się wzmagał, a zimno wilgotnych mgieł stawało dokuczliwsze, tem lepiej działało się myślom moim, które spoczywały długo, a teraz budziły się gotowe do pracy i lotu. Radeby były otrząsnąć już z siebie nieruchomość beczynnego letargu i puścić się w przestrzeń nowych horyzontów, jak stada chmur, lecące od tej niewielkiej góry ku lodozwałom Jungfrau. Czulem w sobie nadmiar myśli i pełnię siły do jej dźwignięcia; pojąłem, że ona jest moją kochanką i że chce być kochanką jedyną, zląkłem się o nią, zatęskniłem do pozostania z nią sam na sam i z całej mocy targnąłem przegrodę, która pomiędzy mną a nią wznosić się zaczęła.

Kurzawą prochów marnych, mdłym oparem wód stojących na nizinach, zawiąło ku mnie od wszystkiego, co nie było tą jasną, wielką, nadmateryalną i nadświatową panią i oblubienicą mojej przeszłości. Ona jedna — ta zimna — godną mi się wydała, abym u stóp jej



wylał kipiątek piersi mojej... kipiała mi pierś do tamtej, drobnej i cielesnej, alem ja, wzbijając się nad znikome atomy, wyprężył ramiona ku nieśmiertelnej, najczystszej...

Aż wreszcie, kiedy spędzony z najwyższych turni przez odgłos grzmotu, cofnąłem się do schroniska, a następnie, wsiadłszy do pociągu, zesuwałem się szybko z bezludnej sfery żywiołowych gwałtów w coraz zaciszniejsze i cieplejsze strefy zielonych łąk, lasów, pól i, nakoniec, ogrodów, gdzie ludzie coraz gęściej budują sobie domy i wygodne mieszkania; wtedy pojąłem jasno i nieodwołalnie, że w tym spokojnym zaduchu i bezpiecznej ciasnocie nie byłbym nigdy w stanie założyć sobie gniazda czy legowiska. W przekonaniu tem, które ponownie umocniło się we mnie na posępnej wyżynie, leżał wprawdzie wyrok dobrowolnego wygnania mego jestestwa na samotną tułaczkę, na tułaczkę ciężką i wyczerpującą, bez ciepła, bez słodyczy, bez kresu; a jednak nie czułem w sobie z tego powodu smutku, ani żalu. Być może, iż żalność ukróconej natury przeobrażała się we mnie w zimną wyniosłość, w tę dumę, którą niekiedy noszę na czole i na ustach, ściągniętych milczeniem.

Pamiętam, że czekając w Bryenckiej przystani, w powietrzu parnem i mimo późnej godziny jeszcze jaskrawem, w zgiełku podróźnych, przy dalekiem warczeniu grzmotów, zajęty byłem pomysłem do wielkiej naukowej pracy, w którejbym przedstawił cele i metodyczne drogi, zakres i osiągnięty dotąd rezultat wysiłków ducha, chcącego ujarzmić wszechświat łańcuchem poznawalności. Dzieło, któreby określiło te zapasy i ujęło je w system cyfry i miary, było oddawna moją ideą. Lecz dopiero z Rothhornu przyniosłem w sobie konieczność wykonania go istotnie i własną siłą. Dopiero tam konieczność ta oświadczyła mi się całym i poczęła objawiać się czynem. Tam szukać zacząłem pierwszych zasadniczych punktów dla pracy, którą wykonałem potem w ciągu ubiegłej zimy, i tam było jej właściwe „poczęcie“.

Czy rozumiesz tę moją sui generis wewnętrzną historję, to despotyczne i bezwzględne zawładnięcie mną myśli o pracy, myśli o trudnem dziele? Takie historie odbywały się we mnie nie rzadko.

Przychodzą zawsze niespodzianie, są nagłą emanacją czujnego ducha i od razu biorą wszystkie chęci i siły moje, całego mnie w niewolę.

Okręt napełnił się trzódką podróźnych, odbił od brzegu, przebiegł jezioro w poprzek, wysadził mnie i połowę owej trzodki u podnóża Giessbachu, a z drugą połową popłynął dalej; przeładowano nas

do wagonu zawieszzonego na stalowej linii i windowano potem mostem powietrznym ponad pianami kaskady. Z trzódki pątników dochodziły mnie odgłosy zaciekawienia, okrzyki zachwytu i grozy; — a tymczasem we mnie żyła ta jedna tylko świadomość, że ciało moje i cała moja istota przywiązane są jakoby do wielkiego złotego płomienia, wspanialszego niż słońca wszelkie, którego treść jest moją treścią i jest zarazem czemś takim, iż w porównaniu z owym palającym zjawiskiem owe głosy, owe koleje i statki, ów rozlany po jeziorach i łądach ruch gorliwy istot, szukających wrażeń i wspomnień, iż nawet owe jeziora i łądy są cackiem znikomem, malutkiem, jednodniowym, czemś tak czczem, że prawie niewidzialnem, że prawie cieniem, zatracającym się w nicości.

Ostatni rok mego życia, twórczy rok pracy, onego dnia poczętej, rozjaśnił mój sąd i odsłonił przede mną prawdziwy stosunek względności rozmiarów i wagi pomiędzy płomieniem poznającej myśli, a środowiskiem, nad którym rozwijał się jej sztandar złocisty. Rok ten pogłębił mnie bardzo, a ze środowiskiem mojem ostatecznie rozbrała. Dzisiaj jest mi ono już prawie obce. Dawniej istniało jeszcze powinowactwo pewne. Nie unikałem sidła uwitych z przędzy błyskotliwej, a nieraz wszedłszy w różane ogrody ziemi, pozwalałem się osnuwać brylantowym pajęczynom, rozpiętym na kobiercu atlasowego kwiecica, nieraz też hafty pajęcze były tak nęcące i miękkie, że nie oswobodziłem się z nich zbyt rychło, w tej zresztą pewności, że wiążą mnie one tylko pozornie. Dziś już ledwo uwagę mą na siebie ściągają. Najgłębszy przewrót dokonał we mnie okres czasu ostatni, okres pisania wspomnianego dzieła. Wymagał takiego nakładu sił, tak doskonałego sprzęgnięcia wszystkich władz ducha w jedną zdolność analizy i poznania, że trzeba było wszelkie przedze pozrywać i odrzucić. W nagrodę dostała mi się w udziale ogromna trzeźwość i dokładna miara dla żądań i postępów ludzkich, w stosunkach z ogólnym planem bytu. Nagroda to wielka. Ale ten rzadki i cenny klejnot musiałem okupić doszczętnem zniszczeniem przędz, łączących mnie z różanemi ogrodami życia. Wtedy-to odepchnąłem od siebie fantom najbardziej powabny, jaki mi przeszedł przez drogę i owiał tchnieniem osobistego szczęścia. — Czy powiesz może, że lepszym mi losem byłoby opowieć się w biel narcyzów rajskich i na atlasowym ich kobiercu zapaść w letarg myśli? Czy powiesz to? A dla czegóż sama, w swoje gwiazdy zapatrzona, zdala stoisz od rajów i kwietnych kobierców i sama jedna idziesz „nocą... nocą...“? Ty zrozumieć mię możesz i powinnaś... ty jedna...

Wróciwszy z Rothhornu do domu, zastałem zmianę. Przybyli krewni, zaproszeni listownie, i innych parę osób. Natknąłem

się przypadkowo na całe towarzystwo i zostałem przedstawiony. Nowe, a raczej zawsze te same typy nektarnicze...

Obce głosy, obce twarze rzucają mi spojrzenia zaostrzone lekką ciekawością, rozbiór nieznanymi mi kwestyi rodzinnych i nierodzinnych, wzajemne ożywienie, a zwłaszcza wesołość mojej towarzyszki—wszystko to razem akord niemiły intonacji fałszywej, który mi kazał wycofać się co prędzej i powiedzieć sobie, że rola moja dobiegła do końca. Obecność moja nie miałaby nadal racyi. Czuję się zbędnym.

Z jadalni, w której było nieznośnie duszno, wyszedłem na taras, i rzuciwszy się na fotel, zacząłem myśleć o odjeździe. W ciepłym, nieruchomem powietrzu czuć było zbliżającą się burzę. Z rześnistem światłem lamp elektrycznych mieszały się blaski dalekich i cichych błyskawic. Taras był pusty. Byłem zmęczony utrudzającym wspinaniem się po górach i podnieceniem umysłowym. Drażniła mi też nerwy parność atmosfery i przynębiała konieczność ostatecznego rozcięcia mojej idyli, o której myśl przenikała mię ostrzami bólu. Nie wiedziałem jeszcze w jaką formę przyoblecze się rozstanie, ale czułem, że już teraz jest dla mnie cierpieniem. Jakże czyste, słodkie, pełne czaru było tym razem przedziwo więzów!.. Mimowoli zadawałem sobie pytanie, czy i ją rozstanie zaboli choć trochę? Czy przysną się jej kiedy arkady jękliwe, w zasłonach z pereł i błękitu, gdy dusza jej wysychać będzie w zgiełku nadmorskich bulwarów, lub na trybunach turfu?

Czy patrząc, kiedyś w przyszłości, na zatoki, rojne od zastępów nektarników, odszuka w rytmie pulsującego morza ślad powszechnych sił i motorów bytu, które po szczęściu rybaków bretońskich przesuwają się falą ciężką, jak śmierć, a na piramidach Alp wcielać się mogą w złote pochodnie czujnych duchów i w cherubino-we ekstazy?..

Z myśli tych obudził mnie szelest sukni, odgłos znanych, lekkich kroków i widok smukłej, jasnowłosej postaci, w haftach perłowych, z rubinem ciemnej róży u piersi... Na ów widok serce zabiło mi żywiej i znużenie me zniknęło. Wszakże było rzeczą oczywistą, że przyszła tu, aby znaleźć mnie i porozmawiać nieco, po dniu spędzonym w rozłączeniu. Powitałem ją z nietajoną radością. Ona jęła tłumaczyć, że w pokojach matki, dokąd się wszyscy cofnęli, było jej tak nieznośnie gorąco, iż zapotrzebowała otwartego powietrza... chociaż i tutaj niepodobna się dziś ochłodzić... przytem lubi patrzeć na błyskawice...

Każdem takim słowem wszczepiała mi się w serce.

Nie wiedziałem o czem mówić. Zagadnąłem o matkę, której wyglądanie wydało mi się tego dnia jakimś szczególnem, przeszliśmy się kilka razy wzdłuż tarasu,—potem ona usiadła na jednej z kanap i wskazała mi miejsce obok siebie... Nie chciałem jednak siadać. Z odległości kilku kroków patrzyłem na nią w milczeniu. Po twarzy jej przesunął się delikatny rumieniec. Siedziała w silnym blasku kinietów, zwrócona twarzą w stronę jeziora i Rothhornu, kędy raz po raz odmykało się niebo jasnością siną i przepaścistą. Patrząc na nią, przechodziłem równocześnie w pamięci szereg dni spędzonych przez nas pod jednym dachem.

Wreszcie przerwałem milczenie:

— Biedna różal..

— Czy dla tego, że zwiędnie i umrze? — spytała — podnosząc wzrok na mnie.

— Nie; nie dla tego. Ta róża jest smutna, bo mówi sobie: „Oto jestem różą przepyszną i woniejącą mocno, a nie mam żadnej wartości; przepadła ona wraz z chwilą, w której stanęła nade mną gwiazga moja, ale niepoznana, czy wzgardzona, zagasła i już nie wróci“...

Nie śledząc na obliczu jej wrażenia, jakie mowa moja wywarła, zwróciłem się ku światłom atmosferycznym i zacząłem zaraz w wiyach oderwanych i jaskrawych powtarzać jej wszystko, co podczas samotnej wycieczki mojej przesunęło mi się przez głowę. Mówiłem niespokojnie, gorąco, szybko. Nie był to hymn uwielbienia dla czekającej mnie pracy, lecz apoteoza jej tematu. Skąpa dotąd rozmowa nasza stała się monologiem. Ona nie przerywała mi ani razu.

Mówiłem może więcej do siebie, aniżeli do niej. Powtórzyć tego, co mówiłem, dziś już nie mogę.

Być może, że wraz z sinym blaskiem odmykającym bramę ciemności, rozwarła się wtedy przede mną Walhalla sfinksowej poezji... Cisnęły się do mnie ze wszystkich stron nowe idee, nowe wrażenia, nowe obrazy, coraz dumniejsze, potężniejsze i gorętsze. Jeżeli kiedy oglądał geniusza myśli, przesiąkającej sobą byt i treść bytu, w chwale jego największej i niepojętej, to oglądałem go wtenczas. Jeżeli kiedy pojęcia, barwy, ogień i echa objawione w przyrodzie potrafiłem spleść w rytm takich akordów, w którychby się odbiły ogień i echa, istniejące poza myślą naszą, w nas samych i poza nami, we wszystkim i poza wszystkim, to w akordach, znalezionych wtenczas, objawiała się przeczuwana prawda bytu tętnem chaotycznym i dalekiem... Jaśniały więc ogromne trony Sfinksów, oskrzydlały je szumy orle i sztandary z płomienia; a przed nimi płynął ocean wieczności z odbitą w nim fatamor-

ganą, czyli tym strzępkiem istnienia, w którym ludzkość rodzi się, żyje, walczy, cierpi i umiera.

Przypomniałem własne jej zdziwienie, gdy z najwyższego punktu, dokąd na przechadzce naszej zdołaliśmy dotrzeć, ujrzała zamek, park i kioski Giessbachu. Wszystko wydało jej się nie tylko małym, ale zarazem zupełnie innym, prawie że nieznanem. Jeszcze odmienniejszem i jeszcze bardziej obcem wydałoby się jej gniazdo nasze z wierchołka Rothornu...

Wymiary i wartości zmieniają się wraz z wysokością, do jakiej się wznosimy, jakąż zatem wartość przedstawiać mogą klejnoty ludzkiego bytu, oglądane z wyżynowych dumnych tronów?! Poczem próbowałem jej wytłómaczyć w słowach szybkich, zwięzłych i niecierpliwych tę jedyną elementarną prawdę, którą i w ciebie daremnie chciałem wpoić, iż poza władzą i dogmatem analizującej myśli niema dla życia żadnych dóbr, ani celów. Jeżeli duch człowieka posiada w sobie dość siły, aby wstąpić na owe szczyty, już nie ziemskie, lodowe i martwe, ale boskie, żywe i płomiennie, — czyż ojczysty strzępek istnienia, skąd wzleciał, może i powinien mieć możność zepchnięcia go ze zdobytych piedestałów?

Cóż go ma ściągnąć w nizinę? Czy powinowactwo z atomami, z których przypadkowo powstał?

Czy wartość dłuższego życia, okupionego apatyą i śmiercią myśli?

— Czy może — wizya osobistego szczęścia??

Długą mowę moją przerwał w tem miejscu donośny syk węzów ognistych, które wypadły z nieprzebytej ciemności, kryjącej wodospad i góry, i skrzyżowawszy się wysoko, cisnęły w ową ciemność gradem iskier, na znak, że illuminacya się rozpoczyna.

I dopiero garść wzlatujących w przestwory iskier raketowych przekonała mnie, że mówić musiałem bardzo już długo i że mówiłem właściwie o rzeczach, które tej slicznej panny, dotrzymującej mi towarzystwa, wcale obchodzić nie mogły. Czemuż traciłem czas na atomy i dogmaty, skoro go miałem tak niewiele, a ona znajdowała się przy mnie może już raz ostatni?.. To też zamiast dokończyć rozpoczętego zdania, zawołałem, wskazując na ostatki rozsypanych w powietrzu światełek:

— Nad głową pani żeglują gwiazdy złotel

A myślałem o gwiazdach spadających, o których twierdzi legenda, że palą się dla wszystkich ludzi na niebie jako zakładniczkę szczęścia...

Miałem w sobie ogromne upragnienie szczęścia i niezłomną wolę nieprzyjęcia go od żadnej z gwiazd, które w dół lecą i w dół ciągną...

Ona zaś nie widziała nic, ani w górze, ani w dole...

Siedziała lekko pochylona, z rękoma splecionymi na kolanach, w zamyśleniu wielkiem; widocznem było, że problemat jakiś, donośny a trudny, zjawił się przed nią nagle i że nie jest w stanie rozwiązać go dostatecznie. Na twarzy jej z poprzedniego rumieńca nie pozostało ani śladu. Owszem, stała się bardzo bledziutka i nigdy jeszcze nie widziałem jej tak bladą i tak do głębi poważną. Wreszcie w odpowiedzi niejako na mój wzrok pytający, zaczęła mówić powoli i cicho, nie patrząc mi w oczy, jak gdyby formułowała na głos wniosek, dobyte z długiego wątku myśli, przez nas oboje wiązanych. W głosie jej brzmiała nuta łagodnego smutku i czuć było odrobinę gorczy:

— Są to rzeczy do zrozumienia nie łatwe... Tak, wątpliwości nie powinno w tem być żadnej... Kto jest dość potężny, aby wstępować na takie piedestały, z których przeglądać można wszystkie światy, widzieć i wiedzieć, skąd się wzięły, po co są i dokąd dążą... i wszystkie ich losy rozumieć, — ten chyba nie znajduje na ziemi nic, coby mógł stawić na równi z swą własną władzą i wielkością... Nie znajduje i nie znajdzie... Oczywiście, że ani ludzkość dla niego wartości mieć nie może, ani życie i szczęście tego rodzaju, za jakim tęsknią inni... ani gwiazdy, ani lodowce...

Zawahała się... A potem skłoniwszy czoło bardzo nisko i rozplatając ręce, dokończyła głosem tak cichym, że ledwo słyszalnym:

— Ani mój barwinek...

Nie mogę sobie uprzytomnić dokładnie, co wówczas we mnie zaszło:—czyn mój nie był przygotowany żadnym zamiarem. Dość, że podczas, gdy różowe listki jej warg drżały jeszcze od wyszeptanych wyrazów, już byłem przy niej, już objąłem jej głowę ramieniem, przechyliłem twarzyczkę wstecz i na dziewicze jej usta kładłem pocałunek długi i gorący... Pieszczota moja trwała zaledwo chwilę, a jednak szereg wrażeń i myśli, które uświadamiałem sobie w ciągu tej krótkiej chwili, był nader zawikłany i długi. Naprzód więc przeraziło mnie gwałtowne wstrząśnienie, jakiemu pod dotknięciem mojem uległa.

Bo nie wykonała ani jednego ruchu obrony, tylko ręce jej rozsunięły się połowicznym gestem trwogi. Zresztą znieruchomiała i zmartwiała zupełnie. Czulem jedwabną miękkość jej włosów i słodkich pocałunku, a jednocześnie, z obliczem przy obliczu, topiąc wzrok

w jej oczach, widziałem, że błękit ich srebrny i przejrzysty zaszklili się i zmacili. I wargi jej zdawały się być znieczulone i martwe. Może i serce jej uderzać przestało na tę chwilę, gdy przylgnąłem do niej, i z bladą twarzą Akteona brałem z ust jej pierwszy i ostatni haracz miłości...

A pocałunki moje nie były zaiste namiętym wybuchem kochanka. Kochanka!.. Tak, było w nich i takiego uniesienia wiele. Włożyłem w nie z pewnością wszystką tkliwość, na jaką istota moją zdobyć się może. I pamiętam nawet, że, poczuwszy ją tak bezpośrednio przy sobie, twarzą przy twarzy, sercem przy sercu, odeprzeć musiałem powstający nagle rzut woli wyrzeczenia się dla pospolitego z nią szczęścia wszystkich mych wielkich lotów i cichego zostania na resztę życia przy tych ustach dziewczęcych i przy tych jedwabistych włosach... Jednakże nagła ta i silna fala zmysłowej tkliwości rozbiła się wnet o potęgę innych uczuć, silniejszych i więcej snąc u mnie podstawowych. Unosiło mnie piękno faktu, który zdawał się posiadać w sobie wagę i uroczystość obrzędu, a zarazem tę tragiczność, jaką ma w sobie każda chwila stanowcza i przełomowa. Albowiem niszcząc w niej samowolnie pierwszą nietykalność wiosny i poranku, czyniłem to mniej dla siebie, jak raczej na cześć i na ofiarę władzy powszechnej, odwiecznej i twórczej, której objawem krótkim a błyskotliwym jestem sam i jest dusza moja. Tej władzy płomieniem wiecznym i wszechwładnym należy się to, co ziemia wydaje najkosztowniejszego z żywiołów swoich.

Niech ta dziewczyna idzie dalej przez życie trybem zwyczajnym, niech w rówieśnym tłumie zwycięża i kocha! Jutrzenki najcudniejszego czaru, odjętej przez usta moje, nie będzie już mogła oddać nikomu...

Pojmowałem zresztą, że z obecnym momentem rozstaję się z nią ostatecznie, że tracę ją nieodwołalnie i na zawsze. I ze źródła tej świadomości podniosła się we mnie nowa fala, potężna i dławiąca fala egotycznego żalu nad mglistym, bladym losem własnej młodości mojej. I to bowiem czułem bardzo wyraźnie i nieodwołalnie, iż razem z tem pożegnaniem kończy się jutrznia mej życiowej wiosny, a następuje okres żmudnych ostatecznych zapasów, walk samotnych, a kto wie czy zwycięskich?...

Więc żal mię zdjął niewymowny za młodocianą poezją róż, narcyzów, słowików i sercowych krynic, którą całą, całą żegnałem w osobie tej dziewczynki... Żal tak bezdenny i bezbrzeżny, że gigantyczny świat myśli i dążeń moich zdołałby zatopić oceanem łez gorzkich i głuchych! jednak najwyższy wysiłek woli i tę falę groźną zmógł i roztrącił.

Wszystkie te bunty i zwycięstwa wezbrały we mnie, starły się i opadły w przeciagu krótkiej chwili, którą spędziłem na jej sercu.

Poza tem wszystkim zostało mi zresztą dość przytomności, by pomyśleć o tem, że znajdowaliśmy się w miejscu publicznem, dość przytomności, by rzucić okiem, czy na platformie byliśmy rzeczywiście sami. Jakoż widziałem zdala grupę osób, patrzących na rozpoczętą właśnie illuminację strumienia.

Spokojny, uroczysty i smutny, uwolniłem ją delikatnie z objęcia, spojrziałem raz jeszcze na źrenice, przykryte teraz rzęsami i na biedne, szczelnie zaciśnięte usteczka, i odszedłem ku widzom zgromadzonym po drugiej stronie tarasu, zostawiając ją milczącą i samą. Na czarnym płaszczu nocy jaśniała olbrzymia pionowa kresa kipiącego srebra. Ponad nią wzlatywały gwiazdy złote, rozsypując się w lzy duże i ogniste. Na niebie grały błyskawice...

W nocy, która po wieczorze tym nastąpiła, ponowił się u jej matki atak, bardzo niebezpieczny, spowodowany może — w części przynajmniej — gwałtowną burzą, jaka przeciągnęła nad Giessbachem w godzinach północnych. Poprzednio już wydałem służbie rozkazy natychmiastowego zawiadomienia mnie w razie jakiegokolwiek wypadku. W pierwszej chwili trzeba się było zadowolić pomocą zakładowego hydropaty. Natychmiast wszakże wprawiliśmy w ruch telefon i telegraf, aby przywołać najlepsze siły medyczne z Interlaken i Lucerny. Drugiego dnia, na wiadomość otrzymaną od jednego z lekarzy, że profesora wiedeńskiego widziano w ostatnich czasach w hotelu Bellevue w Interlaken, udałem się tam bezzwłocznie, ale już go w owym domu nie zastałem, w biurze zaś nie umiano mi dać żadnych wyjaśnień. Dopiero jedna z córek hotelisty przypomniała sobie o projektowanych przez gościa odwiedzinach Beatenbergu. Pojechałem więc dalej, i znów nadaremnie. W Thoune wreszcie znalazłem poszukiwanego! Uczony, widząc się po raz drugi napastowanym, a może w przekonaniu, że sztuka jego jest w tym wypadku bezsilną, nie chciał o powrotnej wycieczce do chorej damy ani słyszeć i dopiero po najdłuższych i najgorętszych prośbach moich zgodził się jechać. Wieczorem byliśmy już w Giessbach. Po odbytej naradzie uznano stan za beznadziejny, jakkolwiek po zastosowaniu rozmaitych środków chora czuła się znów nieco rzeświejszą i uspokojoną.

Ponieważ obecność rodziny zapewniała biednej panience opiekę stokroć właściwszą aniżeli moja, przeto odjechałem razem ze słynnym profesorem. Pożegnałem ją, mówiąc, że nagle i ważne sprawy wymagają mego natychmiastowego powrotu. Ona nic na to nie rzekła, tylko z zamkniętymi usty wzroku mego unikając, wyciągnęła do mnie rękę drobną, białą, zimną...



— Dziękuję—szepnęła.— Pan był tak dobry dla mamy...

Nie zapytała o nic i niczego nie żądała.

Jam też, milcząc, ze spuszczonego wzrokiem odszedł.

Od tego czasu nie wiem o niej nic wcale, i oto cała spowiedź moja. Długa spowiedź, ale jej nie żałuję—w tem przeświadczeniu, że odkryłem ci wiele tajemnic swoich i że nie będziesz mnie na przyszłość posądzać o zamilowanie w aksamitach życia.

---

# Prawo spadkowe w Królestwie a własność ziemska.

---

Kiedy się bada potrzeby ludności rolnej, a reformy prawodawcze dla własności ziemskiej są na porządku dziennym narad komitetów rolniczych, godzi się zastanowić nad sprawą, poruszoną przez Radę Rolniczą Piotrkowską i przez artykuły p. Jeziorańskiego o spadkobranianiu włościan, ogłoszone w „Słowie”, bo omawiają sprawę, mało u nas znaną.

Widzimy wszyscy, że własność włościańska w większej części kraju nadmiernie się rozdrabnia, że skutkiem tego powstaje wiele gospodarstw, które nie są w stanie utrzymać rodziny włościańskiej <sup>1)</sup>. Jest to koniecznym skutkiem znacznego przyrostu ludności, i uznać trzeba, że powstanie pewnej liczby drobnych właścicieli ziemi, którzy mają własny dom i kawałek ogrodu, jest, ze względów ekonomicznych i społecznych, pożądanem. Ci drobni właściciele, to najlepsza siła robocza, nie będąca przecież proletaryatem, podczas gdy ojciec rodziny najemną pracą zarabiać może, żona i dzieci mają kąt własny,

---

<sup>1)</sup> Według danych ogłoszonych przez Komitet statystyczny (tom XVII-ty) w ogólnej liczbie 717,257 osad włościańskich znajduje się 426,671, zawierających mniej, niż piętnaście morgów, w tem około 280,000 osad o przestrzeni mniejszej, niż sześć morgów, a 141,246 poniżej trzech morgów. Cyfry powyższe są przytoczone w referacie Rady Rolniczej Piotrkowskiej.

pewną ilość własnych produktów spożywczych — jest też zapewniony dach nad głową i przytułek na starość. Z drugiej strony jednak byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną, gdyby większość włościan zejść miała do tego rodzaju małorolnej własności, która ani rodziny dostatecznie wyżywić, ani pracy jej wyzyskać nie jest w stanie, na której inwentarza utrzymać nie sposób — znane są dostatecznie oplakane stosunki okolic, gdzie rozdzielenie ziemi doszło do tego stopnia. W każdym kraju jest pewne minimum własności, zawisłe od klimatu i gleby, a także stopnia kultury, poniżej którego własność ziemską jest mało produkcyjną, a dalsze rozdzielanie gospodarstw nie jest już skutkiem zdrowego przywiązania i zamiłowania do ziemi-karmicielki, ale objawem ubóstwa, które się dzieli tem, czem ma, bez względu na powszechną szkodę, oraz niezaradności, która innych środków do życia znaleźć sobie nie umie. Często się u nas podziwia samodzielność, ukształcenie i uspołecznienie chłopów w Poznańskim, a biada nad ciemnotą, czy nędzą ludu w Galicyi, którą się niewiadomo jakim przyczynom przypisuje, a spuszcza z uwagi to, że gospodarstwo włościańskie w Poznańskim, to najczęściej staropolska włókowa, czyli łanowa osada, że ten gospodarz wielkopolski ma 30, 40, 60 morgów pruskich, w Prusach Zachodnich nawet mniej, a w Zachodniej Galicyi są powiaty, gdzie przeciętna własność włościańska trzy morgi wynosi. Nie pomoże na to ani oświata ludowa, ani kółka rolnicze, ani wiece ludowe; właściciel trzymorgowej osady nie może stać na tem samym kulturalnym stanowisku, być ekonomicznie, społecznie i narodowo tak silnym elementem, jak gospodarz na włókowej osadzie.

Nasza własność włościańska schodzi w wielu okolicach Królestwa Polskiego do tego stopnia rozdrobnienia, które jest ekonomicznie szkodliwym, społecznie niebezpiecznym. Tak szybko postępująca parcelacya i wysokie ceny, płacone za mało urodzajne ziemie, dowodzą, że dorobek ludu jest, ale że na ziemi włościańskiej jest ciasno. Wychodztwo za granicę nie wyrobników, ale osiadłych gospodarzy z Łomżyńskiej i Płockiej gubernii dowodzi, że osady włościańskie nieraz nie są w stanie rodziny wyżywić.

Obowiązujące prawo, że nie wolno dzielić gruntów włościańskich na mniejsze, niż sześć-morgowe osady, nie przeszkadza rozdrobnieniu, bo wcale nie jest przestrzeganiem, a mnoży tylko liczbę rodzin włościańskich, które nie na jasnym dowodzie prawnym, ale na jakimś akcie symulacyjnym, lub iure caduco na roli siedzą i procesują się w nieskończoność, broniąc swego materialnie słusznego, formalnie nieprawnego posiadania. Prawo, przeciwdziałające nadmiernemu

dzieleniu osad, żeby było skuteczne, musi wchodzić w przyczynę rozdrabniania, a nie może być czysto zewnętrznym, nie wchodzącym w naturę rzeczy, jakby policyjnie zabraniającym przepisem.

Droga niepodzielności osad musi być wyłączona. Warunki ekonomiczne, a właściwie warunki życia na wsi wymagają możności dzielenia, odprzedawania, dokupywania i t. p. czynności, czyli swobody sporządzania aktów o kupno-sprzedaż parceli rozmaitego rodzaju użytków rolnych; przeszkody, stawiane wolnej cyrkulacji na mocy aktów między żyjącymi, byłyby zawsze szkodliwemi.

Osady włościańskie dzielą się u nas i rozpadają nie w skutek przedłużenia, jak własność większa, ale szczególnie drogą spadku. Pan Jeziorański przeto słusznie wykazał przyczynę złego i wskazał na przykład niemieckich praw spadkowych osobnych dla własności włościańskich, jako na najskuteczniejszy środek, powstrzymujący szkodliwe ekonomicznie rozdrobnienie. Wystawiam sobie, że środek taki, jak zmiana przepisów prawa spadkowego, wywołuje u nas powszechne niedowierzanie, a być może, oburzenie krajowych prawników. Oddawna jednak niema u nas naukowego prawniczego ruchu, niema sposobności do prac ustawodawczych, ani naukowych; prawnicy nasi przeto, to praktycy, najczęściej adwokaci, którzy mieć mogą dużą praktyczną, to jest kazuistyczną, znajomość kodeksu cywilnego, rzadką jest przecież znajomość naukowa, to jest krytyczna i porównawcza. Ponieważ kodeks Napoleona jest uznany za najznakomitszą kodyfikację cywilną, nie wynika stąd, że dla tego każde postanowienie tegoż kodeksu jest najwyższym wykwittem mądrości prawniczej. Niektóre przepisy prawa francuskiego, te zwłaszcza, które najbardziej zerwały z tradycją, a odpowiadały osobistym poglądom kodyfikatorów i doktrynom wieku <sup>1)</sup>, jak naprzykład prawo małżeńskie, stanowisko prawne kobiety, uwolnienie ojca od obowiązku wobec dzieci nieprawych, a także prawo spadkowe, jest może ze wszystkich kodeksów europejskich najbardziej zacofane i przestarzałe. Mówiąc tylko o prawie spadkowym, komu nie obce motywy i dyskusje kodyfikacyjnej władzy, naprzykład zdania Cambaceresa i pewien list cesarza Napoleona do brata, Józefa, temu jest widocznem, jaką rolę grały motywy chwilowej polityki w ograniczeniu władzy testamentowej ojców, starej generacji, przywiązanej do ancieu régime, dla pozyskania młodej, przychylniej rewolucyi, jaki wpływ miała dążność do roz-

---

1) Rozdział o Osobach w szczególności.

bicia wielkiej własności ziemskiej, a wreszcie prawno-filozoficzne poglądy XVIII-go wieku.

Wiek XVIII wierzył, że prawodawca, snując dedukcyjnie logiczne wyniki pewnych prawnych zasad, filozoficznych doktryn „oświeconego wieku“, może ustanowić prawa, które w każdym czasie, pod każdą długością i szerokością geograficzną będą najsprawiedliwsze i najstosowniejsze. Wierzył, że, aby dawne porządki i przesady usunąć, zapanuje nowy wiek złoty. Wierzył, że wszystkie jednostki ludzkie są sobie z natury równe, a nierówność społeczna jest wytworem spaczonyj cywilizacji—że przeto wolność i równość, to dwa z sobą łączne, współrzędne pojęcia. Wierzył, że osłabienie, a nawet zniszczenie naturalnych, dobrowolnych związków społecznych jest postulatem wolności, a drogą do niej — odosobnienie jednostki. Wierzył, że ideałem prawodawstwa jest ujednostajnienie praw i przepisów w najrozliczniejszych stosunkach i warunkach życia. Rewolucya francuska przyjęła też od oświeconego absolutyzmu wiarę w uczęszliwienie ludzkości za pomocą dekretów <sup>1)</sup>, wiarę tę niosła po świecie na swoich sztandarach, które burzyły dawne, zmurszałe porządki, a wносиły nowe idee i nowe prawa.

Tych zasadniczych filozoficzno-prawnych pojęć logiczną konsekwencyą w prawie spadkowym była zasada, zupełnie przeciwna dawnemu prawu francuskiemu i starorzymskiej maksymie: „uti legasset super familia tutelave rei suae ita ius esto“, że prawodawca, to jest państwo powinno normować porządek dziedziczenia, a nie wola spadkobiercy. Zasada ta płynęła z przekonania, że w większości wypadków prawodawca, stosując absolutną zasadę równości, lepiej zabezpieczy potrzeby i interes dzieci, aniżeli ojciec rodziny, który je wychował, wyżywił i swoją majątność im przekazuje.

Teoretycznie zasadniczą regułą dla prawa spadkowego napoleońskiego jest spadek ab intestato <sup>2)</sup>, testamenty są dopuszczone

<sup>1)</sup> Fryderyk Wielki rozporządzał ile kartofli (Tartoffeln), w której gminie ma być uprawianych. Józef II postanawiał w swoich patentach, jaka ma być opłata w młynach (całego państwa od Brukselli do Belgradu) za mienie, ile wagi młynarz ma prawo wziąć na rozkurz, jakiemu kalece władza administracyjna ma udzielić konsens na zarabianie grą na flecie, jakiemu na skrzypcach. Dyrektoryat francuski ustanawiał ceny za mąkę, mięso, chleb, ale sam dla wojska musiał płacić inne, bo asygnaty 10 proc. nominalnej wartości nie wynosiły.

<sup>2)</sup> W tytule: „Des Successions“ mieszczą się postanowienia, dotyczące jedynie prawa spadkowego testamentowego, testamenty pomieszane są

z konieczności, bo nie można było pozbawić zupełnie prawa rozporządzenia swoim mieniem na przypadek śmierci człowieka, który przecież za życia ma wszelkie prawo z majątkiem swoim robić, co mu się podoba: zniszczyć go, zmarnować i dzieciom nic nie zostawić. Ale prawo francuskie krępuje jak najbardziej rozporządzenie ostatniej woli, przyznaje jak najmniejszą część rozporządzalną, a testamenty umieszcza w jednym rozdziale z darowiznami, ze stanowiska teorii prawa zupełnie fałszywie, bo testament jest zupełnie innego rodzaju aktem prawnym, niż darowizna, jest aktem, nabierającym siłę prawa dopiero wtedy, kiedy testator właściwie podmiotem jakiegokolwiek innego aktu być nie może.

We wszystkich prawodawstwach europejskich, od średnich wieków począwszy, była zasadnicza różnica postanowień prawnych, odnoszących się do dóbr ruchomych i nieruchomości (Gut-fahrende Habe). Prawo spadkowe, jako mające najdoniósłsze znaczenie dla własności ziemskiej, z nią było najściślej związane. W Polsce prawo własności ziemskiej szlacheckiej nazywano prawem dziedzictwa, ius haereditarium, właściciela dziedzicem, haeres, bez względu na to, czy dobra rzeczywiście odziedziczył, czy incą drogą nabył. Kodyfikacja rewolucji francuskiej wyjść musiała z innych zasad, w nierówności prawa widziała potępiany przywilej, w ujednostajnieniu prawa — ideał, do którego dążyć należy.

Te nowe idee, niesione na skrzydłach zwycięskich orłów napoleońskich, nie tylko burzyły dawne porządki, ale nieciły wszędzie, gdzie doszły, żywy ruch umysłowy i znakomity postęp. Tak też w dziedzinie prawa cywilnego. W Księstwie Warszawskim kodeks Napoleona zastąpił prusko-austryacko-staropolską praw mieszaninę i swojemi jasnymi, prostemi postanowieniami zastąpił dawną palettrancką zawilłość. Nie tylko dał społeczeństwu Królestwa Polskiego wśród wielu przejść bezpieczną podstawę prawnocywilnych stosunków, ale ukształcił pojęcia prawne i umysły. Może być jednak, iż wpłynął na to, że cały rozwój prawoznawstwa i prawodawstwa w XIX go wieku jest społeczeństwu Królestwa Polskiego mało znany, że wielu prawników naszych nawet umysłowo in abstracto nie umie się wznieść ponad, czy poza artykuły kodeksu, a prawoznawstwo nasze wobec nowych idei prawnych woła, jak Jozue: „Sta soll circa Gabaon ne movearis!“. Słońce jednak ani postęp

---

z darowiznami, inne kodeksy cywilne zawierają rozdziały, traktujące o prawie spadkowym, tak testamentowem, jak beztestamentowem.

nauki i rozwój pojęć na miejscu nie staje, a kto pojęcia naukowe chce w niezmiennie zasady skryształizować, ten jeno dowodzi, że jego umysł stanął i komórki mózgowe nowych wyobrażeń już przysięć nie mogą.

Nic dziwnego, że w XIX wieku, wieku ścisłej, drobiazgowej analizy, wiele wierzeń XVIII wieku upadło. Nie wierzymy już we wszechwiedzę prawodawczą i wszechskuteczność najoświeceńszych prawodawczych postanowień; zakres naszych wiadomości ogromnie się rozszerzył; widzimy, że warunki życia są bardzo różnorodne i stają się coraz bardziej skomplikowanymi, bardzo mało zaufania mamy przeto do środków prawnych, wysnutych logiczną dedukcją z pewnych apriorystycznych poglądów; żywimy raczej przekonanie, że te prawa są najodpowiedniejsze i najskuteczniejsze, które z tradycji i potrzeb społeczeństwa powstają, że prawodawca najlepiej zadanie swoje spełnia, gdy się do pojęć prawnych, zwyczajów i ekonomicznych potrzeb stosuje; wiemy, że pojęcie równości jest wytworem ludzkiego umysłu, ale, jak w naturze niema dwóch równych osobników, tak przyrodzona nierówność jest cechą i podstawą społecznego życia; doświadczenie historyczne przekonało nas, że nie wyodrębnienie i odosobnienie jednostki, ale przeciwnie, swoboda łączenia się w dobrowolne i naturalne związki społeczne, poczynwszy od najprostszycich i najściślejszych, jak rodzina, aż do najszerszych, jak stowarzyszenia zawodowe i korporacye, jest warunkiem i gwarancją wolności. Tych spostrzeżeń i doświadczeń naturalnym skutkiem w zakresie prawodawstwa cywilnego jest nie unifikacya, ale specjalizacya przepisów prawodawczych, nie narzucanie bezwzględnych zasad, ale zastosowanie do ekonomicznych potrzeb i zwyczajów pewnych warstw, czy sfer ludności. W dziedzinie prawa spadkowego z powyższego szeregu pojęć pochodzi tendencya do nadania siły prawa woli głowy rodziny, a nie do zastąpienia jej wolą prawodawcy. Oprócz przewrotu pojęć prawnych, nastąpił też przewrót pojęć w nauce ekonomii społecznej. Uczni dzisiejsi nie głoszą, że „prawa, które ekonomia polityczna wygłasza, są równie nieuchronne, jak prawa fizyczne, które biegiem planet kierują; bezwzględnych prawideł jest coraz mniej a coraz więcej specjalnych spraw i badań. Roscher, Adam Wagner, Lorenz Stein <sup>2)</sup>, żeby cytować tylko najsławniejszych eko-

---

<sup>1)</sup> A. Wagner i Frh. von der Goltz w Schönberga „Handbuch der politischen Oekonomie, 1890. — Lorenz Stein: „Handbuch der Verwaltungslehre“,

nomistów, wykazali różnicę między Geldkapital a Grundkapital, wykazali, że wartość nieruchoma, w szczególności ziemska, inne ma ekonomiczne cechy i własności, „innym prawom podlega“, mówiąc językiem klasycznej ekonomii, niż wartość ruchoma, kapitał w szczególności. Z tej ewolucji pojęć ekonomicznych i prawnych powstał w literaturze wszystkich ukształconych narodów silny ruch agrarny, powstało, szczególnie w ostatnich dziesiątkach XIX wieku, nowożytne prawodawstwo agrarne w Anglii, a potem w Niemczech, Austrii, Włoszech i Francji. Powstały prawa wodne, komasacyjne, prawa o spółkach melioracyjnych dobrowolnych i przymusowych, włości rentowe i t. p. Stosownie do miejscowych warunków i potrzeb, zwróciło się ustawodawstwo do uregulowania prawa własności ziemskiej i stosunków dzierżawnych w Anglii, przemieniło prawa o stowarzyszeniach zawodowych we Francji, w Stanach Zjednoczonych wytworzyło szczególną instytucję własności, nie podpadającej egzekucji za zobowiązania kredytowe (Homestead) <sup>1)</sup>. Prawodawstwo kredytowe, dotyczące kredytu ziemskiego, melioracyjnego, obrotowego (na przykład instytucja pożyczek na zastaw produktów rolnych z pozostawieniem zastawu w posiadaniu dłużnika) we wszystkich krajach uległo mniej lub więcej doniosłym reformom. Nowe ustawy spadkowe dla własności włościańskiej w Niemczech są częścią tego nowoczesnego prawodawstwa rolnego <sup>2)</sup>.

Pierwszy projekt ogłoszenia prawem zwyczajowego sposobu dziedziczenia w Hanowerze wniósł baron Schorlemer-Alst w parlamencie niemieckim. Wniosek, mimo nieprzychylnego stanowiska rządu, uchwalony został w roku 1874. W pięć lat później samo ministerium wystąpiło z podobnym wnioskiem dla większej części prowincji północnych Niemiec. Prawo spadkowe dla małej własności (Anerbenrecht) nie jest ogólnem, ale na podstawie ustawy normalnej (Rahmengesetz) uchwalają je sejmy prowincjonalne.

W Austrii projekt tego rodzaju wypracowało ministerium rolnictwa za ministra hr. Falkenhayna <sup>3)</sup>; dwa lata temu wystąpił z analo-

---

oraz: „Die drei Fragen des Grundbesitzes und seiner Zukunft“, 1881. — „Bauerngut und Hufenrecht“, 1885.

<sup>1)</sup> Rudolf Meyer: „Heimstätte und Virtschaftsgesetze Nordamericas“.

<sup>2)</sup> Dokładniejsze wiadomości o prawach spadkowych w artykule autora w „Encyklopedyi Rolniczej“ pod tytułem: „Prawodawstwo agrarne“.

<sup>3)</sup> Uchwalony przez Radę Państwa w 1889 r. jako „ustawa ramowa“, której wypełnienie należy do kompetencji sejmów, dotychczas wprowadzony jedynie w Tyrolu.



gicznym wnioskiem na sejmie galicyjskim poseł Hupka. Przeciwno wnioskowi, stawianemu ze strony konserwatywnej prawicy, wystąpiła w Galicyi lewica sejmowa, upatrując w nim zamiar utworzenia chłopów arystokratów; obecnie jednak za projektem oświadczają się posłowie stronnictwa ludowego.

W naszym piśmiennictwie pojawiały się już w tym przedmiocie głosy—mówiono o niemieckich majoratach chłopskich. Nazwa ta dowodzi nieznaności przedmiotu. „Majorat”, a mówiąc ściśle, fideikomis familijny, polega na tem, że zapisodawca w testamencie swoim ustanawia z góry pewien nieuchronny sposób dziedziczenia, na czas nieokreślony, lub na pewien szereg generacji, pozbawia zatem swych spadkobierców prawa rozporządzania odziedziczonym majątkiem na przypadek śmierci, a zwykle pozbawia ich także prawa sprzedaży, odprzedaży, lub obciążenia wpisami hipotecznymi na mocy aktów za życia. Wskutek tego własność fideikomisowa jest ze swobodnej cyrkulacji wyłączoną, jest własnością rodzinną, staje się fundacyjną, przestaje być własnością prywatną. Korzyści i niedogodności fideikomisów nie należą do przedmiotu, jest jednak łatwo zrozumiałem, że fideikomisami spętać znaczną część własności, a zwłaszcza drobnej, jest niedopuszczalnem. Nowożytnie prawa niemieckie nie mają jednak nic wspólnego ze średniowieczną instytucją fideikomisów, które, mimo nazwiska, zaczerpniętego z prawa rzymskiego, są wytworem feudalnych pojęć i stosunków. Przedewszystkiem wolne rozporządzenie własnością za życia nie ulega najmniejszemu ograniczeniu, następnie nie ma żadnej substytucyi, każdy spadkodawca przekazuje swój majątek ziemski tylko najbliższemu spadkobiercy, który znowu tak w aktach prawnych „inter vivos”, jak „mortis causa”, żadnym ograniczeniom nie ulega, nie ma żadnego obowiązku przekazywania całego majątku najstarszemu synowi, może wybrać którekolwiek z dzieci, może majątek równo podzielić, lub rozporządzić inaczej w granicach kodeksu cywilnego.

Szczególne prawo spadkowe, o którym mowa, może być albo dowolnem, albo ogólnie obowiązującym (facultatives oder allgemein geltendes Anerbenrecht). Pierwsze jest prawem testamentowem, drugie beztestamentowem. W pierwszym wypadku zastosowanie onego zależy od spadkodawcy; jeżeli ten życzy sobie zastosowania go do swojej własności ziemskiej, musi objawić swoją wolę przez zapisanie jej do osobnego rejestru Höferolle, Landguterolle. Zapisanie to jest, mówiąc po prawniczemu, rozporządzeniem ostatniej woli, i jako takie, zawsze odwołalnem. Ten sposób rozporządzeń ostatniej woli jest wygod-

niejszym i stosowniejszym dla ludności włościańskiej dla tego, że dla ludzi niewykształconych sporządzenie pisemnego testamentu jest trudnem, a wskutek nieznajomości prawa, testament prywatny łatwiej może być obalonym.

Wpisując swoją nieruchomość do rejestru, ma właściciel jej prawo oznaczyć, któremu z dzieci (albo, w braku ich, z dalszych krewnych) niepodzielny majątek pozostawia; szacunek zaś masy spadkowej, działy i spłaty odbywają się już na mocy postanowień samego prawa. Jeżeli dziedzic główny nie jest wymieniony przez testatora, to prawo powołuje najstarszego syna, w braku synów najstarszą córkę, w braku dzieci najbliższego agnata. Dziedzic główny, obejmujący całą jednostkę gospodarczą rolną, jest, z mocy prawa, w rozmaitej mierze uprzywilejowanym. Jedne prawa prowincjonalne zapewniają mu możność utrzymania się przy osadzie za pomocą postanowienia, iż szacunek jej w działach ustanawia się za pomocą specjalnej taksy dochodowej (naprzykład landszafty), lub mnożnika katastralnego (w niektórych prawodawstwach dwadzieścia razy wzięty dochód katastralny, w innych aż czterdzieści razy wzięty), inne żądają szacowania przez rzeczoznawców, a przytem wyłączają od działów na dobro dziedzica głównego pewną część wartości (naprzykład 20%—25%)<sup>1)</sup>, dopiero reszta tejże wartości idzie do równych działów ze współspadkobiercami. Ustanawiane są także terminy spłaty dla współspadkobierców, ale dziedzic, sprzedający odziedziczoną osadę przed spłaceniem spadkobierców, traci swój przywilej prawny i idzie do równego działu z innymi. Przepis ten ma na celu, ażeby faworyzować jedynie tych, którzy na roli pracują, jako osiedli gospodarze (Rückenbesitz), a ten, co osadę odziedziczył, nie spekulował na sprzedaż po wyższej cenie.

Prawo to okazało się w północnych Niemczech zbawiennem, wpiśywanie osad włościańskich jest prawie powszechnem, tak, że powstało pytanie, czy słusznem i pożytecznem jest, aby zastosowanie go było zawsze zawisłem od zapisania osady do Landguterrolle. Dzisiaj zatem ekonomiści i prawnicy, zwolennicy powyższego kierunku prawodawstwa agrarnego, przemawiają powszechnie za tem, że owe osobne prawo spadkowe powinno być obowiązującym także ab intestato, to jest zastosowane dla własności ziemskiej nawet wtedy, kiedy niema rozporządzenia ostatniej woli, kiedy osada nie została wpisana do

<sup>1)</sup> Praecipuum, Voraus.

regestru. Mojem zdaniem, rozszerzenie prawa Anerbenrecht także ab intestato może być słusznem w krajach, gdzie, na mocy zwyczaju, taki jest powszechny sposób dziedziczenia, wówczas można opierać się na presumpcyi prawnej, na przypuszczeniu, że taka była prawdopodobnie wola spadkodawcy, który, może jedynie wskutek zaniedbania, opuszczenia, lub pobocznych przeszkód, nie zapisał swej nieruchomości do rejestru; ale w kraju, gdzie ten sposób przekazywania spadku nie jest w powszechnem użyciu, byłoby przekroczeniem słusznej granicy i zakresu władzy prawodawczej wprowadzać w tym kierunku przymus, lub opierać się na przypuszczeniu, fikcyi prawnej, z prawdą zwykle niezgodnej.

W literaturze prawniczej i ekonomicznej o tym przedmiocie są jeszcze kwestye sporne w wielu szczegółach — najdonioślejszą jest sprawa zakresu działania prawa, a mianowicie: czy ono ma być ograniczone do własności ziemskiej pewnej przestrzeni, czy też do własności ziemskiej wogóle.

Prawie powszechnie oznaczają prawa niemieckie dla zastosowania ustawy pewne minimum i maximum własności. Przyczynę tego rozumiem doskonale historycznie, bo prawo to przechowało się wśród zamożnej własności włościańskiej w północnych Niemczech, własności, od wieków urządzonej (a właściwie osiedlonej) <sup>1)</sup> kolonialnie w Hanowerze, Oldenburgu, Westfalii, zatem tradycyjnie własność zupełnie mała i wielka została wyłączona z zakresu działania tego prawa.

Przyczyny wyodrębniania pewnego tylko rodzaju własności nie widzę, rozpatrując sprawę teoretycznie, zasadniczo, lub de lege ferenda. Mojem zdaniem, własność ziemska rolnicza w ogólności rozpada się i zadłuża, skutkiem równego podziału przy spadkobranii. Własność ziemska, wszystko jedno, większa czy mniejsza, w wyjątkowych tylko chwilach ekonomicznego rozwoju i wielkiego dorobku społeczeństwa może przy obowiązującym równym podziale między spadkobierców nie rozpadać się na części prędzej, niż tego wymaga pożytek ekonomiczny, może dzielić się w taki sposób, który nie zmniejsza zamożności i produktywności, ale je podnosi. Rozumiem, że w Niemczech dobra większe zostały wyłączone, ale w Niemczech północnych, w niektórych prowincjach Austrii, między dobrami większemi jest znaczna część fideikomisowych (według Conrada w Pru-

<sup>1)</sup> Tak zwane: Einzelhöfe.

sach Wschodnich i Zachodnich 27% własności większej), zatem znaczna część własności ziemskiej jest wyłączona od równego podziału, przeto osobne prawo spadkowe dla niej może być zbytecznem. Rozumiem, że własność większa łatwiej daje się dzielić, niż mniejsza, ale dopóty dzielić się daje, póki mamy do czynienia z kilkofolwarcznymi dobrami, dla jednofolwarcznej własności równy podział w spadku jest równie rujnującym, równie zagraża majątkowi i spadkobiercy, jak równy podział osady włościańskiej. Rozumiem także, że ze względów ekonomicznych i społecznych pożądaną jest odpowiedna ilość właścicieli drobnych, ogrodników, komorników, wyrobników wiejskich; ale gdzie się chce przeprowadzić osobne prawo spadkowe dla małej własności (jak w Galicyi), właśnie dla tego, że tej drobnej własności jest za wiele, i widzi się, jak ta karłowata własność (Zwergbesitz), na której nie można utrzymać inwentarza, która rodziny nie wyżywi, pograża w nędzę stan włościański, tam nie widzę przyczyny wyłączania tej najdrobniejszej własności, zważywszy, że potrzebnemu podziałowi i przenoszeniu własności inter vivos prawo spadkowe nie przeszkadza, a powstrzymuje jedynie do pewnego stopnia dalsze przymusowe a nieekonomiczne rozdrabnianie osad i gospodarstw.

Własność ziemska nie jest taką wartością, jak pieniądz, lub wartość ruchoma w ogólności. Nie daje się podzielić, jak sztuka płótna, beczka wina, akcje, lub inne papiery wartościowe. Im kultura kraju bardziej posunięta naprzód, tem więcej własność ziemska stanowi pewną zaokrągloną całość, tem większą stosunkowo do szacunku ziemi mają wartość budynki (u nas Towarzystwo Kredytowe Ziemskie liczy 25% szacunku ziem ornych, łąk i pastwisk, w Niemczech liczą do 40%) <sup>1)</sup>, tem większą wartość przedstawiają nakłady rolne (drenowania, nawadniania), inwentarz żywy i martwy, fabryki przemysłu rolnego i t. p. Wartości te są zastosowane do wielkości gospodarstwa, w razie zmniejszenia przestrzeni, mogą zostać zupełnie bezwartościowymi, albo nawet ciężarem majątku.

Urządzony i zagospodarowany majątek ziemski, większy, czy mały, jest wartością, jak fabryka, którą się mierzy dochodowością przedsiębiorstwa raczej, niż oceną osobno budynku, osobno motoru, osobno machin, chyba przy likwidacyi, to jest po dojściu przedsiębiorstwa do bankructwa, albo, jak drogi kamień, który można po-

---

<sup>1)</sup> Von der Goltz: „Landwirtschaftliche Betriebslehre“.

dzielić na kilka równych części, ale nie bez znacznej straty ogólnej wartości.

Przymus równego podziału przy spadku zbyt często sprowadza dla każdej własności ziemskiej ostry kryzys co generacja. Życie produkcyjne jednej generacji, to przebieg czasu lat 25 do 40. Czy jest rzeczą możebną, aby dorobek i oszczędność przez czas trwania produkcyjnej pracy jednej generacji, to jest przez lat trzydzieści kilka, był tak znaczny, aby rodzice po swoim najdłuższem życiu mogli jednemu z dzieci przekazać jednostkę gospodarczą rolną, a resztę, dwoje, troje, czworo, lub więcej dzieci, spłacić swoim zaoszczędzonym dorobkiem? Oczywiście, w zwyczajnych warunkach jest to niemożebnem, co generacja zatem przychodzi do tego ciężkiego dylematu: albo ojcowiznę niepomieranie zadłużyć, albo podzielić, albo ją sprzedać. W naszym kraju własność większa zwykle wybiera pierwsze, mniejsza drugie, ale rezultatem kryzysu spadkobrania w pierwszym i drugim wypadku bywa często trzecie.

Był czas, kiedy ekonomiści uważali, że jednym ze sposobów ożywienia pracy rolnej i postępu rolnictwa w kraju jest częste przenoszenie własności, czyli, tak zwana mobilizacja ziemi. Z tych teorii już się nauka ekonomii wyleczyła, obserwacja dowodzi, że mobilizacja tylko w czasach dla rolnictwa bardzo pomyślnych jest pożyteczną, rolnictwo jednak przechodzi równie często ciężkie czasy, a obecnie, w krajach starej kultury, trudno nawet przewidzieć, skądby mogła dla niego faza pomyślności zawitać. Charakter produkcji rolnej, z przyrodą najściślej związany, wyłącza prędkie, łatwe i błyszczące powodzenie. Rolnictwo, to sojusz i walka z najpotężniejszymi siłami natury, rolnik stara się jedne opanować, drugie zwalczać, otaczająca nas przyroda i ziemia, po której chodzimy, zmienia się ciągle, zmienia od wieków, ale pośpiech życia ludzkiego jest jej obojętny. To też podniesienie produkcji rolnej, postęp kultury zdobywa rolnik raczej wytrwałością, niż wysiłkiem, rezultaty pracy i znoju ojców często dopiero synowie zbierają.

Dla tego też rolnictwo wymaga tej ciągłości usiłowań, tego związania się i przywiązania do swego warsztatu, do ziemi, które w innym zawodzie może być ekonomicznie szkodliwem. Przeto ze względów ekonomicznych i społecznych najpożądaną jest rzeczą dla rolnictwa i własności ziemskiej pozostawanie kawałka ziemi w jednych rękach i w jednej rodzinie przez długie lata. Bez silnego związku ojcowizny z rodziną rolniczą, znaczna część nieurodzajnych okolic, miejscowości, gdzie człowiek walczyć musi z dziką, nielitościwą, lub

jałową przyrodą, nie byłaby wcale oddana uprawie, mielibyśmy dotychczas odłogi i pustynie w cywilizowanych krajach Europy. Przyznać zatem trzeba, że wszelkie roztropne prawodawstwo agrarne dążyć powinno nie do rozrywania, ale do utrzymania jak najściślejszego związku między ziemią a rodziną rolnika. Gdzie zatem warunki produkcji rolniczej są tego rodzaju, że dorobek jednej generacji nie jest w stanie zabezpieczyć równej spłaty wszystkim dzieciom, uprawnionym do spadku, ale zmusza do ekonomicznie szkodliwego podziału, lub nadmiernego zadłużenia, tam pożytecznym jest pozostawienie možnosti uprzywilejowania jednego z dziedziców w ten sposób, aby się na ojcowiznie mógł utrzymać.

Wszystko jedno, zdaniem mojem, czy to jest własność mała, średnia, czy większa. Czy w spadku znajduje się nieruchomość, której cena sprzedażna jest 1,000, 10,000, czy 100,000 rubli, jeżeli chodzi do równego podziału między czterech, lub więcej spadkobierców, to dziedzic, który na niej mieć będzie tylko  $\frac{1}{4}$ , lub  $\frac{1}{5}$  część, utrzymać się nie może, a własność ziemską musi albo się rozpaść, albo dojść do dobrowolnej, lub przymusowej sprzedaży.

Przykład powyższy jest czysto teoretyczny, bo nie uwzględnia obciążenia własności długami. W kraju naszym własność ziemską średnią i większą jest w wysokim stopniu zadłużona. Tak według Blocha: „Ziemia i jej zadłużenie“, jak według: „Wiadomości statystycznych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego 1896 roku“, zadłużenie własności większej ziemskiej w Królestwie Polskiem stanowi więcej, niż 60% szacunku <sup>1)</sup>. Ciężkie położenie materyjalne rodziców zmienia się w położenie bez wyjścia dla dzieci, — a raczej jedyną drogą wyjścia jest, zbyt często, pozbycie się ojcowizny.

Wiemy wszyscy, że własność włościańska w Królestwie Polskiem jest w wielu okolicach nadmiernie rozdrobniona, ale i dla własności większej podział w naturze jest na ogół niemożliwym. Na 7,296,000 morgów było w 1896 roku dóbr, obciążonych pożyczką Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, 9,251; obecnie przestrzeń, skutkiem parcelacyi, zmniejszyła się, a ilość dóbr przenosi 10,000; przeciętne zatem dobra są jednofolwarczne, można przeto odprzedać więk-

---

<sup>1)</sup> Wiadomości statystyczne, dotyczące dóbr, obciążonych pożyczką Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego 1896. Tablica XXIII wykazuje przeciętne obciążenie 65.9% szacunku dóbr,

szą lub mniejszą część pól, ale żeby dzielić gospodarstwo w naturze, trzebaby stawiać nowe folwarki. Byłoby to bez pożytku dla rolnictwa, a przede wszystkim przy podziale zadłużonej własności niema ani celu, ani możliwości robienia nakładów na stawianie budynków. Te też podczas, gdy w rodzinach zamożnych, gdzie trwała jest tradycyjna chęć przechowania dóbr w rodzinie, majątki ziemskie przy spadku bywają, na mocy dobrowolnych familijnych układów, nadzwyczaj nisko cenione, a wskutek tego przechodzą z generacji na generację w jednej rodzinie; to nasze średnie majątki ziemskie, cenione czasem według najwyższej ceny sprzedażnej, bywają zadłużone niepomierne i nazbyt często z ojca na syna przejść nie mogą, a dwory, ogrody, folwarki, cały dorobek cywilizacyjny, staje się pastwą spekulantów, lub parcelantów.

Każdy, kto widzi, co się u nas dzieje, przyznać musi, że takie jest położenie średniej własności ziemskiej. Mała własność nie ma dostępnego kredytu, zatem nie zadłuża się, jak większa, ale za to nadmiernie rozdrabnia. W każdym jednak kraju i stanie kultury jest pewne minimum przestrzeni, poniżej którego rozdrobnienie jest ekonomicznie szkodliwe, bo zbyt małe gospodarstwo nie jest w stanie ani pracy rodziny rolniczej wyzyskać, ani jej wyżywić. Przy nadmiernem rozdrobnieniu gospodarstwa produktywność się zmniejsza, a ludność rolnicza popada w nędzę, czy to będzie drobny farmer irlandzki, czy Zwergwirth schwarzwaldzki, czy coloni włoscy, czy ludność rolna Karyntyi, czy Galicyi. Minimum gospodarstwa (nie parceli) zależy od gleby, klimatu i stopnia kultury. Podczas, gdy w Księstwie Badeńskim, gdzie są winnice i ogrody, liczą dwa hektary, jako potrzebne dla wyżywienia rodziny, to w Niemczech Północnych liczą do ośmiu hektarów <sup>1)</sup>. Rozwój kultury rolnej podnosi produktywność, zatem zapewnia konieczne utrzymanie nawet na mniejszej przestrzeni, ale klimat i gleba intensywności nadają pewne granice: gdzie się wino nie rodzi, bliskość miast nie zapewnia zbytu na warzywa, tam musi istnieć gospodarstwo rolne, tam też własność musi być zdolna utrzymać inwentarz roboczy i produkcyjny, bo bez niego produkcji rolnej nie będzie.

Niebezpieczeństwo zbytniego rozdrobnienia i zadłużenia własności jest tak niewątpliwem, że dalsze wywody mogą być zbyteczne.

---

<sup>1)</sup> Bäuerliche Zustände in Deutschland 1883. Band I, II, III. Veröff. vom Verein für Socialpolitik.

Ze względów ekonomicznych chyba mało kto będzie krytykował możliwość uprzywilejowania tego spadkobiercy, który obejmuje nieruchomością rolną, a obowiązuje się resztę rodzeństwa spłacić w kapitale. Myśl ta u nas znajduje przeciwników dla tego, że uprzywilejowanie jednego ze spadkobierców wydaje się niesprawiedliwym. Pogląd ten jest niesłusznym. Zapatrywanie to jest wynikiem oddziaływania przez blisko sto lat naszego kodeksu cywilnego, ale w rzeczywistości, zasada koniecznego równego podziału nie odpowiada ani absolutnej, teoretycznej sprawiedliwości, ani w zastosowaniu praktycznym nie jest słuszną.

Przedewszystkiem, co innego jest równość, co innego jest sprawiedliwość. Pojęcia równości i sprawiedliwości nie stoją z sobą w związku przyczynowym, jak uczyli encyklopedyści XVIII wieku. Przeciwnie, sprawiedliwość (a także wolność) tam się znajduje, gdzie niema przymusu równości. „*Justitia est constans ac perpetua voluntas suum cuique tribuendi*”, — mówili prawnicy rzymscy. Oddać każdemu co się należy, jak uczy *divus Papinianus*, to nie jest dać każdemu to samo. Każdemu z dzieci należy się część spadku po rodzicach, niewątpliwie, ale że każdemu równa, wniosek to naciągnięty. Z tych dzieci niektóre, pod okiem i za staraniem rodziców, może zdobyły już sobie stanowisko i niezależność materialną, może ojciec na ukształcenie z nich tyle wyłożył, ile wynosił cały spadek (chociaż, dajmy na to, nie wydzielił żadnej części z sumy spadkowej), innemu może rodzice ani wykształcenia, ani fachu nie dali, owszem, ono może dopomagało ojcu w pracy przy gospodarstwie, może wartość ojcowski, dzięki pracy i staraniom tego właśnie dziecka, powiększyła się, a po śmierci rodziców wszyscy razem koniecznie przyjdą do równego działu? Jestże ta równość sprawiedliwa? Co więcej, jestże ta abstrakcyjna, teoretyczna równość rzeczywiście w praktyce równa?

Weźmy inny przypadek, nie jak pierwszy, charakterystyczny dla małej, ale raczej rozpowszechniony dla większej własności. W spadku zostaje majątek, wartości naprzykład 100,000 rubli. Na nim długi 60,000 rubli, dzieli się na cztery głowy. Spadkobiercy, którzy biorą spłatę, otrzymują ją w gotówce, lub na pierwszych numerach hipoteki (po owych 60,000 rubli). Ten, co obejmuje majątek, bierze swoją część nawet nie na ostatnim, ale, według naszego prawa hipotecznego, poza ostatnim numerem hipoteki.

Jestże ten równy podział rzeczywiście słusznym? Każde niepowodzenie, każda klęska jego tylko dział obciąża—no i nadzwyczajna



kopalnia drogiego kruszcu idzie także tylko na jego dobro, ale, jak wiadomo, taki wypadek jest w życiu ziemiańskim daleko rzadszym. Dziedzic, obejmujący majątek ziemski, jest zmuszony w powyższym wypadku opłacać procenta od  $\frac{9}{10}$  wartości — u nas zatem płaciłby rocznie 5,000 do 6,000 rubli procentów, a pracując usilnie, wygospodarować może 4,000 do 5,000 rubli. Każde jednak z jego rodzeństwa odbierać będzie kilkaset rubli bez pracy, a pracę swoją może gdzieindziej produkcyjnie użyć — jest-że to sprawiedliwem? Podwyższenie ceny ziemi poprawia położenie właściciela ziemskiego, nadmiernie obciążonego długami, ale tylko o tyle, o ile ziemię sprzedaje. Cena ziemi ulega jednak wahaniom: od kilku lat mamy znaczną zwyżkę, przedtem trwała przez długi czas tendencja zniżkowa.

Stosunki, warunki, okoliczności, są zbyt różnorodne, żeby się do nich artykuł prawa mógł dostosować. Błędem prawodawczym jest jednak, jeżeli usiłuje apodyktycznie je przecinać. Jakie są okoliczności majątkowe i osobiste rodziny, to wiedzieć, wedle nich stanowić, jest powołanym bonus patér familias--głowa rodziny. Prawo cywilne francuskie, uznając, że każdy winien być we wszystkich stosunkach uważany za dobrego père de famille, dopóki nie jest dowiedzionem, że jest złym, w tym jednak wypadku, przy sporządzaniu testamentu, przesądza z góry, że on jest złym, i wolę jego krępuje w tym akcie prawnym więcej, niż we wszystkich innych aktach, krępuje znacznie więcej, niż wszystkie inne prawodawstwa cywilne <sup>1)</sup>. Zaprzeczyć nie można, że są rodzice, którzy, nieroztropnie i niesprawiedliwie faworyzując jedno z dzieci, w rozporządzeniach ostatniej woli mogą inne krzywdzić. Słusznem jest przeto położyć pewne granice wolności testamentowej. Ale, co jest wyjątkiem, nie może być uważanem za zwykły porządek rzeczy, w większości wypadków przesądzać można raczej, że rodzice, którzy dzieci wychowali, im przekazują swój majątek, lepiej przewidzą potrzeby osobiste i warunki majątkowe, lepiej dziedzictwem rozporządzą, niż artykuł prawa, który właśnie dla tego, że jest ogólnym, nie może uwzględnić różnorodnych stosunków i położeń. Wolność testowania jest wynikiem i postulatem swobody rozporządzania swoim mieniem, którą przecież każde prawo cywilne w zasadzie gwarantuje, jako konieczną podstawę prawnego rzeczy porządku i ekonomicznego rozwoju.

---

1) Code Civil. Artykuł 913: „Les libéralités soit en actes entre vifs, soit par testament, ne pourront excéder la moitié des biens du disposant, s'il

Zasady prawa spadkowego francuskiego, hołdując teorii równości, krepują wolność, nie urzeczywistniają sprawiedliwości, mijają się ze słusnością. Dążność do ujednostajnienia, zrównania przepisów, uogólnienia postanowień, tak dobrze przedstawione przez Taine'a w IV i V-tym tomie „Les Origines de la France contemporaine“, nie pozwalała kodyfikatorom rozumieć i uwzględniać szczególnej natury eksploatacji rolnej i własności ziemskiej, dla tego też prawo spadkowe francuskie szczególnie w zastosowaniu do własności ziemskiej staje się szkodliwym.

Według ścisłego brzmienia prawa, każdy ze spadkobierców ab intestato ma prawo żądać wydzielenia swej części osobno z nieruchomości, z ruchomości i kapitałów <sup>1)</sup>. Że własność ziemska nie daje się zwykle dzielić bez straty, że jednostki przestrzeni nie są równej wartości, jest niewątpliwem, a zatem ściśle logiczną i naturalną konsekwencją postanowień prawa jest licytacja w drodze działów <sup>2)</sup>. Sprzedaż publiczna ojcowizny jest przecież ostatecznością, ciężką dla rodziny rolniczej, szkodliwą dla własności ziemskiej. Według obowiązującego u nas prawa, uchronić może od licytacji zgoda wszystkich spadkobierców; jeżeli wszyscy są pełnoletnimi, zgodzić się mogą na ustanowienie szacunku i wyznaczenie działów przez rzeczoznawców <sup>3)</sup>.

ne laisse à son décès qu'un enfant légitime; le tiers s'il laisse deux enfants, le quart s'il en laisse trois ou un plus grand nombre“.

Artykuł 1,079: „Le partage fait par l'ascendant pourra être attaqué pour cause de lésion de plus du quart...“.

Kodeks austriacki. § 765: „Als Pflichtteil bestimmt das Gesetz jedem Kinde die Hälfte dessen, was ihm nach der gesetzlichen Erbfolge zugefallen wäre“.

Kodeks niemiecki 1896 roku: § 2,303: „Ist ein Abkömmling des Erblassers durch Verfügung von Todeswegen von der Erbfolge ausgeschlossen, so kann er von dem Erben den Pflichtteil verlangen. Der Pflichtteil besteht in der Hälfte des Wertes des gesetzlichen Erbteils“.

<sup>1)</sup> Code civil art. 826: Chacun des cohéritiers peut demander sa part en nature des meubles et immeubles de la succession.

<sup>2)</sup> Artykuł 827-my: „Si les immeubles ne peuvent pas se partager commodément il doit être procédé à la vente par licitation devant le tribunal...“.

<sup>3)</sup> Kodeks daje im instrukcję w artykule 832, którego część pierwsza, bardzo słuszną, jest, niestety, w sprzeczności z częścią drugą, będącą

Gdy między spadkobiercami są małoletni, szacunek ustala sprzedaż z publicznej licytacji; gdy są sami pełnoletni, kodeks absolutnie nie wymaga sprzedaży, ale konsekwencya postanowień jego dowodzi, że prawodawca ma na myśli szacowanie w masie spadkowej własności ziemskiej jedynie według jej ceny sprzedażnej. Własność ziemska ma jednak także wartość dochodową, która od sprzedażnej częstokroć znacznie się różni.

Wartość dochodową ocenia się przez kapitalizowanie dochodu, jaki gospodarstwo rolne przynieść może. Cena sprzedażna ziemi trzymałaby się zawsze bardzo blisko jej wartości dochodowej, gdyby ziemia ludziom była potrzebną jedynie dla zysków, jakie rolnictwo przynosi. Ale ziemia jest nieodzownie potrzebną także dla zamieszkania, pobudowania miast, fabryk i innych osad ludzkich; w krajach bogatych zaspakaja nawet pewne zbytkowne potrzeby (wille podmiejskie, parki, tereny do polowania), u nas dla znacznej części ludności jest lokacją kapitału i drobnych oszczędności. Cena sprzedażna ziemi zależy przeważnie od zaludnienia, nagromadzenia kapitałów i chęci kupna w danym czasie i miejscowości, przyczem pewna część nabywców (na przykład placów na budowę miast, miasteczek, mieszkań) wcale nie zwraca uwagi na jej produktywność, to jest wartość użytkową dla produkcji rolnej. Mała przestrzeń nieużytku koło zaludnionych osad ludzkich może mieć wyższą cenę sprzedażną, niż najurodzajniejszy folwark.

Własność ziemską nabywa także wzbogacony fabrykant, kupiec, lekarz, adwokat, dla przyjemności, lub społecznego stanowiska, przewidując z góry, że mu dochodu nie przyniesie, włościanin zaś, lub wyrobnik, dorobiwszy się grosza, płaci za kawałek ziemi praetium affectionis, nie szuka on właściwie dochodu, ale własnego kawałka roli i możliwości wyprodukowania na nim produktów, potrzebnych do życia.

W skutek takich rozmaitych przyczyn, cena sprzedażna ziemi układa się niezależnie od jej dochodowości, a jako najpewniejsza lo-

---

jednak logiczną konsekwencyą zasad i postanowień kodeksu. Artykuł 832 brzmi: „Dans la formation et composition des lots on doit éviter autant que possible de morceler les héritages et de diviser les exploitations, et il convient de faire entrer dans chaque lot s'il se peut la même quantité de meubles, d'immeubles, de droits et de créances de même nature et valeur“.

kacya kapitału, dochodzi zwykle do takiej wysokości, że procent, jaki przynosi, jest najniższym z praktykowanych w danym kraju. Rolnik jednak płacić za nią może tylko tyle, ile ona, jako warsztat rolny, jest warta, to jest podstawą szacunku musi być dla niego wartość użytkowa, czyli dochodowa, majątku ziemskiego. Szacunek dochodowy może być czasem (wyjątkowo) wyższym od sprzedażnego, bo włącza pewne wartości, które, w danym razie, może wcale sprzedać się nie dają, a jednak korzyść przynoszą. Wszystkie atoli wartości przy ustanawianiu szacunku dochodowego liczą się jedynie w miarę pożytku, lub dochodu, jaki przynoszą. Szacunek przeto budynków, lub naprzykład lasu, wypada zwykle bardzo nizko, ale czyż pomimo praw ochronnych może utrzymać się w majątku las, jeżeli porachowano jego wartość w szacunku, jaki kupiec da na wyrąb? Las przynosi 2 do 2½%, spłaty współsukcesorów oprocentowane są 4%, 5%, lub może 6%, czyż się przy takich działach spadkowych las utrzymać może? a raczej, czy właściciel ziemi przy lesie utrzymać się jest w stanie?

Obciążenie rolnika wierzytelnościami (naprzykład spłatami współsukcesorów), oprocentowanemi kilka procent wyżej, doprowadza go koniecznie do ruiny, albo do konieczności wyzbycia się ojcowizny. Słowem, majątek ziemski, większy czy mniejszy, jeżeli ma nadal warszatem rolnym pozostać i w rodzinie rolniczej się przechować, powinien być w spadku oceniony nie według ceny sprzedażnej, ale według wartości dochodowej. Własność ziemska, ceniona w równych działach spadkowych według ceny sprzedażnej, dochodzi naturalną konsekwencją albo do rozdrobnienia, albo do nadmiernego zadłużenia, albo do zbyt częstej mobilizacji.

Włościanie nasi, wychowani w ciężkiej pracy na chleb powszedni, od pradziadów do ziemi przywiązani, prostym, zdrowym zmysłem rozumieją niebezpieczeństwa, jakie osada włościańska, wskutek prawa, obowiązującego ich od uwłaszczenia, przy każdym spadku przechodzi. Usiłują przeto bardzo często przekazać ją jednemu z dzieci nie podzieloną przy spadku <sup>1)</sup>. Ojciec zatem sprzedaje ją (symulacyjnie) za życia jednemu z dzieci, wymawiając sobie dożywotnie utrzymanie, lub bardzo wysokie alimenty. Wobec niestosownego prawa pozostaje jedyna droga, to jest jego obejście; im częściej jednak

<sup>1)</sup> Prace Rady Rolniczej Piotrkowskiej.

ludność prawo pewne obchodzi, tem pewniej wnioskować można, że ono jest wadliwe. Obejście to prawa wywołuje przecież bardzo niepożądane skutki. Inne dzieci nietylko rozumieją, że są skrzywdzone, ale korzystają z jakiegokolwiek nieporozumienia, aby rodziców do siebie przygarnąć i skłonić ich do obalenia zezwanego aktu sprzedaży za pomocą dowodu, że suma nie została wypłaconą. Tego rodzaju zajścia kończą się często przed sądem karnym. Kiedy ojciec nie ma prawa testamentem rozporządzić w sposób zapewniający egzystencję osady włościańskiej, ale musi to wykonać za pomocą aktów *inter vivos*, to dzieci, objąwszy gospodarstwo w posiadanie, korzystają często z jego słabości i zniedołężnienia, żeby go z torbą „na dziady“ z domu wypędzić, lub po prostu głodem i złem obchodzeniem się życie mu skrócić.

Na moje dowodzenie, że prawo spadkowe kodeksu Napoleona zapoznaje naturę własności ziemskiej i jest dla niej szkodliwe, bo ją doprowadza do rozdrobnienia, zadłużenia, lub zbytnej mobilizacji, slyszalem z ust poważnych i wykształconych prawników odpowiedź, że jednak prawem tem kierują się Francuzi, „najznakomitszy naród na świecie“. Zostawiając na boku pytanie, czy jest w ogólności jaki „najznakomitszy naród w świecie“, czy raczej nie ten naród w danej epoce przoduje, którego zdolności, cechy, a nawet wady odpowiadają pewnej historycznej dobie, i czy obecnie narodem tym byłiby Francuzi, jest jednak niewątpliwym faktem, że od pół wieku złe skutki napoleońskiego prawa spadkowego są we Francyi dobrze znane <sup>1)</sup>, że nawet niektórzy badacze depopulację Francyi działaniu tegoż prawa przypisują, chociaż jednak mnie się wydaje, że ono we Francyi tyle szkód, co u nas, nie może przynosić, i dla Francyi jest znacznie stosowniejsze.

Przedewszystkiem wartość ruchomości, suma kapitału jest tak znacznie wyższą we Francyi, niż u nas, że tam sprawa własności rolnej wobec wytwórczości przemysłowej, zarobków handlowych i nagromadzenia kapitałów schodzi na drugi plan. Gdzie obok ziemi znajduje się w spadku wiele wartości ruchomych, tam zawsze dzielić łatwiej. Przy oszczędności i chciwości chłopu francuskiego pytanie jest: ile oprócz własności rolnej było gotówki w późnosze nie-

---

1) Le Playe: „La réforme sociale en France“, rozprawy i publikacje Towarzystwa Société de la réforme sociale.

boszczyka? do niej zwraca się główna pożądliwość sukcesorów? u nas pytać się trzeba: ile na majątku ziemskim jest długów, kapitały rara avis, jeżeli jakie są, z pewnością będą przecenione. Następnie, kiedy u nas wszyscy łakną ziemi, jako głównego źródła krajowego bogactwa, i dążą do rolnictwa, do którego ciągnie chłopa, a uzdolnionym się czuje każdy szlachcic, nie nie umiając, we Francyi skarżą się poważni badacze na dobrowolne opuszczanie pługa i ziemi przez zasobną nawet ludność włościańską, którą ciągną miejskie wygodniejsze warunki życia. Trudno też zaprzeczyć, że w kraju, gdzie przyrost ludności jest bardzo mały, gdzie zatem do spadku po rodzicach zwykle dwoje dzieci przychodzi, spłata współsukcesorów nie jest uciążliwa, nawet gdy niema gotówki w masie spadkowej. Gdzie przyrost jest kilkakrotnie większy, gdzie trzeba dzielić ojcowiznę z czterema, pięcioma, tam równy dział jest uciążliwszy. I to także warte zauważenia, że we Francyi panuje wogólności obyczaj szacowania wszystkich wartości według „renty“, to jest według dochodu, który przynoszą, przeto i ziemia szacowana bywa według renty, przez co staje się zadość najważniejszej zasadzie szacowania własności ziemskiej w działach według wartości dochodowej. Społeczeństwo ukształcone, ekonomicznie rozwinięte, umie niepożądane skutki nieodpowiednego prawa za pomocą ogólnie przyjętego zwyczaju łagodzić.

Francuzi mają rozum dla siebie, my także dla siebie mieć powinniśmy. Prawodawstwa obce poznać trzeba nie dla tego, żeby je bezkrytycznie podziwiać, lub naśladować, ale żeby je porównać z tem, co mamy u siebie. Jest rzeczą łatwo zrozumiałą, że zmiana jakiejś części prawa cywilnego jest sprawą poważną i trudną, a w naszych warunkach może być reformą na gorsze. Jednakowoż żadne prawo bez częściowych zmian długo trwać nie może, zmian tych wymagają i wywołują je konieczne zmienne potrzeby życia. Warunki produkcji rolnej tegoczesnej wymagają specjalnych praw rolnych, zastosowanych do obecnych potrzeb: prawa wodnego, komasacyjnego, melioracyjnego itp. Nasze prawo spadkowe, własności ziemskiej zasadniczo nieodpowiedne, z biegiem czasu nie stało się lepszem <sup>1)</sup>. Przy projektach różnych reform prawnych, przedstawionych przez Rady

---

<sup>1)</sup> Według słusznej rzymskiej zasady: „quod ab initio erat vitiosum tractu temporis convalescere non potest“.

Rolnicze naszego kraju, wydało mi się przeto pożądanem dopuszczenie pewnych wyjątkowych przepisów dla spadków, w których się znajduje własność ziemska.

Zmiany zasadnicze przeto przy postępowaniu spadkowym beztestamentowem wydają mi się niestosowne. Jedyną zasadą prawną, o którą się oprzeć można i należy, to wolność testowania, a zatem za pożądane uważam rozszerzenie części rozporządzałnej. Najstosowniejszym jest sposób rozszerzenia wolności testamentowej, wprowadzony przez nowe ustawy spadkowe niemieckie, to jest nie w celu ułatwienia postronnych legatów, lecz w celu uprzywilejowania jednego dziedzica za pomocą wyrażenia woli testatora w pewnej formie. Najodpowiedniejszą formą jest zeznanie aktu, któryby mógł być wpisanym do księgi hipotecznej. Dopóki włościanie księgi hipotecznej mieć nie będą, do osobnego rejestru (tabeli) osad. Akt ten ze strony spadkodawcy byłby zawsze odwoławny, przez spadkobierców obalonym mógłby być tylko w razie skrzywdzenia o więcej, niż połowę (taką jest granica *portionis legitimae* w innych kodeksach europejskich). Prawo to potrzebnemby było tak dla własności małej, średniej, jak i wielkiej: na korzyść jednego spadkobiercy mógłby być wniesionym akt rozporządzenia cstatniej woli tego rodzaju tylko w jednej księdze hipotecznej, przez co aglomeracja dóbr byłaby wyłączona.

O ile prawo podobne nie byłoby do uzyskania, pozostaje rozszerzać i utrwać w społeczeństwie naszym przekonanie, że szacowanie majątków ziemskich w spadku według ceny sprzedażnej doprowadza własność ziemską i rolnictwo do upadku. Widzimy majątki ziemskie, które przez wiele generacji utrzymały się w rodzinie, a w kilka lat po tego rodzaju działach spadkowych rozpadły się i zmarniały.

Żeby na tem miejscu powstawały mniejsze jednostki gospodarcze, zdolne do samodzielnego życia i odpowiedniej rolnej wytwórczości, możnaby to uważać za pożądany a naturalny skutek przyrostu ludności i przemiany ekonomicznych stosunków. Ale na tem miejscu powstają najczęściej drobne działki, które pod względem produkcyjnym i cywilizacyjnym wytwarzają nie postęp, lecz upadek; właściciele ich dzielą się nadal, aż dochodzą wszyscy do zupełnego ubóstwa. Naturalnemu i pożytecznemu podziałowi ziemi rozszerzenie wolności testamentowej i odpowiednie oszacowanie nieruchomości rolnych w spadku nie przeszkodzi, podział ten odbywałby się jednak normalnie, nie pod naciskiem krytycznego położenia przy każdym spadko-

braniu. W warunkach, dziś w Królestwie Polskiem istniejących rozdrobnienie i zadłużenie ziemi jest objawem naturalnym, choć ani pożądanym, ani nieuchronnym. Ten stan rzeczy nie jest nieuchronnym, bo można mu przeciwdziałać, każdy przeto w swoim zakresie przedsiębrać może dostępne mu środki. To także starałem się wykazać.

FRANCISZEK GÓRSKI.



# Pierścień Saturna.

---

## I.

Dziwne i niespodziane rzeczy zobaczył Galileusz, gdy w początku wieku siedemnastego zwrócił na niebo skromną swą lunetę pierwotną, która nam teraz jedynie jako lornetka teatralna służy. Odkrył góry na księżycu i plamy na słońcu, blask jednostajny drogi mlecznej rozwiązał się na zbiorowisko gwiazd drobnych i nieprzeliczonych, Wenera ukazała zmiany swej postaci, jakby fazy księżyca naśladowała, a cztery gwiazdy medycejskie, czyli księżyce Jowisza, dały mu argument potężny na poparcie nauki Kopernika.

Śród wszystkich tych wszakże odkryć uderzających zdumienie największe sprawił mu Saturn, a jakby własnym swym oczom nie ufał, zanim pierwsze swe dostrzeżenie dalszemi upewnił obserwacjami, wyraził je tymczasowo anagramem, przesłanym w 1610 roku Keplerowi:

„Smais mr mil me poeta levmibvnenvgtta viras“.

Anagramy takie były w zwyczaju uczonych ówczesnych, osłaniali nimi bowiem odkrycia swoje, które przed ogłoszeniem pragnęli ściślejszym poddać badaniom; zapewniali sobie tym sposobem prawo pierwszeństwa, jak dziś wiadomości podobne składają się w koperkach zapieczętowanych akademiom. Znaczenie swego anagramu wyjaśnił Galileusz później; było to przestawienie głosek zdania:

„Altissimum planetam tergeminum observavi“, co znaczy, „Planetę najdalszą trójdzielną widziałem“.

Najdalszą tą planetą, jak za czasów Hipparcha i Ptolemeusza, był jeszcze Saturn; Urana odkrył dopiero Herschel w 1781, a istnieje-

nie Neptuna wykazał Leverrier w 1846. Ten Saturn więc, który oku nieuzbrojonemu przedstawia się jako gwiazda pierwszej wprawdzie jeszcze wielkości, ale blaskiem swym znacznie ustępuje najjaśniejszym gwiazdom nieba, wydał się Galileuszowi gwiazdą trójdzielną, z trzech części złożoną,—obok większej tarczy środkowej, po obu jej stronach widział dwa kółka mniejsze. Zdziwił się jednak bardziej jeszcze, gdy po dwuletniej obserwacji, w roku 1612, boczne te dodatki znikły zupełnie, a Saturn stał się krążkiem pojedynczym, jak wszystkie inne planety. Przypuszczał wtedy Galileusz, że poprzednie jego dostrzeżenia mogły być mylne, spowodowane błędami i brakami jego lunety; ale gdy po kilku latach planeta w innej jeszcze ukazała mu się postaci, jakby wydłużonemi i wązkimi ramionami opatrzona, tak go te mniemane złudzenia zraziły, że podobno nigdy już potem spojrzeć nie chciał na Saturna. Ciężkie zresztą koleje jego życia oraz choroba oczu, która się zupełnem zaniewiedzeniem skończyła, rychło kres obserwacyom jego astronomicznym położyły.

Już jednak najbliżsi następcy Galileusza, astronomowie pierwszej połowy siedemnastego stulecia: Scheiner, Gassendi, Heweliusz, Riccioli, nieco lepszymi opatrzeni lunetami, przekonali się, że osobliwa postać Saturna nie jest bynajmniej złudzeniem, a w różnych czasach planeta ta rzeczywiście w rozmaitej ukazuje się formie. Na rysunkach owoczesnych widzimy ją najczęściej w postaci kuli, posiadającej po obu stronach wyrostki podobne do rękojeści półksiężycowych, które wszakże rozwartość mają zmienną, a niekiedy zwięzają się tak dalece, że tworzą tylko przysadki linijne.

Zagadkę tych uderzających przeobrażeń rozwikłać zdołał dopiero Huygens, który tak potężnie przyczynił się do budowy fundamentów nauki nowoczesnej. W r. 1655 widział on Saturna z wązkimi po obu stronach ramionami, które znikły zupełnie w początkach roku następnego, a planeta wydała się dokładnie okrągłą, jak ją obserwował Galileusz w roku 1612. Po upływie jednak kilku miesięcy ramiona wróciły znowu, a wtedy w umyśle jego rozwiązanie zadania odrazu zabłysło. Oczekując jednak potwierdzenia od dostrzeżeń dalszych, podobnie jak Galileusz, pogląd swój rozesłał zaprzyjaźnionym astronomom w formie anagramu, zamieszczonego na końcu niewielkiej rozprawy, jaką w tym czasie ogłosił o odkryciu pierwszego satelity Saturna. Anagram ułożony był w porządku alfabetycznym głosek:

aaaaaa cccce d eeeee g h iiiiii llll mm nnnnnnnn oooo pp q rr  
s tttt uuuu,

co po należytem ich rozstawieniu znaczyło:

„Annulo cingitur, tenui, plano, nusquam coherente, ad eclipticam inclinato“.

W treściwym tym i dokładnym opisie całe zjawisko zagadkowe zyskało wyjaśnienie zupełne: Jest to pierścień cienki, płaski, planetę swobodnie otaczający i pochylony względem drogi, po której ziemia krąży.

Po tem wyjaśnieniu pojmujemy już łatwo, skąd w widoku planety tak uderzające zachodzą przeobrażenia, są to bowiem tylko kolejne fazy czyli odmiany, zależne od położenia pierścienia względem ziemi i słońca. Dzieje się tu jak z kartką papieru, którą na wysokości oka trzymamy, jeżeli jej rozmaite nadajemy pochylenia. Gdy płaszczyzna pierścienia przechodzi przez ziemię, czyli przez oko obserwatora ziemskiego, widzieć możemy jedynie wązki jego brzeg, który tworzy wtedy smugi prostolinijne po obu stronach planety; z powodu wszakże nieznacznej grubości pierścienia, która zapewne dwustu kilometrów nie przechodzi, wązkie te smugi przez lunety słabe zgoła dostrzedz się nie dają. W podobnej wszakże fazie ukazuje się nam też planeta, gdy płaszczyzna pierścienia przez słońce przechodzi, wtedy bowiem oświetlony jest tylko brzeg jego, inne zaś jego strony, w ciemnościach pograżone, są dla nas niewidoczne. W położeniach natomiast pośrednich, gdy płaszczyzna pierścienia jest względem ziemi pochylona, widzimy pierścień otwarty mniej lub więcej, a to zależnie od stopnia tego pochylenia; przytem ukazuje się nam naprzemian powierzchnia jego północna i południowa, podobnie jak karty przed oczyma pochylonej dostrzegamy kolejno stronę górną i dolną.

Pierścien Saturna jest dziś powszechnie znany, choćby z rysunków, które się łatwo nastroczą. Widok ten budzi zaciekawienie każdego. Co znaczy ten utwór osobliwy, jedyny w całym układzie słonecznym, jak utrzymuje się w równowadze ta obręcz zdumiewająca, opasująca dokoła planetę, nigdzie jej nie dotykając? Zanim jednak pytanie to rozbierzemy, przyjrzyjmy się choć pobieżnie i samej planecie.

## II.

Oku nienzbrojonemu przedstawia się Saturn, jako gwiazda żółtawa, połyskująca światłem spokojnem, jakby matowem, a chociaż jasnością ani w części nie dorównywa Wenerze lub Jowiszowi, zaliczyć go jeszcze można do gwiazd pierwszej wielkości. Blask ten zresztą jest nieco zmienny, zależnie od niejednakiej zawsze jego od nas odległości, a również i od obfitości światła, jaką nadsyła nam pierścień, w różnych czasach rozmaicie ku nam pochylony. Przesuwają się między gwiazdami nader opieszale, w ciągu bowiem całego roku przebiega zaledwie 13 stopni, takąż samą drogę w mierze kątowej, jaką księżyc nasz przez jedną dobę zakreśla, z czego już wypada, że na obieżenie pełnej swej drogi dokoła słońca tyleż lat łoży, ile dni księżyc na okrążenie ziemi potrzebuje. Kończy zatem pełną swą wędrówkę wokoło słońca dopiero po upływie 29½ lat, a przeciąg ten czasu wiąże się ze znaczną odległością Saturna od słońca, jest bowiem od niego dziesięć prawie razy bardziej oddalony, aniżeli ziemia nasza. Słońce, z Saturna widziane, wydaje się kręgiem sto razy mniejszym, aniżeli mieszkańcom ziemi, i w tymże samym stosunku słabiej go oświetla i ogrzewa. Wielkością wśród wszystkich planet Jowiszowi tylko ustępuje, a w zestawieniu z ziemią istnym jest olbrzymem, siedemset bowiem prawie razy przewyższa ją swoją objętością; pomimo wszakże wymiarów tak wielkich waży dziewięćdziesiąt tylko razy więcej, aniżeli ziemia, ze wszystkich bowiem planet ma gęstość najmniejszą, jest lekki, jak korek. Natomiast wiruje dokoła swej osi daleko szybciej, aniżeli ziemia, doba jego trwa bowiem dziesięć godzin naszych, a stąd też i daleko znaczniejsze posiada spłaszczenie podbiegunowe.

Z podobną dokładnością, jak o stosunkach matematycznych Saturna, o jego budowie fizycznej mówić nie możemy. Im przedmiot bardziej jest od słońca odległy, tem słabiej jest oświetlony, a im dalej od ziemi przypada, tem wydaje się mniejszym; z obu tych powodów rozpatrywanie planet dalekich nastrocza trudności wielkie. Już słaba gęstość Saturna świadczy, że naprożno upatrywalibyśmy w nim analogii do ziemi naszej; olbrzymia ta masa nie jest to zapewne bryła skorupą zakrzepłą ujęta, ale raczej potężna powłoka par i gazów zgęszczonych, utworów obłokowatych, otaczających jądro wewnętrzne, niewielkie stosunkowo, może niezastygłe jeszcze zupełnie. Tak

przynajmniej sędzić należy o Jowiszu, który nam lepiej jest znany, a powierzchwie obu planet przedstawiają niejakię między sobą podobieństwo. I względy zresztą teoretyczne wykazują, że wnętrze obu planet posiada gęstość znacznie większą, aniżeli warstwy ich wierzchnie, co z poglądem powyższym dobrze się zgadza.

W wędrówce swej dokoła słońca prowadzi Saturn liczny orszak ośmiu księżyców, posiada ich zatem więcej, aniżeli którakolwiek inna planeta. Pierwszy z tych księżyców, jak wspomnieliśmy wyżej, odkryty został przez Huygensa w roku 1655; ponieważ obok księżyca ziemskiego i czterech księżyców Jowisza, przez Galileusza odkrytych, był to księżyc szósty w całym układzie słonecznym, a znanych było wówczas także sześć planet, wyobraził sobie Huygens, że odkryciem tem uzupełnił system słoneczny, przypisując mu liczbę trabantów jednaka z liczbą planet. Uprzedzenie to zapewne powstrzymało go od poszukiwań dalszych, ale wkrótce potem Cassini, w ciągu lat 1671—1684, odkrył jeszcze cztery księżyce Saturna. Dwa następne zobaczył dopiero Herschel po upływie stulecia, w roku 1789, a ostatni wreszcie dostrzeżony został w roku 1848, prawie jednocześnie przez Bonda i Lessella. Rozmieszczone są w różnych oddaleniach od planety; najdalszy przypada w odległości przechodzącej sześćdziesiąt razy promień Saturna, stosunkowo zatem również daleko, jak nasz księżyc od ziemi. Wymiarów satelitów Saturna dokładnie oznaczyć nie zdołano; w każdym razie, odpowiednio do ogromu planety, nie są to bryły wielkie; największy z nich nawet, Tytan, księżyc naszego może nie przerasta.

Liczny ten zastęp księżyców, rozrzuconych w różnych swych fazach jednocześnie na nocnym niebie Saturna, wynagradza mu dnie mroczne i ponure, dalekiem słońcem słabo zaledwie rozjaśnione. Okazłość zaś widoku podsyca smuga błyszcząca pierścienia, rozciągająca się ponad równikiem planety i przebiegająca niebo od wschodu ku zachodowi, widzialna jest wszakże z ograniczonej tylko części jej powierzchni. Przedewszystkiem nie znają zgoła pierścienia okolice podbiegunowe Saturna, unosi się on bowiem niezbyt wysoko ponad równikiem i kryje pod poziomem stron dalekich. Ukazuje się dopiero w szerokościach niedochodzących 63°, ale i tam widzialny jest tylko w ciągu półrocza letniego, słońce bowiem oświetla naprzemian jego stronę północną i południową. Gdy w pozornej swej wędrówce z północy na południe i z południa na północ słońce przejdzie za równik, łuk pierścienia gaśnie na niebie natychmiast dla półkuli, której dotąd przyświecał, by zabłysnąć jej znowu z brzaskiem wiosny, co wszakże następuje dopiero po upływie naszych lat piętnastu. Podczas miesięcy zimowych pierścień przedstawia swą powierzch-

chnię ciemną i jest w nocy niewidzialny, a obecność swą ujawnia jedynie brakiem gwiazd w pasie, który przysłania; w ciągu zaś dnia nieraz zapewne kryje się słońce poza tą arkadą olbrzymią, co sprawdza często długotrwałe zaćmienia, a w niektórych okolicach Saturna gwiazda dzienna przez długie okresy zgoła się nie ukazuje. Dla planety zatem dodatek taki bynajmniej się pożądanym nie wydaje i możemy być zadowoleni, że zdążyła go tylko obserwujemy.

### III.

W miarę, jak wzrastała potęga lunet, szczegóły pierścienia ujawniały się wyraźniej. W roku 1665 dostrzegł Ball przebiegającą wzdłuż jego powierzchni czarną smugę, a w kilka lat później przekonał się Cassini, że występuje tu podział istotny, rozgraniczający dwa oddzielne pierścienie współśrodkowe. Obecnie niewielka już luneta ukazuje ten przedział w skrajnych przynajmniej częściach pierścienia, na całej jednak długości śledzić mogą jego pasmo jedynie lunety potężne w sprzyjających warunkach pogody. Z ogólnej szerokości obu pierścieni przypada na tę przerwę zaledwie część piętnasta, wynosi bowiem 3100 kilometrów, gdy szerokość pasa zewnętrznego czyni 16,600, a wewnętrznego 29,700 kilometrów; od powierzchni Saturna jest ten ostatni oddalony o 27,600 kilometrów, co wyrównywa niespełna połowie promienia planety. W różnych zresztą czasach różni obserwatorowie dostrzegali inne jeszcze przedziały, zwłaszcza w pierścieniu zewnętrznym; jeżeli przerwy takie istnieją rzeczywiście, są to zapewne utwory przechodnie, które niekiedy powstają i znowu giną, prawdopodobnie jednak były to objawy pozorne, z dostrzeżeń błędnych wynikające.

Odstęp między pierścieniem a powierzchnią planety nie jest wszakże pusty, ale zajęty jest przez trzeci jeszcze pierścień, wewnętrzny, daleko słabiej od pierścieni zewnętrznych świecący i dla tego pierścieniem ciemnym nazwany. Widział go najpierw Galle w r. 1838, ale opisy jego nie są dosyć jasne i stanowcze, dostrzeżenia dopiero jednoczesne Bandta w Ameryce i Dawesa w Anglii 1850 roku, wykazały obecność niewątpliwą trzeciego pierścienia, który tak jest przejrzysty, że brzeg planety daje się skroś niego wyraźnie dostrześć. Prawdopodobnie też niema rozgraniczenia ścisłego między tym pierścieniem ciemnym a pierścieniem jasnym i niepodobna wskazać

dokładnie, gdzie się jeden kończy, a drugi zaczyna. Być więc może, że pierścień ciemny narasta kosztem wewnętrznego pierścienia jasnego, albo nawet z niego się rozwinął dopiero w ciągu ostatnich lat dwustu. Domyśl ten mógłby tłumaczyć, dla czego nie pozostawili o nim wzmianki astronomowie dawniejsi, choć narzuca się wyraźnie oczom obserwatorów. Kres jego wszakże nie daje się dokładnie uchwycić, sięga mniej więcej do połowy odstepu, dzielącego pierścień jasny od planety.

Niejednokrotnie dostrzegano na pierścieniu plamy, a ze zmian, w ich położeniu zachodzących, wniesiono już w początkach wieku osiemnastego, że pierścień wiruje dokoła środka planety; dokładnych rezultatów spostrzeżenia te nie wydały, przeważna jednak liczba obserwatorów przyjmuje, że na dokonanie pełnego obrotu pierścień łoży około 10 $\frac{1}{2}$  godziny.

#### IV.

Legenda mahometańska, która zresztą jest może tylko bajką w Europie skomponowaną, opowiada, że trumna żelazna proroka unosi się w powietrzu, między dwoma magnesami zawisała. Dla wiernego muzułmanina jest to może objaw cudowny, my wszakże nie mamy obowiązku wierzyć cudom proroków obcych, w tak osobliwym osadzeniu trumny żelaznej nie widzimy zgoła objawu nadprzyrodzonego, dwa bowiem magnesy jednakiej mocy ciągną ją w strony wręcz przeciwne, a pod wpływem ich współdziałania trumna utrzymuje się w równowadze. Jeżeli nas co w opowiadaniu owem zdumiewa, to chyba trudność wyszukania dwu magnesów potężnych, tak doskonale wyrównanej mocy.

Dzisiejsze nasze sposoby wyrabiania magnesów sztucznych mogłyby dozwolilyby otrzymać dwa magnesy zupełnie jednakie, naprzęd jednak usiłowałibyśmy zawiesić między niemi drobną nawet igłę stalową. Chociażby się zdołała przez krótką chwilę w równowadze utrzymać, byłaby to w każdym razie równowaga chwiejna, niestała, a najdrobniejszy już ruch zewnętrzny, powiew najslabszy, odchyliłyby ją natychmiast z tego położenia i na jeden lub drugi magnes przeczucił. Trwałość i bezpieczeństwo jedynie tylko równowaga staczerca zapewnić może.

Pierścień jednak Saturna utrzymuje się trwale w położeniu niemię osobliwym, anizeli bajeczna trumna Mahometa, bujając swobodnie dokoła planety i nigdzie się na niej nie wspierając. Jakżeż się dzieje, że w warunkach tak niezwykłych równowaga stateczna zachować się może?

W ciągu dwu stuleci po odkryciu pierścieni Saturna astronomowie pytania tego nie podejmowali zgoła; podziw ich budził sama forma swoją ten jedyny w całym układzie słonecznym towarzysz kołowy planety, ale w swobodnem jego zawieszeniu trudności mechanicznych nie dostrzegali. Laplace dopiero, w wielkim swym traktacie mechaniki nieba, zajął się rozbiorem tego zagadnienia, ale rezultat jego badań okazał się zgoła niespodziewany; świadczył, że otaczający planetę pierścień jednorodny i jednostajny w równowadze statecznej utrzymywać się nie może, stan taki ulegałby bowiem zakłóceniu pod wpływem najslabszej siły zewnętrznej. Przyciąganie sąsiedniego księżyca lub planety odległej musiałoby go wytrącić z położenia pierwotnego; środek pierścienia oddalałby się wciąż od środka planety, aż wreszcie pierścień opadłby na jej powierzchnię i z nią się zespolił. Z tych wywodów teoretycznych wypływa zatem, że pierścień Saturna nie może być to obręcz na całej swej rozległości jednolita, o ileby wszakże do utrwalenia równowagi mogły się przyczynić pewne nieregularności budowy, tego Laplace nie rozbrał bliżej. Silniejsze zagęszczenia, jakie dostrzegali w niektórych miejscach Herschel i inni obserwatorowie, nie przedstawiają znaczenia większego.

Wspomnieliśmy wyżej, że w różnych czasach widziano w pierścieniu przerwy chwilowe, które powstawały i znowu znikwały; dostrzeżenia te nie są wprawdzie dostatecznie pewne, niektórzy jednak astronomowie ukazywanie się takich przerw znikomych uznali za dowód ciekłego stanu pierścienia, ale trudności okazały się tegoż samego rodzaju, co w rachunkach Laplace'a; podobnie jak pierścień stały, tak też i ciekły nie mógłby się utrzymać bez współdziałania siły zewnętrznej. Kwestya więc pozostała nierozstrzygniętą, a obrót pierścienia wydawał się nadal tak zagadkowym, jakby na Saturnie rządziły prawa ruchu z zasadami mechaniki naszej niezgodne; rozjaśnienia doczekała się cała ta sprawa dopiero w r. 1857, gdy zajął się nią Clerk Maxwell, profesor w Cambridge, który potem silniej jeszcze utrwalił pamięć swą w dziejach nauki przez powiązanie teorią wspólną objawów światła i elektryczności.

Badania swe nad ruchem Saturna rozpoczął Maxwell od punktu, na którym je pozostawił Laplace, a mianowicie oznaczył wielkość masy, jaką należałoby przyczepić do pierścienia stałego i jednolitego,



by zapewnić ruch jego stateczny dokoła planety. Bez dokładnego uzasadnienia rachunkowego wydaje się wprawdzie rzeczą niepojętą, jak przywieszenie ciężaru ocalić może pierścień od upadku, ale podobny poniekąd objaw przedstawia nam figurka, która stoi i kołysze się bezpiecznie, dopóki dźwiga równoważące ją kule, pada zaś natychmiast po ich odjęciu.

Bryła wszakże, któraby podobne zrównoważenie dawała pierścieniowi, dokoła planety wirującemu, musiałaby go masą swoją, ciężarem,  $4\frac{1}{2}$  raza przechodzić, a wtedy nie byłby to już pierścień samodzielny, ale raczej księżyc wielki, lekkim stosunkowo pierścieniem opatrzony. Podobnej niejednostajności w budowie pierścieni Saturna szczególnie żaden bynajmniej nie okazuje, jest przeto rzeczą ze względów teoretycznych nader nieprawdopodobną, by z materiału stałego mogły być utworzone.

Hypoteza ta nadto wydać się musi niedorzeczną, jeżeli olbrzymie wymiary pierścieni zestawimy z nieznaczoną ich grubością, nie mogłyby się bowiem oprzeć potężne siły na nie działających i w stanie stałym pozostać. Chociażby z żelaza utworzone były, doznawałyby ciągłych przeinaczeń swej postaci, jak masa miękka i plastyczna; odkąd zaś wiemy, że wszystkie bryły układu słonecznego z jednakich złożone są pierwiastków, nie mamy zasady do przypuszczeń, by pierścienie Saturna ukute były z materiału oporniejszego i wytrzymalszego. Podobnie ocalić się nie da i domysł stanu ich ciekłego, pod wpływem bowiem przyciągania okolic gęstszych i bardziej skupionych dążyłyby tam ruchome części ze stron dalszych; tem samem niweczyłoby się pierwotne obciążenie ustalone, które było warunkiem równowagi statecznej, a wreszcie pierścień straciłby swą ciągłość i rozproszył w zbiorowisko drobnych i oddzielnych części.

W takim właśnie rozproszeniu materji pierścienia mieści się rozwiązanie jego zagadki. Już Dominik Cassini, w początkach wieku siedemnastego wyobraził sobie pierścień Saturna, jako zbiorowisko satelitów zbyt drobnych, by mogły być oddzielnie przez lunetę widziane, a zbyt blizkich, by odstępów ich dojrzeć się dały. Dawny ten pogląd, o którym zresztą zapomniano, Maxwell rozwinął i uzasadnił. Pojmujemy łatwo, że rozpatrzenie biegu takiego roju satelitów przedstawia trudności niesłychane, każdy z nich bowiem przyciągany jest przez bryły sąsiednie, zarówno jak i przez planetę, wszystkie zaś pozostają w ruchu, skąd uporządkowanie ich ciągłej ulega zmianie. Zadanie wszakże tem się ułatwia, że nie idzie tu przecież o znajomość ruchu każdej bryły oddzielnie, ale jedynie o rozpoznanie efektu ogólnego, czy pomimo wiru drobiazgów utrzymują się warunki trwałości całego roju pierścieniowego. Rezultat rachunku okazuje

się korzystnym dla tego poglądu. Jeżeli są to satelity jednakiej wielkości, każdy z nich, biorąc udział w ruchu ogólnym, kołysze się nadto w jedną i w drugą stronę przypadającego mu stanowiska; stąd w każdej chwili satelity w jednych miejscach skupiają się gęściej, w innych rozsuwają się między sobą, a fale tych zagęszczeń i rozrzedzeń rozprzestrzeniają się po wirującym pierścieniu, w podobny sposób, jak to się dzieje w drgającym słupie powietrza, w fujarce zamkniętym.

Niepodobna wprawdzie przypuszczać, by to zbiorowisko drobnych setelitów składało się z brył jednakiej wielkości, ale zastrzeżenie to okazuje się zbyt czynnem, jeżeli bowiem satelity nie są między sobą równe, fale nie biegną już tak prawidłowo jedno po drugim, jak w przypadku poprzednim, ale również nie prowadzą do wzrastającego wciąż bezładu, nie sprowadzają zamętu zagrażającego pierścieniom zagładą. Według tego należy przyjąć, że pierścienie składają się z cząstek rozproszonych, które się poruszają z prędkością różną, zależną od ich odległości od planety. Zapewne, bryły tak samopas biegnące narażone są na częste starcia, na potracania się wzajemne, których następstwa, same przez się drobne i nieznaczne, sumują się jednak i narastają zwolna do potęgi groźnej dla całości systemu. Tą drogą wszakże przygotowujące się zniszczenie pierścienia obejmuje długi okres astronomiczny, wobec którego stulecie i tysiącolecie nasze nikłemi tylko stają się chwilami. Zresztą, w tym biegu bezładnym cząstek rozrzuconych wytwarza się może dążność do uporządkowania w szereg pierścieni współśrodkowych; w takim razie słabnie sposobność uderzeń wzajemnych, a trwałość systemu znacznie się wzmacnia.

Brył oddzielnych, z których się pierścień składa, rozróżnić nie możemy; porównać je można do drobnych kropeł wody, tworzących mgłę lub chmurę, naprzód jednolitą i ciągłą zupełnie.

Pierścień jednak wewnętrzny świeci o wiele słabiej, aniżeli oba pierścienie skrajne, i wydaje się ciemnym stosunkowo; pochodzi to stąd zapewne, że unoszące się w nim cząstki zbyt są między sobą oddalone, by odbite od nich promienie słoneczne jasność dawały dostateczną. O znacznym ich rozproszeniu świadczy nadto przezroczystość promienia ciemnego, jak już bowiem nadmieniliśmy wyżej, nie zasłania on bynajmniej brzegu tarczy Saturna.

Gdyby promienie przebiegały przez atmosferę gazową, ulegałyby w niej załamaniu, a brzeg planety ukazywałby się poszarpany lub w jakikolwiek inny sposób przeinaczony; ponieważ wszakże żadna podobna zmiana nie zachodzi, znaczy to, że promienie nie przedzie-

rają się przez jakikolwiek środek łamiący, ale znajdują przejście w odstępach między bryłami, z których jest pierścień złożony. Jest to więc jakby potwierdzenie optyczne poglądu, przypisującego pierścieniowi budowę złożoną z cząstek rozdzielonych i wzajemnie niezależnych. W promieniach zewnętrznych, gdzie cząstki są bardziej skupione, a odstępy między nimi mniejsze, promienie światła nie napotyka już dróg równie otwartych i przedostać się nie mogą.

W teorii tej znajduje wyjaśnienie nawet wielka przerwa, rozdzielająca oba pierścienie jasne. Jeżeli bowiem składają się z drobnych brył, obiegających planetę po drogach własnych, to drogi te ulegać muszą zakłóceniom pod wpływem księżyców Saturna, działanie zaś to najsilniej wywierać się musi na bryły, których czas obiegu pozostaje w stosunku jaknajprostszym do czasu obiegu któregośkolwiek z tych księżyców, a tak się właśnie dzieje w tej odległości, gdzie wielka przerwa pierścieni przypada. W okolicy tej przeto drogi satelitów drobnych najłatwiej ulegały przeinaczeniom, satelity nie mogły tu pozostawać trwale i wytrącone stąd wreszcie zostały.

Co nas najbardziej w widoku pierścienia Saturna uderza, to jego postać niezwykle, wyjątkowa, w układzie słonecznym jedyna; jeżeli w nim jednak dostrzegamy rój nieprzejrzanego mnóstwa satelitów drobnych, wyłączość ich ginie, znajdujemy bowiem utwory tegoż samego rodzaju w rojach meteorytów, które po drogach wydłużonych krążą dokoła słońca i zarzucają atmosferę naszą gwiazdami spadającymi, gdy ziemia w rocznej swej wędrówce na swym torze je napotyka. Odrębność ogranicza się może tylko do gęstości skupienia. Niemniej wybitną analogię nastęrczają i drobne planety, biegnące dokoła słońca szerokim pasem pomiędzy Marsem a Jowiszem; potężne teleskopy ukazały nam ich dotąd pół tysiąca prawie, niewątpliwie jednak daleko liczniejsze są w tym pasie planety tak drobne, że dla najsilniejszych nawet przyrządów optycznych na zawsze utajone pozostaną.

Pierścienie planet, księżyców, meteorytów nie są to utwory przypadkowe, osobliwe igraszki przyrody, ale stanowią zapewne ogólną prawidłową w wielkiej budowie wszechświata.

## V.

Jak widzieliśmy dotąd, teoria budowy pierścieni Saturna z cząstek rozdzielonych w tem głównie poparcie swe miała, że obręcz jednolita, stała lub ciekła, nie mogłaby się w równowadze dokoła planety utrzymać. Do podobnegoż wszakże wniosku prowadzi względ inny jeszcze, również z zasad mechaniki wypływający: że w tak blizkiem sąsiedztwie planety, w jakim się pierścienie mieszczą, nie mógłby przetrwać w całości istotny, wielki jej księżyc. Aby to uzasadnić, odwołać się nam należy do przyływów i odpływów morskich.

Przyływy i odpływy, jak wiadomo powszechnie, dziełem są księżycy przeważnie; słońce ma w tym razie znaczenie podrzędne, z powodu bowiem znacznej swej odległości od ziemi jednakie prawie przyciąganie na różne jej okolice wywiera, gdy natomiast poblizki księżyc znacznie silniej pociąga zwrócone ku niemu wody oceanu, aniżeli wody w tejże chwili po przeciwległej stronie ziemi przypadające, a ta właśnie różnica fale przyływu i odpływu powoduje. Podobnież wszakże, jak księżyc na ziemię, oddziaływa też ziemia na księżyc, dla większej swej masy znacznie nawet silniej, a w czasach, gdy zakrzepły i zamarły teraz nasz towarzysz pokryty był wodą, albo raczej, gdy jeszcze ognisto płynną bryłę tworzył, na powierzchni jego podnosiły się potężne i burzliwe fale przyływu. Ponieważ zaś księżyc w ten sposób dokoła swej osi wiruje, że ku ziemi wiecznie jedną i tą samą swą stroną zwraca, fala przyływu utrzymywała się na nim nieruchomo, utrwalała się i utworzyła wydłużenie, nadała równikowi jego postać eliptyczną. Objawy te nie naszego tylko tyczą się księżycy, w ten sam sposób wirują niewątpliwie i księżyce inne, jeżeli dostatecznie są do planet swych zbliżone, podobnemuż tedy przeinaczeniu swej postaci ulegać muszą; w miarę zaś, jak księżyc coraz bliżej planety przypada, wydłużenie jego wzrasta w szybkim bardzo stosunku, aż wreszcie następuje kres, gdy księżyc ulega doszczętnie przemożnemu działaniu niweczącej go planety, zostaje rozerwany na strzępy i rozpada się na okruchy. Dopiero, gdy bryły są tak drobne, że raczej głazami, aniżeli satelitami nazwane być mogą, spójność ich oprzeć się może szarpiącym siłom planety.

Granica krytyczna, której księżyc pod grozą zagłady przekroczyć nie może, przypada w każdym razie bardzo blisko planety,

według obliczeń Edwarda Roche, w oddaleniu zaledwie dwu lub trzech jej promieni od jej środka; drobne różnice zależą od stosunku, jaki zachodzi między gęstością planety i księżyc. Jeżeli są to bryły gęstości jednakiej, księżyc nie mógłby już krążyć bezpiecznie w obrębie koła, zatoczonego promieniem 2.44 razy większym od promienia planety; gdy księżyc ma gęstość mniejszą, koło to nieco się rozsuwa. Nasz księżyc posiada gęstość słabszą, aniżeli ziemia, w stosunku 5 : 8, a granica krytyczna rozciąga się dla niego w oddaleniu 2.86 promienia ziemskiego; gdyby więc przesunięty został na odległość 17,600 kilometrów od środka ziemi, musiałby się w gruzy rozsypać. Pozostaje wszakże w odległości bez mała 400,000 kilometrów, jest więc pod tym względem dobrze zabezpieczony.

W całym układzie słonecznym dwa tylko księżycy przebywają w takim obszarze niebezpieczeństwa, a mianowicie Fobos, drobnutki księżyc Marsa, i niedawno odkryty piąty czyli najbliższy księżyc Jowisza, odległości ich bowiem od środków planet nie dochodzą trzykrotnej długości promieni tych planet. Nie znamy wszakże ich gęstości, a tem samem obliczyć nie możemy dokładnie, gdzie kończy się możność ich istnienia. Jeżeli pokolenia przyszłe widzieć ich już nie będą, wniosą stąd, że księżycy te wtrącone zostały pod wpływem pewnych zawiązków w zakres koła fatalnego, gdzie kres bytu swego znalazły.

To wszakże stać się już mogło w układzie Saturna. Odległość skrajnego brzegu pierścienia przenosi zaledwie 2.2 razy długość promienia planety, pierścień więc przypada całkowicie w obrębie niebezpieczeństwa; jeżeli znajdował się tam księżyc, rozpaść się musiał na okruchy, z których się pierścienie wytworzyły. W każdym razie układ Saturna przedstawia w świecie słonecznym przykład jedyny, gdzie satelity krążą tak blisko planety, że materya istnieć tam może jedynie w stanie rozproszenia. I ta więc teorya, jak widzimy, prowadzi do wniosku, że pierścienie składają się odłamków, z części rozproszonych.

Badania swoje ogłosił Roche w r. 1848, na dziesięć lat zatem przed Maxwellem; nie zwrócili wszakże wtedy uwagi i przeszły niepostrzeżone. Później dopiero oceniono doniosłe ich dla fizyki kosmicznej znaczenie.

## VI.

Teorya każda, chociażby dobrze ugruntowana i dokładnie rozwinięta, zyskuje potwierdzenie wtedy dopiero, gdy wnioski z niej wysnute okazują się zgodne z dowodami widocznymi, z doświadczeniem i obserwacją.

Teoryi pierścieni Saturna dowodów takich brakło, najpotężniejsze bowiem nawet teleskopy nie mogły jednolitego ich pasma na części składowe rozwiązać. Możemy wszakże żądania nasze w odmienny sposób sformułować. Gdybyśmy wykazać mogli, że każda część stałego na pozór pierścienia obiega drogę swą z prędkością różną, zależną od odległości w jakiej od środka planety przypada, byłoby to świadectwo wyraźne, że pierścień składa się z cząstek oddzielnych, z brył rozproszonych, w całość spójną między sobą nie związanych. Pożądane to świadectwo posiadamy już obecnie; złożyć je zdołał spektroskop, czyli przyrząd służący do rozpatrywania widm ciał świecących, a któremu astronomia tyle już wielkich usług zawdzięcza. Aby jednak rozumieć, w jaki sposób widmo ciała świecącego ruch jego ujawnić nam może, zboczyć musimy do analogii, jaka zachodzi między objawami światła i głosu.

Światło, podobnie jak głos, jest objawem drgania. Jak struna brząca pozostaje w ciągłym drganiu, które się nawet dostrzedz daje, tak też cząstki ciała świecącego ulegają żywemu niesłuchaniu ruchowi, dla nas wprawdzie niewidzialnemu, co się wszakże dostatecznie tem po prostu tłómaczy, że ani drobnych tych cząstek, ani odstępów między niemi nie widzimy. Dopóki drgania struny są bardzo powolne, nie sprawiają wrażenia głosu; przy 30 drganiach na sekundę słyszymy ton nader niski, który się podwyższa w miarę, jak szybkość drgań wzrasta; przy 4,000 drgań następuje kres tonów używanych w muzyce, a przy 40,000 drgań na sekundę przestajemy je słyszeć. Jest to granica drgań głosowych, a wysokość tonu jedynie od szybkości ich zależy.

Podobnie zachowują się i ciała świecące. Cząstki wszystkich ciał pozostają w ruchu niewypowiedzianie żywym, wykonując w ciągu sekundy całe tryliony drgań. Dopóki liczba ta nie

przechodzi 200,300,400 trylionów drgań, ciało nie świeci, ruch ten objawia się wszakże wysyłaniem promieni ciepła; gdy szybkość wzrasta i dochodzi 430 trylionów drgań na sekundę, ciało zaczyna świecić barwą czerwoną, a w miarę, jak częstość drgań rośnie dalej jeszcze, do promieni czerwonych przybywają żółte, zielone, niebieskie, przy 800 trylionach fioletowe; tu następuje kres promieni widzialnych, a szybsze jeszcze drgania objawiają istnienie swe działaniami jedynie chemicznymi. Podobnież przeto, jak ton, tak też i barwa podwyższa się w miarę wzrostu szybkości drgań; wysokość, powiedzieć można, jest barwą dźwięku, tak samo, jak barwę nazwać można wysokością światła, rozumiejąc tę wysokość w kierunku od czerwieni do fioletu.

Wyobraźmy sobie teraz, że struna brząca nie pozostaje w spoczynku, ale ku nam się zbliża. Drgania jej następują w jednakich odstępach czasu, odległość wszakże między niemi zmniejsza się ustawicznie, dobiegają tedy częściej do ucha naszego, a stąd w ciągu sekundy uderza je większa liczba drgań i jakkolwiek struna wydaje ton statecznie jednaki, słyszymy ton coraz wyższy. Ton więc ciała brzącego podwyższa się, gdy ciało to ku nam się zbliża, a dla tej samej przyczyny ton ciała oddalającego się ulega znizeniu. Toż samo zjawisko zachodzi oczywiście i wtedy, gdy ciało to pozostaje w spoczynku, a słuchacz do niego się zbliża, lub od niego oddala.

Na zasadę tę zwrócił po raz pierwszy uwagę Doppler, a dla potwierdzenia jej słuszności przeprowadzono szereg doświadczeń na kolei żelaznej między Utrechtem a Maarsen. Obserwator nieruchomo na drodze stojący słyszał ton trąby sygnałowej, umieszczonej na lokomotywie przebiegającego pociągu, albo też, przeciwnie, obserwator znajdował się na pociągu, podczas gdy trębacz obok toru drogi żelaznej ton jednostajny wygrywał. Pomimo szumu szybko biegnącej lokomotywy można było zauważyć podwyższenie się tonu, gdy odległość między słuchaczem a źródłem głosu malała; gdy natomiast odległość ta wzrastała, następowało znizenie tonu.

Szybkość głosu w zwykłej temperaturze czyni 340 metrów na sekundę; przyjmijmy, że pociąg przebiega w tym czasie 14 metrów, czyli posuwa się z szybkością, która stanowi  $\frac{1}{24}$  części szybkości głosu. Gdy przeto źródło dźwięku zbliża się ku słuchaczowi, wywołane przez nie drgania dobiegają do ucha o  $\frac{1}{24}$  częściej, na każde 24 drgań przybywa jedno, a częstość drgań wzrasta w stosunku 24 : 25; przestanek

czyli interwał taki nazywa muzyka półtonem małym,—ton zatem podwyższa się tu o półton mały. Gdy znówu pociąg, unoszący źródło głosu, od słuchacza się oddala z tą samą szybkością, częstość drgań zmniejsza się w tymże samym stosunku, a ton zniża się o półton mały. W warunkach tych, gdy maszynista na lokomotywie słyszy ton *c*, dróżnik słyszy ton *cis* przy zbliżaniu się, ton *ces* przy oddalaniu się pociągu.

Gdy lokomotywa ze świstem obok nas przebiega, zauważyć możemy łatwo wyraźne obniżenie tonu w chwili, gdy zbliżający się pociąg oddalać się zaczyna. Spadek wysokości tonu jest znaczniejszy, jeżeli sami znajdujemy się na pociągu, gdy lokomotywa pociągu biegnącego w stronę przeciwną świst wydaje. Przy szybkości pociągów, jaką wyżej obraliśmy za przykład, przeskok wysokości wynosiłby ton cały.

Według tego, co powiedzieliśmy o analogii objawów światła i głosu, barwy i wysokości, wniesić możemy bezpośrednio, że zasada Dopplera da się słowo w słowo odnieść do ciał świecących. Gdy więc ciało świecące zbliża się ku nam z dostateczną szybkością, barwy jego podwyższają się, to jest przesuwają w stronę fioletu; gdy się od nas oddala, barwy zniżają się, to jest, przechodzą w stronę czerwieni.

W istocie rzeczy, bezpośrednia obserwacja barw nie zdołałaby nam zmian takich okazać; chociażby bowiem czerwień zamieniła się na barwę żółtą, to znów promienie ciemne, ciepikowe, szybciej oko uderzając, stałyby się widoczne, wywołałyby w oku naszym wrażenie czerwieni; podobnież na drugim końcu widma barwa fioletowa stałaby się niewidzialną, ale promienie błękitne spowodowałyby wrażenie fioletowych,—w ogólnej tedy barwie ciała nie ujawniłaby się żadna zgoła różnica. Ale tu w pomoc przychodzą nam linie ciemne, przerzynające widmo barwne ciał niebieskich. Gdy gwiazda ku nam się zbliża, którakolwiek linia jej widma, jak w szczególności linia D, znajdująca się w barwie żółtej, z powodu zmiany odcienia tej barwy, wyda się nam przesuniętą w stronę fioletu; gdy gwiazda się oddala, linia ta znajdzie się przeniesiona w stronę czerwieni.

Jakkolwiek prostą w zasadzie jest ta metoda, w przeprowadzeniu przedstawia znaczne trudności już dla tego, że szybkość własna gwiazd nader jest drobna w porównaniu z szybkością światła, podwyższanie się zatem barw, czyli raczej przesuwanie się linii ciemnych, jest bardzo nieznaczne i da się ocenić jedynie przy udziale spektroskopów



potężnie rozszczepiających, dających widmo bardzo długie, i przy pomocy nader dokładnych przyrządów mierniczych, pozwalających oceniać drobne ułamki milimetra. Zdołano wszakże drogą tą rozpoznać i zmierzyć ruchy gwiazd, które inaczej pozostałyby zgoła niedostrzeżone.

Podobnie, jak inne ciała niebieskie, wiruje też słońce dookoła swej osi, a gdy na tarczę jego spoglądamy, brzeg jeden od nas się usuwa, drugi ku nam wykręca; oba więc brzegi przedstawiają pewną różnicę w rozkładzie linii czarnych widma, a chociaż przesunięcie to niesłychanie jest drobne, dało się jednak wymierzyć.

Tę samą więc metodę zastosował do obserwacji pierścieni Saturna Keeler, dyrektor słynnego obserwatorium Licka w Kalifornii. Pierścienie oświetlone są promieniami słonecznymi, a jeżeli różne ich części z niejednakową biegną prędkością, to w zabarwieniach ich, a raczej w ich widmach, zachodzić muszą drobne różnice; rzeczywiście też Keeler, rozpatrując promienie od różnych okolic pierścieni odbite, poznał, że linie czarne w widmach ich rozmaicie są przesunięte.

Dokładne nadto pomiary zmian zachodzących w położeniu linii wykazały, że każda część pierścienia porusza się z prędkością taką, jakaby jej przypadła, gdyby samodzielnym była księżycem Saturna. Potwierdza to więc w sposób wyraźny, że pierścień składa się z części rozdzielonych, rozrzuconych, w łączną całość niezwiązanych.

Mógłby nas wszakże spotkać zarzut, że dowód ten nie świadczy jeszcze stanowczo o cząsteczkowej, meteorycznej budowie pierścienia, różne bowiem okolice jego tak samo okazywałyby prędkość rozmałą, jeżeli się składa z szeregu pierścieni wązkich, z obręczy współśrodkowych, między sobą odosobnionych i wirujących oddzielnie. Aby i tę ostatnią tedy wątpliwość usunąć, użył Seeliger, dyrektor obserwatorium w Monachium, innej metody optycznej. Rozebrał teoretycznie objawy, jakie pod względem oświetlenia swego przez słońce przedstawiałby pierścień z pyłu, z okruchów utworzony, a pomiary fotometryczne dały mu zgodność tak uderzającą faktów dostrzeżonych z wnioskami teorii, że widzi w tem świadectwo najpewniejsze składu pierścienia z części rozproszonych. Kwestya więc pierścieni Saturna wydaje się obecnie zupełnie załatwioną.

Zbyt długo zatrzymaliśmy uwagę czytelnika nad drobnym urywkiem mechaniki nieba, ale dało nam to sposobność przytoczenia kilku z tych metod nowych, które starą astronomię świeżem technieniem ożywiły i dały jej dostęp do dziedzin, dawniej dla wzroku naszego niedostępnych.

STANISŁAW KRAMSZYK.

# Aleksander Krajewski.

(**A. A. K.**)

---

„Biblioteka Warszawska“ wprowadziła go przed 45-iu laty do świata literackiego, zawdzięczała mu następnie niejedną ozdobę lamów swoich, miała w nim zawsze wiernego czytelnika i współpracownika: słuszna więc, aby utrwaliła teraz pamięć jego zasług przez charakterystykę jego produkcji umysłowej, jego wartości moralnej i budującego żywota.

Przed urzędnikiem stanu cywilnego gminy VI miasta Warszawy stawił się dnia 2 kwietnia 1819 r. Mateusz Krajewski, posesor wsi Zgorzałowa, powiatu Ostrołęckiego, lecz zamieszkały wówczas w Warszawie, w domu pod liczbą 1,308 przy ulicy Nowy Świat, i okazał dziecię, które urodziło się „na dniu 28 miesiąca lutego roku bieżącego, o godzinie 1-ej po południu“. Oświadczył przytem, że „życzeniem jego jest nadać mu imiona Wojciech Aleksander“. Tak opiewa akt, podpisany przez ojca i przez Franciszka Gąsiewskiego, a zamieszczony w księdze urodzeń gminy szóstej z roku 1819, numerem 23 oznaczonej. Ale w księdze kościoła Św. Krzyża znajduje się akt, spisany przez ks misionarza Kazimierza Czeladzińskiego po łacinie, stwierdzający datę chrztu, 23 kwietnia 1819 r. i datę urodzin inną, mianowicie: 3 października 1818 roku, a więc wcześniejszą od poprzedniej prawie o pięć miesięcy. Któraż z nich jest prawdziwą? Rozstrzygnąć niepodobna ściśle, bez dochodzenia sądowego, obecnie już przedawnionego. Sam ś. p. Aleksander wymienił rok 1818, na zapytanie moje, uczynione wiosną 1902 r., lecz świadectwo, a raczej mniemanie jego, nie może obalić świadectwa aktu stanu cywilnego, który był zredagowany dokładnie, ze ścisłością prawniczą, z przyto-

zeniem szczegółów, jakich nie zawiera metryka chrztu. Oświadczam się przeto za dzień 28 lutego 1819 roku, a niezgodność dwu aktów w tak ważnym punkcie, jakim jest data urodzenia, tłumaczę pomyłką księdza, który zapewne dbał tylko o poprawne zaznaczenie własnej czynności w administrowaniu Sakramentu. Z tekstu łacińskiego metryki chrztu skorzystamy jednak tyle, że wytlómaczymy nieznanie nikomu znaczenie trzech liter: A. A. K., używanych stale przez ś. p. Aleksandra w podpisie na wszystkich większych pracach, od połowy roku 1858 ogłaszanych. Znaczą one: Adalbertus Alexander Krajewski, lub Aleksander Albert Krajewski, jak widzimy w metryce ślubnej.

Chrzest odbył się nie w kościele, lecz w mieszkaniu wyżej wymienionem. Kmotrami byli: Foks Leon Józef i Marya Amberg. Matka, Brygida z Siatkowskich, Szatkowskich, czy Szadkowskich, liczyła wówczas lat 21; owdowiała wcześniej: więc sama ponosiła trud wychowania swego jedynaka. Była mu duchem opiekuńczym i pocieszycielką przez pół wieku prawie.

Malarz I. Sikorski doskonale uchwycił podobieństwo rysów z wyrazem spokojnej energii i ujmującej prostoty. Ten portret olejny, zawieszony nad kanapą, stanowił jedyną ozdobę ścian w saloniku wdzięcznego syna.

Ubożuchny był zasób wiedzy, jakim uposażyła Krajewskiego szkoła krajowa—zaledwo kursem ukończonych klas czterech w Liceum Warszawskim, i to w czasie niepomyślnym dla prawidłowej działalności pedagogicznej, przerywały ją bowiem wypadki 1830 — 1831 roku, które wywarły na umysł pacholęcy silne, a do końca życia niezatarte wrażenie<sup>1)</sup>. Ukończeniu całkowitego kursu nauk przeszkodził zapewne niedostatek materyalny. Trzeba było szukać zarobkowania. Znalazł je Krajewski na poczcie w roku 1837. Upodobał sobie zawód urzędniczy i w późnej starości jeszcze mawiał, że jest właściwszym dla niego.

Ale krótko trwało to urzędowanie, bo tylko do 20-go roku życia (1838). Przybył do Warszawy Gustaw Ehrenberg, ognisty poeta, rówieśnik, co do wieku, marzący o wyzwoleniu, uwłaszczeniu, oświeceniu włościan, członek Stowarzyszenia Ludu Polskiego. Mło-

---

<sup>1)</sup> Świadcstwo Komitetu Egzaminacyjnego d. 18/30 1859 r. № 1394. Wypis z Księgi Cenzury Szkolnej dnia 27 lipca 1831 roku, podpisany przez profesora Kościńskiego w zastępstwie Rektora Szkoły, świadczy, że Krajewski otrzymał wówczas promocję z klasy III z pochwałą. Widziała „Krajewska“.

dy Krajewski uległ jego wpływowi i dał się zaliczyć jako jeden z pięciu członków do organizowanej przez niego tajemnie Gminy<sup>1)</sup>, przez co podpadł pod określenie groźnych artykułów Prawa Karnego. Po ukończeniu procesu sądowego został wydalony z Warszawy d. 5 czerw. 1839 r. i znalazł się najprzód w Gazimurze, a potem w Kutomarze przy wielkich piecach głównego zakładu nerezzyńskiego. Surowość kary była jednak łagodzona zrazu przez względną zwierzchność miejscowej, a z czasem przez ulaskawienia stopniowe, przychodzące od władz wyższych. Zachowaniem się swoim i zacnością charakteru Krajewski zjednał sobie powszechny szacunek: więc uzyskał możność zarobkowania przez udzielanie lekcyj dzieciom inżynierów i urzędników, obcowania z ludźmi wysokiego wykształcenia, tak Polakami, jak Rosyanami, dostawania książek od nich i od matki, która też doznawała od ludzi wiele życzliwości, wreszcie odbywania podróży w dużym promieniu poza Bajkałem. Nie marnował czasu. Przez usystematyzowane i wytrwałe studia nie tylko uzupełnił braki swej licealnej nauki, ale i więcej zdobył wiedzy, niż jej dać może wydział historyczno-filologiczny uniwersytetów rosyjskich, opanował bowiem języki francuski, niemiecki, angielski, włoski i łacinę, zgłębił naturę mowy rodzinnej i znakomicie wyrobił wrodzoną zdolność do wersyfikacji, przeczytał uważnie arcydzieła poezji, nabył gruntownych wiadomości z literatury, z historii powszechnej, z ekonomii politycznej i z całej grupy nauk społecznych, o ile wówczas dawała się ogarnąć.

Rychło, zapewne przed rokiem 1844-ym, zabrał się do przetłumaczenia na język polski pierwszej części *F a u s t a*; domyślamy się tej daty ze wzmianki, uczynionej w przedmowie, że zatrzymał swą pracę przez lat kilkanaście w tece, dowiedziawszy się o wydaniu tegoż utworu przez Walickiego. Dopiero pod koniec 1856, czy na początku 1857 roku, wysłał swój rękopism do „Biblioteki Warszawskiej”. Z przedmowy widać, że wciąż miał na oku literaturę, jaka się wytwarzała w Europie z dzieł wielkiego poety: znał mnóstwo studyów i komentarzy niemieckich, przyznawał wielkie zalety francuskiemu tłumaczowi Blaze, wymieniał polskie tłumaczenia, nawet pomniejszych fragmentów, jak naprzykład prologu przez Augusta Bielowskiego. Poprzestając na krótkich napomknieniach polemicznych, wyłożył samodzielnie treść i wartość „*Fausta*”, wyjaśnił zależność autora od właściwości życia niemieckiego i stosunek do literatury in-

<sup>1)</sup> Tak mi powiedział sam Krajewski, na kilka miesięcy przed zgonem, dnia 10 lutego 1902.

nych narodów, dowodził nareszcie, że „idea Göthego może wejść naturalnym sposobem w sferę naszych narodowych wyobrażeń... Można by powiedzieć, po polsku sądząc, że to satyra na niedostateczność ducha nowoczesnego: tak jest, ale satyra głęboka i sympatyczna... bo nie szydząca, lub strofująca, owszem pełna współczucia dla odmalowanych walk i boleści.“ Wyrażał nadzieję, że praca tłumaczenia „i dziś nie będzie bez związku z literaturą ojczystą“. Tej myśli służąc, zaniechał drugiej części „Fausta“, chociaż znał ją nie mniej gruntownie i treść jej wyłożył w obszernym przypisku (str. 659 do 662).

Miło mi j st zaznaczyć, że Redakcja Biblioteki trafnie oceniła wartość przekładu. Na jej blankiecie napisał K. Wł. Wóycicki następny list „Do W-go Pułkownika Solłohuba“ <sup>1)</sup>, pod dniem kwietnia 30/12 maja 1857:

„Dziękuję Panu za przysłanie przesłicznego przekładu Fausta. Odczytałem i zaprawdę uważam je za jedną z najpiękniejszych ozdób w oddziale tłumaczeń w literaturze naszej. Cóż to za język, co za jasność myśli! O nakładcę, żeby to drukował oddzielnie — nie myślę; lichy przekład Walickiego stoi na przeszkodzie. Dla tego w piśmie naszym rozpoczęliśmy druk tej pracy i w 2-ch zeszytach skończę. Cena u nas honorarium za arkusz po rs 9 artykułów oryginalnych: zważając na wartość przekładu, tę samą cenę za Fausta uiszcza redakcja zaraz po wydrukowaniu. Druga edycja i następne są własnością tłumacza: sądzę, że po ogłoszeniu w naszym piśmie nakładca na oddzielną odbitkę prędzej się znajdzie. Proszę o nazwisko tłumacza, czas za taką pracę nacechowaną wysokim talentem i sumiennością, ażeby naszym współczuciem otoczone zostało. W zeszytcie na czerwiec r. b. część jedną, aż do piwnicy Auerbacha daję—cenzura ani wyrazu nie wykreśliła: sam korektę trzymam: w zeszytcie lipcowym resztę pomieszczę: i po druku honorarium należne przesłanem zostanie. Racz Szanowny Pan przyjąć wyrazy rzetelnego szacunku etc.“

A więc praca lat kilkunastu przyszła do redakcyi pod najściślejszem incognito i wydrukowaną została pod literami „Z. Z.“, które nie wchodzą wcale w skład ani imienia chrzestnego, ani nazwiska tłumacza i autora poważnej rozprawy, nazwanej przedmową. Pułkownik Solłohub nie odpowiedział zapewne Wóycickiemu na jego zapytanie, bo Krajewski w tym czasie już wyjechał, albo wybierał się w powrotną drogę do kraju, korzystając z Najmłodszej, udzielo-

<sup>1)</sup> Zewnątrz adres: Jego Wysokoblagorodiu G-nu Pułkownikowi Solłohubu w Nerczińskij zawod.

nej przez Cesarza Aleksandra II, amnestyi. W Moskwie widziałem go po raz pierwszy, jako gościa na studenckim bankiecie. Zastawa stołu nie zadowolniłaby Lukullusa; ale rozmowa była gwarna i wylew serdeczności obfity. W dyskusyi, zatoczonej na obszarze rozmaitych kwestyj społecznych i historycznych, młodzi interpelanci uczuwali rychło przewagę rozległej wiedzy, dojrzałego sądu i ścisłej logiki w rozumowaniach Krajewskiego. Był on wówczas w męskim wieku i w czerstwym zdrowiu, miał twarz pogodną, spojrzenie jasne; domyślaliśmy się, że jest człowiekiem nieskazitelnego charakteru i hartownej cnoty.

Do Warszawy przyjechał w jesieni 1857 r., uściskał zaciąg matkę swoją i cieszył się jej słodkim towarzystwem jeszcze przez lat dziesięć, dla niej odrzuciwszy bardzo korzystną propozycję, co do wychowania trzech synów szanownego bogacza. Przywiózł w tłumoku „Wybór poezyi Horacyusza“, wydrukowany niebawem, w kwietniowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej“ 1858 roku znowu bezimiennie, gdyż podpis: „tłumacz Fausta, Getego“ wskazywał tylko na tajemnicze litery „Z. Z.“ Ale już Wóycicki poznał osobie tego „tłumacza“ i, nie zdoławszy pokonać jego nadzwyczajnej skromności, nakłonił przynajmniej do przyjęcia następującego certyfikatu:

„Zaświadczam niniejszem, jako przekład Fausta Getego, umieszczony w zeszytach „Biblioteki Warszawskiej“ za czerwiec i lipiec 1857 oraz Wybór pieśni (tak) Horacyusza, zamieszczony w zeszycie tegoż pisma na kwiecień r. b., są pracą i własnością Aleksandra Krajewskiego. Warszawa 21 marca 1858 r. K. Wł. Wóycicki, Redaktor Gł. Bibl. Warsz.“

Certyfikat ów przeleżał w ukryciu aż do dnia dzisiejszego, ale Wóycicki nie dochowywał sekretu. Jeden z [dwa żyjących do dziś dnia współwłaścicieli owoczesnej „Biblioteki Warszawskiej“, opowiadał mi teraz, że przy pierwszym spotkaniu z Krajewskim słyszał o nim, jako o znakomitym tłumaczu Horacego.

Tłumaczenie obejmuje tylko 24 utwory, których dobór jest usprawiedliwiony w przedmowie z podziałem na trzy grupy. Pierwsza grupa przedstawia „charakterystyczną i najwznioślejszą stronę liryki tego poety, dającą mu prawo do powszechnego uznania—patriotyzm.“ Stanowi ona połowę całego „wyboru“. Pod liczbą 6 znajduje się ta przesławna oda „Justum ac tenacem propositi virum“, którą powtarzał Korneliusz Witt na torturze. Pierwsze dwie strofy brzmią tak w przekładzie:

Prawego męża, postanowień moonych,  
 Ani szal ziomków, do złęga wiodący,  
 Ani tyrana wzrok, gniewem płonący,  
 Ani gwałtowny pęd wiatrów północnych,  
 Ani pioruny, które Jowisz ciska —  
 Nie'zdołne wyprzedz z gruntu tęgiej duszy.  
 Świat niech się cały na niego obruszy:  
 W nieulekłego uderzą zwałiska.

Pod liczbą 12 znalazł miejsce „Hymn stuletni“. Oddział drugi zawiera trzy kompozycje mitologiczno-heroiczne, które dają się porównać z legendami i balladami: Wieszcza Nereusza, Do Merkurego i Do Galatei. W grupie trzeciej podał Krajewski wiersze okolicznościowe, do możnych panów pisane, a na końcu—słynną odę Do Melpomeny: „Wzniosłem pomnik trwalszy, niż spiżowe“ (Exegi monumentum). Z erotycznych utworów nic nie przetłumaczył, „nie widząc w nich najmniejszej wartości dla dzisiejszego czytelnika“.

Oświadczał Krajewski, że pragnie wskrzesić zamarłe w owoczesnem społeczeństwie polskiem zamiłowanie do literatury starożytnej przez zaznajomienie z przedstawicielem najwyższych jej zalet i to w najudatniejszych jego utworach. Dobierał je z głębokim namysłem, oddawał w pięknej formie, pokonywając szczęśliwie trudności zrozumienia i wysłowienia, objaśniał przypiskami pod tekstem i obszerniejszą charakterystyką tak poety, jak społeczeństwa rzymskiego w przedmowie. O gruntowności studyów świadczy chociażby takie usprawiedliwienie przekładu w jednym z najtrudniejszych ustępów ody do Rzymian, to jest numeru 2-gó: „Lubo za zuchwalstwo prawie możnaby dziś uważać wszelką pretensyę (u nas zwłaszcza), do wynajdowania czegoś nowego w poezyach Horacyusza, będących od wieków tyłu przedmiotem najpracowitszych badań najuczniejszych filologów, gdy przecię własne przekonanie najdroższą tu jest dla człowieka rzeczą, wybaczą mi znawcy, żem wolał uciec się do hipotezy, niż powtarzać to, czego z rozsądkiem moim pogodzić nie umiałem.“ I wyłożył swoje argumenty w sposób przekonywający, jak rozumieć należy: *ad arbitrium severae matris*“.

Wszyscy też łacinnicy, pedagogowie i znawcy literatury, kogo tylko zapytałem, przyznają jednomyślnie tłumaczeniu Krajewskiego wzorową wierność, wyborną wersyfikacyę i wdzięk stylu poetycznego.



Redakcja „Biblioteki“ nie zaniechała ofiarować mu współpracownictwa w dziale „Rozbiorów“ czyli krytyki. „Z. Z.“ wystąpił tedy z gorzką, lubo sprawiedliwą admonicją dla Antoniego Sowy, to jest Edwarda Żeligowskiego, który cieszył się wielką sympatją „w swojej rodzinnej prowincyi“, jako autor „Jordana“ i niedawno wrócił był do kraju. Przyznając mu znaczny sposób myślenia, wzniosłą moralność, zdrową wogóle dążność ku lepszemu“, zapewniając go o „współczuciu i szacunku ludzi poważnych“, wytykał w 2-tomowym nowem dziele jego „Dziś i Wczoraj“ dużo szkodliwych paradoksów (naprzykład, że lud włościański nie ma potrzeby być piśmiennym, ponieważ niema dlań jeszcze odpowiedniej literatury) i sformułował „dwa arcyważne zarzuty: 1-ód że brak mu talentu i gustu; 2-re że nie umie po polsku“. „Układ tej powieści nie jest tyle zły, ile żaden, a występujące w niej osoby nie mają podobieństwa do żywych ludzi“. Przytoczone wyrażenia świadczą, że autor używa wyrazów w niewłaściwem znaczeniu, niezręcznie składa zdania i peryody, buduje fałszywe porównania, potworne metafory, przekręca formy językowe i odmiany gramatyczne, nie mówiąc już o ustawicznych prowincjonalizmach, oraz wyrażeniach żywcem z języka rosyjskiego lub francuskiego wziętych. „Osobliwsza to zaiste niekonsekwencya, żeby, okazując tak wielką cześć i zamiłowanie obowiązkowi... nie zastosować tej zasady do siebie samego... Pierwszym obowiązkiem literata, jako takiego, jest staranie się o dobrą znajomość języka, którym chce do publiczności przemawiać, o umiejętne wysłowienie swych myśli“.

Na drugi występ nadarzyły się Gławydy o literaturze i sztuce przez J. I. Kraszewskiego, autora już wtedy „niezliczonych pism“, a potem „ulubionego przez publiczność“. Może poczuwając się do większej względem takiego nazwiska odpowiedzialności, Krajewski uznał za stosowne uchylić nieco swoją beziemność i odtąd (od zeszytu czerwcowego 1858 r.) zaczął się podpisywać: A. A. K. Oświadczył zupełną swą zgodność z wypowiedzianą w „Obrazach przeszłości“ protestacją przeciwko uprawnionemu w owoczesnej literaturze „bałwochwalstwu dnia wczorajszego“ i od siebie dodaje takie rozumowanie: „Uludne obrazy kontuszowych czasów, nie tyle może niewierne same w sobie, ile raczej fałszywem oświecone światłem, miały pocieszyć znękaną i zrozpaczoną po części terażniejszość za wszystkie straty i bóle doznane, w rzeczy zaś samej mogą tylko olśnić, to jest zaciemnić narodowy rozsądek, zagłuszyć prawy głos narodowego sumienia, zwiędnąć edukację nowych pokoleń... Oto plemieniu, które w ciągu wichrów zmarnowało ogromne środki przez Opatrzność mu dane, a zaniebawszy wszelkiej re-

formy wadliwego w gruncie politycznego organizmu, zubożnawszy na wszystkie wypadki i stosunki zewnętrzne, zasklepiwszy się w swobodach i przywilejach arcy wygodnego i niezaprzeczenie pięknego bytu towarzyskiego, straciło nawet pojęcie o koniecznych tego drogiego mu bytu granicach... — takiemu plemienu zaczynają ni stąd, ni z owąd kadzić, jak to mówią, w żywe oczy, tak, jak nie kadzono gęściej nigdy może i nikomu. Zaczynają w nie wmawiać... że przywary, przesady, zaślepienia i niedorzeczności, których się już potrosze wstydzicie zaczynano, są właśnie najistotniejszą wartości plemienu częścią, gruntem jego i zaszczytem. I biedne plemię prawie uwierzyło... Główna kwestya narodowych dziejów do dziś dnia bez szerszej i wyraźnej odpowiedzi pozostała". Popierając w ten sposób tezę, wspominał jednak Kraszewskiemu, że sam „przyspiewywał podobno niekiedy w owym chórze entuzjastycznym na cześć kontuszwowych czasów.

Rozprawę „Sztuka dramatyczna w Polsce" ocenia z uznaniem; artykuł o dziennikarstwie pochwała, drugi zaś „o powołaniu literackim", jako o zawodzie męczeńskim, kapłańskim, pobudza go do ostrej protestacji. „Niepojętą nam się wydaje chęć do pisania podobnych deklamacyi w mężu dojrzałym, w pisarzu powszechnie cenionym, a nawet uwielbianym od lat tylu. Protestujemy... przeciwko tym grymasom literackiej próżności, przeciwko tym pretensjonalnym porównaniom do rzeczy najwyższych i najświętszych na świecie, przeciwko temu przywłaszczeniu sobie pod pozorem cierpienia i poniżenia najpierwszej roli i najpoważniejszego dostojeństwa w społeczności... Nie widzimy zupełnie, w czemby zawód literata miał być bardziej utrapionym od innych... Jakaż będzie cześć dla tajemnicy Odkupienia, dla żywota Zbawiciela, jeżeli ośmielamy się przyrównać doń błahę kłopoty literackie, których sumą jest gorycz obrażonej miłości własnej: że ten skrytykował, a tamten chwalić nie chce".

Dochodząc do charakterystyki ogólnej, przyznaje Krajewskiemu żywość, lekkość, jasność, miejscami i świetność stylu, umysł rozległy i łatwo obejmujący; za to brak poprawności, ściśłości i mocy. Śladów długiego namysłu nigdzie nie widać. Ostatecznie sądzi, że książka jest pełna myśli i do myślenia pobudza.

W zeszycie wrześniowym tegoż 1858 r. wydrukowała „Biblioteka Warszawska" studjum krytyczne p. t. „R o m a n s e i p o w i e ś c i J. D z i e r z k o w s k i e g o". Jest tu wymienionych 7 książek, wydanych w ciągu lat 11 (1845—1856) i zawierających 22 większe lub mniejsze utwory belletrystyczne, lecz krytyk, nie roztrząsając każdego pojedynczo, wskazuje tylko pewne sytuacje, lub osoby, zmierzając do scharakteryzowania właściwości talentu i tendencji przepro-

wadzonej przez autora z „rzadką prawdziwie u romansopisarzy naszych jednością myśli głównej”. „Biblioteka Warszawska” nigdy dotąd nie wspominała o Dzierzkowskim właśnie z powodu jego tendencji; Krajewski przerywa to milczenie z następujących pobudek: „Jeżeli nie wiemy, jak pytanie rozstrzygnąć, to je przynajmniej ogłośmy; nie mogąc osądzić, rozważajmy, róbmy domysły i przypuszczenia: niech raczej powiedzą, że źle rozważamy, niż gdyby nas miało o obojętność obwiniać”.

„Główną myślą największej części romansów i powieści p. Dzierzkowskiego jest wykazanie moralnego zepsucia i umysłowej nicości wyższej szlachty naszej w Galicyi... Możemyż my wiedzieć dokładnie, czy pan Dzierzkowski jest potwarzą, czy też spisuje tylko tak nazwaną kronikę skandaliczną? Coś z tego dwojga być musi... Ale smaganie jego bicz sięga i niżej: prowincjonalna zamożna i mniej zamożna szlachta nieosobliwie też prezentuje się w obyczajowym zwierciadle autora. Jeżeli życie wielkoświatowe razi tam zgnilizną moralną: życie wiejskie razi nicością; próżno tu szukać wyższej jakiej dążności, przez miłość dobra publicznego natchnionej, podniesienia umysłów ku objęciu stosunków ogólniejszych, ku polepszeniu bytu krajowego.” Potępiając hurtem klasy społeczeństwa naszego ukształcenijsze i posiadające, Dzierzkowski okazuje bardzo wyraźną predylekcyę dla klas niższych, nieoświeconych i pracujących. Naturalnie Krajewski wytyka mu przesadę, „niedostateczność obmyślenia i układu w tem, co się pisze”, holdowanie „fałszywym naukom politycznym i ekonomicznym”, zalicza go do romantyków, to jest „do ludzi szukających piękności fałszywych i unoszących się nad nimi bez rzeczywistej w nie wiary”. „Taką jest w części jego admiracya dla cnót ludu, rozczulanie się nad nędzą w łachmanach, rozczulanie się nad tak zwanymi patryarchalnymi stosunkami, które miały niegdyś łączyć najniższe ogniwa społecznego łańcucha z najwyższymi, nad ekonomiczną biografią Gwoździkiewicza, który bił chłopów a kochał, ci zaś byli bici i kochali nawzajem. Ale główny romantyzm p. Dzierzkowskiego jest w uwielbieniu dla staropolszczyzny, w której, zapędziwszy się, wszystkie upatruje doskonałości: mądrość, cnotę, piękność, moc, dzielność, zręczność, wdzięk, skromność, miłość itd., aż do ekwitacyi i do tańca. Zepsucie i upadek kraju były według niego skutkiem napływu cudzoziemskich zdań i filozofii (zamorskich, jak się autor wyraża).

Ustaliwszy „główne rysy fizyognomii jakoby moralnej powieściopisarza”, Krajewski ocenia go jeszcze ze stanowiska estetycznego i ostatecznie dochodzi do łagodnej, dobrotliwej definicyi, „że widzi w nim raczej rozumnego i doświadczeniemi życia wypróbowanego człowieka, niż myślącego artystę; talent raczej łatwy i dzielny, niż

twórczy; głębokiego znawcę ludzi raczej, niż trafnego malarza; wymownego prawie zawsze moralistę, a rzadko dobrego literata". A toż kto całą krytykę przeczytał, ten już nie mógł zapomnieć wyraźnych napomnień do upamiętania się, udzielonych demagogom, i świętego sądu o stanie społeczeństwa owoczesnego, o stosunku do przeszłości i przyszłości, o trapiących je niedolach, o kierunkach zmierzających do poprawy.

Z tej surowej nagany, udzielonej Dzierzkowskiemu, podejrzliwi ludzie mogliby posądzić Krajewskiego o zamiar wystugiwania się panom i szlachcie; tacy wszakże musieliby zmienić swe zdanie, przeczytawszy recenzję tragedyi Małeckiego p. t. „List Żelazny“ w zeszytcie na luty 1859 „Bibl. Warsz.“ Tu akcja się toczy za panowania Michała Korybuta; wśród zaburzeń, grożących państwu katastrofą, znajduje się mąż zdolny „chętny do ratowania tronu i sprawy narodowej“ — Roman Ciechanowiecki. Jest on zaufanym sługą króla i ma go obronić w walce domowej z magnatami, zamysłającymi detronizację wybrańca gminu szlacheckiego.

Wyjaśnienie tematu i wszystkich scen pojedynczych pociągnęło recenzenta na pole dziejznawstwa. Chociaż panowanie Michała Korybuta było w owym czasie bardzo mało znane, bo nietknięte piórem żadnego badacza, żadnego historyka fachowego, Krajewski jednak tyle posiadał wiadomości i tak trafny zmysł historyczny, że mamy do podkreślenia parę tylko błędów, jak oto: o „nikczemnem poddaniu się Kamieńca Turkom“ (błąd zresztą łatwy do wybaczenia, skoro był powtórzony w 1890 przez wojskowego, Konstantego Górskiego, w rozprawie specjalnie poświęconej zbadaniu „Wejny Rzpltej z Turcyą 1672 i 1673 r.“); o Czarnieckim, marszałku konfederacyi Gołąbskiej, którego nazywa „synem“ (nie synowcem) znakomitego wodza. W królu Michale upatrzył jakieś „piękne przymioty“: ale przecież stwierdził „brak pojęć politycznych, czy też charakteru, skoro przebaczył (?) tym, którzy go detronizować chcieli i knowaniami swemi sparaliżowali siłę narodu; pogodził się z nimi, co znaczy, że w wicherzycielach widział tylko swoich przeciwników, a zdradę kraju, jak osobistą urazę, (po chrześcijańsku) traktował“. Taką nieudolnością tłumaczy bezowocność „jedynej w swoim rodzaju konfederacyi, od której datowałaby się może era zbawienia politycznego“, która domagała się kary na zdrajców, chociażby to byli hetmani i prymasi, która mogłaby „obrócić w niwecz zuchwałę planty pseudo-oligarchów (bo do wicherzenia tylko, a nie do rządzenia zdolnych).“ Wciąż więc mówi o magnatach z oburzeniem, ale i Ciechanowskiemu, bohaterowi wytworzonemu przez poetyczną wyobraźnię, zarzuca, że przy wysokim polocie umysłu, mocnych umiejętnościach, najżywszem poczuciu

niedoli krajowej, żywił w głębi serca marzenia „o szczęściu osobistem, domowem, o pięknej Helenie,“ i przejął się „wyniosłością pana“.

Z punktu widzenia estetycznego recenzya ta jest wysoko ceniona dziś jeszcze przez historyków literatury (np. Chmielowskiego), a sam autor tragedyi dziękował za nią, chociaż zabołec go mogła konkluzya. Krajewski ujął za pióro wyraźnie dla tego, że „List żelazny“ nie był wtedy na żadnej ze scen krajowych grauy, że czytającemu ogółowi mało był znany, że jako utwór prawdziwie oryginalny powinien był sprawić potężne wrażenie. Węzłem tragicznym jest wyznanie Marty, że Ciechanowiecki jej synem, chłopskim dzieckiem, przedstawionem przypadkowo zamiast powierzonego jej, jako mamce, panicza. Z jej wyznania chcą korzystać przeciwnicy, żeby Ciechanowieckiego strącić do nieości przez wyzucie z praw stanu szlacheckiego, i to w chwili, gdy ma się żenić z kochającą go Heleną, córką zamego starosty orszańskiego. Rozpoczął się proces; Marta, powodując się miłością macierzyńską, zgadza się odwołać zeznanie swoje, chociaż groziła jej kara śmierci za oszczerstwo; Ciechanowiecki zaś obiecuje ocalić ją przez wyjednanie listu żelaznego u króla. Obietnicy tej nie dotrzymuje po części dla obowiązków swoich publicznych, a po części z pobudek egoistycznych.

Krajewski szczegółowo, scena po scenie, przedstawia rozwój komplikacyi, wykazuje „głębokość pomysłu“, podziwia „wykończoną prostotę kompozycyi i stylu“, po czem nagle przeraża czytelników „największym, a ściśle biorąc jedynie ważniejszym błędem kompozycyi — rozwiązaniem za pomocą nadnaturalnych czynników“. W ostatniej bowiem scenie, która się odbywa w kaplicy, przy katafalku rażonego apopleksyą teścia, piorun zabija Helenę, widmo Marty staje przed Ciechanowieckim i kładzie ręce na jego głowie. Ten wyznaje swoją zbrodnię publicznie i oddaje się pod władzę kapucyna, żeby resztę życia spędzić na pokucie. Krajewski powiada: „Niema wartości, a przynajmniej znaczenia mieć nie może, narodowa tragedia historyczna bez stosunku do epoki, do publiczności, dla której się pisze. Otóż, ani my dziś w zjawianie się upiorów i tym podobne interwencye nadnaturalne nie wierzymy, ani sam autor zapewne. Któż więc będzie to brał na seryo? Tragedya tymczasem poważna być powinna“. „Szkoda to dla literatury istotna, że tragedye tak wzniosłe pomyślają, tak znakomicie do końca prowadzoną, zdefigurował jeden wielki błąd kompozycyi“. Ostateczne więc orzeczenie brzmi, „że p. Małecki blizkim był stworzenia dramatycznego arcydzieła w europejskiem znaczeniu tego wyrazu“.

Dotknął jeszcze raz Krajewski tego smutnego okresu dziejów polskich, pisząc (we wrześniu 1861 r.) o dwóch dramatach historycz-

nych p. t. „Jerzy Lubomirski“, wydanych: w 1850 przez Szajnochę i w 1861 przez A. E. Odyńca. Ze stroną artystyczną załatwia się pobieżnie, ale silną argumentacją rozwija przeciwko wysławianiu rokoszanina za obronę prawa wolnej elekcji. Zdaniem Krajewskiego „J. Lubomirski, wojownik dzielny i szczęśliwy, wytrwały obrońca ojczyzny i króla w najsmutniejszych dla obojga konjunkturach, należy do znakomitości narodowych; wielkim jednak mężem nie jest. Obok przymiotów, które mu jednały popularność u szlacheckiego narodu, obok ludzkości, taktu i sumienia, jakie okazał w samym rokoszu i po odniesionem zwycięstwie, były w nim wszystkie główne przywary i ułomności, tak moralne, jak i umysłowe, tej kasty, do której należał... nieszczęścia krajowe nie tylko, że go niczego nie nauczyły, owszem, nie omieszkał uwydatnić się raz jeszcze, i to jaknajjaśkrawiej, w charakterze swywolnego magnata, jakim był od początku swojego zawodu. To nie jest wielkość.“ Zaznacza panującą w ówczesnej historyografii dążność do rehabilitacji nie tylko Lubomirskiego, ale Radziejowskiego, Sicińskiego i szlachty, która pod Ujściem uznała Karola Gustawa królem swoim. Nie ośmielając się wszczynać szczegółowej dyskusji „z ludźmi uczonymi, co sobie historję krajową za specjalność obrali“, podaje do namysłu tylko taką kwestyę: „czy może być pod słońcem tak doskonała racya, dla którejby członkowi społeczności wolnej, wszelkie organa życia i działania publicznego posiadającej, godziło się chwycić za broń, ojczyznę wicherzyć i wojnę domową zapalać?“

Kończąc ten artykuł, otrzymał Krajewski szkice Szajnochy i w jednym z nich p. t. „Urazy królewiał polskich“, znalazł takie zdania, które go zadowolniły; wyraził więc w przypisku radość, „że się w takiej materji z przeważnem zdaniem znakomitego dziejopisarza różnić nadal nie potrzebuje“. Po upływie lat 40 miał znowu także zadowolenie, że pogląd i rozumowanie jego stwierdziło się wynikami badań źródłowych w monografi mojej.

Piękne i mądre te prace zyskiwały dla Krajewskiego poważanie, wprawdzie nie u szerokiej publiczności, która nie mogła odgadnąć jego nazwiska pod literami „Z. Z.“ i „A. A. K.“, ale w kółku literatów i protektorów „Biblioteki Warszawskiej.“ Nie mogły one wszakże wyżywić pracownika szczupłym wynagrodzeniem, obliczonym w stosunku 9 rubli za arkusz druku, a wię na ogół 157 rubli w ciągu lat czterech. Trzeba było szukać lepiej płatnego i trwalszego zarobkowania.

Krajewski myślał o zawodzie nauczycielskim, lecz kwalifikacye jego urzędowe były wcale nie świetne. Wniósł jednak prośbę do Komitetu Egzaminacyjnego o wydanie mu upoważnienia na nauczyciela

prywatnego. Przypuszczony do egzaminu dnia 8 października 1858 roku, na którym „okazał w języku rosyjskim dobre usposobienie,” otrzymał świadectwo, datowane 18/30 czerwca 1859 r., № 1394, a podpisane przez prezydującego w Komitecie rzeczonym członka Rady oświecenia i Wizytatora Szkół, von Stendera, upoważniającego do „uczenia początków języka rosyjskiego”. Mógł tedy przyjmować „obowiązki wychowania dzieci w domu prywatnym” i korzystać z praw i prerogatyw, nadanych wedle ustawy z r. 1841, stopniowi „nauczyciela początkowego”. Mało jednak z tego upoważnienia korzystał. Słyszałem od niego tylko o lekcjach, udzielanych za ledwie w kilku domach.

Ponętniejsze dla siebie zajęcie znalazł w biurze Towarzystwa Rolniczego. Prezes, Andrzej hr. Zamojski, przyjął go bardzo życzliwie i niebawem, pod d. 3 marca 1858 r. № 459 nadesłał zawiadomienie, że „komitet mianuje go na rok bieżący referentem z pensją rs. 300 rocznie, liczyć się mającą od daty objęcia przez niego obowiązków, które mu niezwłocznie wskazane będą”. Na skutek tej nominacji Krajewski zasiadł przy biurku w gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na górnym piętrze, niewątpliwie z przyjemnem uczuciem, że będzie znów urzędnikiem, zgodnie z wrodzonym jakoby powołaniem. W skromności swojej nie przyznawał sobie uzdolnień przewyższających poziom biuralisty. Poznali się na nim przecież inni. Mam przed oczyma następują decyzję, własnoręcznie przez Węgleńskiego napisaną:

„Członkowie Komitetu, w kadencji Biura na miesiąc grudzień zostający—sądzą swoim obowiązkiem, przy końcu bieżącego roku, zwrócić uwagę komitetu na pojętną i pożyteczną pracę dla dobra Towarzystwa Rolniczego pana Krajewskiego, Referenta. Przejęty celami Towarzystwa w powierzonych sobie przez komitet czynnościach, umiał zawsze odbić dobry pogląd i zachować godność, jaką Towarzystwo przelało do piastowania Komitetowi.

„Przyznając to, Biuro oświadcza panu Krajewskiemu serdeczne podziękowanie, którego znaczenie będzie spotęgowane, jeśli Komitet uznanie nasze i oświadczenie podzieli. Ponieważ zaś wynagrodzenie, w kwocie rubli 300, do tej posady przywiązane, nie może być uważane za dostateczne w stosunku zdolności i zatrudnienia, proponuje użycie z funduszu dyskrejonalnego rb. sto pięćdziesiąt, jako słusznie należący dodatek. Fr. (?) Węgleński dnia 20 grudnia 1858” (drugi podpis nieczytelny).

Nie tylko wzmiankowany Komitet, ale i Zebranie Ogólne, „oceniając gorliwą pracę jako referenta”, zatwierdziło podwyższenie pensyi Krajewskiego o 150 rub.; nadto wezwał go komitet na referenta do nowoutworzonego Wydziału Wydawnictwa dzieł z pensją 300

rub. od d. 1 lutego 1859. Na kilka dni przed Zebraniem Ogólnem, mianowicie, 15 lutego 1859 r. № 637 prezes wezwał go „do atentowania czynnościami biura prezydyjalnego w Sekcyi Ogólnej”, której zadaniem być miało opracowywanie sprawozdań z czynności Zebrań Ogólnych.

Tak więc po upływie roku niespełna, Krajewski miał już stanowisko przyzwoicie uposażone (750 rubli) i poważne tak zakresem, jak rodzajem pracy. Wszak stawał się odtąd właściwie sekretarzem Sekcyi i Zgromadzeń Ogólnych, oraz mechanikiem głównym, czy werkführerem rozwijającej się szeroko działalności wydawniczej Towarzystwa Rolniczego. Właśnie z dniem 1 stycznia 1859 przekształciły się Roczniki Gospodarstwa Krajowego na organ Towarzystwa, a redaktorem, zamiast Jana Kantego Gregorowicza, od 1 marca został członek sekretarz Władysław Garbiński, lecz on przynosił ważniejsze artykuły Krajewskiemu do przejrzania i poprawek, chociaż w wydanej z czasem „Treści Roczników G. Kr. z lat 20-tu od 1842--1862” (Warszawa 1862, cz. II, str. 155), wymienił tylko cztery jego referaty z tomów 33, 38 i 43. Szczęściem zachowała się własnoręczna notatka bibliograficzna Krajewskiego, która ułatwi nam powzięcie dokładniejszego wyobrażenia o ilości i jakości wykonanych przez niego prac.

A więc poprzednio już, w zeszycie lipcowym 1858 roku (tom 33, str. 803), jego pióra jest pięknie ułożone sprawozdanie: „O r o z d a n i u n a g r ó d” w siedmdziesięciu siedmiu okręgach, na podstawie doniesień korespondentów. Rozdawanie odbywało się uroczyście podczas odpustów, po skończonem nabożeństwie, przed kościołem, przy licznie zwykle zgromadzeniu włościan. Księża, albo członkowie Towarzystwa, przy doręczaniu nagrody przemawiali, zachęcając do pracy, nauki, dobrych obyczajów, i oświadczali się z uczuciami braterskimi dla stanu włościańskiego. Udatniejsze mowy Krajewski przytoczył.

W roku 1859, oprócz układania protokołów dla Komitetu i Redakcyi, co było obowiązkiem referenta (tom 34, str. XVIII), Krajewski zajmował się pilnie układaniem takiego „Elementarza dla chłopców wiejskich”, któryby jak najprzystępniej podał im umiejętność czytania, a zaraz potem wprowadził do ich duszy pierwiastki wykształcenia religijnego i zawodowego. Sam tedy z głębokim namysłem i dużym zasobem swego doświadczenia pedagogicznego, dobrał pięć gatunków abecadła, sześciorakie kombinacje zgłosek, od dwu do pięcioliterowych, i tyleż gromad wyrazów od jedno-



syłabowych do pięciosyłabowych. Załatwił się z tem zadaniem na dwudziestu czterech stroniczkach druku, stopniowo zmniejszanego. Na stroniczce dwudziestej piątej każe już modlić się. Winiетка, przedstawiająca dziecię ze złożonemi rączkami, wśród obłoków, ale bez skrzydeł, daje poglądowe wyobrażenie pobożności. Druga winiетка, przedstawiająca dwie tablice przed tarczą słoneczną, krzyż, węża i dwie główki aniołków, także nad obłokami, wrażała w pamięć wyrazy „Składu Apostolskiego” i „Dziesięciorga Przykazania”. Kilka modlitw prostych, a głęboko odczuty, jak mi się zdaje, napisał sam Krajewski prozą, na str. zaś 39 i 40 zapoznał uczniów swoich z mową wiązaną, drukując, w postaci wierszy, znane, drogie całemu narodowi „Pieśń Poranną” i „Wieczorną”. „Krótki zbiór katechizmu” (str. 40 — 65) jest wystylizowany w możliwie najzrozumialszych wyrażeniach. Następny dział pod winiетką, przedstawiającą narzędzia rolnicze, zawiera: „Prawdy gospodarskie, przez starych gospodarzy na pytania i odpowiedzi ułożone, Żeby młodzi tak robili, Jak to starzy uradzili”. Jest to arcydzieło etyki i agronomii wieśniaczej. W sześćdziesięciu sześciu zapytaniach (str. 60—89) są poruszone pojęcia o pracy rolniczej „dla siebie samego” i „dla wszystkich”, na własnem gospodarstwie i w służbie, o „starym zwyczaju” i „czemś nowem”, o gnojeniu, oraniu, bronowaniu, siewie zbóż i traw pastewnych, zwłaszcza koniczyny, o szkodach w zbożu, łąkach i lesie, o porządku w chałupie i na podwórku, o stosunkach z sąsiadami, o jeźdźeniu na targi i jarmarki, o chodzeniu do ochronki, albo szkółki „gdzie tylko jest”. Niektóre sięgają poza wiek „chłopców”, zapewne w przypuszczeniu, że przetrwają w ich pamięci do wieku dojrzałego, kiedy zostaną gospodarzami, kiedy będą mieli „dzieci i czeladź”, i będą ulegali pokusie jeźdźenia „z byle ćwiartką zboża” na jarmarki. Odpowiedzi są krótkie, cięte i kończą się najczęściej przysłowiem, wziętem z ust ludu, albo skomponowanem stylowo i w wierszowaną formę ujętem.

Oto parę przykładów:

#### 40.

- P. Czy można koniczynę w pierwszym roku przed zimą kosić, lub pasać?  
 O. Nie można; bo jak zima nastąpi ostra, to koniczynę wymiazi:

Na zimę z koniczyny,  
 Jak z dziecińcy,  
 Nie zdejmuj pierzyny.

## 62.

- P. A czy to poczciwie i po sąsiedzku łamać cudze płoty i wyciągać kołki na ogień?  
 O. Strasznie niepoczciwie; bo to już początek złodziejstwa:

Od kołeczka  
 Do snopeczka.  
 Od snopeczka do komory,  
 Od komory do obory —  
 Od obory do koniczka —  
 A na końcu i do stryczka.

## 66.

Odpowiedź na ostatnie pytanie o nauce w ochronkach, lub szkołkach, kończy się następnym czterowierszem:

Z uczciwością, przy rozumie,  
 To człek biedy się nie boi.  
 A niech jeszcze czytać umie:  
 Siła rzeczy w książkach stoi

Ten znakomity rozdział wytworzył się z narad i z pracy zbiorowej. Krajewski w pomienionej notatce swojej zapisał: „Prawd domowych i gospodarskich w obu tych wydaniach (to jest w „Elementarzu dla chłopców wiejskich“ i w „Upominku dla dziewcząt wiejskich“, wydanych w roku 1860 pod imieniem Seweryny Pruszkowej, 2-o voto Duchnińskiej) byłem głównym redaktorem raczej, niż autorem. „Prawdy“, do „Elementarza“ przez J. K. Gregorowicza, a do „Upominku“ przez p. Pruszkową pierwiastkowo ułożone, zostały przeze mnie, według wskazówek Wydziału Wydawniczego w Komitecie Towarzystwa Rolniczego, zupełnie prawie przerobione“<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Zachował Krajewski obadwa rękopisy „Prawd“ z „Upominku dla dziewcząt“. W pierwotnym widzimy, że Pruszkowa napisała siedmdziesiąt trzy pytania z odpowiedziami, wzorując się na „Elementarzu dla chłopców“. Przy łatwości wierszowania i dużem uzdolnieniu poetyckiem stworzyła

Na ostatnich trzech stronicach mieszczą się: „Tabliczka mnożenia” i „Liczby rzymskie”, z podpisanymi arabskimi, od 1 do 1,000. Nie zgodziłbym się na takie traktowanie rachunku. Żądałbym przedstawienia czterech działań arytmetycznych w tabliczkach, albo przynajmniej tabliczki dodawania, jako działania najprostszego i najłatwiejszego przed mnożeniem. Przypuszczam, że Krajewski tabliczką swoją chciał wesprzeć niedostateczną biegłość rachunkową nauczycieli wiejskich i ochroniarek.

Bez ich pomocy i ciężkich mozołów nie mogli też chłopcy wiejscy osiąść sztuki czytania, opartej na sylabizowaniu. Tę największą trudność uprzętnął, i czytanie wraz z pisaniem uprzystępnił samoukiem Promyk (Prószyński). Dopóki jednak nie ukazała się wynaleziona przez niego metoda, „Elementarz dla chłopców wiejskich”, wydany nakładem Towarzystwa Rolniczego w roku 1859, był niewątpliwie najlepszym ze wszystkich, jakie od czasów Jakóba Parkosza z Żórawicy i Stanisława Zaborowskiego, to jest od XV-go wieku, w Polsce

---

ona kilka miłych obrazków wiejskiego życia, jak na przykład dobrej gospodyni:

Gdy w podwórku stanie,  
Na jej zawołanie  
Lecą z każdej strony  
Kury i kapłony,  
Wieprze i prosięta,  
Kaczki i kaczęta,  
I gąski też z wody  
Lecą jak na gody.

A ona każdemu  
Rada po swojemu:  
Tym garstkę pszenicy,  
Tym zielska z donicy,  
Tym sypnie po trochu  
Kartofli i grochu.

Albo: wieczór zimowy:

Chociaż na świecie  
Szumią zamiecie,  
Pod strzechą niską  
Płonie ognisko  
Kółka warkoczą,  
Pieśń brzmi ochoczo,

I przy kądzieli  
Wszyscy weseli,  
A czas rodzinie  
Jak woda płynie,  
I wciąż przybywa  
Nitki przedziwa.

Takie klejnociki pozostawił Krajewski bez zmiany: lecz aforyzmy, które nie miały zwięzłości i trafności przysłów ludowych, odrzucał albo przerabiał, prozę przestyliizował, kilkanaście numerów opuścił, a kilkanaście inaczej usystematyzował, doprowadzając do ściślejszej zgodności z pierwowzorem. Przeróbki te wykonał nie na rękopisie autorki, lecz przepisując od początku do końca własną ręką. Mylnie więc Bibliografia Estreichera przyznała Pruszkowej autorstwo całego „Upominku”.

wychodziły. Krajewski, nie podpisując się ani jedną literą, uczynił wszystko, co było w jego mocy, żeby go doprowadzić do stopnia doskonałości tak w treści, jak formie zewnętrznej: dopilnował drukarni (Burskiego), że odbiła bez żadnej absolutnie pomyłki, oprócz tytułu dał sztywną okładkę i wybił na niej cenę: groszy 10 (kop. 5). W trzecim wydaniu, z roku 1862, nakładem Gebethnera i Wolffa, zrobił kilka poprawek i dodał czytankę na dwunastu stronicach (23 — 44), złożoną z artykułików o tem: jak się uczyć czytania? Na co się przyda czytanie i pisanie? O pięciu zmysłach i o duszy, oraz siedm bajek Krasickiego. Ta sama firma księgarska wypuściła w końcu tegoż roku wydanie „nowe” czwarte, później wiemy jeszcze o dziewiątem, w roku 1879.

Rozumie się, że wychodziły jednocześnie inne elementarze — np. cztery w roku 1862. Autorka jednego z nich, pani L. M., zachwalając własny, zganiała w czambuł „wszystkie”, jako „niepraktyczne, nudne i celowi nieodpowiadające”. Krajewski oświadczył, że nie będzie się z nią o to spierał, ale „wolno mu jej własną pracę ocenić”. I wytknął mnóstwo niedorzeczności najprzód w oddzielnej recenzji („Gazeta Polska”), a potem w obszernym przeglądzie całej literatury ludowej, pod tytułem: „O p i s m a c h e d u k a c y j n o - l n d o w y c h w r o k u 1862” („Roczniki Gospodarstwa Krajowego”, tom 56, styczeń i luty, 1863). Jest to studjum gruntowne. Kilkadziesiąt pism, wydawanych w tej „części kraju, którego Warszawa jest środkiem”, Krajewski podzielił na pięć grup, poczynając od elementarzy, a kończąc na peryodycznych („Czytelnia Niedzielnej” i „Kmiotku”); o każdym wydał sąd mądry, zaprawiony nieraz dobroduszną ironią. Tak na przykład w elementarzach wytykał „jałowość, a często i dziwactwo frazesów”, dobieranych „nie dla wyrażenia jakiejś myśli, ani przedstawienia jakiegoś obrazu, lecz dla stopniowej wprawy w czytanie”, i porównał je z dawnym sposobem uczenia ábécadła: „Adam Babie Cebulę Daje Ewa Figi Gryzie” i t. d. W dziale III-cim, naukowym, znalazło się ośm książeczek, wydanych „staraniem” „Biblioteki Warszawskiej”. Nie krępując się tak przyjaznym stosunkiem z jej Redakcją, zganil „Pierwsze wojny krzyżowe”, ponieważ uznawał „wystawianie krucyat, jako rzeczy, bezwarunkowo chwalebnej... a islamizmu, jako produktu li tylko oszustwa i ciemnoty” za naukowe anachronizmy. Gdy zaś i korektę we wszystkich prawie tych książeczkach znalazł niedbałą, wystosował do Redakcyi taki morał: „Pomimo bezinteresowność przedsięwzięcia, wyraz „staraniem”, na okładce książeczek zamieszczony, nader ograniczone ma znaczenie. Zdarza się to, częściej pewno, niż gdzieindziej, w narodzie naszym, mającym gust do cuót wielkich, a nie lubiącym i nie umiejącym praktykować drob-

nych, że bezinteresowność ze starannością w parze nie chodzi, a służy nawet za pozór i wymówkę do uwolnienia się od tej ostatniej". W dziale IV-ym, obyczajowo-moralnym: „Rozmowy starego Wojciecha z ludem wiejskim o Dziesięciu przykazaniach Boskich” przez ks. Osieckiego, zalecały pożyczanie pieniędzy bez procentu, albo przynajmniej koutentowanie się pozwolonym przez Kościół piątym procentem. Krajewski na to: „Nie lepiej było wykazać różnicę dwóch odmiennych rzeczy, nauczając naprzykład, iż pożyczka ubogiemu sąsiadowi, nagłą przyciśniętemu niedolą, pożyczka na zaspokojenie pierwszych potrzeb życia, słowem, nosząca charakter wsparcia, nie tylko pięciu, ale żadnych zgół procentów przynosić nie powinna; gdy przeciwnie, skoro się zaopatruje drugich w narzędzia pracy, w środki i zasoby, mające posłużyć do polepszenia ich bytu, do ciągnięcia większych korzyści z gospodarstwa, dopieroż do obrotów i przedsiębiorstw zyskowych, nie słusniejszego, jak podział korzyści i zysków między użyczającym środków i posługującym się temiż środkami, który to podział wypada dla pierwszego z nich w formie procentów, i nie koniecznie pięciu? Wystawianie ludowi wiejskiemu procentów, jako korzyści, ledwie że dozwolone; a w gruncie nagannej, prowadzi tylko do bezużytecznego zakopywania oszczędzonych pieniędzy i do większej jeszcze twardości w stosunkach, zatem krzywdy uboższych i pracowitszych, gdy utrudnia pomoc bogatszych. Co więc społeczność wiejska straci pod względem ekonomicznym, tego pod moralnym, oczywiście, nie odzyska”. To jedno zastrzegłszy, uważamy zresztą „Rozmowy” za bardzo dobrą dla włościan książkę, która w najmniejszej nawet czytelnicy wiejskiej znajdować się powinna”. — Dramacik „Gorzalka” przez Góralczyka (W. L. Anczyca), nastęrczył Krajewskiemu myśl o wystawieniu go na jakiej improwizowanej wiejskiej scenie. Odzywał się tedy „do majątniejszych ziemian, aby zechcieli odżalować trochę wydatku i poświęcić trochę zachodu na urzeczywistnienie tej myśli... Nie radzimy, aby pijaństwo tylko miało być przedmiotem scenicznych dla ludu widowisk: przeciwnie, niech go tam jak najmniej będzie; ale sam rodzaj rozrywki takiej, z początku bezpłatnej, może intelektualne potrzeby obudzić, uszlachetnić smak i obyczaj”.

Nakładem Towarzystwa Rolniczego wyszły, oprócz „Elementarza” i „Upominku”, „Rady gospodarskie” przez Adama Goltza, „Chrzcziny u wójta”, „Objaśnienia, przydatne dla włościan w ich obecnych stosunkach”, „Krótki zbiór historii polskiej”, „Krótka nauka o ziemi i świecie”, „Wiejskie pogadanki niedzielne”. Wszystkie one w rękopisie przechodziły zapewne przez ręce Krajewskiego.

Nie czytałem jego: „Myśli o rozpowszechnieniu piśmiennosci pomiędzy ludem wiejskim“ (w „Rocznikach Gospodarstwa Krajow.“, 1862, styczeń): ale mniemam, że omówione już prace wystarczą do wyrozumienia, jak żywo zajmowała go dola włościan. Wspomnieć jeszcze winienem, że dostarczył niemało artykułów do „Czytelnicy Niedzielnej“ w latach: 1861, 1862, 1864: „Węgry“, „Włochy“, „Szwajcarya“, „Pierwotne sposoby mierzenia czasu“, pomijając drobniejsze, i że drukował w „Tygodniku Ilustrowanym“, w 1861 roku, w № 98, artykuł, pod tytułem: „Od czego się ma ukształcenie ludu wiejskiego zaczynać?“. (Odpowiedź: od zakładania szkółek do nauki czytania i pisania, co musi być „krokiem obowiązkowym“ dla każdego właściciela i dzierżawcy wsi).

W biurze miał Krajewski inne jeszcze zajęcia. Pisał: „Wiadomości o konkursach okręgowych rolniczych“ (1860), protokoły posiedzeń 2-go i 4-go Sekcyi Ogólnej (1861), jako „sekretarz“ jej i „członek Towarzystwa“ („Roczniki Gospodarstwa Krajowego“, tom 38, str. 139; tom 43, str. 127, 140), i prowadził wydawnictwa naukowe, które nabawiały go czasem niespodziewanych kłopotów. Tak naprzykład, dawał tłumaczenia z języków obcych Lewestamowi. Ten zastrzegł sobie wypłaty częściowe za każdy zeszyt rękopisu. Krajewski płacił i chował zeszyty, odkładając czytanie ich do chwili zakończenia dzieła. Gdy chwila ta nadeszła, przekonał się ze zdumieniem, że posiada jeden zeszyt, przepisany kilkanaście razy! Sprawy nie wytoczył, ale robotę opłaconą musiał sam bezpłatnie odrobić. Na własną zaś rękę przetłumaczył i przypisami statystycznymi co do Królestwa Polskiego uzupełnił dzieło Leoncyusza de Lavergne: „Obraz gospodarstwa wiejskiego w Anglii, Szkocyi i Irlandyi“, wydane oddzielnie, oraz: „Gospodarstwo wiejskie w Belgii“ i „O zarządzie prowincjonalnym w Anglii“ do „Roczników Gospodarstwa Krajowego“ w roku 1862, za maj, sierpień, wrzesień, październik i listopad.

Tak od poetów, od najwyższych zagadnień sztuki i filozofii przeszedł Krajewski swobodnie i raźnie do interesów materyalnych i do najpraktyczniejszych spraw społeczeństwa. Napisał nawet „Kilka słów o żebractwie“, żeby za pośrednictwem „Tygodnika Ilustrowanego“ (1861, № 101) zaproponować „przyszłej radzie miejskiej“ sposoby uwolnienia ulic Warszawy od tej plagi, „która dotyka najbardziej osoby litościwe, a bez bez sumienia uczucia ich wyzyskując, odwraca ich zasoby od trafniejszego użycia“.

Wśród tyłu zatrudnień zaskoczyła go niemiła przygoda. Na skutek podejrzenia, że był redaktorem tajemnie drukowanego czasopisma „Sternik“, został przez władzę administracyjną wysłany do Tambowa w styczniu 1862 roku. Dowiedziawszy się o tem Katkow, redaktor „Russkiego Wiestnika“, znający go z chwilowego pobytu w Warszawie, przesłał mu zaraz rubli sto przy wyrazach współczucia. Wstawiennictwo wpływowych osób przyspieszyło wykrycie pomyłki, i po czterech miesiącach Krajewski wrócił. Już dnia 4 czerwca mógł odebrać sto rubli Katkowowi <sup>1)</sup>.

Wrócił też do używania swoich praw obywatelskich i chętnie podejmował się żądanych od niego usług publicznych. Magistrat miasta Warszawy (wydział skarbu) odezwą z dnia 18/30 czerwca 1862 roku za № 23,946, powołał go do komitetu VII-go, który, wraz z sześcioma innymi komitetami, miał „z badać wszelkie interesa miejskie, przygotować sprawozdania, interesów tych dotyczące, tudzież projektować Radzie miejskiej zmiany i ulepszenia... pod względem gospodarczym“. Wskutek tego zaproszenia, Krajewski uczestniczył w pracach VII-go Komitetu Rady Miejskiej Warszawskiej w miesiącach czerwcu i lipcu 1862 roku, a mianowicie: odbywszy wizytę wszystkich szkółek elementarnych, kosztem miasta utrzymywanych, łącznie z Kaszewskim i Natansonem, wygotował raport do Ra-

---

<sup>1)</sup> Niniejszem prostujemy niedokładną opowieść o tym wypadku Miłkołaja Was. Berga, zamieszczoną w jego „Zapiskach“ (wydanie krakowskie tom II, str. 147). Czytamy tam: „W końcu stycznia 1862 roku głównych przywódców aresztowano i wywieziono w głąb Rosyi... Henryk i Aleksander, bracia (nie! nawet nie krewni) Krajewscy w początkach marca (nie!) zostali zesłani do Wiatki (?), jednakże, wskutek różnych starań, zatrzymano ich w Moskwie, a po dwóch miesiącach internowano w Tambowie, gdzie pozostawali do czerwca (nie!) 1862 roku. Następnie, za wstawieniem się hr. Błudow, proszonej o to przez Wielopolskiego (??), ułaskawieni wrócili do Warszawy“. Tenże Berg pisał w „Russ. Archiwie“ (1873, II, str. 2,005), że Krajewski był „głową stronnictwa Sybiraków“ i że wrócił w 1863 roku „pod protekcją arystokratów“. Sam Krajewski opowiadał mi dnia 16 lutego 1902 roku, że do redakcyi „Sternika“ nie należał, że wstawił się za nim arcybiskup Feliński, i że wydalenie jego z Warszawy trwało cztery miesiące, a więc do końca maja zapewne. Mamy też przed oczyma kwit pocztowy № 4 z podpisem urzędnika Kuhna, poświadczający, że sto rubli pod adresem p. Katkowa w Moskwie przyjęto w Warszawie dnia 4/6 1862 roku. Co do udziału hrabiny Błudow nie mam informacji; przypuszczam, że o wstawiennictwo mógł ją prosić arcybiskup Feliński.

dy o ogólnym tych szkółek stanie, z wnioskiem zwiększenia liczby takowych do dwudziestu czterech, oraz projektem nowego etatu na rok 1863. Następnie przejrzał akta i rachunki Wydziału kontroli służących, i w oddzielnym referacie podał wnioski swoje w tym przedmiocie, głównie zaś zniesienie zupełne rzezonego biura, zredukowanie opłaty od sług do połowy, odmienny onej pobór w biurach cyrkulowych za pośrednictwem marek (myśl Natansona) i przeznaczenie na szpitale, celem bezpłatnej kuracji sług i wyrobników. Komitet VII-my zaaprobował oba referaty. Bruliony ich przechowały się.

Do działalności politycznej nie czuł się zdolnym i nie brał w niej żadnego udziału. Jednakże wypadki polityczne zrzuciły dotkliwie pogorszenie w jego bycie. Nie miał już ulubionego biura i przywiązanej do niego pensyi. Towarzystwo Rolnicze, rozwiązane dnia 6-go kwietnia 1861 roku, zakończyło swoją likwidację; ustała więc i wydawnicza jego praca. Od 1-go stycznia 1862 roku „Roczniki Gospodarstwa Krajowego“ zaczęły „nowy peryod swego istnienia (trzeci) za staraniem nowozawiazanej Spółki i jej nakładem“. Spółka ta i reprezentująca ją Redakcyja „widziała to dobrze, jaki ciężar bierze na siebie“ (tom 46, str. 1). W istocie zdołała dźwigać ten ciężar tylko do połowy 1864 roku. Krajewski po powrocie wstąpił do Redakcyi i pracy dla niej nie żałował. Tłómaczył z dodaniem przypisów „Gospodarstwo wiejskie“ w Szwajcaryi, potem w Niderlandach, i opracował oryginalnie dwie cenne rozprawy. Rozważając „Przymus i dowolność w nauce elementarnej“ (tom 51, str. 216—236), zapatrywał się na Prusy, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Portugaliją, Francję, Holandję, Belgię i Anglię, a najpilniej na dyskusję odbytego w Londynie, w 1861 roku, kongresu międzynarodowego dobroczynności, pod prezydencyą hr. Shaftesbury. W głosach przeciwników przymusu szkolnego podnosił obronę władzy rodzicielskiej, która „jest jedną z podstaw familijnego, a więc i społecznego bytu. Kierunek wychowania dzieci niezaprzeczenie do tej władzy należy, jak z drugiej strony przechowanie w dzieciach własnej religii, wszczępienie im własnych pojęć, zasad, uczuć, powtórzenie niejako samych siebie w potomstwie, stanowi nieposlednią serc rodzicielskich uciechę, zalicza się do nagród za prace, za przykrości i koszta wychowania, rodzicom szczególnie miłych. Oczywista więc rzecz, iż pociąganie dzieci pod kierunek, a choćby tylko pod wpływ, rodzicom wstrętne, niesympatyczne, obce, staje się nadwężeniem ich władzy i powagi, zakłóceniem ich spokoju, przyczyną zubożnienia rodzinnych uczuć, zarzewiem nienawiści i walki między klasami i żywiołami społecznymi“. Ale nie odmawia też słuszności stronnikom przymusu, którzy twierdzą, iż władza społeczna obowiązana jest za-



radzić złemu, które społeczności dolega; ma też prawo i powinna zmusić do dobrego w wielkich celach użyteczności powszechnej. „Ciemnota niedoli własnej nie ocenia, dobrodziejstw oświaty częstokroć nie pojmuje, ani przeczuwa, gdy takowe, zwłaszcza bezpośrednim, codziennym interesom i dogodnościom materialnego bytu czasowo zawadzają“. Przytoczywszy instrukcję ministeryalną pruską z dnia 18 marca 1845 roku i, przymierzając ją do stosunków krajowych, zapytuje: „jakby się temu ludowi wydały w dzisiejszym stanie jego pojęć owe kwartalne, miesięczne, tygodniowe kontrole, awizacye i protokólarne objaśnienia, decyzye i apelacye, monita i egzekucye kilkogroszowych strofów etc. — i to wszystko z tytułu posyłania dzieci do szkółki? Byłoby to wykonalne z naszym charakterem i obyczajami? Anglia, Francya, Belgia, Holandya, państwa Skandynawskie, przymusu nie wprowadzały nigdy, w Ameryce dziś odwoływać się doń już niema potrzeby: „tak jest powszechne w całej masie ludności uznanie oświaty i praktyka uczenia elementarnego, tak liczne zresztą i dostępne po temu środki“. Co do kraju naszego, „nie odrzucając absolutnie zasady przymusu“, Krajewski wskazuje na „pole działania dobrowolnego tak obszerne, iż na długie lata zająć może dużo dobrych chęci, usiłowań i inteligencji“, a kończy życzeniem: „abyśmy co najprędzej w tak dobrem znaleźli się położeniu pod względem środków oświecania mas, iżby na prawdę o użyteczności przymusu do nauki po wszystkich wioskach naszych mówić można było“.

„Widoki przyszłości ekonomicznej dla Izraelitów polskich“ (t. 53, sierpień — wrzesień, 1853) były napisane w odpowiedzi na wezwanie „Jutrzenki“ do Redakcyi „Roczników“ wystosowane w kwestyi osiadania Izraelitów na koloniach wiejskich i zwrócenia ich działalności do rolnictwa. Krajewski wziął za punkt wyjścia postanowienie o kolonizacyi Żydów na gruntach rządowych, obmyślane gruntownie i wprowadzone w wykonanie przez Tadeusza Mostowskiego, ministra spraw wewnętrznych, pospołu ze Stanisławem Staszicem, radcą stanu; w trzecim dziesięcioleciu XIX-go wieku; wyliczył wszystkie osady żydowskie, jakie istniały od roku 1844 do 1850; potem przytoczył liczbę gospodarzy (1345) i osób (8,927) w roku 1861, a tą drogą doszedł do wniosku, że ta ostatnia liczba „jest bardzo małą i prawie nic nie znaczącą, bo, w stosunku do ogólnej ludności Żydów, ledwie do 1% dochodzi. Wspomina o bezskutecznych próbach, czynionych w Belgii i Holandyi, oraz o projekcie, ułożonym przez marszałka Bugeaud, dla ulgi pauperyzmu francuskiego. Nie pominął też kombinacyi rachunkowych. Odpowiedź z całego operatu wypadła negacyjna. Lepsze widoki wskazał Kra-

jewski Żydom w zawodach rzemieślniczych i fabrycznych, zalecając przytem oświatę.

Był to ostatni głos jego w sprawach społecznych. Umilkł, ponieważ nikt jego zdania lub rady nie szukał, on zaś sam nie dostrzegał żadnej sposobności do wpływania na życie praktyczne. Gdy „Roczniki Gospodarstwa Krajowego“ upadły, przeniósł się od dnia 1 lipca 1864 roku do „Gazety Polskiej“, której redaktorem był dawny i dobry jego znajomy z lat młodzieńczych, Józef Sikorski, a wydawcą bankier, Leopold Kronenberg. Odtąd Krajewski staje się zupełnym anonimem dla szerokiej publiczności. Wyrabia w dziale politycznym powszednie, codzienne wiadomości o wypadkach, zachodzących gdzieś za granicą. Z popędu dziejznawczego tworzy czasem ogólniejsze przeglądy, lecz po wydrukowaniu znajduje na nich napis: „Madryt“, „Paryż“, „Londyn“ i t. p., dla nadania im cech korespondencji z miast, w których nigdy za życia swego nie był. Z właściwą umysłowi swemu gruntownością gromadzi dane statystyczne i studjuje obroty finansowe, szczególniejszej kredytowe, wielkich mocarstw. Pisuje też recenzye, lub sprawozdania o wybitniejszych dziełach z literatur krajowych i obcych, lecz te nikną w kupach plew dziennikarskiego młyna. Najpilniejszy bibliograf nie zdoła odgrzebać śladów jego pióra. W sędziwym wieku, domierzając ósmego krzyżyka, sam Krajewski spisał dla własnej ciekawości regestrzyk swoich artykułów, lecz i ten dokładnym nie był: pominięte są naprzykład przeglądy finansowe, które stanowiły ozdobę tygodniowych dodatków aż do roku 1876, i mają wartość trwalszą, jako wyborny materiał do historii finansów europejskich <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Przytaczamy z tego regestrzyku artykuły, zamieszczone w „Gazecie Polskiej“:

- Rok 1864 № 25: „Statystycy warszawskich gazet“.  
 „ „ „ 291, 292: „Kraje nad La Plata“ (tłómaczenie).  
 „ 1864 „ 17, 18, 19, 20: „Żyjątko i rośliny mikroskopijne“ (z „Revue d. 2 Mondes“).  
 Rok 1865 № 75: „Historia Żydów w Polsce Kraushara“ (recenzja).  
 „ „ „ 92, 93: „Kongres południowo-amerykański“ (z „Revue d. 2 Mondes“).  
 Rok 1865 № 98: „Przygotowanie do Korneliusza Neposa“ (recenzja).  
 „ „ „ 123: „Historia Powszechna“, Duruy, tom pierwszy (recenzja).  
 „ „ „ 158: „Gramatyka łacińska“ Jerzykowskiego (recenzja).  
 „ „ „ „ „Nekrolog Fryderyka Skarbka“.

Jako stały współpracownik, pobierał Krajewski 1,080 rubli pensyi rocznej (oprócz honorarium za artykuły nieobowiązkowe), i ta wystarczała mu na życie, urządzone oszczędnie na Lesznie w trzech

- Rok 1863 № 207, 208: „Historia handlu“ przez Gąsiorowskiego (recenzja)  
 „ „ „ 274, 275, 278, 295: „Szkoła polska nar.“, przez Supińskiego (recenzja).
- Rok 1866 № 72, 73: „Lekeye publiczne“.  
 „ „ „ — O Towarzystwie Kredytowem Ziemiem przez Czarwińskiego (recenzja).
- Rok 1866 № 218: „O postępie wyobrażeń w umiejętnościach przyrodniczych (z Liebiga).
- Rok 1866 № 218: „Studia ekonomiczne“ Trepki (recenzja).  
 „ 1867 „ 1: „Historia Powszechna“, Duruy, tom drugi (recenzja).  
 „ „ „ 31: „Teorya poezyi“ Antoniego Bądzkiewicza (recenzja).  
 „ „ „ — „Dziennikarstwo w Anglii i dawne polskie pisma peryodyczne“.  
 „ „ „ 244: „Metoda Ollendorfa“ (recenzja).  
 „ „ „ — „Don Karlos“ przez Karłowicza (recenzja).  
 „ „ „ 265: „Złoty młodzieniec“ przez Bogusławskiego (recenzja).  
 „ 1868: „ 12: „Gramatyka niemiecka“ Sikorskiego (recenzja).  
 „ „ „ 146: „Biblioteka Warszawska w pierwszym półroczu 1868-go roku“ (recenzja).
- Rok 1868 № 176: „Ilość ubogich w Anglii i w Warszawie“.  
 „ „ „ 209: „Przewodnik wychowania“ przez Wernica (recenzja).  
 „ 1869 „ 239: „Szkice ekonomiczne“ Wzdulskiego (recenzja).  
 „ 1870 „ 93: „Posłańcy publiczni“.  
 „ „ „ 275: „Studia nad podatkiem dochodowym“ przez Bielińskiego (recenzja).
- Rok 1871 № 90: „Ekonomista“ za pięć kwartałów (recenzja).  
 „ „ „ 226: „Meteorologia“ Pietkiewicza (recenzja).  
 „ „ „ 129 sqq.: „Dzieło Darwina o pochodzeniu człowieka“ (tłómaczenie).
- Rok 1877 № 165: „Reineke Lis“ w tómaczeniu Jenikego (recenzja).  
 „ 1880 „ 282, 286: „Zamierzenia budżetu Warszawy na rok 1881“.  
 „ 1888 „ 168: „Gramatyka polska dla Niemców“ Manassewitsch'a (recenzja).
- Rok 1892 № 7: „Grafologia“ (recenzja).  
 „ 1893 „ 129: „Słownik języka Kaszubów“ przez Ramultra (recenzja).  
 „ 1895 „ 40: „Die letzte polnische Königswahl“ przez Askenazego (recenzja).

pokoikach z przedpokojem i kuchnią, w domu pod № 730 (dzisiejszym policyjnym 13) przy mostku ze sfinksami, który znikł już po zniwelowaniu wzniesionego niegdyś ponad poziom ulicy chodnika. Osamotniony po stracie matki, pozyskał dozągodną towarzyszkę w Helenie Annie Biernackiej. Ślub odbył się dnia 19 marca 1858 roku w kościele świętego Krzyża, w przytomności świadków: Mieczysława Wyrzykowskiego, adwokata, i Aleksandra Rodkiewicza, kupca. Był wówczas w sile wieku (w czterdziestym dziewiątym roku życia), zdrowy, krzepki, spokojny, systematyczny w każdym poruszeniu, w ubiorze nie stosujący się do zmian mody, wyróżniał się zatem z tłumu na ulicach Warszawy czapką i bekieszą w zimie, algierką i słomianym kapeluszem w lecie. Krażyły nawet anegdoty, jak naprzykład o zamiarze jechania do ślubu omnibusem, gdy wynajęcie karety zdawało mu się wydatkiem zbyt kosztownym. W rzeczywistości poprowadził pannę młodą z pobliskiego mieszkania jej wujowstwa piechotą, a do domu swego przywiózł dorożką. W salonie zwracał uwagę jego tużurek ciemnozielony, krojem przypominający krawców z połowy zeszłego stulecia, ale tak czysty i świeży, jak gdyby wczoraj wyszedł z pracowni. Bo Krajewski wcale nie myślał o robieniu efektu jakąkolwiek oryginalnością; przeciwnie, dbał o to, żeby ukazywać się ludziom przyzwoicie, z zachowaniem słusznych wymagań kodeksu towarzyskiego: więc w przedpokoju porządkował zwykle włosy ręką, poprawiał kołnierzyki i chustkę czarną jedwabną na szyi, damom przedstawiał się w rękawiczkach głansowanych, ale ciemnych; tylko fraka nie używał nigdy i nie miał go w garderobie swojej. Stosował on wyrozumowaną swoją zasadę praktykowania „małych cnót” obok wielkich, gdy uprawiał wszędzie rozsądną oszczędność. Spostrzegłszy

---

Rok 1895 № 253: „Kartka z dziejów oświaty w Polsce” przez Konica (recenzja).

Rok 1895 № 268: „Przytułek dla rzemieślników”.

Wymienił jeszcze Krajewski kilka recenzji i artykułów tłómaczonych, jakie zamieścił w „Bibliotece Warszawskiej”: 1865, 1869 i 1888; parę artykułów finansowych w „Ateneum”: 1877, 1880 i w „Słowie” 1887 (№№ 114, 115, 140, 141, 143, 145, 147, 157, 158, 159), ale zapomniał o pierwszym tomie „Encyklopedyi Rolniczej” (wydanym w roku 1872), gdzie napisał pracowity artykuł pod tytułem: „Ocena zbóż i innych produktów rolniczych”, z tablicą cen pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa, grochu, gryki i kartofli na targu warszawskim od roku 1805 aż do 1871, i na targu gdańskim, 1860—1871, oraz drzewa w Gdańsku i kuchów olejnych.

raz, że zamykam zegarek, naciskając kopertę, dał mi naukę, że trzeba przyciskać poprzednio główkę sztyftu dla zaszanowania sprężyny.

Osiągał stąd widoczne korzyści. Pieniądze sporzyły się dziwnie w jego ręku. Wpływy z miesiąca stycznia wydatkował zwykle w marcu i t. d. W skromnym budżecie swoim zamieszczał pewną sumkę na teatr, na koncerty Towarzystwa Muzycznego i na Dolinę Szwajcarską, lubił bowiem muzykę, a latem, ponieważ nie wyjeżdżał ani za granicę, ani na letnie mieszkanie, szukał ochłody wieczornej wśród roślinności. Zdarzyło się czasem, że tę sumkę oddał biedakowi. Stawił czoło nawet nadzwyczajnym wydatkom, jak naprzykład po ogłoszeniu pierwszych zapisów na akcje Banku Ziemińskiego w Poznaniu, przyłączył się do gromadki, tworzącej spółkę, i złożył część swoją w kwocie dwudziestu pięciu rubli; potem nabył jeszcze jakąś część drugiej akcji, i cieszył się, że dostał kiedyś jednego rubla dywidendy.

Chętnie przyjmował zaprosiny i bywał na zebraniach towarzyskich, zarówno u mężczyzn, jak u dam, naprzykład u pani Ilnickiej. Weredyk, nigdy nie posługujący się komplementami, wcale nie giętki i nie układny w ruchach, odstraszał ludzi światowych przy pierwszym spotkaniu. Pewien cudzoziemiec, popatrzwszy się na niego, określił swoje wrażenie wykrzyknikiem: „Wspaniała skamieniałość!” Kto zaś miał czas na dłuższą obserwację i przysłuchiwał się rozmowie, przekonywał się wkrótce, że ta posągowa postać posiada umysł otwarty na wszelkie wrażenia doby współczesnej, delikatność najwyższej kultury obyczajowej i czułość serca godną poetów idealistów. Bogactwo wiedzy i doświadczeń, doskonała pamięć, dobrotliwy humor i dar interesującego opowiadania, zjednały mu sympatyę i podziw słuchaczy.

Przyjmował też gości u siebie stale, przez cały rok, wieczorami co piątek, potem co drugą sobotę. Poczęstunek składał się z herbaty, bułek, masła, sera i słodkiej babki. Około północy gospodarz wynosił karafkę „gorzałki” i proponował każdemu spory kielich. The great attraction biesiady była pogawędka szczera i poufała. W latach 1869—1880 gości takich bywało dosyć do zapełnienia małego saloniku i jeszcze mniejszego gabinetu: adwokat Wyrzykowski, odznaczający się wymową i dowcipem; Ant. Wałęcki, znakomity przyrodnik, kustosz gabinetu mineralogicznego przy Uniwersytecie; Szymon Tokarzewski, Eugeniusz Zmijewski, poeta za młodu, wówczas urzędnik jakiejś drogi żelaznej; Surzycki, dawniejszy żołnierz z Kaukazu, wówczas inżynier, zajęty przy budowie zjazdu i mostu Kierbedzia, Michał Gruszecki, ziemianin, wówczas pracujący w redakcji „Gazety Polskiej”; Rodkiewicz, kupiec, utrzymujący skład narzędzi rolni-

czych; Pióro, dependent w kancelaryi regenta itp. Wszyscy byli na „ty“ z gospodarzem i pomiędzy sobą; wszyscy mieli mniej więcej ubielone wiekiem głowy, dużo wspomnień i zgodne zasady sądów o ludziach i rzeczach, ale wszyscy znajdowali się na wokandzie do Najwyższego sędziego. Co rok prawie któryś umierał i gdy Krajewski, wyrugowany z długoletniego mieszkania przez nowego właściciela domu, przeprowadził się na Nowy Świat, a po roku osiedlił się na ulicy Obożnej (nr 8), liczba biesiadników zmalała do kilku, aż wreszcie zabrakło ich zupełnie. Ostatniego, Ignacego Pióro, trzeba było otoczyć opieką podczas przedśmiertnej choroby.

Zmieniły się też stosunki w redakcyi „Gazety Polskiej“ po ustąpieniu Sikorskiego; zwinięto Dodatek, a z nim przeglądy finansowe. Wywiązało się nieporozumienie w kwestyach programowych. Była chwila, że Krajewski podawał się do dymisji, której wszakże nie przyjęto (jak dziś wiemy, na skutek decyzji szlchetnego wydawcy). Zadrążnienie pogodzono przy pomocy pośrednika. Ponieważ jednak uszczuplił się dochód z artykułów dodatkowych, więc jeden z przyjaciół-bywalców obmyślił kompensatę z pracy innego rodzaju, mianowicie: Władysław Lucy, naczelnik kontroli I-ej w Zarządzie Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, występując do Dyrekcyi z przedstawieniem o dodanie mu jednego referenta (dnia 25 marca 1880 roku № 2420), nadmienił, że „współpracownik „Gazety Polskiej“ p. Aleksander Krajewski, posiadający języki rosyjski, francuski, niemiecki, byłby zupełnie odpowiednim na tę posadę“ i otrzymał przychylną rezolucyę z określeniem dyet na 750 rubli rocznie. Tak więc 60-letni, ale czerstwy i zawsze niezłomny mędrzec wstąpił znów do zawodu urzędniczego. Nie zrażała go robota rachunkowa, przeważnie arytmetyczna: wykonywał ją regularnie i pilnie, otoczony szacunkiem kolegów. Z powodu podeszłego wieku nie mógł być zapisany na listę uczestników kasy emerytalnej, lecz Dyrekcyja traktowała go, jako urzędnika nieodwołalnego i w budżecie na rok 1901 zamieściła dla niego podwyższenie płacy o rubli 150, a więc razem z dyetami do 900 rubli rocznie. Urząd jego wówczas nosił nazwę: rachmistrz kontroli pasażerskiej.

Jeszcze jedno zaburzenie pieniężne w rządnej gospodarstwie domowem Krajewskiego wynurzyło się w 1889 roku, gdy, zrażony pokrywaniem grubych a nieustannych deficytów wydawca zrzekł się swego prawa własności do „Gazety Polskiej“, i współpracownicy, opuszczeni przez dotychczasowego redaktora (Edwarda Leo), postanowili wydawać ją na własne ryzyko. Krajewski ofiarował im swoje usługi za zniżoną, stosownie do ich obrachunku, płacę. Dowiedział

się wówczas, że pensya jego nie obciąża „Gazety“, ponieważ była zawsze nadsyłana z kasy domu bankowego Kronenberga. Jakoż dochodziła w niezmiennej kwocie 1,080 rubli aż do zgonu.

Dzięki tak troskliwej i delikatnej życzliwości bliższych i dalszych przyjaciół, Krajewski nie doznał niedostatku w sędziwym wieku. W swojej książeczce rachunkowej, prowadzonej z wzorową ścisłością buchalteryjną, zamykał każdy rok bilansem pomyślnym: przewyżką o kilkadziesiąt, albo przynajmniej o kilkanaście rubli w dochodach nad wydatkami. Dzieci nie miał, lecz iście synowską miłością przejęli się dla niego bratankowie żony, trzej Lewiccy, wywzajemniając się za ciepło serdeczne, jakie odczuwali przez czas pobytu u niego na stancyi. Najstarszy z nich, p. Michał, inżynier komunikacyi, potrafił bardzo zręcznie wywabić go ze starego domostwa, taniego, ale bardzo niewygodnego, i przenieść do nowoczesnego i przyjemnego lokalu na parterze domu № 23 przy ulicy Smolnej Górnej (1899 r.), pod pozorem wspólnego zamieszkania. Żadna miłość jednakże nie mogła wyzwolić od cierpień, zadawanych przez dwie srogie choroby. Jedna (kamień) objawiła się już w roku 1889; odtąd dr chir. Perkowski ponawiał operacye większe cztery razy, podziwiając siłę organizmu i energię pacyenta, który na trzeci dzień zwykle powstawał z łoża i dążył do biura. Sztuka chirurgiczna i najczulsza troskliwość okazały się wreszcie bezsilnymi wobec raka, który usadowił się przed trzema laty w przelyku i spowodował śmierć głodową (dnia 4 stycznia 1903 roku).

Wśród zgryzot moralnych i cierpień fizycznych Krajewski powrócił do studyowania i tłómaczenia poetów. Zachęcił go może przyjemny wypadek, że Dyrekcyja Teatrów Warszawskich, powziawszy zamiar wystawienia na scenie „Fausta“ Göthego, wybrała jego przekład, uznając za najlepszy z kilku, ogłoszonych drukiem wcześniej i później. Prezes Dyrekcyi, W. Wsewołozski, listem ugrzecznionym z dnia 12/24 czerwca 1880 roku zaprosił go na próbę: „Je vous prie de vouloir bien honorer la répétition de Votre présence afin que Votre appréciation compétente et éclairée puisse venir en aide à la Direction“. Niepowszednią to było przyjemnością dla miłośnika sceny słuchać z niej swoich rymów w deklamacyi artystycznej.

Niedługo potem Krajewski rozczytywał się w tragedyi Pawła Heysego: „Sabiniki“ i naradzał się z druhami po piórze: Antonim Edwardem Odyńcem i Kazimierzem Kaszewskim. Powstał projekt przetłómaczenia jej na język polski. Odyniec przysłał mu swoją próbkę z dopiskiem:

Szanowny Panie!

Otóż i dokończenie pierwszego aktu. Ciekawy bardzo jestem, co Pan powiesz o niem. Jeśli Panu pamiętny oryginal, to zarzucisz mi może, że zbyt własnymi słowy myśli autora oddaję. Ale ja już nie umiem inaczej... Najtrudniejszem dla mnie jest to konieczne sformowanie rymami dwóch po sobie następujących wierszy. W poemacie to łatwiej, (naprzykład w „Lady of the Lake“), ale w dramacie okropnie trudno ten tok jednostajny nagiąć do różnych tonów i odcieni dyalogu. Pan to umiałeś i mogłeś; dla mnie są to pęta nieznośne. Nie śmiałem jednak wyzwolić się z nich w pierwszym akcie, stosując się do Pana, ale już od drugiego zaczynam po swojemu. Pierwszą scenę już przełożyłem. Dołączę tu z niej choć kilka wierszy, jeśli ćwiartka wystarczy. Dla tego żegnam prozą Szanownego Pana, a dobremu się sercu Jego polecam. Pani Ilnickiej cześć i uszanowanie, a p. sędziemu Piotrowskiemu najprzejazniejsze ukłony racz ode mnie oświadczyć.

Daty niema, ani żadnej wskazówki, dla czego Krajewski, przetłómaczywszy pięć całych i połowę szóstej sceny, zatrzymał się i oddał obcej ręce dokończenie aktu pierwszego. Pozostałe cztery akty przetłómaczył Kaszewski i wydał w „Bibliotece najcenniejszych utworów literatury europejskiej“ w roku 1879 pod swoim imieniem, zaznaczając ogólnikowo przy akcie pierwszym, że „jest innego pióra“. Zapewnie sam Krajewski, zwolennik bezimiennosci, podyktował mu taką formułę. Czy nie znalazł zupełnego zadowolenia dla swych wymagań estetycznych w tym utworze klasyka Niemca?

Mniejsza o domysły. Mamy wyraźniejsze dowody, że zapragnął obcowania z większymi duchami. Od roku 1883 zaczyna drukować przekłady z Szyllera: w „Bluszczu“ № 24: „Hrabia Habsburski“, w książce dla pogorzalców Grodna (1885): „Pierścień Polykratesa“, wreszcie piętnaście utworów pod tytułem: „Wybór poezji lirycznych Szyllera“ w „Bibliotece Warszawskiej“ (1888, tom drugi, str. 22 i 202 — 233), jako ostatni upominek dla starej przyjaciółki.

Zabrał się do Byrona i przetłómaczył: „Wędrowki Cnilda Harolda“, lecz ogłosił je w oddzielnej książce w roku 1896. Z pomiędzy podziękowań, jakie otrzymał za rozesłane egzemplarze,



ośmielę się przytoczyć, chociaż bez pozwolenia, list czcigodnego jubilatą, Antoniego Małeckiego, w całości:

Lwów, dnia 1 czerwca 1896 roku.

Szanowny Łaskawy Panie!

Dopełniam nader miłego obowiązku, przesyłając serdeczne dzięki za życzliwą pamięć i dar mi przysłany. Przeczytałem „Childe-Harolda” i podziwiałem swobodny ruch przekładu, pomimo więzów, nałożonych formą wiersza i możliwą wiernością pierwotworowi. Ile to pracy musiało Pana kosztować! Przypominam sobie z przyjemnością moją bytność w Warszawie, w jesieni roku 1862, przy której to sposobności poznaliśmy się osobiście, po dawniejszej już znajomości autorskiej, kiedy to Pan oceniałeś z taką pobłażliwością życzliwą mój „List Żelazny”, a ja uczulem się zobowiązanym do wdzięczności dla takiego krytyka. Wiele, wiele lat upłynęło od tego czasu. Nie wytrzymałem na drodze poetyckiej. Zraził mnie głównie Siemieński Lucyan swoją uszczypliwą, nienawistną krytyką, której powodów do dziś dnia nie rozumiem, bom, mieszkając aż do roku 1853 w Krakowie, nigdy się nie poróżnił z tym człowiekiem, owszem, sądziłem, że mam z nim życzliwą zażyłość, a co najmniej znajomość. Ale może lepiej się stało, że mnie w ten sposób spędził z drogi, po której snąc nie było mi przeznaczonem kroczyć, choć się wtedy do niej paliłem. Czybym wreszcie był więcej w tym rodzaju pisał, czy nie—dziśby to wychodziło na jedno. Niktby o tem już nie pamiętał, bo ten rodzaj dramaturgii całkiem wyszedł z mody—na korzyść fars i nerwowych konwulsji, ubranych w słowa i w sceny. Tak samo też i krytyka przeszła w inną fazę, którą ja sobie nazywam „literacką policją”. Bo Alfa i Omega dzisiejszych mędrców—podglądać, co kto od kogo wziął, co sobie godziwie, czy niegodziwie przyswoił. A do jakich absurdów nieraz ci panowie w tej metodzie dochodzą! Miałem raz w Zakopanem z Chmielowskim na ten temat rozmowę, lecz przekonać go nie potrafiłem.

Ściskam serdecznie dłoń Pana i piszę się Twoim przyjacielem i sługą wiernym.

A. Małecki.

Znajduje się kilka tłómaczonych rzeczy Augusta Barbier i kilka bajek Kryłowa, niedrukowanych i datą żadną nieopatrzonych. Jest jeden wiersz niedokończony, a pisany drżącą ręką—może w ostatnich miesiącach życia, w chwili wytchnienia od nieznośnych bólów fizycznych.

Na zakończenie winniśmy podać do wiadomości powszechnej fakt, ukryty w lakonicznych i nieogłoszonych protokółach:

Komitet zarządzający Kasą imienia J. Mianowskiego dnia 11 października 1893 roku miał rozrządzić sumą 340 rubli, stanowiącą procent półroczny od funduszu wieczystego, jaki jest zapisany przez J. N. Jaśkowskiego dla osób, odznaczających się w jakiejbądź gałęzi piśmiennictwa naukowego polskiego. Członek Komitetu, dr med. Baranowski, wniósł, żeby tę sumę przyznano Krajewskiemu, i uzyskał bez dyskusyi jednomyślną uchwałę, a prezydium w zawiadomieniu zamieściło motyw: „uznanie wielkich Jego zasług na polu piśmiennictwa“ i wskazało swego członka-kasyera, który rzeczoną sumę miał wypłacić (dnia 24 listopada).

Krajewski nie zgłosił się po odbiór, lecz odpowiedział w następnych wyrazach:

„Wobec odezwY Szanownego Komitetu, do mnie wystosowanej, oznajmiającej o wyznaczeniu mi nagrody w sumie 340 rubli za zasługi moje na polu piśmiennictwa, zmuszonym się widzę wyznać, że brak mi zupełnie przeświadczenia o rzeczywistości tych zasług, którego to przeświadczenia wewnętrznego żadne z zewnątrz, choćby najpoważniejsze uznanie, zastąpić nie zdoła. Że zaś człowiek sumienny postępowanie swoje do przekonań własnych stosować musi — chyba żeby je dla wyższych względów poświęcić koniecznie należało, co w tym razie miejsca nie ma — raczy mi przeto Szanowny Komitet łaskawie wybaczyć, że zapowiedzianego daru godnym się nie czując, przyjął go żadną miarą nie mogę. 2 grudnia 83“.

Po wysłuchaniu tak stanowczej odmowy, Komitet nie znalazł innego wyjścia z niespodziewanej i po raz pierwszy przytrafiającej się sytuacji, jak unieważnić własną uchwałę i przyznać sumę komu innemu, mniej surowemu w ocenie własnych zasług.

Znajdowałem się wówczas na obu posiedzeniach Komitetu i podpisałem się na obudwu protokółach. Dziś atoli apeluję do moich czytelników.

Spodziewam się, że nie podzielę owego „przekonania“, jakim się kierował Krajewski w zaparciu się zasług, stwierdzonych tylu dowodami w niniejszym życiorysie, i uznają odmowę jego za objaw nadzwyczajnej skromności, ascetycznej niemal pokory ducha jego,

która, naruszając rzetelną wagę na szalach sprawiedliwości, zrządziła społeczeństwu szkodę. Boć z jego światła i trudów korzystały zawsze stosunkowo małe gromadki ludzi wyższego wykształcenia; imię jego było czczone w szczupłym gronie wielbicieli, ale tak szczupłym, że nie zapamiętała go nawet Kasa Literacko - Dziennikarska, skoro najstarszego weterana prasy peryodycznej i dostatecznie przecież wykwalifikowanego literata pominęła przy mianowaniu swoich członków honorowych. Pisma jego, oprócz dwu przekładów, drukowanych w książeczkach osobnych <sup>1)</sup>, są rozproszone pojedynczemi arkuszami, kartkami, szpaltami, pod rozmaitemi okładkami na przestrzeni lat czterdziestu, od 1857 do 1896 roku, podznaczone literami, a czasem dwiema kropkami, lub znaczkiem niedostrzegalnym: więc nie istnieją dla literatury narodowej, nie wywierają działania na powszechność, nie były zanotowane dokładnie przez bibliografów dawniejszych, a będą jeszcze trudniejszymi do odszukania dla przyszłych, którzy znajdą drugi identyczny podpis: *A. A. K.*, używany przez Adama Antoniego Kryńskiego. Postarajcie się o wydanie całkowitego zbioru, albo przynajmniej Wyboru tych pism; odtworzycie, lub raczej stworzycie wówczas pisarza dużej miary: krytyka światłego i sprawiedliwego, moralistę niepokalanej cnoty, estetyka o wysoce wykształconym smaku i niepospolitym talencie rymotwórczym, historyozofa przenikliwego, doradcę w sprawach społecznych senatorskiej powagi.

TADEUSZ KORZON.

---

<sup>1)</sup> Faust w Bibliotece Mrówki *J&J* 84 — 86 (notabene nietylko bez nazwiska tłómacza, ale nawet bez liter: *A. A. K.*, ani: *ZZ*) i Wędrówki Childe-Harolda w przyzwoitej edycji Gebethnera i Wolfa, 1891, z literami: *A. A. K.*

## Wielkoniemieckie mrzonki polityczne.

---

Dotychczas niemiecki miesięcznik: „Preussische Jahrbücher“ zaopatrywał rząd pruski w niezwykle oryginalne poglądy na sprawę polską i w projekta zgermanizowania Polaków poznańskiej dzielnicy. Do owych pomysłów dołączone były obietnice, objaśniające Polaków, że cały proces wynarodowienia jest tylko pozornie bolesnym; wzamian bowiem narodowość polska może liczyć na wzmocnienie, a nawet na pewną polityczną organizację, ale w odległych stronach, i to kosztem rosyjskiego cesarstwa. Tak przemawiały „Preussische Jahrbücher“ za redakcyi Treitschkego, a gdy owe zbawienne rady nie znalazły posłuchu ani u rządu pruskiego, ani u Polaków, rozpoczęło powyższe czasopismo za redakcyi prof. Delbrücka swe perswazyje i namowy, z innego tonu. Polaków należało zmusić do poprzestania na języku polskim, a Niemców uczynić władającymi dwoma językami, i tym sposobem zapewnić im społeczną i ekonomiczną przewagę.

Obu powyższym spekulacyjnym pomysłem poświęcałem swego czasu uwagę, obecnie przyszła kolej na trzecią, najbardziej oderwaną i bałamutną propozycję, z którą wystąpiło czasopismo: „Politisch-Antropologische Revue“, w artykule: „Die preussische Polenpolitik“, napisanym przez Karola Jaentscha (sierpień, 1902). Jaentsch występował już z politycznymi radami, przeznaczonemi dla niemieckich współbraci, ale, jak się sam z przekąsem wyraża, nie padły one na grunt podatny i nikt się z nim na serio liczyć nie uważał za stosowne. Obojętność ta nie zniechęciła go jednak, i w artykule o pruskiej polityce względem Polaków, nakreślił on śmiały i szeroki plan działania rządu w Poznańskim i poza jego granicami. Co się zaś tyczy poprzedniej polityki względem Polaków, zwaanej Bismarckowską, to poddał ją surowej

i bezwzględnej krytyce, dowodząc, że popełniła cały szereg błędów i przyniosła ostatecznie państwu pruskiemu, a tem samem i niemieckiemu, jak najfatalniejsze owoce.

Właśnie owo trafne i sprawiedliwe ocenienie Bismarckowskiej polityki względem Polaków nakazuje i zmusza do zwrócenia uwagi na artykuł Karola Jaentscha. Samo bowiem uzasadnienie jego wniosków, które podsuwa rządowi pruskiemu, oddala się tak jaskrawo od podwalin nauk politycznych i od najkardynalniejszych tradycji państwa chrześcijańskiego, że doktryna polityczna, którą w swym artykule rozwija, zdaje się być zaczerpniętą z zamierzchłej przeszłości i z barbarzyńskich czasów, gdy państwo uosabiało olbrzymiego drapieźnika (Raubstaat), pragnącego jedynie obfitej strawy, a pozbawionego poczucia sprawiedliwości i wszelkich skłonności humanitarnych. Przedewszystkiem jednak należy się nam zapoznać z treścią pomysłów Karola Jaentscha, które wzgardziły nauką mędrca ze Stagiry i zastąpiły ją sofizmatami z nauki ekonomii, socyologii i t. p., splecionemi z pewną przenikliwością i artyzmem w rabulistyczne rozumowanie.

Uprzedzić winienem czytelnika, że Karol Jaentsch jest dla Polaków do pewnego stopnia łaskawym, mniej nas bowiem nienawidzi od Rosyan i przyznaje nam w świecie słowiańskim wybitne stanowisko, nie odmawiając przytem zdolności i poczucia humanitarnego. Skąd jednak płynie owa nienawiść Jaentscha dla Rosyi i Rosyan? Rozwoju umysłowego rosyjskiego narodu Jaentsch, zdaje się, nie zna wcale, i dla tego łatwo mu się zdobyć na nieuzasadnione lekceważenie; ale o czem Jaentsch dobrze wie, to o tem, że państwo rosyjskie jest pierwszorzędną wielkoświatową potęgą, i to państwo właśnie, zdaniem jego, jest dziedzicznym i najważniejszym wrogiem Niemiec.

Wschód Europy i Zachód Azji obdarzyć kulturą, a samych siebie ocalić od grożącego wyniszczenia i zaniku, oto zadanie, godne dzisiejszych Niemców. Ostatni czas przypomnieć, że Niemcy wtedy byli najzdrowszym i najsilniejszym narodem, gdy się na Wschód, jako żywioł kolonizujący, rozszerzali; jak tylko ustał ów wylew cywilizacyjny, wystąpiły na jaw ujemne strony, stwierdzające zanikanie narodowego rozwoju. Jaentschowi chodzi więc przedewszystkiem o obudzenie w Niemczech owego dążenia na Wschód, które w połowie XIX wieku przynęciło wielu niemieckich rolników i rękodzielników w Poznańskie, do Galicji i do Królestwa Polskiego. Dążenie powyższe stłumione zostało przez politykę Bismarcka i gwałtownym rozwojem przemysłowym zwrócone na Zachód. Jeżeli przeświadczenie o tem, że właściwą ziemią kolonialną dla Niemiec jest Wschód i Południo-Wschód Europy, odszuka należyte rozpowszechnienie, wtedy

prąd kolonizacyjny znajdzie sobie odpowiednie drogi do założenia i ugruntowania nowych wielkich Niemiec. Praca powyższa, rozumie się samo przez się, będzie się mogła urzeczywistniać stopniowo, a to przede wszystkim za pośrednictwem osiedlania się włościan w Królestwie i Rosji zachodniej.

Zastanawiając się nad niezbędnością należytego zjednoczenia życia wyrobniczego z rolniczym, za pomocą kolonizacji wewnętrznej, która się bez wpływu kolonizacji zewnętrznej obejść nie może, Jaentsch oświadcza kategorycznie, że, przygotowując grunt i stosunki dla nowych wielkich Niemiec, nie należy zapominać o nieuniknionej potrzebie niewolnictwa. W całej historii powszechnej nie znajdziemy ludu z wysoką kulturą bez niewolników, to jest bez właściwego społecznego różniczkowania, które nie jest niczem innym, jak podziałem na panów i niewolników. Nazwa i sformułowanie prawne stosunku zależności roboczej jest tu obojętnem, każdy bowiem znawca angielskich stosunków robotniczych z połowy poprzedniego wieku wie o tem dobrze, że gaszą one okropnościami swojemi wszystko, cokolwiek było w niewolnictwie starego świata mahometańskiego. Okropności owe angielskie dotychczas nawet nie zostały zupełnie z industrii domowej usuniętymi, i prawa, opiekujące się robotnikami, zarówno jak i stowarzyszenie wyrobnicze, usunęły zaledwie w połowie nadużycia, przygniatające robotnika. Gdyby nawet praca nie była tak udręczającą i tak długą, już sam przymus dźwignia odpowiedzialności za istnienie całej rodziny, wobec tak marnego i niepewnego zarobku, byłby twardą niewolą.

Przekonywamy się zatem, że europejskim ludom pozostawiono jeden jedyny wybór: albo skazać część własnego społeczeństwa na pędzenie smutnych losów proletaryatu, okrytego łachmanami, albo też wyręczać się w robocie niewoluicznej mniej uzdolnionemi, a tem samem mniej wartemi ludami, co w każdym razie jest rozsądniejszem i więcej humanitarnem. Niewątpliwie mniejszem okrucieństwem jest pozostawienie niżej poziomu normalnego ludzkiego tych, co są przyzwyczajeni do prostszego sposobu życia, tych, którzy jeszcze nie nauczyli się myśleć, a tem samem mniej tkliwie potrafią odczuwać, aniżeli spychać do głębin, okalających poziom ludzki, takich, co mają szlachetniejsze pierwiastki w swej naturze i co otrzymali lepsze wykształcenie szkolne. Upośledzenie części własnego społeczeństwa, jakkolwiek praktykowane we wszystkich środkowo-europejskich państwach jest nie tylko okropnością, ale w dodatku pozostanie czynem niepolitycznym, nie mającym nic poważnego na swoje usprawiedliwienie.

Upośledzeni bowiem, którzy zapoznali się teoretycznie z lepszymi stosunkami i położeniem społecznym, nie przestaną dążyć do po-

lepszenia swej doli i, żywiąc nienawiść do możniejszych stanów, będą całą duszą oddani rewolucyi. Urodzeni jednak niewolnicy (geborene Sklaven) nie są przystępni podobnym uczuciom, a Niemcy pozostają w tem szczęśliwym położeniu, że w pogranicznych Słowianach zachodnich mają niewyczerpane źródła urodzonych niewolników. Dla tych Słowian opieka niemiecka jest dobrodziejstwem i pozostanie połowicznem wyswobodzeniem. Przeciętny bowiem Niemiec przewyższa dobrotliwością, sumiennością i humanitarnem usposobieniem zarówno polską szlachtę, jak i rosyjską arystokrację, to jest te główne czynniki, które przy współzawodnictwie o słowiańską siłę roboczą wchodzą w rachubę.

Jeżeli jednak Słowianie mają odpowiadać w przyszłości swemu przeznaczeniu, czyli, jeżeli mają pozostać podwładnemi i wystarczającemi zwierzętami roboczemi Niemców, wtedy nie należy ich germanizować. W jaki sposób właściciele ziemscy w Poznańskim i w Prusach zachodnich mogli się zgodzić na popieranie polityki germanizacyjnej, tego Jaentsch zrozumieć nie potrafi. Rozproszenie niemieckich panów wśród słowiańskich obszarów nie może wcale szkodzić sprawie narodowości niemieckiej. Niema istotniejszych i czystszych Niemców, jak Germanowie nadbałtyccy, a pozostali nimi dla tego, że się nie mieszały z ludnością Estów i pozostawili im ich język nietkniętym. Jeżeli Niemcy poznańscy, jak o tem wieść głosi, przeistoczyli się z czasem w Polaków, to jedynie z tego powodu, że byli mieszańcami, a nie czystej krwi Niemcami. Z drugiej strony zaznaczyć należy, że życzliwość Słowian jest dla Niemców niezbędną. Słowianie powinni z dobrą wolą i chęcią wysługiwać się Niemcom, a jedyną i poważną przeszkodą ku temu jest państwo rosyjskie. Prusacy, zarówno jak i Niemcy, wiwni w oczach Polaków uchodzą za przyjaciół. Napiętnowanie mrzonek polskich przez Bismarcka było niewątpliwie słusznem i sprawiedliwym. Przyniosło ono Niemcom ten ważny pożytek, że przyszli oni do przeświadczenia, iż największym wrogiem żywiołu niemieckiego jest cesarstwo rosyjskie,

Zorganizowanie ludu rosyjskiego do wydobywania z nędzy, oto zadanie właściwe Niemców. Rozpowszechnienie racjonalnego gospodarstwa rolnego, wyzyskanie skarbów ziemi, rozwój przemysłu i środków komunikacyjnych, czyli umożliwienie dwustu milionom mieszkańców dobrobytu życia kulturalnego na tej samej przestrzeni, gdzie załedwie sto milionów suchotniczo wegetować mogło, oto dobrodziejstwa, które, dzięki Niemcom, rosyjskiemu ludowi przypadną w udziale. Zamiast niezwłocznie podjąć powyższe ogólnohistoryczne zadanie, Niemcy urządzili się po parafiańsku w małej swej ojczyźnie, która jest za ciasna dla 54 milionów mieszkańców, nie wspominając już

o 70 lub 80 milionach, które Niemcy w przyszłości niezbyt odległej pozyskać mogą. Niemcy przestali obecnie rozwijać swobodną siłę ludową, która przedewszystkiem przestrzeni pótrzebuje, i pochłoneły ich wyłącznie swary o kość zarobkową, zbytową lub celną. Zajmując się industryą wywozową, Niemcy przyzwyczaili się do pracy niewolniczej, która jest wysługiwaniam się innym narodom.

Wolnym od hańby i upokorzenia nazywa Jaentsch wywóz tych produktów, które gdzieindziej, za granicą, nie mogą być wytworzone, lub które jako wytwór geniuszu lub szczególnej zręczności właściwemi są jedynie pewnemu narodowi. Jednakże Jaentsch nie waha się potępić setek tysięcy swoich współziomków, którzy życie swe poświęcają pracy w części szkodliwej lub pozornej, a w części, jak na przykład gieldziarstwo, występnej. Podobne zaprzecanie się własnym współziomkom w niewolę, jest nierozsądnem a nawet występniem zmarnowaniem narodowych sił. Każdy Niemiec, dobywający węgiel z podziemi lub spełniający niższe czynności na okręcie, odpowiedziałby lepiej i pożyteczniej zadaniu, gdyby z dwoma niewolnikami uprawiał glebę i pracą orzeźwiająca stwarzał pożyteczne dobra.

Z tego wszystkiego, co było dotąd powiedzianem, wynika, że nie należy opanowanych Słowian germanizować. Jeżeli dla własnej korzyści chcą się uczyć po niemiecku i przyswajać sobie niemieckie obyczaje, oraz sposób niemiecki myślenia i czucia, byłoby rzeczą nieludzką wzbraniać im tego; ale przyspieszać ich proces niemczenia lub wynaradawiać ich na drodze przymusu byłoby rzeczą wielce ujemną oraz nierozsądną. Praca germanizacyjna osiągnęła na Szląsku wysokie i nader pomyślne rezultaty; można powiedzieć, że wyższa kultura pochłoneła niższą, czyli, że Niemcy wchłonęli w siebie i przeistoczyli narodowe polskie pierwiastki ludowe. Jedność wyznaniowa ułatwiała jednak Niemcom ową cywilizacyjną pracę pokojową, obecnie atoli jedności, wyznania religijnego, ani odnaleźć, ani odpowiednio spożytkować, nie będzie można. Przemocą i gwałtem, za pośrednictwem podstępnego protestantyzowania ludności polskiej osiągnąć się ona nie da i środki powyższe wykopią tylko jeszcze większą przepaść pomiędzy obu ludami. Tymczasem dopóki trwa nienawiść, niema co myśleć o wynarodowieniu Polaków. Nienawidzenie Polaków przez Niemców ma swoje ogólne i szczególne przyczyny i powody. Między ogólnemi znajduje się chorobliwy objaw dumy i drażliwości narodowej, zarówno wśród wszystkich ludów, czy to rozwiniętych cywilizacyjnie, czy drobnych i nikłych pod względem zasobów duchowych. Przeciwnieństwa narodowościowe zaostwiają się jeszcze silniej dzięki odrębnościom wyznaniowym. Wśród protestantów wytworzył się przesąd trzymający przekonanie, że katolicyzm



jest dla niemieckiego państwa i ludu niebezpiecznym. Obawa przed tajemniczą siłą Jezuitów i potęgą papieską wpajaną bywa przez pastó-rów w sposób obłądny, a rozpowszechnianą przez prasę za pośrednic-twem legend, czerpanych z obłąkanej wyobraźni.

Jaentsch zwalcza ~~obecną~~ pruską politykę względem Polaków, nie z powodu ~~miłości~~ do tej narodowości, która mu raczej jest wstrętną, ani z powodu sentymentalizmu, lub obrażonego poczucia sprawied-liwości, ale dla tego, że mu tak, a nie inaczej postępować nakazują, historyczne, polityczne, ekonomiczne i psychologiczne rozumowania. Dziś niemożliwą jest polityka, skarbiąca sobie przychylność i pomoc Rosyi udręczaniem i krzywdzeniem Polaków. Trwanie owej polityki było i tak za długiem, dzięki czemu straciliśmy możność pozyska-nia przyjaźni Polaków i wbicia się klinem w organizm rosyjski. Dziś też nieuawidzą Polacy wszystkich dzielnic Niemców, i to nienawidzą bardziej, aniżeli kogokolwiekbądź innego; co więcej Rosya, przyjmuje na siebie rolę humanitarnego opiekuna Polaków wobec pruskiego okru-cieństwa i posługuje się Polakami przeciw Prusakom. Pokrzyżowa-ły się drogi najzupełniej; ale z tem wszystkiem nie pozostaje nic in-nego, jak odnaleźć właściwe tory, co się tylko da uskutecznić za po-średnictwem ciężkiej, mozolnej i długoletniej pracy. Jakąkolwiek by ta praca była, Polacy muszą być jako sprzymierzeńcy zdobyci dla Niemiec, albowiem inaczej czeka Niemców los i stanowisko podległej prowincyi rosyjskiej, która nie byłaby zbyt świetnem zakończeniem niemieckich dziejów.

Nie pozostaje zatem nic innego do uczynienia, jak wpojenie we wszystkie ludy słowiańskie tego głębokiego przekonania, że w Niem-cach znajdują one zawsze łagodnych, rozumnych i wspaniałomyślnych władców. Co więcej, cały stosunek zawisłości względem swych pa-nów wynika z nieuniknionej konieczności i jest niezbędnym dla dobra samychże niewolników. Nic bowiem naturalniejszego nad to, że Niem-cy, jako władcy, obdarzeni tyłu przymiotami, pozostawiają swoim urodzonym niewolnikom ich szczególne właściwości, a nawet obdarzą ich pewnym stopniem samorządu, dość, że nie dadzą im odczuć poniże-nia i oszczędzą im upokorzeń krzywdzących i obrażających. Zarzut, iż pomimo równouprawnienia i samorządu, przyznanego Słowianom w Austrii, istnieje w tem państwie nienawiść między obu narodo-wościami, nie może się stosować do Prus. Dla czego nie może? o tem nas Jaentsch nie przekonywa, obiecuje wszakże, że poświęci w przy-szłości osobne studyum powyższemu przedmiotowi.

Z tego wszystkiego, co Jaentsch wypowiedział, należy wy-wnioskować, iż stanowczo potępia Bismarckowską politykę względem Polaków. Nie poddaje on owej polityki drobiazgowej krytyce, oświe-

tła ją wszakże dokładnie w kilku ważnych punktach, zdobywając sobie przytem poczuciem sprawiedliwości, oraz przenikliwością, nasze uznanie. Dawną administracyę pruską uważa Jaentsch dla Poznańskiego, jak i dla Prus zachodnich, za istotne błogosławieństwo. Administracya powyższa uratowała społeczeństwo polskie od zbutwienia i została też należycie przez włościan i drobnych wyrobników polskich oceniona. Administracyi pruskiej zawdzięczają niższe klasy społeczeństwa polskiego wyswobodzenie z despotycznego ucisku gospodarki szlacheckiej, za co też odwdzieczyły się państwu pruskiemu poczuciem lojalności, które nawet w 1848 roku nie poszło zupełnie w niepamięć. Gdyby też dawny duch administracyi pruskiej oddziaływał dotychczas na społeczeństwo polskie w Poznańskim i w Prusach zachodnich, byłby niewątpliwie wytworzył szczerze lojalnych poddanych pruskich, którzyby się z czasem dobrowolnie zgermanizowali. Temu przeistoczeniu oparłaby się prawdopodobnie szlachta, nie zbyt wysoko pod względem etycznym stojąca, razem z uielicznym duchowieństwem, coby w przyszłych losach tych prowincyi nie zawazyło decydująco.

Nie ulega wątpliwości, że szlachta polska pruskich dzielnic oddana była całkowicie rewolucyjnemu podszczuwaniu, za które nawet kara śmierci nie byłaby zbyt surową; ale czy rząd skazał choćby jednego z owych głównych podszczuwaczy? wzamian za to jednak wtrącono arcybiskupa Ledóchowskiego do więzienia, tegoż samego Ledóchowskiego, niecierpianego przez podszczuwaczy, który wskazywał obowiązki i zalecał stronienie od szowinistycznej polityki. W dodatku, odjęto wielu księżom temporalia, innych oddalono od kapłańskiego urzędu lub wtrącano do więzienia, a to wszystko czyniono z wyszukaną surowością, za to że spełniali swe duchowne powinności, do czego, prawdę mówiąc, państwo nie ma prawa się mieszać. Jeżeli walka kulturalna była wogóle obłędem, to w dzielnicach dawniej polskich stała się ona spotęgowanem szaleństwem. Przedewszystkiem jej to zawdzięczać należy, że ludność polska, dzięki administracyi nawpół już dla Prus pozyskana, uczuła się znowu narodowo zjednoczona ze zdradziecką szlachtą i klerem katolickim. Trzeba raz pogodzić się z tą rzeczywistością, że Polak jest przedewszystkiem nawskroś katolikiem i to nawet fanatycznym katolikiem. Dla przeciętnego Polaka, który jest zazwyczaj chudopachołkiem, kościół i religia wraz z służbą Bożą i pieśniami polskimi, stanowi czar życia, nie bogatego zazwyczaj w świetlane wrażenia. Takiemu Polakowi nikt nie wytłómaczy, że starokatolicyzm jest istotnie katolicyzmem; pozostanie on niewzruszenie przy swych tradycyjnych wierzeniach i obdarzy śmiertelną

pienawiścią tego, który mu ów świat nadprzyrodzony zniweczyć zechce.

Przeistoczenie Polaków w Niemców pozostanie więc i nadal niemożliwością, tak samo, jak niepodobieństwem pozostanie przemienienie kota w psa. Niewątpliwie, można wymagać od Polaków, aby byli lojalnymi poddanymi pruskimi, aby składali podatek z krwi i mienia na rzecz państwa i powstrzymywali się od wszelkiej politycznej konspiracji; ale oczekiwać, że gwoli hakatystom zmienią całkowicie swoją fizyczną i duchową strukturę, byłoby nadaremne. W r. 1886 rządy Falko-Bismarckowskie wypowiedziały jawnie i uroczyście wojnę Polakom. Choćby nawet germanizacja Polaków była pożądaną i dokonywane próby mogły liczyć na pewne powodzenie, to czyż ułatwia się spełnienie zadania tem, że się publicznie oświadcza Polakom, słowami niezbyt zachęcającymi: „chcemy was zniemczyć i przywłaszczyć sobie wasze mienie.“ Przypuśćmy na chwilę, że wół posiada rozum ludzki, to nie nazwalibyśmy rozsądnem ostrzeżenia rzeźnika, wskazującego mu dom, w którym zostanie zarzniętym, obdartym ze skóry i przygotowanym do jatek.

Wykupienie szlachty polskiej nie było wynalazkiem polityki Bismarckowskiej, ale celem, do którego powoli i rozważnie dążyła administracja pruska. Jeszcze parę lat spokojnego wyczekiwania, a lada przesilenie gospodarstwa rolnego byłoby gospodarce szlacheckiej polskiej samo przez się kres położyło. Szlachta polska była już bliska bankructwa, a wówczas komisya generalna mogła na ziemiach spadłych w cenie osiedlać włościan niemieckich, nie krzywdząc przytem wcale uczuć ludu polskiego. Natomiast nie wahano się cisnąć 200 milionów marek na targ pieniężny, przez co podbito w cenie zdewastowane majątki szlachty polskiej, utrudniono przez drogie kupno ziemi osadnictwo niemieckie, a przedewszystkiem dostarczone zbankrutowanym szlachcicom obfitych środków, których nie przegrali w Monte Carlo, ale użyli do wzmocnienia stanu średniego, do założenia polskich banków ziemskich i na zakup dóbr ziemskich niemieckich. Owa suma 200 milionów marek była niewątpliwie podarunkiem dla Polaków, złożonym w celu wzmocnienia i utrwalenia ich narodowego oporu.

Wielka mowa Bismarcka, którą Jaentsch kilkanaście razy uważnie przeczytał, nie zawiera ani śladu uzasadnienia czy usprawiedliwienia całej owej kampanii przeciw Polakom. Wyciągnięto z antykwarskiego arsenału jedynie stare anegdoty, które z właściwą sprawą nie miały nic wspólnego. Rozpuszczano od czasu do czasu wieści o komplotach, spiskach, podstępach, w notorycznej złej wierze, które się ostatecznie ujawniły jako wierutne fałsze prowokacyjne.

Jako na niebezpieczeństwo grożące wiecznie Niemcom od polskiej strony, wskazywano na trzy polskie rewolucye. Z tych dwie jednak (1830 i 1862), były skierowane wyłącznie przeciw Rossyi i nietylko, że nic Niemców nie obchodzi, ale były nawet przez niemieckich mężów stanu uznane za pożyteczne dla politycznych interesów pruskiego państwa i niemieckiego ludu. — Pozostaje więc tylko rewolucya z 1848 roku, którą też Bismarck wypomina w swej wielkiej mowie. Lecz jeżeli rok 1848 ma służyć za usprawiedliwienie wykupywania Polaków, to z równą słusnością należałoby stworzyć fundusz, przeznaczony na wykupywanie właścicieli domów w Berlinie, gdzie najzawziętsza srożyła się rewolucya.

Nieustannie słyszymy opowieści o niebezpieczeństwie, jakie zagraża wschodnim marchiom i o konieczności zabezpieczenia i utrwalenia ich egzystencji. Jest to tylko ogólny sposób mówienia i frazes niemający żadnego znaczenia. Jaentsch także jest przekonany, że wschodniearchie Niemiec są zagrożone, ale owem nienastającym i groźnym widmem jest dla nich Rosya. Kolos ów jest za słabym wprawdzie, aby mógł bezpośrednio wtargnąć w niemieckie dzierżawy, ale jako przeszkoda do rozszerzania się żywiołu niemieckiego stanowiąc będzie zawsze dla państwa pruskiego, a tem samym niemieckiego, poważne niebezpieczeństwo. Jeżeli zaś Niemcy zechcą oddalić owo widmo, wypowiadając wojnę Rossyi, wtedy muszą pozyskać usposobienie pogranicznej ludności wokoło przypuszczalnego pobojuwiska, i pruska polityka winna się zdobyć na środki, któremiby pozyskała większą sympatyę ludności, niż Rosya.

Wobec takiego położenia rzeczy, polityka hakatystów stwarza we wschodnich marchiach istotne niebezpieczeństwo. Mrzonki bowiem gimnazyastów polskich, pragnących za pomocą Rapperswylskiego skarbu stworzyć niepodległą Polskę a zburzyć Cesarstwo niemieckie, nie są niebezpieczeństwem, ale żartem jedynie. Trudno również niebezpieczeństwo dla Niemiec upatrywać w szybkim powiększaniu się ludności polskiej. Objaw powyższy może być niewygodnym dla rządu, ale w żadnym wypadku niebezpieczeństwa nie stanowi. Zresztą jakż jest związek przyczynowy pomiędzy owymi objawami? i czy wykładowym językiem niemieckim ogranicza się choć cokolwiek płodność niewiast polskich? Niemcy w pruskiej izbie poselskiej wystosowują zazwyczaj od czasu do czasu do polskich członków zapytania, czy w sercu swem są istotnymi Prusakami i czy nie marzą, jak to dotychczas zwykli czynić, o wskrzeszeniu dawnego, niepodległego państwa polskiego? W odpowiedzi na powyższe pytanie przypomnieć należy, że tak samo Schönenerer i jego stronnictwo, niby to kochają Austryę z całego serca, a jednakże nie gniewaliby się wcale, gdyby

Niemcy austriacy przyłączeni zostali do cesarstwa niemieckiego. Cóżby jednak powiedziano z niemieckiej strony, gdyby rząd anstryacki, stosując się do życzeń klerykalno-słowiańskiej większości, wystąpił z wyjątkowymi prawami przeciwko Niemcom?—Dopóki prawa państwowe zewnętrznie są obserwowane, ani prawodawca, ani sędzia nie ma mocy zaglądania do ludzkich sumień; ale zarówno prawodawca, jak i rządzący, jeżeli chce działać politycznie, jako mąż stanu, powinien badać i obserwować nieustannie, czy ustawy prawne i przepisy administracyjne wytwarzają pożądane usposobienia wśród ludności, i tyle przynajmniej praktycznej psychologii można od nich wymagać, żeby zrozumieli, iż miłości oraz przywiązania nie zaszczepia się kijami.

Wszystkie jawne hasła rządu pruskiego, dążące z nieubłaganą zawziętością do wykupienia ziemi z rąk polskich i wypędzenia ludności polskiej z jej gniazd rodzinnych, wszystkie próby doszczętnego zniweczenia mowy polskiej, szpiegowanie polskich wydawnictw, udręczanie polskich stowarzyszeń, wszystko to bliczonym jest na wytworzenie niczem nieukojonej, gniewnej nienawiści, i daremnie jest oczekiwanie innego rezultatu, jaki wypłynie z podobnego działania. Uporczywe obstawanie przy tego rodzaju polityce prowadzi rząd od jednego błędu do drugiego, i wytwarza w końcu to przekonanie, że jedynym ratunkiem dla państwowej powagi jest nieubłagana walka ze szkolnymi żakami.

Walka z kobietami i z młodzieżą szkolną może tylko wtedy być skuteczną, jeżeli się ją prowadzi w pierwotnej harbarzyńskiej formie, a mianowicie, jeżeli się zarówno niewiasty, jak i młodzież szkolną, żelazem wytepi, co jest zresztą łatwym zadaniem, ze względu na słabość zwyciężonych. Jeżeli jednak państwo wstydzi się podjąć rolę barbarzyńskiego rzeźnika, wtedy walka podobna obraca się stanowczo na jego niekorzyść. Zatem rząd powinien się strzedz i unikać tego, aby wymaganiami rzeczy niczem nieusprawiedliwionych i niemożliwych do wymuszenia, nie narażał napróżno i nadaremnie powagi państwowej. Kłopoty, o jakie przyprawia rząd pruski podobna polityka, powiększane bywają codziennie, dzięki najniezręczniejszemu usprawiedliwianiu się naczelnym mężów stanu. Wrześniańskie dzieci naprzykład, wzdragające się dawać odpowiedzi w języku niemieckim na pytania, zadawane z nauki religii, zatrzymywano nadal w szkole, pomimo, że ukończyły lat czternaście. Ważny ów środek usprawiedliwiano tem, że oporność owych uczniów jest wyraźnym i stanowczym dowodem ich niedojrzałości obyczajowej. Istotnie pyszny pomysł! Od dzieci w szkole ludowej wymagać dojrzałości etycznej i trzymać je w szkole dopóty, dopóki dowodów stanowczych tej dojrzałości nie

złożał! Jeżeli mowa o dojrzałości etycznej, to przypomnieć należy, że nikt jej nie osiąga przed dwudziestym rokiem swego życia, wielu zaś dojrzewa etycznie dopiero pod trzydziestką i później, nie mówiąc o tych, którzy do śmierci pozostają etycznie niedojrzałymi.

W końcu swego interesującego, krytycznego studyum oświadcza Jaentsch kategorycznie, że Bismarckowska polityka względem Polaków okazała się w zasadzie fałszywą, a w każdym z pojedynczych środków przeciwną swojemu zadaniu. Przedewszystkiem zaś okazała się szkodliwą dla interesów tych wszystkich, którzy ją popierali. Z powodu powyższej polityki ucierpeli niewątpliwie właściciele ziemscy, włościanie, rękodzielnicy, urzędnicy niemieccy w polskich dzielnicach. Ucierpiały wreszcie stronnictwa narodowe niemieckie, a w końcu lud, rząd i państwo niemieckie. Przyznanie się do błędu i zdecydowanie się na cichy zwrot w przeciwnym kierunku pozostanie dla rządu ciężkim zadaniem, połączonym nawet prawdopodobnie z pewnemi niebezpieczeństwami. Trudno też będzie o męża stanu, który zainicjuje niezbędną reformę, i ministrowie, landraci, zarówno jak inspektorowie szkolni oraz nauczyciele, będą musieli przez lat kilka poświęcać pracę swemu biologicznemu eksperymentowi, w jaki sposób da się kota w psa przeistoczyć.

Tem dosadnem wyrażeniem kończy Jaentsch swą rozprawę, która, choćby ze względu na śmiałość, przenikliwość i w wielu razach nieubłaganą krytykę polityki Bismarckowskiej względem Polaków, winna zaciekawić nasze społeczeństwo. W studyum powyższem Jaentsch z przekąsem wspomina, że już dawniejsze jego rady i uwagi mężowie stanu, będący u sternu, pominęli milczeniem. Rad tych i prac, w których one zostały zamieszczone, nie udało mi się poznać, sądzę jednakże, że obojętność a może i niechęć, jakiej doznały w sferach rządzących, skłoniła Jaentscha do pewnych ustępstw, któreby mu zdobyły jeżeli nie zaufanie, to przynajmniej pewną wyrozumiałość i pobłażliwość w kołach decydujących. Krytykę Bismarckowskiej polityki względem Polaków uważał Jaentsch za stosowne zaostrzyć w zapewnienie, że więcej ma do nas wstrętu, niż sympatii. Zapewnienie powyższe ma zażegnać drażliwość stronnictw narodowych niemieckich i przekonać niechętnych, że jedynie w imię zbawienia, czyli salutis sacri Imperii, poważa się dotknąć krytycznie wielkiego politycznego bożyszczka, któremu urzędowi historycy Prus pragnęli na wieki zapewnić przywilej nieomylności i nietykalności. O ile godną uznania jest odwaga Jaentscha, z jaką w obronie swych przekonań występuje, o tyle dziwnem w ustach uczonego wydaje się owo przyznanie do wstrętu względem Polaków, a jeszcze więcej owo lekceważenie poczucia sprawiedliwości, które, wraz z dążeniem

do poznania prawdy, stanowi najszlachetniejszy pierwiastek działalności uczonego. Jaentschowi nie chodzi o przedmiotowe badanie, nie troszczy się tem samem o wymiar sprawiedliwości w historycznych sądach, ale polityczny pożytek, namacalne korzyści dla niemieckiego państwa stanowią jego ideę przewodnią, w imię której ocenia, lub potępia wszystko i wszystkich, a w dodatku potępia nie bez namiętnego, jednostronnego nastroju.

Pozostawiając na uboczu krytykę Bismarckowskiej polityki, która, pisana w tonie wyjątkowo bezwzględny, z trudnością utoruje sobie przystęp do serc narodowo niemieckich, pozwolę sobie zwrócić uwagę czytelnika na cel główny Jaentscha, na pragnienia i dążenia najważniejsze, których urzeczywistnienia pragnie dla Niemiec XX-go wieku. Dzierżawy obecnego Cesarstwa, nieco ciasne dla 54 milionów mieszkańców, żyjących w dzisiejszej dobie, a stanowczo za szczupłe dla liczby 80 milionów, których mogą w niedalekiej przyszłości się spodziewać, potrzebują absolutnie rozszerzenia, wymagają nowych obszarów terytoryalnych, i to nie lada jakich. Skąd je wziąć, a przede wszystkim, gdzie je wynaleźć? Jaentsch załatwił się szybko i pomysłowo z owemi zagadnieniami, które nawet dla Bismarcka et consortes byłyby niemożliwemi do rozwiązania. Jaentsch stworzył na poczekaniu, sposobem czarnoksiężskim, nowe wielkie Niemcy. Niemcom owym wielkim i nowym ofiarował z patryotyczną wspaniałością obszary czarnoziemiu Królestwa Polskiego i południowej Rosyi. W swej ofiarnej łaskawości posunął się on tak daleko, że nie oznaczył granicy swej darowiźnie. Nowe, wielkie Niemcy uzyskały od niego szczodry przywilej brania tego, co im się spodoba i co im się tylko przydać może. Jaentsch posuwa jeszcze dalej swą łaskę, okazuje się on bowiem uprzejmy nawet względem Rosyan i Polaków, motywując przywilej, wydany Niemcom, koniecznością polityczną, a w końcu wskazują sposoby, jakimi wielkie i nowe Niemcy mogą jego prosty i przekonujący plan przyoblec w kształty rzeczywiste.

Wskazując ziemie, które do nowych Niemiec wcielić należy, Jaentsch określił sposób, w jaki to uczynić wypada. Wprawdzie w pierwszym wypadku zapomniał on o kresach geograficznych zdobyczy, które mężowi stanu powinny być przede wszystkim wiadome. Za to w drugim wypadku stał się jeszcze więcej niejasnym i ogólnikowym. Jaentsch czuje dobrze, że na straży ziem, przeznaczonych w darze nowym i wielkim Niemcom, stać będzie uporczywie i wytrwale Cesarstwo rosyjskie. Zdawałoby się zatem, że nic prostszego nie pozostanie do zrobienia, jak zniszczenie owego mocarstwa, które stoi na przeszkodzie słusznemu i uprawnionemu powiększeniu się Niemiec, a więc dla tego jest największym, dziedzicznym wrogiem rzeczonoego ludu i państwa. I Jaentsch taką wojnę zatracenia przewidu-

je w nieobliczalnej przyszłości, a tymczasem radzi niemieckim mężom stanu zjednywać przychylność Polaków i uprzednio anektować ziemię polsko-rosyjskie, za pośrednictwem rdzennej niemieckiej kolonizacji.

Ponieważ wojna z Rosją i pozyskanie przychylności Polaków mają być środkami odleglejszemi i późniejszymi, przeto na-przód przyjrzyjmy się kolonizacji niemieckiej, która wśród stepów i puszczy ma rozniecić światło kultury i stanowić ów zdobywczy miecz cywilizacyjny, zwiastujący zagładę mocarstwu rosyjskiemu. Cokolwiek historycy pruscy wyśpiewać zdołali na pochwałę talentu kolonizacyjnego Hohenzollernów <sup>1)</sup>, wszystko to odnosiło się do kolonizacji wewnętrznej, którą rząd materyalnemi i duchowemi środkami nie tylko popierać, ale i kierować może. Kolonia zewnętrzna usuwa się z pod steru i kontroli rodzinnego rządu, a wychodzący, wśród nowych warunków życia doznając opieki i poparcia obcego rządu, powoli przywiązują się do niego, oswajają się z nowym społeczeństwem i stają się obywatelami przybranego kraju <sup>2)</sup>. Tej nieubłaganej konieczności mogą stawić czoło wyjątkowe indywidualia, zasobne w niespożyty hart i siłę charakteru, ale nigdy masa kolonistów, szukająca chleba, spokoju i bezpieczeństwa, a wdzięczna temu, kto im powyższe warunki zapewni. Niepodobna, aby Jaentsch mógł zapomnieć o tem, ile to seryi kolonistów niemieckich, pracowitych, wytrwałych, zabiegliwych rolników, czy rękodzielników, utonęło dosłownie w organizmie dawnej Rzpltej polskiej, a następnie ile ich zasorbowało zupełnie cesarstwo rosyjskie w XVIII i XIX stuleciu.

Historyk polski oceniał zawsze z wdzięcznością wytrwałą pracę kulturalną kolonistów niemieckich — na wsi i w mieście. Prawo niemieckie zasłużyło się dobrze, począwszy od XIII wieku, polskiemu przemysłowi, zarówno jak i gospodarstwu rolnemu, i zdaje się, że dopiero z przybyciem kolonistów niemieckich zawitał plug na polskich obszarach, zastępując radła <sup>3)</sup>. Wszystkie te pokolenia osadników niemieckich, czy to w wioskach, czy w miastach polskich, wynarodowiły się z czasem zupełnie, i jedynie w miastach czyniło społeczeń-

<sup>1)</sup> Pętrz: Beheim Schwarzbach: „Die Hohenzollernsche Colonisationen“ i tegoż autora: „Friedrich Wilhelms Colonisationswerk in Lithauen Vornehmlich die Salzburger Colonie“.

<sup>2)</sup> Kłaus: „Naszi Kolonii“ (po rosyjsku), str. 4, stwierdza fakt powyższy.

<sup>3)</sup> Piekosiński: „Ludność wieśniacza w Polsce w dobie Piastowskiej“, str. 33.



stwo polskie w tym kierunku pewne wysiłki. Kolonizacja niemiecka oddawała w Polsce w każdym wypadku wielkie kulturalne usługi. Rozwijając stan ekonomiczny, dźwigając dobrobyt, stawała się ona zwiastunem cywilizacyjnym i budziła oczywiście ducha narodowego polskiego, któremu dawała się z czasem najzupełniej ogarnąć. Mniej więcej takimi samymi były losy kolonizacji niemieckiej w Rosji z XVIII i XIX wieku. Oddziaływała ona cywilizacyjnie na społeczeństwo miejscowe, ale zatracala powoli swój pierwotny charakter narodowy na korzyść gościnnego państwa i narodu, wśród których się osiedlała. W jaki sposób Jaentsch zamierza przeistoczyć naturę kolonizacji zewnętrznej i uczynić ją środkiem zdobywczym, przygotowującym grunt dla politycznej budowy nowych wielkich Niemiec, dociec trudno. Niemieccy pisarze objaśniają go wyraźnie, że kolonizacja wewnętrzna, podjęta z wielką energią i zachodem przez Hohenzollernów, a przedewszystkiem przez Fryderyka II, okazała się w dawnych dzielnicach polskich zawodną, i że mimo nieustającej czujności i poparcia rządu, uległa wynarodowieniu, zamiast szczepić i rozszerzać ducha germańskiego w gniazdowych dzielnicach Polski. Jeżeli więc kolonizacja wewnętrzna, którą zawsze rząd całą powagą i zasobami państwa popierać może, wydała w dziedzinie politycznej tak wątpliwe rezultaty, czegoż należy spodziewać się od kolonizacji zewnętrznej, którą się rząd rodzinny zajmować nie może, aby nie obudzić podejrzliwości i nieufności sąsiadującego państwa, któreby wszelkiej kolonizacji, mającej najłżejszy polityczny pozór, łatwo administracyjnymi środkami kres położyć mogło.

Wskazując ziemie, mające wzbogacić nowe wielkie Niemcy i podając środki, jakimi mają być zdobyte, Jaentsch zajmuje się łaskawie polską ludnością i jej przyszłym stanowiskiem w nowym i wielkim mocarstwie niemieckim. Polacy, jak utrzymuje, doświadczą wielkiego dobrodziejstwa od Niemców. Polacy dopiero w tej nowej fazie swojego bytu odczują w pełni szczęśliwość wyższo-kulturalnej opieki, szanującej, choć w głębi lekceważącej, polski język, i obdarzającej ludność ogólnikowym i niejasnym co do zakresu samorządem. Gdyby Jaentsch na tych pomysłach był poprzestał, możnaby przynajmniej pozostać z jakimkolwiek uznaniem dla jego nierozwiniętego zupełnie poczucia sprawiedliwości. Przynajmniej Jaentsch przemawia za utrzymaniem języka polskiego w szkołach, i to za utrzymaniem nie tak złośliwym, jak Teutonicus w „Preussische Jahrbücher“. Wobec więc namiętnych haseł pisarzy niemieckich hakatystycznego odcienia, brzmiących złowrogo: „Kein Wort polnisch“, możnaby mu zapo-

mniej jego pozornie naukowe, a w gruncie pozbawione wszelkiej nauki, wywody.

Jaentsch jednakże w patryotycznym uniesieniu pragnie nowe wielkie mocarstwo niemieckie obdarzyć zbyt wielkiem szczęściem w tem doczesnem i przemijającym dla ludzi, jak i dla państwowej potęgi, życia. Chce on nie tylko uczynić swą ojczyznę największem mocarstwem o wszechświatowej potędze, gaszącej majestat klasycznego imperyum rzymskiego, nie tylko pragnie dla łaknącej germańskiej rzeszy czarnoziemiu polsko-rosyjskiego; ale chce uwolnić społeczeństwo wielko-niemieckie od brzemienia pracy znoonej i upakarzającej, chce mu zapewnić przywileje dawnego możnowładztwa, zamieniające Polaków w dawnych, niewolniczych chłopów. Niezmiernie ciekawem i oryginalnem rozumowaniem poparł Jaentsch ów pomysł, dowodzący ostatecznie, że każdy kulturalny lud objawił w ustroju swym pewne różniczkowanie społeczne i w każdym z nich, nie wyłączając nawet nowożytnej Anglii, rozwinąć się musiał rozdział na panów i niewolników. Stanowisko panów przeznaczone jest przez naturę samą Niemcom, jako ludowi przodującemu kulturze i cywilizacyi; stanowisko niewolników niemieckich przeznaczonem zostaje dla Polaków, jako stojących na niższym szczeblu kultury, a więc odpowiednich dla pracy twardszej i zatrudnień ponizających.

Całe dowodzenie Jaentscha, przekonywające o tem, że każdy lud kulturalny skończył na różniczkowaniu społecznem, dzielącym mieszkańców na panów i niewolników, pozbawione jest wszelkich dowodów historycznych, a nie posiada żadnego uzasadnienia politycznego, społecznego i ekonomicznego. Dzieje państw chrześcijańskich stwierdzają jedno nieprzerwane dążenie ludzkości do poszanowania pracy służebniczej i do złagodzenia następstw zależności, jaka w naturze każdego społeczeństwa się objawiała. Państwo chrześcijańskie dążyło nieustannie do zniesienia niewolnictwa, jako instytucyi prawnej, do przeprowadzenia równości prawnej wszystkich mieszkańców, a tem samem do uczynienia zależności społecznej objawem przejściowym, nie mającym nic wspólnego z niewolnictwem piętnem. Społeczeństwa chrześcijańskie przeistaczały więc powoli dawny klasyczny podział na panów i niewolników, zastępując go innym podziałem, na zależnych i niezależnych społecznie. Różniczkowanie owo chrześcijańsko-społeczne stawało się coraz więcej ruchomem, a granice między zależnością i niezależnością, coraz bardziej znikome i ogołoconemi z wszelkich przywilejów stanowych. Jakkolwiek pozory niewolniczego brzemienia mogły spoczywać na pracy robotników w kopalniach węgla, czy w domowej industyri w Anglii, zawsze,

nietylko pod względem prawnym, ale i pod względem społecznym, stoją o całe niebo wyżej od dawnych stosunków niewolniczych. Nie tylko żaden przepis prawny nie przykuwa zależnego robotnika do ciężkiego znoju służebniczego, ale w dodatku społeczeństwo wraz z całą administracją państwową, siłą się na wynalezienie sposobów złagodzenia zależności socyalnej robotnika i ulżenia mu w jego ciężkiej doli.

Jaentsch, wskrzeszając klasyczne niewolnictwo, przeznaczają owo hańbiące jarzmo dla Polaków, czyniąc z nich urodzonych niewolników, stworzonych do wysługiwania się Niemcom, jako wyższemu kulturalnie ludowi. W jaki sposób pogodzić ów pomysł ze zdobyciem sympatii Polaków, które Jaentsch doradza rządowi pruskiemu, tego odgadnąć niepodobna. Wprawdzie Rzymianie mniemali, że okowami, które narzucali barbarzyńskim ludom, czynili im zaszczyt <sup>1)</sup> i honor. Choć jednak rzeczywiście żywili owo przekonanie, to wszakże nie wpoili go w ujarzmione ludy. Tem mniej można się spodziewać, aby Jaentschowi udało się pojednać Polaków z dolą niewolniczą, zwłaszcza, że lud ten przypomina sobie jeszcze lennicze hołdy, składane przez dzisiejszych potężnych dynastów niemieckich rozległej królewskiej Rzeczypospolitej, i że dwa lub trzy wieki temu wstecz, rzeczy miały się cokolwiek inaczej, nie upoważniając Jaentscha do czynienia tak lekceważących porównań.

Jaentsch usprawiedliwia swój pomysł tą jedną zasadą, nie czerpaną bynajmniej ze źródła politycznej wiedzy, że kultura wyższa ma prawo pochłaniać niższą, a tem samem lud wyższy kulturalnie może zrzucić bezkarnie z siebie brzemie znojnej, mało produkcyjnej pracy i do owej niskiej, quasi niewolniczej, czynności przeznaczyć podbity lud o niższej kulturze. Dla Jaentscha, uważającego wszelkie prawo międzynarodowe czy państwowe za czczą formę i pozostającego pod silnym wpływem reminiscencyi starożytnego świata, cały ów proces pochłaniania słabszego przez silniejszego jest bardzo naturalym i prostym. Germanizowanie Polaka nazywa biologiczną przemianą kota w psa, będącą wiekuiście poronionem zadaniem. Przemienienie Polaka w niewolnika, wykonywającego czynności upokarzające Niemca, uważa Jaentsch za zadanie zgodne z prądami humanitarnymi XX wieku, a co więcej, za problemat nie obrażający poczucia sprawiedliwości, a w końcu uszczęśliwiający Polaków. Argumentacja Jaentscha tworzy monstrualnie błędne koło. Szeregi przeciwieństw, sprzeczności

<sup>1)</sup> W. H. „Die polnische Gefahre“, str. 30. Deutsche Rechtspartei. Styczeń 1902, cytuje powyższy pogląd Fichtego.

logicznych, splotły się tak silnie z naiwnościami politycznymi w jedną całość, że sprawiają one wrażenie majaczenia patryotycznego, które wyraźnie wkracza w dziedzinę patryotycznego obłądki.

Prawem wyższej kultury usprawiedliwia Jaentsch niewolę społeczno-prawną ofiarowaną Polakom, gwoli ich uszczęśliwieniu; niemczenie Polaków usprawiedliwiają inni pisarze niemieccy temże samem prawem, tylko przemilczają o uszczęśliwieniu Polaków, a wysuwają na pierwszy plan cele narodowo-polityczne. Wreszcie pisarze niemieccy nam przychylni, z Delbrükiem na czele, nie zaprzeczają prawu wyższej kultury zdobywczego charakteru, jedynie środkiem i sposobom walki pragną wszczepić ducha wyrozumiałości czasowej i pojednania. Istotnie, zaprzeczyć się nie da, że wyższa kultura nadaje ludowi, który ją stworzył i rozwinął, pewne, niezaprzeczalne prawa, które zyskują bezwiedne uznanie wśród ludów, stojących niżej kulturalnie. Najgłówniejszem prawem, płynącym z wyższej kultury, jest wywieranie wpływu we wszystkich kierunkach duchowego rozwoju na lud niższy kulturalnie. Duch wyższej kultury przenika wszystkie stosunki społeczne, ekonomiczne i polityczne, ludów mniej rozwiniętych, opanowuje ich myślenie i na całej pracy cywilizacyjno-kulturalnej wyciska swe indywidualne piętno. Nazywa się to w teorii, że wyższa kultura wchłania, czyli zdobywa niższą. Ale nadmienić należy, że owa teoria, logiczna w konsekwencyach abstrakcyjnych, nigdy się nie rozwija w rzeczywistości z taką łatwością i pełnią. Wyższa kultura zaszczerpia niewątpliwie wśród ludności mniej rozwiniętej pragnienia i aspiracje wyższe, roznieca kulturalne i cywilizacyjne światło; ale warunki miejscowe i przymioty indywidualne ludu nadają pracy duchowej odrębny charakter, oryginalne piętno, wywołują współzawodnictwo w duchowym pochodzie ludzkości, a nie niewolnicze naśladownictwo.

Z drugiej strony i to zauważyć należy, że prawo kultury wyższej ma zastosowanie jedynie w dziedzinie światła i ducha, że wyższa kultura wyłącznie przykładem i przekonywaniem zdobywać może niższych kulturalnie, ale nigdy, jako środek polityczny, drogą przymusu i nakazu stosowaną być nie może. Prawo wyższej kultury, przemawiające policyjnymi sposobami, nie tylko traci swą duchową siłę i wpływ, nie tylko staje się zupełnie bezsilnem, ale wywołuje niechęć i wzdargę przeciwko sobie, pragnienie otrząśnięcia się, oraz wyswobodzenia od zależności duchowej, która dawniej bezsprzecznie istniała. Następstwem policyjnej akcji musi być kulturalna reakcja, zastępująca dawne uznanie i wdzięczność głuchą i gniewną nienawiścią, potępiającą bezkrytycznie wszystko złe i dobre zrazem. Pragnienie też Jaentscha, aby w imię wyższej kultury cisnąć

cały świat słowiański Niemcom pod stopy w niewolniczym jarzmie, tylko taką głuchą nienawiść wywołaćby mogło. Pragnienie powyższe jest też anty-polityczną i anty-chrześcijańską halucynacją, zasługującą na politowanie.

Jaentsch miewał w swem chorobliwym studyum lucida intervalla, ale zjawiały się one rzadko i szybko znikaly. Wracające zaś majaczenie wprawiało go w gniew, uzbrajało w pogardę, przesłaniało mu najkardynalniejsze podstawy państwa chrześcijańskiego mrzonkami, przeznaczonemi chyba nie dla tego świata.

A. REMBOWSKI.

# W GÓRACH.

---

Z SERJI V-ej.

---

I.

Tam, w moim kącie ziemi, kwitną teraz kwiaty,  
Kwitną kwiaty wiosenne, młode, bujne, świeże,  
Las jasne słońce z nieba w głębię swoją bierze  
I szumi — (szumem pieśni, jak anioł, skrzydlaty!).

Las drogi, święty, ciemny... Gdy się dźwiga zrana  
Nad polaną mgła wschodnia śnieżysto-różana  
Jelenie we mgle stając wznoszą w górę głowy  
I ogromne poroża, oszronione rosą,  
I sennie świetlne głowy na polaną niosą  
Z lasu, gdzie szumi święty, wonny hymn wschodowy.

Święta, przeczysta Pustka, we mgłach kołysana,  
Rozpościera ramiona, błogosławiąc ziemi,  
A kwiaty wiosny pachną i liśćmi białymi  
Świecą na trawie, jako na głębinie piana.

Święta przeczysta Pustka, w której się kolebie  
Co jest najszlachetniejsze na ziemi i niebie:  
Piękno w całym swym czarze i całej potędze —  
Ono, które być może dla duszy człowieka  
Wiarą, miłością, szczęściem, a jak Chrystus, czeka,  
By szedł k'niemu przez brud swój, przez ból swój, przez nędzę.

Ono, które nań czeka, ciche i cierpliwe,  
Wierne i niezawodne... I oto ów mrący,  
Ów trup, przez swoje nędze, ból i brud idący,  
Uczuwa, że mu w piersi bije serce żywe.

I z krzykiem: avel avel — modli się w zachwycie:  
Bądź pozdrowion, napoju, który wracasz życiu!  
Bądź pozdrowiona, karmi, która żywisz ducha!..  
I wiosnę w sobie czuje młodą — a dokoła  
Pachnie kosodrzewina i wonieją zioła,  
I szumi las, lub pustki nieskończonej słucha.

## II.

Do wielkiego kościoła modlić się przychodzę —  
(Mówi znużona dusza ziemskiego nędzarza) —  
Niechaj mię obezwładnia, niechaj upokarza,  
Wiem, że mi anioł z mieczem nie stanie na drodze.

Widzę wokoło Bezmiar, lecz nie jestem w trwodze;  
Czuję się w ręku Potęg, nie w ręku Mocarza;  
Nic mię Niepojętego sobą nie przeraża;  
Wiem, że na mnie nie patrzy nikt mściwie i srodze.

Jestem — czem jestem. Widzę — nie wątpię. Dokoła  
Spokój. Miłości, łaski, niech tu nikt nie woła,  
Ratunku, zmiłowania, niech tu nikt nie wzywa.

Nie przychodzę tu jęczeć: jestem nieszczęśliwa!  
Pomocy ni litości warga ma nie żąda — —  
Przychodzę się nauczyć, jak Spokój wygląda.



## III.

Przyszłam tu: za się nawet nie zwracając głowy,  
Bez jednego wspomnienia, bez jednej tęsknoty;  
Wszystko rzuciłam od się — — a z mojej roboty  
Lśni za mną tylko długi szlak krwi purpurowy.

Przyszłam tu — a duch ziemi o twarzy surowej  
Patrzy we wnętrze moje, jak w głąb ciemnej groty;  
Wzrok jego jest jak płomień — i w wnętrzu ciemnoty  
Poczyna tleć od niego nikły blask ogniowy.

Iskry, które tłumila niegdys krwi pożoga,  
Rozniecają się, płoną... Piękność bez nazwiska,  
Jak zorza powstająca nad łąkami błyska...

Każdy człowiek ma w duszy swojej swego Boga,  
Bożyszcze w głębi lasów, dalekie, nietknięte,  
Dziwiące myśl zbłąkaną k'niemu: że tak świętel

## IV.

Pójdźcie do nas wy, którzy w dolinach cierpicie —  
(Mówią góry) — wy wszyscy nędzni, słabi, cisi;  
Patrzcie: niebo nad wami śmiałe, wielkie wisi,  
Bujne, wielkie wystrzela dookoła życie.

Niech tęsknota się waszych serc uczepli... Marzcie  
O czemś Niedoścignionem... Kto pożąda Boga,  
Ten już przebóstwia duszę... Z serc mgła i szezoga  
Niech zejdzie: serce czyste, jak źródło, ukażcie.

A wtenczas się w wód jego odbije kryształe  
I odśmiechnie z jasnego głębin obrusa  
Światło, podobne temu, co z oczu Chrystusa  
Szło na ludzi, jak czyste i przejrzyste fale.

## V.

Opłyn mnie, ciemny lesie,  
Owiń mnie, dżdżysta mgła:  
Niech mi się w oczach niesie,  
Co było duszą mą.

Niech staną mi przed wzrokiem  
Rzeczy lecące z mgłą;  
Otul mnie, mgło, pomrokiem,  
Otocz mnie, lesie, ćmą.

Kochałem cię, Wyżyno,  
Kochałem cię, o Dall..  
Kochałem obcość duszy  
I dumny w pustkach żal..

Kochałem cię, o słońce,  
Na zimnych pustkach hal — —  
Kochałem obcość duszy  
I senny świata żal...

Kocham cię tak, o lesie,  
I kocham tak twój śpiew:  
Że mógłbym wykłąć z ciebie  
Anioła twoich drzew...

On, co się z szumem chwieje,  
Lecz śpi w milczeniu drzew:  
Ze skrzydeł swoich sieje  
Wieczystej ciszy siew.

KAZIMIERZ TETMAJÉR.

# ROZMAITOŚCI.

---

## Wiśniowiec w listopadzie 1781 r. i podróż Stanisława Augusta do Kamieńca.

---

Wiadomo z historii, że Imperator Paweł, będąc jeszcze Cesarzewiczem Następcą Tronu, odbył z małżonką w jesieni 1781 roku, pod tytułem hr. du Nord, podróż do Kijowa, i przejeżdżał przez kraje, należące wówczas do Rzeczypospolitej. Mimo więc półurzędowego incognito, był solennie przyjmowany przez władze miejscowe. Wypadkowo wpadł nam do rąk doskonale zachowany współczesny rękopis, rodzaj dyaryusza, widocznie spisany przez naocznego świadka <sup>1)</sup>, opisujący szczegółowo recepcyę dostojnych gości, począwszy od dnia 31 octobris do 8 novembris 1781 roku, na zamku Wiśniowieckim, przez króla Stanisława Augusta i miejscowych gospodarstwa Mniszców, Marszałkowstwa nadw. Litewskich.

Najjaśniejszy Pan zjechał uprzednio do Wiśniowca dla przyjęcia osobiście syna i Następcy Tronu swej potężnej Alliantki. Generał-adjutant Komarzewski wysłany został przez Króla na spotkanie dostojnych gości, którzy odrazu mu oświadczyli, że pragną być przyjęci *privatissime*, bez żadnych honorów wojskowych, żeby nikt naprzeciwko nich nie wyjeżdżał, dla uniknięcia subiekcyi Najjaśniejszemu Panu,

---

<sup>1)</sup> Tom II-gi Wypisków J. W. hr. Stanisława na Granowie Wodzickiego, Wojewody i Prezesa b. Rzeczypospolitej Krakowskiej, od str. 51 do 58-jej. Na okładce wyczytujemy: „Manuskrypt ten dostał się w spuściźnie po ks. Zofii z Krasińskich, Kasztelanowej Krakowskiej\* (Lubomirskiej). Dziś jest on własnością ss-ów wnuka Wojewody, ś. p. Alfreda hr. Wodzickiego z Lubara i a Wołyniu, zmarłego w kwietniu 1900 roku.

miejscowemu gospodarstwu i ich gościom <sup>1)</sup>. Stało się więc wedle ich woli, i generał Komarzewski, za przybyciem na zamek, odprowadził hrabstwo du Nord do wspaniałych apartamentów, dla nich przeznaczonych. Po krótkim wypoczynku, Najśńiejszy Pan przyjmował ich w swym gabinecie, gdzie im prezentował miejscowych gospodarstwa, Marszałkowstwa Nadwor. Litewskich, a Wielki Książę Paweł natomiast przedstawił Królowi generała Sołtykoff i Imć Pannę Barzoff-Nelidoff, damę honorową swej Małżonki, spełniającą przy niej funkcję Wielkiej Ochmistrzyńi Dworu. Następnie przeszli Wielcy Księstwo do apartamentów Marszałkowstwa Mniszchów, gdzie im prezentowane było miejscowe Obywatelstwo, wogóle damy i kawalerowie, którzy na zamku bawili. Potem o godzinie siódmej podana była kolacya na wielkiej sali, w czasie której u stołu goście siedzieli za biletami, grany był koncert przez artystów włoskich, Pugnaniego i Viottiego, i spalony został wspaniały fajerwerk przy oświetleniu tarasu zamkowego różnokolorowemi lampionami, a cały dziedziniec i ogromny wiśniowiecki park oświetlony był beczkami smolnemi. Odprowadzano się wzajemnie z wielką ceremonią do swych apartamentów, a oboje hrabstwo du Nord, bo tak się kazali tytułować, starali się usilnie okazywać wszelkie attentacye Najjaśńiejszemu Panu <sup>2)</sup>.

Z owego dyaryusza dowiadujemy się szczegółowo o każdym kroku, o każdej niemal czynności króla Stanisława Augusta, Wielkiego Księcia Pawła i jego Małżonki, w czasie ich pobytu na zamku wiśniowieckim. Zbytecznem byłoby te szczegóły wyliczać, wymienimy tylko główne fakta. I tak: Wielki Książę, nazajutrz po swem przybyciu, porozsyłał przed południem swe bilety, z napisem: „Comte du Nord“, dystyngowanym osobom, bawiącym w Wiśniowcu na zamku, osobiście zaś wizytował księcia Stanisława Poniatowskiego, Marszałka Rady Nieustającej. Tego dnia był wielki obiad, przy którym przygrywała orkiestra i wnoszono zdrowia: królewskie, Imperatorskiej i Wielkich Księstwa, przyczem bito z armat trzysta trzy razy. Wieczorem był bal. Król Jmć zaczął go od tańca polskiego z hrabiną du Nord, a Wielki Książę Paweł z Jmć Panią Marszałkową. Kolacya podana była w prywatnych apartamentach, gdyż bal długo się przeciągnął i uciecha była ogólna.

Król Jmć codziennie o dziesiątej rano słuchał Mszy świętej w kościele oo. Karmelitów, obok zamku. Wielki Książę Paweł ze swą świtą nieraz asystował Królowi Jmci. Księżna Radziwiłłowa, Podkomorzyna Wielka Litewska, odwiedzając hrabstwo du Nord w ich własnych apartamentach, obdarzoną została przez nią samą kosztowną egretą brylantową, przedziwnej roboty, którą Wielka Księżna, poprawiając niby to jej fryzurę, własnoręcznie wetknęła w jej włosy. Wielki Książę Paweł jednocześnie obdarzył księżnę Radziwiłłową damskim zegarkiem z brylantowym łańcuszkiem. Tegoż dnia Król

1) Słowa manuskryptu, str. 51.

2) . Mauuskrypt, str. 53.

Jmé zastał hrabinę du Nord, przebierającą swe klejnoty, które ona z mężem prezentowała Najjaśniejszemu Panu w czterech puzdrach łokciowych, w dłuŒ i w szerz napęlnionych kosztownościami, przedziwnego gatunku i misternej roboty; pomiędzy innemi wielkie guziki brylantowe, świeŒo nadesłane przez Imperatorową dla syna <sup>1)</sup>).

Nazajutrz ranó, w niedzielę, solenna Summa w kościele, przy końcu której odśpiewano „Te Deum“. Kawalerya Narodowa, ustawiona w dwa szeregi, formowała szpaler dla przejścia dostojnych gości do ławek kolatorskich, okrytych pysznemi makatami. Oficerowie Kawaleryi Narodowej, Regimentów: Miączyńskiego i księcia Michała Lubomirskiego, dostąpili przed wieczorem honoru być prezentowanymi hr. du Nord. Paradny obiad na sali, zwanej Wiśniowieckich. Hrabina du Nord asystowała u stołu, ustrojona *en gala* i okryta pysznemi klejnotami <sup>2)</sup>, które wraz z tualetą, zmieniła na jeszcze kosztowniejsze przed balem, przeciągającym się do północy.

W poniedziałek 5 novembris o dziewiątej rano petersburscy kawalerowie świty, jeden po drugim, przychodzili się pokłonić Najjaśniejszemu Panu, poczem kaŒdy z nich, odjeŒdzając, siadał do własnego powozu. O dziesiątej nastąpiła wizyta poŒegnalna hrabstwa du Nord, którym król Jmé do własnych apartamentów asystował, upierając się przy tem, aby ich przez schody odprowadzić do karety. Tu dopiero nastąpiło wzajemne zobopólne czułe poŒegnanie, przy którym hrabia du Nord rzekł głoŒno do przytomnych: Jestem z zupełnie kontent i moŒecie wierzyć, Œe Wam chcę szczerze, chcę dobrze. KsiąŒę Stanisław Poniatowski odprowadził dostojnych gości do Brodów, skąd miał wrócić nazajutrz z generałem Komarzewskim. W wigilię jeszcze prosił hr. du Nord Najjaśniejszego Pana, aby pozwolił generałowi Komarzewskiemu przyjechać zimą do Włoch tam, gdzie się On z MałŒonką znajdować będzie. Na co król Imé, naturalnie, chętnie się zgodził, widząc w jakim afekcie ten Officer u nich pozostaje. W Brodach bowiem, przy poŒegnaniu, oboje W. Księstwo obdarowali go przednią brylantową kameryzowaną tabakierą, z przedstawieniem na wieku historii Aleksandra W., wartości 2,000 dukatów, i obiecali mu nadesłać z Petersburga swe własne portrety. W Wiśniowcu zaś na odjeźdem obdarzyli tabakierą więszą kasztelana Podlaskiego <sup>3)</sup>, mniejszemi: Czerskiego, Politalskiego i Tremona. Paziowie otrzymali pierścienie. Na liberyę królewską zostawili 500 dukatów, na kuchnię 200 dukatów, a na liberyę Jmci Pana Marszałka Mniszcha 200 dukatów.

Autor Manuskryptu przytacza rozmowę Wielkiego Księcia z Jmé Panem Badenim, sekretarzem królewskim, z którym zawsze rad rozmawiał, i widocznie chciał się od niego dowiedzieć, jak dłuŒo zostaje u Dworu. Gdy mu Badeni oświadczył, Œe przeszło lat szesnaś-

<sup>1)</sup> Manuskrypt, str. 54.

<sup>2)</sup> Ut supra, str. 55.

<sup>3)</sup> Aleksandrowicza.

ście, Wielki Książę odpowiedział z czułem uznaniem słowy: Tak długi czas służby okazuje i przeświadcza, że Pan y sługa dobry <sup>1)</sup>.

W Brodach (będących już wtedy pod panowaniem austriackiem) oczekiwali z attencją na dostojnych gości: J. Ex. Brygido i pp. Hodeck i Harach. Król Jmć opuścił Wiśniowiec 8 novembris, nocując o cztery mile w Białozórce u Brzostowskiego. Dnia 9 novembris ujechał dziesięć mil przez Manaczyn i Felsztyn do Rakowca na Podolu, przyjmując gościę u Pana Morskiego. Dnia 10 novembris ujechano mil szesnaście przez Jarmolińce i Rudkę do Tynnej, gdyż 11 novembris oczekiwano Najjaśniejszego Pana w Kamieńcu Podolskim. Rzeczywiście tego dnia południem stanął Król Imć we wsi Dłużku, sąsiedniej z Kamieńcem, otoczony liczną eskortą kawaleryi Narodowej poważnego znaku, to jest konnego Regimentu Buławy Polnej <sup>2)</sup>, gdzie zastał miejscowych senatorów, dygnitarzy i znaczną liczbę województwa Podolskiego, nań oczekujących, dla złożenia mu swej submisyi. Tu Król Jmć siadł na koń, i otoczony całym tym wspnianym konwojem, kroczył na czele wojska powoli ku miastu. Baterye forteczne salwami zaczęły witać Monarchę; strzelanie było tak głośne, że od ich huku pękło okno w jednej z karet królewskich.

Komendant miasta, generał Witte, witał u bramy Jego Królewską Mość i wręczył mu klucze od fortecy. Najjaśniejszy Pan natomiast obdarzył go patentem na generał-lejtnanta. Regimenta piechoty stały uszykowane w paradzie na rynkach: polskim i ormiańskim; armaty nieustannie grzmiały, a gmin napelniał powietrze radosnemi okrzykami: Vivat! Król Jmć przybył do katedry, gdzie słuchał Mszy świętej. Przy śpiewie zaś hymnu kościelnego „Te Deum“, witany był a clero Rom. przez Jmć Księdza Stadnickiego, Archidyakona Kamienieckiego, i a clero Rithus Graeci, przez Księdza Oficyała Matkowskiego. Jmć Pan Lipiński, Podkomorzy Latyczowski, przemawiał do Króla Jmci w imieniu wszystkiego Obywatelstwa, winszując Mu szczęśliwego przybycia do stolicy Podola. Również witali Monarchę Prezydent miasta i ksiądz Wrzeszcz, Rektor szkół miejscowych. Król Jmć łaskawie każdemu z nich ku ucieście ogólnej odpowiadał.

Z katedry udał się Król Jmć piechotą do domu komendanta, generała Wittta, gdzie miał sobie wyznaczoną kwaterę, gdzie Oficerowie wszelkiej broni dopuszczeni byli do ucałowania ręki Pańskiej. W czasie obiadu na ośmdziesiąt nakryć, generał Wittte, przy biciu z dział fortecznych, wznosił toast za zdrowie Monarsze; Król zaś Jmć pił zdrowie jego i całego licznie zebranego przeświętnego Obywatelstwa Podolskiego. Z własnych swych pokoi przypatrywał się Król Jmć bardzo udatnej i ozdobnej iluminacyi całego śródmieścia, upiękzonej cyframi królewskimi i różnemi okolicznościami napi-

<sup>1)</sup> Manuskrypt, str. 56.

<sup>2)</sup> Ut supra, str. 64, 65, 66.

sami. Ratusz, brama katedralna polska, ruska, ormiańska i inne głównejsze gmachy, płonęły od różnokolorowych lampionów. Jeden szczególnie ognisty napis: *Filius Patriae et Pater*, najbardziej się Królowi podobał. Dla widzenia więc w szczególe tej iluminacji, świadczącej o dobrych chęciach mieszkańców Kamieńca, Król Jmć z niektórymi osobami Swej świty obchodził miasto, a gdy zbliżał się do rynku, powitała go janczarska kapela Regimentu pieszego, szefowstwa księcia Kaliksta Ponińskiego.

Nazajutrz o dziesiątej rano Król Jmć, przeprowadzany przez generała komendanta, lustrował tę część fortecy, której jeszcze w wigilię nie zwiedził; poczem po pierwszej udzielił audyencji Księdzu Biskupowi Kamienieckiemu. Następnie udał się na obiad do księcia Ponińskiego, któremu po obiedzie córkę do Chrztu świętego trzymał. Przed domem tym był obszerny plac; skorzystano z tego dla uszykowania tam Regimentu pieszego Buławy polnej koronnej, który królowi składał przysięgę wierności do Tronu, przyczem pokropiono wodą święconą jego chorągwie, czyli sztandary pułkowe. Wieczorem był bal, dany przez Króla Jmci dla wszystkich zgromadzonych w mieście Podolan i Podolanek, w domu młodego Wittego, jako najobszerniejszym w Kamieńcu. Bal był świetny i liczny, samych dam zebrało się przeszło pięćdziesiąt.

Dnia następnego, 13 novembris, Król Jmć dokończył lustracyi fortecy i asystował, mimo preraźliwej słoty, mistrze brygady pieszej, złożonej z Regimentów: Szefowstwa księcia Kaliksta Ponińskiego i Buławy polnej koronnej. Dnia 14 9-bris miała miejsce mustra pieszego Regimentu Wittego młodego, a przed południem jeździł, Król Jmć powozami z niewielką świtą do sąsiedniego Żwańca, gdzie po drodze zwiedzał pobojowisko pierwszej akcji pomiędzy Moskwą i Turkami w czasie ostatniej wojny i przypatrywał się miastu tureckiemu i fortecy Chocim, przez rzekę Dniestr, daleko węższy w tem miejscu, niż Wisła pomiędzy Pragą i Warszawą. Widok z pogranicznej wsi, Brahy, był wspaniały; posunięto się jeszcze nieco dalej, ponad lewym brzegiem Dniestru, skąd doskonale było widać Okopy Świętej Trójcy, miejsce znane z historii. Po obiedzie w Żwańcu wrócono nazad do Kamieńca, gdzie Najjaśniejszy Pan odpoczywał dzień następny, a d. 16 9-bris na Derażnię, Latyczow, stanął w Winnicy (ośmnaście mil). Stąd już powrót królewski odbył się po następnej marszrucie: Berdyczów (dziewięć mil), dalej zaś na Cudnów, Miropol, Połonne, Łaban, Hryców, Zasław, Ostróg, Hulczę, Warkowicze, Dubno, Boremel Strażnika Czackiego, Łokacze, a następnie już zwyczajnym traktem do Warszawy, gdzie Najjaśniejszy Pan miał stanąć ultima 9-bris, lub prima decembris <sup>1)</sup>.

Wymienić tu jeszcze należy z tego samego rękopisu listę osób, zasiadających do stołu królewskiego na zamku Wiśniowieckim w dniu

<sup>1)</sup> Manuskrypt, str. 57.



1 listopada 1781 roku, gdyż to rzuca pewne światło na społeczne stosunki owej epoki. I tak, zachowując porządek i pisownię autora przytoczonego rękopisu, wybieramy <sup>1)</sup>:

Najjaśniejszy Pan, Wielki Książę Rosyjski, Wielka Księżna, Sołtykowa, generałowa Bekiendorfowa, Dame d'honneur Barzoff-Nelidoff, Sołtykoff Generał Leutnant, Książę Iousouhoff i Kurakin Chambellanowie, Mniszchowa Marszałkowa Nadw. Lit., Grocholska Kasztelanowa Braclawska, Mierowa Kasztelanowa Inflantska, Księżna Radziwiłłowa Podkomorzyna W. Lit. <sup>2)</sup>, Potocka Podstolina W. Koronna <sup>3)</sup>, Platerowa Pisarzowa Polna Lit., Kurdwanowska Ex-Kuchmistrzowa W. Kor., Potocka Starościna Szczerzecka <sup>4)</sup>, Księżna Józefowa Lubomirska Starościna Romanowska, Księżna Marcynowa Lubomirska, Książę Jabłonowski Wojewoda Poznański, Książę Sanguszko Wojewoda Wołyński, Książę Czartoryski Stolnik W. Litewski, Sosnowski Wojewoda Połocki, Stępkowski Kasztelan Kijowski, Alexandrowicz Kasztelan Podlaski, Grocholski Kasztelan Braclawski, Karwicki Kasztelan Zawichostski, Mier Kasztelan Inflantski, Książę Poniatowski Marszałek Rady Nieustającej <sup>5)</sup>, Książę Radziwiłł Podkomorzy W. Litewski <sup>6)</sup>, Mniszech Choraży W. Koronny, Plater Pisarz Polny Litewski, Potocki Podstoli W. Koronny, Czacki Strażnik W. Koronny.

Widocznie, że wtedy w Wiśniowcu otoczył się Stanisław August miejscowem Obywatelstwem, wszyscy bowiem ci Senatorowie i Dygnitarze, wyjąwszy jednego Alexandrowicza, Kasztelan Podlaskiego, który wtedy przybył z królem na czele jego dworu, posiadali, o ile wiemy, w owej epoce znaczne dobra na Węliniu. Dó niedawnego jeszcze czasu na zamku Wiśniowieckim, chociaż już kompletnie obdartym ze wszelkich ozdób, pokazywano w jednym z pokojów, który, wedle tradycyi, miał służyć w 1781 r. za sypialnię dla dostojnych gości petersburskich, — napis, wryty dyamentem na lustrze: „Conte du Nord“, z wyraźną omyłką w pisowni,

<sup>1)</sup> Manuskrypt, str. 58.

<sup>2)</sup> Dorota Fryderyka, ks. Tour et Taxis, 2-o voto była za Michałem Ostrorogiem.

<sup>3)</sup> Aleksandra, córka ks. Lubomirskiego, Marszałka W. Kor. i Izabeli ks. Czartoryskiej.

<sup>4)</sup> Krystyna, żona Piotra, posła na sejm czteroletni, ambasadora w Stambule, córka Joachima Potockiego i Teresy Sapiężanki. Ona wniosła w dom Potockich Tykocin i Bocki.

<sup>5)</sup> Stanisław, bratanek królewski, a syn Kazimierza, ex-podkomorzego Wielkiego Koronnego, urodzony z Apolonii Ustrzyckiej. Był on rodzonym bratem matki, znanej ze swych pamiętników, Anny 1-o voto z Poniatowskich Tyszkiewiczowej, 2-o voto Wąsowiczowej.

<sup>6)</sup> Hieronim, rodzony brat księcia Karola Panie Kochanku.

który, mimo to, uchodził za autentyczny, a przynajmniej za współczesny.

Dowiadujemy się jednak, że nie dalej, jak przed kilku laty, jeden z ostatnich właścicieli Wiśniowca, przemysłowiec Toll, czy też Koczubej, sprzedał za sto rubli tafelę lustrzaną z owym historycznym napisem.

Spisał ze współczesnego „Silva rerum”

JÓZEF DUNIN-KARWICKI.

# PIŚMIENNICTWO.

---

JÓZEF BOJASIŃSKI; „Monografia w zakresie dziejów nowożytnych“. Wydawca Szymon Askenazy. Tom pierwszy. Rządy tymczasowe w Królestwie Polskiem. Maj — Grudzień 1815.

Tom pierwszy wydawnictwa, podjętego przez prof. Askenazego, zawiera studjum p. Józefa Bojasińskiego, poświęcone rządowi tymczasowemu w Królestwie Polskiem. W wydawnictwie, które ma obejmować monografie w zakresie dziejów nowożytnych nie chodzi prof. Askenazemu o pojedyncze, wyjątkowe usiłowania. Nie o luźne wyjątki idzie, ale o ustalenie nowej reguły. Chodzi o zwrot zasadniczy, o rozwarcie dotychczas zamkniętej szluzy, o skierowanie naukowego prądu do obszernego, a dziś wysychającego koryta. Inicytywa naukowa tej miary i tego rodzaju, świadomie i systematycznie podejmowana i prowadzona, przekracza siły jednego człowieka. Prof. Askenazy przedsięwziął tedy, nie zwlekając dłużej, ruszyć ją z miejsca przy zbiorowej pomocy zdrowych sił młodych. W tej myśli też otworzył niniejsze wydawnictwo, mając na względzie wykonanie podwójnej roboty: krytycznej i edytorskiej, opracowanie zarazem i ujawnienie źródeł w obrębie doby nowożytnej.

Monografie ogarną rozliczne, samodzielnie roztrząsane przedmioty dziejów nowożytnych, nie cofając się dalej wstecz poza rzeczy i ludzi polskich XVIII i XIX wieku. Ogarną równorzędnie i równomiernie, w najrozleglejszym pojęciu, czy to odrębne epizody, albo kierownicze postaci zewnętrznych dziejów politycznych, dyplomatycznych, wojennych i wogóle państwowych, czy też odrębne galęzie, albo pojedyncze zjawiska wewnętrzne dziejów ustawodawczych, go-

spodarczych, oświatowych i wogóle społecznych. Jakikolwiek zaś byłby obszar, gatunek i znaczenie każdego z osobna przedmiotu i pracy, we wszystkich znajdzie zastosowanie bezwzględne jedna i ta sama metoda badawcza, ściśle krytyczna i rzeczowa.

Każda monografia, stosownie do podwójnego swego założenia, narracyjnego i edytorskiego, składać się będzie w połowie z opracowania, w połowie z dokumentów. Opracowanie, w postaci zwięzłej, przejrzystej, czysto konkretnej, z bezwarunkowem wyłączeniem ogólnika i frazesu, wyłuszczy rozumowaną zawartość dostępnego materiału źródłowego w danym przedmiocie, a zwłaszcza nowych przyczynków archiwalnych. Dokumenty, to jest właśnie celniejsze z owych zdobyczy archiwalnych, ogłaszane będą w brzmieniu oryginalnem, bądź w całości, bądź w dostępnych wyciągach. Zechce w pewnej mierze uwzględnić czytelnik, pisze profesor Askenazy, że ofiarujemy tutaj prace autorów młodych, przeważnie początkujących, mniej doświadczonych w sztuce kompozycji pisarskiej na szerszą skalę. Wszelako za ich absolutną przedmiotowość i ścisłość naukową ręczymy tem śmieiej i bynajmniej nie prosimy o wyrozumiałość dla samej treści i wartości naukowej któregośkolwiek z badań niniejszych. Wszystkie te badania, przeznaczone do Monografii, dokonane są pod bezpośrednim naszym kierunkiem, a mianowicie pod względem wyboru tematu, względem zgromadzenia źródeł, względem sposobu ich użytkowania, względem ostatecznej redakcyi tekstu i edycyi dokumentów. O tyle też bierzemy na siebie solidarną odpowiedzialność za autorów i ich prace.

W drugiej przedmowie, poprzedzającej studjum p. Bojasińskiego, prof. Askenazy zauważył, że pomiędzy dwoma zamkniętymi w sobie okresami Księstwa Warszawskiego, oraz Królestwa Kongresowego mieści się trzyletni okres przejściowy (1812—1815), najmniej znany, albo raczej wcale nieznany, stanowiący jak gdyby pauzę w dziejach krajowych. Oczywiście jest to pauza pozorna. Dzieje nie znają przerw i owa doba przechodnia nie przerywała też politycznego i społecznego życia kraju, lecz wprowadzała je do nowej formy bytu. Co więcej, nawet była w swoim rodzaju przełomowa i epokowa. Wtedy bowiem dokonała się rdzenna odmiana w dziejach ścisłego kraju naszego, który wtedy wraz z miastem stołecznem Warszawą przeszedł po raz pierwszy na stałe pod berło dynastyi cesarsko-rosyjskiej. Autor, jak nas uprzedza prof. Askenazy, trzymał się ściśle granic przedmiotowych, jakie sobie nakreślił. Zatrzymał się tedy w ścisłym obrębie właściwej czynności władz tymczasowych warszawskich. Jego zadaniem było: wykreślić same zarysy i podmalować tło rządów tymczasowych w Królestwie Polskiem. Wydobycie

dalszych szczegółów, jako też wysnucie dalszych wniosków polityczno-naukowych, odtąd dopiero na podstawie tej pracy specjalnej staje się możliwym. Źródła czerpane były przez autora wyłącznie z archiwów warszawskich, bądź rządowych, bądź cenniejszych prywatnych. Ze źródeł będących w Petersburgu, Berlinie i Krakowie, dla rozmaitych powodów autor nie mógł lub nie zdążył skorzystać, ale o brakach stąd wynikających autor, zarówno, jak i wydawca, wie dobrze i mimo to jest przekonany, że studjum o rządach tymczasowych, choć niedokładne, będzie pożytecznem.

Autor rozpoczyna swą opowieść historyczną od zajęcia Księstwa Warszawskiego przez wojska rosyjskie, to jest od początku 1813 roku. Dnia 11 marca tegoż roku Cesarz Aleksander I-szy utworzył w Księstwie Warszawskiem, z siedziskiem w Warszawie, Radę najwyższą tymczasową, której powierzył namiestniczą, kolegiálną władzę cywilną, obok naczelnej władzy wojennej, sprawowanej przez feldmarszałka Barklaj de Tolly. Rada najwyższa składała się z 5-ciu członków, prezydującego w niej w tytule generał gubernatora Księstwa, Łąnskoj, wiceprezesa Nowosilcowa, księcia Ksawerego Lubeckiego, Tomasza Wawrzeckiego i Prusaka, Krysztofa Colomba, dawnego rządcy króla Saskiego. Policmajstrem miasta Warszawy został mianowany generał Świeczyn. Magistratury sądowe, zawieszane przez ustępujący rząd Księstwa, musiały rozpocząć ponownie wymiar sprawiedliwości. W maju zjechał do Warszawy, jako główny policmajster, generał Hertel. Nie podlegał on ani jednej władzy miejscowej Księstwa, a znosił się jedynie z ministerstwem spraw wewnętrznych w Petersburgu. Sprawy zaś polskie w Petersburgu należały do hr. Arakczejewa, któremu pamięć ludu rosyjskiego przechowała przydomek „straszego“.

Największy ciężar dla Księstwa stanowiły w tym czasie niezmiernie rekwiizyty wojenne na rzecz wojsk okupacyjnych. Produkty pobierano na zasadzie taryfy, wydanej w Płocku przez generalnego intendenta, Kankryna, i zatwierdzonej następnie przez Kutuzowa Smoleńskiego. Wartość wybranych w ten sposób produktów od dnia 1 lutego 1813 roku do dnia 1 maja 1814 roku wyniosła sumę złp. 72,382,986. Wystarczyło to jednakże tylko na zabezpieczenie potrzeb okupacyjnych. W 1813 r. doszło do tego, że musiano antycypować pobór produktów na szereg lat następnych podług norm przepisanych przez ostatni sejm Księstwa. W ten sposób poczyniono w niektórych departamentach antycypacje aż do roku 1830. Wogóle zaś wszystkie dostawy Księstwa Warszawskiego, wybrane przez wojska rosyjskie w r. 1813 i czterech pierwszych miesiącach 1814 r., wyniosły sumę 158,928,175 złp.

Rok 1814 przyniósł Księstwu pewne ulgi. Najwyższy ukaz, wydany przez Aleksandra I, w mieście Troyes, znosił w Księstwie trzy podatki: czopowy, patentowy i fortyfikacyjny, i zakazał od ludności żądać czegokolwiek w naturze na rzecz lazaretów. Prócz tego cesarz polecił Radzie Najwyższej utworzyć pod przewodnictwem Nowosilcowa komitet, który-by się zajął sporządzeniem wykazu zbędnych instytucji publicznych i urzędów w Księstwie. W kwietniu 1814 r. został utworzony w Paryżu komitet wojskowy organizacyjny, pod przewodnictwem W. Ks. Konstantego, złożony z 7 generałów: Dąbrowskiego, Kniaziewicza, Wielhorskiego, Zajączka, Sierakowskiego i Sułkowskiego. Pierwsze posiedzenie komitetu odbyło się dnia 27 września 1814 roku, a w listopadzie komitet dowiedział się z ust swego prezydującego o wyraźnym życzeniu cesarza jaknajrychlejszej organizacji wojska, ze względu na mogącą wybuchnąć wojnę w łonie koalicji. Niezależnie od wojskowego, utworzony został komitet organizacyjny cywilny pod prezydencją prezesa senatu Tomasza Ostrowskiego; pracować w nim mieli: ks. Adam Czartoryski, Tomasz Wawrzecki, Józef Ossoliński, Dominik Kuczyński, Stanisław Staszic i Mikołaj Nowosilcow. Komitet powyższy miał się zająć opracowaniem projektów w celu zbliżenia administracji i prawodawstwa krajowego do obyczajów narodowych; prócz tego miał rozpatrzyć sprawę reformy stosunków włościańskich. Komitet nie posiadał nieograniczonej inicjatywy, obowiązany był raczej opracować wskazane mu szczegółowo kwestye.

Owoce ogólnych narad Komitetu nad powierzonymi mu kwestyami był wniosek, że dawny skład administracji Księstwa, jako zbyt uciążliwy i kosztowny, powinien być w przyszłej organizacji Księstwa zastąpiony innym, bardziej narodowym, i mniej kosztownym, zastosowanym do ubóstwa rolniczego kraju. Kodeks cywilny Napoleona i postępowania sądowe francuskie powinny być zniesione i zastąpione tymczasowo przez statut litewski i dawną procedurę polską, a następnie przez nowy kodeks polski cywilny, kryminalny, sądowy. W dalszym ciągu wszystkie dochody niestałe Księstwa pochłonęło utrzymanie okupacyjnych lazaretów wojskowych. Na utrzymanie wojsk rosyjskich Księstwo od maja 1814 do maja 1815 roku, poniosło kosztów 72,942,911 złp.—Dnia 13 czerwca 1815 roku nastąpiło uroczyste ogłoszenie Królestwa Polskiego. Ponieważ konstytucya nie była ostatecznie opracowaną, przeto opublikowano jedynie trzydzieści siedem artykułów zasad, które służyć miały za niezmiennę regułę i za instrukcyę nowemu Rządowi Tymczasowemu.

Tymczasową administracyę kraju Aleksander I-szy powierzył tymczasowej Radzie stanu. Ową Radę stanowić mieli: 1) pięciu na-

miestników królewskich, 2) dwóch prezydujących w ministeriach, 3) sześciu radców stanu, wyznaczonych do kierowania oddziałami w ministerium, 4) ośmiu referendarzy stanu, z których jeden miał pełnić obowiązki sekretarza głównego. Właściwe rządy spoczyły całkowicie w rękach namiestników królewskich. Komitet namiestników otrzymał też tytuł Rządu Tymczasowego Królestwa Polskiego, a rada stanu, jako taka, miała tylko głos doradczy. Na czele rządu, jako namiestnicy królewscy, stanęli członkowie ustępującej Rady najwyższej, tylko miejsce Rady Colomba zajął ks. Czartoryski, wraz z tytułem wice-prezesa rządu. Dwa ministeria powierzone zostały Matuszewiczowi i Mostowskiemu. Do zarządu wydziałami w tych dwóch ministeriach przeznaczeni radcowie stanu: Kochanowski, Staszic, Gli-szczyński, hr. Aleksander Potocki, hr. Ludwik Plater. Wydział oświecenia narodowego oddano wysoce wykształconemu Stanisławowi Kostce Potockiemu, a zarząd spraw wojskowych spoczywał w ręku W. Ks. Konstantego Pawłowicza.

Pierwsze posiedzenie rządu tymczasowego odbyło się dnia 22 czerwca 1815 roku. Urządzenia kolegialnego, przepisane mu przez Aleksandra I, członkowie rządu nie bardzo wzięli do serca. Zwykle polegano na zdaniu Lubeckiego i bez dyskusji przychyłano się do jego zdania. Były atoli okoliczności od rządu tymczasowego niezależne, które utrudniały mu pracę. W. Ks. Konstanty nie porozumiewał, ale znosił się z rządem tymczasowym. Zajmował on względem rządu stanowisko całkiem odrębne, współrządne mu i niezależne. Do oszczędności przewodniczący Rządowi Tymczasowemu W. Ks. Konstanty nie chciał się zastosować i na tych sprawach traciła zazwyczaj administracja cywilna. Wiele trudności uasuwiała Rządowi Tymczasowemu sama osobistość W. Ks. Konstantego. Wkraczał on często w atrybucye Rządu Tymczasowego i paraliżował jego działalność, osłabiając ufność mieszkańców. Ani wojsko, ani naród nie znajdował łaski w jego oczach, a nadewszystko konstytucya służyła mu za przedmiot ciągłych sarkaf. Czartoryski proponował cesarzowi utworzenie ministerium wojny, a naczelne dowództwo chciał widzieć w rękach generała Wittgensteina. W ostateczności zaś niechby już W. Książę został wodzem, byle nie był jednocześnie administratorem i sędzią. Tymczasem W. Ks. Konstanty czynił nieustannie wyłomy w gwarancjach, które były zawarte w zasadach konstytucyi. Roboty Rządu Tymczasowego utrudniało nadto powszechne w kraju ubóstwo i ruina materyalna nie tylko mieszkańców, ale i samego rządu.

Owczesny stan kraju wytykał Rządowi Tymczasowemu jeden główny kierunek, którego się był trzymać powinien w pracach orga-

nizacyjnych i administracyjnych, mianowicie oszczędności. Nasamprzód doznało szczegółowej organizacji ministerjum skarbu, później ministerjum spraw wewnętrznych, do którego włączono i wydział policyi. Ostateczną organizację, choć wciąż jeszcze tymczasową, nadano wydziałowi oświecenia dopiero w dniu 14 listopada 1815 r. Ogólną sumą oszczędności w etatach tymczasowych w porównaniu z dawniejszemi, stałemi etatami Księstwa miała wynosić 2,549,874 złp. Przewidywano zaś jeszcze znaczniejsze oszczędności w ogólnej administracji państwa, z chwilą wprowadzenia podziału administracyjnego na województwa i powiaty.

Rząd Tymczasowy uznał za stosowne skasowanie gwardyi narodowej, którą uważał za instytucyę Królestwu niepotrzebną, szkodliwą i za kosztowną dla niego. Zamiar ten jednakże nie został wykonany. Oprócz zajęcia się ogólną administracją kraju i jego wewnętrzną organizacją, Rząd Tymczasowy miał się zająć także wykonaniem uchwał kongresu wiedeńskiego w rzeczach odnoszących się do Królestwa Polskiego. Najpilniejszą pod tym względem sprawą było wytknięcie nowej linii pogranicznej od strony departamentów odstąpionych Prusom. Demarkacya od strony Prus nie została ukończona za Rządu Tymczasowego, a to samo miało miejsce z demarkacyą od strony Austrii. Z chwilą przybycia cesarza Aleksandra I-go do Warszawy powinno było ustać pełnomocnictwo namiestnicze Rządu Tymczasowego. Zostało ono jednak na czas pewien i z pewnem ograniczeniem przedłużone, aż do dalszych rozkazów. Dopiero 25 grudnia objął rządy Namiestnik. Rząd Tymczasowy został rozwiązany. Prezes jego, Łanskoj, powrócił do Rosyi, a Nowosilcow, jako komisarz cesarski przy Radzie Stanu, pozostał w Warszawie. Do tekstu rozprawy dołączył autor sporą garść rzadkich i cennych dokumentów prawie wyłącznie z archiwów warszawskich czerpanych.

Studjum Rządowi Tymczasowemu poświęcone wypełnia istotnie w literaturze naszej historycznej lukę, która, rzec można, prawie, że świeciła pustkami. Wszystkie podręczniki dziejów porozbiorowych, jak naprzykład Szujskiego, Szmitta, Morawskiego, Barzykowskiego, Augusta Sokolowskiego, dalekiemi były od wyczerpania przedmiotu i jedynie ogólnikowe o tej epoce przejściowej podawały wiadomości. I w studjum p. Bojasińskiego niema zupełnie wyczerpania przedmiotu, ale ze sfery ogólnikowej autor przeszedł do dokładnego przedstawienia ekonomicznego wyczerpania Księstwa, do równie dokładnego i sumiennego przedstawienia zmian organizacyjnych i administracyjnych Księstwa, które bezpośrednio poprzedziły epokę konstytucyjnych rządów Królestwa Polskiego. Nie tylko, że autor dał nam ciekawy obraz szybko po sobie następujących przeistoczeń publiczno-prawnych,



ale scharakteryzował udatnie i ciekawie główne osobistości, działające w owej epoce przejściowej, bądź to rosyjskiego, polskiego, bądź pruskiego pochodzenia. Dzięki pracy p. Bojasińskiego nabywamy o owej epoce przejściowej (1813—15). daleko dokładniejszego wyobrażenia, a skutkiem tego możemy lepiej pojąć i zrozumieć trudności, jakie się wówczas przedstawiały na każdym polu życia publicznego prawodawcy Królestwa Polskiego. Monografia p. Bojasińskiego rzuca sporo nowego światła na badaną epokę i podaje kilka ciekawych dokumentów, które dotychczas spoczywały w ukryciu archiwów; ma więc dwa najważniejsze tytuły, aby być uznaną przez społeczeństwo za pracę sumienną i prożyteczną.

A. R.

---

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI: Polska w czasie trzech rozbiorów. 1772—1796. Studya do historii ducha i obyczaju. Tom drugi. 1788 — 1791.

Tom drugi dzieła Kraszewskiego rozpoczyna opowieść historyczną od roku 1788, to jest od doby, kiedy się powoli zaczyna w Polsce formować stronnictwo pruskie. Tom powyższy odznacza się temi samemi przymiotami, co i pierwszy, czyli że do historii ducha i obyczaju daje nam dużo cennych szczegółów, a życie ówczesne przedstawia w szeregu interesujących obrazów. Materiał historyczny nie został wprawdzie przez Kraszewskiego wyczerpany, ważne dokumenta prawno-państwowe pozostały mu nieznanemi, ale w każdym razie zgromadził sporo broszur naukowych i polemicznych, przestudował je pilnie i uważnie, tak, że sąd historyczny jego okazał się prawie zawsze trafnym, rozważnym, i do dziś dnia, pomimo publikacyi nowych źródeł, cennym.

Przedstawiając początki stronnictwa pruskiego w Polsce, Kraszewski scharakteryzował wybornie Fryderyka Wilhelma II i zasady fryderycjańskiej polityki względem Rzeczypospolitej. Przymierze z Prusami wobec postępowania Fryderyka II przy pierwszym podziale Rzeczypospolitej zdawało się niemożliwem. Król i stronnictwo rosyjskie marzyło o przymierzu z Rosyą w walce przeciwko Turcyi, a co ważniejsza, że uważało się blizkiem urzeczywistnienia tych marzeń. Król po powrocie z Kaniowa zajęty był jedynie powyższą myślą, a i Rosya zdawała się skłaniać do projektu istotnego przymierza. Książę de Ligne, przychylny Polakom a przyjaciel Stanisława Au-

gusta, przewidywał zbliżanie się drugiego podziału Polski, i dla tego radził „siedzieć spokojnie“. W swoim memoryale pisał on co następuje: Interesem Rosyi jest zapobiedz podziałowi, bo ona ma wpływ na całą Rzeczpospolitą, a zostałyby jej tylko w tej części, którąby zabrała. Należy więc nie drażnić Rosyi, aby się obronić od nowego podziału, rozbicia, nawet zagłady imienia polskiego.

Sejm czteroletni przygotowywali podług starego zwyczaju król i Stackelberg. Król chciał go mieć pod konfederacją, aby pewniejszym być wygranej, Rosya nie bardzo sobie tego życzyła. W planie Stanisława Augusta było zacieśnienie i utrwalenie związku z Rosyą, wedle Kaniowskiego traktatu. Do tej roboty zapraszał Szczęsnego, z którym był zupełnie od Kaniowa zgodnym. W planie królewskim było też powiększenie wojska, dla poprowadzenia go z Rosyą przeciw Turcyi. Sejmu zaś najgłówniejszym celem, jak Kołłątaj zapewniał, było dźwignienie sił narodowych. Powinien on być korzystać ze szczęśliwej okoliczności, która formę rządu pozwala poprawić, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej na kilka wieków tylu milionom ludzi w kraju wolnym dobrze uczynić. Młode stronnictwo patryotyczne, które główną rolę grać miało na sejmie, było liczniejszym od Potemkinowskiego, obfitowało w ludzi zdolnych, niewypróbowanych, ale pełnych uczucia i zapału.

Sejm został otwarty dnia 6 października. Król i poseł rosyjski ułożyli zawiązanie konfederacyi przed sejmem na wzór 1776 roku. Przeciwnym temu był stanowczo Małachowski, zostawiono więc ostatecznie swobodę sejmowi i konfederacya dopiero po wyborze marszałka zawiązaną została. Akt konfederacyi nie podobał się i przeraził stronnictwo rosyjskie: wszyscy zaś już wówczas wiedzieli, iż na poparcie Prus dla wyzwolenia się od Rosyi będą mogli rachować. Król pruski wcześniej też zaczął sobie jednać stronników, co nawet z początku przychodziło mu z trudnością. W opozycyi przeciw Rosyi stawała wówczas za Prusami Anglia i Holandya, nawet prawdopodobnie Szwecya; patryoci wierzyli więc w trwałość ówczesnej polityki i rzucali się w objęcia Prusom. Dnia 13 października wystąpił Buchholtz w imieniu swego pana z notą do sejmu. Był to krok stanowczy, który o charakterze przyszłego sejmu stanowił. Król pruski ostrzegał w tej nocy o niebezpieczeństwie aliansu z Rosyą, ofiarowując wzamian swoje przymierze. Po tem oświadczeniu uniesienie patryotów nie miało granic. Stackelberg donosił, że odrazu jego stronnictwo, łącznie z królewskim, zostało pobitem na głowę.

Jeszcze w październiku zostało uchwalonem powiększenie wojska, co do rozrzewniających scen było powodem. Uchwalono 100,000 wojska,—pisał Stackelberg,—ale nikt nie pomyślał o kosztach. Te-

rażniejsze dochody osiągają zaledwie 18 milionów złotych, a na samo wojsko potrzeba będzie 50 milionów. Dnia 6 listopada podał Stackelberg notę w imieniu swojego rządu, w której oświadczył, że sejm nieustający byłby naruszeniem traktatu, gwarantowanego w roku 1775, ostrzegając przytem, że najmniejsza zmiana w formie rządu za pogwałcenie traktatu uważana będzie. Król przy tej sposobności przemówił za przymierzem z Rosyą i odradzał od pogwałceń traktatu, ponieważ to wystawiłoby słabą jeszcze Rzeczpospolitą na niebezpieczeństwo. Tym głosem król naraził się na dużo nieprzyjemności i dopomógł patriotom do przewagi. Lucchesini w ciągu trzech miesięcy uczynił stronnictwo pruskie zwyciężkiem i dyktującym prawa. Pochlebając w drobnostkach sejmującym stanom, nie występował on jeszcze z żądaniem Torunia i Gdańska, i tym sposobem nadawał polityce swojego dworu pozory bezinteresowności i sprawiedliwości.

Dnia 24 listopada, przy głosowaniu nad komisją wojskową, która miała uzyskać najwyższą władzę nad wojskiem, stronnictwo patriotyczne odniosło stanowcze zwycięstwo w sejmie. Odtąd zaczęło się ono szybko powiększać, ale znaleźli się w niem wicherzyciele, którzy, pod maską gorliwości, dążyli jedynie do zmarnowania czasu i zniweczenia prac, szczęśliwie rozpoczętych. Większość sejmowa dawała się uwikłać w nieskończone rozprawy. Jak naprzykład, nad komisją wojskową, gdzie pośpiech był koniecznym. Położenie króla w tej dobie było bardzo smutne. Rosya jego słabości przypisywała swą klęskę. Patrioci się odgrażali, własna rodzina nie była z niego zadowolona, a cesarzowa traktowała go zimno i kwaśno. W tymże roku korzystano z obrad nad podatkiem wieczystym, aby zniweczyć radę nieustającą. Nieustająca Rada—woła turbator Jeziński—gdyby w kraju zdrada, co sekreta do nieprzyjaznego wynosi domu. Precz z nią! Poszli za nim inni, ostatecznie przy głosowaniu zniesiono radę 120 głosami przeciwko 13. To zwycięstwo stanowiło o przyszłości sejmu, o kierunku całym polityki w latach następnych.

Współcześnie powtarzano ciągle w sejmie „skarb i wojsko“, i około tych dwóch sprężyn obraca się mozolnie cała czynność sejmowa, przeciągająca się bez miary. Nareszcie dnia 20 marca 1789 roku uchwalony został na wojsko dziesiąty procent od dochodu, jako podatek stały, w chwili uniesienia i ofiarności. Dzień wieczorajszy — pisał Essen—wywołał bezprzykładny, przynajmniej w dziejach Polski wypadek. Jeśli trwałem się to okaże, a to, co obiecuje, dotrzyma, będzie Polska mogła zająć miejsce w senacie narodów. Istotnie piękna to była godzina. Niestety, po uniesieniach wróciła natury ludzkiej słabość i szlacheckie sobkowstwo. Dobrowolnie zaprzysiężone intraty okazały się tak małemi i z krzywdą dla kraju, że sejm nową deputa-

cyę naznaczyć musiał dla oznaczenia szacunku dóbr i dochodów. Dnia 20 grudnia sejmujący polecili deputacyi stanowcze określenie praw kardynalnych na zasadzie podanego przez nią zarysu. Osnowa projektu nowej formy rządu była następująca: Tron pozostawał nadal wybieralnym. Władza królewska, z powodu, że sejm przyznał sobie wybór straży i mianowanie urzędników, uszczuplona raczej była, niż powiększona. Posłowie, jak dawniej, mieli odbierać instrukcye i zdawać sprawę ze swych czynności. Czwarty punkt znosił liberum veto. Prawa kardynalne tylko nadal potrzebowały jednomyślności, prawa polityczne trzech czwartych głosów. Podatki uchwalać się miały dwoma trzeciami, cywilne i kryminalne prostą większością.

Przymierze z Prusami mogło być zawartem w roku 1789, ale plan Hertzberga, pragnący w zamian za Galicyę otrzymać dla Prus Toruń i Gdańsk, nigdzie nie miał szczęścia się podobać. Zwolennicy rosyjscy i przyjaciele Austrii skorzystali z tego planu, aby wskazać, co było pobudką dla Prus do kojarzenia się z Polską. Pitt jednakże radził ustępstwo Rzeczypospolitej. Anglia i Holandya chciały gwarantować przymierze pruskie, w przekonaniu, że Polsce nie pozostawało nic nad uczynienie ofiary niezbędnej. Lecz był to nowy podział kraju, straszniejszy od pierwszego, bo dobrowolny. Widziano korzyści, a nikt nie miał odwagi głośno zdania wypowiedzieć. Zawarty 29 marca 1790 roku traktat z Prusami ręczy Rzeczypospolitej za całość jej posiadłości. Nie było w nim wzmianki o Toruniu i Gdańsku, ale swoją drogą dano znać z Berlina, że zaporą do swobodnego handlu między dwoma państwami jest obstawanie Rzeczypospolitej przy posiadaniu Gdańska i Torunia, leżących pośród posiadłości pruskich. Gdy się tylko Polacy upominali o traktat handlowy, Prusy występowały ze swoim dawnym żądaniem. Politykę też ówczesną Prus charakteryzował Essen, jako monopolową, podstępną i zajętą wszelkiego rodzaju przebiegami, niezrozumiałą w zmianach i złej wiary.

Stackelberg przed wyjazdem ofiarował się długi królewskie, wynoszące milion dukatów, zapłacić, jeżeliby król aliansu z Prusami odstąpił. Poniatowski widział jednak z ducha sejmu i kraju, że rzecz była niemożliwa i bezpieczeństwu jego zagrażająca. W końcu roku 1790 myśl przyspieszenia uchwały nowego prawa krążyła już między czynniejszymi członkami sejmu, lecz zachowywano ją w tajemnicy najściślejszej. Nie wszyscy nawet z przyjaciół mieli o niej wiadomości. Pierwszy raz uznano potrzebę ostrożności, milczenia i wyboru osób, do czynu przypuszczonych. Stronnictwo narodowe pracowało w największej tajemnicy nad przygotowaniem ustawy i zapewnieniem jej przyjęcia większością ogromną głosów. Jaki przygotowania owe miały przebieg, wiadomo z licznych opisów, ciekawszem jest zapa-

trywanie się Kraszewskiego na uchwałę 3 maja. W kraju w ogólności przyjęto po województwach uchwałę z uwielbieniem. Posłowie zagraniczni udawali dla niej obojętność, kryjącą największe nieukontowanie i lekceważenie. Stanisław August ludził się, że Rosya nie wyda wojny Polsce za tę ustawę, tymczasem w Petersburgu postanowiono ją obalić, nie zrywając natychmiast z Rzeczpospolitą.

Wogóle, treść tomu drugiego dzieła Kraszewskiego jest bardzo bogatą, a opowieść zajmującą. Jedyne w przedstawieniu sprawy miast znajdujemy główny nacisk, położony na zewnętrzną, formalną stronę rozwoju z pominięciem ważnych dokumentów, rzucających decydujące światło na przekonania ówczesnego stanu mieszczańskiego. Zresztą, tom drugi jest pouczającym i pozostanie jako studjum nad historią ducha i obyczaju cennym przyczynkiem historyograficznym.

A. R.

---

GADON: „Emigracya polska.“ Pierwsze lata po upadku powstania listopadowego. Tom III. 1902.

Ostatni tom pracy p. Gadona, rozpoczyna opowieść losów emigracyi od powolnego zanikania komitetu Dwernickiego. Komitet powyższy stawał się coraz szczuplejszym w swym składzie. Na samym wstępie 6 członków odmówiło należenia do niego, w cztery miesiące później usunęło się trzech: Morawski, Wołowski i Umiński, po nich przyszła kolej na Worcella. Przy boku Dwernickiego, zamiast czternastu członków, pozostało trzech: Ledóchowski, Sierakowski i Jełowicki. W przeznaczeniu tego komitetu snąc leżało umrzeć ze stopniowego, wewnętrznego wycieńczenia. Nawet Sierakowski, obrażony zbytnią pobłażliwością Dwernickiego, uważał za stosowne go porzucić. Dnia więc 13 marca 1834 roku, dwaj pozostali członkowie postanowili rozwiązać komitet i trudnić się sprawami emigracyi jedynie przez dwa miesiące. Komitet Dwernickiego trzeci z rzędu na emigracyi trwał tym sposobem 20 miesięcy. Nie wysyłał on na cztery światy strony śmiesznych odezwo, jak jego poprzednik, ale i on przy sposobności durzył młode głowy, schlebiał im, rozdymał ich zarozumiałość, ludził, zapewniając zbliżający się kres niedoli, i on nie prostował zбочenia i nie poskramiał wyuzdanego wicherzycielstwa. Na nieszczęście i generał Dwernicki dbał niezmiernie o popularność tanią i płytką, i żeby z niej nic nie uronił, szedł zwy-

kle za prądem tych, co najgłośniej krzyczeli. Dla tych powodów komitet Dwernickiego nie zadowolnił nikogo, a przed rozwiązaniem się swoim w rzeczywistości nie istniał.

Natomiast powstała myśl ustanowienia komisji korespondencyjnej dla ułożenia nowej ustawy dla emigracji. Istotną pobudką tego przedsięwzięcia była myśl ujęcia emigracji w jedno wielkie towarzystwo demokratyczne. Komisya korespondencyjna miała ułatwić znoszenie się ogólne. Emigracya bowiem rozbita była przeszło na 200 części, a nawet w najdrobniejszych pomiędzy niemi tworzył się zaraz „ogół“, albo „gmina“. Z ogółu występował często „ogół szczegółowy“ lub tworzyła się sekcyja Towarzystwa demokratycznego, a w każdej grupie panowały odrębne opinie, zbyt często niedojrzałe, przesadnie bałamutne. Owe ogóły szczegółowe, czy sekcyje Towarzystwa demokratycznego, uznały w 1834 roku w Poitiers Adama Czartoryskiego za nieprzyjaciela kraju i emigracji. W „Nowej Polsce“ I. B. Ostrowski, szarpał wszystko, co w świecie emigracyjnym na jaw wychodziło, nazywając Mickiewicza antykwazem poezyi. Rok 1834 stał się też jednym z najsmutniejszych w życiu emigracji. Wszczęła się gorsząca walka na luźne druki, świstki, odezwy, broszury i artykuły w pismach emigracyjnych. Pism tych wychodziło kilka w latach poprzednich, a w jednym 1834 dziewięć nowych. Emigracya czuła konieczność potrzeby skupienia się zwartych szeregów, a te komendy żadnej słuchać nie chciały. Żywioły rozkładowe górowały nad pierwiaskami spójni i ładu. Żadne przewodztwo nie mogło się utrzymać.

Za inicjatywą Cezarego Platara zawiązało się w grudniu 1831 roku w Paryżu Towarzystwo litewskie. Pobudką do tego była chęć Litwinów dać poznać, że byli i być nie przestają jednym z ludów Europy, który był Rzeczypospolitej połową drugą. Z kolei zawiązało się 14 lutego 1832 roku Towarzystwo przyjaciół postępu, mające na celu wzajemne doskonalenie się w naukach i przygotowanie się do życia publicznego. Dnia 17 marca 1832 roku utworzyło się Towarzystwo demokratyczne, a 29 kwietnia 1832 roku Towarzystwo literackie. Pod sam koniec roku 1832 utworzono zostało w Paryżu Towarzystwo pomocy naukowej, mające za zadanie ułatwiać młodzieży wstęp do zakładów naukowych i przemysłowych. Prezesem stałym tego Towarzystwa był Adam Czartoryski. Doznawało ono niestannych trudności nie tylko od rządu francuskiego, ale i od własnych rodaków. Nie zadawała ona emigracji, która uważała, że Czartoryski trwoni fundusze na zasiłki dla swoich zwolenników. W Chateauroux zawiązało się w lutym 1833 roku Towarzystwo wzajemnego oświecenia, z celem doskonalenia się wzajemnego i dążenia ku

pożytkowi Polaków. W kwietniu 1833 roku pułkownik Różycki założył Towarzystwo zjednoczenia braci obywateli i żołnierzy. W tym samym roku natrafiamy na wzmiankę o Towarzystwie dawnych wojskowych; wreszcie w 1834 roku, wedle pomysłu Błotnickiego, założone zostało Towarzystwo dobroczynności dam polskich pod prezydenturą księżnej Czartoryskiej. W roku 1835 Bem założył Towarzystwo politechniczne polskie; Towarzystwo to powodzenia nie miało i poroku rozwiązaniem zostało. W późniejszych latach powstało jeszcze więcej towarzystw i związków. Jedne z nich trwały lat kilkadziesiąt, inne trwają dotąd jeszcze.

Z pomiędzy Towarzystw powstałych na emigracji najznaczniejsze zajmowało miejsce i najdotkliwsze wywarło skutki Towarzystwo demokratyczne. Dochowało się po niem kilkanaście litografowanych okólników z lat 1833 i 1834, których treść autor podał w swej pracy, objaśniając ją szczegółami, skądinąd zaczerpniętymi. Po roku 1846 Towarzystwo demokratyczne traci wpływ i znaczenie, jakie miało nie tylko w emigracji, ale i w kraju, widocznie obumiera i w 1862 r. ostatecznie się rozwiązuje. Sposoby obrane przez Towarzystwo dla rozwinięcia swego apostołstwa były nieszczęśliwe. Zasiew swój niosło Towarzystwo często z wysokim poświęceniem, ale zdrowy plon z niego nie wyrósł. Popadało ono w iście samobójczą sprzeczność, a kierownicy stawali się dla kraju jakimiś samozwańczymi mentorami.

Przez pierwsze dwa lata cała prawie emigracja gromadziła się tylko we Francji, ale pod koniec 1833 roku zaczęła się rozpraszać i po innych krajach i strefach. Nie tylko po Francji, Anglii, Belgii i Szwajcaryi, nie tylko po Europie rozlokowała się emigracja. W Egipcie, po odjeździe Dembińskiego, utrzymali się niektórzy oficerowie polscy przy wojsku wice-króla. Około 400 żołnierzy i 20 oficerów weszło do legii cudzoziemskiej. W Hiszpanii uformowano oddział ułanów polskich, pod dowództwem pułkownika Krajewskiego. W r. 1833 rząd austriacki wysłał kilkuset emigrantów do Ameryki północnej. Przyjmowano ich chętnie po zakładach przemysłowych i dawano pracę, ale gruntów na kolonizację nie udzielano, co się najbardziej uśmiechało emigrantom. Dość, że we dwa lata po rozbiciu, tułactwo polskie objęło, rzecz można, całą kulę ziemską, rozległo się po wszystkich częściach świata.

Napoleon I, gromadził po pewnych miejscowościach Francji jeńców wojennych, gdzie ci tworzyli tak nazwane Dépôts des prisonniers de guerre. Według tego wzoru postąpił rząd francuski z polskimi wychodźcami po roku 1831, internując ich po wyznaczonych na to miejscach, a zbiorowiska te urzędowym językiem nazwał również

Dépôts. Wyraz ten przetłómaczono na polski „zakład“ i na jego czele postawiony był komendant francuski, któremu do pomocy dodawany był pośrednik polski. W zakładach powyższych nie było porządku właściwego i karności, nie było obowiązku i zajęcia. Żołnierze i podoficerowie, stanowiący mniejszość, zwykle umieszczeni byli w koszarach, ale oficerowie mieszkali w mieście po prywatnych domach. Przez pewien czas atmosfera obozowa panowała w zakładach, ale uniformy przybyłych zużywały się, ten i ów nosił już ubranie nawpół wojskowe, nawpół cywilne. Wkrótce całe wojskwo przyobiekło się w szarą pospolitość sukni cywilnej, dostarczonej przez komitety przychylnych Francuzów. W końcu kwietnia 1832 roku, Bem z polecenia ministra wojny przysłał do zakładów okólniki, wzywające, by się podzielono na sekcye i bronie. Rada zakładu miała swego prezesa, sekretarza i innych urzędników. Co miesiąc pewna liczba członków Rady, losem wskazanych, ustępowała innym, przez wybór powołanym. Sekretarz zwykle zatrzymywał urząd swój w sposób stałszy i zwykle też on wszystko robił. Posiedzenia Rady zwyczajne i nadzwyczajne odbywały się często i przy drzwiach otwartych, to jest przy obecności arbitrów. Co miesiąc Rada zwoływała ogólne zgromadzenie zakładu i na niem przedstawiała stan spraw bieżących. Ogólne zgromadzenia w rzeczach zwykłych i praktycznych zaczynały się dość obojętnie, zdając się niedbale na zdanie Rad.

Bezczynność i próżniactwo musiały wydać zepsute swe owoce. Plotki, przeiadywanie po kawiarniach, a przedewszystkiem zapamiętałe karciarstwo, grasowały strasznie. Pozbawieni wszelkiego zajęcia i rozrywki, emigranci — oniekađ byli zuiewoleni do egzaltowania się wzajemnego. Nadmiar jędza niezgody i nierządu poszła krok w krok za wychodzcami. Ale te dziecinne zwady zastąpiła wkrótce srozsza plaga — polityka. Z polityki wyniknęły niezliczone pojedynki, a w Awenionie przyszło raz do tego, że cała partya gremialnie miała się strzelać z drugą. Utworzone w niektórych Zakładach sądy honorowe tylko w części pojedynkom zapobiedz zdołały. Gromadne to życie emigrantów trwało nie długo. Po kilkunastu miesiącach rozkazem ministra pierwotne wielkie zakłady zostały zwinięte i emigranci zostali rozproszeni po całej Francyi i rozlokowani w przeszło dwustu miastach i miasteczkach.

Ponieważ wielkie zakłady stanowiły przeważną stronę bytu emigracyi, przeto autor podał nam pojedyncze fakta i daty, które mogą dać obraz wewnętrznego jej życia. Nasamprzód opisuje autor zakład w Awenionie, który zwanv był przez emigrantów „cieplą Syberyą“. Komendantem francuskim tego zakładu był pułkownik Morel, człek dobry i poczciwy, ale niedołężny i bardzo ograniczony. Na-



stępnie został opisany zakład w Bezansonie, dalej zakład w Bourges i zakład cywilny w Chateauroux. Ogólna liczba emigracyi dochodziła do 10,000. Największą jej część stanowili wojskowi wszelkich stopni z ogromną przewagą młodziutkich podporuczników z nieodpowiednią mniejszością żołnierzy, tak, że na jednego żołnierza przypadało trzech oficerów. Żywiół cywilny emigracyi obejmował wszystkie kategorie mieszkańców, wszystkie bez wyjątku szczeble i zawody społeczne. Znaleźli się na tułactwie: ministrowie, posłowie, oficerowie, literaci, duchowni, magnaci, większa lub mniejsza szlachta, wyżsi i niżsi urzędnicy, mieszczenie, włościanie, rzemieślnicy, studenci, oficyaliści, żydzi i nawet Niemcy albo synowie Niemców.

Wśród tej emigracyi zapanowała wkrótce choroba gadania i pisania, adresomania i proklamacyomania i gorsza jeszcze mania pisania przyszłych konstytucyi. Te konstytucye i manifesta były nietylko zuchwałem przesądzeniem przyszłej woli narodu, ale stawały się wśród emigracyi kością niezgody i niewysychającym źródłem jałowej dyskusyi. Porwał wszystkich szła obrad i politykowania. Emigracya rozpadła się na obozy i na koła i kółka, a wszyscy gotowali broń naprzód przeciwko sobie. Wśród życia bez zajęcia uczucia rosły w namiętności i na palnym materiale gorących i zbolałych serc wybuchły ogniem zazartych walk stronnicych. Emigracya po roku 1831 niezwykle długie ma istnienie, trwa przez lat dziesiątki, nie wrasta w żaden obcy żywioł i do końca pozostaje sama sobą. Warunki nieprzyjazne, wśród, których się znalazła nie ściągają z niej wcale narodowej cechy, ale chorobliwie zaostrzają przyrodzone skłonności. Do smutnego stanu emigracyi przyczyniło się niemało postępowanie rządu francuskiego. Dawał jej wprawdzie chleb powszedni, ale dla jej potrzeb moralnych, dla jej zdrowia społecznego, stałe, jakby z przyjętej zasady, nie czynił. Rząd francuski widział w emigracyi tylko cudzoziemców i obchodził się z nimi, jak z niewygodnymi gośćmi. W swoich krokach wobec emigracyi rząd francuski dawał często dowody braku taktu, wydawał rozkazy i wnet je cofał lub zmieniał. Wichrycieli, co bocznemi drogami przybywali do Paryża, nie śmiały wyprawiać z miasta, ale za to ludzi spokojnych i poważnych z największą trudnością wpuszczał do stolicy. Opieka rządu francuskiego nie zawsze okazywała się szczerą, życzliwą. Opiekunowie zaś naturalni emigracyi, generałowie polscy, z wyjątkiem kilku, z uderzającą niedbałością zapominali o moralnym obowiązku i usunęli się od wszelkiej troski o byt tych, których tak niedawno jeszcze wiedli do boju. Do generałów z natury rzeczy należała opieka moralna nad młodszymi towarzyszami broni. Tymczasem po przejściu granicy każdy z nich my-

ślał tylko o sobie, a o los wojska nie troszczył się wcale. Rozdzieleni między sobą osobistościami i zawiścią, za przybyciem na emigrację nie byli w stanie porozumieć się, nie umieli zdobyć się na żaden krok zbiorowy w interesie podkomendnych.

Dwernicki w sprawach emigracji miał rolę wybitną, Umiński dużo krzyczał i kłął a robił długi. Rybiński zupełnie nie pojmował swojej pozycji. Stary Sierawski łatwo podawał ucho rozprawiaczom, zwinny Pac od wszystkiego się usuwał, Sołtyk sam zrazu należał do komitetu Tarańskiego, a Mycielski mało miał interesu dla rzeczy emigracyjnych, Sznajde brał w nich niejaki udział, jak również i Wroniecki, a następnie i Chrzanowski; ale o innych generałach na emigracji żadnego prawie słyhu nie było, rzec można, że się schowali. Najstarszego między generałami, Kniaziewiczza, zarzut obojętności i bezczynności nie dosięga. Ale z jednej strony miał on uprzedzenie przeciwko sobie, a z drugiej strony rząd francuski odmawiał mu wszelkiej pomocy. I Bem, organizator pochodu, obojętnym i biernym nie był, lecz jego czynności szkodziło nieliczenie się ze zmienionymi warunkami i zbytnia porywczosć, oraz bezwzględność, która mu robiła nieprzyjaciół i budziła przeciwko niemu oszczerstwa i posądzenia, że się powoduje widokami osobistej ambicji. We wrześniu 1832 roku, kiedy swary w zakładzie Aweniońskim straszliwie się wzmogły, kilkuset wychodźców uroczystą odezwą błagało generałów, by przemówili do niedoświadczonej młodzieży i powołali ją do rozsądku i porządku. Ale i to nie wyruszyło ich z bezwładnej opieszałości. Do takiego nawet głosu generałom nie starczyło w piersiach oddechu i ducha hetmańskiego.

Wpływ Lelewela na emigracji był demoralizujący. Krążyło przysłowie „Bem stworzył emigrację, Lelewel ją popsuł.“ Komitet Lelewela w krew emigracji zaszczeptał zarazek waśni. Komitet Dwernickiego bez wiary w siebie, bez godności, nic nie uczynił, by organizm nim dotknięty uleczyć. Wzmagające się zaś Towarzystwo demokratyczne, przyjąwszy nienawiść, jakby ślub swego zakonu, pryskało na wszystkich jadem i żółcią i niszczyło usiłowania zorganizowania emigracji. W emigracji znalazło się odrazu kilka tysięcy jakby z obowiązku powołanych polityków. Pojęcia ich polityczne były poprostu dziecięcej naiwności. Zasobem ich wiedzy politycznej stała się frazeologia. Zwłaszcza w pierwszych czasach mistrze i pacholki frazesu prześcigali się w samochwalstwie i samowielbieniu. Uczony Lelewel w publicznem oświadczeniu głosił np., że komitet jego porównał się z najzaszczytniejszą życia narodu chwałą, a doświadczony w życiu generał Dwernicki zapowiadał rodakom, że przyszłe pokolenia swoje swobody i pokój winne będą polskiej emigracji.

Wychodzcy mawiali zazwyczaj sobie: „Nasze dusze wzniosłe i nieugięte, nasza wielkość, na nas tylko świat liczy, fundatorowie porządku społecznego, emigracya najszlachetniejsza część narodu, naród martwe ciało, emigracya jego dusza i emigracya pierwszym interesem Polski.“

Wiara wśród emigracyi w pierwszych jej chwilach była na ogół mocno zachwiana, nawet stłumiona. Bezbożność zuchwale i cynicznie nie występowała, ale uczucia religijne były co najmniej obojętne, obowiązki religijne sceptycznie zaniedbane. Księża znajdujący się na emigracyi, po większej części bez powagi moralnej i umysłowej, nie byli zdolni oddziaływać przeciwko bezreligijności i podobno się o to nie kusili. Towarzystwo demokratyczne, w swem zaraniu szczególnie, wrogo występowało przeciw religii i okazywało jej pogardę, przesłaniając tylko ateizm i materializm lekkim płaszczem luźnego deizmu. W roku 1835 Jański w Paryżu zawiązał Bractwo służby narodowej, poza wszelkiem stronnictwem politycznem. Z pośród rozstroju emigracyjnego, z pośród atmosfery sceptycyzmu i rewolucyjnych namiętności, powoli wysuwa się kierunek religijny, kojarząc ludzi szukających drogi jaśniejszej i prawdziwszej. Z tego braterstwa powstał wkrótce w emigracyi „Zakon Zmartwychwstania Pańskiego“. Kiedy w 1842 zgromadzenie to wchodziło w życie, moralny jego założyciel już nie żył.

W początkach emigracyi tajne Towarzystwa grały wśród niej znaczną rolę. Autor napotkał o nich bardzo ogólne i niedokładne wskazówki. W pierwszych chwilach emigracyi, najczynniuszem pomiędzy tajnymi Towarzystwami było węglarzowe, czyli karbonaryjne, mające na celu jakąś republikę uniwersalną, w której odrębne państwa miały się rozplynać. Główne jego ognisko, przeniesione z Włoch, znajdowało się w Paryżu. Polscy wychodzcy wstępowali do tego Towarzystwa i jako neofici prześcigali zagorzałością starych członków. Na początku roku 1833 utworzyło się węglarstwo polskie, od francuskiego oddzielne. Na jego czele stanął Namiot narodowy, znoszący się z najwyższym Namiotem świata w Paryżu, złożonym z Francuzów i Polaków. Były więc węglarskie wenty, Namioty, Poręby i Kapituły. Węglarze, lubo równie liczni jak Masoni, byli bardziej czynni i stanowili niejako wybór czyli wyższą klasę Masonów polskich, a w rzeczy samej i jedni i drudzy nie wiedzieli, co czynią, czyli raczej, co z nimi robią. Śmieszne formy, mistyfikacya naczelników, mocno oburzyły nie myślący polski obóz. Karbonaryzm rozszerzał się po zakładach i nie mały wpływ wywierał na emigracyę. Wyprawy do Niemiec i Saudyi odbyły się głównie za jego sprawą.

Kiedy węglarstwo chyliło się do upadku, w Szwajcaryi utworzył się nowy związek pod nazwą młodej Europy, złożonej z Młodej Italii, Młodych Niemiec, Młodej Francyi i Młodej Polski. Główna jego myśl opierała się na tem, aby każda narodowość w zakresie swoim działała niepodległe, kiedy w węglarstwie wszystko ulegało prostym rozkazom Najwyższego Namiotu świata. Zasady były demokratyczno skrajne, ale bardzo ogólne i dwuznaczne. Związek był pół jawny, pół tajny. O egzystencji jego i osobach, na czele każdej narodowości stojących, każdy mógł wiedzieć, działania tylko tajemnica osłaniała. Komitet Młodej Polski, związany w Berlinie w r. 1834, rozdzielił się na dwie sekcye: emigracyjną, która się miała trudnić rozszerzaniem związku we Francyi, i porozumiewawczą, która wyobrażała Młodą Polskę, przy komitecie centralnym Młodej Europy w Szwajcaryi.

Tajne Towarzystwa nie przyniosły emigracji zdrowych owoców. Towarzystwa powyższe, po większej części węglarskie, płątały wolę pojedynczą, do innych przeznaczoną działają, wikały do wypraw, które nie miały ani należytej posady, ani przyzwoitego i prawdopodobnego wyrachowania. Towarzystwa te, pokryte tajemnicą, tworzone w spółnictwie z cudzoziemcami, krzywiły emigracyjną pracę, która szerokiej domagała się jawności, otwierały bezpieczne pole intrygom i podlegały prawie zawsze niedorzecznemu wpływowi, któremu najczęściej ślepe musiano ślubować posłuszeństwo.

Najświetniej na emigracji zakwitła poezya polska, choć i proza wyrosła bujnie. Zarzucano literaturze emigracyjnej przesadę, marzycielstwo, krzewienie złudzeń, lekceważenie rzeczywistości, gardzenie trzeźwym rozumem, jako objawem poziomego materializmu, a wynoszenie egzaltacyi, uniesienia, jako jedynej sprężyny działania patryotycznego. Zarzuty te częściowo dadzą się usprawiedliwić, ale w każdym razie literatura powyższa dzwignęła samostność umysłową. Czasopisma na emigracji wyrastały gęsto, jak grzyby po deszczu, ale zwykle na żywot bardzo nietrwały. Różne treści i i formatem, to drukowane, to litografowane, wychodziły w nieregularnych odstępach, co kilka, lub co kilkanaście dni, albo nawet rzadziej, ułożone dość nieporządnie, bez numeracyi i czasami nawet bez oznaczenia daty.

Tom trzeci pracy p. Gadona zawiera, jak i poprzednie, mnóstwo interesujących szczegółów i rzuca dużo światła na dzieje wychodztwa polskiego od roku 1831. Autor nie skrywał wad emigracyi, ukazywał wszystkie jej wady i zboczenia, a w sądach kierował się dobrze zrozumianą wyrozumiałością i pobłażliwością. Historia wychodztwa i jego losy poza granicami ojczyzestego kraju, którą nam p. Gadon

w trzech tomach przedstawił, stanowi historię nad wszelki wyraz bolesną i smutną. Prózniactwo wytworzyło w tej koczowniczej garstce waśń wewnętrzną, a waśń zrodziła obłąd, który pojęcie obowiązku publicznego i miłość kraju przeistaczał w samolubne maniactwo i w uwielbienie własnego męczeństwa. Wszystkie ujemne wpływy emigracyi zostały przez p. Gadona wskazanemi z wzorową dokładnością i przedmiotowością. Autor stara się nawet ujawnić przyczyny owych ujemnych wpływów, wskazując, że niejednokrotnie rząd francuski, nietaktem swoim i obojętnością, powiększał rozkładowy proces w łonie emigracyi. Z tem wszystkiem, nie mógłbym się zgodzić na wszystkie dodatnie strony, jakie autor przypisuje wychodźtwu. Na poziom umysłowy w kraju wpływało ono bardzo mało, a o ile wpływało, to tylko ujemnie. Jednakże z niedopowiedzeń i niedomówień w sądach nie można robić autorowi zarzutu, wskazał bowiem wszystkie wady, błędy i komplikacye, jakie za sobą życie i zawód tułaczy sprowadza; a że trudno mu było wyrzec surowe i bezwzględne potępienie, oraz, że tu i owdzie spostrzegał okoliczności łagodzące, a nawet niekiedy usprawiedliwiające, brać mu tego za źle nie można i pobudki jego uznać należy. Ostatecznie praca p. Gadona, emigracyi polskiej poświęcona, wypełniła lukę świecą pustykami w literaturze naszej historycznej. W dziele powyższem tkwi dla naszego społeczeństwa bolesna, ale poważna nauka, tem poważniejsza, że ją wypowiedziano w poczuciu sprawiedliwości, w jaknajlepszej wierze i z istic chrześcijańską wyrozumiałością.

A. R.

---

**FRÉDÉRIC MASSON:** *Mémoires du comte de Moriollés, sur l'émigration, la Pologne et la cour du grand duc Constantin (1789–1833).* Précédés d'une introduction. Paryż, 1902.

Znany historyk epoki bonapartystowskiej, Fryderyk Masson, wydał pamiętniki hrabiego de Moriollés, zaopatrzywszy je w interesującą przedmowę. Hrabiego de Moriollés wielka rewolucya francuską wyrzuciła poza granice ojczyzstego kraju. Przepędziwszy krótki czas w gronie emigracyi w Koblencyi i Manheimie, hr. de Moriollés uległ

namowom przyjaciela swego, Polaka, Bystrego, i podążył w okolice Kamieńca, do dzierżaw dopiero co upadłej Rzeczypospolitej. Wrażenie nieszczególne uczyniła na nim polska kraina. Ubóstwo, zwłaszcza po przebytej świeżo kampanii (1794), raziło przybysza na każdym kroku. Karczmy przydrożne z izbami, pełnymi zaduchu i robactwa, dały mu się niejednokrotnie we znaki; nic więc dziwnego, że opisowi swemu nadaje ton pesymistyczny, w którym czytelnik znajdzie nie jeden szczegół, charakteryzujący nasze ówczesne komunikacje i stosunki towarzyskie wiejskie.

W pamiętnikach hr. de Moriollles występują różne postacie z polskiego i rosyjskiego towarzystwa. Hr. de Moriollles musiał się bowiem wszędzie przedstawiać gubernatorom, lub wicegubernatorom przyłączonych do Cesarstwa prowincyi, i prosić ich o rozmaite ułatwienia w podróży. Wszystkim, których poznał, a zwłaszcza hr. Szeremetjewowi w Żytomierzu wystawia hr. de Moriollles pochlebne świadectwo, jako ludziom uczynnym, wyrozumiałym i pełnym uczuć humanitarnych. Z polskich postaci, opisanych przez hr. de Moriollles, zasługuje na uwagę przedewszystkiem hetman i hetmanowa Ksawerowstwo Branicy z Białej Cerkwi. Hetman miał już na owe czasy 67 lat wieku i rządy domowe oddał w zupełności małżonce, siostrzenicy Potemkinowskiej. Na hrabim de Moriollles uczynił hetman wrażenie przeżytego, ale sprytnego i o zmiennym charakterze a wysokich ambicyach człowieka. Hetmanowa oczyściła majątek męzowski z długów, i zapobiegliwością, oraz gospodarnością doprowadziła go do kwitnącego stanu. Ona to wystarała się hrabiemu de Moriollles o korzystne i wygodne miejsce guwernera na dworze Belwederskim u Wielkiego Księcia Konstantego Pawłowicza. Wielki Książę posiadał bowiem syna naturalnego, Pawła, zrodzonego z niejakiej pani Friedrichs, później Weiss. Syna owego kochał Wielki Książę Konstanty tkliwie i pragnął mu dać jak najstaranniejsze wychowanie. Hr. de Moriollles miał w owem wychowaniu i wykształceniu wziąć poważny udział, i przystąpił też do swego zadania z zapałem i jak największem pragnieniem sumiennego wypełnienia swoich obowiązków. Na nieszczęście, nie natrafił na grunt podatny. Natura młodego Pawła nie była zbyt uposażoną w inteligencyę, a prócz tego niekoniecznie dobry wpływ wywierał na swego syna Wielki Książę Konstanty i nauczyciel języka rosyjskiego, Fawicki.

Opowiedziawszy szeroko swe kłopoty pedagogiczne, hr. de Moriollles skreślił nam dokładne portrety: Wielkiego Księcia Konstantego, cesarza Aleksandra I, Mikołaja I i Wielkiego Księcia Michała.

Wszystkich widywał niejednokrotnie w Belwederze, lub rozmawiał o nich z Wielkim Księciem Konstantym. Tego zaś miał sposobność przeniknąć aż do głębi, gdyż przez lat kilkanaście był w całym znaczeniu tego słowa jego człowiekiem zaufania. We wspomnieniach hr. de Moriollles pierwszorzędną miejscę zajmuje również księżna Łowicka. Nie zdobyła sobie ona uznania hr. de Moriollles, i kreśli on jej portret niezbyt sympatycznymi rysami. W oczach fancuskiego pamiętnikarza była to osoba wątłego zdrowia, zdenerwowana i zmuszona do ciąglego ukrywania swych uczuć i upodobań. Wielki Książę Konstanty, pomimo rzetelnego przywiązania, jakie miał dla swej małżonki, łatwym w pożyciu nie był i mógł się przyczynić do zrujnowania jej systemu nerwowego. Hrabia de Moriollles opisuje nam jedną ze scen, która zazwyczaj dość często miewała miejsce. Wieczorem Wielki Książę miał zwyczaj odczytywania gazet polskich głośno. Czynił to głosem przedrzeźniającym, wyrażającym lekceważenie, co dotyczyło i drażniło księżną Łowicką, namiętnie przywiązaną do wszystkiego, co polskie. Prócz tego, Wielki Książę Konstanty nie tylko że był przywiązany głęboko do Rosyi, jej przeszłości i sławy, ale w dodatku żywił niechęć, przechodzącą prawie w nienawiść, do możnowładztwa polskiego. Z uczuciem owem nie skrywał się wcale przed małżonką, co znowu zatruwało jej nie jedną chwilę małżeńskiego pożycia. Jeżeli jeszcze zauważymy, że do księżnej Łowickiej udawali się ze skargami i prośbami wszyscy, których dotknęła samowola Wielkiego Księcia, choćby w najdrobniejszy sposób, to odkryje się przed nami w zupełności, nieprzebrane źródło drażliwości i przygnębienia, które mogły podkopać jej zdrowie i nerwy.

Hrabia de Moriollles nie uwzględnił jednak owych powodów i pomawia księżną Łowicką o nietaktowne postępowanie, o pewną przesadną kokieteryjność, a przedewszystkiem o przesadzone ambicje. Sądom swoim hr. de Moriollles odjął dużo mocy i powagi, przyznając się na wstępie, że księżna Łowicka zaraz od początku okazywała mu dużo niechęci. Widocznie więc chciał się niechęcią za niechęć odplacić, i z kilku słów potocznych wytoczył przeciwko księżnej Łowickiej kompletny akt oskarżenia. Przedewszystkiem pomówił hr. de Moriollles księżną Łowicką o pragnienie zostania Wielką Księżną. Cesarz Aleksander I-szy miał nawet ochotę uczynić zadość temu życzeniu Wielkiego Księcia, ale, jak nam hr. de Moriollles opowiada, oparła się temu cesarzowa-matka, i cała sprawa poszła na zawsze w zapomnienie. Żaden z pamiętnikarzy polskich i zagranicznych, znający księżną Łowicką, jej charakter i usposobienie, nie potwierdził legend hr. de Moriollles. Wiadomo, że cesarz Aleksander 1-szy

udzielił małżonce Wielkiego Księcia Konstantego, tytuł księżnej Łowickiej wraz z predykatem: Jaśnie Oświeconej (Świetłość'). Było to odznaczenie najwyższe, jakie mogło być nadane małżonce morganatycznej. Żaden z pamiętnikarzy nie wzmiankuje o tem, ażeby księżna Łowicka miała być niezadowoloną z losu i żeby pragnęła znaczniejszego wywyższenia. Prócz tego wiedziała ona o tem, że Wielki Książę Konstanty nie pożądał dla niej podobnego odznaczenia, wiedząc o tem dobrze, że mogłoby ono niemile dotknąć całą rodzinę cesarską.

Na potwierdzenie swego podejrzenia przytacza Moriolles pod słuchane przypadkiem słowa księżnej Łowickiej, które mają przekonać czytelnika, jak przesądzonemi ambicjami była przepełniona. Wiadomem było powszechnie, że Wielki Książę Michał naśladował we wszystkim Wielkiego Księcia Konstantego, swego brata starszego. Pragnął on także ożenić się z miłości, jak Wielki Książę Konstanty, i chciał uniknąć towarzyski żywota, narzuconej względami dynastycznymi i chwilowemi wymaganiami dyplomatycznymi. Księżna Łowicka, wiedząc o tem marzeniu Wielkiego Księcia Michała, wyrzekła, że spokojną jest dopiero o niego od tej chwili, gdy jej młodsza siostra wyszła za mąż, jak gdyby rodzina Grudzińskich miała monopol zaopatrywania w żony rodzinę cesarską. Z pobieżnego wyrażenia, zaopatrzonego w gorzką uwagę Moriollesa, trudno jednak przekonać się o dążeniu księżnej do zostania Wielką Księżną. Małżeństwo Wielkiego Księcia Michała z jej siostrą było-by bowiem tak samo morganatycznym, i nie uczyniłoby ani jej, ani siostry Wielką Księżną domu panującego.

Portret Wielkiego Księcia Konstantego odtworzył hr. de Moriolles sympatycznie nie poświęcając wszakże prawdy na rzecz niskiego pochlebstwa. Zdaniem francuskiego pamiętnikarza, nie tylko w małżeństwie Wielkiego Księcia Konstantego ujawniały się jaskrawe przeciwieństwa i sprzeczności, ale brak harmonii odczuwać się dawał w nim samym. Jednocześnie był Wielki Książę Konstanty walecznym w całym znaczeniu słowa i lęklwym, okrutnym i tkliwym, surowym i łagodnym, impetykiem energicznym i chwiejnym, niezdolnym do stanowczej decyzji. Wielki Książę Konstanty miał niezmiernie wielkie pojęcie i poczucie sprawiedliwości, ale wyobrażał sobie, iż jego kaprys i samowola wyobraża prawo i słusność w zupełności. Potrafił on przytem zdobywać sobie przyjaźń i przychyłność ludzką, był nawzajem w przyjaźni lojalnym i wiernym, ale, niestety, i tu zmienność usposobienia i gwałtowność tempe-



ramentu zamieniała mu często przyjaciół w zaciętych i nieubłaganych wrogów.

Cesarz Aleksander I i cesarz Mikołaj I zostali przez hr. de Morielle opisani z uznaniem i zgodnie z tem, co o nich powiedzieli rosyjscy, lub obcy historycy. O Wielkim Księciu Michale jest mniej stosunkowo szczegółów, ale i jemu hr. de Moriolles nie szczędził uznania i zaświadczenia, że posiadał miłe usposobienie i dobry wogóle charakter. Co się tyczy polskiego towarzystwa, to od chwili, kiedy hr. de Moriolles zajął stanowisko guwernera w Belwederze, nie znajduje ono wielkiego uwzględnienia w jego pamiętniku. Z ogólnemi poglądami na dzieje Polski, na jej stosunki społeczne i polityczne spotykamy się wprawdzie gdzieś u hr. de Moriolles, ale towarzystwo polskie widocznie odsunęło się od emigranta, który pierwotnie przybył do domu polskiego w gościnę i w nim znalazł schronienie na tułactwie. O polskim narodzie i jego stosunkach nie wyraża się hr. de Moriolles zasadniczo z lekka, z niechęcią, ale wytworzyła się w nim pewna obojętność i lekceważenie, które z niechęcią prawie graniczą. Stosunek dawnego możnowładztwa polskiego do włóścian skreślił hr. de Moriolles zupełnie stronnie i przesadnie, a w opowieści, że po 1815 roku, monarcha rosyjski oswobodził niewolników w Królestwie Polskiem, uczynił hr. de Moriolles niebывałe odkrycie. W ocenie polskich stosunków znajdujemy niekiedy u hr. de Moriolles trafniejsze uwagi. Wzmiankując o działalności sejmu czteroletniego, hr. de Moriolles zauważył ze smutkiem, że gdy monarchiczna Francya przeistoczona została w czerwoną republikę, Rzeczpospolita polska zamieniła tron wybieralny na dziedziczny i starała się wzmocnić i utrwalić władze monarchiczne.

Hr. de Moriolles opisuje dokładnie wybuch powstania listopadowego i wykazuje bezradność, jaka panowała w otoczeniu Wielkiego Księcia Konstantego. Przypadek zbliżył hr. de Moriolles do Chłopickiego i skłonił go do poświęcenia generałowi kilku wspomnień, dość życzliwych. Hrabia de Moriolles uznaje lojalność i charakter pewny Chłopickiego. Pragnął on powrócić ład i porządek w kraju, ale okoliczności nie sprzyjały jego zamiarom i zmusiły go do zwrócenia się w stronę rewolucyi. Wielki Książę Konstanty zniechęcił do siebie Chłopickiego, zmusił go bowiem prawie do wzięcia dymisyi. Początek niechęci dało drobne zajście na manewrach dywizyi. Gdy Wielki Książę Konstanty zauważył, że dywizya piechoty, którą dowodził Chłopicki, za wolno maszeruje, odrzekł mu generał: być może, że idą za wolno, ale nie widzą przed sobą nieprzyjaciela. Wielki

Książę Konstanty niemile przyjął powyższe słowa i odtąd rozpoczęły się drobne nieporozumienia i szykany, którym nie zdołał nawet zapobiedz Aleksander I, przychylny Chłopiczemu.

Pamiętniki hr. de Moriolles dla scharakteryzowania dworu wielkksiążęcego w Belwederze, dla odtworzenia głównych i podrzędnych postaci, pozostaną zawsze pierwszorzędem źródłem. Nie idzie zatem, ażeby miały być od początku do końca wiarogodnymi i aby były zupełnie wolnymi od stronniczości, tendencji i innych usterek. Z tem wszystkim zawierają takie bogactwo interesujących i cennych spostrzeżeń, odtwarzają tak dokładnie zaciszne życie w Belwederze, ową atmosferę poufną, rodzinno-przyjacielską, wśród której Wielki Książę Konstanty tak chętnie przebywał, że jako uzupełnienie znanych już pamiętników i prac historycznych, wspomnienia hr. de Moriolles zajmą w literaturze poważne miejsce.

A. R.

---

WACŁAW GAŚSIOROWSKI: „Rapsody napoleońskie”. Zbiór fragmentów historycznych. Warszawa, 1903. Księgarnia pod firmą E. Wende i S-ka.

Ażeby mieć prawo do podejmowania wielkich tematów dziejowych w powieści, należy odpowiedzieć dwom warunkom, pomijając oczywiście warunek kardynalny, jakim jest talent piszącego. Przede wszystkim trzeba odczuć charakter epoki i wżyć się w nią głęboko, do czego, obok specjalnych studyów historycznych, niezbędna jest intuicyja artysty, potem — trzeba umieć tak materiałem dziejowym operować, aby to, co jest wielkie, na przybliżeniu wielkości swej nie traściło, aby to, co już tradycya i legenda owiały swoim czarem, nic nie uroniło z blasku i poezyi, opromieniającej przeszłość. Innemi słowy — trzeba tu czuć na miarę czucia zbiorowej duszy społeczeństwa, w której kształtują się i tworzą postacie bohaterów.

Jeżeli kto tym warunkom nie odpowiada, nie jest powieściopisarzem historycznym w ścisłym rozumieniu, i śmiałość jego do wdzierania się w obręb panteonu czasów minionych uzasadnić może w mniejszym, lub większym stopniu tylko talent.

U p. Gąsiorowskiego warunki te nie równoważą się. Ma on niewątpliwy talent, ma rozmach i temperament żołnierski, który pozwala mu epokę napoleońską odtwarzać szczęśliwie, chociaż jednostronnie, brak mu natomiast pogłębienia i brak duszy na taką miarę, jakiej wymagają opisywane wypadki. Dla tego też będzie on powieściopisarzem poczytnym, ale nie będzie epikiem pierwszego piętnastolecia wieku ubiegłego, epikiem takim, jakim jest Sienkiewicz w Trylogii, lub Tolstoj w „Wojnie i pokoju”; rapsody jego nie mają bowiem ani tej równowagi artystycznej, ani tego tchu wielkiego, które stanowią nieodzowny warunek eposu, mają tylko dużą brawurę, której efekt jest doraźny i która stale w jednym wyłącznie kierunku działa na uczucie i wyobraźnię czytelnika. Mimo to wszakże są to utwory, na które warto zwrócić uwagę, chociażby dla tego, że tematy ich oddawna czekały na pióro.

W książce p. Gąsiorowskiego jest ośm „fragmentów” — i ta nazwa stanowczo jest odpowiedniejsza od nazwy „rapsodów”. Najpiękniejszym i najszcześliwiej pod względem artystycznym wykonanym jest wpośród nich: „Jedna noc historii”, gdzie przedstawiony został ks. Józef w chwili decydowania się na dalsze prowadzenie szlakiem napoleońskim niedobitków wojska polskiego, zniszczonego wojną w 1812 r. W ślad zatem idzie smutna scena z baraku, w którym leżą bohaterowie wiekopomnej szarży Somo-Sierrskiej, a dalej: „Berko Josielowicz”, „Trzy pokolenia”, „Pod murami Saragossy”, „Somo-Sierra”, gdzie znajdujemy opis samej szarży, zgodny z pamiętnikami Niegolewskiego i Toedwena, wreszcie krótką nowelę: „Na Elbie”, gdzie autor umiejętnie wyzyskał moment przybycia tam pani Walewskiej, oraz „Dwie szarże”, malujące z dużym temperamentem bojowym starcie się szwoleżerów Krasieńskiego z ułanami galicyjskimi Szwarcenberga i z dragonami Rysza na równinach Marchfeldu pod Wagram.

Krwią pisane dzieje znalazły tu rzecznika, który może nie wszystko mógł i umiał wypowiedzieć, ale który w każdym razie miał żołnierskie poczucie tego, przed czym i przed kim broń prezentować należy.

Z, D.

**ZOFIA URBANOWSKA:** „Róża bez kolców”. Opowiadanie, osnute na tle przyrody tatrzańskiej, z licznymi rycinami w tekście. Warszawa, 1903. Nakład księgarni K. Grendyszyńskiego w Petersburgu.

„Róża bez kolców” — to monografia Zakopanego w formie powieściowej. Fabuła, oczywiście, jest tu tylko dodatkiem, niezbędnym do utrzymania w napięciu uwagi młodych czytelników, dla których książka jest przeznaczona. Treść jej i wartość istotną stanowi, z prawdziwym pietyzmem dla tego zakątka Tatr, z drobiazgową sumiennością, a gdzie tego trzeba było — z polotem poetyckim, opracowany opis ziemi, zwierząt, roślin i ludzi, dopełniających tło wspaniałego krajobrazu Tatrzańskiego.

Zaprawdę, podziwiać należy pracę p. Urbanowskiej, która zgromadziła tu wszystko, co zgromadzić się dało, ugrupowała to systematycznie i tak umiejętnie wplotła w opowiadanie, że bez znudzenia iść można za nią z wycieczki na wycieczkę, schylając się po każdy kwiatek, po każdą małżowinę, po drobny kamyczek na stromej drodze, po mchy na turniach skalistych. Wszystko znalazło tu dla siebie miejsce, wszystko zostało wytłómaczone, objaśnione i w takiej podanej formie, że wraza się w pamięć i budzi coraz wyższe i szersze zainteresowanie do przyrody i jej zjawisk.

Cel pedagogiczny został więc osiągnięty całkowicie, nadto zaś autorka umiała zachować miarę artystyczną w tem, co wymagało sztuki, i serce gorące tam, gdzie przemawiała do serca. Do takich kart należą te zwłaszcza, gdzie mowa o niezapomnianej pamięci ludziach — o Chałubińskim i Matlakowskim.

W opowiadaniu swoim nie pominęła p. Urbanowska i Witkiewicza, i Sabały z gęśliczkami, i zbójników, żyjących w pieśni i tradycji. Opisała nam także sprzęt ludu tatrzańskiego i jego zdobnictwo, zapoznała z chatą góralską, z szałasem i schroniskiem. Słowem, przesuwa się tu w długim a barwnym korowodzie przed czytelnikiem wszystko, co tylko Tatr dotyczy, aby go nauczyć kochać i cenić rzeczy swojskie i uwagi godne, aby mu wszczepić w duszę chęć zobaczenia zblizka tych cudów przyrody pierwotnej a wspaniałej, i do obcowania z nią zachęcić.

Książka jest niewątpliwie najcenniejszym z nabytków, jakie w ostatnich czasach pozyskała nasza literatura dla młodzieży. Obok

jej bogatej treści i tendencji szlachetnej, zasługują również na zaznaczenie liczne i przeważnie dobre ilustracje w tekście, oraz piękna okładka kompozycji M. Kotarbińskiego, wykonana nader starannie, jak zresztą i cała zewnętrzna strona wydawnictwa, pełnego smaku i prostoty.

Z. D.

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

## Ilu jest na świecie Polaków?

Posiadamy tylko mniej lub więcej blizkie prawdy cyfry, godne wszakże bezwarunkowej wiary, bo, przyjmowane przez statystyków zawsze z obawą przeliczenia się in plus, są one minimalne i każą raczej obawiać się niedoliczenia. Ostrożność w tej gałęzi badań panuje wielka, może zbyt wielka, jeśli ją zestawić z nadużyciami uczonych niemieckich, którzy z lekkim sercem fabrykują „niemieckich Polaków“ i wykluczają Mazurów i Kaszubów z polskiej narodowości.

Ostrożnym, jak i jego poprzednicy na tem polu, był także p. B. Koşkowski, któremu zawdzięczamy najświeższe obliczenie naszego narodu. Dokonane dla podjętego przez redakcyę „Gazety Polskiej“ wydawnictwa „Opisu ziem, zamieszkanych przez Polaków“ i w pierwszych zeszytach tego wydawnictwa ogłoszone, obliczenie to oparte zostało na możliwie dokładnym materyale i oznacza ilość Polaków na świecie cyfrą 19,105,000.

Dla czytelników naszych, którzy pamiętają podaną przez nas w grudniowym zeszycie „Biblioteki“ cyfrę 21,111,347, będącą wynikiem obliczeń prof. Czerkawskiego z Krakowa, wyda się to mało. Istotnie różnica jest dość duża, a wynikała tylko z tego, że p. Koskowski z większą zachowywał się oględnością.

Zobaczymy, jakimi szedł drogami do swoich dziewiętnastu milionów.

Obrachunek swój rozpoczyna p. Koskowski od państwa niemieckiego. Tutaj oparł się na ogłoszonym w 1902 wyniku spisu ludności z r. 1900, który to spis wykazał co następuje:

Język polski podało jako język ojczysty osób 3,086,489 (1,495,374 mężczyzn i 1,591,115 kobiet).

Język mazurski, jako język ojczysty—142,049.

Język kaszubski, jako język ojczysty—100,213.

Nadto znalazło się sporo osób, które mówiły „dwoma językami,“ mianowicie: po niemiecku i po polsku 169,634 osoby, po niemiecku i po „mazursku“ 10,898 osób, po niemiecku i po „kaszubsku“ 1,052 osoby. W sumie ogólnej daje to 3,510,385 Polaków, mieszkających w państwie niemieckim w r. 1900.

Statystyka ta, jak to przyznaje sam p. Koskowski, nie jest dokładną, gdyż, jak to w swoim czasie zaznaczyły pisma poznańskie, niewolna ona była od tendencji politycznych. Pomimo to wszakże tę cyfrę przyjmuje on i do rachunku swojego wprowadza, jako najbliższą prawdy.

Przechodząc z kolei do państwa rosyjskiego również na niepewnym gruncie opiera tu p. Koskowski swoje wyliczenia, na niepewnym zaś dla tego, że rezultatów spisu jednodniowego z r. 1897 w działach, uwzględniających narodowość, dotychczas nie ogłoszono, wskutek czego wysnuwać trzeba domniemane wnioski ze statystyki wyznaniowej. Na tej drodze otrzymujemy w r. 1901.

Dla Królestwa Polskiego . . . . .	7,300,000 Polaków
Dla kraju zachodniego . . . . .	2,200,000 Polaków
Dla innych części p. ros. . . . .	400,000 Polaków
	<u>                    </u>
	Razem 9.900,000 Polaków

Cyfra ta, szczególnie z powodu ostatniej z tworzących ją pozycji, wydaje nam się wątpliwą.

Najściślejsze dane dotyczą monarchii austro-węgierskiej, gdzie badania statystyczne, prowadzone są najdokładniej. Według spisu z d. 31 grudnia 1900 r. było tam Polaków:

W Galicji łącznie z W. Ks. Krakowskiem . . . . .	3,357,000
Na Ślązku . . . . .	220,472
Na Bukowinie. . . . .	26,857
Na Spiżu . . . . .	8,000

Na Morawach . . . . .	15,560
W Czechach . . . . .	1,915
W Austrii dolnej . . . . .	4,981
W Austrii górnej . . . . .	110
W Salzburgu . . . . .	10
W Tyrolu i Vorarlbergu . . . . .	98
W Styryi . . . . .	97
W Karyntyi . . . . .	35
W Krainie . . . . .	25
Na Wybrzeżu . . . . .	194
W Dalmacyi . . . . .	96
Na Węgrzech około . . . . .	30,000
	Co czyni razem 3,665,450

Względem rozproszonej po całym świecie ludności wychodźczej, która do rachunku także wejść musiała, a co do liczebności której żadnych prawie materiałów niema, zachował się p. Koskowski również z wielką powściągliwością i wolał niedoliczyć się, niż przeleczyć.

Co do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, to znalazł tu jeszcze oparcie na pracach pp. Barszczewskiego i Panka, którzy obaj zgadzają się na to, że liczbę Polaków, mieszkających w Stanach, śmiało można przyjąć na 1,500,000 głów.

Również, co do Brazylii dopomogli mu pp. Bielecki, Kazimierz Warchałowski i prof. Siemiradzki. Zestawiając ich obliczenia wymiarował p. Koskowski dla całej Ameryki Południowej cyfrę pośrednią 105,000 Polaków.

Dla krajów innych, a więc dla Francyi, Szwajcaryi, Włoch, Holandyi, Danii, Szwecyi, Anglii itd., itd. przyjął p. Koskowski na domysł cyfrę 50,000. Cyfra ta wydaje nam się stanowczo za niską i sądzimy że szanowny autor nie popełniłby błędu in plus, powiększając ją w dwójnasób.

Ogólne zestawienie p. Koskowskiego tak się przedstawi:  
Z końcem roku 1900 było Polaków:

W państwie niemieckiem . . . . .	3,510,335
W państwie rosyjskiem:	
a) w Królestwie Polskiem . . . . .	7,300,000
b) w Kraju Zachodnim . . . . .	2,200,000
c) w innych częściach państwa . . . . .	400,000



W państwie austriackim . . . . .	3,635,450
W Stanach Zjednoczonych A. P. . . . .	1,500,000
W Ameryce Południowej . . . . .	105,000
W innych krajach . . . . .	50,000
Razem	<u>18,730,785</u>

Doliczając do tego 1% przyrostu naturalnego za dwa lata, tj. do stycznia 1903, otrzymamy podaną już wyżej cyfrę 19,105,000, którą możemy przyjąć, jako minimalną liczbę Polaków, zamieszkałych obecnie na całym obszarze świata. Wielkie jest prawdopodobieństwo, że liczba ta przedstawia się znacznie okrągłej, że jednak rachunek ścisłejszy oprzeć można tylko na domniemaniu, a nie na faktach, więc polemizować z p. Koskowskim nie będziemy.

Te 19 milionów w zestawieniu z ludnością niektórych państw europejskich w roku 1897 wyglądają wcale pokaźnie. I tak w Rosyi Europejskiej wraz z Królestwem Polskiem było w roku 1897 ludności 103.6 mil., w Niemczech 52.3 mil., w Austrii i Węgrzech 43.4 mil., w Wielkiej Brytanii 39.3 mil., we Francyi 38.5 mil., we Włoszech 31.3 mil., w Belgii 6.3 mil., w Szwecyi 5 mil., w Serbii 2.3 mil., w Danii 2.3 mil., w Turcyi Europejskiej 5.8 mil. i w Bułgaryi 3.3 mil. Sądząc więc po masie, zajmujemy dziś 7-e miejsce wśród ludów europejskich.

---

Według informacji „Kuryera Warszawskiego” w mieście naszym zawiązało się „Towarzystwo urządzania i ulepszania mieszkań dla ubogiej ludności pracującej”. Już sama nazwa tego Towarzystwa mówi, że przynosi ono z sobą rozwiązanie, częściowe oczywiście, jednej z najbardziej palących kwestyi, od której uregulowania zależy byt kilku tysięcy rodzin, a względny dobrobyt kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców Warszawy.

Nigdzie chyba sprawa mieszkań dla ubogiej ludności nie jest w stanie tak opłakanym, jak u nas, z jednej strony bowiem panuje drożyzna, granicząca z wyzyskiem, z drugiej — brak w domach zamieszkałych przez warstwy niezamożne najkardynalniejszych urządzeń higienicznych. Stąd nędza i choroba biorą się za ręce w suterenach i na poddaszach wielu domów warszawskich i, bezlitośnie szydząc z wysiłków ludzkich w kierunku samoobrony, bogate zbierają

tam zniwo. Każda wobec tego myśl, zmierzająca ku zmianie tych stosunków na lepsze—to myśl dużej doniosłości społecznej, obok której niepodobna przejść obojętnie. Notujemy więc z całym uznaniem wiadomość o projekcie instytucji, która tu nadać może i powinna ciągłość akcji ratunkowej i która dla przyszłości miasta niepoślednie posiada znaczenie.

Inicytatorami Towarzystwa, o którym mowa, są przemysłowcy tutejsi: pp. Jan Kozłowski, Gustaw Handtke, Karol Henryk Martens i Adolf Daab. Opracowali oni już ustawę, wzorowaną na ustawie podobnej instytucji w Petersburgu, i poczynili starania w ministerjum spraw wewnętrznych o jej zatwierdzenie.

Zadaniem Towarzystwa, według określeń projektowanej ustawy, będzie urządzenie zdrowych i tanich mieszkań dla ubogiej ludności pracującej w Warszawie i jej okolicach, tudzież w innych miejscowościach. W tym celu Towarzystwu ma przysługiwać prawo nabywania na własność wszelakich nieruchomości i ruchomości, otwierania zakładów, wpływających na ulepszanie warunków życiowych ludności robotniczej, zawierania umów, oraz poszukiwania i odpowiadania na drodze sądowej.

Towarzystwo będzie udziałowe. Członkami jego będą mogły być osoby pełnoletnie płci obojej, wszystkich stanów i zawodów, oraz różne instytucje stanowe, społeczne lub inne, które nabędą jeden lub kilka udziałów. Przy zapisywaniu się do Towarzystwa każdy członek zapłaci wpisowe w kwocie rb. 2.

Fundusze Towarzystwa stanowić będzie kapitał zakładowy w sumie rubli 250,000, rozdzielonych na 10,000 udziałów po 25 rb. każdy, a dalej—kapitał zasobowy, tworzący się z pozostałości dochodów od przedsiębiorstw Towarzystwa i z różnych wpływów przypadkowych. Nadto Towarzystwo będzie miało prawo powiększania swego kapitału zakładowego w miarę potrzeby przez emisję nowych udziałów, za odpowiednim każdorazowym pozwoleniem ministerjum skarbu.

Kapitał zasobowy Towarzystwa przeznaczony będzie na prowadzenie przedsięwzięć Towarzystwa i pokrycie możliwych strat. W razie likwidacji Towarzystwa, kapitał ten nie ulega podziałowi pomiędzy członków, ale przeznaczona się na jakiegokolwiek cele dobroczynne, według określenia ostatniego zebrania ogólnego, za zatwierdzeniem ministerjum skarbu.

Po zatwierdzeniu ustawy założyciele formują z siebie zebranie założycieli, które rozdziela udziały w ciągu dwóch lat. Towarzystwo uznane będzie za zorganizowane, kiedy będzie rozporządzało

kapitałem 50,000 rubli lub też zobowiązaniami wpłacenia takiego kapitału.

Przy zapisywaniu się na udziały, wraz z wpisowem nabywcy ich będą obowiązani wpłacać, albo pełną sumę całej wartości subskrybowanych udziałów, albo też część jej w wysokości nie mniejszej, niż ustanowiona przez zebranie założycieli, ogólne zebranie lub zebranie reprezentantów, przyczem wpłata udziałów zadeklarowanych nie może być rozdzielona na dłużej niż na dwa lata. Zapisy na udziały przewidywane są bez ograniczenia ich liczby na jedną osobę lub instytucję.

Pomijamy tu szczegóły ustawy, dotyczące organizacji wewnętrznej T-wa, zwracamy natomiast uwagę na kilka ważnych punktów, w projekcie uwidoczniomych.

I tak według tego projektu Towarzystwo ma mieć prawo czynienia starań u władz właściwych we wszelkich sprawach, wchodzących w zakres jego działalności, ma korzystać z prawa dokonywania badań warunków mieszkalnych, przy pomocy specjalnie upoważnionych członków lub komisji, z tych członków złożonych. O przedsięwzięciu podobnych badań Towarzystwo zawiadomić winno tylko władzę policyjną, komunikując jej przytem listę osób do tego upoważnionych, przyczem musi nastąpić pozwolenie na takie badania ze strony właścicieli domów i lokatorów mieszkań. Prawo korzystania z mieszkań w domach T-wa za ustanowioną opłatą, przedewszystkiem przysługiwać będzie niezamożnym osobom pracującym, będącym członkami Towarzystwa. Ten ostatni punkt świadczy, że instytucja pragnie się oprzeć na zasadach zdrowej i tak pożądanej u nas kooperacji i dla tego byłoby bardzo pożądane, aby ustawa w tej właśnie formie została zatwierdzoną, a przynajmniej, aby ewentualne, wprowadzone do niej zmiany, nie naruszyły tych punktów, powstanie bowiem domów, których właścicielami-udziałowcami mogliby być ich mieszkańcy, postawiłoby na najpomyślniejszym gruncie sprawę rozwiązania problemu mieszkaniowego dla ludności niezamożnej i mogłoby w przyszłości uczynić wiele rodzin istotnymi i niepodzielnymi właścicielami mieszkań. Taką formę współwłasności znają już spółki i stowarzyszenia zagraniczne, u nas byłaby ona nowością i kto wie, czy nie przyjęłaby się i nie dała daleko nawet szerzej zastosować.

Otrzymaliśmy „Zamknięcie rachunkowe związku handlowego kółek rolniczych w Krakowie za rok 1901/2“, który był 10-y m rokiem istnienia tej pożytecznej instytucji. Z okazji tego dziesięciolecia warto jest spojrzeć wstecz i zobaczyć, co skromnymi siłami i w trudnych warunkach uczynić można, jeśli się do pracy przystępuje z wiarą i z odczuciem potrzeby wysiłku w danym kierunku. Będzie to dla nas pożyteczne z tego zwłaszcza względu, że jesteśmy niemal w przededniu utworzenia podobnego stowarzyszenia u nas.

Związek handlowy kółek rolniczych powstał w Krakowie dzięki inicjatywie szczupłego grona osób, rozumiejących, że bez zdrowego i swojskiego handlu nie można myśleć o ekonomicznym odrodzeniu kraju i pragnących rozpoczętą przez T-wo kółek rolniczych akcją handlową po wsiach i miasteczkach poprzeć i wprowadzić na normalne tory.

W marcu 1892 roku odbyło się pierwsze konstytucyjne zgromadzenie członków, które uchwaliło statut i wybrało pierwszą radę nadzorczą, a w początkach maja 1892 r. związek rozpoczął swoją działalność. Szczupłość kapitału udziałowego, wynoszącego początkowo zaledwie 12,000 koron, wobec ogromu zadań, braku ludzi fachowych, z handlem i stosunkami kupieckimi obeznanych, wreszcie walka konkurencyjna miejscowych kupców, upatrujących w nowo powstałej instytucji niebezpiecznego współzawodnika, groziło stowarzyszeniu rychłą zagładą. Ale wiara w dobrą sprawę i niezmiordowana energia pierwszego zarządu zdołały pokonać te przeszkody i zjednały instytucji uznanie i zaufanie tak dalece, że już z końcem pierwszego roku działalności liczba członków dosięgła 414, a kapitał udziałowy wzrósł do 44,288 koron. Przystąpienie Banku Krajowego z udziałem 20,000 koron i dalsze wkładki osób prywatnych podniosły kapitał udziałowy z końcem drugiego roku do kwoty 78,728 koron, wzmacniając zarazem zdolność kredytową instytucji.

W roku 1897, a więc po 5 latach istnienia, przystąpił związek handlowy do założenia pierwszej filii swojej w Rzeszowie, której wyposażenie pochłonęło kapitał około 70,000 kor., podczas, gdy czynniki miejscowe złożyły na ten cel zaledwie 3,000 kor.

W półtora roku później, w początkach 1899 r. nastąpiło założenie drugiej filii w Wieliczce kosztem około 24,000 kor., również niemal wyłącznie środkami własnymi związku.

Wreszcie w początkach 1901 r. przystąpił związek do założenia trzeciej i największej filii we Lwowie, przeprowadzając jednocześnie

nadzwyczaj kosztowną i mozolną cichą likwidację założonego w roku 1894 „Związku handlowego kółek rolniczych i sklepów wiejskich we Lwowie“, który, z powodu niepomyślnych wyników swej działalności, zagrożony był upadkiem. Kapitał, potrzebny dla ufundowania tej filii, a wynoszący z górami 200,000 koron, zaczerpnął związek częścią z własnych rezerw, częścią zaś uzupełnił kredytem bankowym i innym, udzielonym mu na dogodnych warunkach.

Obecnie, po 10 latach działalności, posiada zatem związek handlowy, obok zakładu macierzystego w Krakowie, trzy własne filie, z których dwie, tj. rzeszowska i lwowska, znajdują się w głównych centrach handlowych kraju i z których ostatnia, zwłaszcza pod względem urządzeń i uposażenia swego, dorównywa zakładowi centralnemu w Krakowie: liczy członków 711, z kapitałem udziałowym wpłaconym 183,110 koron, ma fundusz rezerwowy w wysokości przeszło 80,000 koron i wykazuje obroty w towarach przeszło na 4 miliony koron. Oprócz licznego zastępu odbiorców prywatnych ze wszystkich sfer i warstw społecznych, zalicza związek do swoich stałych odbiorców przeszło 800 sklepów chrześcijańskich, które stale w towary zaopatruje, w tej liczbie około 500 sklepów kółek rolniczych, lub pod firmą kółka rolniczego prowadzonych.

Tu zaznaczyć należy, że związek handlowy stał od początku o własnych siłach i nigdy żadnych subwencji, czy to rządowych, czy krajowych, nie otrzymywał, przeciwnie, zarzucićby można, że władze krajowe zbyt mało zajmowały się losami związku handlowego, nie uwzględniając go przy dostawach dla zakładów krajowych i pomijając przy rozdawnictwie zastępstwa krajowej sprzedaży soli, a nawet odbierając mu zastępstwo sprzedaży soli na powiat lwowski, z którego korzystał upadły związek lwowski.

Pomimo to wszystko, jak widać z powyższego przedstawienia rzeczy, związek handlowy potrafił przezwyciężyć wszelkie trudności i zdobył sobie trwałe podstawy istnienia, wyłącznie na własnych oparte siłach.

O trwałości tych podstaw najwymowniej świadczy, że związek w roku sprawozdawczym osiągnął zyski, pozwalające mu nie tylko na wypłatę 6% dywidendy od udziałów, ale nadto na wyposażenie funduszu rezerwego i cele użyteczności publicznej. Zyski te wynosiły 32,566 koron i 60 groszy.

Pewną część swoich zysków związek przeznacza stale, począwszy od roku 1895, na poparcie rozwoju handlu krajowego, a w szczególności na praktyczne kursy handlowe dla sklepikarzy wiejskich w Czernichowie i na szkołę handlową w Krakowie, a suma dota-

cyi na te cele wypłaconych wynosiła po koniec 1902 roku 5,700 koron.

Zaprawdę, instytucja godna jest szerokiego poparcia i naśladowania.

---

„Gazeta Polska“ w numerze swoim z dnia 1 stycznia roku bieżącego ogłosiła ciekawy konkurs, który wart bliższej uwagi ze strony ludzi, interesujących się przeszłością i obecnym stanem przemysłu polskiego.

Dla społeczeństwa naszego—czytamy w komunikacie Redakcyi — jednym z ważniejszych zadań chwili bieżącej jest i pozostanie przez długie lata podniesienie wytwórczości i wyzwolenie ekonomiczne z pod przewagi przemysłu niemieckiego. Wszystko, co krzewić może zamięłowanie do pracy i oszczędności, co podnosi ducha inicjatywy, co wzmacnia energię przedsiębiorczą i wytrwałość, będzie w tych warunkach rzetelnym dorobkiem społeczeństwa.

W tej właśnie myśli postauowiono ogłosić konkurs na książkę, któraby dorobku tego przysporzyć mogła „siłą przykładów i rad użytecznych“. Książka ma mówić „o przemysłowcu polskim“, jakim był i jakim być powinien, a treść jej składać się powinna z dwóch części:

a) Z życiorysów Polaków, którzy oszczędnością, pracą i przedsiębiorczością, bądź zaszczepili w kraju nowe gałęzie przemysłu, bądź udoskonalili i rozwinęli dawne, bądź stworzyli użyteczne zakłady przemysłowe, małe czy większe, bądź przysparzali nowych wynalazków technicznych. W tej części uwzględnione być winny tylko życiorysy Polaków dla tego, żeby czytelnik na żywych, a blizkich sobie przykładach uczył się wiary w to, że powodzenia na tem polu nie są wyłącznym przywilejem cudzoziemców. Uwzględnić przytem należy przedewszystkiem przykłady samopomocy i wytrwałości, która przewycięża przeszkody. Również przykłady rażących zaniedbań, które prowadziły do upadku najużyteczniejszych i najpotrzebniejszych przedsięwzięć. Życiorysy przedstawione być powinny treściwie, ale zajmująco, przytem głównie w tych faktach, które dotyczą założenia książki.

b) Część druga zawierać powinna wskazówki ogólne o tych przedmiotach umysłowych i moralnych i o tych metodach postępowania.

nia, które w innych społeczeństwach sprzyjały i sprzyjają rozwojowi i kwitnieniu przemysłu i handlu.

W całości dzieło powinno zajmować i kształcić.

Rozmiary książki pozostawia się do uznania autorów, z tem zastrzeżeniem, żeby nie była mniejsza od 10 arkuszy druku.

Autor najlepszego dzieła otrzyma jako nagrodę rb. 200 i pozostaje właścicielem rękopisu.

Osoby, któreby nie mogły napisać całego dzieła, ale wiedzą o pojedynczych, ponczających przykładach samopomocy Polaków na polu przemysłu i handlu, zechcą także nadsyłać ich opisy, aby mogły być w razie potrzeby bądź ogłoszone, bądź włączone do tekstu dzieła nagrodzonego, o ile autor jego uzna to za możliwe.

Termin nadsyłania prac wyznaczony został na dzień 1 października roku bieżącego.

---

Na punkcie swojego udziału w pracy cywilizacyjnej ludzkości, w postępkach nauki i udoskonaleniach technicznych sami siebie uważamy za niedołączonych i bardzo pesymistycznie zazwyczaj oceniamy nasze własne w tych dziedzinach zdobycze. Nie dowierzamy sobie, idziemy tu nieświadomie za opinią obcych, za narzucaniem nam przez Niemców pojęciem o „mniejszej wartości nacyach“. Natomiast reklama cudzoziemska imponuje nam od razu, a stempel zagraniczny ma moc przekonywania nas bez argumentów. Są to rzeczy znane zresztą i rozwódzić się o nich niema potrzeby. Napomknęliśmy o tem tylko dla tego, że istotny stan rzeczy nie zgadza się z takim mniemaniem, i że od czasu do czasu notujemy przecież u siebie fakty, świadczące o wręcz przeciwnem.

Jednym z takich faktów, który wypłynął na jaw, jest działalność młodego wynalazcy, inż. Henryka Brzeskiego. Nazwisko jego, dotychczas znane tylko w kołach fachowych, od kilku tygodni stało się głośne, dzięki prof. Ochorowiczowi. P. Brzeski jest wynalazcą elektrycznej lampy łukowej, odznaczającej się niezwykle dokładnością i prostotą konstrukcyi.

Nie mówiąc już o lampach Schuckerta, pisze prof. Ochorowicz, w feljetonie tej sprawie poświęconym--lampa Brzeskiego ma wyraźną przewagę nietylko nad lampą Siemensa, do niedawna wyborową, lecz i nad lampą Körtinga i Mathiesena, obecnie uważaną za najlepszą, i do której też lampa Brzeskiego najbardziej jest podobną. Ale dość



rzucić okiem na jedną i na drugą, ażeby się przekonać, jak bardzo pierwsza traci przy ostatniej. U Körtinga maszyna ciężka, zawila, poplątana, u Brzeskiego—lekka, smukła, sprowadzająca wszystkie zadania konstrukcyjne do minimum środków.

Jest to więc wynalazek, który, aczkolwiek nie został oparty na odkryciu zupełnie nowem, to przecież posiada ogromne znaczenie praktyczne i jest dużym krokiem naprzód w dziedzinie elektrotechniki.

Kto jest p. Brzeski?

Młody to jeszcze i rozpoczynający zaledwie działalność techniczną człowiek. Od p. Ochorowicza dowiadujemy się, że inżynier Brzeski urodził się w roku 1874 w gubernii Kieleckiej, w majątku rodzinnym Chaczewice. Po skończeniu gimnazjum św. Anny w Krakowie wstąpił naprzód jako prosty robotnik do warsztatów Siemens w Wiedniu, nauczył się ślusarstwa, tokarstwa, montowania maszyn, a potem dopiero zapisał się na wydział mechaniczny politechniki wiedeńskiej, gdzie zdobył wiedzę teoretyczną. Skończywszy politechnikę w Wiedniu, Brzeski otrzymał stypendyum galicyjskiego Wydziału Krajowego i udał się do Hanoweru na dalsze studia w tamtejszym instytucie politechnicznym, pod kierunkiem profesora Kohlrauscha. Tam to obmyślił pierwszą swoją lampę, o której tenże profesor Kohlrausch referował przychylnie w „Elektrotechnische Zeitschrift“ w roku 1896. Dzięki jego protekcji Brzeski został wysłany do Anglii, na studia w kompanii elektrotechnicznej Brusha, a następnie do Belgii i Szwajcaryi, kształcąc się jednocześnie w językach, których znajomość pozwala mu dziś oryentować się szybko w ogólnym dorobku wynalazczym. W roku 1894 obmyślił p. Brzeski nowy typ dynamo-maszyny o kulistym układzie zwojów, której patent sprzedał drezdeńskiej firmie Peschman i S-ka. Stypendyum ś. p. Brunona Abakanowicza pozwoliło mu wyjechać na wystawę paryską i wziąć udział w międzynarodowym zjeździe elektrotechników. Po powrocie do kraju, jako inżynier firmy Ruśkiewicza i Godlewskiego w Warszawie, p. Brzeski dał plany i miał główny nadzór nad doskonałą instalacją oświetlenia elektrycznego w Filharmonii. Przez ciąg ostatnich lat czterech pracował nad udoskonaleniem lampy łukowej, która obecnie jest już wynalazkiem gotowym i niewymagającym wkładów na próby.

— Co będzie dalej? — zapytuje pan Ochorowicz, kończąc swój ciekawy artykuł, i tak na to odpowiada:

„Oświetlać Warszawę będzie niemiecka firma Schuckerta, mała lampy droższe i gorsze. To już wiemy i na to rady niema. Ale



jest jeszcze co innego do zrobienia. Wszystkie lampy łukowe, których zapotrzebowanie wzrasta z każdym rokiem, sprowadzane są z zagranicy (prawdopodobnie z Niemiec), ponieważ w całym państwie nikt dotychczas takiej fabryki nie założył. Przez samą komorę aleksandrowską przechodzi rocznie 35,000 lamp łukowych. Tych kilka milionów rubli, jakie za nie co-rocennie biorą Niemcy, mogłyby pozostać w kraju. I pozostałyby na pewno, gdyż ostatnie rozporządzenia ministerjalne wprost zalecają instytucjom rządowym, ażeby tylko w takim razie sprowadzały maszyny zagraniczne, gdy te nie są wyrabiane w kraju. A co do odbiorców prywatnych, to ci już dzisiaj zgłaszają się do pana Brzeskiego“.

Potrzebaby więc założyć fabrykę tych lamp, co, zdaniem prof. Ochorowicza, dałoby się uskuteczyć kosztem 20 do 25,000 rubli.

Czy środków tych p. Brzeski w społeczeństwie własnym nie znajdzie, i czy będzie musiał zaprzedać się w niewolę kapitałowi obcemu? Nie chcemy być pesymistami, i zdaje nam się, że fabryka, mająca tak znaczne i tak pewne widoki powodzenia, a wymagająca stosunkowo skromnych środków na pierwsze lata swego istnienia doskonale powstaćby mogła przy współudziale ludzi zamożniejszych tem bardziej, że nie idzie tu o żadne ofiary, ale o formę lokaty kapitałów, drzemiących może bezczynnie.

Czas, abyśmy się wydobyli nareszcie z błędnego koła, wywołanego brakiem kontaktu pomiędzy inicjatywą a kapitałem. Kapitałiści bowiem narzekają u nas stale na brak inicjatywy, ludzie zaś, przychodzący z inicjatywą, nie mogą dla swoich pomysłów zdobyć fundamentów materialnych. Trzeba rozerwać to koło, a życie i rozwój ekonomiczny same już wyprostują jego krzywizny ku ogólnemu pożytkowi.

---

Dnia 9 stycznia roku bieżącego zmarł w Krakowie ś. p. Ojciec Wacław, kapucyn, człowiek wysokich zalet umysłu i serca, prawdziwy „sługa Boży.“

Właściwe nazwisko zmarłego było Edward Nowakowski. Pochodził on z Ukrainy.

Urodzony w r. 1829 we wsi Bobrówce, z ojca Łukasza i matki Klotyldy z Korzelińskich, ś. p. Nowakowski kształcił się w Krzemieńcu, a ukończywszy nauki wyższe, został urzędnikiem słynnej biblioteki Konstantego Świdzińskiego, którą to biblioteką gorliwie się

opiekował przez lat szereg, aż do czasu, kiedy margrabia Wielopolski, który ją otrzymał w zapisie po Świdzińskim, zrzekł się tego zapisu na rzecz ordynacyi Krasińskich.

Do zakonu Kapucynów wstąpił zmarły w r. 1860 w Warszawie, potem czas jakiś był w klasztorze Nowomiejskim nad Pilicą, wreszcie przeniósł się do Krakowa, gdzie dopiero otrzymał święcenie kapłańskie z rąk kardynała Dunajewskiego. Tutaj w krótkim czasie zasłynął jako kapłan, kaznodzieja i pisarz, a imię jego stało się głośne i popularne, acz rozgłosu starannie unikał.

W piśmiennictwie, któremu oddawał się z zamiłowaniem, używał O. Wacław pseudonimu Wacława z Sulgostowa, wiele jednak rzeczy wydał bezimiennie lub pod obcym nazwiskiem (Bronisław Szwarce). Posiadając rzadką i rozległą erudycję w dziedzinie historii i bibliografii, w ciągu życia swojego O. Wacław zgromadził nader cenne materiały, dotyczące XVIII stulecia i część ich drukiem ogłosił. Nadto, oprócz licznych kazań i mów przygodnych, wydał osobno następujące studia, większych i mniejszych rozmiarów: „Kościoły i klasztory zakonów reguły św. Franciszka w Polsce”, „Kraków w roku 1794”, „Częstochowa w obrazach historycznych”, „Wspomnienia o duchowieństwie polskiem na Syberyi”, „Polska w r. 1794” i wiele broszur rozmaitej treści. Najcenniejszą pracą zmarłego jest obszerne dzieło „O cudownych obrazach Najświętszej Matki Bożej w Polsce”. Stanowi ono poważny przyczynek do dziejów sztuki wogóle, a zwłaszcza do ikonografii Matki Boskiej u nas. Obszerna ta rozprawa obejmuje około 1,000 stron druku i liczne wizerunki.

Życie ś. p. ojca Nowakowskiego, poświęcone nauce, pracy, miłości Boga i bliźniego—było czyste jak łąza i czyste też zostaje po nim wspomnienie. *Obiit in serenitate...*

---

# WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

---

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.—Dnia 27 listopada 1902 roku odbyło się posiedzenie Komisji historii sztuki pod przewodnictwem profesora Maryana Sokołowskiego.

Na wstępie przedstawił p. Lepszy dwa referaty: 1) „Misa krakowskiego cechu kuśnierzy“; 2) Obraz cechowy, pochodzący z kościoła parafialnego w Dębnie, a związany zapewne z pamięcią kasztelana Jakóba z Dębna, lub jego syna.

Następnie prof. dr Jerzy hr. Mycielski streścił swój referat o „*Inwentarzu skarbcza książąt Mazowieckich Konrada i Janusza z roku 1494-go*“. Oryginalny rękopis inwentarza tego ofiarował Komisji za pośrednictwem referenta ks. Jan Tadeusz Lubomirski z Warszawy. Jest to zabytek pierwszorzędnej wagi, zważywszy tę jego wczesną datę. Skarbięc ten na zamku w Ciechanowie odebrał od ks. Janusza dla starszego brata ks. Konrada dnia 27 lutego roku 1494 Andrzej z Mrozowa. Są tam wymienione wspaniałe szaty samego księcia i jego paziów, złotem i drogimi kamieniami naszyte, trzewiki perłami haftowane, pochwy do mieczów i miecze, uzdy, trąby, rzędy złociste, gazy z szaframi, pierścienie, naczynia złote i srebrne, hełmy, naszyjniki z drogich kamieni, wreszcie całe worki nieoprawnych klejnotów. Nader ciekawe są w tym łacińskim spisie liczne polskie nazwy na różne części ubrania i uzbrojenia, na materye i t. d. Już w rok po przekazaniu tego skarbcza bratu, zmarł ks. Janusz bezżennie, a na dwóch synach ks. Konrada właśnie, Stanisławie i Januszu, młodo zmarłych w roku 1524 i 1526, wygasł po mieczu rod Piastów polskich na Mazowszu.

W drugim z rzędu referacie podał prof. dr Jerzy hr. Mycielski wiadomość o stosunkach kanclerza w. kor., Jana Zamoyskiego, z malarzem wene-

kim, Dominikiem Tintorettem, synem słynnego Jakóba Robusti, zmarłym w roku 1637.

Nakoniec Przewodniczący przedstawił illustrowane rysunkami referaty pana Mokłowskiego ze Lwowa: „O architektonicznych szczegółach z Drohobycza, Sambora i Kulikowa“ i pana Wawrzenieckiego: „O kilku kościołach w Królestwie Polskiem“, oraz przedstawił nadesłane przez ks. Chodyńskiego fotografie pomnika Mickiewicza, dłuta H. Stattlera. Pomnik ten, wykonany w roku 1857 z białego, kararyjskiego marmuru, nabył Leopold Kronenberg, i umieścił w parku majątku swego Wieniec pod Włocławkiem. P. Kopera przy tej sposobności podniósł, że tegoż artysty marmurowy biust Mickiewicza znajduje się w zbiorach p. M. Bersohna w Warszawie.

— Posiedzenie *Wydziału Historyczno-Filosoficznego* odbyło się dnia 19 stycznia roku bieżącego z następującym porządkiem dziennym:

- 1) Prof. dr Stanisław Estreicher: „Kodeks króla Hammurabi“.
- 2) Prof. dr Wł. Czerkawski: „Ludność w Galicyi wschodniej pod względem religii i narodowości“.

— Akademia wydała: „*Wskazówki do inwentaryzacji zabytków*“, ułożone z polecenia Komisji literackiej przez pana Adama Chmiela. Do „Wskazówek“ jest dołączona karta katalogowa. Zarówno „Wskazówki“, jak i karty katalogowe, Akademia przesyła osobom, pragnącym z nią współdziałać w doniosłem przedsięwzięciu jednolitego skatalogowania rękopisów, przechowanych w polskich bibliotekach i zbiorach, tak publicznych, jak prywatnych. Ukończywszy opis pewnej grupy rękopisów, współpracownicy będą odsyłać wypełnione karty do Akademii, tak, że powoli utworzy się z tych materiałów generalny katalog wszystkich, do Polski odnoszących się rękopisów.

Treść wydanych „Wskazówek“ stanowią szczegółowe objaśnienia do załączonej katalogowej karty. Po podkreśleniu naczelnej zasady, że zawartość rękopisu przedstawia się w takim porządku rzeczy, w jakim w rękopiśmie się znajdują, nie opuszczając, idą elementarne wskazówki, co należy wpisywać pod sygnaturą, kodeksem, jak należy opisywać treść, sposoby podawania tytułów utworów i t. d.

Należy się spodziewać, że uczeni polscy pośpieszą z całą gotowością na wezwanie Akademii i, skatalogowawszy jednolicie rękopiśmienne zabytki naszej przeszłości, dostarczą trwałej podstawy do dalszych badań literackich i historycznych w najszerszem tego słowa znaczeniu.

— **TOWARZYSTWO HISTORYCZNE WE LWOWIE.**— Na posiedzeniu dnia 22 listopada z. r., dr Józef Buzek przedstawił rzecz pod tytułem: „Wpływ polityki żydowskiej Rządu austriackiego na wzrost zaludnienia żydowskiego Galicyi (w latach 1772 do 1788)“. Praca oparta jest w części

swej statystycznej wyłącznie na wykazach, znalezionych przez prelegenta w archiwum Ministerstwa wojny; w części zaś, dotyczącej się ówczesnego ustawodawstwa żydowskiego głównie na aktach, przechowanych w Ministerstwie spraw wewnętrznych.

Prelegent podał naprzód źródła statystyki ludności żydowskiej, oceniając wartość i. h krytycznie, poczem zajął się zużytkowaniem cyfr, ustalonych przez pierwszą konskrypcję ludności z roku 1776, i doszedł do rezultatu, iż ludność żydowska Galicji wynosiła bezpośrednio po pierwszym rozbiorze Polski okragło 200,000 dusz. W stosunku do całej ludności, był to wyższy procent, niż dotychczas przypuszczano, mianowicie nie 5, lecz niemal 7 procent. Szczególną uwagę poświęcił prelegent gęstości rozsiadlenia się tej ludności w różnych częściach kraju, dzieląc ją zwłaszcza według ważnych kategorii na ludność miejską i wiejską. W polityce Rządu austriackiego względem żydów należy, zdaniem autora, rozróżnić trzy fazy, to jest pierwszą, Terezyańską, od roku 1772 do ustaw z roku 1784; drugą, Józefińską, od tych ustaw i patentu z roku 1785 do ordynacyi żydowskiej z roku 1789, i trzecią, poczynającą się od tej ordynacyi.

Scharakteryzowawszy dokładnie przepisy fiskalne, policyjne i ekonomiczne pierwszej i drugiej fazy, wykazał następnie prelegent, iż pierwsza wywołała bardzo powolny wzrost, druga zaś gwałtowny ubytek ludności żydowskiej w Galicji. Nawet po uobywateleniu żydów, dokonaniem ordynacyą z roku 1789, nędza mas żydowskich i ustawy z roku 1784 i 1785, były powodem ciągłej emigracyi żydów galicyjskich do Węgier i do przyłączonych do Rosyi części Polski. Wskutek tego ludność żydowska Galicji dopiero w roku 1817 dosięgła cyfry okragło 200,000 dusz, to jest cyfrę ludności bezpośrednio po roku 1772. Opóźnienie wzrostu ludności żydowskiej o czterdzieści kilka lat uważa prelegent za ostateczny wynik polityki wobec żydów w Austrii w latach 1772 — 1788.

W dyskusyi zabierali głos: dr A. Czołowski, p. Joachim Fraenkel, p. M. Bałaban i prelegent.

— TOWARZYSTWO DLA POPIERANIA NAUKI POLSKIEJ WE LWOWIE ogłosiło publikacye p. t.: Dembiński: „Źródła do dziejów polski“, tom I i Bodaszewski: „Teorya ruchu wody“. Publikacye te członkowie Towarzystwa, w granicach przysługującego sobie prawa, odbierać mogą bezpłatnie w księgarni p. f. E. Wende i S-ka w Warszawie.

— NOWE KSIĄŻKI. — Antoni Karbowski: *Wychowanie fizyczne Komisji edukacyi narodowej w świetle historii pedagogii.* (Odbitka z „Muzeum“). Lwów, 1902, 8-o, stron 90.

Wychowanie fizyczne było przedmiotem wielkiej troski ze strony Komisji edukacyi narodowej. Na ten czynnik tak ważny wychowania narodowego kładła ona silny nacisk, i nietylko wprost z urzędu, ale i pośrednio

przez różne pisma i książki, przez nią wydawane, lub aprobowane, starała się o rozszerzenie zdrowych w tym kierunku zapatrywań. Działalność tej Komisji, jej usiłowania i zabiegi dla równomiernego szkoły z rodzicielskim domem postępowania, kreśli niniejsza broszura, napisana z wielką gruntownością opracowania, przy zachowaniu wszelkich wymagań dobrej i przejrzystej konstrukcji; co sprawia, że przewodnia myśl: co i jak Komisya edukacji narodowej na tem polu działała, występuje dobitnie i jasno przed myślą czytelnika.

Autor wyłączył ze swej pracy rozbiór innych teoryj wychowania fizycznego w Polsce ówczesnej w obiegu będące, a ograniczył się jedynie do rozbioru urzędowego działania Komisji edukacji i zasad, jakie jej przewodniczyły. Poddaje przeto gruntownej krytyce i rozbiorowi dokumenty urzędowe tej magistratury i literaturę, która zrodziła się w tej samej atmosferze duchowej, jaka panowała w Komisji. Obok sił i zdrowia, wysoka karność, tak bardzo potrzebna Polakom, zręczność praktyczna i hart ciała—to były główne zadania. Dlatego weszła też higiena, nauka o zachowaniu zdrowia, w skład przedmiotów szkolnych we wszystkich szkołach. Autor mówi o tych kwestiach szczegółowo, z wyczerpaniem zupełnem tematu, a że mówi to stylem jasnym, pewnym; że wszystko opiera na rozległem odczytaniu we współczesnej literaturze i źródłach, rozprawa jego — mimo wcale specjalnego tematu, ma cechy rzeczy nader poczytnej.

-- W popularnem wydawnictwie M. A r e t a : „Książki dla wszystkich“, ukazały się następujące tomiki: T a t o m i r : Król Kazimierz Wielki (wydanie trzecie, 25 kop.); O f f m a ń s k i : Dola i niedola Jana Sobieskiego (streszczenie z dzieła T. K o r z o n a , 25 kop.); F. H ö s i c k : Nad wodą wielką i czystą (20 kop.); dr St. G a ł e c k i : Ważniejsze pasorzyty ludzkie (10 kop.); dr L e w i ń s k i : Jak powinien zachować się chory na żołądek (15 kop.).

---

## BIBLIOGRAFIA.

---

### FILOZOFIA.

Ryszard A v e n a r i u s . W sprawie filozofii naukowej. Przekład A. i L. Karpińskich. Warszawa, 1901, stron 71.

Przegląd Filozoficzny. Rok V. Zeszyt IV. Treść: Dr Wł. M K o z ł o w s k i : Ewolucya, jako ogólna zasada stawiana się. E. A b r a m o w s k i : Dusza i ciało. Przegląd nauk poszczególnych. Autoreferaty.

Warszawa. Adres Redakcyi i Administracyi. ulica Krucza, № 46. 1902. Stron 378 — 481 + IV.

### NAUKI ŚCISZE. — MEDYCINA.

Sprawozdanie Komisji Fizyograficznej, obejmujące pogląd na czynności, dokonane w ciągu roku 1900, oraz Materiały do fizyografii krajowej. Tom trzydziesty szósty. (Z tablicą i dziewięcioma rycinami w tekście). W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. 1902. Stron XXXVIII + 208 + 85 + 145.

Katalog literatury naukowej polskiej, wydawany przez Komisję bibliograficzną Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności. Tom drugi. Rok 1902. Zeszyt drugi. Arkusz trzeci. Nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie pod redakcją dra Tadeusza Estreichera.

Dr Stanisław Orłowski: Suggestya i hypnotyzm, według odczytów, wygłoszonych w sali Ratuszowej. Warszawa, 1902. („Biblioteka dzieł wyborowych“, № 256), stron 160.

### HISTORIA LITERATURY. — SZTUKA.

#### MUZYKA.

Pierwszy zeszyt pierwszego tomu *Ateneum* ukazał się w nowym, modernistycznym kształcie i zawiera: Cezarego Jellenty: „Twórczość i sztuka“; Piotra Chmielowskiego: „Nowele Maryi Konopnickiej“; Jerzego Żuławskiego: „Demoni artysta“; Bogusława Adamowicza: „Stygmaty“; Stefana Orlika: „Na orlim szlaku“; Jana Zarycza: „Linie Hofera“; Adolfa Neuwerta-Nowaczyńskiego: „Niekonsekwencye o sztuce w Cabaretach“; Kazimierza Tetmajera: „Lalusia“; Wacława Nałkowskiego: „Z powodu estetyki Guyau'a“; Jules Laforgue'a: „Perseusz i Andromeda“. Oceny i sprawozdania. Kronika sztuki. Przegląd miesięczny. Bibliografia.

Ks. Antoni Borkowski: Bez krzyżyków i bemolil czyli nowy i uproszczony system muzykografii. Zeszyt pierwszy. Wykład i dodatki nutowe. Warszawa. Nakład i własność autora. Skład w księgarni Gebethnera i Wolfa. 1903, str. 38 + 2 nlb. + 4 karty nut.

L. Lepszy: Kultura epoki Jagiellońskiej w świetle wystawy zabytków w 500-letnią rocznicę odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków. 1901. Nakład Towarzystwa Numizmatycznego, stron 67, z licznymi fototypiami.

Mikołaj Rey: Żywot człowieka poczciwego. Tom pierwszy Zbioru pisarzy polskich pod kierunkiem prof. dra J. *Kallenbacha*. Warszawa, 1903, stron 159 („Biblioteka dzieł wyborowych“).

Emanuel Świekowski: Miniatury Muzeum narodowego. Z dwunastoma ilustracyami. Kraków. MCMII. Wydawnictwo Muzeum narodowego, stron 96 + nlb.

Julian Adolf Świącicki: Historia literatury powszechnej. Z ilustracyami. Tom VI. Część pierwsza. *Literatura żydowska*. Stron 263. Warszawa. 1902. „Biblioteka dzieł wyborowych“.



Aniela S z y c: Czytanki stopniowane dla dzieci, zaczynających naukę systematyczną. Stopień trzeci. W kraju i na świecie. Warszawa. Nakładem i drukiem M. Arcta. 1902. Cena bez oprawy kop. 35, w oprawie kop. 45. Stron 175.

Teodor W i e r z b o w s k i: Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich. Zeszyt XVIII. *Komedya Rybaliowska* z roku 1615 i *Soltyś z Klechą* z roku 1616. Warszawa, 1902, stron II + 51.

Karol Woerman: Czego nas uczą dzieje sztuki. Przekład Jana *Kasprowicza*. Z przedmową prof. dra Jana Boloż-*Antoniewicza*. Lwów. Nakładem H. Altenberga. Warszawa. E. Wende i Spółka, 1902, stron XVI + 201 + 6 nl.

### ANTROPOLOGIA. — ETNOGRAFIA.

Dr Edward A v e l i n g: Teorya Darwina. Przekład J. Ciaglińskiego. Warszawa. Skład główny w księgarni Naukowej, Krucza № 44. 1903. Stron 106. Z portretem Darwina.

Witold S c h r e i b e r: Malżeństwo i jego dzieje. Z jedną tablicą i dwudziestoma ilustracyami w tekście. Lwów. Nakładem księgarni Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa. E. Wende i S-ka. 1903. Stron 197 + 4 k. ul.

Włodzimierz S z u c h i e w i c z: Muzeum imienia Dzieduszyckich. *Huculszczyzna*: Tom pierwszy. Z mapą, 5 chromolitograficznymi tablicami i 233 ilustracyami. Kraków. Staraniem i nakładem Muzeum imienia Dzieduszyckich we Lwowie. Z drukarni W. L. Anczyca i Sp. 1902. Stron IX + 373. Tom drugi. Z 21 ilustracyami. Stron 277.

E. B. T y l o r: Antropologia. Wstęp do badania człowieka i cywilizacji. Przetłumaczyła z angielskiego Aleksandra *Bakowska*. Wydanie drugie. Warszawa. Nakładem Stefana Dembego 1902. Stron XI + 446.

Wisła. Miesięcznik, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. Tom XVI, zeszyt szósty. Listopad—Grudzień. 1902. Warszawa. Księgarnia E. Wendego i S-ki. Stron 681 — 682 + XII. *Treść zeszytu*: Maryan W a w r z e n i e c k i: Ze wsi Lelowie. (Zapiski etnograficzne, z rysunkami). — Z. S t a n i s z e w k a: Wieś Studzianki. (Zarys etnograficzny, z nutami i rysunkami, dokończenie). — J. M i l e w s k a: Ucieszne opowiadania z Ciechanowskiego. — Ignacy R a d l i Ń s k i: Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie. — J. T a l k o - H r y n c e w i c z: W kwestyi pochodzenia Słowian. — S. D ą b r o w s k a: Piosnki przy sianożęciu w Żabnie. — *Poszukiwania*: V. Przysłowia. XIX. Jak sobie lud wyobraża istoty świata nadprzyrodzonego. — *Sprawozdania i krytyka*. Przegląd książek: Dr Fr. Tetzner: Die Slaven in Deutschland (Lech); dr Emil Selenka: Der Schmuck des Menschen (dr W. Bugiel); Lazare Sainéau: L'état actuel des études de folklore (L.); Les facettes de Pogge (dr W. Bugiel); Henryk Ułaszyn: O Janie Potockim i literaturze Kaukazu (J. F. Gajsler); Ignacy Maurycy Judt: Żydzi jako rasa fizyczna (J. O.). — *Przegląd czasopism*: „Folk Lore“, t. XI (Z. A. K.); Fr. Kunze: Der Birkenbesen, ein Symbol des Donars (w „Internation. Archiv f. Ethnogr.“) (E. M.); W. Ripley: The origin of european culture (w „Popular Science Monthly“ (m)). Etnografia w „Słowniku Geograficznym“ (tomy IV — VI) przez M. R. W i t a n o w s k i e g o. — Drobiazgi ludoznawcze: Bielikowstwo. Liśty ludowe.



Skąd powstał ład? Garść wierzeń i praktyk z powiatu Owruckiego i z Berdyczowa. Lejkonik. — Różne wiadomości: Z „Dziennika Poznańskiego”. — Odezwa (Jan Tur).

## PRAWO. — SPRAWY SPOŁECZNE.

Ludwik Krzywicki: Kwestya rolna. Przełom w produkcji środków spożywczych w drugiej połowie wieku XIX-go. Z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego. Cena rub. 2 kop. 50. Warszawa, 1903. Skład główny: Księgarnia naukowa. Stron 407.

Jadwiga Rostworowska: Czy są nowe dla kobiet zadania? Spółka wydawnicza polska, 1902, stron 45.

Dr A. Załeski: Sprawa pomocy lekarskiej na tle obecnej organizacji Płockiej. Płock, 1902, str. 45.

Fryderyk Zoll (starszy): Historia prawodawstwa rzymskiego. Część pierwsza. Historia organów ustawodawczych w państwie Rzymskim. Kraków, 1902. (Spółka wydawnicza polska). Stron IX + 391.

Henryk Cederbaum: Jak napisać testament własnoręczny. Wydanie drugie, przerobione i powiększone. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1903. Stron 197.

Ludwik Swieszewski: Trzy główne prądy w rozwoju nauk ekonomicznych. Studium ekonomiczno-historyczne. Warszawa. Nakładem M. Arcta. 1903. Stron 382 + 2 nl.

Stanisław Żeleński: Jeszcze o bezrobociu rolnem we Wschodniej Galicyi w lecie 1902 roku. Kraków, 1902, stron 15.

## POEZYJE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

Stanisław Brandowski: Bracia Szlachta. Komedya szlachecka w czterech aktach. Kraków, 1902, stron 120.

T. T. Jeź: Pamiętniki starającego się. — Komyszniak. Z ilustracyami Juliusza Kossaka. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903, stron 430.

Józef Dunin-Karwicki: Z moich wspomnień. Wstęp. Warszawa. Nakład księgarni A. G. Dubowskiego. 1903, stron 343. (Z portretem autora).

Tadeusz Konczyński: Utwory: Otchłań. — Dytyramb. Kraków, 1903. Gebethner i Sp., str. 146.

Pamiętniki Prezydenta Krügera, przekład Justyny Paszkiewiczówny i Antoniny Morzkowskiej. Część pierwsza. Warszawa, 1903. („Biblioteka dzieł wyborowych”, № 261, stron 152).

Włodzimierz Płaskowski: Satyry. Wybór dokonany przez Władysława Buchnera i Brunona W. Korotyńskiego. Nakładem przyjaciół. Warszawa (J. Fiszer), 1903. (Z portretem autora). Stron XII (Przedmowa Edwarda Lubowskiego) i 320.

Edmund Rostand: Samarytanka. Obraz ewangeliczny w trzech odsłonach, przełożyła M. Chwalibóg. Kraków, 1902 (Spółka wydawnicza polska). Stron 138.

Roman Z m o r s k i: Podania i baśni ludu. Stron 157. „Biblioteka dzieł wyborowych“, № 269.

Ignat H e r r m a n n: Ojciec Kondelik i narzeczony Wejwara. Z czeskiego przełożył Paweł Laskowski. Warszawa. 1902. („Biblioteka dzieł wyborowych“, №№ 257—259). Tom pierwszy stron 160, Tom drugi stron 158, Tom trzeci stron 159.

Emma J e l e Ń s k a: Dwór w Haliniszkach. Powieść współczesna. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1903. Tom pierwszy stron 308; Tom drugi stron 374.

Zygmunt K a w e c k i: Dramat Kaliny. Trzy akty z prozy życia. (Z portretem autora). Lwów. Nakładem H. Altenberga, 1902. („Biblioteka utworów dramatycznych“, Tom XI), stron 160. Z sześcioma ilustracjami.

Maurycy M a e t e r l i n e k: Monna Vanna. Sztuka w trzech aktach. tłumaczył Z. Sarnecki. Lwów, 1902. („Biblioteka utworów dramatycznych“. Nakładem księgarni H. Altenberga, 1902, stron 100. Cena 69 kop.

Jan M i l t o n: Raj utracony. W przekładzie Władysława Bartkiewicza. Warszawa. Druk Piotra Laskauera i S-ki, 1902, stron 423.




---

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.

# AD ASTRA.<sup>1)</sup>

---

DWUGŁOS

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

---

XVII.

*Interlaken.*

Obok wspomnień, które opadają na gościńce życia zaporą silną nieraz, a zwykle pośepną, odrzucającą prąd ludzkich dążeń od normalnego szlaku wstecz, ku rzeczom błahym i martwym, ku kwiatom dawno uschniętym i ceniom dawno rozwianym, obok żalu, iż po każdym wczoraj musi nastąpić jakieś dziś i jakieś jutro, obok smutków, tęsknych marzeń, nadziei i wielu innych jeszcze podobnych emanacji naszego „ja“, należą także zwierzenia i wyznania wszelkiego rodzaju do najniepotrzebniejszych zjawisk międzyludzkich, a nawet wprost szkodzą. Stanowią one błąd ogromny, jeżeli się uwzględni krótkość czasu i szczupły zasób sił, jakimi rozporządzamy.

Błądu tego dopuściłem się świeżo wobec ciebie, kuzynko, wskrzesiwszy wizję szczęścia, które nie istniało nigdy, i rozwinięszy sztandary z płomienia, w których powiewie tamta wątła iskierka zatracić się musiała, jak atom zwęglonego pyłu. Błąd ten

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt październikowy, str. 1;—listopadowy, str. 253;—grudniowy, str. 458 roku zeszłego; styczniowy, str. 14; lutowy, str. 244.

nie jest zresztą jedynym. Cały już szereg takich nieracjonalnych postępów, przed tobą popełnionych, mam na sumieniu, i co gorsza, dalej grzeszyć nie przestaje. Zaszkożdzi mi to niewątpliwie w twoich oczach, bo wywoła wrażenie optyczne, umniejszające mój wzrost duchowy. Przed tobą jedną wszakże nie wstydzę się grzeszyć, ani, wbrew zasadom optyki, maleć, im bardziej zbliżam się niekarną duszą do waszego, do twego bieguna. A skoro już zbliżam się do was, — do ciebie, na odległość egotycznych westchnień i egotycznych żalów, pragnąłbym bardzo wiedzieć, jak ostateczny sąd twój o mnie opiewać będzie? Czy istotnie, ilekroć nawa moja ociera się o krawędzie waszych dziedzicznych stanowisk, ucho twe łowi same tylko zgrzyty?

Ale ty milczysz. Dla czego milczysz? Czy nawet już ganić nie chcesz?

Za co ganić? Czy ognie mych zniczów, choć może dla wypieczonych zmysłów straszne zgrzytliwością błyskawic, lub zygzakami gromów, nie są, mimo to, jasne i potężne?? To prawda, że scenarium przyrody zna inne ogniki, inne znicze, inne sztandary, że światło wątlej iskierki korzystniejszym jest dla zdrowia oczu, niż luna pochodni, rozwichrzonej na całe niebiosa. Lecz alboż to wina jest moja, że wolałem stanąć z rozpaloną żrenicą i twarzą pobladłą przy tej niebezpiecznej pochodni, aniżeli żywocić pod iskierkowem hasłem utrzymania gatunku, jakie tli nad jamą borsuczą i nad sadybą Budnika. Jeżeli wina tu jest, to losu, czy trafu. Również i w tem niema, jak sądzę, żadnego przewinienia, że, ujawszy raz ów sztandar w dłonie, zostałem przy nim wiernie i wytrwać przy nim pragnę z całej duszy i ze wszystkich sił mojej woli. I tego wreszcie nikt z żyjących za winę mi nie poczyta, iż srebrne żrenice budzącego się do życia dziecka uchroniłem od sfinksowych żarów, a odesłałem do grot lazurowych i do różowych obłoków. A że dziecię to, zachowane szczęśliwie dla błękitu i słońca, nie uрониło zbyt wiele ze swej życiowej energii na jałowe emanacje duszy, zwane wspomnieniem, lub tęsknotą, co do tego nie mam wątpliwości najmniejszej.

Nie możesz mi więc zarzucić żadnego wykroczenia w stosunku do waszego świata. Koranów — po próbie bezowocnej — nie zwalczam, aksamitów nie depcę, różanych krzaczków nie łamię, nektarów nie pijam. Ze strażnicy, własną wydzwigniętą pracą, staram się promienie czujnej myśli cisnąć jak najdalej w chaos mgieł bezkresnych, a wieść o ujrzarych za mgłą znakach tajemnych posyłam wierzchem społeczności ku szczytom innych wieżyc, skąd wieją pod niebo takie same, tylko że potężniejsze błyski poznania. Nowo zdobyte myśli moje, tocząc się i uderzając o fale innych wieści, zlewają się z niemi w jedno koło wspólne, które wskutek tego wzrasta i stopniowo coraz

szersze zatacza kręgi. Świat, zajęty wiecznie sprawą swego bytu i nie często zwrócony wzrokiem ku górze, nie dowiaduje się nigdy, albo wyjątkowo tylko dowiaduje się o tej grze kołujących, zlewających się i wzrastających fal świetlanych, a interesuje się nimi jedynie wtedy, gdy nieuchwytnie wyniki nadpowietrznej rozmowy przyczynią się bezpośrednio do osłodzenia lub przymnożenia życiowego nektaru. Wtedy z państwa Heliogabalów i męczenników dochodzi nas poszum oklasków, bitych na cześć tak pożytecznych dyalogów i świat rzuca nam w podzięcie—mydlaną bańkę sławy. Zresztą jesteśmy sami. Nie ma i w tem winy po stronie niczyjej.

Ty jednakowoż nie sądź, iż, mówiąc ci o tem, skarżę się na samotność. Nie czynię tego bynajmniej. Wiesz, że własnowolnie poniszczyłem mosty, łączące przybytek mój z gwarem i targowiskiem świata. Dawno już temu, chcąc zorientować się w sprawach tego padołu nędzy i nudy, skonstruowałem sobie przyrząd nader subtelny, na którym ważyłem wszystko, co mi pod rękę wpadło, ważyłem i porównywałem. Porównywanie to dało mi ten wynik, że wszystko, co w zgiełku targowicy cieszy się popytem, okazało się nieważkiem, jak puch i próżnia, zaś wszystko, co wykazało wagę i wartość złota, znajduje się bardzo daleko od targowej wrzawy. Stąd dobrowolne przechadzki po ścieżkach odludnych, i dla tego nie uskarżam się na samotność.

Natomiast, mówiąc dziś do ciebie, chcę ci przypomnieć, że tęsknię za twym głosem i kosztem osobistych zwierzeń radbym wpoić w ciebie przekonanie, że godny jestem twej pamięci.

A zresztą, chociażbym nawet pełen był przeróżnych zdrożności, i według litery katechizmów waszych zasługiwał na potępienie, to przecież indulgencya, właściwa sercom, w których jest kochanie, powinna cienie ponurego wyroku rozegnać i pomyśleć, że i potępieni potrzebują czasem kropli nektaru. A że dźwięk twego głosu bywa dla mnie nektarem, o tem wiesz chyba, bez wielu z mej strony słów...

Tymczasem tegoroczne *otium* moje, czyli sen letni spracowanego umysłu, kształtuje się coraz niefortunniej, a dodam tu zaraz ze szczerością wielką, za wielką może, że w znacznej mierze tyś temu winna.

Dawniej, w czasie letargów, gdy wysilony umysł zasypiał, serce wraz z całem stadkiem chochlików wewnętrznych, przez organ ten uerwianych i ożywianych, szło na paszę, otwierało się dla barw i woni, tarzało się po kwiatach, owijało w puchy brylantowych pajęczyn, a następnie otrząsało z nich rażno, gdy nadeszła pora nowej szermierki dla odrodzonej myśli. W tym roku chochliki odmłodzenia nie zmartwychwstały we mnie i nie sięgnęły po eliksir życia. Wyginęły widać od żaru—czy też od chłodu. Serce otwiera się wprawdzie na barwy, i wonie, i echa, ale nie orzeźwia się i nie przejmuje już ni-

czem. Zetknięte z migotliwą strugą życia, odstaje od niej, jak gdyby rzecz martwa.

W otoczeniu gór przepięknych, w powietrzu, nasyconem żywiczną wonią lasów, niosącym powiewy od krystalicznych wód Aaru i od berneńskich lodowców, nietylko nie znalazłem dotąd szukanego wypoczynku, lecz, przeciwnie, czuję w sobie bezustanne wzmaganie się jakiegoś ogólnego, męczącego mózg i nerwy, rozstroju. W tym stanie jestem nietylko z siebie, ale i ze wszystkiego, co mnie otacza, coraz bardziej niezadowolony i ulubionym niegdyś kątem świata rozczarowany. Tybyś powiedziała, rozpatrując moje wnętrze, że zanikają we mnie w brzydki sposób ostatnie ślady bliźniej pobłażliwości. I miałabyś słuszość. Podczas gdy cały świat błyszczący i szumiący teraz koło mnie niecierpliwi mnie coraz silniej, serce moje — znów powiadam: serce, — gdyż wy, ludzie, kochający się wzajemnie, posługujecie się najchętniej tym utopijnym symbolem, — serce moje zdobywa się raczej na jakąś nutę żalu, czy tęsknoty za tem, czego mieć nie może. Jest to oczywiście objaw nienaturalny i niezdrowy.

A właśnie na ciebie, kuzynko, spada znaczna część winy, że mi się tak rozstroiło serce. Najniespodziewaniej w świecie błysnęłaś ku niemu zagadkową tęczę, dziwnie spojona z kłosów pszenicznych, sośniny, tymianu... potem na mgłach dalekich ukazałaś mu obraz mglisty borów i puszczy tajemniczych, a wśród nich sylwetki nieznanymi domostw i nieznanymi ludźmi, a potem zakryłaś to wszystko perkunową chmurą i umilkłaś, i — zatarło się wszystko, — wraz z echem twego głosu, — może bezpowrotnie. Rzecz więc naturalna, iż serce, samo w sobie niemocne, zaniepokoiło się w stopniu szkodliwym tem pasmem dostrzeżonych widziadeł. Więc może mu się roją jakieś łąki świetliste, niwy zbożyste, gaje zieliste, jakieś mary i kształty, niepodobne do tych, które mu są znane, i może dla tego, nawet na szmaragdowej fali Aaru, nie chce bić tętnem rzeźwiejszem... Czy ja wiem zresztą? Może mu się co przyśniło, — i teraz skupia się ono w zadumie nad czemś nieujętem i zniknionem? Któżby potrafił zdać dokładnie sprawę z wewnętrznych doświadczeń istoty tak do poznania trudnej, jak symbol uczucia, najnieodkładniejszy z symbolów.

Dość, że Interlaken, wraz z całą swą sławą i z całym towarzysstwem, przelewajacem się przez jego gościnne progi, wydaje mi się coraz ckliwszem i nędzniejszym.

Niesmak i nuda; ckliwość i zniechęcenie; oto wyrazy, określające najtrafniej moją atmosferę. Łączy się z tem równocześnie przekonanie, że natura samego Interlaken nie gra tu żadnej szczególnej roli, że wszędzie, gdziekolwiek towarzysze moi rozbijają namioty, powtórzyć się musi nieomylnie ten sam akord czechości i nudy! Myślę,

że gdybyśmy wszyscy, jak tu jesteśmy, zostali aniołami i mogli na środku dantejskiego raję rozłożyć się taborem, to jeszcze przed słońca zachodem wszedłbym dobrowolnie między duchy stracone i wyklęte, chociażbym miał później posyłać wzrok chmurny za utraconym rajem anielic. Nieuniknionem zdaje się tu być krążenie raz, lub dwa razy na dobę po głównej alei, w czasie koncertów, gdy wokół tłoczą się gromady zwykłych Abderytów, chciwych muzyki, sąsiedztwa słynnej góry, a nadewszysto widoku Abderytów uprzywilejowanych. Ci ostatni, krążąc po słynnej interlakeńskiej alei, albo spoczywając wśród egzotycznych klombów, nie oddają się jednak rozkoszy doczesnego bytu całkowicie i bez reszty, jak mniema zapewne naiwna większość widzów. Owszem, spostrzegam, że zdolność łączenia pożytecznego z przyjemnem jest u bliźnich moich wielce rozpowszechniona, i że świat pracuje. Nikt nie przestaje myśleć o tem, że koło Fortuny należy toczyć naprzód, i czy to się znajdziemy na tłumnej, koncertowej przechadzce, czy przy zastawionym stole, czy w wagonie modnej kolei, grzebiącej się w zamarzłych podwalinach Jungfrau, wszędzie natrafimy na skrzętnych pracowników, kółkiem swem zatrudnionych.

Oto naprzykład uważam, iż ojciec mój nie pomija żadnej sposobności prowadzenia obszernych rozmów z pewnym wysokim dyplomatą, przybyłym tu z Berlina. A z wzajemnego ożywienia wnosić mogę, że chodzi tu o nowy jakiś plan ojca, któryby nietylko korzystnym był dla obu zaprzyjaźnionych rządów, ale i obu panom przysporzył imienia wytrawnych polityków.

Uważam, że powabną Cleonę, która okrąża aleję w przeciwnym, niż my, kierunku, i krzyżuje się z nami w połowie drogi, oblega kilku młodych Francuzów, i że każdy z tych panów pracuje w myśl swych separatystycznych zamiarów.

W podobny sposób pracuje tuż przede mną inny, nieznany mi bliżej, pan, o imponujących plecach i krwistym karku, który w trzech, zdaje się, językach i — jak się zdaje — bez żadnego skutku usiłuje rozruszać i rozgrzać nieprzystępną Oreadę, często małomówną i zamysłoną.

Nawet arystokratyczny dygnitarz naddunajski, zażyły przyjaciel naszego domu, przechadzając się ze mną, nie marnotrawi czasu, albo przynajmniej przypuszcza, że nie traci go marnie, chętnie bowiem zasięga u mnie zwięzłych informacyi o bieżących zagadnieniach i sporach oderwanej nauki, na których dokładniejsze studyum w nawale spraw publicznych i towarzyskich czasu mu nie staje. A gdy rozmawiamy tak o rzeczach wysokich, oderwanych i mądrych, nie nasuwamy z pewnością tego domysłu żadnemu z widzów, chciwych

naszego widoku; niemłody, ale nieskazitelnej wytworności mąż stanu, skierowawszy rozmowę na którąkolwiek z kwestyi tak aktualnych, jak czwarty wymiar, lub nieśmiertelność duszy, prowadzi mnie protekcyjnie pod ramię z miną rzymskiego mecenasa, i słysząc wszystko, co do niego mówię (prócz lekkiej ironii, która mi się mimowiednie miesza w te sui generis wykłady) zwraca jednocześnie szybką swego monokla w tę i ową stronę, raz po raz witając znajomych porozumiewaczem rozjaśnieniem wygolonej twarzy; to znów uporczywie zatrzymuje szybką na postępującej przed nami Oreadzie, jak gdyby interesował się wyłącznie nieśmiertelnością tej jednej pięknej. Aż wreszcie przerywa mi na pół szyderczą, na pół tryumfującą uwagą, że jednak ta nasza wiedza nawet w kwestyach zasadniczych na żadne jasne, krótkie, stanowcze „tak“, lub „nie“, zdobyć się nie może, poczem przypomina mi z Goethego, że wszelkie nasze filozofowania są dyabła warte. Ja zaś, który bez Fausta, na własną rękę i już od dawna dotarłem do poznania tej prawdy, że filozoficzne systemy są szare, a tylko drzewo życia ma się zielono, wtóruję mu z całą ochotą. Przygodni widzowie są bez wątpienia przekonani, że udzielamy sobie spostrzeżeń nad budową i różnorodnymi zaletami wyprzedzającej nas kobiety, lub innych dam, obecnych na promenadzie, podczas gdy faktem jest, że wielki mąż stanu zaprawia w danej chwili umysł swój na rzeczach wysokich, oderwanych i mądrych, i że w kole jednostek pracujących nie przedstawia wyjątku.

Słowem, czynni są wszyscy, i to nietylko tutaj, nad Aarem, ale i w Trouville, i w Biarritz, i wszędzie. I oto coś się okazuje. Okazuje się, że kiedy wszyscy wokoło mnie zatrudniają się i pracują nad tem, aby na gościńcu życia zajść jak najdalej, a przynajmniej iść jak najwygodniej, ja tylko jeden, uważający się ongi za człowieka ambitnego i pilnego, stoję na miejscu beczynnie; z założonemi rękoma, i może niezadługo sam nie będę umiał rozstrzygnąć, co jest na tym świecie ważniejsze: trony Sfinksów, czy lakier mego obuwia?

Nie bierz mi za złe sarkazmu i goryczy. Inny jeszcze pokażę ci obrazek. Naprzeciw naszego hotelu usadowił się na chodniku jakiś pomysłowy, choć obdarty, astronom z lunetą, przez którą za dnia pokazuje wierzchołek Jungfrau, a gdy się zrobi ciemno — Saturna. I przy tej gwieździe wieczornej zatrzymują się nasi pracownicy. Teleskop jest lichy, jednak kontury srebrnej planety odrzynają się ostro od czarnego tła nocy; widać wyraźnie płasko zatoczony pierścień obwodowy, a nawet połowiącą go linię Cassiniego. Ale soczewka teleskopu umieszczona jest niewygodnie i bez żadnej stałej podstawy, tak, że niewyprawnemu trudno jest utrzymać źrenicę spokojnie i bez ruchu. Aby więc zadanie to ułatwić, wpada ów silny pan



o imponujących plecach na pomysł, który mi jeszcze więcej zaimponował: pochyła nisko swe barki i nie dba o natężającą pozycję, byle tylko panie, zyskawszy punkt oparcia na jego ramionach, mogły dokładnie przypatrzeć się Saturnowi. Rzecz prosta, że i inni mężczyźni nie dają się zawstydzić i ubiegają się gorliwie o rolę słupa i karyatydy. Badania rozpoczynają się na nowo i trwają dłużej, lub krócej, stosownie do tego, kto patrzy, kto pomaga, kto jest wprawniejszy, lub sprawami ciał niebieskich goręcej zajęty i t. p.

Gdy kolej przychodziła na Oreadę, poprosiłem ją półgłosem, aby się widoku Saturna wyrzekła, spojrziała na mnie z chwilowem zdziwieniem i cofnęła się istotnie wraz ze mną od ulicznego obserwatoryum. W nagrodę za tę drobną uległość, opowiedziałem jej wszystko, co wiem i myślę o pierścieniach Saturna. Lotne pasma mgieł fosforycznych i palących uwięziły gwiazdę olbrzymią, której obwód przewyższa o setki tysięcy kilometrów obwód naszego globu. Mimo tych kajdan wyszedł Saturn w opowiadaniu mem bardzo potężnie, i nie tylko Saturn, ale cały firmament, tak potężnie, że garstka istot zebranych przy teleskopie w Interlaken skurczyła się do rozmiaru garstki marynetek, niepozornych, tanich, posłednich, o mechanizmie jednostajnym, bardzo prostym i bardzo mało zabawnym... Długo mówiłem słuchaczce mojej o wielkich i małych wymiarach—a odwiódłem ją był od zajęć przy lunecie dla tego, że w doborowym towarzystwie naszym ona jedna wydaje mi się często tak samo, jak ja, beczynną, i o kółko życiowej Fortuny niedbałą; ta jedna.

Skoro przyjaciółka Idalii odjedzie, będę na gruncie tutejszym jedynym już osobnikiem, stojącym na miejscu i gnusnością swą odbijającym od innych.

Aby otoczenie swe naszkicować, wybrałem na chybił trafił parę rysów drobnych, jednak dostatecznie charakteryzujących świat ten, w którym kwitną psianki *consolantes*; tak je nazwałaś; jakkolwiek grzeczniej możnaby mówić o orchideach, które, im piękniejsze i droższe są, tem bardziej wyglądają trująco. W otoczeniu ich nic mi się stać nie może, ponieważ orchidee wyczuwają instynktem, że jad ich mnie nie nęci i same odwracają się ode mnie ku wdzięczniejszym ofiarom. Ten tylko paść może ofiarą, kto, zwabiony świetnością kielicha, pragnie gorączkowo wkraść się do jego wewnętrznych tajemnic. Ja je znam i wiem, że oprócz jednego motywu, zawartego w abecadle bytu, nic zresztą w sobie nie kryją, i dla tego wszystkie wydają mi się aż do dna poroztwierane, płaskie i puste. Przebywającemu w zbyt-kownej kwiaciarni, nasyconej zapachem silnym i drażniącym, zdarzają się momenta pożądań nagłych, niecierpliwych, aby przynajmniej w najpiękniejszych kielichach znalazła się jakaś treść, godna ich ze-

wewnętrznej szaty, ognista a tajemna, dla której wartoby było kusić się o nie. A gdy uświadomię sobie, iż gorącej mej żądz w sferze tej nie nie zaspokoi, wtedy na horyzoncie mym pojawia się ciemny anioł melancholii, sypiący hojną dłonią czarne kwiaty, a od tych kwiatów jego padają na mnie cienie, widome dla wszystkich. Wtedy storczyki szukają stron słoneczniejszych i odwracają kielichy, mnie zaś opanowuje uczucie czczości bezmiernej i znużenie doszczętne. W takich razach odczuwam też w dwójnasób mą najzupełniejszą samotność w ludzkim tłumie i jeszcze wszechstronniej poznaję, że koło mego życia o żadne inne się nie zazębia.

Być może, iż w kniejach puszczy, zaludnionej ludem dębów i prastarych sosen, odnajdywałbym dokoła siebie więcej nici powinowactwa i spójności! Tędy ciągnie się wyraźnie granica mojego ja i dziedzina moich interesów; tamtędy przebiega wyraźna granica dziedzictwa i interesów ludzkich, pomiędzy niemi przepaść. Tu i tam czuję swą zbędność, odrębność, samotność; przepelnia mnie i aż do omdlenia przepelnia owo uczucie czczości, nudy, niesmaku, na które nie stać tych, co może zazdroszczą mi poniekąd do mniemanych powodzeń, przywilejów, tryumfów!

Życie uchodzi czasem za olbrzyma, z którym się trzeba borykać, by wywalczyć krawędź ścieżki dla siebie. Mnie wydaje się ono płazem szerokim, przygniecionym czemś olbrzymiem i ułudziwiałem, który wije się w szlamie złocistym i dobywa tu i owdzie na powierzchnię koronę kwiatu, splamioną złotem i rozdarta.

Jedyną rzeczą, zawsze piękną i niepokalanie świeżą, jest tutaj Jungfrau, królująca nad wszystkim, zwłaszcza gdy wypływa na niebo z odmetu białych obłoków, — niezrównany symbol czystości, wyższy nad lilie i dziewice.

A także pięknym jest Aar, który lubię, że taki zielony, kryształowy i szumny, przynosi w swych falach powiewy i chłody od wżyn bezludnością świeżych i wyrzuca je z piersi tutaj, wśród pozłocanej prozy hotelów i zagajen rojnych od kobiecych tualet. Zazdroszczę mu prawie tej jego nieomyślnej obojętności i tego spokoju egzystencyi, wiecznie biernej, z jaką nie przestaje przelewać się z jeziora do jeziora wstęgą szeroką i równą, przecigniętą bezkarnie przez bulwar wielkomiejski, przez turkot hotelowych pojazdów, przez kalejdoskop uperfumowanych lalek. On zaczyna się, trwa i kończy sam w sobie, ma własny miarowy ruch i oddech własny, przyniesiony z lodowej kolebki, nad którą straż trzyma ciemna piramida Finster-aarhornu. Cóż go obchodzi, czy w licach jego przeglądają się zmurszałe chaty góralskie, czy białe pałace wyrafinowanego zbytku? Nic go nie mąci i nic nie wstrzymuje.

O ileż wyższe strażę otaczają źródła, z których struga myśli mojej bierze swój początek — a los jej mimo to jakże niepewny i chwiejny! Jakież to siły wstrzymały ją i mącą, i wyczerpują tak, że wysychać się zdaje aż do dna? Malutki zgiełk, idący od garstki satyrów, trochę błyskotliwej krasy, tęczącej na ciałach anielic smutnej małości: nic, tak zupełnie, jak atom woni uciekający z przywędłogo kwiatu; a ile zużytej energii, ile zmarnowanych sił i straconych myśli?

Biała ubrana kobieta wstępuje czasem ze mną na stoki Harderu, sąsiedniego wzgórza. Są tam pawilony i ganki drewniane, dające widoki słynnej piękności, a wyżej nieco porasta las modrzewiowy, sadzony w sznurach skośnych i skrzyżowanych. Aż tam dochodzimy niekiedy, my dwoje. Sami dwoje: więc w księdze mego życia otwiera się karta powodzenia, rozkoszy, tryumfu... A jednak nie chcę jej otwierać. Nie warto. Siedzimy na niskiej ławce leśnej w milczeniu, zatopieni w myślach odrębnych. Z dołu przez modrzewie i klony przeblyskuje pas rzeki, a poza nim srebrzą się w półkręgu egzotycznych krzewów wysokie obeliski fontanny i minaretowe kopuły kursalu; dolatują też stamtąd urywane dźwięki koncertującej orkiestry, dźwięki niedokładne, bo skrzypcowe śpiewy rozpraszają się gdzieś po drodze, a nas dochodzi jedynie zawrotny refren metalicznych tonów, liczących rytm baletowej muzyki. Z taktów tego rytmu zdają się splotać taśmy różane, płynące przez modrzewiowe kraty aż do nas. Róże Schillera...

Wzgardziłem różami na wierzchołku skalistej wyżyny, która tuż przede mną zamyka krajobraz, a teraz nie potrzebuję odtrącać ich bo mię nie wabią. Zresztą oczu moich nic nie wabi. Oto szary demon melancholii, którego widuję często, przesuwa się przez dolinę cicho, posępnie i rozrzuca hojną dłonią posiew cienistych zasmuceń. Od wielkiego demona zapada wokoło mnie zmrok i czyni ze świata rzecz płaską, bladą, martwą, której przytłumione wołanie, ów refren taneczny, odbija się od drzewa do drzewa. To echo schyłkowego przesytu, gdy wzbija się w górę i błądzi wśród pni, tętniących krwią żywiczną i mocną, zamyka w sobie jakąś bezdeń ironii. Dziwniejszym jest to jeszcze, że kobieta, będąca ze mną, która w epoce minionej naiwności i minionej siły byłaby niewątpliwie królową Sądów Miłości, zdaje się również treść metalicznych dźwięków rozumieć i widzieć cienie demona zasłaniające widnokrąg. I ona poniekąd nie posiada umiejętności życia. Aksamitne jej oczy, zamiast błyszczeć świadomością zwycięstw — gasną. Czerwone wargi obciągają się wyrazem gorczy... A przecież w życiu, którego godziny mierzą się na

tanecznych rytmach, czarne oczy i czerwone wargi to potęga, to skrzydła unoszące najdalej i najwyżej!

Gdybym żył w dawno prześlonej epoce pierwotnej naiwności i pierwotnej siły, byłbym się stał rycerzem tej królowej rozkoszy, wykolejonej i smutnej. Wiłbym wieńce z pieśni mamiących i, klęcząc u jej kolan, modliłbym się żarliwie o nagrodę miłości. Dzisiaj składamy parę jakgdyby na pośmiewisko tego rdzennie zdrowego lasu, którego korzenie z żywiołowym uporem wciskają się w skałę. Wszystkie iskry życia gasną pod zasłoną owych nieokreślonych zmierzchów, ogarniających całą dolinę. Zaledwie mogę dostrzedz śnieżne oblicze Jungfrau, zawieszzone nad nieskończonym mrokiem, daleko i wysoko...

Nie na to jednak się skarżę, iż nie umiem żyć tak mocno, jak żyje modrzew albo dąb, rozkorzeniony w skałe. Inne zakresy bytu otwarte są przede mną.

Jeżeli słowa moje dzisiejsze mają być skargą, to uskarżam się na nędzę i klęskę tej połowiczności, jaka mi pruje duszę. Na to, że zamiast rozkuć lwa myśli i wskazywać mu nowe szczyty, na których powinien stanąć zdobywcą i obudzić najszerze echa wieścią o nowej zdobyczy, marzę o jakichś mglistych, dalekich baśniach, że, zamiast rozrywki, jaką dawać mi powinna obecność rozbawionego tłumu, zastanawiam się nad tem, iż w tłumie tym twarze kobiet nie czerwienią się nigdy i że z żadnej z nich nie zdołałbym wyczarować dla siebie ani okruszyny szczęścia.

Wreszcie i na to także skarżyć mi się warto, że skargą szukam twego głosu, że wyobraźnię twą chcę skłonić ku sobie, wyznając ci rzeczy, których człowiek mojego stylu nie zwykł mówić nikomu.

Szczęście! Wybraliśmy się w towarzystwie niewielkiem przez Col de la Petite Scheidegg pod lodowce. Budowa kolei na Jungfrau o tyle postąpiła, że lada nektarnik, nie zmieniawszy nawet wielkiej toalety na rynsztunek turysty, może dziś przechadzać się po lodowej skorupie, używać sanny po zaspach śnieżnych, oglądać zblizka tumany śnieżnego mniału, ulatujące z lawin, spojrzeć w przepaściste rozręby lodowego płaszcza, w których głębi szemrzają niewidzialne strumienie i czai się śmierć... Ale o śmierci nikt tam nie myśli. Przeciwnie. Widziałem że ożywiały się tu twarze, najbardziej nawet wybladłe.

Są tam chodniki podziemne, wydrążone w lodzie, w które Eros powinien z zawiązanymi oczyma wprowadzać miłosne pary. Idzie się tam złobem błękitnym, który na dotknięcie stopą odpowiada jękiem

szklanym; błękit przepaja ściany, sklepi się w łuki przejrzyste nad głową, przenika ludzkie postacie; napełnia niebem źrenice; nawet w mowie ludzkiej zdaje się rozbrzmiewać. Im głębiej się tam wchodzi, tem więcej czarów i tajemnic brylantuje na szklistych ścianach, tem chętniej roztapia się serce w srebrno modrem więzieniu. I tam znaleźliśmy się sami, we dwoje. I tam również poszedł za mną geniusz żalu, za jakąś stratą wielką, a niewiadomą...

Przekonałem się nieodwołalnie i po raz ostatni, że i ta piękność, która szła u boku mego, górująca nad innemi—nie tylko pięknoscią—nie mi dać nie może. Nie ogrzałem się ciepłem jej oddechu, nie poszukałem jej ust gorących, które mogły być mojami. Patrzyłem na nią potem, jak stała u wejścia, w kryształowej bramie, z dłonią opartą o filar zimnego sklepienia, na pół jeszcze przymglona światłem podziemnem, na pół już dotykana jaskrawością słoneczną; myśląca może o tajemnej przegranej...

A ja? Myśl moja pierzchła od tej postaci błękitnej i od lodowej groty, wyżej, na stoki śnieżne, piętrzące się opodal w załomiska coraz dziksze... i utknęła niebawem — nie wiem dla czego — na twym „Awisie“.

Czy też przesadziłby on zwycięsko te mroźne zapory? Czemby go rozognić? Jakby go podkuć? Podkowy ze stali byłyby twarde i mocne, ale za mało świetne... ze złota piękniejsze, lecz zbyt miękkie... Możeby mu przypiąć skrzydła jakiegoś niepamiętnego zapału... albo jakiegoś ogromnego uczucia?.. Możeby go zresztą zepchnął do lodowatej czeluści, ażebyś nie miała już czem gonić po twej puszczy i została na swem obejściu, bezradna i opuszczona...

Tymczasem czekała mnie wędrownka na dół elektryką i parą, z całym aparatem monoklów, perfum, pudru, francuszczyzny, krwi-stych karków i wygolonych twarzy...

---

## XVIII.

### *Interlaken*

Upłynęło znów trochę czasu, nie dałaś mi ani słowa. Jest to znak, że, jakkolwiek daleko zasunałbym się w przyszłość, przyszłość ta nic mi już nie przyniesie od ciebie. Tak więc nie spełniła się da-na mi obietnica o trójliściu dobrej wróżby. Dlaczego przedsięwzię-

łaś tę próbę, aby wnet tak bardzo po niewieściemu odmyślić się i nie kończyć?.. nie mnie w to wchodzić. Z prozelityzmu nie możesz mi czynić zarzutu; ustał bardzo rychło. Co do mnie, myślałem istotnie o jakiejś dobrej wróżbie. Ale, jak widzę, nic nader dobrego przydarzyć mi się już nie może... Łatwo przyzwyczałem się do twego głosu...

Szkoda. Spotkanie nasze było dziwne i piękne.

Gdy cofnę się myślą do chwili, w której ostatni raz zwracałem się ku tobie, spostrzegam, że czas ubiegły wycisnął znaczne ślady na mej duszy. Przychodzi mi wielka ochota mówić z tobą. Nie waham się ani trochę. Popełniłem w ostatniej porze tyle niekonsekwencji, że jedna więcej nic nie zepsuje i nic nie naprawi. Wiem zresztą, że milczeć byłoby lepiej, może chlubniej, dumniej... Mniejsza z tem; mówię jednak do ciebie.

Postanowiłem dotrzeć na miejscu aż do wyjazdu mego ojca, chociaż przebywanie w tutejszej atmosferze staje się dla mnie z każdym dniem trudniejsze; ostatecznie nie potrwa to zbyt długo. Powodowały mną różne względy; przedewszystkiem wzgląd na ojca, który kocha mnie bardzo, mimo, że niepodobna wyobrazić sobie dwóch ludzi skrajnie obcych sobie i równie oddalonych sferą zapatrywań, interesów lub dążeń. Kierowałem się też pewnymi względami na kobietę, wspominaną tu kilkakrotnie pod imieniem Oready. Pani ta opuściła przed paru dniami Interlaken, udając się do Idalii nad morze. Otóż gdybym i ja wyjechał stąd bezpośrednio po niej, potwierdziłbym mylne domysły, których przedmiotem stał się wzajemny nasz stosunek. Chciałbym temu zapobiedz, tak dla niej, jak dla siebie, i nie lekceważyć pozorów. Gdy odjeżdżała byłem przy niej; ale między kwiatami, które wyscielono jej wagon, nie było żadnych ode mnie.

Gdybym był zwykłym mężczyzną, dbałym o atlasowe epizody życia, dla zaspokojenia żądań swych potrzebowałbym świadomości, że kwiat napełnił się słodyczą dla mnie jednego i że ja jeden z pośród tysięcy mam być dopełnieniem jego losu. Gdybym brał czynny udział w komedji życia i wiedział, że podobny kwiat tęskni do mnie i ku mnie płonie, być może, iż byłby to dla mnie powab silniej nęcący, auzeli królowanie duchem na wysokościach świata... Ale w niezdrowej atmosferze przesytu, niesmaku, niemocy, którą oddycham, niema owego kwiatu z pewnością. Czy może on dla mnie gdziekolwiek rozkwitnąć i wezbrać nektarem? kędy szukać cudotwórczej krainy?

. . . . .

Do szeregu nieroztropnych zagadnień, wyrastających z rozkołysania serca i wyobraźni, należy też marna ciekawość: czy ja i ty, kuzynko, spotkamy się w ciasnych wymiarach niniejszego bytu? czy też na torze naszych przeznaczeń, poruszamy się w kierunkach na zawsze rozbieżnych?

Zapytanie to wzniosło się pewnego dnia mgłą tak gęstą nad pustym brzegiem Aaru, że widok srebrno-zielonej rzeki i skał szarozłoty, i śniegów liliowo-białych, zniknął kędys zupełnie z przednich oczu i nie było nic, czemby się myśl moja napęlić mogła. Aż zaludniła się marną gmatwaniną marzeń, przywidzeń, wspomnień i żalów...

Czemże jest gra pamięci? Czemże innem, jeżeli nie snem o rozprószonej plejadzie gwiazd niezatrzymanych, jeśli nie zasypywaniem wypalonych popiołów, odgrzebywaniem zgliszcz czarnych, od których zaćmiewają się wszystkie słońca w nas samych i nad nami.

Zdaje się nawet, że pytałaś mnie kiedyś o takie wewnętrzne ciemności. Nie znałem ich dawniej.

Gdy bladym tłumem otoczą mnie wspomnienia, nadciąga wnet moc inna, dawniej niewidzialna i nieznaną, moc budzącego się nieopatrnie żalu nad losem własnego życia. Budzi się żal nad dzieckiem, kochanem przez rodziców, którzy je na świat wydali, szczególnie kochanem niegdyś przez matkę, która pragnęła zapewne całą siłą serca, aby nad czołem jedynaka przez życie całe nie smutne potęgi rozkładały się cieniem, ale aby mu brylantowe słońce świeciło wiecznym weselem. Nie stało się po myśli mej dobrej matki. Przeglądając kartę po karcie z ubiegłej już części mego życia—i to części zwykle najbujniejszej—złękłoby się jej serce niewątpliwie i w niepokoju swym możeby na nowo bić zaczęło, aby pomagać, ratować! Czemże są zapisane te karty? Czy są na nich plamy i błędy, od których spaczyć się musi i spróchnieć oś pozostającej mi jeszcze przyszłości? W godzinach bezcelowej zadumy przerzucam kartę po karcie i nie znajduję płamiących obłędów. A jednak... Ponad powszedni gościniec wstąpiłem na jakąś wyżynę stosunkowo znaczną, lecz wzniesiona piramida myśli okazuje się górą szklaną, z której ścian jałowych i bezludnych zeslizguje się pamięć odrazu aż w początki dzieciństwa. Z wyprawy w przeszłość nie przynosi nic a nie dla serca, chciwego słodkich pamiątek.

Sercu omdlewającemu za żywemi źródłami, cóż po szklanej górze!

Więc jest gorycz i słoność łez i szereg pogardzonych godzin, które wstają z grobu przeszłości, jak mściciele, i ściągają się w hufce, które wicherzą się wkoło mnie bezkarne, wołając „Gdzie szczęście?” Lękam się chwili, gdy otoczą mnie z wołaniem „Zapóźno” i zapadną znów w otchłań niebytu, zostawiając za sobą tuman rozmielonych popiołów i ostatnie błyski strąconych gwiazd...

. . . . .

Nie ja zniszczyłem w sobie narzędzie pieśni, ale zniszczyła je nieubłagana trzeźwość poznania. Musiała je zniweczyć. Sądzę, iż tylko istoty, oddalone od analizy i nieznające mechaniki bytu mogą wypiewać pieśń życia. Potrzebna do tego uległość i pokora stworzenia jest ich wrodzoną naturą.

Ja byłem snadź nazbyt niecierpliwy i rączy, analizowałem za długo, rozokolilem horyzont swych pojęć za szeroko i teraz wiem za wiele. Mądrość moja wynaturzyła mnie z pierwotnej uległości i pokory. Z obszarów przeznaczonych ludziom, aby w nich żyli i trwali z pokolenia w pokolenie, wyszedłem z ciekawością palącą i po długiej wędrówce oparłem się aż tam, skąd źródła wszelkiego życia biorą swój początek. Znam każdą nić, z której życie się przeździe i genezę każdej z sił, które we mnie samym są czynne i dlatego, wyschły dla mnie wszystkie źródła.

Nieprawdę mówię, twierdząc, że jestem utożsamieniem prawdy absolutnej, pierwszej i ostatniej. Nikt jej nie zna. Im mędrszym czynią mnie lata pracy, tem odległość dzieląca mnie od tej prawdy zdaje się wzrastać. Zaledwo przeczuwam wielkość i wyraz jej oblicza. Wszystko, co u ludzi nazywa się wiedzą, jest tylko mglistem jej odbiciem, cieniem tego odbicia, cieniem cienia i wykładnikiem tak bardzo odsuniętym i pośrednim, że wiedza sama w sobie — mało się różni od wiary. Ale już te słabe rozbłyski, te odbicia i okruchy poznania odzierają z wszelkiej zjawiskowej kraszy szkielet życia. Patrząc na jego nagość, niepodobna śnić życia, śpiewać i kochać. Wiedza, jak Empuza greckiego Hadesu, odziera i obnaża wszystko, czego się do-



tknie. Trzeba się wyodrębnić na tron Losu i Stwórcy i trzeba skrzepnąć w kamiennosć sfinkswego wzroku, aby znieść widok odsłoniętych kołowrotów, zależnych, niewiadomo jak i niewiadomo po co, od wiru jednej osi, osadzonej poza czasem i poza przestrzenią. Inaczej, stałby się ów widok nieubłagane przejrzysty gromem nadczłowieczego bólu, albo wybuchem nadczłowieczego szyderstwa.

Cokolwiek ma być i żyje, szarpie się na łańcuchach i smyczach, które sobie samo uwiło i więc musi w nieskończoność. Jest to przymusowa praca dobrowolnych tortur i samobójstw, ciągnąca się od czasów, kiedy nie było jeszcze ani czasu, ani przestrzeni, ani nawet wyraźnej granicy pomiędzy bytem a nie bytem. Te same siły tarzają się w paroksyzmach, któremi ludzkość znaczyć musi świętą historię, te same potęgi ścierają się w walce o chleb, toczonej przez jednostkę z głodem społeczeństwa, do którego krwią i kością należy, i te same siły rzucają narody o narody, jakie szamotały się z sobą ongiś, w pierwszych ruchach, huraganach i oddechach przedbytu. Jako człowiek, nie mogę nic pomyśleć, nic powiedzieć, niczego chcieć i za niczem tęsknić, co nie było koniecznym następstwem całej przeszłości i koniecznym początkiem tego, co przyjdzie. Gdy pełzak, w przegniłej wodzie urodzony, wyciąga cieniuchne niteczki swej plazmy, aby wessać w siebie odrobinę tlenu, gdy glista wgryza się w grunt, pochłaniając ziemię i przemienia ją niestrudzenie w czarną próchnicę, i gdy ja sam wysiłkiem mózgu staram się wtargnąć w jądro bytu i zdobywać zeń częśćkę po częśćkę dla poznającej myśli, wszędzie powtarza się jedno i toż samo natężenie woli, jeden ruch, w trzy fazy zróżnicowany, i nie wiadomo nawet czy faza moich usiłowań jest w czemkolwiek wyższą od usiłowań ameby? Najpewniej nawet wyższą nie jest, bo w tym i tamtym ruchu, w tem i tamtem napięciu woli realizuje się jedna i ta sama konieczność, jedna i ta sama prawdziwość matematycznych pewników, ziszczających się raz po raz — w nieskończoność.

Chociażbym był wcieleniem wszystkich geniuszów i zapłonął pożarem najwyższej ekstazy, jeszczebym nie był w stanie wyzwolić się z tej błędnej obierzy i wydobyć z siebie coś, co nie byłoby dziedzictwem, wziętem od glisty, ameby i kosmicznych mgławic. Jeżeli rozmyślam nad możliwością narcyzowego szczęścia, to daję wyraz tym samym popędom, które robaka łączą z robakiem i każą astronomce-kokocie wpatrywać się uporczywie w teleskop. Wszystko, co w nastrojach interlackiego sezonu niespodzianie obudziło się we mnie i zawładnęło wyobraźnią, to poszukiwanie wspomnień, ów żal tajony, że nie

miewam wspomnień innego rodzaju, jak pusty Aar, Harder, Schynige Platte lub Giessbach: wszystko to jest znamię mego fizycznego wieku, instynkt wskazuje mi porę zakładania własnego gniazda.

Ze świata nikt nie powinien schodzić bezpotomnie. „Il lauro non ad altro serve che ad attirare il mirto” — wołają wasi poeci. Oto źródło Hippokreny, z którego wypływa cała wasza poezja. Toczenie krwawych bojów w interesie instynktów, albo spijanie wszystkich piotunów w walce z instynktami gatunku. Dla kamiennej przedmiotowości Sfinksa wynikają stąd formuły cenne i doniosłe, tem ważniejsze, że identyczne z klótnią atomów w retorcie i z obrotami światów; skoro atoli czujemy, że sami jesteśmy ujęci w pierścień tych formuł, że żadnym rokoszem, ani żadną rozpaczą nie możemy się usamowolnić, chybabyśmy zniszczyli samych siebie, wtedy stan naszej duszy jest nie do zniesienia, i dla tych, którzyby szczęścia pragnęli — bez wyjścia. Bo wtedy krew woła we mnie o prawa swoje, wyobraźnia idzie w służbę tego wołania, pierś tęskni za drugą piersią, aby stworzyć gmach szczęścia różowy, a inna strona mej samowiedzy mówi mi równocześnie, że epitalamium miłości mojej równa mnie z robakiem i garścią błota, które ma również swe prawa spójności i ciężenia.

Ach, zdaje mi się, że i z aniołem nie zbudowałbym szczęścia na ziemi! I jego pokalałbym, dotknąwszy ustami jego czoła. A przytem, miewam serce dziwnie dotkliwe... i w chwilach swych bezprzykładnych smutków i uniesień załamywałbym nieraz dłonie w rozpacznej żądzy wyższego bytu i wyższej miłości ponad światem i ponad ludzkością. I chcę kochać inaczej, niż kochają się atomy, ludzie i planety. I zrywa się we mnie jakieś bezdenne płakanie, iż nie mogę, jak bóg indyjski, wyjąć dla siebie kochanki z płonącego stosu i ponieść ją w krainę własną, nie znającą ani czasów, ani wymiarów, aby przez życie i miłość swoją tworzyć nowe prawa, nowe myśli, nowe uczucia, nową przeszłość i przyszłość..

Wydawać się to może oznaką obłędu, a jest, przeciwnie, nadzwyczajną trzeźwością. Tak zachowuje się umysł ludzki na najwyższym szczeblu uświadomienia. Złym jest jedynie ów rozstrój nerwowy, który okazał się silniejszym od zdrowodajnych wpływów alpejskiego klimatu i resztę młodzieńczej żywotności stara się we mnie zgładzić. To też, mimo klimatu i rozrywek, wyglądam tak lichy, jak pesymistyczny poeta, i w miarę jak lato przemija, a sezon zbliża się do końca, czuję w sobie wzrastające znużenie. Nie opuszczę jeszcze Szwajcaryi, ale przeniosę się głębiej w góry, gdzie piękno przyrody

nie sprzedaje się hurtownie, jak gdyby na targu, i gdzie mógłbym sobie po długim czasie przypomnieć, jak właściwie wygląda las, skała i lodowiec. Może się tam nerwy moje uśmierzą. Nęci mnie Jungfrau, niebotyczna i biała. W dziewictwie swem wydaje się wieczną. Ale i ona przeminie...

Tymczasem życie rozściela przede mną swe aksamity. Wieczór dzisiejszy zapowiada się świetnie. Do okien moich wpadają już światła pierwszych lampionów. Niebawem zajaśnieje park cały tysiącem płomieni. Na wierzchołkach gór jawią się ognie czerwone i białe, podobne do gorejących kwiatów, Kanton obchodzi dziś iluminacją i nocnym festynem jakąś narodową rocznicę. I nasze towarzystwo uświetni tę uroczystość. Będą przytem ludzie pracować. Ojciec mój ugodzi się zapewne dzisiaj ostatecznie, co do programu swej zamierzonej dyplomatycznej akcji. A ja? Pod wpływem ogólnej wesołości, pod żarem namiętych spojrzeń, przy dotykaniu ramion, cofających się w ścisku w moją stronę, obudzi się może i we mnie zdrowy instynkt gatunku i weźmie górę nad chorą hypertrofią myśli.

Może owładnie mną żal nowego rodzaju, żal, iż nie umiem być ulicznym piechotnikiem, i zazdrość, że krótkiej błyskawicy mego istnienia nie potrafię wykorzystać tak, jak wyzyskuje ją gmin z pochodzenia albo z ducha, nie wylęgający w swym mózgu żadnych ambicyi ani pożądań, któreby wychodziły poza granice i cele najpierwotniejszych kodeksów natury. Czuję się zdolnym do podobnej zazdrości i dla tego na widok tych pstrych lampionów i w obliczu rojnego tłumu, wstyd pali mi czoło, że, gardząc niziną jego instynktów i rozrywek, nie mam prawa wyłączać się od współnictwa, gdyż sam lepszy nie jestem—ja, syn Arysteuszowy...

Zaiste, chociaż sto lamp stubarwnych oświeca mi drogę, a przy twarzy mej błyskają ogniste źrenice, widnokręgi moje nie są widne ani ciepłe. Ani widne, ani ciepłe!

Więc usuń z przed twarzy swej perkunową chmurę... Powróć z chórem widziadeł... z królewską swą baśnią...

. . . . .

Och, wiem, wiem, coby mnie jeszcze wesprzeć i ukoić mogło!

Nie śnieżne konwalie, nie korowody łabędzie, nie wiosny płomień błękitne! Pomódzby mi mogła potęga olbrzymiej miłości ja-

snej istoty, która całą sumę własnego szczęścia przeniosłaby na mnie i nie tylko pragnęła być kochanką moją, ale zarazem siostrą, piastunką, matką, opatrnością... zdrojem natchnienia, zdrojem głębo-  
kim... Nie promienistość dziecka, lecącego na blask i do słońca, ale łagodna, mleczna jasność miesięczna, rozpostarta nad głębiną wylanych i uspokojonych łez, a przytem wielkość ducha... Ale — to sen...

Byłoby to kochanie, od którego się robi cieplej i jaśniej na świecie. Poszedłbym bez lęku w tę srebrzystość czucia, pod strażę bezpieczne i słodkie, pod gwiazdy...

Ona, niosąc w piersiach bezmiar miłości i przebaczenia, chłodziłaby mi skroń miękką dłonią. Przed nią jedną otworzyłbym mroczne tajniki mej duszy. Dla ran moich onaby miała mądrość ofiarniczego serca i cichy balsam życiowego doświadczenia. W pioluny zwątpień, z analiz mych wyciągnięte, wlewałaby kropla po kropli miód przedziwnie słodkiego serca, boski nektar wzajemnej tkliwości... Z nią osiedliłbym się w krainie przestrzeni czystych i lśniących, jak koncha perłowa, jak ta gwiazda-perła, która uwięziła w sobie Danta i Beatrycę... Ale—to sen!

A w zamian za wszystkie jej bogactwa, cóżbym jej ofiarował? Chyba to, co z piękności zdobywanych światów zostało we mnie odbite, i resztę harfianej spuścizny po matce, dzwoniącą w głębiach mej duszy! Któż zresztą wiedzieć zdoła? Możebym tą resztą mógł jeszcze kochać ogromnie!

Utrzymują niektórzy, że dla kobiety,—kiedy kocha—szczęściem może być nawet cierpienie.

Czy to prawda?

Kiedy kocha!.. Nie kocha mię nikt... Nie troszczyłem się o świat, i do zbudowania szczęścia nie jestem nikomu na świecie potrzebny. Nikomu. Wieszczyki - gwiazdziarki gonią iskry tęczowe, grające w słonecznych falach i doglądają świętych zniczów w rodowej świątyni—i nikt nie obraca wzroku w stronę, gdzie ciemno i duszno—i zimno...

Nie prawdaż?

A gdyby nawet działały się na ziemi cuda, gdyby znalazła się ta jedyna, ta dobra, ta wielka, któraby zdolną była pokochać jałowe i znużone serce moje, czyżby mogła pokochać tak, iżby już tylko dla mnie żyła, jako Anioł miłości, otuchy, spokoju i ukojenia?

Czy znasz ty taką? Czy ją znasz? Czy znasz rozskrzydłonego cheruba wielkiej, czystej, głębokiej duszy kobiecej?

— Ja widzę go... Przechodzi nad mrowiem ludzkości, wysoko, samotnie, tam, gdzie najwyższe szczyty na obłokach się bielą, gwiazdy ma nad głową, — lazururowe skrzydła rozwiewa na niepokalane śniegi, a do stóp mu się garną — ot takie białe szaroty!..

Koniec tomu pierwszego.

# Wagner jako poeta i estetyk.

---

W r. 1861 przedstawiono z inicjatywy Napoleona III „Tannhäusera“ w Wielkiej Operze w Paryżu. Przyjęcie było niemiłosiernie okrutne: gwizdano i brutalnie hałasowano, chcąc w tej zaciekłości pogrzebać i dzieło, i twórcę. Od czasów głośnego a skandalicznego przedstawienia „Hernaniego“, Wiktora Hugo, w tym samym Paryżu w roku 1830, nie było podobnie burzliwego wieczoru teatralnego, a z wyjątkiem premiery Hauptmanna „Przed wschodem słońca“ w r. 1889 w Berlinie, nie widziano i nie słyszano równej zapalczywości w gmachu, który naiwni optymiści zwykli zwać „świątynią sztuki.“

A jednak, chociaż publiczność owego pamiętnego wieczoru szalała, wprawiona ręką kilku sprytnych agitatorów w stan świętego oburzenia, chociaż własni mistrza rodacy rej w tem wodzili, nie minęło kilka godzin, a już w stolicy świata sprawiedliwość nad zaciekłością wzięła górę, już w kakofonii gwizdawk i świstawek odezwały się czyste dźwięki uznania, nawet zapalu. Ten zaś drugi obóz przed krzykaczami wstydzic się nie potrzebował. Jeżeli za kulisami klikli działała ręka Meyerbeera, to w gronie wielbicieli znaleźli się również niepośledni ludzie. Byli tam poeci: August Vacquerie i Barbey d'Aurevilly, artyści: Bataille i Marin, politycy: Emil Olivier i Juliusz Ferry, dziennikarscy współpracownicy: Teofil Gautier i Catulle Mendès—a na czele głośny krytyk z „Journal des Débats“, Juliusz Janin, i znakomity poeta, Karol Baudelaire. Pierwszy w świetnych polemicznych artykułach ciskał gromy na chelpiących się z nieprzyzwoitego zachowania się członków „Jockey Klubu“, drugi w szeregu wytrawnie pisanych, a gorących rozpraw, wielbił geniusz Wagnera, jego „admirable beauté littéraire“, wykazywał pokrewieństwo jego dramatów z klasycznym starogreckim teatrem, zaznaczając równo-

częśnie, że Wagner nie goni, jak Gluck, za utopią niemożliwego renesansu zmarłej tragedii helleńskiej, lecz tworzy nową formę, nową przeszłość dramatu<sup>1)</sup>.

Przypominając ten zapal, nie mamy zamiaru kruszyć kopii za wielkość wagnerowskiej sztuki. Dzisiaj, w czterdzieści lat po burzliwych owych chwilach, znaczyłoby to, że użyjemy obcego przysłowia: „wywazać otwarte drzwi“. Kto geniuszu Wagnera nie uznaje, ten stoi tak daleko od wszelkich spraw artystycznych, że nie znamy ani nie szukamy drogi przekonania go. Lecz akcentując sądy niemuzyków, wielbiących w nim „une admirable beauté littéraire“, zamierzamy zwrócić uwagę na literacką piękność jego twórczości, mniej znaną i mniej uznaną od muzycznej. Powołać się więc trzeba u wstępu na te świadectwa, by dowieść, że nie tylko Wagner sam swe dzieła poezją mienił, nie tylko niemieccy uczeni już dawno ocenili go, jako poetę, nietylko wreszcie w ostatnich czasach pojawiło się żądanie wciągnięcia Wagnera do kanonu wielkiej poezji, o której się już w szkołach średnich wykłada<sup>2)</sup>, nietylko więc subiektywne lub narodowe pojęcie, ale i sąd obcych od dawna uprawnia nas do zajmowania się Wagnerem, jako poetą. Że o estetyku także mówić będziemy, rozumie się samo przez się, wobec tego, że Wagner był nowatorem i stanowisko swoje zaznaczył nie tylko w praktyce, ale i w teorii. Mówić zatem wypadnie i o estetyku, lecz tylko w tym zakresie, o ile to potrzebnem będzie do oświetlenia tamtej, w obecnej pracy ważniejszej, pozycji.

Zauim przejdziemy do jądra rzeczy, dwie jeszcze wstępne uwagi wydają się nam koniecznemi. A naprzód to, co, niestety, u nas bardziej niż na Zachodzie, w literackich rozprawach osobno musi być stwierdzonem, aby nie dopuścić uprzedzeń: oto zdala od bałwochwalczej czci dla genialnego mistrza i ślepej wiary w każdą literę jego ręką nakreśloną, zachowamy, zachować chcemy spokojny sąd. Powtórę zaś trzymać się będziemy chronologicznego porządku objawów twórczości Wagnera.

Pisano bowiem o nim i u nas dużo dotychczas, lecz zawsze prawie uwzględniano tylko ostateczną syntezę jego idei, mniej dbając o poprzednie etapy drogi. Wagner stał się może postacią z jednej sztuki metalu odlaną, bardziej niż jest nią w rzeczywistości, bo, nie

1) „Oeuvres complètes“, t. III.

2) Por. „Zeitschrift für den deutschen Unterricht“, 1902.

mówiąc już o pierwszej połowie jego działalności, są nawet w drugiej zazwyczaj szczególnie rozważanej, przejścia i zmiany <sup>1)</sup>).

---

Prawo organicznego rozwoju, urabiania się zdolności i pojęć artysty, stosuje się i do Wagnera. W pierwszych jego utworach zaledwie gdzieś głęboko na dnie spoczywają zarodki przyszłej jego sztuki. Oczywiście dziecięce jego próby poezyi i muzyki tem mniej jeszcze zapowiadają przyszłość. W autobiograficznym szkicu Wagner (ur. w r. 1813), opowiada o artystycznej atmosferze rodzinnego domu: ojczym, który dziecku półrocznemu dopiero zastąpić musiał rodzica, był aktorem i malarzem, a w wolnych chwilach pisał i komedye, czasem nawet z powodzeniem. Chłopiec wzrastał pod jego wpływem, patrzył z ciekawością na bogate, a rozumnie zapełnione szafy biblioteczne zmarłego ojca, nieraz rozmawiał z wujem, głośnym wtedy polihistorem, ale nad wszystkimi wpływami i wrażeniami górowała prawdziwa namiętność do teatru, podsycana częstymi odwiedzinami teatru w Dreźnie, gdzie ojczym był stale zajęty. Uwielbienie dla muzyki Mozarta i Beethowena i miłość poezyi, zwłaszcza dramatycznej, przez jakiś czas toczą spór o duszę chłopięcia, aby ją później w harmonii wspólnie osiąść. Poeta zaczyna od zwyczajnych prób, jakie prawie każdy ma w swoich dziecińczych wspomnieniach: a więc wymyka się z pod młodocianego pióra jakaś elegia na śmierć kolegi szkolnego, jakieś tłumaczenie „Odyssey“, snują się plany tragedyi na Szekspirze wzorowane, mający nawet wielkie przedsięwzięcie tragedyi, „złożonej z Hamleta i Leara“, zamiar nie przemijający, lecz długo w chłopcu żywy. Rodzice, jak zawsze niechętni dla pegaza, wolą już, by Ryszard poświęcił się muzyce. Chłopiec idzie za ich wskazówką i za wewnętrznym popędem, lecz dawnej pani się nie sprzeniewierza: szesnastoletniego młodzieńca pasterski dramat w słowie i w muzyce jest tego dowodem; a gdy w roku 1832 powstaje „Wesele“, to dość

---

<sup>1)</sup> Opieramy się w naszej pracy oczywiście przedewszystkiem na pismach samego Wagnera („Gesammelte Schriften u. Dichtungen,“ tomów 10 i dodatkowy), a liczby, podane przy cytatach bez bliższego określenia, do wydania tego się odnoszą. Korzystając ze zbiorów listów, cytujemy je w miarę potrzeby. Z monografii pomocną nam była przedewszystkiem dwutomowa biografia pióra Glasenappa „Das Leben Richard Wagners“, i pomnikowa rzecz Chamberlaina „Richard Wagner“.

(Przyp. aut.).



charakterystycznie „tekst operowy“ wyprzedza muzyczną kompozycję. Znamienne to, jako ślad wczesnego sojuszu poezji z muzyką, z pierwszeństwem poezji, lecz ta niewykończona opera bynajmniej nie przepowiada mistrza „dramatu muzycznego“. Już samo określenie słownej części utworu, jako „tekstu operowego“ sprzeciwia się późniejszym zasadom Wagnera, a fałszywie dramatyczna treść tekstu tem mniej zgadza się z charakterem „Parsifala“ (szczątki muzyki do „Wesela“ natomiast przypominają Chamberlainowi „Nibelungi“). Podobnie i dalsze dwa dzieła są raczej z przyszłością związane. W marzycielsko romantycznych „Czarodziejkach“ Wagner idzie za modnym i wtedy jeszcze Gozzim; w „Zakazie miłości“ powtarza z nieznacznymi zmianami treść szekspirowskiej komedyi „Miarka za miarkę“. Sprzeczność nastrojów obu niemal równoczesnych dzieł tłómaczą niemieccy uczeni, jako dowód wielkiej elastyczności geniuszu Wagnera; my zaś, nie przecząc elastyczności, widzimy w niej właśnie niedojrzałość geniuszu, który nie zbudził się jeszcze do wędrówki po jednej, zasadniczo wytkniętej, drodze. Jeszcze poeta nie doszedł do samowiedzy, jeszcze dba tylko o zajmujący temat, tworzy pod wpływem zewnętrznych bodźców nie z wewnętrznej konieczności.

Widnieje to i w zestawieniu najbliższej pary dzieł: „Rienziogo“ i „Okreću Widma“ Bulwera. „Rienzi, the last of the tribunes“, wydrukowany w 1835, osiągnął wnet dużą popularność; jeśli w dwa lata potem Wagner już powieść na operę przerabiać zaczyna, to, nie wpadając w przesadne uwielbienie geniusza, który i przy spokojnym sądzie geniuszem okazać się musi, należy w wyborze motywu widzieć więcej hołdowania popularności, niż samodzielnej myśli, więcej zależności od innych, niż żywiołowego wylewu własnej duchowej treści. Porównanie dramatu Wagnera z powieścią Bulwera dowodzi zresztą jedynie powszedniej zdolności dramatyzowania romansu; jedna tylko postać samego bohatera, ostatniego trybuna rzymskiego, odznacza się świetniejszą nad zwykle przeróbki plastyką i dramatyczną prostotą; zręczność w usuwaniu wszystkich zbytecznych szczegółów jest wprawdzie widoczną, ale ten przymiot mieści się w pojęciu zwykłej dobrej dramatycznej przeróbki powieści. Powołać się zresztą można na słowa samego poety. W autobiografii (I, 3), nazywa „Rienziogo“ „muzyczną sztuką teatralną“, a wyraźniej jeszcze w „Wiadomościach dla swoich przyjaciół“ (IV, 328), o „Okreću Widmie“, powiada, że jest to jego „pierwszy poemat ludowy“, którym rozpoczyna „zawód jako poeta, porzucając drogę wyrabiania tekstów operowych.“

Pośrednio jest w tym sądzie właściwe ocenianie poprzednich dramatów, i doprawdy nie wiemy, po co niektórzy fanatyczni wielbiciele poety gwałtem, wbrew niemu samemu, robią z „Rienziego“ arcydzieło poezyi, oraz graniczny słup rozwoju Wagnera, jako poety. Opierając się znowu na jego własnem orzeczeniu, widzimy dopiero w „Okręcie“ granice dwóch epok twórczości Wagnera. W cytowanej już rozprawie (IV, 386) mówi. „Odtąd byłem odnośnie do wszystkich moich dramatycznych prac przedewszystkiem poetą, a dopiero w zupełnem opracowaniu poematu stawałem się znowu muzykiem.“ Swoją drogą i tutaj jeszcze samodzielnej emanacji twórczego geniuszu uznać nie można. Wagner zależnym jest od Heinego, któremu, jak niegdyś Bulwerowi, zawdzięcza zewnętrzny bodziec. Lecz idąc w „Rienzim“ ściśle torem wyżłobionym poprzednio przez powieściopisarza, w „Okręcie Widmie“ podanie ludowe, przejęte za pośrednictwem Heinego, pogłębia i na swój sposób przerabia, a w obu tych procesach daje istotnie pierwsze dowody swej indywidualności. Wagnera wyłączną własnością jest figura Eryka, nietylko urozmaicająca akcję, lecz i pogłębiająca zasadniczy motyw. Mówiąc o latach blizkich powstania „Hollendra“, przyznaje się do szalonego mistycyzmu“ wzbudzonego czytaniem E. T. A. Hofmanna (I, 10); tutaj po raz pierwszy występuje u niego zagadnienie; tkwiące w tajnych głębinach ludzkiej duszy, uświadomione połowicznie w ludowych wierzeniach i opowieściach. To też, droga doprowadzająca twórcę do „Parsifala“ od „Okrętu Widma“, bierze początek, nie od „Rienziego“, choćby nawet muzykalnie ten ostatni nad tamtym górował.

Lecz pomiędzy temi dwiema operami znajduje się w chronologicznem wydaniu zebranych pism utwór niewątpliwie mniejszej artystycznej wartości i dla tego mało znany, jednak niezaprzeczalnie ciekawy i dla tego poznania godny. Biograf Wagnera nie pominie tych siedmiu nowel i rozprawek, związanych napisem „Niemiecki muzyk w Paryżu“, bo czytał te słowa poety (IV, 324): „Przedstawiłem tutaj w wymyślonych rysach i z niejakim humorem me własne losy, zwłaszcza w Paryżu, aż do śmierci głodowej, której, co prawda, szczęśliwie unikałem“. Przy rozpatrywaniu rozwoju poezyi i poetyki Wagnera nie godzi się lekceważyć tych szkiców nowelistycznych, pisanych ze zbolełym sercem i z uśmiechem, wśród łez przeświecającym. Wszak tu jest (I, 166) to dziwne credo umierającego muzyka: „Wierzę w Boga, Mozarta i Beethowena“, jak również w Ducha św. i w prawdziwość jednej, niepodzielnej sztuki...“ W zgodnym akordzie z „Okrętem Widmem“, to wyznanie wiary dźwięczy, jako pierwsze odgłosy nowej epoki.

\*

\*

\*

W Paryżu, na obczyźnie, poczęły się poematy o Tannhäuserze i Lohengrinie. Jak Mickiewicz w Paryżu piękność Litwy w całej ozdobie widział i opisywał, bo tęsknił po niej; tak w nadsekwańskiej stolicy dopiero uświadomił sobie Wagner, że jest Niemcem, tutaj po raz pierwszy także wniknął w ducha germańskich sag. I teraz dopiero począł się wielki artysta; bo wielką jest tylko sztuka narodo-  
wa. Odtąd już Wagner nie będzie się bawił parafrazą marzycielsko-romantycznych baśni Gozziego, ani nie będzie paradował pustemi „Haupt-und Staatsaktionen“, ani otulał się rozwianą mgłą obcych podań; — odtąd, dotknąwszy się raz rodzinnej gleby, jak Anteusz zaczerpnie z niej mocy. A poetycka twórczość Wagnera nabiera nowego znaczenia na tle ówczesnego niemieckiego piśmiennictwa. Echa narodowego romantyzmu już przebrzmiewały, a czwarty dziesiątek lat ubiegłego wieku widział niemiecką literaturę kroczącą pod znakiem prozy i pod hasłami międzynarodowemi. Powieść i dziennik wyrugowały poezję „Młodych Niemiec“, wśród których liryka Heinego, tak zresztą nienarodowa, była wyjątkiem; dramat w rodzaju „Uryela Akosty“, „Dziennikarzew“, oddał się w służbę międzynarodowego liberalizmu, a obcy germańskiemu światu etniczny i religijny element natrętnie swą barwę epoce narzucał. Wagner takiej literatury kochać nie mógł, przeciwnie, nienawidził jej i z oburzeniem albo ironią chłostał niemiłosiernie to „żydowskie piśmiennictwo“. Uciekł od niego naprzód w świat średniowiecznego rycerstwa, równie w śpiewie, jak i w walce biegłego, w świat legend i poezji, wnet zaś pchany wewnętrzną miłością szedł dalej w głąb tego wspaniałego lasu, aż do tajemniczych gęstw starogermańskiej mitologii.

Naprzód stworzył „Tannhäusera“. Pod względem formalnym cechuje go wybitnie dramatyczny charakter. Z szablonowem pojęciem opery twórca po raz pierwszy stanowczo zerwał, tak, że naprzykład w całym tekście oryginalnym niema ani jednego duetu. Jest to dramat, i dramat ludzkich, serdecznych namiętności. Ani w konfliktach, ani nawet w stylistycznej szacie nie ślizgamy się po wierzchu, nie pa-  
trzymy na banalność sytuacji, ani wyrażań, lecz jasny płomień lub

krwawa luna oświeca głębie, a język, czerstwy i plastyczny, tym wyobrażeniom fałszu nie zadaje.

Z podaniem poeta swobodnie się obchodzi. Mniejsza o to, że zmienia je w końcowej sytuacji milcząc interwencją zwłok Elżbiety, chociaż objawia się tu jedna z zasadniczych myśli Wagnera, o kobiecie i miłości zbawiającej męża. Lecz ważniejszym jest połączenie podania o Tannhäuserze z opowieścią o walce na Wartburgu, związek ich, o którym najbieglejsi germaniści nic nie wiedzą<sup>1)</sup>. Jest to typowy objaw wyjaśniający stosunek Wagnera do średniowiecznych podań: poeta zmienia je lub uzupełnia, ale czyni to w tak genialny i oryginalny sposób, że, gdyby te podania w jego jedynie redakcyi były znane, nikt nie podejrzewałby go o dowolność: nie są autentyczne, lecz nieledwie prawdziwsze od autentycznych. Nie można się zaś rozstać z „Tannhäuserem“, nie podniósłszy majestatycznej piękności tytułowego bohatera. Od pierwszej sceny z Venerą, gdy opanowany przez nią do szpiku kości, wiecznie zdaje się wielbić ją będzie, a jednak opuszcza czarodziejkę, by wolności osobistej nie zaprzepaścić, od tej chwili, aż do końca dramatu jest to postać i legendowo możliwa, i psychologicznie zajmująca. Średniowieczny koloryt, i w samej figurze, i w całym przebiegu utworu, znakomicie jest zachowany, a tęskny, pokutny pochód pielgrzymów, do Rzymu dążących, i czarowna namiętność bogini, uplastyczniają dwa najwালniejsze znamiona średniowiecza.

Postawiony obok płomiennego „Tannhäusera“ cichszy „Lohengrin“ wydaje się zupełnie słabszym. Spróbujmy go czytać bez korzystnego czy nieprzychylnego uprzedzenia, jakie wynieśliśmy z operowej produkcyi, czytamy go jako dramat, a pierwszy sąd brzmieć będzie spokojnie, bez żadnej nuty zachwytu. Może nawet nazwiemy go udramatyzowaną anegdotą średniowieczną, a w labędzie, w końcowem przemienieniu się jego w Gottfrieda, dostrzeżemy zwykle teatralne akcesorya. Błuznierstwem będzie to w oczach bezwzględnych wagneryanów, a jednak bezstronny sąd krytyka nie może temu popularnemu wrażeniu odmówić choćby w części uzasadnienia. Że „Lohengrin“, jako pomysł, jako wybór tematu, jako zasadniczy styl znaczy wraz z „Tannhäuserem“ dużo w rozwoju twórcy, że jest dalszym krokiem naprzód, o tem była już powyżej mowa. Natomiast jako utwór poetycki wielkim nie jest. Co fanatyczni wielbiciele mistrza, jako niesłychaną piękność utworu podają, mianowicie, plastykę i wyrazistość sytuacji, tak wielką, że ich treść zrozumiałą byłaby

1) W. Golther „Bayreuth Blätter“, 1889.

nawet dla głuchego obserwatora, to jest w rzeczywistości raczej ujemnem spostrzeżeniem. Sytuacje same są tak wyraziste, że... że aż żywymi obrazami wydać się mogą; są tak zrozumiałe, że słowa poety niemal nic nam nie mówią, czegoby wzrok poprzednio nie był już spostrzegł, patrząc na samo ugrupowanie osób. Są szczegóły akcji niewątpliwie doskonale ilustrujące zwyczaje średniowiecznego życia, ale wskutek ciągłego powtarzania się u niezliczonych pisarzy spowszedniałe i tak wytarte, jak krążąca w obiegu moneta zdawkowa; mogły one i tu się znaleźć, ale trzeba było je ożywić, zindywidualizować.

A tak się nie stało naprzykład z pojedyńkiem Lohengrina z Telramdem. Jest on „operowym“ w tem znaczeniu, którego się używa, mówiąc o banalnych sytuacjach dramatycznych. Jeśli zaś kto krytykowi zaprzecza prawa robienia zarzutów „operowości“, wobec utworu, który przecież operą jest; to odpowiadamy przypomnieniem, że Wagner sam w „Lohengrinie“ chciał właśnie dramat nie operę widzieć. Podobnie i tajemniczy symbol rycerza z łabędziem nie został wyzyskany, a w całym dramacie nie odczuwa się wogóle tego żywiołowego podkładu głębi ludzkiego serca, tych niedomówionych, a przecież wszechobecnych tajemnic ducha i serca, które istnieją w „Tanhäuserze“, nawet tam, gdzie ponad spokojną pozornie głębią wyrasta cichy i skromny kwiat. Tu wszystko jasne, wszystko wypowiedziane i dla tego, ani myśl w nieskończoność nie biegnie, ani serce nie drży, wiecznymi symbolami przerażone. Cudowna piękność miłosego dialogu Lohengrina i Elsy, śpiewność samego słowa, nawet bez muzyki, to piękności cenne i ważne, ale niezdolne tamtych braków dopełnić.

Te dwa lata, 1848 i 1849, ostatnie miesiące przed przymusową ucieczką z Niemiec, są okresem ostatecznego urabiania się podstawowych przekonań artystycznych Wagnera. Po nich będzie już szedł prostą drogą w górę, coraz wyżej, nie skręcając na boczne ścieżki, nie zatrzymując się trwożliwie po drodze. Że to zupełne osiągnięcie samowiedzy nie odbyło się bez trudu myślowego, świadczy zasłane drobniejszymi fragmentami pole tych lat. Między temi niewykonanymi pracami jedne niczem się od bezpośrednio je poprzedzających utworów nie różnią, inne dowodzą sumiennego badania obszaru sztuki przed rozstrzygającym krokiem. „Śmierć Siegfrieda“ i „Kowal Wieland“ odzywają się dawną miłością starogermańskiego świata podań i wierzeń; „Fryderyk Rudobrody“, „Jezus z Nazaretu“ i plan „Achillesa“ do drugiej grupy należą. Na pierwszy rzut oka różnorodność tematów tych trzech ostatnich przedsięwzięć zdaje się mówić

o bezbarwnym eklektyzmie z zapomnianych już dui „Czarodziejek“ i „Zakazu miłości“. Wejrząwszy w istotę rzeczy, dochodzimy do odmiennych wniosków. „Fryderyk Barbarossa“, z którego dzisiaj nic więcej nie pozostało prócz historycznych szkiców przedwstępnych, jest nie jako ostatnim negatywnym argumentem wobec samego poety, że drogą szablonowego dramatu historycznego nie dojdzie się do tej wielkiej sztuki, której obraz w duszy Wagnera coraz jaśniejsze przybierał zarysy; nie pomysł ma znaczenie dla rozwoju mistrza, lecz porzucenie tego pomysłu; ono dowodzi ciągłego postępu uświadamiania się. Drugi z kolei fragment, w „Pośmiertnych pismach“ przedstawiony, niezwykle pracowicie, bo aż do skrupulatnego spisywania biblijnych cytat przeprowadzony, wynika z rozszerzania się ogólnego widnokręgu Wagnera. Program nowej sztuki, z którym poeta niebawem publicznie wystąpi, nie mógł być dziełem zasklepionego w estetycznych zagadnieniach monomana.

Dążąc do wielkiej, narodowej sztuki, któraby poniekąd na innych podwalinach oparła kulturalne życie narodu, program ten mógł wyjść z ręki męża, żyjącego pełnią życia, nie drobną jego częścią. I tak jest. W przeddzień wydania epokowego hasła widzimy Wagnera, który dotąd mało czasu rzeczom nieartystycznym poświęcał, uwikłanego w sprawy politycznych, a równocześnie umysł jego wlatuje ponad ziemię w sfery wiecznego bytu. „Jezus z Nazaretu“ jest owocem tego przejęcia się religijnymi problematami. A przejmuje się poeta nie tylko teorią. Wagner sztuki bez religii nie rozumiał i sztukę jego zrozumie dusza, tylko do religijnych uczuć zdolna. We wspomnianym planie dramatu jest to stanowisko silnie zaznaczone i z katolickiej duchownej strony słusznie to uznano<sup>1)</sup>.

Przelotnie powzięty zamiar napisania „Achilleśa“, bez przymusu da się wciągnąć w obręb naszych rozumowań. Jeszcze raz podkreślamy charakter tej historycznej chwili, jako przerwy w twórczości przed wygłoszeniem walnego programu. Otóż myśl poety, zajęta ideałem dramatu muzycznego, nie widziała, przebiegając dzieje sztuki, ziszczenia tych marzeń, aż gdzieś w zamierzonych starogreckich czasach. Świat starożytny zbliżył się więc do poety i stąd plon „Achilleśa“. Że zaś plan klasycznego dramatu nie został wykonany, to dowód, że poeta zrozumiał swe zadanie, poznał, że ani historyczna tragedia, ani wskrzeszenie zmarłych kształtów nie jest jego posłannic-

1) Hebert „Le sentiment religieux dans l'oeuvre de R. Wagner“.

twem. I rozejrzawszy się po bocznych drogach, poszedł własną, prostą.

Zanim mu na niej towarzyszyć będziemy, rzućmy okiem na jeden jeszcze szczegół, który za sobą zostawimy. Projekt, jaki Wagner w roku 1848, jako kapelmistrz opery drezdeńskiej, złożył w sprawie organizacji teatru narodowego, jest dokumentem, i mało zajmującym, i mało w dziejach jego sztuki znaczącym. Wynika to z samego urzędowego i praktycznego charakteru tego pisma, że nie odzwierciedla ono istotnych przekonań artysty w owej chwili. Więc mostu widocznego pomiędzy bliższymi programowemi rozprawami, a tą porządną i rozumną pracą biurową, dopatrzeć się nie można. Tu i owdzie jedynie, czytając między wierszami, znajdzie się przesłanki myśli, brzmiących donośniej później, w Bayreuth. Gdy naprzykład Wagner domaga się zamykania teatru w pewne dni tygodnia, aby wypełniając z musu repertuar nie obniżać artystycznego poziomu i nie pospolitować sztuki, to jest w tem roztropnem zdaniu zarodek zbawiennej myśli o sztuce, jako uroczystem święcie.

Natomiast sprzeczną z późniejszym zapatrywaniem jest idea założenia „narodowego teatru“ pod patronatem. W dojrzałym wieku Wagner wprost wrogo mówi o takiej akcji państwa i gwałtownie protestował przeciw nazywaniu „Festspielhausu“ w Bayreuth „Teatrem narodowym“: od zdegenerowanego, według jego zdania, państwa zwrócił się do prywatnej inicjatywy zwolenników.

\*

\*

\*

„Na drodze zastanawiania się nad możliwością gruntownej zmiany naszych stosunków teatralnych doszedłem sam przez się do pełnego poczucia niegodności politycznych i społecznych stosunków, które z siebie nie mogły wydać żadnych innych publicznych stosunków sztuki, jak te właśnie, którem dopiero co zaczęli. To przekonanie zadecydowało o całym moim dalszym rozwoju życiowym“. Nie może być naszym zadaniem szczegółowe badanie politycznych przekonań Wagnera, które nas obchodzą tylko o tyle, o ile są w związku z jego działalnością, jako poety i estetyka. Zresztą polityczne przekonania Wagnera są często bardzo... niepolityczne, noszą na sobie piętno artysty, a nie statysty, polityka, socjologa. W mowie, jaką w gorących

dniach roku 1848 miał w pewnym stowarzyszeniu<sup>1)</sup>, marzy o przywróceniu minionego starogermańskiego patryarchalnego stosunku pomiędzy władzą a poddanymi, jest bezwarunkowym zwolennikiem królewskości, zapalczywym wrogiem konstytucjonalizmu, a mimo to — rewolucjonistą. Nie zyskawszy poklasku w kołach przewrotowców naraził się rządowi i musiał ojczyznę opuścić, in contumaciam na śmierć skazany.

Przymusowa ucieczka, pobyt w Zurychu dokonały ostatecznego skryształowania się pojęć Wagnera. A równocześnie z tem wewnętrznym uświadomieniem objawia się w nim popęd wytlómaczenia swych zasad na zewnątrz, propagowania ich. Nic bardziej nie dowodzi skonsolidowania się ducha Wagnera w tej chwili, jak znaczna ilość estetycznych rozpraw wobec równoczesnego ustąpienia poetyckiej i muzycznej twórczości na drugi plan. Wagner mówi o sobie, że „we wszystkim, co robi i myśli, jest artystą, li tylko artystą“<sup>2)</sup>; na innym miejscu odpowiada przyjaciółom: „quand on agit, on ne s'explique pas“, a jednak lata 1849—1852 roją się od rozpraw. Czemu? Znowu poszukajmy odpowiedzi u samego autora: „Tylko w najcięższym przymusie pisałem moje literackie prace.“. Ten przymus był dwojakiej natury.

Wagner widział wrzenie w politycznym świecie i być może, że je przeceniał, że oczekiwał po ukończeniu zamieszek jakiegoś nowego świata, ze zmienionymi podstawami politycznego, społecznego i kulturalnego bytu. W takie przeobrażenie świata wierząc, chciał skorzystać z okoliczności, wystąpił szybko ze swoim hasłem odrodzenia sztuki; a gdy jedną rozprawę napisał, wywołał tyle protestów, tyle gwałtownych lub drwiących napaści, że bronić się musiał przeciw przeciwnikom, odczuwając zarazem potrzebę wzmocnienia na duchu nielicznych zwolenników. Ale równolegle z tym zewnętrznym przymusem szła i konieczność wewnętrzna, do samego autora się odnosząca. Literackie natury wiedzą, że wiele rozpraw pisze się dla czytelników, lecz nie dla nich tylko; pisze się dla siebie samego, zwłaszcza w przełomowych chwilach naszego duchowego jestestwa, aby utrwalić, uporządkować, do gruntu zbadać własne przekonania. I ten wewnętrzny przymus u Wagnera istniał.

Pierwsza z tych rozpraw jasno się na podstawie powyższych uwag tłómaczy. „Sztuka i rewolucya“, wypływa z pragnienia ogłoszenia swoich pretensyi do rzekomo przeobrażającego się świata.

<sup>1)</sup> Wydrukowanej w całości u Glasenappa, II, I, 458—483).

<sup>2)</sup> „Listy Wagnera i Liszta“, I, 41.



Z dalszą walną programową pracą o „Dziele sztuki przyszłości“ łączy się w dobraną parę: naprzód retrospektywny przegląd dziejów i bezpośrednie z niego wnioski, potem hasło przyszłości. Powstały te prace pod wpływem Feuerbacha. Trzymając się ściśle tematu, nie możemy obszerniej wyłuszczać stanowiska Wagnera, jako filozofa; zadowolnić się trzeba wykazaniem, co Wagner, jako poeta i estetyk, wzięt ze współczesnej filozofii. Charakterystycznym jest, że w czasie pisania rozpraw poeta z dzieł Feuerbacha znalazł jedynie trzeci tom z „Myślami o śmierci i nieśmiertelności“, a jednak artykuły jego przenikał duch głośnego „antyfilozofa“. Sprzeczności w tem niema; łatwo bowiem pomyśleć sobie, że i w naszych czasach ktoś nie czytał ani jednej kartki Nietzschego naprzykład, a mimo to jest pod wpływem jego filozofii, znanej mu tylko z artykułów dziennikarskich, rozmów itd.

A takim popularnym filozofem był w połowie XIX wieku Feuerbach i z niego wzięt Wagner oparcie sztuki na zmysłowym świecie. Pali się w nim sztuka jako uduchowanie bujnej, pełnej życia zmysłowości, której staropogańskie ideały z naiwnym optymizmem chce wskrzesić. „Sztuka jest najwyższą czynnością człowieka, w harmonii z sobą i z naturą zmysłowo pięknie rozwiniętego; człowiek musi ze zmysłowego świata mieć najwyższą radość, jeżeli z niego chce stworzyć artystyczne narzędzie“ (III, 20). Chrześcijaństwo zgubiło pogańskie pojęcie świata, pogańską sztukę Sofoklesa, chrześcijaństwo ze swojemi cichemi, ascetycznemi ideałami, jest zaprzeczeniem sztuki. Antychrześcijański charakter tych zdań nie powinien jednak wprowadzać czytelnika w błąd. Wszak równocześnie, jak wspomnieliśmy, pracuje Wagner nad wzniosłym „Jezusem z Nazaretu,“ a gdy wnet pozna Schopenhauera, pocznie te pisma z feuerbachowskiej epoki odmiennie tłómaczyć. Jest to ślad wahań i niejasności, od których geniusz nie jest wolnym. Bądź jak bądź, Wagner w duchu przyszedłego apostoła pogańskiego indywidualizmu tylko w bezwzględnej afirmacji życia widzi źródło życia. Tylko silni ludzie znają miłość, tylko miłość pojmuje piękność, tylko piękność tworzy sztukę. Koroną sztuki, jej skończonym, pięknym, jednolitym wyrazem jest tragedia, jaką była u Greków. Odrodzoną być nie może, musi być na nowo zrodzoną, a zrodzić ją ma rewolucya. W okresie rozkwitu sztuka u Greków była konserwatywna, bo była wyrazem ogólnej świadomości; u nas prawdziwa sztuka musi być rewolucyjną, bo istnieje tylko jako przeciwieństwo ogólnej świadomości. Podając parę szczegółowych postulatów (naprzykład bezpłatny wstęp do teatru), kończy autor dość pośpiesznie i bardzo niespodziewanie, wypowiadając podwójne hasło: Jezus i Apollo: „Jezus, który za ludz-

kość cierpiał, i Apollo, który ją podniósł do radosnej godności.“ Zestawienie dziwne, w swej treści sympatyczne dla tej burzliwej, pełnej zewnętrznych i wewnętrznych walk epoki w rozwoju Wagnera. Jak tylu fantastów przed i po nim, Wagner korzy się przed Chrystusem, odrzucając równocześnie chrześcijaństwo.

Powyzsza rozprawa napisana została niewątpliwie za pośpiesznie, jak wszystkie okolicznościowe prace, wyzyskujące przelotną chwilę, rzekomo najwłaściwszą. Jest ona nie tyle tworem premedytacyi, rozumowego rozwoju pojęć, ile wylewem uczucia, przepelniającego serce; nie tyle teoretyczną rozprawą estetyczną, ile raczej bojową pobudką, agitacyjną broszurą. Świeżość i serdeczność, ton gorący obok logicznych przeskoków sprzeczności i niejasności, oto jej znamienne właściwości. Odmienny charakter ma wielka praca o „Dziele sztuki przyszłości“, w roku 1850 ogłoszona. Wagner mówi tu spokojniej i wytrawniej, chce nie tylko porwać, lecz przekonać, rozważnie idzie krok za krokiem, sam przedewszystkiem już silnie stoi na gruncie, na który innych pragnie wprowadzić <sup>1)</sup>. Wagner uważa sztukę za objaw samowiedzy, przez wiedzę zdobytej, za przedstawienie życia, wiedzą poznanego, odbicie jego konieczności i prawdy. Sztuka odtwarza tylko rzeczywistego, nie przypadkowego człowieka, istnieć więc może wtedy tylko, gdy istnieje ów rzeczywisty, naturalny człowiek, świadomy swego związku z przyrodą, wolny od przypadkowej samowoli, lub despotycznych humorów mody. Takim jest tylko lud, naród cały w pełnej życiowej wspólności, i on dla tego jest pierwszym warunkiem dzieła sztuki. Taką była sztuka helleńska. Tę helleńską sztukę trzeba „urobić na ludzką w ogólności, uwolnić ją od warunków, z powodu których była tylko helleńską, a nie wszechludzką; szatę religii, w której była jedynie helleńską sztuką, rozszerzyć tak, aby się stała religią przyszłości, religią wszechpowszechności (Allgemeinsamkeit)“. Tej religii przyszłości my nie stworzymy, bo jesteśmy wciąż jeszcze tylko jednostkami; a religię wydaje z siebie naród. I dla tego prawdziwa sztuka jest sztuką w przyszłości tylko możliwą. Jaką ma być ta sztuka? Będzie dramatem. Tu jest zasadniczy punkt wielkiego programu Wagnera, i dla tego trzeba dokładnie

---

<sup>1)</sup> Korzystamy ze sposobności i przypominamy czytelnikom zajmującą rozprawę p. W. Gostomskiego o „Dramacie wagnerowskim“, drukowaną w „Bibliotece Warszawskiej“ w roku 1899 (tom ogólnego zbioru 236, strona 472 i następne). Różna od naszej zakresem treści i metodą opracowania, nie koliduje z nią, lecz jest jej — w tem zwłaszcza miejscu — pożądanem uzupełnieniem.  
(Przyp. autora).

określić, co Wagner pod pojęciem dramatu rozumiał. Wykazawszy po kolei niedostateczność trzech „czysto ludzkich rodzajów sztuki”: tańca, muzyki i poezji z osobna, z chwilą, gdy się rozłączyły, potępiwszy dotychczasowe próby ponownego połączenia tych trzech „czysto ludzkich” rodzajów sztuki, przechodzi estetyk do sztuk, w których tworzący człowiek nie z siebie tworzy, lecz z naturalnego materiału: do budownictwa, rzeźby i malarstwa, i tu udowadnia niedostateczność, skrzępowanie, nie-wolność każdej z nich z osobna. Popęd do sztuki, śpiący w człowieku, nie może więc znaleźć ujścia w żadnym z rodzajów sztuki z osobna, sztuka ma być rozwinięciem nie tej, lub owej zdolności, lecz zaspokojeniem ogólnego popędu. W dramacie, jak go Wagner pojmuje, jest nie nagromadzenie wszystkich rodzajów sztuki, ale wcielenie, zrealizowanie sztuki, κατ'ἔξοχην, w któremby każdy z rodzajów znalazł się w najwyższym swym rozkwicie. Dramat jest dziełem najwyższego stopnia artysty, „wieszcz” (der Seher) i ma być przedstawieniem wszystkiego, co wieszcz widział, jak w pierwotnej poezji, z tą tylko różnicą, że dzisiaj przybyło mnóstwo nieznanych przedtem środków ekspresji; z ich pomocą, z pomocą słowa, tonu, mimiki i t. d., powstaje arcydzieło przyszłości, które jest powrotem do natury przez sztukę. Dramat wagnerowski bowiem ma być „czysto ludzkim”, a czysto ludzkim jest to, co „tworzy istotę rodzaju ludzkiego, jako takiego”, to, co „wolnem jest od wszelkiej konwencji, od wszelkich historyczno-formalnych” pierwiastków, od wszelkiej przypadkowości. Po pytaniu: jaką jest ta sztuka, najważniejszym jest dalsze: kto jej twórcą będzie? Wagner odpowiada na to krótko: bezwątpienia poeta, przyczem nazwa ta ogarnia tak zwanych „Tondichter” i „Sprechdichter”. Kto zaś to dzieło na zewnątrz przedstawi? Teoretycznie wyrozumowane wspólne dążenie wszystkich rodzajów sztuki da się praktycznie przeprowadzić tylko przez związek wszystkich artystów, w jednym szczegółowym zamiarze poczęty, a tym celem jest: dramat.

Streszczone tutaj główne zarysy programu Wagnera nie mogą być przedmiotem drobiazgowej krytyki. Co innego drobne projekty szczególnych reform tych lub owych praktycznych objawów, co innego wielka idea, obejmująca całokształt, który chce z gruntu przeobrazić. O tamtych wolno dysputować, częściowo przyjmować, częściowo odrzucać, lub prostować, tę albo en bloc się uznaje, albo en bloc potępia. Mię z naszego stanowiska mamy tylko jedno do wypowiedzenia: Idea Wagnera jest zupełnie nową, bo, odnosząc się do rozkwitu dramatu starogreckiego, czyni to więcej formalnie, by nie pozbawiać się historycznych antecedencji, niż w uznaniu istotnego pokre wieństwa. Jeśli się tu i owdzie przytacza Glucka dedykację

opery „Alceste“ w. księciu Toskany, to jest to błąd, wynikający z bardzo powierzchownego poznania Glucka i Wagnera. Gluck przecież walczył tylko z praktykowanym za jego czasów oburzającym gwałceniem poezji przez śpiewaków, a żądając „dramatu muzycznego“, i wypowiadając zdanie, że „muzyka jest przeznaczoną do wspierania poezji“, wpadał w drugą ostateczność i chciał muzykę słowu podporządkować. Tymczasem w dramacie Wagnera niema mowy o służeniu jakiegokolwiek rodzaju sztuki innemu, jest tylko idealne współdziałanie wszystkich ku wytworzeniu jednolitej sztuki. Prędzej możnaby już mówić o związku zasad Wagnera z Beethovenem, którego Wagner uważa za urodzonego poetę dramatycznego, i powiada, że w dramacie przyszłości „postacie Szekspira i melodye Beethovena wchłaniać się wzajemnie będą w jedno“.

Już tutaj przekroczyło się niejednokrotnie chronologiczną granicę, sięgając do późniejszych wyrzeczeń Wagnera. Jest to dozwolone, bo odtąd, z wyjątkiem filozofii, w której Wagner od Fuerbacha przechodzi do Schopenhauera, narażając się na gwałtowny gniew Nietzschego, odtąd w zasadniczych pojęciach niema u niego zmian. W późniejszych rozprawach, o ile nie zajmują się one wyłącznie muzyką, Wagner rozwija tylko obszerniej rzucone tu podstawowe myśli. Raz wraca do swego pojęcia dzisiejszego świata, jako zepsutego, i wskazuje drogę regeneracyi (zwłaszcza: „Religia i sztuka“, „Bohaterstwo i chrześcijaństwo“, „Żydowstwo w muzyce“), uważając, jak już wiadomo, odrodzenie za konieczny warunek powstania nowej sztuki; to znowu trzyma się ściśle sprawy tej sztuki, określa ją jaśniej, wyluszcza jej stosunek do poszczególnych rodzajów sztuki (przedewszystkiem rozprawy: „Sztuka i klimat“, „Opera i dramat“, „O nazwie: dramat muzyczny“). Najważniejszym rezultatem tych pism było ostatecznie uświadomienie się samego twórcy. W roku 1852 Wagner pisze do przyjaciela Uhliga: „Tylko o tyle z pewnem zadowoleniem mogę spoglądać na odgrywaną przez siebie w ostatnich latach rolę literata, o ile czuję, że przytem sam sobie stałem się jasnym“.

Lecz z tem większą radością przerzucił się na drogę twórczą i wszedł na nią w szlachetnie dumnym przekonaniu: „Jako artysta i człowiek idę ku nowemu światu“.

\*

\*

\*

W roku 1795 pisał Herder o starogermańskich sagach: „Kiedy i jak z tych rozmaitych podań i baśni awanturnicznych tak różnych ludów w rozmaitych okolicach i okolicznościach powstanie jakaś Iliada i Odyssea“. Kusiło się o to wielu; wielu tworzyło epicke, lub dramatyczne poematy, snując je na kanwie bądź znanej epepei ludowej, „Pieśni Nibelungów“, jak wiadomo, z XIII wieku pochodzącej, bądź też północnego mytu, powstałego z tłumaczenia obu Edd, i islandzkich i norweskich sag bohaterских. Wielu było powołanych, mało wybranych. Przed Wagnerem nikt, po nim w słabszym stopniu chyba Hebbel w wielkiej trylogii i Jordan w eposie. Że podanie o Nibelungach prosi się wprost o muzykę, przeczuł znakomity estetyk. F. F. Vischer. Życząc muzyce germańskiej, by znalazła swego Schillera i Szekspira, zwraca uwagę na sagę o Nibelungach: „Jeszcześmy tej muzyki nie mieli, której taki temat się domaga, i jeszcześmy takiego tematu w naszej muzyce nie mieli tak, jak w naszej poezji jeszcześmy nie mieli Szekspira“. Vischer zabrał się w końcu sam do udramatyzowania tematu i dał libretto pięcioaktowej olbrzymiej „opery bohaterkiej“, w której nie mniej, jak siedemnastu męskich solistów występuje. Zestawiona z wagnerowskim „Pierścieniem Nibelunga“, ta monstrualna opera wydaje się jakby umyślnem jego przekruceniem. Według Vischera nie wolno użyć motywu przekleństwa, ciężącego na skarbie, nie wolno w Brunhildzie dać walkiryi, nie wolno skorzystać z motywu, że Siegfried jest tylko na plecach na rany wystawiony i t. d. Słowem Vischer patrzy na temat ze stanowiska szablonowej opery, goni jedynie za malowniczymi scenami kostiumowymi.

O ileż większym jest Wagner! Przedewszystkiem genialnym instynktem wybrał właściwy temat i określił go. Mógł się oprzeć albo na mycie, albo na eposie, a zrozumiałwszy, że „Pieśń Nibelungów“ posiada czysto epicki charakter, wcielił w dramat myt. Ten wielki dramat mityczny pragniemy obecnie przedstawić polskim czytelnikom. Wiemy, że nam trudniej odczuć całą jego wielkość, bo trudniej wżyć się w jego treść, tak obcy jest nam germański mit. Obcym nietylko w tem znaczeniu, że mało z nas zna go dokładniej, a prawie nikt całkowicie, lecz obcym naszemu narodowemu usposobieniu, charaktero-

wi. Dzisiaj próba zbliżenia Polaków do germańskiego mitu pozornie jest najfatalniej dobraną. Ale, podejmując się jej, czynimy to w tem przekonaniu, że, chociaż dziś na całym świecie zaostrzyły się, jak rzadko kiedy, szczepowe przeciwieństwa, to z drugiej strony nigdy uniwersalność ducha ludzkiego w kulturalnej sferze tak nie jaśniała, jak za obecnej doby. A zresztą, w „Pierścieniu Nibelunga“ jest nie tylko germański mit, jest i wszechludzka treść, wszechludzka tragedia. Tę tragiczną treść na jaw wydobyć jest naszym bezpośrednim zadaniem.

Dajmy naprzód w najogólniejszych zarysach streszczenie całego dramatu; będzie to zarazem odpowiedzią na często napotykanę w słowie i piśmie zarzutę, jakoby treść wielkiego poematu była zamiatwaną i trudną do zrozumienia.

Alberich, z rodu mieszkańców mglistych krain, Nibelungów, rabuje „córkom Renu“ skarb złota. Pierścień, z tego złota zrobiony, da moc panowania nad całym światem, lecz ten tylko z czerwonego metalu zdoła obrączkę ukuć, kto „potęgi miłości się wyrzeknie, kto miłości roskosz wypędzi“. Alberich pozbywa się błęgiego uczucia i kuje pierścień, lecz Wotan, z pomocą chytrego Loge, wydziera mu skarb; przez zemstę Alberich straszliwie przeklika pierścień i każdego, kto go posiadać będzie: „Nikt w weselu się nim cieszyć nie będzie, nikomu szczęśliwemu nie będzie jaśnieć jego blask; kto go posiadzie, niech go rani troska, a kto go nie ma, niech go gryzie zazdrość; niech każdy pożąda go, a nikt z niego nie korzysta“. Posiadanie tego pierścienia stanowi zasadniczą treść dramatu we wszystkich jego trzech częściach. W pierwszej zbrodniczą miłość łączy Siegmunda z Sieglindą; zbrodniczą w podwójnej mierze, bo Sieglinda porzuca męża, Hundinga, a w małżeńskim pożyciu z własnym bratem poczyna dziecko. Gniewny Wotan, ulegając żonie Fricce, daje Hundingowi w pojedynku z Siegmundem zwycięstwo, mężowi Sieglindy śmierć, Brunhildę zaś, ukochaną lecz nie posłuszną, bo wbrew jego zakazowi broniącą Siegmunda, walkirę, karze surowo, choć nie hańbiąc: usypia ją, otacza sztraszliwym ogniem, by tylko śmiały mąż bez trwogi i drżenia mógł dziewicę zbudzić i posiadać. W drugiej części, Siegfried, wzrósłszy na młodzieńca, zabija smoka, staje się panem pierścienia, i idąc szlakiem cudownego ptaka, bez trwogi i drżenia, budzi Brunhildę i w serdecznej roskoszy święci z nią połączenie. W ostatniej części wreszcie przybywa Siegfried na dwór Gibihungen, gdzie Hagen postanawia zdobyć pierścień. Daje Siegfriedowi pić napój zapomnienia, i bohater, przybrany w hełm, czyniący go niewidzialnym, zdobywa dla Guntera Brunhildę, aby samemu osiągnąć Gudrunę. Brunhilda, oburzona na niewiarę i gniewna za

zwycięstwo nad sobą, łaknie zemsty. Dokonywa jej Hagen, zabija znienacka z tyłu Siegfrieda. Ale Brunhilda, przejrząwszy, wchodzi z ulubionym koniem na stos, a pierścień, oczyszczony w ogniu, rzuca napowrót „córkom Renu“.

Potęgę dramatu stanowi silna, żywiołowa poezya. Sięgnąwszy do mytu, Wagner pojął go, jako symboliczne przedstawienie tragicznego związku człowieka z naturą, i z tej wszechludzkiej, nad różnicę wieków, narodowości i religii wyższej idei wykrzesał płomień. Walka o potęgę, o panowanie nad światem, uplastycznioną jest w pożądlivych zabiegach wszystkich, aby tylko posiadać pierścień, który wszechładę daje: i marne karły, i potworni olbrzymi, i wielcy bogowie, i dzielni książęta—wszyscy sięgają po ten skarb, wszyscy gotowi są do zbrodni, aby tylko go posiadać. Ale gdy go już mają, rozpoczyna się działanie przekleństwa, i nieszczęście, i zagłada, wiszą nad głową śmiałego zdobywcy. Powtarza się tu mýt o złocie runie, przedmiocie wiecznego pożądania i przyczynie nieszczęścia.

Ile w ogólnem pojęciu mýt jest Wagnera pomysłem, ile przejął wprost ze starych podań, tę kwestyę, ze względu na polskich czytelników, krótko i wcale niewyczerpująco możemy tylko wyjaśnić (żądnych bliższych i dokładniejszych wiadomości odsyłamy do rozprawy W. Golthera: „Die sagengeschichtlichen Grundlagen der Ringdichtung Richard Wagners“). Zmiany są znaczne, wynikły zaś nie z kompilacyi, tylko z intuicyjnego bądź uzupełnienia, bądź stopienia w całość rozproszonych szczegółów. Tak nap. w prologu samodzielnym pomysłem poety jest podanie o „złocie reńskiem“; w pierwszej części znakomicie połączone jest podanie o Brunhildzie z sagą północną o Volsungach; w „Siegfriedzie“ jest najwięcej oryginalnych obrazów i sytuacji; w „Zmierzchu bogów“ zaś szczególnie wspaniale występuje widoczne w całym poemacie podniesienie mytu o stopień wyżej, stworzenie akcji i nastroju, którego niewidzialnem na scenie ogniskiem jest Wotan. Oparłszy się na północnych sagach bardziej, niż na podaniu o Nibelungach, usunąwszy na bok wszelkie historyczne szczegóły, zwłaszcza o upadku państwa burgundzkiego, Wagner pozyskał ten symbolistyczny, ogólnoludzki podkład, o którym w poprzednim ustępie mówiliśmy.

Jako dzieło sztuki, jest tetralogia świadectwem potężnego geniuszu. Świetniejszych postaci nad Siegfrieda i Brunhildę trudno znaleźć w literaturze świata. Tamten radosny, serdeczny bohater germański, naiwny, prawie głupi junak, silny i zdrowy, prosty a śmiały, szlachetny a zapałny; ta wielka, groźna i tragiczna, wytrwała w miłości i w nienawiści, otoczona jakimś dziwnym, dla słowiańskiej duszy niepojętym, urokiem, dzikim a poetycznym. I znów mało kto stworzył szerszą skalę nastrojową i głębszą bezdnie. Jak artys-



tycznie ciekawem jest zestawienie idyllicznego, bosko szczęśliwego życia Siegfrieda z tragiczną poezią zakończenia „Walkiry”, lub złościwych i drwiących figlów „Cór Renu” z Alberichem z ponurą złością Hagenal

Osobnego studyum wymagałyby język, styl i forma wiersza poematu. Nie uległ Wagner pokusie sztucznego wskrzeszania języka przedhistorycznych czasów, i z wyjątkiem wyrażen, przejętych do dzisiejszej niemczyzny, niema tu archaizmu. A jednak, i w tem tkwi geniusz poety, mimo braku archaizowania, wieje z samego już języka technienie zamierzchłej epoki, epoki bohaterów i bogów; czemu to przypisać, nie tu miejsce dociekać, zapewne w znacznej części jędrnemu, silnie skoncentrowanemu stylowi, archaistycznie prostemu i zwięzłemu. Język „Nibelungów” Wagnera, to nie bezbarwny, bezuczuciowy szereg nanizanych na sznurek wyrazów i zdań; to projekcja serdecznych uczuć, odbicie czaru natury i ludzi, z nią związanych. Co do formy wiersza natomiast trafnie i bystro zorientował się poeta w sprawie, która wówczas trudniejszą była do rozwiązania, niż w obecnej dobie rozkwitu germanistyki. Porzuciwszy nowoczesny, do języka niemieckiego z romańszczyzny przybyły, wiersz rymowany, poszedł za starami wzorami wczesnych i średniowiecznych bohaterskich śpiewów epickich, i pisze poemat w wierszach, wiązanych alliteracją, czyli tak zwanym „Stabreim”. Zyskuje i w innym kierunku na tym praniemieckim kształcie wiersza, bo, niekrepowany ilością nieakcentowanych zgłosek, unika jednostajności.

„Pierścień Nibelunga”, trylogia, poprzedzona prologiem, zwie się charakterystycznie „Bühnenfestspiel”. A tak w samej już nazwie jest dzieckiem, wychowanym w atmosferze „sztuki przyszłości”, jest praktycznem przeprowadzeniem zasad, niedawno w teoretycznych rozprawach rozwiniętych. Równocześnie zaś jest drogowskazem dalszej wędrówki, która mistrza i tysiące mu oddanych zaprowadzi do — Bayreuthu.

Przed ostatecznym celem jest jednak jeszcze kilka stacyi. Jedną z nich są: „Die Meistersinger von Nürnberg”, lecz niewiadomo dokładnie, gdzie ich postawić. Pomysł powstał w duszy poety bezpośrednio po „Tannhäuserze”, jeszcze przed „Lohengrinem”, ostateczna redakcyja utworu w zbiorowym wydaniu nosi datę roku 1862-go, mamy więc długą przestrzeń siedemnastu lat. Nie przeminiła ona bez wpływu. Powierzchnowy sąd skorym jest uważać „Meistersingerów”, jako dramat za pewnego rodzaju powrót do dawnej epoki historycznych utworów, których Wagner od „Rienziego” nie tworzył. Rzeczywisty, historyczny podkład akcji, z realnego mieszczańskich śpiewaków niemieckiej przeszłości życia brana malowniczość sytu-



cyi, zdają się przeznaczać dramatowi rolę może pięknej, lecz w gruncie rzeczy konwencyonalnej historycznej sztuki, w połączeniu z muzyką zaś—historycznej opery. A jednak, chociaż Wagner zmieniał z biegiem lat plan, to taki szablonowy zamiar nie istniał u niego nigdy, byłby niegodnym mistrza. Myśl sama urodziła się z walki śpiewaków na zamku w Wartburgu, którą poeta, jak wiemy, złączył z podaniem o Tannhäuserze. Na pierwszym planie około motywu podobnego współzawodnictwa pieśniarzy ugrupować się miała akcja, oparta na psychologii postaci Hansa Sachsa. „Pojąłem go, jako ostatnie zjawisko artystycznie twórczego ducha narodowego i w tem znaczeniu przeciwstawiłem go filisterskiemu gronu mieszczańskich śpiewaków, których skończenie śmieszny pedantyzm wcieliłem w osobę „merkera“ <sup>1)</sup>. Dramat w tej fazie miał być łagodniejszą ilustracją ostrych teoretycznych wywodów w rozprawie o „Sztuce i rewolucyi“ miał, nie chłoscząc objawów życia, przeciwnego naturalnej prostocie, biczem oschłej ironii, wyśmiewać je szczerym, zdrowym humorem. Hans Sachs ani w słowie, ani w muzyce nie był jeszcze ogniskiem dramatu tylko jego najsympatyczniejszą postacią, której poeta często używał, jako tłumacza własnych myśli. Zmieniło się to i pogłębiło w końcowej redakcyi. Hans Sachs przestał być szkieletem, osłonionym tylko płaszczem przewodniej idei dramatu, stał się słynną postacią, środkiem nietylko intelektualnej, ale i uczuciowej akcji. Legendowym, a nawet historycznym wiadomościom to się nie sprzeciwia. Historyczny Hans Sachs, w bardzo podeszłym wieku owdowiawszy, pokochał młodą dziewczynę, zaślubił ją i do śmierci używał małżeńskiego szczęścia. O ten fakt zaczyna się Wagner i wprowadza motyw miłości Sachsa ku Ewie. Nadchodzi dzień świętego Jana, odbędą się wielkie zapasy śpiewaków, walczących dźwięcznością lutni, pięknnością poezyi; kto z nich zwycięży, otrzyma rękę uroczej Ewy Pognerówny. Młodzi się o tę cenę pokuszają, ale stary Hans Sachs jeszcze żyje, jeszcze ręka mu tak nie osłabła, by nie zdołała trącić strun lutni i wydobyć z nich czystego dźwięku, jeszcze umysł tak nie zniedołężniał, by nie potrafił składnie ułożyć słów w melodyjne zwrotki. Hans Sachs pewnym jest zwycięstwa, gdy wtem zjawia się młody rycerz. Wczoraj dopiero poznał Ewę, a już lgnie do niej, już posiadał jej wzajemność i wierzy, że jutro w zawodach poetyckich dziewczica jemu się dostanie. Hans Sachs to widzi i — tu następuje najpiękniejsza chwila dramatu: usuwa się od współzawodnictwa, co większa, sam pomagać będzie Walterowi Stolzingo-

---

<sup>1)</sup> IV, 349.

wi, aby tylko niemiły Beckmesser nie tryumfował: „Przed uroczem dzieckiem chciałbym zaprawdę śpiewać, lecz serca słodkie udręczenie trzeba stłumić; piękne to było wieczorne marzenie i teraz ledwo śmiem o niem myśleć“. Ten motyw niesłychanie podniósł dramat, zewnętrzną akcyę osadził głębiej, wprowadził konflikt wewnętrzny, nie przeciągając jednak struny, nie zaostrzając wewnętrznej walki. Postać Hansa Sachsa teraz dopiero pełnym blaskiem zajaśniała, a harmonijne, z własnego postanowienia, nie z zewnętrznego przymusu, załatwienie konfliktu rozlało cichą, błogą wesołość szczęśliwych dusz na cały poemat. Ile w tem zasługi muzyki, nie naszą rzeczą badać, trzymając się poetyckiej strony, widzimy obok powyższych przymiotów dostrojenie się zewnętrznej formy. W „Nibelungach“ była ona dziwnie żywiołową, elementarnie prostą i archaistyczną w nastroju bez archaistycznej sztuczności w formie. Tu płynie spokojnie a głęboko czystą, nieskazitelną falą skacze z kamyka na kamyk ucieszenie, a zawsze zręcznie, zawsze ujmująco; wiersze, naturalnym kierowane pędem, łączą się rymem, tworzą zwrotki przejrzyste w zasadniczym składzie. Malowniczość „Lohengrina“ jest i tutaj, ale jakaś wyższa szlachetniejsza, ściślej spojona z poezją i muzyką. „Lohengrina“ można zrozumieć, patrząc tylko na niego, tu zachwycony wzrok udziela wrażeń innym zmysłom, a one w pierwszym wierszu, po pierwszej grupie dźwięków, już się nie dadzą oderwać od wspaniałego dzieła.

Od chwili, gdy w duszy samego mistrza skryształizowało się genialne widzenie sztuki, nie można mówić o „postępie“ w jego twórczości. A jednak, stojąc w kornej zadumie przed „Tristanem i Isoldą“, chciałoby się, mimo całego uznania i podziwu dla poprzednich dzieł, to wynieść wysoko, na jakiś niebotyczny szczyt, tyle cudownej piękności i tyle znaczenia w rozwoju Wagnera ten utwór posiada. Gdy naigrawano się z jego teorii, gdy nawet rozumniejsi wątpili o jej bezwzględnej prawdzie i praktycznej możliwości, postanowił wielkiem dziełem programowem i jedno, i drugie stwierdzić. W jakim zaś usposobieniu pracował nad Tristanem, sam mówi w liście do Liszta, w grudniu 1854 roku: „Nie zakosztowawszy w życiu nigdy prawdziwego szczęścia miłości, chcę temu najpiękniejszemu ze snów przeciw pewnik postawić, w którymby się od początku do końca ta miłość wreszcie raz mogła nasycić: rzuciłem w myśli plan „Tristana i Isoldy“, najprostszą, ale i najżywotniejszą kompozycyę; czarną flagą, która na końcu wieje, chcę się potem przykryć, aby — umrzeć“. W tem poufnem wyznaniu i w tamtym zamiarze stwierdzenia prawdziwości i możliwości swych marzeń, tkwi początek i charakter dzieła.

Co na pierwszy rzut oka w „Tristanie i Isoldzie“ uderza, to zewnętrzna prostota układu, co po uważniejszym wczytaniu się poznaje,

to wewnętrzna prostota akcji. Niema tłumów osób, jak w „Nibelungach“, lub „Meistersingerach“, wszystko rozgrywa się w szczupłym gronie ośmiu osób, lecz też każda z nich stoi silnie, ma jasne, wyraźne kontury. Niema epizodów w akcji, jest tylko jedna jedyna akcja, ale też od pierwszej do ostatniej chwili jest się pod jej wrażeniem wszechpotężnem. Zarysy jej proste, jej siła w głębokości motywu, w sercu działających osób. Jak to się zgadza z naturą i środkami muzyki, jak prostota, jasność i serdeczna głębia słowa nadaje się do tonów, niech o tem mówią muzycy. Miłość Tristana i Isoldy jest treścią. W przeciwieństwie do „Nibelungów“, gdzie poeta czerpał przede wszystkim z podań, tu jego źródłem były poetyckie opracowania podania. Jest ich tak dużo, że krótkie scharakteryzowanie od rycerskiego romansu Chrestiena de Troyes, poprzez dzieło nieznanego mistrza Tomasa i poemat Gottfrieda ze Strassburga do fragmentu Immermanna wystarczyłoby na zapełnienie całej rozprawy. Sprawa to zresztą dla nas mniejszej wagi, bo Wagner, chociaż oczywiście z tych dzieł korzystał, motywa podania samodzielnie a genialnie zmienił.

Niema w tych zmianach przypadkowości, wszystkie, aż do najdrobniejszej wynikają z owego stanu duszy w czasie tworzenia i z zasad nowej sztuki. W podaniu dopiero napój miłośny, nieszczęśliwie Tristanowi i Isoldzie podany, wywołuje tragiczną miłość; miał on połączyć zarem miłości Isoldę i Markego, starego króla, któremu synowiec prowadzi jako dziewczosław oblubienicę; tymczasem służebna dała przez pomyłkę pić Tristanowi i Isoldzie. U Wagnera miłość pomiędzy dwojgiem młodych ludzi istnieje już dawniej, od pierwszego pobytu Tristana w Irlandyi. Jest, ale jest ukryta, Isolda czuje ją, Tristan sobie z niej sprawy nie zdaje. Jedzie po raz wtóry do Irlandyi, jako wysłannik starego, ukochanego wuja, i już wiezie na okręcie dorodną narzeczoną. A ona go kocha i nienawidzi zarazem, bo wszak wiedząc ją innemu, sprzeniewierzył się tej miłości. I wtedy dopiero chce z nim razem wypić czarodziejski napój, który jest nie napojem miłości, ale trunkiem zapomnienia, napojem śmierci. Braugäne zaś przez omyłkę daje im napój miłości. Ta przemiana napoju, to wprowadzenie w akcję motywu śmierci, zabarwia zasadniczo całe dzieło Wagnera i niepomniernie je nad inne odnośnie wywyższa. Isolda chce wraz z kochankiem wypić do dna puhar zapomnienia i śmierci, aby skończyć życie, którego bez miłości nie może, a w zbrodniczej miłości przedłużyć nie chce. Wagner staje tu na wyżynie moralności i sztuki: śmierć jako zakończenie nieszczęśliwej miłości nie jest przypadkiem, wynikiem fatalnej pomyłki, jak w *Romeu i Julii* Szekspira; jest aktem dobrowolnie i z samowie-

dążą postanowionym. Jakże daleko jesteśmy od buńczucznego indywidualizmu, namiętności fenerbachowskiej epoki. Prawda, że wpłynęła na takie pojęcie miłości i występku, życia i śmierci, pesymistyczno-asketyczna filozofia Schopenhauera, którą Wagner w tych właśnie czasach dokładniej poznał. Do Liszta pisze <sup>1)</sup>: „Jego główna myśl, jego ostateczne zaprzeczenie woli do życia ma straszną powagę, ale jest jedynym wybawieniem. Mnie ona oczywiście nową nie była i w ogóle nikt jej sobie pomyśleć nie może, w kimby ona nie żyła dawniej. Ale do tej jasności obudził ją we mnie dopiero ten filozof“.

Miasto napoju śmierci, piją więc oboje napój miłości, i oto, zarzuciwszy umrzeć, opanowani są stokroć silniejszym żarem. Isolda już o śmierci nie myśli, Tristan teraz dopiero rozumie, że ten dziwny niepokój, jaki odczuwał od pierwszego widzenia się z Isoldą, to była miłość. Ale już okręt przybija do lądu, już radosne okrzyki witają króla Markego. Tu znowu przychodzi nam podziwiać drobną a ważną zmianę, jaką Wagner do podania wprowadził. Tam Tristan żyje jakiś czas w upojeniu miłością z kochanką i później dopiero oddaje ją w ręce wuja, który czystej oblubienicy czekał; tu miłość żyje nie mniej silnie, wyraża się z końcem pierwszej odsłony we wspaniałym dyalogu erotycznym, ale Tristan zachowuje prawość i szacunek dla wuja, gdy wprowadza w jego dom nietkniętą, nieskalaną dziewczycę.

Folgowanie namiętności w dalszym ciągu dramatu już nie razi estetycznego zmysłu; jednak i tu tajemniczy, a wymowny symbolizm towarzyszy akcji. Płonąca pochodnia, u wejścia do komnaty Isoldy postawiona, ma Tristana ostrzegać, aby był zdala. Pali się łuczywo, lecz ona już dłużej pragnienia nie powstrzyma, i chociaż Brangäne ją błaga, by tego nie czyniła, gasi pochodnię na ziemi i rzuca się w objęcia nadbiegającego Tristana: noc musi być, gdy namiętność nie-szczęсна ma tryumfować. Zdrada czyha: złośliwy Melot pokazuje Markemu kochanków, rani śmiertelnie Tristana. Figura oszukanego męża w podaniu wypadła niemal tak, jak w dzisiejszym swawolnym dramacie obyczajowym francuskim; siwe włosy i niemoc wieku spożytkowane zostały w kierunku niewybrednego taniego komizmu. Inaczej u Wagnera: Marke w drugim akcie, nieświadomy jeszcze fatalnej zamiany napojów, ma szanowną powagę i godność, i nikt pewnie

<sup>1)</sup> II, 45.

z jego nieszczęścia śmiać się nie będzie; w trzeciej odsłonie, gdy się o wszystkim dowiaduje, budzi cześć spokojnym tragizmem rezygnacyi.

Ostatni akt ze śmiercią Tristana i Isoldy powtarza raz jeszcze dwugłos: Miłość — śmierć, śmierć — miłość. Nie jako abdykacya miłości, lecz jako najsilniejsza jej afirmacya; bezpieczna od zmiennych przygód i przeszkód życia, miłość żyje w śmierci. Posłuchajmy samego ucznia pesymistycznej etyki Schopenhauera <sup>1)</sup>: „Jest to roskosz umierania, niebytu, ostatniego wybawienia do tego cudownego państwa, od którego po największych manowcach najbardziej się oddalamy, gdy usiłujemy właśnie najgwałtowniej tam się wcisnąć. Czy to nazwiemy śmiercią? Albo czy to jest mroczny świat czarowny, z którego bluszcz i róża w serdecznym uścisku wyrosły na grobie Tristana i Isoldy, jak o tem nam podanie mówi?“

Z filozoficzną ideą rozprawić się nie będziemy. Kto ją wyznaje, podwójnemu czarowi ulegnie; kto się na nią nie zgadza, natręctwa jej niech się nie obawia, „Tristan i Isolda“ Wagnera nie są bowiem filozofią, ani filozoficzną poezją nawet. Są dramatem duszy i serca ludzkiego, doprowadzonym do najdoskonalszej siły i prostoty. Wszystko tu przeniesione w głąb człowieka, zewnętrzne akcesorye są drobiazgiem bez znaczenia. Ślicznie też francuski krytyk, Appia, w rozprawie „La mise en scène du drame Wagnérien“ domaga się wobec tej sztuki możliwej skromności dekoracyi: „Dans Tristan' la mise en scène doit se réduire à un minimum tel, qu'il ne saurait être question d'illusion“.

Gdyby „Tristan i Isolda“ byli ostatniem dzieckiem Wagnera, możnaby ich słusznie uważać za koronę twórczości jego. Przed „Parsifalem“ i ten dramat musi się schylić. „Łabędzi śpiew“ mistrza jest dziełem tak genialnem, że trudno pomyśleć sobie, by mógł być stworzyć wyższe; jest zarazem tak pełną syntezą jego „ja“, że zszedłszy wnet po nim do grobu, artysta nie pozostawił zagadek, którychby na podstawie zrozumienia tego dzieła snadnie nie można było wytlómaczyć.

Niezwykle szczęśliwym był już sam wybór tematu, jeżeli wogóle w ostatnich utworach Wagnera można mówić o „wyborze“, tak każdy z nich wyrasta z gruntu jego duszy, zdaje się być koniecznym, koniecznym w tej właśnie treści i tym kształcie. Podanie o Gralu,

---

1) Entwürfe, Fragmente, Gedanken“, tom, 102.

przybyłe do Niemiec zapewne z azyatyckiego wschodu, urobione na-przód w Hiszpanii, artystycznie opracowane w romańskiej, a potem w niemieckiej poezji („Wolfram z Eschenbachu“), jest szczytem rycerskich podań średniowiecznych, najgłębszem z nich w treści, we wzniosłych i przejmujących symbolach. Ta święta czara, w której Józef z Arymatei miał zebrać krew męczonogo Chrystusa, ten zakon Templaryuszów, ku jej czci i straży założony, pełen wielkiego poczucia godności, ale i surowych obowiązków, sam przez się już musi budzić zajęcie, spotęgowane jednak stopieniem tej legendowej opowieści z postacią Parsifala, który z okresu dziecięcej głupoty przez zwątpienie o wszystkim, dochodzi wreszcie do cnoty, mądrości i szczęścia. Wagner, o ile z jego pism można wnosić, po raz pierwszy zajął się tym motywem koło roku 1848, kiedy rozmyślając nad dramatem o Fryderyku Rndobrodym, spisywał uwagi nad Nibelungami. Znajduje się w nich <sup>1)</sup> ustęp, raczej kunsztownie, niż przekonywająco przedstawiający, jak legenda o świętym Gralu obejmuje spadek po podaniu o skarbie Nibelungów i łączący ten fakt z urobieniem się pojęcia i roli niemieckiego cesarstwa, jako o syntezie królewskości i kapłaństwa. Że w okresie najsilniejszej samowiedzy duchowej i artystycznej Wagner temat opracował, jest skutkiem kongenialności twórcy i podania w tym właśnie czasie.

Wagner był wtedy, jak wiadomo, pod wpływem Schopenhauera, lgnął do asketycznych, buddaistycznych idei, i w rezygnacji, w zaparciu się siebie samego widział kwiat etyki. Wznioślejszego jego uplastycznienia nie mógł nigdzie indziej znaleźć. Jak we fragmencie do dramatu „Zwycięzca“, powstałym pomiędzy rokiem 1854 a 1857, to jest między pierwszym planem „Tristana“ a koncepcją „Parsifala“, głosi w myśl indyjskiego pesymizmu wyłączną moc bezwzględnej czystości w osobach bohaterów, Ananda i Prakriti, tak w początkowym szkicu do „Parsifala“ znajdujemy asketycznej maksymy wiersze: „Wielkim jest czar pożądania, lecz większa siła rezygnacji.“

W gotowym poemacie jednak rzecz odmiennie się przedstawia, a zwracamy na to szczególniejszą uwagę, bo często nazywane jest ostatnie dzieło Wagnera śpiewem bezpłodnej bierności. Parsifal z dramatu bliższym jest młodzieńczemu Siegfriedowi, niż buddaistycznym ideałom: ma siłę i wie, że ją ma; ma wolę czynu i ma zdol-

<sup>1)</sup> II, 193.

ność czynu, a całą osnowę dramatu określić można właśnie jako ujawnianie się popędu do czynu. Dziecięciem jeszcze sam sobie luk robi, chłopięciem wbrew woli matki opuszcza cichą pustynię leśną i idzie w świat, Kundry opowiada o trwodze, jaką odczuwają wobec niego olbrzymi, my sami widzimy, jak porywczco o mało co nie dusi gońca, który mu przyniósł wiadomość o śmierci matki, lub w czarodziejskim zamku złego Klingsora sam bezbronny nad rycerzami góruje.

Prawda, że Parsifal zachowuje dziewiczość, odtrąca Kundry, całując go, gdy szuka u jej kolan pociechy i ulg w nękającym bólu, a z męską energią wyrывa się z koła „złej rozkoszy“; lecz w rysach tych niema buddaistycznego tłumienia naturalnych popędów, owszem, Parsifal nie chce tylko w przedwczesnych uściskach stracić mocy do wielkich czynów, których pragnie i które dokonać ma, a taka wstrzeźliwość, taka czystość jest postulatem wszystkich ludowych podań, wysnutych z wiary, że tylko czysty bohater może być piastunem wielkich idei. Chamberlain trafnie w tem miejscu przypomina, że nie tylko Siegfried nie zaznał kobiety, gdy dzielnie zabija Fafnera, lecz nawet w tak odległych baśniach, jak w chińskim Aladdynie, żąda się dziewiczości od bohatera, i że tam nie czarodziej, lecz niewinny młodzian zdobywa skarb. Buddaistycznym, ale zarazem najwznioślejszym etycznym jest chyba tylko altruizm Parsifala, który oddał się w służbę przenikającego cały dramat uczucia litości.

O ściśle artystycznej stronie utworu nie wiele mamy do powiedzenia. Nie dla tego, żeby nam brakło słów, bo milczenie zachwyty niedopuszczalnym jest w literackim studyum, lecz w przekonaniu, że doprowadziwszy wszystkie piękności poprzednich utworów Wagnera do doskonałości, otrzymamy odpowiednie wrażenie z tego arcydzieła: wszystkie, od podziwienia godnego skupienia akcji w walnych psychicznych momentach, trudniejszej tu wobec epickiego charakteru opowieści, aż do muzykalnej nastrojowości wiersza, który muzyki potrzebował nie do spotęgowania, lecz jako bliźniaczego środka artystycznej ekstazy.

Wykonanie „Parsifala“ do dziś dnia zastrzeżone jest na korzyść teatru „Festspielhaus“ w Bayreuth. Powołana do życia dla przedstawienia cyklu „Nibelungów“, prowadzona wśród najbardziej zniechęcających przeszkód i trudności, którym nawet łaska monarsza Ludwika II, króla bawarskiego, podolać nie mogła, scena ta dziś, dzięki niespożytej energii wdowy po mistrzu, Cosimy, stoi na trwałym gruncie. Do biografii Wagnera należą dzieje rozwoju myśli tego teatru, tu o idei samej mówić wolno i trzeba, bo miała ona być wciele niem estetyki Wagnera, co większa, całego jego poglądu na sztukę, na ludzkość i na świat. Poczęła się w nim samym i była naturalną konsekwencją jego oryginalnych poglądów na sztukę. Zwycięska wojna francusko-niemiecka, radośnie powitana przez niego, zapowiadająca erę świetnego bytu narodu, miała dzieło przyspieszyć, miała odrodzonej politycznie i narodowo ojczyźnie dać odrodzenie sztuki. Czy dała istotnie? Tu już mogą kiełkować wątpliwości, które jedno więcej ogniwo przysparzają do długiego łańcucha rozczarowań, zawiedzionych nadziei, jakie światu przyniosły dzieje Niemiec po roku 1871...

Bayreuth, ta Mekka tysięcy pielgrzymów, w oczach zdeklarowanych wagneryanów jest istotnie świętym miejscem. Obserwator, na uboczu stojący, a przeto spokojniej sądzący, nie może przemilczeć, że wielka i zbawienna myśl mistrza samego wykonaną została jedynie połowicznie, że Wagner sam uległ w wielu zasadniczych szczegółach twardej rzeczywistości, niższej, ale silniejszej od jego ideałów. Chciał dać dzisiejszemu społeczeństwu teatr, któryby był dla niego tem, czem dla Hellenów była ich scena. Chciał ludzkość odrodzić przez sztukę, a za kwiat jej poczytując dramat, dać teatr, godny tej sztuki i tego narodu. Nie teatr właściwie, lecz „Festspielhaus“, przybytek sztuki, uroczystą jej świątynię, jak kościoły są przybytkiem Boga.

Przedewszystkiem teatr nie miał sztuki na sprzedaż wystawiać, lecz, będąc przez państwo i naród lub prywatne osobistości



utrzymywaną instytucją publiczną, miał być bezpłatnie otwartym dla wybranych, zdolnych do prawdziwego przejęcia się sztuką; kto miał więc prawo do tytułu wybranego, nie wiadomo, bo przecież przy wolnym wstępie niepodobieństwem było ograniczać liczby widzów, którzy w normalnych warunkach cisnęliby się z samej chęci bezpłatnego zaspokojenia ciekawości. Ale tu pierwszą musiał sam Wagner uczynić koncesję, a ustępstwo to spaczyło myśl zasadniczą. Wierzymy osobiście w to, że kiedyś nadejdzie czas, gdy teatr albo zniknie z powierzchni ziemi, albo przystępnym będzie bez opłaty dla wszystkich, jak szkoły, muzea. Wiemy jednak, że na razie i na bardzo daleką metę jest to utopia, tem mniej można widzieć przyspieszenie lepszej artystycznej kultury w teatrze bayreuckim płatnym, jak inne, chyba droższym, a więc nieprzystępniejszym. Nie na tem kończy się wykrzywienie myśli wielkiego twórcy. Dążył on do stworzenia tej sceny zrazu, co prawda, aby umożliwić wystawienie „Nibelungów,” potem i innych własnych utworów; ale nie chcąc krzywdzić jego czcigodnej pamięci, nie można przypuścić, aby „Festspielhaus” przeznaczał jedynie dla swoich dramatów; gdyby tak było, dowodziłoby to zarozumiałości i egoizmu, a Wagner miał wysokie wyobrażenie o sobie, lecz był iście wielkodusznym. Dzisiaj Bayreuth daje tylko Wagnera i gdyby, co zresztą na razie jest bardzo nieprawdopodobnem—kto inny stworzył wymarzone przez Wagnera arcydzieła przyszłości, wątpimy, czy w willi Wahnfried danoby mu klucze teatru.

Więc chociaż bezwzględni jego wielbicielę w Bayreuth widzą jakby tajemnicę nowego świętego Graala, niepodobna dostrzedz trzeźwym okiem więcej nad miejsce kultu mistrza, bardzo wzniosłe, chociaż prózną ciekawością i modą profanowane, oraz wzorową scenę. Wzorową jest ona w zewnętrznej formie przedstawień, w harmonijnem współdziałaniu wszelkich środków inscenizacyi, w doborze śpiewaków i kierowników, wzorową także w urządzeniu wnętrza, mianowicie w ukryciu orkiestry w tak zwanej mistycznej przepaści, w amfiteatralnem ustawieniu miejsc dla widzów i w wyniku stąd usunięciu łóż. Trochę za mało zostało ze spuścizny Wagnera, i nie najsamodzielniejszą z jego idei jest ta właśnie. Już Goethe o tem myślał, ba, przed nim nawet jeszcze Grétry dokładnie tę reformę przedstawił.

\*

\*

\*

Nie Bayreuth więc jest niśmiertelnym spadkiem Wagnera. Jego wielkość nie zamknięta jest w ścianach wzorowej sceny. Ona żyje w jego dziełach. A jeśli dzisiaj uznano już wielkość Wagnera-muzyka, to czas i u nas ocenić wielkość Wagnera-poety. Czy ona od tamtej wyższa, czy niższa, próżno byłoby się spierać. Dość, że jest, że do dwóch jasnych gwiazd niemieckiego Parnasu przybywa trzecia, równie świetna, dość, że wszechświatowa poezya bogatszą jest o Wagnera.

---

Przed rozstaniem, jedno pytanie, wynikające z natury Polaka, który, nawet o obcym przedmiocie pisząc, ciekawy jest jego związku z nami. Wagner w polskiej muzyce, to temat opracowany już nieraz i w ogólnych zarysach każdemu znany. Ale gorzej jest z pytaniem: Czy Wagner-poeta wywarł wpływ na naszą literaturę? Jużci wpływ ten dużym nawet być nie może: poezyi Wagnera u nas nikt nie czyta, mało kto wie, że istnieje ich dziesięciotomowe wydanie; przedstawień Wagnera mamy tak mało, a zresztą wtedy muzyką, nie poezją jesteśmy zajęci. A jednak pewien nieznaczny wpływ, raczej bezpośrednie, częściej pośrednie oddziaływanie Wagnera na naszą poezję istnieje. Naprzód w tym objawie, który stanowi cechę naszego najnowszego dramatu, w dążności do stworzenia „Wort-und Tondrama“, wyraźnej w tem, że nigdy tak często nie snuła się w naszych dramatach muzyka, jak obecnie. Ale może poszukawszy skrupulatniej, znaleźćby się szczegółowsze ślady dalekiego oddziaływania Wagnera, zwłaszcza w fantastycznych dramatach, mimo olbrzymiej przepaści pomiędzy germańskimi a słowiańskimi wyobrazeniami i wierzeniami. Mam naprzykład osobiste przekonanie, że topielice w „Zaczarowanej kole“ p. Rydla, takich kształtów i takiej formy wiersza nie przybrałyby bez Wagnera. Lecz to tylko subiektywna uwaga, którą krytyka wynagradza sobie zachowywany przez całą rozprawę obiektywizm.

Oczywiście nie namawia on do naśladowania, bo to zawsze jest literackim grzechem. Lecz studyowanie Wagnera byłoby dla naszych poetów dramatycznych, właśnie w obecnej dobie, nie bez korzyści. Dzisiaj, gdy sięga się tak często do skarbnicy mitologii ludowej, przedstawiając ją nie zewnętrznie tylko, ale w usiłowaniach wyrażenia jej wielkiej głębi ideowej, Wagner pouczyć może poetów, jak się wewnętrzną akcyę koncentruje, jak w genialnej prostocie symbolizuje się najtajniejsze objawy wiecznie tej samej duszy ludzkiej, wreszcie, jak się dany materiał przetapia na dramatyczną osnowę. A ta nauka może nie jest zbyteczną.

DR JÓZEF FLACH.

# Szesnaście dni z mego życia

CZYLI

## relacya z podróży do Petersburga<sup>1)</sup>

podczas rewolucyi polskiej z roku 1830 — 1831.

PRZEZ

**TADEUSZA WYLEŻYŃSKIEGO.**

---

Nie miałem go już więcej zobaczyć i byłem w niepewności, co ze mną się stanie, gdy nazajutrz rano, dnia 30 grudnia nowego stylu, przybył do mnie oficer gwardyi, przez generała Benckendorffa przysłany, z żądaniem, abym się u niego stawił na 10 z rana. Udałem się tam dorożką bez towarzyszącego mi wciąż oficera, co mi zrobiło przyjemność, dotąd bowiem podczas całego krótkiego w Petersburgu pobytu, ruszyć się bez niego, lub bez feldjegra nie mogłem. Generał Benckendorff jest człowiekiem o wykwintnej i łagodnej twarzy, wielkiej uprzejmości w obejściu, wielkiej też wytworności w całym zachowaniu. Uchodzi za ulubieńca cesarza, za najgodniejszego i najuczciwszego w cesarstwie człowieka. Już za pierwszym moim pobycem w Petersburgu przed trzema miesiącami wiele mi okazywał był uprzejmości i rad byłem, że go zobaczę. Skoro tylko mnie zameldowano, przyjął mnie bezzwłocznie, serdecznie, w szlafroku, i odezwał się do mnie:

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt lutowy, str. 221.

— I cóż to? Polska zerwała się do buntu, zrobiliście rewolucję; któż się tego mógł spodziewać, kiedyśmy się po raz ostatni widzieli z sobą.

Odpowiedziałem, iż w istocie nie przeczuwałem tej katastrofy.

General Benckendorff: Nie mogę pojąć jak Polacy mogli zrobić rewolucję, nie obliczając klęsk, które stąd na ich ojczyznę spadną. Zapewne, nie wszystko było dobrem u was, ale nie usprawiedliwia waszego buntu, boć przecież porównać wam się z innymi dzielnicami Polski. Spójrzycie na Galicyę, alboż nie jest ona nieszczęśliwszą od was? nie posiada ani reprezentacji narodowej, ani konstytucyi, ni wojska, ni urzędników polskich, ni nawet polskiego języka, nie z dóbr wam przyznanych, a do tego przeciążoną jest podatkami. Podobnież i Wielkie Księstwo Poznańskie, którego rzeczywiście położenie tak polityczne, jak i materyalne dalekiem było od pomyślności Królestwa Polskiego. Porównajcie się z Litwą, z Wołyniem i innymi prowincjami polskimi pod rządem rosyjskim, co za olbrzymia różnica! w jak szczęśliwych pod każdym względem znajdowaliście się warunkach! A jednak wszystkie inne części Polski zachowują się spokojnie, tylko w tem jedynem Królestwie Polskiem, gdzie Polakom było najlepiej, wybuchła rewolucja! Pomyślcie tylko, jak wasz kraj kwitnął, ku zdumieniu obcych: ludność wzrastała, ciężary nie były nadmierne, rządiliście się sami, wszystkie gałęzie przemysłu świetnie się rozwijały, tak rolnictwo, jak i rękodzielnie, miasta też rosły, cała Polska wyglądała, jak jeden klejnot oko pieścićący. Zapewne jedna tkwiła tam bieda, mianowicie Wielki Książę Konstanty, który krzyżował zamiary cesarza, który sprawiał, iż indywidualnie słusznie miano w Polsce grawamina, który był powodem pewnego nieukontentowania. Było wam poczekać trochę. Postanowiono odwołać Wielkiego Księcia, już on tej wiosny miał za granicę wyjechać, aby już więcej do was nie wrócić. A wtedy chybaby już nie wam do szczęścia nie brakowało, stalibyście się krajem najszczęśliwszym w świecie. Czy pan się domyślasz jak złe wiadomości przywiozłeś? Zewsząd zdzierają godła cesarskie, usuwają cyfry, wrzeszczą, zbroją się, obwarowują Pragę. Przeciw komuż skierowane są owe wojenne przygotowania?

J a: Raz zerwawszy się do rewolucyi, kogoż mamy się lękać, jeżeli nie cesarza Rosyi? oczywiście, bronić się chcemy przed nim.

General Benckendorff: A więc te wszystkie przygotowania wymierzone są przeciw cesarzowi, przeciw temu, który tylko szczęścia waszego pragnął! który wam złożył tyle dowodów swojej przychylności.

Tu generał wymienił koronację w Warszawie, wspomniał sejm, sprawiedliwość monarszą wobec wyroku Senatu i wbrew zdaniu Wielkiego Księcia, któremu nie uległ, dalej poparcie udzielone rękodzielniom, nawet z uszczerbkiem Rosyi, poszanowanie narodowości polskiej, stwierdzone datkami na odnowienie królewskiego zamku w Krakowie, na pomnik Sobieskiego w Warszawie, darem dział z pod Warny, opiekę zapewnioną sztukom pięknym i naukom, pomyślny stan finansów Królestwa Polskiego, oraz kredytu wypływającego z opieki Rosyi. I tak rzecz zakończył:

— A oto sejm wasz uznaje rewolucyę, jako narodową, składa dzięki tym, co ją zapoczątkowali. Alboż nie znalazł się nikt z posłów, któryby miał dość rozumu i lojalności, aby wspomnieć o cesarzu, jako waszym monarsze?

Odpowiedziałem to samo, co i marszałkowi, że żaden głos się nie podniósł przeciw cesarzowi, lecz żaden też i za nim.

Generał Benckendorff: Czy dużo było ludzi na galeryi?

Na moją odpowiedź potakującą, generał rzekł dalej:

— Sejm tedy znalazł się pod wpływem galeryi; szanse wojny nie są wam przychylne; choćbyście nawet pierwszą wygrali bitwę, dajmy na to wkroczyli na Litwę, zdobyli Wilno, wspomnijcie, że Francuzi dotarli do Moskwy, co nie przeszkodziło, iż wkrótce potem znaleźliśmy się w Paryżu. Wyraźnie Opatrzność czuwa nad losami Rosyi, że oto właśnie, gdy nasze wojska sposobity się do kampanii i gromadziły na pograniczu, panowie Polacy tę obrali chwilę, aby zrobić rewolucyę. Cesarz mocno jest zbolały tą waszą rewolucyą, zwłaszcza postępowanie armii go obraziło, bo ją kochał. Jeszcze kiedyś się odzywał: — Czyż wojsko polskie zapomniało wyraz mojego oblicza? czy ten wyraz zdradza skłonność do ustępstw?—Cesarz tak bardzo na waszą liczył armię, że, acz świadom waszych z Francuzami stosunków, przeznaczał was do awangardy, wyprzedzającej idące na Francyę rosyjskie szeregi. Nie wątpię, że wojsko polskie byłoby walczyło doskonale.

Czy pan się domyślasz, że ja sam silnie tem wszystkim jestem skompromitowany? Niedawno jeszcze ręczyłem cesarzowi za wierność wojska polskiego. Mówiłem mu: Najjaśniejszy Panie, liczyć możesz na polską armię równie pewnie, jak na pułk Przeobrażeński. I oto właśnie armia, za którą dawałem poręczenie, zbuntowała się przeciwko swemu monarsze. Jakże Polacy przypuścić mogą, że cesarz wda się z nimi w targi i ustępstwa. Nie ma on do tego najmniejszej przyczyny, nic sobie wyrzucać wobec Polski nie może, jeżeli tam było co złego, to nie z jego winy, należało się stawić w je-

go położeniu; zresztą to wszystko było tylko przejściowem. A teraz, choćby nawet chciał zstąpić do jakiej koncesyi, nie może tego zrobić jako cesarz Wszechrosyi. Przecież nie może się posunąć do ustępstw wobec kraju, który był najszcześniejszym ze wszystkich prowincyi olbrzymiego państwa, który jedyńy posiadał liberalną konstytucyę, a zerwał się do buntu. Coby na to rzekli inni jego poddani? byłoby to poniekąd zachętą, aby tak samo postąpili i naśladowali ten przykład. Widzicie tedy, iż niema podobieństwa układów lub ustępstw, gotowych skompromitować cesarza wobec poddanych. Wszakże wobec nich zarówno, jak i wobec państw ościennych, dowieść musi, iż jest dość silnym, aby domową opanować rozterkę, dość stanowczym, aby tego chcieć i dokonać. Jakiegoż wyobrażenia nabrałaby o nim Europa, gdyby się poddał pierwszemu lepsze mu tumultowi w swoim Państwie. Może on tylko żądać bezwzględnego poddania się. Tak polityka cesarza, jak jego wola mu to narzuca, i jest to jedyna droga przed wami otwarta. Zresztą możecie liczyć na szlachetny i wspaniałomyślny charakter cesarza, iż nie nadużyje on waszego położenia. A tymczasem, jeżeli Polska będzie z bronią w ręku podbita, na co się zanosi, jeżeli zechce stawić wszystko na kartę walk, jak najgorzej na tem wyjdzie.

— Odparłem; ile upatruję trudności w przeprowadzeniu zupełnej uległości cesarzowi; jak dalece, spaliwszy tyle za sobą mostów, Polacy: pewien honor narodowy przywiązywali do narażenia się na wszystko, co by stąd wyniknąć mogło; że zapewne słaba tylko częśćka narodu zapoczątkowała rewolucyę, ale teraz już ją cały naród uznał i uświęcił. Dodałem w końcu:

— Gdyby zaraz w pierwszej chwili wybuchu Wielki Książę umiał być ruch opanować, byłby potrafił zdać sobie sprawę, jak słabem było stronnictwo, które to hasło wydało, wszystko byłoby ucichło. Dziś atoli stronnictwo to urosło w siłę, niema jednego w Królestwie zakątka, gdzieby z zapalem białego nie rozwinięto sztandaru; sejm, armia, urzędnicy, przystali do ruchu i postanowili popierać powstanie. Ludzie rozważni i dalej patrzący, którzy boleją nad prawdopodobną klęską ojczyzny, albo ulegają wpływowi rewolucyjnego stronnictwa, albo też mniemają, że im honor od tamtych odłączyć się nie pozwala. Ci, co może pozostali wierni cesarzowi, nie zdołaliby opanować reszty; młodzież mówi głośno, porywa i zapala tłumy, w całym kraju niezmiernie panuje podniecenie, umysły pałają i trudnoby im dziś nadać inny kierunek. Nadto armia nasza poważnie przybiera rozmiary, a na prowincyi się zbroją.

General Benckendorff mi odpowiedział, że, mimo całej naszej waleczności, upaść musimy, bo dysproporcya jest zbyt wielka, a i woj-

sko rosyjskie być się będzie zawzięcie, takie czuje oburzenie na polską rewolucyę i niewdzięczność.

Dodałem jeszcze, iż młodzież galicyjska przybywa z końmi i rymsztunkiem wojennym, że rząd austriacki nie stawia przeszkody, że świeżo tak młody książę Lubomirski przyprowadził z sobą 30 jeźdźców. Poznańskie nie inaczej działa. Z umysłu wspomniałem Galicyę, aby wszczepić nieufność do rządu austriackiego, a zresztą przywiedzione fakta były prawdziwe. Dodałem jeszcze, iż czas pokaże, ażali Francya i Belgia nie wywołały tajemną agitacyą i naszej rowolucyi, która aż nadto im była na rękę, a której zresztą przykład nam dały z prawdopodobieństwem powodzenia. Na to generał Benckendorff mi odpowiedział:

— Wskażę panu właściwe powody rewolucyi polskiej; zapewne wchodzi tu w grę naśladownictwo, wchodzi i zagraniczne wpływy. Następnie partya republikańska, rosnąca w Europie, puściła odnogi i pośród was; partya ta walczy z monarchizmem, pragnie znieść głowy ukoronowane, głosi niwelacyę powszechną, wyznaje demagogię, jakobinizm, i wszystko obrzydłe, co z temi zasadami idzie w parze. Co zaś najważniejsza, stronnictwo gałganów, wojujących z uczciwymi ludzmi, nędzników, którzy zawiszcza bogatszym dostatków i radziby w ich miejsce wstąpić, dla których wszystkie środki zarówno są dobre, byleby się pozbyć prawych obywateli i opanować wszystkie majątki i wszelkie urzędy, pod hasłem: „precz z wami! zróbcie nam miejsce!”, te to stronnictwo podnieca złe namiętności spóółstwa. Dobro kraju jest dla nich płaszczykiem, bo w gruncie rzeczy chodzi im tylko o przewrót, któryby dał im sposobność poprawienia własnego osobistego losu. W końcu przyznać należy, że Wielki Książę wywołał u wielu nienkentowanie, dał niejednen powód rozgoryczenia, że Polska nie czuła się tak szczęśliwą, jak być mogła, dokuczał on osobnikom, niezręcznie i niepotrzebnie urażał pojęcia, słowem był pierwszą przyczyną ogólnego niezadowolenia i przysposobił grunt do idących przełomów.

Generał pytał mnie jeszcze o szczegóły rewolucyi, o ludzi, którzy w pierwszych dniach zginęli, o Chłopickiego, który ład przywrócił, o generała Krasieńskiego i sposób, w jaki go powitano w Warszawie i jego matkę. Poleciał mi nie wychodzić z mieszkania, nie pokazywać się na ulicy. Zaręczyłem, iż wychodzę wtedy tylko, kiedy mnie powołują. Prosiłem o upoważnienie zobaczenia się z generałem Grabowskim i hr. Jezierskim. Zezwolił na to, ale ich ostatecznie nie widziałem. Nareszcie generał Benckendorff pożegnał mnie łaskawie, okazując szczerý smutek z powodu nieszczęśliwych wypadków.



Wróciwszy do siebie, usłyszałem od przydanego sobie oficera, iż generał hrabia Czernyszew (minister wojny i szef sztabu generalnego armii rosyjskich) przysłał był feldjegra z uwiadomieniem, że za półgodziny pojazd jego po mnie przybędzie, i że tenże towarzyszący mi oficer ma mnie odstawić do ministryum. Miałem przecucie, iż jeżeli dotąd tylko o sprawie polskiej ze mną rozmawiano, teraz przyjdzie kolej na osobiste moje stanowisko. W istocie się nie omyliłem, znając zaś wielką przebiegłość hr. Czernyszewa, nienawiść, którą palił jawnie wobec Polaków, zręczność, z jaką umiał przeprowadzać tego rodzaju śledztwa, spodziewałem się przykrej rozmowy, zakończonej bodaj aresztowaniem mojej osoby; zabrałem tedy z sobą rulon stu dukatów, aby je mieć na wszelki przypadek, gdybym już nie miał do mieszkania wrócić. Niebawem z wielkim niepokojem udałem się do tego generała, zbrojąc się w ostrożność największą i pożądaną zimną krew.

Stanąwszy w pałacu sztabu generalnego, czekałem przez chwilę w salonie, ale niebawem nadszedł hr. Czernyszew, z wielką teką pod pachą; odesłał on mego towarzysza, kazał mi usiąść, i pozostaliśmy sam na sam. Zaczął od tego, iż mi oświadczył, jako cesarz przeczytał już mój wczorajszy referat (przyczem wydożył go z teki), i że okrom otrzymanych stąd szczegółów, żądał ich więcej jeszcze. Odpowiedziałem iż gotów jestem dostarczyć takowych, tembardziej, iż może Najjaśniejszy Pan nie mógł pisma mego odczytać. Zaręczył, iż przeciwnie, cesarz sam przeczytał wszystko i znalazł rzecz dobrze napisaną, zważywszy, iż lewą posługiwałem się ręką. Ale to było wstępne słowo, bo natychmiast dodał: Przychodzę z panem mówić o jego własnej sprawie, i proszę uważnie mnie posłuchać. Cesarz jedną tylko zna wierność, tę, którą mu jest winien każdy z jego poddanych, a zwłaszcza, do której każdy oficer wojsk jego jest zobowiązany w każdej okoliczności, z przynależnem poświęceniem. Wielki Książę Konstanty mógł odesłać wojska, które przy nim w pierwszych chwilach rewolucyi pozostawały, mógł nawet rozkazać, abyście go odstąpili i do zbuntowanej wrócili Warszawy; ale cesarz w to wszystko nie wchodzi i na nic z tego się nie zgadza. Wojsko polskie nie mniej zawiniło buntem wobec swego monarchy, i cesarz ma dziś za buntowników tych, którzy do tego wojska należeli. Zaczem i ty, panie, znajdujesz się w tej kagoteryi, a przybywasz tu bez żadnego prawomocnego rozkazu; podjąłeś się misyi z ramienia władzy, której cesarz nie uznaje; wszelako cesarz raczył wejść w twoje położenie i upoważnił mnie do oświadczenia, iż zostawia panu wybór, albo powrotu do Warszawy, albo pozostania w Petersburgu. Jeżeli chcesz wrócić i trwasz w tem

zyczeniu, odstawimy cię tam zaraz dzisiaj, ale cała przyszłość twoja przepadnie, cesarz więcej o tobie wiedzieć nie chce, i w tej chwili już w tobie upatrywać będzie jedynie oficera zbuntowanych szeregów. Jeżeli zostaniesz w Petersburgu, zrobić masz to, co uczynili wszyscy tu zostający Polacy, którzy odnowili przysięgę na wierność i poddanie. Wkrótce zobaczysz się ze swym dowódcą, generałem Wincentym Krasieńskim, od którego mamy wiadomość, że tu przybywa, a spotkać go niezawodnie będzie panu przyjemnie. Dobrze tu panu będzie, nie zapomną o panu. Proszę się zdecydować.

Zimny pot wystąpił na moje ciało; zmierzyłem straszne moje położenie, a tu wypadało od razu powziąć żądane postanowienie. Daję słowo honoru, iż wówczas przewidywałem najsmutniejsze naszej rewolucji zakończenie, w przekonaniu, iż sprawa nasza upaść musi. W ciągu wojny bywały chwile, w których ludziłem się nadzieją zwycięstwa, przyznaję to szczerze; atoli ani w początkach, ani zwłaszcza w Petersburgu tej nadziei nie miałem. Rozumiałem dobrze, iż gdybym w Petersburgu pozostał, karyera moja byłaby zapewnioną, bo cesarz by mi tego nie zapomniał, zdobyłbym sobie świetne korzyści osobiste, wygrałbym niezawodnie proces, na którym cała moja fortuna się opierała. Proces ten miał przejść przez senat w Petersburgu. Ale wnet odrzuciłem od siebie wszystkie owe względy osobiste i myślałem tylko o uczciwym dopełnieniu powierzzonej sobie misji szybkim powrotem do Warszawy, gdzie mnie wyglądano niecierpliwie; nie chciałem uchodzić wobec swoich za przeniwiecę, chciałem dzielić los mych rodaków w tym okresie klęski. Roztropność wszelako wskazywała, iż nie należało w Petersburgu obrażać monarchy, że gdybym w sposób naglący do Warszawy chciał wrócić, jakby nie dbając o zdanie cesarza, zamiast się dostać do Warszawy, mozełbym do jakiej fortecy odstawionym zostać i zamkniętym. Zresztą wojna jeszcze nie była wypowiedziana, część narodu spodziewała się jeszcze pokojowego zakończenia sprawy, generał Chłopicki, którego wysłańcem byłem, sam tego pragnął i wyglądał, nie było jeszcze mowy o zaprzeczeniu cesarzowi jego tytułu i władzy, był on jeszcze pod każdym względem naszym monarchą, sameż odebrane instrukcye zalecały uległość poddanego. Byłem tedy dalej, zwłaszcza w Petersburgu, cesarskim poddanym i oficerem, nie wypadało mi wśród obecnych okoliczności, w stolicy Rosyi i wobec monarchy przybierać butne i zaczepne stanowisko. Chcąc sobie dać czas do rozmyśłu, odparłem, iż tylko mi wypada słuchać z uszanowaniem rozkazów monarchy, i że poddam się wszystkiemu, czego ode mnie zażąda.

General Czernyszew: Cesarz w tej chwili nic nie rozkazuje, pyta tylko, co pan robić zamysła. Cesarz polecił mi zaręczyć Jego słowem, że pana nigdy nie postawi w położeniu dla Polaka drażliwym, i że twoje zasady będą uszanowane.

Ja: Wdzięczny jestem nieskończeniu Jego Cesarskiej Mości, ale niech mi będzie wolno panu generałowi przypomnieć, iż tu zostałem przysłany z Warszawy, że acz żadnego udziału w rewolucyi nie wzięłem, oczekują tam mego powrotu; że jeśli tam dobrowolnie nie wrócę, bodaj uchościć będę za dezertera lub zdrajcę, czego oczywiście nie pragnę. Odwołuję się tedy do szlachetności Waszej Ekscelencyi, ażeby usłyszeć co mi czynić wypada.

General Czernyszew: Nie mnie panu radzić. Gdybym się znalazł na twojem miejscu, wiem jakbym sam postąpił. Tu tylko pytam: co chcesz wybrać? czy zostać w Petersburgu wierny dawnym ślubowaniom, czy odjechać do Warszawy, obraziwszy monarchę?

Ja: Wyznaję szczerze Waszej Ekscelencyi, że pragnę wrócić do Warszawy, a jednak nie chciałbym się narazić cesarzowi. Nawet gdyby przyszło do wojny, co nie jest pewnem, dobrze widzisz generale, iż taki jak ja kaleka, nie może być ani pomocnym polskim szeregom, ani groźnym rosyjskim.

General Czernyszew: Nie o to chodzi; pytam otwarcie i kategorycznie, co pan wolisz: tu pozostać, czy też powrócić?

Wierny na prędce ukutemu postanowieniu, wyjechać z Petersburga, nie naraziwszy się przez to Cesarzowi, coby mi niezawodnie zaszkodziło, a nawet zatrzymać mogło, chcąc sobie zapewnić powrót do Warszawy, odrzekłem:

— Dozwól mi, generale, przedstawić, że zostawiłem w Warszawie ciężko chorego i pozbawionego wszelkich środków utrzymania starego ojca (co było prawdą). Wyruszyłem tak pośpiesznie, że nie mogłem mu nic zapewnić w takiej chwili rewolucyjnej, pełnej niebezpieczeństwa. To też synowskie powinności nagle mnie do powrotu, zaręczam zaś, iż cokolwiek się dziać będzie w Warszawie, sam spokojnie się zachowam.

General Czernyszew: Oto nowa konsyderacya, którą Cesarzowi przedstawię. Napisz mi pan list, świadczący o uczuciach wierności dla Jego Cesarskiej Mości, a żądający upoważnienia do powrotu ze względu na zdrowie pańskiego ojca, a zaręczający, iż jakikolwiek obrót wezmą w Polsce wypadki, zachowasz się nadal jako wierny Cesarza poddany. Wróć pan tedy do siebie, napisz ów list,

a za półtorej godziny przysięę po niego mego feldjegra, pismo pańskie Cesarzowi przedstawię, i zobaczymy, co on postanowić zechce.

Za powrotem do mego mieszkania siadłem natychmiast do pisania, a jeszcze list mój dokończony nie był, gdy już feldjeger o niego się dopominał.

Oto rzeczony pismo, w którym może wypadalo ostrożniej obietnice formułować, ale z jednej strony zalecono mi takowe, z drugiej zaś gotów byłem na wszystko, co chcieli, się pisać, byle czemprędzej wyjechać. Nadto trzeba mieć wzgląd i na to, że po raz pierwszy znalazłem się w tak ważnym i drażliwym położeniu, że nie mogłem niczyjej zasięgnąć rady, ani też nie zostawiono mi czasu do namysłu.

#### LIST DO GENERAŁA HR. CZERNYSZEWA.

Panie Hrabiol!

Stosownie do pozwolenia, które mi Wasza Ekscelencya udzielić raczyła, abym wyraził na piśmie uczucia, któremi przejęty jestem wobec tego, co Najjaśniejszy Cesarz i Król powiedzieć mi rozkazał, osmielam się niniejsze pismo przedstawić Waszej Ekscelencyi, ze szczerością wojskową w zaufaniu przedstawiając położenie, w jakim się znajduję. Od najmłodszych lat życia służę wojskowo, zawsze pozostałem wiernym moim przysięgom, i tuszę sobie, iż postępowanie moje zawsze było honorowem. Złożyłem przysięę na wierność cesarzowi Mikołajowi, i dotrzymałem takowej, jak przystoi żołnierzowi i dobremu Polakowi. Znalazszy się w Warszawie bez mego generała (który otrzymał był dymisyę), pozostałem na razie bez zajęcia, jak prawie wszyscy inni adjutanci, którzy nie mieli nad sobą generałów. Generał Chłopicki tymczasowo chciał mnie mieć przy swojej osobie. Nie wiem, dla czego generał Chłopicki mnie właśnie wybrał, aby zawieść depesze do Petersburga. Nie cofnąłem się przed tem poleceniem, owszem, pośpieszyłem do stolicy, zamieszkiwanej przez mego Monarchę, ze spokojnem sumieniem, iż, o ile mi się zdaje, nie przekroczyłem moich wobec niego zobowiązań.

Dziś Wasza Ekscelencya mi oświadczyła, iż Najjaśniejszy Pan raczył mi zostawić swobodę wyboru między pozostaniem w Petersburgu a powrotem do Warszawy, że jednak decyzya mego tam powrotu uważaną będzie, jako objaw uczuć moich dla tych, którzy tam bunt podnieśli, i że w takim razie Cesarz przestanie we mnie widzieć wiernego oficera; gdybym zaś, przeciwnie, w Petersburgu pozostał, postąpiłbym, jak przycależy każdemu dobremu Polakowi.

Gdyby tak było, panie hrabio, nie mam prawa wyboru, i tylko prosiłbym o pozostanie w Petersburgu, tem bardziej, iż Najjaśniejszy Pan raczył mi zawarować, iż mnie nigdy nie postawi na drażliwym dla Polaka stanowisku. Ale tymczasem wyglądają mego powrotu w Warszawie. I cóż sobie tam pomyśla, jeżeli nie wrócę? A następnie, niechaj mi wolno będzie Waszej Ekscelencyi wspomnieć, iż zostawiłem w Warszawie chorego, sędziwego ojca, którego obecnie jedyną jestem podporą, który płakał, żegnając mnie, jak gdyby mnie już więcej nie miał oglądać, że odjechałem moje interesa, nic zgola nie zarządziwszy, nie zapewniwszy ojcu swojemu żadnych na razie środków utrzymania i t. d. Najjaśniejszy Pan raczy mieć wzgląd na powody, które mnie do powrotu nagliły. Uczynię wszystko, co Jego Cesarska Mość zechce mi rozkazać, z całą powiną uległością, i nigdy oręża przeciw Jego wojskom nie podniosę, gdyby armia polska to uczyniła, nigdy słabych moich sił nie obrócę przeciw dobru Jego Cesarskiej Mości. Pozostanę beczynny w Warszawie, czy na wsi, i postaram się o środki potrzebne, aby ojca wywieźć do wód, bo i mnie kąpiele są potrzebne, ze względu na dawne rany, które mi znów dokuczają. Gdyby Najjaśniejszy Pan raczył widzieć w moim do Warszawy powrocie powyżej mianowicie przedstawione powody, nie odejmując mi jednakowoż tyle cennej swej przychylności, nie upatrując dla tego we mnie sprzeniewierzonego swym zobowiązaniom poddanego, gdybym otrzymał rękojmię, iż Jego Cesarska Mość nie widzi nic zdrożnego w mojem postępowaniu, prosiłbym o upoważnienie mnie do powrotu. Gdyby wszelako najmniejsze stąd zachmurzenie na czole Najjaśniejszego Pana wystąpiło, gdyby miał mi swą łaskawość odebrać i przestał we mnie widzieć wiernego poddanego,

wówczas nie pozostaje mi nic, jak prosić, aby mnie zatrzymano tam, gdzie Najjaśniejszy Pan rozstrzygnie.

Proszę Pana Hrabiego, abyś przyjąć raczył powinno uczucia moje.

Podp.

*Tadeusz Wyleżyński,*

pułkownik strzelców konnych  
królewskiej polskiej gwardyi.

Petersburg, dnia 18/30 grudnia 1830 roku.

Pozostałem w mieszkaniu, targany największym niepokojem, aż do w pół do dziewiątej wieczorem, nie wiedząc zgoła, co mnie czeka, i jak Cesarz pismo moje przyjął. W końcu ten sam feldjeger przybył po mnie, żądając, abym mu towarzyszył do hr. Czernyszewa. Jednocześnie mi oświadczył, iż hrabia zamówił dla mnie konie, niewiadomo wszelako dokąd; zląkłem się, iż w inną, aniżeli polską, stronę pojedę, i łatwo sobie wystawić moje obawy. Tym razem zastałem hrabiego we własnem jego mieszkaniu. Rzekł on do mnie:

— Cesarz przeczytał list pański i ani się spodziewasz, co dla ciebie chce zrobić: pozwala na twój powrót do Warszawy, a jednocześnie mianuje cię swoim adjutantem.

O ile pierwsza wiadomość mnie ucieszyła, o tyle druga mnie przeraziła, odrazu bowiem zmierzyłem, w jak fałszywem stawiała mnie położeniu, jak dalece mnie to kompromitować później mogło, bądź w oczach polskich rewolucjonistów, bądź też w oczach Cesarza. Nie pozostało mi wszelako nic, jak tylko pokornie za tę łaskę dziękować, bo do czegoż byłoby to podobnem wtedy, kiedy jeszcze ani wojny, ani złożenia z tronu nie było, gdyby ten jedyny polski oficer, znajdujący się w Petersburgu, który tamże łaskawie przyjęty i zaszczycony podobnem odznaczeniem z rąk własnego Monarchy, próbował ową łaskę odrzucić, co zresztą byłoby go wyprawiło w kierunku, wręcz przeciwnym Warszawie. Jeśli to na tem miejscu wspominam, to dla tego, iż wiele osób mi później twierdziło, iż należało ów zaszczyt odrzucić. Alboż to było podobnem? Niechby się kto był znalazł na mojem miejscu, a ręczę, iż nie byłby inaczej, ani lepiej postąpił, co też stwierdziły następstwa: nietylko stąd żadnych nie odniosłem korzyści, ale jeszcze to pogorszyło moją sytuację. Nie zostawało mi nic, jak zamilknąć, udając zadowolenie. Oświadczyłem Hrabiemu,

iz w istocie nie mogłem spodziewać się tak wielkiej łaski od Najjaśniejszego Pana. General Czernyszew na to odparł:

— Oto jeszcze własnoręczne pismo Cesarza, które panu oddać polecił.

Pismo owo brzmiało, jak następuje:

„Znalazłem u p. Wyleżyńskiego uczucia dziełnego i lojalnego wojskowego, oraz dobrego Polaka. Dopełnił powinności, dopóki tylko mu to było podobnem, i polegam na jego słowie honoru, że pójdzie zawsze za głosem honoru i złożonej przysięgi. Aby mu dać tego dowód, mianuję go moim adjutantem i wręczam mu depesze, które do Warszawy odwiezie. Następnie może się zająć ojcem, a gdy zabezpieczy los tego starca, niech wróci do mnie, gdziekolwiek i kiedykolwiek mu to podobnem będzie. Proszę mu oddać ten list i załączoną depeszę“.

List ten, nakreślony własnoręcznie ołówkiem przez Cesarza, był niezawodnie nadzwyczaj łaskawym, i wyrzekałem na losy przeciwnie, że mnie w innych, spokojniejszych i korzystniejszych warunkach nie udarzyły tym prawdziwym dla mnie zaszczytem. General Czernyszew rzekł do mnie jeszcze:

— Zapewne będzie panu przyjemnie teraz osobiste złożyć Cesarzowi podzięki za jego łaskę. Mój feldjeger odwiezie cię do pałacu, gdzie pan staniiesz przed Monarchą.

Przybliżył się do biurka, napisał słów kilka, list zapieczętował, zaadresował do Cesarza, oddał feldjegerowi, rozkazując, aby mnie zawiózł do Cesarza. Dodał jeszcze:

— Przedstawiłem też Cesarzowi życzenie pańskie, aby wrócić do Warszawy, dokonawszy powierzonej sobie misyi, ażeby w oczach rodaków za dezterera nie uchodzić. Cesarz ocenił pańskie w tej mierze przekonania. Widzisz pan, jaki on dobry, jaki szlachetny, jak go nie znają w Warszawie i nie umieją mu oddać sprawiedliwości. Jedźże pan teraz, rozmawiać będziesz ze swoim monarchą, a potem jeszcze do mnie wrócisz.

Przybyłem do cesarskiego pałacu, zwanego Anienkowskim, na perspektywie Newskiej, o w pół do 10-ej wieczorem. Wstąpiłem po marmurowych schodach, gdzie zaledwie dwie czuwały warty, w przed-sionku ujrzałem kilku feldjegrów i podrzędnych oficerów. Nie było nigdzie żadnego adjutanta, ani oficera służbowego. Zaprowadzono mnie

do salonu, polecając, abym tam poczekał, Cesarz bowiem nie wrócił był jeszcze z wieczery z Cesarzową. W tym salonie nie było nikogo, krom jednego kamerdynera, którego prosiłem o trochę wody kolońskiej, aby się ochłodzić, której mi też dostarczył. Tymczasem oddano list generała Czernyszewa, po chwili wszedł inny kamerdynier, oznajmując, że Cesarz mnie powołuje. Przeszedłem przez dwie komnaty, aż otworzył się przede mną gabinet Cesarza. Była to obszerna sala, otoczona szafami, pełnemi książek; w środku stół, zasłany papierami, mapami i książkami. Sześć świec płonęło na tym stole, przy którym, w niskiem krześle, siedział Cesarz. Na boku, pomiędzy oknami, paliła się lampa.

Cesarz jest wysokiego wzrostu, chłodnego obejścia, o rysach pięknych i obliczu pełnem wyrazu; twarz to piękna, wyniosła, ale surowa. Ubrany był w mundur pułku Przeobrażeńskiego. Za ledwie drzwi za mną zamknięto, aliści Cesarz się do mnie odezwał:

— Jak się masz, Wyleżyński?

Wstał z miejsca, postąpił ku mnie, za rękę mnie uściśnął, oparł się o krawędź stołu, podczas gdy przed nim stanąłem, i w tych słowach przemówił:

— Rad cię widzę, mianowałem cię moim adjutantem, bo jestem przekonany, że mi zawsze wiernym pozostaniesz, że nie przestaniesz być dobrym żołnierzem, dobrym Polakiem, wiernym złożonym ślubom, wiernym monarsze, a więc i ojczyźnie twojej.

Tu podziękowałem Cesarzowi za udzieloną mi łaskę, dodając, iż nie mniemałem, abym sobie obecnie na ten zaszczyt był zasłużył.

Cesarz: Należysz do tego pułku strzelców kounnych gwardyi, który tak dobrze spełnił powinność swoją w początkach; znalazłeś się w tym pułku, przy boku mego brata Konstantego w pierwszych chwilach rewolucyi, liczę na twój honor. Teraz zaś mówmy o Polsce. Wiesz, iż jestem spokojny, to więc, co wypowiem, nie będzie wynikiem żadnego uniesienia, lub namiętności. Alboż mogłem się spodziewać rewolucyi w Polsce? Przecież było wam dobrze! Zresztą, nie mam sobie nic do wyrzucenia, jako Król polski. Konstytucyę, którą zastałem u was, wstępując na tron, taką, jaką mi ją przekazał był brat mój, cesarz Aleksander, uszanowałem i zachowałem bez żadnej zmiany. Przybyłem do Warszawy na koronacyę, dopełniłem tyle dobrego, ile się dało, a pozostaję i nadal Królem polskim, prawowitym Monarchą, którym być nigdy nie przestanę. Może i znajdowały się pewne rzeczy, mniej dobre w Polsce, ale było to nie z mojej winy, należało się stawić w mojem położeniu i mieć we mnie zaufanie; chciałem dobrze i byłbym to dobre całkowicie w końcu przeprowadził. Zresztą, nic nie



mogło uprawnić rewolucyi, usprawiedliwić ten czyn bezbożny, ten napad na dom mego brata, z morderczym zamiarem targnięcia się na jego życie.

**J a:** Ci, którzy napadli na Belweder w nocy dnia 29 listopada, zapewniają, iż nie mieli najmniejszego zamiaru dokonania zamachu na życie Wielkiego Księcia.

**C e s a r z:** Ho, ho! Kiedy garstka zbrojnych wpada, mordując po drodze kilku generałów i służących, jekże przypuścić, iż nie byłiby i Wielkiego Księcia zabili, gdyby mieli ku temu sposobność. Chyba temu uwierzyć niepodobna. Co do generała Roźnieckiego, na którego tak powszechnie się uskarżają, znam go oddawna i nigdy nie miałem dla niego szacunku; wiem, że to jest łotr skończony, a jeśli został na tem stanowisku, należało wejść... (Tu Cesarz wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, iż było to z winy Wielkiego Księcia). Cokolwiekładz, wasze dzienniki nadto wiele się rozpisyują i, obyczajem dziennikarskim, przesadzają wiele, o ile mniemam.

Te słowa pozwoliły mi domyślić się, iż Cesarz musiał czytać gazety, które z sobą przywiozłem.

Następnie jął się dopytywać o szczegóły pierwszych dni rewolucyi, między innymi wspomniał, iż nie rozumie, jak wojsko mogło przystąpić do rebelii.

Odpowiedziałem, iż żaden wyższy dowódzca, żaden kapitan, niewiele nawet podrzędnych oficerów uczestniczyło w tajnych przedrewolucyjnych kłowniach, że po większej części zostali porwani przez swych podwładnych, przez młodzież, która, przykładając im pistolety do skroni, z całą egzaltacją tłumów, zmuszała ich do udziału w rewolucyi.

**C e s a r z:** Alboż przypuszczasz, iż nawet w 4-tym pułku piechoty nie było żadnego kapitana, któryby do spisku należał?

**J a:** Nawet w 4-tym pułku, co najwyżej jeden, lub dwóch przystąpiło do spisku, i jeszcze to zupełnie jest wątpliwe.

**C e s a r z:** A pierwszy pułkownik Chorzewski, dowodzący baterją artyleryi konnej w gwardyi, czyżby też nie miał być spiskowcem.

**J a:** Mogę ręczyć słowem honoru tak za niego, jak i za wszystkich oficerów tejże bateryi, która zresztą nie wyszła nawet z koszar, jak około północy. A i tu należałoby stawić się w jej położeniu: koszary te znajdują się w śródmieściu, blisko arsenału, właśnie w punkcie, gdzie nastąpił pierwszy wybuch rewolucyi. Stąd przywódcy ruchu zmusili ją do złączenia się z nimi. Zapewne tych ośm dział wielkiego kalibru rzeczonyj bateryi przyczyniły się do przeważenia szali,

ale nie mniej samą baterią o udział w spisku pomawianą być nie może.

Cesarz: Sądzę jednak, iż gdyby mój brat Konstanty miał być w ręku ową artylerję, byłby mógł stłumić rewolucję w pierwszym jej zaczątku. Z innej jednak strony rad jestem, iż nie wysuwał naprzód wojska rosyjskiego, coby zaraz sprawę zaostrzyło nienawiścią plemienną. Tym zaś sposobem Rosyanie mają czyste ręce, żaden z nich do Polaków nie strzelał.

Ja: Zapewne, Wielki Książę do działania nie przystąpił, a może pierwszej nocy mógł być opanować miasto, tembardziej, iż oprócz gwardyi rosyjskiej, miał przy sobie 4,000 polskiego żołnierza. Ale potrzeba było odrazu pierwszej nocy energicznie wystąpić.

Cesarz: Zapewne, i gdybym się tam był znalazł, ręczę, iż rzeczy inny byłyby obrót wzięły. W takich okolicznościach trzeba przeciw pospólstwu użyć kartaczy; jest to przykra i smutna konieczność, jedyna, która zapobiega większym w następstwie klęskom. Wiem, co to jest rewolucya, starłem się z nią tutaj i odrazu opanowałem. Wszystko wnet do ładu wróciło, bo po większej części byli to nieszczęśliwi, omamieni przez podżegaczy. Nawet część moich gwardyi, na które tak liczę, obróciła się przeciw mnie, lecz było to przelotne obłąkanie i rychło na drogę powinności wróciło. Nigdy bo żołnierze nie są w takich razach winnymi; widzisz warty, czuwające nad mojem bezpieczeństwem, może i one były wówczas przeciwko mnie, a dziś mnie strzegą. Inna rzecz co do oficerów, to też mogą być tylko zdumionym i bardzo niezadowolonym z tych wszystkich polskich generałów i dowódców, co się dali onieśmielić i porwać przez swoich podwładnych, lub agitatorów, aż do zupełnego zaniedbania własnych obowiązków, aż do połączenia się z buntownikami i stawania na ich czele. Szembek naprzykład, którego tak lubię, nie tylko że się z rebelizantami połączył, ale swem wejściem do stolicy na czele swego pułku, pierwszy z dowódców, konsystujących na prowincyi, zdecydował poniekąd dalszym rozwojem rewolucyi, dał przykład całej armii, pociągnął za sobą szeregi, dotąd wiernie, zbrał się z buntownikami i zmusił mego brata do usunięcia się, i to ten sam Szembek, który był przyrzekł Wielkiemu Księciu nie wchodzić do Warszawy i czekać dalszych jego rozkazów.

Ja: Wkroczenie generała Szembeka do Warszawy w istocie było zwycięstwem zbuntowanych, a przykład jego po części resztę wojska pociągnął za sobą, jest bowiem bardzo lubionym i ogólnie w armii szanowanym. Ale nie miał on tego zamiaru, nie należał do spisku i sam mi zaręczał, iż miał szczerą wolę pozostania wiernie pod rozkazami Wielkiego Księcia; atoli pośpieszywszy do swego pułku,

zastał go już w drodze, ożywionego największym dla rewolucyi zapalem; mówił mi, iż z twarzy swych żołnierzy wyczytał, że za najmniejszy opór byliby go rozstrzelali.

Cesarz: Należało się na to wystawić — oto co powinien był zrobić. Trzeba mu było dać się zabić, jak Hauke, jak Trębicki, z którym tak ściśle się przyjaźnił. Czemuż inaczej postąpił? Na cóż mu było rozpatrywać się w twarzach swych żołnierzy? Powiedz mu, iż się dziwię, że on jeszcze żyje, i że się po nim tej sromoty nie spodziewałem.

Cesarz, domawiając tych słów, zapalał się po trochu; następnie, już spokojniej, jał mnie dopytywać się o akademików. Odpowiedziałem, iż się zorganizowali w batalion, że pozostają na straży przy generale Chłopickim, i że wypada im oddać tę sprawiedliwość, iż przyczynili się najwięcej do zamknięcia klubów, powstrzymania gwałtów i uspokojenia stolicy.

Cesarz: Bo widzisz, są to ludzie, którzy otrzymali wyższe wychowanie, którzy są swiatlejsi, a więc widzą niebezpieczeństwo gwałtów, i posiadają podnioslejszą od podchorążych moralność. Zresztą ta szkoła podchorążych była szkodliwą instytucją. U siebie już ją oddawna zniosłem, a zawsze jej byłem przeciwny. Zamykać tak na kilka lat do pięciuset młodych ludzi, a nie uczyć ich niczego, musiało spowodować jak najgorsze skutki.

Zapytał mnie jeszcze Cesarz, jakie to polskie oddziały znajdowały się przy Wielkim Księciu w pierwszych chwilach rewolucyi. Wymieniłem takowe, wspominając i szkołę podchorążych konnych.

Cesarz: Rzecz dziwna, szkoła podchorążych pieszych tak się źle zachowuje, a szkoła jazdy tak dobrze; winni byli przecież działać za wspólnem porozumieniem. Co do pułku strzelców konnych gwardyi, który bodaj sam jeden walczył owej nocy i tak chlubnie dopełnił powinności, nie umiem dość mu wyrazić uznania. Dowiedziawszy się o pięknem postępowaniu tego pułku, myślałem o szerokich dla niego nagrodach, że przechodził do rangi starej gwardyi, że każdy oficer otrzymałby odznaczenie nowym orderem, i pełno jeszcze innych rzeczy. Sądziłem, iż pułk ten nie odstąpi już mego brata; później dowiedziałem się, iż poszedł za innymi, że wrócił do Warszawy; rozkazałem tedy wstrzymać wynagrodzenia. Teraz zapewne pułk ten zrobi to, co i reszta armii polskiej, a jednak nigdy mu nie zapomnę, że był przy moim bracie w owych pierwszych chwilach.

Ja: Pułk ten w istocie dużo zniósł obelg ze strony ludu za swym do Warszawy powrotem.

Cesarz: Ale skądinąd jak w sumieniu własnem odczuwać musieli zaspokojenie dochowanej wierności! Serca ich musiały rosnąć do-

pełnieniem obowiązku! Któż to dowodzi owym pułkiem? gdzież on się znajduje? bo już nic zgoła nie wiem.

**J a:** Jest to zawsze pułkownik Jagmin (adjutant Cesarza), obecnie zaś do Pułtuska wrócił.

Następnie spytał mnie, azali pułkownik Zielonka (inny adjutant cesarski w tym samym pułku) znajdował się tamże? czy który z oficerów nie poległ, nie został rannym? Nareszcie dodał:

— W powrocie pojedziesz na Pułtusk, aby pozdrowić ode mnie Jagmina i Zielonkę, a Jagminowi powiesz, iż jeżeli on może polegać na swym pułku, powinienby przesłać o tem raport memu bratu, Konstantemu.

Na to się zdumiałem i ośmieliłem się zapytać, jak to Jego Cesarska Mość rozumiała.

**C e s a r z:** Jako sytuację pułku, nic więcej.

Widząc atoli, iż rzecz ta mi się niepodobną zdaje, Cesarz dodał:

— Mówię to tylko w razie, gdyby rzecz była możliwą, ale w każdym razie powiedz Jagminowi i Zielonce, że oni eskortować mnie będą, gdy wejdę do Warszawy. Oto, czego pragnę, i co wkrótce uczynię, boć jestem Królem polskim, prawowitym Monarchą, i nim zawsze pozostanę, wbij sobie to dobrze w głowę i powtórz w Warszawie. Nie chciałbym użyć srogości, ufam, że stronnictwo rozsądniejsze w narodzie zwycięży, że uzna swą winę i na drogę obowiązku powróci. Ale żądam zupełnego, bezwarunkowego poddania się, bo nie chcę, ani mogę dać nic więcej. Pamiętaj tedy, że jestem Królem polskim, Królem prawowitym, i nim zawsze pozostanę. Zaufać mi można. Powtórz to w Warszawie, a ze swojej strony postępuj też, jak przynależy.

**J a:** Nie pozostaje mi nic, jak oplakiwać nieszczęścia, nad moją ojczyzną zawisłe.

**C e s a r z:** Łez tu nie trzeba, ale usiłowań, aby przekonać Polaków i do nich rozsądnie przemówić. Co do mnie, miłuję moich poddanych i żadna ofiara nie jest mi ciężką, gdy o ich uszczęśliwienie chodzi.

Tu sądziłem, iż mogę wsunąć słówko hołdu, zresztą szczerego, i wtrąciłem:

— Dała tego Wasza Cesarska Mość najjawniejszy dowód, udając się do Moskwy w czasie cholery...

Cesarz przerwał mi żywo...

— Nic nie dowiodłem, spełniłem tylko najprostszą powinność. O ile miłuję mych poddanych, o tyle, dla własnego ich dobra, potrafię dać uszanować mą władzę i stłumić rebelię. Lękam się, aby opróżnienie prowincyi, pozostałych bez załogi wojskowej, nie wywołało w nich

zamieszek, skoro mówisz, iż nawet żandarmów wycofano, aby ich w pułki organizować. Sądzę, iż lepiej ich było zostawić w miejscu dla policji i spokoju wewnętrznego. Co o tem myślisz?

**J a :** Ponieważ rodzaj gwardji narodowej wszędzie się organizuje, a składa się z obywateli, którym najbardziej idzie o utrzymanie porządku, sądzą, iż na razie to wystarczy.

**C e s a r z :** Ale czy do tej gwardji istotnie obywatele wstąpili, czy dobór zrobiono roztropny?

Tu Cesarz zaczął i o generałów pytać. Powiedziałem mu, że generał Stanisław Potocki został przypadkiem zabitym, bo go nie poznano.

Cesarz rzekł na to:

— Ten dobry, ten kochany Staś! żałuję go nieźmiernie, i tego dobrodusznego Nowickiego, i Trębickiego, ten umarł śmiercią walecznych zaiste!

**J a :** Po bohatersku skończył.

**C e s a r z :** Gdzież cię rewolucya zaskoczyła?

**J a :** Znajdowałem się u księżnej Jabłonowskiej.

**C e s a r z :** U tej ślicznej księżnej Teresy?

Spytął jeszcze, czy nie otrzymał rany, czy nie byłem wystawiony na jakie niebezpieczeństwo. Pochwalił generała Chłopickiego za rozdzielenie batalionu saperów, z których dwie kompanie wysłał do Zamościa, jedną do Modlina, jedną na Pragę; pochwalił i za odesłanie z Warszawy (podobno do Stanisławowa) czwartego pułku piechoty. Mówił raz jeszcze o konieczności naszego oddania się, kładł nacisk na własny charakter, który go zawsze utrzyma na polskim tronie, bo, jako Monarcha, nie miał sobie nic do wyrzucenia, a czuje się zdolnym garstkę buntowników pomiarkować. Dodał jeszcze:

— Zresztą, powiedz Polakom, iż rad przypuszczam, że obce, zagraniczne wpływy wywołały tę rewolucję; moi rosyjsey poddani bardzo są podrażnieni i źli na was, chcieliby wam jak najwięcej złego zrobić, z trudnością przychodzi mi ich pohamować. Ale, dopóki ja panuję, potrafię wolę moją przeprowadzić, zmusić, aby ją uszanowano i jej ulegano, zaczem Polacy mogą być w tym względzie zupełnie spokojni.

Następnie Cesarz mówił jeszcze o generale Chłopickim, i dodał:

— Żałuję, iż nie został czynnie użytym w wojsku polskiem, ale za wstąpieniem mojem na tron, już go zastałem wycofanym z czynnej służby. Ze wszystkiego, co widzę, przekonałem się, iż nie należał do spisku rewolucyjnego, a dziś jednak na czele rewolucyi się znalazł. Nie mam żalu do niego, że się ogłosił wodzem bez mego przyzwolenia, tem bowiem przywrócił w kraju ład pożądany. Zachodzi atoli py-

tanie: co dalej uczynić, i zupełnie nie wiem, co o tem trzymać. Czy generał Chłopicki nic ci nie zlecił dla mnie?

J a : Nic, Najjaśniejszy Panie. Powiedział mi tylko przy wyjeździe, iż gdyby Wasza Cesarska Mość raczyła ze mną rozmawiać, mam odpowiadać z całą szczerością i uległością, przynależną Monarsze.

C e s a r z : Rozumiem, że w obecnych okolicznościach nie mógł ci powierzyć żadnego poufnego do mnie pisma, ale czy ci nie dał jakiego ustnego zlecenia, nie kazał powtórzyć, co mam o nim trzymać, jak dalece na niego rachować?

J a : Nie, Najjaśniejszy Panie, nic zgoła mi nie zlecił.

C e s a r z (wpatrując się we mnie badawczo): Jaktó, nic, ani słowa więcej? Żadnego nie dał dla mnie objaśnienia co do swych dalszych zamiarów?

J a : Nic zgoła, inaczej byłbym już miał zaszczyt zwierzyć to Waszej Cesarskiej Mości.

C e s a r z (nieco zniecierpliwiony): To rzecz dziwna! Otóż ma on przed sobą piękne posłannictwo, pytanie: jak się z niego wywiąże. Obecne jego postępowanie nie będzie karygodnem, jeżeli się dobrze zakończy. Może on wrócić pomyślność ojczyźnie swojej, może jej oszczędzić klęsk wiele, może zdobyć sobie sławę i wdzięczność narodu swego i Monarchy, byle szedł dobrą drogą, drogą honoru. Zobaczymy, co dalej zrobi i czy sobie nie da przewrócić w głowie.

Cesarz jeszcze żądał ode mnie szczegółów co do organizacyi nowych sił zbrojnych w Polsce, a gdym wspominał nowy pułk jazdy, sztyftowany kosztem hr. Zamoyskiego, spytał mnie: „którego?”. Odparłem, że najstarszego syna prezesa Senatu, na co potrząsnął głową. Dodał następnie, iż bardzo jest kontent z generała Wincentego Krasieńskiego, pytał o generała Kurnatowskiego; na wiadomość, że spokojnie siedzi w Warszawie, rzekł do mnie:

— Pozdrów go w mojem imieniu; powiedz, że nie przyjmuję jego dymisji, że go i nadal uważam, jako pozostałego w czynnej służbie.

Pytał jeszcze i o innych generałów i dowódców korpusowych i zmarszczył brwi, gdym odpowiedział, iż wszyscy stoją na czele swych dywizyi, brygad, pułków, wyglądając rozkazów Dyktatora.

Na to Cesarz:

— Ufam, że się opamiętają. Naznaczyłem Płock, jako punkt zborny dla całej armii polskiej. Sądzę, że jest to punkt najlepszy, bo nie od strony Rosyi, a dalej od Warszawy i od wichrzycieli; miejsce trafnie dobrane, aby przyspieszyć powrót do ładu wewnętrznego.

Jakże mniemasz, czy mój manifest do narodu polskiego znajdzie posłuch? Czy wszyscy zwrócą się na drogę powinności i porządku, jak tego pragnę, i to bez użycia gwałtownych środków?

Zrazu odparłem, iż tego wiedzieć nie mogę. Na to Cesarz rzekł:

— Powiedz mi tedy, co sam o tem mniemasz, własne zwierz mi zdanie.

**J a:** Skoro Wasza Cesarska Mość żąda zupełnej szczerości, sądzę, iż manifest nfe uzyska posłuchu. Do tej pory zbliżka na wypadki patrzyłem, widziałem, jak daleko rzeczy zaszły, jak wielką jest egzaltacya w Warszawie, jak to nawet stronnictwo, które w gruncie chciałoby się poddać, znajduje się pod wpływem przeciwnej partyi, zmierzylem uczucia, ożywiające większą część Polaków, i przypuszczam, że pozostaną głuchymi na głos Waszej Cesarskiej Mości. Mogę się w tem mylić, pragnę tego nawet, ale na razie sam przeczuwam klęski dla mej nieszczęsnej ojczyzny.

**C e s a r z:** A zatem, jeśli mniemasz, że się oni dobrowolnie poddać nie zechcą, nic nie pozostaje, jak jeden środek, którego użyć będę przyniewolony, i jako Cesarz Wszechrosyi, i jako Król Polski. Niech padnie jeden strzał z waszej strony, a za nic już nie odpowiadam. Powiedz to w Warszawie. Ale, znowu mi się myśl narzuca. Mianowałem cię moim adjutantem z prawdziwą przyjemnością; teraz lekam się, aby cię to nie wystawiło na jakie w Warszawie niebezpieczeństwa? Cóż o tem sądzisz? Czy łaska moja nie mogłaby się tobie stać powodem jakich dokuczliwości? Byłoby mi to prawdziwie przykrem.

Wyznaję, iż owe słowa Cesarza, wymówione głosem, pełnym zyczliwości i zasmucenia, do żywego mnie tknęły, i odpowiedziałem, iż nie sądzę, aby stąd dla mnie wywiązały się niebezpieczeństwa, lecz że choćby i takowe znaleźć się miały, gotów jestem na nie się narazić.

Cesarz mnie uściskał i dodał:

— Żegnam cię, pozdrów ode mnie swego ojca, powinszuj mu w moim imieniu, iż ma tak dobrego syna. Żegnam cię, mój drogi, życzę ci szczęśliwej podróży.

Ścisnął mi dłoń, ucałowałem jego rękę, raz więcej całą wyraziłem wdzięczność i opuściłem komnatę cesarską.

Rozmowa ta z Cesarzem trwała przeszło dwie godziny. Minęła już była 11-ta wieczorem, kiedy wyszedłem z pałacu. Powtórzyłem, co było najważniejszego, co mi najlepiej w pamięci utkwilo z całej tej rozmowy. Cesarz dużo stawiał mi pytań, o wiele potrącał kwestyi, nie wspominał tylko ani Sejmu, ani żadnego cywilnego z Polaków. Raz po raz się zapalał, ale zawsze pewien majestat pobrzmiwał

w jego głosie, w całym przeświecał obejściu. Przytem coś uprzejmego i szczerego zarazem, mimo surowości oblicza, ośmielało mnie wobec niego. Zdawał się więcej zmartwiony, aniżeli rozgniewany, nie spodziewał się zresztą wówczas późniejszego obrotu wypadków, nie przeczuwał długotrwałej walki, nie dowierzał moim słowom co do udziału całego narodu w powstaniu. Może go i umyślnie łudzono na tym punkcie, powtarzano, iż łatwo przyjdzie zdusić rewolucję, i że tego tylko większa część polskiego narodu pragnęła. Powtórzono Cesarzowi każde słowo, które powiedziałem był Dybiczowi, lub Benckendorffowi. Wszystko, co należało, im wyraziłem. Z Cesarzem zaś wypadało mi tylko odpowiadać na jego pytania, nie śmiałem swobodniej z nim mówić. Nie wahałem się wszelako trzymać się ściśle prawdy i szczerze wyjawić myśl moją, gdy się nadarzyła sposobność ku temu, acz nie byłem parlamentarzem, ani wysłańcem narodu, i nie mogłem sobie nadawać tonów jednego, lub drugiego. Wszystko, com wówczas powiedział Cesarzowi, Dybiczowi, lub Benckendorffowi, lub napisałem w przedstawionej mu notatce, tak było ściśle prawdziwem, że w rok później, kiedy już wszystko się dla Polski skończyło, kiedy Cesarz objawić mi polecił swe najżywsze niezadowolenie w piśmie urzędowem, warującem mi, jako jedyną łaskę, całkowite o mnie zapomnienie, znalazło się jednak słowo uznania: „dla ściśłości i prawdziwości szczegółów, których wówczas o stanie kraju dostarczyłem“. Cesarz przypuszczał, że mam jakie ustne polecenie od Chłopickiego, a zresztą spodziewał się dowiedzieć jakich nieznanych sobie szczegółów, a nie chcąc widzieć oficera wojsk zbuntowanych, któregooby tylko mógł traktować surowo, mianował mię swym adjutantem, aby swobodniej ze mną mógł się rozmówić. Może i sądził, że to zrobi dobre wrażenie: gdyby tak było, nie spełniłem pod tym względem jego życzenia, nie mniej zachowałem wdzięczność za łaskawość, z jaką mnie przyjął, oraz za pozwolenie powrotu do Warszawy w podobnej chwili.

Wróciłem do hr. Czernyszewa. Ten mówił mi jeszcze o generale Szembeku (który był wówczas gubernatorem Warszawy), którego postępowanie znajdował okropnem. Pytał mnie też, co zaczął jest generał Woyczyński, który komenderował strażą bezpieczeństwa w całym kraju, pytał o wdowy zabitych w pierwszym dniu rewolucyi generałów, — panie Stasiową Potocką, Trębicką, Siemiątkowską. Powtórzył mi jeszcze, że chyba musiałem się przekonać o dobroci i wspaniałomyślności Cesarza, że Cesarz pragnął tylko, aby wszystko szło według prawa, że świeżo jeszcze, z okazji aresztowania kilku podchorążych i akademików, podejrzanych o sianie zamętu, Cesarz polecił mu stanowczo napisanie do Wielkiego Księcia i do Rady Ad-



ministracyjnej Królestwa Polskiego, iż śledztwo ma być przeprowadzone wedle praw konstytucyjnych polskich. Czernyszew dodał jeszcze, iż kredyt, jakiego Polska zażywa, jest wynikiem opieki Rosyi, wspomniał, jak dalece w Warszawie się na Cesarzu nie poznano, ile sam winien jestem wdzięczności Cesarzowi. Polecił mi nadto nie wiele się w Warszawie pokazywać, mieć się na ostrożności w dal-szem postępowaniu. Gdybym zaś chciał później dać o sobie wiadomo-ści, lub rozkazów zasięgnąć, winien jestem wprost do niego się udać. Wręczył mi depeşe dla hr. Sobolewskiego, prezesa Rządu Króle-stwa Polskiego, oraz rozkaz otwarty przepuszczenia mnie przez gra-nicę. Polecił mi natychmiast Petersburg opuścić, dodając, iż feldjeger będzie mi towarzyszył aż do rogatek miasta. Pozwolił mi widzieć przez chwilę hr. Zamoyskiego, który zamieszkiwał ten sam hotel, lecz zabronił jakiegokolwiek od niego zabrać listy. Tak więc, krom hr. Zamoyskiego, nikogo w Petersburgu nie widziałem, żadnego miano-wicie Polaka.

O w pół do drugiej po północy, dnia 31 grudnia, opuściłem Pe-tersburg z tą samą eskortą, która mnie tam była przywiozła, i w tym samym porządku: ja z oficerami naprzód w saneczkach, za nami w dru-gich podoficer z moim służącym.

---

Sunąłem szybko po śniegu. Sanna doskonała ułatwiła podróż do Rygi, gdzie byliśmy zmuszeni zano-cować, Dzwina bowiem niedosta-tecznie zamarzła, a mostu na niej nie było. Mogę tylko chwalić sobie eskortę, która mi okazywała nietylko grzeczność, ale prawdziwe względy, zwłaszcza w podróży powrotnej. W Rydze oficer mię prosił, abym mu pozwolił matkę odwiedzić i uścisnąć ją przed idącą wojną. W Mitawie podoficer przyprowadził mi swego młodszego brata, aby mi go przedstawić. Z Rygi do Kowna mieliśmy czas bardzo przykry. Stanęliśmy w Kownie dnia 3 stycznia 1831 roku wieczorem. Generał Pahlen I był już w Kownie z tym samym 4-tym pułkiem marynarki, który spotkałem był w Szawlach po drodze do Petersburga, a do którego należała moja eskorta. Cały pierwszy korpus już się był ku Grodnu posunął. Nie widziałem hr. Pahlena, pożegnałem mego ofice-ra, a dnia 4-go zrana przebyłem łódką Niemen i na polskiej stanąłem ziemi.

Dyrektor naszej komory celnej uradował się moim powrotem, słyszał bowiem, że mnie okuto w kajdany, rzucono w sanki i wywie-ziono wprost na Sybir. Co do mnie, byłem uszczęśliwiony, iż się zuów

w Polsce znajduję, oddycham swobodniej, bo mimo nowej godności i tytułu, drzałem wciąż w Rosyi, aby mi nie zagrodzono drogi do powrotu. Szybko teraz pędziłem, jedno tylko mi zawadzało, oto że na każdej stacyi pocztowej chciano mnie wypytywać o moją podróż, o słowa cesarza, o przygotowania wojenne Rosyi, o widoki pokoju czy wojny.

Obywatele niecierpliwie wyczekiwali mego powrotu, nadbiegali na stacye, skoro tylko usłyszeli trąbkę pocztową, zobowiązywali pocztmistrza, aby ich o moim przejeździe uprzedził, chociażby w nocy, gotowi mi ofiarować wszystko, co mieli, byłem na nich czekał. O ile nie wypadało mi powtarzać, com widział i słyszał, o tyle też byłoby mi to dużo zabrało czasu. Nie mniej musiałem być grzecznym w odnowie, co się zresztą zgadza z moimi zasadami i zwyczajem, a przytem owi poczciwi wieśniacy pytali o to, co ich najbliższej obchodziło, to jest o blizkie wkroczenie wojsk nieprzyjacielskich, o wojnę która, miała cały ich byt zmienić. Wszyscy jeszcze się łudzili nadzieją, że się rzecz polubownie da zakończyć, a przyznać należy, iż mało kto, zwłaszcza po prawym Wisły brzegu, rad był z rewolucyi.

W miasteczkach jeszcze więcej stosunkowo było zapału, oraz warcholów, którzy, za przykładem Warszawy, wmawiali w siebie i drugich rzeczy najnadzwyczajniejsze. Naprzykład to, że cesarz umarł, że wielka rewolucya wybuchnęła w Petersburgu, że cesarz był zmuszony opuścić stolicę, to znów, że korpus litewski podniósł rokosz i spieszy z Polakami się złączyć, że korpus Pahlena po krwawej walce z litewskim został rozbitym, itp. Wszyscy lękali się następstw wojny, tym tedy sposobem próbowali się ukołysać gadkami bez żadnej podstawy i oddalić rzekomo burzę, która miała niebawem nadciągnąć, trwając w zaślepienem powątpiewaniu o jej blizkości.

Za przyjazdem do Suwałk, wieczorem, zastałem na poczcie dość dużo zebranych osób, które, nie wiedząc kim jestem i skąd przybywam, pytały, azali nie jadę z okolicy Kowna. Na moją odpowiedź potakującą spytały, mrugając, co tam słyhać o cesarzu; odparłem, że zdrów i spokojnie w Petersburgu zostaje. Na to odpowiedzieli mi, że snadź jestem źle poinformowany, mają bowiem najpewniejszą wiadomość, że widział się zmuszonym opuścić stolicę, i ledwie z życiem uszedł do Prus, wraz z rodziną; wyrzucali mi, iż studzę zaprzeczeniem tych wieści zapał dla narodowej sprawy. Natenczas odpowiedziałem, iż raczej oni to się mylą, ja zaś mówię prawdę, tembardziej, iż przed czterema dniami mówiłem sam z cesarzem w Petersburgu. Spojrzeli jak osłupieni, pytając, czym nie jest pułkownikiem Wyleżyńskim. Na potakującą odpowiedź moją nuż mnie otaczać, zapraszać, ugaszczać i pytać. Mówiłem ostrożnie, wiedząc, że w każdym,

a zwłaszcza wojewódzkim, jak Suwałki, mieście, nie brakowało emisaryuszów, przybywających z Warszawy, z ramienia klubu patryotycznego, a raczej rewolucyjnego, który, acz zamknięty na rozkaz Dyktatora, potajemnie działał na umysły.

W Łomży ujrzałem już nowe oddziały jazdy. Formowano tamże kawalerję Augustowską, a pułkownik Jankowski przysłał oficerów i podoficerów z II-go pułku strzelców konnych, którzy tam mieli służyć za instruktorów. Maszty smołowe, czyli wici, dobrze były utrzymane. Spotkałem też wielu chłopów zbrojnych w kosy, którzy szli od Augustowa, bardziej wystawionego na pierwsze wkroczenie armii rosyjskiej, aby ich głębiej w kraju ćwiczyć i organizować w oddziały piechoty. Przed Różaną spotkałem regularne wojsko, z pierwszego i trzeciego pułku strzelców konnych, zachowujące się już jako w czasie wojennym, rozstawiając fortpoczty na koniu.

W Różanie spotkałem pułkownika Jankowskiego, oraz generała Przebendowskiego, u którego byłem na obiedzie. Rozmawiałem dłużej ze znanym mi oddawna pułkownikiem Jankowskim. Był on jednym z najwybitniejszych wojskowych w dawnym pułku ułanów polskich gwardyi Napoleona. Zgadzaaliśmy się w poglądach na smutne nasze położenie, widzieliśmy, iż wojna stała się nieuniknioną. Powtórzył mi, iż w Warszawie opowiadano o mniemanej w Petersburgu rewolucyi, zaczętem mój powrót przykre rozczarowanie tam przynieść. Umysły dotąd były mocno zagrzane; powiedział mi on nadto, że wojsko ma być inaczej zorganizowane, że generał Przebendowski utraci dowództwo, on zaś, Jankowski, stanie na czele tejże dywizyi, złożonej z pierwszego i trzeciego pułku strzelców konnych, oraz oddziałów jazdy augustowskiej i Płockiej, które sam już sztyftował; że owa dywizya miała być wysuniętą na pierwszą linię, pomiędzy Kowno i Białystok. Dodał, że cesarz postawił mnie w drażliwym położeniu, ale że postąpiłem, jak honor nakazywał, wracając do swoich wśród tak ciężkich okoliczności.

Dodał, iż co do swojej osoby, już sobie postanowił stanowczo, iż nie będzie się mieszać ani do polityki, ani do spraw wewnętrznych kraju, ale, że pójdzie z armią, walczyć będzie do końca z zapalem i poświęceniem, cokolwiek się stać może; mówił, iż obecnie czuje się zdrow zupełnie, i będzie mógł rozwinąć całą pożądaną czynność, że interesa swoje ułożył, testament napisał. Przypuszczał, iż w tej wojnie polegnie, ale chyba przewidywać nie mógł, że padnie pod razami stronnictwa, obwiniającego go w ślepej wściekłości swojej o zdradę, że zginie na ulicach Warszawy z rąk przerażonego, obłąkanego społeczeństwa, przywiedzionego do tak haniebnego czynu podżeganiem kilku zbrodniarzy, wmawiających w lud, iż tym sposobem ojczyznę

ocali, a tymczasem upadek sprawy przyśpieszyli. Jankowski mógł popełnić faktyczne błędy wojskowe, ale w nich zdrady nie było i z pewnością nie spodziewał się podobnego końca, ani sobie nań nie zasłużył. Powtarzam to tutaj z najgłębszym przekonaniem.

Dalej, w Pułtuskus spotkałem pułkownika Jagmina, dowódcę strzelców konnych gwardyi. Zwierzyłem mu poufnie, co mi cesarz rozkazał jemu poufnie powiedzieć, nie namawiając go do niczego. Odpowiedział, że tak on, jak i jego żołnierze, cokolwiek nastąpi, oddani są całkowicie sprawie narodowej, owszem, prosił, abym o tem zapewnił Dyktatora,

W Zegrzu na Narwi, ujrzałem już regularną piechotę 8-go pułku liniowego, pod wodzą pułkownika Skrzyneckiego. Nie chciano mnie przez most przepuścić, była to bowiem noc, ale skorom tylko się nazwał, z pośpiechem podniesiono baryerę, powszechnie bowiem wiadano o mojej podróży do Petersburga i oczekiwano niecierpliwie mego powrotu, spodziewając się, iż przywiozę rozstrzygające wiadomości. To samo zastałem i u warszawskich rogatek. I w istocie przynosiłem ze sobą wyraz silnej woli cesarza, który układów nie chciał, ustępstw nie obiecywał żadnych, lecz wymagał całkowitego poddania się.

Wojska rosyjskie miały wkroczyć niebawem, pośpiesznie na pograniczu się gromadząc, aby rozpocząć wojnę na pierwszy objaw oporu, stawionego z naszej strony. Wiadomości, które przywoziłem były tedy wojenne. Hr. Jezierski w tydzień później, już urzędowo tę wiadomość potwierdził, podczas, gdy ja ją raczej ustnie odebrałem i odnosiłem temu, który mnie był wysłał, a więc Dyktatorowi. W depezbach, które wiozłem dla hr. Sobolewskiego, wspomiano, iż niebawem hr. Jezierski na piśmie przywiezie ostateczne postanowienie. Moje depeze jakoś dojsć nie mogły do właściwych adresantów, bo list do ks. Lubeckiego w Petersburgu został rozpieczętowany przez cesarza, pismo zaś do Sobolewskiego otworzył w Warszawie na pełnej Radzie Chłopiicki.

Dnia 6 stycznia 1831 r. o 3-ej z rana przybyłem do Warszawy, skąd przed szesnastu dniami wyruszyłem. Dyktator zamieszkiwał wówczas pałac namiestnikowski, kompania z 1-go pułku strzelców pieszych pełniła służbę w dziedzińcu, adjutantami dyżurnymi, którzy nocowali w salonie, byli: kapitan Leski, porucznik Leon Rzewuski, podoficer gwidów Maurycy Potocki, oraz dwóch akademików. Obudzono Dyktatora, któremu zdałem sprawę z całego mego poselstwa.

# Własność ziemska w Królestwie Polskiem.

---

Za punkt wyjścia kształtowania się własności ziemskiej uważamy wprowadzenie kodeksu Napoleona do b. Księstwa Warszawskiego, z którego ulepione zostało Królestwo Polskie w dzisiejszych swych granicach. Konstytucya Księstwa Warszawskiego i kodeks Napoleona, dotąd obowiązujący, uwolniły z poddaństwa chłopą i uczyniły go wolnym, równouprawnionym obywatelem kraju, ale ziemię, przez niego uprawianą, uznały za własność dziedzica odnośnego folwarku, jego zaś za faktycznego ziemi tej dzierżawcę <sup>1)</sup>. Nowy ten, ze stosunku poddańczego wyłaniający się dzierżawca, posiadana przez siebie zabudowaną osadę obrabiał bydłem i narzędziami dziedzica, miał sobie zwykle udzielone pewne używalności pastwiskowe i leśne na obszarach dworskich, a w zamian za to wszystko uiszczal czynsz dzierżawny nie pieniędzmi, lecz, wbrew zasadniczemu pojęciom kodeksu, wypełnianiem pewnych osobistych posług, na ustnej umowie, lub zwyczaju opartych, z potrzebami gospodarstwa rolnego folwarku związanych. Nadto, uiszczal on zwykle pewne daniny w naturze, jak gotowe zboże, drób, przędza, miód, jaja, grzyby i t. p.

---

<sup>1)</sup> Porównaj dekret króla saskiego z dnia 21 grudnia 1807 roku. Dziennik praw Księstwa Warszawskiego, tom pierwszy strona 10.

Rozumie się samo przez się, że stosunki te, jako datujące z epoki poddaństwa, a tem samem z epoki ogromnej przewagi i uprawnienia dziedzica i moralnej jego nad ciemnym chłopem wyższości, musiały się okazać w wielu razach zbyt dla włościanina dzierżawy uciążliwemi. Lekarstwem na tego rodzaju uciążliwość był wprawdzie świeżo wprowadzony kodeks, nadający każdej ze stron prawo taki stosunek rozwiązać, albo za obopólną zgodą zmodyfikować go w sposób, więcej pojęciom słuszności odpowiadający, co też we wzajemnym interesie stron leżeć mogło i często leżało. Zupełne jednak ubóstwo i bezzaradność chłopca, gdy mu przyszło opuszczać osadę wraz z rodziną, nie pozwalały mu często korzystać z przysługującej mu swobody i zmusiły go nieraz do poddania się zbyt uciążliwym warunkom, przez niedość wyrozumiałego dziedzica podyktowanym.

Odnosnie do położenia ekonomicznego własności ziemskiej w epoce Księstwa Warszawskiego, należy zaznaczyć:

że za czasów pruskich ceny produktów rolnych, a za nimi i ceny majątków ziemskich, do niebywalej doszły wysokości;

że wskutek tego i wobec łatwego rządowego i prywatnego kredytu, właściciele ziemscy korzystali z niego nieopatrnie i bez koniecznej potrzeby, i

że gdy nadeszły czasy Księstwa Warszawskiego, i w skutek zaprowadzenia t. zw. systemu kontynentalnego, tak ceny produktów rolnych, jak ceny sprzedażne własności ziemskiej, do minimalnego obniżyły się poziomu, własność ziemska folwarczna w niesłychanie trudnem znalazła się położeniu. Z jednej bowiem strony dochodowość majątku, wskutek wielkiej taniości produktów rolnych, obniżyła się do minimum, gdy z drugiej znowu strony należało płacić procenta od nieopatrnie zaciągniętych długów, i wystarczyć na wszelkiego rodzaju ofiary, jakich wojna i uczucia patryotyczne wymagały.

Gdy po upadku Napoleona i zniknięciu Księstwa Warszawskiego nastąpiła era Królestwa Kongresowego, nowy rząd tego Królestwa zastał kraj wojnami wyludniony i do ostateczności wyczerpany z zasobów materialnych, a własność ziemską upadającą pod ciężarem wymagalnych długów. Mając na widoku przedewszystkiem potrzeby ogółu kraju, własność ziemską ratował tymczasowo moratoryami, i rozwinął rozumną i uznania godną pracę we wszystkich kierunkach państwowej działalności. W piętnastoletnim zaledwie terminie swego istnienia, rząd ten doprowadził kraj pod względem urządzeń administracji, organizacji sądownictwa, ulepszenia środków komunikacji, reorganizacji armii, wytworzenia zasobów skarbowych i zainicywania pracy w kierunku przemysłowym do igrzyska zadziwiających rezul-

tatów. Dopiero w 1825 roku można było przystąpić do racjonalnej pomocy dyszającej ciągle pod ciężarem długów własności ziemskiej. Położenie tej własności było tu rzeczywiście rozpaczliwe, Obok odłużenia, które w wielu razach wypełniało, lub przewyższało o wiele racjonalną wartość majątku, bezcennność wszelkiego rodzaju zboża dochodziła do tego, że cena korca pszenicy przedstawiała w różnych okolicach kraju i w różnych porach roku, od 9 do 16 złp., cena korca żyta od 3 złp. gr. 15 do 9 złp., jęczmienia od 3 do 9, owsa od 2½ do 5½ złp. Za bezcennością zboża poszła i bezcennność majątków ziemskich, na które nie było nabywców. Sprzedaż przymusowa przeto majątków odłużonych mogła mieć ten skutek, że i właściciel sekwestrowanego, acz mało odłużonego majątku, i kapitalista, którego wierzytelność mieściła się zupełnie wygodnie w wartości majątku, wskutek bezcenności ziemi, mogli, przy przymusowej sprzedaży, stracić całe swoje mienie. Ustanowione przeto w 1825 roku Towarzystwo Kred. Ziem., celem ratowania od bankructwa tych majątków ziemskich, które uratowane być mogły, musiało przedewszystkiem ustanowić ich kredytowy szacunek niższy od ich rzeczywistej wartości, opartej na dochodach, jakie one przynoszą, i tym sposobem wpoić zaufanie ich nabywcom. Najprostszą, a nawet jedyną drogą, do tego celu wiodącą, było oparcie się na tak nazwanym podatku ofiary, który właściciele ziemscy, w czasie czteroletniego sejmku, sami ustanowili i zobowiązali się płacić, i który miał przedstawiać jedną dziesiątą część ich czystego dochodu. Rozumie się samo przez się, że takie samoopodatkowanie nie mogło być ścisłe, bo zależało od większego, lub mniejszego naprężenia patryotycznego opodatkowanego, i wysokość podatku ofiary mogła przedstawiać albo dziesiątą, albo piątą, albo nawet dwudziestą część jego czystego dochodu. Ze względu przeto na tę okoliczność i na nader niskie ceny zboża, przyjęto zasadę, że opłacany podatek ofiary, pomnożony przez cyfrę 5, przedstawia czysty dochód majątku, a dochód ten pomnożony przez cyfrę 20—jego kredytowy szacunek. Trzy piąte zaś szacunku stanowiło maksymalną cyfrę pożyczki, na dobra ziemskie prywatne udzielić się mogącej. Pomimo tej zasady, władzom Towarzystwa służyło prawo, tam, gdzie bezpieczeństwo pożyczki na to pozwalało, mnożnik czystego dochodu majątku zwiększyć z 20 do 25, lub, gdy ostrożność tego wymagała, zmniejszyć go do 19 i niżej. Takie przyjąwszy zasady szacowania majątków ziemskich i wysokości kredytu, na nie udzielać się mogącego; Towarzystwo kredytowe ziemskie, na wzajemnej odpowiedzialności wszystkich zastawionych sobie majątków oparte i na pierwsze swe potrzeby kredytem skarbu państwa zaopatrzone, ustanowione zostało

na lat 28, w którym to przeciągu czasu pożyczki własności ziemskiej, na pierwszy numer hipoteki udzielane w listach zastawnych Towarzystwa, umarzały się w zupełności przy opłacie przez dłużnika półrocznie 2% na procent, płacony przez Towarzystwo posiadaczowi listu zastawnego i 1% na umorzenie długu. Zastrzeżono przytem, że wierzyciel hipoteczny, który domagał się zwrotu swej wierzytelności, obowiązany był przyjąć listy al pari. Papier ten, oddawna za granicą znany, cieszył się tamże wysokim kursem: u nas, pojawiwszy się po raz pierwszy, nie zdobył sobie zaufania, i kurs jego ujawnił się na giełdzie w cyfrze 74½ za 100. Rząd krajowy czynił wprawdzie wszystko, co było w jego mocy, aby ten kurs podnieść, i aby dać przykład swego doń zaufania, przyjmował listy zastawne 100 za 100 w zapłacie za sprzedane osobom prywatnym dobra rządowe; ale kurs taki, narzucony wierzycielom hipotecznym, usprawiedliwiany względami konieczności i lichwiarskimi procentami, pobieranymi od dłużników, ze stanowiska teoretycznego nie da się usprawiedliwić.

Z tego, co wyżej powiedziano, jasnym jest, że rząd nowego Królestwa wysilał całą swą niespożytą i rozumną energię, aby przyprowadzić organizację we wszystkich kierunkach państwowej działalności doszczętnie zniszczonego i zdezorganizowanego kraju. Z drugiej znów strony, własność ziemska, tylko co uratowana pożyczkami Towarzystwa od grożącego jej bankructwa, i gnębiona ciągle bezcennością produktów rolniczych, z trudnością tylko mogła niszczać przynależne od niej podatki skarbowe i raty Towarzystwa krédytowego, i potrzebowała pewnego wypoczynku, celem umocnienia swego chwiejnego położenia.

Wobec takiego stanu rzeczy, ani rząd krajowy, ani sejm nie mógł myśleć o rozwiązaniu kwestyi agrarnej drogą oczynszowania i uwłaszczenia włościan, kwestyi, wymagającej poprzednich studyów statystycznych, znacznych ofiar i nakładów ze strony właścicieli ziemskich, i roztropnych, na gruntownej znajomości stosunów miejscowych opartych, rozporządzeń prawodawczych. Sprawa ta przeto, w sąsiednich Prusiech w tej epoce podjęta i racjonalnie przeprowadzona <sup>1)</sup>, musiała być do lepszych odłożona czasów. Zaraz po ukończeniu wojen napoleońskich i gdy nastąpiła era głębokiego pokoju, na Zachodzie Europy, a mianowicie w Anglii i w Prusach, gdzie stosun-

---

<sup>1)</sup> Porównaj w tej materji ciekawą pracę d-ra B. Marchlewskiego w miesięczniku „Przegląd Polski“ z dnia 3/15 lipca 1902 roku i w następnych.



ki agrarne, własności ziemskiej dotyczące, były już uregulowane, musiało z natury rzeczy postawić się pytanie, jak na większej, lub mniejszej przestrzeni własnej ziemi, stanowiącej samoistną jednostkę gospodarską, należy gospodarować, aby z niej możliwie wysoki wyciągnąć czysty dochód, po potrąceniu wydatków na zaprowadzenie potrzebnych inwentarzy pociągowych, użytkowych, maszyn i narzędzi rolniczych, oraz wydatków na zapłatę parobków i najemników, do różnych prac, przy gospodarstwie używanych. W odpowiedzi na takie pytanie musiano z konieczności rozpocząć ściśle naukowe badania nad przyrodzoną urodzajnością różnych gatunków ziemi, nad warunkami wyczerpywania tej urodzajności i sposobami jej wzmacniania, nad fizyologią uprawianych roślin, nad racjonalnym wychowem i pożywieniem zwierząt pociągowych i tak nazwanych użytkowych, słowem, na tem wszystkim, co stanowi obecnie całość nauki rolnictwa. Zadaniem temi zajęli się uczeni agronomowie angielscy, a na ich czele Saintclair, a za nim Albrecht Thaer w Möglinie pod Berlinem, twórca sławnej teorii próchnicznej, która okazała się następnie błędną. Usiłowania te żywo zainteresowały pewną część naszego rolniczego społeczeństwa, ale ogół rolników odniósł się do nich biernie. Racjonalne bowiem gospodarstwo, prowadzone na samoistnych jednostkach gospodarskich, mogło zapewniać wyższe plony i przynosić względnie wyższy czysty dochód z ziemi, ale wymagało wiele pracy i znacznych nakładów kapitału i wiedzy, których niedostawało. Przeciwnie, tutejszy właściciel ziemski, posługując się darmo pracą pańszczyźnianego chłopca, począwszy od uprawy roli, aż do żniwa, omłotu zboża i wywiezienia go na targ, gorzej uprawiał swą rolę, niższe zbierał z niej plony i dochód jego ze sprzedaży zboża był szczupły. Ale wzamian za to koszta administracyi były prawie żadne, dochód z gospodarstwa rolnego, zwiększany ciągłym przyływem świeżego grosza z propinacyi, to jest z wyłącznego prawa sprzedaży wódki i piwa włościanom, w obrębie posiadłości właściciela folwarku osiadłym, wystarczał oszczędnemu i nieprzeciążonemu długami właścicielowi folwarku na zaspokojenie skromnych potrzeb życia na wsi, na opłatę niskich podatków i rat od pożyczki Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Jedyne zaś przemysł, związany z prawem propinacyi, jaki obiecywał pewne zyski właścicielowi majątku, ale zgubnie wpływał na moralność i dobrobyt włościan, ujawniał się w staranniejszej uprawie kartofli i jęczmienia, i w zakładaniu, chociażby w najbardziej prymitywny sposób urządzanych, gorzelni i browarów.

W takim położeniu własności ziemskiej i w bujnym rozkwicie stosunków państwowych Królestwa, wybuchło niespodziewanie po-

wstanie listopadowe w 1830 roku, które zmieniło doszczętnie warunki bytu kraju, tak pod politycznym, jak ekonomicznym i moralnym względem. Po upadku blisko rok trwającej, krwawej, a niedoleźnie prowadzonej wojny, ustawę konstytucyjną zastąpił formalnie tak zwany statut organiczny, faktycznie zaś rządy stanu wojennego, które, stosownie do okoliczności, obostrzone, lub łagodzone, trwały aż do śmierci cesarza Mikołaja. Wojna wyczerpała wszystkie zasoby pieniężne prywatne i skarbowe, a kraj, oprócz ofiar w ludziach, jakie wojna zabrała, stracił kilkanaście tysięcy, w znacznej części młodych i zdolnych wojskowych, i skompromitowanych działaczy politycznych, którzy wyszli za granicę i nie chcieli, lub nie mogli korzystać z udzielonej im przez cesarza amnestyi. Jak po każdej wielkiej klęsce publicznej, tak i po tej przegranej wojnie, kraj popadł w stan chwilowego osłupienia, po którym nastąpiła konieczna rezygnacya dostosowania się do nowych warunków bytu. Ale pewna część emigracyi w ówczesnych Niemczech, w Anglii i we Francyi sympatycznie i życzliwie przyjęta, nie dała za wygraną. Nie znając, lub lekceważąc i nowe warunki bytu, w jakich się kraj zwyciężony znajdował, i położenie, oraz usposobienie ludu wiejskiego, a oszołomieni teoryjami rewolucyjnymi, ludzie ci zapragnęli rządzić u stóp zwycięscy leżącym krajem z Paryża, i wskrzesić w nim nową wojnę ludową. Wysłani w tym celu emisaryusze, rzucili się w najlepszej wierze i z największym poświęceniem w te szalone przedsięwzięcia, wciągając do nich gorętszą i niedoświadczoną młodzież, i kompromitując roztropnych obywateli ziemskich i ojców rodziny, którym uczucie honoru nie pozwalało odmówić ludziom tym gościnności, a tem mniej wydáwać ich w ręce władzy policyjnej. Naturalnem takiego stanu następstwem było silne obostrzenie stanu wojennego, demoralizujący rozrost policyi tajnej, śledztwa, sądy wojenne i nieszczęście całych rodzin. Jednem słowem, zapanowała w kraju ta straszna, duszna atmosfera, w której życie stało się nieznośnym ciężarem, rodzącym apatyę przeciwną wszelkiej produkcyjnej pracy.

W tych warunkach własność ziemska, której pewna część, wskutek niekorzystania przez emigrantów z udzielonej amnestyi, przeszła na własność skarbu, ciągnęła dalej swój, na pańszczyźnie oparty, leniwy żywot, a dotkliwe rany, jakie jej zadała wojna, zabiłżniała nowemi pożyczkami tak nazwanego drugiego okresu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, które w 1838 roku ukazem cesarskim znowu na lat dwadzieścia ośm zostało przedłużone.

W tej właśnie epoce powstaniowej rząd krajowy zajął się na seryo racjonalnie obmyślanem oczyszczaniem włościan, w majątkach

skarbowych, dotąd wydzierżawionych osobom prywatnym, a następnie w przeważnej liczbie rozdawanych rosyjskim zasłużonym wojskowym i cywilnym dygnitarzom. Oczynszowania te, dokonywane z wielką ścisłością po umiarkowanych stawkach czynszowych, z morgi ustanawianych, na podstawie przeciętnych cen żyta, zaczerpniętych z foraliów najbliższych miasteczek, i przy odpowiednem wynagrodzeniu ziemią za przysługujące im dogodności leśne i pastwiskowe w lasach skarbowych, wywołały odpowiedny ruch umysłowy w sferach ziemiańskiej inteligencji. Ruch ten ujawnił się w licznych pracach literackich, jak „Poranki karlsbadzkie“ Tomasza Potockiego, artykuły Ludwika Górskiego w „Bibliotece Warszawskiej“, książka Seweryna Uruskiego i „Roczniki gospodarstwa krajowego“, wydawane przez Spółkę światłych ziemian pod redakcją Garbińskiego, a po jego śmierci pod redakcją hr. Andrzeja Zamoyskiego. Idąc, czy to za przykładem rządu, czy za rozbudzonym w tym kierunku prądem, pewna liczba inteligentniejszych i zamożniejszych właścicieli ziemskich, mianowicie zaś w dystryktach popruskich zamieszkałych, czynszowała włościan wieczyście na zasadach rządowych, lub wypuszczała w długoletnią dzierżawę pożądanę przez nich osady i grunta, i przechodziła na gospodarstwa, tak zwane parobczane. Ale pomiędzy tymi ostatnimi właścicielami znajdowali się i tacy, którzy, przechodząc na gospodarstwo parobczane, rugowali doszczętnie włościan z posiadanych przez nich gruntów i wcielali je do obszarów folwarcznych, do czego im też najzupełniejsze formalne służyło prawo... Praktykom tym położył koniec ukaz zd. 26 maja (7 czerw.) 1846 r., ogłoszony uroczyscie we wszystkich gminach Królestwa 20 sierpnia (1 września) tegoż roku. Treścią onego było: 1-o zakaz samowolnego nakładania nowych powinności na rolników po miastach i wsiach zamieszkałych, i przynajmniej trzy morgi nowopolskie ziemi obrabiających, i zachowanie wszelkich przysługujących im dogodności, dopóki oni obowiązki, do nich przywiązane, należycie wykonywać będą; 2-o zniesienie wszelkiego rodzaju wymaganych od rolników tak zwanych danin i tym podobnych powinności, niemających tytułu prawnego, i 3-o zapewnienie pomocy rządu tym właścicielom majątków, którzyby chcieli wejść w układy z włościanami o oczynszowanie za pośrednictwem i pod kontrolą władzy, jaką rada administracyjna w tym celu ustanowi. Ukaz ten, wydany i ogłoszony bezpośrednio po rzeziach właścicieli ziemskich, jakie w Galicyi zachodniej w lutym tegoż 1846 roku miały miejsce, miał jeszcze ten uboczny, ale moralny cel i skutek, że łącznie z innymi rozsądnymi policyjno-administracyjnymi zarządzeniami, zapobiegł przedostaniu się do Królestwa zarazy gali-

cyjskiej, której symptomata dostrzegać się już dawaly w powiatach, z Galicyą graniczących,

Postanowienia ukazu z 1846 roku zapobiegły samowolnemu rugowaniu włościan, a uformowane tak zwane tabele prestacyjne unormowały wprawdzie jasny stosunek wzajemnych pomiędzy dworem i włościanami obowiązków; ale pańszczyzny, która przybrała charakter stosunku przechodniego, usunąć na razie nie mogły. Przemiana onego na stosunek czynszowy wymagała przedewszystkiem wzajemnego porozumienia się stron, odnośnego do zamiany gruntu włościańskiego na inny, jeżeli zamiana taka okazała się konieczną ze względów ekonomicznych, ze względu na jakość i względną wartość jego, na wysokość czynszu, opłacać się mającego z morgi, przy ewentualnem zastrzeżeniu sobie przez dziedzica pewnych dodatkowych dni roboczych przy żniwie, lub sianokosach, ze względu na bonifikację włościanina za utratę przysługujących mu dogodności leśnych, lub pastwiskowych, ze względu wreszcie na udział dziedzica w kosztach przeniesienia budowli włościanina na nową, przez niego przyjętą osadę i na wszelkie inne, umowie towarzyszyć mogące szczegóły. Umowa o czynszowanie wymagała nadto zatwierdzenia władzy, nieposiadającej dostatecznych do tego instrukcyi. Dokładna w tej materii instrukcyja ukazała się dopiero w postanowieniu rady administracyjnej z dnia 4/16 stycznia 1858 roku. Instrukcyja ta jednak, przepełniona zbyt ciężkimi uciążliwymi formalnościami, okazała się raczej utrudnieniem, niż ułatwieniem postępu oczynszowania. Wreszcie oczynszowanie włościan związane było z koniecznością przemienienia gospodarstwa pańszczyźnianego na gospodarstwo parobczane, i wymagało pewnego, i to znacznego, ze strony właściciela nakładu kapitału na kupno inwentarzy pociągowych, narzędzi rolniczych i urządzenia mieszkań dla parobków, jako stałej służby folwarcznej. Do przyczyn tych, powodujących pewien konieczny zastój w zastosowaniu się do wymagań ukazu z roku 1846, życzliwie zresztą przez opinię publiczną przyjętego, dołączyły się jeszcze groźne ruchy rewolucyjne, jakie nawiedziły zachodnią Europę w 1848 roku i nastąpione po nich wojny, które zwróciły myśl w inną stronę i wywołały w społeczeństwie naszym odruchy, surowo tłumione i przywracające na nowo tę duszną polityczną atmosferę, o jakiej wyżej była mowa.

Stan ten zastój w oczynszowaniu włościan, o ile powodowany był trudnem położeniem finansowem właścicieli majątków. uległ zmianie na lepsze wskutek znacznego podwyższenia się cen zboża i wskutek ukazu z dnia 8/20 kwietnia 1853 roku. Ukaz ten bowiem,

mając na celu polepszenie stanu gospodarstw właścicieli ziemskich drogą ułatwienia przeprowadzenia w ich dobrach czynszowania włościan, zezwolił na ponowne przedłużenie istnienia Towarzystwa kredytowego ziemskiego na lat dwadzieścia ośm, a tem samem wtedy upoważnił Towarzystwo do przyznawania nowych i odnowionych pożyczek trzeciego okresu, których ostateczne umorzenie nastąpić miało w 1881 roku.

Zanim jednak ukaz ten mógł wejść w praktyczne zastosowanie, nastąpiły ważne wypadki polityczne, jak wojna krymska, śmierć cesarza Mikołaja, wstąpienie na tron cesarza Aleksandra II i pokój paryski. Wypadki te dziejowej doniosłości żywo zainteresowały umysły społeczeństwa i rozbudziły jego nadzieje przedewszystkiem w kierunku przemiany dotychczasowych rządów wojennych na rządy normalne.

Cesarz Aleksander życzliwie był dla tych nadziei usposobiony, i za pierwszą swą w 1858 roku bytnością w Warszawie zapewnił, że gotów powrócić krajowi instytucje, przez jego ojca mu nadane. Zanim jednak zamiary jego mogły być urzeczywistnione, to jest zanim instytucje, przez cesarza Mikołaja krajowi nadane, a przez dwadzieścia pięć lat rządami wojskowemi zastępowane, mogły być w życie wprowadzone, należało je poprzednio na nowo rozpatrzyć i do zmienionych stosunków położenia dostosować.

Niezależnie jednak od tak przedstawiającej się kwestyi politycznej, rząd nowego panowania ani na chwilę nie stracił z oczu sprawy podstawowej społecznej, to jest unormowania stosunków agrarnych na podstawie ukazu z dnia 26 maja (7 czerwca) 1846 roku, sądząc zupełnie zasadnie, że samoistna, od wszelkich ograniczeń wyswobodzona własność ziemska, większa i mała, jest pierwszym warunkiem owocnego rozkwitu i produkcji rolniczej.

Pierwszym wyrazem dążności zaopiekowania się rolnictwem krajowem było powołanie do życia Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiem przez potwierdzenie przez cesarza jego ustawy w dniu 12/24 listopada 1857 roku, na mocy której Towarzystwo to zorganizowało się i rozpoczęło swą działalność 4/16 stycznia 1858 roku, a z przyjściem do władzy margrabiego Wielopolskiego, w dniu 16 kwietnia 1861 roku zostało rozwiązane. Drugim aktem, do przyspieszenia czynszowania włościan dążącym, było postanowienie Rady administracyjnej z dnia 16/28 grudnia 1858 roku, o którym już wyżej wspomnieliśmy. Za trzeci ważny krok, do tego celu wiodący, na-

leży uznać odezwę dyrektora Komisji rządowej spraw wewnętrznych z dnia 31 października 1859 roku, zawiadamiającą prezesa Towarzystwa rolniczego, że cesarz, na przedstawienie księcia namiestnika, dozwolił raczył Towarzystwu rolniczemu roztrząsać na swych posiedzeniach i ogłaszać w swym organie uwagi swoje względem środków, mogących posłużyć do postępu oczynszowania włościan na postawionych przez rząd zasadach. Dalej, zawsze w kierunku żywszego i ostępu oczynszowania włościan, należy przytoczyć Ukaz z dnia 10/22 maja 1860 roku, upoważniający Towarzystwo kredytowe ziemskie do przyznawania podwyższonych pożyczek trzeciego okresu drugiej serii, umarzających się w 1881 roku, jak również dwudziestolecie pożyczek krótkoterminowych o niskim procencie z tak nazwanego funduszu użyteczności ogólnej<sup>1)</sup>, tym obywatelom ziemskim, którzy w do-  
brach swych przeprowadzają oczynszowanie włościan.

Ponieważ, czy to wskutek zawitych formalności, jakie postanowienie Rady administracyjnej z 16/28 grud. r. 1858 zmuszało wypełniać przy zawieraniu układów o oczynszowanie włościan, czy to wskutek rozgorączkowania politycznego umysłów, postęp w biegu oczynszowania okazał się słabym; Księżę Namiestnik postanowieniem swem z d. 20 marca (1 kwietnia) 1861 r. zarządził opracowanie projektu do prawa o oczynszowaniu z urzędu. Do pracy tej powołano 13-tu najwybitniejszych obywateli kraju, pomiędzy którymi znajdujemy Zygmunta, najstarszego syna Margrabiego Wielopolskiego. Obszerna ta, wyczerpująca i sumienna praca, pod nagłówkiem „Myśli i uwagi w przedmiocie Projektu do prawa o oczynszowaniu z urzędu”, opatrzona motywami, przeszła przez krytykę, zmiany, uwagi i dodatki najrozmaitszych władz centralnych, i stała się ostatecznie podstawą do „Prawa o oczynszowaniu z urzędu włościan w Królestwie Polskiem” z dnia 24 maja (5 czerwca) 1862 r. Zanim jednak uwagi, zmiany i przeróbki, o jakich mowa, do tego doprowadziły rezultatu, pojawił się stanowczy i do oczynszowania niejako zmuszający Ukaz z d. 2/14 maja 1861 r., stanowiący: 1-o że począwszy od dnia 19 września (1 października) tegoż roku, każdemu włościaninowi, podpadającemu pod Ukaz z d. 26 maja (7 czerwca) 1846 r., służy prawo zamienić odrabianą przez siebie pańszczyznę na t. zw. okup prawny, którego wysokość w różnych okolicach kraju, względnie do

---

<sup>1)</sup> Porównaj prawo z 8/20 kwietnia 1850 roku i prawo z 10/22 maja 1860 roku.

stniejących warunków ekonomicznych, roztropnie została ustanowiona; i 2-o że dobrowolne umowy o oczynszowanie włościan, przed ogłoszeniem postanowienia Rady administracyjnej z d. 16/28 grudnia 1858 r. zawarte, a dotąd przez Komisję rządową spraw wewnętrznych nie zatwierdzone, jeżeli są bezspornie przez strony wykonywane, zachowują się w swej mocy i nie potrzebują zatwierdzenia.

Charakterystyką dopiero co wspomnianego „Prawa o oczynszowaniu z urzędu włościan w Królestwie Pol.” z dnia 24 maja (5 czerwca) 1862 r. jest, że ono w uszanowaniu zasady, że osady włościańskie są niezaprzeczalną własnością dziedzica, zachowuje co do nich dla dziedzica prawa, wypływające z pojęcia „dominii directi”, jak prawo propinacyi, polowania, rybołówstwa i własności tego, co się znajduje wewnątrz ziemi, a pozostawia włościaninowi, posiadającemu „dominium utile”, prawo własności i użytkowania ze wszystkiego, co się znajduje na jej powierzchni. Niezależnie od tej podzielności praw własności, prawo, o jakim mowa, w 1-szej swej części, wypełni uszanowało przepisy Ukazu z d. 26 maja (7 czerwca) 1846 r., co do rozległości praw własności, rozgraniczenia gruntów włościańskich od dworskich, uprzątnięcia, za wynagrodzeniem, wszelkich wspólności użytków lub służebności, i wogóle ścisłego unormowania wzajemnych stosunków prawnych, zapobiegającego wszelkim w przyszłości nieporozumieniom. W drugiej swej części prawo to ustanowiło osobne ad hoc urzędy wykonawcze i obmyśliło odpowiednią procedurę, zapewniającą możliwie szybkie i sprawiedliwe wykonanie oczynszowania z urzędu.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach cały szereg usiłowań, jakie w pierwszych latach wstąpienia na tron Cesarza Aleksandra II rząd krajowy i rozum ówczesnego społeczeństwa z siebie wyłoniły, by nareszcie unormować długo oczekującą rozwiązania sprawę agrarno-społeczną, będącą nieodzownym warunkiem dalszego ekonomicznego i społecznego rozkwitu <sup>1)</sup>.

Przytoczywszy cały szereg usiłowań, tak ze strony rządu, jak i ze strony społeczeństwa ziemiańskiego doprowadzenia do skutku

---

<sup>1)</sup> Dla dopełnienia obrazu objaśnić tu jeszcze należy, że obok prawa o oczynszowaniu z urzędu, na wniosek hr. Tomasza Potockiego, ostatnie ogólne zebranie członków Towarzystwa rolniczego, oświadczyło się za możliwie szybkim doprowadzeniem włościan do własności posiadanych przez nich osad, i że wskutek tego oświadczenia opracowany został projekt Ustawy instytucji Kredytowej, skup czynszów na celu mającej.

tyłe pożądaney reformy agrarnej, nie możemy przemilczeć o równoległej, wręcz w przeciwnym kierunku działającej akcji.

Akcją tą były, już w r. 1858 rozpoczęte, zrazu nieważne demonstracye polityczne, przez rząd krajowy ignorowane lub lekceważone, które też szybko szerokie i wyraźniejsze przybierały rozmiary. Ostatecznym celem onych było wywołanie zbrojnego przeciw Rosyi powstania, pośrednim zaś niedopuszczenie do zamierzonego oczynszowania włościan. Koryfeusze powstania bowiem ludzili się tem przekonaniem, że gdy wybuchnie powstanie, a oni ogłoszą uwłaszczenie posiadanych przez włościan gruntów, uwłaszczeni porwą za kosy i widły, aby bronić nadanej im własności.

Nie do nas należy zastanawiać się nad przyczynami zamierzonego powstania, ani badać, jakie rządy i w jakich widokach podtrzymywały agitacyę powstańczą, celem niedopuszczenia spokojnego rozwoju nowych w kraju stosunków pomiędzy Polską i Rosją. Wyjaśni to kiedyś trzeźwy historyk, z położeniem oraz z tajnikami ówczesnej dyplomacyi obeznany.

My, stojąc na gruncie samych faktów, zaznaczamy, że w walce o lepsze dwóch dopiero przytoczonych prądów reformy włościańskiej dotyczącej, ówczesny rząd krajowy poniósł prawdziwą klęskę wskutek zniechęcia sobie duchowieństwa, które z natury rzeczy dierży w swych ręku przekonania i sumienia ludu, i przez rozwiązanie towarzystwa rolniczego, przedstawiającego zachowawczą i karną grupę właścicieli ziemskich, z kilku tysięcy osób złożoną, o którą, jak o niezłomną skałę, rozbijały się wzrastające rewolucyjne fale. Naturalnem tych faktów następstwem było, że i duchowieństwo, i rozbitki Towarzystwa rolniczego rzucone zostały na pastwę zręcznej i z każdej sposobności umiejacej korzystać agitacyi rewolucyjnej, i że rząd krajowy pozostał osamotniony i coraz to więcej przez postępy idei powstańczej prześcigany. Położenia tego nie naprawiły, ani rozumne prawa organiczne, przez rząd inicjowane, ani zdobywane coraz to szersze koncesye polityczne, ani nawet nadanie Królestwu autonomii narodowej, z bratem Monarchy, W. Księciem Konstantym, jako Namiestnikiem królewskim na czele, i Jego pomocnikiem, Margrabią Wielopolskim, jako naczelnikiem rządu cywilnego.

Pozostawał—jak się zdaje—jeden niezawodny środek zapobieżenia zamierzonemu powstaniu przez uwłaszczenie włościan tymczasowo na podstawie już wyżej przywiedzionego Ukazu o okupie pańszczyzny, odkładając na później bliższe tego stosunku uregulowanie. Wyprzedzeni w ten sposób przez rząd w uwłaszczeniu włościan, koryfeusze



powstania straciliby od razu całą podstawę porwania za sobą wiejskiego ludu.

Rząd tego środka nie użył i stało się co się stać musiało. Wybuchło w styczniu 1863 r. zbrojne powstanie, zwyciężone ostatecznie w jesieni, zniweczyło kilkoletnią i-owocną pracę społeczeństwa i stało się przyczyną radykalnego przeistoczenia politycznych i społecznych urządzeń Królestwa. Po upadku Margrabiego i opuszczeniu Warszawy przez W. Księcia Namiestnika, Królestwo polskie pod względem politycznym stało się pojęciem geograficznym, stanowiącym część integralną Cesarstwa z dążnością możliwego zjednoczenia się z całością pod względem administracyjnym, sądowniczym i wychowawczym, zachowując wszakże te cechy odrębności, jakie są koniecznym następstwem różnicy obowiązującego prawodawstwa, wierzeń, przyrodzonych przymiotów i tradycyi miejscowej ludności i położenia geograficznego.

Pod względem społecznym i ekonomicznym prawó o oczynszowaniu z urzędu z 24 maja (5 czerwca) 1862 r. zastąpione zostało trzema Najwyższemi Ukazami z 19 lutego (2 marca) 1864 r. Pierwszy z nich, rozszerzając pojęcia i zakres Ukazu z 26 maja (7 czerwca) 1846 r., uznał za rolników wszystkich nie tylko rolników wsi i miasteczek, którzy odrabiali pańszczyznę, opłacali za nią okup lub czynsz, z posiadanych przez siebie gruntów bez względu na ich rozległość, ale zaliczył nad to do tej kategorii służących folwarcznych, posiadających ogrody dworskie i mieszkających w osobnych izbach, poza obrębem zabudowań folwarcznych leżących <sup>1)</sup>. Wszystkim tym rolnikom nadał on pełną własność posiadanej przez nich ziemi wraz z budynkami, nietylko własność powierzchni ziemi, ale i własność wnętrza onej, jak również prawo propinacyi, polowania i rybołówstwa, to jest prawo tych wszystkich przywilejów, które dotąd przysługiwały posiadaczom tak zwanego dominii directi. Oprócz tego rzeczony Ukaz pozostawił wszystkim tak uwłaszczonym dziedzinom w znaczeniu prawnem służebności prawo używalności pastwiska na polach, lub łąkach, oraz prawo zbieraniny, lub wyrębu w lasach dziedzica, z jakiego oni dotąd korzystali, pozostawiając stronom na drodze dobrowolnego porozumienia możność ułożenia się o zamianę tych służebności na

---

<sup>1)</sup> Z pod dobrodziejstwa tego wyjęci zostali parobcy folwarczni, za mieszkali w większych domach, tak nazwanych koszarach, w obrębie zabudowań położonych,

wynagrodzenie ziemią, lub lasem, do czasu, w którym nastąpi zlikwidowanie ich z urzędu.

Drugi tej kategorii ukaz, uchylając ustrój i zakres dotychczasowej gminy, polecił ustanowić nowy podział powiatów na większe okręgi, czyli gminy. Nowe te gminy, obdarzone autonomią, wybierały z pośród członków, posiadających własność ziemską, zarządy gminne, stanowiące ostatnie ogniwo administracji powiatu. Wybierały nadto sędziów, rozstrzygających w granicach nadanych im atrybucji cywilne i karne sprawy, zaszłe pomiędzy mieszkańcami gminy, i wreszcie zawiadywały własnością i sprawami ekonomicznymi gminy.

Trzeci wreszcie z pomienionych Ukazów ustanowił sposób i zakres wynagrodzenia właścicieli ziemskich za odjęte im grunta. Wynagrodzenie to odbyło się z funduszów skarbowych, wzmocnionych jedynie czasowo dochodami z propinacyi, jakie osiągnięte zostaną z gruntów uwłaszczonych, w ten mianowicie sposób, że wypuszczono odpowiednią potrzebę ilość listów, tak zw. likwidacyjnych, przynoszących 1/2 prowizyi i umarzających się w ciągu lat pięćdziesięciu dwóch, i listami temi zapłacono dziedzicom przypadające im należności. Otóż jeżeli pominiemy wielkie wprowadzie ekonomiczne i moralne szkody, jakie spowodowało szybkie i bezwzględne, pod naciskiem politycznych względów zastosowane, uwłaszczenie, jak również pozostawienie niezlikwidowanych służebności; to przyznać trzeba, że dopiero przytoczone Ukazy, regulujące radykalnie długo oczekujące uzdrowienia stosunki agrarno-społeczne, uznać należy za dobroczynne. Włościanie bowiem w Królestwie Polskiem, stanowiący najluźniejszą klasę społeczeństwa, stali się pełnymi właścicielami posiadanych gruntów. Obdarzeni nadto służebnościami na obszarach dworskich i wyswobodzeni z pod zależności dziedzica, stali się pełnymi obywatelami kraju, wybierającymi członków zarządu gminy i sędziów gminnych, i zawiadującymi interesami gminy autonomicznej.

Położenie też włościanina w Królestwie Polskiem jest o wiele korzystniejszym od położenia włościanina wielkorosyjskiego. Przyczyną tego jest i różnica reformy agrarnej z mocy Ukazu z dnia 19 lutego (2 marca) 1861 roku, i różnica obowiązujących praw, oraz ustroju społecznego, jakie istnieją pomiędzy Cesarstwem i Królestwem Polskiem,

I tak reforma agrarna z roku 1861 wyswobodziła przedewszystkiem włościanina wielkorosyjskiego z poddaństwa i zrobiła z niego wolnego obywatela kraju, uposażając go pełną własnością jednej

desiatyny ogrodu wraz z zajmowaną przezeń osadą, ale nie przyznała mu żadnych na obszarach dworskich służebności. Reszta posiadanej przez niego przed reformą ziemi pozostała wprawdzie własnością dziedzica, ale włościanin mógł się z nim porozumieć co do oddania mu jej w używalność za pewną ilość dni powinności, odrabianych na jego polach. Jeżeli porozumienie nie przyszło do skutku, wkraczał tak zwany pośrednik polubowny, który, wedle norm, ustanowionych dla różnych miejscowości, oznaczał ilość dni roboczych, jakie włościanin winien był odrabiać albo z całości byłego gospodarstwa włościańskiego, albo z części onego, jeżeli właściciel życzył sobie zachować dla siebie tak zwane odcinki, o których posiadanie mógł się osobno układać.

Stan taki trwał do 1881 roku, w którym dziedzice, wzamian za powinności pańszczyźniane, otrzymali, wedle ustanowionych dla różnych miejscowości norm, tak zwane świadectwa wykupowe, które włościanie umarzają, opłacając z początku 5%, a obecnie 4% na procent i  $\frac{1}{2}\%$  na umorzenie. Wyswobodzony w ten sposób od zależności od dziedzica włościanin wielkorosyjski, wskutek istniejącej tam wspólności władania ziemią, pozostaje w większej bodaj jeszcze zależności od gromady, która za życia dysponuje do pewnego stopnia jego osobą, a po śmierci rozciąga bardzo wpływową opiekę nad jego małoletnimi dziećmi, wdowami i majątkami.

Odnosnie do kwestyi rozdziału własności ziemskiej na różne kategorie i różnych właścicieli, posiadamy niektóre statystyczne daty, sięgające tylko po rok 1899 włącznie:

I. Własność ziemska w Królestwie Polskiem w roku 1894, według danych warszawskiego Komitetu statystycznego, tom XV, wynosiła:

Grunta włościańskie . . . . .	9,505,352 morgów	
Dworskie . . . . .	8,956,300	„ <sup>1)</sup>
Drobnej szlachty . . . . .	1,308,817	„
Skarbowe . . . . .	1,307,284	„
Miejskich . . . . .	209,615	„
Osad dawnych miasteczek . . . . .	565,697	„
Innych właścicieli . . . . .	98,699	„
Ogółem	22,041,864 morgi	

<sup>1)</sup> W tej cyfrze 757,200 morgów, należących do dóbr donacyjnych, czyli majoratów.

II. Wedle książki generała Anuczyna było w roku 1873 osad i gruntów włościańskich ukazowych:

Osad do 3 morg. rozległości	Zawierających przestrzeni mor.	Osad od 3 do 15 przes.	Zawierających przestrzeni mor.	Osad rozległ. od 15 m. przestrz.	Zawierających przestrzeni mor.	Wszystkich osad razem	W nich ziemi morgów
214,705	307,058	280,141	2,521,269	205,224	5,869,804	69,070	8,698,131

III. Wedle zaś Komitetu statystycznego warszawskiego było w roku 1899 takichże osad i gruntów włościańskich:

Osad do 3 morg. rozległości	Zawierających przestrzeni mor.	Osad od 3 do 15 przes.	Zawierających przestrzeni mor.	Osad rozległ. od 15 m. przestrz.	Zawierających przestrzeni mor.	Wszystkich osad razem	W nich ziemi morgów
107,574	161,061	319,097	2,871,873	299,586	5,824,611	717,257	8,857,543

Ogółem zaś osad włościańskich było w 1899 roku 782,803, zawierających morgów 9,817,168.

Z porównania powyższych danych wypadaloby, że w roku 1899 włącznie,

1-0	Własność mała Ukazowa wynosiła morgów a ponieważ w r. 1873 wynosiła 8,698,131 morgi zwiększyła się o 159,414 m., które pochodzą z wynagrodzenia za służebności.	8,857,545
2-0	Z zestawienia cyfr 9,817,168 m. z cyfrą 8,698,131 wypada, że własność mała nieukazowa wynosi m. . . . .	959,623
	gdy do tego dodamy zaznaczoną w r. 1894. . . . .	98,699
	Własność mała nieukazowa wyniesie	1,058,322
3-0	Własność drobnej szlachty wynosiła w r. 1894. . . . .	1,308,917

4-o Gruntadworskie wykazane w 1894 w ilości	8,956,300
odjąwszy od tego odpadłe	
za służebności m. . . . .	159,414
odprzedane włościanom. . . . .	959,623
i majorackie (donacyjne) . . . . .	757,200
razem	1,176,237
Pozostałoby po rok 1899 obszaru	
większej własności prywatnej . . . . .	7,840,063
Czyli razem własności prywatnej morgów	19,064,077

Czyli, że już w r. 1899 własność drobna przeważa własność większą o 3,384,721 morgów.

Rozpatrując się bliżej w tym materyale właściciele ziemskich w Królestwie Polskiem pod względem przymiotów moralnych, położenia ekonomicznego i biorąc na uwagę najliczniejszych drobnych właścicieli, jako to: włościan, drobną szlachtę i mieszczan rolników jesteśmy zdania, że wspólną cechą całej tej rzeszy była i jest, po części i dotąd, ciemnota, niezaradność i opieszałość, obok żywej wiary i instynktowego poczucia sprawiedliwości z wyłączeniem wszakże jasnego pojęcia o tem, „co moje, a co twoje“. Jedną z głównych przyczyn tego moralnego kalectwa jest długi stosunek patryarchalny, w którym dziedzic w swym własnym interesie używał włościanom swych narzędzi rolniczych, a pozwalając im korzystać z swego lasu, pastwiska i łąk, zatarł mimowolnie w ich umysłach pojęcie odrębności prawnej swojej własności. Pomiedzy temi trzema kategoriami drobnych właścicieli ta jeszcze jednak istnieje różnica, że drobny szlachcic posiada najwięcej, mieszczanin nieco mniej, włościanin najmniej poczucia swej godności osobistej, wrażliwości i samowiedzy swej narodowej odrębności, która w jego umyśle miesza się z odrębnością wyznaniową.

W zamian za to włościanin od chwili, gdy został pełnym właścicielem ziemi i równouprawnionym obywatelem kraju, pojął użyteczność posiadania realnej wiedzy i przyjmuje ją chętnie z każdego źródła, byleby mu była podana w przystępnej dla niego formie.

Przedewszystkiem jednak jest on żądnym rozszerzenia lub przynajmniej utrzymania posiadanej przez siebie ziemi, a żądza ta ma dwójakie skutki: 1-o, że włościanin, celem zdobycia jej jaknajwięcej, przecenia, mianowicie w ostatnich czasach, wartość przysługujących mu służebności, a tem samem utrudnia porozumienie się z dziedzicem o ich zamianę, i 2-o, że tak nazwane oszczędności, skierowane na ku-

pno tyle pożądanej ziemi, doprowadziły do iście zdumiewających rezultatów. I tak:

W roku 1883 było — jak z powyższego wiadomo, osad nkazowych, od 1—3 morgów rozległych, w cyfrze okrągłej 204,000, zawierających 307,058 morgów. W r. 1899 pozostało już tylko tych osad 107,574, zawierających 161,051 morgów. Z tego wynika, że 144,600 morgów nabyte zostały przez właścicieli większych osad, jeżeli zaś przyjmiemy, że morga wraz z budynkami, ewentualnie z zasiewami, warta jest w tych warunkach po 120 rubli, to nabywcy zapłacili sprzedającym rubli . . . . .	17,352,600
Po tenże rok 1899 włącznie, włościanie nabyli od nie włościan, a więc od właścicieli folwarków m. 959,623 ziemi bez budynków i zasiewów, po przeciętnej cenie Banku włościańskiego, 70 r. za morgę. Z tego obszaru kupili przy pomocy Banku 374,756 m. dopłacili Bankowi r. . .	8,306,256
Za resztujące zaś 584,867 morgów, zapłacili bez pomocy Banku rubli . . . . .	40,940,630
Na zagospodarowanie kupionych 959,623 m., bez budynków i zasiewów, przedstawiających 65,546 osad, licząc po 150 rubli, musieli wydać co najmniej	<b>10,916,750</b>
Wydali więc na kupno sumę r. . . . .	77,515,090

Co najmniej drugą taką sumę musieli wydać włościanie uwłaszczeni z powodu, że osady ukazowe nie mogą być dzielone w naturze na części mniejsze niż sześć morgów. Wskutek tego do osad niedzielnych należą wszystkie osady od 1—3 morgów; osad tych było, w 1899 r. 107574, zawierających 161061 morgów. Z drugiej kategorii osad, obejmujących od 3—15 morgów przestrzeni, do niedzielnych zaliczamy te, które nie mają przynajmniej 12 morgów przestrzeni, przypuszczając, że tych właśnie osad będzie przynajmniej połowa ogólnej ich liczby. Kategorii tej było w 1899 r. osad 319,097, zawierających 2,871,873 mor. Osady przeto niedzielne zawierać będą w pierwszej kategorii m. 161,061 + z drugiej kategorii 2,871,873 = 1,435,936, czyli razem 1,596,997 m.

Jeżeli przyjmiemy wartość tych przestrzeni, licząc po 100 rubli za morgę, na 159,696,700 rubli, jak również, że w ciągu lat 38 osady niedzielne wskutek śmierci zmieniły raz tylko jeden właściciela, i że utrzymujący się przy własności sukcesorowie musieli spłacić, każdy jednego tylko współsukcesora, to spłacili 159,699,700 = 79,849,850 rubli.

Stawia się tutaj samo przez się pytanie, z jakich źródeł włościanie mogli zapłacić tak olbrzymie sumy. Jeżeli bowiem rozpatrzmy się w ogólnym stanie gospodarstw włościańskich w różnych okolicach kraju, to będziemy musieli przyznać, że stan ten jest lichej, tak pod względem uprawy ziemi, jak pod względem osiągniętych plonów, jak pod względem stanu roboczych i użytkowanych inwentarzy, a tem samem, że oszczędności, z gospodarstw włościańskich osiągnięte, są albo żadne, albo mało znaczące. Oszczędzać może tylko, względnie mówiąc, niewielka ilość włościan posiadających większe w dobrej ziemi i łąkach położone osady, którzy dobrze gospodarują a oprócz tego, używając sami w kasach gminnych obszernego kredytu, zasilają nim uboższych, pobierając od nich, jak się samo przez się rozumie, lichwiarskie procenty <sup>1)</sup>.

Dwa przeto tylko mogą być źródła, z których włościanie mogli czerpać, aby wypłacić dwie ogromne sumy, o jakich dopiero była mowa. Jednym z nich są sumy, jakie emigranci, głównie z Ameryki północnej, a częściowo i z południowej i z Niemiec przysyłają corocznie do kraju, jako oszczędności zarabianych tam pieniędzy. O ile wnieść można z wiadomości, czerpanych u niektórych bankierów, sumy te dochodzą do 4 milionów rubli corocznie. Drugim zaś źródłem mogą być tylko pożyczki, przez włościan na wysoki zaciągane procent. Nie posiadamy żadnych poważnych danych pod względem odłuzenia włościan, ale mamy pewne w tej materii wskazówki, a mianowicie: p. Makiejewa z gub. Radomskiej i p. Leonarda Zaleskiego, byłego regenta w Kole. Ten ostatni przyszedł do wniosku, że włościanie powiatu Kolskiego, mają długów 2,000,000 rubli, od których opłacają procentów 200,000 rubli rocznie <sup>2)</sup>. Domniemywać się przeto można, że

---

1) Z ogólnych sprawozdań jest wiadomo, że po rok 1899 rzeczywiste oszczędności włościan wynosiły 12,678,600 rubli, złożone jako wkłady w 1320 kasach gminnych. Samo przez się rozumie się, że nie możemy mieć żadnych wiadomości, czy i ile może być złożonych pieniędzy w kasach oszczędności, lub ile dawnym zwyczajem może być przechowywanych pieniędzy w garnkach, butelkach itp.

2) Porównaj „Przegląd Polski”, r. 1902, za miesiąc październik „Siły i środki ludu naszego” str. 3 i 9.

odłużenie drobnej własności, a przedewszystkiem właściwie ukazowej, musi być znaczne.

Z tego, co dotąd o drobnej własności powiedziano i niezależnie od ogólnych warunków ekonomicznych, w jakich rolnictwo tego kraju bytuje, widocznem jest, że własność ta, pomimo swej ciągle rosnącej terytoryalnie przewagi, daleką jeszcze jest od zajęcia tego silnego ekonomicznego stanowiska w kraju, do jakiego zdaje się być przez samą naturę rzeczy powołaną. Przyczyny takiego stanu rzeczy są zdaniem naszym rozliczne i należałoby je, o ile się da, szybko usunąć. I tak drobne, z uwłaszczenia wytworzone, działki, nie posiadające ekonomicznych warunków bytu, bywają i muszą być z czasem pochłonięte przez właścicieli większych osad. Do tej kategorii zaliczamy w znacznej części 65,546 osad pozostałych z kupna 959,623 morgów, od niewłościan, czyli od właścicieli folwarków i nie posiadających również żadnych warunków samoistnego bytu. Dalej osady ukazowe i nieukazowe wiejskie i drobnej szlachty, bytujące w trójpołwce i składające się często z drobnych działków, do jednego i tego samego właściciela należących, domagają się gwałtownie segregacyi i komasacyi, chociażby przymusowo przeprowadzonych. Operacya taka przedstawia niezawodnie pewne trudności i nie mogłaby być przeprowadzona bez pewnych niezadowolnień, a nawet drobnych niesprawiedliwości. I dlatego musiałaby być powierzona ludziom trzeźwym, sprawiedliwym i doskonale obeznanym z warunkami i potrzebami rolnictwa, i wyszłaby niewątpliwie na wielką korzyść i produkcji krajowej i samych właścicieli osad.

Poza sprawą terytoryalnej reorganizacyi, drobna własność oczekuje nadto takiej reorganizacyi kas gminnych, aby kredyt osobisty stał się dostępnym, nie tylko zamożnym włościanom, ale i uboższym właścicielom ziemi, domów, rzemieślnikom i przemysłowcom, zamieszkałym w gminie i przedstawiającym odpowiednie materyalne lub nawet moralne tylko gwarancye, i bez względu, czy potrzebujący kredytu jest włościaninem, czy też pochodzi z mieszczan lub drobnej szlachty. Pojęcie takie byłoby zgodnem z zasadniczą myślą obowiązującego w kraju kodeksu.

Dalej oczekuje ona obowiązującego urzędzenia hypotek powiatowych całej, bez wyjątku, drobnej własności i instytucyi kredytowej, udzielającej kredytu hypotecznego długoterminowego i umarzającego się do wysokości połowy szacunkowej wartości osady. Kredyt taki mógłby służyć dla włościan i nie włościan rolników na spłaty współsukcesorów przez utrzymującego się przy osadzie, z tem praktycz-



nem zastrzeżeniem, że wysokość spłaty winnaby być oznaczoną nie na podstawie sprzedażnej wartości osady, lecz na podstawie czystego dochodu, jaki ona w danych warunkach przynosić powinna wedle zdania bezstronnych biegłych.

Wreszcie, zdaniem naszym, wielce pożądanem jest ułatwić drobnym właścicielom ziemi nabycie oświaty w ogólności, a realnej wiedzy rolniczej w szczególności, podawanych im w przystępnej dla nich formie, jak również zachęcić ich do zawiązywania drobnych stowarzyszeń rolniczych i syndykatów, w którychby się nauczyli ciągnąć korzyści, z podobnych stowarzyszeń płynące <sup>1)</sup>.

Przechodzimy w końcu do rozpatrzenia się w położeniu obecnem tak zwanej większej własności ziemskiej, przedstawiającej się w formie folwarków, lub w kompleksie onych. Już z tego, co wyżej powiedziano, widocznem jest, że ona poniosła wszystkie koszty tak radykalnie przeprowadzonej reformy agrarnej, a indemnizacya, wypłacana w listach likwidacyjnych, w malej tylko części mogła je pokryć, już to z powodu nizko przyjętej wartości ziemi, już to z powodu bardzo niskiego początkowego listów tych kursu giełdowego.

Zmuszona do natychmiastowej kosztownej reorganizacji swych gospodarstw, dotąd przeważnie pańszczyźnianych, na gospodarstwa parobczane, własność ziemska znalazła się w niesłychanie trudnem położeniu. Wypłacalność rat Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu tak osłabła, że Towarzystwo to, zastępując niedobory swym funduszem rezerwowym, wyczerpało go w zupełności i stanęło nad brzegiem bankructwa, od którego uratowało je Najwyższe upoważnienie wypuszczenia na półtora miliona rubli obligacyi, które też niebawem, wraz z procentami, spłaciło. Następne kilka lat urodzajnych i popłatnych złagodziły to położenie do pewnego przynajmniej stopnia, czemu dopomogło też nowe prawo, czyli nowa Ustawa z 1869 roku Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

Borykając się z gniotącemi ją służebnościami, własność ziemska spotkała się z kolei z latami mniej urodzajnymi i zno-

---

<sup>1)</sup> Wobec tych wszystkich najpilniejszych, organizmy malej własności uzdrawiających, potrzeb, szerzenie pomiędzy włościanami drobnego domowego przemysłu, w zasadzie swej racjonalnego, nie wydaje się nam sprawą nagłą, tem bardziej, że nie mamy żadnych danych, czy przemysł taki, wobec przemysłu fabrycznego, zdołałby się rozwinąć w warunkach, w jakich się w tej chwili jeszcze mała własność znajduje.

wu w bardzo trudnem znalazła się położeniu. Towarzystwo kredytowe ziemskie przyszło jej ponownie z pomocą, wyjednawszy nową skodyfikowaną ustawę z 1888 roku przy równoczesnem podwyższeniu skali pożyczek drogą zmoderowania wpływu na taksę dóbr tak zwanego podatku gruntowego. Ale ożywione tym sposobem rolnictwo spotkało się w tej właśnie epoce z ogólnem przesileniem rolniczem, całą ogarniającem Europę, którego istotą była nadprodukcya zboża, produkowanego na dziewiczych ziemiach Ameryki, Australii i Indyi wschodnich, i przesycenie niem rynków europejskich, a tem samem ogromny i raptowny upadek cen onego poniżej rzeczywistych kosztów produkcji. Ponieważ przesilenie przybrało charakter chroniczny, logicznem i koniecznem następstwem onego być musiało, że państwa, potrzebujące pewnego dopływu obcego zboża na wyżywienie swej ludności, w obronie swego rolnictwa poczęły się odgradzać coraz wyższemi cłami zbożowemi od nadmiernego onego dopływu, gdy tymczasem państwa, których produkcya przewyższa potrzeby i które wywożą przewyżkę tę za granicę, znalazły się w tem trudniejszym położeniu. Do tych ostatnich należy państwo rosyjskie, którego produkcya rolnicza stanowi bardzo poważną gałąź handlu zagranicznego wywozowego.

Sprzecznosc interesów Rosyi, jako państwa wywozowego z sąsiadującymi państwami Zachodu, ochraniającemi swe rolnictwo za pomocą ceł, doprowadziła do krótkiej wojny celnej, zakończonej traktatem handlowym z 1894 roku, mocą którego Rosya zgodziła się opłacać wysokie cło od zboża, a dosyć umiarkowane cła od wszelkiego rodzaju zwierząt domowych, do Niemiec i Austrii wprowadzanych. Zdawało się przeto, że gdy Królestwo Polskie dopełni brak swej produkcji zbożowej zbożem z Cesarstwa, po taryfach normalnych sprowadzanem, nie będzie potrzebowało wywozić swego zboża za granicę, z wyjątkiem pszenicy, której produkuje za wiele, i że ceny zboża w Królestwie ułożą się normalnie i odpowiednio do warunków miejscowych, oraz kosztów produkcji i większego, lub mniejszego urodzaju. Oprócz tego Królestwo, nie mogąc konkurować z bytlem stepowem rosyjskiem, będzie mogło rozwinąć na szeroką skalę przemysł opasania wszelkiego rodzaju zwierząt domowych, i pomimo opłacanych od nich ceł, sprzedawać je za granicę z rzeczywistą dla rolnictwa korzyścią.

Przewidywania te nietylko nie ziściły się, ale przeobraziły się w tak niesłychanie trudne ekonomiczne warunki bytu naszego rolnictwa, w jakich—o ile nasza wiedza sięga—nie znajduje się żadna inna,

gdziekolwiek bądź położona prowincya. Przyczyna takiego położenia spoczywa w taryfach różniczkowych dróg żelaznych rosyjskich, i w fakcie, że dla wywozu naszego bydła i owiec, granice, niemiecka i austryacka, wbrew traktatowi handlowemu z roku 1894, hermetycznie pozostają zamknięte, z wyjątkiem nierogacizny, którą Niemcy, gdy tego odczuwają potrzebę, w pewnych epokach chętnie do siebie wpuszczają.

Taryfy różniczkowe dróg żelaznych rosyjskich są dwojakie: wywozowe i wewnętrzne. Pierwsze, nieco wyższe od drugich, obniżają się w miarę wzrastających odległości w nierównym stosunku aż do odległości 540 wiorst, w którym to punkcie są między sobą identycznie równe. Począwszy od tej odległości, biegną już ciągle równo, obniżając się coraz silniej w miarę zwiększającej się odległości. Jasnym jest, że tak działające taryfy różniczkowe zmniejszają sztucznie naturalne geograficzne odległości i identyfikują do pewnego stopnia warunki ekonomiczne okolic, na dalekim położonych Wschodzie, z warunkami tutejszego kraju, bez względu na różnicę cen ziemi, kosztów produkcji i opłacanych z ziemi podatków. I tak, jeżeli naprzykład żyto, wyprodukowane o 3,000 wiorst od Warszawy, warte jest na miejscu po 20 kopiejek za pud, a w Warszawie pud onego kosztuje 60 kopiejek, koszta zaś transportu jednego puda żyta do Warszawy wynoszą 37 i pół kopiejki, to w interesie producentów, o 3,000 wiorst mieszkających, leżeć musi, żyta swoje do Warszawy wyprawić i zarobić  $60 - (20 + 37\frac{1}{2}) = 57\frac{1}{2}$  po  $2\frac{1}{2}$  kopiejki na każdym pudzie. Zbytecznym byłoby dowodzić, jaki jest zalew naszych rynków zbożem rosyjskiem, na dalekim produkowanym Wschodzie, i jak on ujemnie oddziaływać musi na rynki zbożowe Królestwa. Dodać tu jeszcze należy, że jeżeli kupiec rosyjski wyprawił wagon żyta do stacyi pogranicznej, Aleksandrow, odległej o 3,000 wiorst, i zapłacił wedle taryfy wywozowej za odległość tę rubli 281.25, służy mu prawo żyto to zatrzymać naprzykład w Warszawie, odległej o 200 wiorst od Aleksandrowa, i stosownie do przedstawiającej się kalkulacyi, albo je sprzedać w Warszawie, albo wyprawić za granicę. W tym ostatnim wypadku transport z Warszawy do Aleksandrowa kosztował go 15 rubli z kopiejkami, gdy tymczasem producent, lub kupiec miejscowy, zapłaci za taki sam wagon żyta rubli 56 kop. 40. Nadto, ponieważ zboże, do Rosyi prowadzone, nie opłaca cła, zdarza się często, iż producent pruski sprzedaje swoje zboże do Królestwa, a ponieważ otrzymuje zwrot całego cła, jakie rząd od zboża zagranicznego pobiera, robi dobry interes, ale rynki krajowe zalewa zbożem zagranicznym. Większą bodaj jeszcze szko-

dę wyrządzają tutejszemu rolnictwu i młynarstwu taryfy dróg żelaznych rosyjskich, mocą których mąka olbrzymich młynów nadwołżańskich zalewa tutejsze rynki po tych samych, co surowe zboże, sprowadzane taryfowych stawkach.

Zestawiając z sobą te stosunki, niepodobna nie przyznać, że rolnictwo w Królestwie Polskiem, mając od strony południa, zachodu i północy zamkniętą granicę, już to wysokimi cłami zbożowymi, już to samowolnym zakazem przepuszczania zwierząt domowych pod pozorem względów sanitarnych, a z drugiej strony zalewane na dalekim wschodzie tanio produkowanymi i po różniczkowanych taryfach sprowadzonymi zbożem i mąką, i zasilane nadto bydłem na stepowych trawach tuczonem, w wyjątkowo trudnych ekonomicznych znajduje się warunkach, dusząc się w swym własnym łuszczu.

Do uzupełnienia tego położenia dodać jeszcze należy obciążające własność większą służebności włościańskie. Z 263,738 osad, którym w 1864 r. nadane zostały służebności pastwiskowe, pozostało po dzień 1 Stycznia 1900 r. nieułożonych jeszcze służebności 41.24% osad, z leśnych zaś przyznanych 278,645 osadom pozostało po tej samej dacie nieułożonych 33 4%, przy wzrastających ciągle ze strony włościan żądaniach coraz wyższego za zamianę służebności wynagrodzenia. Zdaje się że obecnie i władza państwowa podziela w zupełności opinię publiczną pod względem szkodliwości służebności i potrzeby ostatecznego stosunku tego sprawiedliwie, ale bez wywołania ze strony włościan wstrząśnień, uregulowania. Otóż o ile nam się zdaje, tutejsze komitety gubernialne, z obawy właśnie takich wstrząśnień, wyraziły opinię, że uregulowanie służebności należy nadal pozostawić dobrowolnemu porozumieniu się stron, przy zmianie pewnych form proceduralnych, porozumienie ułatwiającej. Opinii tej nie podzielamy, raz dlatego, że więcej, niż wątpliwem jest, aby na drodze tej obalamuceni włościanie szybko wytrzeźwieli, a drugi raz dlatego, że jesteśmy przekonani, iż załatwienie kwestyi służebnościowej, we względnie krótkim przeciągu czasu i bez obawy wstrząśnień ze strony włościan jest i możliwe. i łatwe.

Niema najmniejszej wątpliwości, że niechęć zawieraniu umów o zamianę służebności lub nadmierne ze strony włościan wymagania z jednej, a mogące się wydarzyć niedostateczne zaofiarowanie za nie wynagrodzenia ze strony właściciela obciążonego służebnością

majątku, pochodzi przede wszystkim z błędnego<sup>1)</sup> pojęcia wartości służebności i nieznamości przepisów o obowiązującym prawie, które objaśnia dokładnie istotę, rozmiary i stosowanie praw służebnościowych. Fakt zaś, że w ciągu lat 38 służebności nie zawsze były obowiązującym prawem rządzone, twierdzenia tego bynajmniej nie osłabia. Tak wytłumaczona chwiejność i niechęć włościan do zawierania dobrowolnych umów, spotęgowana została—jak się to samo przez się rozumie,—podszeptami pokątnych doradców, nadmiernymi wynagrodzeniami, przyznanymi przez tych właścicieli, którzy z tych lub innych powodów zmuszeni zostali ułożyć się o zamianę służebności za jaką bądź cenę, a często także błędnymi pojęciami i panów komisarzy włościańskich.

Jeżeli się obawiamy wstrząśnień ze strony chłopów przy zmianie służebności z urzędu, dlatego że chłop ten błędnie ma o swych prawach pojęcia; to najpierwszym obowiązkiem władzy powinno być pojęcia te wyprostować. Zaniedbanie bowiem tego obowiązku, uleganie błędnym pojęciom i przyjęcie ich za punkt wyjścia przy uregulowaniu danej palącej kwestyi społecznej, byłoby słabością, mogącą doprowadzić do bardzo niepożądanych rezultatów. Taką słabością wydają nam się opinie, przedstawione w komitetach gubernialnych, doradzające usunięcie służebności pozostawić nadal dobrowolnym umowom, przy zmianie niektórych proceduralnych formalności.

Obowiązującym, bo żadnym ukazem nie odwołanem prawem w kwestyi służebnościowej, jest art. 690 kodeksu, oraz objaśniające

---

1) Do jakiego stopnia może dojść obłąd włościan w kwestyi służebnościowej, służyć może następujący prawdziwy i znany nam dobrze fakt. W pięknych i znanych dobrach na Podlasiu, gdzie stosunek włościan z dworem jest najserdeczniejszy, mogący służyć za przykład dla całego kraju, właściciel znacznymi ofiarami ułożył się o służebności leśne ze wszystkimi wsiami, z wyjątkiem jednej, która układać się nie chciała. Aby zakończyć ostatecznie tę sprawę, właściciel zwołał włościan odpornej wsi i ofiarował o wiele wyższe wynagrodzenie, niż to, za jakie ułożył się z innymi wsiami, a mianowicie po 10 morgów dobrego lasu na osadę. Chłopi ucałowali jego rękę, ale oświadczyli: „Chociażby Jaśnie Pan dał i po 15 morgów, to my i tak nie przyjmujemy.“ Rezultatem tego było, że komisya siedlecka oddzieliła osobny kawał lasu, na którym włościanie ci wykonywają swoje służebności.

go prawo sejmowe z dnia 16/28 czerwca 1830 r. (D P. Tom XIII str. 111). Prawo to wyczerpujące i jasne we wszystkich szczegółach, przystępnem jest do pojęcia każdego zdrowego na umyśle włościanina.

Otóż jesteśmy głęboko przekonani, że gdyby władza drogą licznych plakatów prawo to w gminach kraju do wiadomości włościan i zastosowania się podała, opatrzwszy równocześnie p. komisarzy włościańskich w odpowiednie potrzebom instrukcye, i gdyby ogłosiła, że się pozostawia dwa lata czasu do zawierania dobrowolnych umów o zamianę służebności, i że po upływie tego czasu służebności, na żądanie każdej strony, będą na podstawie tego prawa z urzędu zniesione; to niezawodnym rezultatem tego byłoby, że chłop wytrzeźwiał-by, pokątni doradcy zamilkliby i służebności bez żadnych ze strony włościan wstrząśnień, zostałyby w krótkim uregulowane czasie.

Zaprowadzone od lat paru stowarzyszenia rolnicze gubernialne i syndykaty są niezawodnie cennymi instytucjami, mogącemi pod wielu względami przyjść z pomocą rolnictwu krajowemu; ale wobec więcej niż trudnych warunków ekonomicznych, o jakich dopiero co była mowa, są bezsilne. Pozostają więc jedynie t. n. komitety rolnicze gubernialne, na których ciąży obowiązek rządu zwracać uwagę na gniotące rolnictwo krajowe stosunki.

Walcząca z temi stosunkami większa, do upadku chyląca się, własność ziemska, na domiar złego, nawiedzoną została w dwóch przedostatnich latach klęską ogólnego nieurodzaju, który, pomimo szeroko zastosowanych ulg w odroczeniu należności polatkowych i rozkładzie rat, T-wu kredytowemu przynależnych, wyczerpał i wszelkie zapasy, i wszelki kredyt prywatny najliczniejszych i już znacznie odłużonych właścicieli ziemskich. Z tym groźnym faktem zbiegła się pozornie dziwna, a jednak naturalna okoliczność, że wartość sprzedazna ziemi w ostatnich czasach podniosła się w cenie. Podniosła się znacznie w okolicach, w których parcelacya folwarków dworskich, przy pomocy banku włościańskiego, wielkie przybrała rozmiary, o wiele zaś mniej w okolicach, w których włościanie o ziemię nie konkurują. Nieznaczna zaś ta podwyżka tłumaczy się znów obfitością luźnych kapitałów, które, wskutek upadku przemysłu, bojąc się lokować w nim pieniądze, wolą je lokować bezpiecznie w ziemi, zadawalniając się chociażby najniższym procentem.

W obec groźnego już położenia większej własności ziemskiej, T-wo kredytowe ziemskie uczuło się w konieczności ratować ją od

upadku dwoma sposobami. Opierając się na zwiększeniu się cen ziemi rozszerzyć, skalę pożyczek drogą dość znacznego podwyższenia cen taryfowych użytków rolnych oraz cen drzewa w lasach, nie przekraczając wszakże wysokości pożyczek poza połowę szacunku kredytowego majątków. Celem zaś jedynie w obecnych ekonomicznych warunkach możliwego podniesienia dochodowości majątków na drodze zwiększenia plonów, osiąganym z gospodarstwa rolnego, T-wo postanowiło zająć się zaprojektowaniem Ustawy, mającej na celu zapewnienie stowarzyszonym rolnikom możliwości otrzymania osobnego kredytu melioracyjnego na drenowanie wadliwych ziem, osuszenie i nawodnianie błot, oraz wadliwych łąk i pastwisk, i przerobienie ich tym sposobem na urodzajne łąki.

Opracowany w jesieni roku zeszłego projekt nowych przepisów taksowych będzie niebawem ministrowi finansów do uznania i zatwierdzenia przedstawiony. W możliwie szybkim następstwie opracowany i przedstawiony ma być projekt ustawy, kredytu melioracyjnego dotyczący.

Być może, że praktyczne względy wymagałyby, aby kwestya kredytu melioracyjnego poprzedzała kwestyę rozszerzenia skali pożyczek, a przynajmniej, aby obie te sprawy, jako ściśle z sobą związane, równocześnie były przedstawione; groźne jednak położenie własności ziemskiej, szybkiego potrzebującej ratunku, zmusiło władze Towarzystwa do przyjęcia innego porządku.

Jeżeli oba projekta, silnie wymotywowane, zyskają — jak się spodziewać należy — życzliwe przyjęcie i zatwierdzenie pana ministra finansów, niema najmniejszej wątpliwości, że położenie większej własności ziemskiej znacznie się ożywi i poprawi. Czy taka poprawa zdołałaby się utrwalić, jest kwestyą, której przesądzać nie śmiemy.

Faktem jest, że potęga ogromnych kapitałów, szukających oprocentowania, zdołała wytworzyć nowy ustrój handlowy, ogarniający wytwórczość towarów całego świata, i zniżywszy koszty transportu do możliwego minimum, usunąć do pewnego stopnia odległości geograficzne. Taki ustrój olbrzymiego handlu, wymiennego i usunięcie odległości musiały w odpowiedniej mierze zubożnić różnice kosztów produkcji, zależne od miejscowych warunków ekonomicznych i obniżyć cenę światową wszystkich towarów, przedewszystkiem zaś surowych, do których należy zboże. Tem też tłumaczy się wielka obniżka cen nikłej produkcji europejskiej zboża wobec olbrzymiej produkcji onego na dziewiczych przestrzeniach Ameryki, Australii, Afryki



i Indyi wschodnich, przestrzeni, których część zaledwie mogła być poddaną rabunkowemu rolnemu gospodarstwu <sup>1)</sup>).

Tak uzasadnione ogólne europejskie rolnicze przesilenie, o charakterze chronicznym, własność ziemską do coraz to wyższego odłużenia zmuszające i rolnictwo do koniecznego upadku wiodące, spotęgowane zostało w Królestwie Polskiem taryfami różniczkowemi, o jakich wyżej była już mowa.

Na takim trzeźwym i realnym gruncie przekonań stojąc, uważamy za logiczne przewidywanie, że z pomiędzy majątków ziemskich, ogólnem prawem krajowem rządzonych, pewne warunki trwałości posiadac będą:

- a) latyfundiya,
- b) majątki, które główny swój dochód czerpią ze sprzedaży porębów leśnych;
- c) majątki, posiadające względnie obszerne łąki, obfite i dobre wydające siano;
- d) majątki, w bardzo dobrej i urodzajnej położone glebie, lub rozumnie przeprowadzoną melioracją doprowadzone do wysokiej urodzajności, i
- e) majątki, zasobne w rozporządzalny kapitał, które posiadają zdrowy, na względnie szeroką skalę rozwinięty, przemysł, z rolnictwem złączony.

Do niego zaliczamy mleczarstwo, ogrodnictwo i sadownictwo, uprawiane w folwarkach, położonych w bliskości większego zbioru ludności miejskiej, lub fabrycznej. Dalej gorzelnictwo, produkcję buraków cukrowych i ich nasienia, produkcję cykoryi, produkcję nasienia koniczyn i wszelkich traw pastewnych, i wreszcie produkcję wszelkiego rodzaju inwentarzy rozplodowych, jak bydła, owiec, nierogacizny, koni i t. p.

Folwarki, do powyższej kategorii nienależące, oparte jedynie na produkcji ziarna i mniej więcej odłużone, nie będą mogły znieść kosztów chociażby najoszczędniejszej administracji, utrzymania rodziny i kosztów opłaty podatków, i rychlej, czy później, będą musiały uleść parcelacyi. Ewolucya w tym kierunku postępuje swoim trybem: własność większa coraz to więcej topnieje, a mała w tym samym stosunku rośnie. I wypełni się biegiem wypadków i ręką Opatrzności nakreślone przeznaczenie, że posiadacze małej własności ziemskiej staną się słupem pacierzowym naszego społeczeństwa. Potomkowie upadłych właścicieli ziemskich, w największej liczbie pocho-

<sup>1)</sup> Porównaj wyborną pracę: „Sprawa rolna“ S. Kempnera. „Badania szkice ekonomiczne“. Warszawa, 1902.



dzenia szlacheckiego, rozpląną się w różnych zawodach społeczeństwa, wnosząc do niego te dodatnie przymioty, jakie wynieśli z rodzicielskiego domu, a na topniejącej, ale utrzymującej się na powierzchni większej własności ziemskiej pozostanie zawsze zadanie wypełniania obowiązków, przez pana Ludwika Górskiego wskazanych.

**ALEKSANDER KLOBUKOWSKI.**

# O Bohdanie Zaleskim.<sup>1)</sup>

---

## V.

Kiedy Bohdan Zaleski powiada, iż trzeciej strunie teorbanu jego na imię: „Słowiaństwo“, to nie należy imienia tego mieszać z nazwą „Słowiańszczyzna“. W ten tylko bowiem sposób uchwycić można dźwięk struny tej czysty i niesfałszowany.

Jakoż rozróżnienie to nie jest przygodnem, ani fantastycznym; ono wynika wprost i bezpośrednio z żywego czucia istotnych, głębokich różnic między jednym a drugim pojęciem, tak co do samej pojęć tych natury, jak i wzajemnego stosunku ich do siebie.

Słowiańszczyzna—to przedewszystkiem określenie różnorodności w jednym plemienu zawartej, a zawarunkowanej przebiegiem krótszych lub dłuższych dróg dziejowych i w ślad za tem idących przeobrażeń, innoplemiennych domieszek, tudzież poszczególnych cech i właściwości w drogach tych nabytych, lub wypracowanych. To pojęcie historycznego zróżniczkowania się ludów, z jednego pnia idących, ich terytoryalnego rozmieszczenia, rozbieżności zadań i celów, które niezależnie od wytycznego plemiennego prądu, a nawet wbrew prądowi temu, powstawać mogły w różnych okresach dziejowego istnienia.

Słowiaństwo—to abstrakcja i synteza Słowiańszczyzny. To jej posłannictwo dziejowe. To pojęcie jej ideałów najwyższych, jej prą-

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt listopadowy, 1902, str. 292.

dów najgłębszych, jej celów i zadań ostatecznych, bez względu na to, czy w danym momencie historycznym znajdują one w Słowiańszczyźnie urzeczywistnienie swoje, czy go nie znajdują, jak również bez względu na to, czy ludy słowiańskie dopełniają ich świadomie, czy też nieświadomie, a nawet— czy je uznają, czy ich nie uznają.

Słowiaństwo to Duch Słowiańszczyzny. Duch, który przez Słowiańszczyznę samą zgwałcony może być i zaparty, zaprzędany i zdradzony, ale który zabity w niej być nie może.

Ludy Słowiańszczyzny mogą być sobie bliskie lub dalekie, bratnie lub wrogie; te wszakże, które zachowały w pewnym stopniu czystość swą plemienną, nie mogą odpaść od Ducha Słowiaństwa.

Kiedy Bohdan Zaleski chce znaleźć dla ducha tego najściślejsze i najbezpośredniejsze określenie, szuka go w samym ognisku pracy i nadziei, szuka go— w młodości.

— „Słowiaństwo—mówi—rodzaj na wieki młodzieńczy“.

To znaczy rodzaj wolny od zesterzeń duszy w negacyi, w pesymizmie, w beźmiłości i w gnuśnym bezruchu.

Rodzaj tych, którzy są obrócenii ku jutrzennym blaskom dni przyszłych, którzy idą ku ideałowi. Tych, którzy śpiewają pieśń życia i pieśń zapалу. Tych, których dech unosi się zawsze i wszędzie ku wielkiej wiośnie ludzkości, ku pokojowi i pogodzie świata.

„Rodzaj na wieki młodzieńczy“, to pełnia siły, pełnia woli życia. To pożądanie światła, to wzmożone tętno myśli, to gotowość do ofiar, to heroizm serca.

Ale za czasów poety już Słowiańszczyzna była od ducha Słowiaństwa daleko. Była tak daleko, że najbliższe pola życia zgoła związku dwu tych pojęć nie obejmowały. Że okazało się wprost niepodobieństwem tłómaczyć je na język współczesnych wrażeń i osobistych doświadczeń, które, zebrane w burzliwej dobie walki i klęski, stawały się związku tego zaprzeczeniem jaskrawem, bolesnem. Gdy wszakże, mimo to, struna owa drżała na sercu poety i chciała dźwięk swój wydać, gdy marzenia przeciwstawne otaczającej go rzeczywistości poczęły go nawiedzać i duszę mu pożądaniem stroić, cofnął się poeta ku prastarym źródłom historycznego bytu Słowiańszczyzny, kiedy ta pełną jeszcze była ducha słowiaństwa, cofnął się na „Jug,“ o którym mówi, że jest w Słowiańszczyźnie, jako dziecię. Ale i tu zaszedłszy, musiał od zmaconego ciekę ostatnich czasów iść wstecz, ku pierwotnym krynicom świeżości i siły, het, precz, aż do zatajonych świętych uroczysk, z których pieśń wyszła była niegdyś na lirach dziadów srebrnych, homerycznych Rapsodów Słowiaństwa,

a teraz oto podawała, przez Wuka Karadzicza wywołane echa, na oczarowanie i dziw nietylko pokrewnych, ale i obcych ludów <sup>1)</sup>).

Te echa uderzają w samą pierś Bohdana. Wnet cały jest porwany i rzucony ku nim. Wnet przypomina sobie długie warszawskie rozmowy z Brodzińskim o nadzwyczajnej pieśni tych piękności; wnet chce ten „Rodzaj na wieki młodzieńczy“, z którego ducha pieśni one biją, podnieść do jakichś mistycznych wyżyn, do rodowodów niezemijskich.

Słowo przed wieki było na początku:  
Słowianie — z tego bożego my wátku.“

Już mu za mała jest sława, karci tych, którzy z niej nazwę „Słowian“ wywodzą, Zygmunto wskim wiekiem się zastawia w którym pisano i mówiono: „Słoweńce“. A jeśli ród idzie po słowie oczywiście, że i pieśń posledniejszego pochodzenia nie jest.

„Pieśń po słowiańsku słowo, słowo boże,  
Niby wieść z nieba...“

Więc kiedy się ta pieśń wskrzeszoną uznała i nętniła uszy Europy przesłodkim i męskim swym dźwiękiem, kiedy z... pieśnią zaczęto odkopywać gruzem wieków zasypaną przeszłość pobratymczych plemion, Bohdan Zaleski nietylko „Lubuje bardzo w słowiańskim tym gwarze“; ale z uniesieniem „klaska od mogił wkrąg na rozgraniczu“, ku tym, którzy ducha Słowiaństwa i pieśń jego dźwignęli z prochu zapomnienia i woła:

— „Tak, Szafarzyku! Tak, tak, Kopitarze! Pieśni hej dawaj, Wuku Karadziczu!“

I nie czekając, aż Wuk Karadzicz w całości je poda, odkrywa w sobie, — jak pisze do Grabowskiego Michała— „szczerosłowiański talent i tłumaczy pyszne ułamki serbskiej epopei, tak cudnie a prosto, jakoby je Serbowie i współplemienni Polanie, razem przed wie-

---

<sup>1)</sup> Zebrane przez Wuka Karadzicza pieśni serbskie, tłumaczone były na język angielski, francuski, niemiecki i inne.

kami wyśpiewali byli, zaś rozszedłszy się zapomnieli wspólnej pieśni, a teraz nagle, za powianiem jakowychś tchów bożych, pieśń ową przybaczyli tak żywo, że śpiewać ją mogą zgodnym chórem, każdy w swoim słowie. Tak stały się własnością naszą one przedziwne „Rapsody Gęślarskie,” jak je Bohdan Zaleski nazywa, one pieśni o Carze Łazarzu i o Kossowskim boju“, przelane w spiż polskiej mowy, pod miarą i wagą tak ścisłą, iż zdaje się, że niema tam jednej zgłoski użytej zastępczo i w przybliżeniu tylko, na miejscu której stałby mogła inna jakaś zgłoska. To też wiatr czasu, który zazwyczaj na takie pokłady jednej mowy, przysypujące pokłady mowy innej, z borealną surowością wieje, z tego,—dla jego ogromnej zwartości i wagi, nie zdołał dotąd odwiać nic, w stronę lekkiej i nieważnej plewy.

Rozbrzmiał nam tedy donośnie, szeroko, gwar owych czasów i ludzi, kiedy w królewskim Pryzrenie Car Duszan sławnie panował, a z wojewody swymi do stołów biesiadnych i do rady siadał.

I błysnęły nam w oczy pióra i kołpaki junaków, łowcze sokoly, szczerozłote czasy, i twarze niewieście rąbkami zawite a cudne.

A tuż zahuczał łomot głazów ciosanych na fundamenty Rawanicy kościoła, kościoła, o którym lud świadczy w pieśni, że go „zbudował król o własnym chlebie, o własnem mieniu, tak, że nie było w nim lży jednej sieroczej“.

I rozległy się ojcowskie słowa Cara Duszana, i mądre, ważne słowa sędziwego Juga, i bystre, chytne mowy Miłosza wojewody, i głos słodki Milicy dziewicy, zaswatanej Łazarzowi, według ksiąg wróżebnych.

Bo szły już czasy poślednie, a „Roki Boże“ pogrzmiewały już groźnie nad światem. I zachlustał, zaszumiał Dunaj—rzeka, od kopyt wojsk sułtana Muradowych, i od strzał tureckich zachlustał. A sułtan Murad drobne listy pisze. Na bój cara Łazarza wyzywa. Na bój, albo na haracz, na śmierć, lub na niewolę, wedle tego, co Łazarz wybierze.

I obiera car Łazarz i obrał. Bój obrał, choć wie, że poleże. Cud to jest bowiem Słowiaństwa prawy, a duch nieustraszony i ofiarujący się ofiarą całopalną w nim mieszka.

I rozległo się, rozeszło Kosowe pole, rozeszło się równiną śmierci.

A przed Kosowem ostatnia biesiada w królewskim Kruszowcu. Car Łazarz wznosi ostatni raz czarę, i próbuje przedzrowiem i słowem wojewody swoje, który zdradzi a który nie zdradzi.

A przed Kosowem ostatni sen, nadranny sen wróżebny.

„Obieraj, Czarze Łazarzu, królowanie ziemskie, albowi niebieskie.“

I obiera Car Łazarz i obrał. I dał stawić ołtarz na Kosowem i wojskom swoim kazał się kajać grzechów, a mieć się ku śmierci. Bo ze śmierci żywot wykwita, żywot ziemi, gdzie legną pobici.

I rozgrzmiało Kosowe bojem. Bojem sławnym i bojem śmiertelnym.

I trzasnęły o siebie dwie moce, i zniosły się, jak się znoszą dwa gromy.

I legły tysiące po tej stronie, i tysiące legły po tamtej, po każdej stronie legły dziesiątki tysięcy,

„Całe wojsko dostojne i święte“

I odsieczona jest Łazarza głowa, głowa króla-wodza bohatera, i zatopiona w jasnych zdrojach kosowskiej krynicy.

I stoi w jasnych zdrojach krynicy pół wieku, i świeci ze dna miesięcznym światłem, świeci cudem nadziei ludowi.

A kiedy tak za Wukiem Karadziczem śpiewa Bohdan, duch Słowiaństwa, duch męskiej woli, zapалу, ofiary, wyjawia mu się ogromną wizją praplemienną. Jest u źródeł świętych poezyi. Poezyi słowa i czynu. Jest u źródeł siły życia i natchnienia życia.

Dobrał się też jakiejś wielkiej kopalni języka. „Gdzie nie spojrzeć srebrna żyła, samorodna złota bryła. Skarb ogromny a nietknięty, na ołtarze, na korony“.

A po skarbnicy onej słaniają się dwa wielkie cienie.

Jeden to Nestor, mnich, „latopisiec surowy“. Drugi, to „słowik zamierzchłych lat“, to wieszcz Bojan słowiaństwa.

I zamieszkiwa tam zaraz poeta duchem, jak w domu ojcowym, i poufali się z owym światem przedziwnej świeżości i krasy.

I śni mu się jakieś wielkie „Jaro“ Słowiaństwa, i woła w zachwycie: „Zaprawdę! Nigdy my nie będziemy starzy!“

Bo oto przed oczyma jego czynią się jakieś rzeczy proste a wieczne.

Coś się dźwiga, zakwita, buduje i wznosi; coś przyszłość w tej pracy poślubia. Jakaś moc przemaga częśćkę i jej cele na rzecz całości, na rzecz dobra wszystkich.

A kiedy najwyższe dobro całości tej jest zagrożone, „Rodzaj na wieki młodzieńczy“ idzie świadczyć młodości swojej i wierze,

idzie poledz na Kosowem, idzie dać żywot za sprawę, którą w sercu swem rozsądził, iż warta żywota.

A gdy poległ jako był rozsądził, stanęła na bojowisku Pieśń, i nieśmiertelne palce na strunach wiatrzanych kładzie i wznosi życia śpiew. Na polu śmierci śpiew życia wznosi, aż życie z mogił wybuchnie.

Ten ci jest krąg opieśnionego bohaterstwa. Bayardowski krąg sławy i śmierci, uwity z kwiecica i żelaza, o którym sprawiedliwie powiedziano, iż stokroć cudniejszy jest, niżeli krwawy pierścień Nibelungów. Ten ci jest krąg i opisanie trzykroć święte, do którego dotarł czuciem poeta, i w którym Duch Słowiaństwa wyjawiał mu się głębokimi, niezniszczalnemi rysami ideału, ofiary, nadziei.

## VI.

Najwyższy blask, najgłębszy ton, najczystsze i najrozleglejsze brzmienie ma na Bohdanowej lirze struna Ukrainy. Od pierwszego jej drgnięcia poznać można, że jest to struna magistralna tej liry. Że panuje nie tylko nad innymi jej strunami, ale i nad sercem lirnika.

Na innych musi on palce kłaść, aby z nich dźwięki dobyć. Palce człowiecze, zawodne, które podczas pomylić się, splatać, lub osłabnąć mogą. Ta jedna dźwięczy, jakoby sama z siebie, od potrącenia bijącego serca, a dźwięczy tak szeroko, roznośnie, zalewnie, że którąkolwiek strunę teorbenu swego poruszy pieśniarz, wnet struna Ukrainy brzmieniem swem ją głuży.

Chce poeta do Boga? Zaraz czuje, że:

„Z Ukrainy najbliższa doń droga“.

Chce do świata? Aliści zawraca w step, „w suche swe morze“, gdzie fale mogił się piętrzą i gdzie mu z pod mogił szepcą świata dzieje wielcy to miecza, to gęśli piastuni.

I niema na to rady „dla duszy kozaczej“, chyba że w innym jakimś słowiczym żywocie „sam Bóg inaczej wnętrze mu ostruni“.

Teraz — Ukraina jest ogniskiem, z którego wybucha żywy płomień jego pieśni; jest ogniskiem czucia i natchnienia. Natchnienie to wyjawia się w sposób dwojaki: pieśnią swobody i pieśnią zadumy. Pieśń swobody jest śpiewem młodości i stepu. Szumi step bujny, szeroki, i młodość szumi bujna, skrzydlata.

Gdzie puścić wzrok, morze zieleni i barwnego kwiecica. Gdzie puścić słuch, pogwar burzanów i poświsty ptasie. „Skróś okolicą jarzącą się, siną, Boże śpiewaki ciągną w różne strony“. Ślicznych i świeżych dźwięków w powietrzu gra tysiące, a dźwięk każdy szumem wieje, „na wiatr czary swe rozwiewa“.

Wiosna idzie stepem. Czarodziejka mocna i upajająca. I sercem idzie wiosna, młoda, swawolna, rozkochana, śpiewna.

W powietrzu rozbrzęk gęslany, co nie wiedzieć skąd, wynika, a w piersi „srebrne i złote, lejące się tony“, co nie wiedzieć, gdzie lecą, gdzie płyną.

Czasem — niewypowiedziane rzeczył — „słowik zawodzi, wietrzyk chucha wonią z kwieci, aż dusza omdlewa“; a tam, jakaś wietrznicza wiośniara „pływa, nuci na Tychyni“, wabi, mruga na Bohdana, przyśpiewywać sobie każe

„Na ten głos ptasi, to na ten głos ptasi!“.

A gdy już utrafił w one ptasie głosy, znów przygaduje, i znowu kaprysi:

„Inaczej! Milej! Miłośniej-no jeszcze!“.

I stroi mu duszę na najpieściwsze tony majowego ranka.

A tam, pod gajem, dziewczęce słychać śmiechy. Czarują. Ani chybi, że czarować muszą, bo „po Rusalkach każda czarownica“.

„Żebyż podejść je z ostrożna,  
Żebyż to co wiedzieć można!“.

Bo co jest ciekawe, że choć poeta czarów boi się niby, lgnie przecież do czarownic bez ratunku zgoła.

Ha, cóż! Wie, że „będą czary, psoty, ale będą i pieśczoty“ — Zresztą musi wziąć „oczarowanie na pieśniane życie“. Jakoż bierze je, to oczarowanie, ale na swój sposób. Te kręgi, które dokoła niego



w „Rusałkach“ zatacza lekka, taneczna Zoryna, to jest nieprzystępny i zamknięty pierścień poetyckiego żywota: troiste koło miłości, guslarstwa i pieśni, pełnia pieśnianej i gęslarskiej doli.

Każdy inny brałby inicjację taką od geniusza, od muzy, o ile nie wypróbowałby go sam z siebie. Bohdan bierze ją od swawolnej ukraińskiej dziewczyny. I nie tylko ją bierze, ale odrazu ulega czarowi z zupełnym oddaniem się jego czyniącemu działaniu. Gdzie go postawią — stoi; na co mu patrzeć nie każą — nie patrzy, na co chcą przysięgi — przysięga; słowem, raz jeszcze stwierdza zupełną bierność w tem wszystkim, co mu na duszę czarem Ukrainy pada. A kiedy Zoryna przegraża swawolnie: „No, zobaczysz!“ — on, już cały w głos jej do bezwoli, do bezpamięci wsłuchany, echem powtarza: „No, zobaczę!“.

I widzi. Dziw widzi, cud, przemienienie zupełne rzeczywistości na ów „sen na kwiatach“, którego odtąd nigdy już nie prześni. Nie dziewczęta widzi, nie czarnobrewy płochy, wiejące w powietrzu mglistą bielą szatek, ale Rusałki, tajemnicze boginki stepowe, odprawujące taniec swój wróżebny. Widzi objawienie sił przyrody stepowej, widzi samo wcielenie czarów Ukrainy.

I natychmiast jakaś niespodzianność, jakaś nieobliczalność wchodzi w jego życie duchowe, jako czynnik nowy i wskroś fantastyczny, a świat mu się mieni w oczach tak, że tych kilku, śmigających po zroszonej trawie tanecznic policzyć nie jest w stanie. „...Trzy, pięć, siedem, do dziesięciu“. Ile właściwie, tego nikt nie zgadnie. Bo już czar działa. Już ogarnął oczarowanego ten przedziwny, prawdziwie poetycki zawrót głowy, który mu nie tylko rzeczywistość zdmuchuje z przed oczu, jak żart i jak fraszkę, ale który nawet samej wizji ustalić się, jako zjawisku, nie daje, zacierając kontury, liczbę, osobowość, w jakiejś czarownej fantasmagorii spletających się i rozplatających kół tanecznych, tak, że zjawisko staje się jednym wrażeniem ruchu, rytmu, lotu.

Jakoż całość tej rusałczanej impresji jest w najwyższym stopniu muzyczna, a tak rozwiewna, że nie zostawia w duszy konkretnego obrazu, tylko niepochwytny, goniący się echa. Ona sama jest echem wiosennej pieśni stepu. Pieśń nie w duszy poety się poczęła, ale w wielkiej duszy stepu. Poeta zaklął ją do życia, i nie on odklął ją jest władny. Stał na drodze jej, kiedy przewiewała pomiędzy ziemią a niebem, i oto wziął ją w siebie, jak harfa, i dźwięczy nią sam, jak ruszona struna.

Odtąd muzyczność stepu przeważa w poecie plastykę stepu. Odtąd nie będzie nam Bohdan malował Ukrainy, ale będzie ją śpiewał, a raczej będzie współśpiewał z jej stepem.

I wleczą „Szumki“ jego rusałczanym śladem lekko, tanecznie, i zakrążają nad burzanami polotnym, fantastycznym rejem.

I urodzą się, i rozśpiewają owe „Wiośnianki“, owe prześwieże „Allegra“, o niebywałych rytmach, przygrywkach, przyspiewkach, podszeptywanych przez tańczące „po młodziku“ rusałki, które płoszyć go będą, jak słowika, w niespane, krótkie noce wiosenne, do miłości, do pieśni, do lotu.

Urodzi się ta poezya majowego ranka, ta niefrasobliwa pieśń swobody i radości życia, jakiej przedtem nie było u nas.

I zateczują w niej mocne blaski i kolory wiosny, i rozwinie się do pełni kwiat nowy, bujny, prawie że ogzotyczny, przez swoją zupełną inszość od naszego kwiecia. I nagle, bez żadnego hasła i obwołania, bez żadnej teorii, bez żadnego sporu, bez opowiedzenia się pierwszym strażom poetyckich obozów, zapachną, zakraśnią te wonne, te młode i szumne pieśni, ani się nie troszcząc, jak przyjęte będą.

Z jakąś naiwną samowolą, z jakimś rozigraniem dziecięcym, zaściela, zakwieca ziemię, jak barwinek, umają, jak ruta, i uczynią sobą w naszej poezyi, ogromnie żywą wiosnę.

A nie będą to pieśni miłosne, ale w najwyższym stopniu rozkochane. I nie będą to pieśni namiętne, ale swawolne, a czyste. I nie będą to pieśni na tę, lub na ową nutę, ale na wszystkie głosy i westchnienia, na wszystkie echa i poszumy, na wszystkie rytmy i tętna majowej, słowiczej nocy.

I nie będą opiewały pieśni te uroków stepu; ale sam step zajrzy w nich sobą i wyjawi się w nich całym swym urokiem, całym czarem bezbrzeżnej swobody. To będą pieśni, z oczarowania duszy wprost idące i miejące czarem; pieśni, ukąpane w lubystkach na miesięcznym nowiu; pieśni, które „co zechcą, to z nami zrobią“. To będą pieśni „czarnoksiężskie“, pieśni — rusałczane.

Przy całej swojej lekkości i pustocie, pochwyca one głęboką, prastarą wiedzę ludową; a choć zabujają lotnie, wysoko, ciężkie będą miodem mądrości ludowej, ważnej, a słodkiej nawet w swych gorzkościach.

Uwielbią i na jaw wywiodą pierwiastek żeński w naturze, w guslarstwie, w miłości. Uwielbią w nim przewagę lekkiego, bachicznego, a przecież śmiertelnego piękna. Przewagę płomienia, wichru, fali, nad ciężką grudą żywota.

Uwielbią jakieś spiknięcie się, zszepnięcie pierwiastku tego z mocami przyrody; jakieś wiedzenie ważne a osobne rzeczy zakrytych, wyrocznych; jakieś głębokie, tajemnicze porozumienie z siłami życia i śmierci, rodem z matek na córki idące. Porozumienie, które nie będzie miało w sobie nic ponurego, nic zbrodniczego, ale się oprze

na jakiejś żywiolowej, więc prawie że bezwinną dëmonicznoŝci istot lekkich, wdziëcznych, nieodpowiedzialnych, a majàcych moc „zrobić, co zechcà”. I zarzàją się te pieŝnie rusałczanem pogłowiem swawolnych wietrznic, pływaczek, rybaczek, tanecznic, „hasajàcych na urodę po rosie”, latawic, czarnoksiężnic, kàpanych w mleku „na młodzi-ku”, wabiàcych, urokliwych, pustych, z których każda „czarów umie bez liku”.

I oddà im się poeta duszà i ciałem, i wyczy się, wypatrzy nie-mało z ich mocy.

I będzie „dla pastoty, dla igraszki, puszczał dumki, jako ptaszki”. I będzie śpiewał, „co mu się śni, i co nie śni, na zieloność wieczną pieŝni”, na wieczną jej wiosnę, która teraz jeszcze tchnie na nas swe czary, swe wonie.

A tam, w dali, w oddali, rozdźwięczà śmiechy i głoŝy wyroczone:

„Ty rusałkowy!.. Nasz!... O, tylko nasz!”.

I będzie w tych głoŝach i śmiechach akcent tryumfalny, zwycięŝski, zdobywczy, prawie że okrutny w swej wyłączoŝci i niepodzielnem władztwie.

A tak zamknie się dokoła oczarowanego taneczny, lekki, śmiertelnie urokliwy krąg rusałczanych mocy na całą wiosnę Bohdanowej pieŝni.

## VII.

Ale step nie zawsze stoi w kwiecie, a wiosna życia przemija. Rusałczane czary ulatują razem z puchem okwitłych bodziaków, „orumieniona obrzaskiem woda Limanu” ugasa w pełnym dnia świetle.

Miłość i jej uroki nie wyczerpały w młodem sercu całej rozkoŝy życia, całego poŝądania swobody, całego pędu i polotu ku niej.

■ Pieŝń majowa wyŝpiewana, czara wiosennych upojeń dopita. Inne żary chcà być ugazzone, inny ton życia chce głoŝu.

Więc kiedy słońce się wzbilo, a rusałczane, mgliste rąbki opadły nad Rosià, Rasawà, oczarowany widzi, że poza „kwietnym ługiem” i poza „konwaliowym brzegiem” jest jeszcze jakiś świat inny, szeroki, daleki i zgoła nieznaný dotąd. Czuje, że pierŝcień czarów

i uroków pęka, rozmyka się u jego piersi, że mu nad słodkie pęta rąk Zoryny miłsza jest dzika i junacza „wola”. On już nie wzdycha, nie przemyśla nad tem,

„Żeby coś widzieć, coś wiedzieć można”.

Widział już. Już wie, co chciał wiedzieć. Przelatał — latawiec śpiewny — zaczarowane kraje dziwów i zachwyków.

„Sokół, chart i koń” nęca go teraz więcej, niż podpatrywanie pomiesięcznych, wietrzanych tanecznic. Żywiół fantastyczności pierzcha przed butną fantazyą szumnej, młodej siły.

I oto otwiera się przed nim jakaś przestrzenność, nieobjęta, ogromna, bezkresna, wołająca w siebie na wichrowe, szalone, nieokielznane pędy. Ukazują mu się jakieś niezmierne, świetne dale, jakieś olśniewające perspektywy zamżone słonecznym pyłem „młodociekiej” sławy.

Spostrzega nowe cele, nowe do nich drogi; uczuwa nowe siły, nowe pożądanja.

Jakaś ognistość, dzielność, jakaś męska pogarda miękkości i rozkoszy wypiera z wysoko bijącego serca dawną tklivość, dawne rozkochanie. Wszystko się teraz żarzy, iskrzy, płomienieje. Jakaś stal wypala się i hartuje w ognisku duszy. Świat nowy krzyczy i rwie się do życia. Świat wolny, bujny, bogaty. Wola jest jego hasłem. Wola jest berłem i koroną życia.

Umilknął słowik w wiśniowym sadzie futoru, a nad stepem, nad szerokim, zakrakał brat-orzeł, brat-sokół. Sen ziele uwieźdło, opadło; wyśniła się z niego buńczuczna i orężna jawa.

Żywot uczynił się bojem. Występuje przewaga męskiego pierwiastku nad usidlającym uroków rusałczanych czarem. Same Rusalki nawet odczarowały się w stepowe krasawice. Nie chcą już przyśpiewek „na ten głos ptasi, to na ten głos ptasi”. Chcą tylko „sławnego junaka”. Wiośniany pęk róży, Zoryna, wykwitła w kwiat pełny, stepowy, w hetmańską czarnobrewę, która, zabaczywszy czarów, całkiem po ludzku

„Piękne oczy łzami mroczy,  
Załamuje dłoń”.

Żadne uroki, żadne lubystki, nie zatrzymują w pędzie tej bujnej, męskiej młodości, rwącej ku rozmożeniu się, ku spotężnieniu, ku poczuciu pełni swobody i siły. Życie stoi za mało, sława stoi za wszystko. Sława i zdobycz.

Przemózny instynkt rozszerzenia się, instynkt zaboru, tryumfu, trzyma na kulbace, na czajce, cały ród męski kozaczy. Zaciasno sercu w piersiach, zaciasno junakowi w domu. Tu, owdzie, wzdycha jeszcze i grucha jakiś rozkochany „Zołotarenko”, ale i ten się przegraża, iż rzuci niewdzięczne amory dla konia i szabli.

Napięcie młodych muskułów i młodych dusz junaczych nie da długo wytrwać w bezczynnie. Muskuly prężą się, chcą zapasów, chcą walki, chcą wroga. Nie miłość, ale nienawiść szuka sobie ujścia. Dusza chce szerokiego oddechu, chce burzy, chce gromu, wybuchu. Świst wichru jest teraz jej rytmem, jej strojem. Wyrazem życia jest siła. Jest żądza wywarcia się siły.

Dawny rozbrzęk gęslany w powietrzu wzmagą się, rośnie, męźnieje, przybiera tonów i mocy.

Aż zbudził się step ze snu, który mu zadało czar-ziele, i rozbrzmiał, roz tętnił się przyływem wezbranego życia.

I rozwinęła się, zaszumiła, zachrzęściła nad stepem hetmańska chorągiew, na której Michał Archaniół, na koniu i w zbroi, zabija wroga - smoka.

A za chorągwią powiało tysiące krasnych czapek, „kit i chorągiewek”, tysiące rucianych, barwinkowych wianków, zatkniętych na spisy, zafurczało wstęgami na wietrze. Zagrały trąbki, zagrzmiały janczarki; hukiem, rozhukiem wleciały echa gromkie. I uczyniło się jakieś ogromnie junacze „powitanie stepu”, pławiącego się w słońcu i kurzawie, kipiącego życiem i bojową pieśnią, upojonego męską siłą i swobodą. I buchnął step szczękiem i brzękiem orężnym, buchnął grzmotem okrzyków, wiwatów, wystrzałów, trąb, kotłów, piszczałek i litaurów szumnych. I urodziła się pieśń nowa, pieśń stepowej swobody, junacza pieśń — „dumka”.

Rytm jej, to bicie stalowych kopyt po stepowym szlaku; to pogwar rozwitych na wietrze proporców, to zanoszenie się tysiąca męskich, rozgorzałych głosów. Rytm jej, to „szturm do Stawiszcz”, grzmot moździerzy, granie haubic. To ten zgrzyt, jaki Czarniecki, „nasrożywszy lice, czyni na popłoch żołnierstwu”. To okrzyk pomsty i trzaskanie w szablę, gdy ginie kochanek i hohater Ukrainy — Daszko. To przeraźliwe rzenie konia, wpadającego między obozowe ognie samoluz, z pustem siodłem, z którego wicher bitwy zmiótł Bieniawskiego Janusza. To nadewszystko muzyczny tętent „wronego”, na którym hetman Kosiński w cwał leci do pułków, do żony, aż echa grają od Piatyhor i od Pawołoczy.

Rytm jej, to plusk czajek kozackich na Dnieprze; to bicie wiosel w zmaczone wody Limanu; to szum i huk walącej w pianach Taśminy, w którą junaki skaczą wplaw i do Wyhowskiego, atamana, śpieszą.



To grzmiące echa okrzyków od Chortycy do Tawani: „Niechaj żyje niech hetmani, Konaszewicz, nasz koszowy!“. To znów nadewszystko ów junaczy a śmiertelny wybuch głosów: „Ura — hol.. Ura — hol..“, który, gdy zagrzmi, blednie i drży Synopa, a nad Bosforem pożarne łuny się palą.

Wrzawa bojowa, huk, szczeł jest w tym rytmie. Jest w nim pęd, polot wichrowy. Jest rozpętanie srogości i swawoli, świszczący oddech zwartych z sobą zapaśników, trzask gruchotanych kości, jęk pobitych i okrzyk zwycięzców. Jest muzyka życia i śmierci, na samem zwarciu się ich z sobą, na samym ich przełomie chwycona. Dopiero kiedy Synopa ugaśnie, a Galata zdeptaną zostanie, kiedy Bosfor zapieni się krwawo, a Natolia gruzem się własnym osypie, wtedy ciężkie łupem czajki pod falę do Siczy wracają, a zwarty rytm bojowej pieśni rozłamuje się, rozprzęga, rozdłuża, opada. Hej, nie doliczyć już tych gromkich głosów, które go na sobie trzymały!

...Wróg pobity, miód wypity, wszystko się ma ku spoczynkowi i ciszy...

I oto uderza Ukraina w „Podzwonne ku ojcom“, ku błogim „Latawcom siedmiu złotych nieb“. Przyjmijcie stare kmiecie Boże, stare hospodyny rajskie, te wszystkie dusze junacze, które wojna z piersi wyparła! Których białe ciała pływają po zapienionych krwią Bosforu wodach, których białe kości suszą się na tureckich polach! Przyjmijcie, zbożni ojcowie, junaków dobrych, przemitych!

I bije „Podzwonne“ szeroko, rozgłośnie nad ogromnym stepem, „rozhuk po wodach, po siołach brodzi“. „Ho, hol Chmury z dalekich odgrzmiewają stron“. A lud miecie pęki płonącego ziela, iżby odstraszyć czartów, mknących jarami na wichrach i zastępujących drogę junakom dobrym, przemitym... A Michał Archanioł „na lewo, na prawo, pogląda jaskrawo“, i smoka, wroga piekielnego, pod złotem żądłem oszczepu swego trzyma, iżby szkodzić nie śmiał duszom junaków dobrych, przemitych...

I bije „Podzwonne ku Ojcom“, dziwnym jakimś, archaicznym rytmem; jakimś rytmem pokajania, żalów i zaklinań z prastarych, zamierzchłych czasów. Biję rozhoworem zmieszanych wierzeń, których dawniejsze i nowsze warstwy pokładły się na sobie wiekami, a teraz nagle rozkryte, zaświeciły nam razem do oczu. Biją rozhoworem zmieszanych świętości od owych „Latawców siedmiu złotych Nieb“, do rycerskiej postaci Michała Archanioła. Biję obrzędową pieśnią prasławiańskich „Dziadów“, echami, co się uchowały gdzieś pod zmurszałą belką, wypadłą z rozwalonej od wieków gontyny.

...Wróg pobity, miód wypity, wszystko się ma ku spoczynkowi i ciszy...

Ustały tętenty kowanych stałą kopyt. Rozkielznane konie, odpasane szable, zwinięte na drzewcach proporce, uciszone litaury i surmy.

Tatarski pastuch nie śmie się za dnia wychylić na świat biały, i tylko w najciemniejsze noce ku Dzikim Polom się skrada.

Ogromione granice, ubezpieczone ziemie, jasyr odbity, a pohaniec starty.

Śmierć, wielka hetmanka polna tej krainy, odwołuje hasła, ściga placówki, komendy i warty. Sławna była potrzeba, i przesławne boje, i sława jedynym łupem chrobrego rycerstwa. A teraz—skończony bój, otrąbion mir, ukoilo się serce Ukrainy.

I oto odchodzą bohaterzy strudzone na wieczne pokoje. Oto szerokim, uciszonym stepem suną mary „Serdecznego Lacha”. „A za Lachem, czarnym szlachem, Ukraina wzdłuż, jako umie, w tęsknej dumie przyśpiewuje tuż...”. A umie przedziwnie, przebogato, przegrobowo, przemęsko. Hej, latał on, sokół siwy, w samo słońce chwały! Hej, żył on z kozaczą wierną i żywot z nią przebojował, przeżył. „Żywot krwawy, krwawej sławy”. A teraz oto „sojusz skończony”. Lach „powraca na slobodę do swej Lanckorony”.

I toczy się wóz, i zrywa oczy posępnym przepychem śmierci.

Stepowe woły go ciągną wyprężone z jarzem; stepowe burzany, makatami nakryte, go ścielą. A nad wozem orzeł kracze, a za wozem idzie koń-sierota, koń hetmański, który „rży smutnie, wie po kim”.

I ciągną tak mary krajem szerokim, pełnym mogił, smętnym. A za marami step idzie bezkresny, mglisty, posępny, i lud idzie szeroką ławą, niechcący się ostawać bez bohatera swego, idzie Ukraina cała w swoich jesiennych sadach i lewadach.

A między ludem pogwary, poszepty, zalewane westchnieniami, rwane jękiem, zawodzące, żalosne, prześpiewne. „Już ty nie nasz! My nie twoi!” I rosną poszepty i pogwary ludu w jakąś opowieść, skandowaną wichrem i szumem stepowym, na przedziwne spadki. Rosną w jakieś epickie rozpamiętywanie sławy i żywota Bohatera - Lacha, w jakiś homeryczny, rodzący się wprost z piersi, wprost z momentu, Rapsod o bojach hetmańskich, o hetmańskiej sławie. I stają mary na mogile „co kilkoro staj”. I lud ciągnie za marami, „i modli się kraj”. Aż zaniósł się step, zakipiał, zahuczał potężną falą rozciąglych, czystych, męskich, lejących się tonów.

I śpiewa step ukraienny bohatera swego.

Przepyszny rytm jego pieśni bije orlem i sokolem skrzydłem w chmurne, wietrzne niebo nadstepowe. Spiż jest w tym rytmie. Dzwon śmierci i dzwon sławy w nim bije.

Dzwon śmierci i dzwon sławy biją zgodnie, razem, bo śmierć i sława chodzą za bohaterem na każdy czas, jak cień i jak światło. I huczy Dniepr, i szumi step, i śpiewa Ukraina atamana swego...

Rytm się pogłębia, wznosi, oczyszcza, mężnieje. Odpadają z niego miary dawnych, znanych pieśni. Pękły na jego kryształowem jądrze. Złuskały się na niem, jak plewa. Żaden ton znany, żadna znana nuta nie dotrwała mu w sile rosnącego pędu. Wszystkie zostały za nim, daleko, przy ziemi.

On płynie górą, waży się śródniebnie, na rozciągnionych i wichrowych skrzydłach.

Tysiąc serc żywych, bijących, poddaje mu swe spadki, swe wzloty.

Czarny szlach, wóz, toczący się po nim, hetmańska trumna, szeroka ława ludu, mogiły stepowe, cała Ukraina—wszystko trzyma się i płynie na tym jednym rytmie. Aż buchnie wielki Chorał stepowy niedoścignioną mocą, powagą, pięknnością, nieporównanym nastrojem rzeczy wiecznych. prostych, surowych.

I wyjawi się w nim, przemówi tajemniczy Duch Ukrainy, wichrowoskrzydły Cherubim, zatajony w stepowych bezkresach. A rytm Chorału wyzwolony, potężny sam sobą, pełny po wrąb ogromnej muzyki śmierci, poetyczny a prosty, wzdęty nieskończoności tehem, zakołysze się na rozwiei stepowego wichru i popłynie ku nieśmiertelnej przystani wiecznego milczenia.

...Wróg pobity, miód wypity, wszystko się ma ku spoczynkowi i ciszy.

. . . . .

Która gdy się uczyni, siedzie lirnik na stepowej mogile, na „dalekookiej strażnicy“ minionych czasów i ludzi. I nastroi Bojanowe gęśle na poszept mogilnych prochów, w których utajon jest żywot, i będzie szukał tonu do nowej pieśni, do pieśni życia.

I zapadnie w szeroką stepową zadumę, i targnie struny gęśli, i zapatrzy się w szerokosławne a rycerskie sprawy, i zasłucha się w echa tętentu „budziackich tabunów“, w echa „trąbiących pułków natolskich zórawi“, i będzie opętany wizją starej chwały.



I stanie się do jego ducha poselstwo od Ducha stuleci. I powstanie mu włos na skroniach od mocnego tchnienia mar, które go otoczą. I da głos rzeczom niemy i rzeczom uspionym, które czekają zbudzenia i słowa.

A tak rozebrzmi nowa pieśń, pieśń zadumy stepowej, namogilnej — „Duma“.

## VIII.

Kiedy Bohdan Zaleski pisze do Grabowskiego Michała: „Mój talent jest wskroś historycznym“<sup>1)</sup>, to nie trzeba tego brać bardzo dosłownie.

Przy bliższem bowiem badaniu okazuje się, że historyczność nie była kością pacierzową talentu tego; że nie była ona czemś, bez czego on ostałby się nie mógł. Okazuje się, owszem, iż lubo znacznie wyższa, tak co do stopnia rozległości horyzontów, które ogarnia, jak i co do stopnia różnorodności środków, jakimi rozporządza, historyczność talentu Bohdana Zaleskiego nie przenosi swoją naturą i wagą tej historyczności, około której osnuwają się Dumy, śpiewane przez wędrownych lirników Ukrainy.

Prawowita w samym wątku pieśni, dowolna w jego rozsnuciu, przemieszana z pierwiastkiem fantastyczności zaraz u źródła swego i wzbierająca pierwiastkiem tym w ciągu całego swego ciekłu, nie może ona rościć prawa do tej powagi, jaką przywykliśmy łączyć z pojęciem dziejowego motywu.

Jest to prawdziwa historyczność ludowa. Historyczność taka, która wyprowadza wprawdzie na jaw fakt dziejowy, ale w takim oderwaniu od przyczyn i skutków pojęty, i mimo całej możliwej złożoności swojej, w tak prostych i pierwotnych liniach przedstawiony, że właściwe jego znaczenie, jako ogniwa w dziejowym łańcuchu, zacierają się niemal zupełnie, a on sam występuje w proporcjach nadnaturalnych, z całą jaskrawą wypukłością wyodrębnienia swego, poza stosunkiem zależności i współbywania z resztą czynników, działających w danym momencie, przedstawiony. Owszem, występuje z całym absolutyzmem rzeczy samej w sobie.

---

<sup>1)</sup> „Korespondencya Bohdana Zaleskiego“, tom pierwszy, str. 11.

Otóż takie traktowanie materiału historycznego mieć będzie zawsze ten skutek, iż przedmiot, za ledwie tą metodą tknięty, z dziedziny historyczności wypada, i choćby najrzeczywistszy, przybiera w ekspozycji swojej znamienne cechy podania.

Niezawodnie, i w podaniu każdem tkwi dużo historyczności. Gdy jednak samo już wyzucie przedmiotu z historycznych proporcji czyni go ogromnie bezwzględny, i w tej bezwzględności ogromnie samotnym, występuje w nim nowy czynnik, czynnik patetyczności, który metoda historycznego traktowania przedmiotu wyklucza.

Historyczność może być tragiczna, może być, i nawet bywa często dramatyczna, jako sposób traktowania przedmiotu w stosunku jego do bliższych, lub dalszych przyczyn i skutków, oraz w stosunku do środowiska i jego oddziaływania czy to pośredniego, czy też bezpośredniego. To bowiem jedynie wykazać może w historycznym fakcie albo fatalną zależność jego od dziejowego tła i momentu, albo równie fatalne a nieuchronne ciążenie na nim przyczyn, jakie go wywołały i związanych z przyczynami temi komplikacji, albo wreszcie szereg konieczności, w postaci wywołanych przez fakt następstw, pojawiających się częstokroć wbrew zamiarowi, ale zawsze ściśle wedle nieubłaganych praw logiki dziejowej.

Ta jest arena, na której metoda historyczna odgrywać może dramaty swoje i swoje tragedye, w zakresie własnej natury i własnych środków.

Ale patetyczność ani się z naturą nie zgadza, ani w zakres środków tych nie wchodzi. Patetycznym może być tylko podanie. Ono bowiem jedno nie liczy się z niczem i tworzy sobie własną perspektywę uczuciową, tworzy to oddalenie i wyosobnienie, jakie jest koniecznym warunkiem patetyczności.

Ono samo, jako wyrwane ze wszystkich stosunków zależności dziejowych, olbrzymieje w oczach naszych tak, że wypełnia nam sobą cały horyzont czucia i myślenia, ogniskuje i skupia na sobie całą sumę wrażliwości naszej w danym momencie, i niepodzielnie panuje nad nami.

Ono dopuszcza wszelką egzaltację, wszelką egzagerację, tak ściśle, i nawet tak nieuchronnie z czynnikiem patetyczności związane.

Ono uderza w najwyższy ton, daje najbardziej skoncentrowany nastrój, wywołuje najbezpośredniejsze wzruszenie. Ono inicjuje w sam rdzeń rzeczy, i samo w sobie ma usprawiedliwienie swoje, swoją rację bytu. Ono ma bezwzględność zjawisk żywiołowych, ono jest, bo jest.

Ale fakt dziejowy, traktowany metodą historyczną, to jest w całym swoim uzależnieniu od związków przyczynowych i stosun-

ków oddziaływania środowiska swego; nigdy nie wyda i wydać nie może prawdziwego dzieła sztuki; gdy tenże sam fakt, wyrwany z tych stosunków i traktowany metodą podaniową, daje twórcy w moc olbrzymią dziedzinę uczuciową, dziedzinę patetyczności; daje mu cały świat sam w sobie, i staje się pod genialną ręką prawdziwego artysty materiałem doskonałego piękna.

Łudzi się zatem ten, kto, odbywszy mozolną kwerendę historyczną i nazbierawszy całe mnóstwo ubocznych faktów i okoliczności, wprowadza to wszystko do dzieła swego w mniemaniu, że im będzie dokładniej historycznym, tem dzieło piękniejszym się stanie.

Prawdziwy twórca kroczy drogą nie analizy, lecz drogą syntezy. Przedwstępnej pracy nigdy nie uważa za materiał dzieła, ale zsypuje ją sobie pod stopy jak gruz, jak podścielisko, na którym stanąwszy, rozgląda się z wysokości onej po widnokręgach, zgoła niewidnych dla oczu drobiazgowego szperacza.

Prawdziwy twórca wyrwa przedewszystkiem przedmiot swój z historycznych zależności jego. Nie przeto, iżby ich nie uznawał, ale przeto, iż musi czuć go pod ręką wolnym, samoistnym, przerastającym wszelką obciążającą go przypadkowość.

W teatrum swoim nie rozpala, po jednej, świeczek, któreby przedmiot jego oświetlały kolejnie i wszechstronnie. On w samym przedmiocie rozplomienia własne jego światło i czyni go buchającym ogniskiem natchnienia.

Prawdziwy twórca rzuca pomiędzy sobą a przedmiotem swoim ogromne oddalenie, wykreśla potężną perspektywę, pozwala przedmiotowi swemu urosć w olbrzymią i samotną wizję, rysującą się patetycznymi liniami na horyzoncie tworzenia.

Pozwala mu stać się podaniem.

Co gdy się stało, przedmiot, uduchowiony w stopniu najwyższym i przemieszany z duchem twórcy, ostatecznie zmienia się w zaczyn prawdziwego piękna, w materiał wysokiej inspiracji.

Tak tworzy instynktownie lud, i tak tworzy mistrz — świadomie.

W pierwszym wypadku, w wypadku twórczości ludowej, piękno wystąpi w prostych, surowych, nieco sztywno łamiących się hierarchicznych liniach, przynosząc nam wstrząsające wrażenie, z którego nie łatwo będziemy mogli zdać sobie sprawę na razie, a które, po latach jeszcze, ukaże nam w przypomnieniu ciemne, niepokojące twarze wypadków i ludzi; wrażenie czegoś niedomówionego, czegoś, co wogóle, w zakresie skończoności zjawiska domówić się nie da. I będzie to wywarcie się na nas patetyczności bezpośrednie, a tak silne, że aż gnębiące prawie.

W drugim wypadku owe surowe, hieratyczne linie rozkwitną przepychem barw, pełnią ciepła, blasków, cieniów; mistrzowsko wykreślona perspektywa ustosunkuje oddalenie, tworząc między wizją a widzem atmosferę drgającej wehemencji, żywą atmosferę wzajemnego oddziaływania, a dzieło da nam wrażenie doskonałego piękna.

Piękno to wszakże, na pierwiastku patetyczności osnute i rozwinięte, nie pozwoli nam zatonać w dosycie skończoności swej, w harmonii czystego arcyzmu; ale, zachowując wyraźne kontury z owych pierwotnych hieratycznych linii, w połowie zatopionych w surowym mroku rzeczy wiecznych i niewypowiedzianych, porwie ducha naszego w tajemnicze dziedziny zaświatowych mocy.

I będzie to wywarcie się na nas patetyczności pośrednie, przez ducha twórcy, który sam przyjmie pierwsze jej gwałtowne uderzenie,—przepuszczone, i estetycznym wrażeniem dzieła sztuki zmodyfikowane.

Ale i warunki, i niebezpieczeństwa tworzenia są w obu tych przypadkach różne.

Gdy bowiem lud, nie mając w swej prostej duchowej treści żadnych takich powikłań, któreby dzieło komplikować mogły, zostawia miejsce i głos patetyczności samego przedmiotu, a Rapsod swój, czy Dumę, przeplata jedynie odwołaniem się do potęg niebieskich, lub do sumienia słuchaczy, a zatem do instancyi, noszących w sobie elementarnie ogromny pierwiastek patetyczności, i owszem, wzmagających sobą patetyczność samego przedmiotu; artysta, którego świat duchowny bogaty jest w treść różnolitą, nadto często ulega pokusie domieszania czegoś z treści tej do dzieła, czy to w postaci historyzofii i związanej z nią etyki, czy też wprost osobistego afektu. Co zawsze na szkodę dzieła obrócić się musi, zważywszy, iż pierwiastek patetyczności, w swojej surowej, pierwotnej i na zupełnej jednolitości polegającej prostocie, właśnie żadnej takiej domieszki bezkarnie znosić nie może.

Stąd niezmierna rzadkość mistrzowskich dzieł w tym zakresie twórczości. Stąd ich bezcenność prawie i porywająca nad duszami władza, gdy szkopułu tego nniknąć potrafią, biorąc z ducha twórcy nie materyał jego, ale samą żywą moc tworzenia.

Taką jest „Illiada” i taka jest Sienkiewiczowska „Trylogia”, w której całe odłamy historyi, metodą podaniową traktowane, porywają nas siłą i czarem swej patetyczności, wywołując przed oczy nasze wizye potężne i niezapomniane.

Zobaczymy teraz, w jakim stosunku do wykazanych powyżej różnic w traktowaniu historycznego motywu i trudności, połączonych z niemi, stanął Bohdan Zaleski w swych „Dumach”. Odróżnić

tu wszakże należy właściwą „Dumę“, jako rodzaj historycznego, dającego się wyśpiewać Rapsodu, od poematów epickich, którym poeta miano „Dumy“ nadaje dowolnie, lubo nie posiadają one najpierwszego i najgłębszego jej znamienia: nie dają się śpiewać.

Bo Duma, to przedewszystkiem pieśń. Pieśń, urodzona z popiołów życia na wielkich zgłiszczach jego bojów, i wielkich mogiłach jego ukojenia. To pieśń,

Co cześć ludzką, ludzką pamięć na struny swe niże,  
Strzeże sławnych ojców kości i stawia im krzyże.

Otóż takich właściwych Dum w całym Bohdanowym dziele znajdujemy mało.

Taką Dumą jest pieśń, śpiewana z „Mogiły Sawor“, o Daszku, pierwszym hetmanie Ukrainy, to „Downarowski w jassyrze“, ta śliczna wizya swobody, marzona w kajdanach niewoli; to „Pożegnanie“, słane do króla Władysława od skazanego na gardło Sulimy, co to Kudak zburzył; to „Zozulicz“ ze swoją nutą rozciąglą, stepową; to pieśń o Iwonim, wdowim synu Laszki-orlicy, pieśń, którą marsowe kozactwo Zaporozża usypia hetmańską „detynę-sierotę“; to „Wyprawa Chocimska“, o żołnierskim, twardym rytmie, w takt którego:

Idą Lachy trzema szlachy,  
A kozaki czterma wałą.

To дума o Konaszewiczu Sahajdacznym i Koszowym; to „Teli-goła“, w której błyskom harmat Tekelego odbłyskują w gołe szable pan Czepiha i pan Hołowaty; to może jeszcze po części „Damian Wisniowiecki“.

Otóż we wszystkich tych Dumach stoi poeta na stanowisku lirnika, śpiewającego gdzieś na mogile stepowej. Jak on, śpiewa w nich Bohdan Ukrainę, jej dzieje, jej ducha, jej klęski, jej zwycięstwa, śpiewa lud Ukrainy w bohaterach jego.

Prosty, zwarty, surowy niemal w ujęciu przedmiotu, prowadzi go silnie i rozwija konsekwentnie w sferze jednego uczucia, wywołując wielkie maryl zdarzeń i ludzi, którym sądzono „zawiekować w pieśni“. Nie przekracza w nich nigdzie naczelnego warunku Dumy, możności wyśpiewania jej całej przed jednym andytoryum, za

jednem zaniesieniem się ducha, za jednym wybuchem natchnienia, zanim zbudzone w słuchaczach uczucie osłabnąć i ugasnąć zdoła, tak, że wezbranie uczucia tego, jego najwyższy wzlot i jego spadek, zawrą się w momencie słuchania całkowicie, w pełni jednej fali patetyczności, która z pieśni lirnika w serce słuchacza uderza.

Ani tonem, ani rozmiarem, nie odstępuje poeta w Dumach tych od zakresu naturalnego pieśni.

Każdej z nich mógł słuchać tłum wzruszony, z a d u m a n y, tłum, zgubiony w Dumie.

Jeżeli też gdzie można mówić o historyczności talentu Bohdana, to właśnie w tych Dumach. Rzecz prosta, o historyczności ludowej, która mu przynosi kapitalne poetyckie korzyści: widzenie faktów i ludzi w świetle i ogromie podania.

Mniejsza o to, czy stopień doskonałości Dum tych odpowiada wymaganiom najwyższemu, czy trzymają one miarę doskonałego piękna w swoim rodzaju. Mniejsza, czy poeta śpiewa tak samo, jak śpiewali wielcy lirnicy Ukrainy. Czy wylatuje w pieśni

To jak orzeł siwy w chmury,  
To ku ziemi, jak wilk bury...

Czy po Bojanie wziął siłę i słodycz, a po Naumie wieszczego ducha wróźbity. To pewna, że narzędzie pieśni i natura pieśni, są też same. Że w Dumach tych gra Bohdan Zaleski na prawych, bojanych gęślach, na złotych gęślach pieśni ludowej.

Owszem, w „Iwonim“ i w „Mogile Sawor“ stawia się i przemawia poeta w osobie samego ludu, wyzuwa się z siebie, nabiera pełną pierś tchnienia Ukrainy, jest prawowitym następcą i dalszym ciągiem tych, którzy stroili gęśle na kurhanach i wywodzili Dumy pod rytm stepowego szumu.

Krańcowo przeciwległą tym szczerym, tym prostym Dumom ukraińnym, jest epicka opowieść o losach „księżnej Hanki na Rużynie“, opowieść, której poeta imię „Złotej Dumy“ daje.

Ale ta „Złota Duma“ nie jest w rzeczy samej „Dumą“, ni „złotą“.

Zakrojona na ogromną miarę, samym już obszarem swoim chyba zasadniczemu warunkowi „Dumy“: nie może być wyśpiewaną, nie może mieć słuchaczy, stojących pod mocą jednego wybuchu natchnienia.

Ale i drugiemu istotnemu warunkowi ścisłej Dumy też chyba: nie tworzy patetycznej wizyi.



Jakoż rozlanie się opowieści po płytkich wodach mniej ważnych szczegółów sprzeciwia się najmocniej tej sile i wyrazistości, tej jednolitej, surowej prostocie, jakich podaniowe, ściśle z patetycznością związane, traktowanie przedmiotu wymaga. Zaczem idzie zatarcie się konturów naczelnego motywu, rozdrobnienie jego rysów, słowem niemożność stworzenia patetycznej wizyi, któraby się od razu zarysowała śmiało, szerokimi liniami, i skroś całego toku zdarzeń, dających jej odpowiednią perspektywę, widna była i panująca nad całym obszarem dzieła. Tymczasem łatwa opisowość ponosi w Złotej Dumie poetę na szlaki bujne, często kwieciste, ale, w znaczeniu istotnego piękna—bezpłodne.

Tam nawet, gdzie materya sama przez się drga patetycznością, jak naprzykład w rozpoczynającej akcyę śmierci ostatniego z książąt na Rużynie, poeta daleki od surowej powagi, jaka podobnej osnowie przystoi, rozprasza na pieściwe i strojne drobiazgi ten cenny zaczyn piękna, bez żadnej istotnej korzyści dla dzieła. Ale Bohdan Zaleski nie spełnia w Złotej Dumie i trzeciego warunku właściwej Dumy. Nie stawia się w niej na stanowisku pieśniarza, widzącego przedmiot swej pieśni zewnątrz siebie, w tem koniecznem oddaleniu i wyodrębnieniu, bez którego niepodobna wywołać patetycznej wizyi. Owszem, on do dziejów książąt Rużyńskich miesza własne życiowe koleje, występując w opowieści jako Maryan Bukat, piewca Ukrainy. Dodajmy, że poeta włączył do tego dzieje swego niemowlęstwa, opowiadane świątliwie przez osobę trzecią, przemieszane z epizodami dotyczącymi różnych rodzinnych zdarzeń, że—jak pisze o nim Józef Zaleski, „zabrął w pamiątki swego życia, w sny szczęścia domowego, w przeczucia i przewidywania młodości, które się ziściły i nie ziściły,—a uczynią nam się od razu widne te skazy, które materyę epicką zrysowały, nie dając się jej zrość i stężyć w jednolite i skończone dzieło.

Jak się to stało?

Albo się bardzo myłę, albo pierwszą przyczyną takiego zespolenia materyi epickiej z własnymi dziejami była znana już nam niemożność samodzielnego rozróżniania się poety od Matki Ukrainy, na co był położony nacisk zaraz przy pierwszym określeniu twórczości poetyckiej Bohdana. To był ów brak usamowolnienia duchowego, w którym poeta przetrwał całe życie; owa bierność w odbijaniu wrażeń, jakich mu dostarczała umiłowana ziemia, a to aż do identyfikowania się z tłem, na którym zasnął się pierwotny wątek jego losów.

Zaczem poszło, że gdy na czele pierwszej części dzieła postawił Bohdan wyraz „Ukraina“, objął wyrazem tym nietylko ziemię i dany moment jej dziejów, ale także samego siebie i lata, które tam przeżył

przebujał, prześpiewał. A tak, niemożna powiedzieć nawet, że nosząca poetę postać Bukata wprowadzoną została z zewnątrz do pomysłu dzieła. Bo ten Bukat, on się tam znalazł ipso facto, on tkwił w materii samej całym swoim światem duchowym, jako cząstka integralna, niedająca się zgolić i wprost nierozłączna z całością. Zrazu nie czuje poeta tej głębokiej rysy w swem dziele. Owszem, zespolony w ten sposób z przedmiotem, jak najbardziej odpowiednim swemu czuciu, genetycznym związkiem, rozgrzewa się, nabiera pędu i wierzy, naprawdę wierzy, iż mówiąc o sobie i swoich najbliższych, ani na krok od materii dzieła nie zbacza. Bo jakże! Te dzieje bohaterów, te uniesienia religijne, miłość, przyroda stepowa, dom rodzinny, śmierć matki, bracia, siostry, on sam, jego życie, jego dusza, to wszystko przecież nic innego, tylko Ukraina.

I tak, obejmując tę Ukrainę coraz szerszem, coraz rozlewniejszym czuciem, chce w objęciu tem zawrzeć i ogarnąć wszystko, co mu kiedykolwiek było pięknnością, wzruszeniem i umiłowaniem.

„Zdaje mi się” — pisze w tym czasie do Wodzińskiego Karola — że spłacam w ten sposób długi, a przynajmniej procenty, Bogu, ojczyźnie, rodzinie”.

Dzieło wszakże nie mniej cierpi na tem.

Bo gdy się wyczerpał zasób młodych wspomnień, a w dalszych kolejach życia nie stało heroicznego materiału, bo nie stało Ukrainy samej, gdy brakło podkładu osobistych pobudek i wrażeń, oraz głębokiego leżpośredniego zespolenia z treścią, dzieło marnieje i rwie się w osnowie swojej tak, że go poeta nie kończy. Prostu, nie może skończyć. A wtedy, niezdolen rozwikłać splecionych nici tej dwoistej tkanki, odrzuca ją, poniechuje, tłómacząc się sam sobie i przyjaciółom, że duch jego zwichnął loty w inne okolice, w okolice Ducha od stepu, i że na dawne szlaki zawrócić mu trudno.

Ale nie ta była przyczyna.

Przyczyna była ta, że w samym planie i samem swoim początku pieśń o rodzie Rużyńskich, fatalnie skręciwszy na tory osobistych dziejów i pamiątek, z dziedziny patetyczności bez ratunku wypadła, i raz utraciwszy właściwą sferę lotu, była jak ptak zbaczony, który już nigdy nie rozwinie skrzydeł.

W tem to leżała owa „morząca przeszkoda”, której się tak lękał poeta, iż mu przyjsć może zewnątrz od ludzi i okoliczności, gdy ona tkwiła w nim samym, razem z dziełem jego poczęła się, rosła i musiała ostatecznie rozprządz je i rozbić.



Taki był los tej pieśni, którą Bohdan Zaleski zwał „pieśnią—uczynkiem” i o której mniemał, iż będzie jego wieńcem na ołtarzu oczystej sławy <sup>1)</sup>.

Tak, jak ją znamy, jest „Złota Duma” niewykończonym i porzuconym torsem, o którym od pierwszego rzutu oka powiedzieć można, iż praca nad nim nie została przerwana jakimś nagłym wybuchem gdzieindziej porywającego poetę natchnienia, ale że zatonąła w jakiejś powszedności i nudzie, które, jak stojące wody, nakryły ją mułem.

Najsilniejsze linie torsu tego przypadają na część drugą, zatytułowaną w pierwotnem wydaniu „Trechtymirowski Monastyr,” a w ostatniem: „Książdz”.

Cała męska siła ręki, cała moc w uderzaniu dłutem tu się wyjawia i tu dosięga swojego zenitu, aby upaść w niemoc i omdlałość części trzeciej, zatytułowanej w wydaniu tem: „Piewca”, w dawnych: „Maryan Bukat”, od której już nawrotu w sferę patetyczności być nie mogło, i na której dzieło się zarywa.

. . . . .

Miejsce pośrednie pomiędzy właściwemi Dumami Bohdana, a jego „Złotą Dumą,” trzyma „Potrzeba Zbaraska”, którą poeta „Dumą Hetmańską” nazywa.

„Potrzeba Zbaraska” jest jak gdyby ziszczeniem' przepowiedni Mickiewicza, który Bohdanowi wróżył, że „gdy się postarzeje, od razu bujny liryzm wsiąknie w epopcję”. Postarzenie wprawdzie nie było znaczne, gdyż między „Złotą Dumą,” a „Dumą Hetmańską” jest zaledwie lat trzy w różnicy wieku, ale doświadczenie było uczące i świeże.

Jakoż, istotnie, jest w „Potrzebie Zbaraskiej” epickie zacięcie, epicki tok słowa, epicki ruch mas i epickie postawienie przedmiotu nazewnątrz siebie.

To postawienie przedmiotu nazewnątrz siebie jest niezawodnie trudnem zadaniem dla liryka wogóle, a dla Bohdana Zaleskiego było dotąd prawie że nie do osiągnięcia. A przecież ten jeden krok, to jedno wyniesienie się poety nad dotychczasowy sposób tworzenia, daje „Potrzebie Zbaraskiej” wyjątkowe stanowisko w dziele Zaleskiego.

---

<sup>1)</sup> Kor. do Karola Wodzińskiego.

Co jest wszakże godnem uwagi, to, że poeta, jak gdyby sam czuł trudność i prawie niepodobieństwo opiewania Ukrainy, w jakimkolwiek momencie jej dziejów, bez utożsamienia z nią własnego żywota, tak dalece to dwoje było mu w duszy jednym i tak pomyśleć nawet nie dało się z osobna, — że ten epik, który jest nawskroś lirykiem, wyzuwa się przezornie sam z siebie i kładzie „Dumę Hetmańską“ w usta ukraińskiego teorbanisty, jednego z tych, co to ciągną stepem ze „starosławnym teorbanem i białą w pas brodą“.

Teorbanista zowie się wprawdzie także Bukatem, ale jest to ten Bukat, który właśnie postarzał tak, że „bujny jego liryzm wsiąknął w epopeję“.

Lirnik, stary Zbarażanin, długo coś wędrował, od Bohusławia idąc, czy Trechtymirowa, a teraz oto przybył, pokłonił się gromadzie, „powiódł okiem po ziemi, po niebie“, nastroił teorban do wtóru z Dnieprowym szumem, a gdy wyzwanie do pieśni rozgrzmiało okólnym okrzykiem: „Zbaraż! Zbaraż!“ obrócił „twarz stuletnią, wyschlą, śniadą“, do pana Jana Horyszeskiego, który oto jest koszowym w Siczy, i zawiódł na szumy, na stepowe poświsty, sławną Zbaraską „Sprawę i Rozprawę“.

Już sama ta przygrywka, samo to wejście w rzecz, stwarza nie zwykle żywą atmosferę; ujęcie zaś przedmiotu z tej właśnie strony daje mu od razu wybitne znamiona ludowego Rapsodu, który nie będzie się rozciekał drobnymi, obojętnymi strużkami, ale z miejsca zaraz weźmie głęboki, bystry prąd patetyczności.

— „Podobno twój poemat jest ten, gdzie wyprowadzasz kozaka, opowiadającego wojnę zbaraską“ — pisze Mickiewicz do Zaleskiego z Lozanny.

— „Myśl bardzo szczęśliwa, bo da ci ramy, ograniczy twoje obrazy i zatamuje wybryki liryczne, które twoje opowiadania ciągle rwą“.]

I tak się stało.

„Sprawa i Rozprawa“ potrzeby Zbaraskiej prowadzi nas w te czasy,

— „Kiedy Lacht, jak to oni zwyczajniej weseli,  
Pod Zyhmontem Starym królem hulali, szumieli,  
I w najlepsze im się miodem czupryny kurzyły,  
A na stepie wyrastały wysokie mogiły“.

Oto jest ściśle ta miara historycznego podkładu, jaka przypada Dumie. Oto jest ten rytm szeroki, męski, ta nuta rozciąglą śpiew-

na, która też dumie przypada. I oto są te pierwsze śmiałe linie, które mają stworzyć patetyczną perspektywę dla opiewanych ludzi i wydarzeń.

Mniejsza o to, czy „Kozacza” wojowała wespół z „Laszą” w te czasy przeciw Ordzie, i czy odniosła pod Zbarażem walne jakieś zwycięstwo.

Mniejsza o to, że w historii Zbaraża fakt taki zaznaczonym nie jest. Że poeta dla odkupienia hańby Chmielniczczyzny wywołał nam przed oczy owe boje, w których szable Zaporozża cięły pohańca razem z szablami polskiego rycerstwa.

Mniejsza o to, czy na czas ten przypadło ustanowienie wolnego Hetmaństwa na Ukrainie, i popisanie się kozackiej ludności w registry wojska zaporoskiego. A i o to także mniejsza, czy ten lub ów bohater „Potrzeby Zbaraskiej” był osobą urojoną, czy prawdziwą.

Wszystkie te wątpliwości bowiem właśnie przedziwnie służą przedmiotowi, wrywając go z dziedziny historyczności właściwej, i zmuszając niejako poetę do traktowania go metodą podaniową, je-dyną, która pierwiastkiem patetyczności operować może.

Więc kiedy jawi nam się pan Daszkiewicz Ostafi, siwy orzeł, co zbujał stopy, porohy, ostrowy, i lat sześćdziesiąt nie schodząc z kulbaki:

„Co rok ciągnął w cztery pola i w piąte podole,”

nie pytamy, nie przychodzi nam wprost na myśl pytać, czy był on istotnie, czy nie był, pierwszym Hetmanem Ukrainy, ale patrzymy za nim, czując, że póki koń jego omiatał będzie z puchów kopytami burzany stepowe, póty będziemy mieli przed oczyma wielką patetyczną wizję.

Jakoż „Sprawa” od razu poczyna się górnio.

Na majdanie kupy ludu zeganego z jarów i czaharów, kędy krył się przed tatarstwem dzikiem. Wśród ludu trwoga i bezład niemocy. Wtém jawi się pan Ostafi Daszkiewicz, który, widząc bezbronność Ukrainy, i jako w niej „rosną wysokie „mogily”, jechał do „Króla Zyhmonta”, iżby Ukrainie ratunek obmyślił.

„A jak jechał, tak pojechał”,

i oto stoi—Hetmanem. A nad nim w szumach, w szelestach, powiewa wielka malinowa chorągiew z Michałem Archaniołem na koniu i w zbroi. Królowa ją szyła, poświęcały władki w Kijowie—pierwsza hetmańska chorągiew Ukrainy. Przy Hetmanie starszyna,

Lach serdeczny, Przeclaw Lanckoroński, i książę Rużyński Bohdanko.

Błyszcą w słońcu ich pozłociste zbroje, a nad wszystkimi błyszczy hetmańska buława. Skinęła—i oto cichość przewiała skroś stepem.

Czyta się pergamin króla Zyhmontowy. Nastaje na Ukrainie wolna Hetmańszczyzna. Oto wam konie i bronie. Z chłopstwa będziecie sławnem wojskiem zaporoskiem: kresom ku spokojowi, sobie ku bezpieczeństwu, Laszy ku pomocy.

Skoczy na jedną stronę burłactwo junacze, skoczą na drugą słobodzkie, rodowe kozaki. Sam pan Hetman pisze ich po łbach w sotnie i w tysiące. Już sotniki i tysiączniki oganiają konno popisane w registr kupy.

„Na koń i szable do pasa!“

I oto rozpłoszone i nieradne chłopstwo „zmienia się w przesliczną Kozację“.

Ledwo ruszyli, już Barańczuków biją, i topią u Rosi, u Bereźny.

Ledwo się rozwinęli szykiem, już lecą, jak orły wprost w słońce.

A jednych wieździe Lach Serdeczny, a drugich Bohdanko, a wszyscy patrzą w hetmańską buławę i w chorągiew z Michałem Archaniółem.

W pochód! W pochód! Na odsiecz Zbarażowi! W pochód!

Zbaraż oblega chan Gierej, caryk perekopski, i grzmią tam „dziuła“ i janczarki grają, a strzały świszcząc oblatują Zbaraż, jak wianek ognisty.

Od Słuczy, od Horyni rycerstwo polskie pędzi na pomoc, jako chmura złota. Od Rosi, od Czarniawy, pędzi Kozactwo Zaporoskie, jako obłok siny.

„Chrobra Lasza w ogniu stoi, hej, w ogień, Kozaczo!“

I wypadł piorun z chmury złotej, i wypadł drugi z siniego obłoku, i starły Chana Giereja dwa bratnie pioruny.

— Na karki bisurmanów! W pochód! W pogoń! W pogoń!

I znów zaszumiała hetmańska chorągiew,

„Grają trąbki w cztery pola, a w piąte podole“.

Brnie Zaporozie Bohem, przeprawia się przez Duiestr, pali Bender, zstępuje na Cecorskie błonia, obozuje w Wołoszy, idzie w bród Dunajem, pali Gałac, aż naraz brakło ziemi koniom pod kopyta.

... „Morzel Morzel Czarne morzel Nasze, nasze morzel“

. . . . .

Dziwna rzecz! Choć każda z trzech części Potrzeby Zbaraskiej przechodzi obszarem swoim rozmiary właściwej Dumy, całość, podzielona przestankami, daje się przecież jak Duma wyśpiewać.

Taki w niej ruch, taki pęd, taka muzyka tętniącego rytmu, taka odręczność słowa, taka zawierucha pochodów, starć, bitew, spotkań to miłych, to groźnych, taka rzeźkość, taka fantazja, taka nagłość i zmienność przygód, miejsc, obrazów, taka pełność ludzi i zdarzeń, takie bogactwo treści, ledwie, że dotykanej, muskanej skrzydłem pieśni, w jej orlim polociel! A mówię tu szczególnie o dwu pierwszych częściach, obejmujących „Sprawę i Rozprawę”. W każdej z nich, fala uczuciowa pomiędzy pierwszym, a ostatniem słowem— stale wzbiera, rośnie, osiąga swoją najwyższosc i zwolna opada.

Opada wszakże nie do poziomu tęsknego zadumania, do ugaśnięcia ostatniej iskry wrażliwości, jak w Dumie właściwej, po której w duszy słuchacza smutek się tylko wije niby tuman senny.

Ona się zatrzymuje mądrze na tym stopniu, który jest chwilowym spoczynkiem, szerszem nabraniem oddechu, przy nieukojojonej jeszcze vibracji owej uczuciowej fali.

Rozumiemy też doskonale, że słuchacze nie chcą się rozchodzić, choć teorbaniasta umilkł, i ledwie że po strunach brząka.

Że owszem kupią się przy nim, przynoszą mu wina, żeby się pokrępił i czekają milcząc, aż buchną znowu szerokim okrzykiem:

„Jeszcze śpiewaj!... Jeszcze!”

A dziad:

„Stójcie! Stójcie! Niech oczyma pobujam po stepie!”

Bo ze stepu idzie na niego duch pieśni, natchnienie.

## Bo ze stepu

... „Wieją głosy dawno już przebrzmiałe,  
Dopominać się tak lecą o pieśni, o chwałę“.

Ale „Potrzeba Zbaraska“ nie tylko spełnia warunek śpiewności. Ona czyni zadość wszystkim innym warunkom właściwej ludowej Dumy.

Podkład momentu dziejowego postawiony jasno, silnie, w pierwszych zaraz słowach, wzbiera stale fantastycznością i ani na chwilę nie przekracza granic historyzmu szczerze ludowego.

Przedmiot posiada głęboką perspektywę rzeczy minionych, — „skończonych w sobie“ i tworzy wizję patetyczną, o szerokiej liniiach epickich.

Linie te, rozpołożone swobodnie, już to obejmują masy całe, służąc im heroicznego ruchu, już też skupiają się i akcentują na postaciach pojedynczych, i pierwszoplanowych, nadając im plastykę, u Bohdana Zaleskiego niezwykłą.

Całość zaś tej wybornej konstrukcyi nie wynika z widnego oczom trudu i zamiaru. Ona się rodzi razem z pomysłem dzieła i ma w sobie coś żywiołowego, coś, co byle tylko raz uczuć, już samo się staje.

Nic też piękniejszego, jak pewne, przyrodzone Dumie zwroty wprost ludowe, owszem wprost liryczne, i których nie można sobie wyobrazić poza takim, śpiewanym na mogile stepowej Rapsodem, jak naprzykład ten do słuchaczy:

„Panie Janie Horyszewski,  
Bóg zapłać za wino!  
Bóg wam zapłać za oklaski,  
Serdeczna drużyno!“

który nam tak żywo stawia przed oczy całą scenę pieśni i gościny. Albo ten, zwrócony do poległych w Zbaraskiej Potrzebie:

„Gdzie Wy, druhy, towarzysze, gdzie was tyłu, tyłu?  
Gdzie Ty, Samo Iwanowski, Sobański Wasylu?  
Wdowi synu, jedynaku, Jaczewski czarniawy,  
Trzej rodzeni Pilawicze od cichej Rasawy?“

Albo jeszcze ten, kiedy w największym warze i kipiątku opiewanej bitwy, Lirnik przerywa sobie, wznosi oczy ku niebu i mówi:

„Boże wielki, miłosierny, za wszystko ci chwała”!

I tuż zaraz:

„Jakże wpadnem na nich burzą, aż ziemia zadrżała”.

Co za ton! Jak to dźwięczy jakimś słowem o pułku Igora, jakimś króloworskim Rękopisem, jakimś bojem na Kosowem polu! Aboli znów owó:

„A jak jechał, tak pojechał”.

To jest przecież przedziwnie ludowy ruch słowa, którego nie naśladowuje żadna poetycka sztuka!

Miał Bohdan Zaleski ogromne natchnienie prawdziwego piękna, pozwalając w tej Zbaraskiej potrzebie przemówić nietylko własnemu najgłębszemu czuciu ludu i ziemi Ukrainy, ale, nie wychodząc nigdzie na cal, na pół cala, ze sfery ludowych pojęć, nogólnień, i trzymając się ściśle ludowego punktu widzenia rzeczy i sądzenia o nich.

Nie może naprzykład być, aby lud, — ot za Stefana Batorego — inaczej sobie wyobrażał absolutną władzę hetmańską nad sobą i własne swoje zdanie się na nią, jak w tym przepysznym zwrocie pana Ostafiego Daszkiewicza:

„Moja Ukraina, co z wami uczynię,  
To samemu Panu Bogu wiadomo jedynie!”

Albo, jakie to pełne bezpośredniości widzenie kłopotów starszyny od strony ludu:

— „Nakiwali tam ku sobie głowami w naradzcie”

I prawda. Co mogła „Kozacza” więcej widzieć ze swego majdanu, jak to hetmańskie nakiwanie ku sobie głowami? A jest to wszystko nietylko bardzo ludowe, ale i bardzo epickie razem.

I czy może kto zaprzeczyć temu pełnemu prawdy słowu samego poety:

„Wcielenie ludu — to Homer“.

## IX.

Znamy Bohdana Zaleskiego zbyt wiele i zbyt mało razem. Znaczy to, że znamy go niedostatecznie.

Jakoż, wszyscy wiemy, że Bohdan Zaleski — „Słowik Ukraiński“ — jest twórcą „Rusalek“ i twórcą „Przenajświętszej Rodziny“, że pisał „Dumki“, „Szumki“, a także „Ducha od Stepu“, o którym już wiemy mniej znacznie, i który nam się przedstawia, jako rzecz bardzo mglista, metafizyczna i do polapania się w niej trudna.

Wszyscy umiemy przytoczyć z pamięci po kilka, po kilkanaście wierszy „z Zaleskiego“.

To „świeć się, świeć się wieku młody, śnie na kwiatach, śnie mój złoty“, to: „Bom pożegnał nie wczora i nie jutro obaczę“; to znów: „Czara życia nie wciąż miódna“; to jeszcze „O widać i słyhać w ogródku skowronek“; to wreszcie „Hop, hop, cwałem, koniu wrony“! — i zapewne kilka jeszcze.

Wszyscy też wiemy, a niedawna stuletnia rocznica urodzin poety stwierdziła to dosadnie, — że „na ziemi, u mogiły, kilka piórek pozostało, co ku niebu go nosiły“.

A ponieważ te wdzięczne cytaty każdy miał na podorędziu jak by i posługiwać się nimi mógł z największą łatwością ugruntowało się u nas mniemanie, że Zaleskiego znamy wprost na wylot.

Do tego przybywały dane biograficzne, także w podobnym skrócie, i także — przez osobność swoją — mocno w pamięci naszej odbite.

... Zaleski? — a! „Dniepr, Iwanhora, chata gdzieś za wsią staro-  
regu znachora“.

A potem:

— „I mnie matka Ukraina,  
I mnie matka swego syna,  
Upowiała w pieśń u łona“



A potem jeszcze — długie lata na obczyźnie, ślepotą..

I takeśmy do tego sumarycznego rachunku z pieśniarzem tym nawykli, że wszystko niemal, co u nas powiedziano o nim w tę setną rocznicę urodzin jego, owinęło się od razu w sposób zupełnie naturalny około tych cytat i dat, tak bardzo popularnych i tak bardzo ogółowi szerokiemu znanych. Szczególniej „piórka“ owe zostały podjęte tak skwapliwie i zużytkowane tak wszechstronnie, już to na motta, już to na przykrasę artykułów, wspomnień, wzmianek, iż każda mniej cudna i mniej lotna strofa zbanalizowała się i zwietrzała bez ratunku w podobnych opałach.

Oczywiście miało to swoje przyczyny, a pierwszą z nich była popularność niekompletnych wydań poezji Bohdana, jeszcze za jego życia drukowanych, a z których szeroki ogół zapoznawał się z poetą trochę ułamkowo, i trochę powierzchownie.

A trwało to tak długo i tak się ten szemat ustalił, że kiedy przed kilku laty przyszło wydanie dopełniające, pośmiertne, przyjęliśmy je obojętnie w przeświadczeniu, że o Zaleskim niczego więcej nad to, co wiemy, dowiadywać się nie mamy potrzeby.

A potem, albowiem Zaleski już się nie przestarzał?

Inne czasy, inne pieśni...

Istotnie. Dawno już roztrzęsiono ten snop wonnego kwiecia, który się poezją Bohdanową zowie.

Dawno wybrano z niego i zszeregowano poosobno okazalsze i pomniejsze kwiaty.

Że jednak w snopie owym nie było kłosów, z którychby zaraz ziarno pożytków oczywistych można było brać, osądzono go lekkim, i owszem, powiedziano sobie, że na rychłe uwiędnięcie skazany, zeschnąć i wypłowić musi.

Nie zauważono wszakże, że ten snop stepowego kwiecia, do poezji naszej wniesiony, rozszerzył wprost granice jej piękna, het precz, aż po Kahorlik, po Liman Dnieprowy; że tchnął w nią ogromnie nową, świeżą woń kwiecia, które się u nas nie rodzą, i że ta woń weszła do atmosfery poezji naszej jako czynnik dopełniający i wzbogacający, króry dyszeć w niej będzie nazawsze szerokim, wolnym tchem stepu.

A i tego nie zauważono, że jeśli nawet kwiecie owego snopa nie wydało ziarna, z którego chleby doraźnych pożytków piec można, to przecież każdy kwiat ma w nim własne, dźwięczne nasionko, które samo w sobie jest prześpiwnym tonem, i że byle je rozstrząsnąć po ugorach życia, przybędzie na nich muzyki dusz, niezbędnej — nawet przy chlebie.

A tak, okazuje się, że Bohdan Zaleski i rozwiósnił, i rozpieśnił pieśń naszą; że nadal ją nowemi krainami piękna; że wprost faktycznie rozszerzył, rozbogacił jej piastowskie patrimonium całym obszarem stepowego ducha; że jak ów Lirnik ze Zbaraskiej Potrzeby, powiedzieć może o sobie:

— „Zakupiłem Ukrainę Dumami mojemu“.

Autor obszernej, i z wielkim nakładem pracy podjętej, ale powierzchnowej w sądach książki <sup>1)</sup>, powiada, że „Bohdan Zaleski pozostał w drugim rzędzie poetów naszych“,

To nie jest prawda.

Ten rząd, w którym stoi Bohdan Zaleski, nie jest „drugi“. Jest inny. Jest tak bardzo inny, że nie poprzedza go żaden pierwszy, i że nie następuje po nim żaden trzeci. Jest, bez względu na Malczewskiego i Goszczyńskiego—jedyny.

Do rządu tego ani Bohdan szedł, ani poza niego gdzieś dążył; o żadnym więc pozostaniu, w znaczeniu nie dojścia do dalszej jakiejś zamierzonej mety, mowy być nie może. Od razu, pierwszym wzlotem twórczości, stanął Bohdan w tym innym i jedynym rządzie i stał w nim po ostatni dech żywota:

„Twórca w swoim sposobie,  
Guślarz—gęślarz—na wieki.“

I to jest jego macierzysta scheda, jego „wolna Hetmańszczyzna“, po której on „chodzi, jak po własnej chacie“, i „z teorbaniem atamańską piastuje tam władzę“.

Niewdzięczną też rzecz podejmuje autor wspomnianej książki, mozolnie dochodząc różnych pochyłeń się psychicznych Bohdana, to w tę, to w ową stronę; rozgraniczając pilnie momenty większej, to znów mniejszej religijności jego, usiłując, przy pomocy cierpliwych, choć nie zawsze pomyślnych, zestawień, ustalić raz na zawsze, że tak powiem, stan cywilny jego duszy.

<sup>1)</sup> St. Zdziarski: „Bohdan Zaleski“,

Po co? Po co nam wiedzieć, czy był gorliwym, czy mniej gorliwym katolikiem; czy silniej, czy słabiej wierzącym duchem; czy uległym, czy nieuległym wpływom otoczenia?

Był poetą, to dosyć. Dosyć, bo to znaczy: był tem wszystkim razem.

Był z tych, co śpiewają „świat omamień“ i sami radzi w omamieniu żyją.

„Biada mi, jeśli ocknę!“ — pisze Bohdan w jednym ze swoich listów<sup>1)</sup>.

I nam biada, jeśli ockniemy o tyle, że czarodziejstwo pieśni jego przestanie nas czarować i po kupiecku stemplować je zaczniemy.

Był poetą.

Czasem, święty prostak, rozpada się, zanosi w ludowej kantyczkowej pieśni; czasem seraf, ulata na poczwórnych skrzydłach i ma widzenia wielkie skroś otchłani.

Czasem, pusty jak dziecko, wesoły, swawolny, podrzeźnia głosy ptasie, i z wiatrem stepowym dmucha w rusałczaną piszczalkę z sitowia; czasem podnosi „w górę lutnię złotostrunną“, z jarzącym wzrokiem psalmisty, a w duszy jego odgrywa się jakieś wieszce oratoryum. Czasem, cały w płomieniach ducha, chwytą za surmę i woła:

Pieśni! Bóg mi prorokuj!

Czasem chłodnie, zastyga powierzchu, jak lawa, i mówi do pieśni swojej:

Wróc w katakumby, w święte me podziemia.

Czasem wszystko mu pachnie wiosną i radością życia. Chce „kochać i śpiewać“. Czasem budzi się nagel, rozgląda i pyta:

Zaczarowany ptak, co ja tu robię?

Ma przecież pewne rysy ducha trwałe, niezmiennie, wyrzeźbione silnie i odrazu widne:

Jak Bogu, nie przemieszczę się nigdy ludowi.

Oto jeden z tych wielkich, z tych głębokich rysów.

---

<sup>1)</sup> Korresp. B. Zaleskiego, I, str. 34.

A drugi:

Ojczyzna — stanem moim dozgonnym.

A kiedy mówi: „ojczyzna“, to wobec kolei jego życia jest tak, jak gdyby mówił: tęsknota.

Bo jest to przedewszystkiem „śpiewak tęskniący“. Ledwo z oczu step stracił, już „mokrą mruga powieką“, już wie, że jego chaty tu niema, że „daleko, daleko!“.

To „daleko“ staje się tonem wszystkich pieśni jego. Nawet Warszawa nie odmucha mu mgły Dnieprowej, ni puchów bodiakowych z duszy. Chodzi po niej, sumuje z Dumką Mazepy na ustach, a tylko dyszy, z której strony wiatr stepowy ciągnie. O Warszawie powiada, że był tam, jako barwinek z bujnej ziemi, w piasek Mazowiecki wszczepiony.

„Chuchali, dmuchali przyjaciele“, iż przeżył nieco, sami jednak widzieli, że mu grunt nie nada.

Toż Ukrainiec nie na Ukrainie

I wiek przepłacze swój, i marnie zginie.

Więc mawiał do niego Malczewski:

„Ej, ty tu tabun przypędził, kozacze, i tęsknisz nazad w step!“.  
A już i jemu samemu „zwiądła była twarz piękna i już go dogryzały smutki“.

Ale, im dalej, tym gorzej.

„Czuźyna“ trawi Bohdana wielką „suchością duszy“, którą z suchością stepu porównywa.

Trawi go „emigrancka choroba“: „tęsknota za ojczyzną ziemską, a choćby niebieską“. Modlitwy jego, to także tęsknota, tylko że na klęczkach i z oczyma wzniesionemi w niebo.

Obce ziemie? Cuda! Ale doma serdeczniejszy żywot i zieleńsze drzewa“.

Śnię, Ukraino, wiecznie śnię o tobie!

„Nie nasyci serca okolica cudza, choć się śpiewak na chwilę ucieszy, że cudna“.

Endoume? „Morze i skały. Kraj nagi i pusty. Co było wczoraj, jest dziś i będzie jutro. „U nas inaczej! Inaczej...“. To: „u nas inaczej“, to nie poetycka przyśpiewka; to żywe, buchające źródło tęsknoty.

A potem, ta beznadziejność ziem obcych! „Straszne uczucie, że nie tam ani zasiać, ani zaszczyć nie warto!“.

„Na co nam tu sława?” — pyta. A jaka w tem prawda!  
Molsheim? Strasburg? „Błękitne dnie, błękitne noce, ale stepu  
niema”. Ledwie się na Ren zapatrzył, ledwie się w niego zasluchał,  
gdy pisze:

„Kąt spokojny, któryśmy długiem staraniem znaleźli, już nas  
nie zaspakaja, i znów wędrować będziemy po cudzych ziemiach, gdzie  
tak trudno, bo niepodobna zastąpić swojej”.

I oto „zmienia miejsca, widoki, ale zmienia napróżno”.

Do Rzymu jedzie z pośpiechem, z uniesieniem nagłem. Aliści  
zaledwie się tam znalazł, pyta:

— Co porabiam tu, rzymskim prochem opylony?

I wnet czuje, że z tą Romą nie ma nic wspólnego.

Aventyńska wilczyca próżno kły swe stali,  
On plemiennik tych mężów, którzy ją zdeptali.

„Owidyusz? Horacy?”.

To nie dla nas! „My, wnuki Scytów, Daków”.

Na apijskiej drodze ma widzenie Jana Kochanowskiego, a ze  
wszystkich arcydzieł zajmuje go tylko twarz konającego Gładyato-  
ra, i „bystro w nią patrzy, bo się zdaje: „brat z zamierzchłych stuleci,  
co ożył w posągu”.

Paryż? Co z niego ma? Co z niego bierze? W czym się do niego  
przystosować może? „Co oni wiedzą?” — mówi o poetach francuskich,  
bo go gniewała ta „galijska bezrytmowa, bezrymowa dusza”.

W emigracyi widzi „coś tak straszego, jak w klątwie Bożej”.

„Przepadniem, nie wiedzieć jak!” — mówi.

Tam mu tylko dobrze, gdzie może śpiewać głośno i latać swo-  
bodnie.

Przeszedłem świat, a jedna tylko strona miła,  
Gdzie mi się pierwsza moja dumka urodziła.

Zresztą „wszystko czużyna”, i nigdzie „niema, czego trzeba”.

Ni swojej ziemi, ni swojego nieba,  
Ni tego czegoś, czem serce oddycha...

Woła raz wprawdzie Zaleski:

Fonteneblowskie lasy! Moje lasy!

Ale to były te lasy, gdzie ongi z Mickiewiczem brnęli między paprocie i wrzosa, tonąc w wspomnieniach i śpiewając Dumy ojczyste.

Aż gdy się w dumach owych zapamiętał Bohdan, zatracił, pojrzy — a tu przed nim wzdłuż przestwór siny — step! A w dali pas srebryzasty — Dniepr-ojciec, samotnik stepowy.

I słyszy — Dniepr w skały pluszcze! Więc lży mu wytrysną kropliste...

A wizye takie powtarzają się, przychodzą na jawie, przychodzą we śnie, a tak wyraźliwe, że je poeta ma za objawienia.

Zrywa się z takiego snu z duszą rozmodloną, rozśpiewaną, pada u okna na klęczki, i modli się, i dziękuje a Bogu potem pisze:

Widziałem, z łaski zaprawdę Wszchemócy,  
Widziałem — kraj mój!

I nagle wzbiera mu w piersi ogromna fala tęsknoty, ogromna żądza i nadzieja.

Step rodzinny ukołyszę,  
Rozpościele swe komysze,  
Choć e kiju dojdę tam...  
Stanę w oknie, stanę w progu,  
Co wystoję, co wyśpiewam,  
Podziękuję za to Bogu...

Zrywa się. Chce biedz.

Dalej! Dalej! W swoje strony!  
W step bezludny! W step zielony!

Ale „czużyna“ nie puszcza od siebie.

Więc gdy „przędza nadziei rozmotłała się do ostatniej nitki“, buduje poeta „Kalinowy most“, na wielki „Finał“ życia. Przerzuca duszę na drugi brzeg wspomnień przez wodę dużą i wodę burzliwą. Idą mary lube, i przechodzą, i nie zostaje żadna. Pieśniarz rzuca im kwiaty serca. Kwiaty lecą, padają, a on wie, że padają w niepowrotną falę.

I przychodzą „lata cierpkie i dnie omroczne, kiedy niema czem  
osłodzić gorzkości ust“, niema czem rozjaśnić gasnących oczu.

Bo oczy już gasły.

. . . . .

Lirniku nasz! Nie chciałam mówić o tobie źle, i nie chciałam  
mówić dobrze. Chciałam tylko uderzyć w Podzwonne ku tobie, błogi  
latawcze siedmiu złotych Nieb pieśni. Chciałam wejść sama w krąg  
twych rusańczanych oczarowań, w krąg twojej zadumy stepowej.

Czyś miał, jak Bojan, dusze ludzkie w ręku — nie wiem; ale  
wiem, żeś miał często w ręku ludzkie serca.

Chciałam serc kilka dla ciebie wskrzesić.

MARYA KONOPNICKA.

# Kierunki społeczno-gospodarcze za Księstwa Warszawskiego.

---

Wśród losów zmiennych, jakie przez wiek XIX przechodziły ziemie te, najsmutniejszym dla kraju był okres panowania Prusaków. Od r. 1795 do 1807, znaczna część dzisiejszego Królestwa Polskiego z sercem swem, Warszawą, zostawała pod rządami pruskiemi. Rząd nowy nie znał chwiejności, ze stanowczością brutalną zmierzał do celu, niszcząc wszystkie prawa przyrodzone i historyczne narodu podbitego. Pierwowzoru bismarckowskich teorii prusaczenia i obecnej polityki kolonizacyjnej należy szukać już w owych czasach. Otwarcie wystąpiono z planem przeistoczenia swych poddanych nowych w Prusaków, z zamiarami wytępienia narodowości. Uprzytomnienie sobie głównych sposobów, które w czyn wprowadzono, przekonywa snadnie, że nietylko moralne bodźce, lecz także istotne warunki działania były takie same, jakie teraz panują w dzielnicach niemieckich pod rządem niemieckim.

Dwa środki puszczono w ruch: 1) osiedlanie w kraju Niemców, przynęcanych tu widokami poprawy losu, oraz 2) ułatwienie rolnikom zaciągania kredytu, pozornie dogodnego, lecz zdradzieckiego, aby zwolna wyzuć ich z ziemi. Była to więc już w zarodku--ze zmianami drobnymi tylko — późniejsza akcja Bismarcka i Bülowa: działalność bankowa, stanowiąca przynętę do wyzbywania się majątków i kolonizacja niemiecka.--Osadnictwo przybyszów, przeważnie chłopów würtemburskich i meklemburskich, sprowadzanych nakładem



znacznym, bo kosztem 1,000 talarów na rodzinę, nadawanie im gruntów w dobrach narodowych miało na celu niszczenie ziemi i ludności tubylczej. Osadnicy ci byli po największej części wyrzutkami chłopstwa niemieckiego, nędzarzami, których pokusa korzyści wyparła z ojczyzny. Chłopów takich sprowadzono kilkadziesiąt tysięcy. Do wzrostu rolnictwa, co było maską tej polityki, kolonizacja oczywiście nie przyczyniła się zgola, lecz przeciwnie niszczyła lasy i wyjaławiała grunta. Szczątki tych osadników pozostały dotychczas w kraju, nosząc pospolicie miano Holendrów. O wiele szkodliwiej od osadnictwa chłopów niemieckich oddziaływały wielkie donacje dóbr narodowych, udzielane „amtmanom“ i szlachcie pruskiej, zasłużonej względem rządu i korony. Ale sidła jeszcze zdradliwsze zastawiono na obywateli ziemskich, przez wytworzenie nowych form kredytu rolnego. Środek ten był obliczony na słabość charakteru ówczesnej szlachty, która, wyzuta z dostojęństw, pragnęła zachować pozory znaczenia i prowadzić życie wystawne. Usunięto obywateli od wszelkiego udziału w życiu publicznem; miasta oddano na pastwę amtmanów pruskich; ziemie obłożono haraczem 1½ miliona talarów na utrzymanie garnizonu. Wielkich panów faworyzowano zresztą pozorze, aby zrazu sobie ich zjednać, okazywano im wielką uprzejmość towarzyską i zaniechano podnoszenia podatku gruntowego od większej własności. Potem rzucono im szczerze do rąk złoto, które wprawdzie obciążało dobra, umniejszając wartość ziem i z pod nóg grunt usuwając, lecz czas wypłaty zaciąganych pożyczek był odległy, więc ziemianie z darów Danaów skwapliwie korzystali. Iżby lepiej zabezpieczyć swe wierzytelności, Prusacy uregulowali hypoteki, zaprowadzili mianowicie oddzielne księgi hypoteczne, co było ich jedyną reformą dodatnią w tym kraju. Pomyślne, chociaż przemijające konjunktury handlowe, wywołane wysokimi cenami płodów rolnych, w okresie panującego podówczas w Prusiech pokoju, podniosły chwilowo szacunek dóbr, a zatem i zdolność kredytową dłużników. Po tej reformie rządowy bank Berliński i prywatne banki pruskie poczęły wypożyczać znaczne sumy na hypoteki. Agenci bankowi, zamieszkali w Warszawie, upoważnieni do zawierania tych obrotów kredytowych, lubo wymawiali sobie prowizye wysokie, czyli, jak się wówczas mówiło, „dusery“, zapuścili sidła na całe obywatelstwo. Rząd utworzył nadto instytucję depozytów sądowych i z niej czerpał na pożyczki dla rolników. Istniały potajemne instrukcje, zalecające nieustawanie w tej działalności. Gdy hypoteki były już przeladowne, gdy właściciele ziemscy kredytu użyli bezprodukcyjnie, pruski rząd opiekuńczy rozkazał znowu bankowi Berlińskiemu i innym instytucjom pożyczkowym, aby naraz wypowiedziały swoje

kapitały. Groziła wtedy zguba powszechna; gromadne wywłaszczenie na rzecz Prusaków. Eksmisy szlachty zagonowej już się dokonywały.

I oto nagle wybuchła wojna francuska, która położyła kres srodkom egzekucyjnym. Tak więc zrządzenie losu nie dopuściło tylko, że ten pierwszy zamach Prusaków na własność polską nie powiódł się.

Po klęsce, zadanej wojsku pruskiemu pod Jeną i Auerstädt, w r. 1807, z mocy traktatu, zawartego w Tylży, nastąpiła proklamacya Księstwa Warszawskiego, które objęło z początku zabór pruski, prócz Gdańska, zamienionego na miasto wolne i Obwodu Białostockiego, oddanego Rosyi. Ziemie te były wycieńczone, zniszczone i znieprawione przez panowanie poprzednie. Srodky, które powyżej szkiecowo określiliśmy, wywołały najdotkliwszy upadek ekonomiczny. Czasy pruskie odznaczały się szczególną lekkomyślnością obyczaju narodowego, szaleem rozrzutności i żądzą użycia, co jeszcze ruinę materialną spotęgowało. Rolnictwo było zaniedbane, dobra nad wartość istotną przeciążone długami, handel utracił drogi naturalne; przemysł zanikł zupełnie. Miasta, w których podkopano samorząd, tak bardzo podupadły, że wszystkie kasy miejskie wyczerpały się z zasobów swoich.

Napoleon, żywiołowy geniusz wojny, co burzył państwa, łamał trony i tworzył nowe jednostki polityczne, założył na tych rumowiskach i zgliszczach dobrobytu podwaliny pod Księstwo Warszawskie.

Rozbudziły się wielkie nadzieje, duch obywatelski się podniósł, pokrzepiły się serca, wzniecił zapal i czyn zapłodnił, ale warunki bytu były trudne. Nastaly czasy ciężkich przejść i poświęceń. To też trzeźwi statysci współcześni nie mieli zrazu wiary silnej w ten twór, cudowną lecz kapryśną łaską losu spledzony, w tę budowlę wątlą, wspartą na fundamentach chwiejnych. Kollataj w r. 1808 pisze o Księstwie Warszawskim: Część Polski, którą teraz zowią Księstwem Warszawskim, jest niepospolitą zagadką w polityce... Kraj tak mały, tak ubogi, a zarazem nawygodniej położony, wydawać się może, jako igrzysko potęgi wielkiego zwycięzcy...

Późniejsi dziejopisowie Księstwa Warszawskiego, a szczególnie najdokładniejszy jego losów historyk, Fryderyk hr. Skarbek, nie tylko barwy ponuremi, ale też z goryczą maluje stan tego państwa. Najujemniej charakteryzowano zawsze położenie ekonomiczne kraju w tym okresie; „krańcowe jego ubóstwo i bankructwo powszechne, niemal nędzę, jako plód wyzysku dyktatora“. Napoleon domagał się bezustannych ofiar na wojnę, poświęceń obywatelskich, wielkich po-

borów podatkowych, a nie dał w zamian władzy uporządkowanej; ani kierunku zbawiennej polityki handlowej. Sytuacja wrzekomo nie poprawiła się i później, gdy w r. 1809 zwiększono granice państwa przez przyłączenie ziem, należących do zaboru austriackiego, tj. Galicji Zachodniej.

Jeśli tylko zważyć fakty w oderwaniu od przyczyn, bez związku z wypadkami poprzedzającymi, jeśli ułożyć sam jeno bilans gospodarczy Księstwa, a nie szukać syntezy tych myśli przewodnich, które unosiły się wówczas ponad politykę ofiarną, nawet wycieńczającą siły materialne, ale nie pozbawioną metody ekonomicznej — to pesymizm dziejopisarski i gorycz w ocenie stanu gospodarczego, będą usprawiedliwione.

Trzeba atoli dokładniej zbadać położenie, z ułamków rozpięzłych odtworzyć tę epokę burzliwą, a obok cieniów znajdując się i światła, zarodki rozwoju i ekonomicznego powodzenia, które zakwitło też w następującej fazie politycznej, za Królestwa Kongresowego. Obydwie te epoki, choć takie różne co do formy rządów, choć rozdarte przepaścią, która dzieli wojnę od pokoju, miały wiele łącznych pierwiastków technienia gospodarczego. Nie bez słuszności król Fryderyk August powiedział w pierwszej odezwie swej do narodu polskiego dnia 27 września 1807 r., że społeczeństwo ma teraz otwarte przed sobą pole oręża, prawa, nauk, sztuk i handlu, które aż dotąd zamknięte dlań było.

Księstwo w roku 1807 przy utworzeniu liczyło około 2,150,000 mieszkańców i 1,736 mil kwadr. Na tę ludność nieliczną złożono ciężkie brzemie podatkowe, z krwi i mienia. Już dnia 15 grudnia 1806 roku, a więc przed proklamacją Księstwa, izba najwyższa wojenna i administracji wydała rozporządzenie względem poboru do wojska, nakazując stawienie z każdych 10 dymów jednego człowieka, kosztem właściciela, umundurowanego i zbrojnego. Na miasta rozłożono dostarczenie żołnierzy podług ludności. Sam departament warszawski musiał dostarczyć 5,000 ludzi i 1,200 koni. Potem dekret króla Fryderyka Augusta ustalił przyprowadzenie wojsk do liczby, przepisanej konstytucją, czyli do 30,000. Gdy później Księstwo objęło jeszcze prowincje austriackie, ludność wzrosła do 4,230,000, a przestrzeń do 2,655 mil kw. Ale za to w końcu istnienia tego państwa pobory wojskowe jeszcze się wzmogły i wreszcie w roku 1812, uchwała rady ministrów nakazywała nadto dostawienie z każdych 50 dymów jednego człowieka ubranego i uzbrojonego, na koniu wiejskim, zdrowym i mocnym. Przedtem już, w myśl uchwały sejmowej z r. 1809, ustanowiono cały szereg uciążliwych podatków w pieniądzu i w naturze. Tak więc powiększono podatek „ofiar-

ry" na wojsko w ten sposób, że z wszelkich ziemiańskich posiadłości dziedzicznych i z dóbr duchownych miała być złożona suma 4 miliony 2 kroć sto tysięcy złotych polskich. Wprowadzono zarazem pobór podatków w naturze dla wojska, mianowicie zboża, siana i słomy w ilościach tak znacznych, że wartość ta czyniła po pierwszym sejmie około 13 milionów złotych polskich, a po drugim około 25 mil. złotych polskich.

Na handel, profesye, rzemiosła i fabryki nałożono wysoką opłatę patentową. Słowem, poświęcenia i opodatkowania musiały istotnie kraj wysilić. A jednak ofiarność obywatelska była taka bezgraniczna, że pomimo wycieńczenia materialnego, na pierwszym sejmie bez opozycji przyznano wszystkie nowe podatki i w tem jeszcze pobór osobisty na koszty fortyfikacyi, podwyższenie podymnego i opłaty stemplowe.

Wśród takich ciężarów podatkowych, wśród gwałtownych przestoczeń i burz wojennych zupełnie prawidłowy i stopniowy rozwój gospodarczy oczywiście skuteczniać się nie mógł. Były ponad to warunki prawodawcze i polityczne, powodujące wstrząśnienia w kierunkach bytu społecznego. Ale nawet w tych okolicznościach wyjątkowych nowy rzeczy porządek wniósł do życia czynniki reform, a w polityce gospodarczej, choć kołysanej falami wezbranemi ujawniała się troska o zaszczepienie dobrobytu, o ochronę interesów ekonomicznych. W całych dziejach gospodarczych Księstwa uwytadnia się często rozpaczliwe starcie dwóch dążeń przeciwstawnych: ofiarności—do której parła idea polityczna z jednej strony, oraz z drugiej opieka nad rozwojem rolnictwa, handlu i przemysłu.

Karta konstytucyjna Księstwa, nadana w lipcu 1807 roku, tworzyła zebranie tych zasad, których Napoleon się trzymał w swem krewkiem organizowaniu nowych jednostek politycznych. Były to zasady, na ogół bardzo postępowe, acz nie w pełni dopasowane do życia.

Wśród nowych praw konstytucyi artykuł 4 głosił:

„Znosi się niewola. Wszyscy obywatele równi przed obliczem prawa”.

Przepis ten zniósł więc poddaństwo chłopów. Rozwinięcie zasady tej znalazło się w dekrete z grudnia 1807 roku. Rolnikom-włościanom, z wyrobku żyjącym, nadano tu prawo „wyprowadzania się z miejsca, w którym dotychczas zostawali, i przenoszenia się w obrębie Księstwa Warszawskiego tam, gdzie dobra wola ich będzie”, o ile tylko opowiedzą się wprzódzy dziedzicowi, oraz oddadzą mu własność gruntową, składającą się z załogi i zasiewów. Była to niewątpliwie wielka deklaracya praw człowieka, lecz niestety nie skojarzono jej

z organiczną reformą agrarną. Skutkiem tego chłop, nie uzyskawszy, obok wolności, gruntu, ani warunków, pod którymi mógłby go uzyskać, poprawy bytu nie zaznał. Dawne stosunki pańszczyźniane musiały się mimo wszystko utrzymać. Tyle jednak postępu moralnego przyniosła ta zmiana, że odtąd sprawa uwłaszczenia włościan na trwałe weszła na kolej dzienną. Sam dekret grudniowy wskazywał już w teorii drogę do umów czynszowych, bo w § 4-ym opiewał: „Na każde wezwanie sądowe, osoby, do tego umocowane, przyjmować będą dobrowolne umowy, czy to wieczyste przedaźne, czy też doczesne, podług warunków, dobrowolnie przez strony ugodzonych pomiędzy rolnikami i dziedzicami“. Lubo prawo to pozostało martwą literą, myśl nadania włościanom ziemi zakiełkowała w umysłach i natchnęła wielu rozumnych obywateli projektami, które znalazły wyraz w licznych publikacjach i broszurach. Były to punkty wyjścia do prac, które w r. 1814 za nowego rządu rozstrząsano w Dyrekcyi ministerjum spraw wewnętrznych, a które jeszcze w kilkadziesiąt lat później zaprzętały Towarzystwo Rolnicze.

Chociaż jednak za Księstwa faktyczne położenie szlachty co do korzystania z pańszczyzny nie zmieniło się, stan rolnictwa zgoła pomyslny nie był. Przedewszystkiem pokutowały grzechy czasów pruskich. Ciężary hypoteczne zawisły brzemieniem groźnem nad ziemią całą. Z początku ceny płodów rolnych były jeszcze wysokie (33 złp. za korzec pszenicy i 25 złp. za korzec żyta), ale potem coraz dotkliwiej do upadku się chyliły (w roku 1810 cena pszenicy wynosiła 16½ złp., a cena żyta 9 złp.). A cała wytwórczość rolnicza polegała wówczas na zbożu, bo hodowla była zaniedbana, przemysły zaś gospodarczo - rolne prawie nieznanne. Tymczasem wywóz ustał, albowiem wojska oblegały Gdańsk, a nawet, gdy pokój zapanował, na wolnej dotychczas Wiśle stanęła zaporą nieprzeparta; Gdańsk stał się miastem obcem. To też ziemianie współcześni boleją nad upadkiem dobrobytu, co tak wymownie wypowiada w „Głosach posła Maryampolskiego“, Józef Godlewski, jeden z najznamięnitszych posłów na sejmie:

„Weźcie cenę płodów waszych, wylieźcie potrzeby domowe, drogoczną soli i produktów, kupić się mających, zwiększone, pokalkulujecie wiele z propinacyi, wiele z czynszów i innych gotowych opłat wypływa, a łatwo przekonacie się, że dzisiejszy dochód z dóbr ledwie wystarcza na potrzeby domowe, a podatki z innych funduszków, albo z zaciągania długu opłacane być muszą.“

Lecz badając głębiej stosunki, trudno przeoczyć, że rząd to krytyczne położenie rolników uwzględniał, o ile możności. Nawet historia tyle zniesławionych „sum bajońskich“, które Skarbek i wielu za

jego wskazaniem uważa za krzywdę, rolnictwu wyrządzoną, jest owszem dowodem łagodnego i pobłażliwego postępowania rządu z ziemianami-wierzycielami.

Czem były sumy bajońskie, lepiej znane ogółowi, jako przenośnia, jako symbol sum niezliczonych, niż jako pojęcie konkretne?

Kapitały dawniej pruskie, zahypotekowane na dobrach krajowych za pruskiego panowania, te same, których egzekucya groziła wywłaszczeniem rolnikom polskim, konwencją w Bajonnie dnia 10 1808 roku, ustąpiono przez dwór pruski Napoleonowi. Cesarz sumy te, noszące nazwę bajońskich, obliczone na przeszło 47 milionów franków (włącznie z procentem), przelał na skarb Księstwa, dla zasilenia, jak się to nazywało, dochodów kraju, zastrzegając sobie 20 milionów fr. w bonach, spłacić się mających w ciągu lat trzech. Ze stanowiska interesów skarbu Księstwa, nie była to może operacya korzystna, bo dar ten, ze względu na krytyczny stan dóbr, długami pruskiemi obciążonych, wątpliwe miał znaczenie. Ale to jest uwagi godne i to świadczy o względności rządu Księstwa, że sumy te nigdy przez cały okres rządów wyegzekwowane nie zostały, pomimo różnych prób łagodnego i częściowego ich ściągania. Wprawdzie począwszy od dnia 6 czerwca 1808 roku stopniowo wydają się dekrety królewskie, nakazujące pobór najpierw procentów, a później kapitałów zaległych, wprawdzie czynią się nawet sądowe zapowiedzenia i nakazy sum bajońskich, lecz ostatecznie rygory egzekucyjne zastosowania zgoła nie znajdują. Zaostrzano tylko groźby, zmieniano formę rozporządzeń, rozkłady sum rozdrabiano i przewlekano na dłuższe okresy, ale do sprzedaży przymusowych nigdy nie przyszło. Widząc trudność ściągnięcia należności od zubożałych ziemian, których zniszczyły już rządy pruskie, to ustanawiano w 1809 komisye do zawierania układów z dłużnikami, to znów przedsiębrano środki prawodawcze, rozdzielające długi te na raty drobne. Nakoniec w roku 1811 ogłoszony został dekret, z którego mocy na cały kapitał dłużny wystawione być miały listy zastawne „na okaziciela“, obciążające dobra do  $\frac{3}{5}$ , ocenionej ich wartości, a umarzać się mające w ciągu lat 41 i  $\frac{3}{4}$ , z oprocentowaniem rocznem po 6 od sta, łącznie z zaległą prowizją. Ustanowiono nawet „Główną Dyrekcyę kredytową“, którą powołano do kierowania operacyą. Atoli i ten środek spłaty sum dłużnych, obmyślony tak bardzo oględnie i na owe czasy postępowo z punktu widzenia finansowego, żadnego skutku nie wydał, bo i tym razem nie chciano się uciec do wywłaszczeń przymusowych. Pokazuje się więc, że niesława, którą rzucono na sumy bajońskie, jako na rzekome narzędzie wyzysku, nie ma podstawy żadnej. Sumy te, będące smu-



tną puścizną panowania pruskiego, w epoce Księstwa na prawdę egzekwowane nie były i wskutek postanowień kongresu wiedeńskiego z r. 1815 wróciły znów do rządu pruskiego.

Wogóle przy wymaganii ofiar patriotycznych na rzecz skarbu, rząd Księstwa czynił dłużnikom wszelkie ułatwienia kredytowe. Dwukrotnie ogłaszano „moratoruym“ powszechne, czyli zawieszenie wypłaty długów, aby wycieńczonych debitorów nie niszczyć.

Zarazem rząd dążył do uporządkowania, o ile możności, stosunków handlowych, do zapoczęcia świadomej polityki ładu gospodarczego.

Trudno przedewszystkiem pominąć znaczenie doniosłe, ba! nawet epokowe, które miało zaprowadzenie kodeksu Napoleona od maja roku 1808, oraz kodeksu handlowego od maja 1809 r. Kraj zdobył dzięki tym reformom najdoskonalsze podstawy regulowania życia społecznego i stosunków handlowych, wszedł w prąd najwyższej kultury zasad społeczno-prawnych, z których dotychczas jeszcze korzystamy: To też ze zdumieniem i niedowierzaniem czytamy obecnie w „Dziejach“ Skarbka zdanie następujące: „Nagle narzucenie kodeksu Napoleona było powszechnie uważane za klęskę narodową“. Faktem istotnym jest, że kodeks zrazu nie spotkał się z uznaniem społeczeństwa. Rozczarowanie wynikło po części stąd, że komisya, która po utworzeniu Księstwa objęła rząd prowizoryczny, pragnęła przywrócić moc dawnego prawa polskiego. Tymczasem konstytucya orzekła, że kodeks Napoleona powinien być prawem cywilnem, obowiązującym w Księstwie.

Godnym uwagi jest to, że po upadku Księstwa w r. 1814 komitet organizacyjny cywilny orzekł, że kodeks Napoleona powinien być zniesiony i zastąpiony tymczasowo przez statut litewski, a następnie przez nowy kodeks polski. Chwilowe jednak niechęci nie mogą być uważane, jak chce Skarbek, za źródło nowych klęsk narodowych. Kodeks wniósł do życia trwale i postępowe regulatory prawa. Po wprowadzeniu kodeksu założono też w Warszawie szkołę prawa, pierwszą pepinię fachowego wykształconych urzędników sądowych i krzewicielkę wśród społeczeństwa nowoczesnych pojęć sprawiedliwości.

Rozważymy w dalszym ciągu, na jakich teoriach gruntowała się polityka handlowa Księstwa. Ale najpierw zbadać trzeba, jakie były kierunki handlu i przemysłu. Łatwo zrozumieć, co już po części zaznaczyliśmy, że położenie ogólne nie mogło sprzyjać rozwojowi ruchu ekonomicznego.

Burze wojenne i przewroty zawisły nad życiem społecznem, obniżając skalę zdolności spożywczej ogółu i zagrażając handlowi

utarte szlaki. Atoli nie brakło czynników dodatnich, które pod pewnemi przynajmniej względami podnieść musiały dobrobyt. Art. 83 konstytucyi Księstwa stanowił, że „nikt nie może sprawować urzędów, bądź duchowych, bądź cywilnych, kto nie jest obywatelem Księstwa Warszawskiego“, a więc urzędy stały na nowo otworem, torując drogę do pożytecznej, a i dość korzystnej służby publicznej. Stąd w tej mierze pomysłność materyalna bez wątpienia się podniosła. Że handel i rękodzieła nawet w tych okolicznościach trudnych miały znaczenie, o tem świadczy siła podatkowa. Po wprowadzeniu w r. 1809 podatku patentowego na kunszt i handel, wpływ z tego poboru uczynił w ciągu roku 309,107 złp., co było wprawdzie znacznie mniej od sumy preliminarzowej, lecz na ówczesne stosunki, zwłaszcza w pierwszym okresie mocy obowiązującej nowej opłaty, stanowiło to kwotę dość pokaźną. Handel oczywiście skupił się w miastach, które podupadły, lecz tętnił tu ruch czasami żwawszy; znajdujemy bowiem ślady powstawania nowych procederów, dość licznego zapisywania się kupców do konfraternii warszawskiej i wzrostu wekslarzy w Warszawie, co uwarunkowało specjalne przepisy nawet, normujące wekslarstwo.

W „Głosach posta Maryampolskiego“ są ciekawe dane, odnoszące się do bilansu handlowego Księstwa w r. 1808/9. Bilans korzystnie się nie przedstawił, przywóz czynił 51 mil. złp., wywóz tylko 17 $\frac{1}{3}$  mil., czyli około trzeciej części pierwszego. Warto wszelako zwrócić uwagę na ważny komentarz dodatkowy Godlewskiego, że przywóz towarów, które w taryfie nazywano „zbytkowemi“, miał wartości 26 $\frac{1}{2}$  mil. (sic) złp., a w tem samych win francuskich za 10 $\frac{3}{4}$  mil. złp.! Jeśli tedy konsumpcya trawiła takie masy przedmiotów zbytku, jeśli sycono pragnienie taką ilością wina, to znowu stan materyalny niektórych przynajmniej warstw nie mógł być taki oplakania godny.

Co się tyczy przemysłu, to położenie Księstwa znacznie się poprawiło od czasu pokoju wiedeńskiego w październiku 1809 roku, gdy przyłączono Galicyę zachodnią, okrąg Zamoyski, oraz połowę Wieliczki. Przybyły fabryki wyrobów żelaznych między Radomiem a Sandomierzem, jako to: rządowe w Suchedniowie, Samsonowie itp., oraz prywatne w Końskich. Fabryk tych liczono wogóle 17. Nadto kilkadziesiąt sukna, kilkautście hut szklanych, manufaktur pasów, wstążek, nankinów, fajansu, papieru — wszystko to wzbogaciło produkcję krajową. Przytem wartość soli z Wieliczki czyniła na dział Księstwa imponującą sumę 2,996,507 złp.

Nie przeciążając dalej szczegółami tych wskazówek o handlu i przemyśle, przechodzimy teraz do polityki ekonomicznej rządu, usi-



lującej poprzec dalszy rozwój gospodarczy. We wskazówkach polityki tej może się znaleźć najlepsza próba ówczesnej świadomości społecznej.

Zaznaczymy na początku, że pierwszym kierownikiem skarbowości Księstwa był Tadeusz Dembowski, w r. 1794 radca Najwyższej Rady narodowej, w r. 1806, członek rządu tymczasowego, później dyrektor generalny komisji przychodów i skarbu, a od r. 1807 do zgonu w roku 1809, minister skarbu. Był to statysta zdolny, ale z czasów jego działalności mało jest jeszcze reform, mających na celu ustalenie i podniesienie handlu. Zniewolony okolicznościami musiał się więcej zajmować porządkowaniem finansów, a zwłaszcza przychodów. Ale wyjaśnić trzeba, że z mocy samej konstytucyi, a raczej w dopełnianiu jej, stojący na czele administracji departamentu, każdy prefekt miał obowiązek między innymi dozoru nad gospodarstwem rolnem, nad hodowlą, borami, lasami, nad fabrykami rękodzielniczymi, kunsztami, handlem i kopalniami, nad ułatwieniem wszelkiej cyrkulacyi, szczególnie nad targami, jarmarkami, sprzedażą żywności i innych przedmiotów, potrzebnych do życia i wygody. Nadto ważna reforma powstała pod formą rad handlowych, utworzonych w Warszawie, Toruniu, Bydgoszczy, Kaliszu, Lesznie, Wschowie, Rawiczu, Międzyrzeczu i Płocku.

Było to urządzenie wyborcze, mające atrybucye „uwiadamiania rządu o przeszkodach, które wstrzymują wzrost handlu, przemysłu i rękodziel”, podające „sposoby do uprzątnienia tych przeszkód i przekładające myśli względem pomnożenia pomyślności przemysłu i handlu.” Prawodawca ustanowił jeszcze radę handlową ogólną, wybieraną z pośród kandydatów, których powoływały rady poszczególne. Powinnością rady tej było „dawanie objaśnień i opinii we wszystkich przypadkach, w których od ministra będzie zapytana”. Według § 16 odpowiedniego dekretu „nikt nie mógł być w radzie handlowej, kto najmniej lat 6 nie był kupcem lub handlu jakiego znacznego nie prowadził, lub nakoniec nie był na czele jakiejś fabryki”. Owe rady były słowem izbami handlowemi, które rządy Napoleona, lub rządy pośrednio odeń zawisłe, wszędzie podówczas zaprowadzały i które stały się też pierwowzorem instytucyi, obecnie z pożytkiem dla handlu i przemysłu na zachodzie działających. U nas zanikły one wraz z Księstwem Warszawskiem.

Bardzo oryginalne rozporządzenie, regulujące wekslarstwo, wydane zostało przez ministra policyi w roku 1808. Wychodząc z motywów, że „codziennie ujawniają się skargi, iż poważna liczba wekslarzy w Warszawie, żadnym opisom rządowym nie podlegająca, stanowiąc arbitralną cenę między złotem, grubą i zdawkową monetą,

staje się ciężarem dla publiczności“, rozporządzenie to nakazuje, że „liczba wekslarzy do pięciu uprzywilejowanych, po jednym kantorze mających w Warszawie, powinna być zredukowana; że będzie oznaczony dzień w tygodniu, w którym kupcy na sesyi, wraz z wekslarzami, w przytomności oficyalisty, od ministra policji oznaczonego, kurs na cały tydzień wszelkich pieniędzy i monet ustanowią, podług którego ani wyżej, ani niżej wekslować nie wolno; że każdy wekslarz winien okazać, że ma czystego funduszu złotych 30,000.“ Nakoniec dodano jeszcze przepis, że wszelkie szynkowanie jakichkolwiek trunków w kantorze wekslu jest zabronione. Rozporządzenie to wygląda dziwacznie, nawet śmiesznie, gdy rozważamy je ze stanowiska stosunków społecznych, lecz w owej epoce było ono przezorną reglamentacją wymiany pieniędzy, ochroną publiczności przed nadużyciami wekslarzy i niejako surogatem giełdy, kursu stanawiającej. Traci ona zgoła odcień komizmu, jeśli uprzytomnimy sobie, iż oznaczenie wartości monet było wtedy tak wyłącznie zależne od wekslarzy, iż są dowody, że gdy zachodziła potrzeba określenia kursu pieniędzy francuskich (nawet dla rządu Księstwa), trzeba było odwoływać się do rzeczoznawstwa wekslarzy i to orzeczenie porównywać z kursami, ogłaszanymi w gazetach wrocławskich. A i w tych wypadkach wynikały sprzeczności, trudne do pogodzenia.

Drugim ministrem skarbu Księstwa był Jan Węgliński, mąż stanu, który wybitnymi talentami nie celował, zwłaszcza skarbem administrował nieudolnie, lecz nie schodził też z gościńca polityki gospodarczej, nacechowanej nie tylko wolą dobrą, ale nadto dążnościami opiekuńczymi. Ważną reformą, jaką wprowadza w roku 1810, jest urządzenie mennicy, bijącej monetę podług stopy pruskiej, którą to jednostkę przyjęto przez uchwałę Komisji Rządzącej z roku 1807. Dekret ten uchwalił w Księstwie dwojaką monetę: złotą (dukaty, mające wartość dukatów holenderskich), szebrną (grubą: sześćzłotówki, dwuzłotówki i złotówki, tudzież zdawkową 10 i 5 groszy), oraz miedzianą (3 grosze, grosze i półgrosze).

Rząd Księstwa dbał szczerze o uporządkowanie monety i o usunięcie z obiegu pieniędzy papierowych, które dostały się tu wraz z prowincjami austriackimi. Później jednak wypadki polityczne i trudności finansowe nieco zwichnęły tę równowagę monetarną. Naprzód dla powiększenia zasobów gotowizny dozwolono na obieg pieniędzy zagranicznych, podług tabel ewaluacyjnych, potem puszczono w kurs pieniądze papierowe. Starano się wszelako i te pieniądze zabezpieczyć na podstawach realnych, mianowicie na dochodach z ceł i ustanowiono kasę wymiany, która na każde żądanie wypłacała za

bilety kasowe na pieniądze gotowe, z potrąceniem czterech groszy na 6 złotych.

Niepozbawioną świadomości ochrony przemysłowej i handlowej była polityka celna Księstwa. Zachodziły tu wprawdzie niejaki wahania, ale na ogół odznaczała się ona tendencją opiekuńczą, wynikającą z tych prądów teorii gospodarczych, którym naówczas powszechnie hołdowano, i które też były zgodne z dążnościami do zaszczerpienia nowej pracy produkcyjnej. Sprzeczności zaś, które ujawniały się, miały z jednej strony związek z polityką, narzuconą przez system kontynentalny, będący nieuniknionym skutkiem podlegania woli Napoleona, a z drugiej z pewnem jeszcze błędzeniem po omacku, wobec niewyrobionych form życia handlowego. Ale to wszystko nie powinno przesłaniać faktu oczywistego, że w warunkach, takich trudnych, takich wyjątkowych, rozporządzeniom prawodawczym, ustalającym stosunki celne, przyświecała myśl rozwoju przemysłu i podźwignięcia handlu z upadku.

Naturalnie tej myśli nie było w prawach, które, wskutek przystąpienia do systematu, zawartego w dekretach cesarza Francji względem handlu z Austrą i i jej koloniami, zniewoliły Księstwo do zerwania wszelkich związków handlowych z Anglią. Prawa te, nakładające cła na towary angielskie kolonialne, które nawet już znajdowały się w rękach kupców, a następnie nakładające na te produkty sekwestr i konfiskatę, stanowiły następstwo dekretu wydanego przez Napoleona dnia 21 listopada 1806 r. Dekret orzekał, że cała Anglia ogłoszoną zostaje za znajdującą się w stanie blokady, zaś mieszkańcom krajów, poddanych Napoleonowi, zabrania się wszelkich z nią stosunków handlowych i listownych. Był to właśnie ów słynny system kontynentalny, mający na celu odosobnienie i zniszczenie handlu angielskiego, system, który uznawał stosunki z Anglią za kontrabandę polityczną, a który, nie zrujnowawszy Wielkiej Brytanii, wytworzył handel przemytniczy na znaczną skalę, i dotkliwie zaciążył na wymianie krajów ładu stałego. Księstwo Warszawskie musiało ponieść całą konsekwencję tej polityki, obowiązującej bezwarunkowo wszystkie państwa, poddane Napoleonowi.

Te rozporządzenia prohibycyjne szkodziły interesom handlu krajowego, ale nie były zależne od wyboru władz Księstwa. Natomiast w innych sferach dostrzedz można objawy wyrozumowanej polityki celnej. Na ogół obowiązywały wówczas jeszcze cła wywozowe, czyli tak zwane „ewekta“, mające ochronić przemysł od utraty materiałów surowych. W taryfie tej jednak, w miarę potrzeb gospodarczych, czyniono częstą wyłomy. Tak więc w roku 1811 uwolniono od opłat celnych wszystkie gatunki żelaza krajowego, wycho-

dzące za granicę i niżono cło wywozowe od surowca w gęsiach i rudy; później niżono znowu także cło od klepek sosnowych. Przeciwnie — zabroniono wywozu szmat i płatków, oraz innych materiałów surowych, do wyrobu papieru zdalnych, tudzież wprowadzono cło na wywóz sukna, płótna i przędzy, w obronie interesów farbiarni krajowych. Z drugiej strony stosowne przepisy co do przywozu miały podnieść rozwój przemysłu krajowego. Wzbroniono przywozu towarów i przędzy bawełnianych rękodzielni pruskich, podwyższono cła od sukiennych wyrobów zagranicznych, podniesiono opłatę celną od szkła i starano się rozwinąć cukrownictwo przez stosowne przepisy taryfowe. Rozwój przemysłu i handlu krajowego miały wreszcie na celu rozporządzenia: o wzajemności dla państw austriackich względem opłat od wprowadzonego i wyprowadzonego z Księstwa żelastwa (chodziło tu o dopomożenie kuźnicom krajowym), o uwolnienie przez lat 6 od wszelkich ciężarów i opłat rzemieślników i robotników, osiadających w Księstwie, o zniesienie opłat od towarów, przez Księstwo tranzyto przechodzących itp.

Równocześnie zdarzały się wypadki, że z pewnemi zastrzeżeniami zakazywano wywozu żyta, furazu itp.

Motywowano te zakazy nieurodzajem, powszechnym prawie w krajach Księstwa w roku 1811. Ponieważ zatem nieograniczona wolność wywozu, jak czytamy dosłownie w motywach, mogłaby i wewnętrzne potrzeby kraju na zawód i uboższą klasę ludu na zupełny narazić niedostatek, przeto poczyniono co do wywozu ograniczenia; chcąc jednak, jak powiedziano dalej, „ojcowską w powyższym względzie troskliwość, ile tylko stan rzeczy pozwala, z przyzwoitym względem pogodzić, nie tamowano odbytu produktów“. Prohibicje te uchylono też zupełnie we wrześniu 1812 r.

Z tych kilku przykładów okazuje się, że polityka ekonomiczna Księstwa nie tylko bezmyślna nie była, lecz owszem, ile możliwości, starała się stać czynnie na straży interesu powszechnego. Mimo to, system celny spotkał się na sejmie roku 1811 z surowem oskarżeniem znanego już nam posła Godlewskiego.

„Nie widać — pawił on między innymi — aby z onego istotnie źródła plody i reprodukcyje krajowe, oraz potrzeby i sposób do życia mieszkańców przestrzegano, aby w onym dzielnie do szczęścia i pomysłności kraju działające środki upatrywano itp.“

Dalej poseł Maryampolski wywodził, że „należy przez wysokie cło wstrzymać przywóz do kraju tych produktów, których kraj ma dosyć, albo które do wygody i zbytku służą, a przeciwnie przez małe cło, albo zniesienie onego, ułatwić przywóz tych, bez których kraj obejść się nie może“.

Widać stąd, że poseł Maryampolski doskonale sobie przyswoił teorię cel, lecz widać też, iż nie miał przeświadczenia, że między pożądanymi zyczeniami teorii, a płodnym skutkiem praktyki, jest przedział taki wielki, że trudno go w pełni opanować. Dziś jesteśmy bogatsi prawie o całe stulecie doświadczeń społeczno-gospodarczych, a jednak i dziś istnieje jeszcze przepaść między postulatami zasadniczymi, które Godlewski tak trafnie sformułował, a istotnym ich urzeczywistnieniem za pomocą polityki celnej. Podobnie, jak ministrom Księstwa Warszawskiego zdawało się, że ich środki ochrony przemysłu dźwigną, mogą wytwórczość i dobrobyt, choć życie przynosiło często zawody, tak też i obecnie jeszcze protekcyonizm nieraz prowadzi do gorzkich rozczarowań.

Aby wyczerpać charakterystykę polityki gospodarczej Księstwa, trzeba jeszcze zapoznać się z najwybitniejszym ministrem skarbu tej epoki.

Dużo się w ostatnich czasach pisało o niepożytych zasługach ministra skarbu z czasów Królestwa kongresowego, ks. Druckiego-Lubeckiego. Ale postacią, zdaniem naszym, wydatniejszą, godną wysunięcia na światło historii z cieniów zapomnienia, był minister finansów z doby drugiego sejmiku Księstwa, Tadeusz Matuszewic, najczęściej mylnie Matuszewiczem nazywany. Statysta niepospolity, pisarz utalentowany, świetny mówca sejmowy, powołany został w roku 1811 na urząd ministeryalny. Przyswieceła mu już wtedy sława obywatela zasłużonego i polityka, który wyrabiał się w posługach rzeczypospolitej, posłował na sejm wielki z województwa Brzeskiego i był jednym z najdzielniejszych posłów tego sejmiku. Tryumfy swe na sejmie zawdzięczał gorącej obronie spraw publicznych i swadzie krasomówczej. Celował też talentem petyckim, wytwornie tłómacząc Horacego. Należał do tak zwanej „Szkoły Puławskiej,” która w rezydencji księcia Adama Czartoryskiego, hołdując naukom i sztukom, zaprawiała się razem do służby krajowi. Był potem członkiem rządu centralnego Galicji i jeździł stamtąd do Wiednia w deputacji do Napoleona, starając się o to, aby cesarz Galicyę do Księstwa przyłączył. Gdy zaś tylko część cyrkułu Zamoyskiego przywrócić miano Księstwu, Matuszewic, oceniając doniosłość Zamościa i Wieliczki, używał wpływu Mareta na cesarza, a przywołany znowu do Napoleona, wymową swą sprawił, że ten zakreslił na mapie Księstwa obydwie okręgi. Jak wiadomo jednak, ostatecznie Wieliczkę przepołowiono.

Skoro okazało się, że w skarbie Księstwa panuje nierząd, skutkiem złej administracji ministra Węglińskiego, Napoleon zawezwał Matuszewicę do Paryża, jako sobie znanego już męża zaufania, i jemu pole-

cił opracowanie memoriału o stanie kraju. Odtąd rola Matuszewica w Księstwie jest nader ważna dla rozwoju gospodarstwa skarbowego i ekonomicznego. On też złożył potem w Warszawie w imieniu deputacyi rady stanu nowe sprawozdanie obszerne. Raport ten ożywiła myśl naprawy ogólnych stosunków gospodarczych przy pilnej atoli uwadze na potrzeby finansowe, aby pokrzepić siłę wojenną kraju. Troszczył się o oszczędności, nie chcąc narodu wycieńczonego nadmiernie obciążać, lecz pragnął współrzędnie zasilać skarb, który miał obowiązek pokrywania potrzeb niezliczonych. Pierwszy tedy wpadł na pomysł kredytu, mającego się zaciągnąć we Francyi. W następstwie tego przyszła do skutku pożyczka 12 milionów franków, u bankiera Lafitte w Paryżu zaciągnięta.

Skarbek pożyczkę tę nagania, nazywając ją antycypacją 12 mil. fr., dla kraju straconych, z których tylko kapitaliści zagraniczni zyski odnieść mieli. Tymczasem pożyczka obmyślona była bardzo rozumnie i ze statecznością finansową. Postanowiono puścić w obrot 12,000 obligów po 1,000 fr., zabezpieczonych na żupach solnych Wieliczki, z których dochód przeznaczono na opłacenie procentów po 6%. Pożyczka umarza się w ciągu lat 14 przez losowanie corocznie 1,000 obligów. Matuszewic doskonale spożytkował ten właśnie nowy nabytek, o który sam zabiegi pilne czynił, t. j. dochody z Wieliczki. Wprawdzie pożyczka ta niezbyt się powiodła, lecz tylko wypadki polityczne stanęły jej szansom na przeszkodzie.

We wrześniu 1811 r. Matuszewic został ministrem skarbu. Wtedy postanowił już we wszystkich szczegółach urzeczywistnić swoją, z góry ułożoną, politykę skarbową. Obowiązujące podatki należało obniżyć, lecz zarazem podnieść trzeba było opłaty osobiste na warstwy bogatsze. Przez uchylene podwyższonych podatków ofiary, oraz innych poborów ziemskich zmniejszył ogólny podatkowy ciężar o 10,650,000 złp., szukając jednak nowych źródeł dla pokrzepienia skarbu, minister równocześnie dążył do oszczędności w wydatkach i zaprowadzić zdołał kontrolę nad budżetem wojennym, poddając różnym formalnościom żądania płatników ministra wojny, księcia Józefa Poniatowskiego. Stąd nawet spory rozliczne między nimi wynikały. Aby prawidłowy zarząd kasą wojenną mógł się ostać, zaprowadził odrębną administrację wojenną, której dyrektoróm został generał Wielhorski.

Nadszedł sejm 1811 r. Tu postać Matuszewica wyrosła i wydźwignęła się na plan pierwszy. Jego polityka finansowa znalazła poparcie u większości, która się skupiła około osoby ministra skarbu przeciw zabiegom opozycyjnym. Projekty do całego szeregu praw

skarbowych Matuszewicz poprzedził mową, pełną ducha obywatelskiego i logicznych wywodów. Mowa sprawiła potężne wrażenie na umysłach i utwierdziła reprezentację narodową w przeświadczeniu, że minister skarbu prowadzi kraj ku zbawieniu. Odpierając szturm opozycji, wywodził on:

„Cóż o was pomyśli Napoleon, jeśli pod pozorem powściągliwości nadużyje, zesztą przesadzonych przez złą wolę, odmówicie środków potrzebnych dla utrzymania wojska, na które liczy, na którym, może, spoczywa przyszłość Polski...”

Wszystkie środki, przez ministra zaprojektowane, zmierzały do tego, by zmienić i znośniejszemi uczynić daniny, a pomimo to odkryć nowe źródło dochodów. Projekty jego skarbowe były, bądź co bądź, ulgą dla rolnictwa, a obciążały inne przedmioty. Choć zaś trzy wnioski: podatek czopowy, nowy podatek patentowy od kunsztów, handlu i profesyi, oraz pobór produktów dla wojska, znowu doznały w obradach sejmowych niejakich trudności, ostatecznie wszystkie one wraz z całym planem skarbowym ministra przyjęte zostały.

Teorye finansowe i gospodarcze Matuszewicza nie mogły wydać plonu bujnego, bo wkrótce zaszły nowe wydarzenia, nowe burze polityczne wstrząsnęły Europą i krajem tym. Sam Matuszewicz zajął się goręcej sprawami dyplomatycznymi, niż skarbowymi. Sejm 1812 r., odbyty pod laską ks. Czartoryskiego, działał pod wpływem Pradta i Matuszewicza, który wygłosił na nim mowę pełną ognia i talentu oratorskiego. Minister skarbu pierwszy też uczynił wniosek konfederacyi generalnej.

Za rządów Królestwa Kongresowego w maju 1815 r., Matuszewicz napowrót objął tekę skarbu. Urządził całą manipulację dochodów publicznych, a ustępując w r. 1817, zostawił ład wzorowy i miliony w kasie. Uprzednio przez krótki czas administrowania finansami przez Niemca Krzysztofa v. Colomb, skarb byłby przyszedł do zupełnego upadku, gdyby przed ustaleniem się losów Królestwa nie usunięto Colomba z Rady Najwyższej.

Jeśli więc później, za Królestwa, Drucki-Lubecki musiał znowu dźwigać z upadku finanse, ruina ta nastąpiła dopiero między r. 1817 a 1821.

Polityka ekonomiczna Matuszewicza jest w każdym razie świadectwem niezatartem, że nie brakło w tej epoce mężów, którzy, nie poświęcając zapалу obywatelskiego, mieli zarazem na oku materyalny dobrobyt ludności. Była to polityka celów świadomych, ożywiająca

duchem tej kameralistyki ekonomicznej, która za czasów Księstwa Warszawskiego wzięła właśnie początek, budując program swój na kierunkach „gospodarstwa narodowego”. Tym teoryom, podówczas panującym w nauce i publicystyce, należy jeszcze słów kilka poświęcić.

Historycy, idąc zazwyczaj za utartym śladem uprzedzeń Skarbka, zarzucają epoce Księstwa Warszawskiego, że, oprócz ruiny materialnej, nie dała żadnych owoców krajowi. Staraliśmy się już powyżej wykazać, że poglądy te były błędne. W szczególności jednak nie dostrzeżono tu zgoła żadnej przewodniej myśli społeczno-ekonomicznej. Jeśli się zważy, że mamy z tego okresu wcale bogatą i głęboką publicystykę ekonomiczną i administracyjną, roztrząsającą zagadnienia rolne, handlowe i prawodawcze, powołującą się na kierunki owocnej polityki gospodarczej, i nakreślającą jej drogi dalsze, jeśli sięgniemy do pism Surowieckiego, Węgrzeckiego, Łopacińskiego, Fr. Ksaw. i Józefa Kal. Szaniawskich, Dembowskiego Jaza Sebastyana, to okaże się, że niwa ta wcale nie była jałowa. Owszem, w tych publikacjach ujawnia się wyraz przejęcia się nie tylko ich autorów, lecz także i rządu, i społeczeństwa potrzebą wytworzenia za pomocą środków administracyjnych przemysłu narodowego, podniesienia miast, rolnictwa, handlu, stworzenia mieszczaństwa, słowem świadomego utorowania drogi polityce narodowo-gospodarczej. Surowiecki w swoich pracach porusza bieżące zagadnienia ekonomiczne. Ogłasza rozprawę: „O upadku przemysłu i miast w Polsce”, zachęcając w niej do podniesienia handlu i rękodzieł; pisze „Uwagi o cechach”, daje bardzo pouczające wskazówki „O rzekach Księstwa Warszawskiego”, które nakreślił z polecenia ówczesnego ministra sprawiedliwości, Łubieńskiego. Godnem zaznaczenia jest, że uregulowanie rzek, wtedy już na pierwszy plan porządku dziennego wysunięte jako sprawa najpilniejsza, od tego czasu prawie na krok się nie posunęło. Surowiecki, sam będąc wyższym urzędnikiem w ministerium, daje wyraz dążeniom gospodarczym, które rząd ożywiały. A pisma jego celują sądem światłym, wnoszą się wysoko ponad panujące jeszcze uprzedzenia do handlu i przemysłu. Rozwój rękodzieł czyni on zależnym między innymi od tego, aby „rząd starał się uprzętać wszelkie przeszkody, tamujące przemysł rękodzielnictwa krajowego”, „żeby czujna opieka rządowa otaczała go w każdym razie przeciw dowolnym uciskom i niesprawiedliwości możliwszym”; a nadto żąby rzemieślnik nie był narażony na poniewieranie lub pogardę od innych klas obywateli.“ Podnosi też znaczenie handlu, rozumiejąc rolę kupca, jako pośrednika. Kupiec—pisze—również się przykłada wiele do wzrostu każdego



przemysłu“... „Jako bezwzględny jednacz dwóch stron, wzajemnie sobie potrzebnych, (kupiec) waży słuszny interes produkującego i konsumenta, zbliża ich do siebie, oszczędza im stratę czasu i zasłania od niebezpieczeństwa zawodów, oszukaństwa i sporów“. Są to poglądy ekonomiczne, jak na swój czas, bardzo światłe, poglądy, które zaznaczyły się już w przekonaniach rządu i przez pisma kameralistów docierać miały do świadomości społecznej. Surowiecki nieco później, bo już za Królestwa Kongresowego, ogłosił swoje „Uwagi względem poddanych w Polsce i projekt do ich uwolnienia“, lecz był to pomysł, z pewnością nawiązany już wcześniej do licznych projektów uwolnienia chłopów i organizacyi gminy, jako konsekwencyi zniesienia niewoli w r. 1807. Autor gorąco się oświadcza za uwłaszczeniem włościan, za pożytkiem i potrzebą tej reformy, twierdząc, iż „nie wie, kto by jeszcze śmiał powątpiewać o tych powodach; chyba taki, który na samej niesprawiedliwości zakłada swoje dobro“.

Węgrzecki krzewi podobne zasady gospodarcze w „Rozprawie o profesyach“ i „O włościanach polskich“, a w „Piśmie o prawach dla Księstwa Warszawskiego uchwalonych“, daje klucz do konstytucyi r. 1807, tudzież do związanych z nią przepisów z należytem uwzględnieniem praw skarbowych. Traktaty Węgrzeckiego ożywia podobne tchnienie postępu społecznego i gospodarczego; takie same myśli znajdujemy u Jana Sebastjana Dembowskiego i innych publicystów tego okresu. Cała ta publicystyka nosi na sobie cechę zabiegów o ekonomiczne odrodzenie narodu. Jest to kierunek kameralnej polityki gospodarczej, poszukujący w prawodawstwie i w rządowej opiece handlowej rękami rozwoju, kierunek, rozumnie dopasowany do epoki nowatorskiej, a zarazem burzliwej, gdzie wszystko dopiero odbudowywać należałoby z popiołów i ruin.

---

Tu nawiasowo zaznaczyć się jeszcze godzi, że kierunki teoryi ekonomicznych w Polsce w bardzo wielu okresach wydatnych były doskonale zharmonizowane z prądami czasu. Tak więc już w wieku XVI i XVII mieliśmy rozwinięty merkantylizm, czyli teoryę, dążącą do przyrostu bogactw za pomocą środków przyciągania pieniędzy, lub ochraniającą korzystne dla handlu systemy monety. Pierwszym naszym merkantylistą był Kopernik, który w traktacie „De optima monetæ cudendæ ratione“ (O najlepszym sposobie bicia mo-

nety), najpierw postawił zasadnicze twierdzenie, że pieniąż dobry obok złego utrzymać się nie zdoła, czem wyprzedził tezę angielskiego ekonomisty Greshama, choć temu ostatniemu przypisywano odkrycie tego prawa.

Frycz Modrzewski, Andrzej Ciesielski i inni w tym samym okresie renesansu naszego krzewią teorię rozwoju handlu i ochrony monety przeciw skażeniu. W wieku XVII publicystyka gospodarcza przeważnie bezimienna, merkantylizmem także natchniona, broni interesów Gdańska, miast i sprawy monetarnej. Potem znowu fizyokratyzm, to jest teoria uznawania ziemi za jedyne bogactwo, bierze u nas górę w miarę, jak handel i miasta upadały. Była to doktryna, odpowiadająca zupełnie agrarnym dążeniom społeczno-gospodarczym szlachty. W epoce sejmu czteroletniego wzięto rozbrat z jednostronną polityką gospodarczą, płującą jeno intracie rolnej. Staszyc, w którego sądach wcieliły się ideały społeczno-gospodarcze tego okresu, krzewi politykę ekonomiczną narodową, mającą odbudować siłę państwa przez dobrobyt i finansową potęgę. Jest to zarodek kameralistyki, ale takiej, nad którą unosi się tchnienie wzniosłej filozofii moralno-społecznej.

W teoriach protekcyjnalizmu gospodarczego Księstwa, znowu nawiązujących przerwany na czas pewien wątek świadomości ekonomicznej, przeważała trzeźwość administracyjna i poniekąd dyplomacya narodu, zmuszonego dzielić swe zabiegi między poświęcenia dla wielkiego władcy i ofiary patryotyczne, a obronę bytu materialnego. To też prąd nauk stosowanych, badania, skojarzone z potrzebami społecznymi, stanowczo biorą tu górę. Ktoś słusznie się wyraził, że „na każdym polu widzimy tu pracę sumienną, usiłowania wielkie, aby dążnościami wieku nastarczyć“. I również słusznie utrzymuje K. Wł. Wójcicki, że Księstwo w krótkim okresie swego istnienia było jakby szkołą przygotowawczą dla Królestwa Kongresowego. We wzmożonej, tętniącej ruchem żywym działalności ówczesnej Towarzystwa przyjaciół nauk nowy prezes, niezmordowany Staszyc, w którym zawsze więcej było statysty, niż uczonego, daje także przewagę naukom społecznym nad oderwaniami dociekań metafizycznych. Słowem wszędzie panuje nowy duch dobrze odczutej pracy organicznej.

Jakkolwiek ostatecznie sądzić będziemy kierunki ekonomiczne Księstwa Warszawskiego, przyznać należy, że były one postępowym w porównaniu z chyleniem się w przepaść zagłady materialnej i z upadkiem myśli społeczno-gospodarczej kraju za opłakanych czasów pruskich. Księstwo było pierwszym etapem w nowym procesie odtwórczym ekonomicznego rozwoju kraju.

St. A. KEMPNER.

# ROZMAITOŚCI.

---

## „N a r ó d“    ż y d o w s k i.

---

Ta frakcyja syonistów, która, na razie przynajmniej, nie chce zejść na manowce mglistej idei palestyńsko-państwowej, i nie tracąc zupełnie z oczu gruntu stosunków realnych, streszcza swoje aspiracye w reklamowaniu dla żydostwa charakteru odrębnego „narodu“, a tem samem zdobywa sobie wobec ideologów pierwszej kategorii większą siłę atrakcyjną, zwłaszcza na gruncie tak podatnym dla podobnych aspiracyi, jakim jest zawichrzona sporami narodowościowemi Galicya, posiada rodzaj sankcyi historycznej w dokumencie niepośledniego znaczenia i wieku. Przeszło sto dwadzieścia lat spoczywa ten dokument w tajnikach archiwalnych, a pochodzi z tej pamiętnej historycznej chwili, kiedy w Warszawie stronnictwo, ton nadające sejmowi czteroletniemu, z planem przymierza polsko-pruskiego łączyło także projekt dywersyi przeciw Austryi, dając szlachcie polskiej w Galicyi impuls do wystąpienia wobec cesarza Leopolda II z daleko idącemi żądaniami konstytucyjnymi, po których przyjęciu Galicya zajmowałaby była w monarchii Habsburgów stanowisko odrębne, poniekąd podobne do stanowiska Węgier. Kataklizm dziejowy po roku 1791 zniszczył wszystkie te plany, ale była chwila, kiedy deputacya szlachty polskiej w Galicyi (Stanisław ks. Jabłonowski, Mikołaj Potocki, Józef M. hr. Ossoliński, Jan hr. Bąkowski i Jan z Batowa Batowski), konferując w tej sprawie z przychylnie usposobionym cesarzem Leopoldem II i z nieprzychylnie nastroszoną, ale chwilowo obawami zewnętrznymi zawikłaną skonsternowaną, wiedeńską kancelaryą nadworną, mogła ludzić się nadzieją zdobycia znacznych korzyści politycznych <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Prof. dr Stanisław Starzyński: Projekt galicyjskiej konstytucyi 1790/1, (Charta Leopoldina), Lwów, 1893.

W ówczesnych konferencyach ważną rolę odgrywał głos wielkorządcy galicyjskiego, Józefa hr. Brigido, zapisanego wcale przychylnie w pamięci pierwszego pokolenia polskiego w świeżo do Austrii przyłączonych ziemiach polskich. Gubernator, hr. Brigido, spełniał wprawdzie gorliwie swoją misję około „zgalicyzowania” ziem polskich, jako wstępu do ich zgermanizowania, ale patrzył na stosunki trzeźwo, oceniał je, ile mógł, sprawiedliwie, i postępował po ludzku. Wezwany do objawienia swojej opinii o polskich żądaniach konstytucyjnych, gubernator hr. Brigido odpowiedział na to obszernym memoriałem z dnia 12 listopada 1791 roku, w którym przedewszystkiem scharakteryzował stosunki, w Galicyi panujące. W tej charakterystyce osobny ustęp poświęcony jest żydom, i tutaj też dostała się im ta, dziś w syonistycznych enuncyacjach tak dziwnie brzmiąca i wiele do myślenia dająca, nazwa „narodu żydowskiego“.

Służymy syonistom tym dokumentem historycznym, ale — *cum beneficio inventarii*, więc ze wszystkiem, co tam może być niemiłego dla owego „narodu“, i z tem, co się ze słów hr. Brigida niewątpliwie wysnuwa.

Hr. Brigido, wyraziwszy obawę, że po ogłoszeniu konstytucyi 3 maja 1791 roku i nadaniu nowych praw miastom w Rzeczypospolitej, chrześcijańscy rękodzielnicy miast galicyjskich zaczną przenosić się za kordon, a natomiast żydzi z za kordonu, znęcani prawami, żydom galicyjskim przez cesarza Józefa II nadanemi, przesiedlać się będą do miast galicyjskich, które w skutek takiego spotęgowania się „największej przeszkody w ich rozwoju“, musiałyby dalej upadać, i „po upływie niewielu lat zmieniłyby się wszystkie, nie wyjmując nawet stolicy, Lwowa, w miasta żydowskie“, — tak mówi dalej w memoriale swoim: „Jeżeli tylko z jakim takim prawdopodobieństwem dało się oczekiwać, że żyd stanie się mieszkańcem kraju równie pożytecznym, jak chrześcijanin, to, ze względu na dobro powszechne, byłoby to objętnem dla państwa, czy rolnictwo, przemysł fabryczny i rękodzielniczy i t. d., są uprawiane przez chrześcijanina, lub żyda. Ale nadzieja ta nigdy się nie ziści, dopóki żyd tem pozostanie, czem jest dzisiaj, a także nie można nawet myśleć w ciągu długiego czasu o zmianie obyczajów i zwyczajów, wogóle charakteru i zasad tego narodu, dopóki państwo nie użyje potrzebnych środków, a przedewszystkiem z wszelką stanowczością nie będzie zmierzać do tego, aby przynajmniej młodzież tego narodu kształcona była na pożytecznych w przyszłości, lub mniej szkodliwych członków państwa, aby przytem zapobieżono już teraz, ile możności, pomnażaniu się tego, dla chrześcijańskiej ludności Galicyi tak szkodliwego, narodu“.

Wobec tych słów gubernatora hr. Brigida, przypomina się aforyzm z Tacyta: *Arcaenum novi status imago antiqui!* I w tych słowach hr. Brigida, i w hasle, wydanem przez naszych syonistów: „naród“,

1) Memoriał ten znajduje się w autentycznym egzemplarzu w rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich (№ 525, tom drugi, str. 650 — 674).

jest synonimem separatyzmu, dążności do społecznego wyodrębnienia jednej warstwy, czy jednej kategorii ludności, na której już pochodzenie i wieki wycisnęły piętno pewnej odrębności kulturalnej, piętno, zacierające się powoli, w miarę postępu, ale nie dające się zatrzeć tam, gdzie dotąd postępowanie nie zdołał przełamać ciężkiej zapory przesądów i ciemnoty, to jest w ciemnej masie żydostwa. Zarzut, że nie można identyfikować nazwy „narodu“ z przed stu dwudziestu lat z dzisiejszym pojęciem „narodu“, w epoce tak rozbudzonego nacjonalizmu, byłoby tylko wykretem, bo syoniści nie objaśnili bliżej swojego hasła, i nie wskazali, jakimi drogami i środkami zamysłują rozbudzić, albo raczej stworzyć wszystkie czynniki narodowego rozwoju, jako wstępu do głównego celu, to jest do urzeczywistnienia palestyńsko-państwowej idei. Być może, że marzyciele, którym ta mglista idea zamroczyła pogląd na realne stosunki, wierzą w to, iż hasło ich o narodzie żydowskim mieści w sobie impuls do — mówiąc ich słowami — „etycznego i kulturalnego postępu“ żydostwa. Ale takich marzycieli, gubiących się w obłokach utopii, jest mało, a miliony ich ciemnych współwyznawców, wezwane do organizowania się w drobny naród i do manifestowania tej odrębności narodowej, z pewnością nie pojmą tego wezwania inaczej, jak tylko w duchu tego separatyzmu społecznego, który właśnie zamykał im dotąd i zamykałby dalej drogę do postępu etycznego i kulturalnego.

Hr. Brigido, w przytoczonym ustępie memoriału swego podniósł potrzebę energicznej interwencji państwa w tym celu, aby przynajmniej w młodszym pokoleniu żydostwa galicyjskiego zatarty, czy złamany został dotychczasowy, szkodliwy dla Galicji, separatyzm „narodu żydowskiego“. Nie poprzestając na samym tylko wypowiedzeniu tej opinii, hr. Brigido zaprojektował w swoim memoriale szereg środków, które rażąco odbijają od tak blizkiego jeszcze tych czasów systemu józefińskiego.

Tylko dla ilustracji wspominamy o głównych środkach zaleconych. I tak na przykład: hr. Brigido proponuje, aby państwo wprost nie dopuszczało powiększania się liczby osiadłych w kraju rodzin żydowskich, i aby wydalono z kraju żydów, nie mogących się wykazać jaką profesją. Poza obrębem miast należałoby wzbronić pobytu żydom, nie trudniącym się (i to „własnymi rękoma“) rolnictwem, lub jaką profesją. Obcym żydom osiedlenie się w Galicji miałoby być dozwolone dopiero po stwierdzeniu, że osiedlający się posiada co najmniej 10,000 złr., i z majątku tego robić będzie użytek, dla państwa pożyteczny. Z kilku synów, tylko pierworodny mógłby wchodzić w związek małżeński bez osobnego zezwolenia, a inni dopiero wtedy, gdy się wykazą wykształceniem, nabytem w szkole normalnej, praktyką, odbytą u cechowego rękodzielnika, lub u kupca, i możliwością samodzielnego prowadzenia interesu. Od szynkowania mieliby żydzi być wykluczeni nie tylko po wsiach, lecz także i w miastach. Co do faktorów, włóczących się po kraju, zaleca hr. Brigido nawet wydalenie z kraju, jeżeli „taki szkodliwy i niebezpieczny włóczęga“ nie może wykazać się dostatecznym i trwałym zarobkowaniem. Wreszcie przypomina hr. Brigido obowiązek służby wojskowej i zmianę stroju odrębnego na krój niemiecki, jako środki, także

wchodzące w jego program społecznego zasymilowania żydostwa galicyjskiego.

Wnioski hr. Brigida, przedstawione kancelarii narodowej, skąd, jak to wnioskodawca naprzód wiedział, dostać się musiały do samego cesarza, żywo sprawą całą zajętego, zawierają postulaty, którym dziś przyklasnałby najskrajniejszy antysemityzm. Był więc hr. Brigido we wnioskach swoich antysemitą, jeżeli *ex-post* zastosujemy do niego tę nazwę świeższej daty tak samo, jak poprzednio przedstawiliśmy go jako pierwszego w Galicyi, a przytem urzędowego, proklamatora „narodu żydowskiego“. Ale przed przybyciem swoim do Lwowa, hr. Brigido, który wspiął się po szczeblach hierarchii biurokratycznej w okresie ultraliberalnego józefinizmu, żadną miarą nie mógł żywić takich przekonań. Obudziły się one w nim dopiero na widok antyspołecznego separatyzmu żydów galicyjskich, których w memoryale swoim nazywa „polskimi“, dla odróżnienia od społecznie zasymilowanego żydostwa na Zachodzie.

I tutaj przypominają się słowa Tacyta: *Arcanum novi status imago antiqui!* Separatyzm żydowski jest ojcem antysemityzmu, a nie przeciwnie, jak utrzymują niektórzy obrońcy syonizmu. Jak fałszem jest twierdzenie, że obwoływanie odrębności „narodu żydowskiego“ zmierza ku etycznemu i kulturalnemu postępowi żydostwa, kiedy tymczasem chodzi właściwie o zamaskowanie antyspołecznego separatyzmu, więc o zamaskowanie wstecznego prądu, tak samo fałszem jest twierdzenie, że syonizm odezwał się w społeczeństwie polkiem jako skutek antysemityzmu. Natomiast wszyscy agitatorowie, rzucający lekkomyślnie hasła syonizmu w ciemne masy żydowskie, a tem samem zachęcający je do kultywowania antyspołecznego separatyzmu, dobrze się nad tem zastanowić powinni, czy zdołają zażegnać burzę i zawrócić z drogi, jeżeli na widok tego separatyzmu antysemityzm, dotąd w społeczeństwie polkiem nierozbudzony, a w każdym razie niezorganizowany, wystąpi na widownię w roli odporu, prowokacją uprawnionego. Jest to uwaga, nasuwająca się z sytuacji, a nie groźba, bo komu na normalnym bycie i postępie społeczeństwa zależy, ten gorąco tego pragnąć musi, aby nigdy nie przyszło do wybijania jednego klina wstecznego (żydowskiego separatyzmu) drugim, również wstecznym klinem (antysemityzmem).

DR BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

# PIŚMIENNICTWO.

---

**ANDRZEJ BONNEFONS: Un allié de Napoléon Frédéric-Auguste, Premier Roi de Saxe et grand Duc de Varsovie 1763 — 1827, d'après les Archives du ministère des Affaires Etrangères et du royaume de Saxe. Paryż 1902.**

Dzieło poświęcone Fryderykowi Augustowi, którego autor nieśluszenie nazywa Wielkim Księciem Warszawskim, opiera się na dokumentach archiwalnych ministerium spraw zagranicznych, zarówno we Francyi, jak i w Saksonii. Źródła zatem pierwszorzędne i nigdzie dotychczas należycie nie spożytkowane służyły za podstawę powyższemu studyum i polecały je uwadze uczonego świata. Prócz tego Bonnefons nie pominął drukowanego materiału, który mógł rzucić charakterystyczne światło na sympatycznego i lojalnego sprzymierzeńca Napoleona. Wyzyskane prace podał on na wstępie swej książki i z owego spisu można powziąć wyobrażenie o sumiennosci, z jaką zabierał się do dzieła.

Mając pod ręką obfity materiał archiwalny, Bonnefons, prawdopodobnie lekceważył sobie pamiętniki, czy też dzieła historyczne, traktujące o powyższym monarsze i epoce, wśród której żyć i działać było mu przeznaczonem. Nie wyszło to na korzyść jego pracy. Spotykamy też w niej poważne niedostatki, któreby się łatwo dały usunąć należytem spożytkowaniem dzieł, które już oddawna zostały wydrukowanemi. Tak naprzykład, nie uwzględnił autor dzieła dwutomowego p. t. „Die Regierung Friedrich Augusts Kurfürst von Sachsen,“ napisanego przez Pölitza (1830). W książce powyższej uwzględniono szczegółowo i sumiennie stosunek Fryderyka Augusta do konstytucyi, a przedewszystkiem do reprezentacyi stanowej. Saksonia



należała do tych wyjątkowych państwek świętego rzymskiego państwa, narodowości niemieckiej, które utrzymały w całej pełni wpływ i znaczenie reprezentacji stanowej. Gdy w innych krajach niemieckich oświecony, lecz absolutny monarchizm pozbywał się coraz bardziej współrządów, a nawet ogólnej kontroli stanowej, w Saksonii udział i wpływ stanów we wszystkich kierunkach administracji państwowej trwał dalej w pełnej mocy. Stany uchwały, jak niegdyś, wszystkie podatki, miały kontrolę nad ich szacunkiem i, zastanawiając się nad propozycjami od tronu, przedstawiały wszelkie grawamina obciążające rządy elektorskie. Fryderyk August pozostawał zawsze z pełnym uznaniem dla przywilejów reprezentacji stanowej, jakkolwiek nie opierały się one na żadnym piśmiennym dokumencie, lecz na zwyczaju przekazywanym tradycją, a sięgającym niekiedy aż do XIII stulecia.

Zgoda i porozumienie z reprezentacją stanową zdobyły Fryderykowi Augustowi przychyłość, ufność i przywiązanie wśród szerokich mas ludności saskiej. Ufano jego charakterowi i wierzono, że nie żywi żadnych skrytych planów, któreby dobru publicznemu kraju mogły być szkodliwymi. Stany przekonać się mogły w codziennej wspólnej pracy o jego poczuciu sprawiedliwości, o jego pilności i wzorowym życiu domowym, unikającym zbytku i rozrzutności. To wszystko wytworzyło pomiędzy nim a reprezentacją stanową stosunek takiej życzliwej wyrozumiałości, że ze stosunków prawnopństwowych Saksonii zniknęły wszystkie owe dokuczliwości i rozkładowe żywioły, które zazwyczaj każdej konstytucji stanowej nieodwołalnie towarzyszyły. Otóż Bonnefons pozostawił całą ową działalność Fryderyka Augusta nie uwzględnioną należyście; a szkoda, bo to działalność doniosła, choć cicha, i jej zawdzięcza Fryderyk August przydomek sprawiedliwego.

Następnie pozostawił Bonnefons niewyzyskanemi dzieła dotyczące historii Niemiec wogóle, a więc i Saksonii w szczególności; mam tu na myśli przedewszystkiem wielotomowe dzieje Niemiec Treitschkego. Treitschke, syn generała saskiego, pałał przeciwko Fryderykowi Augustowi niechęcią, za to, że nie połączył się dość wcześniej z prądami narodowemi Niemiec, i że wytrwał w sojuszu z Napoleonem. Niewątpliwie portret tego monarchy, nakreślony przez Treitschkego, jest stronnym i podmiotowy sąd historyka mąciła niechęć i uprzedzenie. Ale w każdym razie zamieścił Treitschke tyle ciekawych szczegółów o życiu powyższego monarchy, że poznanie jego dzieła wyszłoby na dobre francuskiemu historykowi. Treitschke przedstawia Fryderyka Augusta, jako władzcę przejętego nawskroś duchem stanowym w najgorszym tego słowa znacze-

niu. Monarcha ten wstydził się chodzić piechotą po Dreźnie, a z uboższymi, nieuprzywilejowanymi klasami ludności nie zwykł się był stykać osobiście. Treitschke wymawia mu z przekąsem, że jedyny wyjątek, jaki czynił z owego wyniosłego i sztywnego zachowania się, miewał miejsce na rzecz zwyczaju polskiego i w stosunku ze szlachtą polską. Pamiętnikarstwo polskie z owej doby stwierdza również ową sztywność w stosunkach, która niejednokrotnie dotknęła niemile szlachtę polską. Nie należy jednak zarzutowi owemu dawać zbyt wielkich rozmiarów. W porównaniu z elekcyjnym Stanisławem Poniatowskim mógł rzeczywiście Fryderyk August być nieco wyniosłym, ale wogóle okazywał w Księstwie Warszawskim dużo przychylności i na sejmie, w senacie, i w Radzie Stanu, był uprzejmym i wyrozumiałym. W każdym razie Bonnefons, byłby z dzieła Treitschkego mógł skorzystać o tyle, że byłby się zapoznał z portretem, nieprzychylnym wprawdzie Fryderykowi, ale zaopatrzoną z bogatą treścią faktyczną.

Z literatury pamiętnikarskiej francuskiej pozostały autorowi nieznanymi: Bignona „Souvenirs d'un diplomate“, co tem bardziej zadziwia, iż mniej ważne dzieło powyższego pisarza, p. t. „Histoire de France depuis le 18 Brumaire“, zostało przez niego spożytkowane. We wspomnieniach dyplomaty Bignon zamieścił bardzo ciekawe szczegóły, odnoszące się do sejmu Księstwa Warszawskiego z 1809 roku. Przedewszystkiem scharakteryzował on należycie opozycję sejmową, na której czele stał poseł maryampolski, Godlewski, i wykazał, że opozycja owa bynajmniej nie była popularną. Wreszcie Bonnefons nie znał wcale źródeł historycznych polskich, czy to archiwalnych, czy pamiętnikarskich. Pozostała mu nawet obca dySSERTACJA d-ra Żółtowskiego p. t. „Die Finanzen der Herzogthums Warschau“, która się oparła na bogatym materiale archiwów drezdeńskich. Tymczasem i archiwa warszawskie zawierają obfity materiał, odnoszący się do dziejów Księstwa Warszawskiego. Skromniejszy, ale nie mniej ważny, znajduje się w różnych bibliotekach polskich, a i literatura posiada obfity i poważny materiał pamiętnikarski.

Bonnefons zatem w pracy swej, poświęconej Fryderykowi Augustowi, nie mógł być wyczerpującym, ale w każdym razie jego studjum, opierające się na mało, lub całkiem nieznanym materiale archiwów francuskich i saskich, było dla polskiego czytelnika ważnem, oraz interesującym. Nie możemy bowiem o tem zapominać, że jeden dr Żółtowski zapoznał się z archiwami saskimi, a francuskie pozo-

stały dotychczas przynajmniej polskim historykom nieznanymi. W książce francuskiego historyka, poświęconej Księstwu Warszawskiemu, powieść o naszych sprawach jest wogóle dość szczegółową i staranną. Nie spotykamy, jak to się zazwyczaj trafia u historyków francuskich, piszących o obcych sprawach, rażących błędów i nieznanomości elementarnych faktów. Nawet nazwiska polskie są ortograficznie podane, z wyjątkiem Małachowskiego, który stale bywa przerabianym na Małackowskiego. Opowieść historyczna trzymana jest w całej książce w tonie przedmiotowym, nie zdradzającym żadnej ubocznej tendencji. Tak samo, tj. przedmiotowo i poważnie, traktuje autor sprawę Księstwa Warszawskiego, rozumiejąc należycie trudne położenie polityczne i wynędznienie materyalne, ekonomiczne, tego drobnego kraiku.

Co do historii powstania Księstwa Warszawskiego, to pozostały francuskiemu historykowi nieznanne ważne szczegóły, wydobyte z pyłu archiwalnego dzięki historykom rosyjskim. Szczegóły powyższe zebrał i przedstawił Loret, w pracy swej, p. t. „Między Jeną a Tylżą”, a oświecają one stosunek Napoleona do Polaków nieco inaczej, aniżeli dotychczas to miewało miejsce. Napoleon rozpoczął rokowania Tylżyckie od propozycji, aby Aleksander I, jako król polski zagarnął dzielnice polskie do Prus włączone, ale cesarz rosyjski pozostał głuchym na kilkakrotnie powtarzające się propozycje i nawzajem namawiał Napoleona, ażeby Księstwo Warszawskie ofiarował Hieronimowi, królowi westfalskiemu. Napoleonowi wydał się powyższy projekt niemożliwym do uskutecznienia, albowiem sprowadziłby on w niedalekiej przyszłości stanowczy rozbrat Francji z Rosją. Jako rzecz pośrednia, jednająca dwa zupełnie przeciwne sobie plany, wystąpiła na jaw kandydatura króla saskiego, którą też Napoleon skwapliwie zaakceptował. Bonnefons o propozycjach Napoleona nic nie wie. Z książki jego dowiadujemy się o projekcie Aleksandra, pragnącego obdarzyć Hieronima koroną Księcia Warszawskiego. O motywach kierujących w tym wypadku cesarzem rosyjskim, również autor nie wiele nam umie powiedzieć. Dość, że istnieją już w literaturze polskiej prace (Loret), które nas o owej przełomowej epoce lepiej niż Bonnefons informują.

Pierwszy i drugi przyjazd Fryderyka Augusta do Księstwa Warszawskiego opisany został przez Bonnefons'a dość dokładnie i zgodnie z pamiętnikami polskimi. Zapał wojenny szlachty polskiej po odezwach Dąbrowskiego, Wybickiego z Berlina, skreślił autor należycie, chociaż niepotrzebnie powtórzył za Thiersem wiado-

mość przesadną i prawie śmieszna, że szlachta polska na wezwanie Napoleona, powtórzone przez swego generała, opuszczała zamki (chateaux), aby stanąć w narodowych szeregach. Jak legiony włoskie, tak wojsko francuskie w 1806 roku, wypełniała przeważnie uboższa szlachta, której dwory nieprzypominały w niczem zamków i zaledwie do skromnych domów mieszkalnych porównanemi być mogły. Dopiero za czasów Księstwa Warszawskiego spotykamy się w wojsku polskim coraz częściej z nazwiskami arystokratycznymi, i to nie tylko w pułkach Księstwa, ale w wojsku francuskim i gwardyi Napoleona. Bonnefons, opisując pobyt Fryderyka Augusta w Księstwie, podnosi słusznie jego przywiązanie do nowego państwa, jego pracowitość przy wykończaniu organizmu polityczno-administracyjnego Księstwa i jego wyrozumiałość na trudne położenie ekonomiczne mieszkańców nowego państewka. Wszyscy pamiętnikarze polscy uznają i podnoszą we Fryderyku Augustcie powyższe zalety. Co więcej, w tym lojalnym i sprawiedliwym monarsze tkwił pewien szczególnie sentyment dla Polaków, który wypłynął z uczucia wdzięczności za powołanie go w 1790 roku do dziedzicznego tronu królewskiej Rzeczypospolitej. Fryderyk August, przygotowując się do nowego stanowiska, wyuczył się języka polskiego, którym nie władał ani August II, ani August III. W przemówieniach publicznych posługiwał się wyłącznie językiem polskim, a gdy pewnego razu Kochanowski w Radzie Stanu, dla przypodobania się monarsze zaczął przemawiać po francusku, Fryderyk August przerwał mu oświadczeniem: proszę mówić po polsku, bo pan Rzątkowski nie rozumie po francusku. Prócz tego Fryderyk August był pracowitym i rzetelnie odbywał sesye z ministrami, radą stanu i senatem, nad zaprowadzeniem ładu gospodarczego w kraju i udoskonaleniem instytucyi administracyjnych.

Długo w pamiętnikach polskich kołatała się legenda utrzymująca, że Napoleon dyktował księciu Bassano konstytucyę dla Księstwa Warszawskiego i to z takim pośpiechem, że tenże spisywał ją na kolanach. Bonnefons wykazuje słusznie, że rzecz się miała cokolwiek inaczej. Konstytucya Księstwa Warszawskiego była naśladowaniem konstytucyi francuskiej z roku VIII i przejmowała wiernie od napoleońskiej Francyi system centralizacyi administracyjnej. Ustępstwem dla miejscowych stosunków i dawnych tradycyi społeczeństwa polskiego zdaje się być system dwuizbowy, dzielący sejm na senat i izbę poselską, a jeszcze bardziej zaprowadzenie dwu kategorii senatorów: wojewodów i kasztelanów, będącej reminiscencyą dawnych prawno-państwowych stosunków Rzeczypospolitej. Jeszcze jednym uwzględnieniem przeszłości polskiej było pozostawienie w senacie

senatorów duchownych, którzy na wzór dawnych zajmowali miejsca przed senatorami świeckimi. Bonnefons nie wymienia wprawdzie tych wszystkich cech konstytucyi, które przeszłość starały się nawiązać z terażniejszością, ale wykazuje przynajmniej skąd płynęło główne i zasadnicze źródło, a tem samem odejmuje jej charakter chwilowego nastroju czy kaprysu Napoleona.

Fryderyk August zniewolony był przyjąć dla Księstwa Warszawskiego nie tylko administracyjne wzory, ale i kodeks Napoleona, normujący stosunki prywatne ludności. Bonnefons zaznacza słusznie, że dzieło prawodawcze, zwane kodeksem Napoleona, nie posiadało żadnych śladów czy to polskich, czy to niemieckich. Było ono z ducha najczystszy m tworem rewolucyi francuskiej i musiało, o czem Bonnefons nie wspomina, dotkliwie obrazić uczucie narodowe polskie. Prawo rodzinne a przede wszystkim małżeństwa cywilne musiały usposobić względem nowych reform nieprzychylnie, naprzód duchowieństwo, a za niem i wyższe klasy społeczeństwa polskiego, które żywiły gorące przywiązanie do swego Kościoła. Jednym słowem, Napoleon, obdarzając Fryderyka Augusta Księstwem Warszawskim, uczynił wszystko, aby go skrępować na każdym kroku organizacją administracyjną, wreszcie prawodawstwem cywilnem małego państewka, które przypominały nominalnemu władcy, że całe owo Księstwo Warszawskie jest wyłącznym tworem Napoleona, przeznaczonym też na wyłączne wysługiwanie się jego interesom.

Bonnefons zaznaczył w swej interesującej pracy, że podczas przyjazdu Fryderyka Augusta do Księstwa wszędzie mu towarzyszył marszałek Davoust i z rozkazu Napoleona okazywał mu przy każdej sposobności szczególne względy i uprzejmości. Ale na pamiętnikarzach polskich z owej epoki owa marszałkowska łaskawość odmiennie sprawiła wrażenie. Ludności Księstwa zdawało się również, że marszałek Davoust jest w rzeczywistości pierwszą osobą w kraju, dającą baczenie, ażeby Księstwo zmężniało jak najprędzej militarnie i ażeby mogło jak najskuteczniej stać na straży interesów Napoleona. Bonnefons dostrzegł, że niektórzy rezydenci francuscy, a szczególny Vincent, postępowali w Warszawie à la Stackelberg, ale nie wiedział o kollizjach, jakie miały miejsce w dziedzinie wojskowości. Szymański w swych pamiętnikach opowiada o lekceważeniu, z jakim Davoust traktował księcia Józefa Poniatowskiego, a nawet Zajączek dopuszczał się względem ministra wojny w Księstwie (książę Józef), czynów jawnej niesubordynacyi, powołując się na charakter generała francuskiego i licząc na to, że w marszałku Davoust znajdzie pobłażliwego protektora.

Zaraz na początku istnienia Księstwa wywiązała się sprawa, w której tkwił pewien upokarzający pierwiastek nie tylko dla rządu Księstwa, ale i dla osoby Fryderyka Augusta. Napoleon, dawnymi królewskimi, położonemi w obszarach Księstwa, obdarzył sporą ilość generałów francuskich, począwszy od marszałka Davoust. Bonnefons nawet w przybliżeniu nie podaje listy generałów i donacyi, a ówczesny Dziennik praw nie publikował ich i ogłosił jedynie późniejsze donacje ogólnikowo, to jest, że, na przykład, księżę Józef Poniatowski za zasługi, położone w 1809 roku, otrzymuje posiadłości w cenie półtora miliona złotych. Spis jednak owych donataryuszów francuskich był obszernym i w porównaniu z obdarowaniami polskimi imponującym. Jeden z takich wykazów znajduje się w posiadaniu hr. Rogiera Łubieńskiego, dokąd się dostał z papierów po generale Tomaszu Łubieńskim.

Wszyscy obdarowani generałowie francuscy pragnęli z tytułu donacyi zająć uprzywilejowane stanowisko wobec rządu Księstwa Warszawskiego. Naturalnie, że chcieli się przedewszystkiem uwolnić od podatków i powinności, które w ówczesną własność ziemską przeciężoną była. Rządowi Księstwa zależało wiele na tem, aby się nie uformował uprzywilejowany stan w państwie, przez co na resztę społeczeństwa spadłoby jeszcze większe brzemień ciężarów. Fryderyk August zrozumiał należycie niebezpieczeństwo powyższych przywilejów i dopomógł rządowi Księstwa do przekonania Napoleona o szkodliwości podobnego środka. Bonnefons przedstawił dość szczegółowo sprawę francuskich donacyi w Księstwie i oddał zasłużone pochwały Fryderykowi-Augustowi.

Opisując drugi przyjazd monarchy do Księstwa, w roku 1808, który się przedłużył do roku 1809, Bonnefons utrzymuje, że sympatye ludności polskiej ostygły znacznie, i że Fryderyka Augusta przyjmowano z widocznym chłodem, dając do zrozumienia, że się co do niego rozczarowano zupełnie. Bonnefons nazywa owe niechęci niezasłużonemi i niesprawiedliwemi, a przypisuje powstanie ich wojownicemu usposobieniu Polaków, które przeszkadzało im należycie ocenić pokojowe usposobienie monarchy i ważne usługi, jakie w tym kierunku oddawał ustawicznie Księstwu Warszawskiemu. Literatura pamiętnicza polska nie potwierdza zdania Bonnefons'a i nic nie wie o żadnem ochłodzeniu przywiązania ludności Księstwa do Fryderyka-Augusta. Przeciwnie, zdaniem pamiętnikarzy polskich panowała w Księstwie żywa sympatya do domu Wettinów i wszyscy przypominali sobie postępki sejmku czteroletniego, powołujący Fryderyka-Augusta

sta na tron dziedziczny Rzeczypospolitej. Wszyscy wybitni mężowie stanu Księstwa Warszawskiego i cała inteligencja narodowa oceniała wysokie przymioty monarchy, jego prawowitość, sprawiedliwość, gospodarność, a przede wszystkim jego troskliwe zasłanianie Księstwa od brutalnego traktowania i krzywdzącego wyzyskiwania władz francuskich. Wojownicze usposobienie szlachty polskiej, jej pieniące się męstwo, jak je Treitschke nazywał, nie stawało temu uznaniu powszechnemu bynajmniej na przeszkodzie. Zapal wojenny podtrzymany był sztucznie przez Napoleona, oświadczał on wyraźnie i dobitnie, że z Polski, pragnie urządzić castrum—nie forum, że jedynie świadczeniem na polach bitwy mogą Polacy złożyć dowód, czy są zdolni być niepodległymi.

Jakkolwiek Fryderyk August nie był otoczony aureolą sławy wojennej, posiadał sympatyę wojska polskiego, o którego potrzeby i należyłą organizację dbał więcej prawie, niż o potrzeby wojsk saskich. Nie zaniedbywał też Fryderyk August przy każdej sposobności wynagradzać zasług wojska polskiego i wyrażał się zawsze z uznaniem i podziwem o jego waleczności. Wojska polskie mogły się użalać niejednokrotnie na kapryśną wspaniałomyślność Napoleona, nigdy jednak nie zawiodły się na sprawiedliwości i pieczołowitości Fryderyka Augusta. Jeżeli więc można było spotkać się w roku 1808 i 1809 z pewnym chłodem względem Fryderyka Augusta, to chłód powyższy nie był wyrazem zniechęcenia lub rozczarowania się względem osoby Księcia Warszawskiego, ale objawem, skierowanym pośrednio do Napoleona, któremu żadnego wyrzutu bezpośredniego uczynić nie śmiano. Powierzchnownie zatem odzywały się może skargi na Fryderyka Augusta, ale obciążały go one najwyżej zarzutem, iż czuje się wassałem Napoleona i nie może skutecznie obronić Księstwa od wyzysku na rzecz jego polityki.

W pracy Bonnefons'a mało znajdujemy szczegółów odnoszących się do przebiegu sejmów Księstwa z roku 1809, 1811 i 1812. Autor nie odszukał w archiwach drezdeńskich protokółów owych sejmów, a w polskim języku wydrukowanym został jedynie Dyaryusz z 1812 roku w całej pełni i streszczony opis posiedzeń sejmu z 1809 r. w jednym z kalendarzyków politycznych. Dyaryusz zaś sejmu 1811 roku znajduje się w manuskrypcie w Bibliotece Głównej w Warszawie. Ukazały się jednak w polskich drukach liczne mowy posłów z sejmu 1809 roku, zwłaszcza cenne przemówienia Godlewskiego, poła marypolskiego. Cały ów materiał pozostał nieznanym historykowi francuskiemu, a w dodatku pominął on ciekawą pracę Ernoufa, p. t. „Maret duc de Bassano,“ podającą kilka ważnych szczegółów, odno-

szących się do konfederacji generalnej Królestwa Polskiego (1812) i do końcowych epizodów z dziejów Księstwa Warszawskiego.

Rok 1812 opisany został przez Bonnefons'a dość szczegółowo i oddano w tym opisie, jako tako, należyte pochwały wojsku polskiemu. Tak samo rok 1813 uwzględnionym został przez francuskiego historyka i nawet sprawę przejścia korpusu Poniatowskiego przez terytorium austriackie do Saksonii przedstawiono dokładniej, aniżeli u Luckwalda. Ostatecznie można było oczekiwać od Bonnefons'a więcej treści, ze względu na bogate skarby historycznych źródeł, które mu stały otworem. W każdym razie jednak, choć studjum jego nie jest wyczerpującem, należy je uważać za pracę poważną, napisaną przedmiotowo, z poczuciem sprawiedliwości i będącą cennym przyczynkiem do dziejów Księstwa Warszawskiego.

A. R.

---

ALEKSANDER MAŃKOWSKI „Podróż za granicę“, powieść, Warszawa 1903 r.

„Podróż za granicę“ mogłaby może odegrać w naszej literaturze powieściowej rolę głośnej satyry Stindego, gdyby nie dziwaczny egzotyzm polskich Buchholtzów, sprawiający, że panna Fałowska i Zdzisław Burski, wyglądają chwilami w swej wycieczce na „jasny brzeg“, niby jakieś słowiańskie *rastaquère'y*. Chwilami oczywiście i z powierzchownych rysów, bo na prawdę to śmieszne tylko figury, których śmieszność ująć chciał widocznie autor w bardzo wyodrębnioną charakterystykę oryginałów. Nic pożądanego w dobie pozabawionej wszelkiej oryginalności nad takie typy, gdyby istotnie były typami, gdyby uogólniały psychologię jakiejś warstwy towarzyskiej, czy jakiejś sfery, bodaj ściśle lokalnej. Tymczasem ciocia Manusia, wraz ze swoim siostrzeńcem, zostawiają wrażenie wyjątków, prawie unikatów, wyjątki zaś mają to do siebie, że usuwają się z pod kontroli życiowej i zapewniając przez to fantazyi powieściopisarza bezkarność, popychają go do przesady, a jednocześnie usposabiają czytelnika sceptycznie wobec figur, sąsiadujących niekiedy z karykaturą.

Niebezpieczne to sąsiedztwo,— wytwarza bowiem nieporozumienie między autorem i czytelnikiem, domagającym się w realistycznej powieści prawdy nie fantazyi, a wątpiącym o tej prawdzie co chwila



w towarzystwie owych unikatów, których oryginalna psychologia wy-  
daje mu się psychologią dowolną. Bez tej wiary w bohaterów, w mo-  
żliwość ożenienia Zdzisława Burskiego z brzydką Angielką, a cioci  
Maniusi z podejrzanym Włochem, powieść tłem samem nie łatwo zain-  
teresuje. Mańkowskiemu chodziło naturalnie do pewnego stopnia  
o satyrę, wysnutą z zetknięcia oryginałów polskich z kosmopolitycz-  
nem i wytwornem życiem Rivieri; ale to zetknięcie, zlekka tylko za-  
znaczone, nie opiera się na głębszem wyzyskaniu kontrastów, które  
autor zbywa pobieżnie, jakby mu pilno było do owych dwóch fanta-  
stycznych małżeństw, skojarzonych zapewne dla uwydatnienia cho-  
roblivej manii cudzoziemczyny. Ale w kim?— w egzemplarzach, któ-  
re już z tytułu swojej osobliwości niczego nie dowodzą i nie mogą  
służyć satyrykowi za przekonywujące argumenty.

Zaczyna więc ta podróż za granicę być istotnie zajmującą do-  
piero w powrotnej drodze bohaterów; zaczynają dopiero wtedy bu-  
dzić sympatyę i ten po cudacku ożeniony Podolak, i ta chuda, brzyd-  
ka Angielka, całująca go przez wdzięczność po rękach i przypomina-  
jąca mu spojrzaniem szkaradnego pieska, którego był niegdyś od po-  
dwórzowych kundysów obronił, i wreszcie ta nieszczęśliwa ze swoim  
awanturnikiem ciotka, płacąca własną próżność życiem przy urodze-  
niu pierwszego dziecka. Takie sceny, jak spotkanie żonatego już  
Zdzisława z zamężną również Janiną, z którą był z woli ciotki, mimo  
kielkujące uczucie, zerwał; takie figury, jak głęboki Rafał Obuchow-  
ski, nie na darmo z Minowskiej urodzony; takie szczegóły, jak list  
cioci Maniusi, pisany w przewidywaniu śmierci, niby spowiedź grzesz-  
nicy, błagającej o przebaczenie tych, którym życie zwichnęła,—oku-  
pują w drugiej połowie książki to, co w pierwszej odpornie czytelnika  
nastraja. Przemawia tu znów talent autora „Minowskiego“, „Dzi-  
waka“ i „Hrabiego Augusta“.

W. BOGUSŁAWSKI.

---

PAMIĘTNIK KIELECKI. Zbiór prac ku uczczeniu Adama Mickiewicza,  
1798 — 1898. Kielce. Wydanie Bronisława Bieńkowskiego.  
Druk St. Święckiego. Skład główny w Warszawie, w księ-  
garni Jana Fiszera, in 4-o, str. 254.

Kiedy, pięć lat temu, radzono nad godnym sposobem uczczenia  
setnej rocznicy urodzin Mickiewicza, podniesiono między innymi pro-  
jekt, by każda miejscowość kraju wystąpiła z księgą zbiorową, skła-

dającą się z artykułów, bądź dotyczących Mickiewicza, bądź też odnoszących się do tego kąta ziemi, w którym powstała księga.

Z miast Królestwa tylko Kielce odpowiedziały na to wezwanie; i oto — spóźniona nieco, bo w cztery lata po jubileuszu — ukazuje się wielka księga, zawierająca cały szereg artykułów, studyów, przyczynków i utworów literackich, pod tytułem: „Pamiętnik Kielecki“.

Jak każda praca zbiorowa, zwłaszcza wykonana nie w głównem ognisku oświaty, lecz zdala od niego, „Pamiętnik Literacki“ ma w różnych swoich częściach wartość i doniosłość bardzo różną. Rzeczy, zupełnie słabe, zdradzające pióro niewytrawne jeszcze, stoją tu obok prac, prawdziwie cennych.

Do słabszych należą przedewszystkiem utwory belletrystyczne, nieliczne zresztą; pani Karwowska dała, od ręki snąc rzucony na papier, obrazek, pod tytułem: „Organista“, a poza tem jest tu kilka utworów wierszowanych, zaledwie poprawnych.

Artykuły, zawarte w „Pamiętniku Kieleckim“, dzielą się na dwa działy: do pierwszego zaliczono prace, związane z dziejami Kielc i ich okolicy w ostatniem stuleciu; w drugim — czytamy przyczynki do biografii i krytyki Mickiewicza.

W pierwszym dziale wyróżniają się następujące artykuły: „Opis matematyczny Kielc“ pana Tadeusza Jana Wagnera; wyczerpującą pracę p. R. Plenkiewicza pod tytułem: „Kielce pod względem architektonicznych zabytków“, ozdobioną licznymi ilustracyami; ciepłą sylwetkę Tomasza Zielińskiego, naczelnika powiatu Kieleckiego od roku 1846, lubownika i protektora sztuk pięknych, pióra W. Gersona („Kielce, jako rozsądnik dążeń estetycznych“). Wreszcie pan S. Kontkiewicz wylicza bogactwa mineralne okolic Kielc w pracy: „O płodach kopalnych gubernii Kieleckiej“, a p. Feliks Rybarski kreśli w wymowniejszych rysach portret ks. Andrzeja Sulejowskiego, rektora szkoły wojewódzkiej w Kielcach od roku 1816 do 1852:

O ile dziejopisarz może odnaleźć w powyższym dziale niejednen ciekawy przyczynek, o tyle historyk literatury zainteresuje się drugim działem: artykuły, odnoszące się bezpośrednio do Mickiewicza i jego utworów. I tu również nie wszystkie prace mają jednakową wartość. Rzecz pod tytułem: „Ze wspomnień p. Ig. Karwata“, spisana p. Zdzisława Bitnera, jest bardzo ciekawym przyczynkiem do charakterystyki opinii publicznej w epoce walk klasycyzmu z romantyzmem; należało-by tylko zawarty tu materiał pamiętnikarski krytycznie sprawdzić i ocenić.

Przyczynek p. dra Józefa Wigury: „Geneza Ody do młodości“, szukająca początków tej Ody aż u filozofa greckiego, Empedoklesa, jest hipotezą bardzo ryzykowną i trułąną do dowiedzenia. Za to pra-

ca p. Jana Tona: „Mickiewicz jako lingwista“, należy do najcenniejszych w „Pamiętniku“; na podstawie szczegółowej analizy „Kursu literatur słowiańskich“, autor stwierdza, że poecie nieobce były najnowsze zdobycze wiedzy w zakresie językoznawstwa aryjskiego i słowiańskiego.

P. Stanisław Ciszewski dał dwa przyczynki: „Mickiewicz w literaturze chorwacko-serbskiej“, oraz piękny przekład „Trzech Budrysów“. pióra p. Dobšinsky'ego. Z tego ostatniego pozwolimy sobie przytoczyć pierwszą zwrotkę:

Stary Budris troch synow, šrihlých jak sām Litwinów  
 Na zamocky dvur volá i rečie:  
 Detil kone sedlajte, duškom preč sa sberajte,  
 Naostrite i hroty i meče.

Rzecz ks. Wincentego Gebartowskiego pod tytułem: „Rozum i wiara na podstawie wiersza Adama Mickiewicza“ jest raczej kazaniem o rozumie i wierze, i ich wzajemnym stosunku z powodu wiersza Mickiewiczowskiego, niż krytyczno-literacką analizą samego wiersza. Godnym uwagi biografów Mickiewicza i historyków Towiańszczyzny jest artykuł p. Z. Wasilewskiego pod tytułem: „Do Waterloo, z dziejów Towiańszczyzny na podstawie pamiętników“, gdzie mowa o pielgrzymkach „braci“ na to pole walki, gdzie Napoleon „stracił ton swojego posłannictwa dla ziemskiego tonu zemsty“.

Najdłuższy w tym dziale artykuł: „Kilka słów z powodu myśli przewodniej i architektoniki „Dziadów“ Mickiewiczowskich“, pióra p. Konrada Gąsiorowskiego, nie jest zarazem najcenniejszy. Autor zna tylko część literatury przedmiotu: czytał naprzykład rzecz Konopnickiej o I-ej i II-ej części „Dziadów“, ale nie zna odpowiedzi J. Kallenbacha na postawione mu przez poetkę zarzuty, nie wie, że fragmenty z Dziewczyną, Gustawem, Guślarzem i Chórem na drodze do kaplicy sam Mickiewicz nazwał pierwszą częścią „Dziadów“; mylnie również sądzi p. Gąsiorowski, że Mickiewicz nie znał w dostatecznej mierze ludu, jego obyczajów, podań i poezji, gdyż, przeciwnie, jak dowiódł p. Zdziański w pracy: „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX wieku, „Ballady i Romanse“ wykazują silny bardzo wpływ tak zwanej ludowości“.

Na ostatnich wreszcie kartach „Pamiętnika“ czytamy studium p. Jarosława Korwina, pod tytułem: „Adam Mickiewicz w Lozannie“,

## PIŚMIENNICTWO.

oparte przeważnie na materiale, zgromadzonym w życiorysie wiesz-  
cza przez p. Władysława Mickiewicza i wreszcie pracę redaktora  
i wydawcy „Pamiętnika Kieleckiego“, p. Bronisława Bieńkowskiego,  
pod tytułem: „Żywiół liryczny w „Panu Tadeuszu“, jego pochodzenie  
i uzasadnienie“.

Inteligencji kieleckiej, a zwłaszcza p. Bieńkowskiemu, należy  
się szczerze uznanie za podjętą pracę i starania. Bądź co bądź, „Pa-  
miętnik Kielecki“ stwierdza fakt pocieszający, że ruch umysłowy  
Królestwa nie zamyka się w obrębie rogatek warszawskich, lecz pro-  
mienienie i dalej, że i gdzieindziej są ludzie dobrej woli, którym leżą  
na sercu sprawy ogólne.

Szkoda tylko, że przykładu Kielc nie naśladowały inne miasta  
i okolice.

HENRYK GALLE.

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

W Łodzi odbyła się niedawno wystawa higieniczno-spożywcza.

Dziś — zapóźno już na tem miejscu zdawać z niej sprawę szczegółową i opisywać to, co było tam do widzenia. Uczyniły to w czasie właściwym dzienniki. Nam, jeżeli poruszamy ten temat, idzie o co innego — o podkreślenie ważnego momentu w rozwoju Łodzi i o wprowadzenie stąd wniosków na przyszłość.

Miasto, mające z górą 300,000 mieszkańców, wzrastające szybko, nienormalnie szybko, jak na nasze stosunki, dotychczas nie brało udziału w kulturalnym życiu kraju. W Łodzi gromadziły się tylko bogactwa; życia umysłowego, naukowego, artystycznego i wogóle życia społecznego w szerokim rozumieniu — nie było tam wcale, a przynajmniej nie wytwarzało się ono samoistnie na miejscu, lecz przyplęwało z zewnątrz — bądź z Warszawy, bądź z Niemiec. Ale — spiritus fiat, ubi vult. Przyszedł czas i olbrzym kamienny drgnął. Zmaterializowane miasto, pełne huku, świstu i turkotu maszyn, głuche na wszystko, co stoi poza obrębem interesu, poczęło z wolna otwierać oczy na zupełnie inne sprawy. Naprzód powstały tam dwa pisma polskie „Rozwój“ i „Goniec Łódzki“ (krótko istniejącego tygodnika „Świat“, liczyć nie można), potem obudziły się aspiracje w kierunku sztuki i stanął piękny gmach teatralny, a w nim niebawem ujrzą światło kinkietów sztuki, nagrodzone na konkursie dramatycznym imienia Sienkiewicza. Jak wiadomo, konkurs ten ogłoszony był z inicjatywy Łodzian. Warszawie dało to impuls do żywszego zainteresowania się tem miastem. Nie zamilkły jednak jeszcze pierwsze głosy zdziwienia, gdy Łódź wystąpiła już z nowem dziełem — z wystawą,

która, zorganizowana z całą precyzją, dowiodła, że zdrowa myśl społeczna wespół z dążeniami prawdziwie obywatelskimi nie tylko tam żyją, ale głęboko już zapuściły korzenie, skoro mogły się zdobyć na taki manifest. Opierając się na tem, dziś można już śmiało twierdzić, że przybyło nam nowe, wielkie ognisko kulturalne.

Nie jest to zupełną niespodzianką, albowiem publicystyka polska już przed kilku laty zwracała uwagę na fakt, że Łódź, uważana za miasto niemiecko-żydowskie, o charakterze zupełnie dla nas obcym i nieprzyjaznym, powoli zaczyna się przekształcać i że wpływ kultury polskiej czyni tam szybkie postępy. Równocześnie podkreślił to w sposób bardzo wyraźny Wł. Reymont w swojej „Ziemi obiecanej”, którą pisał na podstawie sumiennych i dokładnych studyów, poczynionych na miejscu. Artysta więc, umiejący patrzeć na życie i jego zjawiska, pod kątem syntezy, zgodził się tu na jedno z dorywczo i nerwowo obserwującymi dziennikarzami. Oba te wnioski wszakże poparła dopiero niezbitymi faktami—wystawa. Nie wątpimy też, że odtąd będziemy mieli częściej sposobność podnoszenia i omawiania objawów życia kulturalnego Łodzi.

---

Zgodnie z uchwałą ostatniego zebrania pełnomocników, dykcya Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy opracowała przepisy dodatkowe o udzielaniu pożyczek na domy w miastach prowincjonalnych i przesłała je do kancelaryi kredytowej ministerjum skarbu dla zatwierdzenia ich w drodze prawodawczej. O ile więc zatwierdzenie to nastąpi, wejdzie w życie jedna z ważniejszych reform w dziedzinie naszych stosunków kredytowych.

W myśl nowego projektu, opracowanego na zasadzie prawa z d. 1 maja 1900 roku, działalność Towarzystwa rozszerza się na te miasta gub. Warszawskiej, w których suma ogólna ubezpieczenia zabudowań od ognia wynosi najmniej 150,000 rb., i w których istnieją zorganizowane prawidłowo straże ogniowe.

Żądanie o przystąpienie do Towarzystwa podpisane być powinno przynajmniej przez 20 właścicieli nieruchomości, a o przyłączeniu rozstrzyga uchwała zebrania pełnomocników. Pożyczki udzielane być mogą na budowie murowane, przynoszące dochód stały i mające uregulowaną księgę hipoteczną. Termin ostatecznego umorzenia pożyczki oznaczono na lat 18 i 28 i pół. Właściciel nieruchomości, dający pożyczki, złożyć winien, oprócz aktu przystąpienia, dającego

mu, po zatwierdzeniu go przez miejscową władzę hipoteczną, pierwszeństwo przed wpisami, zamieszczonemi później— dowody następujące: świadectwo i wykaz ubezpieczenia zabudowań od ognia, świadectwo o opłaconych podatkach skarbowych i miejskich, plan sytuacyjny i kaucyę w stosunku  $\frac{1}{4}$  żądanej pożyczki. Po dokonaniu tych formalności następuje oszacowanie nieruchomości i przyznanie pożyczki.

Wyplata pożyczki uskutecznić się będzie temi samemi listami, co i na domy w Warszawie, po uprzednim zatwierdzeniu aktu wypłaty przez powiatową zwierzchność hipoteczną i po dostarczeniu aktu wypłaty do powiatowego wydziału hipotecznego przez delegata ze strony dyrekcji T-wa. Raty wraz z premią asekuracyjną, lub kwitem z jej opłacenia, wnoszone być mają w terminach ustanowionych do kasy T-wa.

Egzekwowanie rat, należnych Towarzystwu, odbywać się będzie na zasadach ogólnych, wskazanych w ustawie Towarzystwa, przy czem obowiązki, spełniane przez wydział hipoteczny miejski w Warszawie, a w instancji drugiej przez Izbę sądową— wkłada się na wydziały hipoteczne przy sądach pokoju i urzędujących przy nich regentów, a w instancji drugiej i ostatecznej — na sąd okręgowy warszawski. Sprzedaż nieruchomości odbywać się będzie przez regentów miejscowych w wydziale hipotecznym sądów pokoju. Spełnienie formalności, tyjących się wypłat pożyczek i egzekucyi rat, dyrekcya powierzać może swym członkom, lub też urzędnikowi Towarzystwa, albo osobom zaufanym.

Wysokość przyznawanej pożyczki nie może w żadnym razie przewyższać sumy ubezpieczeniowej zabudowań od ognia i zabezpieczona jest również na wynagrodzeniu asekuracyjnym. Z tego tytułu T-wo zastrzega sobie kontrolę nad opłatą składki ogniowej, w terminach właściwych. W razie zaś nieotrzymania kwitu, T-wo wnesi składkę od siebie i ściąga ją wraz z ratą.

Przystępujące do T-wa kredytowego warszawskiego miasta prowincjonalne, przy istnieniu wskazanej już najmniejszej liczby stowarzyszonych (20), wybierają z grona swego dwóch pełnomocników, którzy mają prawo brać udział w zebraniach reprezentantów, oraz jednego zastępcę. W przyszłości na każde 500,000 rb. wypłaconych pożyczek wybierany ma być jeden zastępca.

Na początek Towarzystwo rozszerzy swoją działalność tylko na trzy miasta gub. Warszawskiej: Skierniewice, Łowicz i Włocławek co do których już nastąpiła uchwała zebrania ogólnego. Przypuszczać jednak można, że i obywatele innych miast, zachęceni możliwością korzystania z taniego kredytu, który może się stać dźwignią roz-

woju niejednego z naszych miast prowincjonalnych, zawczasu już podejmą starania, zmierzające ku wytworzeniu warunków, umożliwiających im korzystanie z tego ważnego udogodnienia. Niewątpliwie też za przykładem Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy pójdą Towarzystwa innych miast gubernialnych, co odbije się korzystnie na stosunkach całego kraju. Możliwość zaciągania pożyczek na nieruchomości zachęci też zapewne wielu do budowania domów w mniejszych miastach, co znów ułatwi mieszkańcom Warszawy osiadanie na prowincyi, z wielu względów tak pożądane, a utrudnione dziś przez brak odpowiednich mieszkań.

Wogóle, sprawa rozszerzenia kredytu miejskiego posiada poważne i wielorakie dla nas znaczenie i dla tego należy się całkowite uznanie przedstawicielom Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy za to, że sprawę od razu postawili na właściwym gruncie i umieli nadać jej szybki i pożądany bieg. Świadczy to o zupełnem zrozumieniu z ich strony istotnych potrzeb prowincyi, dotąd zwykle nieuwzględnianych przez nas, lub traktowanych po macoszemu.

„Gazeta Polska“ w № 44 z dnia 14 lutego r. b. podała do wiadomości publicznej ciekawy a smutny fakt, rzucający ponure światło na stosunki w Poznańskim. Wprawdzie barbarzyństwo władz pruskich nie jest i nie może być dla nikogo nowiną, w danym jednak wypadku przekracza ono o wiele granice zwykłych nadużyć i jest, jeżeli można użyć takiego terminu — jaskrawem ustawowem znęcaniem się. Ustawowem zaś dla tego, że odbywa się ono pod sztandarem ustaw i w imię ścisłego ich przestrzegania.

Fakt o którym mowa, a obok którego niepodobna przejść obojętnie, przedstawia się jak następuje.

Niejaki pan A. N. (autor nadesłanego „Gazecie Polskiej“ opisu), po czterdziestu latach niebytności w swoich stronach rodzinnych, w okolicach Mielżyna, w W. Ks. Poznańskim — tej zimy, w styczniu, zmuszony był tam pojechać. Przejeżdżając przez Mielżyn, zauważył przy drodze kolonię domów włościańskich, szczelnie pozamykanych, i to go zastanowiło. Co znaczą te siedziby? Dla czego wszystkie zamknięte i puste, kiedy widać było ludzi na podwórkach?

Przyjechawszy do celu podróży, pan A. N., zadał gospodarzowi pytanie, co znaczą te zupełnie nowe, zupełnie wykończone, a jednak pozamykane domy mieszkalne przy drodze?



Okazało się, że domy te należą do kolonistów polskich, którym władze pruskie nie pozwalają w nich mieszkać, wskutek czego koloniści zmuszeni są sypiać w chlewach i oborach, a jedzenie gotować pod gołym niebem. Dodać należy, że dzieje się to w zimie.

O tem wszystkim przyjaciel poinformował pana A. N. dokładnie.

„Nasz Bank ziemski — mówił on — kupuje ziemię, parceluje ją, stawia budynki i pojedyncze gospodarstwa odprzedaje chłopom polskim. Tak też stało się w Mielżynie. Mielżyn, to jedna z najmniejszych miasteczek w Poznańskiem. Mieszkańcy są robotnikami, w części rzemieślnikami. Dawniej latem brali okoliczne sady w dzierżawę, lecz teraz sadów im już zabrakło, bo wszystkie prawie folwarki komisya kolonizacyjna wykupiła i Niemców osadziła. W Mielżynie jest dwór, mieszka tam p. Dobrogojski, i posiada 1,000 morgów. Dawniej folwark ten miał 3,000 morgów, lecz zeschczupiał do trzeciej części. Część kupiły Mielżyniaki, część zaś od naszego Banku ziemskiego chłopci polscy ze Śląska i do tych właśnie te ładne domki należą. Otóż naszym Ślązakom nie wolno w tych domkach mieszkać! Rozumiesz ty, co to znaczy? Kupili ziemię, kupili domy, mają je. Ale choć je mają, muszą mieszkać z rodzinami, z żonami i dziećmi w oborach i chlewach! Nie wydaje ci się to możliwem? A jednak to prawda. Dzieje się zaś to nadużycie dla tego, że ludzie, którzy mają obowiązek przestrzegać prawa, tym razem korzystają z jego przepisów dla dzikiej szynany.

Wchodzą tu w grę trzy obowiązujące przepisy prawne tej treści:

1) Pierwszy powiada, że potrzebny jest od władzy konsens na wybudowanie domu mieszkalnego podług odpowiednich warunków budowlanych i wymagań higieny. Tym warunkom i wymaganiom zupełnie stało się zadość, czego już pilnuje Bank ziemski.

2) Przepis drugi mówi, że na utworzenie gminy na gruntach dworskich, które zostaną rozparcelowane, znowu władza daje konsens, lecz ta władza ma prawo stawiać warunki, a mianowicie, żeby gmina wystawiła kościół, szkołę itd.

3) Przepis trzeci orzeka, że, jeżeli w mieście lub we wsi już gmina istnieje i w tej samej miejscowości druga powstaje, jak się w Mielżynie stało, to ta pierwsza gmina może tę powstającą do siebie przyłączyć.

Otóż bank ziemski dostał konsens na wzniesienie budynków i domów mieszkalnych w Mielżynie i osady mielżyńskie sprzedał Ślązakom. Rząd pruski zaakceptować to musiał. Lecz uczyniwszy to, jednocześnie: a) nie pozwolił starej gminie mielżyńskiej przyjąć no-

wych osadników do swego łona; b) za warunek zezwolenia na utworzenie nowej gminy stawia, ażeby chłopci złożyli 20,000 marek i postawili osobną szkołę w Mielżynie—inaczej nie pozwoli im mieszkać w domach.

Naturalnie, chłopom tym, jako poddanym pruskim i właścicielom — uprawiać ziemię i żyć w Mielżynie nikt zabronić nie może. Ponieważ jednak nie mają i nie składają 20,000 marek na szkołę — ludzie ci mieszkają w chlewach i oborach. Dawniej, ukradkiem, nocą wchodzili do swych domów, lecz żandarmi czujność tak powiększyli, jako stróże prawa, że obecnie w największe niepogody i mrozy — muszą ci nędzarze tulić się po dziurach, jak bydło. Nie wolno więc w Prusach mieszkać w domu za niskim, który nie odpowiada warunkom higieny, ale wolno, nawet trzeba ze świniami spać w chlewie i to całe lata. Żandarmi co rano rewidują mieszkania i patrzą, czy kto w nocy nie przespał się w swoim łóżku i jeżeli spostrzegą ślady noclegu, natychmiast władza nakłada karę pieniężną, która za każdym przekroczeniem zakazu zwiększa się. Obecnie żandarm, co wieczór posypuje piaskiem każde mieszkanie, a rano rewiduje, czy na piasku nie znać ludzkiej stopy“.

Tyle opowiedział przyjaciel panu A. N., który od siebie tak dalej pisze:

„Sprawa ta wydała mi się tak okrutną, że postanowiłem osobiście się przekonać, czy ludzie w Mielżynie mają domy własne, a muszą mieszkać w chlewach i na dworze jedzenie gotować. Siadłem na bryczkę i pojechałem tam. Niestety, tak jest i tak jeszcze długo być może, bo Mielżyniacy nie mają ani tysiąca marek, a coś dopiero 20,000!

„Rząd wie, że takiej sumy złożyć nie są w możności i zapewne chce ich zniechęcić, wykurzyć stąd, i na ich miejscu Niemców osiedlić. Zapytałem jednego ze Ślązaków w Mielżynie, jaki będzie koniec tej historii? Odpowiedział mi, że Bóg jest sprawiedliwy, że Chrystus więcej cierpiał, że każde łajdactwo koniec znajdzie, a tymczasem nie tylko chłop poznański, ale i śląski otrzeźwiał, poznał się na pruskiej cywilizacji, pokochał więcej swój język i swoją ziemię, z której go żadne siły nie ruszą.“

Tak się przedstawia sprawa „pustych domów w Mielżynie“, w oświetleniu korespondenta „Gazety Polskiej“. Wszelkie komentarze są tu zbyt techniczne. Dziwić się tylko można, dla czego polskie koło poselskie w Berlinie nie poruszyło dotąd całej tej smutnej historii, która stanowi przyczynek poważny do dziejów ucisku narodowości polskiej

w „państwie bojaźni Bożej“. Z tego też głównie względu notujemy ten fakt, bo im szerzej się on rozejdzie, tem rychlej może sprawiedliwości stanie się zadość.

---

Zgodnie z obowiązującym prawem zwinięto w ostatnich czasach trzy klasztory męskie w Królestwie Polskiem ze względu na zbyt małą liczbę pozostałych w nich zakonników.

Są to klasztory OO. Dominikanów w Gidlach, oraz OO. Reformatów Pińczowie i Pilicy.

Pierwszy z nich istniał od XVII wieku. Historia jego powstania według Balińskiego i Lipińskiego (Starożytna Polska, tom I str. 274), jest następująca. Podanie mówi, że w 1516 Jan Czezek, rolnik, znalazł cudowny obraz Matki Boskiej na polu, w tem właśnie miejscu, gdzie stoi dziś kościół Dominikanów. Czezek obraz znaleziony zachował w swojej chałupie, a potem umieścił w kościółku parafialnym. Cudownym jednak sposobem wizerunek przeniósł się na miejsce, gdzie go pierwotnie znaleziono i gdy wielką jasność z siebie wydawał, złożono go w umyślnie wystawionej z drzewa naprędce kaplicy, której fundatorem był Marcin Gidzielski. Kaplica ta istniała do r. 1615. Wtedy dopiero Anna z Rusocic Dąbrowska, kasztelanowa wieluńska, zamieniła ją na murowaną i pierwszą fundowała przy niej Dominikanów, których kosztem wzniosły się, aż w 1656, mury kościelne i klasztoru. Zamożność tego kościoła musiała być wielka, kiedy tegoż samego roku na potrzeby kraju, podczas pierwszego najazdu Szwedów, wzięto stąd, oprócz pieniędzy, 105 grzywien srebra. Jan Kazimierz, wynagradzając tę ofiarę, wydał Dominikanom przywilej ochronny, od kwaterunku i egzekucyi przechodzących wojsk uwalniając wsie klasztorne.

Starożytniejszym od Gidelskiego był klasztor OO. Reformatów w Pińczowie, fundowany w r. 1618 przez Zygmunta Myszkowskiego, a wystawiony na nowo w r. 1683 przez Stanisława Myszkowskiego.

Najpóźniej, bo dopiero w r. 1739 powstał klasztor reformacki w Pilicy. Fundowała go Marya Józefa Sobieska na gruntach przyległych do wsi Biskupice. Budowa kościoła klasztornego pod wezwaniem Najświętszego Imienia Jezus, ukończona została w r. 1746. W r. 1857 budynki te odnowiono gruntownie po pożarze i trwają one dotąd w zupełnie dobrym stanie.

---

W smutnych warunkach znajduje się Warszawskie Towarzystwo dobroczynności. Zaznaczył to na odbytem dnia 11 lutego r. b. zebraniu budżetowym, prezes tej instytucji, ks. Maciej Radziwiłł i zaznaczył zbyt wyraźnie, aby można było ludzić się co do tego, że Towarzystwu nie grozi upadek. Przedewszystkiem—na 736,000 ludności Warszawy, posiada ono tylko 916 członków, co jest stanowczo mało nie już dla tego, aby zapewnić rozwój instytucji, ale nawet dla podtrzymania jej bytu. Zobaczmy jednak, jak to wygląda w cyfrach i jak te cyfry przeczą ogólnemu mniemaniu o bogactwie Towarzystwa.

Kapitał, którym T-wo rozporządza na cele ogólnej natury, wynosi rb. 433,134 i kop. 15, na cele zaś specjalne, przez ofiarodawców wskazane i zobowiązaniami obciążone, posiada ono 1,223,000 rb. 75 kop. Nieruchomości ocenione są na 538,933 rb. 42 kop. To są najważniejsze pozycye.

Ogólne dochody Towarzystwa dzielą się na trzy kategorie. Do I kategorii należą dochody, dowolnie rozporządzalne (93,803 rb. 51 kop.). Do drugiej—dochody ze specjalnym przeznaczeniem (177,804 rb. 32 kop. Do III—dochody z ofiar i wpływów od fundatorów na rzecz zakładów, które się utrzymują kosztem własnym lub za pomocą niewielkich subsydyów, budżetem określonych (256,838 rubli 38 kop.).

Wydatki w kategorii II i III ściśle określone pochłaniają całkowicie dochody w tychże kategoriach. Najgorzej dzieje się w kategorii I, która obejmuje dopłaty tym wszystkim zakładom i wydziałom, które się z dochodów specjalnych utrzymać nie mogą, dalej—wszystkie wydatki na zakłady, przez samo Towarzystwo założone, wreszcie—całe koszty administracji i utrzymania. Te wydatki dochodzą do sumy 120,402 rb. 41 kop. i przewyższają dochody o 23,603 rb. 90 kop., która to suma przedstawia przewidywany w r. 1903 deficyt instytucji.

Deficyt ten nie jest pierwszy. Na Towarzystwie ciąży już z lat zeszłych dług Banku handlowego w kwocie 15,000 rb.

Wobec tego zarząd Towarzystwa postanowił poczynić pewne oszczędności, lecz oszczędności te wynoszą zaledwie 4,909 rb. 23 kop. i mają być poczynione (miserabile dictum), na obiadach, na wsparciach pieniężnych, na opale dla ubogich, na koszcie utrzymania ochron i żłobków.

Dalej zarząd postanowił wcielić do dochodów z roku 1903 wszystkie fundusze, nie mające określonego przeznaczenia. Suma ogólna tych funduszków wyniesie jednak zaledwie 7,922 ruble 29 kop.

Po zastosowaniu tych środków ratunkowych pozostanie jeszcze brak 10,774 rb. 38 kop. na rok 1903. A co będzie w latach przyszłych? Niedobór ten stale musi wzrastać, jeżeli dopływ środków materialnych nie będzie obfitszy. Dziś płyną one bardzo wązkim strumieniem, a wydatki rosna stale i zwiększają się ogromnie, niedola ubóstwa wzmagą się, żywność drożeje, a nowe zapisy uwarunkowane są najczęściej tworzeniem specyjalnych zakładów.

Ten stan rzeczy odmalował w ponurych barwach w przemówieniu swoim książę Radziwiłł. Zaznaczył on między innymi, że jeżeli miasto nie przyjdzie z pomocą instytucji, to znajdzie się ona w smutnej konieczności zamknięcia takich zakładów i urzędzeń, jak zupa rumfordzka, schronienie starców i kalek, żłobek itd.

Doprawdy, źle się zaczyna dzieć w Warszawie. Nie pierwszy to już raz piszemy na tem miejscu o upadku naszych instytucji zbiorowych, nie pierwszy raz stwierdzamy olojętność ogółu na ich potrzeby. Stoją one dzięki ofiarom, zabiegom i energii jednostek, tam jednak, gdzie powinny znaleźć oparcie i gdzie leży fundament ich bytu — w szerokich warstwach społeczeństwa — spotykają zimne serca i brak jakiegokolwiek zainteresowania się ich dolą.

Wskutek tego istnienie ich jest ciężką walką z dnia na dzień, jest ciąglem borykaniem się z przeszkodami i energia, która mogłaby i powinna być obrócona w kierunku rozszerzania pożytecznej pracy, wyczerpuje się wyłącznie na zdobywanie chwilowych zasiłków i ratowanie rysujących się węglów od upadku. Ledwie jednak uda się fundament podeprzeć, już na górnych piętrach okazuje się potrzeba naprawy. W takich warunkach trudno oczywiście o pracę spokojną i wydatną — i winą jest społeczeństwa, że pracę taką utrudnia ludziom dobrej woli.

---

Wśród licznych konkursów, jakie ogłoszone zostały w ostatnich czasach, bardzo szczęśliwym w pomysłę jest konkurs dla gospodarstw wiejskich, ogłoszony przez radę kieleckiego Tow. rolniczego. Powinien on zainteresować szerokie koła naszych ziemian.

Termin konkursu oznaczony jest na dzień 1 maja. Do dnia tego na ręce sekretarza Tow. mają być złożone opisy gospodarstw według następującego schematu:

1. Wiadomości ogólne.

Historyczny szkic dóbr, a mianowicie: kto gospodaruje, kto jest właścicielem lub dzierżawcą, jak dawno gospodaruje? i t. p. objaśnienia.

a) Pod względem geograficznym: gubernia, powiat, gmina; położenie dóbr, równe, faliste, górzyste, na płaskowzgórzu czy w dolinie. Kierunek spadków, rozległość, wyszczególnienie przestrzeni ornej, łąk, pastwisk, lasów, zarośli, nienżytków. Bliskość większych rzek, jezicr, mokradeł, lasów, piasków, ich przestrzenie i położenie. Klęski atmosferyczne i inne i jak często nawiedzają dobra?

b) Pod względem geologicznym: rodzaj gleby, warstwy rodzajnej i podglebia, i ich własności.

c) Pod względem ekonomicznym: miejsca możności zbytu i ceny produktów rolnych, oraz zwierzęcych; odległości od miejsc zbytu, zakładów przemysłowych, komunikacja itp.

d) Różne wiadomości ogólne, jak oto: czy są służebności, jakie, wartość ziemi danej okolicy, wartość dóbr itp.

II. Wiadomości szczegółowe:

a) Opis budowli i ich przeznaczenie.

b) Opis maszyn i narzędzi rolniczych.

c) Produkcya rolna, a mianowicie: płodozmiany, sposób uprawy, sterkoryzacja (ilość wywożonego rocznie obornika, jego konserwacja, ilość dokupionych sztucznych nawozów).

Ilość wyprodukowanego zboża w słomie i korcach z wyszczególnieniem sprzedanego i użytego na potrzeby gospodarstwa.

Ilość wyprodukowanej paszy i okopowych na sprzedaż i na miejscową potrzebę.

Gatunki i odmiany płodów uprawianych.

d) Produkcya zwierzęca, mianowicie: opis ilości inwentarza roboczego, dochołowego, sposób żywienia z wyszczególnieniem dochodów i sposobów zbytu produktów zwierzęcych.



e) Inne gałęzie gospodarstwa, jak oto: leśne, rybne, nabiałowe, koszykarskie itd.

f) Przemysł, czy i jaki znajduje się i czy prowadzony dla gospodarstwa, czy gospodarstwo dla przemysłu miejscowego.

g) Administracja i rachunkowość gospodarza. Sposób zarządu, ilość służby, koszt najmu. Łatwość i trudność dostania go i system prowadzenia robót. Sposób prowadzenia rejestrów, rachunków i ksiąg kasowych.

h) Zestawienie dochodów i rozchodów (brutto i netto) gospodarstwa przynajmniej z ostatniego trzechlecia ze wszystkich działów, dla wykazania czystego dochodu.

i) Ogólne uwagi sprawozdawcy.

Jak widać z przytoczonego powyżej planu, monografie gospodarstw większych, w ten sposób opracowane, mogą być bardzo pouczające i dostarczą w części przynajmniej tak pożądanego materiału do wniosków ogólnych o stanie naszego rolnictwa. Od udziału zaś rolników w tym konkursie zależy, czy materiał ten będzie obfity i pozwoli na wysnuwanie takich wniosków.

---

Konkurs dramatyczny imienia Henryka Sienkiewicza został już rozstrzygnięty. Pierwszej, tysiącroublowej nagrody nie przyznano nikomu; natomiast na wniosek Sienkiewicza, a za zgodą inicjatora konkursu, p. Wiktora Czajewskiego, redaktora „Rozwoju“, całkowity rozporządzalny fundusz konkursowy, wynoszący 1,300 rubli, podzielono na cztery nagrody: jedną 400 rublową, i trzy 300 rublowe, które otrzymały następujące utwory: największą — dramat społeczny „Maszyna“ (autor p. Tadeusz Rittner z Wiednia); trzy jednakowe: „Noc Lipcowa“, p. Bolesława Gorczyńskiego; „Sprawa Kępiny“ p. Edwarda Grabowieckiego i „Mocarz“ p. Stanisława Brzozowskiego. Nadto odznaczono: „Ananke“, baśń dramatyczną p. Mieczysława Hertza; „Cara Dymitra“, p. Zerbiłło-Wolskiego; „W odmiecie“ p. Władysława Palińskiego; „Syna“, sztukę panny Emmy Jeleńskiej i „Spadkobierców“ Gryfa (pseudonim). Nagrodzone i odznaczone utwory będą w „Bibliotece“ przedmiotem krytycznej oceny.

---

Kilka tygodni temu w pismach galicyjskich ukazała się następująca odezwa:

„Kto patrzy na nasze życie publiczne, z boleścią stwierdza niektóre objawy, nie dowodzące jego należytego rozwoju. Nie mamy na myśli warstw niewykształconych, tak dostępnych do wszelkiej agitacji. Te nawet jednak koła, które inteligencją stoją wysoko, a które w życiu prywatnym, w swych zawodowych obowiązkach mają zdanie pewne i kierują się doświadczeniem, rozumem i ścisłym rachunkiem, zatracają aż nazbyt często te zalety i cnoty w zetknięciu z zagadnieniami publicznymi. Obojętność, chwiejność opinii publicznej, zastraszająca pobłażliwość dla wielu czynów, które—popelnione w stosunkach prywatnych—spotkałyby się z surowym sądem, nieledwie brak ducha publicznego, a przy tem wszystkim rażąca niejednokrotnie niezajomość spraw publicznych: oto objawy, które w naszym życiu publicznym powinny nawoływać do poprawy.

Oprócz tego wpływ literatury i prasy niemieckiej sprawia, że coraz mniej badamy nasze zagadnienia w ich początkach historycznych, a coraz częściej w oderwaniu od naszych właściwości i naszej indywidualności.

Do usunięcia niedostatków pragniemy wedle sił się przyczynić. Zamiarém naszym jest obudzić w tych właśnie warstwach, które zdolne są do krytycznego poglądu, zamiłowanie do spraw publicznych i dać im naukowe podstawy do oceniania tych spraw z samodzielnego punktu widzenia. Pragniemy tym sposobem dać im możność uwolnienia się od sugestyi walk wyborczych i prasy partyjnej. Z drugiej zaś strony dążyć będziemy do wpojenia w nie przekonania, że takie samo doświadczenie i taki sam ścisły rachunek, który jest ich przewodnikiem w życiu prywatnym, powinien im towarzyszyć także i w zawilszych i trudniejszych zagadnieniach publicznych.

W tej myśli przystępujemy do założenia „Towarzystwa dla pielęgnowania nauk społecznych“. Jego cele, organizację i środki działania wyjaśnia statut. Podejmujemy się tej pracy w nadziei, że znajdziemy poparcie u wszystkich, którzy wierzą w możność poprawy galicyjskich stosunków na drodze wytrwałej, rozumnej i celowej, chociażby powolnej pracy. Wiedza i możność krytycznego sądu—to pierwszy takiej pracy warunek.“

Tyle słów odezwy. Podpisali ją pp. dr Zygmunt Balicki, dr Artur Benis, dr Leopold Caro, dr Wiktor Czermak, dr Z. Daszyńska-Golińska, dr Stanisław Estreicher, dr Antoni Górski, dr Władysław



Leopold Jaworski, dr Stanisław Grabski, dr Adam Krzyżanowski, dr Stanisław Krzyżanowski, dr Julian Makarewicz, dr Józef Milewski, dr Julian Nowak, ks. dr Stefan Pawlicki, dr Karol Potkański, dr Tadeusz Starzewski, dr Józef Steinberg, dr Mściśław Wartenberg i dr Bolesław Wicherkiewicz.

Powstanie takiego Towarzystwa w Galicji jest niewątpliwie faktem znamienym. Dowodzi to, że wszechwładne panowanie frazesu, płytkość i krótkowidztwo społeczne zbliżają się ku końcowi. Zbliżają się jednak tam. U nas — zapewne — w życiu publicznem długo jeszcze i niepodzielnie będą one królowały. Bo jeżeli rozejrzemy się po tych zagonach, które nie leżą odłogiem, ale na których jaka taka praca społeczna odbywa się, jeżeli zechcemy z mętnych hasłał, rzucanych przez publicystykę, a do pracy takiej nawołujących, wyłowić jakie jądro, to łatwo spostrzeżemy, że o myśl przewodnią o program rozumny, oparty na dokładnej znajomości rzeczy, nad wyraz u nas trudno. Ludzi, orjentujących się w życiu zbiorowem, ludzi takich, którzyby znali i trafnie umieli ocenić potrzeby kraju z punktu widzenia jego rozwoju społecznego i ekonomicznego — można na palcach policzyć. Ogół naszej inteligencji natomiast stoi poza obrębem zdrowej samowiedzy społecznej, idzie po omacku, kieruje się tem, co odpowiada chwili, o systematycznej, programowej, szeroko pojętej pracy ledwo mając niejasne wyobrażenie. Wypływa to z zupełnego zaniedbania przez nas wykształcenia politycznego. Brak tego wykształcenia odbija się przedewszystkiem na współczesnej publicystyce naszej, która informuje płytko i powierzchownie o rzeczach i sprawach największej wagi; odbija się potem na całokształcie naszego życia, które tak liczne i wielostronne posiada braki. Jest to może tem dziwniejsze, że nigdzie zapewne ludzie nie rozprawiają tak chętnie i tak dużo o sprawach społecznych, jak u nas. Każdy ma tu zazwyczaj coś do powiedzenia i każdy uważa się za zdolnego i powołanego do rozcinania węzłów gordyjskich. Wytłómaczyć to można tylko przy pomocy faktu, że nie znając żadnej sprawy w całym jej splocie i powikłaniu, nie umiemy patrzeć na nią pod właściwym kątem, obserwujemy ją jednostronnie i uznajemy za łatwą do rozstrzygnięcia, za bagatelną nawet, podczas gdy wykształconemu społecznie obywatelowi ta sama sprawa nastroczyłaby niejedną wątpliwość i wydałaby się poważną i trudną.

Czas więc byłoby, aby „pielęgnowanie nauk społecznych“ weszło i u nas na porządek dzienny, frazes bowiem tak się rozpowszechnił w ostatniej dobie, że zachodzi obawa, czy nie stanie się on niedługo jedyną naszą informacją i przewodnikiem w rozpoznawaniu skomplikowanych zjawisk życia.

Nawet dna oceanów podlegają częstym badaniom i wyniki tych badań znać musi każdy żeglarz, prowadzący okręt. Cóż dopiero mówić o zmiennej i ruchliwej fali życia, która złobi sobie coraz to nowe łożyska—tu, jeśli się nie chce na mieliźnie osiąść, trzeba drogi wytykać i możliwe kierunki prądu przewidywać naprzód, a do tego prowadzi tylko jeden środek — poważne i głębokie traktowanie nauk społecznych, budzące w ludziach czujność i pozwalające na ogarnianie szerokich widnokręgów.

---

Dnia 23 stycznia roku bieżącego zmarł w Warszawie ś. p. Wiktor Szumański, wybitny prawnik, niegdyś rejent w Łomży, człowiek zasłużony na polu pracy społecznej, dzielny organizator, umiejający budzić dokoła siebie życie i wytrwale stać na straży podniosłych ideałów.

Urodzony w roku 1847 w Radomiu, ś. p. Wiktor Szumański po ukończeniu gimnazjum wstąpił na wydział prawa i administracji do byłej Szkoły Głównej, którą ukończył ze stopniem magistra. Mianowany patronem trybunału cywilnego, pozostawał na tem stanowisku do czasu reorganizacji sądowej, poczem pracował jako adwokat przysięgły w Warszawie, a następnie od roku 1879, jako rejent przy sądzie okręgowym w Łomży. Tu z górami przez lat 20 był czynny i pożyteczny. Dzięki jego energii i inicjatywie powstał w Łomży cały szereg instytucji. Jedne tworzył, drugimi opiekował się i nadawał im właściwy kierunek, a wszystko, do czego przyłożył rękę, rosło i rozwijało się pomyślnie—czy to straż ogniowa, czy Towarzystwo dobroczynności, czy kasa przemysłowców, czy wreszcie Towarzystwo kredytowe miasta Łomży, jemu swój byt zawdzięczające.

Wśród licznych zajęć, ś. p. Szumański nie pomijał także i publicystyki. Z pod pióra jego wyszedł cały szereg artykułów, drukowanych w pismach warszawskich i prowincjonalnych, a wszystkie one ujawniały wysokie uzdolnienie i żywe poczucie obywatelskie autora.

Zmarł w sile wieku ku niemałej szkodzie społeczeństwa, które miłował głęboko i rozumnie.

---

Dnia 31 stycznia r. b. w 85 roku życia zmarł w majątku Rokotów ś. p. Julian Ankiewicz, niegdyś znany i ceniony architekt. Był to ostatni typ budowniczego starej daty, typ pracownika sumiennego, miłującego sztukę i traktującego swój zawód nie jako przedsiębiorstwo, ale „con amore” i z całym odaniem się.

Ś. p. Ankiewicz szkół specjalnych nie kończył, tytułu akademickiego nie posiadał. Praca jednak i wrodzona zdolność i inteligencya szybko i w zupełności pokryły te braki, jakie przez zaniechanie studyów prawidłowych mógł początkowo posiadać i pozwoliły mu nie tylko dorównać innym, ale i znacznie ich przewyższyć.

Pod wpływem Henryka Marconiego, którego działalność artystyczna tak trwale po sobie w Warszawie zostawiła ślady, Ankiewicz przejął się sztuką renesansu włoskiego i pozostał mu wiernym do końca swej działalności na polu budownictwa. Logika kompozycji, doskonałe uproporcyonowanie wysokości i otworów, oraz konsekwentnie przeprowadzone linie architektoniczne, które to warunki są podstawą piękna, poważnie pojętego, szczególnie zaś piękna w renesansie włoskim, miały w nim zawsze hołdownika i stróża.

Nigdy nie poświęcił on poważnych linii i płaszczyzn dla zbytecznych przeładowań ornamentacyjnych, dziś tak rozpowszechnionych—pilnował zawsze czystości i unikał wszystkiego, co mogło zepsuć smak budowli.

Aby się przekonać o tem, dość przyjrzeć się jego dziełom, z których wszystkie odznaczają się powyżej wykazanemi zaletami. Należą tu:

- 1) Dom hr. Zamoyskiego (Erywańska 16), w którym po raz pierwszy u nas wprowadzone zostały entresole.
- 2) Dom Natansonowej przy placu Zielonym № 1.
- 3) Dom ks. Lubomirskiego № 3, obok.
- 4) Dom hr. G. Tarnowskiego, Piękna 4.
- 5) Willa przy ul. Pięknej № 6, dziś pani Kimens, niegdyś budowana dla prezesa b. Banku Polskiego, Kruzego, bardzo ładnie skomponowana i uproporcyonowana.
- 6) Willa przy ul. Instytutowej № 2, dziś hr. Branickiej, w pięknym renesansie i szlachtetnem traktowaniu całości.
- 7) Biblioteka hr. Zamoyskich i wiele innych.

Nie każdemu z architektów dane jest zbudować dzieło pomnikowe, któreby mówiło o nim przyszłym pokoleniom. Dla ś. p. Ankiewicza i w tym wypadku los był łaskawy. Zdobywszy uznanie i po-

pularność, pod koniec swej działalności Ankiewicz zbudował gmach Towarzystwa kredytowego miasta Warszawy przy ul. Włodzimierskiej, będący w całym znaczeniu dziełem wielkiej architektonicznej wartości.

Uplanowanie wewnętrzne w gmachu tym jest nadzwyczaj jasne. Trudność skośnej granicy przy wejściu głównem rozwiązana została znakomicie, bo nikt z tysiąca osób, bywających tam, nie zmiarkuje, że oś główna wejścia jest skośna, nie idąca prostopadle do linii frontu. Westibul, połączony z główną klatką schodową, daje ładną przestrzeń, dobrze oświetloną i łatwość komunikacji, tak do kasy, jak i do innych wydziałów. Sala na I piętrze, tak w swej szerokości, jak wysokości i długości doskonale jest uproporcjonowana i ściśle architektonicznie o poważnych liniach i pilastrach dekorowana. Front budynku jasno odpowiada przeznaczeniu, bo każdy łatwo rozpozna, że I piętro—to wielka sala, mająca po bokach galerye, markowane dwoma rozelitami. I gdyby Ankiewiczowi dane było odczucie profilofań więcej śmiałe, więcej zamaszyste i o większej plastyce, a nie tak suche i zimne—gmach ten byłby niewątpliwie—i to bez zastrzeżeń—jednym z najwspanialszych monumentów w szerokim pojęciu piękna architektonicznego. I dziś wszakże miasto nasze śmiało szczyć się nim może, a w każdym razie przynosi on chlubę prawdziwą nazwisku swego twórcy.

Jako człowiek, ś. p. Ankiewicz, odznaczał się niezwykłą inteligencją i pracowitością. Zdawało się, że był żywym wcieleniem rzymskiej zasady: „Nulla dies sine linea”. Praca zawodowa, której oddawał się z całym zapałem i ukośnieniem, nie pochłaniała go całkowicie, umysł jego pracował ciągle, szukał dla siebie pokarmu i zdobywał coraz to nową wiedzę. Zdobyczami temi dzielił się Ankiewicz z szerszym ogółem, pisując o rozmaitych kwestjach, czy to estetycznych, czy specjalnych, jak wentylacja i inne. Usunąwszy się na stare lata z widowni życia publicznego, resztę sędziwych dni swoich spędził Ankiewicz we wsi Rokotowie, gdzie w otoczeniu blizkich i na rękach rodziny Bogu ducha oddał. Zwłoki jego sprowadzone zostały do Warszawy i pochowane na cmentarzu Powązkowskim.

---

Dnia 3 lutego r. b. zmarł w Warszawie najstarszy z członków rodziny hrabiów Krasińskich, ś. p. Adam hr. Krasiński, syn Józefa, wielkiego ochmistrza Dworu, właściciela klucza Radziejowickiego, senatora, kasztelana Królestwa Polskiego, redaktora pisma techniczne-

go „Piast“, autora wielu pism i sztuk dramatycznych, znanego opiekuna teatru narodowego i — żołnierza, który odbył kampanię r. 1809 i walczył pod Raszynem, następnie brał udział w wojnie 1812 roku i walczył pod Berezyną, jako adjutant generała Zajączka, a potem Kniaziewicza. Matką ś. p. Adama, była słynna z wielkiej pobożności i dobroczynności, Emilia hrabianka z Tęczyna Ossolińska. Jej zapewne wpływom przypisać należy pełne poświęceń i dobrych czynów życie hr. Adama.

Spędziwszy z górą 30 lat w Krakowie, należał tam ś. p. Adam Krasieński do najpopularniejszych postaci, znany był zwłaszcza wśród ubogich i nieszczęśliwych. Będąc prezesem Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, z prawdziwym oddaniem się czuwał nad sprawami tej instytucji, która miała w nim niezastąpionego przewodnika i opiekuna, będącego wzorem cnót chrześcijańskich.

Urodzony w r. 1821, ś. p. Adam hr. Krasieński dożył sędziwych lat. Zwłoki jego przewiezione zostały do Radziejowic, gdzie spoczęły w grobowcu rodzinnym.

Dnia 24 lutego r. b. zmarł w Petersburgu, po długich i ciężkich cierpieniach ś. p. ks. Bolesław Hieronim Kłopotowski, arcybiskup metropolita mohylowski.

Urodzony w r. 1848 w Hołowczyńcach pod Szarogrodem, na Podolu, przyszły dostojnik kościoła wyniósł z ziemiańskiego domu swych rodziców głęboką religijność. J. E. kształcił się początkowo w Złotopolu na Ukrainie, a po ukończeniu gimnazjum w Kijowie, odbył studia teologiczne w seminarjum żytomierskiem i w akademii petersburskiej. Wyświęcony na kapłana w r. 1872, ś. p. ks. Kłopotowski otrzymał stopień naukowy magistra św. Teologii i natychmiast objął katedrę profesorską w semineryum w Żytomierzu. W r. 1877 powołany do Retersberga, był przez szereg lat profesorem tamtejszej akademii. Na tem stanowisku opracował trzytomowe „Compendium historiae ecclesiasticae“ dzieło wysokiej wartości naukowej.

W r. 1885 otrzymał stopień doktora prawa kanonicznego, a w r. 1896, prekonizowany na biskupa Eleuteropolitańskiego, objął sufraganię łucko-żytomierską. Na stanowisku tem pozostawał do r. 1901, to jest do chwili opróżnienia tronu arcybiskupiego w Petersburgu.

Powołany na tę najwyższą godność, zmarły dostojnik nie zdążył już rozwinąć szerokiej i pożytecznej pracy, o której marzył. Podjęta przed kilku miesiącami podróż do Tweru celem odebrania przysięgi od dzisiejszego biskupa sandomierskiego, J. E. Zwierowicza, przyniosła Go o ciężką chorobę i śmierć w pełni sił, bo zaledwie w 55 roku życia, ku powszechnemu żalowi i niemałej szkodzie osieroconej dyecezyi.

---

# WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE

## I BIBLIOGRAFICZNE.

---

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. — Posiedzenie *Wydziału Historyczno-Filozoficznego* odbyło się dnia 20 października 1902 roku. Porządek dzienny obejmował: a) Pracę profesora Piekosińskiego pod tytułem: „Wiadomości Długosza o mitologii polskiej“; b) Studium profesora Stanisława Estreichera, pod tytułem: „Centena i Opole“; c) Pracę d-ra Bujaka: „O średniowiecznych kartach żeglarskich“. — Posiedzenie tegoż Wydziału odbyło się dnia 16 lutego bieżącego roku z następującym porządkiem dziennym: a) prof. Franciszek Piekosiński: „Zarys historii włościan w Polsce w dobie Jagiellońskiej“ i „Prawo niemieckie wieków średnich“; b) dr W. Czermak: „O rzekomem zrównaniu prawosławnych z katolikami na Litwie w roku 1432“; c) dr St. Kutrzeba: „Geneza urzędu starostów“ (do połowy XIV wieku). Potem odbyło się posiedzenie ściślejsze. Na porządku dziennym był: Wybór Komitetu imienia Barczewskiego.

— Posiedzenie *Wydziału Filologicznego* odbyło się dnia 26 stycznia 1903 roku. Porządek dzienny obejmował: a) K. Morawski: „Catulliana et Ciceroniana“; b) J. Tretjak: „Juliusz Słowacki, historia ducha poety i jej odbicie w poezyi“, część pierwsza. — Posiedzenie tegoż Wydziału odbyło się dnia 9 lutego bieżącego roku z następującym porządkiem dziennym: dr Tadeusz Grabowski streścił pracę swoją pod tytułem: „Poezja polska po roku 1863“, część trzecia. Potem odbyło się posiedzenie ściślejsze, na którym omawiano sprawę obchodu czterechsetnej rocznicy urodzin Reja.

— Zarząd Akademii Umiejętności przypomina, że termin *Konkursu imienia S. Lindego* upływa z dniem 31 grudnia 1903 r.

Do konkursu tego dopuszcza się prace z zakresu języka polskiego, a mianowicie: prace leksykograficzne z zakresu gramatyki, historii języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi. Prace te mogą być, według aktu fundacji, drukowane, lub też w rękopisie nadesłane do Akademii; powinny odznaczać się metodą ściśle naukową, i każda ma stanowić zaokrągloną i skończoną całość.

— Wyszedł trzeci i czwarty zeszyt *kwartalnika Teologicznego* (ulica Foksal № 16), (stron CXLVIII + 96 + 64), zawierający dużo ciekawych prac, z których wymieniamy kilka: ks. Stanisław Chodyński: Królewskie nominacje biskupów; ks. prof. dr Gabryl: Analityczny charakter prawa przyczynowości; ks. prof. Rokosznny: Stare druki w Bibliotece seminaryjnej w Sandomierzu. Bardzo starannie prowadzony jest dział Krytyki i Bibliografii.

— W zbiorowym wydawnictwie: „*Książki dla wszystkich*“ M. Arcta, ukazały się następujące tomiki: „O samokształceniu“, podług Pawła Hoche, napisał Antoni Krasnowolski (cena 20 kop.); „Jędrzej Śniadecki, jego życie i dzieła“, napisał Stanisław Brzozowski (cena 20 kop.); „Józef Korzeniowski, jego życie i pisma“, napisał Henryk Galle. — „Kobieta czasów obecnych“ napisała W. M. Morzkowska (15 kop.); Rządy pruskie na ziemiach polskich (1793 — 1807) napisał Wł. Smoleński (15 kop.); Ziemia pod względem geologicznym, opracowała Kaz. Skrzyńska. Z licznymi rysunkami (20 kop.).

— Zakład artystyczny Czesława Kulewskiego w Warszawie (Nowy Świat № 57) wydał seryę pocztówek, z pięknymi widokami Oblęgorka. Do najbardziej udanych zaliczyć należy: „Sadyba Sienkiewicza od drogi wjazdowej“, „Most przy wjeździe“, „Podjazd“, „Widok z balkonu“, „Pokój stołowy“, „Pracownia Sienkiewicza“, „Sienkiewicz i jego dzieci“. Karty pocztowe zrobione są według własnych zdjęć Czesława Kulewskiego w warszawskich zakładach fotochemicznych.

— KONKURS NA OPERĘ POLSKĄ. — Zarząd Filharmonii warszawskiej ogłasza niniejszem z fundacji *Konstantego Wołodkowicza* konkurs na napisanie opery, osnutej na tle poematu „*Marya*“ Antoniego Malczeskiego, pod warunkami następującemi:

1. Opera ma zapelnąć cały wieczór, a więc składać się z trzech, czy czterech aktów.
2. Muzyka mieć powinna charakter swojski z możliwem zużytkowaniem motywów ludowych, przy zachowaniu cech, ściśle etnograficznych.
3. Libretto, którego plan wydrukowany będzie w „*Echu muzycznym*“ i w odbitkach złożony w księgarni Gebethnera i Wolffa, może ulegać modyfikacyom dowolnym, byleby większa część tekstu oryginalnego poematu była użytą bez zmiany. W miejscach, przedstawiających trudności zastosowania muzyki i śpiewu do poezyi — należy użyć deklamacyi z towarzyszeniem or-



kiestry. W tem miejscu fundator wyraża życzenie, by libretto, dla nieodbijania dorobionych wierszy od poezyi Malczeskiego, było raczej ułożone prozą rytmiczną.

4. Najlepsza z nadesłanych partytur otrzyma nagrodę w sumie rubli pięciu tysięcy, przyczem dzieło nagrodzone pozostaje najzupełniejszą własnością kompozytora wobec scen i osób trzecich.

5. Wyciąg fortepianowy nagrodzonej opery z tekstem wydrukowany będzie kosztem fundatora przez Zarząd Filharmonii Warszawskiej, również na wyłączną korzyść kompozytora.

6. Partytury orkiestrowe i fortepianowe, zaopatrzone godłem takim, jak i koperta zapieczętowana, mieszcząca nazwisko i adres kompozytora, winny być nadsyłane pod adresem Zarządu Filharmonii Warszawskiej najdalej do dnia 1 lipca n. st. 1904 roku.

7. Sądowi konkursowemu służy prawo poczynienia na lepiej opracowanych partyturach uwag, dotyczących warunków scenicznych, instrumentacji i t. p. Partytura, w ten sposób poprawiona, będzie mogła współubiegać się o nagrodę w konkursie następnym, który będzie ogłoszony, o ileby na pierwszym żadna z nadesłanych partytur nie zyskała absolutnej większości głosów.

8. Sąd konkursowy stanowią będą uproszeni przez fundatora panowie: Antoni Dvorzak, Leopold baron Kronenberg, Emil Młynarski, Zygmunt Noskowski i Władysław Żeleński.

— KONKURS IX-ty DELEGACJI ARCHITEKTONICZNEJ. — Właściciel majątku Raszków w gubernii Podolskiej ogłasza za pośrednictwem Delegacji Architektonicznej konkurs na projekt dworu wiejskiego. Nagród wyznaczono dwie: 300 i 200 rubli. Nagrodzone projekty stają się własnością właściciela majątku Raszków, który jednak nie będzie obowiązany ani do wykonania w naturze jednego z projektów nagrodzonych, ani też do poruczenia budowy autorowi jednego z projektów nagrodzonych. Właścicielowi majątku Raszków służy prawo nabywania projektów nienagrodzonych po 100 rubli. Każdy projekt winien obejmować rysunki, wykonane szkicowo, lecz jasno: elewacyi, planów i przecięć dworu, budynku kuchennego, budynku maszynowego z wieżą ciśnień i stajni, oraz widoku perspektywicznego dworu i budynku kuchennego, wreszcie obliczenie objętości wszystkich budynków w sążniach sześciennych i  $m^3$ . Prace konkursowe nadesłane być winny do Redakcyi „Przeglądu Technicznego” w Warszawie (Krakowskie Przedmieście № 66) nie później, aniżeli w dniu 28 marca roku bieżącego, o godzinie 7-mej po południu. Przyznanie nagród nastąpi nie później, aniżeli w dniu 10-ym kwietnia roku bieżącego. Wynik konkursu będzie ogłoszony w „Przeglądzie Technicznym”.

Program i warunki konkursu, oraz plan sytuacyjny miejscowości można otrzymać bezpłatnie w Redakcyi „Przeglądu Technicznego“ w Warszawie, w Redakcyi „Architekta“ w Krakowie i w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

Sąd konkursowy składają budowniczowie panowie: Adam Oczkowski, Bronisław Rogóyski i Mikołaj Tołwiński, inżynier pan I. Chrzanowski i właściciel majątku Raszków, lub jego pomocnik, pan A. Radecki - Mikulicz z Odesy.

## BIBLIOGRAFIA.

### HISTORIA.

Dr Adam Bogusz: *Wieś Siedliska Bogusz. Monografia, zebrana z dokumentów i wspomnień rodzinnych, ze szczególnem uwzględnieniem wypadków z roku 1846 i życiorysu Jakóba Szeli.* Cena 2 korony. Kraków, 1893. Z portretem Stanisława Bogusza i podobizną medalu Szeli i Meternicha. Stron 64.

Stanisław Koźmian: *Rok 1863. Tom pierwszy.* Warszawa. Skład główny w księgarni Jana Fiszera, 1903, stron 261. Tom drugi, stron 339. Tom trzeci, stron 386.

Waleryan Krasieński: *Zarys dziejów powstania i upadku Reformacji w Polsce. Z angielskiego tłómaczone.* Wydał Jul. *Bursche*, pastor warszawski. Tom pierwszy. Cena rub. 1 kop. 25. Warszawa. Nakładem „Zwiastuna Ewangelicznego“, 1903, stron VI + V + 254.

Józef Ignacy Kraszewski: *Polska w czasie trzech rozbiorów.* Tom trzeci. 1791 — 1799. Z 89 ilustracyami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903. Stron 564.

Juliana Ursyna Niemcewicz: *Pamiętnik o czasach Księstwa Warszawskiego (1807 — 1809).* Z autografu Biblioteki Cesarskiej w Petersburgu wydał Aleksander *Kraushar*. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Z portretem Niemcewicza. Stron VI + 196 + IV.

Jan Scherr: *Rok 1848. Dramat dziejowy.* Warszawa, 1903. Stron 104. Z początku: *Od Redakcyi.* Wacław Nałkowski, stron X. Z portretem („Biblioteka samokształcenia“).

Jakób Sobieski: *Reszty rękopisu... ojca króla Jana III, obejmującego jego podróże, odbyte w latach 1613 i 1637.* Z autografu... wydał Aleksander *Kraushar*. Warszawa, 1903, stron 39.

Kazimierz Wachowski: *Słowiańszczyzna zachodnia. Studya historyczne.* Tom pierwszy. Stron 4 nlb. i 271. Z zapomogi Kasy imienia Mirowskiego. Warszawa, 1903. E. Wende i S-ka. Cena rub. 1 kop. 20.

Stasiław Z a k r z é w s k i: Opactwo benedyktyńskie św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie w latach 977—1085. W Krakowie, 1902. (Odbitka z Rozpraw Akademii Umiejętności). Stron 89.

### HISTORIA LITERATURY. — PEDAGOGIA.

Piotr Ch m i e l o w s k i: Stylistyka polska wraz z nauką kompozycji pisarskiej. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903. Stron 414 + 9 nl.

T e g o ż: Dzieje krytyki literackiej w Polsce. Qui parce laudat, parcius vituperet. *Mistrz Wincenty*. Dla uczczenia trzydziestopięcioletniej działalności autora, jako pisarza i pedagoga, wydane staraniem jego Przyjaciół i Kolegów. Z portretem autora i z przedmową Bronisława *Chlebowskiego*. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1902. Stron XVII + III + 583 + X.

Bronisław G o r c z a k: Katalog rękopisów archiwum książąt *San-gusków* w Sławucie ułożył i Historię tegoż archiwum skreślił.. konserwator zbiorów sławuckich. W Sławucie. Nakładem właściciela. W drukarni M. Gajeckiego. 1902. Stron XLV + 488. Cena pięć rubli.

M. K a r e j e w: Wskazówki do samokształcenia. Tom pierwszy, stron 189. Warszawa, 1903. Nowy Świat № 41 (Biblioteka samokształcenia).

Biblioteka samouków. I. W. M. K o z ł o w s k i: Klasyfikacja Umiejętności na podstawach filozoficznych, jako wstęp do wykształcenin ogólnego. Wydanie drugie. Kraków. 1902. Wydanie „Poglądu na świat“, stron 90 + 2 nlb.

### SPRAWY SPOŁECZNE.

Jan B l o c h: Przyszła wojna pod względem technicznym, ekonomicznym i politycznym. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1900. Tom pierwszy, stron XXXIII + 557. Tom drugi, stron XV + 707. Tom trzeci, stron XXXIV + 400. Tom czwarty, stron XXXVII + 536. Tom piąty, stron XXXIV + 504.

Sprawozdanie z czynności i z publicznych posiedzeń Izby Handlowej i Przemysłowej w Krakowie za rok 1801. Kraków, 1902. Stron XI + 258.

Dr Stanisław K o p c z y Ń s k i: Udział niektórych instytucji publicznych w sprawie wychowania higienicznego. Stron 18. Odbicie z „Czasopisma Lekarskiego“. Tom czwarty, № 9, 1902.

Wł. P i l a t i W i t. L a s s o t a: O nowoczesnej socjologii. Sześć wykładów. Lwów. Czcionkami drukarni Ludowej. 1893. Przedruk z „Prze-glądu Prawa i Administracji“. stron 178.

Ignacy P o p i e l: Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiem. Zeszyt drugi. Skład główny: Księgarnia warszawska, 1903, stron 50.

Na B a g n o Stanisława Witkiewicza Odpowiedź R a d n y c h G m i n y Z a k o p a n e. Zakopane, 1903, stron 16.

## POEZYJE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

St. B.....: Manfred. Melodramat fantastyczny w dziesięciu obrazach. Naśladowanie (z) Byrona. Warszawa. Własność Warszawskiej Kasy Literackiej. 1903. Księgarnia J. Fiszera, str. 8 nlb. + 112.

Stanisław Bełza: W północnej Afryce (com widział i czuł). Wydanie, ozdobione dziesięcioma światłodrukami z zakładu B. Wierzbickiego i S-ki w Warszawie. Warszawa. E. Wende i S-ka, 1908, stron 277.

Wacław Berent: Próchno. Powieść współczesna. Ozdoby Maryana Wawrzeńckiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa. 1903, stron 369 + 2 nlb.

Paweł Bourget: Po szczeblach. Przekład W. G. Tom pierwszy, stron 160. Tom drugi, stron 160. Tom trzeci, stron 168.

Wacław Gąsiorowski: Kajetan Stuart (ostatnia obrona Częstochowy). Powieść z czasów Księstwa Warszawskiego. Warszawa. Nakładem Kasy warsz. pomocników księgarskich. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1903. Z portretem Kajetana Stuarta, stron 364.

Janina Górska; Poezye. Serya druga. Warszawa. T. Paprocki i S-ka, 1903, stron 136 + IV. Okładka z widokami Kamieńca Podolskiego, układu Leona Rakowskiego.

Tadeusz Jaroszyński: Chimera. Powieść z życia artystów. Petersburg. K. Grendyszyński. 1903. Stron 392.

Marya Konopnicka: Poezye w nowym układzie. III. Pieśni i piosenki. Warszawa, 1903. Stron 170. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Multatuli: Wybór pism. Przełożyła i zaopatrzyła przedmową M. Posner-Garfeinowa. Warszawa, 1903. Nakładem księgarni Naukowej, Krucza 41. (Z portretem). Stron 308.

Władysław Orkan: W roztokach. Powieść. Tom pierwszy, stron 228. Tom drugi, stron 242. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego. 1903.

Or - o t: Poezye. Warszawa. 1903. („Biblioteka dzieł wyborowych“, № 267). Stron 160. Cena 40 kop.

Eliza Orzeszkowa: Anastazy. Powieść. Warszawa, 1903. Stron 258. Z fotogr. reprodukcją rysunku Antoniego Kamieńskiego. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Fr. Reinstejn: Monolog i dialogi. I, str. 46; II, str. 42.

## PISMA ZBIOROWE.

Wisła. Miesięcznik z rysunkami, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. Styczeń — Luty. 1903. Tom XVII. Zeszyt pierwszy. Warszawa. Skład główny i ekspedycja w księgarni E. Wendego i Spółki. Redaktor i wydawca Erazm Majewski. Treść zeszytu pierwszego: A. Chudziński: Brodnica w XVIII wieku (z rysunkami). — J. Milewska: Sposoby zabawiania dzieci i ich zabawy w Ciechanowskim. — H. W.: Z dawnych zwyczajów szkolnych (z rysunkiem). — E. Majewski: Pochodzenie

maku i jego nazwisk. — Witowt: Baśni z Kujaw Borowych. — M. Stecker: Jeszcze słów kilka o wzorach hafciarstwa ludowego (z rycinami). — Witowt: Dwie pieśni do deszczu. — Poszukiwanie. — Sprawozdania i Krytyka. — Przegląd czasopism. — Stron 130.

Wyszedł z druku zeszyt IV tomu VI Encyklopedyi Wychowania w której obejmuje następujące artykuły: Komeński (dokończenie) — przez A. Danyszka. Komisya edukacyjna — przez Henryka Gallego. Komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego — przez Piotra Chmielowskiego. Komisya Rządowa Oświecenia Publicznego — przez Józefa Bielińskiego. Komisya sądowo-edukacyjna — przez tegoż. Konarski Stanisław — przez Floryana Łagowskiego. Koncentracya — przez Aniełę Szycównę. Konferencye dyrektorów — przez A. Frączkiwicza. Konfirmacya — przez ks. A. D. Konopeczyński Emilian — przez Bronisława Bieńkowskiego. Konsekwencya w wychowaniu — przez St. Karpowicza. Konserwatorya muzyczne — przez Aleksandra Polińskiego. Konwersacye — przez Waldemara Osterlofffa.

Zygmunt Gloger: Encyklopedyi Staropolskiej tom trzeci opuścił prasę i zawiera artykuły, rozpoczynające się od litery *K* aż do *O* włącznie. Tom ten obfituje w objaśniające tekst ilustracye.

Juliusz hr. Ostrowski: Księga herbowa rodów polskich. Zeszyt XV. Warszawa, 1903. Stron 493 -- 516 i 285 — 300.

Wyszedł z druku 130-ty zeszyt Słownika Geograficznego, zawierający dopełnienie do całości dzieła od nazwy „Lubusza” do „Michaliszki”. Z większych opracowań podano tu: Lublin, Lubusz, Lwów, Łódź, Łomża, Łuck, Maków, Małogoszcz.

Warszawska Gazeta Sportowa, № 1, rok 1903. Pismo sportowe ilustrowane, stron 16.




---

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.

# Komitet Zarządzający Kasą pomocy

DLA OSÓB, PRACUJĄCYCH NA POLU NAUKOWEM

*imienia d-ra Józefa Mianowskiego,*

podaje do wiadomości,

że z fundacyi Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez Władzę rządową, przyznana zostanie w roku 1903-cim nagroda pieniężna imienia profesora Adolfa Pawińskiego, w wysokości rubli 600, za najlepszą z ogłoszonych drukiem w języku polskim, w ciągu trzech ostatnio ubiegłych lat, to jest 1900, 1901 i 1902 pracę, odnoszącą się do historii polskiej. Z dzieł równej wartości naukowej pierwszeństwo do nagrody służy dziełu, mającemu za przedmiot opracowanie materiałów, zebranych przez profesora Pawińskiego. Stosownie do Ustawy Kasy i do zastrzeżeń Władzy, przyjętych przez ofiarodawców, nagroda ta może być udzielona jedynie poddanemu rosyjskiemu, o ile nie przebywa za granicą bez pozwolenia rządu, za dzieło, przez Cenzurę dozwolone, choćby wydane za granicą. Jakkolwiek Komitet zarządzający Kasą będzie usiłował zebrać dla oceny kwalifikujące się do nagrody prace, wydane w latach wymienionych, dla uniknięcia jednak przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu (Niecała № 7), lub na ręce jednego z członków Komitetu.

---

# Komitet Zarządzający Kasą pomocy

dla osób, pracujących na polu naukowem,

*imienia d-ra Józefa Mianowskiego,*

podaje do wiadomości:

że z zapisu Jakóba Natansona, przyznane zostaną w roku 1905 dwie nagrody pieniężne:

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi) ogłoszone drukiem w języku polskim w latach: 1901, 1902, 1903 i 1904; druga za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, lub tym podobnych. Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym. Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla poddania ocenie prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknięcia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu, lub na ręce jednego z członków Komitetu.

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1903.

## HISTORIA.

	Str.
PAMIĘTNIK GENERAŁA JANA WEYSSENHOFFA (dokończenie), — podał Józef Weyssenhoff . . . . .	142
WINOWAJCY. GALICJA W ROKU 1846 tym, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego . . . . .	38
SZESNAŚCIE DNI Z MEGO ŻYCIA, CZYLI RELACJA Z PODRÓŻY DO PETERSBURGA, PODCZASREWOLUCYI POLSKIEJ Z ROKU 1830—1831-go, — przez Tadeusza Wyleżyńskiego . . . . .	221 i 478

## SZKICE POLITYCZNE.

NOWE PRĄDY POLSKIE I ANTYPOLSKIE POD RZĄDEM PRUSKIM, — przez Poznańczyka . . . . .	1
WIELKONIEMIECKIE MRZONKI POLITYCZNE, — przez Aleksandra Rembowskiego . . . . .	350

## LITERATURA.

AD ASTRA. DWUGŁOS przez Elizę Orzeszkową i Juliusza Romskiego (dalszy ciąg) . . . . .	14, 244 i 429
TEŚKNOTA. Wiersz, — przez Bronisławę Ostrowską . . . . .	110
W GÓRACH. (Z SERJI V-ej), — przez Kaz. Tetmajera . . . . .	368

STUDYA I SZKICE LITERACKIE  
I ARTYSTYCZNE.

	Str.
TEATR I MUZYKA, — przez Władysława Bogusławskiego	119
ALEKSANDER KRAJEWSKI. (A. A. K.), — przez Tadeusza Korzona . . . . .	317
WAGNER JAKO POETA I ESTETYK, — przez d-ra Józefa Flacha . . . . .	448
O BOHDANIE ZALESKIM (dokończenie), — przez Maryę Ko- nopnicką. . . . .	532

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE  
i EKONOMICZNE.

PRAWO SPADKOWE W KRÓLESTWIE A WŁASNOŚĆ ZIEM- SKA, — przez Franciszka Górskiego	276
KIERUNKI SPOŁECZNO-GOSPODARCZE ZA KSIĘSTWA WAR- SZAWSKIEGO, — przez St. A. Kempnera.	570
WŁASNOŚĆ ZIEMSKA W KRÓLESTWIE POLSKIM, — przez Aleksandra Kłobukowskiego. . . . .	503

NAUKI PRZYRODNICZE.

Z OSTATNIEJ DOBY WULKANIZMU. — przez Ksawerego Sporzyńskiego . . . . .	77
PIERŚCIEŃ SATURNA, — przez St. Kramsztyka . . . . .	299

ROZMAITOŚCI.

Myśli Stanisława Staszica do ułożenia stanu nauczycielskiego w kra- jach Księstwa Warszawskiego, — z autografu przepisał i słowem wstępnym poprzedził dr Szeliga . . . . .	169
Wiśniowiec w listopadzie 1781 roku i podróż Stanisława Augusta do Kamieńca, — przez Józefa Dunin-Kar- wickiego . . . . .	374
„Naród“ żydowski, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	590

KRYTYKA.

<i>Prof. Bronisław Dembiński: „Źródła do dziejów drugiego i trzeciego rozbioru Polski“. Tom pierwszy. Polityka Ro- syi i Prus wobec Polski od początków sejm</i>	
--	--



	czteroletniego do ogłoszenia konstytucyi trzeciego maja. 1788 — 1791, — przez A. R. . . .	181
<i>Maciej Loret:</i>	„Między Jeną a Tyllą“. 1806—1807. Tom drugi. Monografia w zakresie dziejów nowożytnych (wydawnictwo prof. Askenazego). — przez A. R. . .	185
<i>Stanisław Zdzarski:</i>	„Bohdan Zaleski“. Lwów, Towarzystwo wydawnicze, 1902, — przez A. Drogoszewskiego . . . . .	190
<i>Józef Bojasiński:</i>	„Monografia w zakresie dziejów nowożytnych“. Wydawca Szymon Askenazy Tom pierwszy. Rządy tymczasowe w Królestwie Polskiem. Maj—Grudzień, 1815, — przez A. R. . . . .	381
<i>Józef Ignacy Kraszewski:</i>	Polska w czasie trzech rozbiorów. 1772—1796. Studya do historii ducha i obyczaju. Tom drugi. 1755 — 1791, — przez A. R. . . .	387
<i>Gadon:</i>	Emigracya polska. Pierwsze lata po upadku powstania listopadowego. Tom trzeci, 1902, — przez A. R. . . .	391
<i>Frédéric Masson:</i>	Mémoires du comte de Moriolles, sur l'émigration, la Pologne et la cour du grand duc Constantin (1789 — 1833). Précédés d'une introduction. Paryż, 1902, — przez A. R. . . . .	399
<i>Wacław Gąsiorowski:</i>	„Rapsody napoleońskie“. Zbiór fragmentów historycznych. Warszawa, 1903. Księgarnia pod firmą E. Wende i S-ka, — przez Z. D. . . .	404
<i>Zofia Urbanowska:</i>	„Róża bez kolców“. Opowiadanie, osnute na tle przyrody tatrzańskiej, z licznymi rycinami w tekście. Warszawa, 1903. Nakładem księgarni B. Grendyszyńskiego w Petersburgu, — przez Z. D. . . . .	406
<i>Andrzej Bonnefons:</i>	Un allié de Napoléon. Frédéric Auguste, premier Roi de Saxe et grand Duc de Varsovie 1763—1827, d'après les archives du ministère des Affaires Étrangères et du royaume de Saxe. Paryż, 1802, — przez A. R. . . . .	594
<i>Aleksander Mańkowski:</i>	„Podróż za granicę“. Powieść. Warszawa. 1903, — przez Władysława Bogusławskiego . . . . .	602
„Pamiętnik Kielecki“.	Zbiór prac ku uczczeniu Adama Mickiewicza, 1788 — 1898. Kielce. Wydanie Bronisława Biełkowskiego. Druk St. Święckiego. Skład główny w Warszawie, w księgarni Jana Fiszerę, in 4-o, stron 254, — przez Henryka Gallego . . . . .	603

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

## STYCZEŃ:

Z posiedzeń Rady rolniczej gubernii Warszawskiej.—Sanatorium w Rudce.—Spekulacya węglowa.—Nowomiano-

	wani biskupi: Tyraspolski, Brzesko-Kujawski i Sandomierski.—Reforma pasportowa. — Towarzystwo lekarskie w Radomiu. — Konkursy dramatyczne.—Odezwa Warszawskiego Towarzystwa artystycznego. — Ś. p. dr Bronisław Jazdowski. — Ś. p. prof. dr Wacław Sobierański.—Ś. p. Władysław Kwietniewski . . . . .	196
LUTY:		
	Ilu jest na świecie Polaków?—Towarzystwo urządzania i ulepszenia mieszkań dla ubogiej ludności pracującej. — Związek handlowy kółek rolniczych w Krakowie i dziesięcioletnia jego działalność. — Konkurs „Gazety Polskiej”. — Wynalazek inżyniera Brzeskiego. — Ś. p. O. Wacław (Nowakowski)	408
MARZEC:		
	Kilka słów z powodu wystawy higieniczno-spożywczej w Łodzi. — Kredyt na nieruchomości w miastach prowincjonalnych. — Puste domy w Mielzynie.—Zwinięte klasztory. — Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. — Konkurs dla gospodarstw większych. — Konkurs dramatyczny imienia Sienkiewicza.—Towarzystwo pielęgnowania nauk społecznych. — Ś. p. Wiktor Szumański. — Ś. p. Julian Ankiewicz. — Ś. p. Adam hr. Krasieński.—Ś. p. Ks. Bolesław Hieronim Kłopotowski, arcybiskup metropolita mohylowski. . . . .	607

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE  
I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ . . . . .	214
LUTY . . . . .	421
MARZEC . . . . .	625



